PAMIĘTNIKI EMIGRANTÓW

FRANCJA

5213

WARSZAWA 1939
INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

PAMIĘTNIKI EMIGRANTÓW

5213

FRANCJA

WARSZAWA 1939
INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

PAMIĘTNIKI EMIGRANTÓW

Francja

480

INSTITUT D'ECONOMIE SOCIALE

MEMOIRES DES EMIGRANTS POLONAIS

FRANCE

No 1—37

1939
VARSOVIE

INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

PAMIĘTNIKI EMIGRANTÓW

FRANCJA

Nr. 1 — 37

Szkoła Partyjna
przy K. C. P. Z. P. R.
BIBLIOTEKA
Nr. 9P/2i P
5213 P 20
: 9P(M)

1939
WARSZAWA

92: 325

DRUKARNIA
EKONOMICZNA
J. KUBIAK i S-KA
WARSZAWA
UL. LESZNO 20
TEL. 11-48-33
224

31316/2



Wychodztwo zarobkowe do Francji w rozmiarach poważniejszych jest świeżego, powojennego pochodzenia.

Wprawdzie nasi obieżysasi, idący w liczbie paruset, w ostatnich zaś czasach przed wojną bodaj kilkuset tysięcy za zarobkiem letnim do Niemiec, docierali do Alzacji-Lotaryngii, która wtedy wchodziła w skład Rzeszy Niemieckiej i dopiero po wojnie wróciła do Francji. Spośród gromady tych wywędrowców ten i ów, choć w liczbie nieznacznej, przekraczał granice Rzeszy, przedostawał się do Skandynawii, a nawet do Anglii. Możliwa, iż któryś zabłąkał się był do Francji ówczesnej. Ale zdarzało się to wyjątkowo.

Stosunki wychodźcze po wojnie uległy zmianie doszczętnej.

Całe dzielnice Francji na północo-wschodzie ucierpiały dotkliwie od wydarzeń wojennych: pola były porznięte rowami strzeleckimi, zasiekami z drutu kolczastego, zryte głęboko bombami, po których pozostały głębokie leje, niby olbrzymie kretowiska. Zamiast osiedli wiejskich sterczały kupy rumowisk. Wieś wymagała do odbudowy swego gospodarstwa licznych rąk. A tymczasem olbrzymia danina krwi, którą kraj był złożył w ofierze na polu bitew podczas czteroletnich zmagań, przerzedziła pracowników. A zabrakło przedstawicieli siły roboczej nie tylko na wsi — przemysł również odczuwał wielki niedostatek ludzi pracy, przede wszystkim zaś górnictwo.

I Polska w niektórych dzielnicach swoich została ciężko dotknięta. Ale jakkolwiek klęska zubożenia była olbrzymia, jakkolwiek kraj był zniszczony i rozprzężenie gospodarcze niezmierne, przecież ofiara krwi, w stosunku do upustu jej we Francji, była skromnych rozmiarów. Istniały liczne rzesze potrzebujące zarobku, żeby żyć, jednak go nie znajdujące. Przed wojną bezrolny i mało-

rolny szedł podczas lata na zarobki do Niemiec. To wyjście narazie było przed nim zamknięte. A poza obrębem kraju istniało osadnictwo polskie górnicze w Westfalii, które należało mierzyć setkami tysięcy głów. Jego przedstawiciele, o ile nie chcieli optować na rzecz Niemiec, musieli poszukiwać okazji zarobku gdzie indziej. W Polsce nie było dla nich miejsca. Przecież w ojczyźnie brakło nawet zajęcia dla górników, którzy w Zagłębiu naszym siedzieli przy kopalniach niekiedy z ojca i dziada! Polakom w Westfalii pozostawało jedno — ruszyć ku kopalniom północno-wschodniej Francji, ogołoconym z robotnika.

W takich warunkach wychodztwo za zarobkiem do Francji przybrało u nas poważne rozmiary. Przy ministerstwach francuskich pracy i rolnictwa powstaje misja specjalna celem werbunku robotników polskich i posiada swoje przedstawicielstwo w Polsce, jak również delegatów zajmujących się poborem. Obok niej działa Société Générale d'Immigration, będące ekspozyturą związku właścicieli kopalń we Francji. Dla pierwszego roku 1919 statystyka podaje tylko 804 wychodźców prócz Westfalczyków. (Liczby statystyczne za pierwsze lata grzeszą dużą niedokładnością). Zastępy wywędrowców rosną w latach następnych, ale nieprawidłowo. W r. 1923 liczba ich dosięga prawie 71.000, w 1925 r. wyniosła tylko 36.000. W ogóle w okresie 1919—'25 do Francji emigrowało 217.900 osób [1]*). Pięciolecie 1926—'30 podnosi rozmiary wychodztwa za zarobkiem do Francji na 285.000, przy czym poszczególne lata mocno się różnią od siebie, np. w r. 1927 ta liczba wynosi tylko 16.000, w r. 1930 — 86.000 głów. W końcu tego okresu pod wpływem poczynającego się w Polsce kryzysu, wychodztwo nasze powojenne do Francji osiągnęło największe wymiary. Pożądanie robotnika polskiego w Niemczech w tym pięcioleciu wciąż jeszcze było znaczne lecz jak zawsze tylko na sezon robót w polu: w średniem rocznie udawało się do Niemiec przeszło 70.000 osób. Silne jest wciąż jeszcze wychodztwo do Ameryki południowej (około 120.000) i do Kanady (103.700). Natomiast emigracja do Stanów Zjednoczonych poważnie spadła — na 42.700. Rok 1931 — rok zarysowującego się silnie kryzysu — uszczupla rozmiary wychodztwa z kraju naszego: na 28.000 do Francji, na*

[1]) *Zresztą Francja, gdy chodzi o liczbę naszych wychodźców, ma ich w tym okresie jedynie o parę tysięcy więcej od Stanów Zjednoczonych (215.500).*

32.000 do Niemiec. A także kraje zamorskie ograniczają poważnie liczbę wpuszczanych do siebie wychodźców. Za cały okres 1931—'35 do Francji wyszło 75.300. Dopiero w r. 1937 emigracja dosięgła 33.000, do Niemiec zaś po liczbach zazwyczaj nie przekraczających kilkuset głów i wyjątkowo sięgających tysiąca, podniosła się do 12.000.

Celowo wdaliśmy się w wywody liczbowe, ażeby wykazać jak dalece wychodztwo powojenne, w porównaniu z czasami przedwojennymi, wyróżnia się na ogół dużym spadkiem. Między innymi, w znacznej mierze zawiodły nadzieje pokładane we Francji. Liczono u nas na to, że spośród wychodźców z innych krajów wychodztwo polskie najmniej zagraża Francji swoimi następstwami. Przed wojną, pomiędzy granicą włoską a Marsylią, odsetek wychodźców Włochów był bardzo znaczny — mówiono nawet o podboju tej dzielnicy przez nich drogą powolnego wsiąkania emigracyjnego. Natomiast Polacy nie zagrażali Francji takim niebezpieczeństwem — z nią nie graniczyli. A nadto cały splot stosunków politycznych, zdawało się, zmuszał te dwa kraje do przymierza i solidarności. Lecz lata kryzysu wykazały ułudę tych obrachunków. Wprawdzie z góry należało oczekiwać, iż z chwilą, gdy nasi wychodźcy nasycili sobą górnictwo i przemysł francuski, dalsze lata będą musiały położyć kres tym dziesiątkom tysięcy, które w okresie 1919—'31 wędrowały od nas do Francji. Co najwyżej, będzie mogło się znaleźć tam miejsce jedynie dla tysięcy. Ale zgoła nie oczekiwano, aby we Francji ukazała się dążność do pozbycia się rzeszy wychodźców-Polaków, która w niej znalazła już była zarobek. Co najwyżej, godzono się z koniecznością wydalania z Francji odłamu niepożądanych żywiołów. Wobec ułatwionych warunków wyjścia do Francji, wśród ludzi, którzy szli za zarobkiem, znaleźli się różni wykolejeńcy, niemile widziani we własnym kraju, a tym bardziej nie mogący się spodziewać tolerancji na obczyźnie. Ale rzeczywistość po r. 1930 przewyższyła rozmiarami swymi wszystkie te racjonalne możliwości. Robotnik-Polak obudził przeciw sobie niechęć z różnych powodów. Gotów był imać się pracy za niższym wynagrodzeniem, niż pobierane przez robotników-Francuzów [1]). Pewne odłamy warstwy pracującej francus-

[1]) *„W dobie kryzysu, Francuz dostawszy pracę starał się, by jemu starczyło o ile nie na cały dzień, to chociaż do południa i coś na po-obiedzie,*

kiej zaczęły domagać się usunięcia cudzoziemców, przy czym niekiedy służyły bodaj za narzędzie w ręku spekulantów [1]) lub w rozgrywkach partyjnych. Ale przede wszystkim zaczęła oddziaływać jeszcze inna pobudka, a mianowicie wpływ na umysły zawarcia przez Polskę umowy o nieagresji z Niemcami. Prasa francuska niektórych kierunków zaczęła oskarżać Polskę o zbyt posunięte sympatie dla Niemców, nawet niekiedy wprost o konszachty przeciwko Francji, a w dalszej konsekwencji traktowano Polaków jako niepewnych pod względem politycznym przybyszów [2]). Z drugiej strony, w obliczu klęski bezrobocia, rząd pragnąc zmniejszyć jej skutki, wydał ustawy, które nakładały różne

---

aby mieć tylko coś w ręce i dzień spędzić. Polak nie licząc się z niczym wykonał swą pracę w ciągu 2 — 3 godzin, poczem siedział kierownikowi na karku. Przez swoją nierozsądność został on znienawidzony przez Francuza!". (Pamiętniki).

[1]) *I.K.C. parokrotnie poruszał sprawę prywatnego Biura Transportów, które przez lat kilkanaście dowoziło do Francji robotników obcokrajowców, ciągnęło z tego procederu wielkie zyski i miało bardzo wpływowe stosunki. Otóż w r. 1933 liczba przyjeżdżających do Francji zaczęła się kurczyć, a tym samym i dochody owej firmy. Zarabiała ongi na dowozie, w zmienionych warunkach spostrzegła, iż da się jeszcze niezgorzej zarabiać na ich wywozie, wywołując przez podszczuwanie przeciw rzekomo politycznej nieprawomyślności wychodźców ich wydalanie z granic państwa i dowożąc na ich miejsce innych. Między innymi w tym czasopiśmie podano tytułem przykładu podziemny strajk górników-Polaków na szybie „Laforest" spółki górniczej Escarpelle, przy czym strajkujący zatrzymali w podziemiach kilku Francuzów sztygarów i dozorców. Niektóre organy prasy podniosły wrzawę, że komuniści-Polacy uwięzili Francuzów w kopalni. Doszło do tego, iż zwołano posiedzenie Rady Ministrów specjalne, ściągnięto 1000 policjantów i 5000 żandarmów i w ciągu 48 godzin wszyscy ci Polacy w liczbie 150 musieli opuścić Francję. Jeden z kierowników owego Biura Transportów był akurat obecny wtedy na miejscu, skąd odjeżdżali wydalani — 600 żandarmów i policjantów w ostrym pogotowiu otoczyło dworzec w Lille. A tymczasem całe żądanie strajkujących sprowadzało się do potulnej prośby, żeby w razie wydalenia ich z Francji koszta przewozu poniosła kopalnia, nie zaś oni. Szczegóły, patrz I.K.C., nr 67, z dn. 7 marca 1936 r.*

[2]) *Zresztą nie tylko Polacy ponosili skutki takich nieporozumień. „Swego czasu — pisze jeden pamiętnikarz — gdy panowało nieporozumienie między Francją a Włochami, Włosi przebywający we Francji byli obiektem ciągłych szykan. Włoch był znienawidzony i bojkotowany nawet przy pracy".*

ograniczenia w stosunku do przybyszów-cudzoziemców. Była to rzecz zgoła zrozumiała i naturalna, lecz mniej zrozumiałe jest osobliwe obostrzenie tych przepisów w stosunku do Polaków. A zatem od innych cudzoziemców żądano, jeśli pragnęli otrzymać karty pracy, pięcioletniego pobytu we Francji, tymczasem względem Polaków wymagano aż dziesięcioletniego. A chociaż te zarządzenia odwołano 23 stycznia 1936 r., przecież jeszcze w lutym tego roku w Lille zmuszano do wyjazdu Polaków, i to takich nawet, którzy przepracowali we Francji ponad lat 13. Również przyrzeczono, że zapisy na wyjazd będą przerwane w dniu 27 stycznia 1936 r., jednak władze policyjne wciąż zmuszały polskich robotników do tych zapisów, Biuro Transportów zaś stawiało każdego czwartku nowe pociągi w liczbie trzech [1]*). Wielu robotników polskich sprowadziło do Francji swoje rodziny, położenie ich przy wydalaniu było rozpaczliwe, tym bardziej że w latach kryzysu wydali oszczędności, które byli poczynili. Kiedy w latach 1926—'30 wróciło do kraju z Francji 38.800 wychodźców, to w latach 1931—'35 liczba ta urosła do 117.100 osób, przy czym największe napięcie przypada na r. 1935. Murzyn zrobił swoje, przyczynił się do odrestaurowania Francji, a kiedy to uskutecznił, obchodzono się z nim bez ceremonii. Przy czym władze miejscowe, ostatecznie decydujące w tej sprawie, nadawały duchowi ustaw tłumaczenie jak najsurowsze. Ktoś może mi zarzucić, że w tym razie jestem stronny. Dlatego pozwolę sobie przytoczyć większy ustęp z artykułu p. Magdaleny Paz.* [2]*).*

Opis ten, pochodzący z czasów gabinetu Lavala, dotyczy Polaków, pracujących w okolicy, która ciągnie się od Arras do Lens, od Noeux-les-Mines do Bruay, od Henin-Lietard do Douai i od Bethune do Lille. Dzielnica to o barwach posępnych, szarej i czarnej. Szara barwa nieba, smolna szarzyzna szybów kopalnianych, czarne smugi kominów fabrycznych, domy spowite czarną zasłoną i ludzie poruszają się jak gdyby w nocnej mgle, ziemia wydaje czarny, tłusty sok, miasta parują jakimś brunatnawym wyziewem — oto tak wygląda państwo Króla-Węgla. A choć zwiedza-

---

[1]) *I.K.C., l. c.*

[2]) *Artykuł był drukowany w piśmie robotniczym P o p u l a i r e, R o b o t n i k umieścił go w przekładzie, Nr 281, z dn. 5 paźdz. 1938.*

jący znajduje się we Francji, a więc mija departament Pas-de-Calais i przedostaje się do departamentu Nord, przecież dolatują go dźwięki obcej mowy, szyldy na licznych kawiarniach i wielu sklepach noszą obce napisy, wygląd przechodniów nasuwa myśl o innym niebie, o innym kraju. Nadstawiając ucha, ma się wrażenie, że jest się na Węgrzech, nieco dalej jak gdyby w Czechosłowacji, jeszcze dalej — w Jugosławii. A wszędzie nad tym czarnym krajem do najgłębszych jego czeluści rozpościera się jak gdyby jakaś cząstka Polski.

„I zaiste, na zamieszkałych w dwóch departamentach — Nord i Pas-de-Calais — 170.000 górników, mamy 46% robotników-imigrantów, w tym większość tworzą Polacy — 30%, tj. 50.000.

„Poszliśmy zobaczyć się z nimi: gawędziliśmy, zwiedzaliśmy ich domki, gładziliśmy płowe główki ich dzieci, słuchaliśmy towarzyszy...

„Jakżeż zajmującą powieść można by napisać o odyssei tych ludzi, o przybyciu ich, przesiedleniu na obcy grunt, o niepowodzeniach i nieszczęściach, o zakorzenieniu się i o dorobku pracy. Jakiż wymowny argument przeciw tym, którzy wyrzekają na cudzoziemców, a którzy albo nie wiedzą, albo udają, że nie wiedzą, co ci przynieśli narodowi, który ich przyjął.

„Nasz naród chciał mieć korzyści bezpośrednie, natychmiastowe, kiedy po wojnie w roku 1919 sprowadził ogromną armię Polaków. Chodziło wówczas o odbudowę zrujnowanego przemysłu, o utorowanie drogi pługowi tam, gdzie przeszły armaty, o zwrócenie wydajności opuszczonym kopalniom. Brak rąk francuskich dawał się dotkliwie odczuć; Francja zaciągnęła na zawsze dług wdzięczności wobec ludzi, których zawezwała, aby podnieśli ją z ruin i nadali nowe tętno życia jej gospodarce.

„Westfalia i Nadrenia zatrudniały w owym czasie około 600.000 Polaków. Traktat Wersalski przyznał im prawo optowania na rzecz Polski, z czego bardzo skwapliwie skorzystali. Zmuszeni do opuszczenia Rzeszy, zostali sprowadzeni przez Komitet Kopalń Węgla kamiennego do departamentów Nord i Pas-de-Calais w liczbie 150.000, jak stwierdziły statystyki polskie.

„Lecz kopalnie, fabryki, rola były nie nasycone. Wkrótce nie wystarczali już sami tylko Westfalczycy. Trzeba było wprost z Polski sprowadzać nowe siły robocze. Pod egidą rządów francus-

kiego i polskiego zawarte kontrakty pracy regularnie przechodziły przez Ministerstwo Pracy.

„Zgodnie z umową zawartą między dwoma rządami, wychodźcy mieli w zasadzie korzystać z takiej samej płacy i ustawodawstwa pracy jak robotnicy francuscy.

„Ale tak było tylko w teorii.

„Świadczyłoby o złej znajomości „Wielkiego Patronatu" (wielki kapitał) przypuszczenie, że ten nie skorzysta z nadarzającej się gratki, jaką jest napływ żywiołu ludzkiego, potężnego, lecz podatnego, jak masa którą modelowały długotrwałe cierpienia.

„Obarczono ich najcięższą pracą i kazano zadowolić się najlichszym wynagrodzeniem, wprowadzając pomiędzy masy robotników ferment niezgody, tak konieczny mistrzom świata do panowania. I w istocie górnicy francuscy nie omieszkali przeciwstawić się tym obcym przybyszom: spoglądali na nich z niechęcią, jak na nielojalnych współzawodników. W tym tkwiły zyski dla feudalizmu kopalń, lecz dla tych nowych „czarnych gęb" ciężki bardzo początek.

„Lata 1934 i 1935 spadły jak grom na ten lud tak mozolnie przesiedlony. Kryzys gospodarczy doszedł do szczytu, bezrobocie srożyło się, przedsiębiorstwa tysiącami zwalniały robotników. Po strajku w Laforest, gdzie robotnicy polscy mężnie stanęli po stronie Francuzów (jak gdyby w odruchu życiowym rozumieli, że silniejszy od wszystkiego jest instynkt klasy), słowo, najstraszniejsze dla ucha cudzoziemca, zaczęło rozbrzmiewać, siejąc popłoch aż do głębin ziemi: wydalenie.

„Nie pomogły skuczenia, ani błagania i szamotania: 43 tysiące udało się, chcąc nie chcąc, w drogę powrotną do Polski. Jak wyglądały te odjazdy, nikt, kto je widział, nie zdoła wyrwać tego obrazu z pamięci.

„Rodziny, zadomowione tutaj od lat piętnastu, musiały w ciągu kilku dni wysprzedać wszystkie sprzęty, cały swój dorobek; ludzie, którzy stracili czucie z krajem pochodzenia, rodziny, których dzieci we Francji urodzone nie mówiły po polsku, robotnicy którzy na dźwigające się z ruin życie słusznie mogli wołać: „Oto nasze dzieło!", ich oto odrzucono jak wypróżnione worki. Rozgrywały się sceny rozdzierające serce: siedząc na pakach kobiety szlochały, mężczyźni zaciskali pięście i wybuchali bezsilną złością i żalem,

pociągi znikały przy odgłosach łkań, nie jeden pociąg odchodził, kiedy z odgłosami okrutnego pożegnania mieszały się dźwięki „Międzynarodówki" [1]).

Zatrzymaliśmy się nad przepisami skierowanymi przeciw cudzoziemcom, zwłaszcza Polakom, a doznającymi silnego zaostrzenia ze strony władz lokalnych w tej lub innej miejscowości. Przy tym zaznaczyliśmy, że same przepisy były zgoła zrozumiałym zabiegiem rządu w obliczu srożącego się kryzysu. Natomiast dziwiło zaostrzenie ich w stosunku do Polaków i dowolne nadawanie im brzmienia niezmiernie surowego przez władze niższych instancji.

Zbyteczna nadmieniać, iż na tym nie kończą się doświadczenia naszych wychodźców.

Spotyka ich mnóstwo innych krzywd, lecz krzywd, które zgoła nie pochodzą z ducha ustaw, lecz tkwią w tym, że wychodźca nasz przybywa do Francji niekiedy wprost z odludnej wioski lub miasteczka, nieprzyzwyczajony do stawiania czoła bardziej złożonym warunkom życia, nie włada językiem francuskim, nie jest świadom zwyczaju miejscowego, ani ustaw. Mimowoli przychodzą mi na myśl obrazy stepowe, kiedy za stadem ciągną drapieżcy czworonożni, w górze się unosi ptactwo tak samo drapieżne, a wszystko zwabione możliwością żeru. Naszego wychodźcę odrazu otacza na obczyźnie gromada takich drapieżców-wyzyskiwaczy. Czy chodzi o pobyt na postojach, o nocleg w pierwszych dniach po przybyciu lub o ulokowanie się na stałe, czy o rodzaj zleconych robót w przedsiębiorstwie, do którego skontraktowano jeszcze w kraju naszych wychodźców, czy w końcu w ogóle o warunki pracy, wszędzie znajdzie się ktoś, kto jest rad skorzystać z ich nieznajomości stosunków i niezaradności, a przede wszystkim z niewładania językiem francuskim. A w roli takiej pijawki nieraz występuje rodak, który oddawna bawi na obczyźnie i poluje na zwierzynę „rodacką"... Lękiem i potulnością odpowiadają przybysze,

---

[1]) *A oto obrazek po przybyciu do kraju takiego steranego pracą i wyrzuconego z Francji robotnika: Paweł Deja, lat 34, z Brzowy Stadnickiej, wracał po 10-letnim pobycie we Francji bez grosza w kieszeni. Przygnębiony, postanowił odebrać sobie życie: pod Dębicą wybił szybę w oknie i wyskoczył na plant, pozostawiając w wagonie walizkę i narzutkę. Gruba warstwa śniegu go ocaliła, Robotnik, Nr 66, z dn. 28 lutego 1936. Nie był to pojedyńczy tego rodzaju wypadek.*

a ten lęk trwa niekiedy czas dłuższy, zwłaszcza u kobiet. Oto opowieść pamiętnikarki, młodej mężatki, o pierwszych dniach pobytu we Francji: „po wyjściu mężczyzn rano do pracy kobiety zamykały się na klucz w mieszkaniach, a wołania dostawców mleka i chleba z kantyny robotniczej, zostawiających naczynie z mlekiem lub bochen chleba pod ich drzwiami, napełniały je przeraźliwym strachem, zmuszającym do wołania przez okno o pomoc!" [1]*). A gdy się nieco zadomowią, otaczają wywędrowców inni naciągacze: wielu z wychodźców oszczędza („mamy trochę grosza, to trzymamy jak diabeł duszę!"), więc człek niesie swoje drobne kwoty do jakiegoś banku, a częściej do pokątnego banczku, dokąd pchają go różni doradcy a właściwie agenci. Robotnicy departamentu Nord na długo zachowali w pamięci Bank Kooperacyjny w Douai; wychodźcy, którzy znaleźli zajęcie w departamencie Pas-de-Calais, pamiętają dobrze o banku Gernes w Lens, w którym w liczbie około sześciuset stracili blisko pół miliona franków. Drobne banczki, różni obrotni rodacy umiejący skłonić wychodźców, ażeby ci składali oszczędności na ich ręce, kantory wymiany, biura podróży, porad prawnych przy przyjmowaniu depozytów i przekazów, gęsto a dotkliwie nadużywali zaufania przybyszów. Docierały do nich biura asekuracyjne przez swoich agentów i namawiały do podpisania kontraktów bardzo niekorzystnych dla podpisującego. (Powołanie do życia Banku Polskiej Kasy Opieki zmniejszyło te okazje wyzysku, a jak ludziska garną się do oszczędzania, świadczy fakt, że depozyty w tej instytucji urosły z trzech milionów franków w r. 1930 do osiemdziesięciu w r. 1935)* [2]*). Zwłaszcza ciężki bywa los wychodźców, którzy znaleźli się samotni zdala od rodaków, bez znajomości języka i przysługujących im środków obrony. Jeden z pamiętnikarzy opowiada, jak w swoich wędrówkach natrafił na Polaka-analfabetę zgoła nie rozumiejącego po francusku, który pracował u włościanina francuskiego: ten zabrał mu wszystkie papie-*

---

[1]) *W ogóle postoje pozostawiają u pamiętnikarzy wspomnienia przykre: na jednym z nich, w nocy, wdziera się przemocą do Polek gromada obcych mężczyzn, w następstwie czego wywiązuje się bójka pomiędzy nimi a emigrantami polskimi — mężami, braćmi, ojcami tych kobiet. Są to zdarzenia wyjątkowe, ale istnieją.*

[2]) *Por. korespondencję K. Wrzosa w I.K.C., Nr 247 z dn. 5 września 1936.*

ry, a choć Polak pracował już w ciągu kwartału, nie otrzymywał wynagrodzenia prócz drobnych kwot na tytoń, nie miał odpoczynków na obiad ani święta, nawet jakiego takiego miejsca na nocleg — dość było zjawienia się tego wędrowca, obeznanego z ustawami, ażeby natychmiast tamten dostał swoje papiery i z 700 franków, które mu się należały, 400 do ręki i ażeby stan rzeczy odtąd całkowicie się zmienił w sposób dodatni. Jednak tych smutnych stosunków nie chciałbym zanadto wygórowywać ani uogólniać, przeciwnie często czytamy w pamiętnikach, jak tylko co przyjezdny „niemowa"-Polak spotyka Francuza, z nim porozumiewa się na migi, znajduje w swoim rozmówcy człowieka gotowego do pomocy, jak Francuzi tłumaczą przybyszowi różne rzeczy, otaczają szczerą życzliwością. W ogóle, prócz okresu wysiedlania cudzoziemców, a więc okresu namiętnych zaostrzeń (Polacy — wrogowie Francji!) i gorzkich zadrażnień, pamiętnikarze przedstawiają stosunek Francuzów do Polaków jako przychylny i życzliwy. A jeżeli mówimy o wyzysku wychodźców w życiu codziennym, poza pracą, pojmujemy dobrze, że nie Francuzi jako Francuzi są temu winni. Wystarczy, ażeby istniał w pobliżu jakiś drobny odsetek wydrwigroszów, a już jego przedstawiciele zbiegną się około niezaradnego wychodźcy i będą go oskubywali. Gdyby do kraju naszego przybywały gromadami takie „niemowy" i w takich samych warunkach, nie wiem, czy rozmiary pokątnego wyzysku i krzywdy nie byłyby większe. Cokolwiek bądź, ze stronic pamiętników przemawia do nas we Francji nieznana u nas troskliwość o człowieka w chorobie, podczas rekonwalescencji lub nieszczęśliwego wypadku, uprzejmość zarządów fabrycznych i różnych władz w stosunku do pracownika, jaką w swojej ojczyźnie człowiek pracy rzadko doświadczał. Nie dziw, że puszcza on cugle swemu pióru i niekiedy w dosadnych wyrażeniach zaznacza różnicę pomiędzy Polską, do której tęskni nieraz głęboko, a obczyzną, pomiędzy wzorami swojskimi a obcymi.

Jednak na tym obrazie względnie ludzkiego stosunku jest wielka plama: oto Polak, dzięki swojej pracowitości jest poszukiwanym robotnikiem, ale z winy swojej niezaradności i nieobronności bywa używany często do najcięższych i najniebezpieczniejszych robót, i to w warunkach jak najgorszych. Do robót, od których stroni robotnik-Francuz, a nawet robotnik z wielu innych krajów, mających za sobą inną przeszłość polityczną w ciągu długich dzie-

sięcioleci niż nasza ojczyzna. Opowiadał mi ktoś z moich znajomych, który w wycieczce swojej do Francji zwiedzał był między innymi kopalnie pod Saint-Etienne, iż w najniższych jej częściach, do których obficie przesiąkała woda, pracowali po pas w wodzie jedynie Polacy i Arabowie, na wyższych zaś piętrach, suchych, znaleźli zajęcie bądź Francuzi, bądź wychodźcy z innych krajów. Obrazków tego rodzaju dają co niemiara nasze pamiętniki — choćby ów pamiętnik opisujący roboty w kamieniołomach. Praca tam groziła, o ile nie zabiciem, to kalectwem. Ci co pracowali na dole stale byli narażeni na niebezpieczeństwo utraty życia. Minerom (tj. tym, którzy zakładali miny) nie lepiej się powodziło: wbijali haki stalowe w ścianę, opasani silnym pasem, na którym znajdowało się wolne kółko, do tego kółka przytwierdzano grubą linę, a jej drugi koniec do haka umocowanego w skale. Wisząc prawie w powietrzu, miner trzymał wiertacz, a na głowie musiał mieć stalowy kask, gdyż bez przerwy kamienie na nią leciały. Niekiedy spadał większy kamień, że aż huczało w głowie. Wysadzony blok skały toczył się w dół w postaci mniejszych na przestrzeni jakichś trzystu metrów. Bloki te następnie trzeba było windować wózkami w górę. Zdarzało się, iż taki wózek pełen mniejszych bloków dzięki złemu zahaczeniu przechylał się i głazy spadały w dół. Jednego razu przygniotły robotnika-Polaka; kiedy go podniesiono, był cały siny, ale ani kropli krwi zeń nie poszło. Jedynie jęczał: Bracia, ratujcie mnie na miłość Chrystusa! Po pół godzinie skonał. Polak ima się dawanej mu takiej niebezpiecznej lub niezdrowej roboty, niekiedy przymocowany kontraktem ucieka i naraża się na bardzo przykre konsekwencje. Załoga kamieniołomów składała się w dużej mierze z takich uciekinierów skądinąd — ci chętnie tu byli przyjmowani, bo wiedziano, że już więcej nie uciekną. Liczba Polaków była znaczna. Jak wiadomo, Francja uchodzi za kraj, gdzie jeszcze wszechwładnie panują zasady niewtrącania się państwa w sprawę warunków pracy, dzięki czemu te są bardzo opłakane. Właśnie ta okoliczność, iż nasi wychodźcy nie tylko podejmują się — bo muszą to robić! — tych ciężkich i niebezpiecznych robót, ale nadto wywiązują się należycie ze swoich obowiązków, sprawiła, że podczas tłumnego ich wydalania przez władze administracyjne właściciele kopalń występowali często w ich obronie i protestowali przeciwko pozbawianiu zakładu dobrej siły roboczej. Z drugiej strony robotnicy pozbawieni pracy i wyrzucani z Fran-

cji nie żywią żalu do przedsiębiorców i zdają sobie sprawę, że zaważyły o ich losie czynniki znajdujące się poza obrębem przedsiębiorstw.

Po przejściu pierwszych lat pobytu, wychodźcy otrząsać się zaczynają ze swojej bierności, na własną rękę poszukują lepiej wynagradzanej pracy, niektórzy rozwijają dużą obrotność i pomysłowość. Zdarza się, iż gdy górnik pracuje w kopalni, żona jego hoduje drób, króliki, uprawia warzywa i rodzina ze sprzedaży tych produktów pobiera dochody wcale pokaźne, ku zdziwieniu górników-Francuzów, którzy poza swój zawód zarobkowy nie wychylają się. Liczne pamiętniki dają pochlebne świadectwo o tej przedsiębiorczej rzutkości wychodźców. Mówią o tym także sklepiki, restauracje, warsztaty, które w takim Lille i gdzie indziej rzucają się odrazu w oczy swoimi nazwiskami na szyldach. Statystyka francuska z r. 1931 podaje, że 4,4% wychodźców polskich poświęca się handlowi, że 7,3% to osoby samodzielne, a więc na własną rękę prowadzą jakiś proceder, w tej liczbie dwie trzecie zatrudnia u siebie obce siły najemne. Czy wszyscy pochodzą spośród wychodźców ostatniej doby, o tym nic powiedzieć nie umiemy. Ale że znaczna część ich wyszła właśnie spomiędzy tej gromady, o tym nie powątpiewamy. Wypływają w pamiętnikach stosunkowo liczne postacie niewątpliwie rzutkie, wybijające się o własnych siłach z sytuacji zależnej. I nasuwa się pytanie, po co udawali się za granicę? Czy nie zdołaliby i w kraju osiągnąć wyższego stopnia dostatku, posunąć się wyżej na drodze promocji społecznej? Cokolwiek odpowiemy na to pytanie, jedno nie ulega wątpliwości, iż wychodźcy są powyżej przeciętnej miary tego otoczenia w kraju, z którego wyszli. Jest to fakt powszechnie znany: każda emigracja zgarnia jak gdyby tężyznę energii z kraju ojczystego, innymi słowy, go wyjaławia. Ale widoczna dla ujawnienia tej skrytej tężyzny potrzeba było, ażeby człowiek znalazł się w zgoła innych warunkach i miał przed sobą dokoła inne wzory. Przejście na obczyznę i poszukiwanie zarobku jak gdyby wydobywa z człowieka ukryte siły, a przede wszystkim ośmiela go do próbowania szczęścia na własną rękę [1]*).*

---

[1]) *Przy okazji przytaczamy tablicę, która pokazuje rozmieszczenie Polaków we Francji pomiędzy różne stanowiska społeczne w skali porównawczej, tj. w zestawieniu z ogółem wychodźców:*

Około r. 1931 liczba wychodźców polskich we Francji osiągnęła bodaj największe rozmiary: 507.800 głów, przy czym mężczyźni tworzyli 60%, kobiety 39,9%. Polacy wynosili niespełna piątą część wśród ogółu cudzoziemców we Francji, tj. 18,7%, wśród ludności Francji — 1,23%. W podanej liczbie znajdowali się prawdopodobnie nie tylko Polacy, którzy przybyli za zarobkiem w latach 1919—'31, ale i ci, którzy osiedli tutaj byli w okresie wcześniejszym. Liczba wychodźców naturalizowanych pochodzenia polskiego wynosiła 13.500 osób w r. 1931 i wśród ogółu naturalizowanych cudzoziemców tworzyła 3,8%. Odsetek ten wśród pamiętnikarzy jest znacznie wyższy: siedmiu na 47, tj. przeszło 14% podjęło starania o naturalizację, lecz tylko czterech już uzyskało obywatelstwo francuskie w chwili wysyłania pamiętników. Jednak wśród tych pamiętnikarzy, którzy zaznaczyli, że nie myślą o naturalizacji, znajduje się dwoje ich dzieci zapisanych przez rodziców do obywatelstwa francuskiego.

Polacy są rozproszeni w różnych dzielnicach Francji, naturalnie w mierze niejednakowej. Sprowadzani na wielką skalę przez przedsiębiorstwa kopalniane węgla, położone głównie w departamentach Północnym i Pas-de-Calais, z natury rzeczy usadowili się tutaj w liczbie większej i tworzą wśród ludności miejscowej odsetek, jak na cudzoziemców, dość pokaźny. Poniżej podajemy tablicę rozmieszczenia naszych wychodźców we Francji. Uwzględniliśmy departamenty, w których znalazło się więcej nad 2% ogółu naszych wywędrowców. Departamenty te, w liczbie jedenastu, obejmują 80% ogółu wychodźców polskich.

Czynni zawodowo cudzoziemcy według stanowiska społecznego w 1931 r.

	Stanowisko społeczne	*Cudzoziemcy w ogóle*	*Polacy*
	Ogółem	*100,0%*	*100,0%*
a)	*Samodzielni pospołu* .	*19,4*	*7,3*
	Zatrudniający siły najemne	*9,6*	*3,0*
	Nie zatrudniający sił najemnych . .	*9,8*	*4,3*
b)	*Najemni pospołu* . . .	*80,6*	*92,7*
	Pracownicy umysłowi	*9,4*	*2,3*
	Robotnicy	*67,5*	*87,9*
	Bezrobotni	*3,7*	*2,5*

Szkoła Partyjna
przy K. C. P. Z. P. R.
BIBLIOTEKA
Nr.

Rozmieszczenie Polaków

Polacy w najbardziej przez nich zaludnionych departamentach (w odsetkach ogólnej liczby Polaków we Francji)

	1931	1926
Ogółem	*100,0%*	*100,0%*
Departamenty:		
Pas-de-Calais	*22,7*	*29,4*
Nord	*15,1*	*16,0*
Seine	*10,0*	*10,3*
Moselle	*7,5*	*6,7*
Meurthe-et-Moselle	*5,3*	*3,9*
Seine-et-Oise	*3,9*	*2,4*
Aisne	*3,3*	*3,2*
Seine-et-Marne	*2,6*	*1,8*
Saône-et-Loire	*2,5*	*3,1*
Haut-Rhin	*2,2*	*1,1*
Oise	*2,1*	*2,1*
Pospolu 11 departamentów	*77,2%*	*80,0%*

To ześrodkowanie ludności polskiej w niektórych departamentach stwarza dla wychodźców tam osiadłych zgoła inne warunki bytu, niż kiedy znajdują się odosobnieni, nieraz nie mając rodaków nigdzie w pobliżu, — i to zarówno pod względem materialnym jak i duchowym. Taki zabłąkany pojedyńczo pomiędzy Francuzów wychodźca, zwłaszcza gdy nie włada językiem francuskim i jest nieświadom ustaw dotyczących stosunku pomiędzy przedsiębiorcą a pracownikiem, znajduje się na łasce swego chlebodawcy, niekiedy w najwyższym stopniu wyzyskiwany. Natomiast ogniska licznego przebywania stwarzają dla pojedyńczej osoby swego rodzaju luźną i niespójną, ale przecież jakąś asekurację, pozwalają wiązać się w stowarzyszenia, oraz w ten lub inny sposób, choćby za pośrednictwem paru osób, zadzierzgać stosunki z robotnikami francuskimi tego samego fachu. A przede wszystkim liczne otoczenie polskie stwarza dla emigrantów jeszcze inne oparcie: sprzyja zachowaniu poczucia narodowego. Ujawnia się to już w staraniach o przyjazd z kraju rodziny, o ożenek. Nawet nie zapewniwszy sobie należycie zarobku, wychodźca usiłuje sprowadzić

rodzinę, o ile z nią nie przyjechał, lub narzeczoną. Ożenek z Polką, że weźmiemy pamiętnikarzy jako wskaźnik usposobień rzeszy polskiej, większość wychodźców uważa za rzecz zgoła oczywistą i przez się zrozumiałą. „Krew moja — pisze jeden pamiętnikarz — wymaga połączenia się z Polką, aniżeli z Francuzką". W ogóle emigracja sprzyja wyrobieniu silnego poczucia wspólnego pochodzenia, przy czym przykład emigrantów innych narodowości umacnia ich w tym usposobieniu. „Majstrowie niemal wszyscy Elzaszczycy-Niemcy, z którymi przed samym wyjazdem do Paryża pracowaliśmy razem na śrubsztaku, ci Niemcy niektórzy już sfrancuzieni, ale żyła żyłę zna i w żyłę idzie"... Jak ryba, gdyby mogła wyrażać swoje stany, uświadomiłaby sobie przywiązanie do żywiołu wodnego dopiero wtedy gdy zeń została wyjęta, tak samo wywędrowiec znalazłszy się na obczyźnie zaczyna tęsknić do kraju: „ja Cię utraciłem i tęsknię po tobie". Wielu zżyma się przeciwko naturalizacji: nie będę, nie chcę, nie dam się, któryś powiada zgoła nowym zwrotem mowy: przeojczyźnić się nie dałem jeszcze. Powszechnie wszyscy niemal marzą o powrocie do kraju na starość. Niezależnie od uzdolnień literackich, od umiejętności wysłowienia się, od stopnia rozwoju umysłowego, znajdujemy przepiękne oświadczenia przywiązania do kraju, i to ze strony ludzi, których brak ziemi, liche zarobki, nędza wygnały w dalekie strony lub, co ciekawsza, zbyt krańcowe przekonania. Sarkają na stosunki społeczne w Polsce, ale te żale nie osłabiają uczuć tęsknoty. „Życie jest weselsze w Polsce jak we Francji, bo we Francji życie jest smutne". Rzecz zrozumiała, od życia we Francji, od uczestnictwa w nim dzieli wychodźcę wiele okoliczności: własna niezaradność i nierozgarnięcie, nieznajomość mowy, różne uprzedzenia i przesądy nawet. Człowiek czuje się nie swój, jak gdyby na pokomornym u kogoś obcego: „Obcy język, obcy naród, nawet każde zwierzę się człowiekowi obce przedstawia". Wszystko jest tutaj złe, a przynajmniej gorsze niż w kraju ojczystym: „cała zima jest dżdżysta i od czasu do czasu przechodzą takie ciepłe fale, które działają ujemnie na organizm Polaków". Odżywiają się znacznie lepiej niż w ojczyźnie, codziennie mają kawałek mięsa, biały chleb. Ale utyskują na potrawy miejscowe: „Tu wszystkie rośliny mają inny smak, i to smak, który nie nadaje się do organizmu polskiego. Człowiek spożywa, bo musi, ale żeby miało taki smak jak

polskie rośliny, to szkoda mówić. Tu ani mleko, ani mięso, i w ogóle nic nie ma takiego smaku jak w Polsce". I to pisze człowiek, który w rodzimym Zagłębiu doznał niejednej przykrości z powodu swoich skrajnych przekonań, tak iż musiał wynieść się na obczyznę! Takich gastronomicznych utyskiwań jest dużo w pamiętnikach, a komizm gęsto przetyka te rozważania, spowite w silną tęsknotę za krajem.

W okręgach górniczych poważną rolę odgrywają Westfalczycy: tworzą bodaj najbardziej spójną siłę w tamtejszych stowarzyszeniach polskich. Wyróżniają się większą zachowawczością, a zwłaszcza religijnością, przynajmniej gdy chodzi o uczęszczanie do kościoła i o przestrzeganie wymagań religijnych. Pod względem narodowym (może należało by powiedzieć: nacjonalistycznym) są bardziej wyrobieni. A jednak nie zdołali wyzbyć się pokostu niemieckiego: dzieci w domu chętnie posługiwały się językiem niemieckim i nawet zdarzały się wypadki podszywania się pod wyższą w przekonaniu niektórych narodowość niemiecką. Pomiędzy nimi a wychodźcami z innych dzielnic istniały początkowo częste tarcia — z tego okresu pochodzi zwrot o nich w jednym z pamiętników (który pozostał w rękopisie): „same samoluby pochodzenia gadu niemieckiego". Zresztą i we Francji wpływy otoczenia robią swoje. Na pierwszy ogień idzie dziatwa szkolna. Statystyka francuska z r. 1931, między innymi, podaje, ile wśród wychodźców dzieci uczęszcza do szkoły i jakiej. Okazuje się, iż na 100 dzieci w wieku szkolnym:

	Wśród cudzoziemców w ogóle	*Wśród Polaków*
Uczęszczało do szkół:		
publicznych . . .	*78,6*	*59,3*
prywatnych . . .	*13,7*	*29,1*
Nie uczęszczało do szkół .	*7,7*	*11,6*

A zatem blisko 3/5 dzieci polskich kształci się w szkołach publicznych. Polacy są oporniejsi niż inni przybysze, ale swoją drogą ulegają wpływom otoczenia. A rodzice chętnie widzą postępy dziatwy w nauce i przyswajanie sobie przez nich języka francuskiego. Jeden z pamiętnikarzy z zadowoleniem zaznacza, że zdarza się, iż dzieci polskie przodują w nauce szkolnej, i to w krótkim od

przyjazdu czasie. W ogóle, wychodźcy w wieku dojrzałym z wielką trudnością wkładają się do języka francuskiego. I nawet po paru latach pobytu któryś oświadcza: „Już umiałem po francusku, ale jak tępym toporkiem na płoť". Zanadto mieli ciężkie doświadczenia z powodu tej swojej nieumiejętności. Pragnęliby oszczędzić przykrości dzieciom. Z konieczności zdarza się, iż „niejeden Polak stoi jak na rozstajnej drodze, jedna noga już francuska, a druga polska". Dzieci powszechnie stoją w ten sposób, bodaj nawet bardziej ciążąc ku francuszczyźnie.

* * *

Tych kilka stronic powyższych niechaj będzie jako wstęp do pamiętników, które pochodzą od wychodźców przebywających we Francji.

Odtworzyliśmy w nim w zarysie najogólniejszym dzieje osób udających się za zarobkiem na obczyznę. Ale jest to tylko szkielet, który trzeba przyoblec w ciało życiem tętniące. Tętno takie dadzą mu dopiero pamiętniki: są żywą ilustracją pobudek, które sprawiają, iż ten i ów porywa się z gniazda rodzimego i odbiega het daleko od mogiłek ojców i dziadów — ilustracją przejść, jakich ci wywędrowcy doświadczyli i doświadczają na obczyźnie, niepowodzeń które stały się losem jednych, promocji zarobkowej jaka przypadła innym, w końcu ilustracją nadziei i marzeń wychodźczych, stanów radosnych, utrapień, tęsknoty za krajem i do kraju. Głos zabierają uczestnicy różnego znaku zarówno pod względem przekonań, sympatii politycznych, wyrobienia społecznego jak i wykształcenia i obrotności — uszanowaliśmy nie tylko ich zwroty mowy, ale i pisownię. Zwłaszcza zaś przekonania, jakimikolwiek te byłyby, są dla nas świętą rzeczą jako dokumenty natury społecznej. A jeśli tu i owdzie musieliśmy skreślić parę wierszy zbyt energicznych, czyniliśmy to z żalem prawdziwym. Jedynie bez ceremonii usuwaliśmy miejsca poświęcone rozrachunkom natury na wskroś osobistej.

Po przyczynkach francuskich niebawem ogłosimy tego samego pokroju pamiętniki wychodźców naszych w obrębie Ameryki zarówno północnej jak i południowej.

Wydając te dokumenty, Instytut Gospodarstwa Społecznego bynajmniej nie traktuje ich jako jakiegoś wkładu mającego rzu-

cić światło na twórczość ludu naszego, ani jako zbioru interesujących czytanek dla inteligencji. Chodzi nam o coś ważniejszego. Dla nas książka niniejsza i jej następczynie — przynajmniej takie są nasze ambicje — winny spełniać poniekąd rolę podręczników.

Podręczników zarówno dla maluczkich jak i dla tych, którzy są dalecy od lekceważonej maluczkości, lecz tych i tamtych jednako wplecionych w pasmo spraw i widnokręgów wychodźczych:

a więc zarówno samych wychodźców jak i tych, którzy winni dbać o to, żeby tamci dopłynęli szczęśliwie na miejsce pracy, lub którzy uczestniczą w rokowaniach przy układaniu umów z władzami zagranicznymi w zakresie emigracji;

dla osób pracujących w konsulatach naszych, które — pomimo najlepszych chęci — często nie zawsze rozumieją wychodźcę.

A nawet dla duchowieństwa: naszym wywędrowcom bardzo chodzi o to, ażeby stało ono w całej pełni na wysokości powołania kapłańskiego.

Każde z tych ogniw łańcucha, w ten lub inny sposób oplatającego wychodźców, może dużo skorzystać z pamiętników i nauczyć się skutecznie śpieszyć potrzebującym z radą i pomocą.

A przede wszystkim największym naszym marzeniem jest, aby „podręczniki" dotarły do tych, którzy pielęgnują zamiar udania się za zarobkiem na obczyznę. Przecież zamieszczone tam opowieści zawierają w sobie moc sytuacji i zdarzeń, które powtarzać się muszą i powtarzać się będą w każdym wypadku poszczególnym. Doświadczenie takich samych tułaczy, opowiedziane prostym chłopskim językiem, inaczej zgoła przemówi do tych, którzy puścić się pragną ich tropami w wędrówkę za chlebem. Tworzą się biblioteczki wioskowe. Naszym zdaniem, w żadnej z nich, o ile leży w okolicy, gdzie wychodztwo bardziej się zakorzeniło, nie powinno zbywać na tych podręcznikach.

Ludwik Krzywicki

Warszawa, dn. 3 grudnia 1938 r.

NIECO O PAMIĘTNIKARZACH

Do niniejszego tomu pamiętników, poświęconego wychodztwu do Francji, Instytut Gospodarstwa Społecznego otrzymał przyczynki od 46 osób.

Spośród nich ogłaszamy 25, a do nich dołączyliśmy przyczynki jeszcze innego pochodzenia.

W tym zespole pierwsze miejsce pod względem liczebności należy się pamiętnikom, które nadeszły bezpośrednio w odpowiedzi na konkurs Instytutu ogłoszony w r. 1936. Jakeśmy rzekli, jest takich przyczynków dwadzieścia pięć.

Nadto konkurs im. Stanisława Gawrońskiego, wieloletniego dyrektora Państwowego Urzędu Emigracyjnego, przekazał dwadzieścia cztery pamiętniki zebrane niezależnie od naszej instytucji: z nich sześć zamieszczono w książce niniejszej. Trzy dalsze pamiętniki pozostały z konkursu r. 1932, ogłoszonego przez Instytut Gospodarstwa Społecznego w sprawie bezrobotnych, lecz nie doczekały się wtedy uwzględnienia właśnie z powodu, że pochodziły od osób nie mieszkających w kraju. W końcu zamieściliśmy trzy pamiętniki nadesłane nam przez remigrantów, którzy wrócili z Francji, gdyż treścią swoją dostrajały się całkowicie do zadań, jakie wytknęliśmy naszemu obecnemu wydawnictwu.

Zaznaczyliśmy, że tom niniejszy zawiera wynurzenia wychodźców, którzy wywędrowali do Francji. Istnieje tylko jeden wyjątek od tej zasady — pamiętnik pochodzący z Włoch, od wychodźcy, a właściwie mężczyzny, który z tytułu służby wojskowej znalazł się na froncie włoskim, a po ukończeniu operacji wojennych pozostał we Włoszech i tam porósł w dość liczną rodzinę. Same pamiętniki co do kolejności ich umieszczenia rozłożyliśmy w układzie geograficznym. Na pierwszym miejscu znajdują się pamiętniki pochodzące z departamentów północnych (Pas-de-Calais, Nord, Aisne, Oise), drugie przypadło okręgowi podparyskiemu (Seine, Seine-et-Oise),

następnie idą departamenty wschodnie (Moselle, Meuse), zachodnie (Sarthe, Indre - et - Loire), środkowe (Saône - et - Loire, Loire), na końcu znalazły się departamenty południowe (Drôme, Gard, Tarn, Haute-Garonne) wreszcie mamy jeden od wychodźcy który pracował we Francji, lecz później zamieszkał w Belgii, w końcu ostatni pochodzący od pamiętnikarza przebywającego we Włoszech.

Nieco uwagi należy się samym pamiętnikarzom.

Wśród 49 osób, których przyczynkami rozporządzamy, znalazły się trzy kobiety, w tej liczbie jedna remigrantka. Jeżeli usuniemy dziesięć osób (w tej liczbie ową kobietę-remigrantkę), które nie podały swego wieku, to przypada piętnastu spomiędzy pozostałych pamiętnikarzy na wiek lat 31 — 40, dziewięciu na wiek lat 41 — 50, ośmiu liczyło powyżej lat 50. W wieku poniżej lat 30 było siedmiu pamiętnikarzy (w tej liczbie poniżej lat 20 dwoje); śród nich dwie kobiety, w tym jedna poniżej lat 20. Ten względnie młody wiek pamiętnikarek jest objawem znamiennym, świadczącym jak dalece obowiązki domowe wieku starszego całkowicie pochłaniają kobietę i czynią ją mniej pochopną do zabierania głosu w sprawach pozadomowych. Osoby w stanie wolnym znajdowały się wśród pamiętnikarzy w mniejszości. Było ich piętnaście, w tej liczbie dwie kobiety: jedna przebywająca we Francji, druga — remigrantka, — znowu w tym wypadku wyraźnie występują przyczyny, na wychodztwie utrudniające kobiecie imanie się pióra. W gronie „pisarzy" przeważali wychodźcy pochodzenia włościańskiego. Było ich trzydziestu (dwunastu spośród małorolnych, jeden z gospodarstwa karłowatego, dziewięciu bezrolnych, trzech posiadających większe gospodarstwa, inni — w tej liczbie dwóch remigrantów — nie podało o sobie bliższych szczegółów). Spośród warstwy robotniczej wyszło trzynastu pamiętnikarzy (dwóch remigrantów). W końcu sześciu nie wymieniło swego fachu lub stanowiska w kraju przed wyjściem do Francji. Pamiętnikarze rekrutowali się spośród wychodźców różnych dat: jeden przebywał we Francji od r. 1909, trzydziestu jeden przybyło w okresie lat 1919 — 1926, jedenastu w dwuleciu 1929 — 1930, w końcu dwóch w latach 1932 — 1933 (czterech nie podało wiadomości o tym, kiedy osiedlili się byli we Francji). W chwili więc pisania pamiętników znaczna większość pamiętnikarzy bawiła we Francji lat kilka, a niektórzy przeszło lat dziesięć. Dane o okolicach kraju, z któ-

rych pochodzą, nie dostarczyły materiału do jakichkolwiek wniosków. Ci, którzy podali miejsce swego przyjścia na świat, w jednakowej liczbie pochodzą z województw środkowych i południowych — po dwunastu, w zachodnich zaś urodziło się czternastu, za granicami kraju czterech, inni nie wyszczególnili miejsca swego urodzenia.

Nie ulega wątpliwości, iż na zew Instytutu odpowiedziały typy bardziej rzutkie i zdolniejsze do lepszego połapania się w stosunkach na obczyźnie. Przecież wśród 49 pamiętnikarzy szesnastu przypada na osoby, które do Francji przybyły będąc poprzednio na emigracji w Niemczech — ci dopiero po wojnie ruszyli dalej na zachód, siedmiu zaś pamiętnikarzy to dzieci emigrantów. Słowem aż 46% wśród ogółu pamiętnikarzy przypada na wychodźców, którzy nim osiedlili się we Francji, posiadali już niejakie doświadczenie w zakresie stosunków emigracyjnych w Niemczech, lub wychowywali się w otoczeniu rodziców-wychodźców, i w ten lub inny sposób mieli już jak gdyby utorowaną drogę. Nastręcza się pytanie, o ile otrzymane przyczynki można uważać za obraz jako tako przybliżony stosunków emigracyjnych. O tym daje pojęcie poniżej przytoczona tablica, zestawiająca rozmieszczenie ogółu naszych wychodźców w r. 1931 pomiędzy różne rodzaje pracy we Francji, a także jak rzeczy te mają się w gromadzie naszych pamiętnikarzy (w tablicy tej uwzględniliśmy tylko 45 pamiętnikarzy, gdyż dwóch nie podało swego zawodu, i dwóch biernych zawodowo pozostawało na utrzymaniu głowy rodziny — w obu razach górnika), w końcu jak pod tym względem zachowują się ci, których przyczynki ogłaszamy drukiem (po odtrąceniu jednego biernego zawodowo)

Polacy czynni zawodowo według działów pracy

Działy pracy	Wszyscy Polacy we Francji		Pamiętnikarze	
	1926	1931	w ogóle	których przyczynki wydrukowano
Ogółem	100,0	100,0	100,0	100,0
Rolnictwo i leśnictwo	16,7	17,5	15,6	13,5
Górnictwo	41,7	33,6	46,7	46,0
Przemysł	31,8	38,3	35,5	37,8
Handel	4,5	4,4	2,2	2,7
Inne działy	5,3	6,2	—	—

A zatem rozmieszczenie pamiętnikarzy pomiędzy różne rodzaje pracy niezbyt odbiega od liczb które obowiązują ogół wychodźców naszych we Francji w latach 1926 i 1931. Istniejące odchylenia, stosunkowo drobne, w zasadniczym zarysie nie zniekształcają obrazu dostarczonego przez urzędowe statystyki francuskie. Możemy z całą stanowczością powiedzieć, iż pamiętniki, nawet pod względem ilościowym, nie rozmijają się z rozmieszczeniem wychodźców pomiędzy różne rodzaje pracy. A w dalszym ciągu wolno nam przypuszczać, iż gdy chodzi o przejścia wywędrowców, nawet o ich stany ducha, są one również dobrym odtworzeniem rzeczywistości.

Gromada 49 (a właściwie tylko 37) pamiętnikarzy-emigrantów jest zbyt szczupła, ażeby upoważniała do wyciągania zadowalających wniosków o naszym wychodztwie zarobkowym do Francji. Ale czynniki gospodarczo-społeczne, które wywołują emigrację, równie jak warunki w jakich we Francji przebiega praca i życie naszego wychodźcy, sprawiają, że nawet w obrębie tak szczupłego zespołu odnajdujemy potwierdzenie naszych poglądów na emigrację, wywnioskowanych przez badaczy na podstawie danych statystycznych. Niedostatek ziemi i przeludnienie wsi, niedostateczne uprzemysłowienie naszego kraju, nędza szerokich warstw po wsiach i miastach występują u pamiętnikarzy bardzo przejrzyście jako istotne źródło emigracji. Te stosunki sprzyjają podaży siły roboczej, nierzadko odbywającej się w warunkach wręcz tragicznych. I druga strona wychodztwa — zew z Francji, poszukiwanie robotnika zdrowego, wytrzymałego i taniego występuje w całej pełni. Losy wywędrowca na obczyźnie, nieprzyzwyczajonego do obrony praw swoich, nie posiadającego mowy kraju, do którego się udał, ujawniają się niezmiernie plastycznie w tych opowieściach. I nawet zespół cech psychicznych wychodztwa, a więc osobowość Polaka — chłopa czy robotnika który dotarł do Francji za zarobkiem, cała skala uczuć: rodzinnych, obywatelskich, społecznych odźwierciadla się jaskrawo w tej szczupłej gromadce pamiętnikarzy.

ZAŁĄCZNIK

ODEZWA INSTYTUTU GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO
w sprawie konkursu na Pamiętnik emigranta we Francji, ogłoszona w marcu 1936 roku.

KONKURS NA „PAMIĘTNIK EMIGRANTA"

W wielu bliżej położonych i dalszych, zamorskich krajach żyje rozproszony polski lud pracujący, który dla znalezienia zarobku szukał pracy u obcych, bądź to na roli, bądź przy innym warsztacie pracy, w fabrykach i kopalniach, przy budowie dróg itd. O położeniu tych wychodźców dochodzą nas wieści bardzo niedokładne, nieraz nawet fałszywe, i to najczęściej nie od nich samych, do zabierania głosu w swoich sprawach najbardziej powołanych a zatem i najbardziej miarodajnych.

Ażeby dać możliwie dokładny opis warunków bytu naszych wychodźców, postanowił INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO zwrócić się bezpośrednio do was wszystkich wychodźców, przebywających za granicą, abyście dostarczyli materiału do takiego opisu własnymi wspomnieniami, przeżyciami i doświadczeniami. Opracowanie zebranych tą drogą wiadomości, da obraz rzetelny warunków waszego życia na obczyźnie i pozwoli społeczeństwu wyrobić sobie sąd o waszym położeniu. Piszcie szczerze, otwarcie, prostymi słowami, jakimi przemawiacie do ludzi życzliwych a bliskich, opowiedzcie, jakie jest wasze życie obecne, jaką drogą doszliście do obecnego położenia.

Ażeby Wam, wychodźcy, ułatwić opis dni waszego żywota, pozwalamy sobie podsunąć wam niektóre z waszych przejść i doświadczeń. Nie są to z naszej strony pytania, na które z waszej strony napisanie: „tak" lub „nie", wyczerpałoby już wszystko. Jest to tylko przypomnienie o tym lub o innym waszym przeżyciu, i na każde takie przypomnienie odpowiadajcie opowieścią chociażby na paru stronicach papieru. Rozpisujcie się o wszystkim co pamięć wskrzesi z waszej przeszłości. A nie krępujcie się, iż niekiedy o jakichś przejściach nie ma z naszej strony żadnego przypomnienia. Przecież rzeczą trudną jest przewidzieć wszystkie możliwości życia! Pamiętajcie więc o tym, iż naszymi pytaniami nie mogliśmy wyczerpać każdego waszego doświadczenia i że od was zależy rozszerzyć zakres waszej opowieści.

Przechodzimy do tego przypominania wam o doświadczeniach, które spotkały was podczas dni waszego życia.

A zatem zacznijcie opowieść swoją od czasów dzieciństwa, a więc powiedzcie coś o rodzicach i rodzeństwie, o stosunkach w rodzinie, czyście

opuszczając kraj, wyjechali z żoną czy może ożeniliście się dopiero za granicą, i czy z polką czy cudzoziemką.

Napiszcie, jak zarabialiście na utrzymanie przed wyjazdem za granicę i co skłoniło was do wyjazdu. Napiszcie czyście sami powzięli ten zamiar, czy z czyjej namowy, albo może zachęciły was do tego listy krewnych lub znajomych, przebywających już na obczyźnie i czy przed wyjazdem otrzymaliście jakie informacje i od kogo. A może, jeśli pochodzicie ze wsi, przyczyną waszego wyjazdu z kraju były stosunki w waszej rodzinie, takie, jak niemożność utrzymania się na gospodarstwie, konieczność dojścia do pieniędzy dla spłaty braci i sióstr, długi lub inne tego rodzaju kłopoty. A może pchnęła was ku wychodztwu chęć poznania innych krajów?

Jeśli w kraju pracowaliście jako rzemieślnik lub jako robotnik w fabryce, w kopalni lub w końcu jako wyrobnik bez zawodu, czyście zamierzali zmienić na obczyźnie sposób zarobkowania?

A wyjeżdżając może mieliście już zapewnioną pracę i byliście z góry zakontraktowani czy też jechaliście zgoła nie wiedząc, gdzie i na jakich warunkach będziecie pracowali. Napiszcie też, czy jechaliście na koszt własny czy na koszt pracodawcy i jakeście wyobrażali sobie wyjście z położenia, w którym znajdowaliście się w kraju. Wymieńcie możliwie szczegółowo wszystkie trudności i niepowodzenia lub powodzenia, z jakimi spotkaliście się w podróży lub w pierwszych czasach przy przybyciu na obczyznę, zacząwszy od trudności przy wyjeździe z kraju. Czyście jechali w transporcie zbiorowym?

Opiszcie wasze warunki zarobkowe, a więc rodzaj pracy waszej, wysokość zarobków, stosunek do pracodawcy, pomoc w razie choroby, przy czym nadmieńcie czy chorowaliście kiedy i gdzieście leczyli się wówczas i na czyj koszt, w szpitalu czy w sanatorium. Czy korzystacie z ubezpieczenia społecznego, z zapomóg z innych źródeł dla siebie, czy rodziny. Jaki jest stan zdrowia waszego i waszej rodziny. Jakie są wasze warunki mieszkaniowe, czy macie własne gospodarstwo, ogródek itd. Przy tej sposobności napiszcie, czy poziom waszego życia obecnego różni się od poziomu życia w Polsce i pod jakim względem.

Opowiadajcie, jaki jest stosunek wasz do otoczenia, czy macie przyjaciół wśród ludności miejscowej, czy odczuwacie różnicę w stosunku do was władz miejscowych i czy należycie do organizacyj zawodowych polskich i obcych. Czy byliście bezrobotnym podczas pobytu na obczyźnie i napotykaliście na trudności przy otrzymywaniu zapomóg, a także jakie mieliście trudności przy poszukiwaniu pracy.

A jeśli wam kazano wyjeżdżać z danego okręgu, w którym przebywaliście, jak z wami wtedy postępowano. Czy zarobek wasz umożliwia robienie oszczędności, a jeśli tak, to czy przesyłacie je do kraju, do bliskiej rodziny, czy też umieszczacie pieniądze w miejscu zamieszkania, czy zamierzacie za nie kupić grunt w kraju, czy za granicą, osiedlić się na roli jako dzierżawca lub połownik, nabyć sklep, warsztat.

Obok dochodów, jakie macie, opiszcie także jakie są wasze wydatki, a w związku z tym jak liczną macie rodzinę, czy dzieci chodzą do szkoły,

czy uczą się także poza szkołą, czy uczą się języka polskiego i gdzie, jaki jest stosunek wasz do nauczyciela, do księdza.

Jak spędzacie czas wolny po pracy, czy macie radio, gramofon, czy chodzicie do kina, teatru, na koncerty, na wycieczki, czy należycie do stowarzyszeń i jakich, czy kupujecie książki, pisma. Czyście korzystali z pomocy polskich organizacyj społecznych i w jakiej okazji, i czy pomoc ta była dostateczna.

Czy zwracaliście się z czym do władz polskich za granicą i czyście osiągnęli cel zamierzony, a jeśli nie to z jakiego powodu.

Każdy z was, kto chce opowieścią swoją przyczynić się do odtworzenia rzetelnego obrazu wychodztwa naszego, nie powinien przemilczeć także tego, czy zadowolony jest z pobytu swego na obczyźnie, czy znalazł to, czego oczekiwał i jakie ma widoki na przyszłość dla siebie i swojej rodziny. Napiszcie też, czy przyjęliście obywatelstwo obce, a może wystaraliście się o to tylko dla swoich dzieci i to w jakim celu i czyście mieli pod tym względem jakieś trudności. W związku z tym powiedzcie, czy zamierzacie pozostać na stałe na wychodztwie, jeśli nie, to jak pragnęlibyście urządzić się po powrocie, w kraju. Czy z miejscowości, w której mieszkacie, wielu wychodźców wróciło do kraju i z jakiej przyczyny. W końcu opowiedzcie, czy interesujecie się tym, co dzieje się w kraju i w jakich pozostajecie stosunkach z krajem, czy sprowadzacie pisma, gazety, książki, czy tę łączność utrzymujecie przez Światowy Związek Polaków Za Granicą. Co zdaniem waszym, należało by czynić w kraju dla wychodźców, przebywających w obcych krajach a także dla powracających z emigracji.

Szczere wasze wypowiedzenie się może być pożyteczne dla nawiązania ściślejszych stosunków wychodztwa z krajem i kraju z wychodztwem. Dlatego prosimy was jeszcze raz: piszcie otwarcie, szczerze o wszystkim, co wam leży na sercu, bez obawy. Nie myślcie, że idzie tu o opis dla jakichś celów ubocznych, mogących przynieść wam szkodę, lub obłożyć jakimiś ciężarami podatkowymi. — Bynajmniej! INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO pragnie opisy otrzymane od was opracować i po tym wydrukować, ażeby społeczeństwo dowiedziało się, jakie jest istotne położenie tych, którzy z kraju wywędrowali, zmuszeni różnymi przyczynami do opuszczenia jego granic na czas krótszy lub na zawsze.

Prace wasze nadsyłajcie pod następującym adresem:

INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO W WARSZAWIE
WARSZAWA, ULICA CZERWONEGO KRZYŻA 20.

do dnia 1 września 1936 r.

Z prac nadesłanych uznane za najlepsze otrzymają nagrody pieniężne a mianowicie:

4 najlepsze prace otrzymają	po 250	franków
3 dobre	„ 150	„
3 dobre, ale mniej zadowalające	„ 100	„

Warszawa, marzec 1936 roku.

PAMIĘTNIKI EMIGRANTÓW

Pamiętnik Nr. 1

Górnik, syn robotników fabrycznych z Łodzi, ur. w 1886 r.
(Konk. l. G. S. — Pam. Emigr.)

Jezdem urodzony w roku 1886 z wioski Wrzask, powiat Brzeziny, Województwo Łódzkie (dawniej gubernia Piotrkowska).

Rodzice moje przyjechali do miasta Zgierza. Ojciec i matka pracowali w fabryce, moja pamięć sięga czasu od pięciu lat życia. Jezdem najstarszy z dzieci. Było nas pięcioro, dwoje umarło, siostry w wieku jeden i dwóch lat, zostało nas się troje. W szóstem roku mojego życia rodzice moi przyjechali do miasta Łodzi, ponieważ było nas już dwoje dzieci. Matka moja prócz domowej roboty szpulowała przędze dla tkaczy na ręcznem kółku. Ojciec pracował przez długie lata w fabryce na ręcznej Cwer-Maszynie, ja w dziewiątym roku życia pomagałem matce szpulować na drugim kółku, co mi się nie podobało ponieważ moje koledzy albo latali po polach lub chodzili do szkoły, nieraz płakałem z przykrości i ciągłe siedzenie na stołku zmuszało mnie do nieposłuszeństwa wobec matki i nieraz uciekłem z domu rano to powróciłem późno wieczorem do domu, co było zawsze dla mnie najgorszem, bo otrzymywałem okrutne lanie i od matki, a często i od ojca. Musze nadmienić że mieszkaliśmy na przedmieściu Bałuty, gdzie można było się zabawić w lasku Grabinka i pobliski cegielni Bagotoca, latem po polach i wodzie a zimą na śniegu i lodzie, obecnie na tych obszarach są ulice i budowle a nawet fabryki i choć byłem bity przez ojca i matke to miło wspomnąć i powiem szczerze że to były najpiękniejsze lata w mojem życiu, choć pracowałem na chleb, mając dziewięć lat a to jednak było życie bez troski i dziś będąc sam

ojcem więcej oświeconem niż moje rodzice rozumiem że każde uderzenie ich ręki czy to w policzek czy kijem lub batem, to była ich troska o mnie aby mi się co nie stało w ich nieobecności. W roku dziesiątem rodzice mnie posłali do szkoły prywatny i jesień zime i do połowy lata troche więcej jak pół roku. Nauczyciel pan Królikowski dobrze mnie uczył ale jeszcze lepiej bił za moje postępy w nauce ponieważ byłem za duży na mój wiek a za mało umiałem, szkoła mieściła się w jednopiętrowem budynku na parterze w dwóch dużych mieszkaniach, zapłate tygodniowo pobierał 25 kopiejek, uczył dobrze co mu zawdzięczam napisanie obecnego pamiętnika, dla dokładności podaje adres, Bałuty ulica Łagiewnicka Nr. 35 dom Langiego. Chciałbym widzić jeszcze kiedy ten dom, tam miałem dużo dobrych kolegów i dobrych uczni, a najlepszy Mieczysław Wałasiński już nie żyje. Mając lat dwanaście zaczułem pracować w fabryce Poznańskiego na przędzalni, ul. Ogrodowa pod obcem nazwiskiem ponieważ byłem duży na mój wiek a prawo nie pozwalało młodocianem niżej pietnastu lat, więc rodzice postarali się o paszport na imie Jana Bonczaka, pracowałem rok jeden, praca była wyczerpująca zaczynałem o godzinie 6-ej rano do 6½ wieczorem z jedną godziną przerwy na obiad, ale i ta jedna godzina była wykorzystana przez szefów, zmuszano nas młodych do czyszczenia maszyn, tak że nieraz mi nie pozwolono zjeść obiadu co mi matka przyniesła, musiałem się prędko spieszyć aby jeść żebym móg oczyścić moje maszyny, a jeżeli nie oczyściłem to byłem za lada okazją prześladowany, a zarabiałem tygodniowo 2 ruble i 40 kopiejek, dziś moge to śmiało nazwać, że było to moje młodociane niewolnictwo, bo powiem prawde że szefowie dopuszczali się bicia nas ja raz zostałem uderzony w twarz, ale mnie się obawiano ponieważ miałem dwóch dużych kuzynów to żem zagroził, że jak mnie kto uderzy to moi kuzyni mu połamią żebra na ulicy. Po roku odeszedłem z fabryki Poznańskiego aby już więcej nie powrócić, pracowałem kolejno w różnych firmach a zawsze na przędzalni i zostałem zawodowem przędzalnikiem, przeżyłem pamiętny rok 1905 brałem udział w różnych manifestacjach na ulicach miasta Łodzi jak również czytałem literature nielegalną i raz robiono rewizje u mnie w mieszkaniu a raczej u moich rodziców, dwóch żołnierzy i dwóch z policji kryminalnych obudziło mnie w nocy znaleziono bibułe, za co mnie rząd rosyjski wynagrodził trzymiesięcznym od-

poczynkiem w letnim pawilonie w mieście Sieradzu nad brzegami rzeki Warty, było to w 1906 w październiku i w styczniu 1907.

Te trzy miesiące przymusowego odpoczynku w celi umiałem wykorzystać, zapoznałem się z biblioteką więzienną, zapoznałem naszych wielkich pisarzy Mickiewicza Słowackiego Krasickiego Kraszewskiego i wiele wiele innych, była to dla mnie prawdziwa szkoła, to też kiedy powróciłem do Łodzi powstało „Towarzystwo Krzewienia Oświaty" zaraz się zapisałem na czytelnika i byłem czytelnikiem przeszło trzy lata. W roku 1909 w lipcu umar mi ojciec, po śmierci ojca jako najstarszy miałem obowiązki człowieka niemal żonatego, siostra miała lat 17, brat 9, siostra pracowała już więcej niż dwa lata zarabiała jako kietlarka w zawodzie pończoszniczem i zarabiała do 9 rubli tygodniowo, ja również zarabiałem do 8 rubli, matka wpadła w roztargnienie nerwowe, była kobietą silną fizycznie, ale słabą duchowo, wydawała pieniądze na rzeczy niepotrzebne wskutek czego było ciągłe nieporozumienie między nami co mnie wreście zmusiło do innego życia i w roku 1910 ożeniłem się w miesiącu lipcu, miałem lat blisko 24 żona moja Helena lat 20. Pracowaliśmy oboje na fabryce ona jako gremplarka ja jako gremplarz, oboje zarabialiśmy do 20 rubli tygodniowo, powodziło nam się bardzo dobrze, w niecały rok po ślubie przyszed na świat pierwszy syn, cośmy się bardzo cieszyli, ja z radości myślałem że jezdem w siódmem niebie, pracowałem sam zarabiałem 12 i więcej rubli tygodniowo, w roku 1913 przyszedł drugi syn w listopadzie, było uciechy co niemiara i radości, rok 1914-ty w sierpniu po wybuchu wojny i po wyczerpaniu wszystkich oszczędności moich w 1915 w czerwcu kiedy niemcy zajęły miasto Łódź i skrępowały całe życie, zmuszony byłem wyjechać do Westfali, na kopalnie w Radbod baj Hann. Pracowałem w fabryce soli amoniakowy, w pół roku później sprowadziłem żone i dzieci i dostałem mieszkanie na kopalni, w pierwszem roku powodzi mi się nieźle, w roku 1917 zaczuł się głód pomimo że miałem pieniądze i dzięki naszej sprytności przecierpielimy do końca wojny. W roku 1918 w grudniu, pierwszego przyjechałem do Polski i nie będę się rozwodził o niemcach, bo czuje do całego narodu wstręt i pewne obrzydzenie z powodu iż widziałem sam naocznie że nam robotnikom i chłopom polskiem i całemu ludowi wyrządzili wielką krzywdę i mnie również.

Po przyjeździe do Polski w połowie grudnia dostałem prace

na robotach miejskich w mieście Łodzi. Pracowałem trzy dni w tygodniu zarabiałem 15 marek dziennie, a chleb kosztował 6 marek 4 funty, zarobek mój niewystarczał na skromne utrzymanie na 4 dni w tygodniu, co musiałem dokładać z oszczędności które przywiozłem z Niemiec. Na robotach miejskich po przepracowaniu 10 miesięcy zupełnie się zrujnowałem, na nieszczęście chłopiec młodszy zachorował mi na tyfus miał już szósty rok, starszy miał skończonych siedem lat, posłałem go do szkoły, z chorobą dziecka wydatki mojego budżetu wzrosły o 500 procent, co drugi dzień doktór lekarstwa, leczył go doktór Maślarka *) może najuczciwszy człowiek jakiego znałem w mojem życiu, nareście leczył go bezpłatnie, po trzech miesiącach choroby dziecko wyzdrowiało, ale roboty się skończyły zostałem bez pracy, po dwóch tygodniach dostałem prace w fabryce Klocza jako pucer zarabiałem na przędzalni bardzo dobrze, po siedmiu tygodniach zostałem zwolniony, byłem przyjęty tymczasowo za chorego i znów bez pracy, to był miesiąc marzec 1920 roku, po tygodniu prace otrzymałem nazad na robotach miejskich, w pierwszem dniu pan dozorca powiedział że mamy zapłatę 30 marek dziennie, to jest podwójnie, ale musimy zdwoić naszą prace, chleb kosztował dwanaście marek cztery funty, więc obliczyłem że mi znowu nie starczy na wyżywienie mojej rodziny a już nie było z czego dokładać, bo byłem zrujnowany i groziła mi nędza, w tym czasie z Warszawy wyjeżdżali robotnicy do Francji i po krótkiej naradzie z żoną postanowiłem wyjechać do Warszawy, wskutek tego że przyjechałem w dniu odjazdu pociągu do Francji musiałem poczekać na następny pociąg i czekałem trzynaście dni i wyjechałem ósmem transportem z Powązek na koszt państwa francuskiego, jak sobie przypominam było to 23 marca 1920 rok. Jechaliśmy przez Czechosłowacie i Bawarie do Franci przez Strasburg i Tul **), Raims***) do Arras. W Tul przechodziliśmy pewną kwarantane nie mogę powiedzieć aby z nami w podróży obchodzono się źle, lub żeby życie było złe na ówczesne stosunki życiowe w Polsce, życie mieliśmy dobre. Ale nie mogę powiedzieć o moich rodakach pochlebnie o zachowaniu się w ogóle w podróży a szczególności po przybyciu na miejsce przeznaczenia w Arras umieszczono nas w barakach, o szybach papierowych i bez podłogi ale

*) Wówczas nie było kasy ubezpieczeń.
**) Tj. Toul.
***) Tj. Reims.

i ludnosć miejscowa nielepiej mieszkała, lecz spanie było bardzo dobre wełniane materace prześcieradła podwójne i dobre wełniane koce, zaczułem pracować pierwszego kwietnia z podług kontraktu 1.50 f. na godzine. Pracowałem przy odbudowie miasta ale na robotach państwowych przy murarzach przy cieślach przy transporcie i ciągle jako zwyczajny robotnik, przy końcu roku kontraktowego przydzielono mnie jako pomocnik gieometra przy pomiarach odbudowy własności i po skończonem kontrakcie zostałem się sześć lat na jednem miejscu zarabiałem 20 franków dwa roki, w 3-ciem roku zarabiałem 25 franków miałem mieszkanie światło i opał bezpłatnie, musze nadmienić że w 1922 roku pojechałem do Polski odwiedzić moją rodzine i zapoznać się ze stosunkami łódzkiemi bo nosiłem się z zamiarem powrotu do kraju i w kwietniu byłem dwa tygodnie w mieście Łodzi. Ale się przekonałem że i za pięćdziesiąt lat się stosunki w Polsce nie zmieniom i natychmiast powróciłem do Franci, aby nie utracić miejsca pracy, po powrocie do Franci mój pierwszy dyrektor mie nazad przyjął do pracy i postanowiłem sprowadzić moją rodzine co też zrobiłem w roku 1923, w październiku żona moja przyjechała z dziećmi. Wkrótce mój patron dał mi mieszkanie dosyć ładny i wygodny barak musze zaznaczyć że pierwsze polskie robotnicy którzy przyjechali nie zrobili nam dobry opini u ludności francuskiej a zwłaszcza w okolicy Arras i w samem Arrasie swojem grubijańskiem zachowaniem się mieliśmy u ludności francuskiej w tej okolicy złą opinie gdyż prasa francuska zbyt rozdmuchała każden wypadek złego zachowania sie niektórych jednostek które były zdemoralizowane przez wojne, ja osobiście nie moge powiedzieć o sobie aby kiedykolwiek mi francuz ubliżył w przeciągu sześciu lat jak pracowałem w Arras cieszyłem się dobrą opinią, po przyjeździe mojej rodziny dzieci moje posłałem do szkoły komunalny. Żona moja i dzieci z początku byli niezadowoleni z powodu nieznajomości języka francuskiego ale w przeciągu roku czasu dzieci moje mówili płynnie po francusku. Starszy Władysław miał lat 11, młodszy Artur miał 9 lat. W przeciągu roku każdy przeszed trzy klasy dzięki temu że umieli dobrze czytać i pisać po polsku jak również znali dobrze artmetyke i geografie więc nauka im szła dobrze, starszy w przeciągu 2½ roku otrzymał świadectwo ukończenia szkoły komunalny. Żona moja również pracowała ostatnie dwa lata jako „femme de ménage“ sprzątała biuro

zarabiała 150 franków na miesiąc a ja 550 a co nam sie dobrze powodziło, w roku 1926 na wiosne miałem wypadek syn starszy obalił sie na ulicy i złamał rękе wyżej dłoni, było to o godzinie 5 po południ, moi sąsiedzi francuzi przyśli mi natychmiast z pomocom, dwóch pojechało po doktora, po przyjeździe doktora pana B. po nałożeniu opatrunku zapytał mi się ile zarabiam i powiedział że będzie mnie za drogo kosztować jeżeli on będzie leczył w domu i za duże będe miał trudności, mi radził abym oddał chorego do szpitala miejskiego co mnie nic nie będzie kosztować, oczywiście usłuchałem pana doktora i zaprowadziłem chłopca do szpitala „St. Jean" w Arras i rzeczywiście nie zapłaciłem żadnych kosztów i po 35 dniach pielęgnacji oddano mi chłopca zdrowego, co jezdem bardzo wdzięczny tak sąsiadom jak i doktorowi bo mi wyrządzili wielką przysługe. Tego samego roku co zostałem zwolniony z pracy z powodu likwidacji biura odbudowy własności zostało zwolnionych 60 pracowników francuskich i ja jeden polak, rok 1926 był zwiastunem dzisiejszego kryzysu. Prosiłem dyrektora o świadectwo pracy i wierze w swoją siłe fizyczną i znam stosunki miejscowe wyjechałem w okolice kopalni węgla i bez żadnej protekcji dzięki dobremu świadectwu pracy przyjęto mnie na kompanie „Mines de Lens" w której pracuje do dzisiejszego dnia jako górnik.

Z początku było mi się trudno przyzwyczaić lecz konieczność życiowa i silna wola osiągnąłem zadowolenie, mój starszy syn również zaczuł pracować w kopalni, miał już skończonych 14-naście lat, młodszy poszed dalej do szkoły miał trzynasty rok, żona zajęta gospodarstwem domowem. Kompania nam dała mieszkanie o czterech pokojach i ogródek i w dodatku kawałek pola na hodowle leguminy, wszystkiego razem ogród i pole 800 metrów kwadratowych, hoduje wszelkie warzywa cebule sałate kartofle, polską pietruszke pomidory i t. d. zaznaczam że w przeciągu dziesięciu lat jezdem miłośnikiem ogrodu i znam sie troche na wykorzystaniu każdego kawała zimi, żona moja zajmuje się hodowlą drobiu i królików przy mieszkaniu mamy pralnie i komórki na drób i króliki i kurnik odrutowany siatką drucianą, w przeciągu roku zabijamy do 60 sztuk królików i drobiu, nie mówiąc o jajkach, których obliczylim w 1932 1000 sztuk na 14 kur, począwszy od roku 1930 do 1936, były to dla mnie lata ciężkie zarobki się obniżyły niemal o jedną czwartą i więcej częściowe bezrobocie i obniżka o 25 procent, co

zarabiałem do 500 w 1929 r., r. 1935—6-tem 300 czasem mniej 300 franków na 15-tnaście dni, a od dnia pierwszego maja b. r. i po ostatnich strajkach osiągneliśmy więcej niż to co w roku 1929. Gdyby nie ogród i uprawa pola w latach kryzysu mielibyśmy ostateczną nędze, w roku 1929 mój syn starszy pojechał do Paryża, aby sobie znaleźć inną sytuacje niż być górnikiem i po roku czasu praktyki w zawodzie metalowem jest tokarzem i ślusarzem, mechanikiem, pracował przez pięć lat w Lens w fabryce lin stalowych i drutu, obecnie służy w wojsku francuskiem. Młodszy syn ukończył szkołe rzemieśniczą w Lens w roku 1934 tak zwano szkołe Ecole Primaire Supérieure Condorcet z dyplomem Brevet Supérieure kandydat na nauczyciela szkół ludowych, z powodu braku miejsca pracował jako chemik w fabryce chemicznej wyrobów azotowych i się ożenił, ma żone z bardzo dobrej rodziny francuskiej z zawodu jest krawcowa i mają jednego syna, obecnie również służy we wojsku francuskiem, bo przyjeliśmy obywatelstwo francuskie i otrzymaliśmy w roku 1934, muszę podkreślić że szkoły nie płaciłem prócz książek i wydatków osobistych.

W roku 1929 w styczniu żone moją przejechał automobil była ciężko chora ma złamany obojczyk, od tego wypadku nie może ciężko pracować, została wynagrodzona około 10 tysięcy franków, ugodziliśmy się dobrowolnie ponieważ obie strony nie mieliśmy świadków. Żona moja w szpitalu leżała, koszta pokryło towarzystwo ubezpieczeń automobilowych, pieniądze zużyliśmy w czasie kryzysu, ponieważ syn chodził do szkoły a dochodów mieliśmy za mało z naszej pracy. Obywatelstwo przyjeliśmy z powodu prostego doświadczenia życiowego, powrót do Polski został nam zamknięty z powodu kryzysu, jaki jest w Polsce, również lepsze warunki ekonomiczne we Francji i możność egzystencji i znalezienia pracy trzeba tylko chcieć, również dzieci mają swoje otoczenie i przyjaciół, co w Polsce trzeba by zaczynać wszystko od nowa. Już w mojem życiu sprzedawałem i kupowałem meble pare razy a zawsze ze stratą i co najlepsi z mojej rodziny jak i ze strony żony już nie żyją. Musze wspomnąć wypadek rok 1931 5-go lipca brat mojej żony kapitan piechoty 65 pułku*) utonął w Wiśle w Toruniu ratując

*) Heronim Planowski, kapitan 65 p.p. Brat mojej żony w Toruniu utonął w Wiśle przy ratowaniu tonącej. Prasa opisywała ten wypadek.

kobiete tonącą, co nas to mocno zasmuciło, drugi brat również umar w młodem wieku. Chociaż bym miał mały kapitał to tu we Francji można nim lepiej obracać niż w Polsce to są te proste przyczyny, jak również ciągłe odnawianie kart tożsamości (Cart de indite) *) pociąga za sobą wydatki i trudności.

W Lens, gdzie zamieszkuje od dziesięciu lat obecnie jest około 100 rodzin polskich, więc czujemy się jak w Polsce, a pod niektóremi względami lepiej niż w Polsce, my górnicy mamy ubezpieczenie na starość mamy wolność osobistą, każdy należy do stowarzyszenia jakiego mu się podoba. Polityką Francji nie potrzebujem się zajmować od tego są francuzi, z francuskiemi robotnikami w zgodzie żyjemy, niemal wszyscy należymy do generalnej Confederacji pracy, nie pamiętam wypadku żeby zaszed coby się polak pobił z francuzem lub kłótnia, od dwóch lat pare rodzin wyjechało do Polski pare zostali wydaleni z pracy i wyjechali na koszt kompani. Mamy Stowarzyszenie „Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego" które urządza odczyty teatr amatorski i ma ładną bibloteke co sam z niej korzystam, jest i stowarzyszenie Świętej Barbary, do niego należą sami starcy i jest pare osób, jest i kasa samopomocy, która daje wiele korzyści w wypadkach choroby i śmierci swoim członkom, obecnie T. U. R. organizuje szkółke dla dzieci polskich nauczenia pisania i czytania jak i wiadomości o Polsce, niedaleko stąd jest i kościółek polski, w którem jeszcze nigdy nie byłem jak również ksiądz polski, o którem nie będę pisał ponieważ moja moralność jest już wyżej niż kościołowa i z punktu komersalnego... powiem szczerze że im sie lepiej powodzi niż w Polsce bo mają dwie pensje i boczne dochody, do kina rzadko chodze wtedy tylko kiedy jest film poważnych pisarzy Wiktora Hugo, Zoli albo innych. Widziałem dwa razy Kiepure na ekranie ten śpiewak zawsze mnie zachwycał swoją rolą i głosem, a może za to że to nasz rodak, choć śpiewał w języku francuskiem, dla mnie nie robi to różnicy bo go dobrze rozumiałem. Co do władz polskich przed paru laty zwróciłem się do konsulatu polskiego w Lille o sprowadzenie metryki urodzenia, która mi była potrzebna, dostałem odpowiedź że zwyczajna metryka będzie kosztować 27 franków co przed wojną kosztowała pięć kopiejek, a w Polsce jeden złoty obecnie, a ja

*) Carte d'identité.

miałem konsulowi posłać 27 franków, niech mnie nikt źle nie sądzi, a wreszcie jak wam się podoba, mam szacunek dla władz Polski, ale pomyślałem „złodziejstwo“ i sprowadziłem inną drogą papiery do naturalizacji w r. 1932. Mój syn starszy chciał jechać do Polski do służby wojskowy i pojechał do Konsulatu w Lille, co jak mi później opowiadał, że są duże trudności aby jechać do polskiego wojska, więc zrezygnował.

Oprócz tego później znowu że pan konsul przysłał mu papiery do rejestracji wojskowej i mój syn wypełnił i odesłał i zawiadomił że przyjmie obywatelstwo francuskie, to pan konsul narobił nam kłopotu z odbieraniem listów a pare listów z pogróżkami pozbawieniem nas obywatelstwa polskiego i żądał 50 franków kary co nas to wcale nie wzruszało. Mój syn wszystkie listy schował na pamiątke. A nawet w Polsce nasi krewni mieli z tego powodu nieprzyjemności, zapytywano się ich jaką drogą otrzymaliśmy papiery co dla nas to wszystko razem było zabawne, że władze polskie nam nie dają spokoju nawet i naszem krewnem, co ci ludzie niebu dusze winni nic nie wiedzą.

Czytałem dużo o Światowem Związku Polaków Zagranicą w tutejszej prasie polskiej w „Wiarus Polski“ „Narodowiec“ mojem zdaniem szkoda pieniedzy na te zjazdy to co ten zjazd kosztuje, obrócić te wydatki na bibloteki na pisma i na starców i sieroty, a od czego są panowie konsulowie, widocznie że państwu Polskiemu są potrzebne dwa przedstawicielstwa a panowie konsulowie są niedołęgami i nie umią przedstawić naszych potrzeb w kraju, moim zdaniem to obniża autorytet konsularny. Wychodztwo bo my robotnicy wychodźcy żadnych korzyści nie otrzymamy choćbyśmy się wszyscy do Polski zjechali, my robotnicy polscy nigdy będąc zagranicą nie oglądaliśmy się na pomoc z kraju my liczymy zawsze na siebie samych, cheba że w nagłych wypadkach i to w miare możności radzimy sobie sami najlepszy przykład przed paru laty w północnej Francji u pana konsula w Lille.

Powiem szczerze żeby nie polski kler i panowie konsulowie którzy są pod wpływem kleru polskiego toby nas nikt nie potrafił pokłócić, oni pomiędzy nami podtrzymują kłótnie i przez to my robotnicy nie możem dojść do porozumienia na wychodztwie. Zbyteczne że się rozpisuje o mojem zapatrywaniu na te sprawe, co robić to wymaga konkurs „Pamiętnika Emigranta“ i drogi czy-

telniku powinneś mi wybaczyć że piszący ten pamiętnik twój brat robotnik Polski we Francji niezależny jest żadnej władzy duchowny. Szanuje wszelką władze, ale nie szanuje głupoty tej władzy i pamiętaj mój czytelniku że jak będziesz czytał mój pamiętnik to cie ściskam i całuje jak brata i choć jezdem obywatelem francuskiem kocham Polske, polskiego robotnika i chłopa bo jezdem synem chłopa i robotnika, ale niemniej kocham Francję moją drugą ojczyzne, bo i lud francuski jest dobry, niegorszy od nas polaków a więcej kulturalny i oświecony więc mu się lepiej dzieje i wybacz mi drogi czytelniku, że za mało szczegółów dowiesz się o mnie o mojem życiu bo mam ręke górnika która jest ciężko spracowana i aby chciał pisać szczegółowo to bym musiał napisać dużą księge, co jak nieprzyzwyczajny jezdeś do czytania toby cie znudziło, więc lepiej napisać w streszczeniu.

A teraz prośba do wydawcy, o ile mój pamiętnik będzie kiedy wydrukowany to bym prosił o przysłanie mi jednego egzemplarza, a jeżeli nie zasługuje na wydrukowanie, to niech spocznie wiecznem snem w koszu i prosiłbym żeby mnie krótko zawiadomiono — niestety do druku się nie nadaje.

Uzupełnienie, mały obrazek z mojego codziennego życia.

Zwykle ide spać o dwunastej w nocy bo mam prace od pierwszej do dziesiątej wieczór. Nie mogę dłużej spać jak do siódmej rano, żona moja wstaje o szóstej. Bo czy można spać dłużej, kaczki kwaczą i robią hałas, bo wiedzą że żona im sieka liście buraczane z domieszką otrąb więc okazują swoją radość i krzyczą kwa! kwa! kwa! Kury również gdaczą i cieszą się że mają znieść jajka, indyki im dopomagają, szczet! szczet! i króliki drapią w klatce, dopominają się swojej zielonej potrawy, więc ja nie moge dłużej spać. Słysze głos żony mówi do mnie, Stefan idź na pole przynieś fasoli tych żółtych strączków to zrobie na obiad groszek z marchwią i kartoflami i kawałek mięsa, bo ja tak lubie, wiesz Stefan jutro to zrobie na obiad kapuste z kartoflami bo to kiedy młode tak dobrze smakuje, mnie nic nie wypada jak spełnić życzenia mojej żony, najsamprzód musze iść obejrzeć mój ogród, co za śliczne pomidory oglądam je pare razy na dzień, w tym roku kapusta nam się urodzi, bo zeszłego roku było za sucho, ale zato mieliśmy dużo pomidorów, jaka śliczna pora w tym roku, bede miał grube a jakie śliczne buraki czerwone, a jakie ładne kartofle,

a jaka śliczna marchew a jaka gruba, zeszłego roku sprzedałem około 100 kilo i pastewnych buraków 150 kilo. Nieraz mówimy sobie gdybyśmy mieli te warunki w Polsce nigdybyśmy jej nie opuścili i to co w Polsce było mojem marzeniem mić ładny ogródek kawałek pola i mieszkać jak na wsi, to tu żeśmy osiągneli, mamy dostatek i życie nam płynie spokojnie, chociaż mam już pięćdziesiąt lat, to jezdem więcej niż zadowolony, osiągnułem co pragnąłem wychowałem dzieci lepiej, niż sam byłem wychowany, czy może na starość mam się martwić, o nie to zbyteczne, po przepracowaniu 15 lat otrzymam małą pensję, wydzierżawie sobie może kawałek ziemi i będę sobie żył spokojnie. Czasem kiedy czytam złe wiadomości z Polski w szczególności w tym roku o manifestacjach bezrobotnych o zasądzeniu ich do więzienia za to że nie mają pracy i chleba i o Berezie Kartuskiej, ach jakie to dla mnie smutne bo gdybym był w Polsce może i mnie by ten sam los spotkał i tak mi się zdaje że lepiej zrobiłem że opuściłem Polske i uniknąłem więzienia i Berezy Kartuskiej bo we Francji choć ciężko pracuje na codzienny kawałek chleba to nie widze tego co czytam i to mnie mniej boli bo nigdy nie marzyłem o Polsce niepodległej w której ludzie będą tak źle traktowani. Mówie szczerze że we Francji jest więcej sprawiedliwości i wolności a mniej ciemnoty zaco ją kocham nie mniej niż Polske. Nie moge powiedzić z Mickiewiczem Polsko ty jezdeś jak balsam, ja musiałem życie wziąść jak jest, nie zapomne o Polsce do końca życia, wiem że jezdem polakiem i obywatelem francuskiem, ale wiem że Francja więcej mi dała zadowolenia w życiu codziennem niż Polska, pod względem wychowania dzieci szkoły są bezpłatne, aż do uniwersytetu dopiero uniwersytet jest płatny, mój syn skończył sześcioklasową szkołe co ja nie płaciłem i chociaż w Polsce są szkoły to bym nie mógł zapłacić będąc robotnikiem, we Francji przeciwnie każden robotnik może posłać swoje dziecka jak tylko chce bo jest bezpłatną i nigdy miejsca nie brakuje. I my robotnicy polscy żebyśmy wszyscy dobrze umieli cenić Francje i francuzów moglibyśmy lepiej żyć niż żyli nasi rodzice i wychować nasze przyszłe pokolenie.

Musze podkreślić że nigdy nie byłem alkoholikiem i choć we Francji jest tanie wino to moge powiedzić że jezdem abstynentem i z powodu mojej abstynencji osiągnełem zadowolenie i szczęście w życiu.

Dn. 28 sierpnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 2

Górnik z Zagłębia Dąbrowskiego, ur. w 1878 r.
(Konk. im. St. Gawrońskiego)

Ja pracowałem w Zagłębiu Dąbrowskim w kopalniach na dole jako górnik 27 lat i byłem zmuszony opuścić swój kraj rodzinny i wyjechać za chlebem dla swoich dzieci do Francji. A to z powodu mając siedmioro dzieci a żadne mi nie pomogło w pracy, bo najstarszy syn był w terminie na cukiernika, a ja pracowałem trzy dni w tygodniu. Nie wystarczyło na utrzymanie rodziny. I aby uniknąć gorszej biedy wyjechałem z rodziną pozostawiając najstarszego syna w Polsce u mojej siostry na opiece, a sześcioro zabrałem ze sobą. Trudno opisać nasz odjazd z Polski i opuścić swoich krewnych i znajomych, bo gdy się tylko dowiedzieli że ja już się zapisałem i zobaczyli karte na który dzień się mamy stawić do Mysłowic, to cały tydzień nas odwiedzali i to po całych dniach od rana do późnego wieczora. Gdy nadszedł dzień odjazdu to się zeszła cała rzesza narodu tak jak na pogrzeb. Bo co prawda to tak to wyglądało jakby nas mieli wszystkich razem pochować w jednym grobie, bo żyć między swoimi być zdrowemi i naraz im zniknąć z oczu to jest straszne i kolejno przystępowali wszyscy na pożegnanie i każdy ze łzami w oczach życzyli dobrego powodzenia i napatrzeć się do syta nie mogli, bo nie jeden mówił że się już więcy nie zobaczymy. Gdy nareszcie furman ruszył, zdołałem jeszcze wykrztusić zostańcie z Bogiem, więcy nie mogłem bo mi żal nie pozwolił słowa więcej wypowiedzieć. Zajechaliśmy do Mysłowic tam zaraz na wstępie musiałem kartę emigracyjną podać do podpisania dopiero nas wpuścili do baraków i moją

rodzine doktór zwizytował i pośliśmy na biuro, tam przedłożyłem swoje wszystkie papiery jakie byłem obowiązanem mieć, i kolejno wszystkie papiery podpisać, jak pasport kontrakt i inne. Po załatwieniu wszystkich formalności pośliśmy spać już późno wieczór, rano gdyśmy wstali na śniadanie, po śniadaniu dostaliśmy pasporta i kontrakty na ręce. Wieczór o godzinie dziewiątej pośliśmy na stacyje do pociągu który już na nas czekał. Kiedyśmy się już w pociągu uporządkowali tak pociąg z nami ruszył o godzinie jedenastej. Teraz znów przyjechaliśmy do granicy Czeskiej i tam znów był pociąg podstawiony i myśmy musieli się przesiadać do czeskiego pociągu. Ale w Czechach nam dali trzeciej klasy wagony i mieliśmy wygodniej bo dzieci się położyły i zanim dzień nastał to się dobrze przespały. Na drugi dzień rano zajechaliśmy do Niemiec, tam znów przesiadka, no ale tu znowuż tak skąpo nam dali wagonów, że ledwie myśmy się pomieścili, a gdy ruszył z nami to jak prawdziwy waryat to jechał wolno to jak naraz szarpnie to ile nas było to się wszyscy poprzewracali jeden na drugiego. Pisk wrzask dzieci płaczą tośmy mieli taką jazde do samego Tula. Nareszcie przyjechaliśmy do Tula i wjechał na osobną linije ażeby wysiąść bez przeszkody. Zabraliśmy pakonki, ale nie wiemy gdzie się ruszyć. Nareszcie nas zaprowadzili do magazynu stacyjnego i tam myśmy swoje pakonki zostawili a wtenczas myśmy ruszyli do baraków. Z trudem myśmy się dopytali bo co prawda to już była godzina pierwsza po północy, ale po ciężkich mozołach dowlekliśmy się do baraków. Na wstępie przy bramie stał portjer i pyta się ile osób. Ja mówię ośm, dał nam sześć koców do okrycia się i pośliśmy dalej. Gdyśmy przyszli na salę sypialną tam zimno że aż fybra bije a tu się niema czem zagrzać, ledwieśmy tak doczekali rana zaraz też poleciałem z naczyniem na kuchnię i przyniosłem kawy ciepły i tak się trochę wszystko rozgrzało a po kawie ja znowu musiałem się udać to do biura oddać papiery oni mi wydali znaczki na chleb na obiad i na inne produkty, to do doktora to znowuż po chleb i gdy to poznosiłem na biuro bo tam wyczytują, trzeba się pilnować, nareszcie przerwa obiadowa, to znów poszedłem po obiad przyniusłem a gdy pojedli i odpoczeli troche to znów na biuro i słucham uważnie i mnie nareszcie wyczytują. Zawołał nas na biuro i pyta się ile mamy pakonków, to ja mówię że cztery, zapisał i dał mi dziesięć franków na droge i kazał mi się stawić na

stacyje o godzinie ósmej wieczór to myśmy się zaraz wybrali i pośliśmy sobie pomału ku stacyj bo trzeba było iść dobre półtory godziny, to lepiej wyjść wcześniej i pomału zajść z dziećmi. Na stacyj znowuż myśmy czekali przy magazynie, jak tylko otworzą to swoje pakonki wydostać, i tak też było, przyszedł jeden ze służby kolejowej otworzył magazyn i myśmy swoje rzeczy każden wziół, i zaniósł na stacyje, a tam znów czekaliśmy na urzędnika z biura który bagaże sam kolejno zapisywał i do który stacyj. Po zdaniu bagażu pośliśmy do pociągu który na nas już czekał. Gdyśmy weszli do pociągu to też mieliśmy dość wygodnie i ruszył z nami o godzinie dziesiątej wieczór, a przyjechaliśmy na godzinę dziesiątą rano do tej stacyj gdzieśmy mieli wysiadać. Gdy pociąg stanął przyszedł do nas jeden z panów który się transportem zajmował i kazał nam zejść, że to jest ta stacyja do której my jedziemy. Po wyjściu z pociągu nie wiemy gdzie się obrócić stoimy i czekamy a tu naraz się zjawił Polak i mówi nam żeby się nie troszczyć bo tu przyjdzie tłumacz z głównego biura i zabierze was. I doczekaliśmy się bo niedługo myśmy czekali kiedy zajechało auto ciężarowe i wyszedł do nas tłumacz, odebrał od nas papiery i kolejno wyczytywał nas wszystkich.

Bagaż my przywieźli na tragacu i włożyli do auta a późnij my się ulokowali wszyscy i każdej rodzinie dał po pięćdziesiąt franków i kazał szoferowi nas zawieść w to miejsce gdzie my byli przeznaczeni. I ruszyliśmy dalej bo jeszcze do miejsca było pięć kilometrów. Przywieźli nas do kantyny kopalnianej to prawie godzina obiadowa.

Naschodziło się Polaków i dalej się wypytywać skąd, to z jakiej miejscowości tak jeden drugiego poznawał. I jeżeli znał kogoś to się cieszył, że ich przybyło że mu będzie weseli i będzie miał gdzie sobie czas spędzić.

Gdyśmy weszli do kantyny to przyszedł tłumacz z gospodarzem kopalnianem i mówi do nas że mamy iść z niem, a my mówimy do tłumacza że jak wczoraj my obiad jedli tak jeszcze ciepłego w ustach my nie mieli, to się pyta czy my już jedli, my mówimy że nie. To jak skoczył zaczął wyzywać te co wydawały obiad to aniśmy się nie spostrzegli kiedy obiad był rozdany a jego wzięli zaprosili i jak mogli tak go łagodzili. Po skończonem obiedzie znów wyszedł i kazał nam mężczyznom z nim iść a żony i dzieci

niech się zostaną. I pośliśmy za niemi na kolonije, wyjął pęk kluczy dopasował pierwsze oddał jednemu, drugie mieszkanie otworzył dał mnie i trzecie trzeciemu. Teraz mówi zamknijcie sobie mieszkanie i chodźcie ze mną. To znowuż poszliśmy do magazynu łóżek i dał nam tyle łóżek i sienników ile było osób w każdej rodzinie. Więc ja otrzymałem osiem łóżek i tyleż sienników i 14 koców do przykrycia się. Gdyśmy to poznosili to znowuż na kopalnię do magazynu słomy i sienniki wyścielać a żony znowuż się wzięły do pracy bo wiecie dobrze panowie ile roboty jest, kiedy murarze skończą swą prace, dostaliśmy też stół, ławke, wiadro, miotłe do zamiatania, piec i łopatke i za to wszystko to otrącali 5 fr. miesięcznie to jest za wypożyczenie a później kiedy się zabiorą to mamy to z powrotem oddać danemu gospodarzowi. I gdyśmy już sienniki wyścielili i poznosili dopiero mieliśmy spokój. Na drugi dzień gdyśmy powstawali, śniadanieśmy zjedli, była to niedziela. To się ci znajomi poschodzili, przynieśli wódki, wina, harmonije skrzypce i tak nam pierwszy dzień zeszedł, aniśmy się nie spostrzegli.

Na drugi dzień w poniedziałek pośliśmy na główne biuro, znów do przyjęcia tam, znów tłumacz poszedł z nami do doktora gdy nas zwizytował pośliśmy z powrotem na biura, tam nas kolejno fotografowali i późni dali nam każdemu z osobna list na biuro kopalniane, gdyśmy listy oddali to nas porozsyłali po oddziałach ten do tego sztygara a ten do tego i do domu, a na drugi dzień do roboty. Bardzo mi się to wszystko podobało bo tu mieszkanie zaraz dostał, węgiel to samo tak że jednem słowem pod każdym względem było ułatwione robotnikom nie tak jak u nas w Polsce, i w początku tu wszyscy się liczyli z obcokrajowcami a przeważnie z Polakami, ale jak to długo będzie trwać to nie wiemy, bo człowiek zawsze jest głupi, gdy do kopalni przechodzi z jednej na drugą. A przeważnie na obcej ziemi gdzie się języka nie zna, i zmówić się nie może. Tak byłem przeznaczony do Francuza, zaszedłem na numer, Francuz sobie siadł no to i ja sobie usiadłem, robię to co i on, nareszcie wstaje, rozbiera się do pół naga bez koszuli bo tu taki zwyczaj, jeżeli by pracował w koszuli to sztygar mówi że to jest próżniak, i bierzemy się za pracę. Kolega zaraz zaczął ustawiać aparel do wiercenia dziury w kamieniu, gdy już ten mechanizm ich ustawił, więc myśmy oba zaczęli kręcić, wkręciliśmy jeden świder najkrótszy, to on zaczął mnie mówić, ale ja go nie zrozumia-

łem, to on poszedł sam i przyniósł sobie drugi świder to ja tym razem zrozumiałem co on chciał, ale nic nie mówię tylko wiercimy dalej. Gdyśmy na drugi świder wywiercili to zaniem się spostrzegł to ja już miałem na podorędzi trzeci i zaraz żeśmy go założyli i t. d. a nareszcie dziewiąta godzina śniadanie. Usiedliśmy by zjeść kawałek chleba bo tu jest tak wprowadzone że pół godziny w południe dniówki jest wolne od pracy aby swobodnie zjeść kawałek chleba i wtenczas choćby szedł sam dyrektor to się z miejsca nie ruszył, powiedział dzień dobry, to jest bonżur a ten dany robotnik tylko mu odpowiedział i dalej siedział i jadł, po śniadaniu znów myśmy jeszcze trochę dziury pogłębili i on do mnie mówi że metna kupy szarbon*) ja patrze na niego, ale on mi dał kilofa i wskazał gdzie mam iść, to on poszedł do góry ja zaniem, tak pokazuje żebym kopał węgiel.

Ja nie wiem jak się zabrać do niego, ale kolega Francuz widział że ja bierę się nie w ten sposób to mi pokazał jak węgiel od kilofa idzie tom go usłuchał i kopaliśmy oba i robota lepiej szła nam że żaden się nie złościł, gdyśmy ukopali na trzy wozy, bo węgiel był niski pół metra tak on poszedł po wóz i przyprowadził a ja naładowałem i tak aż ten węgiel zabraliśmy wszystek, to w końcu mówi że koniec, urąbałem sobie klocka do domu i kazał mi się ubierać, gdyśmy się już ubrali była godzina za piętnaście pierwsza, tak mówi do mnie ale marsz, gdyśmy wyjechali to zaraz do łaźni. Umyłem się i poszedłem do domu, tom już na godzinę drugą był umyty w domu, bo rano tośmy zjeżdżali w pół do szóstej rano a dwadzieścia po pierwszej, pierwsza klatka z ludźmi szła do góry i tak jest dotąd. I tak z dnia na dzień z roku na rok i upłynęło osiem lat a gdym przepracował jeden dzień zaraz mi przywieźli węgiel, to jest deputat opałowy, bo w Polsce to dopiero za miesiąc jak przepracuje, to też kopalnia jest dokoła obstawiona stróżami i to kradli węgiel albo co się dało, tutaj znowuż nie, bo tu jest inaczej bo tu stróży na placu niema ale i kradzieży też nie uświadczy bo surowo za węgiel karają. Niech go spotka żandarm na drodze i zauważy że niesie coś w torbie to go zatrzyma i zrewiduje, jak niesie węgiel to mu odbierze, i spisze protokuł ten węgiel zważy i obliczą ile on mógł wynieść za rok i przysądzą mu płacić, już tu płacili po tysiąc franków i więcej za taką kradzież to się obawiają brać, to znowuż Francuzka dojeżdżała z chlebem i różną

*) Maintenant coupez charbon.

żywnością i też dała na kredyt i tak się żyło. To my mówimy jaki ten naród jest przyjazny co do Polaków. Mieszkanie zaraz myśmy dostali które się składało z czterech pokoi i jedna kuchnia i jakie takie łóżka, stół, ławkę, narazie nie potrzebował kupować z mebli bo za to wszystko nam otrącali po pięć franków miesięcznie za wypożyczynie. Tak żeśmy byli z początku zadowoleni jak pod względem obchodzenia się z nami i że tu będziemy mogli swoje dzieci do lat ich wychować i z naszego przyjazdu, że człowiek już na te braki domowe nie będzie patrzał. A jednak ty dobroci długo nie było, bo zaledwie dwa lata, bo i tu zaczął się kryzys pierwszy ale przeszło spokojnie. Trochę myśmy się już zaprzyjaźnili z Francuzami, ale my nie wiedzieli że w owczej skórze jest wilk ukryty, wywołali strajk protestacyjny dwudziestoczterogodzinny, więc my Polacy, wiedząc jak u nas był tak też my się dali namówić i na ten dzień nie poszliśmy do pracy jak było przewidziane, to Polaków poszło do roboty na ogólną sumę, która pracuje na tej kopalni 600, to z tej liczby poszło 16 do roboty, a Francuzów z takiej samej liczby nie stanyło do pracy 16 a reszta poszła, więc my im powiedzieli że my tu nie przyjechali walczyć dla was o jakieś prawa lepsze tylko możemy wam pomóc, ale żeście się tak na pierwsze popisali to nas już więcy nie namówicie do strajku, bo nam wystarczy jedna próba, bo się sami zdradzili że są dla nas Polaków wrogami, a my o tem nie wiedzieli, bo tylko z robotników francuskich, bo co do inteligencji francuskiej to oni mają inne wyobrażenie o robotniku przeważnie polskim, bo nieraz robotnicy francuscy zaczęli na dole zaczepiać i brać się do bicia ale i na tem się omylili bo kiedy tylko coś zaczęli z Polakami, a Polacy dotąd nic nie mówili dopokąd go Francuz pierwszy nie uderzył, to popóźni mu tyle dobił co mu wlazło. I tak było, że każden który się tylko odważył rękę podnieść na Polaka to został pobity, więc zaprzestali później zaczepiać, bo i urząd kopalniany też zaczął na swoich robotników to im powiedzieli że jeżeli jeszcze się to przydarzy to nie Polaków będzie karał, a Francuzów, więc zaprzestali później zaczepiać, to tak trwało do kryzysu drugiego, to jest pierwszy się zaczął w roku 1927, ale przeszedł. Drugi w roku 1931, który się rozlał na dobre, to też i sztygary i nadsztygary tak samo mieli nienawiść to też nie wszyscy byli wrogo usposobieni bo też były wyjątki, że jak który z robotników nie wykonał pracy to mu zapowiedział, że jak

tyle a tyle metrów, lub tyle a tyle wozów nie da to marsz do Polski takie myśmy nieraz usłyszeli słowa, to było dla nas bardzo przykre bo żeby było blisko to byśmy sobie nie dali tak ubliżać, ale cóż mamy robić, nie ma grosza na podróż, więc trzeba na wszystko być głuchym. Mają za wiele robotników, a francuscy robotnicy niektórzy chodzili na główne biuro i mówili żeby wszystkich Polaków wydalić, to oni będą mieć wszyscy pracę i będą pracować jak dawniej dwanaście godzin. Bo my dopiero teraz poznali, jaki naród francuski, to jest klasa pracująca, jest głupi bo nawet nie umie odróżnić narodowości, bo oni wszystkich obcokrajowców co są tu na francuskim terenie to mają za Polaków. Niektórzy rozumniejsi Francuzy mają inne poglądy i rozumiejąc te sprawe związaną z obcokrajowcami, że jak Francja nie będzie posiadać obcokrajowców we swojem kraju, to robotnik i cała Francja zostanie krajem najsłabszem, a robotnik który tak myśli o obcokrajowcu to jest podobny do dzikiego zwierza. Tak się niektórzy robotnicy wypowiadają o takich Francuzach, a niektórzy to przychodzili do mieszkania i tak się sprzyjaźnili że obejść się bez Polaków nie mogli. To też takich to trzeba ze świecą szukać, ażeby życzliwego Francuza znaleźć na kolonii, bo żony Francuzów chciały się nauczyć polskich obiadów gotować, bo im lepiej smakowały jak ich więc takich to jest bardzo mało.

Co do życia rodzinnego to byliśmy i jesteśmy bardzo zadowoleni bo po pierwsze chleba dzieciom nie brakuje nigdy, mają go w domu pod dostatkiem i to stale smarowany raz ze smalcem, to z masłem i codziennie na obiad mięso, i ubranie nie wyżej nad swój stan, czysto i nie obdarte nie boso, jednem słowem dom podług czerstwej rodziny to jest nie pijaka i nie próżniaka, bo choć by było najlepiej, jak jest ojciec pijak lub próżniak to dzieci będą miały biedę zawsze, ja wypiję też ale jak się nadarzy okazja, jak ktoś przyjdzie w goście lub my idziemy do kogoś, to wtenczas, ale dni roboczych pilnuje, chociaż jestem stary wypracowany, dniówki nie opuszczę przez pijaństwo lub próżniarstwo, tylko w razie choroby gdy mnie złoży tak że nie mogę pójść, ale mnie cieszy rodzina, kłótni ze żoną nigdy nie robię ani żona ze mną. To też dzieci biorą wzór z nas i stosują się podług nas bo mamy już dwie córki które są zamężne i cieszą się że są szczęśliwe z mężów swoich i że są zdrowi. Mężów swoich szanują, dał im Pan Bóg doczekać

dzieci które są dla nich szczęściem i rozrywką. Są tu i tacy, którzy żyją bez obliczenia się, to mają długu, że sobie rady później dać nie mogą z tego wychodzą kłótnie, bo zarobek nie wystarcza na pokrycie długu pierwszej potrzeby, a tu by się trzeba ubrać, zjeść lepiej i wypiłoby się też, a tu niema skąd wziąść. Takie rodziny często i dużo się zdarza, że przyjmują sobie sublokatorów to jest stołowników i żona danego męża żyje i ze stołownikiem, ażeby sobie dogodzić, a jak tylko spróbuje, a mąż patrzy obojętnem okiem na to i nic nie mówi to za niedługim czasem dana żona ucieka z byłym stołownikiem zabierając mężowi wszystką bielizne, ubranie i gotówke, jeżeli posiadają coś w domu. Jednem słowem zostawia męża w tem co miał na sobie. Takie życie to się nie nazywa życiem, a mordęgą i utruciem życia. Teraz tu rodzice to pod względem szkoły to są szczęśliwi bo tylko ich obowiązek jest żeby nie były głodne i brudne, ubranie chociaż ponaprawiane ale ma być czyste. A co do książek i różnych przyborów, jak naprzykład kajeta, pióra, ołówki, grysiki, stalówki jednem słowem, że nic rodzice nie kupują, wszystko dostają w szkole, tylko jedno nas przyciska, że nasze dzieci nie mogą się uczyć po polsku, tylko po francusku, bo tu jest mało Polaków, więc nie chcą tu przydzielić polskiego nauczyciela. Bo co prawda to tu był ksiądz, zapomniałem nazwiska który był bardzo wzorowy i prawdziwy pasterz owiec chrześcijańskich bo oto ja przywiozłem dzieci tutaj, dwie córki najstarsze, jedna miała 12 lat, a druga 10 lat, to poszły do szkoły w pierwszem roku, zanim żem się obejrzał to upłynął rok. W drugim roku dowiedziałem się, że tu dojeżdża ksiądz polski raz w miesiącu i odprawia nabożeństwo, to po skończonem nabożeństwie poszedłem do zakrystyi, ażeby się rozmówić z nim co do moich córek, bo chciałem żeby coś pomyśleć o pierwszej Komunji Świętej. To on mi powiedział niech pan przyjdzie do mnie do domu o tej a tej godzinie, wytłumaczył dokładnie to się coś zrobi, może jest tu więcej takich dzieci to prosze też ich zabrać ze sobą, to też poszliśmy w oznaczony, gdy nas dostrzegł że my idziemy to zeszedł z góry, otworzył nam i poprowadził nas z powrotem do góry, bo tam miał pokój jak kancelarya, mnie zaraz usadził na krześle, a to jako starszy będzie pasowało, dzieci też każdego z osobna posadził na stołek i sam usiadł i zaczął się wypytywać katechizmu, ale nasze dzieci umiały bo w szkole się uczyły to też

mówi do mnie, te dzieci co są z Kongresówki to nie potrzebują się wiele uczyć bo wszystko umią i nie ma to jak mieć i być razem z Kongresówki z ludźmi i dziećmi do czynienia, uszanują, dzieci zaś zapytać o coś, grzecznie odpowiadają więc dobrze. Naznaczamy dzień trzecią niedzielę w miesiącu październiku, niech się przygotują do spowiedzi i zaraz do Komunji Świętej i tak się też stało. Po dwóch latach starszą córke wydawałem za mąż to też jeszcze ten sam ksiądz dawał jej ślub, i zaraz też przydzielony został do kompanji Marles, a ten co był w Marles przyszedł do nas, ja się dowiedziałem o tem tośmy go bardzo żałowali bo on nam dał wskazówkę jak się starać o polską zakonnicę do dzieci naszych ażeby ich uczyła i przysposobiła do spowiedzi i Komunji Świętej i być w ochronce, to się znaleźli tacy Polacy którzy nam to przeszkodzili, bo chociaż my prośbę pisali i wszyscyśmy ją podpisali i to daremnie bo są to Polacy Westwalczyki i Poznaniaki. W ich duchu jeszcze się plącze duch niemiecki, jak się zejdą to nie umieją po polsku mówić, tylko po niemiecku, ci to się mszczą bo głosowali za Polską, a teraz nie mają gdzie głowy schować bo ni do Niemca ni do Polski, obywatelstwa z Polski nie widać, a do Niemca niema po co iść więc oni się starają nawet o obywatelstwo francuskie i na nas też wine zwalają, żeby nas wypłacili, a oni żeby się zostali.

Tak się ma sprawa z różnych części Polski, tak się też pozostało, że dzieci nie mają polskiego nauczyciela, tylko muszą się uczyć po francusku, ale co do przyborów szkolnych to rodzice nic nie wiedzą. Jak przechodzi do wyższy szkoły, to jest do klasy to książki zdaje, a otrzymuje takie, jakie mu są podług klasy potrzebne. Dziecko się urodzi to dostaje z gminy na dziecko, zależne od gminy, bo ta gmina gdzie my są to za urodziny dziecka płaci 420 fr. i co miesiąc za wagę 40 fr. Bo musi żona iść do gminy z dzieckiem, tam jest lekarz i waży dwa razy miesięcznie dziecko to jak go przybywa to się cieszy, jak to małe dziecko że go przybywa, więc choć tyle to ojcowie mają ulgi tutaj, a jak jest liczna rodzina to zostaje wypłacony ze rządu 25 tysięcy franków tak przynajmniej jest popierany od rządu. Ale u nas w Polsce pytanie, bo nawet się utrudnia rodzicom przy wykształceniu dziecka, bo wszystkie ciężary spadają na barki rodzicom i wyciąga ich się co rok na koszta nowe czy ono przechodzi z klasy do klasy to jest obojętne,

bo co do szkolnictwa to tu jest dużo lepiej. A teraz nadmienię kilka słów o naszym księdzu, który zajął miejsce pierwszego, bo ten pierwszy to był prawdziwy sługa Boży i chrześcijańskim pasterzem, ale ten to nawet nie wiem jak go nazwać, bo po pierwsze on jak był w parafji Marles to miał znajomość w fabrykach tkackich i były takie fabryki co dziewczęta były pod opieką zakonnic to on dziewczęta tam wysyłał i rodzice byli pewni o swoje dziewczęta, bo kiedy on do nas przybył to ja się dowiedziałem, że on może moją córke tam odeszle i miałem nadzieje że jako ksiądz to dla swoich parafijan to uczyni, gdym wszedł do mieszkania i prosiłem go że mnie jest ciężko wyżywić z zarobków, to on mi mówi że adresu nie ma a tak to nie pamięta więc nic nie zrobię wam, to ja mu mówie, że jeżeli ktoś często pisywał i miał styczność w tamtejszej okolicy to na pamięć się wie adres, to on nie miał się czem wymówić to mówi, a zdaje się że ma włosy obcięte, ja mówię że tak bo dziewczyna ma dopiero lat czternaście to ją się podstrzyga, żeby jej włosy lepiej rosły, a przytem teraz taka moda, to on mówi a to widzi pan to jest feler, bo z obciętemi włosami nie przyjmują do tej fabryki, więc na to nic nie poradze więc wyszliśmy z niczem. Tak że ta córka, którą chciałem do fabryki wysłać za protekcyją jego wychodziła za mąż, to były potrzebne metryki, więc udałem się do niego, jak dla zięcia niedoszłego, tak i dla córki z przetłumaczeniem po francusku, więc ile to będzie kosztować to niech ksiądz obliczy to my to zapłacimy.

Więc obliczył 112 franków to uczyniło to już i za pracę którą on pełni to jest za pisanie listów do Polski, gdy przyszły papiery to ja poszedłem do niego po południu a było mroźno na dworze gdym zajechał przed mieszkanie, zadzwoniłem raz i drugi i trzeci, niema nikogo tylko psy zaczęły hałasić że choćby spał to by się obudził, poczekałem jeszcze chwile, znów dzwonie a dzwonie i niema nikogo to jeszcze czekam może nadejdzie. Upłynęło pół godziny i nikt nie otwiera, więc stanąłem na uboczu i obserwuje skąd on przyjdzie bo ulic dużo więc stanąłem w takim miejscu że ze wszystkich stron mogłem widzieć skąd pójdzie, przeczekałem całą godzinę i niema, tu zimno stać na dworze, znajomego tu nie mam, ręce i nogi mi zmarzły, aż tu patrze z komina na raz dym wybucha skąd to, i zaraz się przybliżyłem i do dzwonka, a on nasz ksiądz pędzi po schodach z wiaderkiem w ręku co niósł węgiel

w niem, zawrócił i otworzył, ja mówie że tak się nie należy robić żeby tak po godzinie stać pod drzwiami, ale zaraz poszedł do pokoju i przyniósł mi papiery, nawet mało mówił, gdym wyszedł to zaraz za mną zamknył, to mnie to nic już nie obchodziło, przyjechałem na Mery to jest do gminy oddałem metryki i poszedłem do domu, gdy nadszedł dzień ślubu to on przyjechał do nas we świętego Szczepana, bo miał nabożeństwo to młodzi poszli do niego do spowiedzi i po wszystkiemu zięć się go pyta ile będzie kosztował ślub jak on tu do naszej gminy przyjedzie, 120 fr., o to za drogo to prosze księdza niech ksiądz nam da zaświadczenie, że jako u spowiedzi byliśmy i zapowiedzi są wygłoszone, to on na to, to przyjdźcie do mnie do domu bo tu nie mam papieru, ani ołówka, a przytem nie mam czasu zięć gdy przyszedł zjadł trochę i siadł na rower i zaraz pojechał, więc mu napisał po francusku i w koperte zapieczętował i dał zięciowi to on mu za to jeszcze zapłacił i przyjechał z powrotem i zaniósł to księdzu francuskiemu, gdy ten przeczytał i mówi że oto mi nie chodzi mnie jest potrzebne świadectwo, czy są zapowiedzi wygłoszone, ale francuscy księża nie są tak honorowi i nadęci jak niektórzy z naszych.

Doradził żeby iść na kopalnie i telefonować do niego i tak też zrobili, ale dostali odpowiedź że wyjechał i niema go w domu, na Mery to jest ślub cywilny wzięli a kościelnego nie bo nam pokazał co on umie zrobić, więc tylko wzięli na policyj ślub a kościelnego nie, miałem się udać do francuskiego biskupa, ale dałem spokój aż przyjedzie do nas nabożeństwo odprawiać, i wziołem sobie świadków i poszliśmy do niego, jak te sprawe ze ślubem załatwi, to się zaczął dziwować że jeszcze ślubu nie wzięli. Ja mu mówię, że to księża tak nie postępują jak on obecnie postąpił, to on mówi że niech ktoś przyjdzie do mnie to mu wypisze, ja mówię że nie bo nikt tam jeździć nie będzie bo tam trzeba stać po godzinie i czekać u drzwi jak pies i marznąć, tego już za wiele, to on mówi że nie prawda to ja mu dowiedłem że to jest moja prawda i tak było że był w domu a nie otworzył mi na takie dzwonienie i ujadanie psów, więc tem razem nikt do księdza nie pójdzie bo ja na to nie pozwole, żeby sobie z nas robotników drwić, więc jeżeli ksiądz chce te sprawe załatwić to niech listownie zawiadomi księdza francuskiego, a jeżeli nie to się udam z tą sprawą do wyższej władzy, ale że późni to świadectwo

przysłał i wzięli ślub u francuskiego księdza i jak mu dali 45 franków za ślub to nie chciał wziąść, wziął tylko 5 franków, a resztę oddał ale mu siłą włożyli, to skakał z radości jak małe dziecko, że on tyle pieniędzy za ślub dostał, więc zakończyliśmy ślub drugim kosztem, dwa razy ponosiliśmy koszta, więc dlaczego jeden może za taką cene dać ślub a drugi nie przecież on tak samo ma płacone od Towarzystwa dniówke górnika z dziesiątą klasą i to jeszcze różne dochody, to my się musimy tem obchodzić i ciężko pracować z narażeniem swojego życia i musi nam starczyć bo i też nie raz jest liczna rodzina a jemu nie starczy, to się nie zgadza z ewangeliją, żeby z tego biednego robotnika wyciągać grosze ciężko zapracowane, więc ja musiałem to nadmienić bo do tego już stosowniejszej chwili nie będe miał, może mnie komitet posądzi że jestem jakiegoś dziwnego usposobienia, nie zupełnie trzeźwy i moge całe wesele zwołać i zaświadczyć się tem faktem. Teraz co do ludności francuskiej to co dzień to złośliwszem okiem na nas patrzy, a naród Polski, zaboru niemieckiego to samo, bo oni się chcą i starają wszelkimi siłami i sposobami tu pozostać, a nas stąd wyrugować bo my są obywatelami polskiemi a oni teraz nie należą nigdzie, teraz oni do Niemca nie mogą wrócić ani do Polski bo za Polską głosowali, a obywatelstwo im jeszcze nie przyszło, więc się nie dziwię, że mają zapatrywania robotników francuskich i jak długo tu jeszcze będziemy to nie wiem bo się z dnia na dzień sytuacja nasza pogarsza.

Stan obecny jeszcze co do wyżywienia się z zarobku jeszcze tak źle niema bo na życie to nam starczy a co do sprawonku, bielizny i ubrania lub butów to się chowa wieprzki i za te pieniądze po sprzedaniu ich się kupuje. Bo nasze żony też nie próżnują, tylko w czemś dopomagają żebyśmy byli zawsze w porządku i nie zadłużyli się. To nam tego Francuzi zazdroszczą że Polakom się dobrze dzieje, ubrani są wszyscy i dzieci i starzy, ale żony Francuzów nie chcą tak robić jak nasze, bo nasze żony i w domu i w ogrodzie i na polu jeżeli mają, a francuskie to aby w domu posprzątać i ugotować a w ogrodzie to tylko sami Francuzi sobie robią, ale późni wytykać palcem na Polaków umieją jak się w niedziele ubierze. Że my przy takich waronkach jak obecnie tak dobrze się gospodarzymy, że dzieci i my są w porządku ubrane i obute a oni tego nie mają, mężowie po całych dniach po pracy

i w niedziele pracują w ogrodach i w polu jak ma kawałek kopalnianego, w niedziele to na porządku dziennym robi w polu lub w ogrodzie, chyba wtenczas ma przerwe i spokój jak jest mróz lub psota na dworze. Co zaś do Polaków to są zapatrywania innego, bo jest sześć dni do pracy, a siódmy do odpoczynku i choć trochę się pomodlić i wyjść gdzieś na spacer lub do znajomych w odwiedziny bo nas prosił. I tak się pędza dzień za dniem, więc póki człowiek pracuje i jest zdrów to jeszcze chwała Bogu, bo ma jaką taką nadzieje że jeszcze mu niczego nie brakuje. Tylko że teraz to jesteśmy bardzo przejęci bo nie wiemy co z nami wypadnie bo co dzień to dla nas waronki są gorsze i nic dobrego nam nie wróży.

Bądź który dzień nas mogą zredukować, a na kogo trafi to nikt nie wie bo za małe przewinienia zaraz papiery, a tu ani grosza nie ma na wypadek bo niema z czego odłożyć na wszelki wypadek. Więc przychodzi nam w końcu iść pieszo do Polski, bo konsulaty nie chcą takich kosztów płacić i wysłać do Polski, a jeżeli wyślą to trzeba tam być ze dwa tygodnie na zupce dopiero takich wysyłają, a są i tacy robotnicy co mają trochę grosza, ale im brakuje parę franków na bilety to mu nie dołożą, tylko ich trzymają, a tu żyć trzeba, bo jeżeli jeszcze jest z rodziną to pieniądz jest okrągły to leci a tu co dzień się oszczędności zmniejszają i w końcu przeżyją wszystkie oszczędności i niema się czego uchwycić bo pracy nie dostanie i tak się poniewierają bez dachu nad głową. To też co dzień więcy kradzieży lub po kweście chodzą a jeżeli policyja takich złapie, czy to za kradzież, czy za włóczęgostwo do aresztu go zamkną i zasądzą mu opuścić przymusowo granice Francji, a czy on ma na drogę czy nie to ich nie obchodzi, taki rozkaz przyszedł i musi przymusowo opuścić Francję. A jak nie chce opuścić tylko się ukrywa to jak go złapią to podwójnie karzą takiego i odprowadzą do granicy go sami i marsz a co się z niem dzieje i z jego rodziną to ich nie obchodzi, rodzina się zostaje tylko jego samego odstawiają, taki nas los czeka. Naprzykład ja, pracowałem w Polsce 27 lat w kopalniach pod ziemią. Na kopalni Piaski w Czeladzi w powiecie sosnowickim pracowałem cztery lata to są francuscy kapitaliści, i znów na kopalni Reden, Towarzystwo Polsko-Francuskie, w Dąbrowie Górniczej pracowałem 23 lata. Jak kopalnia Piaski, tak i kopalnia Reden są kapitaliści

francuscy, obcokrajowcy i byłem zmuszony wyjechać tu do Francji za chlebem. I tu pracuje już osiem lat, więc też u kapitalistów francuskich, to zarazem mam przepracowane 35 lat w górnictwie, to teraz aby tu coś sobie zaskarbić lub dojść do tego żebym mógł otrzymać choć pół renty na starość to muszę pracować jeszcze siedem lat, nie wiem czy moje siły i zdrowie pozwolą mi pokonać te siedem lat.

Bo łatwi było przepracować 35 lat jak teraz te siedem lat bo już mam pięćdziesiąt lat i jak mnie nie zredukują to bym może przez siłę jako te lata wyrobił, to bym miał wszystkich lat przepracowanych 42, i to stale pod ziemią i uciążliwej pracy, a jak mnie zredukują przed tem terminem to marny widok ze mną, bo nie będę miał przepracowanych 15 lat tutaj we Francji i nie dostanę nic, bo na te lata w Polsce nie moge liczyć, bo tak niekorzystnie konwencyja zawarta została dla nas przez rząd polski że my są przez to tak pokrzywdzeni, że żadne państwo tak swoich robotników nie sprzedało jak Polska. To jest w kraju kapitaliści obcy wyzyskują polskiego robotnika, ziemie bobrują pustoszą, a kiedy nie ma już nic zostawiają ruiny, ziemię przewróconą do góry nogami, a robotników kalików i dziadów na barki rządu i społeczeństwa. I tak się ma rzecz z nami tu na obczyźnie, bo też nasze siły i zdrowie wykorzystają, a potem kiedy zostaje niezdolny do pracy wyrzucą go bez nijakiego wynagrodzenia, bo nam odtrącają do kasy starości i bierą dość poważną sumę bo 5 i pół procent od zarobku, to już tyle naszych Polaków wyjechało a nikt zwrotu nie otrzymał i tylko poprawiają rente francuskim robotnikom, ale za nasze krwawice, a nam nic nie dają, a przecież kiedy było potrzeba robotników tu we Francji to zażądali od Polski i gdy się brało robotnika to się stawiało trzy razy na komisyje lekarską, pierwsza w Mysłowicach, druga w Tulu, a trzeci raz na miejscu i jeżeli był zdrów to go zostawiono, a jeżeli go na danej kopalni na miejscu uznano za niezdolnego to go zaraz wrócili, wysłali kilku robotników na swój koszt bo się zaczęli upominać o swoją strącke co ostatnie transporta przyszły w przymusowe, więc szanowni rodacy pomyślcie sami jaki mnie los czeka. Iść do Polski pieszo. Jeżeli się rząd zawczasu nie upomni o naszą krzywde, i jak sobie to będzie odkładał te sprawe palącą zaraz do załatwienia na naszą i rządowi i całemu społeczeństwu sprawy bo to

później ma ciężar rząd i społeczeństwo. Nadzieja na przyszłość jest nie korzystna i złe nam wróży, a jak się dostaniemy do swojego kraju to zrobi tylko ciężar Ojczyźnie. Ja jako tyle przepracowałem już pod ziemią to powinien mieć przyszłość zapewnioną i resztki lat spędzić pod prawdziwem słońcem i prawdziwem powietrzem, nie oddychać sztucznem powietrzem a naturalnem tego tylko pragne i pragne powrócić do swojego kraju i do swoich ażeby resztki lat spędzić z zadowoleniem. Więc proszę was panowie, jeżeli macie jaką możność wydostania się z tej przepaści nad którą my się znajdujemy to poruszcie te sprawe gdzie uważacie jest najlepiej w rządzie, i przyśpieszcie nam na czas z pomocą, którzy wyciągamy do was ręce o pomoc w tej ciężkiej palącej sprawie. Jeżeli wam na tem zależy to jak najprędzej, póki czas, bo nas co dzień to gorzej traktują. Życzę wam panowie powodzenia w tej sprawie, a w przyszłości to wam wypisze swój życiorys a to będzie ładna powieść, tylko proszę szanownego komitetu, żebyście się czasem nie śmiali z mojego pisania bo ja mam rękę ciężką i ręka mi się trzęsie to pomału pisać nie moge a znowuż pisze troche prędzej to troche niewyraźnie, ale jak umię tak piszę. Więc życzę wam szanowni panowie dobrego powodzenia.

1932 r.

Pamiętnik Nr. 3

Żona górnika z Jaworzna, woj. krakowskie (ur. 1904 ?).
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.).

W Zagłębiu krakowskiem w małem miasteczku Jaworzniu żyła tam rodzina składająca się z jedenastu osób to jest dziewięcioro dzieci i rodziców, było nas pięć dziewczynek i czterech chłopców, mieszkanie mieliśmy tylko pokój i kuchnie to były zarazem sypialnie i jadalnie wszystko tak sobie razem. Z dziewczynek ja byłam najstarsza ale nazywali mie małą Ludwisią nie wiem dlaczego przecie byłam dosyć rosła a przytem bardzo wesoła, miałam blond włosy i niebieskie oczy. Sąsiady mie bardzo polubili bo lubiałam każdemu usłużyć zdarzało się że któryś z sąsiadów posłał mie po wódke. Przyniosłam i to się jeszcze śpieszyłam bo wiedziałam że dostane za droge pare halerzy gdyż takie mieliśmy pieniądze, innym razem a przeważnie w niedziele po południu zebrała się gromadka mężczyzn i aby sobie czas przepędzić grali w karty, przy kartach zawsze coś potrzebowali, nie było kogo posłać więc wołali mnie. Ja nigdy nie odmówiłam polecenie spełniłam a co najważniejsze wydatek dobrze przyniosłam a gdy ukończyłam lat siedem otrzymałam kartke do szkoły to już radości nie było końca tak się cieszyłam że pójde do szkoły będe się uczyć pisać czytać szyć malować wszystko wszystko, co tylko w szkole uczą. Miałam również rówieśnika w tem samem wieku co i ja, on też otrzymał kartke do szkoły, zamiast się cieszyć to płakał, śmiałam się z niego i pytałam czego beczy, to mi jeszcze smary dał. W szkole uczyłam się dobrze, zadania odrabiałam w porządku ale się już skończyło moje hasanie teraz musze się uczyć aby pani nauczycielka była ze

mnie zadowolona i tak też było. Ukończyłam szkołę ludową później chodziłam na szkole uzupełniającą dwa razy w tygodniu. Prosiłam rodziców aby mię dali do większych szkół bo ja tak chciałabym być nauczycielką ale matka się nie zgodziła. Moje koleżanki są na wyższych szkołach a ja biedna nie miałam tego szczęścia. W domu rozkoszy nie miałam bo już od młodych lat musiałam pracować a co prawda to rodziców dobrych nie miałam bo wcale o dzieci nie dbali a mie niby to lubieli ale często mię bili i poniewierali a za byle bądź przewinienie byłam bita nie wiem czemu. Otoczenie w którem się znajdowałam było ze mnie zadowolone ale rodzina nie. Pamiętam jeden raz matka mie posłała po wode może miałam ze dwanaście lat i nie mogłam wody nabrać bo przed studnią stał wóz i nabierał wode do beczek więc musiałam czekać, za to żem była długo dostałam takie lanie, że go nigdy nie zapomne. Chorowałam potem dosyć długo obkładali mię i smarowali ale po lekarza nie szli. Wtenczas już straciłam nadzieje do wszystkiego, niczego mi się już na tym świecie nie chciało nawet mówiłam do moich koleżanek że ja bym chciała umrzeć bo u aniołków będzie mi lepiej. Nie pamiętam już tak dokładnie jak długo byłam chora, a dwa miesiące musiało być. Teraz przychodzi 1914 rok który pamiętam jak dziś, wszyscy mężczyźni dostali zawiadomienie że mają wyjeżdżać na wojne bo się zaczyna wojna. Ja nie wiem co ja miałam w sobie że się tak wszystkiem interesowałam, nawet się cieszyłam że mój ojciec też pójdzie, bo już mnie nie będzie bił, niech bije nieprzyjaciela a nie własne dziecko, ale moja radość była wczesna, mój ojciec nigdzie nie poszedł. Ja zebrałam się z moimi koleżankami i odprowadziliśmy naszych bohaterów do stacji ubranych w kwiaty i zielenie, orkiestra im przygrywała, płakać mi się zachciało na ich widok jak się żegnali z matkami z żonami i z synami i z córkami a do mojej młodziutki główki wkradły się jakieś myśli dlaczego to mój ojciec nie idzie z bronią w ręku i zdawało mi się że wszyscy dobrzy ludzie idą a źli ludzie zostają. Później się dowiedziałam że ojciec nie był poborowy więc wtenczas zaczęłam myśleć, mój młody mózg zaczął pracować i przysięgłam sobie w duchu że o ile kiedyś wyjde zamąż to tylko za człowieka wojskowego. W pietnastym roku życia zrobiłam się dziewczynką poważną, zapisałam się do koła śpiewu którem to kołem kierował organista pan Starczyński, chodziłam na lekcje śpiewu. Było nas

kilkanaście ćwiczyłyśmy się i śpiewały na chórze w kościele i na uroczystościach. Byłam z życia zadowolona ale tylko poza domem, tak samo byłam w kole amatorek grałyśmy przedstawienia pod przewodnictwem księdza. Uczyłam się role i grałam przedstawienia, byłam wszędzie lubiana bo byłam wesołego usposobienia. Gdy z domu wychodziłam na próby zawsze miałam nieprzyjemności, wtedy różne roboty wynajdowali dla mnie a to wody niema a węgla przynieść a to zrób i tak stale abym tylko spóźniła na próbe ja się jednak ze wszystkiem śpieszyłam aby na czas przybyć. Ja bardzo kochałam śpiew i teatr, przedstawienia grałam w naszem miasteczku w domu katolickim dom ten nazywał się przyjaźń. Co to za rozkosz była dla mnie gdy znajdowałam się między przyjacielami, każdy do mnie łagodnie przemówił i ze szczerego serca, byłam wesoła ale tylko razem z memi koleżankami a gdy wracałam do domu to już nie byłam tą wesołą bo wiedziałam że za kare nie będe mieć kolacji że musze iść głodna spać a przy tem może się co memu ciału dostanie gdyż tak często było bo mi nigdzie nie pozwolili wychodzić i do niczego należeć a ja nie mogłam żyć w takiej męczarni więc się pokryjomu uczyłam ale to się zawsze wydało i wtedy moja skóra ucierpiała więc robiłam się na wszystko obojętna obowiązki domowe wykonywałam dobrze ale w głowie plan układalam co zrobić z domu uciekać, czyż idzie dłużej wytrzymać w takiej męczarni? Ale ja od rodziców nie pójde nigdzie bo ja ich kocham więc będe cierpieć a domu nie opuszcze ale stało się inaczej. Za namową innych dziewcząt wyjechałam za pracą do Oświęcima tam rozpoczynali budowe baraków więc prosiłam Boga aby mię tylko przyjęli. Cała gromada dziewcząt i mężczyzn ciśli się najbliżej aby zostali przyjęci, a było wszystko rosłe tęgie więc takich potrzebowali, ale ja nigdy nadziei nie traciłam byłam ubrana nienajgorzej więc wszystkie oczy były zwrócone na mnie a jeszcze wydawało mi się śmiesznie bo stanęłam sobie na dużym kamieniu abym była większa nicht uwagi na to nie zwrócił ale za to dozorca zobaczył z daleka dużą osobe więc kiwnął na mnie palcem abym się do niego zbliżyła. Zarumieniłam się cała serce biło jak młotem przesunęłam się przez cały kordon więc teraz nastanie chwila rozstrzygnięcia, zostane przyjęta lub nie, gdy stanęłam przed dozorcą wszyscy zgromadzeni wybuchnęli głośnym śmiechem a mnie to jeszcze bardziej onieśmielało. Zmierzyłam wszystkich

ostrym wzrokiem i stanęłam przed dozorcą śmiała i patrzałam mu prosto w oczy, po jego minie widziałam że i on się śmiał, ale się z tem nie zdradził chwycił mię za brode podniósł do góry i patrzał mi w oczy, to znów na włosy a nareszcie jego oczy spoczeły na moich rękach a ja stałam jak na rozżarzonych węglach, teraz wszyscy oddech wstrzymali i ze zdziwieniem to na mnie to na dozorce patrzeli a ten jakby na złość ust nie otwierał, ale nareszcie przemówił: ta mała zostanie przyjęta! Co za radość ale słowo mała mnie zasmuciło przecie byłam kiedyś mała ale dziś jestem już panna bo do szkoły nie chodze, jednak wnet o tem zapomniałam, pare nas Jaworzanek zostało przyjętych do pracy. Oglądamy się teraz aby sobie wyszukać jaką kwatere. Jest nas pięć a wszystkie się zgodziemy. Znalazłyśmy miejsce za rzeką Sołą, kobieta nas z otwartemi rękami przyjęła bo miała męża brutala więc z nami było jej weselej. Wieczorem po kolacji uklękłyśmy wszystkie do modlitwy, mówiłyśmy pacierz Ojcze nasz, zdrowaś Maryo i t. d. Mówiłyśmy na głos wszystkie razem a na koniec odmówiłam Aniele Boży stróżu mój ty zawsze przy mnie stój, jak we dnie tak w nocy bądź mi zawsze do pomocy Amen. Po skończonej modlitwie udałam się na spoczynek ale spać nie mogłam myślałam o domu o moich siostrach braciach a najwięcej o rodzicach co oni tam robią, złoszczą się żem dom opuściła ale nie czas na myślenie trzeba spać bo jutro do pracy, pierwszy dzień rano wstałam o godzinie czwartej bo do pracy daleko, szłyśmy przez miasto Oświęcim dobrą godzine ale tylko pare dni później zmierzyłyśmy rzeke Sole jaka jest głęboka i droge sobie obróciliśmy co rano i wieczór przechodziliśmy przez rzeke, była dosyć głęboka ale miejscami można było śmiało przechodzić a cośmy miały śmiechu bo sukienki trzeba podnosić do góry a ja się bardzo wstydziłam ale cóż kiedy przez rzeke trzeba przejść więc trzeba suknie do góry podnieść co też uczyniłam. Przez rzeke chodzić było niebezpiecznie, jeden raz rzeka przybrała i topiłyśmy się ale całe szczęście że to było przy brzegu rzeki więc robotnicy pośpieszyli nam z pomocą. Prace miałam niebardzo ciężką i zarabiałam ładnie, na budowie mię też polubili czego mi inne zazdrościły więc przepracowałam jeden tydzień, w sobote dziewczęta brały zaliczki i jechały do domu na niedziele ja nie jade, po jedno że się obawiam razów a po drugie by mnie już nie puścili więc zostałam, niedziele spędziłam w Klasztorze modli-

łam się i prosiłam Boga o zdrowie dla rodziców. W poniedziałek dziewczęta wracały do pracy, każda jakąś nowine sobie przywiezła a i mnie pozdrowienie z domu przywiozły, ach jak się ucieszyłam i nie mogłam się drugiej niedzieli doczekać aby dom rodzicielski odwiedzić. Wypłate otrzymałam ładną, miałam dużo pieniędzy dziś trudno sobie zapamiętać ile to było, jednem słowem duża suma. Poszłam do pana kierownika i prosiłam aby mi wyrobił zniżke na bilet kolejowy co też uczynił bo ja byłam bardzo oszczędna więc pragnęłam jak największą sume przywiść do domu aby rodziców zadowolić, gdy w sobote odjeżdżałam kupiłam trochę łakoci siostrom aby z próżną ręką do domu nie wejść, gdym do domu weszła radości nie było końca, zarobione pieniądze oddałam matce, obiecali mi nawet nową sukienkę kupić i ojcu przynieśli coś wypić bo lubiał często gardło przepłukać. W niedziele rano było w moim zwyczaju iść do kościoła, więc wstałam wcześnie pomogłam matce w gospodarstwie domowem i ubierałam się aby zdążyć na msze świętą. Ubierałam się skromnie, latem lubiałam nosić białą sukienke w której mi było do twarzy, włosy nosiłam splecione dwa warkocze i okręciłam sobie na około głowy tak zwane grantke, byłam zadowolona bo jestem w swojem rodzinnem miasteczku widze wszystkie twarze znajome, jest mi wesoło ale tylko niedziela bo w poniedziałek trzeba jechać pracować. Jakże dzisiaj ze smutkiem wspominam te moje przejścia ale pracowałam z ochotą, wypłaty oddawałam na życiu oszczędzałam żeby nie przejeść dużo. Miałam bilet kolejowy ulgowy i na to sobie nie pozwoliłam tylko na niedziele przychodziłam pieszo z Oświęcima do Jaworzna taki kawał drogi. Była to wielka odwaga bo zdarzało się nieraz w lesie że która przechodziła sama to ją okradli i niegodnych czynów się dopuszczali. Ja Bogu dziękuje że mie coś podobnego nie spotkało bo sama nigdy nie szłam i tak pracowałam pare miesięcy, po skończonej pracy czytaliśmy książki pisałam kartki do znajomych a najwięcej lubiałam śpiewać, co do śpiewania to może nie miałam głosu ale stale śpiewałam nawet przy robocie w czasie śniadania lub obiadu gdzie ja usiadłam tam się wszyscy gromadzili aby posłuchać moich figlów ale mi się już sprzykrzyła ta praca więc oznajmiłam moim koleżankom że przestane tutaj pracować bo mi rodzice nie pozwolą co wcale nie było prawdą i na ostatek zaśpiewaliśmy sobie piosenke przez nas ułożoną. Baraki, baraki te pań-

skie pałace niejedna dziewczyna nad niemi zapłacze, niejedna zapłacze niejedna zaśpiewa bo się w każdym razie nieszczęścia spodziewa. Często się zdarzało że któraś została ranna przy tych barakach więc się nam piosenka udała. Była modna nawet dla muzykantów.

Teraz siedze w domu jestem już panną więc szukają mi męża bo nie chcą abym została starą panną, com usłyszała, wszystko puszczałam koło uszu, nie chciałam o niczem słyszeć bo mnie jeszcze męża nie trzeba. Chodziłam dalej na kursy, grałam nadal teatr, w tem się kochałam i to było dla mnie więc tak upłynęło kilkanaście miesięcy. Poznałam jednego młodzieńca gdy przyszedł pare razy do nas matka daje do zrozumienia że już czas bo siostry rosną to się musze z domu usunąć bo z dziewcząt jestem najstarsza. Nawet czasem doszło do kłótni, wszystko znosze cierpliwie, młodzieniec był to ładny chłopiec oczy czarne włosy czarne wysoki łagodny, nawet go polubiłam. W tym to czasie pożyczywałam książki z biblioteki bo bardzo lubiałam czytać więc zawsze miałam pare książek w domu. Gdy wracałam z próby młodzieniec już w domu czekał, przywitałam go grzecznie i żeby go czem zająć opowiadałam co się uczemy a nareszcie przyniosłam książki, porozkładałam na stole i zachęciłam do czytania. Podałam mu książke Sienkiewicza i mówie że to jest ładne czytanie a matka siedziała koło pieca i tylko głową kiwała i mówi do mnie, tyś głupia, książki to dla małych dzieci a nie dla ciebie dziwo, wstyd pisać takie słowa ale to prawda i tak spędzaliśmy wieczory na różnych pogadankach, ja go szanowałam jak brata a on mie jak siostre a pozatem nic więcej. Matce się to nie podobało i często robiła mi wyrzuty dokąd to tak będzie? Ja pytam co mam robić? Matka powiada że czas na mnie wyjść zamąż, ja odpowiadam że nie mam za kogo. A ten co chodzi to niełądny? Tak jest ładny może będzie i dobry ale to nie dla mnie, ja go kocham jak brata a nie jak — nie dokończyłam bo dostałam jednego szturchańca to już było na porządku dziennym więc myśle sobie kiedy jestem w domu zawadą, poszukam sobie pracy, podług sprawiedliwości to pracy w domu było dosyć, dochód nie najgorszy ale nie było dobrej ręki do prowadzenia tylko stale kłótnie. Mnie się to już sprzykrzyło więc szczęśliwa byłam poza domem, poza miasteczkiem Jaworznem. Zaczynali budowe koszar w Szczakowej więc się tam udałam i prace otrzy-

małam. Wybrano nas pare dziewcząt do auta ciężarowego więc szofer jeździł z nami na stacje po cegłe, nakładałyśmy na wóz i przywozili na budowe, była to praca ładna jak się na nią patrzało ale kto ją robił to wie jak to jest cały dzień ręce w ruchu w jedną i w drugą strone, jak przyszłam do domu to rękami ruszać nie mogłam a dłonie jakie miałam pokaleczone od cegły to się nie będe rozpisywać bo każdy wie że cegła jest ostra więc aby moim rękom ulżyć i żebym bólu nie odczuwała przy pracy zrobiłam sobie takie klapki ze skóry na ręce. Było niewygodnie ale cegła nie dotykała rąk. Pracowałam całe lato, z domu wychodziłam o godzinie pół do piątej bez śniadania, prace zaczynałam od szósty rano do szóstej wieczór. Jak byli w dobrym humorze to obiad przynieśli a jak nie to się śline połknęło i było dobrze. Jak inne matki przyniosły swoim córkom obiad tom się odsunęła na bok aby się nie zdradzić że nie mam obiadu. O ile był chleb w domu to sobie nieraz wziełam ale suchy bo dzieciom nasza matka nigdy chleba nie smarowała, zawsze jedliśmy suchy, kawa lub herbata do tego to było śniadanie i na kolacje a na obiad to zawsze jedliśmy kapuste ziemniaki i tak zwany żur, a jakie to było dobre bo nigdy nie było dosyć to smakowało. Ja pomimo pracy i niewygody w domu humoru nigdy nie traciłam, między ludźmi byłam zawsze żywa, niektórzy myśleli że się mam bardzo dobrze ale byli i tacy którzy się znali na mnie, wiedzieli co się w mojem sercu dzieje i tak znów zeszło pare miesięcy. Zimową porą zostałam wybrana przez związek robotników z Jaworzna jako delegatka i miałam z innemi delegatami jechać na zjazd do Cieszyna, zapłacą mi podróż i utrzymanie abym tylko jechała więc w domu rodzicom oznajmiłam co mię za zaszczyt czeka i przy tej okoliczności zwiedze Cieszyn. Byłam uradowana, rodzice jednak nic na to nie odpowiedzieli źle czy dobrze, myślałam że i oni są zadowoleni i pojechałam. Zjazd odbył się w hotelu pod jeleniem, delegacje zjechały się z całego kraju, może nie miałam najmniejszego pojęcia w tych sprawach ale chodziło o to abym tam była, a gdy przyjechałam do Jaworzna cóż mnie za niespodzianka w domu spotyka, już się na stacji dowiedziałam musiałam się wstydzić za mego ojca że mało w umyśle był rozwinięty, jak na początku zaznaczyłam pracowałam sama na siebie, kupiłam sobie nowe buciki ale jeszcze na nogach ich nie miałam bo to na święta więc te buciki ciężko

przeze mnie zapracowane były pomszczone a cóż one były winne? Podeszwy całe pozrywane a tylko zostały same wierzchy i rzucone pod moje łóżko. Szkoda pisać takich rzeczy bo to były głupie maniery ale tak było więc i to należy do pamiętnika. Znów do mnie nienawiść w domu, nie można wytrzymać trzeba się oglądać za jakiem zajęciem, w tym to czasie u nas w Jaworznie był konsum i piekarnia i tam pracowało pare dziewcząt ale tylko za jakiemiś protekcjami, nie mogłam się tam dostać, prosiłam nawet kierownika aby mię przyjął, odpowiedział nadałabyś się do klejenteli ale nie ma placu szkoda więc może do piekarni, jak wiadomo wszystkim do chleba wtenczas dodawali gotowane ziemniaki a tą ziemniaczarnie miała pod sobą pani Gutmanowa niemka, mówiła po polsku ale kiepsko więc się do niej udałam i zostałam przyjęta. Strugałyśmy ziemniaki, gotowały w kotłach i utłuczone na miałko nosiłyśmy do piekarni ale jakże mi ta praca zbrzydła a najgorzej było do piekarni iść, tego się bałam bo piekarze lubili figlować z nami, ja tego nie lubiałam. Z początku jednak wszystko cierpliwie znosiłam bo lepiej było milczeć a pracować niż w domu przekleństwa słuchać, jednego razu miarka się przebrała już mi było tego zadużo, jeden z pomocników uszczypał mię w pierś ja się bardzo zawstydziłam wymierzyłam mu policzek i więcej do pracy nie szłam i spędzam całe dnie w domu. Mój brunecik mnie dalej odwiedza, pracował na kopalni Kościuszce, do mnię miał blisko więc często mnie odwiedzał, w tym to czasie wojna się już skończyła i mamy wolną i niepodległą Polske. Dziwno mi to wszystko wydawało jak się to stało, wszędzie widze napisy polskie, przyleciałam z radością do domu, dziele sie z nimi tą wiadomością że już mamy Polske, skakam tańcze i sama nie wiem co robie, przecie tak długo się uczyłam w szkole chociaż byliśmy pod zaborem zawsze nas uczyli że przyjdzie kiedyś wolna i niepodległa Polska i tak się stało. Ja się najbardziej cieszyłam bo co najważniejsze chłopcy przyjdą z wojny, ha doczekałam się przecie raz teraz sobie wybiore to czegom pragnęła w skrytości bo ja tylko marzyłam o tem abym męża dostała wojaka. Chociaż jeszcze byłam młodem dziewczęciem jak się wojna zaczeła ale widziałam jak dzielnie kroczyła nasza młodzież ze śpiewem na ustach aby wywalczyć wolność więc takiego pragne męża bo jak nadstawiał piersi i walczył o wolność tak dalej będzie walczył aby swojej rodzinie

zabezpieczyć dobrobyt. Upłynęło kilka miesięcy i do Jaworzna przyjeżdżało masa robotników aby otrzymać pracę bo jest tam pare kopalń więc prace można otrzymać a także prywatnie też pracowali gdzie kto mógł tam się chwytał aby tylko na życie zarobić. Ja byłam w domu prałam szorowałam starałam się aby porządek w domu panował ale po skończonej pracy wychodziłam sobie czasem na spacer. Było ciepło, słoneczko przygrzewało więc głowe okręciłam szalem jedwabnym wzięłam książke ze sobą bo na świeżem powietrzu miło mi było czytać, przechodziłam główną ulicą, po drodze spotykałam moich przyjaciół każdy oddał grzeczne słowo a ja z uśmiechem na ustach odpowiadałam i podążyłam w kierunku naszego pola, które to matka sprzedała a teraz tam budowali obcy ludzie ładny budynek. Serce mi się ściskało na ten widok jak można się było pozbyć takiego ładnego kawałka ziemi mając dzieci. Tam było ulubione moje miejsce więc tam podążyłam. Ruch panował tam wielki, pracowali dziewczęta kobiety a także i mężczyźni. Moja obecność zainteresowała wszystkich i pytał jeden drugiego co jestem za jedna, a jeden z nich wyrwał się z głosem chłopcy! ta panna co tu przechodziła to będzie moją. Wszyscy się z niego śmiali a on: ja ją pierwszy zauważył i to coś dla mnie, głupiś powiada jego kolega ja ją znam, jej ojcowie nie wydadzą ją za chłopa ze wsi, to już zależy od niej samej, nawet się założyli o kolejke ale jak się później okazało kolega przegrał. Pracowali tam chłopcy Jaworskie a także z innych stron a pare było ich od Tarnowa. Ten to od Tarnowa od pierwszego razu zakochał się we mnie, ja o tem nie wiedziałam, dostąpić do mnie nie miał śmiałości bo był nie tutejszy. Raz przechodząc ulicą ukłonił mi się, ja widze że to nieznany kiwnęłam głową i zarazem wzrok mój złączył się z jego wzrokiem łagodnym. Od tego czasu coś się we mnie obudziło. Jakoś mi się dziwno na sercu robiło, zaczęłam myśleć co to mógł być za jeden. Już nie mogłam sobie znaleźć spokoju dlaczego? przecie to obcy człowiek ale mi się jakoś spodobał bo miał halerską czapke na głowie. Upłyneło pare dni szłam z kościoła i znów to spotkanie, a był koniec października 1921 rok. Już wiedział gdzie mieszkam, jak się nazywam, no i że mam jednego amanta i sama nie wiem kiedy się znaleźliśmy koło mego domu. Podał grzecznie ręke na pożegnanie i prosił czy może przyjść wieczorem, jak sobie pan życzy odpowiedziałam. Spójrzał na mnie uśmiechnięty co mu

było bardzo do twarzy, przyrzekłam mu pare minut towarzyszyć, gdym weszła do domu byłam bardzo zadowolona bom znalazła człowieka który mnie ze snu obudził ale się nie zdradze przed nikim. Wieczora się nie mogłam doczekać jaki ten dzień jest długi ale nareszcie przyszła oznaczona godzina, nastąpiło spotkanie, pare serdecznych słówek, oczy nasze wpatrzone w siebie. Wszystko za nas mówiło, moje ręce wziął w swoje miłe ciepłe ręce może nawet za gorące, ja wtem oczy spuściłam bo i mnie się jakoś ciepło zrobiło serce zaczęło bić głośno, przytulił mię do siebie i w zapomnieniu złożył pierwszy pocałunek na moich ustach. Zapomniałam o moich zmartwieniach już mie nic nie obchodzilo co się koło mnie działo, byłam szczęśliwa bo jestem przy boku człowieka który w swojem życiu różne chwile przechodził. Po skończonej służbie wojskowej przyjechał za pracą do Jaworzna, postanowił pracować na życie i aby się troche okryć. W tym to czasie jesienią poznaliśmy się, początkowo nasze spotkania ukrywałam przed rodzicami ale tylko pare dni bo dłużej mi się nie udało a to dlatego że w mojem pierwszym przyjacielu zbudziła się miłość do mnie a tak przecie nie mogło być, więc teraz byli rywalami. Postanowili spotkać się razem ze mną to się sprawa rozstrzygnie. Pamiętam jak dziś był ładny pogodny wieczór, księżyc świecił w całej pełni było widno jak w dzień. Ja nic nie przeczuwała na co się zanosi. Byłam wesoła czekałam na mego narzeczonego a zamiast jego widze kolege mego przyjaciela, który mię z domu wywołał przed dom że mi ma coś powiedzieć. Ja bardzo ciekawa jak każda dziewczyna wyszłam, za chwile dołączył się do nas kuzyn mego przyjaciela, służył przy wojsku w randze plutonowego a wtenczas był na urlopie. Za chwile przychodzi moja koleżanka z którą się nigdy nie rozłączałam i tak gawędziemy, śmiejemy się jak to młodzi gdy wtem zauważyłam sylwetke dobrze mi znaną to jest ten którego skrycie wybrałam na męża. Tkneło mię złe przeczucie, nastało powitanie jakby najlepszych kolegów a przecie się wcale nie znali. Wtedy moja koleżanka trąciła mię nogą dając do zrozumienia na co się zanosi. W pięć minut później nadszedł mój przyjaciel ale jakiś dzisiaj wyglądał więc aby pomówić w oczy prosił abyśmy od domu odeszli kawałek, żeby rodzice nie słuchali i tak wszyscy razem idziemy pod górke, przyjaciel z jednej a narzeczony z drugiej strony. Było mię wstyd że mam tyle świadków

bo na co to było ale niech i tak będzie. Staneliśmy na szerokiem placu i tam było rozstrzygnięcie. Wypowiedziałam się otwarcie że dalej czekać nie będe bo czas mój nadszedł więc nastała chwila milczenia i wolnym krokiem szłyśmy ku domowi. Wszyscy się rozeszli, ja zostałam z moją koleżanką, jestem milcząca bo głowe mam myślami zajętą co teraz będzie. Już wiedziałam co mię czeka w domu ale wola boska, tak dłużej być nie może bo w domu za ciasno, jestem zawadą. Przed samemi świętami Bożego Narodzenia przeze mnie wybrany człowiek prosił rodziców o moją ręke, zgodzili się ale co za męczarnie w tym czasie w domu przechodziłam. Dokuczali mi śmiali się ze mnie że mam chłopca ze wsi i różnie wyzywali, nie mogę wszystkiego opisać. Znosiłam wszystko cierpliwie, dostałam smary od ojca za to że jestem narzeczoną chłopca ze wsi a mnie się bardzo podobał, miałam sińce po całem ciele a najwięcej na szyi więc szyje zawinełam szalem aby to ukryć, jednak jakoś zauważył ja się śmiałam, mówię że to są sińce mojej miłości on jednak myślał poważnie i częściej chwile ze mną spędzał. Byłam przy nim szczęśliwa, przywykliśmy do siebie i tak żeśmy daleko zaszli że nawet zgrzeszyliśmy, był to grzech mojej pierwszej miłości który potem odcierpiałam. Wesele nasze odbyło się w lutym 1922 roku. O weselu się nie rozpisuje tylko dodam że prawie do północy byliśmy z mężem w ochronce u siostrów bo mnie prosiły abym ich odwiedziła w stroju ślubnem co też uczyniłam, nawet otrzymaliśmy obrazki pamiątkowe które do dzisiaj mamy. Ja teraz jestem zadowolona bo mam męża i to do mego gustu ale znów jedno zmartwienie bo niema pracy, budowa skończona więc trzeba szukać inną, prosiłam ojca aby szedł na kopalnie i prosił o prace dla męża. Ojciec poszedł ale przyjąć nie chcieli, powiedzieli mogliście nie brać zięcia bez pracy i tu znów moja wina znów wyrzuty i wyzwiska, cierpie truje się, radzimy z mężem jak by to było lepiej nareszcie mąż poszedł sam prosić o prace do pana kierownika bo taki urząd piastował, dziś już jest większym. Mąż stanął przed nim i prosi o prace, ten spojrzał ostrym wzrokiem bo taki już ma wzrok, pyta ile lat, mąż powiada 24-ty, niema pracy, gdzieście pracowali dotychczas idźcie i teraz, mąż mówi że nie może bo już po wojnie, ten go zmierzył i mąż przyszedł z niczem. W roku 1915-tym był mąż zaciągnięty do wojska a wrócił 1921 roku więc trudno takim było o prace ale po upływie dwóch miesięcy

mąż prace otrzymał, na innej kopalni pracował. Jesteśmy szczęśliwi we dwoje a gdy tak upłyneło kilka miesięcy poczułam że zostane matką a tu w domu ciasno, mieszkania trudno otrzymać a jak się trafi to za drogie i tak idzie miesiąc za miesiącem, w domu dokuczają, robić wszystko kazują choć już chodzić nie mogłam ale do ostatniej chwili pracowałam aby gniewu nie ściągać na siebie a gdy wydałam na świat chłopczyka którym my się bardzo ucieszyli wtenczas mnie jeszcze bardziej nie lubieli. Jedna siostra i brat odnosili się do mnie wrogo tak że nieraz przyszło do bitki bo sobie nie pozwoliłam urągać mężem lub dzieckiem ale słyszeli jak ojciec wyzywał na mnie i dokuczał, nieczyste słowa wołał na mnie więc rodzina tak samo postępowała. W niedługim czasie mąż został powołany na ćwiczenia wojskowe które odbywał w Wadowicach, zdaje mi się że ośm tygodni, ja się już lękałam bo wiedziałam co mnie czeka jak męża przy mnie nie będzie to mnie już zamęczą. Mąż na ćwiczeniach a ja z dziecięciem w domu, co wtenczas ucierpiałam to tylko jeden Bóg wie to już zostawie przy sobie, gdy mąż ćwiczenia ukończył postanowiliśmy się z domu wyprowadzić. Kopalnia dała nam mieszkanie w Szczakowie w tych koszarach przy których kiedyś pracowałam, mąż miał daleko do pracy ale innej rady nie było więc się wyprowadzamy ale z niczem bo nam nawet obrazu świętego nie chcieli dać a mieli ich z dziesięć. Było mi przykro dom rodzicielski opuszczać chociaż nic dobrego w nim nie zaznałam więc z dziecięciem na ręku poszliśmy do nowego mieszkania jak wygnańcy, już ani raz do domu nie poszłam ani mój mąż. W Szczakowej my niedługo mieszkali bo mąż bardzo mało zarabiał tak że nam ledwo na życie starczyło a tu trzeba pokupić potrzebne rzeczy a niema zaco. Już się nam bieda dała we znaki znikąd niejakiego poparcia ani pomocy, pobraliśmy się z miłości, ja nie mam nic mąż nic. Musiemy liczyć na własne siły. W tym czasie werbowali ludzi do Francji, więc postanowiliśmy wyjechać za chlebem aby sobie bytu poprawić a przytem może i na czarną godzine troche grosza odłożyć. Dziecie nasze ma dwa lata więc szykujemy się do podróży. Przyjechaliśmy do Mysłowic, ruch tam panował wielki wszędzie pełno kobiet dzieci, widze twarze smutne i wesołe, stanęłam sobie na boku i przyglądam się wszystkiemu, w tem przychodzi jeden pan do mnie i powiada że ja nie pojadę do Francji. Byłam młoda ale bardzo zniszczona, czemu bym miała nie jechać do Francji

z mężem? Ja dobrze wiedziałam co mi jest ale przed obcem człowiekiem nie powiem, później się okazało że to był lekarz więc oddał mię w ręce akuszerki która mię zbadała i wydała świadectwo że moge jechać. Już w Mysłowicach miałam zdarzenie, na sali były łóżka piętrowe więc na dolnem łóżku dziecie ułożyłam a sama zaś usiadłam bo spać nie mogłam a mąż po całodziennym załatwianiu formalności był zmęczony więc się ułożył na górnem posłaniu i usnął snem twardem, wtem do sali wchodzi porządkowy i dalej budzi męża że się ma stąd wynosić bo tu same famielie, ja mówie że ma go zostawić w spokoju bo jedzie z żoną, gdzie? gdzie? jego żona, stoi przed panem, nie uwierzył męża ściągnął z łóżka i wnet byłoby doszło do bójki ale widział że się pomylił więc przeprosił. Jutro ma nastąpić wyjazd do Francji. Boże! czegoś się boje, słowa nie moge przemówić bo mi coś za gardło ściska. Jakoś mi żal opuszczać Ojczyzne ale niech się dzieje wola boża, cała spłakana z dzieckiem na ręku, prowadzą nas po jakiś schodach jakiemś tunelem na stacje. Ja ide jakbym szła na śmierć. Przyszliśmy na stacje, narodu pełno ruch krzyk czekają na wagony ja też czekam, wszyscy patrzą na mnie, słychać gwizdki wagony nadchodzą, nastaje ciśba wszyscy chcą naraz wejść do wagonów. Ja stoje na boku i myśle sobie może by się wrócić, już prawie wszyscy wsiedli tylko pare osób kręci się po peronie. Mąż bagaże już umieścił więc mam siadać do takich wagonów? Boże ja myślałam że będzie jakie siedzenie a tu wagony takie co bydło wożą. Zaczełam płakać nie chciałam wsiadać bo bym chciała mieć troche wygodniej, bo jestem nie sama jedno na rękach a drugie w łonie, a Francja daleko ale jakoś my się ułożyli, na koszach rozłożyliśmy poduszki i zrobiliśmy takie Adamowe łoże. W tym wagonie byliśmy cztery famielie a my najmniejsza i tak ruszyliśmy do Francji. Prowianty dali nam na droge, kiełbasy tośmy wieszali w drzwiach wagonu bo było ciepło to się nam popsuła więc była na parade, całą droge byłam smutna, łzy to mi same z oczu leciały bo jade w nieznany kraj i nie wiem co mie czeka. Tak przyjechaliśmy aż do Tulu, myśleliśmy że to koniec naszej podróży ale gdzie tam pojedziemy dalej wieczorowym pociągiem, więc wysiadamy, było na czas rano, prowadzą nas do baraków idziemy pieszo może ze dwa albo i więcej kilometrów, ja niose dziecko mąż walizke to znów mąż dziecko a ja walizke i tak się zmieniamy i nareszcie już my są, wprowadzili nas do baraki, tam już było ludno,

po tygodniu niektórzy tam czekali. Stały tam jakieś prycze ale nie było miło na nich usiąść były brudne, obiad także dali kto miał smalec to się najadł, konserwy też dawali, niektórzy wcinali ino im się brody szkliły, wieczorem idziemy do stacji, nas przeznaczyli na kompanie Kurier więc tam jedziemy, teraz mamy wygodniej siedzieć jest dosyć przestronno bo nas podzielili jedni tu drudzy tam i tak przyjechaliśmy do Billy Montygni na grand biuro stąd rozwożą nas na kopalnie. Przyjechaliśmy tu za kontrachtem na koszt pracodawcy więc nas przeznaczyli na kopalnie Nr. 21. Była to prawie niedziela, w Billy Montygni był wielki jarmark bośmy tam właśnie przejeżdżali autem ciężarowym, na wszystko z ciekawością patrzałam takie obce a co najgorsze było dla mnie to napisy które mijały przed oczami a nie umiałam ich przeczytać. Jechaliśmy przez miasto Harnes i dojechali na kopalnie Nr. 21, tam była duża kolonia. Jesteśmy więc na tej kopalni, ruch tam jest wielki bo transport przyjechał z polakami więc wszystkich nas rozdzielają do mieszkań, narazie po dwie famielie do jednego mieszkania. Mieszkanie które dla nas przeznaczyli trzeba było iść kilometr albo może i więcej. Ja byłam bardzo zmęczona podróżą, mąż pozostał na kopalni dla jakiś formalności ja mam iść za gardem to jest policjant kopalniany który nas prowadzi więc biore w jedną ręke walizke w drugą synka i tak ide. Jest bardzo gorąco, słońce mocno przygrzewa, promienie palą że już będzie ciężko wytrzymać, tu walizka dosyć ciężka, dziecie na rękach usneło ide ostrożnie aby się biedactwo nie obudziło, jestem już cała mokra od potu na twarzy jakby mnie kto wodą zlał i stało mi się nieszczęście bo guma przy bieliźnie pękła i majtki spadły, co teraz robić schylić się nie moge bo mi jest ciężko, dziecka nie chciałam budzić więc jakiś francuz przyszedł mi spomocą, podał mi majtki do ręki, zawstydziłam się ale w podróży różnie się trafi, pomógł mi nieść walizke i dużo do mnie mówił ale ja nic z tego nie wiem, na wszystko kiwam głową, nareszcie jestem w domu. Dom jest ładny piętrowy, są dwie izby u góry a trzy na dole, ale próżne nawet pieca niema, usiąść niema na czem na ziemi, podłogi niema tylko posadzka czerwona a u góry podłoga, więc trzeba się jakoś urządzić abyśmy mogli mieszkać. Za chwile przychodzi mąż, niesie na ramieniu słome, 50 kilo słomy prasowanej przyniósł taki kawał drogi więc jest cały mokry. W ten dzień byliśmy zajęci urzą-

dzeniem domu, dali nam słome sienniki i pare deków. Najpierw robimy sobie spanie bo to jest pierwsze chociaż na ziemi ale było nam wygodnie, mnie już dosyć przybywało więc trzeba się śpieszyć z pracą, nanosiliśmy sobie cegły aby wystawić piec. Mieszkamy razem z drugą famielią więc ta nam pomaga, oni mają troje dzieci a my narazie jedno ale zmówić się trudno bo kobieta nie zna polskiego języka i pyta mi się Frau ist polnisze? ja powiadam tak jestem polką, main Gott feszteit si doitsze?*) ja znów kiwam głową i pokazuje pół palca że tyle rozumie, co dalej do mnie mówiła to nie wiem, na wszystko kiwałam głową więc polka z polką nie możemy się zmówić na obczyźnie, na drugi dzień rano gard przychodzi z mleczarzem i roznoszą mleko wszystkim tym co wczoraj przyjechali, siedziałyśmy u góry każda w swojej izbie naraz usłyszałam krzyk du lait du lait uchyliłam troszke dźwi ona też tak samo ale widzi że ten dalej krzyczy Madame du lait więc przybiegła do mnie zamknęłyśmy dźwi i siedziały jak trusie tak my się bały co ten chłop od nas chce. Ze strachem patrzałyśmy do okna aby sobie już raz poszedł bo będziemy krzyczeć, ten widząc że nic nie rozumiemy zostawił banie z mlekiem i poszedł, po godzinie schodziemy na dół aby ogień rozniecić a tu bania z mlekiem, teraz wiemy czego tak krzyczał. Ona się śmieje i mówi ich bin förigt **), ja pokazuje że ja też. Podzieliłyśmy się mlekiem a było dobre pięć litrów, więc już jedną noc przespałam na obcej ziemi, rano panuje ruch po kolonii, wozy jeżdżą z mlekiem chlebem z mięsem ze wszystkiem co tylko potrzeba do codziennego użytku, wszystko do domu przynieśli chociaż się nie stalowało. Przychodzi do mnie jakaś gruba francuzka ubrana w biały fartuch uśmiecha się i mówi madame combien de pain ja patrze zdziwiona co ta kobieta chce ode mnie nic nie rozumie, pokazuje mi na palcach 1, 2, 3, 4, 5 i t. d. ja kiwam głową przecząco, nie nie nas jest trzech mąż ja i chłopczyk też pokazuje na palcach 3, ta wychodzi zadowolona i niesie mi trzy chleby co to? zostawiła trzy chleby i poszła ani pieniędzy nie żąda zdaje się że tu będzie dobrze bo zadarmo roznoszą wszystko ale na co mnie trzy chleby, ja pokazałam trzy palce że nas jest trzech a ta mi chleb przynosi więc teraz wiem że mi się pytała ile chlebów a nie

*) Prawdopodobnie: versteht sie deutsch.
**) Prawdopodobnie: ich bin verrückt.

ile osób i tak byłoby dalej, przychodzili zostawiali zapłaty nie żądali ale we wypłate się stawili żądali zapłaty wtedy się nam oczy otworzyły bo z wypłaty suła nie zostało. Mąż pracuje na kopalni Nr. 9 a mieszkamy na kolonji Nr. 21 do pracy niebardzo daleko, już przepracował dwa tygodnie trzeci i już wypłata nawet dosyć ładna, ciesze się ale mi się nic nie zostało bo musiałam wszystko popłacić co mi znosili do domu. Na drugi raz jestem już ostrożniejsza, jestem na obczyźnie więc trzeba żyć oszczędnie aby troche grosza uciułać, kupiliśmy tylko te rzeczy które nam były najpotrzebniejsze do naszego użytku, było drogie bo za samo łóżko zapłaciliśmy 350 fr., mąż pracował ze ślązakami z Mysłowic, myśmy są z Jaworzna a Mysłowice niedaleko więc się bardzo polubili, dołączam także co za nieporozumienia były na kopalni, dozorcy odnosili się łagodnie do polaków było brak rąk do pracy więc się cieszyli że mają robotnika ale i bez scen też nie było. Nadmienie tu jedną bo była głośna w naszej kolonii. Przyjechał transport z Polski może miesiąc po nas, było między niemi pare ze Śląska więc pracowali na tej samej kopalni co mąż więc francuz mówi do jednego z nich tu va prendre une berline, ten spojrzał na niego i mówi, ty pieronie jo ci dam Berlin jo tu nie przyjechoł z Berlina ino z Polski, francuz widzi że się nie rusza z miejsca więc poszed do niego bierze go łagodnie za ręke i powtarza va prendre une berline tego już było za wiele i jak nie pacnie francuza aż ten fiknął, ruch się zrobił na dole wszyscy dozorcy się zeszli pytają tak to było a ślązak występuje i mówi słuchajcie pierony jo jest polok z krwi i kości przejechołem z Polski a on mię do Berlina wyganio jo tak nie chce słyszeć niech mię wyślą do Polski a nie do Berlina, było to niezrozumiane bo berlin nazywali próżny wóz więc od tego czasu nazwe tą zmienili już nie mówią berlin a barou, teraz mąż pracuje już ma dziewiątą klase zarobki ładne, chłopczyk się ładnie chowa, mamy pare franków oszczędności ale jeszcze mieszkamy we dwie familie, martwie sie nie moge sobie znaleźć spokoju bo się spodziewam potomka a tu się zmówić nie można a najwięcej mię to martwi że to co mię czeka przyjdzie w obcym kraju, robie sobie wyrzuty dlaczego tu przyjechałam ale staneła mi nędza przed oczami jaką przechodziłam w kraju a tu jednak inaczej praca jest i chleba nie brak. Zimową porą Pan Bóg nas obdarzył córeczką więc mamy dwoje dzieci, mieszkanie otrzymaliśmy na 9-tce była to nowa ko-

lonia, domy wszystkie piętrowe były jeszcze mokre ale wygodne aż pięć izbów, dwie u góry, trzy na dole nawet woda w mieszkaniu. Jest nam dobrze, zarobki są ładne, jesteśmy najedzeni i ubrani tak samo i dzieci, gdy mąż przepracował cały rok na tej kopalni otrzymał 100 franków za przepracowany kontracht, ja jestem bardzo zadowolona że o 100 fr. nasze oszczędności zostają powiększone. Upłynęło parę tygodni, po roku mąż zostaje potłuczony w kopalni, nie pracuje już, nie zarobi tak jakby pracował, święci dwa miesiące więc płacą połowe zarobku, na życie starczy tylko, nie trzeba sobie zadość pozwolić trzeba brzucha troche przyciągnąć. Staram się jak moge aby koniec z końcem związać. Upłyneło dwa lata naszego pobytu we Francji, ja zostaje ciężko chora przy małem, wydałam na świat chłopczyka, po tej to chorobie wstałam za wcześnie z łóżka i wzięłam się do pracy domowej i po dwóch dniach mego chodzenia położyłam się z powrotem, było ze mną źle jestem ciężko chora, leczą mnie na koszt kasy, opiekie mam dobrą, lekarz jest dosyć łagodny był niskiego wzrostu ale uprzejmy do Polaków, nazywał się Monsieur Helki, mieszkał na Fougnieres, dokładał wszelkich starań aby mie wyleczyć, pisał co tylko mógł i rzeczy bardzo drogie i on dostał bure od kasy chorych ale na nic nie zważał bo mię chciał wyleczyć. Już leże cztery miesiące, dzieci mi z domu zabrali, umieścili u Polaków i u Czechów, mąż sobie nie może dać rady w gospodarstwie domowem, pracować w domu i na kopalni każdy przyzna że jest ciężko, ja myśle że już pewno nigdy zdrowa nie będe więc się szykuje na drugi świat. Poprosiłam o księdza polskiego który przyszedł aż z Salamin, wyspowiadałam się i po skończonej spowiedzi mówie że mi będzie ciężko tu na obczyźnie umierać, już się nie zobacze z rodzicami a jeszcze jestem młoda bo mam 25 lat. Ksiądz mię pocieszył tylko nie tracić nadziei może nie będzie tak źle, na drugi dzień otrzymałam ostatnie namaszczenie od księdza francuskiego. Byłam na wszystko przygotowana teraz wszystko w ręku Boga, gorączka się zwiększyła, już nie wiedziałam co się koło mnie dzieje, odwiedzali mię Polacy i Francuzi, każdy się litował nade mną ale lekarz nie ustawał w swem zawodzie, przepisał co tylko trzeba było i sam lekarstwa podawał, trzy razy dziennie przyjeżdżał a czasem i w nocy. Następuje przesilenie gorączki, trwa dwie godziny, mąż jest w rozpaczy, ludzi pełne mieszkanie, przychodze do siebie wszystko słysze co się koło mnie dzieje, w go-

rączce byłam podobno bardzo silna a teraz ledwo żywa więc będe żyła. Na drugi dzień lekarz mię odwiedza i powiada Madame maitenant bon, cieszyłam się bo przychodze do siebie, dzieci tak długo nie widziałam więc prosze aby do mnie przyprowadzili. Początkowo nie chcieli ale się zgodzili, już jest szósty miesiąc mojej choroby, cieszе się że przychodze do zdrowia ale zmartwienie też mam bośmy mieli troche oszczędności wszystko się wyczerpało a jeszcze my się zadłużyli i tak znów upływa miesiąc za miesiącem, jest nam ciężko teraz nam się nie powodzi tak jak na początku a mąż zna prace na roli więc postanowiliśmy zmienić sobie prace i stąd wyjechać, za pośrednictwem biura polskiego niejakiego pana Szmitta szukaliśmy miejsca więc już mamy, zażądał od nas sume 100 franków za to że nam zrobił plac. Mąż zapłacił, sprzedajemy to cośmy przez cztery lata się dorobili, wyjeżdżamy za Paryż do miejscowości Prepai. Przyjechaliśmy do Paryża więc dodam co w Paryżu widziałam, ruch tam panuje wielki, takie ładne domy, czystość wszystko luksus. W hotelach ludno panowie siedzą ino im się serwetki bielą pod brodami a my biedni emigranci tułamy się i mamy sposobność widzieć jak to dobrze jednostkom na świecie. Taksówką przyjechaliśmy na Gare des Inwalides, stamtąd dalej jedziemy gdzieś na koniec świata, jechaliśmy a nie wiedzieli gdzie, prędzej byśmy do Polski zajechali niż na tę ferme. Ja miałam się zajmować pracą w domu a mąż miał pracować przy koniach ale cóż mieliśmy za niespodzianke, gdyśmy przyjechali do miejsca tam wcale fermy nie było tylko lasy więc nas oszukano, do tych lasów nas wysłano korzenie wyrywać a biuro mówiło że jest duża ferma, praca przy koniach, a tam było inaczej. Pracowało tam trzech polaków ale samotnych bo ta praca się nadawała ale dla osób samotnych więc niema tu co robić trzeba uciekać bo nasza gotówka topnieje, bośmy podróż sami sobie płacili więc z powrotem przyjechaliśmy do Paryża i udaliśmy się do Ambasady polskiej, opowiadam urzędnikowi jak to polskie biuro ludzi na ferme wysyła i prosze aby nam co w tej sprawie doradził żeby się postarał aby nam strate wrócili. Nie dał żadnej rady, ruszył ramionami i kazał przyjść na drugi dzień, mówie że nie mamy mieszkania więc otrzymaliśmy kartke do baraków. Cieszyłam się że aby mam dach nad głową że nie trzeba będzie płacić hotelu bo mamy troche groszy to trzymamy jak djabeł dusze bo i tak nam na podróż nie starczy. Zaprowadzili nas do tych ba-

raków, posłania dosyć, w jednej małej izdebce spały po dwie famielie ale my nie możemy do nich się liczyć bo oni tu stale przebywają a my tylko chwilowo. Spaliśmy tam dwie nocy, ja oka nie mogłam zmrużyć myślałam co będzie dalej. Poszliśmy na drugi dzień i też wyszliśmy z niczem, już nie wiem co mam robić, mózg mój pracuje, udałam się z powrotem do Ambasady i prosze urzędnika aby nam pomógł jakiem wsparciem bo chcemy stąd uciekać jechać do kopalni a nie mamy tyle gotówki na bilety kolejowe ale szkoda mówić, urzędnik nie da się ruszać więc pytam co mamy robić czyż mamy zostać na bruku paryskiem więc sami nas w nędze wprowadzicie kiedy mąż nie jest obijaczem tylko chce pracować, nic nie pomogło więc prosze pana urzędnika że jak nie może nam nic ofiarować to niech nam chociaż pożyczy pare franków jak przyjedziemy do przeznaczonego miejsca, mąż prace w kopalni otrzyma to panu z procentem oddamy. Spojrzał na mnie i mówi niema pieniędzy, trudno niema dorady ani pomocy więc nie czekamy dalej tylko jedziemy na ryzyko do kompanii Bruej, na bagaże i bilety dla nas gotówki starczyło, dla jednego dziecka trzeba było jeszcze pare franków ale skąd wziąść? Może się uda przejechać ale gdzie, urzędnik francuski jest baczny na wszystko, pyta o bilet dla małego, teraz trzeba całą prawdę powiedzieć, przeprosiłam i mówie że nie mieliśmy więcej pieniędzy i mały jedzie bez biletu, za kare zapłacicie dubeltowo i na to się zgodziłam tylko nie dzisiaj bo nie mamy, spisał z nami protokuł a gdy przyjechaliśmy do ostatniej stacji zatrzymano nam bagaż. Mąż jednak znalazł kilku polaków którzy przyśli nam z pomocą więc jesteśmy szczęśliwi żeśmy się pozbyli kłopotów paryskich i przebywamy w Bruej, jesteśmy między polakami, prace mąż zaraz otrzymał, mieszkanie też więc się wprowadzamy do mieszkania z naszemi bagażami i tak nam się zdaje jakbyśmy z Polski dopiero przyjechali, nic niema próżne budy, najgorzej jest nam jeden miesiąc później pójdzie lepiej. Liczymy na własne siły, mąż ma 10-siątą klase zarabia dobrze, ja jestem obrachowana na wszystko, już nikomu nic nie uwierze wszystko robie podług swego rozumu. Kupiliśmy sobie meble, wpłaciliśmy troche reszta na kredyt i po trochu my wypłacili więc mamy mieszkanie umeblowane, okolica w której mieszkamy jest bardzo ładna podoba nam się dlatego bo gdzie okiem rzuci wszędzie ładne pola, do miasta niedaleko, ale chodzić nie potrzeba bo wszędzie autobusem za-

jedzie, dzieci posyłam najpierw do ochronki a teraz do szkoły francuskiej, polskiego uczą się dwie godziny w tygodniu, jest to bardzo mało, nauczycielke mamy dobrą, stara się aby nasze dzieci umiały czytać i pisać po polsku. Ja należe do towarzystwa polek a mąż do towarzystwa byłych wojskowych. Czytamy gazety polskie i książki polskie, w Narodowcu mamy dużo wiadomości, dzieci także mają przyjaciela dziatwy a najwięcej zwracamy oczy na wiadomości z Polski. Jesteśmy ciekawi co się dzieje w Polsce, zawsze myślemy kiedy do niej pojedziemy, tak upływa miesiąc za miesiącem, w wolnych chwilach idziemy do kina aby sobie czas rozerwać i na zabawe też ale nie często bo to kosztuje a my jesteśmy na obczyźnie, teraz się dobrze zagospodarzyłam, chowam dużo drobiu, kur mam czterdzieści, mam pare kaczek, mam 10-sięć gęsi a także chowam świnie, ogród mam mały więc harenduje kawał pola, obsadzam ziemniakami aby gadzina miała i my też, teraz nam się dobrze powodzi, co to za uciecha gdy w podwórku mam takie pianie i gęganie. Mąż pracuje i ja mu pomagam ale ja bym wolała abym to wszystko miała w Polsce. Byłabym weselszą a gdy mąż przepracował tu w Bruej dwa lata został ciężko potłuczony na kopalni, leży w szpitalu, ja sama z dziećmi w domu co to za przykrość tu na obczyźnie między obcemi jakże się czułam osamotniona, nie mam przyjaciółek bo nie są rade ze mną rozmawiać bo pochodze z Małopolski a takich tu mają za nic, nazywają nas bosemi antkami, mieszkam między polkami z Westfali, one po polsku nie rozmawiają tylko po niemiecku tak samo i mężczyźni ci co przyjechali z Westfalii jak się zejdą to tylko po niemiecku szwargocą a gdy męża przywieźli ze szpitala już mi było weselej, nie patrze wcale na otoczenie, zajmuje się gospodarstwem domowem a wolny czas spędzam z dziećmi, czytam książki i różne powieści. Teraz nastają ciężkie czasy już tak znany a zwany kryzys, już mniejsze zarobki, świętówek coraz więcej a wszędzie słychać szemranie że będą wydalać, tak jest, dużo dostało kartki na wyjazd do Polski, francuzi mówią że im prace odbieramy więc się wszędzie słyszy vaten an Pologne, cóż teraz robić jesteśmy tak dobrze zagospodarzeni i znów nieszczęście, ruch po kolonii panuje, wszyscy sprzedają meble za bezcen, pare znajomych już odjeżdżają transportem cóż mam teraz robić, niedawno meble wypłaciłam a już ich musze sprzedać, co za los polaka tułacza i tak sprzedałam i codzień py-

tam męża nie dali ci kartki? I pozbyli my się tego naszego ciężkiego dorobku, sprzedałam prawie za pół darmo, teraz ubijamy gadzine, troche sprzedałam, reszte my zjedli a na kartke czekamy i w niepewności żyjemy. Pare transportów z Bruej wyjechało a my jeszcze nie, teraz siedziemy jak cygany w próżnym mieszkaniu, tylko to mamy co jest nam potrzebne do użytku, prace mąż ma ciężką, zarobi na dniówke do 40-ci franków, na życie i okrycie starczy, odłożyć na czarną godzine coś to niema mowy. W tym czasie praca jest bardzo wyciągnięta, żądają za wiele, nieraz to się aż przykrzy, władza francuska w naszej miejscowości w Houdin jest nam przychylna jak się coś potrzebuje załatwiają szybko, w razie gdy trzeba czekać podadzą krzesło aby nie stać, tylko trzeźwych ludzi lubią, pijaków nie znoszą. Teraz wydalania u nas ustały, pracują ale w niepewności, niektórzy nas pocieszają że we Francji będzie jeszcze dobrze. My mamy troche oszczędności w Banku P. K. O. więc mamy zamiar kupić sobie grunt w Polsce, narazie się obawiamy bo położenie w Polsce jest ciężkie dla reemigranta a przeważnie na wsi panuje nędza, a my właśnie chcemy jechać na wieś, kupić sobie co za oszczędzone grosze i pracować. Jednak się obawiamy aby nas za dwa lub trzy lata na licytacji nie sprzedali, ale nam się już sprzykrzyła ta tułaczka więc pragnelibyśmy jak najprędzej do ojczyzny powrócić.

Dn. 1 lipca 1936 r.

Pamiętnik Nr. 4

Górnik, syn robotnika rolnego
z Poznańskiego, ur. w 1878 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Wyczytawszy w naszem piśmie Wychodczem Narodowcu którego też jezdem czytelnikiem niniejsze ogłoszenie więc zaczynam mój życiorys, ale mnie się zdaje że to będzie jak Panowie się później dowiecie prawdziwy roman, więc zaczynam od tego: urodzony we wsi Golina Poznańskie 1878 jako syn robotnika. Ojciec pochodził z gospodarstwa, ale niestety trafił na bardzo złą Teściową, która mu życie do tego stopnia zatruła że zostawił kochanej Teściowej wszystko i swoją spłatę którą dostał i którą musiał od początku w gospodarstwo włożyć bo wszystkie zabudowania się rozpadały, wtedy mój Ojciec zamieszkał w Golini, tam miał jednego brata który tam miał gospodarstwo więc dał Ojcu morgę ziemi zaś drugi brat postawił chaupę, bo nie chcieli żeby brat jako syn z gospodarstwa miał w najentem mieszkać. Teraz muszę nadmienić że ja z pośród nas czterech jezdem najstarszy, a jak miałem 17 lat to nam Matka umarła a najmłodszy brat miał dwa lata, więc cóż miał Ojciec począć, wziął i ożenił się powtórnie ze starą 30 i kilka letnią panną który ojcowie mieli dać w posagu 300 niemieckich talarów i Ojciec miał swemu bratu spłacić dług za chaupę, ale Ojców Teść tylko tak długo te 300 talarów dawał aż nie było po ślubie, wtedy zapomniał bo on myślał że chaupa jest ojcowa to ma swoją córkę zabezpieczoną, a temczasem tak nie było bo chaupa wciąż była własnością ojca brata Józefa a co się tyczy nas to macocha nigdy nie będzie Matką albo bardzo rzadko nią będzie, tak było

i u nas. Co się tyczy mnie żeby się z przybraną matką nie bić więc żem wyjechał na robotę i w domu się już licho kiedy pokazał i tak przyszła jesień 1897 wyjechałem do Westfali i zacząłem pracować jako górnik. Jeszcze parę słów o mojem ojcu—więc w kilka lat po mojem wyjeździe ojciec zmarł w szpitalu w Jarocinie bo w domu już wytrzymać nie mógł. Więc potem jak ojciec umarł mój Stryja chciał tę posiadłość po mojem Ojcu sprzedać i długi pospłacać bo ich też było sporo, po pierwsze chaupa potrzebowała reparacji po drugie Matka leżała długi czas chora więc kosztowała choroba, kosztował pogrzeb, kosztowało drugie wesele i znów ojca choroba i pogrzeb a to wszystko finansował Stryja więc chciał wszystko sprzedać ale nasza macocha się namknąć nie chciała więc się rozpoczęły procesy które trwały blisko dwa lata. Macocha miała świadectwo ubóstwa a mój Stryja już miał tyle kosztów że jego gospodarstwo już wisiało na włosku więc dopiero ja jako najstarszy z domu zeznałem w Sądzie że wiem od Ojca i Matki że chaupę mój Stryja pobudował a mojemu ojcu dał do użytku aż do śmierci więc zgodnie z przyrzeczeniem wszystko należy do Stryja wtedy dopiero przyjechali żandarmi i macoche usunęli i na tem się skończyło. Teraz dopiero się zacznie tragedja mojego życia, więc jak już nadmieniłem 1897 zacząłem pracować jako górnik na kopalni Carolinenglük Hamme kole Bochum ale tam żem się długo nie zatrzymał bo tylko dwie dniówki zrobiłem bo na trzecią pytam sztajgra co zarobie przy poganianiu konia bo tę robotę miałem sprawować, a on mi powiedział że 2 Marki 50 fenigów, na to ja mu odpowiedziałem że za te pieniądze nie robie, przy tej okazji chciał zemnie zakpić i pyta mi się com w Polsce poganiał czy gęsi a ja mu na to odpowiem że w Polsce osły poganiałem takie same jak on nim jest. A to się działo w obecności wszystkich sztajgrów więc jak ci to usłyszeli że sztajger Dalman tak się na Polaku zmylił więc od śmiechu za brzuchy się łapali, czapki i kije na Platy poświgali i tak z nim tancowali wkoło tego szybu to się działo ma się rozumieć pod ziemią a ja naturalnie wyjechał na wierzch i poszedłem na inną kopalnie, tyle sobie poprawiłem żem zarobił 50 fenigów więcy ale nie koniec na tem bo kilka miesięcy potem to 1898 na tej samej kopalni w tem samem rewirze gdzie ja te dwie dniówki zarobił zapaliły się gazy i spaliło się 124 górników więc żebym tam był pozostał byłbym też między nimi więc to była pierwsza przy-

goda. Drugą kopalnią gdziem pracował do roku 1899 była Königsgrube, od 1899—1901 służba wojskowa 130 Reg. Metz, pierwszy rok służyłem przy 7-my komp. tam żem dostał trzy dni aresztu, w drugim roku zostałem przesadzony do 8-my komp. tego samego regimentu tam żem się dosłużył guzików to się nazywa zostałem gefreiter, po odbyciu służby wróciłem na tę samą kopalnie i na te samą kwatere i byłbym tam pozostał kto wie jak długo żeby nie przypadek który mnie zmusił do opuszczenia kwatery i udania się na inną i to się stało tak, ja i niejaki Ludwik S. dali sobie słowo że kto się przód ożeni to ten drugi musi iść do niego na kwatere i tak się też stało że ja poszedł do wojska a S. się w tem czasie ożenił, więc jak żem przyszedł od wojska ledwie dwa czy trzy dni upłynęły ja robiłem na południowy zmianie, mój S. przyszedł zabrał mój kuferek do siebie więc mi nic więcy nie pozostało jak na drugi dzień iść do S. i tu się zacznie druga tragedja która mnie kosztowała 18 miesięcy więzienia. Nic nie będe dokładał ale też nie ujmował bo jezdem zdania że nie dzieci będą mój życiorys czytały, więc S. już od dwóch lat był żeniaty a na potomstwo widoków nie było więc jego wielebna żonka taki szatański plan sobie ułożyła że przed wojskiem S. był moim przyjacielem a teraz to ona zajmie jego miejsce i ona zostanie moją przyjaciółką bo nic dziwnego że ona sobie tak wykombinowała bo ona była pewna że przyjacielstwo swojego męża to ona poradzi lepiej zastąpić, ony nigdy przez myśl nie przeszło że taki chłopak co dopiero od wojska przyszedł odważy się jeji miłością pogardzić, więc żeby nie być w pewności postanowiła swój plan urzeczywistnić a to było tak. Ja miałem nocną zmianę a jeji kochający mężulek miał rańszą więc jak ja przyjdę rano do domu moja wielce miłująca i kochająca ale nie swego męża jeno obcego chłopaka pani S. powiada, muszę iść do góry bo ci zapomniałam łóżka zrobić więc jak poszła tak nie przychodzi, idę sam do góry a moja pani S. wciąż jeszcze łóżko robi, ja stanął przy oknie i czekam wtedy się moja pani S. odezwie czy mi się jeszcze spać nie chce, ja się odwróciłem i zamierzam iść w strone łóżka a ona wtedy się śwignie na łóżko i co ujrzę, niebo otwarte najmniejsza chmurka bram wejścia do niego nie zasłaniała a ja stoje i patrze jak wół na malowane i chwastem obrośnięte wrota, ja jej się zapytał dla kogo łóżko robiła dla się czy dla mnie, odpowiedź brzmiała dla

nas obu dwóch, a ja mówię że ma swego Ludwika wtedy wstała głowę zwiesiła jak jawno-grzesznica Magdalena, od tego dnia na mnie nie wejrzała albo inaczej powiedzieć nie śmiała. Wtedy planowała zemstę i ta nastąpiła zaraz w pierwszą niedziele bo choć ja widział i wiedział na co się zanosi tej niedzieli, wyjechałem z jednem przyjacielem kilka kilometr od naszej miejscowości odległej a że musiałem na noc iść do pracy byli my spowrotem dość wcześnie ale skoro wejdę do domu izba pełna młodych ludzi czyli inaczej powiedzieć niedorostków takich było dwunastu, to było wszystko na moje przyjęcie uszykowane, co śmielsi zaraz mi drogę zastępują ale żem sobie drogę do schodów utorował i dostałem się do góry na moją izbę ale ta całka horda się pcha za mną, trzema żem pozwolił czyli sami gwałtem wleźli tych żem strącił na dół bo się nazywa moją walizkę zaczeli kopać nogami więc musiałem jak baranów pozrzucać na dół i ja też wolnem krokim za nimi, ledwiem wyszedł ze sieni przed dom wtedy ta całka horda się sypnęła na mnie i powalili mnie na ziemię, to było tylko moim szczęściem że miałem przy sobie nożyk od obrzynania cygar, takie scyzorki w tych czasach u łańcuszka od zygarka nosili więc tem żem się bronił, na ziemi siedziałem więc od dołu zacząłem krajać gdziem kogo mógł sięgnąć aż tak daleko się od moich napastników uwolniłem żem mógł wstać i w nogi, więc tym głupstwem żem ich odrobił że na drugi dzień większa połowa do lekarza po świadectwa jako ciężko ranni niezdolni do pracy i wtedy na policją a po mnie policjant i z nim na policją i do Bochum do sędziego śledczego i do więzienia, jako wielki zbrodniarz. Ale co zrobić już dziś na tym Bożem Świecie tak jest za kieliszek gorzały będzie sto razy przysięgał bo żeby wiedział że mu te palce ugniją które do góry podnosił toby tego nie robił więc tak było ze mną, ja świadka nie miał a onych dwunastu byli sobie świadkami i tak mnie wpakowali na 18 miesięcy więzienia, a mój S. zabrał całki dobytek i bez odmeldowania się wyjechał do Polski i nikt nie wiedział gdzie więc tak żem od roku 1899 do 1901 nie zarobił nic od 1901 do 1903 robiłem dla S. no a zaś od początku 1903 do połowy 1904 jako więzień dla państwa niemieckiego i to wszystko dla pani S., choć żem już dziś taki kaleka ale jeszcze raz bym chciał tych dobrych cnotliwych ludzi widzieć. Więc przyszedłem z więzienia i znów goły jak turecki święty znowu się z nowa przyodziewać dosyć żem trochę tę goliznę

przykrył jak Adam listkim figowem wtedy sobie jedne upatrzyłem i na końcu roku 1904 się ożeniłem i tak pracowałem dali i familija się powiększała, aż raz znów miałem zamiar iść na inną kopalnię i już my pojechali to się nazywa we trzech robotę sobie zrobić bo nie może być mowy o szukaniu tam gdzie się zamierzało iść to się szło na pewno, tak my zajechali na kopalnią Radbod było 1909 już było wszystko załatwione ale że pomieszkaniów nie było bo to była nowa kopalnia więc ja i mój szwagier zostali na miejscu a ten trzeci nasz wspólnik tam miał znajomych, jedny izby mu ustąpili i pojechał na Radbod, w parę tygodni po tym tak samo wielki wybuch gazów, spaliło się przeszło 300 górników, ten nasz wspólnik który tam pozostał też między nimi więc ja tak samo mam do zawdzięczenia tylko tej okoliczności że nie było pomieszkania wolnego więc tak znów śmierci uszedłem i tak to życie szło swojem torem dali aż przyszedł rok 1914. Musiałem się stawić, zaraz w pierwszy dzień posłali nas do Belgji ale żadnego uniformu nic my nie mieli byli my poprostu wojskowi robotnicy to się nazywa robić amunicją ale potem przyszło zapotrzebowanie na żołnierza i wysłali nas do Francji a proszę wiedzieć że na francuskim froncie francuzy granatów nie żałowali, oni do jednego chłopa 50 granatów nie żałowali i tak nas uganiali z jednego miejsca w drugie i tak przebyłem aż do roku 1917, na końcu czerwca byłem zwolniony i przyszedłem zdrowy do domu tak jak żem wyszedł więc to by było wszystko, ja przyszedł zdrowy ale wojna już zrobiła swoje, moja żona już więcy nie mogła jak się położyła tak przeleżała sześć tygodni, o swojej mocy wstać nie mogła. Znowu się zaczena druga wojna dla mnie, chciałem mówić tylko z tą różnicą że granaty nie biły ale w roku 1918 zrobiła się rewolucja więc i granaty już zaczeny padać o 50 metrów od naszego domu ale to wszystko minęło, żona wyzdrowiała, rewolucja się skończyła tylko że z jadłem to szło bardzo marnie, naraz się dowiem, że już do Francji wyjeżdżają, ja też się długo nie namyślam sprzedaje wszystko i jazda do Francji. Sprzedać wszystko musiałem bo mebli nie brali dopiero sześć miesięcy później to jest 1922 roku a ja wyjechał 1921. Zaczeno się inne życie choć utrapienia też było dosyć bo mowy nie znać, człowiek nic nie rozumie wszędzie stoi jak głupi, wszystko na migi jak niemowy, przy robocie to tak źle nie było mnie przynajmnij bo jako stary górnik wejrzy to wie co ma do czynienia nie potrze-

ba dość mówienia, ale zczasem się wszystko nauczy i mowy tak samo, dla nas starszych to nie było tak łatwo, jeszcze dzisiaj nie mogemy powiedzieć że poradzemy dobrze, młodzież to co innego i tak przerobiłem dwa lata na jednej kopalni wtedy się dowiem że tam na inny kopalni jest dość lepi, dałem się też namówić pojechałem do Lens tu mnie znów nieszczęście dosięgło i mocno mi się dało we znaki. W roku 1924 utopił mi się najstarszy syn liczył lat 18, pośli we trzech do kanału się kąpać, jeden z nich pływać nie umiał ale jak to bywa może który powiedział skocz my cię wyciągniemy, ten też zrobił jak skoczył tak też zaraz zaczął tonąć a ten trzeci odpłynął w tem czasie 200 metrów dali a mój się już obłoczył, jak widzi że jego kolega się topi skoczy mu na ratunek ale niestety podpłynął za blisko tonący go uchwycił wtedy się zaczęli zmagać ale ten co tonął miał przewagę bo mój już obleczony a ten był nago, jaką bitwę stoczyli to świadczyły te strzępy które na moim synu pozostały i tak pośli obaj na dół, jak ich wyciągli wszelki ratunek był zbyteczny, to było pierwsze nieszczęście we Francji ale jeszcze nie ostatnie. Ciąg dalszy następuje w roku 1927, wezme się do otwierania granaty, jak już nadmieniłem dziesięć miesięcy tę robote wykonywałem we wojnie ale się nazywa że tam było wszystko robione ostrożnie a ja ostrożności zapomniał granata mi w rękach eksplodowała urwała mi lewą ręke i prawą nogę, ręka jest precz pod łokieć, a noga niżej kolana, pozatem mi się nic więcy nie stało tylko że spać nie mogę po tej operacji. Czytałem raz w gazecie że w Austryji zmarł kaleka wojenny który dziesięć lat nie spał, takich może bo nie może a pewno jest więcy tylko że nikt o nich nie wie tak samo jak o mnie biednym kalece, jezdem dziś 58 lat, należałaby mi się pensyja, 23 lata przepracowałem w Niemczech we Westfali, 7 lat we Francji ale niestety zamiast renty starości otrzymujemy z Konsulatu Polskiego w Lille tak zwany zasiłek Knapzaftowy 300 franków co trzy miesiące ale z taką pąktalnością że naprzykład dzisiaj już mamy 10 sierpnia i jeszcze my nie dostali wypłacone za drugi kwartał to jest kwiecień, maj i czerwiec a po drugie 100 franków to nie sto złotych to się nazywa 300 franków kwartalnie, z tego trzeba co trzy miesiące posłać do Konsulatu poświadczenie z miejscowej organizacji zawodowej że się jeszcze żyje, na nasz koszt odbywa się przesyłka tych pieniędzy można śmiało powiedzieć że 5 franków idzie precz, żeby to

życie we Francyji było takie tanie toby francuskiemu górnikowi pensjonowanemu nie płacili pięć tysięcy i pięćset franków rocznie i teraz jeszcze dostaną 500 franków dołożone to będą pobierać rocznie sześć tysięcy franków czyli pięćset miesięcznie co uczyni przeszło 16 franków dziennie a nie 3 fr. jak my je pobieramy. Teraz przed trzema laty i żona też się przeniosła do wieczności i tak pozostałem sam z dziećmi bo muszę nadmienić że przyjechałem do Francji z wielką familiją siedmioro dzieci, pięć synów, dwie córki, ale jak się mówi ojciec używił wszystkich ale wszyscy ojca nie mogą bo to się tak składa że moje dzieci też już mają swoje dzieci, ja jezdem u syna który też ma dwoje dzieci, też długi czas robili po 8 do 9 dniówek czyli 16 lub 17 co miesiąc, teraz ostatni miesiąc się poprawiło ale jak na długo to trudno przewidzieć, podług mojego zdania to przed wielką burzą to zawsze ucichnie na moment, czy nas w krótkim czasie znów nie zaczną wyganiać jak miało miejsce do tego czasu, musimy odczekać co przyszłość przyniesie. Ciekawy czy się znajdzie więcy takich którzy tyle w swoim życiu tyle prześli co ja, to com napisał mogę udowodnić świadkami, teraz muszę zakończyć bo mi się zdaje że już będzie dosyć tego, teraz zasyłam wszystkim rodakom w kraju braterskie pozdrowienie.

Muszę jeszcze nadmienić że ożeniłem się z Polką i wciąż byłem Polakiem i moje dzieci tak samo.

Na zakończenie muszę jeszcze napisać, jedzie jaśnie Pan drogą żebrak siedzi przy drodze i woła: nie omijaj ubogiego, Jaśnie Pan rozczulony powiada do kuciera weź i przejedź tego dziada kiedy się tak prosi.

Dn. 6 sierpnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 5

Górnik, syn małorolnego spod
Przeworska, ur. w 1903 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Urodziłem się we wiosce Markowa, powiat Przeworsk, woj. Lwowskie dnia 25.IV.1903. Rodzice moi byli biedni, mieliśmy dom i kawałek ogrodu który ojciec później utracił przez to że chciał kupić u żyda w Próchniku dom i dwie morgi ziemi, ale nie znał żydowskiej spekulacji i kupił w ten sposób że podpisał weksel na osiem dni ale ja byłem mały to tego nie rozumiałem co i jak to się stało, tylko tyle wiem że ojciec dom sprzedał i tamtym żydom musiał zapłacić, a sam za resztę pieniędzy musiał jechać do Kanady szukać zarobku. A matka i nas czworo dzieci zostawił ojciec we wiosce i dom wynajął a sam pojechał do Kanady w kwietniu w roku 1911, a ja wtenczas chodziłem do szkoły do klasy II-giej, miałem osiem lat. I gdy ojciec wyjechał matka moja musiała mnie oddać w służbę do pasania krów, abym nie był ciężarem w domu. A ja będąc w służbie tom zarabiał tyle co mi na książki do szkoły starczyło i na przyodziewek i tak chodziłem do szkoły i zarabiałem na swoje utrzymanie i na szkolne przybory, a że miałem wielkie zamiłowanie do czytania to mi się tak przykro nie robiło bo przy pasaniu krów to stale książki czytałem, które mi ten gospodarz dawał i późni gdy miał wolny czas kazał mi opowiadać com się doczytał, tak żem i w szkole dobre klasy dostawał bom przez to sobie pamięć wyrabiał. I tak mi czas szybko zleciał aż do końca 1913-tego roku. A ojciec już zarobił pieniędzy na dom tak że matka kupiła i matka się cieszyła żeśmy już to nabyli cośmy utracili, ale jeszcze dużo na owe czasy bo 200 ręskich brakowało matce

dopłacić i kontracht i intabulacje przeprowadzić tak że ojciec musiał jak pisał zostać do wiosny 1915-tego roku, ale nagle wybuchła wojna i z ojcem komunikacja została zerwana, a ja jeszcze dalej służyłem i przyszły z tą wojną ciężkie i przykre czasy dla nas, wojska rosyjskie dwa razy do nas przyszły w roku 1914 w jesieni i całą zimę byli aż do 15 maja 1915, niemieckie i austryackie wojska wypchnęli rosjan a myśmy odetchnęli trochę, ale znowu na nas inne nieszczęście bo w r. 1915 w jesieni zaczęła się szerzyć zaraźliwa choroba tyfus, dużo ludzi umarło w mojej wiosce, a moja matka także umarła 27.XII.1915 i takie mieliśmy święta że teraz gdy sobie po tylu latach wspomnę to mi przykro, po śmierci mojej matki zabrałem siostrę najmłodszą i poszedłem na służbę do jednego krewnego, a dwie średnie krewni zabrali do bawienia dzieci i tak musieliśmy biedę znosić i w młodych latach bez ojca bez matki, och jakie to przykre czasy były dla mnie, aż do roku 1918 w jesieni wojna się skończyła, ale się zaczęła wojna partyzancka z ukraińcami i brali ochotników jaki się kto zgłosił i ja się też zgłosiłem ale że mnie nie przyjęli bom nie miał ojca ani matki i nie miał kto mi dać zezwolenia które w Jarosławiu żądali. A gdy się dowiedział opiekun mój to powiedział jednemu z dalekich krewnych który był bogaty, a w dodatku bezdzietny który miał lat 72 wtenczas i ten jak wziął się do mnie abym swój zamiar porzucił abym do niego przyszedł jako wychowaniec i on nie będzie potrzebował parobka, a jak on umrze to mnie dobra wywianuje i ja na to przystałem i byłem u niego aż do roku 1921, bo mój ojciec przyjechał wtenczas z Kanady ale że u ojca też nie mogłem być bo ojciec się ożenił i dom zapłacił i do tego pieniądze zmienił na korony austryackie, później była wymiana na marki a ojciec nic nie kupił więc przy wymianie zabrał rząd polski pieniądze ojcu na pożyczkę wojenną tak że nie można było się w domu utrzymać i nic kupić i znów musiałem iść do stryja, ale w służbę, później w roku 1923 stryj umarł a mnie nic nie zapisał bom poszedł do ojca jak ojciec przyjechał a do tego krewni bliżsi nie dopuścili choć mnie się słusznie coś należało alem nic nie dostał i jeszcze pozostałem służyć dalej aż do roku 1925 gdy zostałem przez pobór komisji wojskowej uznany za zdolnego i zacząłem snuć plany inne i myśli miałem dobre, ale że mi do tego dużo brakowało. Ale źle mi nie było gdy się do wojska dostałem teraz przebieg wojskowy opiszę krótko i dokładnie. Do woj-

ska zostałem powołany 1 października 1925. Okres ćwiczeń rekruckich odbyłem w 7 komp. 3 p. p. Legionów w Jarosławiu, ale że dobrze się sprawowałem zostałem wybrany po czterech tygodniach do komp. szkoły podoficerskiej w 3 p. p. do kompanii szkolnej zostałem przeniesiony 13 listopada 1925. W szkole podof. czas mi płynął szybko i różnie ale że się stale było zajętym to czas sześciomiesięczny szybko upłynął i anim się spostrzegł szkoła się skończyła i wyszedłem ze szkoły starszym szeregowcem z oceną dobrą, a że nie miałem energi do ćwiczeń oraz do komendy, ale zato do wykładów i umocnień polowych, tak że wykładowca por. K. d-ca plut. pion. przy 3 p. p. Leg. namówił mnie abym się zgłosił po skończeniu szkoły do plutonu pionierów. Co też uczyniłem, w plutonie mi też dobrze się powodziło zaraz po przybyciu do plutonu w dwa tygodnie wyjechaliśmy z całym plutonem do Kielc a z Kielc do Daleszyc na Niwki i tam stawialiśmy strzelnicę bojową, schrony z peryskopami i schrony łącznikowe i tarczowe, gdyśmy tę robotę ukończyli, to znów robiliśmy baraki dla wojska które miało przyjść na manewry, z blachy falistej i wikliny, 14 lipca wyjechaliśmy do Sandomierza do 4 pułku Saperów na kurs jednomiesięczny, po kursie znów powróciliśmy do Daleszyc na manewry i byliśmy aż do 12 września, potem powróciliśmy do Jarosławia. W pułku znowu życie dla mnie było inne. Gdy rekruci przyszli jesienią, to dowódca 7-mej komp. poprosił por. K. aby mie zezwolił robić wykłady dla rekrutów przez pewien czas, to znów z por. K. chodziłem dwa razy w tygodniu do szkoły podof. dawać wykłady z umocnień polowych a do południa stale miałem zajęcie przy budowie trasy w pułku, to znów ćwiczenia na wodzie jazdy, budowy kładek, mostów na lądzie, to ze szkolną komp. kopanie rowów strzeleckich, to budowa zasieków z drutu kolczastego, tak czas miałem zajęty, że mi się nigdy nie nudziło a por. K. mnie polubił, że mi zazdrościli jak sierżant plutonu i plutonowy, że oni mi zawdy przydzieleni byli do pomocy, a ja przeprowadzałem to co porucznik mi polecił. I za moje sprawowanie się i prace por. K. wystarał się w pułku żem dostał nominację na rzeczywistego kaprala 22.XII.1926. I prosiłem por. K., że gdy ten mój rocznik będzie zwolniony, to ja chcę się zostać na nadterminowego i służyć dalej, co mi por. obiecał, ale że przez zazdrość tych dwóch sierżanta plut. i plutonowego, którzy mi coraz gorzej dokuczali i nigdy na mnie nie wołali ina-

czej jak Galicjak, bo oni pochodzili od Częstochowy a drugi od Wielunia i różne skargi do porucznika na mnie wnosili tak żem w końcu postanowił się z pułku 3 p. p. Leg. usunąć bo mi strasznie dokuczali. I ta okazja mi się nadarzyła prawie gdy mój rocznik zwalniali, bo w rozkazie pułkowym było ogłoszenie, który z tych co idą do cywila chce na ochotnika iść do służby pogranicznej do K. O. P. aby się do pułku zgłosił. Więc ja chcąc się mym wrogom usunąć zgłosiłem się na ochotnika do K.O.P. i wyjechałem z pułku 16.V.1926 chociaż porucznik mnie nie chciał z plutonu puścić. A gdy się uparłem to mi powiedział że mi się postara, ale ja sobie z tego nic nie robił co później pożałowałem, ale czyja wina to dotychczas nie mam pojęcia. Czy mnie jakie fatum zaczęło prześladować czy co to nie wiem i nieraz żałowałem, żem por. K. nie posłuchał i nie zdradził tych co mnie prześladowali i w pułku nie został tylko wbrew woli pojechałem na granicę. Nie chciałem cyganić jak inni to mnie usunęli i tak znowu moje nadzieje się rozchwiały i nie wiedziałem co mam robić nic nic tylko dziesięć palców i zdrowie. Jak się znalazłem w domu co robić, u ojca bieda, we wiosce brak roboty a tu zima nadchodzi a ja bez grosza. Pomyślałem sobie żeby się dostać do policji państwowej i zacząłem się starać wyrobiłem sobie potrzebne dowody wypełniłem kwestjonarjusz i wysłałem do Lwowa do wojewódzkiej komendy. Dostałem odpowiedź, że narazie już nie przyjmują żebym był zaraz gdym się zwolnił albo wprost z wojska do policji się zgłosił a teraz muszę zaczekać aż do drugiego roku. Cóż było robić musiałem iść w służbę do gospodarza i rok jeszcze służyłem. Aż mój kolega przyjechał z Francji i opowiadał mi jak we Francji jest więc nabrałem ochoty do Francji. I już papiery potrzebne sobie przygotowałem i na komisję chodziłem do Rzeszowa i do Jarosławia, ale że mnie odrzucili narazie było to w roku 1929 w lutym a w kwietniu poszedłem na komisję do Jarosławia i zostałem przyjęty, gdy do domu przyszedłem był z posterunku komendant S. abym się wybierał do Lwowa żem został przyjęty do policji, ale żem miał zamiar lepszy do Francji i już byłem przyjęty i na drugi dzień miałem wyjeżdżać do Mysłowic więc sobie pomyślałem gdy tak długo czekałem aż sobie teraz o mnie wspomnieli to lepi mi się samemu o siebie starać. I pojechałem do Francji do roboty fabrycznej do fabryki chemicznej do Pombliere Saint Marcel Sawoie, tam gdy kontracht

ukończyłem pojechałem do Compani Sznajder w Le Creusot pracowałem jako pomocnik gisera przez osiem miesięcy, potem wyjechałem do Melun do Companie Radiateur pracowałem cztery miesiące a później mnie zwolnili bo tam była robota sezonowa, 2 października 1930 wyjechałem do znajomych do Valenciennes i do Roubaix ale że roboty trudno było znaleźć, więc się udałem do Carwin do Compani Ostricourt i 15 października 1930 zacząłem pracować w kopalni kompani Ostricourt, szyb 4. Carwin i pracuję po dzisiejszy dzień. Ożeniłem się z Polką 12 lutego 1931 w Carwin, kobieta przedtem służyła na fermie obok Sechin. Żona z Polski pochodzi z kaliskiego okręgu powiat Konin wieś Grodzisk, dzieci mamy dwie córeczki jedna pięć lat druga trzy i pół teraz obecnie chodzą do przedszkola francuskiego. To jest moje całe opowiadanie całe od dzieciństwa aż do czasów teraźniejszych ujęte w jaknajkrótsze ramy oraz okoliczności które temu wszystkiemu towarzyszyły to jest mi trudno opisać chyba na żądanie specjalne, bo dzięki mojej pamięci gdybym chciał to wszystko opisać co pamiętam to bym musiał napewno mój pamiętnik tak napisać i taki był jak „Trylogja“ albo „Chłopi“ Reymonta ale by mi nad tem trzeba dużo pracować i w inne ramy to ująć poprostu tak napisać gdzie radość i gdzie smutek rozgoryczenia i wogóle wszystko to z czem się spotykał porządnie ująć ale że mi na to czas obecnie nie pozwala. Bo gdybym miał to o czem marzę co sobie życzę, to bym mógł ale w tem położeniu jak się obecnie znajduję to nie mogę się na coś takiego zdobyć. A teraz ciąg dalszy jeszcze będzie. Gdym przez komisję został przyjęty do Francji, to tyle wiedziałem że do fabryki, dopiero w Mysłowicach gdym otrzymał i podpisał kontracht dopierom się dowiedział gdzie i jaką płacę dostanę. Jechałem transportem zbiorowym na koszt pracodawcy. Do Société D'Electro-Chimic-Métallurgie et des Acieres Electriques D'Usine 10 Pombliere St. Marcel. Kontracht miałem na sześć miesięcy. Przejechałem Francję z Tula aż do Mutiers i dosyć mi się podobała bo gdy coś nowego się zobaczy to oko chętnie pociągnie a z Tulu aż do Dijonu równiny i piękne okolice a z Dijonu do Bourget pomału teren falisty a później góry niebotyczne wyższe o wiele od naszych Karpat. Chambery, Albertville też piękne miasta ale góry jeszcze większe i tak im dalej w las tem więcej drzew, a gdyśmy przyjechali do Mutiers o 10 wieczór 29 kwietnia ze stacji na pieszo nas prowadził

mer z Pombliere który z nami z Tula jechał, grzeczny człowiek chciał rozmawiać aleśmy go wcale nie rozumieli i trzy kilometry drogi zrobiliśmy i już na miejscu jechało 40 chłopa, 20 się zostało w Mutiers a 20 do Pombliere poszło, gdyśmy przyszli zaraz nas zaprowadził do nowych baraków specjalnie zbudowanych i pozostawiliśmy nasze rzeczy i zaprosił nas do kantyny na kolację, byli tam sami robotnicy włoscy a nawet pare było takich co umie po serbsku mówić to dla nas było dobrem żeśmy mogli się nieco zrozumieć ale przeważnie ja się z nimi zmówiłem bom się dobrze orjentował, a nawet szef pod którym pracował był podczas wojny w Czechach w niewoli tom się z nim zmówił doskonale, co do roboty to lekka ale niebezpieczna, zarobek na 8 godzin 25 fr. ale nie mogłem tam się przyzwyczaić, jedno że nie można się było zmówić drugie że nienauczony z górami i tak się zdawało jakby w areszcie, góry w koło niebo nad głową a człowiek w studni a pozatem napisałem do kolegów w Creusot a było ich tam kilku i oni mi opisali swoje a ja też im opisałem to mi się lepi zdawało że tam jest lepi ja im posłałem widokówkę tej okolicy a oni z Creusot i mnie się tam spodobało i postanowiłem gdy kontracht skończę przenieść się co też uczyniłem. Gdy jechałem do Creusot tom po drodze wstąpił do Lyonu do Konsulatu Polskiego celem zameldowania się z książeczką wojskową, w Lyonie bawiłem przeszło półtora dnia przeważnie chciałem zobaczyć miasto, trochę tramwajem resztę pieszo i nawet spotykałem dużo polaków którzy mnie namawiali abym sobie tutaj poszukał roboty i chcieli mnie nawet sami bez mojej prośby poszukać, ale mi się to narzucanie nie podobało, bo jeśli kto dobrze myśli o koledze to nigdy tak natrętnym nie będzie, jak ci świeżo znajomi polacy, za grzeczność im podziękowałem i pojechałem do Le Creusot, gdym na miejscu swoich kolegów odszukałem, robotę też zaraz dostałem i dosyć mi wesoło było, bo po pracy poszedłem w niedzielę na kolonję polską na Breuil, jest tam sala duża, często urządzają zabawy, zupełnie jak w Polsce grają teatr i wnet poznałem się z Józefem G. który pochodził od Jarosławia a był reżyserem koła amatorskiego „Czyn" no i grałem teatr i byłem też stale na rocznicach i obchodach oraz na uroczystości 3 maja, zupełnie jak w Polsce i czułem się tam jak w domu. Później w lipcu 16.7.1930 wyjechałem do Melun do Campani Radiateur w Dammarac les Lys no i tam również się towarzystwa

znajdowały, a najsilniejsze „Piłsudczyków“ ale ja się nie zapisał, bo ci którzy prowadzili to dane towarzystwo jakieś różnice robili i jakieś tam ich dziwne wymysły tak że dane towarzystwo dla mnie się nie podobało, na obchodach byłem ale ze swej inicjatywy. Później jak przyjechałem do Carvina to mi spodobało się Koło amatorskie więc się zapisałem i jestem do dziś dnia i już trzy lata jestem sekretarzem koła amatorskiego, które nosi nazwę „Śmiały Kazimierz“ i tutaj pracuję stale w kole nawet w tem roku gościłem kilka razy u siebie pana R. z Polski który jest instruktorem dla emigracji francuskiej który uczył nas inscenizacji i tańców polskich i również przeprowadzał kursa reżyserskie na którym i ja byłem, a co do innych towarzystw to jeszcze się zapisałem w tym roku do Byłych Wojskowych. Należałem dwa lata do Związku Robotników Polskich i byłem oba lata mężem zaufania, ale że mi się z pewnych przyczyn dane towarzystwo nie podoba zapisałem się do C. G. T.*) to jest do Syndykatu i od 1-szego stycznia jestem w Syndykacie, a Z. R. P. porzuciłem i przez te towarzystwa nauczyłem się wiele i teraz mam już swoje zdanie, ale tylko dla siebie.

A teraz co do zdrowia to się czuję trochu gorzej jak z Polski przyjechałem uszkodzenia miałem ale to mało znaczące po których tylko świadczą blizny. A co do mieszkania to mam kompanijne dość wygodne o trzech izbach i dość duży kawałek ogródka, pracuję stale przy węglu za pikiera na 9 klase zarabiałem przed strajkiem 32 fr. 90 a teraz po strajku 39 fr. 50 c. ale że tu we Francji życie drogie na życie i ubranie dla mnie i dzieci i żony to tak że prawie starczy i mało kiedy jaki grosz się odłoży na później. W zeszłym roku dziecko jedno umarło i ja długi czas chorowałem to mi dość przykro było ale teraz to mi jakoś idzie lepi. Ale tęsknie za krajem i chciałbym się dostać do Polski i gdybym miał więcej gotówki to już bym był dawno pojechał. Zamiar mam kupić dom i krów parę i konia i ziemię choć z parcelacji wziąć aby być na swojem a nie szukać u kogo pracy, albo gdybym tak mógł dostać jaką dobrą funkcję w Polsce czy przy meljoracji czy też do straży celnej bo mi się to podoba, tobym chętnie wrócił do ojczyzny, ale że jak widać ta nasza Ojczyzna krwią i życiem chłopskich synów wykupiona z niewoli nie jest dla nich przeznaczona tylko dla niepożądanych gości i obcoplemieńców którzy na nędzy braci naszych

*) Tj. do Confédération Générale du Travail.

żerują a nasz Rząd to przez palce patrzy na to i zezwala i tyle tysięcy nas tutaj się tuła po obcych progach szukając kawałka chleba bo nasza matka dla nas go nie ma, dla pasożytów i ludzi niepożądanych i tych których i ja sam przeklinałem będąc w Polsce biurokratów to dla tych stworzyła raj na ziemi czego tutaj w tak bogatej Francji nie spotkałem i dziwno mi jest dlaczego ten ustrój jeszcze się utrzymał dotychczas ale jak widać i prasa polska tutaj jak „Wiarus Polski", „Narodowiec" opisują wieści z kraju a przeważnie ucieszyło mnie to com się dowiedział o tej wielkiej i mądrej manifestacji chłopów z Przeworskiego powiatu moich braci w Nowosielcach, daj Boże takich więcej bo jaż dusza raduje że może to już dla nas nasze słońce wschodzi. Pamiętam czasy zaborcze ale takie to obecne to nie ich porównać a teraz co do zapłaty, to aby sprawiedliwości się stało zadość to tym którzy byli przyczyną tej nędzy, tak zrobić jak w 1920 roku chłopi żołnierze bohaterzy zrobili bolszewikom pod Warszawą, bo się im słusznie należy. Bo ci gorsi od Targowiczan którzy już raz Polskę sprzedali a chłop ją wykupił krwią swoją, teraz znowu tego chłopa wyniszczyli tak aby nie był zdolny stawić czoło Teutońskiej hydrze która już swe pazury wyciąga ku Gdańsku, aż serce żal chwyta gdy się o tem pomyśli że najlepsi synowie tak marnieją a tacy oprychy sobie dla zabawki z tej nędzy drwią, rozumiem dobrze bom to w Polsce widział i widziałem i tutaj takich jegomościów i pytam sam siebie jak długo tak będzie, ale dosyć tego trzeba o czem innem napisać. A teraz moje zamiary są po części znane bom wspomniał ale co do gotówki to niewiele mam w kasie, w P. K. O. 1.850 złotych a do rodziny nie syłam bo nie mam do kogo, a co do szwagrów ze strony mej żony to ich nie znam a kogo nie znam to mu nie zawierzę bo czyje ręce są lekkie i niepożyteczne, a myślę że gdy kiedyś wrócę to jakoś sam sobie będę radził bom Polak i do Polski myślę wrócić tylko nie wiem czy dobrze zostanę przyjęty na łono ojczyzny. A teraz co do dzieci mam dwie córeczki jedna pięć lat druga cztery lata chodzą do ochronki francuskiej bo tutaj polskiej niema a do szkoły to nie wiem jak jeszcze zrobię bo tu jest też polska ale że źle o niej się wyrażają Polacy ale nie wiem jak długo będę ale w każdym razie do polskiej szkoły poślę jeśli tu będę.

Co do władz polskich to miałem kilka razy sposobność ale

nigdy tego com sobie życzył nie otrzymałem i do tego jeszcze raz niesłusznie dali mi karę to teraz omijam i wolę sobie gdy mi coś potrzeba sam radzić niż z nimi bo nie jest możliwe nic nigdy im zrobić co robotnik chce. Co do mego prowadzenia się to się przyznam śmiało że ani w Polsce ani tu we Francji nie miałem najmniejszej sprawy sądowej i tego stale unikam. A teraz co do tego czy mi się podoba tutaj, owszem podoba mi się ale za ojczyzną i jakim zagonem ziemi na starsze lata tęsknię ale by dobrze było żeby tę miejscowość tak do Polski przenieść i żyć w tej miejscowości ale w ojczyźnie. Bo zawdy w ojczyźnie ma się swoje prawa ale tu to ograniczone jak niewolnik. Tu z tej miejscowości nie wiele powróciło do Polski tylko ci co chcieli dobrowolnie i ci co nadużyli tutejszej gościnności i nie umieli się należycie zachować a reszta Polaków to sami Westfalacy, Polaków z Polski to może 10 procent ale Westfalacy to już dla Polski nie synowie może gorsi od pasierbów, o Polsce mało kiedy dobrze się wyrażą, a o niemcach to tylko niech Hitler na nich palcem w bucie kiwnie to śmiało na jego zawołanie pójdą, a nawet i ci którzy pochodzą z Polski a z pod byłego zaboru niemieckiego radzi są rozmawiać i wychwalać Niemcy, a Polska dla nich czemś w rodzaju obcym jak dla rodowitego Polaka Niemiec, to nie prawdziwi Polacy! to są jak żydzi którym kto jest niech będzie byle on miał dobrze, same samoluby pochodzenia gadu niemieckiego, dla nich co Polskie to brzydkie nawet przedstawienia któreśmy urządzali to stale z nich drwili, teraz młodzież z Carvin to też z tego pochodzenia ale się tłumnie garnie do koła bo im się spodobały tańce piosenki polskie i kostjumy polskie, ale to trzeba dużo zawdzięczyć bytności instruktora pana H. R. który tu obudził ruch Polskości przez teatr że teraz miło popatrzeć jak młodzież po polsku zaczyna śpiewać tańcować i bawić się a nawet starsi lepiej się wyrażają. Ot żeby Polska takich R. więcej przysłała do wychodztwa tobyśmy byli kontentniejsi niż takich co tu ich dosyć było ale z pod ciemnej gwiazdy którzy nienawiść i niezgodę siali i tylko szabelkami uczyli bzdąkać w spokojnym czasie, potworzyli grupki które się stale rozlatują i wspólnie się nienawidzą a oni nie dość że korzystali z Rządu ale i na naiwności ludzkiej. To jest mój pogląd i moje wywody i ja to tak rozumię a wy czytając moje wypracowanie to moją duszę tak gruntownie zrozumiecie jaką jest w rzeczywistości. I zawdy mi to przysłowie stoi

w pamięci (słowa p. Wyspiańskiego) „Ten chłop Polski to on ma coś w sobie z Piasta, bo w chłopie Polskim jest potęga i siła i basta". A właśnie tej potężnej siły nasza ojczyzna potrzebuje i ma ją, ale przez nieudolność niepożądanych dosyć dużo zniszczoną, trzeba by ją zreparować a na to trzeba dobrego mechanika który już jest potrzebny. Piszę co jest moją prawdą i co myślę i zwyczajnie po chłopsku, może będą moje pismo czytać ludzie tacy co dużo złego narobili nierozważnie to myślę że na przyszłość się poprawią i zastanowią i zobaczą swe grzechy. Ja się starałem dać poznać swoje życie i moje myśli a wy kiedyście taki Instytut zorganizowali, owszem myślę wam zadość uczynić i do tego należeć może i dobrze wymyślicie, jak tak to niech Bóg i ojczyzna nagrodzi, tego wam życzę.

Dn. 31 lipca 1936 r.

Pamiętnik Nr. 6

Górnik, inwalida pracy, syn robotnika rolnego z Poznańskiego, ur. w 1897 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Ja niżej podpisany ur. się 1897 w Bodzewku pow. Gostyń (Poznańskie) jestem synem robotnika obszarniczego, było nas siedmioro dzieci dwie siostry i pięciu braci ja byłem najmłodszy we familji, a gdy byłem poniżej lat sześć to już dwóch najstarszych braci wyemigrowało do Westfalji. Co do familji naszej to my żyli nieźle, iż dobrobyt już wtenczas był pod zaborem niemieckim i we familji my się szanowali jak się przynależy. Gdy byłem sześć lat stary to wstąpiłem do szkoły powszechny w Bodzewie około 6 klm odległości od naszego domu. Ja chodziłem pierwszy rok do nauczyciela niemieckiego był to czasem on bardzo nerwowy i bił dzieci polskie mocno kijem, później był on zmieniony, na jego miejsce przyszed inszy nauczyciel też niemiec ale kawaler bardzo uprzejmy dobrego serca, nigdy przeze mnie nie zapomniany nauczyciel, nigdy on nie przezywał ani też nie przezywał nas polaków, co też miał dobrą opinie w okolicy u polaków, nawet się uczył od nas dzieci niektórych słów polskich i nas prawie wcale nie bił. Cześć jego pamięci. Ja się u niego bardzo dobrze uczył historji i geografji co on nas o tem uczył. W piątym roku nauki wstępuje do I klasy pod nauczyciela Kutznera z pochodzenia polaka (ale polakożerca pierwszej klasy) który pobierał Ostmarkenzulage bardzo sławną z dawnych pruskich polakożerców. To jest pchanie na wschód i niszczenie wszystko co polskie. A dzisiaj za Polski niepodległej ma być ten pan jako inspektor szkolny to wielka hańba! Dzieci p. Kutzner

bił bez miłosierdzia za byle co a najwięcej za polską mowę ciął ten kat bez miłosierdzia na ręce aż jasne były. Co dzisiaj w Polsce myśle że nie do pomyślenia jest. Ja niemieckiego się bardzo niechętnie uczył i byłem już z małości patryjota polski i wolałem czytać w domu całemi wieczorami naszą „Gazetę Grudziądzką" i dzieje Narodu polskiego i jeszcze inne. Gdy miałem lat 13½ rozlatuje się nasza cała familja, ja wiedziałem co mnie czeka błagałem mocno ojca i matkę aby w kupie pozostać lecz bez skutku. Teraz mnie bierze jeden z braci z pobliskiej wsi mając około 15 mórg swego, Ojciec i Matka do drugiego brata czyli syna a ostatnie dwa braci 18 i 20 lat wyjeżdżają na emigracie do Westfalji. Ja chodzę i zakończam szkołę powszechną, gdy byłem u brata mego, ten ostatni nauczyciel mój nazywał się Konieczny, człowiek który sobie zasługiwał na dobre imie i placówkę Rzeczpospolitej polskiej, przy zakończeniu szkoły powiedział on nam ładną przemowę i mówiąc nawet do mnie, ciebie chłopcze pewno najcięży pójdzie w świecie co się też prawie sprawdziło. I tu koniec szkoły powszechnej.

Po wyjściu ze szkoły powszechny

Teraz jako chłopiec 14-to letni chodzę do lasu do pracy o trochę chlebie i zimny kawie zarabiam Markę niem. Potem w czerwcu było to 1911 r. zaczynam jeżdać do pracy około 12 klm, była to praca przy robocie szosowej dość ciężka rano od 6-ty do 7-my wieczór latem, a potem kródzy, zarabiałem około 1,60 na dobe. Majster był Niemiec dość wyrozumiały człowiek, a gdy widząc ze jak ja zacząłem słabnąć przy zimny strawie, ciężki pracy, przy małem wyspaniu co musiałem już o wpół do czwartej rano wstajać i około wpół do dziewiątej przyjeżdałem na wiecór, życząc ów majster mi ażebym szedł jako chłopak do gospodarstwa rolnego do kolonisty niemieckiego co zem tez uczynił godząc mnie ów kolonista od 15 listopada 1911 r. do 15-go list. 1912 roku początki były co do żywności dość dobre, co do pracy to tez i ciężkie zazwyczaj u kolonistów niemieckich, był to co do gospodarki dobry praktykant, co u naszych polskich gospodarzy mało kiedy znalazł. Co też się tam dużo nauczyłem, co by się naszej Polsce podziś dzień przydało co tego wcale nie wykorzystuje. Dalej u tego kolonisty musiałem wszystko robić, było około 75 mórg ziemi, z początku zaniemogłem na nogi i oczy byłem w opłakanem położeniu,

kolonista chciał mnie wygnać co nie miałem gdzie iść bo nie miałem domu, ale później to mi to jakoś przeszło. Po pół roku objął gospodarstwo młody kolonista to się wszystko zmieniło a to odżywianie bardzo liche było to się na mnie tak odbiło że po roku gdy opuszczałem miesce to zgubiłem około 5 kl na wadze. Teraz od 15 list. 1912 r. do 15 list. 1913 r. urządziłem się po sąsiedzku zaraz, był to kolonista co miał ręczne mleczarnie jedne gdzie ja byłem a drugą w pobliski wiosce był jeden pomocnik i ja. Właściciel Dolno-Śluzak a ten przed tem Westfalak, przed południem na ogół praca ciężka, po obiedzie lekka co było w tem około 14 mórg ziemi, tu żywność była nadewszystko dobra co przez rok przybrałem około 18 klg na wadze i tu się poddzwignyłem tu byłem całem gospodarzem a później gdy czeladnik obywatel niemiecki poszed do wojska który miał rodziców pod Końskiem (Królestwo polskie) właściciel miał całe zaufanie do mnie, wszystko szło dobrze aż miałem raz konflikt z właścicielem, co doprowadziło później do odeścia od niego co nawet matka właściciela i siostra mnie płakały bo byłem dobrem i akuratnem robotnikiem i chłopakiem, później nie mogłem odżałować tego dobrego miesca, u pierwszego kolonisty dostawałem na rok 140 Mk niem., u drugiego 150 Mk i żywność i opranie.

Emigracja w r. 1913 do Westfalji i Nadrenji

Wyjeżdając na emigracie do Westfalji. Tutaj byłem z mojem bratem razem na stancji u siostry, pracowałem jako pomocnik kowalski przy mojem kuzynie zarabiałem około 4 Mk na dobę, dobrobyt był dla robotnika wtenczas nawet bardzo dobry, robotnik tu żył jak mu się przynależało, kto sobie statkował to móg dobrze zjeść wypić i ładnie ubrać się. Polskich emigrantów tu było zatrudnionych po większy części na kopalniach kamiennego węgla a reszta po fabrykach. Tutaj my emigranci polscy pracowaliśmy ciężko na baronów niemieckich, tutaj poradzili niemcy wykorzystać emigranta polskiego, który poradził dźwignąć państwo niemieckie do takiego rozkwitu jakiego można było powiedzieć nie było drugiego w Europie. Ja pracując żyłem dość dobrze ale w czerwcu 1914 r. miałem nieszczęście, naprzykład pracowałem przy fabryce benzolu i opryskałem się coś niem a gdy przechodziłem koło koksowni była rurka gazowa, od który moje popryskane ubranie od benzolu na mnie

się nagle zapaliło i cały w ogniu stałem, zdzierałem od bólu ubranie ze siebie, ale momentalnie przyszło mi na myśl i skoczyłem do pobliskiego miałkiego węgla i w ten sposób tylko ogień ugasiłem i bliski śmierci uniknąłem a potem okropnie byłem poparzony i mocno cierpiałem i około dwu miesięcy się leczyłem. A teraz co do położenia tu we Westfalji to mieli tu emigranci rozmaite towarzystwa jak Sokół, koło śpiewu i inne kościelne, tak samo też dwa dzienniki jak „Narodowiec" i „Wiarus polski", ja czytałem „Wiarusa" a do żadnych towarzystw wtenczas nie należałem. W lipcu 1914 r. było coś tak słychać o wojnie, ale to sobie na serio każdy nie brał ja sam żem nie przeczuwał że w krótkiem czasie się taka rzeź zacznie.

Wojna światowa 1914 r.

Wybuchła ta okropna wojna, ta okropna rzeź, ta nieszczęsna wojna, co tyle ofiar poniosła, co tak samo naszą Ojczyzne drogą sięgła. Ach, ach co za krwawa wojna tyle milionów ofiar zabrała i tyle pięknych rzeczy zniszczyła, co przez taki długi czas ludzie budowali, to teraz w krótkiem czasie było zniszczone, to ładna cywilizacja kilka bożków wojennych. Ja to bardzo dobrze pamiętam jak nasi emigranci też na nią śli, po domach emigrantów polskich wielki płacz i slochanie, jedni lamentują na który front pójdą drudzy mówią pewno pójdziemy na te okropną wojnę do Francji co my emigranci tu po dziś dzień mamy chleb. Ach ta Francja co najbardzi i najwięcej w niej podczas ty rzezi krwi polała. Dalej dzieci i matki swego ojca żywiciela opłakiwały, tam znów rodzice polscy swych synów, lamentując mówiąc za co my idziemy na te wojne, my nie mamy żadny Ojczyzny, tam znów inny mówi że ta wojna naszą Polskę wskrzesi. Dalej potem na emigracji we Westfalji się wszystko zmieniło, drożyzna, później wszystką prawie żywność dawają Niemcy na kartki, wszystkiego brak głód nadchodzi. Wojna w pełnem tempie, praca nie idzie jak to przód, dobrobyt znika.

Wojna światowa 1915 r.

Byłem teraz około $17^1/_2$ r. życia zmieniam prace, idę na dół do kopalni, tu praca ciężka i wymagano dużo bo to wszystko na faterland. W czerwcu porzucam kopalnie i ide na wierzch do mu-

rarzy pracować ale nie długo bo piszą z Polski żebym przyjeżdał, to w Polsce mi się dość podoba, żywności więcej i pumału na kawalera wyrastam i robiemy z kolegą w niedziele wycieczki, pannów dość a kawalerów mało, pieniądze z emigracji też miałem to szło dość dobrze. Co do pracy to pracowałem u moich braci którzy byli na wojnie. W Polsce to Niemcy wszystką młodzież prędzy zaciągają na wojnę, toby mnie też to spotkało, to jestem zmuszony opuszczać rodzinne strony i spowrotem udać się do Westfalji. Tu zaczynam spowrotem w kopalni. Pracy wymagają Niemcy bardzo dużo bo chcą za wszelką cene wojnę wygrać i dwa razy w tygodniu to przez cały dzień praca w kopalni.

Wojna światowa 1916 r.

Ja pracuje nadal w kopalni. Teraz przychodzi tu na kopalnię około 600 jeńców Francuzów i Rosyjan, bo cywilnych robotników brak, ja robie z francuzami, bardzo się szanujemy jak bracia. Mam ich za wybawców naszej ukochanej Polski co też tak jest. Kupując jem różne rzeczy i narażając się od Niemców w razie przydybania. Później robie z towarzyszem Iwanko z dalekiego Sybiru. Rosyjanie byli tu w opłakanem stanie, bo nic ze swojego kraju nie otrzymali a francuzi to tak. Przez dłuższy czas pracując z jeńcami, ci mnie prosząc żeby iść z niemi do Holandji ja się obawiam, późni jednak pouczam dwóch francuzów i uciekają ale późni Niemcy ich łapią. Miesiąc późni dwóch Rosyjanów, ci się przedostają do Holandji. W sierpniu opuszczam te kopalnię, udaje się do Nadrenji. Tutaj zaczynam pracować znów w kopalni węgla. Na stancji jestem w tak zwanej Menazy co się mogło wmieścić około 1.500-set chłopa, bardzo wzorowe urządzenie i czystość i wygodne spanie po trzech lub czterech na jednem pokoju, było tutaj dużo rodaków z Warszawy, Łodzi taksamo i żydów, żydzi się tu brudno trzymali, co do polaków to było też dużo drani między niemi, ale byli też i dobrzy chłopcy. Ja się zapoznał z jednym inteligentem z Łodzi, byli my bardzo dobrymi kolegami, bardzo my się szanowali i często my rozmawiali o naszej Ojczyźnie. Teraz jeszcze oznajmiam jako ci rodacy i żydzi z Warszawy byli przez Niemców pościągani do pracy. Dalej co do pracy to ciężka przy bardzo lichem odżywianiu, dzień na dzień tylko zupa, a głód dawał się we znaki. Tak że z mojem kolegom Jankiem z miasta Łodzi planujemy wyjazd do Holandji,

co też później to wykonujemy. Ja miałem w październiku wstąpić do wojska niemieckiego co byłem znów przez kopalnie reklamowany. Przy końcu listopada wyjezdamy z kolegą Jankiem do Holandji. Ja zabieram od jeńców francuzów kilka listów do Holandji zupełnie zadarmo później oddałem je w Holandji konzulatowi francuskiemu. Była to wielka rezyka. Ci francuzi tych listów byli koledzy co my razem pracowali.

Ucieczka do Holandji przy końcu listopada. Razem z kolegą Jankiem szwarcujemy się do Holandji. Przekupujemy niemieckich posterunków i przechodzemy granice, było to zimą tu się zaczynają opłakane czasy. Ja mam szczęście i otrzymuje pracę blisko niemieckiej granicy. Janek mnie namawia jechać do Rotterdamu portu, co też czynimy. Kol. Janek namawia mnie o zapisanie się do Rosyjskiego konzulata ja go słucham, po rosyjsku też umiałem, ale w Rotterdamie tajny nam wszystko pokrzyżował. Potem Janek jako obywatel rosyjski idzie do swego konzulata a ja ostaje. Tu jako dwa ukochane koledzy rozłączamy się. Chętnie po dziś dzień chciałbym tego ukochanego współtowarzysza odnaleść i bym go odnalazł tylko jego nazwisko zapomniałem, pochodził on ze zamożny rodziny z Łodzi, on by po dziś dzień pomóg mi w mojem ciężkiem położeniu. Potem ja wyjechałem do południowy Holandji. Tutaj szukam pracy przy wyrabianiu wapna, tu wszędzie na Niemców krzywo patrzą, o polakach nie wiedzą. Tu w Holandji jest też około 12 tys. polaków uciekinierów, stosunki do emigranta dość liche. Holandja przepełniona od rozmaitych narodów a pracy mało. Z mojej pracy nie mam dosyć na użycie. Ja sobie rozmyślam trzeba ten czas jako wykorzystać i miałem chęć kowalki się zupełnie wyuczyć.

Wojna światowa 1917 r.

Teraz szukam miesca jako uczeń kowalski co znajduje na jedny z większy wsi u jednego dzielnego mistrza kowalskiego. Zaczynam nie pytam się co dostane za zapłate tylko na łaskę i niełaskę robie i pojmuje dobrze, słucham wszystko co mi majster każe. Odżywianie mam dobre i dostaje tylko piwne. Czytam gazety holenderskie, całemi zimowymi wieczorami uczę się pilnie po holendersku. Jestem zadowolony że ten kraj mi skrycie dał i myśląc że raz kiedyś jeszczy człowiekiem będę. Ja z chęcią u majstra pra-

cuje i w miescowości mam bardzo poważanie jak u burmistrza nauczyciela i u dużo innych, często się ich w kuźni majstra dużo gromadzi, opowiadają najwięcy o ty nieszczesny wojnie. Jedni są za niemcami, a większa część za Anglją i Francją, mnie się też zapytując jakiego zdania jestem, ja odpowiadam neutralnie. Bo majster bardzo za niemcami trzema, jego żona jest belgiska (flamandzka). Jest bardzo przeciw Niemcom nieraz do starcia przychodzi. Ja jestem w każdem razie za Anglją i Francją ale milcze bo tak źle a tak niedobrze. Później przychodzi do mego majstra czterech żołnierzy holenderskich dla pilnowania pobliskich granic, iż szmuglerka szła tu w najlepszem, tak samo jest tu też jeden gminny policyjant. Ja jestem tu między niemi jak by we wielkiej familji.

Wojna światowa 1918 r.

Ja pracuje dalej u majstra ale więcy nie chce mi dać zapłaty. Przy namowie jednego z kolegów polaków opuszczam kowala co nie dokończam nauki, to wielki błąd robie. Ide znów do wyrobu wapna ale nie na długo bo w Holandji też się głód teraz zaczyna. Tak teraz robie sobie miesce we większem gospodarstwie, tutaj myśląc że się przynajmniej dobrze najem. Tutaj było nas czterech Belgijczyków internowanych i ja. Musieli my tu za małą zapłate i bardzo liche odżywianie ciężko pracować. Właściciel był zupełnie bezczelny człowiek gnał nas jak bydło. Jednego razu każe nam obrywać jabka co były olbrzymie drzewa, ja przy obrywaniu jabek spaduje około 12 m z drzewa i byłem około trzy godzin w agoni. Teraz nie mogę na krzyż ani pracować ani chodzić ani leżeć, bo sobie go tak starłem i myśląc że już będe kalika, ubezpieczony nie byłem w niczem, przez jakiś czas nie mogłem pracować. A właściciel mówiąc kto nie pracuje u niego ten niema jedzenia, później ja coś się podleczyłem i porzucam gospodarza i ide na pobliską kopalnie węgla kamiennego. Tu też gonią jak bydło, jest też dużo Polaków zatrudnionych ja jestem w 22-giem roku życia, pracuje dalej, huk armat z frontu bezustanku słychać, myśląc o moich braciach krewnych i znajomych czy jeszczy żyją co pisywałem a nic od nich odpowiedzi nie było, aby od moi narzeczony regularnie listy i pocieszynie otrzymywałem, zbliża się jesień a tu armaty biją aż ziemia drży bo niemcy się cofają i coś niby słychać że Niemcy nie-

długiem czasem skaputulują co też tak było moje przepowiednie się sprawdzają. Emigranci polscy robią zgromadzenie w Holandji ciesząc się że Polska powstaje tak samo ja byłem między niemi, 11-go listopada 1918 r. skończyła się ta krwawa rzeź co trwała cztery lata i trzy miesiące, co miliony zabitych pochłoniła, miliony kalek narobiła co miliony sierot wdowów narobiła lub ich żywicieli zabrała, oto bilans kilka bożków wojennych. Po wojnie ja jeszczy nadal pozostaje w Holandji i pracuje na kopalni, iż nie mam dosyć pieniędzy na wyjazd.

1919 r. po wojnie

Przy końcu września wyjeżdżam z Holandji i to do Westfalji i jestem dalej u swojej siostry jak dawniej i się dowiaduje kto z krewnych lub braci przetrwał wojne a kto nie. Co do pracy to otrzymuje ją na wierchu na kopalni, co też już bezrobocie było we Westfalji. Co do wolności to była wtenczas w Niemczech bo były rządy demokratyczne. Ale wtenczas żywności jeszcze nie było dosyć. Późni dostaje prace w kuźni byłem zadowolony z niej, bo była dobra i do tego była dość wielka wolność. Polacy się wszędzie bawia.

1920 r. po wojnie

Wtenczas robią emigranci polscy wszędzie wiece patryjotyczne ja też biere udział w nich. Wszędzie mówcy przemawiają jakie dobroci będzie miał emigrant gdy wróci do swojej Ojczyzny, dalej mówią nawet krzyczą na wielki głos, tam u nas w Polsce tam za naszą stolicą Warszawą teraz jest ziemi urodzajny pod dostatkiem, tam udzieli nasz rząd każdemu emigrantowi kawałek ziemi, to też każdy emigrant był z tego mocno zadowolony, ale który sobie te słowa przypomniał, polak lubi dużo mówić ale mało czynić, to też najlepiej zrobił ze na te tanią ziemie nie oczekiwał. Przy końcu kwietnia 1920 r. ja dostaje miesiąc urlopu i jade w swoje strony do poznańskiego co około pięć lat jak się nie widziałem z familją, myśląc gdy dostane jaką pracę rządową to już nie powróce do Westfalji, ale nie mam szczęścia na to. A gdy byłem wtenczas w Polsce nasz Naczelnik J. Piłsudski maszeruje ze swoją armią na Kijów. Nawołuje się ludność o pożyczkę państwową, ja też co mam to daje na nią około 1.800 Mk polskich, wartości wtenczas około

200 zł polskich. A później gdy zostaje przeliczone na złote, to raptem dostaje około 10 zł. dziesięć złotych polskich. Co się czuje w tej sprawie okropnie pokrzywdzony. Niedawno dostałem około 14 fr. odsetków z Warszawy. Przy końcu maja 1920 r. wracam spowrotem do Westfalji i pracuje dalej, jestem dalej patryjotą polskiem, myśle zawdy że Ojczyznie jeszczy raz jakieś usługi dać i raz w niej człowiekiem być. Ale niestety Ojczyzna dobrych synów od się odpychała i nie chciała ich, w tem są też wielkie błędy. Co do organizacji należałem wtenczas do Zjednoczenia Zaw. polskiego, do Sokoła i do narodowej partji robotniczej. Gazete czytałem Wiarusa polskiego. Później emigrantów dużo wyjeżdało na kresy do policji państwowy, co też i mnie namawiali, ja nie miałem w tej funkcji zamiłowania. Przy końcu listopada 1920 r. poszukują tu kowali i monterów do Polski, ja się zgłaszam i jademy we dwóch przez Górny Sląsk, bo to miała być firma górnośląska co te mosty żelazne przez wojnę w r. 1920 były zniszczone. W Katowicach zbiera się nas jeszcze więcej i jademy dalej na Warszawe. Przyjezdamy do stolicy co nie mogli my doczekać aby ją zobaczyć. W poczekalni na dworcu Wiedeńskiem pełno żydów, którzy wyjezdają z Polski. Na drugi dzień odjezdamy w strone Łomży. Tu przyjezdamy, są my przez trzy dni, jest średnie miasto połowa żydów a polacy przeważnie biedny element. Przyjezdamy dalej na miesce pracy do Nowogrodu, tego nigdy nie zapomnianego Nowogrodu, ty piękny mojej ukochany miescowości. Wszędzie mnie tu ludzie do mieszkania zapraszają, my z Poznańskiego są bardzo poważani, całemi wieczorami gawędzemy z niemi opowiadają swoją dole i niedole co prześli we wojnie, jest tu bardzo długa historia do opowiadania, ale tylko krótko opisze. Pracujemy tu Poznaniacy Ślązacy miescowi i jeńcy bolszewicy. Była to uciążliwa praca, iż my nie mieli odpowiednich maszyn lub narzędzi. Ja się staram jak mogę tu, widząc że miescowe żydy by chciały Polskę ze skóry odrzeć, organizuje i staram się ażebyśmy wszystko swoje mieli, co też tak było. Tu był jeden inżynier śląski i dwa ze Lwowa i jeden urzędnik z Dęblina, u wszystkich miałem bardzo poważanie i zaufanie co bardzo byłem akuratny w pracy, zawdy myślałem że to we swojem i dla swego kraju, ale było też tu parę takich draniów że nie byli mego zdania. 1921 r. pracuje tu nadal z wielką chęcią aże tu przychodzi koniec lutego, naraz nas zwalniają z pracy, my bardzo nieza-

dowoleni z tego iż nie mamy żadnego wyścia. Jadymy do Warszawy do Naczelnika Inżyniera R. był to główny inżynier od budowy mostów przy ministerstwie spraw publicznych, był to bardzo uczciwy i poważny człowiek. Na naszą prośbe wysyła nas p. inż. R. z powrotem do pracy w Nowogrodzie. W tym nigdy u mnie niezapomnianem Nowogrodzie, który mi tak spodobał, w którem chciałbym tam nazawsze pozostać, w którem był tak samo mały pomnik ku czci naszego ukochanego Kościuszki. Teraz tu dalej pracuje przy budowie mostów z kilka Poznańczykami i Ślązakami ale nie długo, bo po pięciu tygodniach znów jest tu praca wstrzymana. Mnie przy końcu tej pracy o mało co śmierć nie poniosłem, będąc przy naprawie temczasowego drewnianego mostu, a gdy my byli z jednem monterem zajęci pod mostem, stojąc na łódce, naraz gdy wielkie kry lodu pchając na nas, mój pomocnik zdąża się wdrapać na most, a ja nie mam wyścia, łapiąc się dwóch śrubów, lód wypycha mi łódkę z pod nóg, a ja wisząc około pięciu minut trzymając się za śruby mocno, pod kolana we wodzie, a kry lodu mi nogi żną, a tu rzeka Narew około 6 mtr. głęboka, tak że śmierć w oczy zaglądała, kilka kolegów było u góry na moście nikt mnie nie ratuje, myśląc że już utonyłem. Ale ja tu cudem uchodze znów śmierci, iż pod mostem dużo kry lodu się nabiło, a ja się po tej kry spieram i balków od mostu się połapuje aż za kilkanaście metrów dostaje się na trzymający jeszczy lód, tu odpoczywam iż byłem prawie bezprzytomny co przez dwa dni prawie słowa nie mogłem wymówić. I tu było trzecie moje wydarzenie w życiu co mi śmierć wisiała na nicce. Potem gdy przestała tu praca iść wysyłają nas inżynierowie do budowy mostów w Broku n/Bugiem, tu nas znów odprawiają, tłumacząc nam że robota ma się ku końcowi. Teraz jedymy we swoje strony przez Warszawe. Stolica nasza jest piękna i wielka, widać w niej bogate składy i ludzi zamożnych, ale widać też taksamo bardzo dużo biedoty i różne niebezpieczne elementy. Co do lepszy inteligencji to uważam za dzielną i brawurowo sympatyczną, wszędzie mogłem ładnie porozmawiać, jak ze rzetelnem narodem. Takie mam wrażenie z naszej stolicy 1921 r. Gdy teraz przyjezdam do poznańskiego jestem raz u tego potem u drugiego brata którzy mają po kilkanaście mórg ziemi. Nie mam żadnego wyścia, pracy niema, jestem niezadowolony, myśląc i patrząc w strone niezapomnianego Nowogroda. Później łapie się cze-

go moge iż niema żadnego wyścia, dzierżawie do spółki w jednych wielkich dobrach kilka aleji owocowych. Nie miałem z tego wiele iż był to suchy rok i nie wiele owocu a do tego inflancja marki polski. Potem gdy sie sezon kończy wracam z powrotem do brata. Potem szukam pracy na kolei we warsztatach, nie dostaje jej iż nie mam książki egzaminu, pracuje u jednego z kowali w Lesznie około trzy miesięcy, składam mój egzamin kowalski który w Holandji nie dokończyłem. Teraz jestem pewny że otrzymam prace na kolei, ale się myle, tu wymyślają znów coś nowego aby mnie pozbyć, znów niema wyścia, tak praca była ale do tych co sute łapówki dali a u mnie nie był ten zwyczaj. A tu niema znów wyścia, teraz mam narzyczoną później to jest w marcu 1922 r. wstympuje w stan małżyński, jestem 25 lat stary, moja miła 23½ lat. Teraz za żonatego łapie się czego mogę, chodzę do tłuczenia kamieni na pobliskie szosy, robię ciężko i zarabiam z ledwością na sól i pieprz. Ale po paru tygodniach staram wyemigrować do Francji co też robie.

Emigracja do Francji w kwietniu 1922 r.

Przyjezdam do Francji do Toulu stacji zbornej, tu około 2 tys. polaków są wysyłani we wszelkie strony do pracy na rolę do fabryk i górnictwa. Gdy sobie tak człowiek pomyślał Ojczyzne mamy wielką, tylko nam dobrych kierowników co by to wykorzystać umieli, ale takich ludzi nam brak, a nasz kapitalista i obszarnik to samoluby nie dbają o swój naród i Ojczyzne i społeczeństwo. A co do ogółu kraju naszego to bardzo mało ludzi mamy tu, to jest ten największy błąd ze życzliwych ludzi do kraju lub społeczeństwa mało mamy, pycha zarozumiałość i samolubstwo jest u nas zanadto zakorzenione. Teraz tu we Francji ja jestem do górnictwa powołany. Tu emigrant polski tłucze się z tobołami po Francji podobny do wędrujących cyganów godne pożałowania, języka francuskiego nie zna, jest na każdem kroku wyzyskiwany i oszukiwany przez rozmaitych spekulantów kupców i rozmaitych kupców domokrążnych, co do rozmaitych urzędników kopalnianych lub doktorów to znów innych to łapówka tu we Francji to idzie górą to też jest bolączka do naszy emigracji. Tu we Francji pracuje ciężko w kopalni

węgla kamiennego w północny Francji płaca około 16 fr. wtenczas na dniówkę. Wyzysk emigranta dobrze idzie iż nie zna tu języka francuskiego i wogóle całych stosunków jakie tu panują. We wszystkich zawodach robotnik emigrant polski twardem wzorowem robociarzem i wykonuje najcięższe prace. Smutno każdemu rozsądnemu człowiekowi jest gdy widzi jak najlepszych emigrantów zagranicą wykorzystują, coby mogło w kraju być zastąpione, żeby nasz własny kraj móg z tego korzyści czerpać, to jest bardzo smutno i w tym siedzi wielki błąd. Teraz co do dalszy pracy tu na emigracji to idzie mi nie najgorzej tylko że się nie można zmówić bo się francuskiego języka mało zna, dużo się nie można rozmówić a pomału się tak pojmuje. Co do warunków materialnych to tu jest dość dobrze, ale dużo francuzów jest dość wrogo do nas usposobionych ale to trzeba wszystko przyjąć. Praca to tu wrze w pełnem tempie wszędzie jest i poddostatkiem. Emigrant może się przyodziać i zjeść jak się przynależy. Pierwsze pare miesięcy byłem tu sam ale potem ściągam żone. Kupujemy wszystko co potrzeba do gospodarki domowy, idzie nam dość dobrze. Emigracja polska napływa tu masowo, dużo mętów się tu przedostaje niepotrzebnych co aby dobrego emigranta hańbią. I takich było tu cała masa, ale z biegiem czasu ich policja francuska przerzadza. Ja początki mieszkam między francuzami. Na wszystko trzeba im ulegać, bo się nigdy nie jest w domu tylko u kogoś. Dalej co do familji to dostajemy potomka, po czterech miesiącach nam umiera, potem drugiego synka i znów przy urodzeniu nieżywy. W lecie 1925 r. wpaduję w ciężką chorobe co była mała nadzieja ze mną, ale się coś podleczyłem, po dziewięciu miesiącach chce zacząć pracować lekarz mówi żeby na wierchu ale inżynier kop. mówi że on jest lekarz i ani nie chce słuchać o pracy na wierchu. Francuzi dostają prace na wierchu, ale dla polskiego emigranta to nie ma. Potem jestem zmuszony zacząć pracować na dole w kopalni. Jako chory na płuca jest to ciężko dla mnie ale późni tak pomału idzie. Jest to krwawa praca w tej kopalni. Ja jeszczy cięgiem marze o naszej Polsce, pisałem nawet do naszej stolicy do Zarządu lasów państwowych czybym nie mógł dostać posady za jakiego praktykanta w naszych lasach państwowych lecz nawet nie dostałem odpowiedzi. Potem gdy przepracowałem dłuższy czas biere udział w nauce języka francuskiego, co dostałem w 1927 r. dyplom. Tu

na wychodztwie należe do jednego z towarzystw polskich i franc. związku zawodowego. Gazety czytam rozmaite nawet abonuje jakiś czas z Polski „Gazetę Grudziądzką" i Orędownika z Poznania. Co do familji to mamy jedne córkę to jest cała nasza pociecha. 1928 r. w maju żona wyjezda z córką na trzy miesiące na odwiedziny do Polski. Ja teraz pracuje w kopalni jako ślusarz, czuje się nie najlepiej ale chce przetrzymać, pracuje przez siły co nie miałem w ten czas już pracować, tak że osiem dni przed przyjazdem żony dostaje silny krwotok okropnie chory mam już około 41 gorączki, jestem w ciężkiem i opłakanem położeniu, śmierć zagraża mi mocno iż prawie coraz to na nowo krew mi silnie idzie a ja nieszczęśliwy emigrant myśląc że za dzień lub parę godzin śmierć nastąpi. Chcąc się jeszczy z żoną i córką widzieć co za chwile mieli z Polski przyjechać co też doczekałem, bardzo chory prawie śmiertelnie, jeden i drugi doktor liczy mi tylko dzień lub najdłużej dwa życia ale po ośmiu dniach krew się zatrzymała ale ja mocno chory, przez długi czas nie mogę na nogi przyść, przez 14 dni tylko lód i trochę mleka piłem. Ale potem długi czas jestem kiepski i już dotychczas nie wyleczony. W styczniu 1929 r. staram się w Merostwie (Burmistrz) o odesłanie mnie na letnisko. Jestem odesłany w maju 1929 r. Tutaj pozostaje do połowy sierpnia 1929 r. Było to około 20 klm od granicy szwajcarski, jest nas tu około sto chorych. Ja byłem sam z polaków, potem jeden szwajcar, a tak to same francuzi. Odżywianie tu liche. Jest to też ciężko żyć jako obcokrajowiec między francuzami, byli też niektórzy francuzi bardzo dobrzy, ale większa część to dranie. Musze też dużo złego ścierpieć, ale zawsze się musi milczeć, bo się jest polskim emigrantem, myśląc że się tem tułaczem pozostanie aż do śmierci inszego wyścia niema. W sierpniu 1929 r. wracam do domu, było mi nawet żal tych pięknych stron górskich koło Szwajcarji. Tu w północny Francji nie pracuje jeszczy kilka miesięcy. Przy końcu lutego 1930 r. zaczynam choć niezdrów pracować, ale teraz nie w kopalni tylko we warsztatach tej samej kompanji, nie mam źle, jestem bardzo zadowolony, choć niezdrowy, ale mam chęć do życia. Ale cóż żona mi w tym czasie ciężko zachorowała i była nawet przez pięć miesięcy w szpitalu. Było to smutnie i ciężko ze mną. Gdy ja pracuje to moja czteroletnia córka po sąsiadach się błąka. Co niedziele odwiedzam swoją żone z córkom o 10 klm. oddalonem spitalu. Teraz nie dosyć

jeszczy na tem, 8 sierpnia 1930 r. mam wielki wypadek automobilowy. Gdy jechałem z pracy na rowerze, jezdem z tyłu w okropny sposób uderzony przez samochód który jechał około 90—100 klm na godz. Byłem rzucony w powietrze kilkanaście mtr. Przez jakiś czas jestem w agoni, potem gdy przychodzę do się jestem krwią zalany. W głowie dwie rany cały zrujnowany, a najbardziej na nogę narzekam którom mam w kostce mocno strzaśniętą, rower mój zupełnie potrzaskany leżąc około 15 mtr. odemnie zegarek nawet o 30 mtr. Winowajca stanął ze samochodem wnosząc mnie zaraz do pobliskiej restauracji, tu kazał mnie obmyć. Był to bogaty Grorzysta*) zawodowy pijak który miał już około cztery wypadki. Ja się chciałem nawet z niem ugodzić. Potem on odjechał a ja się udałem do lekarza. Lekarz tak samo jak każdy prawie nieprzychylny francuz pisze mi Sertifikat aby mnie tylko pozbyć, pisze mi około trzy tygodnie odpoczynku. Ja się udaje z trudnością wielką do domu. Tu lamentując nad moją nieletnią córką, przez cały czas pluje krwią co byłem tak mocno zrujnowany. Pielęgnacji żadny nie mam choć taki pokaleczony sam sobie musze wszystko robić, iż tu żadnych krewnych nie mam. Ja mam w tej sprawie trzech świadków, byłem zupełnie po prawy stronie podczas wypadku. Świadkowie moi to dwóch francuzów i jedna polka. I to wszyscy trzej prawdziwie sprawiedliwi świadkowie. Sprawa poszła do sądu. Ja trzy tygodnie po wypadku zaczynam pracować do tego na nogę kulawy to popełniam wielki błąd, pracuje z wielkiem trudem. W międzyczasie nadjezda do mnie agent od ubezpieczenia samochodów, chce żebym się za niską cene ugodził, ja nie przystaje, ten mnie wyzywa w okropny sposób zarzucając mi że byłem pijany co było wcale nie prawdą, dalej krzyczy że polak to jest druga klasa we Francji że niema prawa się w sądzie procesować. W tej sprawie by się musiała nasza władza odezwać, ale nie mam wcale do ni się użalić lub się nawet zgłosić iż tak by nie było nic zrobione, co już słyszałem od drugich emigrantów. Gdy dalej pracuje noga mnie coraz bardziej dolega, tak że z ledwością chodzę i żal mi było ty pracy opuścić, ażebym i nie utracił. Tak że gdy przepracowałem około trzy miesiące przestaje zupełnie chodzić. I jezdem

*) Prawdopodobnie grosista.

zmuszony nie pracować, było to 26-go grudnia 1930 r. od tego czasu do dzisiaj nie pracuję i jezdem w ciężkiem położeniu. Od tego czasu aż do dziś pobieram 9 fr. na dzień zapomogi na troje ludzi od kasy chorych. Dalej w październiku 1931 odbywa się sąd co do mojej sprawy. Ja się stawiam za pomocą kuli czyli krukwi na sąd, świadkowie i ja zeznajemy, mnie jest temczasowo przyznane 8 tys. franków jako zaliczka, winowajca ma tu dwa wypadki i to dwa razy po 5 fr. kary i dwa razy po 14 dni więzienia. Oba wypadki samochodowe. Później mój adwokat mnie zawezwuje wypłaca 8 tys. mnie 5 tys. a 3 tys. on sobie do się zatrzymuje. Sąd przekazał mnie w maju 1932 r. do lekarza eksperta w Lille ten i jeszczy dwóch innych mnie zbadali. W międzyczasie wysyła mnie opieka francuska do sanatorium o 100 klm odległości iż jak już wyżej opisałem jako niedomagam na płuca, było to w połowie sierpnia 1932 r. Ja oczekuje teraz na sąd co dokończyć te sprawe, pisząc do mego obrońcy, ten pisze iż jeszczy nic niema od eksperta rezultatu, było to już 8 miesięcy po zbadaniu. Ja pisze do eksperta, ten odpowiada że zaraz wyśle do mego obrońcy. Ale mój obrońca odpisuje mi jako mój sertifikat zupełnie niedobry dla mnie, obrońca żąda odemnie przeciw ekspertyzy, ja się staram i otrzymuje od inszego eksperta tak samo od dwóch innych lekarzy zupełnie przeciwne co do świadectwa eksperta sądowego z Lille. Ale jak mi mój adwokat późni pisze że sprawa na niekorzyść dla mnie została umorzona. Ja się staram potem do naszej władzy w Lille, czyli Konsulatu to gdy w jakiej sprawie się odezwałem co się nagliła, to już za dwa miesiące miałem odpowiedź, tylko z pozbyciem, tak się nasze władze tu na emigracji o nas starają. Raz pisząc do Konsulatu o moje świadectwo lekarskie iż mój obrońca natychmiast żądał, to żem nawet znaczki włożył, to jak mnie mój obrońca musowo zawezwał, to za trzy tygodnie jeszczy mu z Konsulatu polskiego nie nadesłali, co był obrońca mój bardzo rozgoryczony i mnie natychmiast do konsulatu posyła to mi znów mówią że wtenczas wakacje były i że świadectwo było wczoraj odesłane do obrońcy, co było nieprawdą, iż dopiero za 14 dni był wysłany. I tu się mocno użalam do władzy w Warszawie co nas emigrantów mocno boli że tu nasze władze na emigracji bardzo hardo się z nami obchodzą, to by nie musiało być, bo nawet pod zaborem pruskim się tak nie obchodzono co my byli obcy. I tu jestem bardzo zadowolony że

moge się wypowiedzieć do naszych władz we Warszawie. Tak dalej co do mojej sprawy czyli wypadku zostało wszystko umorzone, iż nie miał się kto o mnie starać co się mocno pokrzywdzony czuje, i tu co do mojej sprawy to widzę że żadny sprawiedliwości niema. A teraz co do sanatorji to byłem tu od sierpnia 1932 r. do 15-go stycznia 1935 r. Co do mojego wypadku to było tu dużo wykorzystane przeciw mnie. Dalej co do sanatorji to tu rząd francuski za nas opłacał, jest to w lesie wielkie zabudowania na około 280 kobiet, 280 chłopa, ładne nowoczesne urządzenie które kosztowało około 30 mil. franków było też tam nas około 30 polaków chorych, jedzenie było tu dość dobre. Francuzi byli też do nas polaków dość wrogo usposobione, na każdem kroku wymawiają nam że my są bracia znienawidzonego na całem świecie Hitlera. W 1935 r. gdy wróciłem do domu Francja wydala masowo emigranta polskiego, wszędzie jest mówiono idźcie do Hitlera. W koloniach polskich popłoch, robotnicy mówią lamentują i płaczą co my tam będziemy robić w naszej Ojczyźnie tam już kilka miljonów bez pracy tam taka bieda, każdy się Ojczyzny tak boi bo wie co go czeka. To mego zdania tak też nie powinno być żeby się swego kraju tak bać, tam powinna każda familja już mieszkanie uszykowane mieć i jako taką zapomoge. I jaka praca też by mogła w Ojczyźnie iść. Ale nasz osławiony Lewiatan ten najwięcy nasz kraj niszczy i samolubstwo tu góruje to jest to nieszczęście. Najwięcy bolączek miał tu emigrant za rządów Lavala. Dopiero gdy front ludowy w czerwcu 1936 r. do władzy przyszed to się wszystko na lepsze poprawiło, wydalanie ustało, robotnicy urlopy dostali tak samo dokładki i ma nastać dzień pracy skrócony, wielka większość narodu do rządu serdecznie usposobiona, nie wolno tak szkalować emigranta jak dawniej, nie wolno za byle co tak szkalować jak dawniej obiecując zaraz emigrantowi wygnaniem do Polski jak dawniej, wszystko się teraz zmieniło, rząd ludowy dąży do poprawy stosunków między Francją a Polską. Szef armji francuski Gamelin bawił w Polsce, a szef armji polski przyjeżda prosto dzisiaj do Francji gen. Rydz Śmigły. Dziś 30-go sierpnia odbywa się w pobliskiem Lens okropna manifestacja przyjaźni polsko francuski, oto piękny bilans rządu ludowego we Francji. A ja tu biedny kalika od blisko sześć lat nie pracujący co tylko za pomocą kuli chodzę i do tego na płuca cierpiący. Młody i piękny wiek 39 lat tak marnie spę-

dzam. Na koniec mam zaszczyt moje bolączki z całego życia mego i z emigracji do Instytutu Gospodarstwa Społecznego szczerze i z całego serca wykonać żeby szanowni panowie raczyli mój Pamiętnik z Francji przyjąć.

Dn. 30 sierpnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 7

Górnik, syn robotnika rolnego
z Poznańskiego, ur. w 1909 r.
(Konk. im. St. Gawrońskiego)

Zwolniony po trzyletniej służbie z wojska, powróciłem do domu ojca, z tą nadzieją, że znajdę jakiekolwiek życie. Niestety, tydzień za tygodniem upływał, a tu ani mowy nie ma by można jakieś zajęcie znaleźć. Wprawdzie nie było gdzie szukać, gdyż w tych okolicach nie ma przemysłu (Jarocin Wlkp.) jedynie praca przy kolei państwowy, ale i tu było przepełnienie.

Choć nie raz nad tem gorzko myślałem, to jednak nie rozpaczałem nad tem, iż za trzy lata służby dla kraju, nie mogę w nim znaleźć kawałka chleba, gdyż w tem czasie odchodziły do Francji gęste transporty, miałem nadzieję że i ja zostanę przyjęty.

W dniu 9 kwietnia 1923 r. opuszczałem Polskę z wielką jednak tęsknotą i żalem. Po czterodniowej podróży okrętem transportowem Kentucki wczesnym rankiem zawinęliśmy do portu. Zdawało się, że każdy się cieszy z tego że już raz skończyła się ta dla niejednych męcząca podróż. Nie zaraz jednak kazano nam opuszczać statek, najpierw przegląd lekarski oraz szczepienie, aż dopiero pod wieczór nadjechał jeden pociąg po drugim, zabierał biednych tułaczy, by ich rozrzucić po całej Francji, gdyż byli i tacy którzy jechali na pracę rolną oraz do fabryk nawet do południowej Francji. Tu przywiązywano kartki do marynarków z podanem adresem, puszczano ich samych jak niemowów, a urzędnicy kolejowi sprowadzali ich z jednego pociągu na drugi. Inaczej sprawa się miała z temi, co jechali do kopalni węglowych, w zagłębiu (Pas de Calais i Nord). Tych zapakowano do jednego pociągu i na każdej stacji pozostawali ci lub

inni przeznaczeni do tej lub owej kompanji. Byłem właśnie w tem szczęśliwem położeniu, że zaraz pierwszy opuszczałem pociąg, by znów wsiąść do pociągu kopalnianego i zajechać na miejsce.

Godzina 11 w nocy wysiadamy, nie ma dworca, „zwykły przystanek", deszcz lał jak z cebra, stróż kopalniany z tłumaczem stale nawołują allez, allez. Każdy bierze swój lichy pakunek, i śpieszy za stróżem do mieszkań, jak nam mówiono, lecz temi mieszkaniami jak żeśmy się przekonali były pozostałe po wojnie baraki przez które wiatr świstał jak lokomotywa. Cóż jednak było robić? W obcem kraju bez znajomości języka, późna noc, do tego zimno i deszcz leje, człowiek zadowolony jest choć dachem nad głową.

Po wydzieleniu nam łóżków i koców, zawołano na kolację, do wspólny kantyny. Każdy idzie już nie tak z głodu jak z ciekawości. Co też dają do jedzenia? i jakie też to jedzenie.

Sama kantyna to długi barak zapchany stołami zbitemi z prostych desek i takiemi ławkami. W jednym jej końcu trzy duże kotły w których praży się posiłek emigranta górnika, przed kotłami długi stół na którym stoi znów cały stos blaszanych misek, a obok nich leżą łyżki i widelce, co do czystości wszystko to miało wiele do życzenia poprostu wrzucano do wody i wyciągano i samo się obsuszało. Wchodząc do jadalni, śliśmy gęsiego i każdy odbierał swą miskę i łyżkę, siadał za stołem. Na stole chleba całe stosy (tego nie żałowano) po chwili kucharki wnoszą i stawiają na stole dość spore kociołki w których znajdowała się strawa. Każdy sobie nabiera sam, je ile mu się podoba. Właśnie była zupa grochowa, której bardzo nie lubię, jednakże chciałem sprobować w smaku. Jakkolwiek sobie nalałem to jednak po popatrzeniu na miskę i łyżkę straciłem cały apetyt, już mi się jeść nie chciało, pomimo, że zjadłbym coś ciepłego.

To była pierwsza kolacja koszarowa. Mówiono nam że po każdem jedzeniu każdy dostaje kubek piwa, dopytywaliśmy u kucharków, a te nam wskazały w kącie jadalni beczkę i mamy sobie utoczyć ile chcemy. Ciżba, każdy chce się uraczyć piwem, ale co jeden utoczy sprobuje, nic nie mówi drugiemu wychodzi wylywa pod barak, ucieka do swej baraki i spluwa całą drogę.

Czy takie jest francuskie piwo? mówi jeden do drugiego. Ależ gdzie tam było piwo, jakaś żybura, lura wstrętna, mająca posmak 20 gramów kawy w stu litrach wody a trzy kilo cykorji.

Gdyby jeszcze była świeża, ale stale dolewane czuć było stęchlizną. Po kolacji siedzimy wszyscy w baraku, 60 chłopa, dwa piece się palą obstąpiliśmy dokoła. Z innych baraków zeszło się masa ludzi, szukając pomiędzy świeżemi znajomych. Rozmowy i gwar trwał do późnej nocy. Zmęczeni czterodniową podróżą kładziemy się spać. Światło zagasa jeszcze jeden z drugim rozmawia, lecz głosy już cichną, i po małej chwili całkiem się cicho zrobiło.

Ale jakoś na świeżem miejscu pomimo zmęczenia, jakoś oczy się nie zamykają. Żadnego głosu ludzkiego, ale za to szczury zaczynają wyprawiać swoje harce. Gruby głos stróża budzi wszystkich, allez debout woła przeraźliwie. Godzina 4.30, ci co do pracy mają wstawać i jeden po drugiem przeciągają się leniwie wstawają (ci co już dawniej przybyli) słyszy się psia krew, cholera niech weźmie robotę itd. My świeżo przybyli rozumieli czem to pachnie. Po odejściu innych spaliśmy jeszcze, później trzeba było wstawać na śniadanie, znów czarna lura i chleb smarowany margaryną (jeść z margaryną nie mogę). Mam jeszcze zapas przywieziony żywności, jem swoje. Po kawie zbiórka do lekarza i podział na szyby, odbiór narzędzi lampy i numeru, była to sobota a w poniedziałek do pracy.

Niedziela w barakach, ci co już są dawniej mają pieniądze, to też są weseli popijają wino, palą papierosy aż się ciemno robi, innych częstują, są już i pijani.

Patrząc na to wszystko zaczyna mi życie w tem chaosie brzydnąć. To też wybieram się do pobliski miejscowości, w który się znajduje mój brat. Dosyć prędko go odnalazłem, tu już całkiem inna atmosfera, pięciu ludzi na mieszkaniu całkiem inaczy. Po spożyciu obiadu idę z bratem poszukać stancji, i znów do znajomego, zaraz też opuszczałem baraki i na mieszkanie u ludzi, to całkiem inne życie. Po wyjściu na miasto było na co patrzeć, ruch ludzi okropny kawiarnie czyli pospolicie zwane „estaminety" pełne, bractwo raczy się na dobre. Pijanych też można zobaczyć, a jakże! Mogą sobie pozwolić picie nie drogie litr wina 2 fr., życie też tanie, a zarobki nie najgorsze. Tu i tam śpiewy, bo dlaczego nie mają się cieszyć, przecież nie jeden w kraju nie miał żyć za co, a tu zarobi, rodzinę używi i jeszcze na picie mu się zostanie, to też może. Tak nikomu bym nie odmawiał tego w tem czasie, ale wszystko powinno się odbywać skromnie i z umiarkowaniem. Ale były wypadki za które człowiek rozumny wstydzić się musiał. Naturalnie

że to są wyjątki. I pomimo tych wyjątków, to mi się bardzo nie podobało. Boć przecież każdy przyjechał by polepszyć swój byt, by zapracować i oszczędzić na wszelki wypadek. Byli tacy co to rozumieli i dziś są ludźmi niezależnemi, gdyż warunki były po temu by się dorobić. To są moje wrażenia na obcej ziemi.

Praca w kopalni nie była mi obcą, gdyż już jako 16 letni chłopak pracowałem w Nadreni. Ale po zjeździe na dół, już na sam widok urządzeń mogłem sobie zdać sprawę jaka będzie praca. Wszystko dalekie od urządzeń w Niemczech. Cóż robić, jednak człowiek do pracy przyjechał.

Przed budą ślusarską wszyscy nowi czekamy na stygara, nareszcie idzie, starsi już go poznawają po głosie, gdyż okropnie krzyczy, przyszedł, oddajemy kartki, zaczyna rozdzielać.

Zachodzę na miejsce, w chodniku woda pod kostki, miejscami tak leci jakby deszcz lał, wsadził mnie do jednego Francuza i Polaka rąbać węgiel, rozebrałem się, kilof do ręki i łopatę i dalej, a i w robocie woda się leje aż strach. Francuz ma gumowy żakiet, a mnie na gołe ciało wszystko leci. Nie, pomyślałem, tu robił nie będę i pięć dni jednak przerobiłem, więcy nie chciałem, pokłóciłem się, zabrał mnie do wożenia.

A i tam woda pod kostki, a do tego szyny po których wózki chodzą tak pokładzone że co kilka metrów wóz spada, a tu pół tony trzeba samemu podnosić. I tam pracować nie chciałem, aż nareszcie dał mi pracę suchą i dobrą ale wszystko jak wszystko długo tu nie pozostanę, aby tylko kontrakt skończyć. I tak też było.

Na ogół warunki pracy przez zastusowanie prymitywnych narzędzi były bardzo ciężkie, a do tego strasznie mokro, i tem nabywało się choroby. Nowe kopalnie są już inaczej urządzane. Jednakże cóż było robić, człowiek zadowolony był wogóle że miał prace. W ten sposób mogę tylko określić warunki pracy, były jeszcze dramatyczne sceny z powodu tego że nie można było rozumieć języka, ale po niejakimś czasie i to się przyswoiło.

Życie rodzinne można określić na dwie kategorje, do pierwszy można zaliczać tych ktorzy przyjechali z Westfalji i Nadreni, gdyż ci przywieźli cały swój dobytek ze sobą, i jeżeli zdrowie służyło, to pracowali li tylko na utrzymanie rodziny, i by coś zaoszczędzić. Druga kategorja to ci co przybyli z Polski, a cały ich dobytek było jedno ubranie i pościel, jeżeli cała rodzina przybyła

razem. Prawda że dostali mieszkanie, ale w tem mieszkaniu tylko cztery ściany i trzeba było kupować wszystko.

Skąd jednak brać pieniadze na kupno? to też niejedni pobrali stare graty, inni zbijali z desek kistowych potrzebne rzeczy, i tak jakoś to życie pchali, myśląc że wkrótce będą wracać do Polski, ale przekonani że nie tak prędko, pokupieli sobie skromne umeblowanie i jakoś żyć przyzwoicie mogą, jeżeli zdrowie służy i głowa rodziny jest umiarkowany to cała rodzina ma dostatek (dawniej, dziś jest gorzy bo są świętówki). Ale zdarzają się wypadki, że mężczyzna nie dba o rodzinę przepija połowe zarobku, albo nie chce mu się pracować, nie jeden opuścił rodzinę swą dla kochanki i poszedł, wtedy i bieda i tragedja była w takiej rodzinie. Ale to już rzadkie wypadki z mężczyzną. Ale gorzy było z niewiastami, tych wypadków bardzo wiele było i jakiś czas, to nawet plagą wychodztwa.

Niewiasty takie mają stołowników u siebie w domu, dały się zbałamucić przez takiego wyrzutka społeczeństwa, lub też chcąc zażyć swobodnego życia sama zbałamunciła i poszła z kochankiem w świat zostawiając męża i dzieci nieraz drobne na łasce losu, a na dobitke zabiera jeszcze całe oszczędności i lepsze rzeczy i dom opuszcza, aby po jakimś czasie, po nasyceniu się kochanka porzucona przez niego przyjść z powrotem do męża błagać o przebaczenie. Cóż ma człowiek robić? bierze, gdyż gospodyni mu potrzeba, są małe dzieci, trzeba i dom utrzymać, sam musi iść do pracy. Taka znów jakiś czas siedzi i dalej robi to samo, były wypadki, że po trzy razy się to powtarzało. A w takich wypadkach pozostało nieraz i sześć dzieci. Cóż ma więc robić mężczyzna? Nareszcie teraz są rzadkie wypadki, ale początki to było plagą. Na ogół obecnie się unormowało wogóle całe życie rodzinne, może wpłynył na to obecny kryzys i brak napływu świeżego elementu, lub też zrozumienie życia rodzinnego, trudno tego dociec.

Współżycie z rodakami odbywa się we formie organizacyjnej, to też każdy ten, który w młodości należał do jakiejkolwiek organizacji, nie ominył też takowej i na terenie francuskim.

Stan obecny jest bardzo ciężki, a zwłaszcza dla wychodztwa, które nie jest jeszcze tak zagospodarowane jak ludność miejscowa. Kryzys strasznie się odbija na wychodźcach, a zwłaszcza tych którzy nie pilnowali pracy, a latali z jednego miejsca na drugie. Dziś bez pracy i kawałka chleba szukają pomocy u rodaków, gdzie

i temu co pracuje trudno użyć przy dużej rodzinie, gdyż środki żywności strasznie drogie, a płata obcięta i do tego świętówki. Jeszcze ten który siedział na miejscu a zwłaszcza w górnictwie ma kawałek chleba, najgorzej jest z temi którzy pracowali w przemyśle metalowem. Tam pracują po dwa dni lub trzy dni w tygodniu, nastąpiły redukcje a w pierwszem rzędzie robotnicy obcokrajowi, ci ostatni nie znając przepisów o pomocy dla bezrobotnych, wyjeżdżali na inne miejsca, a nie znajdując pracy, tracieli prawo i do tej pomocy. Cóż się pozostało? skrajna bieda i nędza, trzeba iść uprosić ale i tu żandarmi zatrzymują i więzienie, a po odsiedzeniu za granicę, ów nie ma za co jechać i wraca, i znów to samo, prawdziwa tragedja więzienie i deportacja. Wprawdzie są czasy ciężkie, lecz jak wyżej wspomniałem w górnictwie jak dotychczas jeszcze nie tragiczne.

Ale nie mają już tego jak przed kryzysem, wszystkiem było dobrze a życie organizacyjne kwitło, choć i teraz nie zamarło, a jednak tempo się zwolniło. Nadzieje na przyszłość nie przedstawiają się różowo. Wychodztwo zubożało, oszczędności które porobiono przed krezysem się po trzech latach wyczerpały. Dawniej nie jeden marzył o postawieniu sobie domku, lub o kupnie kawałka ziemi by miał na starość. Wtedy gdy miał oszczędności trochę nie mógł się odważyć gdyż było za mało, a pożyczki nie było można gdzie dostać, dziś nie ma nic, oszczędności zjedzone.

Mechanizacja w przymyśle nie rokuje nadziei na poprawe i zatrudnienie wszystkich, jest tylko nadzieja osadnictwa na roli. Ale i tu brak gotówki, a bez tego nie da się nic zrealizować, chyba, że polskie instytucje bankowe przyszłyby z pomocą pożyczkami. Ale czy da się to zrealizować? teraz trudno o tem mówić, gdyż jedno, jest za późno, drugie brak orjentacji emigracyjnej czynników tych, którem by się to należało.

Inaczej postąpiły Włochy i dziś setki tysięcy Włochów są bogatemi gospodarzami południowych departamentów we Francji. Ale jeszcze nie jest nic stracone choć opóźnione. Wychodztwo rwie się do własnego kawałka ziemi, lecz trzeba mu w tem dopomóc i to materialnie, trzeba stworzyć instytucje, która umożliwi tem chętnem przejście na role, a tem samem robi się luke dla innych w przymyśle. Tą instytucją może już być bank, Polska Kasa Opieki w Paryżu, potrzeba jednak aby ten bank miał przelane odpowiednie

kredyty, a tem sposobem powstrzyma się fale powracających do Polski i uniemożliwi się w przyszłości od konsekwencji jakie obecnie ciągniemy. W miarę jednak nie ustąpienia krezysu nie ma i lepszych widoków na przyszłość.

1932 r.

Pamiętnik Nr. 8

Górnik, w ojczyznie robotnik
folwarczny
(Konk. im. St. Gawrońskiego)

1) Za chlebem i możnością życia

Nie będe upiekszał ani stylizował bo jestem samoukiem. Moja przyczyna wyjazdu. Byłem w kraju robotnikiem tej kategoryi, która bodaj najbardziej jest upośledzoną to jest służba folwarczna. Ojczyznę opuścić musiałem za chlebem a powody opuszczenia były takie. Pracowałem w pewnym majątku ziemskim w charakterze stróża nocnego, wynagrodzenie miałem w naturze i cośkolwiek pęsyi kwartalnej, opał mieszkanie i utrzymanie dwóch krów na pańskiej paszy i ziemi pod kartofle, poniekąd zdawało sie i dziś niejednemu sie zdaje ze słuzba dworska bodaj najlepiej wynadgrodzona ale w praktyce okazuje się inaczej. Pomimo tego obowiązek swój wykonywałem sumiennie, do danego właściciela majątku nie mam zadnego zalu a przeciwnie zawsze go wspominam jako człowieka dobrego.

Ten majątek co ja w nim pracowałem rok za rokiem chylił się ku bankructwie. Ordynaryji nam nie wydawali regularnie a jezeli wydawali to nie zawsze czyste zboże bywało nieraz ze za pare kwartałów nam się nalezało, tak równiez było z opałem choć opał wydali to zawsze w gorszym gatunku, nie było z czego i kogo wymagać, od bankruta bierze sie i plewy i ziemie pod kartofle zawsze niemal w połowie czerwca a to w dodatku nie uprawną i nigdy nalezycie nie mierzwioną. Od krów to się widziało nabiału troche

tylko latem, masło trza było sprzedać, jeść go człowiek nie śmiał się wazyć, krowy na zime miały tak nędzne wyzywinie ze niejeden przez to został wcale bez krów co mnie równiez spotkało. Mieszkania mielim niektóre tak nędzne ze nawet od wiatrów nie zawsze zasłoniły, a od deszczu to nie ma co mówić. Z robotnika wymagano co dzień to więcy pracy, protestować o należność nie było mozna, bo kazdy był tem zadowolniony ze choć prace ma. W takich warunkach przepracowałem dziewięć lat wciąz sie łudziłem ze moze się poprawi, ale tego było mało, właściciele ziemscy wymagali stanowczo tak zwanych posyłek a to po dwie, tak sie składało ze służący musiał trzymać sługe bo nie kazdy mógł mieć dzieci dorosłe lub kogoś z bliskiej rodziny.

I moze byłbym do dzisiejszego dnia służył, ale moja zona stanowczo zażądała zebym się zwolnił ze ona juz dłuzej mordować sie nie będzie, ty pójdziesz do pracy a ja nie mam co do garnka wsypać. Wobec stanowczego ządania mojej zony zebym się zwolnił, musiałem jej posłuchać ale ja jej postawił swój warunek ze ja więcy po folwarkach nie pójde łazić i słuzby szukać bo tu narazie mnie nie wyganiają i dotąd są ze mnie zadowolnieni. Dostałem zwolnienie, mówiono mi pare razy zebym sie pozostał, ale juz doszedłem do takiego ubóstwa ze naprawdę nie było co marzyć o pozostaniu nadal. Miałem dwie krów jedne musiałem sprzedać na zycie i przyodziewek, druga mi zmarniała z powodu marnego odżywiania i tak w ten sposób przyszedłem do ostatniej kreski nędzy, a to moze z powodu tego ze będąc stróżem pańskiego dobra a nie zdolny byłem być złodziejem bom swój honor cenił ponad wszystko. A po zwolnieniu naraziłem sie jescze na większą biede, o prace wszędzie trudno, a przewaznie chłopu, kobietom dziewczynom to jescze gdzieś na sezon na rok mozna się było dostać, jako tez moja zona ze starszym synem poszła w Poznańskie, dwoje młodszych zostało przy babci a ze mnie ludzie juz się zaczęli śmiać ze zrobiłem wielkie głupstwo ze teraz to mnie bieda zje. Ale napisałem list do szwagra do Francji ze jezeli mozna to zeby mi wysłał zapotrzebowanie bo na tak zwykłych rekrutacyjach to nie miałem nadziei bo juz miałem 40 lat. Pracuje juz cztery lata, co miesiąc posyłam potrosze pieniedzy zonie i dzieciom i tak sie prowadzi rozbite zycie zdala od żony i od dzieci i od ojczystej ziemi, ale pragne jescze doczekać powrotu do kraju.

2) Pierwsze chwile na obcej ziemi

Robotnika pierwsze chwile na obcej ziemi bardzo przykre, a to z rozmaitych powodów. Nawet zaraz po opuszczeniu ziemi macierzystej da sie odczuć niemal na kazdym kroku. Pierwsze przyjedzie nie zna sie języka tubylczej ludności, człowiek niemal niemowa, naprzykład ja po paru tygodniach jak zem zobaczył księgarnię i w niej polskie gazety gotów byłem wszystkie zakupić.

Po drugie człowiek świezo przybyły wyróżnia sie, nawet choćby po ubiorze łatwy do rozpoznania. Nieraz sie dało zauważyć szeptanie lub palcem pokazywanie, dlatego tez na początku najwięcyj sie jest wyzyskiwanym przez rozmaitych krętaczy, handlarzy, nawet bywa przez swoich rodaków nieraz bardzo oszukiwany a dopiero gdy sie pójdzie do pracy porozumieć sie potrzeba tylko migami, a ile to bywa nieprzyjemności, takich dwóch jak jeden drugiego nie moze zrozumić to nawet bywają zdarzenia ze sie pobiją. Pozatem przyjezdza sie na obcą ziemie, w kraju zostawia sie najdrozsze istoty to jest dzieci zone, ojca matke, braci siostry, tu sie zaraz odczuje ze pod tem wzgledem wszystko jest obce, odczuwa sie ze sie straciło to co było najdrozsze, wyrwany z gniazda rodzinnego rzucony na los szczęścia, to tez nic dziwnego ze na początku to sie kazda rzecz, zeby była najlepsza, najdoskonalsza to sobie pomyślisz to jest obce, to nie polskie. Nawet w późniejszych czasach to jakiś stary łach bezwartościowy przywieziony z Polski to go sie schowa do walizki, trzyma sie na pamiątke jak jaką relikwije, a ile się to zdarza co z tęsknoty po paru dniach pracy nie obchodziło go zadne zobowiązanie kontraktowe, ani tez nie z powodu tego ze mu się nie chciało pracować, a wprost z tęsknoty za rodziną, za krajem rzucił wszystko i na pieszo poszedł bez jednego grosza w kieszeni na droge.

3) Warunki pracy

To musze powiedzieć ze obcokrajowiec zawsze musi najcięzy pracować i najwięcyj od niego wymagają, a chociazby z tej prostej przyczyny ze on przyjechał po to zeby go wykorzystać. Nigdy nie moze stanąć we własnej obronie bo sie nie moze wymówić należycie a częstokroć takie zazalenia pogarszają sprawe później gorzej jest traktowany bo to sie nazywa obcy, a zwłaszcza w kopalniach

węgla, to jest praca ciężka a przewaznie tu nas w północnej Francji co nawet najwięcej Polaków pracuje, to com powiedział ze Polak przyjechał po to zeby go wykorzystać. Nie sądze wszystkich Francuzów, zeby z nami w ten sposób postępowali bo są nawet duzo ludzi z pośród nich ze nasz szacują i mają do nas zaufanie, ale to zaufanie musowo sobie samemu uzyskać przez wykonywanie sumiennej pracy.

Gdy szef cie pozna jako uczciwego robotnika to później i nie łatwo uwierzy, gdyby chciał oskarżyć towarzysz pracy, ale pomimo tego będąc najlepszym robotnikiem i mając najlepsze zaufanie u przełozonych zawsze to najcięzsze wykonanie kończy na emigrancie, bo ja sam na sobie to dokładnie doświadczyłem, dlatego ze sam pracuje w grupie Francuzów, poważają mnie wszyscy, nie skarżą bo ni mają powodów, ale ja zawsze to odczuwam ze gdyby raz odmówił i zażądał porównania pracy zarazbym był oskarzony. Najgorzej sie użalają górnicy ze u nich jest najmniej sprawiedliwości w pracy, a zwłaszcza przy dzisiejszej racjonalizacji przemysłu. Zawsze mało i mało, naprzykład taki nadsztygar póki nie zajedzie pod ziemie to jeszcze możliwy człowiek, a gdy się znajdzie przy robocie podziemny to momentalnie obraca sie w zwierza. Duzo razy sam nie wie cego ząda od robotnika a ile to wypadków z powodu tego a to naturalnie śmiertelnych a co kalików na całe życie.

4) Współzycie z rodakami i z ludnością miejscową

Co do współzycia pomiedzy nami Polakami to jest tak sobie możliwie, zawsze na obczyźnie to Polak Polakowi rad choć z tej prostej przyczyny ze z nim pogawędzić może ojczystem językiem a właśnie moze sie uzalić jeden przed drugim na swój los wygnańczy lub tam jakieś inne pogawedki to juz my takie grupki znajomych lub sąsiadów to sie stale odwiedzamy i tu sie prowadzą rozmaitego rodzaju zarciki dowcipy, kazdy pokazuje co kto umie. Mozna powiedzieć ze współzycie z rodakami dość zadawalniające, ale mamy jescze duzo wadów rozmaitych coby warto sie ich pozbyć. Jest duzo ludzi co pracują dla dobra imienia polskiego, mamy tu rozmaite organizacyje kulturalne oświatowe, religijne rozmaite stowarzyszenia, starych i młodych, muzykalne teatralne, soko-

łów strzelców nawet starych kawalerów pod hasłem „Złota wolność", komuniści, socjaliści rozmaite partyje czynne i polityczne, a rozmaitych prezesów naganiaczy najmitów tez nie brak wprost nieraz nachodzą człowieka w domu.

Człowiek przyjdzie od pracy rad odpocząć, patrzysz włazi jakiś działacz z pod znaku Marksa: albo świętobliwy badacz pisma świętego, oganiaj sie człowieku przed niemi, nieraz trzeba formalny pojedynek jezykowy stoczyć dać mu do zrozumienia zeby sobie poszedł i więcyj nie przychodził ze swojemi idejami. Nieraz sie zastanawiam czy już naprawde ludzie powaryjowali na tym świecie. Tu we Francji to na wszystko pozwalają, władze to nie boją sie zeby to miało szkodzić egzystencyi państwowej, tylko złodziej bandyta, zbrodniarz ci nie mają politowania, to władze tępią na kazdym kroku. Odbiegam od tematu musze coś powiedzieć o naszych braciach Polakach, być moze ze i bardzo uszczypliwie sie wyraze, ale przynajmiej bez podchlebstwa, prawde musowo pisać, pierszych mam na myśli Polaków z pod zaboru niemieckiego, prawda mówią ze ostatni ten co swoją rodzine oskarza, nie mam nic przeciw nich, szanuje ich jako Polaków, tylko nie znosze ich pychy, ich szwargotu niemieckiego, co sie szczycą tą kulturą niemiecką, to ich zachwalanie niemieckich doskonałości to ich wyróżnianie sie z pośród nas. Juz są po pare lat we Francji a wciąż mozna usłyszyć to szwargotanie, porozmawiać z niemi to okazują taką tęsknote za Faterlandem, ze wprost sie człowiekowi dziwno wydaje, ze oni jeszcze dotychczas sie Polakami nazywają, ze jeszcze mają w sobie cośkolwiek poczucia polskości, ile to juz było wprost skandałów, taka dziewczyna na sali tańca wymaga, zeby ją tancerz obowiązkowo poprosił do tańca w niemieckim języku bo inaczej nie pójdzie tańcować. Juz nasze gazety polskie to nieraz mocno występowały przeciw małpowaniu Niemców śmiertelnych wrogów polskości. Troche pomaga, gdy gazeta potępi tę mniemaną kulture szwabską. Ślązacy ci choć nieraz wdać się z niemi pogawędke to on ci powie tak scerze z całego serca ja to jestem Ślązak, pozatem nic go więcy nie obchodzi, a jak sobie podpije no to juz będzie gwarzył tylko o Śląsku i o swojej śląskiej duszy. To są chłopy morusy musowo ich szanować, bo jakze nie szanować takich ludzi jak oni, jak masz Ślązaka kolege to sie nie bój juz on ci krzywdy nie da zrobić, choćby sam miał ucierpieć wedle ciebie.

Jednem słowem powazam Ślązaków i szanuje te jeich prostote, oni się nie chełpią, ani chwalą niemiecką kulturą. Polacy z pod zaboru austryjackiego ci się chwalą austryjacką kulturą, chociaz mają lepsze wyszkolenie i są prawdziwemi Polakami i odczuwają wstręt do przeszłego zycia niewolniczego. Z pod rosyjskiego zaboru, nie wzdychają do rosyjskiego caryzmu, oni sie tez nie szczycą ze który z nich nawet dobrze potrafi władać rosyjskim językiem, ale zadnego nie usłyszy zeby sie nim posługiwał publicznie, jak to robią nasi rodacy z pod zaboru niemieckiego. Prawda my im to wytykamy na kazdym miejscu przy sposobności, a juz widzimy pewną poprawe.

Byłem zaproszony przez swego kolege na przedstawienie teatrzyku amatorskiego, miałem nie iść, bo ja właściwie mało gdzie chodze a myśle sobie przecie przedstawiać będą nasi biedni robotnicy. Pójde zobacze nie jestem znawcą sztuk teatralnych bardzo mi się podobało, odegrali trzy sztuczki „Pan Dyrektor", druga z życia górniczego, w Dąbrowie Górniczej, trzecia dosyć wesoła komedyjka „Werbel domowy". Artyści jeszcze słabo grali w swych rolach, ale z biegiem czasu ja myśle ze się wyrobią. Życzę im zawsze najlepszego powodzenia, szanuje ich za prace, za poświęcenie na niwie kulturalno-oświatowej. Było nas dosyć spora gromada starszych i młodszych, po skończeniu my starsi roześliśmy sie do swoich domów, a młodziez bawiła sie do godziny dwunastej. Muzyka grała a młodziezy to tylko zagrać to juz sie w tany puszcza, bawili sie dosyć grzecznie, tylko przy dzisiejszym tak zwanym kryzysie to sie daje zauważyć dużą ostrozność na takich zabawach, ale młodziez była jednakowoz ubrana w przystojnych ubraniach, równiez i starsi, tak widać, ze my Polacy lubimy mieć na sobie ładne ubranie, ze pod tem względem to nie mozemy się powstydzić za swoich rodaków.

Tu na wychodztwie to jescze nie wystarczające, zeby usłyszeć mowe polską przypadkowo gdzieś w knajpie na ulicy lub gdzieby to nie było.

Pod tem względem trzeba być przede wszystkim bardzo ostrożnym, mozna być najlepszym Polakiem i przyjacielem ludzkości, ale co do zawierania znajomości czyli tak mówie pierwszego lepszego ukochać zeby nawet z tego ze on do ciebie po polsku przemówił, to my tu jesteśmy bardzo ostrozni bo tyle tu sie kręci rozmaitych

naciągaczy oszustów ze musisz sie liczyć ze wszystkiemi możliwościami, bywa nieraz poznajesz rodaka pierwsza znajomość wprost sie zachwycasz tym, człowiek czaruje cię swoim patryjotyzmem, co za grzeczność co za inteligencyja, co za wymowa bodaj i sam Zagłoba nie potrafił ładniej mówić, ale cóz zachowujesz sie z pewną rezerwą do takiego człowieka, zaczynasz badawczo spoglądać na takiego osobnika, przepytywać drugich, bo takiego zawsze ktoś zna w danej miejscowości no i nareszcie okazuje sie, ze ten człowiek tak ładnie wypolerowany tak ładnie mówiący to ma juz bardzo brudną przeszłość nie tylko tu na wychodztwie, ale nawet jescze z kraju. Dzisiejszy świat to wszędzie jednakowy, można być najuczciwszym człowiekiem, ludzie będą cie bardzo mało znać, mozna być łotrem krańcowym, a całe miasto mu sie będzie kłaniać. Tu mamy bardzo dużo takich typów, w kraju taki typik juz nie miał co do roboty, bo go znała cała gmina, nawet całe powiaty go znały, każdy nim gardził, ale przyjechał za granice tu mu się roztwarło pole do działania, tu on musi wszędzie być, wszystko wiedzieć, kazdemu doradzać, a co on to potrafi, a naiwnych mu nie brak i tak sobie żyje, jak to mówią, nie sieje nie orze, a naje sie tyle co mu wleźć moze. A mamy tu takze sporą dozę Izraelitów, oni wszędzie za nami trafią ci juz do ciężkiej pracy nie pójdą tylko handelek czem niebądź, aby handlować, to są znawcy polskiego ludu a między nami zawsze im sie powodzi nieźle. Z gazet czytamy tu na wychodztwie przeważnie Narodowca i Wiarusa Polskiego, wychodzi tu jeszcze mnóstwo rozmaitych pism polskich, ale mało mają powodzenia pomiedzy nami, szczególnie im się niepowodzi bo prowadzą zbyt zaciekłą walke partyjną, a my tu większość Polacy to nie chcemy sie bawić w partyjnictwo. Takie judzenie jeden na drugiego to nam zbrzydło, a to do dobrego nie prowadzi, gdy sie wzajemnie zwalczamy; mozemy dostać nawet (pism) krajowych polskich, czasem sie kupi, ale trzeba trzy razy jej wartość zapłacić.

A współzycie z ludnością miejscową to jest mozliwe, miejscowa ludność zachowuje sie zawsze wobec nas z pewną rezerwą a z powodu tego ze jak tu przyjechali wychodźcy pierwsi to mieli duzy szacunek, mógł w kazdym magazynie kredytować. Policjant pijanego zaprowadził do domu, ale cóz jakzem poprzednio zaznaczył, ze duzo takich naprzyjezdzało typów z pod ciemnej gwiazdy, sklepikarzy, magazynierów pooszukiwali nieraz na dość grube sumy więc

nic dziwnego ze na nas patrzą poniekąd podejrzliwie i nie ufają zbytnio w naszą uczciwość. Albo choćby pijacy muszą kary płacić za zakłócynie porządku publicznego albo czasem i coś innego dostanie bo przecie rady by nie dali w inny sposób. Bywało nieraz upije sie gromada takich łobuziaków, nieraz godzina dwunasta w nocy krzyki śpiewy ochrypłe głosy pijackie bluźnierstwa wyzwiska jakie najszkaradniejsze, jakich świat nie słyszał to od nich mógł usłyszeć, a na ostatku bicie, rozlanie krwi a były zdarzenia że i trupa zrobili, to tez policyja wzięła sie energiczniej do nich to tez się uspokoiło, bo strach zrobił swoje i zeby nie mieć z policją do czynienia. A takich łobuzów kilkunastu wystarczy na całą koloniją polską co potrafią napsocić, a później miejscowa ludność wytyka palcami i mówią, ze to oni wszyscy tacy jak juz nieraz bywało, ze nawet nasze gazety protestowały w takich sprawach. Bywają wypadki takie ze nawet niewinnie nasz Polaków posądzają, zobaczą pijanego zupełnie innej narodowości chociazby Rusina bo oni mają większą skłonność do pijaństwa jak my Polacy, a juz palcami wytykają słychać głosy ze to Polak. Przykro prawdziwemu Polakowi takie posądzania słuchać. Nieraz w obronie honoru narodu polskiego przychodzi się tłómaczyć ze to nie Polak, ze mylnie posądzają nasz, albo za jakiego Żyda krętacza, matacza, tez my nie mozemy choćby on nawet był obywatelem polskim. Jednego razu chodził sobie taki Żydek typiczny tylko mu pesjów brakowało, to był sobie taki handlarz domokrążny. Żydowska natura uzywa rozmaitych sposobów, wcale nie chciał rozmawiać po polsku, tylko po francusku, albo po niemiecku, a sobie myśle ja ciebie Żydzie przekonam czy ty właściwie nie umiesz po polsku mówić, wziąłem się na sposób i zacząłem bardzo jego towary ganić przed kolegami, ze to nic nie warto, ze on was chce oszukać. Tak nareszcie Żyd nie mógł wytrzymać i przemówił w polskim języku do nas i to wcale nieźle bo naturalnie trafiłem mu w to miejsce najbardziej bolące, ze pod ciosem moich słów nie mógł wytrzymać. A co się tyczy ludności tubylczej to trzeba sobie opinije wyrabiać, poznają człowieka szanują go, nie przejdzie zeby miał się nie przywitać, albo u nich powszechnie znane zapytanie przy pierwszym spotkaniu tak mówią sawa *), pod tem względem są grzeczni, ze co prawda mają oni tez swoje wady,

*) Ça va.

ale kto ich niema. Z nas żyjących ludzi, ja naprzykład sam pracuje pomiędzy Francuzami, jest ich piętnastu ja sam jeden nie mogę powiedzieć na nich złego, pracować musze to na pierw zawsze myśle, dla mnie są bardzo dobrzy. Ja z niemi naturalnie nie wchodze w zadne nieporozumienia, te tez kazdy chętnie ze mną chce pracować, tak ze nieraz ten by chciał ze mną pracować i ten, czasem nie wiem którego zadowolnić nareszcie mówię że sobą nie rządze. Naprzykład w tem miasteczku, gdzie ja mieszkam to jest w Billy Montigny w departamencie Pas de Calais tu największe skupienie Polaków, to tez gdy sie wyjdzie na ulicę to sie zawsze słyszy gware polską tak ze nawet młodziez francuska, niektóra juz prawie nieźle potrafi mówić po polsku nawet bardzo chętnie z nami po polsku rozmawiają, to tez nawet na szyldach sklepowych są napisy polskie, nawet na przejściach kolejowych są napisy polskie, to tez ja co dobrze pamiętam rządy zaborcze w Polsce to sobie zawsze przypominam co to jest ze Francuzi nie boją się nas Polaków nie jak to bywało za rządów rosyjskich, albo ciemiężycieli Prusaków, ze nasza kochana mowa ojczysta była tępiona tak zaciekle, ze nam nawet na ulicy zabronili mówić, a przewaznie niemiecka hakata ona się w tem wysławiła. A tu idziesz ulicą patrzysz napis „Dom Polski", a wyżej Orzeł Biały. Nie boją się go Francuzi oni wiedzą dokładnie, ze ten Orzeł Biały to nie rozszarpie ich ojczyzny.

Dalej obok Lew Belgijski, tez im wcale nie przeszkadza, że on taki pokazuje swój widok potężny, to tez sobie myśle ze niejeden tępiciel polskości jak zobaczy to powinien sie zawstydzić, to tez my Polacy chętnie sie uczymy języka francuskiego i my odczuwamy to na kazdym kroku ze oni dla nas są dobremi przyjacielami, musimy ich szanować chociazby tylko zato samo, a oni sie na nas nie zawiodą, zeby my kiedyś mieli być wrogami jeich ojczyzny, mamy zupełną swobode, kulturalną oświatową co dawniej na swojej ojczystej ziemi nam zabraniali Niemcy i Moskale co pozostaje wstyd i hańba ich pokolenia. Co do odnoszenia robotnika francuskiego do polskiego to bywa rozmaicie zalezy przewaznie od nas samych Polaków, pod tem względem przy pierwszym zetknięciu z niemi zaraz sie podpada pod ścisłą obserwacją, pozatem przychodzi ocena, a jezeli ona wypada na korzyść człowieka to juz trzeba się trzymać takiej taktyki, zeby nie utracić tego co się zyskało, bo Francuzi pomimo ze należą do rozmaitych partyi poli-

tycznych ale przedewszystkim posiadają swoją dumność narodową czego im za złe wcale nie mam, bo duzo rzeczy powinnimy sie od nich nauczyć. W obejściu są bardzo grzeczni odczuwa sie to ze jakby sie z nami już zzyli, jakbyśmy juz tu długie lata zamieszkiwali z niemi, jak poznają człowieka ze ta osoba godna szacunku nie ubliżą mu, tego im nie mozna zarzucić.

Moze w niektórych punktach zbyt surowo osądziłem nasze kochane wychodztwo, ale tego nie poczytuje za złe bo tylko to pisałem co na własne oczy widziałem i sam na sobie odczuwał i brałem wzór do opowiadania z pośród najuboższego wychodztwa, które się wcale nie troszczy o swój byt jutrzejszy, a zyje tylko dniem dzisiejszym. Oni to właśnie najwięcy potrzebują opieki.

To są ludzie jakby chorzy, to są kalecy, ich trzeba jakoś ratować i znaleźć jaki sposób wyjścia, zeby jakąś pomoc dać tym warstwom biednego naprawde ludu, ratować nie dać mu zginąć pomiędzy warchołami dzisiejszego zycia, bo dziś to jakby na wyścigi kazdy warchoł polityczny lub jakiś inny odłamek stara sie za wszelką cene uzyskać wpływ nad nieświadomą osobą, nieraz sie zastanawiam skąd sie biorą na to wszystko pieniądze, skąd to takie naiwne poświęcenie tych właśnie agitatorów, ze nieraz przychodzą z taką natarczywością, ze jakby to człowiek musiał do ich instytucyi należyć, mówie ze tego tak duzo jest, ze az się roi od tego, a kazdemu dać trzeba jakąś odprawe zeby sie zbytnio nie przyczepiał.

5) Stan obecny i nadzieje na przyszłość

Obecny stan rzeczy robotnika nie jest zadawalniający, dzisiaj Francja ogarnięta również bezrobociem jak i inne kraje, niktóre rodziny polskich robotników ze choć nawet mają prace jaką taką są równiez bez wyjścia. Do kraju wracać nie ma za co a są pewne przyczyny trudnościowe. Weźmy naprzykład rodzine co sie składa przecietnie od dziesięciu i niżej choćby do sześciu osób. Ojciec takiej rodziny przyjechał przed dziesięciu laty, był młodym i w pełni siły robotnikiem, przyjechał z Polski czasem zaledwie w jednym tylko ubraniu i w jednej tylko koszuli na sobie, więcy mieć nie mógł bo w kraju prowadził walke z głodową śmiercią, ostawił zonę, naturalnie musiał i zonę sprowadzić w krótkim czasie bo co miał robić. Równiez i zona z dziećmi przyjechała, tak zaledwo miała kości przy-

trząśnięte łachami, tu im sie zaczyna nowy okres zyciowego zagospodarowania wszystko trzeba kupić od najmniejszej rzeczy pomimo ze mąz zarabia wcale nieźle, ale wszystko przyjechało z kraju gołe a tę golizne bardzo trudno zatkać, a w dodatku taki robotnik to ta najniższa klasa ze społeczeństwa ludzkiego, to przewaznie analfabeci, albo półanalfabeci, to są ludzie którzy sie nie liczą z dniem jutrzejszym, oni tylko dniem dzisiejszym zyją, oni zaczeli troche lepiej zarabiać, to tez dla czego sobie mówią mamy odmówić, jakze nie sprobować troche lepszego zycia, trzebaby jakie ubranie odświętne sobie kupić, zonie również zeby sie jakoś pokazać. Zaczęły sie znajomości przyjmowania gości nawzajem, tak przez końca jeden drugiemu oddawał, az narescie podlegli pijaństwu nałogowemu nietylko mąz ale i ich zony są pijaczki nałogowe, te rodziny to właśnie dziś prowadzą zywot opłakany. Dzisiaj mamy zaprowadzone świętówki po dwie i trzy w tygodniu, zarobki obcięto, zapasów w ubraniu nie ma, oszczędności w gotówce zadnych, do kraju nie ma za co wracać a w dodatku nie ma po co bo wie jak tam miał przedtem, tu nie pewny dnia, a czy mu czasem jutro nie powiedzą tyś nam więcyj nie potrzebny mozesz sobie jechać gdzie z mieszkania sie wynoś. To jest los takiego człowieka, to jest zapytanie co ma taki człowiek robić. Dzisiaj mi właśnie opowiadał kolega o takim człowieku ze został zwolniony z pracy, a powody miały być takie ze pomimo świetówek jakie wprowadzono u nas w górnictwie oprócz tego on sobie sam zrobił jescze dni odpoczynku w roku trzydzieści, a oprócz tego miały być u niego dni częste choroby, czy on był właściwie chory to zapytanie jego własnego sumienia, a dyrekcyja to sobie takich pracowników zapisuje do specyjalnej książki, gdy sie przekonają o nieuczciwości takiego robotnika natychmiast zwalniają z pracy, z mieszkania kazą sie wynosić i tak właśnie temu zrobili, więc co on na to powiedział, zaprowadzi zonę z dziećmi do konsula i niech ich konsul odprawi do Polski, a tu sie słyszy ze nie tak łatwo z konsulstwa odprawią do Polski. Takich nędzarzy mamy tu bardzo duzo tem powinny sie nasze władze zainteresować na serjo i znaleźć jakiś punkt wyjścia. A co dopiero mówić o takich Polakach co tu przyjechali z Niemiec, ci którzy nawet znajomych nie mają w Polsce nietylko krewnych co oni mają robić, gdy jemu powiedzą ze pracy niemasz, albo mu powiedzą wynoś sie na dobre od nas boś tam coś prze-

skrobał a ustawa głosi ze za takie a takie przewinienie masz sie wynosić, nie pomoze zadna apelacyja raz tak ustawa głosi to niema zadnej mowy a obecnie zaprowadzona tak zwana czystka z niepożądanych elementów, a ile to osób to wcale niewinnych jest ale raz popadł pod ustawe to sie mówi ze nie ma co do gadania, trzeba sie wynosić, tu znów władze polskie powinny sie jakoś zaopiekować temi ludźmi bo któż sie niemi zaopiekuje. My tu właśnie zyjemy wszyscy z dnia na dzień a przewaznie dzisiaj kazdy przygnębiony, bezrobocie choć nie całe to częściowe a wszędzie słychać głosy kryzys, kryzys, robotnik mocno przekonany ze kapitał światowy jakby sie zmówił przeciw robotnikowi, a wśród obecnego stanu rzeczy to znów znajdują sie jacyś wybawiciele robotnika i mówią zebyście do nas nalezeli wszyscy jak jeden, a kiedy my będziemy rządzić światem to wtenczas ani kryzysu nie będzie ani wyzysku, będzie wzajemna równość. Ludziska wierzą i bardzo nawet udaje sie pod te skrzydła opiekuńcze, bo jakże tak dużo obiecują, a tam gdzie dużo obiecują to tam sie garną bo tam widzą raj tam zbawienie.

1932 r.

Pamiętnik Nr. 9

Górnik, rodem z Poznańskiego,
syn górnika w Westfalli,
ur. w 1902 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Gdy przed pare dniami przyszedłem od pracy, to usiadłem do stołu aby się posilić. Po posiłku chwytam za gazete, aby się dowiedzieć co nowego na tem świecie się dzieje. Sprawy polityczne mie bardzo mało obchodzą bo to nie robotnika sprawa, a po drugie, sprawy polityczne są dla obcokrajowca surowo wzbronione. ona przez ten czas ze stołu sprzątnęła i mruczy coś z zadowolenia, bo talerze puste i to ją bardzo cieszy, że człowiek z apetytem wszystko zjadł. Przeglądając gazete dali, zatrzymam się na artykule: „Konkurs na Pamiętnik Emigranta". Więc czytam go wolno i uważnie aby go zrozumieć. Artykuł ten przysyłam w załączyniu. Rozważałem ten artykuł przez trzy dnie i myśle: że przeżycie moje na emigracji są dość spore, a jak ja bym napisał tak szczerze z serca, to by i „Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie" mógł sobie obraz z naszego życia na emigracji zrobić. Niniejsze słowa nie pisze żaden intyligent albo biurokrata telko prosty robotnik (górnik). Jezde całe swe życie na emigracji, jezde rodem z Poznania i tem samem z pod zaboru pruskiego. Do szkoły chodziłem w Westfali a polski szkoły albo lekcji nie miałem ani jedny. Ze jezde w stanie napisać cośkolwiek po polsku, zawdzięczam w większy części gazycie „Wiarus Polski" wychodzący dawni w Westfali teraz w Francji w Lille. Więc proszę tego, kto ten pamiętnik roskiedy będzie czytał, aby mi te błędy, które ja tak nieświadomie napiszę nie miał za złe, bo żadnem pisarkiem nie jezde, telko ro-

botnikiem. W jaki sposób ja pisanie po polsku pojął to wyjaśnie w pamiętniku. Gdy teraz zaczne pisać, to musze to podzielić na następujące punkta: I. Dzieciństwo, II. Okres poza szkołą, III. Przeżycia w Polsce, IV. Przeżycia w Francji za kawalera, V. Przeżycia w Francji jako żonaty, VI. Dokończynie.

Część I. Dzieciństwo

W maju roku 1902 urodziłem się w Poznaniu jako syn robotnika. Mój Ojciec pochodził od średniego gospodarza z pod Leszna. Matka moja pochodziła z ubogi familji z pod Kościanem. Z pierwszech lat mego życia nie pamiętam nic. Tylko tyle wiem że późni byli my w Westfali (Nimiec). Mój ojciec pracował jako górnik w kopalni. Gdy skończyłem sześć lat podlegałem podług prawa niemieckiego szkołą niemieckiem. Pamiętam jescy dokładnie, jak mój ojciec kupił dla mie ładną torbe i przybory do szkoły. Na drugi dzień rano matka mie zaprowadziła do szkoły i mie zameldowała. Jej znajomość jęzeka nimieckiego była bardzo marna, ale jakoś to pośło. Do szkoły miałem blisko godzine drogi. Przez rok wybudowali nową szkołe a droga moja teraz trwała dwie minuty. Przez ten czas mój ojciec zminiął prace i miał daleko do pracy na rowerze. Więc zminił także i miszkanie. To nowe mieszkanie było bardzo ładnie położone pomiędzy dwoma gospodarzami, łąkami, lasem i pomiędzy uprawnemi polami. Do szkoły miałem tutaj już dali bo dobre pół godziny. Teraz musiałem też i każdą niedziele do kościoła uczęstać i to jescy rano i popołudniu. Szkoła była katolicka i też w każdy poniedziałek zrana gdy pacierz był zmówiony to nauczyciel usiadł na stołku i się zapytał: „kto nie był wcoraj na mszy św." Kto się zgłosił to był zapisany i t. d. Zapisani także byli ci, którzy brakowali na niśporach oraz ci, co się spóźnieli. Gdy przystąpiono do nauki to byli ci pierszi brane, którzy na liście byli i to szło przez cały tydzień, dyscyplina szła często i gęsto, a moje siedzynie rzadko kiedy było białe. Do tego się też składała ta okoliczność, że my byli Polakami a to był czas kulturkampfu. Mój ojciec w tem czasie miał ładny zarobek na kopalni, do tego zarabiał u sąsiednich gospodarzy też spory piniądz. Przy tem mieszkaniu (cztery wielkie pokoje) mieli my także i wielki ogród i chlew, dwie świnie, 20—30 kur, cztery kozy, 10—15 gęsi i dużo królików my stale trzymali. Więc my sobie dobrze żyli. Ojciec mój się zo-

stał wtedy za kierownika kolonji robotników. Robotnicy zarabiali dobrze i ojca musieli lubieć, bo w każdą niedziele byli u nas i wtedy się rozpoczynała dobra pijatyka wódki. Wtedy ojciec się dobrze rozpił, a my dzieci na to patrzeli. Co nam wtedy na myśl przyśło? Mnie tyle, że nigdy wódki pić nie będe, (ale w późniejszem życiu przyśło mi inacy, ale nigdy alkoholu nie nadużywałem). Przyśło tak daleko że ksiądz i nauczyciel Polaków (a było ich w tej miejscowości aż cztery familje) za pijaków mieli i podłuch tego traktowali. Pomimo tego my sobie dobrze żyli a w naszy rodzinie byli już cztery dzieci. Gdy nasz gospodarz umarł to ta bogata wdowa od mygo ojca w pracy w jej gospodarstwie za wiele żądała i Ojciec zminiął mieszkanie. Po mieszkaniu przejściowem trzy miesiące to ojciec się wystarał znów o takie ładne mieszkanie na wsi. Właścicielem tego domu był polak i muzykant, więc każdą niedziele się w jego mieszkaniu zabawa odbywała. Polaków wtedy w tej Westfalji było stosunkowo mało i się przeważnie skupiało koło Herne i Wanne. Więc młodzież się zbierała w pewnych miejscach i zabawiała podług upodobania picie wódki, zabawe, tańce, flirt i t. d. było na porządku dziennem. Ja wtedy, jako chłopak dwunastoletni, na to patrzałem, za tem szpiegowałem i nic nie zrozumiałem. Dawni był nie jeden dla mnie bohaterem, ale dziś (gdy mie to życie w swy twarde ręce wzięło) gdy bym tego człowieka trafił, to bym się z obrzydzeniem odwrócił.

Nie wszyscy byli tacy, bo dużo ludzi się i w Westfalji czego dorobieli. Było dużo ludzi takich, co tam mieli własne domy, składy kolonjalne albo galanterji, miele i też konia z furmanką i krowy. Ale naogół emigracja była biedna.

Dużo ludzi miało swoje oszczędności na Banku Przemysłowców w Poznaniu. Jedna z jego filji była w Bochum na ulicy Klosterstrasse na który to ulicy skupiało się całe życie polskie. Było na tyj ulicy całe centrum życia polskiego. Była tam drukarnia Gazety polski „Wiarus Polski“ wychodzący teraz w Lille (Francja) główne biuro Związku Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, Bank Przemysłowców albo Bank Robotników polskich i jescy różne inne biura. Heca nimiecka przeciw Polaków była wielka. I bijatyki pomiędzy Niemcami a Polakami coraz to więcy się powtarzały. W Poznańskiem i na Pomorzu kulturkampf zrobił swoje a Polacy wciąż

do Westfalji napływało. Znów w Poznańskiem i na Pomorze napływało dużo kolonistów niemieckich, które i do dziś dnia tam siedzą.

Taki stan rzeczy trwał aż do wybuchu wojny światowy. Wtedy zawrzało wśród Polaków. Wtedy to i dzieciak coś usłyszał od swoich rodziców o Polsce. Przedtem to moji rodzice więcy od nas dzieciach nie wymagali, jak w domu i na podwórzu mowy polski a jak się ktoś odezwał po niemiecku, to jeden siarczysty policzek go już upomniał, że tu się po polsku telko rozmawia. Podczas wojny to już ojciec lub matka opowiadali nam o Polsce ale telko ostrożnie aby my się nie wygadali, a pruskie żandarmy telko na to czekali.

Przy mobilizacji było bardzo dużo Polaków zaciągniętych do szeregów nimieckich, pchanych na najgorsze odcinki walki i tam dużo Polaków poległo za nimiecką sprawe. Mój ojciec podczas wojne nie był zaciągnięty, bo stale był reklamowany do kopalni do pracy w górnictwie.

Zaraz na początku wojny (13 listopada 1914 r.) my się spalili to znaczy, że dom w którem my mieszkali się spalił i zarazem wszelki nas dobytek jak meble, bielizna, ubrania i wszelkie zapasy na zime. Mój ojciec wtedy był przy obiedzie bo przed chwilą z pracy powrócił, poleciał zaraz do drugiego pokoju aby o ile możności coś wyratować. Ale ciężko oparzonego go nasza Matka z ognia wywlekła. Ojca odtransportowali do szpitala gdzie blisko cztery miesiące przeleżał.

Gdy ojciec z szpitala powrócił, to nie wiedział gdzie najprzód zacząć aby szkody naprawić. W czasie tego pożaru nam się wszystko spaliło jak meble tak i bielizna i cały przyodziwek. Każdy ratował się jak mógł i to co miał na sobie to wyratował, a pozatem nic. Teraz też nam pomogła ofiarność sąsiecka. Każdy co nas znał patrzał aby nam w czymkolwiek dopomódz. Stare zagorzałe Niemcy też nam dużo dopomogli. Tak przez wytężoną prace (przez dwa lata) się już dużo naprawiło.

Przez ten czas ja już szkołe ukończył. Z szkoły wyszedłem z najlepszem świadestwem, bo wszystkie klasy przeszedłem. Nauczyciel mój (zatwardziały Nimiec i polakożerca) powiedział mi przy pożegnaniu: „Z ciebie będzie raz kiedyś jescy coś ale o Polsce nie możesz tak myśleć, bo Polska tak już nie istnieje i istnieć nie bę-

dzie". Jescy kilka dobrych rad na droge do życia, jeden uścisk dłoni i wyszedłem z szkoły z dobrem świadestwem i z najlepszemi nadziejami.

Część II. Okres poza szkołą

Nareszcie wyszedłem z szkoły. Co za uciecha i radość, teraz jest człowiek wolny i weselszy. Ale za to akurat wiosna to trzeba w ogrodzie pracować od rana do wieczora. Ojciec się pyta czego bym się chciał uczyć. Odpowiadam: „że za piekarza". Ojciec z matką się naradzają i mówią mi, że ze względu na ten pożar który my prześli, to nie idzie. Chcieli mie dać do kopalni aby się wyuczył szlusarstwa i rodzicom by było lży, bo każdy grosz nadbiję. Chociaż płakałem, to mi to tak nie pomogło. Ja się znów zaparł, ze na kopalnie nie pójde. Musiałem w ogrodzie pracować i sobie przytem plan ułożyłem. Traf chciał ze mie wysłano do wioski. Naprzód już sobie wypisałem pozwolenie od Ojca, że się zgadza, abym ja sobie wyciągnął książkę pracy. Z tem zezwoleniem poszedłem na urząd gminny, gdzie karte pracy bez żadnych trudności dostałem. Na drugi dzień rano wstałem, ubrałem się w niedzielne ubranie, wziąłem Matce jedną marke z filiżanki i po cichutku wymknąłem się z domu do tramwaju i za godzine już byłem w powiatowem mieście. Tu się zaraz skierowałem do pośrednictwa pracy. Tu musiały najprzód moje świadectwo szkolne pokazać i potem mie wysyłano aż na cztery miejsca i pracy nie dostałem. Na jednem miejscu byłem za mały, na drugiem za słaby, a na dwuch miescach powiedziano mi, że Polaków nie przyjmują. Przyszedłem z powrotem na pośrednictwo pracy. Był tam urzędnik około lat 45. Zmierzył mie od głowy aż do stóp i się pyta po nimiecku: „Chłopaku znasz ty siódme przykazanie? Ja się zapaliłem (bo zaraz przyśła mi ta marka na myśl, którą matce wziąłem) ale przywtórzełem. Urzędnik ów chwycił za telefon i rozmawiał z jednem hotelem. Gdy słuchawke położył, to mi objaśnił: że jest jedne ładne miejsce wolne w hotelu za posługacza domu. Wypisał mi karte polecającą, objaśnił też jaki mam dojazd z tramwajem, jak mam się zachować i kazał się tam udać aby się przedstawić. Po godzinie już byłem na miejscu i zostałem przyjęty. Mój szef był bardzo życzliwy, odebrał moje papiery i kazał za dziesięć dnie przyjść.

Gdy przyszedłem do domu miałem co do słuchania i bez szturchańców się tyż nie obyśło. Gdy wyjaśniłem, że prace mam i gdzie byłem to Ojciec i matka się pogodzieli z tą rzeczą, a ja się cieszyłem ze kopalni umknąłem.

Na trzeci dzień, ojciec pojechał do miasta i kupił jescy pare potrzebnych rzeczy dla mnie. Upomniał mie, abym się miał na baczności żeby swoji familji i wogóle Polakom wstydu nie narobił.

Dnia 1-go maja 1916 roku matka zaprowadziła mie na te służbę. Zaraz się przebrałem i byłem wszystkiem domownikom przedstawiony. Służba w tem hotelu składała się z 16 osób oprócz familji właściciela. Mój szef mie zaraz oprowadził po wszystkich ubikacji (z któremi miałem styczność) i objaśnił mi na czym moja praca polega. Na drugie rano zbudzono mie i zaraz miałem 14 par butów do czyszczynia. Potem w hotelu we dwóch cały bufet do czyszczynia. To czyszczynie było bardzo zmudne i całą godzine czasu nam zabierało. Po śniadaniu musiałem cztery bilardy wyczyścić, różne klamki do drzwi, kurki do wody, sztaby przy oknach i drzwiach czyścić. Przytem musiałym dać baczną uwagę na tablice i zygarek. Na tablicy było zawdy napisane kiedy budzić ten lub ów numer pokoju. Gdy gość odjezdzał, to mie polecone było kuferki i torby podróżne na dworzec wywieś. Zato miałem ładny dochód (15—40 marek miesięcznie). Zarobek mój wynosił na ten czas 10 marek miesięcznie i całkowite utrzymanie. Ojcu się to podobało, bo miałym wtedy więce jak nie jeden 17 — 18 letni chłopak. Pieniądze wtedy oddawałem wszystkie rodzicom. Zaraz w drugiem tygodniu miałem mały incydent z jednem bardzo wybrednem gościem. Mój szef się zaraz w to wdał, chociaż ja miałem słuszność, dostałem po nosie a jak gość odjechał, zawołał mie szef na biuro i mówi, że w tem interesie telko piniądz pracuje. Chociaż gość nie ma słuszności, to mu je trzeba dać, bo tu się rozchodzi aby gość przyszedł więcy razy a nie telko dziś.

Miałem nauczkę i podłuch tego się stosowałem. W tem hotelu służyłem dwa lata. Wojna światowa szalała a interes w hotelu coraz to się zmniejszył. Polacy w Westfalji się skupiały w różnych towarzystwach ale podczas wojny wszystko kulało. Ja się też w hotelu nauczył obsługiwać gości, a gdy jakieś towarzystwo polskie miało jakieś obchód lub tyatr to ja obsługiwał po polsku i rodacy się cieszyli z tego a ja miał dobry zarobek. Na ogół mój

szef wolał salkie dać towarzystwu polskiem niż niemieckiem, bo to lepi ciągło do kasy. Nimiec pił piwo, Polak wolał wódkę (podczas wojny surowo wzbronioną) ale nato są przepisy, żeby były obchodzono i tak ja po boku i za scyną dużo wódki sprzedał aż to podpadło jednemu żandarmowi. Ja to zauważył i podług tego tyż przyniósł zaraz pełną tace napoju bez alkoholu w kieliszkach. Gdy ja z tą tacą się kierował za scyne, to on mie zawołał i mówi mi: żeby tyż rad choć jednego dobrego koniaka wypił. Ja mu odpowiadam, że tego niema bo zakaz rządowy. Na jego oburzenie, że Polakom ja sprzedaję wódkę a jemu nie, mówiłem mu, że mam tutaj taki nimiecki (ersatz) napój bezalkoholowy na sprzedaż, a jeżeli on sobie pragnie, to proszę. Ucieszony, że mie dostał w pułapkę, chwycił za kieliszek i wypił. Jego spojrzenie na mię było bardzo ucieśne, a ja go zaraz zachęcał do drugiego kieliszka, ale już nie chciał ino zapłacił i się wyniósł z sali do mego szefa i mu opowiedział całe zajście. Szef mu tyż wytłumaczył ze podług paragrafu tego i tego wódki niema w domu i tyż nie sprzedaję. Kilka gości Polaków zauważyło i przysłuchało się tego zaścia i się mie pytano o co chodziło. Gdy to wyjaśniłem, to śmiechu było dużo. Ten ersatz wypiły kobiety (bo był słodki) a mężczyzny pili sobie wódke. Gdy przysedłem do bufetu to szef dał mi zaraz dwie marki i się zaraz uśmiechnął. Te niedziele miałem dobry dzień, bo zarobiłem 18 marek.

W tem hotelu ja się dużo nauczył co mie się teraz bardzo przyda. Razu pewnego miałem takie zaście. Było to w niedziele południe. Ja obsługiwałem śpiewaków, które miały lekcje śpiewu. Przy bufecie robota szła całem pędem, a w sprawie pieniędzy musiała być zawdy dokładność. Przyśło w pewny chwili, że ja płaciłem gotówką (zazwyczaj bonami) szef przy kasie i pieniądze odebrał, tak że mie musiał jescy 1 m. 80 fenigów wydać. Ale wyliczył mi telko 1,70 m. Ja te pieniądze zagarnął do kieszeni i chciał odeść. W tem szef mie zatrzymał, kazał pieniądze położeć spowrotem na stół i przeliczyć. W tem się okazało że 10 fenigów brakuje. Szef się rozśmiał i mówił do mie, że naumyślnie tak zrobił abym więcy uwagi zwracał na pieniądze, do tego jescy dostałem dobre kazanie. Ja się bardzo zawstydził i mówił, że swego szefa przecież nie będę tak kontrolował. W tem ale ja dopiero dobrze zaszedł, bo szef mi zaraz mówi: „Czy to ja, czy ksiądz albo nawet

sam król tobie piniądze zwraca, to twoja powinność jest patrzeć czy to się zgadza". To była nauczka na całe życie, podłuch tego ja się całe życie kierował i dobrze na tem wyszedłem.

Tak szedł ten żywot swoją stroną stale jednostajnie. Latem, gdy miałem wolne, to z kolegami zrobiło się przechadzki do lasu. Ja przez ten czas wyrósł na sporego chłopaka i prezentował się doskonale, tak że rodzice moje się bardzo cieszyli ilekroć ja przyjechał do domu. Ale przez ten czas interesa w hotelu się tak pogorszyły, że służba składała się teraz z sześciu osób. Ja też służby wypowiedział i powrócił do domu.

Jakiś czas byłem w domu i się starałem o inną prace ale że w tem zastoju pracy nie mogłem dostać, zacząłem na kopalni w lampowni. Ale ta praca mi zawiela nie padło do gustu. Więc wziąłem sobie terminatke i poszedłem na sąsiednią kopalnie ale już zjechałem do ziemi. Naprzód musiałem wózki popychać a po trzech tygodniach dostałem się na maszyne elektryczną do jazdy. Jako maszynista mie się bardzo podobało, zarobek był znośny a w sobote i niedziele ja miał jescy zarobek poboczny w okolicznych restauracjach i hotelach. Więc mie się dość dobrze działo.

W tem czasie było w Nimiec bardzo marnie z żywnością. Było tam wszystko na kartki i te porcje które człowiek dostał długo nie starczyło do życia. Piniądze ludzie mieli, a żywność za nie nie dostali choćby i dobre słowa dodawali. Szmugiel, przemet i lichwa z artykułami żywnościowemi kwitły. Chociaż bardzo wysokie kary groziły, to jednak te plage zwalczyć nie szło. Dla szarego ludu pożywienie składało się przeważnie z brukwi i wyki. Chleba dostawało się dziennie pół funta, kartofli dziennie funt, mięsa tygodniowo 125 gramów, tłuszczu tygodniowo 62½ gr. Jarzyny albo jajków bardzo rzadko i to jescy w znikomych ilościach. Ciężko pracujący robotniki jak: górniki, kominiarze, murarze i tem podobne zawody dostali jescy dodatki 1½ funta chleba tygodniowo i raz kiedyś po ½ funta kiobasy. Powyższe porcje każdy dostał na kartki a handel pokątny i lichwa kwitły.

W tem czasie Niemiec sprowadził dużo Polaków z okupowanych terenów do kopalń w Westfalji. Jak nieraz sobie spomne, jak ci biedacy żyli, to aż mie szarki przechodzą. Podczas wojny światowy Niemiec całą Polskie obsadził. Więc też wszystkich zdrowych chłopów pozabierał (nieraz nawet przez gwałt) i wywiózł do Nimiec.

Kazano im się podpisać, co ludzie nie wiedzieli na co, a później się wykazało, że to był kontrakt na dwa lata po ukończyniu wojny. Więc ci ludzie byli sprowadzeni a lekarz uznał każdego za zdolnego do pracy. Widziałem takie transporty a zaciekawienie młodzieży było wielkie bo każdy chciał „Rusoka" *) widzieć. Rozmawiałem nawet z nimi ale dużo ich nie zrozumiałem bo rozmawiali dobrze po polsku. A ja myślałem że ten polski język jest tak, jak u nas w domu rozmawiali (szkaradnie pokaleczony i zniemcony). Więc też ja uważałem siebie za Polaka i obywatela niemieckiego a owych Polaków za rosjanów. Razu pewnego rozmawiałem z Ojcem o tych rusokach. Wtedy ojciec mi wyjaśnił, że nasza Polska przez nieudolność naszy szlachty i zaborczość Nimiec, Rosji i Austrji została podzielona pomiędzy te trzy państwa a gdy się ta wojna skończy, to Polska powstanie i wszelka ziemia polska powróci do polskiego państwa. Mówił mi także, że owi rosjanie to dobrzy polacy a ich mowa jest dobrze po polsku a nasz język domowy to się musi schować. Owych Polaków pomieścono jak się dało w salach albo w mieśkaniach kopalnianych i do tego tak gęsto jak śledzi do beczki. O zdrowe pożywienie i przestrzeganie higenji to kopalnia nie dbała. Na jedny kopalni sam widziałem że to jedzynie już dla najokropniejszego zbrodniarza by był za kiepskie. A było to tak. Było w Niemiec bardzo kiepsko z tą żywnością. Więc brukiew było pożywieniem narodowem dla robotnika. Wiadomo każdemu, że brukiew się dłuższy czas w stanie świeżem nie utrzyma a obieranie brukwi dla tak dużo ludzi kosztuje, kosztuje ludzi i piniądze. Było tam przeszło tysiąc jeńców wojennych jak Francuzów, Anglików, Rosianów, Belgów, Włochów i jescy kilkaset Polaków jeńców ciwilnych. Więc kopalnia założyła susarnie buraków na placu. I temu suszeniu się przyglądałem co tak wyglądało.

Na blisko 10 metrów od prasy stanął wagon z burakami. Więc jeden Francuz był postawiony aby ten wagon wyładował i te brukiew w koszyki dwóch innych jeńców odbierało te kosze i wsypało je zaraz do prasy (o czyszczyniu ale mowy nie było). Co wyszło z pod prasy to zaraz na suszarnie i tam przez pare godzin było to już suche jak pieprz. Te suchą brukiew zaraz wkładano do miechów i do magazynów. Z tego było trzy razy dziennie jedzenie

*) „Rusok" wyraz westfalski na Polaków z byłygo zaboru rosyjskiego.

gotowane i to dla jeńców wojennych i ciwilnych. Jak się jeńce wojenni mieli, to nie wiem bo byli za kolczastem drucie i pilnie strzeżone. Do jeńców ciwilnych miałem dostęp w każdy chwili ale się tam nikt nie kwapił bo tam był porządek, który wołał o pomste do nieba. W tej jadalni która mieściła się na kopalni wyglądało okropnie. Gdy jeniec wyjechał to się umył i poszedł się posilić. Zaznaczam, że wtedy już mydła nie było, a co górnik dostał do mycia, to była tylko glina. Ale przy dobrych chęciach mógł się umyć czysto. Ale ten gnębiony lud już o nic nie dbał. Gdy przy okienku odebrał miske strawy, to była to sama brukiew i tam było pare żarnków fasoli lub grochu, które sobie też kwapliwie wyszukał bo to drugie wprost nie było do jedzenia. Więc gdy już wyszukał, to się oglądnął czy go jaki urzędnik nie widzi i zaraz przewrócił to wszystko na stół i poszedł po drugą porcje. Więc też każdy może sobie obraz z tej jadalni zrobić jak sobie przedstawi jak to wygląda: na stołach, ławkach i na ziemi przewrócone miski z tą potrawą, w kątach postacie głodnych, obdartych i brudnych jeńców ciwilnych. Gdy się zapytano raz jednego z nich dlaczego oni tak robią, to odpowiedział: „Pracy od nas żądają a jedzenie to nam dadzą na pośmiewisko". Zaprowadził nas do owych resztków i pytał się: czy to jedzynie jest godne człowieka? Ci jeńce ciwilni chodzili na wolny stopie, jednak im nie wolno było przekroczyć granice gminy w który mieszkali. Zapłate otrzymali narówni z drugiemi robotnikami. Ale oni mieli niższe zarobki i byli bardzo oszukani. Gdy nadszedł dzień wypłaty, to telko karty były w ruchu (oczko i inne gry hazardowe). Większość była już na drugi dzień gołe jak tureckie święci, to znaczy bez piniędzy. Dużo się trafiło takich przy pracy, co głodni zajechali do kopalni i czekali na ten marny posiłek gdy wyjadą. Kartki na chleb to oni mieli, więc też gdy przyśła ta sobota, to już kupieli chleb na cały przyśły tydzień i go zaraz zjedli. Pomiędzy tych ludzi panowała (dzięki niedbalstwa zarządu kopalni) bieda i nędza wprost nie do opisania. Na drugi kopalni były stosunki już o 100 procent lepsze, dzięki energiczny postawie dozorcy. Tam musiał każdy swoje karty żywnościowe oddawać do spólny kuchni, gdzie odbierał rano śniadanie, w południe obiad, a na wieczór kolacje. Do tego byli ci ludzie umieszczyni w próżnych mieszkaniach robotniczych i to po pięć na jedną izbe. Porządek w tych domach był wojskowy. A gdy-

by ktoś przyszedł w niedziele na obiad w brudny koszuli, to obiadu nie dostał prędzy, aż koszuli nie zmienieł. W każdem bądź razie żelazna dyscyplina nimiecka zrobiła z nie jednego łajdaka, człowieka. Gry hazardowe i tutaj panowali, ale tu już policja niemiecka zatem tropiła. Zarobki tam były już znośne i nie takie oszukane. Więc w niedziele, gdy taki gość wyszedł na ulice, to policja go zatrzymała myśląc ze to jakieś dezerter z wojska. Gdy się wylegitymował, to go naturalnie zaraz puscono dali. Było tam też dużo inteligenci pomiędzy niemi oraz rzemyślników.

Razu pewnego byłem świadkiem takiego wypadku. W listopadzie 1917 przyjechał nowy transport na kopalnie. Ja byłem wtedy zatrudniony na tej kopalni jako maszynista przy lokomotywie elektryczny. Pomiędzy ludzi którzy przyjechali był tyż jeden elektrotechnik. Już na pierwszy rzut oka było widzieć, że to jakieś lepszy gość. Jak on późni opowiadał, to mu niemcy obiecali, że będzie pracował na kopalni w warstacie elektrycznem (podziemnem). Gdy się on wstawił do zajazdu, budził zazdrość i litość zarazem pomiędzy górników. Młodsi górnicy zazdrościli mu takie ubranie a starsi żałowali ze takie dobre ubranie zniścy. Gdyby jeszcy krawat miał, to by się mógł śmiało udać w zaloty.

Zajechał ów gość i zdziwiony oglądał się. Ale wnet się uśmiechnął, bo widział elektryczne maszyny i lampy do tego miał nadzieję, że w warsztacie będzie pracował. Do pracy od szybu do rewiery było daleko, więc robotnicy dojeżdżali tam pociągami, złożone z zwykłych wózkach od węgla. Gdy sztygary przyśli z swoim szefem to sobie tego robotnika obejrzeli a szef kazał mu wyść do woza. Ten się tłómaczył, że jest przyjęty do warsztatu. Szef się cynicznie uśmiechał i przy tem dawał do zrozumienia że ma wsiadać do wózka. Pociąg za chwile ruszył w droge.

Gdy dniówka beła skończona, to wsyscy robotnicy się zbierali przy szybie czekając na wyjazd. I wtedy się znalazł ów elektrotechnik. Ale co za wygląd miał? aż to wszystkiem żal było. Jego ładne ubranie już wprost do niczego a jego mina wprost do płaczu. Byli tacy, co się z tego śmiali, ale większość górników była oburzona. Gdy pytającem się, gdzie pracował wyjaśnił, że pracował w tak niskiem pokładzie węgla gdzie musiał węgiel łopatą odwalać na leżąc i do tego jescy woda tam się lała, to oburzenie górników było wielkie. Jeden Niemiec (lat około 35) złapał go za rękę i za-

prowadził go do tego sztygara i potem do szefa. Zapytał się, czy to tak się powinno traktować ludzi? Dobrowolnie i dla rozkoszy ten człowiek napewno tutaj nie przyjechał. Więc tyż nie trzeba ludzi w Polsce okłamać, a co było im obiecane w Polsce, to im trzeba też i dać. Padły tam i takie słowa, które ja tutaj napisać nie mogę. Ale ten opiekun, który się tak dzielnie za tego Polaka ujął gorzko to pożałował bo za tydzień już był zaciągnięty do wojska, wysłany na front i tam wkrótce poległ. Ów Polak ale w tej wodzie musiał dali pracować.

Tak to życie szło dali swojem trybym aż do końca wojny światowy albo do wybuchu rewolucji w Niemiec. Wtedy zawrzało w Niemiec ale na dobre. Żołnierze powrócili z frontu jak kto mógł koleją, konno, powózkami albo pieszo całymi oddziałami. W każdy miescowości były różne zebrania na których były wybrane rady żołnierskie i robotników. (Arbeiter und Soldatenrat). Strejki byli na na porządku dziennem było już nawet tak, że robotnicy strejkowali i nie wiedzieli o co się rozchodzi. Zdarzeło się tak, że jakieś podpłacony agitator stanął rano albo w południe w umywalni na ławke i zaczął jaką mowe. W tem czasie różni jego towarzysze rozrzucali jakieś tam ulotki treści wywrotowe, do tego padło hasło strejk. Robotnicy (tak niezadowolone z tego traktowania z strony kopalni) uchwaliły strejk i wszystko szło do domu. Takie strejki powtórzyły się raz po razie i to na tej lub owy kopalni. Wogóle nie sposób było się w situacji zorjentować. Kapitał ściągnął wojsko rządowe (Reichswer) dla swy obrony. Strzelaniny z karabinów ręcznych, maszynowych i armat się co dzień słyszało. Przytem padło też wielu trupów które byli późni pokątem pogrzebane. Swego żywota pewny był tylko ten, który siedział w domu.

W tem czasie wszród Polaków w Westfalji wrzało życie, ale potajemne bo policja niemiecka czuwała. Stare wiarusy polscy się zbierali w tajemnicy i uchwalili Polsce dopomódz. W ostrożny sposób wybadano młodzież polską, co myślą o Polsce. Ale to już była trudna praca bo młodzież przeważnie już była zgermanizowana. Ojcowie w domu opowiadali w dalszem ciągu o Polsce co wiedzieli. Były tyż zebrania rodaków na które przybył jako główny referent św. pamięci p. Brejski Jan, ówczesny redaktor i wydawca gazety polski „Wiarus Polski“ wychodzący dawni w Bochum w Westfalji, teraz ta gazeta wychodzi w Lille w Francji. Ta gazeta była zawdy

w naszem domu bo mój ojciec ją prześło dwadzieścia lat abonował. Owocem agitacji św. p. Jana Brejskiego było że młodzież się garnęła pod sztandar polski. Ochoczo wyjeżdżała do Polski i się zaciągnęła do wojska aby bronić granice Państwa. W Wielkopolsce wtedy było dużo wojska niemieckiego (Grenzschutz). Wyparcie tych wojsk z granic Państwa kosztowało wtedy dużo trudu i krwi polskiej. W walce o wyparcie wroga z miasta Poznań poległ pierwszy Ratajczak Franciszek emigrant z Westfalji. Do dziś dnia ta ulica, na który poległ w walce bohaterski nazywa się Franciszka Ratajczaka. Po kilku latach umieszczono na ścianie domu, przed którem on padł, tablice pamiątkową. Ale gdyby się ktoś by zapytał dziś, kto to taki, ten Ratajczak Franciszek, to by musiał odpowiedzi długo szukać.

W Westfalji temczasem życie polski rosło i się też już nikt nie ukrywał z tem, że jest Polakiem. Przed wojną założone a przez wojne podupadłe związki jak Sokół, śpiewacy i związek zawodowy zostali odnowione i przyśli wkrótce do bardzo ładnego rozkwitu. W mieście Bochum ożyła centrala polska na Klosterstrasy. Była tam drukarnia „Wiarusa Polskiego“ różne księgarnie, komitet wykonawcy, filja banku przemysłowców z Poznania. Centrale różnych związków i komitet wykonawcy. Ta ulica była przez policję bardzo pilnie strzeżona. Widziało się jak starsi już i siwe wiarusy swoje oszczędności, które w domu chowali, zanosili do banku polskiego, bo to jest na dobre Polski. Byli tyż i różne zbiórki na rzecz Polski. Dużo ludzi wyjeżdżało do Polski, gdzie chcieli swój żywot w spokoju zakończyć, bo mieli jako taki skromny grosz na boku, ale się zawiedli.

Polacy dochodzili do głosu, wszędzie przy wyborach rady gminne czy sejmu niemieckiego (Reichstag) były liste polskie. W mieście Wanne w radzie miejski było w roku 1920—60% radnych polaków*). Wtedy tyż uzyskali Polacy prawo w szkole niemiecki. Była też ustalona nauka języka polskiego. I wtedy się okazało jak wielki brak był nauczycieli. Dziatwa polska w Westfalji była prawie całkowicie zgermanizowana. Z inicjatywy gazety polski „Wiarus Polski“ zorganizowano w Bochum kurs wykształcynia zdolnych ludzi na nauczycieli.

*) Niemcy nazwali to miasto Kościuskowo.

Niebawem się zgłosiło dosyć kandydatów i kurs rozpoczęto w szalonem tempie. Po złożeniu (w krótkiem czasie) ekzaminu, udali się ci górnicy nauczyciele do swoi wioski, aby tam rozpocząć nauczanie dzieci po polsku czytać i pisać. Ale wnet natrafili na poważne trudności.

Ja sam chciał się nauczyć czytania i pisania po polsku i się zgłosiłem w tej sprawie do takiego nauczyciela. Byłem bardzo chętnie przyjęty, a nauczyciel był tyż naczelnikiem miescowego sokoła i prezes koła śpiewu. Więc chodziłem trzy razy na lekcje, a gdy przyśłem poraz czwarty to zastałem jego młodą żonę w płaczu i pomiędzy pakunkami. Mówiła mi ta kobieta, że lekcji już dla mnie być nie może, bo dostali wydalenie. Jej mąż jest obecnie w podróży aby przygotować paszporty i potrzebne papiery. Na trzeci dzień pożegnałem ich do podróży. Nauczyciel do Francji a jego żona do Polski.

W międzyczasie nastąpiła optacja gdzie każdy z Polski zaboru pruskiego oświadczyć miał, czy chce być Polakiem lub Niemcem. Ja sam wtenczas leżał chory w spitalu (zapalenie płuc). Każdy musiał dwa arkusze wypełnić i to: jeden po niemiecku dla władz niemieckich, drugi po polsku dla władz polskich. Moja rodzina oświadczyła się za Polską a ja nie mógł bo byłem chory, więc też temsamem zostałem obywatelem niemieckiem.

Teraz nastąpił masowy wyjazd Polaków z Niemiec, bądź to do Polski, Francji, Holandji albo do Belgji. Moja rodzina wyjechała do Polski (wzięła działke ziemi po koloniście nimieckiem który został przymusowo wydalony). Jeńcy wojenni i ciwilni już dawno odjechali. Większa część Polaków wyjechało do Francji bo mieli zapewnione, że jeich prawa do rent starości będą zachowane czyli, że je nie stracą. Francja wtedy potrzebowała na gwałt rąk do pracy w przemyśle i też w rolnictwie, które zostały przez wojne zupełnie zniścone. Dwóch moich braci wyjechali także do Francji.

Kto pojechał do Francji, to pisał listy do pozostały rodziny lub znajomych. Pisali, że praca jest ciężka, zarobek znośny a przedewszystkiem jest w Francji co jeść (czego serce zapragnie) zachęcali do przyjazdu. Więc też i coraz to więcy wyjeżdżało. Niemcy się teraz starali wszelkiemi siłami Polaków zatrzymać. Mie samemu sztygar przy pracy się raz zapytał — dokąd ja zamierzam wyjechać. Ja się wtenczas starałem o rente, bo przy pracy złamałem noge,

więc mu odpowiedziałem, że temczasem jescy nie wiem. Sztygar mówił mi, że francuzi teraz Polaków dobrze traktują bo ich potrzebują. Ale gdy Francja będzie odbudowana, to jescy nie jeden gorzko zapłacze — no i zgadł.

Zbliżyły się czasy plebiscytowe w Polsce i to na Pomorzu i na Śląsku. Co wtedy za propaganda i heca przeciw Polaków była, to jest wprost nie do opisania. Utworzono w każdy miescowości takie towarzystwa niemieckie (Pomorskie i Śląskie) dla hecy przeciw Polsce i ta się w tem czasie najgorzy rozpętała. Polacy, gdy mieli jakieś zebranie albo zabawe, to byli systymatycznie zaburzone. Napady były gwałtowne i nagłe i krew się lała przeważnie struminiami. Policja do likwidowania tych zajść spóźniała się umyślnie. Gdy takiego zaaresztowała, to policjant go odprowadził, byle dla oka, ale już na pierwszem skręcie ulicy go puścił wolno z słowami: „Hau die Polaken zum deibel" (Bijcie tych Polaków do diabła). Do tego ftargali do szafów i wyrzucali wszystko co tam było na ulice i spalili. Były w tych szafach przeważnie Standary towarzyst i obrazy otrzymanych przeważnie w nadgrodę w zawodach (Sokół, Śpiewacy i t. d.).

Raz było to w Wanne. Było w jednym podwórzu aż dwie sale jedna na parterze, druga na I-szem piętrze w jednem domu. W tych salach się polskie zabawy przeważnie odbywały. Więc w jedny niedzieli była zabawa i to śpiewacy na parterze a sokoły na I-szem piętrze. Wiecorem około 9-ty, gdy zabawa się w najlepszem odbywała, przybyli Heimatstreury (Niemcy) aby zabawe rozbić. Kilka okrzyków Raus mit die Polaken (Preć z Polakami) i się już miała biatyka na dobra. I Sokoły (na pierwszem piętrze) przylecieli i zabrali zaraz sprzęt czwiczebny z sobą (drewniane toporki i lance). Wtedy sokoli pokazali co mogli i za 15 minut już było po wsystkiemu. Poturbowani sokoły udali się spieśnie do domu. Gdy policja przybyła to zabawy byli w najlepszem trybie. Policja nie miała już nic do roboty i poszła swoją drogą. Na drugi dzień gazety niemieckie podawali wiadomość, że bandy sokołów napadli spokojnych Niemców i je dotkliwie poturbowali. W rzeczywistości była ta sprawa odwrotnie. Po tem zaściu już policja żadnych zezwoleń na zabawe nie dawała. Późni dawała co prawda zezwolenie ale bardzo ograniczono ilość i obostrzono kontrole.

Heimatstreuerzy czyli zdrajcy ojczyzny Polski pojechali każdy

na koszt rządu niemieckiego do swoich wiosków rodzinnych i dostali dużo świadczyń jak wolną podróż tam i spowrotem, wolne utrzymanie i zapłacenie wszystkich straconych dniówek. Przy takich pomocach tyż nie dziwa ze głosowanie na korzyść Niemiec przypadło. Jakie środki propagandy ze strony Polski były używane — nie wiem. Jednak po tem głosowaniu kilka Polaków było wydalonych. Krótko przedtem jescy był jeden strajk górników (cztery tygodnie) i wygrany. Późni jescy jeden strajk polityczny tak zwany Kapp Putsch albo spartakus. Ale te sprawy z Polską nie miały nic spólnego. Podczas tego spartakusu były w naszy okolicy poważne bitwy pomiędzy robotnikami a wojskiem rządowem. Padło tam kilkunastu ludzi. Z moi miescowości aż ośmiu, którzy byli późni pokątnie pochowane spólnie. Komunisty urządzili potem zbiórke a za uzyskane piniądze wybudowali spaniały pomnik na tem grobie. Podczas tych zajść artylerja i lotniki grali wielką role.

Ja przez ten czas już wyrósł na młodzieńca (20 lat) i zaczął się też już za fartuszkiem oglądać i za niem uganiać. Miałem kilka przelotnych znajomości aż się z jedną Polką na prawde zaczął oprowadzać. Tych znajomości miałem co prawda dużo ale z tą Polką myślałem poważnie. Gdy leżałem w śpitalu chory, to ona mię często odwiedzała. Jej fotografke powiesiłem sobie nad łóżkiem na ścianie. Lekarz który mi wtedy leczył, pytał się w jedyn dzień czy to moja siostra, na drugi dzień czy to moja kuzynka, na trzeci czy to moja narzeczona. W tem się siostra miłosierdzia roześmiała i mówi: że u mie to siostra, kuzynka i narzeczona wszystko na jednem obrazku. Bo też ja za każdem razie odpowiadałem, że tak. Po wyzdrowieniu przyśła jej matka do moi matki bo byli znajomi. Wtedy moja matka narzekała, że ma dużo roboty z dziećmi (sześciu synów i jedną córke) a jej matka znów narzekała że ma telko sześć córek a żadnego syna (to odbiera co prawda ochote do śmiechu). Ja w tem czasie nadszedł do domu i z ukryciu się przysłuchałem i się też tak serdecznie naśmiałem. Słyszałem wtedy, że ta jej matka by mie rada za swego zięcia miała a jak bym z żoną przy moich rodzicach mieszkał, to by moi matce ulżyło. Ale to się dopiero wybrała ta kobieta do kowala po pieprz. Moja matka odpowiedziała że ja do żeniaczki jescy za młody, ale kiedy ja teraz ładnie zarabiam, mam jescy coś pracować a późni wyźnie mie do Polski gdzie się mogę ożynić kiedy i jak ja sobie zapragne. (Przyśło

mi później ale zupełnie inacy). Jeszczy jakiś czas sobie gadali aż mie się sprzykrzyło to podsłuchanie i udałem się prostą drogą do swego pokoju skąd mie matka zawołała nadół. Byłem tam pare minut, zabrałem się i pojechałem się zabawić. Co dali było nie wiem. Za pare tygodni już się ten romans skończył. Ja był zły że się tak nie stało, jak ja chciał. Z tego ani ja ani ona nie umarli. Ona się bardzo prędko pocieszyła, bo przyśla z swojem nowem amantem do tego hotelu (gdzie ja w niedziele pracował) i ja ich musiał obsłużyć. W rzeczywistości bym tyj dziewczynie tacą w twarz uderzył bo widziałem, że się bawi moją miną. Co się odwlecze, to nie uciecze. Po jakimś czasie zauważyłem, że z nią zaszła jakaś zmiana i się też do mie już przyjaźni uśmiechała. Przy lepszem przyglądaniu upewniłem się, że była w ciąży i się miałem na baczności. Gdy jednak widziała że ja jezdem tępy na jej zaloty, spowodowała poronienie u swoich rodziców, bo ze służby została nagle zwolniona. Teraz ja dopiero był górą. Rodzice jej były pewni, że ta sprawa jest w tajemnicy i chcieli mie na gwałt z nią ożynić. Obiecali nawet na owe czasy sporo piniędzy. Ja odrzekłem: „Zamiast mie wolała Niemca, to niech ij Niemiec teraz nazwisko da". I dałem do zrozumienia, że ja wiem dlaczego teraz tak za mną gonią. Na następną niedzielę ja się poradował z inną. Z ową dziewczyną się później jescy dwa razy spotkałem, ale to były przypadkowe. W tem czasie moi rodzice pojechali do Polski, aby osiąść na gospodarstwie i tam siedzą do dziś dnia. To gospodarstwo jest z parcelacji. W gazecie „Wiarus Polski" wtedy każdy dzień było takie upomnienie: „Kochani Rodaczy! Uczcie Wasze dzieci czytać i pisać po polsku!" Ładne hasło i jescy lepsze upomnienie i w niektórych miejscach skutkowało. Do tego co tydzień było w tej gazecie lekcja lekkiego nauczania się języka polskiego. Ja z własny inicjatywy bardzo się tem działem zainteresował ale powoli, chociaż kulawo, to śło. Zainteresowałem się także różnymi książkami polskiemi, które brałem z czytelni ludowy przy komitecie towarzystw miejscowych. Wtedy dopiero dostałem obraz z tego, jak emigranci w Westfalji gorąco o Polsce myśleli.

Była tyż jedna zbiórka dla żołnierzy polski, którzy zostali przez bolszewików wypartych na grunt niemiecki. To wojsko polskie zostało internowane i wywiezione do Minden w Westfalji. Gdy się wieść o tem roześla to urządzono zbiórkie dla nich która dała bar-

dzo dobre wyniki. Ofiarowano wtedy co kto miał t. j. piniądze, zużyte ubrania, bielizna i tak dali. Wszyscy którem sprawa polska na sercu leżała, dali ochoczo to, co każdy mógł.

Władze niemieckie na te sprawy krytycznie patrzeli, ale ze był wszędzie porządek, to tyż się o to wcale nie martwili. Starsze i rozumne niemcy, którzy tragedje ludu polskiego znali, podziwiali Polaków i wyrażali im nieraz swe uznanie. Ze Niemcy znali coś z historji polskiej, świadcy takie zdarzenie.

Było to w lipcu 1922, upał był wielki, więc ja wsiadłem na rower, aby się coś nowego dowiedzieć i przy sposobności jakiś pannie komplimenty prawić. W mieście trafiłem jednego twardego Polaka (Ślązaka) lat około 50 ojca dorosły panny, z którą tyż kilka randków miałem. Znając jego upodobania, poprosiłem go do pobliskiego ogrodu (Restauracji) na piwo. Gdy my tylko weszli to spotkali my jednego niemca, który całe Niemcy objechał już za chlebem i wiedział bardzo dużo o rzeczach, które się działy. Rozmowa nasza ześla na język niemiecki. Przy lampce piwa opowiedział mi ten niemiec dzieje pruskiego kulturkampfu. Jak były Polacy z Poznańskiego i Pomorza wysadzani, w jaki sposób byli tam kolonisty niemieckie (ewangeliki osadzani). Żeby on coś by nie prawdy powiedział, to by ten mój znajomy (Polak) już energicznie protestował. Tedy usłyszałem już coś zgoła nowego, bo któżby nam przedtem o tem opowiadał? kiedy rodzice sami swoim dzieciom już nie dowierzali.

Powrót odbyłem wtedy z owem Polakiem piechotą. Opowiadał mi wtedy, że ów niemiec powiedział prawdy. Opowiadał mi żebym się też pewnem obrazom bacznie przyglądał, bo oni przedstawiają prawdy. Zaprosił mie tyż do domu abym taki obraz obejrzał. Ujrzałem obraz pod tytułem: „Droga krzyżowa ludu polskiego". Ja widziałem takich obrazów już bardzo dużo w domach polskich, ale mie jak prawie cały młodzieży nie przyśło na myśl poprosić o wyjaśnienie tych obrazów.

W trakcie rozmowy dowiedziałem się, że ów Polak do Francji wyjeżdża z całą rodziną i to już za pięć dni. W ten dzień wyjeżdżali tyż moi bracia do Francji i poszedłem na dworzec, aby ich pożegnać. W poczekalni trafiłem dużo znajomych, którzy wyjeżdżali do Francji. Pomiędzy niemi też moją dawną znajomą, z którą ja tak rzetelnie myślałem się ożenić. Ona przyśła rodziców pożegnać.

Ojciec jej dał mi tyż niemal otwarcie do zrozumienia, że pragnie naszego małżyństwa i mamy wkrótkości przyjechać za niemi do Francji. Ja mu odpowiedziałem tak, że rodzice moi mnie w Polsce oczekują, a tam z pewnością dziewczynów będzie aż zawiela.

Wtem pociąg nadszedł, ostatnie pożegnanie, jeden świst lokomotywy, troche płaczu, uśmiechów, muzyki i pociąg ruszył w lepszą przyśłość.

Już na drugi dzień przy pracy okaleczyłem sobie prawą dłoń w przegubiu i przyszedł szpital (osiem tygodni).

Po wejściu z szpitala starałem się o rente którą ale nie uzyskałem tak samo jak za te złamaną nogę bo było wsysko doskonale wyleczone. Ale przekonałem się tyż, że już jako kelner nie mogę już ani o pracy marzyć. Więc tyż pracowałem nadal w kopalni. Rodzina moja zasypała mie listami aby im nadesłać piniądze. W miarę możności wysyłałem. Podziękowanie odebrałem rzadko i stale w tem synsie: Bóg zapłać, prosze o więcej i przyjeżdżaj do Polski.

W tem czasie już bardzo dużo Polaków wyjechało albo do Polski lub do Francji. Kapitaliści niemieckie uzupełniali te braki robotników polskich uchodźcami z Polski i innych krajów, którzy teraz do Niemiec napływali.

Ci uchodźcy z Prusów wschodnich i Pomorza rozmawiali taką pokręczoną mową niemiecką, pomieszaną z słowami polskiemi że niemcy się z nich śmiali i wyzywali ich „Pollaken". Ci naturalni z tego powodu byli źli, z pracy ciężki na kopalni przy niskich zarobkach niezadowoleni i się rozpoczyna nowa heca przeciw Polaków.

Teraz nastąpiła w Niemiec fala drożyzny. Zarobki i cyny artykułów żywnościowych rosły w szalonem tempie. Robotnik stał się coraz to biedniejszy. Za swoją prace już teraz nie mógł nikt wyżyć. Taka drożyzna jak jescy nigdy i w żadnem kraju nie była.

Więc teraz przygotowałem się do powrotu do Polski. Byłem wtedy obywatelem niemieckiem i wystaranie się o paszport do Polski nie naraziło mie na żadne trudy i koszta. Teraz starałem się o wize polską i 14 stycznia wyruszyłym koleją w towarzystwie kolegi do konsulatu polskiego w Essen. W czasie podróży zauważyłem takie ogromny wóz do przewozu mebli zaprzągnięty w cztery konie który się posuwał w głąb kraju. W konsulacie spotkałem się poraz pierwszy z biurokracją polską. Zaraz w izbie przyjęć był taki

urzędnik o szumny nazwy: „Urzędnik Informacyjny". Ten urzędnik krzyczał i nawymyślał na rodaków, co tylko wlazło. Ja aż wielki oczy zrobiłem, dostałem też kartke z numerem i kazali mi czekać. Tu żem czekał aż moja kolej nadeśła od godz. 9—1½ w południe. Jak przypuścono mie do właściwego biura, to widziałem jak biurokracja pracuje. Niem ten urzędnik jednego załatwił, to by drugi już z pewnością 20—30 interesantów by załatwił. Opłata za wize do Polski też było bardzo słona. W każdem bądź razie kilka tysięcy marek, a paszport mój kosztował 65 marek. Więc jechałem do domu z próżną kieszenią i mruczałem pod nosem że ani na szklanke piwa nie zostało — a żyć zaco?

Gdy udawałem się na dworzec to w mieście panował wielki ruch bo Francuzi mieli miasto obsadzić. Więc około południa wyjechał na dworzec jeden pociąg wojskowy. Gdy tylko stanął kilka komendów i wojsko karnie i szepko opuściło pociąg, zaraz tyż kilka patroli konnych wyruszyło na miasto. Porządek i spokój na mieście i w kolumnach patroli był wzorowy.

W miastach, gdzie ja telko przejeżdżał były wielkie afisze wywieszone wzywające ludność do rozwagi i spokoju bo dana miejscowość tyż w każdy chwili może być obsadzona przez francuskie wojsko.

Gdy wieczorem przechodziłem koło kopalni, zauważyłem ten sam wielki wóz meblowy, który widziałem z rana tam gdzieś pod Essen. Późni była gadka, że w tem wozie mieli być akcje i bardzo ważne plany tej wielki fabryki Krupa. I to mogła być prawda, bo ta kopalnia należała do firmy Krupa, a ten wóz był przez całą noc pilnie strzeżony a zrana już go nie było. Wojsko francuskie postępowało systymatycznie naprzód, obsadzając głównie poczty, koleje państwowe, ratusze i inne główniejsze urzędy. Teraz rozpoczął się w Westfalji strajk powszechny i to na kolejach, poczcie, tramwaje, kopalniach i fabrykach. Komenda wojsk okupacyjnych ogłosiło stan oblężynia, bo grupy niemców przeciągali przez ulice z śpiewem: „Siegreich wollen wir Frankreich schlagen" (Zwyciężko chcemy Francje pobić). Teraz musiał każdy mieć wykaz osobisty i po godz. 9-ty wieczorem już nie miał na ulicy nic do szukania. Kogo chwycili po 9-ty, to go aresztowali, noc spędził na stojąc pomiędzy końmi ręce do góry i z rana go puścili wolno. Gdzie robotnicy strajkowali tam Francuzi postawili swoich ludzi. Z początku szło to

jescy marnie, ale gdy się francuzi z mechanizmem zapoznali, to już klapowało to jak ino. Zdarzyły się też utarczki pomiędzy urzędnikami niemieckimi a francuzami, ale kto będzie to miał francuzowi za złe. Kiedy on sterany i zmęczony wojną przyszedł do swe wioski aby odpocząć, to zamiast swego domku znalazł telko kupe gruzów, swoją rodzine przez wojska niemieckie shańbione albo w rozsypce. (Gwałty niemieckie w Belgi i północny Francji jak w Lille, Lens i okolica do tego Werdun). Gdy go po raz drugi do broni powołano, to zaciskał zęby i ręka kurczowo karabin chwytała. A teraz mu taki urzędnik niemiecki jescy chce opór wstawiać? Więc tyż nie dziwno, że tam trzech albo czterech Niemców się trupem położyło a kilka rannych swoje członki macało. Ale wojsko francuskie w Niemiec się po rycersku postawiło.

Ja teraz czynił gorączkowe przygotowania do wyjazdu do Polski, lektura polska, którą się zajmowałem musiała wtedy ucierpieć. Czytałem książki o polskich dziewczętach, jakie one otwarte, krase i piękne w słowie i czynach. Gdy się teraz w te podróż udam mówiłem sobie, to ich zapoznam i będę się starał taką Krakowiankę za żone dostać (i to się udało). W pare dni potem, to już jechałem do Polski.

O tej podróży jest niewiele do pisania. Odbyła się ona w czasie strajku protestacyjnego. Więc pociągi nie jechały tylko na głównych szlakach jak Cöln-Berlin. Więc zebrało się nas dwie familje i trzech kawalerów razem pięć mężczyzn, dwie kobiety i pięcioro dzieci. Powozem jechaliśmy do stacji kolejowy bo tramwaje tyż strajkowali. Z biedą zabrali my miesce w przepełnionem pociągu. Ale że to był taki profesorycznie wstawiony pociąg, to też tylko do Minden my zajechali. Następny pociąg był przepełniony i całą noc my musieli przepędzić na poczekalni. Z rana około godz. 5-ty jechali my pierwszem pociągiem aż do Berlina. W Hanowrze przysiadło do naszego przedziału jescy dwie panny (niemki) już nie pierwszy młodości. Ze oni tyż lubieli się troche uśmiechać, to my wnet wymiarkowali i potem wesoła rozmowa bawiła nas aż do Berlina, gdzie my dojechali około godz. 2-giej. Przez okno zauważyli my, że tutaj już jest klimat ostrzejszy. Pod wieczór my jechali dali do granicy Polski.

W miare zbliżania się do niej zrobił się każdy posępniejszy i nerwy były bardzo napięte. Około 11 w nocy przyjechali my na

stacje granicną (niemiecką) Stentsch*). Badanie papierów i bagażów było bardzo skrupulatne ale przez 3/4 godziny już było załatwione. Ja sam musiałem 1000 marek cła zostawić za rower którego wiozłem z sobą. Gdy już wszystko było gotowe to pociąg ruszył do granicy polskiej. Kto to zdoła opisać, co za myśle wtedy każdego przechodzą?

Część III. Przeżycia w Polsce

Pociąg jechał w szalonem tempie i stanął na peronie w Zbąszynie. Deszcz lał jak z rynny. Zaraz był pociąg otoczony polskiemi celnikami. Każdy musiał się udać z swym bagażem do komory celny. Tu się dopiero rozpoczął teatr, płac kobit i dzieci, do tego jescy różne przekliństwa mężczyzn. Nie było paczki, która nie została zbadana. Ja tyż z mojem rowerem miałem dużo trudności bo chcieli mi 100 tysięcy marek cła wpakować. Wtedy mie się zrobiło gorąco, bo jescy nigdy o takiem majątku mi się nie śniło a skąd go wziąść? Moje tłumaczynie, że jade na stałe do Polski, nic nie pomogło, bo mój paszport był niemiecki i wypisany na odwiedziny rodziców. Już chciałem rower zostawić na łasce bożą, gdy jeden życzliwy rodak, już w starszem wieku się w te sprawe wdał i celnikom wyjaśnił, że to jest zapewne jeden taki Polak, co rodzice już odjechali do Polskiej a on jedzie za niemi. Mówił tyż, że to ja w Niemiec już pracy nie dostane i choćbym i na kolanach klękał. Do tego ja jezde w wieku poborowem i będzie jednem karabin więcy aby niemca odeprzyć od granicy Polskiej. Ja mu tyż skwapliwie przykiwał. W tem przyprowadzili osobnika, który się paradował z niemieckiem krzyżem waleczności (Eiserne Kreuz). Celnicy polscy stosunkowo jescy młodzy ludzie wybuchnęli śmiechem, a jeden powiedział mu nawet tak: „Taki niemiecki eiserne kreuz może sobie pan tutaj w Polsce do zadka przypiąć". Naczelnik celników odwrócił się do mnie i mówi, że mam sobie iść, bo rower dostane i cła za niego nie zapłace. Najchętni bym go uścisnął ale że on był już zajęty inną pracą więc oddaliłem się z owem rodakiem do poczekalni i mu też z całego serca podziękowałem za pomoc, bo rower bardzo lubiałem i choć dziś bez roweru sobie życie wcale nie przedstawie. Mówił mi tyż ów rodak, że jedzie tyż

*) Tj. Szczaniec

z Niemiec, że jego dwóch synów już od roku służą w wojsku polskiem i z tego jest bardzo zadowolony. Do odeścia pociągu do Poznania mieli my jescy całą noc. Więc załatwiłem sprawe innych biletów kolejowych, bagażów i wymiane piniędzy. Już zaraz mie uderzyła tutaj ta drogość na każdem kroku.

Zajechawszy do Poznania miałem zaraz związek w kierunku Skoki. Więc pożegnałem mojech towarzyszy podróży i dałem jednemu piniądze, aby telegram do moich rodziców wysłał. W Skokach miałem 20 minut postój i przyśło mi tutaj udać się na inny peron, ale z mojem ciężkiem kuferkiem to nie mogłem. Poprosiłem kilka ludzi o pomódz, aby mi tylko pomogli kuferek przenieść. Pomoc jednak nie dostałem, bo jeden się tłumaczył że ma takie ładne rękawice, drugi że nie ma czasu i było dużo ludzi co mi ani odpowiedzi nie dali. Więc byłem w złem humorze na nieżyczliwość ludu polskiego. Widziałem jak się kłaniali księżu a mie ani jeden nie chciał pomódz kuferka przenieść. Gdy czas naglił do wsiadania na pociąg, złapałem kuferek za jedną rączke i tak ciągnełem go przez cały peron. Kuferek kulałem aż się mi udało go dostać do wagonu. Niebawem pociąg ruszył i za pół godziny byłem już na stacji końcowy.

Tutaj wysiadłem ale moje zdziwienie było wielkie, bo nikogo z moi rodziny na dworcu nie było. Na dworze padał mokry śnieg a wiatr dął z cały siły.

Gdy pociąg ruszył w dalszą droge, przyszedł kierowca stacji do mie i się zapytał co ja za jeden i dokąd ja się chciał udać. Wyjaśniłem i kierowca stacji pomógł mi kuferek zanieść do stacji gdzie go oddałem na przechowanie. Kolejarz objaśnił mi tyż droge bo ojca dobrze znał.

Udałem się dali na piechote. Chociaż święto oczyścynia Matki Boskiej na ulicy pusto bo deszcz padał. Rozmyślałem sobie, co to za różnica pomiędzy Niemcami a Polską. Rozbudziło mie dziecinne: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Ucieszyłem się tem i dzieciaków spytałem o drogę, którą mi tyż chętnie objaśniły. Zabrane z Westfalji cukierki dla siostry rozdzieliłem pomiędzy je a dzieci mówili mi, że idą do domu z kościoła.

Za pagórkiem widziałem moją wioske i opanowało mie takie radosne uczucie, że prawie nóg nie czułem chociaż trzy dnie w podróży byłem. Po drodze spytałem się po polsku, w którem domu

mieszka mój ojciec. Odpowiedź była: „Ich versteh nicht“ (Ja nie rozumie). Powtórzyłem po niemiecku pytanie i się zaraz dowiedziałem, że to na tej krzyżówce.

Szedłem dali i tak sobie rozważałem, że to jednak ładne zabudowania na moje zapatrywania. Z dalsza widziało się to, jakby takie niemieckie gospodarstwo. Ale skoro żem doszedł do krzyżówki, to widziałem że to są aż trzy gospodarstwa. Wtem widze że ojciec przechodzi przez podwórze i wołam: „Ojciec!“ Ojciec mie zaraz poznał i leci zaraz do mie z krzykiem: „Leon przyjechał“! Na jego radosny krzyk to zaraz cała familja wyleciała na podwórze i się przywitałem. Zaprowadzili mie do domu, matka szykowała zaraz ciepłe pożywienie. Ja się rozsiadł na stołku z błogą myślą: „Nareszcie jezde w Polsce i w domu“!

Dobrze tak myśleć a tu idą pytania: jak teraz w Westfalji wygląda, co Francuz tam dobrego uczynił, co porabia ciotka czy wujek, czy wsystko zdrowo. Jak się sprawa przedstawia z moją rentą i jescy wiele innych tak że nie mogłem ich zaraz zaspokoić. Więc zabrałem się najprzód do tego, aby się umyć i się w domu rozglądnąć. Brat mój przez ten czas pojechał na kolej po mój kuferek. Po południu udałem się tyż do znajomych z Westfalji bo tam były dwie dorosłe córki (a to młodzieńcowi tylko w głowie świta).

Po rozglądu w domu stwierdziłem, że tu bieda aż piszczy. Matka moja znów nie wiedziała co ma mi dać do jedzenia, to mleka, to jabko, to jajko i tak stale coś — aż żem powiedział: Matka to jest wsystko ładnie, ja się teraz czuję już mężczyzną bo już trzy włoski pod nosem noszę. Więc mi też tych łakoci już tak nie potrzeba. Raz tyż wyszedłem na próg domu i się rozglądam na podwórze. Wtem się matka tak do mnie odezwie: „Widziałeś już twoją pannę?“ Ja się rozglądam i nic nie widze. Matka skazuje na podwórze sąsiada i mówi: „tam widzis!“ Ja patrze i widze dziewczyne która idzie po wode ale twarzy? — nie. Więc tyż mówie. Ależ Matko przecież ona jescy swoji Matce za cycek nie podziękowała. Matka się rozśmiała, dostałem tyż i klapsa na buzie i mówi: Ty ino bądź cicho, bo to będzie jescy twoja żona, z śmiechem skończyła się ta zabawna scyna. Owa dziewczyna tyż później została moją żoną telko wtedy moja matka zrobiła dużo trudności bo dziewczyna biedna.

Na drugi dzień po śniadaniu ojciec udał się w pole, aby wode spuszczać z pola, która się z tego deszczu i odwilży nazbierała. Mie zabrał ze sobą i przy tej okazji pokazał mi stan zasiewów i objaśnił co tylko mógł. Ja sam cieszyłem się, że ojciec na starsze lata się dorobił kawałka własnego chleba i z kopalni skończył. Nie raz zapytałem ojca o to i owo. Zawdy dostałem odpowiedź rzeczową. Gdy przyśli my do domu obejrzeli my także stodołe i stajnią I mimowoli obliczyłem sobie, że ojciec jednak teraz lepi ma. Mówiłem mu tyż, że się przez rok pracy na roli w Polsce więcy dorobił jak przez 20 lat na kopalni w Westfalji. Ojca te słowa ucieszyły i mówił mi, że teraz będzie się starał, aby mie na tyle nauczyć, abym to gospodarstwo późni sam prowadził.

Z usposobienia ojca miarkowałem, że ma jakieś wielkie zmartwienie. Na moje pytania według czego, dostałem wymijające odpowiedzi z któremi ja się nie zadowolił. Aż wreście powiedział mi, że piniądze które miał starczyły ledwie na wpłate na te parcele, zaś piniądze które ja nadsyłał, były obrócone na zagospodarowanie się i na podatki. Aby kupić konia i krowy musiał zaciągnąć pożyczke w banku w Poznaniu. Pożyczka była pół miljona marek polskich. Za pięć dnie są te piniądze płatne ale skąd je wziąć?

Ja aż się za głowe złapał... takie ogromne sumy — a ja, gdy miałem 1000 marek, to cały świat był mój. Ojciec wtedy czynił starania, aby sprzedać wagon słomy. W dwa dnie późni przyszedł do nas jeden wojskowy (chorąży) z wielką teką pod pachą i słome zakupił. Zaraz też tekę otworzył i wypłacił ojcu 550 tysięcy marek polsk. Ojciec i cała rodzina się ucieszyli. Było mi tyż mówiono, abym się wojskowymu przyjrzał, bo mie w krótkości to czeka.

Ten chorąży się do mie odwrócił i dał mi kilka wskazówków, jak się późni przy wojsku zachować. Te wskazówki się mi potem bardzo przydaly. To był piątek a w poniedziałek był dzień płatności weksla i odstawy tej słomy. Ojciec wieczorem postanowił że ja w poniedziałek pojadę do Poznania aby sprawe z wekslem załatwić i przy tej okazji tyż wujowi się przedstawił.

Na drugi dzień przysła od sąsiada ta dziwczyna, co ja się do matki śmiał, że jescy za cycek nie podziękowała, aby izbe zamówić do zabawy, którą ona zakłada. Matka się teraz do mie odwróciła i mówi, że kiedy ja przyjechał, to tyż teraz ja rozporządzam i ode mnie teraz deczezja zależy. Ja wtedy siedział przy oknie i sobie

z tego mało robił, bo myślami byłem już w Poznaniu. Wtedy się dziewczyna do mie odwróciła i prosi bardzo pięknie, ale ja był przeciw. Wtem zauważyłem ładną czerwoną buzie i jescy ładniejszy pukiel carnych jak kruk włosów, podniesłym się zwolna i szybkiem ruchem ręki usunęłem jej chustke na wtył głowy. Dziewczyna jak taka dzika gąska się zaraz odwróciła i do drzwi i już ją więcej nie widziałem, tylko słyszałem jak drzwi weściowe i brame zatrzasła. Teraz mi matka ale kazanie prawiła co ja za grobian i nie wiem jak się z młodą dziewczyną obchodzić. Ja dziewczyne nie zrozumiałem bo była z Małopolski i tem samem mówiła ładnie po polsku, a ja to skaradnie przekręconą, westfalską polską mową. Matka mi także mówiła że ta dziewczyna jest u sąsiada za służącą i chociaż biedna, to jednak pomiędzy młodzieżą ona kieruje dzięki swej urodzie i sprytu.

W niedziele szedłem też do kościoła 6 km. i podziwiałem świat i ludzie w tak mroźny dzień i na polach i chatach leżał dość gruby śnieg. Podziwiałem różne stroje u kobiet i mężczyzn i teraz widziałem, że lud polski, z swojem bidnem ubraniem (czysto i prosto) jest jednak ładniejszy jak każdy inny chociaż po trotuarach w pięknych ubraniach chodzi.

Uwage zwróciłem także na zachowanie się młodzieży na placu przed kościołem. Były tam śmiechy, poleczynia, nawoływania i zaproszenia na dzisiejszą zabawe. Kulki z śniegu tak ino frugały w powietrzu i tyż nie jedna, ładna dziewoja była śniegiem umyta. Różne miny stroili a ja się śmiał razem z innemi co się tego przyglądali. Po krótkiem czasie skończyła się ta zabawa i młodzież w najlepszy zgodzie udała się do domu na obiad.

Ja po obiedzie udał się do sołtysa aby się do gminy zameldować. Zabawa, która miała się wieczorem u nas w domu odbyć, mie mało interesowała, bo nie mogłem sobie wyobrazić zabawy bez parketu i dobrą muzyką.

Gdy przyśłem do domu, to zabawa była w najlepszym trybie. Muzyka (harmonja o 20 głosów) grała, a młodzież tańczyła. Rodzice siedzieli w izbie i rozmawiali w zgodzie. Więc się tyż nie ubierałem specjalnie tylko wszedłem, jak byłem (żółte trzewiki i cholewki, biały sweter i sportową marynarkę). Przedstawić się nie było potrzeba, bo każdy wiedział już kto ja jest. I tak puściłem się w zabawe i zabawiłem się wybornie. W chwilach, gdy muzyka milczała,

to był śpiew i różne zabawy, tak że się nikt nie spostrzegł i 2-ga godzina wybiła. Wtedy udał się każdy zadowolony do domu i tyż każdy dał grajkowi parę marek, który był zadowolony. Więc młodzież wiejska pokazała, że można się tyż ładnie zabawić i to taniem kosztem.

W poniedziałek pojechałem do Poznania, gdzie załatwiłem sprawunek w banku pomeślnie, potem udałem się pod wieczór do wuja gdzie zostałem bardzo gościnnie przyjęty. Zabawiali my się głównie zwiedzaniem miasta i zwiedzaniem muzeów i biblioteki oraz tyatru miejskiego. Ulice wtedy w Poznaniu były w opłakanem stanie (bo asfalt pełno dziur i tam nasypane drobne kamienie). W roku 1929 podczas wystawy Krajowy zwiedziłem Poznań jescy raz, ale wtedy Poznań miał wygląd wzorowy. Przy zwiedzyniu miasta prowadzili mie dwie kuzynki (20 i 23 lata). Wnet spostrzegłem, że chociaż się staram dobrze mówić po polsku, że ludzie się ukradkiem uśmiechają i tyż jechałym do domu.

Tu zapoczątkowałem zaprowadzić książki i to prac w gospodarstwie i też rozchód i dochód były skrupulatnie zapisane. Przy spisie rozchodów to ojciec robił trudności, że go pytam o każdy grosz, a lubiał sobie przy sposobności, choć jednego wypić. Więc musiałem tej pracy wnet zaniechać. Z ojcem w dwójkę młócili my zboże czepami, bo maszyn my nie mieli, a kupić nie było za co. Miałem dwa rowery w Polsce, więc jednego dnia wybrałem się z ojcem do okolicznych wiosek aby maszyne kupić. Przy tem widziałem jak lud polski marnie żyje, a Niemiec, gospodarz, się ma o 300% lepi. Sprzedałem jeden rower, a za uzyskane piniądze kupił ojciec maszyne do młócynia i maneż. Ten dzień było bardzo zimno, a gdy my jechali już do domu to ojciec mie wziął do gościńca, aby się rozgrzać. Ja nie chciał tej wódki pić, ale dałem się namówić i wypiłem dwa małe kieliszki. Zaraz tyż zaczyno mi w głowie szumieć i uciekałem do domu. Zrobiło mi się gorąco i na rowerze rozpiąłem się a szal odwinęłem, na tem mrozie.

Przyjechałem do domu zupełnie spocony i matkę prosiłem o mleko ale zimne. Wypiłem tyż z dwie filiżanki a tu mie zaraz zimno brało i do łóżka gdzie mie leczyli kobiety ze wsi „babskiemi lekami". Co dostałem, to nie wiem — ale na drugi dzień już byłem zdrów.

Za pare dnie przyśła odwilz a potem wiosna. Teraz przyśło płoty naprawić i tyż różne drzewka zasadzić. Ojciec z cierpliwością mie uczył to mie zganił, to pochwalił, ale zawdy miał coś do mówienia abym się nauczył być rolnikiem. Ja znów czuł się bardzo nieswojo w tem otoczyniu i pragnąłem pracy, aby tyż coś zarobić i rodziców ulżyć. Szykowałem się tyż do wyjazdu na Śląsk. Rodzice mie trzymali ale ja swoje.

W międzyczasie zapoznałem się tyż z okolicznemi dziewczyntami. Ale mie żadna tak nie interesowała, jak ta biedna służąca od sąsiada. Ona wprzód nie chciała myśleć o mie, bo skąd syn gospodarza by chciał z biedną służącą. Moje zapewnienia że ja gwizde na wsystkie inne panny, wywołały tylko uśmiech litości. I tak przysło że ja się zatrzymał w domu. Po pierszem buziaku i podaniu się dziewczyny, we mnie duma wstąpiła, jak by mie kto na topól wsadził.

Z nastaniem wiosny ruszyła robota w polu i pomagałem ile mogłem. Gdy się ciepło zrobiło, to przyśła kolej na torf. Razu pewnego miałem takie zdarzynie. Było to na początku czerwca. Upał był wielki i my pośli na łąkę torf robić. Dziewczyna mego serca na sąsiedni łące krowy pasła, więc się tyż i lepi robiło. Jej gospodyni przyniesła dla niej podwieczorek i poszła swoją drogą. Dla nas jescy podwieczorek nie nadchodził, a pragnienie miałem wielkie. Wtem słysze znajomy głos: „Leon chcesz pić?“ Ja się odwróce i widze te dziewczyne jak stoi dziesięć kroków ode mnie i podaje mi zbanek z kawą. Ja mówie: „A ty co byś miała?“ „Ja nie potrzebuję“ odpowiada ona i podaje mi zbanek: „Napij się“. Tego mi dwa razy nie potrzeba mówić, bo pragnienie miałem wielkie. Po napiciu sie chciałem zbanek oddać ale już go nie wzięła tylko zachęcała abym dali pił, aż żem wsystko wypił i oddałem zbanek z podziękowaniem. Wieczorem siostra matce to opowiadała i dostałem tyż wielki kazanie od matki. Dziewczyna lubiała bardzo kwiaty i je tyż pielęgnowała. W każdą niedziele stojał w moi izbie bukiet kwiatów z czego ja się bardzo ucieszył. Ale nigdy nie mogłem ją spotkać, gdy ten bukiet niosła.

Raz rano na wiosne ja wstałem i udałem się do koni. Wtem słyszę jak dziewczyna z śpiewem leci do studni po wodę. Jednem skokiem byłem przy oknie i patrze co się dzieje, bo śpiew raptem ustał. Wtem widze, że koło studni kroczy majestatycznie Pan Bo-

cian z swojemi długiemi nogami. Dziewczyna przystanyła i tyż bardzo przyjaźnie do niego przemawiała i się bardzo z tego cieszyła. Ja wyszedł z stajni i pytam się: „Czy tobie coś ładnego przyniósł?“ Dziewczyna się rozpaliła i tąpneła nogą i z słowami: „Ja nie potrzebuje“ uciekła do domu, ani wody nie zabrała. Wieczorem gdy my się spotkali to śmiechu było dużo.

Na każdem kroku ona się starała, aby mi pobyt w Polsce umilić i poprawiała bardzo moją mowe. Na zielone świątki chciałem jej ucieche zrobić. Na prezent nie starczyły mi piniądzy, a chciałem koniecznie aby się ona ucieszyła. Przyśło mi do głowy jeden niemiecki zwyczaj. W sobote wybrałem się do lasu aby ładną brzozę wyszukać, ale nie mogłem nic odpowiedniego znaleźć a chciałem ładną mieć. Na wysokiej brzozie zobaczyłem ładny czubek. Więc postanowiłem tego wybrać. Po kolacyi poszedłem i wyciąłem i szedłem uradowany do domu. Czubek ale po drodze schowałem, bo wiedziałem że młodzież się co dzień wieczorem koło naszego domu zabawia. Więc też przyszedłem próżno do domu a młodzież po zaśpiewaniu kilka pieśni roześla się a ja odprowadziłem moją najmilejszą aż do bramy podwórza i pożegnałem. Ona poszła spać a ja po te brzoze i postawiłem ją pod jej okno. Z rana ruch był wielki bo każdy chciał to widzieć. Drugie panny zazdrościli jej tej brzozy, kobiety się szmiali z tego. A ta co dostała ten prezent, to się bardzo cieszyła. Dziewczyny zaraz mówili że to ja tę brzoze przyniósł, bo miarkowali, że my się rad widzimy.

Dnia 15-go czerwca szedłem do komisji poborowy i zostałem za zdolnego zapisany. Ojciec mówił: „Chociaż mi chłopak potrzebny ale ojczyźnie go nie odmówie“. Zaciągnięty zostałem 3 grudnia do wojska. W międzyczasie bawiłem się bardzo, bo chłopotu nie miałem aż mi dziewczyna powiedziała, że zostanie matką. W międzyczasie postarałem się, że ta dziewczyna przysła do nas do pracy bo moja matka coraz to bardzi na zdrowiu upadała. Miała ona kurce albo jak mówią wielką chorobe. Więc tyż pomoc była jej bardzo potrzebna a moja siostra liczyła wtedy dopiero pięć lat. Gdy mi więc dziewczyna powiedziała że zostanie matką, to się zasmuciłem, bo teraz muszę iść do wojska. Pocieszyłem ją jak mogłem i przyrzekłem małżyństwo, ale ona była niepocieszona.

Dnia 2 grudnia musiało z naszy wioski trzech chłopaków wyruszyć aby 3-go zrana być na komendzie P. K. U. w Szubinie. Tam

się zebrała wielka ilość i wieczorem byli my transportowani do Chełmna na Pomorzu. Przed wyjazdem do wojska powiedziałem rodzicom, że tak stoję z tą dziewczyną, że mają się dobrze z nią obchodzić, bo ja się z nią ożynie. Odprowadziła nas cała wioska aż na stacje kolejową. Ja nie był w wesołem humorze, bo wiedziałem co w domu zostawiłem.

Gdy my na stacje w Chełmnie przybyli, to już wszystko było gotowe. Muzyka pułkowa grała nam po drodze aż do koszar. Z powodu tęgiego mrozu kazali nam się ustawić w korytarzu, gdzie każdy był wywołany osobno i przydzielony do kompanji. Dostali my tyż zaraz ciepły obiad i byli rozlokowani na izby. Na drugi dzień byli my umunderowani i jeden na drugiego głupio patrzał. Ze nas jescy było mało to nas zatrudniali czyscyniem rejonu. Pomału nadchodzili tyż i inni rekruci i to z kresów i z Małopolski. Żydów także nazganiali aż kompania liczyła 35 chłopa i wtedy rozpoczyni się ćwiczynia.

Przebieg moi służby wojskowy nie będę tak drobiazgowo opisywał, bo ją prawie każdy zna (z własnego przejścia lub z opowiadania). Kto się w mundur żołnierza polskiego ubierze, to sobie powinien wybić z głowy, że jest u swy matki za piecem. Po drugie wiedzieć powinien że jest wybrany, aby stać twardo dla ochrony honoru i całości granic Polski.

Już na samem początku miałem trudności aby się oswoić z mrozem (bo w Westfalji było ciepli), dyscipliną i porządku wojskowem. Ale że nie byłem stale w domu, to wnet się z tem oswoiłem. Rekrut przeważnie będzie ostro trzymany i goniony a z nami żadnego wyjątku nie robiono. Pożywienie nasze (choć by i trzy razy tyle dali) to i tak nie starczyło. Więc też każdy chwalił te swoją matkę, co dobrą paczkę dała, a potem gdy już się i piniądze wyczerpały, to z kuchni pułkowy dostał dosyć. Słownik ćwiczebny nie nadaje się tu do powtórzenia bo każdy będzie obsypany niem jak: ofermo kwadratowa, dziad, durniu i tak dali. Najgorzyj mieli te mamy synki bo to przeważnie niezdary i za nie będzie cała kompania goniona, aby ich goniono i to pomogło. Różnych żydków się tam wymustrowało na żołnierza.

Wyszkolenie rekruckie trwało trzy miesiące i już było wojsko. Teraz przyśła przysięga, która się odbyła na rynku dla chrześcijan katolików. Ewangieliki, prawosławne i żydzi każda religija miała

krótko potem przysięge i to jescy w swojem języku. Wyszkolenie rekrutów nie jest takie łatwe ale nas dowódca kompani wiedział już, jak nas z dobrem polskiem humorem zachęcić. Jego wykłady i instrukcje były z humorem przeplatane i każdy starał się jak najlepi rozkazy wykonać. Gdy był kto chory, to on sam go zaprowadził do lekarza. Zdarzyły się wypadki silnego omrożynia rąk, silna biegunka i inne, ale zawdy były to takie niezdary.

Po przysiędze było nam wolno na miasto wychodzić i musieli my tyż iść na warte. Podczas wyszkolenia dowódca wiedział już do jaki specialności każdego przydzielić. Ja zostałem przesunięty do plutonu łączności.

Pierwsze co my się musieli nauczyć, to były znaki morse'a. Potem nastąpiła nauka o aparatach telefonicznych i telegraficznych tak że całe popołudnie zajmowały wykłady. Zrana były ćwiczynia wojskowe i z aparatami łączności. Z początku nie wiedziałem, gdzie mi głowa stoi. Ale jak się mi światło zapaliło, to już byłem w domu. Na warcie ja dużo widział i zastanawiałem się nieraz jak ci ludzie na kresach żyją. Widziałem różne stroje, gdy rekruci przybyli. I gdy późni żołnierze byli odkomenderowani na kresy zgłosiłem się kilka razy, ale mie nigdy tam nie wysłali. Gdy przyśła służba piechoty, to się każdy starał, aby jak najlepi wykonać. Więc też przy różnych obchodach, jak pobudka, capstryk albo defilady nasz pluton łączności maszerował na czele. Zrobił żołnierz, albo co się też trafiło cały pluton, jakiegoś figla, to nasz dowódca już jedno oko zmrużył, bo wiedział, że ma dobre wojsko. W garnizonie służba nie była taka trudna — gorzej w obozie ćwiczebnym. Przerobiłem tyż dwa kursy łączności z wynikiem „dobrze".

Podczas mej służby wojskowy narodził się tyż mój synek. Moja Matka przysłała mi zaraz 10 złotych, abym sobie za to podpił, co tyż rzetelnie wykonałem. Zem wtedy się nie dostał na jakie trzy dnie do aresztu, to może wedle tego, że dowódca kursu miał już dwóch synów i wiedział jak to się przy taki sposobności dzieje. Byłem tyż jakiś czas w spitalu, chory na oczy. Spital wojskowy tyż jest przesiąknięty rygorem wojskowem. Ze nie byłem bardzo chory, to musiałem razem z innemi pełnić służbe wartowniczą przy oddziale chorób wenerycznych. Tu dopiero można widzieć, na co się człek naraża przez lekkomyślny obchód z różnemi „damami". Dla mie ta nauczka nie poszła w las i tyż mówię jak do mie je-

den sierżant mówił: „Młodzieńcze! wystrzygajcie się kobiet!" Po wyściu ze szpitala wnet zostałem zwolniony.

Jescy w ostatnich czasach mej służby wojskowy zastanawiałem się, w jakiej sposób ja sobie teraz moje życie urządze. Najlepsza sposobność była, gdy stojałem na warcie. Gdzie się obrócić potem w ciwilu? to było pytanie które ja sobie co dzień z 20 razy zadawałem. Pomyślałem sobie, gdyby nie ta dziewczyna to wygrana nasza. Radzono mi także od sąsiadów te dziewczyne puścić plazem albo z jaką sumą piniężną pożegnać na zawsze. Do tego nie omieszkali zachwalać swoje córki z takiem albo takiem posagiem. Rozmyślałem to sobie i zważałem dobre i złe strony takiego postępowania. Z końcym przyszedłem do tego przekonania że dziewczyna, która mi zawierzyła przedtem, to i teraz wierną mi będzie.

Po jakiś czasie byłem zwolniony z wojska. Gdy przyszedłem do domu, to się dopiero nacieszyłem z mojego synka który już chodził i różne pocieszne grymasy pokazywał. Zaraz się też brałem, aby się ożynić. Napisałem jeden list do jej matki moi przyśły teściowy (ojciec mej żony padł podczas wojny) i prosiłem o nadesłanie mi mętryki urodzenia jeji córki bo mam zamiar się z nią ożenić. Dziewczyna się bardzo wstydziła że ona taka biedna i jescy ma się w gospodarstwo wydać. Do tego mi nie chciała powiedzieć nazwy swy wioski. Wszelkie dobre i złe tłumaczenia z mej strony były daremne aż ja się rozłościł i list owy podar i spalił. Dziewczyna w płac a ja poszedł na pole aby pomódz przy pracy. Tu rozważałem sobie moje położenie. Dziewczyne zostawić na kołku nie chciałem, bo była ładna, czysta, pracowita, wesoła i otwarta dla obcych tak samo jak dla mnie. Do tego pochodziła z okolicy Krakowa więc żona jaką ja sobie zawdy życzyłem. Nie miałem po drugie żadny egzystencji, bo w domu zostać nie mogłem. Rozważałem sobie, że gospodarstwo (38 mórg magdeburskich i licha gleba) dwie familje nie utrzymie (11 osób) bo podatki są za wielki ciężar. Z końca przyśło mi do głowy wyjazd do Francji. Utwierdziłem się w tej myśli, bo widziałem, jak koledzy, co w jednem dniu ze mną byli zwolnione z wojska, już chodzili po moi wiosce po żebratce. Ja tego nie chciałem, tylko myślałem jechać do Francji, ciążką pracą w górnictwie na swój chleb zarabiać, żonie i dziecko obdarzyć dobrem nazwiskiem do tego zapewnić im utrzymanie.

Gdy wróciłem do domu oświadczyłem otwarcie, że jadę do Francji aby na chleb zarabiać. Teraz dopiero bomba pękła. Rodzice z narzekaniem że ja taki wędrowny ptaszek a dziewczyna w płac. Tłomaczyłem się jak mogłem ale najgorzy było z moją dziewczyną. Jescy raz napisałem list do jej matki o te mętryke i wtedy mi dopiero powiedziała ze ta wioska się nazywa Gnojnik. Oświadczyłem ij zaraz, że starać się o wyjazd będę, obojętnie czy jej papiery nadejdą czy nie. Wystaranie się o ten wyjazd nie było tak bardzo trudno tylko sołtys z moi wioski (właściciel folwarku) nie chciał pozwolić (świadestwa że jezde bez pracy nie dał, chociaż wywiązała się bardzo burzliwa dyskusja pomiędzy nami). Sołtys mi chciał dać czasem prace na folwarku za marną zapłate na którą ja się nie zgodził. Ostatecznie wyjechałem i bez jego świadestwa.

Z dziewczyną zgodziłem się w ten sposób, że się starać będę ją ściągnąć jak najrychli do Francji, a jej papiery jescy nie nadesły. Matka moja lamentowała, dziewczyna płakała, a ojciec już nic nie mówił, bo żal mu było, a po drugie myślał, że jescy mu pare złotych nadeśle aby mógł te podatki zapłacić.

Gdy przyszedłem z wojska, stwierdziłem że mój brat moją garderobe i bielizne nosił i zniścył. Usprawiedliwinie rodziców, że nie było piniędzy na zakup przyjąłem z smutną miną. Jescy bardzi się zasmuciłem gdy miałem wyjechać a matka na gwałt dla mie dwie koszule szyła. Mimowoli zrobiłem sobie obliczynie co ja w Polsce straciłem. Przyjechałem dobrze ubrany, bo starczyło ubrania i bielizny na pare lat, a gdy teraz wyjeżdżam to mam telko dwie liche koszule. Mówiłem to tyż moi narzeczony. Ona mi opowiadała że broniła z początku brać moich rzeczy, ale za każdy raz dostała odpowiedź, że ma być cicho, bo jescy nie wiadomo z jaką dziewczyną ja się ożynie. Więc z bólem serca musiała być cicho i na to patrzeć.

Na drugie rano wyjeżdżałem, wieczorem siedziałem jescy długo z narzeczoną. Ona była bardzo niepocieszona i płakała przez cały wieczór. I przyśło tyż do różnicy zdań. Gdy już miałem tego dosyć, to dałem jej wszystkie papiery do drogi moi i mówiłem: „Masz tu wszelki moje papiery bez których ja się nie obędę, gdy do Francji chce jechać i teraz zrób z niemi, co się tobie żywnie podoba". Dziewczyna wzięła je do rąk i się rozmyślała. Potem

oddała mi te papiery spowrotem i mówiła, abym jechał, ale o naszem dziecku nie zapomniał. Krótko potem poszedłem spać.

Na drugi dzień z rana szykowałem się do wyjazdu. Nastąpiło śniadanie, pożegnanie i wyjazd z domu. Każdy z domu polecił mi coś a matka z gorycą mówiła że mie teraz już więcej nie zobaczy. Moja narzeczona pożegnała mie z wielką rezygnacją zapakowała sama moją waliskę i wyniesła do powózki. W kieszenie napchała różne rzeczy, jak jabka, orzechy, zapałki, papierosy, podczas podróży znalazłem tam jescy 20 złotych. Więc ucieszyłem się i chciałem te piniądze zaraz odesłać ale po namyśle tego nie zrobiłem. Na dworcu ojciec dawał mi jescy ostatnie polecynia i skazówki ale był tyż dość nieswój a gdy już byłem w pociągu to mie na gwałt znów chciał do domu zawieść ale ja już się nie chciał z raz obrany drogi wracać. Wtem pociąg ruszył ostatni uścisk dłoni i jazda w daleki świat.

Marszruta moja prowadziła przez Bydgoszcz (gdzie miałem dłuższy postój) do Wejherowa i dali z Gdańska do Francji. W Tczewie całą noc leżeli my w poczekalni, zrana odjazd przez Gdańsk do Wejherowa gdzie my około południa przybyli. Zaraz zaczynała się rejestracja. Na drugie rano nastąpiło sortowanie na zawody, przegląd lekarski, kąpiel, szczepienie i fotografia. I człowiek szedł tak bezmyślnie i wykonał wszystko po kolei. Była to dla urzędników Misji Francuskiej ogromna praca ale wszystko szło gładko, szybko i sprawnie. Wieczorem jescy każdy podpisał paszport, a zrana już specjalnem pociągiem do Gdańska. Tutaj zaraz byli my załadowani na okręt francuski, który o godzinie 4-ty po południu wyruszył w drogie.

Część IV. (Przeżycia w Francji za kawalera

Było to 24 października 1925 r. Więc gdy nas na statek ulokowano to się każdy oglądał, bo jescy prawie nikt morski podróży nie robił. Tu było tak urządzone, że mężczyźni na przodek, kobiety w środku statku jechali. Wsyscy w tak ogromnych kabinach pod pokładem. Jechało tyż kilka żydków z familjami. Dla mie, to była moja pierwsza podróż morska, więc się tyż bardzo cieszyłem. Czytałem już kilka książek o morskiej podróży więc się bardzo tem zajmowałem.

Przy wyjeździe usiadłem na pokładzi na przodku, aby wsysko dobrze zobaczyć. Piękne krajobrazy żem zobaczył a dusza się cieszyła pięknem wieczorem i latarń morskiemi. Młodzież zabawiała się jak mogła (flirt, karty, śpiew i tańce). Niektórzy jechali już po raz drugi do Francji i opowiadali o Francji jako kraj wolny miłości. Z wieczora każdy dzień była zabawa w sali jadalni. Tu podziwiałem tyż tańce polskie, górskie, tańczone przez górali. Widziałem tyż kozaka i mazura. Jechało nas tem transportem przeszło tysiąc ludzi i to z wszystkiech stron Polski i przeważnie w strojach ludowych. Więc gdy przyśło do tańca to wszystko w strojach ludowych. Było tam co do patrzenia i do podziwiania. Nawet kapitan statku przyglądał się temu i się mu bardzo podobało tak zaraz pare butelków wina ofiarował dla tańczących. Wier zabawy był tak wielki, że niektóre kobiety zostawiali płaczące dzieci na łóżkach i dali do tańca. To się starszem kobietom nie podobało i tyż jedna z nich wzięła takie dziecko i zaniosła do matki która tańczyła akurat z jednem majtkiem z załogi. Ta kobieta była bardzo oburzona na te matke i tyż ją wyzwała. Te słowa, które wtedy padły, napewno w zadnem słowniku nie stoją. Ta matka wzięła swe dziecko i uciekła wśród głośnego śmiechu, klaskania i gwizdu rozbawiony gawiedzi. Na drugi dzień przed południem zaglądnęłem tyż do kabiny dla kobiet i widziałem okropny obraz. Na łóżka dzieci siedziały jedni ubrani, drudzy jescy w koszulkach. Do tego prawie wsysko chore na morską chorobe. Zaduch był tam okropny i ja coprędzy wziąłem nogi za pas i uciekłem.

Na trzeci dzień już my byli na morzu północnem do tego był silny wiatr. Statek się ino kołesał a morska choroba nawiedziła prawie wsystkiech. Ja wtedy stał przez cały dzień na pokładzie w towarzystwie kilku podróżnych. Wtedy obserwowaliśmy te drogę która jest na morzu wytknięta lampami i drążkami. Zabawiliśmy się tyż śpiewem. Tak że ja te podróż przebył i morski choroby wcale nie zaznał.

Czwartego dnia wieczorem przyjechali my do portu Le Havre. Noc jescy my przebyli na statku a z rana my byli podzieleni na grupy do miejsca przeznaczynia. Cały dzień my czekali na pociąg który przybył dopiero pod wieczór. Potem my jechali całą noc a około 5 z rana byli my w Paryżu. Po drodze gdy pociąg stanął,

to niektórzy już musieli wysiąść aby się udać na miejsce przeznaczynia.

W Paryżu był znów każdy osobno wywołany i grupa ludzi odstawiana do tej a tej kopalni lub fabryki. Ja był przydzielony do grupy złożony z ośmiu ludzi do kopalni rudy żelazny do Elzas*). Około godziny 8½ wyruszyli my expresem z Paryża. Służba kolejowa kierowała nas. Bilet kolejowy był aż do stacji końcowy i jeden z ośmiu ludzi był naszem kierownikiem. Przez okno wagonu obserwowali my krajobraz i każdy był przekonany że Francja — to piękny kraj. Jechali my tyż przez okolice gdzie wojna światowa się toczyła. Tam wioski i miasta przedstawiały smutny obraz. Najwięcy okolica Verdun ucierpiała a niemiec tam tyż najwięcy zęby połamał. Były tam jescy leje od ciężkich granatów, budynki rozwalone od pocisków, groby żołnierskie na wielkich cmentarzach ale dużo poległych było pochowanych nad torem koleji żelazny. Słowem tu się widziało, jakie nieścięszcie jest wojna. Widziało się tyż całe lasy poszarpane. Telko drzewa sterczały pniami na metr do góry bo to drugie wojna zniścyła. Widziałem tyż całe wagony popsutego materiału wojennego, jak drut kolczasty, połamane i pogięte części od wozów, armat i innech sprzętów. Dali kolej żelazna niosła nas przez wielkie tunele i piękne okolice. Widziało się plantacje wina i chmielu, przepiękne sady owocowe jescy pełno jabłek chociaż juz za pare dni listopad. Wszędzie wrzała praca dla odbudowy.

Koło południa już my wjechali w górzysty teren a około godziny ½ 4-ty byli my na stacji końcowy. Teraz trzy klm piechotą do kopalni gdzie nas zapisano. Zaraz Garde (urzędnik kopalniany) prowadził nasz na kolonie, aby nam zapewnić stancje. Kolonia była zamieszkana przez samech Włochów. Włoskie gospodynie wychodziły na próg i brały z rezygnacją 1—3 ludzi na stancje. Ja chodził przez pół godziny i zobaczyłem kobiete lat około 45 i doś czystą więc się zaraz zgłosiłem wraz z jednem towarzyszem podróży. Ta kobieta nas przyjęła i zaprowadziła na pokój. Było tam już sześciu Polaków na stancji, a z nami jescy dwóch to było nas ośmiu. Ci Polacy nam powiedzieli, że kopalnia zmusza ludzi do przyjęcia samotnych na stancję. Zaraz potem zawołano nas wszystkich na

*) Tj. Alsace.

kolacje. Tu się zapoznałem albo odnowiłem znajomość z makaronem. Po kolacji zaraz na kopalnią do przeglądu lekarskiego. Lekarz zrozumiał coś po niemiecku. Więc kazał się nam rozebrać i przez pokój maszerować, do tego patrzał czy ręce i nogi były w stanie te ciężką prace wykonać. Największą uwage zwracał na organy płciowe. Więc napisał że każdy jest zdrów i następnego dnia z rana już do pracy.

Przez noc padał śnieg i znalazł się pierwszy mróz. Umywalni jak w Niemiec nie było, więc każdy się w domu przebierał do pracy a potem w domu się umył. Gdy przyszedłem do szybu to widziałem, że szyb jest mały do spuscania ludzi. W Westfalji były takie szybiki bardzo często na dole i służyły do spuscania wozów do głównygo chodnika. Kopalnia była tylko 100 metrów głęboka. Zajechawszy na dół, byłem bardzo zdziwiony, bo nie widziałem żadnego zabudowania. Lampe górniczą dostałem na dole i to jescy karbitową. Te lampe musiałem zapłacić a karbit sam sobie kupić. Zdziwiłem się bardzo że ogień od lamp jest otwarty i prawie każdy palił fajeczke albo papierosa. Zaraz przyszedł tyż porion (stygar) który nas zabrał i zaprowadził na miejsce pracy. Tu się rozglądnełem w nowem położeniu. Było nas razem trzech na jednem miejscu. Jeden górnik (włoch) który tylko wiercieł dziury w rudzie i strzylał za pomocą lontu i prochem strzeleckiem. My dwa pozostali jako ładacze i musieli te rude ładować do wielkiech wozów. Pełen wóz rudy ważył tylko dwie tony, a kto dwadzieścia takiech wozów nakładł i odwiózł dzienie przez całe 14 dni to zarobił 20 franków na dniówkę. Ale my tam prawie nigdy dwadzieścia wozów nie nakładli. Więc zarobek mój był 17 fr. Z tego zarobku nikt nie mógł wystać. Oblicze to w jaki sposób. Za stancje płaciłem 8 fr. dziennie. Z rana było śniadanie to jest chleb i kubek kawy. Chleba dostali my położone na stół jeden — dwa bochenki każdy sobie ukroił wiele mu sie rzywnie podobało, że chleb był suchy (przy wojsku tyż nielepi) to się ja tem wcale nie martwił. Więc się człek najadł, ale za godzine już znów był głodny, bo brakowało tłuszczu. Ze było zimno to pozwoliła nam bakana (gospodyni) pozostać w kuchni. Tu się przypatrzałem trybu życia włoskiego.

Gospodyni się krzątała przez cały dzień po izbie a rzadko kiedy usiadła na pięć minut aby odpocząć. Widziałem za piecym

taki pełen miech stać i sobie głowe łamałem co w niem może być? Wkrótce zauważyłem, jak bakana z niego wyciągała całemi garściami makaron i kładła do garnka. Uśmiechnyłem się w duchu, bo matka moja nigdy makaron nie kupowała, telko sama zrobiła. Ale gdy obiad był gotowy, to się go z smakiem zjadło. Kolacja tyż głównie składała się z makaronu i do tego jescy jakiś smaczny kęs. Miałem dobrą stancje i nie jedna Polka by się mogła nauczyć w jak różny sposób można z makaronu smaczne potrawy zrobić. Odbijało się często o moje uszy wyraz „kręcone nici" i wnet się przekonałem, że to makaron. Przeważnie było wsystko zaprawione pomidorami. Wnet się ja tego przejadł i miałem wrażenie że jeden koniec makaronu jescy na talerzy dyndoli a drugi już zadkiem wychodzi.

Z tych 17 franków trzeba było zapłacić osiem franków stancje teraz odchodziło zaraz przy wypłacie 10% na koszt moi podróży z Polski do Francji, 9% zarobku na opłate kasy chorych i starości. Teraz kupić sobie lampe górniczą i karbit. Na cztery dni starczył jeden kilo. Teraz ubranie i trzewiki miałem marne, więc ubranie sobie szyłem sam, jak przy wojsku. Z trzewikami było gorzy, bo już na drugi dzień się rozleciały i bosemi nogami przyszedłem do domu w śniegu i mrozu, do tego nogi miałem pokaleczone o kamienie i szkło. Bakany się żal zrobiło, gdy mie tak widziała. Na moją prośbę aby mi pożyczyła piniędzy na trzewiki zaraz poszła ze mną do składu i kupiła mi trzewiki do pracy. Nie wiem co było, ale ta kobieta mie tak jakoś polubiała, bo gdy za pięć tygodni ją pożegnałem, to płakała. Do pracy kawy nikt tyż nie dostał więc zabrał sobie butelkę piwa, którą trzeba osobno opłacać. Do tego przyśły jescy drobne wydatki jak na tytoń, kiobase i różne inne potrzeby. Były tam Polacy co pracowali już dziewięć miesięcy i jescy z długu nie wyszli. Początkowo nie chciałem tego wierzyć, ale wnet musiałem przyznać że to prawda.

Nikt nie uwierzy, jak ja był wdzięczny moi narzeczony za te 20 złotych, które ona mi włożyła do kieszeni. Napisałem listy do Polski i do brata gdzie ja jezde i jak się moja sytuacja przedstawia. Od moi narzeczony dostałem zaraz odpowiedz że mam natychmiast przyjechać z powrotem i że jeji papiery do ślubu już nadeśły. Ładne „już" pomyślałem sobie przez 2½ miesiąca. Przyśła tyż

ta niedziela, więc się umówiłem z kolegami aby iść do kościoła. Nie szedłem tam, aby się pomodlić (bo w dzieciństwie był dość za ostry przymus) ale chciałem zobaczyć styl budowy i urządzynie wewnętrzne. Ubrali my się odświętnie i poszli. Gdy my przechodzili koło kuchni widziałem jak bakana trzymała obiema rękami garnek na ogniu. Jej mąż z wielką drewnianą warzechą coś obracał a to miało kolor żółty. Pierwszą moją myślą było, że to dziś będzie puding na obiad. Podzieliłem się tą myślą z kolegami które ale ani zielonego pojęcia nie mieli co to jest.

Po kościele zapoznałem swego gospodarza i wnet się zapoznali bo on mówił łamaną niemczyzną. Obiad był wnet gotowy i był czysty ręcznik położony na stół. Na ten ręcznik była wysypana albo przewrócona zawartość tego garnka z tem rzekomym pudingem. Bakana białą nitką pokrajała te mase na kostki i każdy brał i jadł. Ja tyż wziął i ugryzł kawałek. Miałem wrażynie że gryze jakiś otręby. Zdziwiony spojrzałem na swego gospodarza a on na mie. „Co to jest?" pytam się. „Kukurydza" odpowiada. Wyraz kukurydza słyszałem w Polsce ale nie mogłem go jakoś pomieścić. Co to jest kukurydza? pytam się dali. „To jest kukurydza" odpowiada bo nie mógł mi to jakoś wytłumaczyć. W dalszym ciągu ja był głupi co to kukurydza. Mówił mi gospodarz że jak mi nie smakuje, to mam wziąść chleb co tyż zrobiłem. Obiad jadłem w zamyśleniu i myślałem co to kukurydza. Wtem wpadło mi na myśl polenta jako przysmak Italjanów i się pytam: „Jest to polenta?" Ucieszony włoch przytakiwał z zadowoleniem: „Tak! Tak, to jest polenta". Teraz byłem w domu i myślałem: „Biedne włochy". Jakby was jedna Polka zaprosiła na obiad? Ale polskich gosposiów tam nie było. Rozmowa się toczyła dali i przyśło do tego, aby my pokazali jak u nas w Polsce gotują. Był pomiędzy nami jeden, co był w Krakowie w klasztorze przy gotowaniu i on się tego podjął. Stanęło na tem, że ów były mnich przygotuje dla wszystkich podwieczorek. Co mu do tego potrzebne to bakana dostarczy. Mężczyźni muszą się usunąć a tylko bakana z dorosłą córką (16 lat) pozostanie do pomocy. Wszystko było ciekawe, co teraz nastąpi. Po jakiś 1½ godz. przyśła córka do nas i poprosiła na kawe. Przyśly my na dół i zaraz nas ucieszył pięknie przybrany stół, który był biało nakryty i zastawiony ciastkami (chruściki) i trzy butelki wina. Zaczął się podwieczorek i się słyszało tylko „Bono! i tres bono" (dobrze bardzo dobrze). Sąsiadki

tyż dostali na smakę i chwaleli. Na drugą niedziele nasz kucharz zrobił nam polędwice, a włochom to bardzo imponowało.

Już dwa listy pisałem do mych braci w Pas de Calais (Francja) ale żadny odpowiedzi nie dostałem. Dopiero na trzeci dzień miałem odpowiedz. Pisał mi brat, że dwa listy poprzednie nie odebrał z tego powodu że numer domu był inny. Późni sam widziałem jak listowy listy roznosił. Nazwiska polskie francuz nie przeczyta, choćby i gorące jajko miał pod językiem. Więc patrzy na nazwe ulicy i numer. Listy sobie dokładnie ułoży podług ulicy i numeru a trzeba wiedzieć że w takich miescowościach było dwie—trzy kolonji—razem na 15—20 tysięcy mieszkańców. Więc taki listowy szedł ulicą i list podług numeru wsunął pod drzwi i zapukał i szedł dali. Na list polecony naturalnie musiał czekać bo podpis był potrzebny. Ale brat odebrał list od sąsiada i dał mi odpowiedz że bardzo żałuje że ja tak marnie trafił. Napisał tyż jak się mam zachować i na co zważać bo tu są zupełnie inne stosunki. W razie potrzeby on mi piniądze nadeśle (dla spłacynia kontraktu) na podróż do niego. Odpisałem odwrotną pocztą że ma mi piniądze nadesłać. Za pare dnie dostałem 600 franków.

Teraz ja byłem górą, jak się mi to wydawało ale to było inaczy. Dostałem piniędzy i się starałem swój stosunek z kopalnią rozwiązać. Starałem się co prawda ale na kopalni nie chcieli ani słychać o spłaty kontraktu. Mówiłem wtedy że pracować tam nie będę a jak zapłate za kontrakt nie przyjmną, to im tak zwieję. Po dłuższych rozważaniach jednak zgodzono się zapłate przyjąć. Zapłaciłem kontrakt i stancje a jescy tego samego wieczora odjazd do brata. W towarzystwie kolegi, który razem ze mną przyjechał pożegnali my naszą italjańską bakane (gosposie). Bakana trośke płakała, chciała nas jescy do rana zatrzymać, ale my uciekali, jakby nas kto z makaronem gonił. Na jej płac myślałem: „Płac kobiety a deszcz majowy—to wnet przeńdzie".

Droga do dworca (3 klm) szła przez górzysty teren. Na dworze śnieg leżał i ścieżki my niewidzieli. Ale że był to górzysty teren to my się po drodze więcy kulali z walizkami niż szli piechotą. Na stacji czekali my ze dwie godz. do odjazdu pociągu. Pojechali my trzy stacje aż do stacji zbiorowy. Stał tam co prawda ekspres gotowy do odjazdu ale my się jakoś zagapieli i pociąg ruszył. Kiwnąłem z rezygnacją i mówię do jednego człowieka w mundurze „le

train à Lille est parti" (pociąg do Lille już odjechał). Pociąg następny odchodzi za trzy godziny. Wtem przystąpił ów człowiek do mie i coś mówił. Ja go naturalnie nie zrozumiałem po francusku. Gdy ale energicznem głosem żądał passeport polonais, karte identité i metrykułe to już spuściłem nos i pokazałem. Mój kolega już przedtem był dwa lata w Francji i mógł się od biedy porozumieć. Więc on wyjaśnił te sprawe i że jedziemy do Pas de Calais. Papiery mieli my w porządku i się nam tyż nic złego nie stało. Towarzysz podróży mówił mi, że to był żandarm, który pilnuje porządku. Czekaliśmy w poczekalni i ja sobie rozważałem, co to za różnica zdań—w Polsce człowiek składa się z duszy i ciała a tutaj w Francji, z duszy, ciała i różnych papierów osobistych. Gdy przyszedł czas, to wsiedli my do ekspresu, który się kilka razy zatrzymał na większych stacjach ale tak przez całą noc nas zawiózł do godziny 5 zrana do Lille. Około godziny 7-my wyjechali my do Bruay gdzie my około 11 godz. przybyli. Mieli my tyż dłuższy postój w Lens. Tutaj wojna grasowała. Widziałem tylko nowe budynki bo miasto po zawieszeniu broni było tylko jedna kupa gruzów. Starszych budynków widziało się bardzo rzadko i to jescy uszkodzone—ale zato często i gęsto po polach rozsianech schronów betonowych, zbudowanych podczas wojny przez wojsko.

W Bruay wstąpieli my do restauracji i sobie cośkolwiek odpoczęli. Tutaj my tyż zostawieli nasze walizki aby później po nie przyjść. Kolega zaprowadził mie na drogę która prowadziła wprost do Marles les Mines. Tutaj my się pożegnali i każdy szedł swoją drogą. Jakoś mie się ta droga długa wydawała bo było gołe pole. Widziałem rolników przy pracy, choć była niedziela. Zdziwiłem się, ale co kraj—to obyczaj i szedłem dali. Pytałem się tyż takich robotników o drogę. Odpowiedź dostałem ale, że oni mie nie zrozumieją, a ja ich już wcale choć tam i ręce w robocie były. Idąc dali spostrzegłem restauracje z szumną nazwą: „Restauracja pod białem orłem". Więc wszedłem tam aby się o dalszą drogę zapytać. Wyszła dama jak dziecko, stalują szklankę piwa i pytam się o drogę. Na zapytanie gdzie Marles les Mines to mi łamaną i pokaleczoną polską mową powiedziała: że ona nie jest Polką, tylko Francuską która wyśla zamąż za Polaka a Marles les Mines nie zna. Pokazałem adres do mego brata, to wiedziała, że ja już jezde na miejscu. Później nie dziwiłem się tego bo francuz wymawia to „Marl le Min". Fa-

ktycznie śmiesznie było, bo ja uważałem ją za dziewczyne około 15 lat, a ona mi śpiewa że jest zamężną.

Spotkałem tyż żydka z pakunkiem na plecach, ba — gdzie Polak, to i żydek za „geszeft" goni. Pytam się o drogę, to dostałem odpowiedz: „Idź pan tą drogą aż na krzyżówkę i skręcić na prawo, po jakiś 500 metrów druga krzyżówka i tam się zapytać dali po polsku, bo tam sami Polacy. Dalsze objaśnienie zbyteczne bo pan tak by nie trafił". Podziękowałem i szedłem dali.

Traf chciał że jechał jakiś rowerzysta i to pod gazem. Że nie był już pewny na rowerze, to cała droga była jego i najechał dziecko. Rowerzysta podniósł się z ziemi i to dziecko brutalnie chciał odtrącić (co mu się tyż udało) wsiadać na rower i zniknąć. Ale już jakiś policjant trzymał go za kark. Skąd się on wziął—tego ja sam nie mogę powiedzić. Robotnik ów pracował w te niedziele na budowni, a po pracy sobie jednego wypił i teraz chciał rowerem do domu jechać. Że był pod gazem, to stawiał opór i źle na tem wyszedł bo grad razów bykowców spadł na jego plecy i został odprowadzony do ula.

Pytałem się tyż dali o drogę i zostałem skierowany wszędzie, aż na ostatnią ulice gdzie szukałem właściwego numera gdzie zapukałem i moja podróż była skończona. Uciecha była tutaj wielka z mego przyjazdu. Starszy brat zabawiał się z dziećmi a młodszy dawał akurat lekcje na skrzypcach (miał aż sześciu uczniów). Więc zaraz zakończył i zaczyna się pogawędka jak się mam i o rodzinie. Jego starszy syn był mojem chrzestniakiem i tylko u ksiasnego*) chciał być. Zabawiałem go jak mogłem, a gdy przyśło mi moje dziecko na myśl, to głowe zwiesiłem. Byłem dobry myśli i na drugi dzień starałem się o prace. Gdzie tylko zaszedłem, to roboty dla mnie nie było. Innych przyjęto bo robotnika było brak, ale gdy ja moje papiery pokazał, to spotkała mie odmowa. Różne myśli przyśli mi do głowy i nie taję że już myślałem o samobóstwie. Odrzuciłem tę myśl, bo to tchórzowstwo, a po drugie co się stanie z moją narzeczoną i dzieckiem?

Smutne myśli się snuły po głowie — i myślałem tyż, jak my przy wojsku nieraz mruczeli, gdy nas kapral gonił, myśleli że w ciwilu będzie lepi, a tu — nie lepi, ale sto razy gorzy. Radzono mi, abym

*) Ksiasny (chrzestny).

jechał spowrotem — ale z oburzeniem odrzuciłem, bo pamiętałem doskonale prace w kopalni rudy żelazny. Gdy kaszlałem i wyplułem, to zamiast śliny wyplułem grupę rdzy. Więc marny żywot pędziłem a tutaj grudzień i zima się robiła sroga. Gdy już obleciałem wszelkie kąty a roboty nie dostałem, to się zgodziłem kamienie tłuc na drobne do wysypania ulic. Opisze te prace.

Kto był koło kopalni to zauważył takie wielkie hałdy kamieni. Kto jescy tego nie widział, to będę się starał to opisać. W kopalni pracuje się nad wydobyciem węgla. Węgiel nie jest tam w takich hałdach jak w składzie węgla, co go telko łopatą trzeba kłaść do woza albo worka, albo jak nasze kobiety z węglarki na ogień. Przedstawmy sobie taką bardzo olbrzymią bryłe kamienia. I przez te bryły takie czarne żyły wysokości od 40 cm do 2 metrów. Te żyły przedstawiają węgiel który górniki wydobywają. Aby się do tego węgla dostać, trzeba chodniki robić. Kamień będzie wtedy kuty i strzelany, nakładziony w wózki i wywieziony na powierchnie. Tu na powierchni ten kamień tyż już ma swoje przeznaczynie albo do wyrównania terenów, albo zasypywania dołów, albo do nasypu torów kolejowych na kopalni. Dużo kamini pozostanie i te się wywozi na taki wielki hałdy. Że opatami tego nie można zrobić, to są takie specjalne wózki, które posuwają się po szynach aż na sam wierch gdzie się sami wypróżnią i kamień już sam znalezie miesce. To posuwanie tych wózków jest za pomocą maszyn, które technika wynalazła. Takie hałdy mają nieraz 50 metrów wysokości. Dostęp do nich jest surowo zbroniony bo kamienie które spadają z taki wysokości mają ogromny rozpęd i już niejeden co tak letkomyślnie tam poszedł — rozmyśla sobie teraz w grobie co mu z tego przyśło. Podjąłem się tej pracy aby żyć a po drugie: lepszy rydz jak nic. Pożyczyłem sobie młotki od znajomych z Westfalji i w mroźny dzień poszedłem. Kamień musiałem sobie sam szukać i znosić a do tego tylko piaskowaty, bo on najlepszy. Wyniesłem sobie kupe kamieni pod wielkiem strachem (bo kamień z góry leciał często i gęsto a na każdem kroku czyhała śmierć albo kalectwo) i zacząłem tłuc od rana do wieczora. Tłukłem kamienie sześć tygodni wśród śniegu i mrozu zarobiłem za metr kubiczny 10 fr. Przez cały czas 135 franków. Przy tej pracy czułem się bardzo upokorzony bo ludzie przechodzili i tyż dużo znajomych. Były tyż młode panny które mie znali, dostałem nieraz słówko jak: widać honorowego

co ludzi nie znał a teraz to kamienie tłucze. Więc z radością wziąłem prace u jednego przedsiębiorcy, który wywyższał tor kolejowy.

Tam już miałem lepszy zarobek bo 22,50 fr. Więc patrzałem w przyśłość już weseli. Za pare tygodni robota była skończona i zostałem zwolniony. Po szukaniu dalszy pracy (jeden tydzień) zostałem przyjęty do zakładania szyn na torze kolejowym. Praca była ciężka i na akord. Zarabiałem 30 fr. dziennie i już prawie mój dług u braci oddałem. Przecież nie mogłem patrzeć, aby mie bracia żywieli. Jeden brat był żonaty i miał troje dzieci, to on musiał sam patrzeć, aby mu zarobek z jedny wypłaty do drugi starczył. Drugi brat był kawalerem ale gonił za fartuszkiem a do wypłaty mu ani nie starczyło. Miał on co prawda zarobek z tych lekcji na skrzypcach które on udzielał, to i to gdzieś poszło.

Moja bratowa była kobietą rezolutną i już zawdy wiedziała jak się urządzić, aby szło najlepi. W Westfalji znałem ją jako panne ale bardzo chudą a tutaj to się wypasła i to jescy na dobre. Brat znów lubiał grywać na bandonji. Za każdy raz, gdy mu kobieta coś wymyślała, to usiadł i zagrał kobiecie wesołe melodje jak: Oj duli, duli Kasi w koszuli, albo: pani Matko co tam? Bratowa nieraz była zła i mu pięścią pod nosym groziła a on na to nic. Ani się nie oglądał, ani się rozśmiał ino dali te wesołe melodje, aż kobieta się uspokoiła.

To zakładynie toru za trzy tygodnie było skończone. Z biegiem czasu wystarałem się o papiery do pracy i wtedy mi to już szło lepi. Byłem tyż na jednem weselu i się dobrze zabawiłem. To wesele opisać nie będę szczegółowo bo by zadużo było, a mam jescy dziesięć lat życia do opisywania. To wesele było na wzór westfalski, a więc drużby w długich czarnych surdutach (Gehrokanzuch)*) białych kamizelkach i trzy piętrowe cylindy na głowie. Że pan młody (brat mej bratowy) był dyrygentem w kole muzycznem, to tyż całe koło grało (dęta i rzięta muzyka). Ślub ciwilny był dzień przedtem a teraz ślub kościelny—potem spólna fotografja. Po powrocie do domu ceremonje z zamkniętemi drzwiami i powitanie młody pary z chlebym i solą, potem ostatni kieliszek wódki młodego pana i różne zabawy oraz tańce. Kieliszki szły bardzo często

*) Tj. Gehrockanzug.

i pierwszy drużba jakoś zasłab. Ja kieliszkowi w miare możności wychodził z drogi. Pod wieczór młoda para poprosiła mie abym objął obsługe gości na co się zgodziłem. Obsługa 60 osób nie jest takie letkie zadanie i nakrywanie stołów zrobiłem podług swego gustu. Poprosiły mie tyż rozbawione druchny do tańca czego już z samy grzeczności musiałem zrobić. Z wieczora po kolacji kazano mi dla młody pani „deser" zanieść. Ja był tem zaskoczony bo „deser" to był pięknie usmażony ogonek świński. Z tajemniczą miną zaniesłem i do tego jescy trzymałem przemowe. Talerz nakryłem, aby nikt nie widział co tam jest. Każdy był ciekawy co tam było, a gdy odkryłem, to uciecha nie miała granic. Zabawa szła do rana i obsługa mie bardzo zmęczyła. Więc na ostatku zacząłem ja się bawić z druchnami, ale przeważnie śpiewem i to wesołe piosenki o miłości. Chociaż goście weselni poszli do domu, to druchny się ze mną bawili i musiałem też kolejno druchny do domu odprowadzić. Przyszedłem w nocy do domu i troszkę pod gazem. Na tem weselu zrobiłem sobie dużo przyjaciół i to mi później bardzo pomogło. Miałem wtedy karte de Indentite*) (i to bardzo trudno zdobytą) prywatną, to znaczy, że mogę robotę dostać po kątach a na kopalniach nie, a tam była stała praca.

Przyjąłem prace u jednego montera co cementowe płoty wstawiał. Robota jak robota ciężka i lżejsza, ale to było nigdy na jednem miescu, tylko 3 — 6 dnie tu a jutro już 30 klm dali. Stawiali my takie betonowe mury na 1 — 3 m wysokości, przysło też wstawianie altanów w ogrodach i balkonów przy domach i jeich upiększynie. U gospodarzy wstawianie ogrodzynia łąków i pastwisk dla bydła. Tu miałem sposobność przyglądania się piękności natury, pracowitości i oszczędności oraz obyczajowi ludu francuskiego. Tu się tyż spotkałem z sprężystością władz francuskich, a było to tak.

Pracowaliśmy w mieście Fruges (Froesz) ładnie położone miasto w dolinie, zamieśkane przeważnie przez rentierów. Tu nasze zadanie było wstawić mur betonowy 3 m wysoki, altany w ogrodzie, upiększynie balkonu, ogrodzynie ogrodu i wstawinie kurnika. Wszelkie części już gotowe z fabryki zawdy były na miejscu. Nasze zadanie było zawdy, te częście podług rysunku postawić. Nasz pra-

*) Tj. carte d'identité.

codawca był tem razem burmistrz tego miasta zarazem właściciel miejscowego browaru. Na tarczy francuski stoi napisane: Wolność Równość i Braterstwo. I to będzie przez ogół narodu przestrzegane. Więc widać jak drobny kapitalista z robotnikiem siedzi gdzieś w gościńcu i pije piwo, kręci sobie papierosa razem z niem i zapala, rozmawia z niem w najlepszy zgodzie. Tak my tyż gdy robote skończyli zebrał się ulewny deszcz i zatrzymali się w restauracji. Tak też ja te pare franków które miałem straciłem na piwo. Gdy deszcz ustał to mój majster jechał do domu na motorze a ja na rowerze. Miałem czas i drogę znałem, więc kazałem majstrowi jechać i chciałem za niem jechać. Narzędzia do pracy przywiązałem do rowera i dali w droge. Z początku szło wszystko dobrze, ale gdy przysło jechać tam gdzie deszcz spłukał gline na szose, to musiałem z rowera zejść i gline od kół usunąć. Przy jednem takiem przystanku przechodził jeden gospodarz i coś do mie mówi po francusku. A oui — odpowiadam. Francuz coś dali mówi a ja za każdy raz a oui. Wtem się on przedstawia jako mer, sołtys i policjant. A oui — tak dobrze — odpowiadam bo więcy po francusku nie mogłem. Potem na migi dał mi do zrozumienia że mam iść z niem i zaprowadził mie na urząd gminy. Tu musiałem się wykazać paszportem polskiem, kartą de Indentite i metrykułą. To szło dobrze ale gorzy było gdy musiałem się wykazać ile piniędzy mam przy sobie i gdzie pracuje. Ale teraz, gadaj gęś do kota, to on będzie wiedział. Policjant wyszedł i za 15 minut wrócił z jednem Polakiem który teraz był za tłumacza i wtedy powiedziałem, że pracowałem przez trzy tygodnie w Fruges i teraz jade spowrotem, że majster motorem jechał naprzód, piniądze straciłem przy piwie a mam ich teraz tylko 1,75 fr. Papiery mam w porządku jak je okazałem. Teraz w ruch wszedł telefon i się okazało, że ja prawde powiedział. Więc mie puścono swoją drogą, ale mer albo sołtys powiedział mi, żebym pilnował papierów i do tego zawdy miał 5 fr. przynajmni w kieszini, bo tak mie czeka areszt za włóczęgostwo. Miałem dobrą nauczkę.

Po przeczekaniu kilka dnie u brata wyjechali my do okoliczny wioski (20 klm) aby u jednego gospodarza łąkę ogrodzić co nam zabrało cztery dnie czasu. Mój majster był alzaczyk a my się porozumieli po niemiecku. Płacił mi tak: podczas wyjazdu kolej i utrzymanie, do tego 15 fr. dziennie. Gdy nie było pracy to ja

sam musiał się utrzymywać. Gospodarz chciał mie zatrzymać jako parobka, co ja znów nie chciałem i mówiłem mu, żeby starał się o robotnika na kontrakt z Polski. Gospodarz na to mówił, że on to dobrze wie, ale to się nie opłaci, bo on już miał na kontrakt polskiech parobków i służących ale to się nie opłaci, bo skoro rok przeńdzie to już nikt ich na roli nie zatrzymie. Onemu co prawda jescy nikt z kontraktu nie uciekł, a koszt z Polski robotnika sprowadzić tyż dość wysoki. Teraz potrzebuje na gwałt dwie służące i pytał się czy ja o żadny nie wiem. Dziewcząt znałem już całą masę ale żadna by nigdy na role nie szła. Bo gdzie tam, taka mamy córusia by w polu robiła albo krowy doiła, kiedy w domu ani kartofli nie obierze, bo by rączki owalała a włosy by już były roztargane. To już lepi siedzić w domu. Po południu się ładnie ubrać, popudrować i ładne ząbki chłopcom pokazewać. Gospodarz przyrzekł mi za każdego robotnika 50 franków które ja mu nastręcze.

Wkrótce my prace ukończyli i się pożegnali. Zaraz na trzeci dzień już jechali my do departamentu Some*). Że to było daleko, to podróż koleją a rowery szli z nami jako bagaż. Dłuższy postój mieli my w St. Pol**). Na peronie majster zauważył dwie Polki, i to— co się mówi: krase dziewoje z wioski. Mówił mi abym te dziewczyny zagadnął po polsku to by mie się czas skrócił, co tyż zrobiłem. Dziewczyny mówiły, że się cieszą, że już dłuższy czas polski mowy nie słyszeli, że jadą na pośrednictwo pracy, aby inną prace zdobyć, bo kontrakt skończyli. Że z pracy odeśli bo tam tylko po francusku rozmowa którą oni nie zrozumieli. Przetłomaczyłem to memu majstrowi i podsunęłem myśl te dziewczyny umieścić u tego gospodarza, który mi zapłatę za to obiecał. Majster polecił mi, aby owe dziewczyny zabawiał rozmową, a on się pójdzie przez telefon zapytać, czy te miejsca są jescy wolne. Wnet powrócił i oznajmił że mogą jechać bo gospodarz będzie na nich na dworcu czekał. Wykupili my tyż dla nich bilety kolejowe i pożegnali się, bo nas pociąg niebawem odchodził.

Po dłuższy podróży koleją, potem rowerem stanęli my na miescu. Wioska jak wioska; a życie w niej jednostajne. Widziało

*) Tj. Somme.
**) Tj. St. Paul.

się tyż kilka domów odbudowanych, co wojna zniszczyła. Polaka tam by musiał z świecą szukać; trafiłem dwóch parobków którzy mówili, że w cały okolicy będzie z sześć osób polskich, ale że im jest dość dobrze, to siedzą, skoro kontrakt skończą to sobie pójdą, gdzie polska mowa. Za dwa tygodnie droga nas prowadziła koło tego gospodarza co my mu te dwie służące przysłali. Gospodarz tak samo i służące byli zadowoleni i odebrałem swoje przyrzeczone 100 fr.

W jeden wolny dzień od pracy spotkałem się z jednem drużbą z tego wesela. Zaprosił mie do restauracji i tu się rozpoczęła pogawędka. Ja na drugi dzień wstawił sie i razem z niem pośli my na biuro kopalni, aby mie przyjęto do pracy. Zostałem przyjęty dzięki karty pracy i świadestwie pracy od mego majstra. Do tego mój przyjaciel wystawiał mie w najlepszem świetle. Zeby to panna była bym ij dał buzi, ale że to kawaler, to najprzód podziękowałem, późni byli my najlepsze przyjaciele. Zacząłem prace i się mi dobrze wiodło, bo stała praca. Nadminiam tylko, że to była kopalnia na 1000 m głęboka bardzo bogata w gazy węglowe i gorąco było tak, że przy pracy prawie każdy miał spodnie tylko i to nogawki umyślnie ucięte, tak że ino taka opaska koło biodrów pozostała. Przed 20 laty była tam katastrofa (eksplozja gazów) i 78 górników poległo na placu pracy. Pochowane są oni w wspólnem grobie na cmentarzu i mają ładny nadgrobek. W dniu rocznicy tej katastrofy udają się górnicy spólnie na cmentarz i każdy rozmyśla nad swoją niedolą. Z względnie wesołą albo poważną twarzą zajedzie na dół, aby zarobić na chlib dla swoich najbliższych, ale nie wie czy jescy zdrów ich zobaczy. Gdy się przechodzi przez zagłębie węglowe to widzi się różnych kaleków, ofiar kopalni albo nigdy nienasyconego kapitału. Dozorcy są tak, że Polaka wysyłają na najgorsze miejsca, bo koszula jest bliży ciału niż surdut. Zostanie Polak ranny albo zabity, to przed laty Francuzy mówili: Jeden list do Mysłowic (punkt rekrutacyjny robotników polskich do Francji w Polsce) wystarczy, aby na to miejsce cały transport przybył. Dziś się już tego nie słyszy, bo jednak rozum po 10—15 latach do nich przemówił bo kapitał cyni zdolność górnika polskiego więcej jak każdy inny narodowości. Słyszało się tyż dużo, a na początku roku 1920—1930 wyraz: „Sales boches" (paskudny Niemiec). Teraz ten wyraz pomału zanika z rozsuntku i tyż wedle tego, że niejeden

Polak pokazał, że swojemi pięściami umie bronić przynależność do Państwa Polskiego. Przeważnie kończyły się takie zaścia w komisarjacie w policji albo tyż i w sądzie, który z reguły już każdego zadowoli i każe każdemu odpowiednią kare zapłacić na pamiątke.

Na onej kopalni pracowało bardzo dużo narodowości, tak że każdą narodowość na zawołanie się miało (13). To było dobre dla kapitalisty bo mógł robotnika lepi wyzyskać odpowiednio jaką opieką władze krajowe otaczali swoich obywateli. Z wstydem nieraz musiałem patrzeć jak Polakom się krzywda działa, a nasze konsulaty na to były głuche. Mamy takie dobre konwencje i traktaty ale żeby były przestrzegane to żaden opiekun się nie znalazł a krzywda Polakom szła swoją drogom. Gazeta polska na wychodztwie „Wiarus Polski" stale biła na alarm gdy się krzywda Polakom działa ale to tylko z tem skutkiem, że ij wstęp do Polski zabroniono. Tysiące i tysiące marek zostały w Nimiec przez Polaków płacone do knapszaftu (Kasa chorych i starości) i to było zapaścione w 1927 roku.

Było tam tyż dużo robotników z Maroka które mają cere czekoladową. To jest już naród umysłowo bardzo ciemny ale pracowity. Wyzyskany był bardzo przez kapitał, ale serdeczność uczucia łączyła ich mocno. Gdy jeden z nich został ranny tak że śmierć mu zagrażała, albo zabity, to wszyscy razem na znak żałoby tak długo nie pracowali, aż jej rodak nie był pogrzebany. Ładny przykład, ale drugie narodowości tego nie przestrzegają.

W wolnych chwilach przypatrywałem się życiu społecznemu na wychodztwie. Przyjaciele wciągneli mie też do różnych towarzystw narodowych i oświatowych jak to: tow. gimn. Sokół, koła muzycznego, koła amatorskiego. Że byłem w tych sprawach całą duszą oddany, to mie wnet do zarządu powołano. Tu miałem dostęp do komitetu tow. miescowych i zostałem obrany jako sekretarz komisji oświatowy. Jako członek zarządu miałem dużo roboty i latania, więc kupiłem sobie rower. Teraz widziałem na co się trzeba poświęcać — dla polskości. Stare, osiwiałe wiarusy dodawali mi otuchy i rady. Byłem tyż zajęty przy organizowaniu obchodów jak 3-go maja, przyjęcie przez dzieci 1 komunji św., listopadówki i rocznicach różnych towarzyst. Praca szła gładko i kolonja polska była nasiąknięta duchem narodowem. Więcy zachodu wymagało urządzenie szkółki polskiej oraz biblioteka dla starszych

i dzieci. Niezmordowany okazał się wtedy nasz prezes komitetu druh K. On pukał wszędzie, gdzie się dało, aby choć jedną książkę dostał dla biblioteki. To nie dla mie — ale dla wsystkich — mówił i kolonja posiada ładną biblioteke polską.

Na obchody narodowe Polonja zbierała się tłumnie i chętnie. Referaty wygłoszone przez przedstawicieli gazet albo konsulatu były wysłuchane z dużem zajęciem — aż padły pierwsze gromy. Pierwszy był przewrót majowy 1926 r. Przyjęcie było różne. Z oklaskami, z umiarkowaniem i z smutkiem. Drugi był że Polska spaniałomyślnie zrezygnowała z knapszaftów-renty dla swych obywateli. W tem czasie już było dużo rodaków, co długie lata opłacali kase starości w Niemiec a teraz nic nie dostali i byli skazani na łaskę swych dzieci. Dostawali co prawda 150 fr. miesięcznie od konsulata, a tutaj pracy już nigdzie nie dostali. Niektórzy mieli małe dzieci a bieda im w oczy zaglądała. Kto z tych rentistów miał jakieś rente z ubezpieczalni francuski, to mu wysokość tej renty była odciągnięta. Jako przykład daje sytuację teścia mego starszego brata. Był on dobrym Polakiem i niejeden atak od niemców wytrzymał. Gdy pracował i zarabiał, to każdy grosz składał do banku polskiego (Bank przemysłowców w Poznaniu filja w Bochum w Westf.). Naskładał tego grosza aby mieć na starość. Zestarzał się i się nie spostrzegł kiedy. Przyśła optacja i on wykonał swój obowiązek jako Polak. Jego dzieci jechali do Francji, więc on z niemi bo dzieci się obowiązały go utrzymać aż do śmierci. Jako ojciec nie chciał być ciężarem bo wnuczki się zjawiali. Więc poszedł na hałde kaminie tłuc, jak ja przedtem co już opisałem. Przy tej pracy został uderzony przez kamień i to tak nieszczęśliwie że nogi zostały trzy razy złamane i potłuczony został na całem ciele—tak że po wejściu z szpitala została mu przyznana renta 98 fr. misięcznie. Teraz ale renta z konsulatu, którą on także odbierał została obniżona tak że kto pobierał dawni 150 fr. to teraz telko 100 fr. Więc on dostanie za swoje kalectwo 98 fr. a konsulat mu daje jeszcy 2 fr. aby miał miesięcznie 100 fr. Jego składany grosz na starość w banku polskiem uległ dewalutacji i późni gdy nastał złoty, to miał tylko 1,30 zł. Rozgoryczynie było wielkie bo dużo było takich co swoje piniądze na starość stracili. Ale młodsza generacja była na krość przekonaną polskością i garnęła się tłumnie pod standar polski.

Duże zasługi w utrzymaniu ducha polskiego ma nasze ducho-

wieństwo polskie, które służy do udzielania pociech religijnech i porad w różnych sprawach. Tłomaczynia w niektórych sprawach się tyż podejmują. Wielkie zamieszanie wśród Polaków wyrządziły badacze pisma świętego (Złoty Wiek). W latach 1923—1932 bałamącili spokojnych ludzi na tle religijnem. Większość jeich zwolenników były analfabety. Ustępy albo różne wiersze z bibli umieli na pamięć i się tem reklamowały. Byłem tyż już raz na takiem wykładzie w Westfalji, gdzie taki mówca za pomocą planu wyjaśnił, że Królestwo Boskie jest bliskie, bo już za rok (23 czerwca 1923 r.). Ta data już dawno prześła, a tej Jehowe jak nie widać tak nie. Był w Niemiec taki mówca reklamowy, co z zakonu Jezuitów wystąpił. Mowy jego były długie i oklaskiwane przez jego zwolenników. Aż razu pewnego wystąpił jego nauciczel i mu dowiódł, że tak nie jest, jak on prawi. Tu w Francji był taki mówca reklamowy jakiś pan Kret z Ameryki. On naturalnie sprawił to, że jeden zaraz świnie zabił i prętko zjadł bo jak przyjdzie Królestwo Boże, to już wtedy nic nie potrzeba. Zdarzyły się także wypadki, że meble zostały sprzedane jako niepotrzebne sprzęty domowe. Zwoleniki spali wraz z dziećmi na barłogu słomy. Do pracy już nie chodzili, bo jutro może już Królestwo Boskie. Gdy czas przeszedł, to naturalnie z pracy zostali wyrzucone, tak samo z mieśkania, więc pośli na łąkę pod las i wyglądali na to obiecane Królestwo gdzie się niemi policja zaopiekowała i nie wiadomo co się z niemi stało bo już nikt o nich nie słyszał. Nie będę sie długo zatrzymywał nad tem, bo religja, to temat niewyczerpany.

W międzyczasie zawiązałem kontakt z rodziną w Polsce i z narzeczoną listy szły bardzo często i starałem się każdy grosz odesłać dla mego syna. Listy z Polski dostawałem bardzo dużo i w każdem była jedna myśl i to: przyślij piniądze. Aż mie to oburzyło i napisałem jeden list tej treści: Przyjedźcie wsyscy tutaj, bo tu to piniądze na ulicy leżą, a ludziom się nie chce schylać po nie. Zabierzcie ze sobą grabie aby więcy nabrać! Czy ta Polska jest kraj tylko żebraków, myślałem — tutaj posyłaj do Polski, tu składka na oświate, tu na biednych, tu na szpital polski na wychodztwie itd. itd. Do tego chodzą różni kaleki chore i rzekomo chore, a za piniądz się ino trzymaj. Po kolonjach włóczą się żydki za „geszeft" to z towarem na bielizne, to na ręczniki, ubrania, zygarki. Także żyd sprzedawał i święte obrazy, a matki różańcowe kupowali aby

się ich pozbyć. Naprawde za polakiem włóczy się żyd, jak wrzód na ciele.

Podczas mego pobytu w Pas de Calais byłem na stancji u starych osiwiałych emigrantów. Mieli oni dwóch synów i córke zamężną, mie traktowali za swego i mie się tam dobrze działo. Chętnie widzieli gdy ja z synami wyszedł na przechadzke albo na jaką uroczystość polską. Gdy my nieraz późni wrócili, to dostałem razem z niemi kazanie. Zaufanie było pomiędzy nas wielkie. Ta matka bo tak do gospodyni mówiłem, interesowała sie bardzo mojemi sprawami. Więc gdy piniądze miałem włożyłem sobie je do szuflady. Gospodyni czuwała i to jescy dobrze, nigdy mi ani najdrobniejsza rzecz nie zginęła. Gdy widziała że mam 150—200 fr. to wzięła mandat kazała mie wypisać i wysłała piniądze do Polski. Nieraz dołożyła 20—30 fr. aby była równa suma. Przy wypłacie ja ij te piniądze zwrócił.

Na kopalni nie zarabiałem najlepi. Te braki uzupełniłem sobie w ten sposób, że podczas jakiś uroczystości albo wesela wziąłem obsługe gości na siebie, tak że na weselach, gdzie dużo gości było brano mnie do obsługi. Przytem zarabiałem ładny piniądz i wysyłałem do Polski, gdzie piniędzy już zawdy brakuje.

Że byłem bardzo oddany pracy społeczny, ale z różnymi ludźmi się nigdy nie oddał do pijaństwa, to starano się mi zaśkodzić aż się im udało. Więc po namyśle spakowałem moją garderobę i wyjechałem do Nord i osiedliłem się nad samą granicą belgijską, gdzie i teraz jescy przebywam.

Tutaj w Nord dostałem zaraz prace na kopalni, tak samo stancje u rozumnych ludzi. Na kopalni długo nie pracowałem, bo mie na wierchu kazali pracować w deszczu i wiatru. Skończyłem tam prace, bo tam było wielkie donosicielstwo i taki delikatny przymus do kościoła. Kto się ino w „złoty wiek" oddawał, to mógł być pewny, że pod byle jakiem powodem został wydalony z pracy. Poszedłem pracować na fabrykę sztucznego jedwabiu ale kwasy są szkodliwe na oczy i całą dniówke w wodzie. Przy marnem zarobku podziękowałem i prace wziąłem przy murarzach. Tutaj praca była ciężka i lepi płacona — ale co mi to znaczyło bo przyśła sroga zima w 1928 r. i tem samem sześć tygodni bez pracy. Szukałem pracy gdzie ino ale nigdzie nie dostałem. Nareście dostałem prace na fabryce szkła w sąsiedni wiosce. Robotników było dużo, ale ro-

botnic jescy więcy. Francja jest krajem „wolny miłości“ a w ośrodkach fabrycznych święci prawdziwe tryumfa. O tem pisać ale nie będę, bo ten temat dość za brudny. Potem pracowałem jakiś czas przy murarzach i dostałem się do betonierów. W międzyczasie zająłem się pracą społeczną i różnem szpiclom nie było to do gustu. Mieszkałem w mieszkaniu kopalnianem. Chciano Sokół rozbić i założyć jakiś towarzystwo młodzieży. Ja wtedy był sekretarzem Sokoła i się tej rozbijacki robocie wstawiłem na przeciw. Więc donosiciele i szpicle (Polacy) postarali się o to, że kopalnia mie z mieszkania wydaliła.

W tem czasie jeden druh z Sokoła się żenił i poprosił mie jako drużbe na wesele. Z moją druhną ja się ale nic nie zabawił, bo sobie za wiele dodawała. Na tem weselu mówiłem sobie: Niech będzie co chce ale w tem roku się ożenie (i się tyż ożyniłem).

Gdy mie z tej miejscowości wygryźli, to poszedłem do drugi bo tam miałem bliżej do pracy. Stancje wziełem u jednego rodaka, co miał aż dwie córki na wydanie i które mi bardzo nadskakiwały. Ja znów żadny miłostki nie pragnął i zrobił się bardzo zimny aż mi gospodarz raz powiedział: „Tobie można panne na brodę powiesić, to jescy nie wieś co robić“. Na taką mowę to już był czas abym się wyniósł. Więc postarałem się o inną stancję i zaraz na wstępie mówiłem, że będę może 3—4 miesięcy, bo zamierzam jechać do Polski aby się ożenić.

Wystarałem się o urlop w pracy, a o paszport i wize postarało się biuro podróży. Jechałem transportem i zdrowo zajechałem do Poznania. Tam się zatrzymałem u wuja i zabrałem moją mętrykę urodzyń i chrztu o które sie moja kuzynka wystarała. Były tam starania i latania, tak że dopiero wieczorem około ósmej byłem na stacji końcowy. W domu i w cały wiosce sie cieszono, że ja przyjechał. Po naradzie z narzeczoną postanowili my że wesele będzie wnet o co ja sie postarał.

Na urzędzie stanu ciwilnego i u księdza szło wsystko gładko. Ksiądz był bardzo wyrozumiały i za ślub kazał sobie zapłacić 15 złotych którą to cene ja zapłacił. Zaśpiewał by mi taką cene, jak księdza w Polsce biorą, to bym wziął tylko ślub ciwilny. Moja kuzynka w Poznaniu naturalnie wzięła ślub pierszy klasy za 350 zł. Rozmawiali my i się uśmiechałem, na co ona powiadała, że chór będzie śpiewał a do tego na dywaniku będzie ślubować. Ja znów

mówił, aby za te 350 zł. dywanik kupiła dla siebie a kiedy już musi być ten chór, to goście weselne, gdy sobie podpiją, tyż ładnie śpiwają. Kuzynka się rozgniewała a dziś po sześciu latach nie wiem jak ij tam idzie, bo jescy żadnego listu od niej nie otrzymałem. Ożeniłem się, a wesele miałem podług mego stanu. Goście weselne byli sąsiady gospodarze. Do ślubu jechałem w konie co na wystawie krajowy w Poznaniu pierwszą nagrodę zdobyły. Właściciel tych koni był gospodarz z sąsiedni wioski, który nas dobrze znał. Gdy przyjechał z wystawy ucieszony mówił do mojej narzeczony: „Marynka jak będzieś miała wesele, to w te konie ja ciebie do ślubu zawieze“ i słowa dotrzymał. Po weselu starano się mie w Polsce zatrzymać — ale ja nie chciał, bo za mały zarobek. Więc wyruszyłem wnet z powrotem do Francji. Żalu była dość dużo w moi rodzinie. Rodzice którzy prześło 20 lat na emigracji byli, ciężkiem sercem się na to godzili. Żona moja była tego zdania, że jak ja ją nie opuścił przez sześć lat, to ją i teraz nie opuścę. Młodzież z mojej wioski jescy jedną zabawe na ostatku w naszem domu urządziła gdzie wśród wesoły zabawy bawiła się aż do północy. Bawiłem się wesoło bo to może ostatnia zabawa moja w Polsce a po drugie zaprosiełem dwóch kolegów co służyli razem ze mną przy wojsku w jednem plutonie. Około północy zakończyłem zabawe, zaznaczając, że jutro rano już udam się spowrotem do Francji na tułaczke za chlebem.

Część V. Przeżycia w Francji jako żonaty

Na drugie rano był wielki ruch w moi rodzinie. Po śniadaniu wsiadłem na wóz, którem ojciec powoził, aby o 7 rano już pociągiem jechać do Poznania. Gdy już byłem na wozie, to matka z płaczem się pytała: „Kiedy znów do nas powrócis?“ Ciężkie pytanie a chciałem powiedzieć prawde. Więc mówiełem tak: „Może powróce wnet, a może już wcale, więc pożegnajmy się już na stale“. Więc pożegnali my się już na zawdy. Wnet byli my na dworcu gdzie pożegnałem Ojca, brata i swego syna. Mój synek i brat (15 lat) płakali. Żona jechała ze mną aż do Poznania. W czasie podróży żona mie bardzo prosiła, aby ją jak najprędzy ściągnął do Francji czego ij przyrzekłem.

W Poznaniu na dworcu już mój wuja na mie czekał. Zaprowadził mie zaraz do konsulatu niemieckiego, gdzie na poczekaniu dostałem wize przejazdową przez Niemcy na 3 dnie. Prosiłem o wize na zatrzymanie się o jeden dzień w Westfalji u krewnych ale odmówiono mi. Dostałem wize na przejazd bez zatrzymania się. Potem wuja zabrał nasz do domu na posiłek. Zwiedziłem z żoną Poznań, która tam jescy nie była. Poznań ij się bardzo podobał. Wieczorem zasiedli my do pogawędki przy butelce likieru. Wuja tyż emigrantem był, więc sie zapytał: „Co żeś widział w innych krajach i co dobrygo z nich wnioskujesz". Było to zapytanie i nad odpowiedzeniem musiałem się namyśleć. W odpowiedzi mówiłem. W Niemiec można się nauczyć porządku, miłość do ojczyzny i punktualności. W Polsce, skromne zachowanie i miłość do ojczyzny. Wuja skazał na podatki i różne niedolegliwości ze strony administracji. Ja mówił, że Polska jest po zmartwystaniu jescy za młoda aby od razu te najlepsze patryoty kierowały tem Państwem że rząd może się zminić, a wtedy już stopniowo zakwitnie dobrobyt w Polsce, bo Polska jest bogata bardzo.

W Francji można się nauczyć: ciężki pracy, oszczędność rzetelność i miłość ojczyzny. Na zapytanie wuja wyjaśniłem. Chłopak gdy chodzi do szkoły a skończy dziś 13 rok życia to jutro rano już staje przy warsztacie pracy, na kopalni, u rolnika, u rzemyślnika albo w fabryce. Tu już od samy młodości pracuje, każdy grosz odkłada aby mieć w potrzebie. Spotkałem się dużo z młodemi ludźmi co w młodości już do ciężki pracy byli zajęci — ale jak mają lat 20, to pożal się bogu. Spotkałem się z takiem zdarzeniem raz. Były to czasy kiedy ja jescy betonowe płoty wstawiał. Przy jednem płocie dodano nam murarza z pomocnikiem, aby on płot zaraz zamurował. Zrobiłem beton aby słupy dobrze zabetonować. Ja był zajęty zastancowaniem słupa z betonem. Murarz z pomocnikiem (a był to jego syn) przyglądali się bezczynnie. Mówiłem wtedy do pomocnika, aby mi jedną taczkę betonu przywiózł. Pomocnik się wymawiał że to dla niego zaciężko. Ja się wyśmiałem z niego że taki młodzieniec 18 lat a ani taczki betonu nie może przywieść. Chłopak na to złapał za taczkę i beton przywiózł z wielką biedą. Był cały spocony, w brzuchu i w bokach miał zganie tak zaraz poszedł do domu i trzy dnie tam pozostał bo chory. Jego ojciec mówił mi, że on jest murarzem. Jego syn od 13 roku ży-

cia przyniósł mu każdą cegłe i wapno na budowle i tam się zmarnował tak, że teraz jest stale chory. Miałem więc przykład jak ojciec swego syna zmarnował za młodych lat i to za pare franków zarobku.

Oszczędność jest podstawą dobrobytu Francji. Nie żeby kto myślał że francuz jest skąpy — bo ogół francuski lubi dobrze jeść i przy każdej potrawie swoje winoalbo piwo wypić z umiarkowaniem. Każdy grosz zbyteczny zaniesie do kasy rządowy gdzie mu procent rośnie. Gdy możliwość pozwala to buduje sobie własny dom. Z pomocą przychodzi mu rząd z bardzo taniem kredytem. Robotnik opłaca ubezpieczynie na starość obowiązkowo do kasy starości i jescy dobrowolne. Tak że robotnik gdy ma 50 lat, to ma swój własny domek i z 10 tysięcy franków renty z których może spokojnie żyć. Tu gra tyż dużą role zaufanie ludu do rządu i odwrotnie rząd stara się za to zaufanie odpłacić tak, że jest dobrobyt w Francji. Rzetelność jest w Francji wielka, tak że kradziezy prawie że nima wcale. Złodzieje będą karani w Francji tak, że im się już na drugi raz odechce. Zdarzają się wypadki że i banki prywatne bankrotują albo bankier ucieknie, to rząd się postara o to, aby lud pracy dostał swój piniądz z powrotem a winowajce będą karani surowo. Miłość ojczyzny jest w Francji zakorzeniona tak, że najgorszy komunista będzie umierał z okrzykiem: Vive la France (niech żyje Francja). Gdy jest wybór albo pobór rekruta do wojska, to młodzież się stroi w kwiaty, robi obchody z muzyką i sztandarami. Zandarmeria patrzy przez palce, gdy w tem dniu ubawiona młodzież tańczy na ulicy albo placach i nieraz cały ruch na ulicy zatrzymie. Jednem słowem cały naród francuski kocha Francje!

Siedzieliśmy długo i się tak jakoś zdarzyło, że dobrze pod gazem pośli my na spoczynek aby nazajutrz o $^1/_2$5 wyjechać z Poznania do Francji. Z rana zostałem zbudzony ze snu i nie bardzo chciałem wstawać. (Z młodą żona się roskosznie śpi). Po uszykowaniu się, szedłem z żoną, wują i kuzynką na dworzec. Żona miała na święta jechać do swoi rodziny do Małopolski. Na peronie ostatecznie pożegnanie. Mówiłem żonie że gdy pojedzie do swy rodziny, aby ij chcieli co dać do wianka, to niema nic brać, bo w domu nie była. Jedynie może wziąć poduśkę pierza i ładnie podziękować z moi strony. Naszego synka ma pilnować jak oko w głowie. Jako ostatni wszedłem do pociągu który zaraz ruszył. Kiwałem długo

kapeluszem płaczący żonie na peronie i rozglądnyłem się po wagonie.

Pociąg był przepełniony naszem wybranem narodem (żydowskiem) który jechał do Francji za geszeft. Kontrola paszportów odbyła się w pociągu podczas jazdy i szła bardzo składnie i szybko. Cieszyło mie to, bo jednak po ośmiu latach już był postęp w Polsce. Miasta i ulice w ładnem stanie. Stacja graniczna Zbąszeń w wzorowem stanie. Już nie tak jak Niemcy mówili: „Mizerna Polska". Kontrola paszportów na stacji graniczny niemiecki szła także szybko. Żydek zawdy ma jakieś niedokładności, ale jakoś to poszło gładko. W dalszem ciągu obserwowałem żydków i żydówek jak się pudrowały i farbowały na twarzy i paznokciach. Zapoznałem się z jednem rodakiem z Westfalji, który był w Polsce na pogrzebie swy matki, a teraz w drodze powrotny. Skazał mi ów rodak jedną żydówke, co malowała usta na czerwono i mówił: „Jak bym ij tak trzasnął w pysk to by wsystkie zęby wyleciały". Przez całą drogę musiałem stać w pociągu, bo „naród wybrany" naturalnie nikomu miejsca nie ustąpi. Około godziny 6 wieczorem byłem już w Westfalji. Zmęczony i strudzony podróżą wysiadłem w Wanne i udałem się do Herne do krewnych aby odpocząć. Ci się bardzo ucieszyli mojem zjawieniem się i pytania nie mieli końca. Z opowiadania słyszałem, że polscy wychodźcy w Niemiec tyż zadnych róż nie mają.

Na drugi dzień jechałem dali do Francji w przepełnionem pociągu żydowstwem i o 12 w nocy byłem w Brukseli (stolicy Belgi). Kilka godzien siedziałem w poczekalni i z rana pierwszem pociągiem jechałem do stacji graniczny Francji gdzie byłem wnet załatwiony i około godziny 9-ty już byłem u swoi gospodyni na stancji. Teraz się zameldowałem na policji i poprosiłem o zmiane dokumentów osobistych, bo teraz jezde żonaty, co zaraz zostało zrobione. Do pracy szedłem na drugi dzień i wsystko w porządku. Każdy grosz wysłałem żonie do Polski.

Że to mój zarobek teraz nie starczył, zaczyłem pracować na kopalni. Więc teraz pracowałem z rana od 7—12-tyj na budowli przy betonie, od 2—10-ty wieczór na kopalni. Do domu przyjechałem około $^1/_2$12-ty w nocy. Teraz gdy pracowałem na dwóch miescach, to mogłem żonie już więcy grosza nadsyłać, ale moje zdrowie się bardzo niszczyło. Pracowałem, bo chciałem żone jak najprę-

dzy do Francji ściągnąć. Wystarałem się wnet o potrzebne dokumenta od władz francuskich i odesłałem do żony, aby się wystarała o paszport i przyjechała. W Polsce to nie jest tak łatwe, bo każdy urzędnik ma swoje zdanie i wymaga różne świadectwa. Tak że sołtys nie chciał wystawić świadectwa, że się w tej gminie urodziła i aż do tego i tego czasu w tej gminie zamieśkała. Sołtys twierdził, że teraz gdy wyśla w Poznańskiem za mąż, to już tamtejszy gminy nic nie obchodzi. Wszędzie było przewlekanie sprawy aż termin ważności tych dokumentów przeszedł — tak że aż trzy razy odnowiłem te papiery i widziałem uśmieszki tutejszych urzędników.

Pomału zaczął się i kryzys w Francji. Żona w Polsce domagała się odemnie aby ją ściągnąć, a ja znów wnet zmysły postradał w mej bezsilny złości. Po jakiś namyśle napisałem do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie prośbe o pomódz. Wyłożyłem sprawe krótko i węzowato i prosiłem o pomoc dla my żony. Skutek był natychmiast, bo żona dostała zawezwanie na starostwo w Wągrowcu. Tu ją pytano ostro dlaczego nie jedzie do Francji do męża. Powiedziała że od pół roku się stara daremni o paszport i jakie trudności ma ze strony biurokracji. Na poczekaniu dostała paszport i przeczytano ij mój list o pomoc do Ministerstwa, oraz dalsze wskazówki aby zajechać do Francji. Ja w tem czasie zostałem w kopalni poważnie pokaleczony w krzyże co nawet dziś (po sześciu latach) jescy odczuwam. Zły byłem że jakiś czas nie będę mógł pracować, a po drugie, że żona nie przyjeżdża. Już zwątpiłem, że to prawda, co mi piszą, że nie można tych różnych i wymaganych świstków papieru wydostać. Napisałem tyż taki list do żony: Kochana żono! Gdy byłem zdrowy to nie mogłaś przyjechać? A teraz gdy jezde pokaleczony, to zostań w Polsce, bo chory nie potrzebuje żony. Leon. Już za pare dnie miałem odpowiedz, że ona by choć na piechote przyśła, ale nie może bo paszportu niema. Za kilka dnie miała paszport i udała się w podróż. W Poznaniu ją konsul francuski zatrzymał, bo podług nowych przepisów nie może wizy dać do Francji. Więc pojechała z powrotem do domu a ja tutaj dostał list od niej, ale taki, co mi gorzy było jak by mie kto wypoliczkował.

Jako ostatnią deskę ratunku pisałem do francuskiego Ministerstwa Pracy w Paryżu prosząc o pomoc. Odpowiedz dostałem na 4-ty dzień że mam za pomocą załączonego przekazu nadesłać

800 franków a żona będzie za 10—14 dnie u mnie. Tyle piniędzy nie miałem ale sobie pożyczyłem i odesłałem. Za pare dnie dostałem list od żony że ma się wstawić wraz z synem do Mysłowic aby jechać do Francji. Ucieszył mie ten list i sobie na jego intencje „jednego" wypiłem. W rezultacie żona była w pierwszą rocznice ślubu u mie. Co za radość dla mie to było, to mi nikt nie uwierzy. Tyle latania i starania i nareście przez rok się skończyły te utrapienia. Ja ją szukałem po dworcych daremnie a żona sama, z adresem w ręku, trafiła, chociaż była mylnie skierowana przez przechodniów.

Na drugi dzień żone i dziecko zameldowałem na policji, bo wiedziałem że władze francuskie nie żartują. Wystaranie się o papiera osobiste dla żony nie miało żadnych trudności. Teraz byli my wsyscy na stancji i musiałem się starać aby z zarobkiem starczyć. Starałem się o mieszkanie kopalniane, które za dwa tygodnie uzyskałem. Byli my tam dwie familje w jednem mieszkaniu. Kupiłem meble jakie żona w składzie wybrała. Było to wtedy bardzo drogo, ale na odpłate się dostało wsystko. Gdy wypłate dostałem, oddałem wsystko z portmonejkom żonie i mówiłem, że teraz ona się będzie musiała starać z temi piniędzmy wyjść. Ja mam dosyć tego starania. Dla żony to było coś nowego bo każdy kartofel albo cebulke trzeba było kupić. Zmartwienia miała więcej jak dosyć, ale go nigdy nie okazała. Zakupy to ja już musiałem przeważnie zrobić, bo żona po francusku nic nie zrozumiała. Na targ musiałem żonie towarzyszyć jako tłumac, bo już umiałem po francusku ale tak, jak tępem toporkiem na płot. I teraz po dziesięciu lat w Francji tyż lepi nie umie. Francuski naród jest dobrze wychowany i się nie śmieje z nieumiejętności drugiego, jak Niemiec, telko stara się mu te rzecz wytłumaczyć na swój sposób (wyraz niemiecki i gestykulacja z ręką, nogą albo całem ciałem). Salwy śmiechu wybuchają dość często, ale zawdy z zadowoleniem rozłączą się.

Ja wtedy jescy dość dobrze zarabiałem ale każdy początek jest trudny. Żywność brałem wtedy na kredyt w jednem polskiem składzie a gdy przyśła ta wypłata, to po zapłacyniu wszelkich długów pozostało mi nieraz jeden — dwa franki, więc to ani na papierosa nie starczyło. Objaśniłem żonie także co powinność żony i męża. Między innem tak, że górnik który tak ciężko pod ziemią

pracuje to mu się przystoi w każdą sobote na wieczór szopka (1/4 litra wódki). Każdego 15 albo 30 miesiąca znowu szopka, w dzień wypłaty — szopka. Żona to pamiętała i za każdem razem szopka była. Dobre czasy były przez jakie pół roku i żona się tyż porozumiała z sąsiadkami, które ją nauczyły coś innego i już te szopki były zawsze — aż nareści ustały zupełnie. Na zapytanie dlaczego tak? to dostałem odpowiedź „Przecież zawdy nie będę głupia". Nima domu bez gomunu! I ja to zaznałem. Z początku gdy mie żona nie mogła przekonać w jakiś sprawie—to płacz, a łza kobiety to najsilniejsza woda i tak zawdy zmiękłem i dostałem się wolno a smolno pod pantofel. Wstyd mi było, że kobieta mie komenderowała. Gdy wyjezdziłem za sprawunkiem na rowerze, to dostałem zawdy na drogę: „A niech tobie dadzą nawrotu!" Razu pewnego byłem w mieście za sprawunkami i się zatrzymałem prześło godzine z kolegami pracy. Jechałem do domu i wiedziałem co mie tam czeka. Przyjechałem, a żony mruczy — mruczy i mruczy, a ja spokojny jakby mie to wcale nie obchodziło. Kobieta w płac, a ja na to: „Nie płac żona, skoda tych łez — bo czem więcy będzies płakać, tem mniej będzies mocz oddawać!" To żem ale coś powiedział bo żona miejsca znaleźć nie mogła. Ja się rozśmiał głośno. „Tyś głupi!" żona na to. Ja na to: „Masz prawde — a najgłupszy byłem wtedy, gdy ja się z tobą żenił!" Teraz ale żona by wnet mury gryzła z złości a ja się śmiał. Chociaż obiad stał gotowy na stole, to go nie jadłem, wziąłem mój chleb i kawe, żonie buzi nie dałem i poszedłem do pracy. Po przejściu 200 metrów odwróciłem się i widziałem jak żona płace i kiwa ręką Wieczorem, gdy przyśłem z pracy, to już jakby nic nie zaszło. Każdy się starał, aby szło jak najlepi. Do kościoła chodziłem aby żone nie drażnić.

A zdarzył się raz taki wypadek. W sobote była wypłata. Po zapłaceniu należności z mebli, żywność mleko, węgiel, gazety i t. d. pozostało nam 2,50 fr. W niedziele rano po śniadaniu, to żona uszykowała jak zwykle moje ubranie i mówi: „Teraz chłopku ubierzesz się i pójdzies do kościoła, bo ja już byłam z rana". Ja też wiele nie mówił, ubrał się i poszedł. W kościele ksiądz zbierał na ofiare i ja chwytam za portmonejke i nie wiele myśląc dałem 1/2 franka bo drobniejszy monety nie miałem. Po mszy wstąpiłem do restauracji na jednego. Wypiłem sobie dwie małe konjaki, zapłaciłem i szedłem do domu na obiad. Mieli my wtedy bardzo cia-

sne mieszkanie a kuchnia i sypialnia były w jednem pokoju. Portmonejke z pozostałemi piniędzmi położyłem na bufet. Po obiedzie ja został przy stole i przeglądałem gazete „Wiarus Polski". Wtem żona na mie z hałasem — co ja z piniędzmi zrobił, bo jest teraz telko 0,80 fr. Wytłumaczyłem, ale to kobieta nie uznaje. Wziąłem płaszcz i kapelusz i szedłem z domu i spotkałem dwóch znajomych. Wciągnięto mie do domu, butelka się wnet na stole znalazła. Wieczorem około 9-ty udałem się do domu, ale już mocno pod gazem i cała ulica była moją. Gdy przyszedłem do domu to kobieta z dzieckiem już spała, ale światło się paliło. Żona miała i ma ten zwyczaj, w poniedziałek wyprać bielizne i w niedziele wieczór wstawia ją w kotle na piec aby się przegotowała. Gdy wszedłem, to para uchodziła z tego kotła i dostałem parę w twarz i natychmiast zasłabłem. Runęłem na bufet gdzie szyba wypadła z dźwiękiem i na podłoge sypały się filiżanki, podstawki i szklanki. Żona jednem susem z łóżka i trzyma mie i ten chwijący się bufet. Jak ja się do łóżka dostał nie wiem, tylko na drugie rano była kupka skorupów. Synek mówił: „Czymu tata był taki pijany?" Żona pokazała mi te gruzy i nie scyndziła delikatnych wymówek. Gdem się tego już dosyć nasłuchał to odrzekłem. Już teraz mam dosyć tego a do kościoła pójde telko w razie pogrzebu albo wesela. Nie mówie tego, żebym był jakieś wrogiem religji katolicki, ale sam nie chce iść regularnie do kościoła co niedziele. Żona już chodzi regularnie tak samo synek. Teraz pacierz żona uczy dzieci, nic mi to nie przeskadza. Chłopak chodzi na naukę religji a teraz gdy liczy 12 lat, to w krótkości do komunji pójdzie. Religja mu nie zaszkodzi. Jak długo ja będę miał mu coś do powiedzynia to do kościoła iść musi, a jak dorośnie, to może robić co mu się podoba. Co drugiemu jest święte, to ja moge też uszanować. Gdy spotkam księdza na ulicy, to kapelusz uchyle, bo szanuje jego nauke a nie człowieka, który może jest jescy grześniejszy niż ja.

Podczas pracy, to górnik przechodzi różnie. Są tutaj robotnicy polskie z wsystkiech stron Polski. Przed pare lat jescy były tarcia dzielnicowe ale teraz tego już niema — tylko Polaków. Nad tem tarciem pracowały w pierwszem względzie: gazety wychodźce księdza, nauczycielstwo i towarzystwa oświatowe jak Koła amatorskie i koła śpiewu. Dużo zasług ma towarzystwo „Pomoc Oświatowa".

Są tyż kilka towarzystw albo związki zasilane przez placówki konsularne — ale wielkiego znaczynia one nie mają.

Gazety polskie wychodzą w Francji aż trzy i każda z innego punktu widzenia. Najwięcy robotnikowi polskiemu oddana jest gazeta „Wiarus Polski". Jest to gazeta narodowa, katolicka i można powiedzić szczery przyjaciel Polakom na wychodztwie. Są tam informacji politycznie narodowe i międzynarodowe, lokalne z pochwałą i tyż z naganą. Zdarzają się tyż i wypadki że nieraz Polak imie Polski shańbi albo że stał się zbrodniarzem. „Wiarus Polski" zamieści tylko w takiech wypadkach krótki notatki albo — świadomie przemilczy. Teraz w ostatnich czterech latach był doradcom w ciężkiem położyniu robotnikowi przy wyrabianiu karty pracy (karte d'indetite). Przyśły bardzo ostre przepisy i było potrzebne wystaranie się o różne zaświadczenia z oddalonych gmin. Robotnik polski w 98% pisać po francusku nie umie, a kazać pisać kosztuje dużo trudu i zachodu oraz piniędzy. „Wiarus Polski" przewidział to i wydrukował po francusku takie listy. Ja sam jeden taki list napisał do władz francuskich w Elzac i odwrotną pocztą dostałem żądany dokument.

W pracy jest Polak bardzo wyzyskany. Praca jest ciężka a Francuz niechętnie w kopalni pracuje bo tam okien nima i pracuje się przy lampie. System klasowy to znaczy podług zdolności danego robotnika. Wszędzie wyzysk robotnika w różny sposób. Robotnik polski jest na kopalniach bardzo cyniony ale zapłaty należyty nie dostanie. Kary pod byle jakiem powodem sypią się jakby z rogu obfitości. Przez ostatnie cztery lata było w zwyczaju $\frac{1}{4}$ — $\frac{1}{2}$ dniówki odciągnąć od zarobku tak że na wypłate robotnik miał $\frac{1}{2}$ do cały dniówki mniej co przy tych marnych casach robotnik dotkliwie odczuwał. Ja sam raz miał całą dniówke preć i do tego jescy 20 fr. kary. Gdy przyniesłem karte wypłaty do domu to żona się tylko zapytała: „Ile amandu (kary) masz?" Gdy było $\frac{1}{4}$ — $\frac{1}{2}$ dniówki, to żona już nic nie mówiła. Polskie sztygary byli najgorsze, bo kary zapisywali na lewo i prawo. Do tego deklasowali robotnika gdzie tylko sposobność się nadarzyła. Robotnicy starają się z sztygarem być na dobry stopie. Więc takie lizusy i donosiciele zapraszają sztygarów do restauracji albo do swych domów, tam im dobrze dadzą jeść i pić do tego oczerniają drugich. Taki oczerniać ma potem dobre oko, a jego oczerniony to-

warzyś pracy już wnet od zmysłów odchodzi bo jedna kara za drugą się sypie, a w domu ma nieraz liczną rodzine, która chce jeść a ojciec choć by się na głowe postawił, to więcy zarobku nie przyniesie jak taki synek od 18 lat. Spotyka się ojców rodziny, najlepszych i wykwalifikowanych górników, co wózki popychają aby żyć, cały cas pracują jako górniki na odpowiedzialnych i niebezpiecznych miescach pracy. Robotnik ma nadzieję, że zarobek będzie lepszy i los swy rodziny poprawi — ale przy wypłacie nowe rozczarowanie, bo zarobek niski jaki był taki pozostał. Gonitwa w pracy niesłychana a do tego na każdem kroku osiem dnie*) (wydalenie z pracy). Taki stan rzeczy był do roku 1931. Gdy te represje już były za wielkie to zostałe rzucone hasło strejku. Cała załoga kopalni przystąpiła do strajku za wyjątkiem sztygarów, jeich synów i wsystkich donosicieli. Podczas strejku opuściła nas organizacja zawodowa (C. G. T.) haniebnie chociaż prześło 100 członków w tej miecowości było. Załoga kopalni około 600 ludzi. Pomoc strejkową dała nam organizacja nieoficjalna kumunistyczna (C. G. T. U.). Strejk trwał osiem dnie i już był prawie wygrany, gdy w ostatni chwili z przyczyn od nasz niezależnych strejk przegrali robotniki. Było tutaj dużo żandarmerji mobile, ale nikomu żadny krzywdy nie zrobieli, bo spokój był. Była sposobność obserwować polską prase wychódzcą. Gazety przekręcali wszelkich wiadomości, tak że wychództwo było świadomo w błąd wprowadzone. Tylko „Wiarus Polski" podawał prawdziwych wiadomości, a brudy świadomo przemilczał. Po strejku robotnik doznał bolesnego upokorzynia bo musiał iść na biuro przed cały sztab urzędników. Około 50 robotników zostało natychmiast wyrzuconych z pracy. Bardzo ciężko się oni późni wystarali o sparcie dla bezrobotnych, które prześło 2½ roku pobierali. Dziś już ani jednego z nich niema, bo zostali wydaleni z Francji. Ktoby myślał, że po strejku, nasz byt się poprawił to się bardzo myli, bo stosunki się jescy pogorszyli. Ja został zdeklasowany w taki sposób, że zarabiam teraz tylko 28 fr.

Polskich stygarów mamy na tej kopalni aż sześciu. Ale ani jeden nie jest otwarty chłop. Zgraja podchlebiaczy i donosicieli oraz oszczercy jest bardzo dużo. Z tych szpiclów już prawie wsyscy umią czytać i pisać po francusku i czekają dwa trzy lata na ten

*) Zwrot francuski: huit jours, tj. osiem dni, zamiast naszego tygodnia.

stołek jako sztygar. Ciężki byt mamy tutaj, a usta otworzyć, to zaraz osiem dnie i z pracy wyrzucą, a najbliższy transport zwiezie nas do Polski. Z listów od znajomech (wydalonech z Francji) można ładne rzeczy się dowiedzieć, jak reemigrantów w Polsce traktują. Chociaż każdy gorąco pragnie choć raz do Polski jechać, aby swą rodzine zobaczyć, to na takie wieście rad jest że ją wcale nie widzi. Mamy tutaj można powiedzieć całą armie młodych ludzi co jescy Polski nie widzieli i rad by zobaczyli ale stosunki na to nie zezwalają.

Ubiegłego roku, to była nędza wśród Polaków bardzo wielka, a najgorzy u bezrobotnych którzy domagali się od konsulatu odesłania do Polski, ale jakoś zostali zawdy zbywane dobrem słówkiem. Ale od tego żołądek nie jest nasycony i jednego dnia Konsulat został atakowany przez bezrobotnych. Konsulat zawezwał żandarmerje która to zajście wnet zlikwidowała. Nastąpiły aresztowania i bandażowanie członków ciała i za pare dni już transport bezrobotnych szedł do Polski. Kopalnie tak samo, robotników pod byle jakiem pozorem zwalniały i odsyłali do Polski. Byli też tacy co dobrowolni wyjechali, ale 1% oni zapewno nie stanowieli.

Gdy przyjechali do Polski, to prasa krajowa podała z oburzeniem że wsyscy w jedwabach i futrach, a teraz to niby biedaków makierują. Tem panom mogę coś powiedzieć. Więc wy panowie przyjedźcie wsyscy tutaj, pracujcie jak my górnicy na kopalni, w pokładach na 40—80 cm wysokiech, odziani telko w spodnie i się napracujcie tak, że pot po całem ciele leci, spodnie przynieście ale do domu co dzień do wysuszynia i naprawy. Prace wykonajcie jak my, to jest zrana kubek kawy i kawałek chleba z szmalcem i dali z dobrą miną do pracy. Gdyście się dobrze napracowali, to bądźcie ale cicho, jak was sztygar albo poganiac wyzwie od nygusów i jescy gorzej powie jak psu. Po powrocie do domu to się najedzcie naszego obiadu, to wam się oczy otworzą. Na kolacje talerz polewki albo kawałek chleba z szmalcem i potem spać. Kawałek mięsa albo kiobasy to tylko na niedziele i raz kiedy w tygodniu. Jak tak przez pół roku pójdzie, to żona napewno będzie potrzebowała towar na suknią, albo na coś innego. Co wy teraz kupicie przy tych marnych zarobkach? Drogie sukno albo wełne, to napewno nie — ale tani sztuczny jedwab, bo to najlepi. Żona albo córka uszyją sobie garderobe sami aby telko było tanio. Te

futra, to skórki od królików które tutaj każdy robotnik trzyma aby mieć kawałek mięsa. Szczerze oddana żona — to skarb dla robotnika.

Ja mam żone i mówie że dobrą. Bo mieśkanie jest zawdy czyste i rad sobie siadam i zabawie się z dziećmi. Poza domem nie zabawie się nigdy. Gdy mam pare franków, to kupie coś do jedzynia i wsyscy razem spożywamy. W niedziele to gazete czytam albo przyglądam się gęsiom albo królikom. Na przechadzkach to towarzyszy mi żona z córką, która się tutaj urodziła. Nasz chłopak, to już ma inne zajęcie jak piłka nożna albo jazda na rowerze. Przed pare laty to zmieniłem mieszkanie. Teraz mam cztery pokoje, szope, chlew i wielki ogród. Mieszkanie mam wygodne, bo jak w łóżku leże, to mogłem nawet do nieba zajrzyć, ale teraz już dziury zatkałem. Ogród mi dostarczy kartofli i jarzyn na cały rok. W chlewie to tylko żona rezyduje. Ja tylko mam prawo co tydzień raz gnój wyrzucić od królików, gęsi i kur i raz kiedyś klatki zreperować. Z tego jest ładny dochód. Z chlewa jest kawałek mięsa i skórki na futra dla żony i dzieci, do tego jaj do stołu nam jescy nie zabrakło. Gęsi nam dostarczą mięsa i pierza do pierzyn. Z małych gąsczaków i kurcząt, to żona pokryje w większy części wydatki na bielizne i ubranka dla dzieci. Jescy mam mały dochód z bliskości granicy belgiski (3 klm). Artykuły żywnościowe są tam dużo tani jak w Francji. Więc się jej tam kupuje. Ale nie można brać więcej jak dwie — trzy rzeczy, bo gdy się trafi na celników, to sprawunki zabierają a gdy tych sprawunków jest wiele, to jest protokół, kara i nieraz i więzynie i wydalenie z Francji.

Miałbym jescy dużo do opisania ale nie mam czasu bo żona mie goni to raz tem, to drugi raz tem. Dali krótko spomne o władze miescowe w tutejszy gminie. Władze są tutaj dla Polaków bardzo życzliwe. Zdarzyły się wypadki że ten lub ów Polak te życzliwość nadużywał, więc zastosowano względem takiego całą surowość prawa francuskiego. Skolnictwo wielki temat. W szkole jest staranie dzieci polskie pozyskać dla Francji. Szkołe polską też mamy, ale siły nauczycielskie daleko nie wystarczają. Gdzie nauczyciel, to jest zależny od konsulatu i ten mu pracy dostarczy aż za wiela, bo w gronie towarzystw Byłych Wojskowych i Strzelca oraz harcerstwa, tak że mu czasu prawie nie wystarczy na te dwie lekcje tygodniowo języka polskiego (dwie godziny). Że to ma swój

ujemny wpływ świadczy najlepi, że dzieci polskie pomiędzy sobą rozmawiają po francusku, zaczepiłem kilka razy dzieci to mi odpowiedzieli: że po polsku nie można tak rozmawiać. Nauka dla starszych jest wielka, bo dzieci języka polskiego nie znają. Nauczyciele dzielą rodaków na dwie klasy. Kto jest w towarzystwie Byłych Wojskowych albo w Strzelcu, to Polak pierwszy klasy. Jego dzieci dostaną w szkole elementarz i nauka jako tako idzie, ale druga klasa, to już: Boże ty widzis. Nauka religi jest pod znakiem prywatnem to znaczy w szkole — nic. Kto dzieciom chce dać naukę religi to musi je posyłać do księdza francuskiego. Po wielkich koloniach nauka religi jest udzielana przez księży polskiech w języku polskiem. Nauka w szkole i religja, to wielkie pole do wynarodowienia. Walczy przeciw temu rozpaczliwie „Pomoc Oświatowa". Jest to organizacja oświatowa, stworzona przez samego robotnika. Z rządu polskiego funduszu nie dostaje. A składki robotnika, chociaż chętnie dane, ale skromne więc też swego zadania w zupełności podołać nie może. Wynarodowienie postępuje i dużo Polaków jest już neutralizowanych. Tego nie można tolerować. Już w Niemiec dużo polskiej młodzieży zmarnowano, a tutaj tego samego, nie wolno!

Nasze położenie jest tutaj bardzo ciężkie. Jednem słowem ciężka praca, lichy zarobek i stale wydalanie do Polski transportami. Położenie górników było tak ciężkie, że wsystkie związki zawodowe górników proklamowali strejk na 1-go maja 1936 r. Jednak, chwała Bogu do strejku nie doszło, bo została podpisana umowa przez robotników, związku właścicieli kopalń i Ministerstwo Pracy w Paryżu. W tej umowie było respektowanie umowy taryfy płacy i lepsze traktowanie robotnika. Teraz na końcu maja można już powiedzieć że zarobki nie ulegli żadny zmianie, tylko już robotnik będzie traktowany lepi i kary nie sypią się jakby z rogu obfitości. Zarobki można sobie poprawić w drodze zażaleń i innych— ale niem tłusty schudnie — to chudego już dawno diabli wzięli

Prześli my tutaj szczęśliwie okres wydalenia i Polak już oddychał swobodni kiedy już fala wydaleń na nowo uderza. Co nas tam czeka w Polsce? W każdem razie nic dobrego. Listy pisane przez repatrjantów nic dobrego nie zawierają. Ale i prasa nasz tutaj ładnemi artykułami częstuje. Proszę przeczytać załączony wy-

cinek. Jak to z biedną ludnością się obchodzą. Zdarzenia w Krakowie i Lwowie tłumaczą dobitnie głód i nędze.

Wysiedlenie Polaków z Francji trwa nadal, choć prasa francuska i polska ostrzega, bo te ludzie będą jescy potrzebni do pracy w kopalniach. I tej chwili my się doczekali, bo pośrednictwa pracy już teraz szukają ludzi do pracy. Górników szukają także kopalnie rudy żelazny w Elzas. Byli tutaj agenty dla werbunku, ale wiela posłuchu nie uzyskali. Kopalnie rudy żelazny ogłaszali w polskich gazytach anonsy że poszukują robotników polskich do pracy. Moje myśle są: jeżeli bym miał jescy raz do rudy iść pracować, to już wole do Polski albo popełnić samobóstwo.

Wyjechali rodaki z Dourges do Polski a drugi transport zapowiedziany za kilka dnie. Z czym pojechali? Każdy miał familje więc też i chłopot. Oszczędności prawie nikt nie ma, bo życie jest tutaj ciężkie i drogie. Jeżeli który ma 2 — 3 tys. franków, to wyjątek i je potrzebuje, bo w Polsce czeka go bieda, że toporkiem by ją nie odegnał. Wsyscy zabrali swoją garderobe i bielizne w kuferka i walizki. Za pare dnie może już prasa krajowa będzie pisała o biednych reemigrantach, którzy mają całe kufry i walizki zapakowane garderobą i bielizną a paradują w Polsce w futrach i jedwabiach. Niech teraz ktoś pomyśli: co oni w Francji zostawili?

Całe urządzenie domowe, dali swoje zdrowie, bo nikt, który pracował przez kilka lat w kopalni nie jest zdrowy. Pojechali też kaleki bez renty. Zostawieli też kilkaletnią składke na starość a teraz nie dostaną nic. Co ich czeka w Polsce? Na dworcu w Zbąszynie szklanka herbaty, dali postój w ogonku jako bezrobotni. Na dworcach w Polsce zgraja złodziei albo oszustów. Mieszkanie i pracy nie znalezie chyba gdzieś w stodole albo w chlewie. Przyjdzie też i nocować pod gołem niebem i zatargi z policją z tego powodu.

Co ma Polska z emigracji zarobkowy? Tu już jest dużo do pisania ale krótko powiem: 1) pozbędzie się nadmiaru robotników, 2) niema tyle bezrobotnych i bezdomnych, 3) dopłew piniędzy z emigracji jest wielki i 4) dostanie w prezencie dużo kalek jakby Polska była tylko jednem wielkiem szpitalem.

Co ma Francja z imigracji? Po piersze dopłew zdrowy i świeży krwi. Po drugie taniego robotnika który kapitał już wyzyskuje

na swój sposób. Jako trzecie, Francja zniściona przez wojne światową, jest doskonale odbudowana.

Opłaci się robotnika wysłać na emigracje? Szczery i rozumny robotnik powie po sto razy, że nie. Bo naród się wynaradza i resztki powrócą do Polski jako spracowani i kaleki. Majątku nikt nie zbierze i będą tylko ciężarem dla państwa.

Smutne wieście z Polski tyż się do nas dostają.

Miałbym jescy dużo do opisania w sprawie teraźniejszy, jak małżyństwa dzikie albo na knebel (wolna miłość), kupiectwa polskiego w Francji, Banku P. K. O. i wiele innych. Oszczędności ja prawie nie mam bo te dwa tys. franków nie można liczyć. Życzynie moje jest do Polski powrócić, bo tutaj siły moje są nadwyrężone, zdrowie i życie na każdem kroku zagrożone. Naprawde — ciężkie życie emigranta.

Część VI. Dokończynie

Napisałem ten „Pamiętnik Emigranta" ale bardzo mało. I to z tego powodu, że nie jezdem żadnem pisarkiem, muszę pilnować prace na kopalni i koło domu do tego muszę patrzeć aby się nie narażać władzom krajowem. Opuściłem kilka ważnych tematów i teraz będę się starał krótko to uzupełnić.

Jakie marne zarobki mamy, to już napisałem. Ja zarabiam 28, 25 fr. co jest bardzo mało. Są i zarobki 38 fr. — 42 fr. ale bardzo rzadkie i w większości dla podchlebiaczy. Taki bezwstydnik ofiaruje sztygarowi wódki, króliki, szynki i zdarza się też, że nawet swoją żone jeżeli ona młoda i rajcowna.

Wolna miłość na wsystko pozwala. Przed kilku laty widziało się w polskich gazetach takie drobne ogłoszenie. Ostrzegam przed udzielenim kredytu mojej żonie ..... z domu..... która mie opuściła z p..... bo za nic nie odpowiam. Takich ogłoszeń było co dzień jedno — cztery. Teraz w tem kryzysie naturalnie się to rzadko zdarza. Ale na to miesce są ogłoszenia że żona swego męża szuka po dwóch — trzech latach opuścynia. Wolna miłość pozwala także, że kobieta z mężczyzną mieśkają razem i używają spólnego łoża. Dzieci z wolny miłości przeważnie idą do asistanse publik*) (wychowanie rządowe). Trafia się też, że żonate chłopy z dziewczyntami mieśkają na knebel. Teraz, to już dużo takich jest

*) Tj. assistance publique.

wydalonych a dzieci w Polsce mają swego ojca — matkę z powrotem. Nieślubne dzieci też marny los i zdarzają się wypadki, że ojciec w Polsce ma rodzine o którą się wcale nie stara. Jeżeli ojciec nieślubnego dziecka jest kawaler, to małżyństwo, albo ucieczka do Polski. Wyskarżyć sądownie alimenta jest bardzo trudno. Utrapienie rodziców dorosłych córków wielkie. Panna lat 20-cia to już za stara. Więc rodzic jest rad gdy może córkę zamąż wydać. Widzi się panny 15 — 17 lat na ślubnem kobiercu. Takie małżyństwa to nic dobrego i starsi ludzie mówią tak: „Takiem to dać rysik w łape, jednego w pape i marsz do szkoły". Wolna miłość jest wielki grzech, bo kończy się albo tragedją lub dramatem więzieniem albo gilotyną albo chorobą wenereczną.

Przechodząc przez kolonje polską w Francji zauważy się dużo składów kolonialnych i oberżów, szewców, krawców, piekarzy i rzeźników polskich. Na pierwszy rzut oka człowiek się cieszy i podpiera Polaka w myśli: Swój do swego! Kto się bliży przyjrzy, to wnet widzi, że tu jest ten za klienta uważany, kto bierze na kredyt i to jescy dużo. Dla robotnika — kredyt to zguba. Weźmy taki przypadek codzienny. Robotnik ten lub owy nabierze na kredyt za 400 fr. towaru. Jego wypłata ale wyniesie ledwo 300—350 fr. Więc zapłaci wiele może a reszte zostawi na drugą wypłate. Teraz w składzie ale już nie będzie poważany i za drogie piniądze kupi lichy towar. Gdy się takie więcy razy zdarzy, to będzie robotnik oddany pod sąd do sędzia pokoju gdzie jescy koszta dochodzą i należność będzie mu odciągano od zarobku. Polskie kupiectwo w Francji, to patrzy, aby się rychło i dużo zbogacić. Zdarzy się robotnikowi jakiś wypadek albo choroba — to niema piniędzy, a lekarz prędzy rękawy nie zawinie, dopóki piniądze na stole nie leżą. Więc prec z kredytem.

Ja sam był chory dwa razy. Pierwsze to było takie ostre przeziębnięcie przy pracy. Za osiem dnie już było dobrze. Druga to już była choroba zawodowa (wrzody) i cierpiałem 4½ roku. Przez cały ten czas byłem wrzodami oblepiony i musiałem iść do pracy z biedy i nędzy. Święciłem chory (malade) 3 — 5 razy do roku (rocznie z trzy miesięcy) gdy liczba wrzodów dochodziła 30. Może się kto uśmiecha to niech ino idzie na kopalnią. Z kasy chorych to pobierałem dziennie 7 fr. Jezdy tyż w polskiej Kasie Samopomocy i pobierałem dziennie 5 fr. Więc podczas choroby pobiera-

łem 12 fr. więc biedę klepałem. Chodziłem po aptekach i lekarzach, prosiłem o skuteczne lekarstwo ale nic. Dali mi tam jakieś leki albo pigułki za drogie piniądze i nic. Wrzody jak się waliły, to się waliły. W rozpaczy poszedłem raz do Belgi i wstąpiłem do apteki. Aptekarz wysłuchał moją prośbe (po niemiecku) i dał mi butelke lekarstwa, ale ostrzegł mie, abym za wiele nie zażywał. Na drugi dzień już z łoża nie mogłem wstać. Lekarz francuski zrobił wielkie oczy gdy widział moje wrzody. Zapisał herbaty i flastry i sobie poszedł, rad że piniądze są w kieszeni. Na trzeci dzień ale wrzody były grube jak dwie pięście. Żona je przebiła igłą i wyleciała ropa czarna jak smoła. To lekarstwo było tanie i pomogło od razu. Już teraz osiem miesięcy wrzodów nie mam.

Żona moja chora była raz na poczilśne nowiny (poród) a potem ij noga w całości usychała, tak że ani chodzić nie mogła. Przed lekarzem broniła się zawzięcie aż ze ij to raz wytłomaczył, że za jakieś czas te nogę trzeba uciąć albo ona umrze. Teraz już poszła ze mną do lekarza ze strachu (rzeczywiście ja miał więcy strachu niż ona). Ja porade zapłaciłem 15 fr. za lekarstwo 75 fr. ale za tydzień już żona stajera tańczyła. W familji choroby nie miałem bo jak dziecku brzuch, głowa albo ręka boli — to nie choroba.

Organizowane jest tutejsze wychództwo w różnych związkach. Najpoważniejsze są związki tow. katolickiech, tow. Polek, Sokołów, Śpiewaków, tow. tyatralnych. Związki Byłych Wojskowych i Strzelec grają już mniejszą role, chociaż mają poparcie konsulatów. Rada porozumiewawcza, to już wcale nie mówić. Światowy związek Polaków zagranicą by miał lepsze powodzynie tutaj, żeby delegat robotnik w Warszawie miał lepszy głos. Słychać o niem telko na polskich biurach, a robotnik nic nie wie albo milczy.

Z wielką ulgą przyjęło wychództwo wiadomość o utworzeniu w Paryżu filji banku P. K. O. Nareście wychództwo może swoje uskładane grosze tam składać i spokojnie spać. Już P. K. O. ma kilka agencji na prowincji a wychództwo z tego skorzysta. Jedną rzecz tam trzeba naprawić i to dyskrecje. Jeden handlarz francuz z tutejszy wioski mówił mi ile dwóch Polaków ma piniędzy na agencji P. K. O. w Valenciennes.

Trzeba skończyć i teraz nasuwa się pytanie: Czego ja na emigracji się dorobił? Więc powiem tak w prostych słowach: 1) zła-

maną nogę, 2) złamaną rękę, 3) poturbane krzyże, 4) jedno dziecko, 5) oszczędności dwa tysiące franków.

Listów, abym piniędzy odesłał mam jescy kilka a całe stosy spaliłem. Przy zbiórkach na łódź podwodną albo dla powodzian z Małopolski też swój datek dołożyłem. Z tej miejscowości może 50 familji zostało wydalonych do Polski, trzy familje wyjechały dobrowolnie. Jedna bo był mąż chory, drugą to familja wołała, a ta trzecia, chciała dzieci (8—17 lat) dla Polski zachować. Ja sam będę musiał do Polski powrócić, aby mój synek się jakiegoś rzemiosła nauczył. Do kopalni i emigracji ja moje dziecko nie dam, nie — nie.

Dn. 22 marca 1936 r.

Pamiętnik Nr. 10

Szewc rodem z Tarnowa
ur. w 1893 r.
(Konk. im. St. Gawrońskiego)

Od 1914 roku w armii austriackiej do roku 1918 listopada — wojna z Rosją wstąpiłem na ochotnika zaraz w grudniu 1918 i znów powróciłem w 1921, w lipcu ubranie wojskowe zdjęła ze mnie policja, pożyczyłem sobie ubranie od szwagra na chwileczkę i poszedłem szukać pracy. Tarnów — Kraków — Kielce, Radom, Grodno Wilno, Lwów to trasa którą pieszo przemierzyłem, o pracę trudno tak że więcej byłem bez pracy i handlowałem głodem, po przepracowaniu otrzymywałem zapłatę że nie było mowy wyżyć a nawet kupić sobie bielizny i zapłacić mieszkania. Pierwszy rok zarobiłem w ten sposób dobrze. Powołano mnie na ćwiczenia wojskowe po skończeniu tychże dostałem bilet na powrót, bilet ten sprzedałem a sam udałem się do Mysłowic gdzie po różnych tarapatach zostałem przyjęty, umyty ostrzyżony i do pracy na kopalnię za zdolnego uznany. Cztery dni w Mysłowicach i śpiewem nie rzucim ziemi pożegnaliśmy naszą kochaną Polskę.

Marne życie podczas drogi świńskie poprostu i na trzeci dzień przybyliśmy do Toul. Każdy kto tu był ten na całe życie pamiętał będzie te pierwsze dni pobytu we Francji, brud wszy i pluskwy tumany prochu które się unosiły z czarnych jak murzyn w nocy sienników, w siennikach po garstce startych na proch wiór drewnianych, brak światła i wszystkie inne t. p. przyjemności, których się wyrzekłem i korzystając z wielkiego placu przed barakami tam się przeniosłem. Sama droga z dworca do baraków przedstawiała

się mi tej pamiętnej nocy jak odwrót Austryjaków z pod Lublina. Kto nie mógł nadążyć za przewodnikiem ze swojemi bagażami i ustał ten zostawał na drodze i po chwili odpoczynku szedł naprzód. Płacz dzieci, krzyk ojców obładowanych tobołami, biadanie kobiet to dzwoni mi w uszach po dzień dzisiejszy, byli i tacy co dopiero rano doszli do baraków, zostawili żony i dzieci na dworcu i potrochu przenosili bagaż pod baraki i później dopiero przynieśli dzieci. W kantynie wyzysk za wszystko ceny potrójne, kantor wymiany płacił połowę wartości ale co było robić. Cztery dni przeszło — podzieleni na poszczególne grupy i znowu odjazd na dworzec. Jedno mi się spodobało czystość kuchni w barakach gdzie od noża aż do stołu i podłogi wszystko bez śladu nawet brudu lub prochu. Ale czystość zawdzięczać należy Polakom którzy za otrzymanie nadwyżki jedzenia chętnie się do tej pracy zgłaszali, oni to myli wszystko do śnieżnej prawie białości. Bagaże z baraków na dworzec odwieziono już furmankami za co naturalnie ich właściciele zapłacić po parę franków musieli. Na dworzec przybyliśmy cztery godziny wcześniej a to widocznie dlatego żeby nie jeść kolacji w barakach. Obserwowałem wszystko i chciałem zauważyć jakąś różnicę między dworcami w Polsce a we Francji, nie widziałem żadnej na razie. Widziałem tylko i dobrze zauważyłem jak traktowano nas i wskazywano palcami jak na jakich natrętów — widziałem że Francuzi niechętnie na nas patrzą i uważają nas za jakichś niższych od siebie. To samo mógł każdy zauważyć. Widziałem tę grzeczność u funkcjonarjuszy kolejowych, podczas gdy jakaś kobiecina nadawała swój bagaż zawiązany na cztery rogi i ten się rozwiązał, wyrzucił jej spowrotem na ziemię krzycząc na nią, całe szczęście że ona nic nie rozumiała jak i ja naturalnie. W Toul nauczeni wszyscy zarobić na Polakach to nawet i walizka szkodzi portjerowi i chciałby żeby mu dać franka za to że on jej nie każe dać na bagaż a łaskawie pozwoli zabrać do wagonu i ja miałem to zdarzenie ale nie ustąpiłem i pomimo że czekałem do ostatka obeszło się bez opłaty gapowego. Wreszcie odjazd z kochanego Toul do Pas de Calais zagłębia węglowego. Przez jakie przejeżdżałem okolice nie wiem, jeden pamiętam dworzec w Reims gdzie sobie kawę wypiłem i kupiłem dwie bułki a w jaki sposób zdobyłem pieniądze na to także muszę napisać. Do przedziału w którym jechaliśmy siadł jakiś Francuz. Gdy zobaczył Polaków chciał zawrócić,

ale pociąg już ruszył, ja w klapie od marynarki miałem szpilkę w formie samolotu, przypięto mi to gdzieś w Krakowie gdy ofiarowałem parę marek na L. O. P. Pytał mi się czy jadę jako mechanik do fabryki europlanów, powiedziałem naturalnie że tak, pytał czy w Polsce są europlany, śmiałem się bo myślałem że żartuje, rozmawialiśmy po niemiecku wprawdzie nie umiał dobrze ale zato opowiadał że on trochę już zapomniał. Był ubrany pierwszorzędnie, wyglądał na adwokata a co najmniej na to że nie jest tak głupi jak był w rzeczywistości. Pytał się czy w Polsce są koleje tramwaje i czy też są takie fabryki i tu pokazał mi przez okno wagonu jakąś cegielnię. Ja pokazywałem mu fotografie z Polski a między innemi fotografie wojska na dworcu w Równem z trzema Francuzami. Pokazałem mu pociągi pancerne polskie w których walczyłem. Pokazywałem kolegów pobitych przez bolszewików obdartych z ubrania i to zapragnął kupić, była to pamiątka ale 100 fr. też dobre więc sprzedałem tak zarobiłem pierwsze sto fr. we Francji. Wreszcie przyjechaliśmy do stacji Noeux les Mines i tu wysiedliśmy, stacyjka mała czarna, wszędzie naplute pełno papierków. Koło stacji widziałem koksownię niedaleko i kilka szybów kopalni węgla, zajechało auto „kamion", zabrało nas główne biuro kompani, tam zapisano, zbadał nas lekarz kopalniany i rozwieziono po różnych szybach tegoż towarzystwa. Ja i kilku innych zostałem przydzielony na szyb Nr. 6 w małej wiosce może ze dwadzieścia domów ale zato o dziewięciu karczmach zwanych tu „estaminet". Pierwszy obiad był dla nas zamówiony i czy kto jadł albo czy mógł go jeść o to się nikt nie pytał. Przy pierwszej wypłacie miał on być potrącony. Po obiedzie przyjechał na rowerze tłomacz kopalniany Polak naturalnie, nazwiskiem Wawrzeń może to jego imię? Ale w każdym razie pan tłomacz jak się dowiedziałem dobrego zrobić nic nie potrafi ale zato złego wiele tym którzy nie mogąc się zmówić jego w czemkolwiek potrzebować muszą, drogo ich to kosztuje wtedy bo kieszeń u niego głęboka a gardło zawsze suche. Tłomacz taki jest panem absolutnym jak dalaj lama w Tybecie. Znałem tylko jednego ale gdy takich jest więcej to marnie dla robotnika to wróg swoich braci, nienawidzi każdego kto się sam zmówi bez jego pomocy. On chciałby żeby zawsze starszych wypędzali a przywozili nowych to dla niego interes, na kopalni nikt go nie poważa i dobrego słowa o nim nie powie to lizun bez ambicji, bez honoru

niegodny miana człowieka. Tłomacz ten zaprowadził nas na mieszkanie do baraków kopalnianych z blachy, dziur pełno, okna powybijane wystawione widocznie dla koni może przez Niemców w czasie wojny, tak jeszcze nie mieszkałem w swem życiu, mieszkałem w szałasie koło Dornej Watry Kimpolungu koło Besztercze w Siedmiogrodzie ale w takiej norze znalazłem się znów pierwszy raz w życiu we Francji. W okopach nad Stochodem a i to już przyjemniej było. A tu dla robotnika polskiego takie mieszkanie zapewniła taka bogata kompania której akcje stale szły w górę i oni śmieli pisać w kontraktach że mieszkanie zapewnione i z Polskiej strony nikt się nie zapytał jakie te mieszkania czy możliwe dla ludzi, dobry gospodarz by tam konia nie wprowadził boby mógł nogę złamać lub od przeciągu zachorować a tam wśród gnoju i robactwa miał mieszkać robotnik polski i odpoczywać po potwornej pracy w szybie głębokim na 812 metrów. I ja więc podziękowałem za to zapewnione w kontrakcie mieszkanie i przy pomocy Polaka który tu już dawniej pracował poszedłem szukać mieszkania i znalazłem łatwo u pewnej francuskiej rodziny. Chociaż i Polaków tutaj więcej po koloniach familijnych jak Francuzów bo prawie 80% ale sądziłem że prędzej po francusku się nauczę mieszkając między nimi i nie omyliłem się, po roku mówiłem lepiej po francusku jak tłomacz zaco tenże nie miał oka na mnie.

Na drugi dzień maszerowałem już do roboty na kopalnię węgla pierwszy raz w życiu 6 sierpnia 1923 r. w lakierowych półbucikach w bronzowym ubraniu bo innego nie miałem. Wyśmiewany przez innych, dostałem łopatę lampę i tak uzbrojony zjechałem na dół i zaprowadzono mnie do miejsca pracy, po ośmiu godzinach wyjeżdżałem czarny jak smoła, w podartem ubraniu, z odparzonemi do krwi rękami na powierzchnię, jeden dzień przepracowany 36 fr. zarobione, po przybyciu do domu zasnąłem natychmiast i bez jedzenia i picia spałem do dnia następnego i znów do pracy, bolały mnie wszystkie kości ale postanowiłem przetrzymać przecież podarłem ubranie i buty, muszę zarobić na drugie, wmawiałem w siebie że się przyzwyczaję, bo innego wyjścia nie było. Tak przeszło dni czternaście. Czternaście dni we Francji i pierwsza wypłata. Przed wypłatą dwa dni Francuzi z którymi pracowałem byli bardzo grzeczni, stale mi coś tłomaczyli, kazywali mi sobie odpoczywać co chwilę aż wreszcie wytłumaczyli mi że jutro wypłata i że będę pił,

że jutro wypłata to wiedziałem bez ich tłumaczenia, a o piciu to myślałem że mi przypijają do tego że Polacy po wypłacie lubią popijać aż wreszcie zrozumiałem że się rozchodzi o to że oni by chcieli żeby im zafundować, wytłumaczyli mi to aż nadto wyraźnie, ale postanowiłem sprobować, z $^1/_4$ litra koniaku w torbie szedłem do pracy po wypłacie. Zaraz na wstępie macali w mej torbie a znalazłszy flaszeczkę napili się po troszku zawołali sztygara, ten także pociągnął, namawiali i mnie żebym się napił ale przyznać muszę że gryźli oni tytoń a ciecz tytoniowa zmieszana ze śliną lśniła się zawsze na ich wargach z tego to powodu nie miałem ochoty pić z tej samej flaszeczki. Dniówkę przerobiłem, flaszeczka była prawie pusta, na odchodne wypili reszte, ja prawie nic nie robiłem, za mnie ładowali wózki odpychali a co chwilkę mówili ty „bon garçon". Od tego czasu nastało inne życie, robiłem bardzo niewiele a zarabiałem więcej jak inni, wszystko to zrobił koniak. Pewnego razu sam pan Sztygar we własnej osobie oznajmił mi że gdy kupuję koniak żebym kupował u jego matki bo ona ma estaminet i że tam jest lepszy. Po wyjeździe na powierzchnię pokazał mi estaminet swej matki i od tego czasu miałem dobrze dzięki dobremu koniakowi, nigdy mi nie dano robić coś cięższego, śniadanie mogłem jeść godzinę a wszystko dlatego że byłem „bon garçon", tak przeszło dziewięć miesięcy. Nie miałem krzywdy od Francuzów, całą dniówkę nieraz czekałem na coś co miałem przywieźć na miejsce pracy i nieraz się dobrze zdrzemnąłem, aż pewnego razu nadybał mnie pan tłomacz na takiem czekaniu i oskarżył przed inżynierem, obtrącono mi pół dniówki dzięki panu tłomaczowi, Francuzi którzy pod tym względem są bardzo czuli i którzy małej nawet kary dwóch franków niełatwo zapominają, litowali się nademną i mówili aby po wypłacie nie kupować koniaku zato ale ja i tak kupiłem, a gdy pewnego razu nie przyszedłem jeden dzień do pracy sztygar pamiętając dobry koniak dniówkę i tak mi zapisał. Muszę nadmienić że jestem wyzwolonym szewcem i w wolnych chwilach a także w niedzielę naprawiałem i robiłem nowe obuwie co mi dawało niezły dochód. Dla robotnika francuskiego niema niedzieli ani święta, do południa w niedzielę pracuje zawsze, po południu bierze koguta do worka i idzie na walkę kogutów. Widząc Polaka że spaceruje w niedziele mówią że leń. Ja byłem u nich dobry bo pracowałem w niedzielę. Moi gospodarze lubieli

także kawę z rumem ale rumu nie pili bo to drogo kosztuje, na jakieś święta kupiłem flaszkę rumu i poczęstowałem ich, od tego czasu byłem także „bon garçon" a trzewiki czyścił moje także gospodarz i stale pytał czy mam jeszcze rum? Każdą niedzielę wlałem mu troszki do kawy a on chwalił między Francuzami jaki ze mnie dobry szewc jak dobrze robię i t. p. znosili ludziska obuwie i byłbym tego nigdy nie przerobił żeby nie przypadek, zostałem ranny na kopalni przez spadające kamienie i nie pracowałem przez kilka tygodni więc robiłem dniami i nocami szewstwo, zarobiłem więcej jak na kopalni i zacząłem szukać roboty gdzieś w swoim fachu zwłaszcza że kontrakt się miał ku końcowi a na kopalni nie myślałem dłużej zagrzewać gdyż do pracy tej potrzeba końskiego zdrowia i siły. Czternaście dni naprzód wymówiłem prace ku wielkiemu zmartwieniu Francuzów którym nie tyle o mnie co o ten koniak chodziło i ruszyłem do miasta aby szukać pracy jako szewc. Nie poszło mi to trudno, robotnika potrzebowano wszędzie a tu trzeba wiedzieć że we Francji jest bardzo mało dobrych rzemieślników którzyby jakąść pracę od początku do końca wykonali. Rodzice prowadząc 13-letniego chłopca do nauki rzemiosła pytają się zaraz ile mu będą płacić tygodniowo, lub za godzinę. Majster więc płaci parę franków a chłopiec aby nie próżnował dostaje taką pracę jaką od pierwszego dnia wykonać może i najczęściej w tej robocie lub przy tej maszynie staje się specjalistą i w razie gdy straci te pracę szuka tej samej tak długo aż ją znajdzie lub pracuje stale na miejscu przez całe życie. Można spotkać szewca który całe życie bije gwoździe i nic innego nie umie. Ślusarza, który 47 lat odkręca śrubki, krawca co wyciąga ściegi od fastrygi. Rzemieślnik obcy jest pożądany wszędzie, skończy on swą prace tak jak ją zaczął i dawniej był poprostu z rąk do rąk wydzierany. Znalazłem i ja bardzo łatwo pracę w Pas de Calais w miasteczku Auxi le Chateau u pana Rychtona, wyrabiał on luksusowe obuwie damskie, ręcznie zatrudniał tylko obcokrajowców 64 Polaków 12 Hiszpanów kilku Węgrów i 5 do 6 Francuzów którzy u niego jeszcze przed wojną pracowali. Pracował na eksport Londyn Nowy Jork — Buenos Aires to były jego rynki zbytu. U niego zacząłem pracować i pierwszy tydzień zarobiłem 600 fr. a później 900 i więcej. Doskonałe życie, wygodne mieszkanie, inni ludzie jak na kopalni. Przepracowałem tutaj rok, ubrałem się elegancko, odesłałem

szwagrowi za pożyczone swego czasu ubranie i pozostało mi 16 tys. franków w kieszeni, byłem pierwszy raz w życiu bogaty. Zjawił się jakiś agent obiecał większy zarobek i wyjechałem wraz z dwoma kolegami do Marsylji, tam było jeszcze lepiej. Majster nasz nie znał się na robocie wcale, fuszerowaliśmy aby zrobić dużo i dużo zarobić, tak było dziewięć miesięcy. Pewnego razu cały transport obuwia wrócił jako niedobre. Zrobił się ruch krzyk szum, ja spakowałem manatki i odjechałem szukać pracy do Paryża. Miałem już 28.000 fr. W Paryżu się troszki zabawiłem, za tydzień pękło dwa tys. franków, ale robotę znalazłem i znowu zarabiałem 900 i 1000 fr. tygodniowo. Ale Paryż to za drogie miasto, tutaj nie mogłem już dużo odłożyć i za siedem miesięcy miałem 34.000 fr., postanowiłem jechać z powrotem do pana Rychtona aby niby odwiedzić kolegę a wcisnąć się tam do pracy. I sztuka się udała. Gdy mnie tylko ten pan zobaczył zaprosił na obiad i wszelkiemi sposobami namawiał abym pozostał u niego, wymawiałem się jak mogłem, w duchu zaś cieszyłem się że będę mógł tutaj pracować. Powiedziałem mu że tam pozostawiłem kaucje i że mi przepadnie, bez jednego słowa wyjął dwa tysiące jako zwrot za rzekomą kaucję i kazał mi pozostać. Zarabiałem bardzo dobrze do 12 setek często tygodniowo, robiłem znów 16 miesięcy i oszczędzałem na dobre, po obliczeniu miałem 84.000 fr. i pojechałem sobie odpocząć. Powprawiałem sobie zęby i szukałem panny mając zamiar się żenić, gdzie się tylko dowiedziałem o jakiej Polce zaraz starałem się ją poznać. Poznałem dziesiątki dziewcząt pracujących po fermach, fabrykach, po miastach jako służące, poznałem ich życie jak się mówi od a do z. Gdybym był pisarzem a nie szewcem napisałbym książkę pod tytułem „Zbrodnia o pomstę wołająca". Bo co te dziewczęta przechodzą w obcym kraju to żadne pióro nie opisze, żaden mówca nie wypowie. Z tysiąca jedna może trafiła na miejsce gdzie ludzie byli jak się to mówi dobrzy, którzy za pracę zapłacili, w chorobie od pracy zwolnili a nawet leczyli. A reszta? Ta reszta to przepadła w tłumie Paryża, Lyonu, Marsylii, Bordeaux, Lille i innych miastach. Dziewczęta te zapełniły dziećmi „Assistance Publique" których stamtąd nigdy nie odbiorą. Inne poszły mieszkać na wiarę. Bo niejednokrotnie i na wyrobienie papierów na opłaty tłomaczy konsulatów i t. p. nie miały pieniędzy. Reszta rozrzucona po dalekich fermach, zdana na łaskę i niełaskę skąpego chłopa francuskiego pracuje od rana

do nocy za 180 i 200 fr. miesięcznie, nie zna ni święta ni niedzieli, nie wie gdzie się udać gdzie użalić, pisać i czytać często nie umiejąc. Istnieją wprawdzie na papierze jakieś tam opieki nad polskiemi dziewczętami ale skąd ona wie o tem, skąd weźmie adres, wkiedy tam pojedzie, jest to prawie że niewykonalne dla takiej dziewczyny. Ziemia francuska rodzi lepiej od czasu jak Polacy zaczęli tu przyjeżdżać a to dlatego że ją Polki łzami głęboko przemoczyły. Ale nie będę więcej o tem pisał, być może jaki ksiądz opisze gehennę tych kobiet które stracone są na zawsze dla wszystkich. Ja będę pisał dalej o sobie, w czasie tej wędrówki czy tego odpoczynku nie wiem jak to nazwać szukałem kobiety dla siebie. Radbym się był żenić ze wszystkiemi aby ulżyć ich doli lecz trudno musiałem wziąść tylko jedną. Od poznania naszego do ślubu przeszło pięć tygodni. Teraz jestem żonaty i więcej nie myślę jeździć po Francji dla przyjemności zwłaszcza że czasy ogromnie się zmieniły. Dawniej wszyscy zarabiali, bawili się ubierali, kto miał rodzinę posyłał pare franków do domu. Stale przyjeżdżały transporty a mało kto wracał do Polski chyba na dwa lub trzy miesiące. Obecnie jest odwrotnie. Polacy po miastach pobierają po 7 fr. dziennie zasiłku, po wsiach pracują prawie tylko za życie. Fermer płacze bo pszenica staniała a robotnik płacze, bo chleb drogi, setki ludzi bez pracy nie setki ale tysiące. Śpią po stogach siana, po starych fortach i okopach, tam ich wyłapuje policja, niejedni biją rekord idą pieszo z południowej do północnej Francji aby wreszcie odpocząć w areszcie za włóczęgostwo. Co do stosunku ludności francuskiej do polskiej, to nie mówiąc o arystokracji która wyraża na bankietach sympatie dla zaprzyjaźnionej Polski okrzykiem „Vive la Pologne“ i „Vive la France“—stosunek ten w rzeczywistości jest następujący. Gdy Francuz korzysta z Polaka to mu jest bardzo grzeczny, liczy mu drożej ale chociażby na nim zarabiał lat dziesięć a później z powodu choroby lub innego nieszczęścia pozostał mu winien, nazwie odrazu wszystkich Polaków „boches“. Gdy Polak pracuje od rana do nocy to dobry a nawet w odpust czy tam „Ducasse“ da mu pół szklanki kwaśnego wina. Ale gdyby robił lat dziesięć nawet a raz sobie podpił to go przezwie pijakiem leniem. Pomimo że sam gospodarz często co dzień prawie pijany do domu wraca. Polacy nienawidzą Francuzów i niech sobie mówi kto co chce słowo wstrętny „katan“ jest na ustach każdego robotnika Po-

laka. Przeciętny Francuz zjadłby dwa razy, jedno pierwsze słowo u niego to jest — to albo tamto jest drogie, albo my nie są bogaci, czem bogatszy tem częściej to słowo powtarza. Taki to stosunek jest między Polakami a Francuzami. Nie ma pracy winien Polak, mało zarabia winien Polak, strejk przegrany winien Polak. Pierwszy uderzył lub wyzwał Polaka a potem dostał po głowie winien Polak. Teraz rozglądam się aby znaleźć dobre miejsce i założyć własną pracownię, jeżdżę i szukam osiem tygodni, znalazłem, kupiłem maszyny, umeblowałem mieszkanie, przyjąłem robotnika, roboty mam dużo, przychodzi na świat córka, żona zdrowa więc wszystko idzie nieźle, mam już lat 37 i widzę że ożeniłem się zapóźno ale lepiej późno jak nigdy.

Myślę że frank spadnie, że pieniądze zarobione Francja w ten sposób odbierze z powrotem. Kupiłem więc dom ale czy dobrze zrobiłem? Dziś nikt we Francji nie jest pewny dnia ani godziny a nawet św. Mikołaj, bo można wyjść na ulicę bez papierów i 10 fr. kary oraz wydalenie otrzymać. Można odepchnąć pijaka który człowieka zaczepia a powiedzą że była bójka na ulicy i już wydalenie za granicę. Polaka już teraz tylko za pozwoleniem ministerstwa przyjąć do pracy wolno. Kto bez pracy i ukończy się mu zasiłek— za granicę, kto na czas karty nie wykupił bo nie miał od pracodawcy zaświadczenia że pracuje — za granicę, kto zmienił zawód— za granicę, to nadzieja Polaka ta jedna że przestrzeń między Francją a Polską prędzej czy później na piechotę przemierzy. Na to z pewnością nikt się nie waży zareklamować bo nawet władze polskie powiedzą, trudno oni są panami w ich domu i my nie możemy ich ustaw zmieniać bo jesteście tu tylko gośćmi. Dzisiaj przejeżdżałem koło konsulatu, stoi tam wiele naszych biedaków, nie wiem na co czekają ale się domyślam że chcą bilet na powrót do Polski. Nie mamy funduszów proszę iść po koloniach uzbierać sobie a jak mnie złapią to trzy miesiące więzienia, to nie daj się pan złapać. Możeby się dla niejednej rodziny znalazła pomoc ale w konsulacie ex-woźny i szofer załatwią każdego, policją postraszą, za drzwi wyrzucą i apelacji na to niema. Na list z konsulatu w Strasburgu trzy lata czekam, ale nic dziwnego, konsulat świętuje wszystkie święta francuskie bo to na ziemi francuskiej i wszystkie polskie wszak urzędnicy to Polacy. Brak w konsulacie kogoś ktoby mądrze po ojcowsku załatwił każdą sprawę. Cóż wymagać od szofera któ-

remu konsul nie pozwala jeździć bo się boi by nie rozbił znowu auta a postawił go na korytarzu aby kierował zgłaszających pod właściwe biura, ten człowiek bez żadnego wykształcenia nie umiejący się nawet grzecznie odezwać wtedy się czuje w swoim żywiole że gdy kogoś sprowokuje a ten mu nawymyśla, przez policmana wyrzucić go każe. Stąd złość do władz polskich i niezadowolenie. Jestem Polakiem ciałem i duszą, Francuzów lubię za ich oszczędność i pracowitość, płacą mi regularnie. Dają mi robotę bo robię lepiej jak Francuz, ale nienawidzę ich za ich fałszywość poza oczy, nigdy nie wypiję, jak mnie Francuz widzi, kieliszka wódki, zawsze mówię żem biedny, tak się już od nich nauczyłem i z tem mi dobrze. Polakom brakuje opieki, prawdziwej opieki. Tam gdzie Polakom krzywda wystarczyłoby napisać do konsulatu. Ten zaś wysłałby kogoś ktoby tylko tam zajechał i wytłomaczył przedsiębiorcy że to niezgodne z ustawą, konwencją lub kontraktem a z piekła raj by się zrobił ale o tem się tylko mówi. Były szofer przez którego ręce każdy przejść musi tej sprawy nie załatwi a konsul czasu niema. Więc każdy cierpi a przecież i w piekle jak mówią się człowiek przyzwyczai więc i tu się ludzie przyzwyczaili. Wszędzie można wszystko załatwić ale nie u władz polskich, bo tu jak już wyżej wymieniłem trzy lata na list czekam, znaczek załączyłem na odpowiedź. Za pięć lat będzie moje nazwisko we wszystkich gazetach, będą mnie poszukiwali żeby mi odpowiedzieć.

Na tem kończę moje przejścia we Francji i komitetowi, który postanowił sobie za zadanie poznać życie Polaków za granicą wyrażam cześć ale sądzę że błędy które popełniły władze nasze już się nie dadzą naprawić. Jest już za późno, emigracja do Francji należy do przeszłości, a reemigracja do niemożliwości z powodu braku pieniędzy na bilet.

W grudniu 1932.

Pamiętnik Nr. 11

Górnik, syn majstra mularskiego spod Gniezna, ur. w 1900 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Pani Lewandowska przytuliła nas na kilka dni do siebie... Po pogrzebie targi o chudobę mych rodziców pomiędzy familją, co mógł to sprzedał dziadek ojciec mego ojca, resztę sprzedała babka z Pakszyna, w końcu przyszła kolej na nas. Ksiądz proboszcz radził oddać nas do sierocińca, babka chciała zabrać samą Antosie, (siostrę) a mnie dać dziadkowi. Dziadek rozgniewany powiedział: chcecie zabrać zabierzcie wszystko! Więc babka zabrała nas do Pakszyna, sama biedna wdowa na utrzymaniu córki siostry mej matki, która niezamężna miała również córkę Jagnę, dziecko zepsute do szpiku kości.

Tak więc pewnego mroźnego popołudnia ciotka Marynia na plecach zaniosła mnie do Pakszyna, obok niej postępowała Antosia z babką, ja płakałem całą drogę bo zimno mi było i smutno. Przybyliśmy do Pakszyna pod wieczór, na końcu wioski w ostatnim domu weszliśmy po schodach do wielkiej izby, która służyła za kuchnię i sypialnie, to było nowe moje mieszkanie u babki. Ciotka Marynia pracowała w dworze, razu pewnego wpadła w tryby jakiejś maszyny, które złamały jej nogę i strasznie pokaleczyły. Żal mi było biednej ciotki gdyż ona zarabiała na nasze utrzymanie i choć była trochę surową lecz bardzo była dla nas dobrą.

Minęło kilka lat wyrosłem na rumianego chłopca wiejskiego, rozpoczęła się nauka w szkole niemieckiej, a było to w czasie strajku szkolnego w Wrześni skąd do nas było niedaleko. Nauczy-

ciele niemieccy bili dzieci polskie bez litości za byle przewinienie, za każde słowo wypowiedziane głośno po polsku. Raz pamiętam nauczyciel nazwiskiem Hubert tak zbił jednego chłopca trzcinową laską że go musiano z klasy wynieść, a do domu nie mógł sam zajść, a to za to że niby rzucał jednemu koloniście niemieckiemu kamienie do stawu, a prawdziwie za to, że namawiał nas abyśmy nie mówili pacierza po niemiecku. Podobne wypadki zdarzały się bardzo często, dzieci w szkole drżały ze strachu. Teror buty germańskiej panował w całej pełni. Po wioskach panowała bieda, chłopi byli na wojnie i przelewali krew swoją w obcej i wrogiej sprawie, kobiety pracowały w polu, przyszedł głód, gdyż niemcy wszystko zabierali dla armji. Był to rok 1918, wojna dobiegała końca. W lecie pasaliśmy kozy na rozległych łąkach, płataliśmy figle, nieraz ekonom przegonił nas laską bo kozy weszły do marchwi, to znowuż goniliśmy po stogach, innym razem zrywaliśmy niedojrzałe jeszcze jabłka, za co i od ciotki dostało mi się nieraz w skórę. Antosia zaczęła pracować w polu narówni z innemi dziewczętami, lecz po kilku miesiącach ciężkiej pracy poszła w służbę do Czerniejewa do jakiegoś młynarza który się z nią bardzo brutalnie obchodził, zabrał ją stamtąd nauczyciel miejscowy który ją poprzednio uczył gdy do szkoły chodziła i chociaż Niemiec mając żonę Polkę wcale za niemcami nie trzymał. Antosia pracowała i bardzo się przywiązała do swego państwa, lecz niedługo to trwało, wojna się skończyła, wielu Niemców opuściło Czerniejewo między innymi opiekunowie Antosi, lecz ta będąc już panną umiała teraz sama sobie radzić.

Któregoś dnia zimowego babka będąc po zakupy w Czerniejewie odwiedziła jakiegoś dalekiego krewnego wuja Malinę, który potrzebował chłopca do pasania dwóch krówek. Babka po powrocie do domu oświadczyła mi abym poszedł do tegoż wuja on mnie weźmie za swego i wychowa należycie, choć z żalem po długim wahaniu zgodziłem się pójść do wuja Maliny, rozumiejąc że jestem ciężarem steranej babce. I tak po kilku latach wróciłem znowuż do rodzinnego Czerniejewa.

Wuja Malina mając sześciu dorosłych synów z których czterech zaciągnęło się w szeregi nowo powstającej armji Polskiej i wyruszyło na front przeciw nowemu niebezpieczeństwu grożącemu dźwigającej się z niewoli Ojczyźnie. Dwóch najmłodszych synów

rozpoczęło nauki w rzemiośle, sam będąc rzemieślnikiem miał przy tem i gospodarstwo rolne, chatę, stodołę, chlewy i parę mórg ziemi. Z drugiej strony swego domostwa miał jeszcze jeden dom w którym zamieszkiwały cztery biedne rodziny zajmujące każda po jednej izbie. Wuja Malina będąc rzemieślnikiem i gospodarzem zajmował trzy izby, czwartą izbę zajmowała biedna rodzina cieśli Stachowiaka, który choć mając stałą pracę w majątkach hr. Skórzewskich miał na utrzymaniu czworo dzieci i żonę. Najstarszy Janek uczył się za ogrodnika, Janinka i Antek chodzili do szkoły, a najmłodszy Maryś psotował w domu, nazywali go wszyscy „pieczy pyrą" gdyż wszystko mówił odwrotnie, na gotowane mówił że jest pieczone a na pieczone że gotowane itd.

Nowy mój opiekun przyjął mnie z radością, przyodział mnie nakarmił, ja zato pracowałem i pomagałem w gospodarstwie jak mogłem, latem pasałem krowy po rowach i ugorach, a gdy sianokosy się skończyły to po rozległych łąkach. Chodziłem do szkoły i uczyłem się już teraz po polsku, Polska odzyskała swą niepodległość, dzień ten obchodzono w Czerniejewie bardzo uroczyście. Znalazły się flagi biało-czerwone, znalazły się orły białe a znikły z wszystkich urzędów czarne orły niemieckie. Cieszyli się starzy i młodzi że wypędzono butnych Niemców na zachodzie i rozpędzono zgrają bolszewicką na wschodzie. Powstała nowa Polska zdobyta za cenę krwi swych dzielnych synów. Wrócili synowie wuja Maliny z wojny, żaden nie poległ ani nie został ranny, szczęście im sprzyjało, lecz w wojsku pozostali wszyscy czterej jako podoficerowie. W kilka lat pożenili się, dwóch najmłodszych ukończyło nauki i stali się samodzielnymi.

Ja mając już lat czternaście ukończyłem również szkołe a krów wujowych nie myślałem zawsze pasać, zresztą wuja mi przyrzekł że po ukończeniu szkoły da mnie w naukę co już teraz mu często przypominałem. Nie podobało się to jednak ciotce, która będąc bardzo chciwą nie chciała ani o tem słyszeć i zaczęła mnie traktować jak parobka i dała mi do zrozumienia że jak mi się nie podoba to mogę sobie iść gdzie chcę. Tak się też stało że mając lat piętnaście porzuciłem sam Czerniejewo i znalazłem się w Pakszynie u babki a nie chcąc być jej ciężarem zacząłem pracować we dworze. Teraz zarabiałem pare groszy, babka kupiła mi ubranie gdyż

odchodząc od wuja Maliny nic nie miałem, bo ciotka Malinowa wszystkie moje rzeczy zamknęła i nic mi dać nie chciała.

Myślałem zawsze o nauce jednak, lecz nikt mi nie mógł dopomóc. Miałem piękny głos do śpiewu i wciąż śpiewałem, wszyscy myśleli że jestem najszczęśliwszem pod słońcem a ja śpiewałem zawsze czy w smutku czy radości raz smętne to znowu wesołe piosenki w polu pod lasem, to na łące nad strumykiem. Kochałem pieśń, i kocham ją i dzisiaj tak jak wtenczas ją kochałem. Antosia była teraz w Poznaniu, obiecała mi zawsze że gdy wyjdzie zamąż weźmie mnie do siebie i da wyuczyć lecz czas biegł. Ja zaziębiłem się byłem bardzo chory, leżałem długo w łóżku potem wstałem lecz już nie pracowałem co raz częściej słyszałem słowa „ja cię tu dłużej utrzymywać nie będę" które babka rzucała pod moim adresem. Miałem już swój rozum i honor, nie chciałem zbierać ochłapów jak pies z czyjegoś stołu, zresztą mógł bym się upomnieć o niejedną rzecz po rodzicach lecz mój honor mi na to nie pozwalał choć inni mnie namawiali do tego. Więc moja zacna babunia chciała się mnie pozbyć teraz chociaż potem zacząłem pracować, lecz do sąsiadek mówiła że jestem „za mądry" i sama mnie namówiła abym prace porzucił a potem powiedziała że mam sobie iść gdzie mnie oczy poniosą, a to wszystko była sprawka Jagusi mej kuzynki, która się bała abym przez moje pretensje nie uszczuplił jej wiana które składało się z dorobku mych rodziców, gdyż mama moja nic nigdy nie sprzedała nawet w największych chwilach biedy. Babka ulegała zawsze namowie znajdy gdyż ją uważała za wnuczkę a nas to już za obcych, chociaż w Pakszynie miałem kilka kuzynek, babka ich traktowała narówni ze mną bo tylko Jagusia była jej wnuczką. Pewnego dnia babka związała mi tobołek i powiedziała że mam sobie iść precz, miałem kilka groszy uskładanych, resztę pożyczyłem od jednej z kuzynek zamieszkałych w Pakszynie i wraz z mym tobołkiem pojechałem do Poznania. Kilka tygodni przed tym Antosia wyszła zamąż i z szwagrem zajmowali pokój umeblowany. Poraz pierwszy wtenczas byłem w Poznaniu, lecz się w nim tak obracałem jakbym to miasto dobrze znał, z stacji sam trafiłem do Antosi, która na mój widok aż się przelękła gdyż o moim przyjeździe ją wcale nie zawiadomiłem.

Był to rok 1927, kryzys i bezrobocie dawało się w znaki, szwagier pracował w elektrowni miejskiej, ale ja nie mogłem

nigdzie znaleźć zajęcia. Mieszkałem u siostry i szwagra i chociaż ciasno nam było, gdyż młodzi doczekali się córeczki lecz żyliśmy nadzieją że na wiosnę się polepszy i ja prace znalezę i oni mieszkanie większe. Razu pewnego a było to wiosną spotkałem kilku robotników w korytarzu kamienicy w której mieszkaliśmy, byli na stancji u sąsiadów i jak się od nich dowiedziałem pracowali u jednego z architektów przy budowie Powszechnej Wystawy Krajowej, był między nimi dozorca i kazał mi na drugi dzień przyjść na budowle to on mnie przedstawi budowniczemu aby mnie przyjął do pracy w charakterze ucznia murarskiego. Na drugi dzień rano już byłem na budowli, budowniczy mnie przyjął i dalej do pracy, zarabiałem złotego na godzinę i chociaż nie był to zawód którego pragnąłem lecz ucząc się zarabiałem. Początkowo szło trochę trudniej, lecz z biegiem czasu pracowałem jak stary, rok później zarabiałem już więcej. Pawilony, hale i hotele wszystko już było gotowe i nastąpiło otwarcie wystawy, jeszcze całe lato pracowałem przy budowie jednej willi i z nastaniem zimy zostaliśmy zwolnieni wszyscy z powodu braku pracy. Pozostałem znowuż bez pracy. Antosia z szwagrem przeprowadzili się do innego mieszkania większego. Przeszła zima przyszło lato a tu pracy jak nie ma tak nie ma, znowuż smutek i ciężar w sercu, znikąd zasiłku ani pomocy. Szwagier stał się ponury, siostra zaczęła mi wymawiać że pracy nie mogę znaleźć bo nie chcę. Chodziłem szukałem lecz wszystko napróżno, różne myśli snuły się w głowie. Już teraz naprawde ni jeść ni śpiewać nie mogłem, spochmurniałem rozpacz mną owładnęła, podczas nieobecności siostry wyłamałem zamek u szafki wyjąłem browning który szwagier tam przechowywał, napisałem list do dziewczyny, którą kochałem pierwszą miłością z prośbą o przebaczenie mi tego czynu, wpuściłem list do skrzynki, wróciłem do domu w kilka chwil rozległ się głuchy trzask, uczułem ogień pod lewem ramieniem i potem nic już nie pamiętam. Otworzyłem oczy przy mnie stał szwagier i jakiś pan, chciałem się podnieść, uczułem straszny ból pod lewem ramieniem, a więc żyłem jeszcze poco aby się jeszcze poniewierać czy za mało tego. Rana nie była groźna i prędko się zagoiła.

Po tym wypadku poszedłem w świat bez grosza w jednym tylko ubraniu nic nikomu nie mówiąc, coś mnie pchało naprzód, byle jak najdalej od krewnych od znajomych i tak z Poznania

szedłem pieszo do Warszawy, żniwa były w pełni, sypiałem w pogodne noce pod gołem niebem, słuchałem rechotu żab w bajorkach, w upalne dni szedłem śpiesznym marszem gdzie? — sam nie wiedziałem.

Z Warszawy po zwiedzeniu tego miasta znowuż przez Radom i Kielce szedłem pieszo do Krakowa i stąd do Zakopanego. Z Zakopanego po różnych wartapach do Katowic zawsze o proszonym chlebie lub jeśli mogłem tom pomógł jakiemu gospodarzowi w polu albo piec do pieczenia chleba wymurować za co dostałem kilka groszy. Tak przeszło lato zbliżała się jesień.

Było to przy końcu października 1930 r. gdym się znalazł w Częstochowie w tym z cudów słynącym mieście. Płacząc jak dziecko modliłem się przed obrazem Królowej Korony Polskiej prosząc Ją aby zlitowała się nad biednym tułaczem bez domu i chleba. Z lekkiem sercem i pocieszony na duszy z wiarą w lepszą przyszłość wyruszyłem z świątyni Jasno Górskiej w powrotną drogę do Poznania. W kilku dniach byłem znowuż u siostry zupełnie wesoły, która mnie przywitała temi słowy „Za późno przybyłeś, wuja który jest we Francji od wielu lat, a o którym żeśmy dotychczas nic nie wiedzieli, przysłał ci papiery abyś do niego przyjechał, no a ciebie nie było, my nie wiedzieliśmy gdzieś jest i co się z tobą stało, więc szwagier papiery odesłał do Urzędu Emigracyjnego do Warszawy. Może już uległy przedawnieniu. Miałeś okazję znaleźć pracę chociaż za granicą a włóczyłeś się gdzieś niepotrzebnie i t.d.“ Wuja tymczasem pisał że dowiedział się iż jestem bez pracy a we Francji można zarobić, kto tylko chce i oszczędza może z biegiem czasu przyjść do grosza i potem coś kupić sobie w Polsce. Więc on postarał się o kontrakt dla mnie i jak chcę moge przyjechać. Opisałem mu o całej sprawie, czekałem kilka dni i papiery nadeszły powtórnie, że na 1-go listopada mam przyjechać do Mysłowic skąd pojadę transportem do Francji. Potrzebne są te i te papiery. Po wielu tarapatach w pogoni za różnemi papierami zbliżał się dzień 1-go listopada. Dzień poprzedzający wyjazd chciałem raz jeszcze ujrzeć moją kochaną dziewczynę. Wolnym nieśmiałem krokiem zbliżyłem się do mieszkania które zajmowała wraz z ojcem i dwoma siostrami. Story na oknach były opuszczone, nacisnąłem guzik od dzwonka nikt nie odpowiedział, a więc niema ich. Na drugi dzień rano wraz z kilkoma pakunkami jechałem tramwajem na

dworzec, przejeżdżałem koło ich domu i znowuż story spuszczone na oknach. Zajechałem na dworzec, miałem jeszcze pół godziny czasu do odjazdu, nie wytrzymałem, walizki dałem jednemu znajomemu w opiekę a sam udałem się biegiem na ul. Bukowską, dzwonię, pukam nikt nie odpowiada, wychodzi sąsiadka: Pan do państwa M. Tak, odpowiadam. Oni gdzieś wyjechali, wyprzedali meble, wszystko, już temu jakieś pięć tygodni, tu się ma wprowadzić jakiś inny lokator. Wróciłem na dworzec zamyślony i pod wieczór znalazłem się wśród nowej rzeszy emigrantów w Mysłowicach. Na drugi dzień badanie lekarskie, sprawdzanie papierów, ruch na stacji zbornej nie do opisania, później obiad wydzielany, chleb i t. d. Wieczorem wyświetlano film o pracy rolników francuskich, górników i t.d. Przyszedł ksiądz, miał piękną mowę, przypomniał wszystkim o obowiązkach każdego emigranta względem Boga i Ojczyzny i pożegnał tę rzeszę tułaczy słowem: Szczęść Boże! Po przespaniu się w stacji zbornej w Mysłowicach w następny ranek pociąg nas wiózł w nowe nieznane.

Dnia 6 listopada 1930 roku dojechałem do stacji Bruay sur Escaut, wuja już czekał na mnie, zawiadomiono go o moim przyjeździe. Poszliśmy do kolonji górniczej Sabatier w której zamieszkiwał, w domu zastałem ciotkę, siostrę mej matki, synów Wacka i Ludwika, wkrótce przyszła z pracy najmłodsza córka Teja, przybyli oni tu z Westfalji więc dzieci posługiwały się przeważnie mową niemiecką. Odpocząłem kilka dni po podróży i poszliśmy z starszym kuzynem Ludwikiem zameldować mnie w biurze kopalni w której miałem zacząć pracować. Nigdy dotąd w kopalni nie byłem i nie miałem pojęcia jak tam na dole wygląda, to też z lękiem czekałem swej kolejki do zajazdu na dzień następny. Przydzielono mnie do jednego z sztygarów gdzie pracowało kilkunastu polaków. Jakoś dziwnie się czułem gdy kosz z nami opuszczał się w ciemną czeluść. Potem szliśmy kurytarzami bardzo daleko, potem znowuż pochylnią w górę aż dotarliśmy do miejsca pracy, było nas ośmiu polaków którzy co dopiero przybyli z Polski, polubili mnie wszyscy bom był zawsze wesoły i śpiewałem zawsze gdy tylko czas pozwolił, pomimo że w sercu coś kłóło i nie dało spokoju.

Wkrótce przyzwyczaiłem się do nowych warunków pracy i życia, pomału pojmowałem mowe francuską i tak pewnej niedzieli wybraliśmy się na polską zabawe z jednym kolegą Jaśkiem który

pochodził z Witkowa też z pod Gniezna, chłopak inteligentny i rozumny. Zasiedliśmy przy stoliku muzyka grała raz modne tanga, to znowu polskie obertasy, bawili się po swojemu polacy i polki, było też kilka francuzek lecz je zaraz można było odróżnić od naszych dziewcząt. Gdy tak siedzimy popijając limoniadę, gdyż alkoholu nie używaliśmy oboje, weszły na salę dwie panienki i... to niemożliwe, jedna z nich to Stefka moja ukochana dziewczyna, nie chciało mi się wierzyć i też nie uwierzyłem. Przeszła obok nas rzuciła okiem na mnie i jakby się zlękła czy coś podobnego lecz poszła sobie dalej, byłem pewny żem się omylił. Muzyka zagrała walc księżycowy, poszedłem po nią do tańca. Muzyka grać przestała zrobiło się jaśniej na sali, odprowadziłem ją na miejsce i powiedziałem jedno: Dziękuje bardzo i teraz mnie dopiero poznała powiedziała tylko: Edek! słaniającą się wyprowadziłem ją z sali, mój kolega Józek nie wiedział co ma robić nic z tego nie pojmując, a my nie mogliśmy się nagadać tyle przeżyć, tyle czasu tak wielka przestrzeń jaka nas niby dzieliła, a jak blisko żeśmy byli siebie nie wiedząc o tem, ona myślała że ja już nie żyję, nigdy na zabawy nie wychodziła, tylko dzisiaj przyjechała do koleżanki z którą razem pracuje w Lille no i ta ją wyciągnęła na zabawę i co za radość co za szczęście że mnie tu znalazła co za zrządzenie losu. Po tym spotkaniu kilka razy byłem w Lille wszyscy byli zdrowi, starsza siostra wychodziła za mąż, byłem na weselu, my oboje jako narzeczeni pracowaliśmy wytrwale aby mieć grosz na założenie ogniska własnego. Bo jak głosi przysłowie „niema jak pod swój stół nogi wyciągnąć po ciężkiej pracy".

W jakiś czas kryzys zaczął i do Francji zaglądać, przyszły obniżki zarobków, strajki które się nie powiodły a jeszcze pogorszyły sytuację, kto z polaków do pracy się nie stawił już był podejrzany o działalność wywrotową, w kopalniach żądano nadmiernego wysiłku od górników, za byle przewinienie stosowano kary lub zwalniano z pracy. Kuzyn mój Ludwik został wydalony z Francji za to że nie był obecny dwa dni w pracy i jako wywrotowiec został odstawiony do granicy belgijskiej, tak nagle że nawet nie zdążył zabrać ze sobą pieniędzy. Rychło rano pewnego dnia zajechało auto przed nasz dom, weszło kilku tajnych do nas, kazali mu się prędko ubrać i nic mu nie wytłumaczywszy usadzili do auta i wywieźli, on dopiero napisał do nas list z Belgji że jest wydalony, myśmy za-

wieźli mu dopiero pieniądze i jego rzeczy poczem pojechał do Polski której wcale nie znał. W jakiś czas potem wuja z ciotką również do Polski pojechali i osiedlili się koło Wrześni na kupionej za oszczędzone pieniądze gospodarce rolnej. Szykany trwały w kopalniach w całej pełni, co kiedy ogłoszono strajk nigdy się nie udał, gdyż policja wyciągała do pracy z domu. Zbrzydła mi taka praca w kopalni połączona poprostu z terorem, młodszy kuzyn wrócił również do Polski. Ja poszedłem na stancję do obcych ludzi i nosiłem się ciągle z zamiarem powrotu do kraju, lecz znając nadto warunki i bezrobocie jakie tam panowało postanowiłem wytrwać do końca, tem bardziej że Stefka dodawała mi otuchy i wiary w lepszą przyszłość. Więc nie wiedziałem co wybierać, wracać do kraju nie było poco, tu pozostać i pracować za marny grosz w niebezpieczeństwie, skąd lada dzień mogłem zostać zwolniony? przerzucić się do innego zawodu? lecz tu się okazało że władze francuskie nie zezwalają obcokrajowcom na zmianę zawodu. Pomimo to pracując w kopalni ciężko po pracy jeździłem na rowerze codziennie do miasta Valenciennes i uczyłem się mechaniki, wkrótce otrzymałem prawo prowadzenia samochodu i rok później złożyłem egzamin na mechanika, pracę otrzymałbym zaraz w tym zawodzie lecz na przeszkodzie stał zakaz władz. Postanowiłem przyjąć obywatelstwo francuskie, wystarałem się o potrzebne papiery, wniosłem podanie o naturalizację, otrzymałem odpowiedź przychylną.

W roku 1933, 18-go listopada odbył się nasz ślub z Stefką, założyliśmy swoje gniazdko rodzinne i byliśmy szczęśliwi. W międzyczasie zmarł ojciec mej żony. Ja jeszcze jakiś czas pracowałem w kopalni, chcąc się przenieść do innego zawodu dopiero po odsłużeniu mej powinności wojskowej w obcej lecz przyjaznej nam armji, którą to powinność w rok po naszym ślubie odbyłem i z powrotem wróciłem do kopalni do tej czarnej pracy.

Nadszedł rok 1936-ty, w Francji przyszed do rządu Front ludowy, podwyższono zarobki, ustały szykany po wielkim strajku który opanował całą Francję i wraca znowuż dobrobyt, pomimo to że tu i tam okazują się czarne chmury wojny, ludzkość znowuż się zbroi i pragnie rozlewu krwi. Oby Bóg odwrócił od nas to najstraszliwsze widmo, które grozi zagładą cywilizacji, lecz Polska i Francja mogą żyć w spokoju gdyż czuwa nad nimi Opatrzność i braterstwo ich armji.

W sierpniu 1936 roku doczekaliśmy się z Stefką synka, będzie kiedyś z niego dzielny żołnierz francuski mówiący czyściuteńko po polsku, a gdy przyjdzie potrzeba pójdzie walczyć w obronie Waszej i naszej wolności.

Ja otrzymałem prace jako mechanik na kolei. Kupiliśmy radjo i słuchamy audycji z Polski. I tak się kończy pamiętnik emigranta.

Pozostaje tylko dla mnie wychowanie mych dzieci, gdyż myślę że ich będzie więcej jak jedno, aby wyrosły na dzielnych polskich francuzów.

Tak mi dopomóż Bóg!

W październiku 1936 r.

Pamiętnik Nr. 12

Robotnica, córka robotnika sezonowego z Żyrardowa, ur. w 1908 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Bezr.)

Czy będę miała kiedyś lepiej?

Oto jest pytanie które sobie powtarzam już kilka lat i na które nie mogę znaleźć odpowiedzi. Urodziłam się w Żyrardowie 1908 roku, jak tylko sobie mogę przypomnieć zawsze mama sama pracowała bo ojciec był sezonowym robotnikiem, więc samo przez się wiadomo, że w zimie musiał przymusowo świętować. Mama moja jeszcze będąc młodą dziewczyną pracowała w zakładach Żyrardowskich lecz chwilowo. Gdy wyszła zamąż ponieważ ojciec nie pracował w fabryce a tylko na prywatnie, więc dla niej już miejsca nie było. Ojciec wyjechał do Prus do kopalni i tam pracował i co zaoszczędził to przysłał mamie bo przecież nie pracowała i była na chlebie u swych rodziców. Po kilku miesiącach urodziłam się właśnie ja, wtedy ojciec rzucił pracę w kopalni i wyjechał do Częstochowy, tam wynajął pokoik i ściągnął nas do siebie. Ja zaledwie miałam trzy miesiące, mama poszła do fabryki a mnie oddali do jakiejś tam kobieciny, która za parę groszy zgodziła się mnie bawić i tak trwało trzy lata. Ojciec dość często był bez roboty, nie wiem czy miał takiego pecha że go ciągle wylewali z fabryki czy też może miał piasek w rękach i nie chciał go wytrząść, dość że na maminej głowie, spoczywało utrzymanie całego domu.

Widocznie w Częstochowie było rodzicom nie wygodnie i z całą rodziną przenieśli się do Łodzi a było już nas wtedy troje dzieci bo w między czasie urodziło się dwóch chłopców. I znów życie po-

toczyło się zwykłym trybem, mama jako tkaczka zaraz dostała robotę, ojciec zaś jako pomocnik mularski musiał czekać aż nadejdzie wiosna a z wiosną ruszą dopiero roboty. I tak nam mijali dnie, tygodnie, miesiące, lata na opiece różnych obcych ludzi, aż do wybuchu wojny. Z chwilą gdy wybuchła wojna, cały tryb naszego życia uległ strasznej zmianie, fabryki zostali pozamykane a wraz z nimi została zamknięta możność do życia. Coś za trzy tygodnie od wybuchu wojny zebrało się kilka rodzin, którzy byli z Żyrardowa a którzy za chlebem wyjechali do Łodzi i śliśmy na pieszo do Żyrardowa. Tą podróż a raczej wędrówkę pamiętam bardzo dobrze bo już wtedy miałam coś około sześciu lat. Nie jestem taka zabobonna ale czasami mi się zdaje że mój los już był dawno zasądzony, gdyśmy wędrowali z Łodzi do Żyrardowa to koło samego Łowicza znalazłam krzyż robiony z zwykłego sosnowego drzewa ale taki był ładny i misternie zrobiony że jeszcze po latach gdym na niego patrzała to zdawało mi się że musiał ten ktoś co zrobił ten krzyżyk mieć nie lada talent. I zaraz mi przepowiedzieli że już ty nie będziesz szczęśliwa w życiu boś taka maleńka i już ci Pan Bóg krzyże zsyła. No i przepowiednia się spełniła, tylko nie ze wszystkiem, bo znów tak bardzo nieszczęśliwa nie jestem, mam męża którego kocham i z którym jestem szczęśliwa, mam synka śliczne trzyletnie bobo tylko że ta bieda i ten taki straszny brak pracy. No alem się zagalopowała przyjdzie czas i na to a teraz jeszcze jest co innego do pisania. Już to wiadomo że jeżeli w takim czasie kiedy fabryki byli uruchomione i prace można było łatwiej dostać nam nie było wcale dobrze, a cóż dopiero gdy wszystkie fabryki byli zamknięte i roboty nigdzie nie dostał nikt, bo dla robotnika jest tylko jedno źródło dochodu to jest fabryka, a gdy to zamkną to wtedy my ludzie pracujący nie mamy za co kupić kila chleba lub kilo kartofli. U robotników przeważnie dają wypłaty w sobotę to kupić jeszcze w piątek mają za co lub też i nie jeżeli nie biorą w sklepiku na książkę bo są i tacy a tych jest większość że przyniesi tą wypłatę i zaraz ją zaniesi to tu to znów tu i już po pieniądzach i znów z książką przez cały tydzień latają do sklepiku. A gdy raptem zamkną fabryki to już wtedy proszę sobie wyobrazić jak my żyjemy. Tak samo było i z mojemi rodzicami jak ich wojna zaskoczyła, jak tam sobie radzili to ja już nie wiem. Wiem tylko tyle żeśmy jak małe koty piszczeli nieraz z głodu, a oni nas

uspakajali obietnicą że jak się wojna skończy to będziem mieli dużo dużo jeść. Więc wyglądaliśmy końca tej strasznej wojny z utęsknieniem lecz ją nie wszyscy przeżyli z nas. Zaraz w pierwszym roku obaj chłopcy pomarli, zostałam tylko ja sama. Dopóki byli wojska rosyjskie w Żyrardowie to jeszcze tak ostatnio głodu nie odczułam, bo chociaż wzięłam garnuszek i pobiegłam tam gdzie stała kuchnia wojskowa to kacap dał warząchew zupy a nieraz i bochenek chleba. Ale gdy rosjanie ustąpili a nadeśli świabi aj to już ja w swojem życiu nigdy nie zapomne jak żem nieraz cały dzień nic w ustach nie miałam, żeby im się chociaż jedna dziesiąta część tego spełniła jak ja ich za ten mój głód „błogosławie" toby ich tych świabów wcale na powierzchni ziemi nie było. Po pewnym czasie rodzice moi wzięli się za tak zwany szmugiel, mama znosiła z pobliskich wiosek mąkę i wypiekała z niej chleb, a ojciec ten chleb na swoich plecach nosił do Warszawy i tam go sprzedawał i wracał do Żyrardowa, aby poto żeby na drugi dzień taką samą ilość tego chleba znów zanieść na swoich plecach do Warszawy. I tak trwało doś długi czas. Dopiero Niemcy położyli kres tym wędrówkom bo zabrali ojcu w Nadarzynie 60 funtów chleba i jeszcze wsadzili go na osiem dni do więzienia. Jak ojciec wyszedł z więzienia to zaczeli chodzić na wieś za mąką oboje z mamą i wypiekali tę mąkę, chleb sprzedawali pokryjomu w domu i znów śli po drugą mąkę a ja byłam sama gospodynią w domu. 1916 roku urodził się mnie braciszek. Mama pielęgnowała go do sześciu tygodni, a ojciec sam starał się na życie ale widocznie nie mógł nas sam utrzymać bo mama zostawiła dziecko na mojej opiece i poszła z ojcem na wieś za szmuglem choć pod nią jeszcze nogi się chwieli. I tak oto zostałam niańką sześciotygodniowego dziecka, ja która miałam dopiero osiem lat i chowałam go i mogę śmiało powiedzieć że chłopak rósł na cwał i nie chorował mi ani nic. Rodzice musieli coraz dalej chodzić za szmuglem bo w pobliżu już było za trudno coś się dokupić bo ogromna moc ludzi chodziła kupować, więc aby móc coś taniej kupić to śli nieraz trzy i cztery mile drogi to samo przez się wiadomo że nie mogli o jeden dzień obrócić tyle drogi, a jeszcze do tego że świaby pilnowali po drogach i zabierali na wachę i mąki czy tam kaszy już nie oddali i jeszcze do tego do kozy zasądzali, nieraz taka wędrówka trwała trzy dni i ja sama byłam w domu z tym dzieckiem. I pomimo biedy pomimo

żeśmy nie mieli dobrej opieki wychowaliśmy się, i ani nie krzywe ani nie ślepe. I tak to życie w takiej nędzy i zaniedbaniu trwało i trwało, nie będę tu tego wszystkiego opisywała bo by to napewno nikogo nie zainteresowało bo cóż kogo może obchodzić że byli sobie dwoje dzieci, jedno które już zasmakowało w lepszym pożywieniu i za nim tęskniło, drugie zaś już od sześciu tygodni odżywiało się kaszą jęczmienną z sacharyną, bo gdzież wtedy było cukru szukać i ile by trzeba za niego zapłacić. 1920 roku już miałam 12 lat, już nam się życie znacznie polepszyło, ale jeszcze ojciec nosił mąkę, a mama ją wywoziła do Warszawy a ja jako już osoba dorosła kupiłam sobie koszyczek wiśni i sprzedałam go na kwarty i też na funt chleba i śledzia zarobiłam i tak żeśmy żyli ojciec na wsi mama w Warszawie, a my obydwoje na ulicy z wiśniami a później z jabłkami i gruszkami. Jeżeli dość dobrze utargowałam to kupiłam na obiad funt chleba, surowego śledzia i butelkę limoniady, ale to nie zawsze się trafiał dobry targ i jeżeli był marny, więc musieliśmy się obyć wodą ze studni. I tak jabłek i wody, lub śledzia i wody i tak było (krugom) ciągle, a dopiero wieczorem, gdy mama przyjechała to zrobiła nam coś gorącego zjeść. I rozchorowaliśmy się na dyzynterię, ja przeżyłam a on maleńki umarł, miał wtedy cztery lata i sześć miesięcy. I pomyśleć przez tyle czasu ja go chowałam swoim ciepłem go grzałam, jak był zmarznięty, swoją porcję pożywienia mu nieraz musiałam oddać jak był głodny i płakać zaczynał, i pomyśleć kiedy już go odchowałam i już by nam było lżej to musiałam go włożyć do ziemi, i nie wiem czy matka, która co stoi nad trumną swego dziecka tyle cierpi co ja cierpiałam stojąc nad otwartym grobem tego biedactwa, bo że był biedaczek to pewno. Taka byłam młodziutka i już mie tak Pan Bóg ciężką swą ręką dosięgnął. Ale to jeszcze nie koniec na tym jednym. W kilka lat później spotkał mnie cios może jeszcze silniejszy od tego. Po pewnym czasie szmugiel ustał już nie było się czego chwycić i nie było znów z czego żyć. Najcięższą była zima bo nie było w co zupełnie zęby włożyć, ale jakoś się tam przeżyło, a z wiosną wzięli mamę do fabryki. No i odtąd zaczęło się dla nas życie wysłane różami. Do tego czasu nie chodziłam do szkoły bo nie miałam i kiedy iść bo przecież miałam co innego do roboty, litery pokazał mi mój stryjek, a mój prawie że rówieśnik i z dobrej chęci nauczył mnie ich składać, gdy poszłam do szkoły to powinnam

być już choć 4—5 kl., to ja poszłam dopiero do drugiej klasy. Długo do szkoły nie chodziłam bo i gdzież tam, miałam 15 lat i chodziłam do czwartego oddziału, byłam ze wszystkich dzieci najstarsza. A tu i mamie byłam w domu potrzebna przy gospodarstwie, bo jak się mama napracowała w fabryce to już chciała ażeby choć w domu sobie posiedzieć w spokoju. Zaledwie pochodziłam dwa lata do szkoły i już musiałam zaprzestać chodzić bo już na mnie inna robota czekała. Musiałam się starać na siebie bo mama znów tylko pracowała na trzy dni, a ojciec nigdzie. Więc żeśmy z ojcem chodzili na kopanie kartofli, na rwanie buraków itp. roboty. A ojciec precz nie pracował, co się zaczepił na parę tygodni to już znów parę miesięcy przesiedział bez pracy. A lata śli chociaż w biedzie, ale śli. I z małej dziewczynki urosłam na dużą dziewczynę, ale byt i w ogóle warunki się na lepsze nic nie poprawili, taka tylko była różnica, że choć głodna nie chodziłam bo na ten pół korcek kartofli i garniec jęczmiennej kaszy, i pół kila słoniny to mama zarobiła choć pracowała tylko na trzy dni. W szesnastym roku życia miałam narzeczonego lecz to najgorsze że nie mieliśmy się za co pobrać bo mój chłopiec też nie pracował tylko na sezon, jak było ciepło to miał prace przy betonie. I tak czekaliśmy lepszych czasów, ażeby się pobrać. No i nareszcie przyśli te upragnione „lepsze czasy“ bo w 1926 roku wyszła ustawa o zasiłku dla bezrobotnych. Wtedy już postanowiliśmy się pobrać. Porobiliśmy przygotowania do ślubu, ale ze ślubem czekaliśmy na decyzje Biura Pośrednictwa Pracy, a nuż mu odmówią zapomogę to już finis z naszym ślubem. Ale na szczęście czy też nieszczęście zapomogę chłopcu memu przyznali i tak oto 14 listopada 1926 roku żeśmy się pobrali. I znów zaczęło się borykowanie z biedą czy jeszcze nie gorsze jak dawniej. Pobraliśmy się na samą zimę, więc żadnych zapasów żeśmy nie mieli, tylko ten jeden zasiłek jak mąż przyniósł to musiał starczyć na cały tydzień, a przynosił „aż“ 9 zł. 25 gr. I proszę sobie wziąść na uwagę, jakie myśmy życie mogli prowadzić kiedy na utrzymanie dla dwojga ludzi dano nam 9 zł. 25 gr., a tu jeszcze oboje młodzi, więc apetyty mieliśmy nie najgorsze. Żeby to chociaż dawali co tydzień tę zapomogę to by to jeszcze było pół biedy, ale dali ze trzy lub cztery tygodnie i potem zatrzymali ze dwa tygodnie, bo w pierwszym roku tych zapomóg to jakoś nie szło im w tych biurach dobrze, byli różne powody.

dla których zasiłki zatrzymywali na tydzień lub dwa. Boże mój! jak myśmy wtedy żyli, jak zwierzęta, a nie jak ludzie. Tych kartofli kupiliśmy pół korca, funt słoniny, z kilo mąki na barszcz i z garniec kaszy i tak ciągle na śniadanie kartofle z barszczem, na obiad kartofle z zacierkami, a na kolację kasza z kartoflami. A we wtorek zawsze kupiliśmy sobie kilo chleba (dzień wypłaty). Nie wierzę tym ludziom co mówią, że mają taką biedę, że tylko się pożywiają chlebem i kawą lub herbatą. Nie, to nie jest prawdziwa bieda. Ja jedzenie chleba to uważam już za luksus. Jeść kartofle trzy razy dziennie i to jeszcze tylko zaledwie troszki okraszone bo i jak one mogą być okraszone, jak ja pół kila słoniny rozdzieliłam na 18—20 cząstków, to jakież byli one duże te cząstki. Nieraz jak jadłam kolację (nie wiem czemu na wieczór ma każdy robotnik pragnienie zjeść coś lepszego), to mnie formalnie łzy dusili za gardło i nie mogłam tych kartofli, albo tej kaszy przełknąć, och z jaką roskoszą zanużyłabym zęby w kawałku suchego chleba i w szklance herbaty, a cóż kartofel kosztował taniej więc go trzeba było jeść. A chleb się zostawiało na wtorek i na niedzielę. Dobrze chociaż było jak wypadł taki tydzień że nie potrzeba było kupić jakiejś drobnostki jak np. pończochy dla mnie lub skarpetki dla męża lub mydła do prania to wtedy już naprawdę trzeba było być mistrzem w tym kierunku, ażeby te 9 zł. wystarczyli. Raz pamiętam mąż mi oddał zasiłek i zdjął buty z nóg i pokazał mi dziury w zelówkach, i cóż ja wtedy miałam zrobić? Zelówki kosztowały 5 zł. 50 gr., a ja miałam 9 zł. 25 gr. i tydzień życia przed sobą, a mama choć by mi chciała coś dopomóc to nie mogła, bo sama nie miała z czego żyć, bo też była zredukowana i była na zasiłku. Jak niosłam te buty do reperacji to może mi nie wierzycie i powiecie że to bujda ale ja co tu piszę tylko prawdę, to jak niosłam te kamasze do szewca to płakałam jak małe dziecko. Nie wiem czy jak jaki bogacz straci cały swój majątek czy tak kiedy by płakał, jak ja wtedy płakałam tych 5 zł. 50 gr., napewno że tak by nie płakał, bo jemu gdy straci swój majątek zostaną jeszcze apartamenty, wytworne umeblowanie, zostanie mu biżuteria i drogie łachy, które może spieniężyć i za to jakiś czas żyć, a mnie zostało się tylko 3 zł. 75 gr. Więc chyba miałam czego płakać. Że przeżyliśmy ten tydzień to jest prawda, ale jak go żeśmy przeżyli to już i sama dziś nie wiem. No ale jakoś żeśmy tak dobidowali do Wielkiej-

nocy, a po Wielkiejnocy mąż dostał się do pracy do betoniarki przy magistracie w m. Żyrardowie. Wtedy żeśmy jakoś troszkę odżyli chociażem chleba do syta się najadła. Dorobił mąż do października i znów zdał na zapomogę i znów przyszedł ten zasiłek i znów ta niedobra zima. Ale gdy porównałam rok 26 do 27 zdawał mi się rokiem jakimś zupełnie innym, chociażby dlatego że już miałam trochę zapasu. W komórce było pięć korcy węgla, w piwnicy było cztery korce kartofli i beczułka kiszonej kapusty a na chleb i na nafty i takie różne drobiazgi to mąż dostał zasiłek to mogę śmiało powiedzieć żeśmy mieli „królewskie" życie. A przeszła zima, nadeszła wiosna, później i wiosna przeszła a nadeszło lato i to już było w połowie a mąż mój jak nie mógł dostać pracy, tak nie mógł. W międzyczasie magistrat m. Żyrardowa wybudował dom o 64 mieszkaniach i my też dostaliśmy tam mieszkanie, lecz cóż kiedy pracy nie ma, a komorne trzeba płacić 12 zł. na miesiąc i już trzeba na gwałt szykować wyprawkę bo mały przybysz się do nas obiecał na samą zimę, a tu pracy jak nie ma, tak nie ma. Ażeby jakoś żyć i nie zadłużyć się w komornym latališmy z mężem na jagody i na poziomki. I tak już byłam ciężka i słaba a musiałam codzień zrobić ze 16 kilometrów bo w Żyrardowskich lasach nic żeśmy nie mogli uzbierać jagód, tośmy chodziliśmy aż do Bolimowa i w bolimowskich lasach dopierośmy zbierali jagody. Po drugiej w nocy żeśmy wychodzili z domu a o jakiej czwartej po poł. żeśmy wracali, no to żeśmy zarobili z mężem 4—5 złoty dziennie i to jeszcze jak żeśmy natrafili na dobre jagody a jak jagody byli marne to się tylko ze 3 zł. zarobiło boć przecież za litr płacili 20 gr., lub 25 gr. to ile to litrów musieliśmy zbierać ażeby zarobić 4 zł. Nareście już się miało ku jesieni jak mąż się dostał do pracy, ale na tej zasadzie, że tylko w zastępstwie chorego robotnika ale i to dobrze, lepsze jak zapomoga. Ale co tydzień, chwała Bogu! tamten jeszcze chory i tak żeśmy Boga chwalili przez całą zimę bo tamten nie przychodził do pracy bo był poważnie chory. A jednak i czyjaś choroba może się człowiekowi przydać bo gdyby ten człowiek był zdrów to co my byśmy zrobili za te 12 zł. zasiłku (bo później mąż już brał 12 zł. bo już i na mnie). We troje bo 24 listopada 1928 roku urodził się nam syn. Nie byłam nigdy taką złą, żeby aż na czyje nieszczęście lecieć, ale w tą taką ciężką zimę tak serdecznie Boga prosiłam, ażeby sobie ten człowieczyna pochoro-

wał choć do wiosny, cóż to komu szkodzi że on sobie będzie chory, przecież już on tak dużo nie potrzebuje bo jest sam a kasa chorych przecie mu płaciła 60 procent to mu starczy, a nam taką dużą przysługę zrobi. No i nie wiem czy też Pan Bóg mnie wysłuchał doś że mąż pracował do wiosny. Ale jednak ta zima 28 rok też nam się dała dobrze we znaki. Żadnych zapasów z opałem żeśmy sobie nie zrobili bo i za cóż czy za te 12 zł. co brał zasiłku, a później co do garnka lub do kuchni to do sklepiku, a tu mróz i do 30 stopni dochodził a tu maleńkie dziecko w domu, a ja na dobitkę pół głupia (bo przy dziecku dostałam zapalenia błony mózgowej to potem byłam taka zidiociała przez pewien czas). Ale jakoś z biedą dobiliśmy do marca. W marcu choć już jakoś człowiek żyje tą myślą że już wkrótce będzie lepiej to już nie wyda tyle na opał to może prędzej zaoszczędzi na kilo chleba. Ale we mnie w tę wiosnę uderzył cios ciężko i boleśnie. Otóż ojca brat a mój stryjek, ale zarazem i przyjaciel i kolega i może najukochańsza osoba na świecie zachorował na suchoty. Gdy się ma 26 lat i nie ma się dobrego odżywienia to trzeba iść na tamten świat. I leżał ten biedak i wyglądał śmierci, ale nieszczęście samo nie idzie, zawsze bierze sobie pare tak i z nim było. Miał gruźlicę piersi to mu się doplątała gruźlica kiszek i wołał cały dzień jeść. A tu nie było co mu dać bo ja sama jak niosłam coś do ust to musiałam się obliczać czy nie za dużo na raz zjadam. Kto go tylko odwiedził to zaraz się pytał czy niema co dla niego do zjedzenia, i ja na to patrzałam i nie mogłam mu dać tyle żeby się aż najadł. On zjadł przeciętnie tyle, ile dziesięć osób zdrowych i jeszcze odczuwał głód i się ciągle skarżył że go głodem możymy i cierpiał tak okropnie, cierpiał z głodu. I całe życie był głodny, w chorobie też był ciągle głodny i umarł też głodny. Już na kilkadziesiąt minut przed śmiercią, prosił ażeby mu kupić jabłek a dzień przed tem kupiłam mu pomarańcze i dałam za nią 1,10 gr. to już później miałam 15 gr., ażeby kupić jabłko w czerwcu trzeba mieć choć z 50 gr., a ja tyle nie miałam. I urzekał sobie ten biedak kochany że o niego nie dbam bo jakby zjadł jabłko to by jeszcze żył tydzień czasu, ale że ja go się chcę pozbyć to mu nie chcę kupić. I czy nie mógł, czy też nie chciał zrozumieć że ja nie mam głupich 50 gr. i tej jego prośbie nie mogę zadość uczynić. I umarł 8 czerwca z żalem do mnie że mu żałowałam 50 gr. Och ty biedo złota ja ich nie

miałam. I pomyśleć 50 gr. stanowi u człowieka prawie że majątek, bo gdybym wtedy miała te 50 gr. to chociaż bym temu umierającemu nie odmówiła jego ostatniej prośbie. Czy to nie jest straszne? Czy to nie jest okropne? kochać kogoś i wiedzieć że ten ktoś za chwilę umrze i nie móc spełnić jego ostatniego żądania. Może ktoś powie że to jest nieprawda, to niech idzie choć na tydzień między tych biedaków co dziś pracują a za tydzień już są na bruku to się przekona czy ja choć jeden wyraz tu nieprawdy napisałam. Z końcem czerwca mąż zaczął pracować na trzy dni, na dzień zarabiał 5.50 to na trzy dni przynosił 15 zł., kasa chorych i na bezrobotnych odciągali resztę, i teraz gdyby Salomon żył ciekawam czy by tak się umiał dobrze rządzić żeby mógł żyć w trzy osoby za 15 zł. i opłacić komorne z tego 12 zł. miesięcznie. A jednak my choć marnie strasznie aleśmy żyli aż do września. We wrześniu zaczęli śpiewać w magistracie o redukcji to już żeśmy nie mogli zdzierżyć, a tu jak na złość zapisywali do Francji. Nam tak się bieda za pazury dogryzła że postanowiliśmy wyjechać do Francji. No i wyjechaliśmy i dopiero teraz zaczęła się nasza tragedia. Do Francji przyjechaliśmy 6 października 1929 roku, do kopalni na dół na 880 m. ale mąż oddychał tylko żeby skończył kontrakt i uciekać gdzie do fabryki. Na kopalni nam tak źle nie było uciułaliśmy sobie nawet parę franków, tylko że praca była ciężka dla męża. Gdy uciułałam już tyle że starczyło na bilet dla mamy to zaczęłam robić starania i mamę ściągłam z Polski do siebie. Jak mama do nas przyjechała to wkrótce poszła do pracy i było nam zupełnie dobrze, tylko przemyśliwaliśmy jak by tu znów ojca do nas ściągnąć z Polski. Zakładaliśmy sobie tak że ściągniem ojca do Francji, wyjedziem gdzieś do fabryki i pójdziem wszystko czworo do pracy i pobędziem we Francji cztery lata i później wrócim do Polski. A tu tymczasem poszło wszystko na opak. Gdy kontrakt był na ukończeniu mama moja znalazła sobie mieszkanie w Lille i czekała na nas jak tylko kontrakt się skończy żebyśmy też do niej przyjechali i tam pośli do pracy. I tak też było, mąż wziął papiery z kopalni i wyjechaliśmy do Lille. Ja zaraz poszłam do pracy do tej fabryki gdzie mama pracowała a że nie miałam żadnego zawodu to mnie dyrektor dał na dniówkę. Nakładałam szpulki na automaty, dziecko zaniosłam do tak zw. kreszu*) i tam maleństwo było cały

*) Crèche = żłobek.

dzień. Mąż też zaraz dostał się do pracy. Przepracowaliśmy dwa tygodnie i przyjechał do nas ojciec i miał mąż ojcu starać się o jaką pracę, a tymczasem wybuchł strajk. Proszę sobie wyobrazić nasze położenie. Mieszkanie jak chambre garnie płaciliśmy 25 franków na tydzień, a życie tutaj jest strasznie drogie, a tu nas jest pięć osób. Całe szczęście że miałam zaoszczędzone 700 fr. bo mama nie miała nic, bo tylko do tego czasu pracowała, na bilety dla siebie i dla ojca bo bilet kosztuje z Warszawy do Lille 389 fr. Przez te siedem tygodni co trwał strajk, oszczędności nam wyśli ze wszystkiem ale całe szczęście że i strajk się skończył to pośliśmy do pracy. Ale i tu zaczął się kryzys już ojciec nigdzie nie mógł dostać pracy a co gorsze wszędzie mówili że etranżera nie przyjmą do pracy. Ale jeszcze myśmy pracowali to ojciec siedział z nami. Ale po krótkim czasie na nas padł strach, zaczęli redukować całemi setkami Polaków. Ojciec nigdzie nie mógł dostać pracy i był mamie tylko ciężarem. Wzięliśmy zebraliśmy ojcu na bilet i pojechał do Polski. Przedtem miał chociaż mieszkanie i jaki taki grat w mieszkaniu a później pojechał na bruk, był we Francji zaledwie sześć tygodni. Zaledwie tylko ojciec wyjechał do Polski dziecko mi zachorowało na zapalenie kiszek i już mówili doktorzy że niema ratunku, aleśmy nie tracili nadziei i ratowaliśmy go jak mogliśmy, ale nie było i za co go ratować bo przecież franków wcale nie mieliśmy i ja nie pracowałam bo musiałam go pielęgnować. Ażeby dziecko ratować zaczęliśmy się stopniowo wysprzedawać, najpierw pośli mamine kolczyki, później nasze obrączki ślubne, a w końcu mój płaszcz. Ale za to maleńki Heniuś nam żyje i już dzisiaj ma czwarty roczek. Kiedy bym mogła pracować to dziecko było chore i musiałam go pilnować, a potem jak chciałam iść do pracy to mnie już nigdzie nie przyjęli bo mam kartę identité nie kontraktową a oni wymagają kart kontraktowych, no to choć z musu lecz siedziałam w domu z dzieckiem i tak dużo miałam z tej pracy, a tak sobie dużo obiecywałam, i budowałam zamki na lodzie. Ale że mąż pracował na cały tydzień tośmy mogli z tego wyżyć i jeszcze cośkolwiek sprawić. Żyliśmy choć marnie ale jeszcze jak cię mogę. Mąż na dwa tygodnie przynosił 364 fr. komorne 50 a te 314 fr. musiało nam starczyć na życie, i starczało zawsze, jeszcze się co dwa tygodnie odłożyło 20—25 fr. mama choć na cztery dni ale też pracowała. W lipcu mąż zaczął pracować 6 godzin mniej na

tydzień, jest to dużo dla nas no ale trudno, już ledwiem koniec z końcem mogła związać a co już o zaoszczędzeniu to nie może być mowy. Przy końcu września mamę wypłacili z fabryki, o przyjęciu do drugiej nie mogło być mowy, nie zostawało nic innego jak jechać do kraju, jechać to takie łatwe słowo, ale jak jechać jak się nie ma na podróż. Chodziła mama do konsulatu ale gdzież tam odpowiedzieli że ma dzieci niech się nią zaopiekują. A nie wiedzieli że te dzieci nie mają nic, ale to naprawdę nic i jeszcze raz nic. Mama swoich groszy miała trochę, my też musieliśmy dać trochę i wyjechała do Polski, a my zostalim sami. 7 listopada czy 6 w fabryce gdzie mąż pracuje ogłosili pracę na cztery dni. I tak nie starczało, a teraz? Bo tutaj to nie ma tak jak w Polsce, kupię kilo kartofli to już zapłacę 75 centów. Tam w Polsce kupiłam korzec kartofli i chociaż kartoflami ale żołądek napełniłam, ale tutaj to trzeba głodem domierać bo wszystko strasznie drogo. Żyjemy tak marnie z dnia na dzień i jeszcze do tego spodziewamy się ciągle wydalenia z Francji, boć przecież mąż mój zmienił zawód a za to tutaj wydalają. Należało nam się zmienić karty identite 5 października, ale byłam w konsulacie i p. wice konsul Jarczyński radził ażeby siedzieć dotąd aż nas żandarmi będą ruszać to już później będzie wszystko jedno, a tymczasem teraz ciułajcie sobie na pociąg, o losie, ja mam ciułać na bilet do Polski jak ja zawsze idę głodna spać bo kilo chleba które kupuję co dzień to zjada mąż i dziecko i ja na śniadanie a już wieczorem to nam niestarcza to napiję się kawy i mówię do męża że jestem nie głodna, oj jakbym chętnie zjadła nieraz a jednak niestarczy i ja mam oszczędzić na bilet do Polski, i z czego? i jak? Gdyby mąż pracował w Polsce choć na trzy dni to prędzej bym coś odłożyła jak tutaj co pracuje na cztery dni, i jak to z nami będzie to ja już zupełnie nie wiem, a nuż tu którego dnia przyjdzie żandarm i każe nam iść na prefekturę i każą nam się w ciągu ośmiu dni wynosić do Polski i za cóż my pojedziem? Czytam codzień gazetę „Wiarus Polski" i szukam ciągle czy nie ma tam jakiejś wzmianki o wychodźcach i czy ich nie będą wysyłać na koszt rządu do Polski. Bo takich jak my to tu jest tysiące i każdy czeka na to odesłanie zadarmo bo nie mają na bilety, ale jakoś widocznie nasz rząd zapomniał o nas tych biedakach na wychodztwie, toć my nie dla przyjemności tutaj przyjechaliśmy a tylko dla chleba i teraz gdy nam się

taka krzywda dzieje, gdy nas jak parszywych psów wyrzucają od siebie, nasze władze nie kiwną palcem w bucie, aby nam coś pomóc. W Polsce jest tysiące takich urzędników którzy biorą taką pensje na miesiąc co ja za nią bym żyła dwa lata. Gdyby taki pan powiedział sobie „biorę taką śliczną pensję wezmę i jedne 100 złotych wyślę na konsulat Polski do Francji niech dadzą jeden bilet dla emigranta i niech przyjedzie do kraju do swoich" a że takich panów z tą śliczną pensją jest tysiące więc i tysiące emigrantów Polski nie spałoby na fortyfikacjach lub na stacji. Na stacji w Lille chodzą setki polskich bezrobotnych, który ma przy sobie 30 fr. to jego szczęście ale biada takiemu co nie ma bo kajdanki na ręce i jazda do więzienia i siedzi tam ze trzy miesiące, puszczą go ażeby głodować, taką jest nasza dola Polaków na wychodztwie. Ja gdybym chciała pisać wszystko co mnie dolega i co gnębi to by mi dziesięć takich zeszytów nie starczyło. Wy tam w kraju macie bardzo dobrze bo jesteście u siebie ale my o Boże! Wy wyjdziecie na ulicę słyszycie tą ukochaną polską mowę, a my tylko to bełkotanie tych Francuzów i tylko szczekają ozorami jak wyjadą Polacy to nie będzie bezrobotnych a zapomnieli że i inni etranżery są a nie tylko Polacy, tacy to oni są nasi przyjaciele. Wy jak jesteście głodni idziecie pod magistrat i zawsze czy zasiłek czy troszki pracy znajdziecie, a my znajdziemy — kajdanki gdy nie mam 30 fr. Nic nam nie potrzeba nic a nic tylko bilet do Polski, o suchym chlebie pojadę do Polski, tylko nam dajcie możność abyśmy mogli przyjechać. Inni mają tak dobrze w swoim życiu a ja tak od maleńka cierpię głód i niedostatek a przecież mam takie małe wymagania. Moim marzeniem jest mieć jeden pokoik i żeby mąż zarabiał choć ze 30 fr. na tydzień. Przecież to jest strasznie małe marzenie a jednak i to nie doścignione. Czy się kiedyś w Polsce poprawi? i czy mąż będzie miał kiedyś stałą pracę, oto jest pytanie na które tak bym chciała znaleźć potwierdzającą odpowiedź. I jakim cudem się znajdę w Polsce jak mnie z Francji wyrzucą czy koleją czy też na piechotę?

Dn. 6 stycznia 1932 r.

Pamiętnik Nr. 13

Robotnik w fabryce fajansu, syn małorolnego z Poznańskiego ur. w 1876 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Konkurs na „Pamiętnik Emigranta" uważam za bardzo na czasie, bo wiem z doświadczenia jak niektórzy wysłannicy informowali kraj o położeniu wychodztwa polskiego we Francji. Dlatego i ja pragnę dołożyć ręki do opisu moich 40 letnich przeżyć na emigracji, choć nie mam do tego wprawy. Urodzony d. 7.9.1876 w Słupi pod Stęszewem (Poznań Zachod.) było nas dziewięcioro dzieci, rodzice posiadali własną chatkę z ogrodem, podczas zimy ojciec był stale bez pracy, dlatego też później gdym chodził do szkoły poszedłem w służbę za pastuszka, później za parobka za 20 talarów rocznie. Nie starczyło aby się przyodziać a skąd pomóc rodzicom, a pomoc była konieczna z powodu ciągłych chorób w rodzinie, trzeba więc było pomyśleć o jakimś zarobku, i tak, mając lat 20 udałem się do Spandawy, byłem miesiąc bez pracy mieszkając u mego znajomego na konto mego przyszłego zarobku, nareszcie otrzymałem pracę przy obróbce drzewa, zarobek 2,40 dziennie, żyjąc bardzo oszczędnie spłacając dług i posyłając rodzicom ile mogłem, a że zarobek był mały więc z kolegami wyjechaliśmy do prac ziemnych do Hannoweru, ale i tam się kolegom nie podobało a ja musiałem się ich trzymać bo nie znałem języka niemieckiego (byli to niby dobrzy koledzy bo mnie w końcu okradli). Później pojechałem do Bielefeld, dostałem pracę przy budowie kolei w Ahlen, przepracowałem całe lato, na zimę pojechałem do mego braciszka do Witten, zaraz dostałem pracę w odlewni żelaza,

tu dopiero wszedłem między polskich ludzi, było i towarzystwo św. Jana któremu przewodził p. Mąkowski (Ojciec księdza Mąkowskiego), tu dopiero poznałem cokolwiek świat i ludzi, ostatecznie znalazłem płatniejszą pracę w Gelsenkirchen w śrutowni, przepracowałem tu 18 lat i tu też założyłem własne ognisko domowe. Ożeniłem się z Polką mamy czworo dzieci, dwóch synów i dwie córki, obecnie już ożenione, polskiej szkoły nie było mimo to dzieci mówią, piszą i czytają po polsku. W rodzinie szczęścia nie miałem, żona chorowała (trzy razy operacja). Wstąpiłem do tow. św. Stanisława innych jeszcze nie było, dopiero gdy ś. p. Jan Brejski objął „Wiarusa Polskiego" od ś. p. Ks. dr. Lisa wówczas zaczęła się praca polska, zakładano Sokoła, Towarzystwa Teatralne, Śpiewacze, Polek, Biblioteki i t. d. jednem słowem zaczęła się walka z niemczyzną o utrzymanie polskości i wychowanie dzieci na dobrych obywateli polskich w czem nam gorliwie pomagali PP. Brejscy. W dniu 6.V.1906 przy założeniu koła śpiewu „Zgoda" wstąpiłem do Zarządu tegoż, stojąc stale na czele aż do mego wyjazdu do Francji w 1924 r. Wiele dobrego zdziałano dla polskości przez tow. polskie i wspólną a zgodną pracę w komitetach tow. miejscowych, w których zawsze żywy brałem udział. W pracy towarzystw brali również udział rzemieślnicy i drobni przemysłowcy, prawda że jedni z obowiązku Polaka, drudzy dla interesu, choć całe wychodztwo popierało swoich kupców i rzemieślników w imię hasła wydanego przez „Wiarusa Polskiego" swój do swego. Należy również wspomnieć o filjach banków polskich które licznie były zakładane, a do których wychodztwo miało zaufanie, na czem się jednak bardzo zawiodło. Przypominam sobie założenie filji w Gelsenkirchen Banku Przemysłowców z Poznania, kierownikiem był p. E. P. zawsze nawoływano przynoście pieniądze, przynoście złoto my je złożymy na ołtarzu Ojczyzny, a was wychodźców weźmiemy wszystkich do Polski, a jaki był koniec tego? wiemy na jakim ołtarzu były złożone, to też po zlikwidowaniu filji tegoż Banku odbył się wiec informacyjny czy pożegnalny na którem byłem obecny, kiedy zaczęto p. P. robić zarzuty że za oszczędności wychodztwa kupił sobie posiadłość, założył fabrykę, wybudowano wspaniały gmach bankowy i t. d. i obecnie wyjeżdża do kraju a my tu bez grosza, oddajcie pieniądze my też chcemy jechać do Polski,na to p. P. znalazł jedną odpowiedź, która była niby zwrotem kapitału wraz

z procentem w słowach: „Was śmierdziele Polska wcale nie chce". Takie smutne było zakończenie składania oszczędności w Bankach.

Wyjazd do Francji

Podczas okupacji Westfalji i Nadrenji przez wojska Francuskie Polacy zachowali się wzorowo i rozsądnie nie okazując swojej sympatji Francuzom nazewnątrz ze względów zrozumiałych, lecz zato że Polacy razem z Niemcami nie chcieli okazywać okupantom wzgardy, zaczęto Polakom grozić, zaczęły się tworzyć bandy opryszków składające się przeważnie ze zniemczonych Górno-Ślązaków, którzy zaczęli rozbijać szafy towarzystw, niszczyć sztandary, nawet prywatne mieszkania Polaków (przeciwko bandzie nie było prawa). Wiedziałem że jestem na liście czarnej i że na mnie przyjdzie kolej po wycofaniu się okupantów, trzeba się było wcześnie wynieść, przeto poszedłem na ratusz do francuskiego komendanta, opowiedziałem jemu moje położenie i w kilku dniach było wszystko załatwione, przyjechali francuscy żołnierze wozem, pokładli meble, zawieźli na dworzec, pokładli do wagonu zaplombowali i odjazd d. 15.I.1924 roku. Przybyliśmy do Toul skąd po wypoczynku dwudziestuczterech godzin wysłano nas do Mondewille dep. Calvados do wielkiej fabryki, wysokie piece, walcownia szyn, drutu koksownia i t. d. Trafiliśmy bardzo źle, w miejscu nie było mieszkania, zawieźli nas do swojej drugiej kolonji w Potigny oddalonej o 25 klm. od miejsca pracy, tę drogę trzeba było robić co dzień tam i z powrotem, prawda bezpłatnie bo pociągiem fabrycznym, ale pożal się Boże ani jednej szyby w oknie, zimno, przeciąg, a żołądek pusty, nie było ani franka, na kredyt nie dawał. Jednego wieczora poszedłem do piekarza i prosiłem aby mi dał jeden chleb w zastaw za mój kieszonkowy zegarek którego na wypłatę wykupię, ani słyszeć nie chciał aż mnie wstyd było tak się człowiek musiał poniżać, ani żaden Polak nic nie chciał pożyczyć. Takich ludzi spotkałem poraz pierwszy w mojem życiu. Zaliczkę można było dostać co drugi dzień 5 fr. a zarobiłem 15 fr. dziennie. Meble wysłane 15.I. przyszły dopiero 2 marca, wagon otwarty i brak jednej pierzyny. Polacy w tej fabryce nie byli chętnie widziani zato Rosjanie a była tam cała armia Wrangla ci byli zrównani z Francuzami. Tak przecierpiałem do sierpnia, gdzie z rodziną ułożyliśmy plan mego wy-

jazdu na północ gdzie pracowali koledzy z Westfalji, przybywszy w dzień wypłaty niby na południową pracę (z walizką w ręku) wziąłem wypłatę i zamiast do pracy udałem się wprost na stację do Caen i odjazd. Przybywszy tutaj nie mogłem w żadnej fabryce ani kopalni dostać pracy, nie mając żadnego poświadczenia z ostatniej pracy, ostatecznie pewien Włoch postarał mi się o pracę na gazowni, skąd przeszedłem potem do fabryki fajansu (gdzie dotychczas pracuję i czuję się dość szczęśliwy), sprowadziłem zaraz moje dzieci do pracy i po przepracowaniu trzech tygodni pracodawca na swój koszt sprowadził meble i dał zaliczkę bym mógł jechać po żonę, tutaj jakoś inni ludzie jedno drugiemu pomaga (tak należy). Obok mojej pracy zawodowej zacząłem się znów jak dawniej interesować towarzystwami polskimi, wstąpiłem do Związku Robotników Polskich, do tow. Górników, do koła śpiewu im. F. Nowowiejskiego które istniało dopiero sześć miesięcy lecz było nieczynne, powołałem takowe do czynu, objąłem kierownictwo które jestem zniewolony dzierżyć do dziś bo brak ludzi i nikt nie chce przyjąć tego ciężkiego zaszczytu i mimo moich 60 lat śpiewam, śpiew nadewszystko. Trzeba było pomyśleć o założeniu komitetu towarzystw by wspólnie urządzać obchody narodowe, również założyć Tow. Polek które tak pięknie służy Polsce przez nauczanie dzieci teatrzyków i śpiewu, aż miło było patrzeć na tę harmonijną pracę. Dopiero kiedy na rozkaz p. konsula K. zaczęto niby konsolidować wychodztwo zakładając contra-towarzystwa jak Obrońców Ojczyzny we Francji, które niby istnieją ale mało żyją, wtenczas zamiast konsolidacji przyszło rozdwojenie i kłótnie w kolonjach a praca już tak nie idzie jak dawniej. Mojem zdaniem dziś najważniejszą kwestją urzędów miarodajnych powinno być zwrócić baczną uwagę na dzieci polskie i w każdej miejscowości gdzie są polskie dzieci dać polskie przedszkole i szkołę, bo jestem przekonany że dziatwa opuszczona we Francji prędzej zginie dla Polski aniżeli ginęła w Niemczech, tutaj na wynarodowienie dzieci polskich wpływa z jednej strony otoczenie i szkoła francuska, z drugiej strony pewien odłam Polaków którzy dawniej ze strachu przed wydaleniem z Francji ukryli się pod sztandar Obrońców Ojczyzny a teraz po nastaniu frontu ludowego zakładają w każdej miejscowości T. U. R. przytem szkoły bezwyznaniowe, czerwonego Harcerza, Rady Ludowe, robi się zbiórki na masakre w Polsce i t. d. a więc pod płaszczem

T. U. R. będzie robota skrajnie lewicowa, a do tego rydwanu wprzęga się młodzież i dzieci, by w te młode serca wpajać jad nienawiści do Polski. Niech to będzie ostrzeżeniem a wszelką pracę dla dobra Narodu i Państwa należy rozpoczynać już od dzieci.

Wierzę że Wielm. Panowie mają wpływ w kraju, a jeżeli uważają uwagi moje za słuszne proszę uprzejmie wykorzystać.

Dn. 27 września 1936 r.

Pamiętnik Nr. 14

Górnik, syn robotnika kopalnianego pod Będzinem, ur. w 1912 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Urodziłem się w Józefowie pow. Będzin, dnia 1 maja 1912 r. Ojciec mój pracował w gospodarstwie i zarazem pracował na kopalni Mortimer w Zagórzu „Tow. Sosnowieckie" pow. Będzin, matka moja dostała spłatę od rodziców swoich kilkaset rubli i dołożyła do gospodarstwa ojca, bo rodzice matki poumierali, a rodzice ojca w dwa lata po ich weselu.

Pewnego razu ojciec mi mówi, że mnie kupi braciszka i tak się stało, dość natem, że się wychował do drugiego roku życia, wtedy już się przemieniło, ojciec mój się rozpił, gospodarstwo z sześcioma morgami się zadłużyło, ojciec mój wziął wyciąg z kop. Mortimer i chwycił się handlowaniem wieprzy. Mieliśmy swoje konie, ojciec mój jeździł do Skały (pow. Olkusz) po wieprze a przywoził do Dąbrowy Górniczej (pow. Będzin) ale i na tem źle skończył, wódka go przyprowadziła do ruiny.

W roku 1920 ojciec mój założył związek, nie miałem pojęcia co to był za związek, ale teraz rozumiem (a ojciec mój nie był już zdatny do wojska, bo był raniony w kolano i miał nogę prostą a przytem i krótszą) wtedy ojciec mój wziął się za politykę.

Pewnego razu a było to 1920 r. strażnicy przyszli do nas w nocy, zabrali ojca do kozy i matkę i mówili nam że mama zaraz przyjdzie a było to zimową porą (ojciec mój sprzedał konie dwa i jedną krowę jeszcze przed pójściem do więzienia, bośmy nawet nie mieli zaco jeść), matka moja mi mówi, idźcie spać, a ja przyjdę zaraz.

W zimowy dżdżysty poranek, kiedyśmy dmuchali w szyby, siedzieliśmy na stole przy oknie oba z bratem dwuletnim i 7 m. żeby kwiatki zeszły, co mróz namalował bez noc, mój brat zaczął płakać że mu się chce jeść, wtedy zesadziłem brata na ziemię i włożyłem parę ziemniaków do pieca, choć ognia nie było, bo matka moja mnie mówiła, żeby ognia nie palić bo by mogli co podpalić, a po drugie nie mieliśmy zapałek.

Wtedy jak się ziemniaki piekły bez ognia, poszliśmy do sieni, gdzie stała beczka z kapustą kiszoną i dalej zajadać, można zrozumieć co za radość tak jeść, jak my się najedli do syta, nawet my nie obierali tylko tak jedli z kożuchem, jak to na kiszony kapuście obsiada, mój brat chce pić, ale jeszcze my zjedli po jednem ziemniaku choć były surowe, a strażniki jak przyśli po matkę to nas zamknęła na klucz i na kłódkę z frontu, bo myślała że przyjdzie rano, a ludzie myśleli że my gdzie wyjechali.

Teraz zwracam się do brata i dałem mu się wody napić i ja też żem się napił, tak przyszło koło południa. Zawieja śnieżna stłumiła nasze głosy cośmy wołali żeby kto nas usłyszał, siedzieliśmy tak znów na stole przy oknie do samego wieczora, później ja mówię bratu choć Witek spać, ale brat mój się nic nie odzywa to ja poszedłem spać sam, pod pierzynę, na drugi dzień gdym się obudził, było już słońce dość wysoko, a płatki śnieżne zasypywały ulice, wiatr już jakość ustał, wtedy wołam do brata chodź pod pierzynę, bo ci zimno może, ale brat mój się nie odzywa, wtedy zrobiło mi się jakoś dziwno, samotno. Już nie mówię nic, tylko wyłażę z pod pierzyny, wchodzę na stołek, ze stołka na stół i szarpię brata, a brat już zimny i skostniały. Wtedy schodzę nazad na podłogę, już nie pamiętam co żem wziął do ręki, jakiś ciężki przedmiot i bęc w szybe, na ten czas jakaś kobieta przechodziła, usłyszawszy brzęk stłuczonego szkła, obejrzawszy się poza siebie, a ja już w połowie okna stoję i krzyczę, że mój brat umarł. Wtedy kobieta podchodzi bliżej i wypytuje się co i jak to było, wtedy ja jej opowiadam wszystko jak i co było.

Na ten czas nagromadziły się tłumy ludzi i zaraz też sąsiady wyważyli drzwi, weszli do mieszkania. Kobiety zaraz wzięły się do brata mego, ułożyli go na łóżku, zaczeli go nacierać ale już było za późno, później wysłali po doktora, ale doktór zbadał że już nie

żył przez 16 godzin. W krótkim czasie potem przyszła moja matka bo ludzie dali znać do gminy że syn umarł i wójt pozwolił jem iść. Nie można opisać wszystko, jakie było rozpaczenie stracić syna a zarazem mego brata, na drugi dzień chrzestny ojciec kupił trumnę, bo my nie mieli zaco kupić i włożyli go do trumny, chrzesny wziął na ramienie i poszedł do kościoła pokropić i zaniósł na cmentarz z garstką ludzi, pochowali go i przyszlimy nazad do domu. W końcu 1921 r. matka moja rozchorowała się a myśmy nie mieli pieniędzy ani na doktora ani na lekarstwo, żaden nam też nie chciał pożyczyć tylko sąsiady nam tak pomagali, matka moja przeleżała przez pięć miesięcy w domu a ja do szkoły przez ten czas nie uczęszczał, tylko musiałem być w domu. W krótkim czasie potem przychodziło jakiś czterech panów do domu i pytają się o ojca, wtedy matka moja jem mówi że poszedł do więzienia, że przyjdzie dopiero za trzy tygodnie. Wtedy panowie wyciągają jakieś papiery z kieszeni i mówią że pożyczyli ojcu pieniędzy a termin się kończy, matka moja mówi że niema pieniędzy chcecie to bierzcie z hipoteki i tak się stało. Za dwa tygodnie ci sami panowie przyjechali i dwóch strażników komornik i różni jeszcze jacyś i odbyła się licytacja, matka moja dostała jeszcze coś z tego.

I tak my mieszkali przez pewien czas, aleśmy musieli opłacać lokatorne, do tego nas doprowadził ojciec skruć*) gorzałki. Matka moja dostała pracę na kop. „Mortimer", w krótkim czasie ojciec mój przyszedł z więzienia, ale już inny nie ten sam co przedtem, nie umiem tego opisać jak i o co jem chodziło, ojciec się rozpił jeszcze gorzej, bił nas wyganiał z domu, choć matka moja pracowała na życie i odzież. Po niejakimś czasie ojciec dostał pracy pracował na pochylni jako murarz, a matka moja tyż pracowała nadal. Pewnego razu ojciec przyszedł i powiada że bierze przeniesienie na inną kopalnię i poszedł pracować na kop. „Klimontów" ale nie jako murarz, lecz jako rzeźnik, podczas czasu aprowizacyjnego rąbał mięso na kopalni ludziom i do Spółdzielni Kopalnianej. Ale że było za daleko chodzić, ojciec mój wynajął sobie mieszkanie zaraz przy kopalni i tam mieszkał, a do nas nie chciał nawet mówić, nawet przyjść do nas. W krótkim czasie ojciec wyszukał sobie

*) Prawdopodobnie zamiast — skróś = z powodu.

„metrese“ i za cztery tygodnie przyjechał do nas, parę mebli pozabierał co mu się podobało, bo matka moja była za marna bić się.

W roku 1922 kiedy mnie minęło 10 lat, matka moja nadal pracowała, ale nam było ciężko, ja się chaharzyłem nie chciałem matki słuchać, a żaden nikt inny mnie nie miał przykarcić, do szkoły nie chciałem chodzić, w jedenastem roku życia skończyłem 4-klasową szkołe powszechną w Zagórzu.

Razu pewnego matka moja napisała list do ojca żeby mnie wziął do siebie i ojciec się zgodził, poszedłem do ojca, ale tam już nie było jak przy boku matczynem. Ojciec pracował „bohdanka“ jego tylko spała do południa, a ja jak przyszedłem ze szkoły dopiero musiałem w piecu palić, wody przynieść i po różne sprawunki chodzić. Ale to się niedługo działo, za kilka tygodni kobieta zachorowała i poszła do szpitala, jeżeli ojciec pracuje na kopalni, to się należy leczyć całą rodzinę na kasę chorych, ale tu było co innego, bo ojciec nie był z nią żonaty, a ja dobrze byłem w tem przebiegły, zaraz też poszedłem do matki i powiedziałem jej wszystko, wtedy moja matka poszła do kasy chorych i opowiedziała jem jak się sytuacja przedstawia, wtedy ojca mojego za tyłek i dalej płacić, pamiętam jak zapłacił 500.000 tys. marek kary, to było tak około dwie wypłaty. Ale dla mnie się czasy pogorszyły, ojciec mój bił mnie za byle co, bo zarazem dowiedział się że ja to powiedziałem to na mnie wszystką złość wyłożył, tak żeśmy przepędzili dwa miesiące sami. Przez ten czas chodziłem do szkoły, ale żem więcej chodził do matki jak do szkoły, bo co było chodzić do ojca kiedy było wszystko zimne, musiałem gotować zaraz, nim ojciec mój przyszedł z pracy. Po niejakimś czasie przyszła jakaś kobieta do ojca, ale i to życie nie było dobre dla mnie, miałem lat 14-cie ojciec mój 33 lata a ta kobieta 21 l. ale to znów nie było dla mnie przyzwoicie mieszkać pod jednem dachem, bo się nie krępowali z niczem przede mną. Co do jedzenia i okrycia to miałem dobrze, chodziłem na spacery, miałem nawet zawsze pieniądze, ale nosiłem do matki, a po drugie zanadto przylepiała się do mnie, ojciec widząc co się święci, zrobił kłótnię, na drugi dzień nie poszedłem do szkoły, a ona mnie mówi żeby iść po sprawunki, kiedy naprzynosiłem pełno, to mi mówi że odchodzi i poszła, kiedy ojciec mój przyszedł to dopiero zobaczył co było wzięte w spółdzielni i zabrała

jeszcze do tego 10.000 tys. marek. Za kilka dni znów przyszła do nas, ale wujenka nie wiem co to za jedna i nie znałem jej ale musiałem mówić wujenka. To była kobieta silnie zbudowana, wysoka barczysta, silna, to też i ja znów biede klepał, biła mnie i katowała ciągneła za włosy, aż krzyczałem ludzie ratujcie i wiele razy uciekałem z domu, wiele nocy przepędziłem w komórce ale się jakoś żyło.

W krótkiem czasie ojciec mój został delegatem, zarabiał nieźle, ale wódeczka wszystko strawiła no i polityka też, chodził tylko po więzieniach, bo do polityki był za nerwowy. I także policja zaczęła mu chodzić po piętach, panowie wysyłali szpiclów żeby ojca zastrzelić, bo jak wiadomo faszyzm polski nie da się wziąść za bary. A brat kochanki ojca też był bojówkarzem i nawet zginął na posterunku P. P. K. Raz przyszli policjanci do nas o pierwszej w nocy, ale to byli koledzy ojca i powiedzieli żeby ojciec miał się na baczności. Radzili żeby ojciec mój wyjechał i tak też zrobił, pojechaliśmy do Strzemieszyc pow. Będzin, a że ojciec mój był też palaczem cegły w piecach hochmanowskich, to zaraz dostał pracy na cegielni. Pracował w nocy, a ja na dzień. Do szkoły nie chodziłem bo kochanka ojca mi zabroniła. A pomimo tego że ojciec mieszkał gdzieindziej nie zaprzestał propagandy P. P. K. (polskiej partji komunistycznej!) Co dzień zawsze ktoś przyjeżdżał, jeździł samochodem i mnie we wszystko wtajemniczył.

Ale jak wiadomo serce dziecka zawsze do matki ciągnie, jednego razu pozabierałem co moje i wróciłem do matki, ale już mogłem pracować, a matka moja nadal pracowała na kop. Mortimer, a ja dostałem prace przy murarzach ale to była praca za ciężka dla mnie. Później dostałem pracę w rzeźni miejskiej, zarobkowałem nieźle, ale z powodu ugryzienia mnie przez konia wziąłem wyciąg.

W krótkim czasie ojciec mój powrócił do Dąbrowy Górniczej i dostał prace w Magistracie tego miasta. Po upływie czterech miesięcy poszedłem do ojca żeby mnie co dał, bo nie pracuję, to mnie ojciec pokazał drzwi, a kochanka ojca uderzyła mnie pięścią w twarz. Ale ja nie frajer chciałem jej zapłacić za wyrządzoną mnie krzywdę, co mnie wyrządziła przez pewien czas jak żeśmy mieszkali razem, to mnie biła, jeść mi nie dała, bez kolacji chodziłem spać, choć pracowałem. Wtedy ja zagwizdałem, a miałem ze sobą sześć komplów, od 17 do 22 roku. Wtedy komple moi wyparli drzwi i wpadli

do mieszkania, dwóch zaraz przytrzymali ojca, jednocześnie nie dałem bić ojca, bo robił to z namowy kochanki, to zawsze ojciec nie zapomnę tego nigdy. Reszta kompli moich wygarbowała skórę kochance ojca, a na dodatek wybili kilka szyb i odeszliśmy. Ale kochanka ojca nie dała za wygranę, poleciała na policję i oskarżyła nas. Na drugi dzień, a było to w niedzielę Matki Boskiej Gromnicznej 2 lutego 1929 r. wpadło dwóch policjantów do mnie i zaprowadzili do komisarjatu, p. Komisarz kazał mi odpowiadać na zapytania. Byliście wczoraj wieczór u ojca ze swojemi kolegami zbiliście własnego ojca i matkę, a do tego wybiliście szyby, będziecie za to karani sądownie za zakłócenie spokoju publicznego, przyznajecie się, odpowiadam nie p. Komisarzu, to nie jest moja matka tylko kochanka ojca, a jednocześnie byłem sam nie miałem nikogo do pomocy, bo ja nie poszedłem się bić tylko żeby mi ojciec coś dał i opowiedziałem mu, że sytuacja przedstawia się tak a tak. P. Komisarz pokiwał głową i powiada to już sprawa nie moja tylko sądu, ja swoje zrobiłem, a resztę niech rozstrzygnie sąd, jesteście wolni, do widzenia p. Komisarzowi, jeszcze mi mówi, a nie zaczynajcie więcej bo was by czekał więzień. Ale ja tam gwizdał na jego mówienie.

Za dwa tygodnie wstawiłem się na sąd, ale sędzia zamiast mnie ukarać to ukarał ojca grzywną, a co do moich kolegów, to żem powiedział że ich nie było, ja byłem sam jeden, a kto mi przyszedł z pomocą jak żem wołał ratunku, to ja nie wiem nie znam ich, a ojcu przysądzili żeby sobie koszta sam pokrył i żeby jeszcze dbał o syna bo ma jednego, na tem się sprawa skończyła. Jeszcze sędzia ojcu mojemu radził, żeby mnie wysłał do domu poprawczego do Inowrocława ale to się nie udało. Bo byłem pod opieką matki a nie ojca.

Po niejakimś czasie zacząłem się łajdaczyć, uciekałem z domu, nie chciałem matki słuchać. Razu pewnego uciekłem z domu, nie byłem przez cztery miesiące. Pracowałem to tu, to tam, tu żem zarobił 1 zł. gdzieindziej 5 zł. i tak żem żył. Ale później dostałem pracę przy brukarzach, nawet mam fotografje z Polski. Patron mój co pracowałem u niego płacił 75 gr. na godzinę, bo już umiałem brukować, pracowałem za trzeciego a pracę wykonywałem za jednego, pierwszy brukarz miał 2 zł. na godzinę.

Po niejakimś czasie przyszedłem do domu i przeprosiłem

matkę, matka moja kupiła mi zaraz ubranie, trzewiki wogóle mnie okryła jak się należy, wtedy zaraz poczułem że jestem inny. Później kupiłem sobie rower, bo było do pracy daleko, a po drugie patron mój miał i więcej robót. I miał zaufanie do mnie to tylko żem jeździł po robotach i stalowałem piasek i kamień wogóle wszystki materjał jaki był potrzebny do pracy. Chodziłem do Magistratu wygadać się też umiałem, podpisywałem się na różnych kwitach i po pieniądze ja też jeździł, pobierałem po dwa i trzy tysiące zł. a patron później wypłacał. I tak się pracowało przez kilka miesięcy. Ja zarobiłem też ładnie i patron bo choć był patronem ale też pracował przez osiem godzin. A jak jaki pan przyjechał, to ja go zastępował a on trzymał ręce w kieszeni. A w Magistracie nie wiedzieli, że tak robimy. Ale tylko przyjeżdżali raz na tydzień robotę odbierać. Razu pewnego potrzeba było łopatów i poszedłem do Magistratu, poprosiłem grzecznie pana zawiadowcy że ten i ten pan prosił o kilka łopat, kazano wydać łopaty i kazano mi się podpisać na biurze. Na tę chwilę nadszedł mój ojciec, który pełnił funkcję przy wydziale budowlanym, przyszedł z jakimś kwitem, na wstępie mówi dzieńdobry, a ja jako syn nie mogę się sprzeciwiać, odpowiadam dzieńdobry ojcze i podał mi rękę. Zawiadowca się pyta mojego ojca, czy to pański. Ojciec mój odpowiada tak, trochę był zmieszany i ja także ale nic my nie dali po sobie poznać. Bo co się będziemy kłócili w biurze. Na drugi dzień zostałem wezwany do Magistratu przed oblicze p. zawiadowcy, ja myślałem że mnie obruga. Ale na wstępie mi mówi czyby to nie ładnie było jakby ojciec i syn pracowali w jednem biurze. Zaraz wiedziałem że to było za poręką ojca, ale ja nie chciałem być razem, powiedziałem że z powodu jednej rzeczy nie możemy się pogodzić. Ale to sprawy rodzinne p. zawiadowca raczył by mnie zostawić w spokoju, odłóżmy to do drugiego razu kiedy bedziemy mieli czas. No ale po krótkich zatargach przyjąłem pracę w Magistracie m. Dąbrowy Górniczej przy telefonie, dobrze mi było, bo ojciec mi się wystarał o nią, a sam był jednocześnie skrobipiórką. Ale kochanka ojca stale mi stała na przeszkodzie. I żebym nie słuchał nikogo, tobym był do dzisiejszego dnia. Praca była dobra pracowałem od godz. 6 r. do 4 p. poł. dwie godziny obiadu. Zarabiałem 110 zł. miesięcznie, to miałem 10 zł. na węgiel. W końcu 1929 r. raz przyszedł do mnie zawiadowca i kazał mi opowiedzieć dlaczego tak krzywo pa-

trzę na ojca. To ja opowiedziałem moje przeżycie z dawnych czasów, p. zawiadowca pokiwawszy głową, że dwóch z tego domu nie może pracować, bo kochanka ojca też pracowała sprzątała myła, a później roznosiła herbatę po wszystkich biurach, nawet nie ominąć. Za 15 dni już przyszła inna młoda panienka, to zamiast mieć trzy herbaty na dzień to mogłem mieć i 30 nawet, ale ojciec znów nosa zadzierał na mnie bo mu raz ta dziewczyna powiedziała drogi teściu. Ojciec mój latał jak wściekły na ostatku wyprzezywał kucharką i na drugi dzień wziął wyciąg z miejsca. Po niejakimś czasie dostałem list od kuzyna we Francji, stale mi przysyłał kilka franków i wujek i ciotka mi przysyłali franki, że tak mi się spodobały, że miałem chęć i jechać. Zaraz też wysłałem moją metrykę urodzenia i mojej matki i tak czekałem do czerwca 1930 r. kuzyn mi przysłał zapotrzebowanie a mojej matce nie, matka moja się spłakała bo wzięła z kopalni wyciąg żeby pobrać jednorazowe i nawet dostała. Ale cóż z tego pieniądze się rozeszły, roboty niema, a ja już jadę do Francji. Podróż miałem niezłą, ale i też trochę za twardą nie było gdzie spać, a żaden się o nas nie troszczył, wieźli nas jak jakich zbirów na Sybir. Tak żem się dostał do Francji. I tak przyjechałem do mojego wujka. No ale na początku to źle szło, bo żem się nie mógł przyzwyczaić do pracy, choć żem też pracował na „biedaszybie“ a we Francji bezmała jednakowo roboty niskie. Pracowałem w kurzu no ale i jednocześnie byłem rad z tego, bo lubię pracować, nie gardzę pracą. Pierwszą wypłatę jak żem dostał, to zaraz poszliśmy na „żynefa *)“ i francuskie wino, pomimo tego że miałem trochę pieniędzy, ale jak człowiek młody to lubi się zabawić.

Po niejakimś czasie chodziłem grać razem z mojemi kuzynami. Bo umieją bardzo ślicznie grać. Jeden grał na harmonji, drugi grał na skrzypcach, trzeci grał na t. z. „Saxso“. I tak my pędzili żywot kawalerski przez kilka miesięcy. Ja także grałem na tak zwanym Jazbanie. Po roku czasu starałem się sprowadzić moją matkę, już żem się wystarał o papiery i zapłaciłem 450 fr. na kolej, bo kompanja nie chciała przyjąć, ale po sześciu miesiącach oddali mi wszystko z powrotem. Bo granice zamknięte. Wtedy posłałem matce połowę tych pieniędzy i zatrzymałem resztę ma się rozumieć na winie francuskiem się rozeszły.

*) Prawdopodobnie „genièvre“ — trunek pokrewny naszej jałowcówce.

W krótkim czasie potem dwoje moich kuzynów wzięło wyciąg z kopalni i poszli pracować do fabryki. Ale jak wiadomo kto pracuje na fabryce ten nie może mieszkać w domu kopalnianym. Także i u nas się stało, dyrektor wypowiedział mieszkanie wujkowi i musieliśmy się wyprowadzić. No ale na szczęście Wujek mój znalazł mieszkanie prywatne z Estaminetem (czyli z kafejką). Wyprowadziliśmy się coś po trzech tygodniach. Nie mogę powiedzieć że nam było źle, owszem bardzo dobrze, bo każdy pił, ma się rozumieć musiał płacić, ale na wypłatę było krucho. Wtedy sobie myślę trzeba się ożenić, ale z kim chodziłem tu i tam i z Polką i Francuską, nareszcie żem znalazł Francuskę bo jakoś my sobie sprzyjali ona mnie, ja ony, tak że my się pobrali dn. 10 lutego 1934 r. a za dwa dni miałem urodziny mego syna. Mieszkaliśmy razem z mojem wujkiem przez dwa miesiące i grałem nadal u wujka, bo mi płacił 20 fr. za wieczór. W kilka tygodni potem, a raczej po dziewięciu wujek mój musiał wyjechać do Polski z powodu wygnania szomerów z Francji, no ale jemu źle nie było bo zarobił ładne 20 tys. franków na kafejce. A po drugie czterech robiło, to się forsa waliła. I nawet zabrał jednego ze swych synów najstarszego, który był żonaty z Francuską i miał jednego syna, to zostawił we Francji a sam uciekł. Nie wiem jak mu się powodzi, bo ja do niego nie piszę, ani też do wujka. Bo jak wyjeżdżali do Polski to się nie raczyli przyjść pożegnać. A trzech synów się pozostało we Francji, jeden z nich jest żonaty z Polką, a dwóch kawalerów. Ale oni nie rwią się do Polski na zupę szumerską. A ja pracuje nadal na kopalni i mam już dwóch synów. 1935 r. wysłałem moje wszystkie papiery do naturalizacji już żem opłacił wszystko, ale do tego czasu cicho, niedawno przyszli żandarmi pytali się ile zarobię, ile mieszkanie płacę, ile dzieci i powiedzieli mi że to długo już się nie będzie ciągnąć. Z wielką chęcią chciałbym być już tem Francuzem, tobym sobie matkę moją sprowadził do Francji. Jeszcze przed tem rejestrowałem się w Konsulacie Polskim w Lille Nord, ale pan K. chciał 45 fr. Jak na ten czas Polacy w kolonji założyli związek byłych wojskowych i rezerwistów. I dowiedziałem się że prezes tutejszy zbiera tylko 5 fr. 50 cent. za rejestrację. W przyszłą niedziele potem wybierali zarząd, zostałem wybrany sekretarzem, nie z tego powodu żebym tam miał jakieś stanowisko, bo ja na takie coś to już dawno gwizdam. Tylko to żeby pokazać p. K. że mu nie za-

płacę 40 fr. na cele emigracyjne. Ja jestem opóźniony p. K. mnie pisze, dostałem pięć listów, a co jeden przyszedł to 5 lub 10 fr. więcej. Choć to nie moja wina. A czy pan Konsul nie wie że ja we Francji jestem już od 18 roku życia a dostałem list w 22 r. życia. Tak kiedy prezes zebrał na rejestrację po 5 fr. 50 cent. to wszyscy dostali, a ja nie. Jeszcze przyszedł list że jak nie zapłacę 40 fr. to mnie odbiorom prawo obywatela polskiego. To ja siadam i piszę list, że mój ojciec nie urodził się w Westfalji, ani też w Saksonji p. prezes i ja jako sekretarz B. W. we Francji podpisaliśmy się to zaraz za cztery dni miałem rejestrację gotową. A to mi było potrzebne do naturalizacji. Jeszcze p. K. mi dziękował za to że jestem propagandzistom, bo żem tak w liście napisał, aby tylko dostać ten papier, jak tylko dostałem to się pociągnął jeszcze dwa miesiące i pochowaliśmy go ś. p.

Kilka miesięcy temu potem wybuchł strejk i ja się dołączyłem do tego, ale nie na długo. Bo grypa mnie położyła na łóżko. Później wybierani zostali robotnicy do zarządu przy C. G. T. Ale ja się nie stawiłem z powodu choroby. Otrzymaliśmy to co my chcieli, ale wszystko drożeje, to się na nic nie zdało. Tylko urlopy i 40 g. tydzień pracy. I tak znów nie gonią.

W dniu 15 września założyliśmy związek Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego. Zostałem wybrany prezesem tego związku. Bardzo mnie to cieszy, że się jeszcze da uświadomić niektórego robotnika. Bo w naszej Kolonji nigdy nic nie było. I zarazem zostałem wybrany zająć się bibljoteką. I jestem zastępcą reżysera. Mamy morowych chłopów i reżysera do teatru i nawet był okręgowym reżyserym. Graliśmy sztukę pod tyt. „Wyrodna Córka", sztuka ta została nagrodzona dyplomym i 50-ma książkami do Bibljoteki dn. 25 października 1936 r. na Konkursie Teatralnym w Anzin, ogłoszonym w prasie. I jeszcze raz ją będziemy grać z drugiemi okręgami. A teraz się uczymy „Bunt chłopskiej duszy". A teraz dnia 15 listopada odbędzie się zebranie kwartalne, na którem będzie obrany zarząd na 1937 r. Zawieram mój pamiętnik dn. 28/IX.1936 r. o godz. 9-tej wieczór.

Dn. 28 września 1936 r.

Pamiętnik Nr. 15

Robotnik, syn rolnika spod
Lwowa, ur. w 1900 [?]. r.
(Konk. im. St. Gawrońskiego)

Zbliżył się wreszcie dzień kiedy to ja wraz z innemi znalazłem się w Mysłowicach. Tutaj jeszcze raz zostaliśmy badani przez lekarza no i tym razem ja również zostałem uznany za zdatnego do roboty do fabryki.

Przebyliśmy tam parę dni, tam też obczyszczono nas częściowo z brudu, bo i z czegoż więcej, no i wreszcie załadowano nas jak stado owiec i pod opieką konwojentki i kilku innych panów do tego przeznaczonych puściliśmy się do kraju winem i miodem płynącego, to jest do Francji.

Za długo widzi mi się aby opisać podróż naszą, która również była dosyć ciekawa, natomiast wspomnę koniec tylko podróży to jest do przybycia transportu naszego do Tulu.

Chwila pierwsza przybycia na miejsce jest rzeczywiście pożałowania godna. Napiszę tylko w skróceniu, gdyż czas nie pozwala mi aby się szerzej rozpisać. Otóż z Mysłowic do samego Tulu prowadziła nas pani konwojentka i kilku panów z nią. Jak wiadomo w transporcie tym byli mężczyźni i kobiety i dziewczęta no i dzieci też było nie brak, rozumie się z rodzicami. Przez cały czas podróży, pani konwojentka pilnowała dosyć gorliwie a nawet więcej jak gorliwie te owieczki aby nie pogubiły się po drodze, i strzegła je jak swoje, to i do tego stopnia że żadnemu z mężczyzn nie było wolno pod ostrą karą wejść do wozu gdzie jechały kobiety czy dziewczęta. Nie wolno nawet było przez okno zajrzeć. Jednem słowem, porządek. Bieda temu który odważył się choć zajrzeć przez okno. Tak

przybyliśmy w końcu do Tulu. Pamiętam noc zapadała, gdy pociąg wreszcie stanął na stacji. Jesteśmy w Tulu. Naczelnik stacji krzyczy po francusku nawołuje do zsiadania. Pozsiadaliśmy. Czekamy. Pytamy się jeden drugiego gdzie konwojentka, lecz nikt nie wie. Czekamy i czekamy a naszej pani konwojentki jak niema tak niema. Znikła jak kamień do morza. Wreszcie, jeden który tam cośkolwiek rozumiał po francusku, udał się do naczelnika stacji i przedstawił całą sprawę. Nie wiem jak się tam miała rzecz z tem, dosyć na tem że po upływie dobrej godziny, ktoś tam, nawet nie wiem kto bo było ciemno a narodu do 700, zaprowadził nas za miasto do koszar gdzie mieliśmy mieć niby odpoczynek.

Stróż tych koszar wpuścił nas do środka, ale miejsca do spania to każdy tam gdzie kto może. Można sobie wyobrazić i przedstawić tą noc gdzie to przeważnie młodzież obu płci znalazła się na obcej ziemi, niby to na wolności i bez opieki a w dodatku w nocy. Był to prawdziwy obóz wygnańców. Noc wgłębia się. Każdy gdzie kto mógł położył się na swym tłomoku aby odpocząć po kilkudniowej podróży, którą nigdy doprawdy nie można zaliczyć do przyjemnych. Część upoiła się słodkim snem. Uciszył się hałas i rozmowy. Gdzieniegdzie powybijane okna poruszane wiatrem odzywają się o mury. Zapanowała cisza. Naraz gdzieś tam w jakimś kącie daje się słyszeć jakiś szmer a dalej rozmowy, gdzieniegdzie ciche łkanie niewieście, a dalej wyrywają się głośne krzyki, które oznaczają nic najlepszego.

Z każdą chwilą zaczyna się być głośniej w koszarach. Nie przypuszczaliśmy aby może jacyś napadli na nas w koszarach, aby nas ograbić, gdyż mało z nas było takich, którzy mieli po parę złotych. Zaczęliśmy się wreszcie niepokoić, tembardziej że dolatywały do nas głosy przeważnie naszych kobiet i dziewcząt. Zrozumieliśmy zaraz że coś tam zaczyna się nie do smaku, opanowaliśmy sytuację i chcieliśmy zbadać przyczynę. Poszliśmy tam gdzie było słychać krzyki. Otóż co się okazało. Banda drabów czeskich, gdyż inaczej nie można ich nazwać którzy równocześnie przyjechali tym samym transportem, wdarli się tam gdzie przeważnie spały nasze dziewczęta i kobiety no dosyć na tem, zaczęli gospodarować jak na swoim. Grubo natomiast przepłacili swój haniebny uczynek, gdyż nasi, zorjentowawszy się w sytuacji, całą hurmą rzucili się na nich jak na dzikie bestje, którzy z początku stawiali silny

opór, lecz w końcu upadli na siłach i musieli uciekać z porozbijanemi głowami daleko poza mury. Noc im tylko ciemna sprzyjała.

Jakby miotłą zamiótł tak na rano ani jednego z tych opryszków w obozie nikt nie widział. Na drugi dzień rano ukazała się poważna liczba z obu stron walczących z pozawiązanemi głowami, to rękoma i wielu z ponaruszanemi żebrami. Co do dziewcząt, jestem pewny że niejedna mimowoli, a raczej wbrew jej woli poczuła że zostanie matką nieślubnego dziecka nie znając nawet ojca. Czy też pomyślała która że taki los ją spotka zaraz na wstępie na ziemię obiecaną. Doprawdy smutna to rzecz jaka jest nie do opowiedzenia. Nie wiem jak postąpiono w tej sprawie dalej, gdyż zaraz na drugi dzień część nas odjechała w strony przeznaczone dla nas dla pracy.

Wyjechaliśmy z Tulu. Jechało nas mężczyzn około 20. Już teraz każdy jedzie z nadzieją że skończy się ta poniewierka a zacznie się życie inne. Już teraz każdy myśli jak to trzeba będzie borykać się z losem aby zarobić na życie w ziemi obiecanej. Wreszcie po parogodzinnej jeździe zajechaliśmy na miejsce, to jest do fabryki żelaznej w Firminy. Przyjechaliśmy około południa to też zaraz odprowadzono nas do biura fabrycznego do zapisu. Tutaj nas jeszcze raz dokładnie obejrzano i zbadano nasz stan zdrowia i według moich zapatrywań doktór oraz zarząd cały ucieszyli się niemało, co można było poznać po ich obchodzeniu się z nami. Jednem słowem byli zadowoleni. Następnie po załatwieniu formalności przyjęcia odprowadzono nas do baraków fabrycznych gdzie gruby jak beczka kantyniarz poczęstował nas winem i sardynkami. Następnie pokazano nam nasze mieszkania gdzie aż roiło się od różnego rodzaju robactwa. Podostawaliśmy też zaraz koce do nakrycia i sienniki bez słomy. O resztę to wystaraliśmy się sami później. Na razie to prawie że mieliśmy wszystko bo i cóż nam trzeba było więcej. Dach nad głową i robota i czego nam było potrzeba?! Nadmienię krótko równocześnie że mieszkańcy tych mizernych baraków, a było nas podówczas parę setek, i to różnej narodowości i obu płci no jednem słowem mieszanina, pozostawali bez opieki. Jednem słowem nikt o nie nie dbał ani też nikt się o nie nie starał bo i nikomu na nich tak zanadto nie zależało. Można sobie wyobrazić wieczory wśród młodzieży bez opieki. Marnie to rzeczywiście przedstawiało się lecz tak musiało być skoro nie można było inaczej.

Tłumacz polski nie bardzo się tem czuł w obowiązku zajmować, gdyż prawdę powiedziawszy — nie mógł choćby dlatego, że on sam pracował w biurze fabrycznym. Na drugi dzień zaczynaliśmy pracę. Wchodzimy do portjerni gdzie znaczyliśmy zawsze swoje karty robocze i pokazano nam równocześnie gdzie się mamy przebierać kto ma w co rozumie się, gdyż ja sam miałem tylko to co na sobie. Dalej szef coś tam rozkazywał po francusku czego nikt z nas nic nie rozumiał i zabrał nas na wielkie podwórze fabryczne gdzie znajdowały się ogromne stosy żelaza. Dziwnie jakoś zdawało się nam w ten pierwszy dzień na podwórzu fabrycznym gdzie stale tylko huk i stukanie młotów parowych czy to elektrycznych, a czego żaden z nas w Polsce nie słyszał gdyż nie jeden może koło fabryki nie chodził. Wszystko dobrze, kazano nam zaraz nosić żelazo do pieców gdzie topiono go i odlewano, następnie różne przedmioty począwszy od igły aż do armat, których ja sam choć artylerzysta w Polsce nie widziałem. Robota idzie aż się pali, któż bowiem nie zna rąk polskich? Szef którego zaraz przezwaliśmy „krową“ z powodu tego że gdy szedł to tam nogi kierował gdzie go nieraz nikt nie miał życzenia zobaczyć, chodził i stale tylko podkręcając wąs uśmiechał się pod nosem. Tak upływa czas i zbliża się ku południu obiad. Po obiedzie zaczyna się ta sama robota co do południa. Przypadkiem zaglądłem przez otwarte drzwi do jednego oddziału gdzie topiono żelazo. Oczom moim przedstawił się straszny widok. Sam z początku nie wiedziałem gdzie jestem czy na ziemi czy w piekle pomiędzy diabłami. Kilkumetrowy piec o średnicy grubości dwa i pół metra, koło niego stoi wysoki mężczyzna z dzidą żarzącą się na końcu i od czasu do czasu przebija otwór pieca, drugi zaś z kijem długim dwa metry na którym trzyma garść ziemi do zatykania otworu. Przed piecem czeka kilkunastu mężczyzn z żelaznemi kociołkami, dwóch do każdego i gdy żelazo koloru mlecznego cieknie z pieca ci chwytają go i roznoszą do nalewania po formach. Wydawała mi się bardzo straszna ta robota a raczej i śmieszna, bynajmniej przyglądając się zdaleka. Za parę dni ja sam dostałem się do tego mniemanego piekła, zastąpiłem bowiem marokana, który został poparzony żelazem tak że w parę dni dokończył ten mizerny żywot. Nie było dnia żeby kto nie stał się ofiarą płynnego żelaza. Żelazo takie ma jeszcze tą własność, że kropla gdy upadnie na ciało, przebija wypalając ciało i wdziera się jaknajgłębiej to też takie rany poparzone żelazem nie

goją się prędko. Przez długi czas pracę tę dawano przeważnie Marokanom niby dlatego, że ci są więcej zahartowani w temperaturze gorącej i są więcej wytrzymali na gorąco. Po kilku tygodniach nami zastąpiono tych wszystkich ciepłokrajowców, gdyż szefy nasi stale powtarzali sobie, że Polonais est bon travailleur. Z tego też powodu przy wypłacie podwyższano nam coś więcej jak mieliśmy w kontraktach. Nie domyślaliśmy się bowiem, że ta podwyżka została nam dana podstępem. Chcieli oni nas tylko zachęcić jeszcze więcej a jednocześnie wydobyć z nas to co my możemy zrobić ostatniemi siłami. Nie wyszło nam to bowiem na zdrowie, gdyż rzeczywiście robotę samiśmy wygórowali, a oni zaś dalej wymagali tak stale i wciąż, a zarobki pomału zaczęto obcinać, w obawie abyśmy się nie wzbogacili zarabiając dziennie 20—25 franków za dziesięć godzin pracy. Zobaczyliśmy później nasz błąd ale naprawić go już okazało się za późno. Nie jest to wina z naszej strony ale brak było takiego, który nas pouczył jak należy pracować, brak było organizacji robotniczej. Co do pracy którą wykonywały kobiety i dziewczęta to powiem tylko tyle, że stan kobiet roboczych po fabrykach nie różni się niczem od stanu niewolnictwa z przed kilkuset laty a gdzieindziej gorzej. Aby jaśniej przedstawić warunki pracy zmuszony jestem napisać troszeczkę obszerniej a zwłaszcza po głównych punktach zagłębi robotniczych. Otóż prace we wspomnianej wyżej fabryce szły nie tak całkiem najgorzej, można było parę franków zarobić z czego w sobotę po zapłaceniu kantyny zostało mi się na papierosy. Rachunek dobry.

Zarobiono dziennie 20 i kilka franków. Z tego odciągnięto życie w kantynie, kasa chorych i jeszcze jakaś tam kasa, że nawet nie miałem o nich pojęcia i jakby tak była jeszcze jaka kasa do tego zarobku jeszcze zdałoby się dopłacić. Takie tam wynagrodzenie.

Przepracowałem tam czas kontraktu to jest cały jeden rok, no i po roku tyle uskładałem że jak raz do Polski mogłem bym zajechać. Nadmienię równocześnie, że nie jestem wogóle skłonny do pijaństwa ani do karciarstwa, lecz cóż ci mogli, którzy są i zabawni i do karty, i do kieliszka. U tych to długi długie bywają. Po roku czasu odrobiwszy swój kontrakt ja i jeszcze trzech innych wybraliśmy się za poszukiwaniem lepszej pracy, raczej lepszego zarobku no i kto szuka ten znajdzie no i my też znaleźliśmy. Dowiedzie-

liśmy się przy sposobności, że kopalnia fosfatu w Cierp, pod hiszpańską granicą, potrzebuje więcej robotników a zarobek od 30—40 franków. No, tak my się ucieszyli, że będziemy mogli więcej zarobić i pojechaliśmy tam czemprędzej. Dojechaliśmy. Pytamy się za tą kopalnią fosfatu a ludziska nam stale pokazują to na prawo to na lewo po wąwozach górskich. W końcu nałaziwszy się po tych górach jak dzikie kozy odnaleźliśmy tą kopalnię. Pytamy się o robotę i o zarobek. Dowiedzieliśmy jak było nam mówiono. Jutro mamy przychodzić do roboty. Tego dnia podostawaliśmy swoje narzędzia górnicze każdy. Równocześnie dostaliśmy też mieszkanie, prawdopodobnie jakiś spadek po leśnym, gdyż w takim położeniu się znajdował że leśny tylko mógł tam zamieszkać. Już nie wspomnę o innem robactwie leśnem, ale co do jaszczurek to już tam rozumie się w mieszkaniu było nie brak a do tego takie oswojone, że nie uciekały choć je wyganiano. To wszystko głupstwo. Oglądamy się i szukamy za tą kopalnią. Nie widać. Przypuszczaliśmy, że musi być jakiś szyb którym zajeżdżają do roboty. Zapytać się niebyło kogo. Gdyż Polaków tam wcale nikt jeszcze tam do tego czasu nie widział i my też. Na drugi dzień idziemy do roboty. Zebrało się około 30 robotników z szefem na czele. Każdy z nich ma długi kij, coś w rodzaju turystycznych kijów, za pomocą których łatwiej wspinać się po górach. Idziemy. Dziwi mię że zamiast iść do kopalni wspinamy się po stromej górce jak kozice i dobijamy się do jej szczytu. Wspomniana góra była tak stromą, że przez najmniejszą nieuwagę można było z niej zlecieć i więcej się nie podnieść. Wreszcie po jednogodzinnym wspinaniu się dostaliśmy się do tej kopalni. Tam dopiero poznaliśmy pracę w kopalni. Pomimo, że my nowi pracowaliśmy w kopalni po raz pierwszy nikt tego po nas poznać nie mógł. Nie zagrzaliśmy jednakowoż długo tego miejsca gdyż to codzienne wspinanie się po tych górach tak nam sprzykrzyło się, że po dwóch tygodniach odeszliśmy stamtąd. Nadmienię równocześnie, że personel zarządu był dosyć zadowolonym z nas co świadczyło, że obiecano nam podwyższyć nawet nasz zarobek, lecz nie zważaliśmy na to i odeszliśmy. Stamtąd dalej we trójkę udaliśmy się do kopalni węgla w Carmaux Połd. Francja. Tam zaraz nas przyjęto bez trudności. Jest to kopalnia, posiadająca trzy szyby każdy w innem miejscu a każdy jest oddalony około dwa kilometry od drugiego. Tutaj już zeszliśmy się ze swoimi i zaraz dowiedzieliśmy się że tutaj „marnie".

Zarobku dobrego nie ma. Dniówka 20 franków a na akord to można zarobić i do 40 fr. no ale rozumie się że górnik zawodowy nie taki jak my byliśmy wtedy. Pozatem dyscyplina tam panuje ostra. Gdy górnik nie wyda przez dniówkę przepisową liczbę wózków węgla (18 wózków) musi drugi dzień robić tak aby to nadbił gdyż jeżeli w swojej dwutygodniówce nie zdąży wydać co przepisane zaraz przepada jego premia dalej czeka takiego przez pare dni „répos", to jest nie ma prawa robić przez kilka dni aby sobie odpoczął i nabrał więcej sił. Podobnych kar było i więcej. Nie straciliśmy jednak odwagi do tej kopalni pomimo złych warunków, to jedynie dlatego że wiatr zaczął zawiewać już nam do kieszeni. Pomimo tak ciężkiej i tak mozolnej pracy, stale wciąż chodzi szteiger za plecami i zawsze słychać to przeklęte „vite, vite", jak gdyby chciał ostatnie siły z tego robotnika wygnać, rzeczywiście że nie zależy mu bardzo na tem gdyż zginie jeden będzie 10 na jego miejsce.

Pewnego dnia, jak zwykle, zjechaliśmy do roboty. Każdy udał się na swoje miejsce pracy i robota wre w pełni w podziemiach. Godziny mijają i szychta się kończy. Tymczasem w odległości około 20 metrów nagle usłyszeliśmy łoskot co wróżyło niedobrze. Pobiegliśmy w tej chwili w tym kierunku i oczom naszym przedstawił się straszny widok. Gdzie przed chwilą pracowało dwóch górników obecnie przodek jest zawalony a ze sklepienia stale i wciąż spadają ogromne bryły kamienia i węgla. Gdzie górniki którzy tu pracowali przed chwilą? Nie trudno się domyśleć że są przysypani stosem węgla. Po paru minutach odłamki przestały na chwilę upadać. Nadsłuchujemy. Jest w środku. Ze stosu węgla usłyszeliśmy cichy przytłumiony głos jednego z nich. Nie tracić chwili gdyż od tego może zależy życie naszego kolegi. Zaalarmowano zaraz po pobliskich szantejach i w tej chwili zbiegło się kilkunastu. Szef zjawił się też. Odsuwają ten węgiel, odwożą zaraz o parę kroków dalej aby nie utrudniał ratunek. Po paru minutach natrafiono na rękę która była wsparta na deskach (ściany boczne obudowano zawsze deskami). Odsuwają dalej. Już odkopano głowę która mało była podobna do siebie. Odkopano aż po piersi. Ofierze dało się powietrza i prosi aby się pośpieszyć gdyż czuje że nie wytrzyma. Kończy się. I już już prawie że brakowało tyle czasu aby odgrzebać nogi i jeszcze gdy tymczasem posypały się kamienie ponownie i ofiara została przy-

sypana ponownie. Rozpacz nas ogarnęła lecz nie straciliśmy odwagi i dobijamy się z powrotem. Teraz już idzie prędzej. Po niejakim czasie wydobyto ze stosu tego pierwszego. Nieszczęśliwą ofiarę oddano w tej chwili do szpitala ze słabą nadzieją utrzymania go przy życiu. Był nim Polak, żonaty i ojciec trojga dzieci. Ten drugi tak nieszczęśliwie został przysypany że prawie został zmiażdżony odrazu. Nadarmo oczekuje go żona i dwoje dzieci które pozostawił na pastwę losu. Ten drugi byl Italian. Po skończeniu dniówki, gdyż wypadek miał miejsce tuż pod koniec dniówki, wyjechaliśmy na powierzchnię. Pomimo takich wypadków, których było nie brak nigdy, nie tracono odwagi a dalej łupano i dziurawiono podziemia i wybierano z niego wnętrzności. Po niedługim czasie miał miejsce podobny wypadek. Tym razem tak znienawidziłem tej kopalni że postanowiłem stamtąd wyjechać. Przerwę tutaj na chwilę pracę a wspomnę cośkolwiek o świecie. W kopalniach tutejszych pracuje około kilku tysięcy ludności polskiej i starsi i młodsi, no jednem słowem różny kaliber. Zabudowania posiadają nie najgorsze, to też i wioski prawie że przeważnie polskie że tak muszę nazwać, mają charakter dosyć uroczy. Z biegiem czasu dowiedziałem się że jest nawet związek górników polskich, który rozwija się nie najgorzej. Poznajomiłem się no i też wstąpiłem do niego. Tak przyszło mi na myśl zapytać się o polskiej szkole dla dzieci których jest parę setek. Dowiaduję się że niema. Dziwnie zrobiło mi się że na tyle dzieci niema polskiej szkółki gdzieby ten kwiat mógł uczyć się swego języka i wychowywać się w swojej mowie. Nadal, dowiedziałem się że dyrektor kopalni nie chce na to zezwolić. Zainteresowało mnie to nie mało i nawet zacząłem prowadzić agitację aby się usilnie domagać. Przypadkowo zapoznałem się z jednym z kolegów od którego dowiedziałem się że posiada poza sobą klasy gimnazjalne i wobec tego namówiłem go nawet aby udał się w tej sprawie do konsulatu w Marsylji. Ten zgodził się na to i napisał. Po zbadaniu jego świadectw, pan konsul upoważnił go do zapoczątkowania nauki języka polskiego dla dzieci rozumie się polskich lecz na tych warunkach, że lekcje miały by odbywać się tylko dwa dni w tygodniu. A przedsiębiorstwo miałoby wypłacać po 50 franków tygodniowo to jest 200 fr. miesięcznie. No! nie tak to jeszcze najgorzej lecz w jaki sposób możnaby było postąpić tutaj to sam nie wiem. Za opuszczenie jednego dnia pracy grozi dzień drugi

odpoczynek a tutaj trzeba aż dwa dni opuścić i to każdego tygodnia. Bagatela, o ile dyrektor kopalni zgodziłby się lecz o ile nie— cóż tutaj zrobić?! Dosyć na tem że to okazało się niemożliwem. Aby znowu dalej swego dopiąć na ten temat uradziliśmy inaczej. Otóż udaliśmy się do prezesa związku i opowiedzieliśmy jak sprawa. Ten nie namyślając się długo w najbliższą niedzielę na zebraniu przedstawił tę sprawę jaśniej i podał projekt, aby każdy ojciec od każdego dziecka rozumie się uczęszczającego do szkoły zapłacił miesięcznie tylko dwa franki, a będą mogli mieć swoją szkołę i swego nauczyciela. Co do szkoły to wszyscy się zgodzili, lecz co do tego wprost śmiesznego datku zaczęły się sypać protesty ze wszystkich stron. Dosyć na tem że to wszystko skończyło się na niczem. Wtedy ja powiedziałem owemu instruktorowi że szkoda nawet czasu na agitowanie o ile taką sumę nikt nie chce się podjąć dać. Przykro tu doprawdy lecz ja tutaj przypisuję winę nie komu innemu jak tylko byłym państwom zaborczym które nas trzymały w ciemności co później ujemnie odbija się na młodem pokoleniu. Często słyszy się że ojciec i dziadek pisać czytać nie umieli i żyli, ja też nie umię i żyję a dzieci moje też potrafią. Smutne to doprawdy, że w tamtejszej okolicy znałem kilka takich kolonji gdzie było około 100—150 dzieci w wieku szkolnym a którzy nie pobierali nauki w języku ojczystym. Czy można się spodziewać z nich coś dobrego na przyszłość doprawdy nie wiem. Przypuszczam że dla ojczyzny są straceni raz na zawsze.

Powrócę teraz znowu do warunków pracy. Otóż z kopalni Carmaux ruszyliśmy we trójkę za poszukiwaniem lepszej pracy. Było to w listopadzie. We trójkę to podróżowało nam się nieźle, ale z czasem zabrakło nam już po kieszeniach.

Zjeździliśmy wtedy niemało bo prawie całą Francję zachodnią, rozumie się z przerwami, dalej Francję północną gdzie również jest mnóstwo kopalni węgla, lecz szukanej roboty nie znaleźliśmy. Gdy bieda dokuczyła, zdecydowaliśmy się pojechać do kopalni rudy, gdzie stale i wciąż robotników przyjmowano. Pojechaliśmy we wschodnią Francję do departamentu Meurthe et Moselle, gdzie roi się od szybów kopalnianych. Ponieważ każdy z nas już nie miał prawie nic za każdą cenę postanowiliśmy przepracować przez zimę.

Tutaj, tak samo nie zaznaliśmy rozkoszy, gdyż za osiemnaście franków musiano pracować jak osioł wydobywając rudę żelazną.

Te kopalnie pamiętam doskonale, gdyż niemiłosiernie wżarły mi się w skórę. Nie wiem czy chciałby kto wierzyć, że prawie przez miesiąc czasu pożywieniem moim było suchy kawałek chleba i woda którą brałem w spodzie w kopalni. Inaczej bym się musiał zadłużyć po same uszy jak inni którzy z długów nie mogą wyjść to ratują się ucieczką. No i rzeczywiście musiano tak robić, gdyż płaca dzienna fr. 18—od tego odciąga się za lampę, za karbit i kasy jakich i tutaj nie brak. Zostanie się chyba na pieprz.

Marniejszy żywot prowadzą samotni niż żonaci. Miałem tutaj sposobność poznać bliższe stosunki życiowe tak zwanych kolonistów górników. Otóż każdy żonaty o ile ma żonę przy sobie otrzymuje mieszkanie składające się conajmniej z 3—4 do 5 izb. Tak że może mieszkać sam no i zarazem trzymać kilku lokatorów na kwaterze, gdyż samotni zazwyczaj mieszkań nie dostają, otóż mieszczą się razem. Często gęsto trafia się tak a inaczej jest to przyjęte w modę, że każda gospodyni (są też i wyjątki lecz małe) po za mężem ma przyjaciela domu. Znałem nawet i byłem naocznym świadkiem gdzie mąż nawet wiedział, że jego żona utrzymuje stosunki miłosne z kwaternikami, lecz udawał głupka dlatego, że ten drugi przechowywał pieniądze u jego żony. Byli nawet we trójkę bardzo zadowoleni lecz po jakimś czasie zabrakło pieniędzy tych składanych, które ta sobie odciągała, no za każdą miłą chwilę. Wtedy i sądy nie pomogły i ten drugi musiał się zadowolnić tylko mile spędzanemi chwilami z żalem równocześnie po utraconych pieniądzach. Po koloniach kopalnianych jest to już przyjęte w modę, że nikt nie dba o później. Po jakimś czasie podobnych miłostek ten trzeci bierze tą drugą i ulatnia się a ten pierwszy przyszedłszy z roboty znachodzi kartkę lub listek na stole aby sam gotował kolację. Następnie ten pierwszy zaraz oznajmia przez ogłoszenia w gazetach, że za długi żony, która go opuściła wtedy a wtedy nie odpowiada no a ona po przeczytaniu tego daje rewanż że długów zaciągać na jego koszt nie myśli no i to już służy jako akt rozwodowy. Gorsza jest rzecz gdy taka lekka dama ucieknie z innym i zostawi kilkoro dzieci, które już z góry są skazane na poniewierkę, gdyż ojciec nie jest w stanie pracować i je doglądać. Nic tutaj nie poradzi się gdyż każdy trzyma się przysłowia „Kochaj żonę bliźniego swego jak siebie samego“ tak też i jest. Ta zaraza

tak się rozpowszechniła, że pomimo krytycznych czasów, jakie obecnie przeżywamy, dzieje się tak samo. Takie jest życie rodzinne, rzeczywiście pożałowania godne. Na ten punkt możnaby napisać więcej lecz przypuszczam że z tych kilku uwag które tu podałem można sobie wyobrazić, a przedewszystkiem że tego rodzaju awanturki dzieją się tutaj wszędzie. Nieraz na tem tle przychodzi do grubych awantur i pojedynków lecz nikogo to bardzo nie zraża, gdyż jest to na porządku dziennym i to u każdych narodów które pracują na tutejszym terenie. Zdarza się lecz nie tak często pomiędzy robotnikami pracującymi po fermach. Tutaj zdarza się to rzadziej, gdyż rzeczywiście na podobne miłostki niema czasu, gdyż noc wygania i noc przygania równocześnie wszystkich. Otóż ze względu na to pomiędzy ludnością wiejską mniej można zauważyć podobnych wypadków. Ludność pracująca po fermach jeszcze od czasu do czasu choć wspomni o religji i o kościele, co zaś inni—rzadko, a raczej nigdy.

Otóż opowiem cośkolwiek i o współżyciu z rodakami. Co do mnie samego, to bywa rozmaicie, czasem dobrze czasem nie ze wszystkiem. Przez to samo już że zamieszkuję na ziemi obcej muszę żyć jak przystoi i zachowywać się wzorowo. Jest takich więcej, no ale na żal mały odsetek pomiędzy klasą roboczą. Ja zmuszony jestem, gdyż życie nauczyło mnie niemało. Nie wszyscy zaś są jednej myśli i jednego zdania. Każdy chce być mądrzejszy od swego sąsiada chce się przenieść nad poziom co doprowadza do zazdrości i do niemiłych przygód. Gdzie jest więcej swoich tam można zauważyć coś więcej jak np. otwierają zaraz jakieś związki to kółka to jakieś stowarzyszenia no i życie jakoś płynie. Nie wszędzie znowu panuje harmonia. Zawsze gdzie nawet coś rozwija się pomyślnie, trafi się jakaś jednostka która sprzeciwia się no i równocześnie pociąga za sobą więcej. Co najgorsze, zauważyć można przedewszystkiem u naszych zazdrość, czego mniej można zauważyć u narodu tutejszego. Ano niech ino kto wstąpi na jeden szczebel wyżej zaraz ma pełno wrogów no którzy mu łatek przyszywają nie mało. Nie miałem sposobności tego zauważyć u Francuzów pomimo że jestem już nie na dziesiątem miejscu. Nigdy nie słyszałem żeby Francuz narzekał że ten lub tamten coś się więcej dorobił, a on nie może czy nie chce. Dam na to dowód. U mego patrona gdzie

obecnie pracuję, pracuje jako zwykły robotnik, który nie mógł czy nie wiem jak tam się stało dosyć że swoje pola i to kilkadziesiąt hektarów wynajął memu gospodarzowi i u niego na tem robi. Czy uczyniłby to kto z naszych?! Nigdy! Tutejsi nie patrzą się ujemnie jeżeli ktoś tam podnosi się pomimo, że jak to oni mówią etranger. Owszem mają nawet takiego człowieka za coś i uważają go. Między naszemi jest całkiem przeciwnie. Gdy się zobaczy, że drugi ma się lepiej jak on, ocho — to zaraz obmowy no i wszystkiego najlepszego z tej złej skrzyni nie brak. Żeby to ta plaga zanikła z czasem.

Pod tym punktem skreślę parę słów co do życia a raczej współżycia rodaków po większych miastach w pierwszej mierze w Paryżu gdzie pracowałem dłuższy czas no i rzeczywiście tutaj miałem dosyć sposobności poznać lepiej, nie tak jak może ktoś, który zostanie wysłany z kraju w tym celu do Francji, no i zajedzie w pierwszej mierze do stolicy, przenocuje, zabawi się w jakimś tam z kabaretów no i wraca potem ze znajomością i dokładną wiedzą o wychodztwie no i rzeczywiście już Warszawa wie zaraz że nasi bawią się doskonale i żyją jak w niebie, za życia nawet. Nie myślę tutaj nic w bawełnę owijać lecz muszę wyrazić po prawdzie. Otóż aby poznać życie rodaków w tak wielkim mieście nie wystarczającem jest parę dni ale parę miesięcy nie wiem czy nie zamało nawet. Aby poznać kogoś, trzeba koniecznie odnieść się w położenie danych i tak śpiewać jak one, a wtedy można coś się dowiedzieć i przekonać się, inaczej zaś nic. Miałem sposobności aż zanadto do poznania życia emigranckiego. Droga emigranta nie jest wyścielona kwiatami jak sobie w Polsce wyobrażają, lecz cierniem i z ogromnemi przeszkodami otóż i o współżyciu wzorowem mowy być nie może. Nie mogę powiedzieć co do współżycia w wyższej „sferze“ naszego społeczeństwa na ziemi francuskiej, gdyż nie miałem nigdy sposobności znajść się w tem lepszem kółku, gdyż mię nie stać było, natomiast przekonać się można łatwo, że żyją jak należy i bawią się wyśmienicie. Inna jest rzecz w stanie robotniczym. Tutaj zakorzeniła się jak wspomniałem zazdrość i nienawiść jeden do drugiego co jest największą plagą naszego wychodztwa skutki bowiem każdemu który czyta tutejsze dzienniki są znane. Dużo możnaby tutaj przytoczyć faktów, których byłem naocznym świadkiem lecz podam tylko jeden, który według mojej

myśli uważam za najokrutniejszy i na które to rzeczywiście winny zwrócić uwagę władze nasze opiekuńcze.

Pewnego razu wypadła mi potrzeba przejść przez polski Paryż z głównym punktem Saint Paul. Jest to część Paryża zamieszkała przeważnie nie wiem doprawdy z jakiej racji najwięcej przez Polaków. Można tutaj wszystkie potrzeby zaspokoić, to też ściągają się tutaj nie tylko z Paryża ale też i z okolic. Nie brak tutaj i różnych szumowin i różnego rodzaju łotrów którzy czują się tam jak u siebie. Ci to są już różnych nacji. Jak zacząłem prawda, idę ulicą i mimowoli spotykam dziewczynę wiosen trzynastu razem z jej młodszym braciszkiem. Zauważyłem odrazu, że są nie tutejsi i zainteresowało mię zapytać się skąd i jak, no właściwie dlaczego przyjechali i dlaczego właściwie tutaj znachodzą się. Ta na wpół z płaczem dziecięcym powiedziała mi, że ojciec z macochą wyrzucili je z domu, gdzieś tam kilkanaście kilometrów za Paryżem, a oni przyjechali do Paryża ponieważ tutaj po biurach dają pracę. Dwoje dzieci szukać pracy w Paryżu? Dowiaduję się dalej, że gdy przyjechali na dworzec północny przystąpił do nich jakiś młody pan, rozumie się dobrze mówił po polsku i bardzo inteligentny jak powiedziała, no i obiecał im oboim dać robotę, niby od jutra, no i równocześnie zawiózł je w taxi aż w tę okolicę i kazał czekać na tej ulicy do godziny 8 wieczór a on po nie wyjdzie i je zabierze.

Zobaczyłem, że jest to coś nie w porządku ale nie chciałem już widzieć tego pana, który angażuje nieletnie dziewczęta na tą porę, gdyż domyślałem się że musi to być jakiś wyrzutek społeczeństwa, więc zabrałem je do siebie i przenocowałem, rzecz jasna że żona nakarmiła je dobrze, gdyż były wygłodniałe. Na drugi dzień żona odprowadziła je na polskie biuro. Wieczorem idę z roboty znów spotykam je oboje z niczem. Zamiast roboty otrzymały dzieci kartkę na bezpłatny nocleg w przytułku poza bramami Paryża. Aż zakląłem ze złości. Bo czy można sobie przedstawić dolę tych dzieci, które już są zdane na łaskę i niełaskę losu w cudzym kraju. Czyż to można nazwać dobre współżycie z rodakami? Chyba nigdyl Wogóle ten punkt należałoby wziąść pod uwagę, gdyż takich opuszczonych dzieci wałęsa się pełno po Paryżu no i rzecz jasna nikt niemi zająć się nie chce, ot tak jak wyżej podałem. O ile takie postępowanie można zaliczyć do współżycia to jest rzeczą haniebną XX wieku a w dodatku nie zamieszkujemy w Rosji sowięc-

kiej czy tam bolszewickiej gdzie dzieją się rzeczy podobne. Jednem słowem co do współżycia nie wpływa to nic dodatnio na opinię narodu francuskiego względem nas. Ciekawem byłoby opisać takich przygód więcej, lecz dla mnie jako dla robotnika wydaje się rzeczą trudną pomimo najlepszych chęci.

Przyjechawszy do Francji nie znałem nic, jak tylko za pługiem i za broną chodzić bo cóż niby mogłem wiedzieć więcej?! Tutaj otworzyły mi się oczy i zobaczyłem że nie wystarczy mi tego co ja znam. Zobaczyłem, że jest to wszystko za mało. Otóż postanowiłem szukać jakiego rzemiosła, któreby mi mogło zabezpieczyć byt na lata późniejsze, gdyż życie robotnika bez rzemiosła jest marne. Próbowałem zatem rozmaitych rzemiosł i lepszych i gorszych i czystych i brudnych lecz w końcu wziąłem się za blacharstwo i pokrywanie dachów z tą nadzieją, że po kilku latach przecież powrócę do ojczyzny i będę mógł założyć jakiś mały warsztat na modę francuską i może czegoś się dorobię. Nie spełniły się moje marzenia jednakowoż, gdyż po dwóch latach w tym zawodzie, tak los chciał, że upadłem z dachu, potłukłem się dobrze a co gorzej złamałem lewą rękę tak, że pracować nią ciężko (fizycznie) nie będę mógł. Po tym wypadku musiałem Paryż opuścić i udać się z żoną na cichą wioskę gdzie pracujemy ja jako pokojowy ona jako kucharka. I tutaj nie jestem ze wszystkiem zadowolony ze swego losu lecz muszę się zgodzić pomimo że warunki są aż nadto trudne. Po pierwsze, że patron uważa mnie jako przyczepkę do mojej żony, że ona tylko pracuje a ja jestem ciężarem dla niej. Z tego też względu słyszę zawsze tylko wymówki i obchodzenie się ze mną nie po ludzku no a wreszcie płaci co mu się podoba mówiąc jeżeli się nie podoba to mogę odejść. Gdzie ja mogę odejść podczas obecnego kryzysu, a do tego niezdolny do pracy.

Muszę tak cierpieć jakiś czas, aż albo poprawi się sytuacja gospodarcza w świecie, możliwe, że można będzie łatwiej o pracę dla mnie rozumie się nie ciężką albo będę zmuszony wyjechać do Polski i stać się na stare lata ciężarem rodziny, a może i gminy. Co do widoków na przyszłość to muszę się przyznać, że chociaż jestem już nie młody a do tego to jestem za młody i bezsilny i pewnego pomyśleć nic nie mogę. Rzecz prosta: po pierwsze, siły do pracy fizycznej nie mam co zaprzecza mi poważnie myśleć — po drugie bez pracy niema kołaczy—zadarmo nikt nic dać nie da.

Jednem słowem to mię może zadowolnić co czeka każdego żyjącego — koniec padołu ziemskiego. Gdy człowiek jest silny i do pracy ochoczy jest lubiany i wyzyskiwany na każdym kroku. Gdy zaś cośkolwiek podupadnie, że nie może zostanie odpychany od wszystkich i od wszystkiego tak że nieraz wpada w skrajną nędzę. Obecnie widzę to dobrze, gdyż dawniej do pracy byłem nie ostatni to też miałem powodzenie nienajgorsze. Dzisiaj zaś gdy nie jestem przy dobrym zdrowiu zostałem odepchany jakby z rzędu pierwszych a wtrącony na dno nędzy z której wyjścia nie widzę a zająć się mną niema komu. Gdy się człowiek ma to go każdy zna. Gdy podpadnie marna godzina odstąpi cię twa rodzina.

Wrzesień—październik 1932 r.

Pamiętnik Nr. 16

Giser, ur. w 1896 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Bezr.)

Ja jako Polak rodowity i jako się doczytałem w tem najdroższym piśmie „Wiarusa Polskiego“ tu na obczyznie to pismo nam jest jedyne „Wiarus Polski“, którego już czytam od dwunastego roku bo to pismo jest najlepszym pocieszeniem ludzkości a przeważnie nas biednych na obczyznie. A ja jako się doczytałem o konkursie dla bezrobotnych, a po drugie rad jestem że sobie mogę żal z serca ulżyć. Ja jako przyjechałem na kontrakt jeden rok do fabryki odlewni Guser to tam przepracowałem 14 miesięcy to miałem dziennie przez cały czas 14 franków dziennie to z tego 9 fr. dziennie na życie, a pozostałe mi 5 to z tego cóż ja mogłem złożyć na sumę To było na początku 1923 roku, to była fabryka bardzo duża tak zwana Compagnie Internationale des Radiateurs (Dôle, Jura), to było pierwsze miejsce pobytu mego, bo może i dalej bym pozostał ale nie mogłem tego kalectwa znosić jakie się tam działo, bo jak nie na marach to bez ręki, to bez nogi to prosto do trumny, a co oparzeń to bez liku a to dlatego bo każdy posiadał liczną rodzinę, bo żaden nie chciał się dać biedzie. A transport co dziesięć dni to nowy przybywał, a ja jako nie chciałem swego życia narazić to zarabiałem 14 fr. dziennie i to miejsce opuściłem z 80 fr. i udałem się za pracą w Nord tak zwane Pas de Calais Lens i tam pracowałem za pomocnika kowala sześć miesięcy po 24 fr. dziennie, a po sześciu miesiącach opuściłem pewne prace bo życie było coraz droższe chociaż zarabiałem 24 a za życie płaciłem 20 dziennie to mi się z tego zostawało 4 fr. dziennie, i wyjechałem z tego miejsca, a wszystkich pieniędzy gotówki to miałem 54 fr.

to za pomocą kolegów przyjechaliśmy we troje w strony tak zwane Meru Fonderies Oise, to tam pracowałem jako najlepszy robotnik tej fabryki jako odpowiedzialny giser to miałem robotę akordową 32 fr. dziennie mogłem zarobić, to tam pracowałem 30 miesięcy i może bym był jeszcze i do dziś dnia tam pracował ale mie bardzo wielkie nieszczęście tam spotkało i leżałem w szpitalu trzy miesiące i 10 dni, a po wyjściu z szpitalu nie mogłem tego znieść i postanowiłem za wszelką cenę to miejsce opuścić.

I moje koledzy dali mi adres do drugiego piekła, takiego samego ale jako ja teraz mam tylko 8 fr. w kieszeni postanowiłem pójść pieszo. Ale jeden z kolegów dobrego serca to mi wypożyczył roweru i ja pojechałem na rowerze 364 kilometrów z 8 fr. w kieszeni i to jechałem nocą bo dniem nie mogłem dlatego że nie miałem patentu na rower, a gdyby był tak żandarm spotkał to więzień i kara, ale że szczęśliwie przybyłem na miejsce i zaraz okazałem się dobrymi dokumentami i zaraz mi kazali zaczynać pracę i pracowałem tam dwa lata, ale w tych dwóch latach to zarabiałem po 40 fr. dziennie i w tych dwóch latach także leżałem pięć miesięcy chory bo byłem bardzo poparzony, a co do życia to płaciłem 18 fr. dziennie a 30 fr. na tydzień mieszkanie. Raz że jestem sierota bez ojca i matki, a po drugie, że nie miałem pieniędzy do wysyłania bo co miałem to byłem zmuszony wydać za swoją chorobę i już mi tak przychodziło do głowy że się miałem rzucić do kotła z wrzącem żelazem, ale cóż ja teraz biedny pocznę, gdy ten polski zarząd nas biednych w taką okropną poniewierkę wypycha tak jak byśmy nie byli dziećmi jej drogiej ziemi bo ja rozumiem Boże coś Polskę, tak zwana pieśń, ale to ją bronili, ale my za to są w otchłań my dzieci jej ziemi to my, ach to my. I teraz gorzkie łzy lałem gdy sobie to wszystko przypomniałem że w swojej drogiej ziemi nie ma biedny człowiek wyjścia, tylko musi się po obcych krajach poniewierać, w tych ogniach a to była gisernia tak zwana Longueville Fonderies Meuse, to była trzecia taka fabryka do 1928 roku i pewnego razu dowiedziałem się z gazety że pewien dyrektor poszukuje dobrych giserów tak zwane po francusku mouleur i zapewniał prace na czas nieograniczony i że można zarobić od 40 fr. do 50 fr. dziennie. A ja w tem miejscu pokochałem pewną polską dziewczynę która ona tak samo biedna jak i ja bo i ona nie mogła na siebie wyrobić bo i ona przyjechała na kontrakt roczny, ale

że ją nie szanowano nawet za jakie nieludzkie stworzenie, więc postanowiłem ją poślubić i zawarliśmy ślub cywilny i zaraz postanowiliśmy stąd wyjechać i co miałem pieniędzy to byłem obowiązany kontrakt spłacić, i zapłaciłem 780 fr. bo byłem zmuszony to dziewczę z rąk nieprzyjaciół wydobyć, bo tu na obczyźnie nie ma opiekuna nad ludźmi tylko są traktowani jak niewolniki, i zaraz napisałem po polsku do tego dyrektora i zaraz go się zapytałem czy mi da mieszkanie bo jestem z żoną, to mi odpisał że jest wszystko gotowe abym tylko przyjechał. I my za ostatnie grosze jedziemy do czwartego nieba czarnego, odlewni i stanęliśmy drugiego dnia na miejscu. A gdy stanęliśmy u bramy tych niebios to nam skazali drogę do biura i nasz dyrektor bardzo nas uprzejmie przyjął tylko to całe nieszczęście, że nie posiadał żadnych mieszkań, ale że był bardzo wdzięcznym człowiekiem to poszedł z nami mieszkania szukać, a po upływie tego dnia szukania dopiero żeśmy znaleźli mieszkanie w głównym hotelu no i dopiero nam się teraz oczy otworzyły bo ja i żona musimy obydwoje jeść w hotelu bo dali nam jedno małe aleganckie mieszkanie, gdzie nie wolno pieca wstawić, ani wodą kropnąć, a co do prania to nawet chusteczki nie było wolno a do gotowania obiadu i wszystkiego to ani mowy. A teraz co do roboty to ja już zwykłem tyrać, a to co obiecał to tak zarabiałem po 45 fr. dziennie, to ja jadłem w tej restauracji śniadanie, obiad i kolacje, a żona tylko śniadanie i kolacje a obiadu nie jadła bo uważaliśmy że ja nie będę w stanie zarobić na to wszystko, to ja zarobiłem po 45 fr. dziennie to odebrałem na tydzień 270 fr. to ja razu pewnego po wypłacie udałem się do gospodarza hotelu, aby mu zapłacić za życie tygodniowo i mieszkanie, to on mi powiada że mam niewiele do płacenia bo ja tylko trzy razy jem na dzień, a żona śniadanie liche i kolacje lichą to się zabrał do liczenia. A po krótkiej liczbie oświadcza że tylko przejadamy 40 fr. dziennie to jest 240 fr. za sześć dni a 90 fr. na tydzień za mieszkanie to nam chciały oczy wyleźć na wierzch to mi wychodzi 330 na tydzień, a ja zarobiłem 270 na tydzień i on mi nie wierzył tylko kazał mi pokazać kwit z wypłaty, a jak ja wyjąłem kwit i pieniądze i pokazałem mu to on mi oświadczył jeżeli ja mu jutro rano nie przyniosę 60 fr. to nas każe aresztować, i mówi nam że to nie jest Polska, to my oboje zaczęli płakać, to on mówi że jutro pójdzie do dyrektora fabryki i on oświadczy

o wszystkim no i w niedzielę jeść już nam nie dał no i my myślimy co my będziemy jeść. No i rano udaliśmy się do dyrektora fabryki i on oświadczył ile ja zarobię i ja jego prosiłem aby mi dopomógł no i on się do tego przyczynił że połowę pieniędzy za mieszkanie on zapłaci to jest 45 fr. to mi i tak jeszcze nie wychodzi bo za mało to dyrektor na to mówi że w takim razie to nie trzeba obiadu jeść aby starczyło, tylko robić nieustannie to się więcej zarobi to ja po tej ważnej sprawie dla mnie, to ja taki zostałem jak ten co stoi przed trybunałem, a usłyszał głos sędziego śledczego że mnie wyrzekł na śmierć to ja taki sam byłem i podziękowałem mu uprzejmie za jego dobre serce i z głową pochyloną opuściłem pałac jego, a po przybyciu do hotelu to mi gospodarz oświadczył że mogę mieszkać ale żonie jeść nie da, to ja mówię do żony idź gdzie do wsi, tu jest taka duża miejscowość zwana Pierrefitte Stains Seine—Oise i szukaj tam Polaków, a gdy kogo spotkasz z Polaków to poproś aby ci dał pojeść do jutra, a jutro to sobie poradzimy i nazajutrz poznałem się w robocie z Serbami i oni mi pożyczyli 20 fr. to zaraz oddałem żonie aby ona sobie kupiła jeść, a ja za ten czas 27 fr. sam za siebie zapłaciłem i postanowiłem sobie ten hotel opuścić jak najprędzej. A tu gorące żelazo naraz nogi mie poparzyło i nogi mi popuchły i bolały mie bardzo, rozjątrzyły się tak że nie mogłem na nich chodzić, ani nawet stać ale z bólem serca postanowiłem pracować do upadku. Nie tylko pracować ale i zarazem mieszkania szukać, bo za mieszkaniem to jeździłem cały wieczór i każdy wieczór po skończeniu pracy to robiłem 30 lub 40 kilm. aby tylko jakąkolwiek budę znaleźć i być wolniejszym narzędziem i narazie poznałem się z pewnym Polakiem i prosiłem go aby był tak dobry i pomógł mi znaleźć jakie mieszkanie no i znaleźliśmy maleńki baraczek to kosztował 100 fr. miesięcznie no i z tego hotelu wyjechałem, ale do pracy stąd miałem trochę za daleko i nogi miałem oparzone to się nie mogłem zdecydować tak daleko jeździć lecz miałem zamiar ten fach giserski zupełnie zaniechać i jako ja tak zrobiłem to w 1929 roku na Zielone Świątki przyjechaliśmy tutaj do Domont do małego baraczku.

I ja jako człowiek miastowy to w pobliżu Paryża mogłem roboty znaleźć i znalazłem przy murarzach za pomocnika, ale że mam głowę pojętną więc niedługo byłem pomocnikiem murarzom

po trzech miesiącach stanąłem jako murarz no i dochowałem się jednej córeczki a po roku czasie drugiej a co do pracy to jestem odpowiednim giserem murarzem betoniarzem i kominy fabryczne stawiam i tak przepracowałem do 15 października 1931 roku a tam mnie wypłacili, to objeździłem koleją na rowerze i pieszo chodzę i proszę się aby można gdzie za życie robić i to nie można znaleźć, a ja człowiek nie stary 36 lat, żona 28, córeczka pierwsza dwa lata, druga rok i te dzieci jeść płaczą tu w domu zimno i to nie koniec że nam zimno w tem baraczku i małe dzieci, ale patron na pierwszego przychodzi i woła o sto fr. a ich nie ma. A w tej wiosce przed ośmiu laty była parcelacja ziemi, czyli dóbr i ludzie rozebrali tą ziemię, a pewien Francuz, ktorego dobrze znałem on mnie poinformował a że mi odsprzeda trochę ziemi i ja się na to zgodziłem i jako ja kupiłem od niego 200 metrów kwadr. to za wpłaceniem 35 fr. miesięcznie i jako ja to już wypłaciłem blisko dwa lata, ale jak mię ten patron baraku zaczął nacierać aby mu płacić to ja był zmuszony z rodziną uciekać na swój kawałek ziemi choć nie własny i nie wypłacony i co tu począć, ale dobrzy ludzie to ratowali nas jak mogli jeden miał kamień, drugi inny materiał, inni znów pomogli i wybrałem, a w tym dole wymurowałem doskonałą piwnicę no i wlazłem z rodziną i siedzę jak ten jamnik no i cieszymy się że nie zapłacimy 100 fr. tylko za ziemię 35. I tak cieszyliśmy się chociaż nie było kawałka mięsa na święta, ani masła tylko chleb i trochę mleka dla dzieci bo i mleka nie zawsze mają i tak dzień Bożego Narodzenia przeświętowaliśmy i cieszyliśmy się że jesteśmy zdrowi ani nawet nas nikt nie odwiedził to pomimo tego i tak nam było wesoło. Ale niestety bo niedługo uciechy, bo drugi dzień zjawia się gość zwany listonosz i podaje mi małą karteczkę, a w niej następna treść: Contribution de votre maison 134 fr. 06 centimes, kontrybucja od waszego domu za rok 1931 perception. A dopiero teraz ja mam klina w głowie i do kogo się udać po poradę to sam nie wiem bo jest to tylko jedno jedyne wyjście zapłacić, a ja nawet nie mam na chleb dla dzieci bo chociaż bym pisał do „Wiarusa Polskiego" to nie śmiem bo i tak jest dla mnie dobrym, bo już dawno wyszły moje trzy miesiące do płacenia a ja nie mogę zapłacić tylko prosiłem o dalsze nadsyłanie mi gazety i mej prośby nie odmówiono, a po drugie to stale czytam ubolewanie biednych nas rodaków to aż mi się serce kraje.

Jakie ciężkie czasy a zapomogi to w Paryżu dają i w okolicy i ja też jestem w okolicy Paryża, a gdy się udałem po zapomogę to mi powiedziano że Domont to jest bogata wioska zapomogi nie ma, a ja na to rzekł że nie wszyscy są bogaci to mi powiedzieli że nie mam prawa więcej się tam znajdować u wójta o zapomogę i powróciłem bez niczego oprócz karteczki jeden raz trzy litry mleka i dla dzieci i tyle wszystkiej zapomogi na zawszè. I gdym powrócił do swego dołu to gorzko my sobie zapłakali.

Dn. 6 stycznia 1932 r.

Pamiętnik Nr. 17

Rolnik niewykwalifikowany,
ur. w Chicago w 1908 r., obecnie
remigrant
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr).

Urodziłem się w Ameryce, w Chicago, w roku 1908, skąd to w roku 1911 na prośbę matki mej, tęskniącej za rodziną w kraju, powrócili rodzice już nie sami, lecz z czterema synami, z których to ja byłem trzeci z rzędu—i zamieszkali w Gnieźnie.

Do roku 1914 nie odczuwaliśmy żadnej biedy, dopiero pobyt ojca na froncie przedstawił nam obraz niedoli. Wielka była moja radość, gdy pierwszy raz widziałem ojca na urlopie i mogłem podziwiać prawdziwy karabin, który przywiózł z sobą. Niemniej z wielkiem zainteresowaniem słuchałem „opowieści i bajek", jakie ojciec zmyślał, zmuszony na moje nalegania opowiadać całemi godzinami. Czasami nawet z kolan ojca brała mnie matka bezpośrednio do łóżka, gdyż nie byłem już sobą, a duch mój hasał po cudnych błoniach fantazji i imaginacji.

Nadszedł wreszcie rok 1918, a z nim ostateczny powrót ojca. Po zakończeniu wojny ojciec pracował w wojskowej prowianturze, dokąd go wprowadził ówczesny porucznik p. G. Jednakże po objęciu tejże ostatecznie przez robotników wojskowych, ojciec znalazł się bez pracy. Pracował kilkakrotnie w gnieźnieńskiej cukierni, lecz tylko w czasie zimy. Będąc bezrobotnym, udawał się często do biura pośrednictwa pracy i stamtąd w maju roku 1923 przyniósł nam radosną nowinę, że zapisał się na wyjazd do Francji. Wiadomość ta niezmiernie nas ucieszyła. W czerwcu pojechał ojciec wraz z innymi bezrobotnymi do Poznania przed komisję lekarską, która

go uznała za zdolnego. Było to w piątek, a już w środę rano nastąpił nasz wyjazd do Poznania. Przez dwa dni pozbywaliśmy się naszej posiadłości t. j. mebli na cztery pokoje i innych rzeczy, jakie oczywiście sprzedaliśmy w cenie takiej, ażeby się tylko pozbyć i chociaż coś za to dostać. Ogólna suma zebranych pieniędzy wyrażała się cyfrą 750.000 marek polskich.

Ojciec miał zamiar po przyjeździe do Francji nabyć dostateczne meble i zaopatrzyć nas wszystkich w nowe ubrania. Jeszcze tego samego dnia, kiedy miał nastąpić nasz wyjazd, stało się nam wielkie nieszczęście. W dniu tym, jak nam powiedziano, wielkie masy ludzi z Małopolski zapełnili kompletnie dworzec gnieźnieński i podczas tej ciżby nieznany sprawca wyjął ojcu z kieszeni portfel wraz z dokumentami i całą posiadaną gotówką. Były w nim również dowody osobiste ojca, matki i mój. Dwaj starsi bracia mieli ich dowody przy sobie. Myślałem że ojciec oszaleje, gdyż przypuszczał, że z braku tych dokumentów wyjazd nasz będzie niemożliwy i znajdziemy się w gorszem położeniu, niż przed tygodniem... Matka moja, ze łzami w oczach modliła się gorąco, by dobry Bóg sprawić raczył byśmy mogli szczęśliwie dostać się do Francji. Nie przeklinała złoczyńcę, a chociaż sama odczuwająca głęboko tak dotkliwą stratę, dodawała nam wszystkim zwątpionym i będącym w rozpaczy—odwagi i spokoju. Brat odemnie o dwa lata starszy, zarządził by przytrzymano zgłaszającego się po bagaż, albowiem i dowody nadania znajdowały się w portfelu. Wystarczyły jednak złodziejowi pieniądze, bo po bagaż nikt obcy się nie zgłosił.

Męcząca była ta godzina podróży do Poznania i wiele myśli rażących kłębiło się w naszych zatroskanych głowach. Nareszcie jesteśmy w Poznaniu i ojciec natychmiast udał się do komisji emigracyjnej przedstawiając fakt pozbycia się dokumentów. Już z daleka poznaliśmy, że ojciec musiał pomyślnie sprawę załatwić, gdyż twarz jakkolwiek blada, wyrażała zadowolenie. Jedziemy — wołał już z daleka... Matka złożyła ręce w podzięce.

Przez dwa dni przebywaliśmy w obozie emigracyjnym, gdzie nas poddano kontroli lekarskiej. Nastąpiła kąpiel, zastrzyki i włosy trzeba było oddać „na rekruta“ fryzjerowi. Poczem nastał dzień oczekiwania na paszporty. W ostatniej chwili otrzymaliśmy kontrakty pracy do podpisania. Nie było nawet czasu by przed podpisaniem przejrzyć warunki pracy i wynagrodzenia. Przez cały czas naszego

pobytu w barakach nie wolno nam było wychodzić. Dopiero w ostatni dzień wyjazdu pozwolono nam oddalić się na dwie godziny. Korzystałem z tego przywileju i przez ten czas, jakkolwiek byłem pierwszy raz w Poznaniu, zdążyłem zwiedzić tamtejszy ogród zoologiczny, kawał miasta; przyjrzałem się koszarom, w których znajdowało się muzeum wojskowe—fabrykę zapałek „Iskra", wreszcie plac Wolności. Chciałem wejść do muzeum, lecz wstęp mieli tylko ci, którzy ukończyli lat 18. Żałowałem niezmiernie, że jestem za młody, chociaż antyki bardzo mnie interesowały. Nawet do Bibljoteki dostać się nie mogłem, nie wiem dlaczego, może dlatego że nie byłem dostatecznie ubrany. A przecież i literatura mnie zajmowała.

Uczęszczając do szkoły niemieckiej w roku 1915 robiłem szybkie postępy w nauce, a w roku 1919 zdałem dodatkowy egzamin i przeskoczyłem dwie klasy w jednym roku szkolnym. Ucząc się ostatni rok (1922) pod kierownictwem nauczyciela p. Fr. S., otrzymałem propozycję pogłębienia mej wiedzy przez wstąpienie do gimnazjum. Miałem także wielkiego protektora w osobie ś. p. X. profesora Bielawskiego Mieczysława, ówczesnego proboszcza parafji św. Wawrzyńca w Gnieźnie. Propozycje te, jakkolwiek były dla mnie wyróżnieniem, odrzucić musiałem z powodu niezamożności mych rodziców. Bo chociaż naukę i podręczniki miałem otrzymywać darmo, nie chciałem jednak, by mnie moi niedoszli współuczniowie lekko traktowali z powodu przyjęcia bezpłatnej nauki. Rodzice moi nie mogli mi dawać pieniędzy na żadne wycieczki i inne imprezy, które bywają dość liczne, a żebrać na ten cel nie zamierzałem...

Dnia 23 czerwca 1923 r. nastąpił nasz wyjazd z Poznania do Gdańska. Gdy tylko minęliśmy Gniezno, opuściłem przedział i ulokowałem się w budce wagonu hamulcowego, czyniąc sobie z niego obserwatorjum. Bo chociaż noc się zbliżała, odróżniałem dokładnie krajobraz mijany. Rodzice się niepokoili moją z nimi nieobecnością i nad ranem, gdy mnie brat odnalazł, otrzymałem naukę od ojca. Wieczorem następnego dnia o godz. 6-tej wieczorem, przybyliśmy do portu w Gdańsku, gdzie oczekiwał nas francuski okręt transportowy. O godz. 9-tej okręt podniósł kotwicę i ruszył w daleką podróż morską. Kto mógł cisnął się na pokład, by żegnać ląd, Polskę lub znajomych. Wieczór był pogodny, a księżyc szybujący w obłokach uśmiechał się do opuszczających kraj. Jedni z wesołością i ra-

dością opuszczali ojczyznę—inni z płaczem; dużo z pośród nich pozostawiło swych drogich, za którymi tęsknie rwało się serce... Jakiś wychodźca żywo grał na harmonji, a kilka par rzuciło się w takt oberka. Późno już było przed północą, gdy rozległ się potężny śpiew odjeżdżających: „Kto się w opiekę poda Panu swemu".. Fale sinego Bałtyku wchłaniały go w siebie.

Wesoło kołysał się nasz okręt i pruł wzburzone fale, lecz biedne niewiasty, nie mogące znieść tej niezwykłej podróży, zawodziły jęki i płacz rozlegał się po zbiorowych kabinach. Biedne, zmorzone chorobą morską, nie ruszały się z hamaków przez cały czas podróży, a tylko w wyjątkowych wypadkach przy pomocy męża, brata lub znajomych udawały się na pokład celem spełnienia swych codziennych czynności. Inni emigranci, jak mi we Francji opowiadali, mieli lepsze wygody i odpowiedniejsze warunki wyżywienia. Nasze porcje były bardzo skąpe, a dopiero w ostatnim dniu, kiedy mieliśmy już dobić do lądu, dano nam więcej chleba, wina a nawet wyjątkowo orzechów i cukierków dla dzieci. Podróż nasza trwała pięć dni i sześć nocy.

Było już około 6-tej wieczór, gdy holownik wprowadził nasz okręt do portu Le Havre. Miasto oglądaliśmy lecz tylko z okrętu, gdyż bano się zapewne, by ktoś z wychodźców, znający już u niektórych warunki pracy, nie uciekł przed przybyciem na miejsce pracy. Tę noc również spędziliśmy na okręcie. Już wczesnym rankiem około 5-tej godz. puszczono w ruch dźwigi, które ze dna okrętu dobywały pakunki i resztki posiadłości wychodźców. Były między niemi nawet takie, słabo osznurowane, że się rozsypywały, a z nich wypadały stare szmaty, buty obłocone, garnki, tarki do prania i t. d. Marynarze spoglądali na siebie i rozmawiając z sobą głośno się śmieli.

Opuszczając okręt, zabrał nas z sobą wysłannik z fabryki i ulokował w pociągu. Otrzymaliśmy jednocześnie prowiant na drogę: po dwie puszki konserw mięsnych i jeden biały chleb na osobę. Z Le Havre wyruszyliśmy o godz. 10-tej rano w dzień bardzo skwarny. O piciu zapomniano, zapewne bano się byśmy się nie popili, a może brali pod uwagę że Polacy są przyzwyczajeni do picia wody. Przy każdym niemal przystanku napełnialiśmy próżne butelki wodą. Na jednej stacji wybiegła pewna dziewczynka po wodę, a w międzyczasie pociąg ruszył dalej. Biedne dziecko zaczęło krzyczeć i pociąg

będący już kawałek za stacją, musiał się cofnąć. Było w tym trochę tragedji i śmiechu. Trzeba było widzieć minę dziecka pozostającego się na peronie.

W pociągu czuliśmy się znacznie wygodniej niż na okręcie. Każda rodzina otrzymała swój przedział i nikt nas nie deranżował przez cały czas podróży. Z zainteresowaniem przyglądaliśmy się okolicom przez pociąg mijanym. Wśród dojrzałych już kłosów pszenicy sterczały ruiny budowli, domów i fabryk. Straszny obraz zniszczenia snuł się z monotonnym obrotem kół wagonów. Podziwialiśmy wszystko godne uwagi i komentowaliśmy każdy szczegół. Jakże musiało to wszystko wyglądać zaraz po wojnie, skoro już od pięciu lat panował spokój, a dużo doprowadzono do porządku.

Nareszcie, po całodziennej podróży, dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia: Ville de Cambrai. Przed dworcem czekało już nas auto ciężarowe, na które załadowano bagaż i kobiety z dziećmi. Mężczyźni szli pieszo. Prowadził nas ten sam przewodnik, który nas zabrał z okrętu. Był to oczywiście Francuz i nie mogliśmy się z nim inaczej porozumieć, jak tylko gestami. Podziwialiśmy miasto, które aczkolwiek świadczyło doskonale o bitwach jakie się w niem toczyły, było imponujące. W szczególności uderzyła nas odmienna architektura. Domy zazwyczaj były podobne do zabawek zmontowanych z tabliczek. Dachy również były kryte tym materjałem. Istne wille dwu—trzy piętrowe.

Gdyśmy z dworca doszli do kantyny, obsłużono nas gotowaną kolacją. Kolacja była wyśmienita i obfita. Danych nam porcyj nikt nie mógł skonsumować. Sądziliśmy, że to tylko z gościnności nas tak uraczono, lecz nie była ona darmo podana. Musieliśmy za nią przy najbliższej wypłacie zapłacić tyle, że jedna rodzina wyżyłaby za te pieniądze przez cały dzień, a nawet i następny. Było już dość późno i zaraz po kolacji przygotowano nam spanie w kantynie i policzono dość drogo.

Gdy następnego dnia Francuzi wychodzili z fabryki na półgodzinne śniadanie, dziwili się, że nie wyglądamy tak, jak oni sobie nas wyobrażali. Myśleli że będziemy podobni do czerwonoskórych mieszkańców Ameryki...

Ojcowie musieli zaraz następnego dnia iść do pracy, a nas młodych zaprowadzono z matkami do mieszkań. Każda rodzina otrzymała wyłącznie do swego użytku dom składający się z trzech

pokoi i kuchni. Chlewy były murowane, zupełnie nowe w których mieściły się również kurniki i siatki. Domy były pięknie położone, bo okalały je ogrody. Nasz ogród liczył 500 m². Dużo trzeba było nakładu pracy, by je doprowadzić do porządku. Ziemia była zmieszana z gruzem, a na 25 cm. znajdowała się już woda. Zimą mieszkania te stały się nieznośne, bo wilgoć była tak straszna, że ciekło formalnie z sufitu i musieliśmy łóżka przestawiać co noc w inne miejsce. Łóżka otrzymaliśmy żelazne, szpitalne, w cenie 100 fr. za każde z materacem. Nawet dzieci otrzymywały po jednem, bo fabryka, mając większy zapas, starała się ich pozbyć. Dalsze sprzęty gospodarskie uzyskaliśmy na kredyt z miejscowej kooperatywy, należącej do dyrekcji fabryki.

Ja i mój kolega W. Ch., z którym się zaprzyjaźniliśmy podczas podróży i mieszkający w tej samej kolonji, stanęliśmy do pracy po obiedzie drugiego dnia. Przydzielono nas do finisażu nici, pracy lekkiej, wymagającej jednak dużo cierpliwości. Była to robota tak kurzliwa, żeśmy — nim się przyzwyczailiśmy, kichali, gdyby od tabaki... Był to oddział pralni i farbiarni „Blanchisserie et Teinturerie de Cambrai". Podczas pracy otrzymywaliśmy liczne wizyty robotników francuskich, którzy z zaciekawieniem przyglądali się nam i naszej pracy. Ubrani byliśmy w białe bluzy i białe fartuchy, mając na nogach drewniaki systemu niemieckiego. Rzeczy te dostarczyła nam fabryka i musiały być co tydzień prane. Ojcowie i starsi młodzieńcy przeznaczeni byli do pralni. Przychodzili do domu bardzo często zmoczeni, tak że nawet podczas śniadania przebierali się w inne spodnie.

Mój kierownik nazywał się D. i bardzo mnie z początku polubił, bo rozmawialiśmy z sobą po niemiecku. Przyobiecał mi nawet, że codziennie podczas pracy będzie mi udzielał lekcji języka francuskiego. Przyrzeczenia swego jednak nie dotrzymał. Uczyłem się przeto sam ze słownika, jaki nabyłem jeszcze w Poznaniu. Po niedługiem czasie przekonałem się że wymowa jest odmienna od wymowy mieszkańców północy, albowiem posługują się t. zw. „patois". Nie zrażałem się jednak tem i korzystałem z każdej okazji by uczyć się nadal. Gdy już po dwóch miesiącach mogłem jako tako się rozmówić, przestałem rozmawiać z kierownikiem po niemiecku. Wówczas stała się wielka awantura. Kierownik zabronił mi odpowiadać po francusku, rozkazując mówić do siebie jedynie po nie-

miecku. Nie zastosowałem się do jego żądania, gdyż w kontrakcie tego nie wyszczególniono.

—„Musicie wiedzieć, że jestem Francuzem—krzyczał—i musicie mnie słuchać". Na co odpowiedziałem, że do rozmowy w języku niemieckim zmusić się nie dam, skoro już mogę odpowiadać i pytać w języku kraju, w którym przebywam. Wściekłość jego nie miała granic. Od tej chwili począł mnie nienawidzić.

Sytuację moją pogorszyła jeszcze dziewczyna francuska, pracująca z nami. Będąc dla niej obojętnym, postarała się za pośrednictwem majstra, który się nas wypytywał czy w Polsce są też konie, krowy i czy wiemy co to są konfitury, o przeniesienie mnie do innego oddziału. Był to oddział farbierni nici. Z początku obsługiwałem wyżymaczke, t. zw. „machine à éssorer". W międzyczasie gdy wyżymaczka się kręciła, atakowałem ściany suszarni, znajdującej się w kącie fabryki pisząc wyrazy francuskie. Powtarzałem je potem w takt turkotu maszyn... D. widząc moją nieugiętą wolę, mścił się na mnie, przydzielając do innej pracy. Była to praca bardzo ciężka, wymagała bowiem dużo siły fizycznej. Mając wtenczas zaledwie lat piętnaście, zmuszony byłem wykonywać podnoszenie, wraz z dorosłym mężczyzną, drągów żelaznych i nimi manewrować przez całą godzinę w miejscu i w parze. Drągi takie wraz z namoczonemi nićmi ważyły przeszło 50 kg. Chociaż zginałem się i wytężałem nadludzko swe siły, nie zamierzałem zrywać kontraktu, by nie sprowadzić na rodziców dodatkowych ciężarów.

Kolonja nasza nosiła nazwę Cité Saint Laurent. W przypadające na dzień 10-go sierpnia święto tego patrona fabryka nasza była nieczynna, jednak zapłacono wszystkim dniówkę, a przeddzień tegoż święta na długo przed zakończeniem pracy zatrzymano wszystkie maszyny i zebrano się w sali warsztatu, w którym dawniej pracowałem. Ustawiono długie stoły i przystąpiono do biesiady. Na stołach stały butelki wina i kilka paczek ciastek. Piliśmy wraz z Francuzami i słuchaliśmy przez nich śpiewanych piosnek. Bo chociaż czuliśmy się obco, ze względu na krótki nasz pobyt i spotykaliśmy się z ich wejrzeniami, bodaj przychylnemi, to jednak nadrabialiśmy miny dając poznać, że się niemi interesujemy i je rozumiemy. Wina częściowo dostarczyła dyrekcja fabryki, częściowo robotnicy między sobą się zebrali by dalszy zapas sobie zapewnić. Samo święto wypadło imponująco: koło fabryki, w ogrodzie, znaj-

dował się placyk okolony ze wszech stron ogródkami robotniczemi. Zapach kwiatów był odurzający, albowiem aleje ogrodu i samych ogródków były zasadzone przeważnie samymi kwiatami. W środku placu znajdowało się coś w rodzaju wielkiej kopuły wzniesionej na licznych filarach betonowych, pod którą zajęła miejsce orkiestra, a każdy, młody czy stary, tańczył jak umiał — tańczył na drogach ogrodu. Drugiego dnia po tej fecie zabrakło wina w kantynie, bo Francuzi innych napoi nie wypijają tyle ile samego wina. Wino zastępuje miejsce naszej kawy i herbaty. Francuz gdyby wina nie pił przez jeden dzień, czuje się nieswojo. Rzadko, by który Francuz podpiwszy sobie, urządzał awantury. U Polaków rzeczy te stały na innym poziomie.

Następnego dnia znowu trzeba było stanąć do pracy. Chociaż byłem niezłym robotnikiem, to jednak praca przeze mnie wykonywana była ponad moje siły. Jak dalece był dla mnie jej ciężar okropny, zdradzić mogę, że będąc na przedstawieniu w kinie w niedzielę, nie myślałem o niczem innem, jak o pracy. W dodatku praca ta była dla mnie tak szkodliwą, że nawet przyszedłszy z pracy czy to na śniadanie czy na obiad, jedzenia nie ruszałem. Nie miałem apetytu i czułem się stale przemęczonym. Czułem że myśleć nie umiem i zacząłem tracić pamięć. W nocy często się zrywałem, trapiły mnie sny o pracy.

W kolonji naszej mieszkało ogółem sześć rodzin polskich cztery rodziny z Gniezna, jedna z Klecka i jedna z Wągrówca, sprowadzona przez swych znajomych na zapotrzebowanie. Z początku wszyscy się szanowali i co niedziele zbierano się u jednej z rodzin na herbatkę. Ojciec mój grywał na harmonji, to też niedziele spędzano wesoło i przyjemnie. Lecz było niemożliwem, żeby dalej taka zgoda panować mogła, byłoby to cudem. Znalazła się amatorka intryg i dała początek nienawiściom. Chodziła z domu do domu wymyślając różne historje. Wówczas zaczęło się inne życie. Każdy chodził z osobna i nikt nikogo nie znał. Niemało było scen, a Francuzi różnie to rozumieli. Często poszły nawet w ruch łopaty i kije... Wstyd pisać.

W kilka miesięcy po naszym przyjezdzie do Francji odbyły się występy artystek polskich w teatrze „Fénelon", na które poszliśmy za pośrednictwem dyrekcji fabryki. Jednak artystki nie były zadowolone spowodu nielicznych oklasków i — dlatego nie wypeł-

niły całego programu. Pierwszy raz słyszeliśmy we Francji grany nasz hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła".

W niedzielę, kawalerzy, mimo waśni wśród rodzin, chodzili razem na zabawy do t. zw. „estaminet'ów" (nazwa karczmy w patois północnym) i zabierali mnie z sobą. Idąc z niemi, doszedłszy zaledwie do Rynku, cofałem się. Wróciwszy do domu brałem samouczek i odprawiałem przechadzki nad kanałem i robiłem powtórki. Trudne było zadanie, gdyż musiałem sam siebie egzaminować. Robiłem jednak postępy w nauce i gdy po ukończeniu kontraktu udałem się z innymi Polakami do biura po premje, przypadające tytułem ukończenia kontraktu, wystąpiłem już w roli tłumacza. Polacy byli zdziwieni że już mogę się nieźle porozumieć. Niemniej urzędnicy którzy mnie pytali czy będąc w Polsce umiałem już mówić po francusku. Gdy dałem odpowiedź przeczącą, wierzyć mi nie chcieli tymbardziej, że znajdowałem się w otoczeniu władającem jedynie „patois".

Nie mogąc znieść dalej tej ciężkiej pracy, postanowiłem odejść z fabryki. W tym celu udałem się do biura po zaświadczenie ukończenia kontraktu. Zanim jednak zdecydowałem się na ten krok, musiałem się wykłócić z kierownikiem oddziału, gdyż zabronił mi rozmawiać z Francuzami. A niemal co godzinę po fabryce rozlegało się wołanie: — „Boleslas, Boleslas" — bo mnie potrzebował do swej pracy w laboratorjum. Musiałem mu pomagać przy ważeniu farb i robieniu domieszek i ze złości nierzadko zbiłem jaki garnek kamienny. Wypocząć nigdy nie mogłem, bo stale musiałem przy nim być, a gdy razu pewnego poszedłem do ustępu, przyszedł po mnie i kazał mi się śpieszyć. Poczem zabrał mnie z sobą do oddziału farbowania w deseny chusteczek i wtajemniczał mnie w szczegóły tak, gdybym miał zająć po nim stanowisko. Czasami to był dla mnie tak uprzejmy i szczery, że nawet sam siebie oskarżałem o niejasność pojęcia. Bo gdy razu pewnego, krótko po ukończeniu kontraktu, prosiłem go o podwyżkę, odpowiedział, że zobaczy. Następnego dnia przyszedł do mnie po koleżeńsku i grzecznie rozmawiając, tym razem po francusku, oznajmił mi że w miejsce 0,80 fr. na godzinę, otrzymam 1 fr. Ucieszyłem się, ale gdy odchodził ode mnie znowu odezwał się po niemiecku: — „Aber Sie mussen gut arbeiten"—tego już mi było za dużo. Pracowałem jak koń, a czterech rąk nie miałem. Czasem gdy się upił, a zdarzało się to bardzo

często, przyszedł do mnie i kazał mi przestać pracować, bym sobie odpoczął. Obiecał mi przy tem dokładkę i lepsze warunki pracy, żeby tylko rozmawiać z nim po niemiecku. Wolałem jednak po francusku, bo niemiecki znałem mniej i musiałem się silić na dobieranie odpowiednich słów, co we francuskim znacznie łatwiej mi przychodziło.

A zatem gdy nadeszła pora odejścia, mój kierownik nie chciał mnie zwolnić. Wypowiedziałem mu, zgodnie z rozporządzeniem, osiem dni i po tym czasie udał wprost ignoranta i oświadczył że nic nie wie bym mu kiedykolwiek wypowiadał odejście. Nie miałem innego sposobu, więc wziąłem z sobą pewnego Francuza i wówczas ponowiłem żądanie. Godzinę po fakcie dokonanym, mój Francuz otrzymał ośmiodniowe wypowiedzenie. Nareszcie zdałem moją garderobę i opuściłem fabrykę, by już więcej do niej nie wracać. Żal mój z powodu takiego się ze mną obchodzenia kierownika, zrodził się w głęboką nienawiść. Postanowiłem go za moją krzywdę zastrzelić. Planowałem nawet zamach, lecz go w końcu nie zrealizowałem. Nie chciałem robić rodzicom przykrości. W kilka dni po opuszczeniu fabryki, pierwszej pracy we Francji, spotkał mnie ów kierownik, proponując mi przyjęcie do pracy. Odmówiłem kategorycznie, podkreślając że jest człowiekiem bez honoru, albowiem śmiał się tak dalece poniżyć tą propozycją. Nie chciałem wracać, by tem samem się nie ośmieszyć i podpaść pod okrutniejszą torturę. Bez żadnej formy grzeczności odwróciłem się od niego i gdy po chwili obejrzałem się, stał w tem samem miejscu zamyślony. Czuł się pokonany a ja byłem zadowolony, że odniosłem zwycięstwo.

Było już późną jesienią, gdy otrzymałem pracę w cukrowni w Escaudoeuvres. Praca była ciężka, lecz dawałem sobie radę. Zarabiam przeto nieźle. Ojciec i bracia, pozostający nadal w Blanchisserie, zarabiali najwyżej 222 fr. na dwa tygodnie i to wtenczas kiedy mieli jeden tydzień pracy w nocy. Inaczej otrzymywali znacznie mniej — podczas gdy ja 17-letni zarabiałem do 500 fr. za ten sam czas. Coprawda pracowałem każdego dnia po 12 godz., a nierzadko 18, 24, 36 a nawet 48 godzin z przerwą jednogodzinną na 12 godz. Po ukończeniu pracy miałem zaoszczędzonych kilkaset franków. W Cambrai chodziłem przez dwa miesiące bez pracy,

tymczasem gotówka topniała. Pracy tamże dostać nie mogłem, gdyż miasto to nie jest fabrycznem, a w fabrykach kilku się tam znajdujących pracowali robotnicy stali od kilku lat. Postanowiłem przeto wyjechać i udałem się do Denain. Po tygodniu ubiegania się o pracę otrzymałem tęże w fabryce „Etablissements Cail", gdzie wyrabiano wagony luksusowe do pociągów podziemnych i lokomotywy różnych typów. Lekarz uznał mnie za zdolnego i przeznaczono mnie do nitowania dachów wagonów. Wchodziłem na dachy wagonu wniesionego przez dwa olbrzymie dźwigi, o sile 30 tonn każdy, na wysokość 8 — 10 metrów. Huk panował tam od pneumatycznych młotów taki, że nie mogliśmy się dosłyszeć — porozumiewaliśmy się za pomocą mimiki. Nie mając lat 18-tu, zarabiałem na 8 godz. pracy 11,40 fr. Z tego mieszkanie opłacić musiałem 35 fr. miesięcznie, bez ogrzewania. Nieraz całemi dniami nic nie jadłem, mogłem się bez jedzenia obejść, bo zacząłem się przyzwyczajać do stanu rzeczy. Na obiady uczęszczać nie mogłem sobie pozwolić, bo na mój zarobek było za drogo, a suche jedzenie niebardzo przez gardło przejść chciało.

Powodem odejścia z tych zakładów było, że jakkolwiek będąc niezaczepnym, pewien Francuz dopiero co powróciwszy ze służby wojskowej, bez żadnej przyczyny począł mnie zaczepiać słowem: „Boche" (Niemiec) — którem to zwykle Francuzi byli zdolni wykazywać swą niechęć do Polaków, jako robotników — obcokrajowców. Pobiliśmy się o to, gdyż będąc Polakiem, nie mogłem znieść podobnego wyrażenia nienawiści. Przechodzący podczas bójki kierownik zaprowadził nas obu do biura i kazał wypłacić. Francuz płakał, lecz byli świadkowie, którzy zeznali prawdę i znalazł się ze mną za bramą. Wyjechałem z powrotem do Cambrai i otrzymałem pracę przy kopaniu ziemi za 17 fr. dziennie na 10 godz. Pracowałem przy tem całe lato aż do późnej jesieni, kiedy znowu zaczął się sezon cukrownictwa.

Wracając wieczorem do domu, spotykałem pewną młodziutką Francuzkę, która mając nieśmiałe spojrzenie, była bardzo ładna. Co wieczór nosiła z sobą kwiatek i nim rzucała we mnie — mówiąc: „Bonjour Stanislas" „Bonjour Joseph, Maurice" etc. — dzień dobry— Madeleine — odpowiadałem, gdyż tak jej było na imię. Każdego wieczora zmieniała moje imię, nie zgadując mojego. Wreszcie pewnego wieczora zbliżywszy się do mnie prosiła bym jej powiedział

jakie imię noszę. Bolesław—„Sław" sobie zapamiętała, nazywając mnie „pragnieniem" albowiem — przez zamianę końcowej litery na f — soif oznacza w języku francuskim „pragnienie". Pracując już w cukrownictwie, przyszła i ona tamże do pracy. Korzystała z każdej się nadającej okazji by się zbliżyć. Ograniczałem się tylko do formy powitania.

Po skończeniu pracy sezonowej wyjechałem tym razem do Valenciennes, miasta pięknego, drugiej stolicy północnej Francji leżącego blisko granicy belgijskiej. Przyjęto mnie do fabryki rur w Anzin, tuż przy Valenciennes. Pracowałem na placu, a za robotę nielekką, trzeba było nakładać łopatą wyrzucony z pieców węgiel, otrzymywałem to samo wynagrodzenie co w Denain. Z tego nie mogłem sobie pozwolić zjeść obiad gotowany i chociaż mieszkałem u pp. L. w Anzin, którzy byli dla mnie bardzo dobrzy i często mi zaofiarowali obiad bezinteresownie, nie chciałem tego przyjąć. Byłem za ambitny, by pracując na siebie przyjmować jałmużnę w tej formie. Przez kilka tygodni z rzędu nie jadłem gotowanego obiadu, pozwalając sobie tylko zjeść obiad gotowany w terminie dwutygodniowym. Zazwyczaj mój obiad składał się z kawałka chleba smarowanego smalcem lub masłem. O popiciu mowy nie było, gdyż na piwo nie starczyło. W porze obiadowej wychodziłem nad kanał, by nie jeść razem z robotnikami. Nie lubiłem współczucia.

Widząc że pracując nadal w takich warunkach nie zajdę daleko, postanowiłem zmienić pracę. Za pośrednictwem mego p. L. otrzymałem pracę przy oczyszczaniu pól z drutów kolczastych z pobojowiska wojennego, lecz praca ta prędko się skończyła i wkrótce pozostałem bez grosza, bo w dodatku przedsiębiorcy wszystkiego nie wypłacili, tłumacząc się stratą w sprzedaży za towar. Mieszkania nie opłacałem przez cały miesiąc. Dodatkowo rano, do czego mnie przymusiła gospodyni, musiałem wypić bolkę kawy z mlekiem. Do rodziców po pieniądze nie pisałem, bo powiedziałem sobie że muszę nie tylko sam na siebie zapracować, ale jeszcze i rodzicom dopomóc.

Po sześciu tygodniach bezrobocia — zasiłku nie otrzymywałem — udało mi się uzyskać pracę przy budowie mostu Saint Jacques w Valenciennes. Ze względu na posiadane świadectwa z pracy ziemnej, przeznaczono mnie do wożenia ziemi. Już po godzinie pracy opadłem z sił że ledwie oddychać mogłem. Taczkami trzeba

było wozić ziemię po deskach stromo ułożonych, opierając nogi o teren błotny, w którym nogi cofały się do tyłu. W dodatku nakładający ziemię Francuzi, dowiedziawszy się że jestem Polakiem, nakładali na moje taczki więcej ziemi aniżeli na kolegów Francuzów, mówiąc: — „Ty jesteś młody, więc możesz więcej wozić. Polacy są silni jak byki".

Jadąc taczką, napotkałem na budowniczego i poprosiłem go o zmianę miejsca. Przychylił się do mej prośby i przeznaczył do wożenia betonu. Chociaż i ta praca była ciężka, jednak czułem się swobodniejszy i dlatego postanowiłem pracować tak długo, dopóki będzie możliwem. Po dwóch tygodniach pracę porzuciłem i zadecydowałem wyjechać do Hautmont, bo słyszałem od rodaków, że w pewnej fabryce przyjmują młodych do prowadzenia młotów parowych.

Po uregulowaniu długu pozostało się mi tylko 40 fr. Gospodarz chciał mi zaczekać, wolałem jednak zapłacić wszystko, by nie pozostawić po sobie złego wspomnienia. W ostatni wieczór urządziliśmy z gospodarzami pożegnanie i by godnie zadokumentować naszą przyjaźń i wdzięczność, kazałem podczas wieczerzy podać dwie butelki lepszego wina. Gdy już zamierzałem pójść na spoczynek i uregulować za wino, ku mojemu przerażeniu stwierdziłem brak mego pudełka zawierającego pieniądze. Obok mnie siedział pewien Algierczyk, który do kradzieży się nie przyznał. Gospodarze byli bardzo tem przejęci i chcieli mi zaofiarować pożyczkę, której z pewnych względów nie przyjąłem, bo w pokoju miałem jeszcze 10 fr. w rezerwie i te zużyłem na opłatę biletu do Hautmont.

Obarczony walizkami, po opuszczeniu dworca, nie wiedziałem dokąd się skierować. Wpierw należało szukać mieszkania. Po kilkugodzinnej wędrówce spotkałem rodaka, który mnie poinformował o wolnem mieszkaniu. W istocie mieszkanie było wolne, lecz nie mogąc zapłacić za nie zgóry, w dowód gwarancji oddałem właścicielowi imatrykulację. By pozyskać towar ze składu spożywczego, pozostawiłem w nim moją kartę tożsamości. Nazajutrz po przyjeździe miałem szczęście, bo mnie przyjęto do zakładów „Dembiermont". Po trzydniowej nauce, wprowadzałem w ruch młot parowy ważący 4200 kgr. Kierownik zakładów, widząc moją orjentację, zaraz pierwszą wypłatę polecił mi wypłacić na równi z innymi nie pomijając przytem dodatkowej premji. Francuzi byli na mnie

źli, że dopiero zacząwszy pracować i to w charakterze ucznia, otrzymałem tyle co oni. Lecz próżna była ich zazdrość, chociaż jak mogli starali się mi szkodzić. Zrzucali z młota kawałki żelaza przeznaczone do ogrzania tłocznika, przed rozpoczęciem pracy. Gdy się pytałem kto to robi, nie było odpowiedzi. By obrobić stal takim młotem, należało wał kilkatonnowy rozgrzać do białości w piecach gazowych. Dlatego wmurowano go, zakrywając cegłami i gliną najmniejszy otwór. Do wału takiego były przymocowane specjalne sporządzone drągi żelazne długości około trzech metrów, by za ich pomocą móc manewrować do woli. Stałem w pozycji około metra odległości od kowadła. Wąskie kolumny, na których młot się opierał, nie mogły mnie ochronić od gorączki, buchającej z bloku. I chociaż byłem w cholewkach z grubej skóry, poodparzałem sobie nogi. Zanim pierwszą wypłatę otrzymałem, upłynęło trzy tygodnie. Przez ten czas chodziłem nieogolony i wyglądałem strasznie. Z paleniem też miałem wielki kłopot, gdyż w składzie tytoniu nie było, a mój współlokator niejaki K. umyślnie by obrzydzić, wkładał do tytoniu wyczesane włosy. Chociaż palić mi się chciało, nie mogłem korzystać z jego uprzejmości...

Całe piętro domu było najmowane wyłącznie przez Polaków. Mieszkanie składało się z dwóch pokoi i kuchni, a w nich ulokowanych nas siedmiu. Prawie wszyscy byli kawalerzy, a chociaż wśród nich było i dwóch żonatych, jednak samotnych. Nadmienić wypada, że była to zbieranina ze wszystkich zaborów Polski. Każdy odróżniał się sam sobą. Na tym tle były nieporozumienia.

Z powodu, jak już wspomniałem, nie posiadania swej karty tożsamości przy sobie, niedziele spędzałem w domu. Obawiałem się by mnie nie spotkała przykra niespodzianka ze strony policji. Pierwsze niedziele schodziły mi wyłącznie na załatwianiu korespondencyj moim rodakom. Za każdy list płacono mi stosunkowo niedużo lecz byłem z tego i tak zadowolony, bo mogłem opłacić swoją korespondencję, która bywała dość liczna. W dni robocze każdy gotował sam sobie, a że był tylko jeden piec, przeto nic dziwnego, że ostatni który przybył z pracy najpóźniej, kończył swój obiad blisko północy. Cały piec był zastawiony garnkami i gdy pierwszy ugotował obiad, następny zajmował jego miejsce i znowu cała kolumna garnków posuwała się bliżej ognia.

Pewnego razu moi rodacy pochodzący z b. Kongresówki i Ma-

łopolski poróżnili się między sobą. Po kilku dniach nie spoglądania jeden na drugiego, dziwnym zbiegiem okoliczności obie strony wybrały mnie, jako bezpartyjnego za arbitra. W stosownym czasie przemówiłem do serc zwaśnionych i w rezultacie udało mi się konflikt załagodzić. A zatem dzień zgody musiał być świetnie uczczony. Gdy jeden przyniósł dwie butelki wina na to konto, inny więcej ambitny dostarczył cztery butelki. Wreszcie ostatni, powróciwszy z pracy i dowiedziawszy się o poprawie stosunków, wnosząc toast na cześć zgody, dalsze podwaliny podłożył litrem rumu. Wreszcie na życzenie jednego z rodaków udaliśmy się do jedynej knajpy mającej gramofon w całem mieście. Po wypiciu kilku butelek rozeszliśmy się do domu i rodak proponujący wycieczkę po mieście nagle nam zginął. Gdyśmy wrócili do mieszkania, tenże przywitał nas cegłami z piętra, poprzednio w tym celu nagromadzonemi. Wreszcie zabarykadował się, zamykając drzwi i wyjął z walizki austryjacki bagnet, którym począł nam grozić przez drzwi. Nie pozostało nic innego prócz udania się na policję. Spisano protokół i niebawem miała się odbyć rozprawa, cofnęliśmy oskarżenie i sprawa została umorzona.

Pracując dalej we fabryce, obsługiwałem kolejno każdy parowy młot. Ostatnio przydzielił mnie kierownik do pracy ze swym bratem. Ten ostatni był dla mnie nader uprzejmy, jak większość Francuzów posiadających dwa od siebie się różniące charaktery. Podczas pracy poruszaliśmy różne tematy, w szczególności o Polsce. Pod tym względem są oni, a zwłaszcza klasa pracująca, zupełnie bezwiedni o stosunkach w Polsce i nieraz wprost dziwne zadawali mi pytania, które musiałem wyświetlać. Rezultat był ten, że nie mogli mieć całkowitego przekonania, albowiem okazywało się, że to co u nas istnieje, oni uważali za nieistniejące i nieprawdziwe. Niemało miał pod tym względem trudu rodak, pragnący rozpowszechniać dobre imię Polski.

Opisując dalej o bracie kierownika zakładów, tenże gdy brałem się do pracy przy robotach, które trzeba było wykonywać ręcznie we dwóch, kazał mi robić co innego, np. jechać po koks, poszukać kawał rury, zalepić piec etc. Pewnego razu, gdy pojechałem taczką po koks, przyszedł do niego brat-kierownik. Majster skarżył się przed nim, że nie chcę nic robić, że sam musi wszystko wykonywać, a gdy mam mu pomagać to gdzieś idę. Ze swego po-

stępowania był on już kierownikowi znany, albowiem co dzień musiał mu dawać świeżego pomocnika. Gdy wróciłem, nastąpiła dyskusja, w rezultacie której kierownik powiedział mojemu majstrowi: — „Żaden nie był ci dobry, miałeś już wszystkich pilonistów, a że i ten ostatni nie odpowiada, przeto pracuj sobie sam, a gdy będziesz chciał pomocnika, to weź sobie robotnika od zbierania odpadków po fabryce".

Fabryka ta jakkolwiek nieduża, miała urządzenie nowoczesne, a między innemi presę niemiecką, jaką rzekomo otrzymała tytułem odszkodowania z czasów wojny światowej. Różnica między nią a młotem była ta, że młot opuszczał się na blok stalowy i uderzał w niego, podczas gdy presa wprost miażdżyła bloki o średnicy metrowej lub grubszej. Bloki takie bywały w ogniu przez szereg dni zanim się odpowiednio rozbieliły. Praca była wykonywana bardzo szybko, a znajdujące się zakłady mechaniczne czyniły dalsze obróbki na czysto. Większość zamówień otrzymywała fabryka z marynarki wojennej. Były tam także olbrzymie magnesy, które bez pomocy robotnika przenosiły całe stosy żelaza. Wagi automatyczne, znajdujące się przy dźwigach, rejestrowały jednocześnie ciężar podniesiony.

Zaledwie upłynęło sześć tygodni od mego przyjazdu do Hautmont, gdy wszyscy pracujący w tych zakładach Polacy, postanowili udać się w okolice Paryża. Marzyłem już o tem, zanim projekt innych doszedł do mej wiadomości. Kiedy oznajmiłem kierownikowi mój wyjazd, prosił mnie bym się pozostał nadal. Raz postanowiwszy, nie chciałem się pozostać i wyjechałem bezpośrednio do Paryża, który poraz pierwszy ujrzałem dnia 2 kwietnia 1925 r. Odtąd częściowo w nim samym, częściowo w jego okolicy, za wyjątkiem dwóch koniecznych wyjazdów, o których wspomnę poniżej, pozostawałem do dnia 16 maja 1935 r. Pierwszą pracę otrzymałem w papierowni „Evette et Germain" w Aubervilliers. Przydzielono mnie do suszarni tektury. Otrzymywałem tygodniowo 151 fr. z czego wysyłałem każdego tygodnia 50 fr. rodzicom znajdującym się w północnej Francji. W końcu, z powodu odejścia jednego robotnika od presy, zastępowałem go przez sześć miesięcy. Pewnego razu przybył do mego mieszkania wcale mi nieznany Włoch, pytając czy nie zechciałbym pracować u niego na budowli. Ze względu na różnicę płacy, chętnie się na zmianę zgodziłem, otrzy-

mując 40 fr. dziennie. Przy budowie pracowałem pięć tygodni i w międzyczasie otrzymałem zawezwanie do „Sucrerie Centrale de Cambrai" w Escaudoeuvres. Zawezwanie to przyjąłem, gdyż była to praca przez zimę pewna i dobrze płatna. Przepracowałem w cukrowni przez listopad, grudzień i styczeń. Po skończeniu kampanji cukrowniczej powróciłem do Paryża. Tym razem miałem pecha, albowiem było to w roku, w którym kończyła się ważność mej karty tożsamości i trzeba było zmienić na nową. Nie było to rzeczą łatwą, ponieważ była ona wystawiona w północnej Francji, a z prowincji Ministerstwo Pracy w Paryżu przy przedłożeniu nawet zaświadczenia z pracy, nie udzielało zezwoleń na wydanie karty paryskiej. Z powodu odmowy musiałem pracę porzucić, szukając innego zajęcia, bo były wypadki, że przy trudniejszych i brudniejszych pracach nie zwracano uwagi na karty. Podobna okazja jednak nie przyszła mi z pomocą. Błądząc po Paryżu, gdzie przyjmowano jedynie w godzinach ściśle przestrzeganych jednocześnie we wszystkich fabrykach, zdążyłem stawić się dziennie zaledwie w jednej dyrekcji. Zawsze niestety ta nieszczęsna karta była przeszkodą i pracy nie otrzymałem. Wreszcie po próżnych i daremnych usiłowaniach wyjechałem w marcu 1926 do północnej Francji, by tam zmienić kartę, poczem powrócić do Paryża. Pierwsza moja karta tożsamości była wystawiona przez podprefekturę w Cambrai i gdy się tam udałem, oświadczono mi, że nie tylko nowej karty wydać mi nie mogą, lecz nawet mnie nie zameldują. Wobec takiego stanu rzeczy udałem się do mego b. pracodawcy p. L., akcjonariusza cukrowni w Escaudoeuvres, który jakkolwiek nie miał dla mnie w tym czasie pracy, wystawił mi zaświadczenie na zmianę karty.

Chociaż rodzice moi zamieszkiwali nadal w domu fabrycznym, musiałem wynająć pokój w kantynie cukrowni. Następnie udałem się do tamtejszego sołectwa, gdzie mi oświadczono, że nie mogę być zameldowany w tej gminie wcześniej zanim nie otrzymam nowej karty, a tę może mi wystawić jedynie podprefektura w Cambrai. Nie mając innego wyjścia, pojechałem do Bouchain i odszukałem tam znajomego rodaka, który dawniej zamieszkiwał w Cambrai. Pracował on w wytwórni chemicznych farb i chciał mnie tam dotąd wprowadzić. Przedtem poszedł jednak ze mną do sołectwa i udało mu się mnie zameldować. Był to już pierwszy krok ułatwienia w kierunku zmiany dowodu osobistego. Jednak do fabryk

tej mnie nie przyjęto, więc znowu udałem się do p. L. i tenże wypisał mi świeże zaświadczenie. W czasie gdy mając gotowe świadectwo, przystąpiłem do wymiany karty, znowu nieszczęsny pech począł mnie prześladować. Wyszło nowe rozporządzenie, by wstrzymać wszelkie wymiany kart, z powodu ustalania nowej taryfy opłat. Przez ten czas, jakkolwiek zameldowany w tej miejscowości, zamieszkuję już u rodziców i każdego dnia jadę rowerem 23 kl. w jedną stronę, by się dowiedzieć kiedy otrzymam dowód. Trwało to pięć tygodni. Po otrzymaniu jej dostaję pracę przy budowie magistratu w Cambrai i pracuję stopniowo ze ślusarzem, z cieślą, wreszcie obsługuję windę.

Pewnego dnia, było to w poniedziałek po olbrzymiej ulewie nocnej, lina parciana przesiąknięta wodą, wyciągając olbrzymi kubeł z betonem zerwała się i kubeł spadając trafił bokiem w głowę młodego Francuza, nakładającego beton do wiadra. Brocząc krwią upadł tenże bez życia. Sprowadzony lekarz udzielił mu pierwszej pomocy i odesłał do szpitala. Przerwałem pracę jeszcze tego samego dnia, gdyż jakkolwiek komisja orzekła by natychmiast zmienić linę, kazano mi jeszcze tą samą związaną wciągać beton. Nie chciałem być świadkiem drugiego nieszczęścia.

W kilka dni potem, otrzymuję pracę przy monterach i na żądanie pracodawcy wyjeżdżam z innymi do Belgji. Ze względu iż nie mieliśmy pewności na jaki czas praca ta będzie przez nas wykonywana, jeździliśmy z miejsca na miejsce — nie zgłosiłem mego miejsca zamieszkania. Razu pewnego, stęsknieni za papierosami i winem, — w Belgji piją tylko piwo i palą papierosy słabe — udaliśmy się na zachód od Quaivraichain, do pewnej wioski i gdy wstąpiliśmy do oberży, ujrzeliśmy żandarma francuskiego, który słysząc naszą rozmowę w języku polskim, zażądał od nas pokazania dokumentów. Przy tem żądał nawet takich jak książeczka wojskowa, która oczywiście nie miała nic wspólnego z kontrolą cudzoziemców. Zadrwiłem sobie z niego, pytając czy nie zechciałby jeszcze zobaczyć metryki urodzenia... I dlatego, zauważywszy moje nie zameldowanie się, spisał protokuł. Zaśmiałem się serdecznie i powróciliśmy do Blanc-Miseron w Belgji. Po ukończeniu pracy przy monterach, powracam do Cambrai i pracuję w fabryce ceramiki. W międzyczasie zdążono już nałożyć mi karę w wysokości 250 fr. Pewnego wieczoru przyszedł do nas policjant i przyniósł mi nakaz

płatności. Z miejsca odpowiedziałem że nie zapłacę. Wówczas spisawszy odpowiedni protokuł, wziął adres przedsiębiorstwa w którem pracowałem. Domyśliłem się że tym sposobem część mej wypłaty może być zajętą, kazałem się wypłacić i opuściłem pracę.

Przejeżdżając przez miejscowość Escaut w drodze do Valenciennes skąd nadesłano nakaz płatności i znajdując się w kancelarji sądu powiedziano mi, że tę karę będę musiał zapłacić, do czego jednak nie doszło z powodu częstego zmijania miejsca zamieszkania — ni to miasto, ni to wieś, zatrzymał mnie znowu żandarm pytając czy u nas także jeździ się rowerami po chodnikach. Odpowiedziałem że droga ta wcale na chodnik nie wygląda i gdy gospodarze mogą jeździć wozami, ja również mogę jechać rowerem. Z tego spisał protokuł, a w związku z tem nowa wymierzona kara o czem wspomnę w dalszym ciągu mego opowiadania.

Mając już nową kartę ważną na dwa lata, śmiało szukam dalszej pracy. Tymczasem otrzymuję ją w Pont Saint Lévéque, miejscowości położonej między Bouchain a Escaudoeuvres, albowiem na tej linji ciągnął się kanał i w związku z wprowadzeniem traktorów, w miejsce koni ciągnących berlinki, zakładano budowę linji. Na tym odcinku pracuję przez sześć tygodni z oskardem w ręce. Przy Neuville dostaję pracę przy opróżnianiu berlinek z kamienia kopalnianego, potrzebnego na podkład pod tory. Trzeba było wozić go taczkami przez kanał, połączony grubą deską o szerokości mniejwięcej 35 cm. Przeprawa była nad wyraz ciężka i niejeden nie dość że dawszy wolny bieg taczce do wody, sam szedł w jej ślady... Francuzi mówili, że miast łowić ryby gołemi rękami, wpadający winien się zaopatrzyć w wędkę lub sieć. Po wykończeniu linji traktorowej opróżniono kanał i przystąpiono do czyszczenia go z nazbieranego mułu. Do tej pracy i ja przystąpiłem, jedynie dlatego, by mieszkać znowu z rodzicami. Lepkie błoto, raz uczepiwszy się łopaty, z niej nie schodziło i ręce będące stale mokre od pryskającego błota, wyciąganego przez dźwig, popękały strasznie, że nawet po pracy trudno było władać palcami. Większość pracowników stanowili Polacy i Włosi.

Przez lato i jesień pracuję znowu przy sypaniu basenów dla cukrowni, a na zimę zajmuję moje miejsce w magazynie cukrowym. W tym czasie pracuje ze mną mój brat starszy o dwa lata. Pracowaliśmy po 12 godz. na dobę i na naszej zmianie — dwóch Pola-

ków pracował jeden Belgijec. Tymczasem na drugiej zmianie było wyłącznie czterech Francuzów, albowiem we trzech pracować nie chcieli. Chcąc sobie ułatwić pracę na naszej zmianie, każdy z nas kolejno choruje na nogi, uczęszczając do stacji sanitarnej, stosując masaż nóg. W ten sposób zyskujemy czwartego pomocnika. Produkcja przez 12 godzin wynosiła do 3000 worków cukru, każdy po 100 kilogramów. Worki te kolejno ustawialiśmy w rzędy, a zatrudnione kobiety w liczbie 12-cie zaszywały je przez cały dzień. Czasami ładowano cukier czy to na berlinki czy też do wagonów tak śpiesznie, że worek zaledwie postawiony, w mgnieniu oka był zaszywany i spoczywał już na dnie berlinki lub wagonu. Do wożenia worków już zaszytych zatrudnionych było robotników od lat 18-cie do 24-rech w liczbie 15—18-tu. Ci między sobą uprawiali lekkoatletykę, bawiąc się podnoszeniem ciężarków 20-to kilogramowych, służących do wagi. Ten sport również i mnie zajmował i gdy wysadziłem 60 kilogramów związane na drągu po jednem z każdego boku i jeden w środku, pobiliśmy z bratem wszystkich z pośród wożących cukier. Przy tem szły różne zakłady, najczęściej o litr wina, który nam przypadał w nagrodzie. Już nie nazywano nas „Polonais" lecz „champions".

Francuzi wymyślali różne nowości, by badać siebie w sile. Naprzykład jeden z nich grał na organkach, a drugi przez ten czas musiał, trzymając przed sobą worek cukru, tańczyć. Ten kto przetańczył cały kawałek otrzymywał nagrodę. Kładziono również worek cukru na taczki i ten który całość uniósł powyżej kolan był okrzyczany bohaterem dnia. Przynoszono również sprężyny do rozciągania i zazwyczaj ci którzy się najwięcej chwalili swą siłą, okazali się o wiele słabsi od innych, skromniejszych. Razu nawet jednego wskutek rozciągania sprężyn pewien Francuz przez trzy dni pozostał się w domu.

Wreszcie po ukończeniu sezonu wyjeżdżam z powrotem do Paryża, a brat mój otrzymuje pracę przy monterach i wyjeżdża do Seine Inférieure nad morze. Ja tymczasem pracuję przy budowli w Paryżu w charakterze pomocnika gipsiarza. Stary Francuz, będący moim majstrem, wpierw posyła mnie po wino, poczem zjada śniadanie, a dopiero potem przystępuje do pracy. Dzień szybko nam schodzi na opowiadaniach a robota zwolna posuwa się naprzód. Kierownikiem budowli był rodak, niejaki P., malarz z zawodu

z Warszawy, który nawet na trzecie piętro każe mi nosić po drabinie gips w workach po 50 kilogramów. Pewnego dnia otrzymawszy dość pokaźną sumę na zapłacenie materjału, ucieka do Polski.

Po ukończeniu budowli otrzymuję pracę w fabryce gumy Żyda Bernsteina „Société Industrielle du Caoutchouc Régénéré" w La Courneuve. Obsługuję w materjał szesnaście kobiet pracujących przy t. zw. „praczkach". Było to w roku 1927 i gdy nastąpiła stabilizacja franka, musiałem pracować po 15-cie godz. dziennie, czyli od 5-ej rano do 9-ej wieczór. Praca była bardzo ciężka, gdyż kobiety pracowały na akord. Były to przeważnie Polki, Włoszki i Hiszpanki. Czasami Francuzka stanąwszy koło maszyny i powąchawszy kwas t. zw. „acide", zaraz poszła na biuro i kazała się wypłacić. Niejedna, zdążywszy się zaledwie przebrać i zobaczywszy że trzeba pracować w wodzie, bez wszystkiego poszła się ubrać i opuściła fabrykę bez pożegnania. Najwięcej nas cieszyło to, gdyśmy widzieli elegantki upudrowane i uperfumowane. Przyglądaliśmy się ich niezgrabności i niezaradności, które niezdecydowane kręciły się w miejscu, walcząc w sobie czy zostać czy odejść. Jednak to ostatnie przezwyciężało.

Nieraz chciałem iść do domu o godz. 6-ej, by sobie nieco przygotować i porobić sprawunki, wówczas, będąc już przebranym i gotowym do wyjścia z fabryki, majstrowa, pochodzenia niemieckiego, Mme Rabateau, udała się do dyrektora, sprowadzając mi go na miejsce gdzie miałem szatnię. Dyrektor za każdym razem tłómaczył mi bym się pozostał, albowiem na moje miejsce czeka już 50-ciu robotników przed bramą fabryki. Zauważyć należy, że robotnik mnie zastępujący nie mógł nigdy nadążyć w wykonywaniu pracy i dlatego majstrowa nie chciała bym poszedł do domu wcześniej. Nie było innej rady, więc musiałem się pozostawać codzienie do 9-tej. Nawet niedziele nie były dla mnie dniem wypoczynku. Wyznaczono mi robote na cały dzień i tylko czasami udało mi się wcześniej pracę wykonać i pójść do domu. Trwało to przeszło trzy miesiące, to też ucieszyłem się niezmiernie, gdy brat mój przyjechał i zajął się moją gospodarką, albowiem w porze wieczornej kolacji dostać w restauracji było niemożliwe, lub można było dostać tylko resztki. Nawet piekarz, mając zamknięte, otwierał mi drzwi o 10-ej wieczorem, bym mógł sobie kupić chleba. To też z przyjazdu brata byłem zadowolony, odczuwając wielką ulgę. Jed-

nak w nocy dostaję kurcze nóg i rąk, a codziennie w nocy o godz. 2-ej stosuję masaż olejkowy, gdyż przebudzałem się odczuwając ból. Dodatkowo, prócz wiecznego się ubiegania po fabryce, obsługuję ręczną windę i wciągam nią po 800 klg. gumy. Apetyt mam wilczy: zjadam dziennie cztery funty chleba, obiad, a na pierwsze śniadanie konsumuję bułkę 800 gramową i wypijam litr mleka. Lecz mimo to strasznie chudnę i konstatuję że w przeciągu 11 miesięcy pracy zgubiłem 8 klgr. ciała. Wyglądam jak kościotrup i wszyscy pracownicy wróżą mi rychły koniec życia. Odejść jednak było nie podobna, gdyż znowu nastał termin zmiany karty tożsamości. Otrzymawszy świadectwo pracy, udałem się do Ministerstwa Pracy i tam moje zaświadczenie zatrzymano. W dwa dni później proszę o inne zaświadczenie i tym razem wracają mi je z dopiskiem „favorable" czyli przychylne. Mając już świeżą kartę, zostaję zawezwany do biura fabryki i tam mnie zapoznano z treścią komunikatu z M. P. by mnie z powodu odmowy zatwierdzenia zaświadczenia wypłacono. Gdy jednak pokazałem moją kartę świeżą, dyrektor kazał mi się nadal pozostać. Innego wieczora zawezwano mnie również na biuro i zastałem w nim wysłanika z tajnej policji, który mi przypomniał o karze za jazdę na wiejskim chodniku. Nie mając pieniędzy przy sobie, kasjerka wyłożyła za mnie 69 fr., gdyż tyle wynosiła kara.

W roku 1928 w lutym brat będący u mnie otrzymuje pracę w browarze „Heimerdinger et Luck" w Croix d'Arceuil, za bramą orleańską i wyprowadza się tamdotąd. W kwietniu, mając już kilkaset franków zaoszczędzonych otrzymuję list od rodziców z prośbą bym ich sprowadził do Paryża. Z powodu trudnych warunków w Cambrai, chcieliby pracę zmienić, albowiem zarabiając stosunkowo niedużo, w dodatku dyrekcja fabryki podwyższyła im czynsz mieszkaniowy o 30 fr. więcej miesięcznie, ze względu na nasze odejście z fabryki w roku 1924 — pomimo że kontrakt nasz ukończyliśmy i byliśmy wolni. Listy nadchodzą coraz to częstsze i rodzice ponawiają prośbę. To też, mając kilkaset franków zaoszczędzonych, wyjeżdżam do Cambrai i zabieram rodziców i pozostałych braci w Cambrai do Paryża. Po przyjeździe zamieszkuję nadal w hotelu i dwaj bracia śpią ze mną, podczas gdy rodzicom z najmłodszym braciszkiem opłaciłem pokój w innym hotelu. W owym czasie było trudno o mieszkanie prywatne oraz trzeba było, o ile się takie znalazło, dać odstępne jeżeli nie w wysokości czynszu miesz-

kaniowego za sześć miesięcy, to w każdym bądź razie za trzy miesiące. Jesteśmy w ten sposób rozdzieleni przez trzy tygodnie. Wreszcie po usilnych staraniach udaje mi się znaleźć mieszkanko prywatne, małe i drogie.

Po miesiącu czasu brat zaczyna pracować w tej samej fabryce, lecz zaledwie otrzymał jedną wypłatę, dnia 3 maja, w niedzielę roku 1928-go, będąc zajęty przy oczyszczaniu kotła parowego, ulega wypadkowi poparzenia. Palacz Empio, Włoch, zapomniawszy, zapewnie przez roztargnienie, o znajdującym się w kotle, puszcza parę, wskutek której brat mój ulega ciężkiemu poparzeniu. W tę niedzielę również pracowałem i gdy mnie o wypadku zawiadomiono, pobiegłem co tchu na miejsce wypadku. Ujrzałem brata mego jęczącego, z którego skóra schodziła z ciała. Brat nie miał chęci pracować w ten dzień, lecz bał się odmówić, by nie stracić pracę. Dyrekcja fabryki była nieczynna, więc w takim stanie, okryty zaledwie bluzą, która i tak sprawiała mu ciężar nieznośny, drgający cały i z bólu zaciskając zęby, zmuszony był udać się pieszo do lekarza, który zawezwał pogotowie ratunkowe odwożące go do szpitala św. Ludwika w Paryżu. Po ulokowaniu go w szpitalu powracam do domu i łagodnie przygotowuję rodziców wiadomością o nieszczęściu. Można sobie wyobrazić jaki skutek wywarła ta wiadomość na rodzicach, gdy oczekiwali naszego powrotu z pracy i obiad był prawie podany. Gdy to oznajmiłem, sam przypuszczając, że już go żywego nie zastaniemy, w tej chwili udaliśmy się wszyscy do szpitala. Jęczał okropnie i nie mógł nas poznać, mając przeszło 40 stopni gorączki. Udało się go uratować, lecz żadnego odszkodowania mu nie przyznano, albowiem jeden lekarz oglądał się na drugiego, w rezultacie żaden, mimo naszych starań, odszkodowania nie przyznał. Zresztą pierwszy lekarz, powołując się na szpital, powiedział, że ustalenie niezdolności procentowej winno nastąpić przez lekarza szpitalnego. Po trzymiesięcznej kuracji w szpitalu i sanatorjum w Saint Maurice, powraca do swej pracy. Podczas jego pobytu w sanatorjum udało mi się znaleźć doskonałe mieszkanie składające się z czterech pokoi i kuchni, pawillon sam przed się. Jego właściciele, znający nas bliżej, nie chcieli komu innemu wydzierżawić, wiedząc, że będzie on przez nas utrzymywany w należytym stanie, jakby był nasz własny.

Ojciec otrzymuje pracę, jak również najmłodszy brat, liczący

lat 14-cie, pracę w papierowni „Evette et Germain" w Aubervilliers. Po pewnym czasie ojciec zapada na zdrowiu i po kilku tygodniach choroby powraca do pracy, lecz już świeże nieszczęście wpada do naszego domu. Zachorowała matka. Po kilkutygodniowej chorobie przychodzi do siebie, a ja już zmijam pracę, pracując w walcowni blachy, urabiając ją na cienkie a szerokie paski, które następnie odsyłano do innej fabryki i cięto je na puszki do konserw.

Polacy ze mną pracujący brali mnie często do biura fabryki jako tłumacza. Wreszcie otrzymuję od 8-miu rodaków propozycję, by udzielać im lekcyj języka francuskiego. Propozycję przyjmuję i zakupuję odpowiedni materjał, nie pomijając nawet wielkiej tablicy używanej w szkołach. Pokój zamieniam na klasę i stawiam dwa rzędy krzeseł po cztery. Wynagrodzenia otrzymuję od każdego po 10 fr. tygodniowo za trzy godz. nauki. Sprawiam sobie maszynę do pisania i udzielam lekcyj według własnej wypróbowanej metody. Uczniowie postępują szybko w nauce, a pilniejsi pisują dyktando dodatkowo przez dwie godziny tygodniowo. Sam zaś w dni wolne od nauki kształcę się dalej w prywatnej akademji języków obcych w Paryżu i zdając egzamin, otrzymuję świadectwo kursu.

Po kilku tygodniach tym razem zachorował najmłodszy braciszek Józiu. Przeniesiony przezemnie na żądanie lekarza, do szpitala św. Ludwika w Paryżu, po kilku tygodniach umiera, jak nas informowano na zapalenie mózgu. Wielka była nasza żałość po jego stracie. Był on najmłodszym i najwięcej lubianym w domu.

Dostaję pracę przy malarzach i pracuję częściowo w zakładach Citroen'a, częściowo w gazowni na porte St. Quen. Z początku, nieprzyzwyczajony do chodzenia po gzymsach i dachach wysokich na 40 metrów, czuję jak gdybym nadeptywał na igły. Po pewnym czasie nabieram jednak wprawy i przyzwyczajam się, czołgając się w miejscach, gdzie postawienie stopy było niepewne. Zamieszkuję nadal w La Courneuve i wyjeżdżam z domu dopiero o tej godz. o której powinienem być już na miejscu. Z kierownikiem znam się dobrze, Polakiem, gdyż robię częste zakupy dla firmy.

Jadąc „metrem" do domu, upały bywały straszne i każdy opływał w pocie, bo ludzi natłoczono tyle, że trudno nawet było oddychać i odczuwało się bicie serc znajdujących się obok pasażerów. Chcąc wysiąść na jednej ze stacyj, trzeba było już dwie lub trzy stacje naprzód się przygotować, ponieważ było niemożliwem

się przecisnąć zrazu przez całą masę ludzi. Pewnego razu jadąc kolejką podziemną widziałem, jak pewien podróżny, zapewne Słowak, palił papierosa, co jest niedozwolone. Francuzi, poznając w nim obcokrajowca, dziwnie się na niego patrzeli i śmieli się, czekając sposobności rychło li nie nadejdzie kontroler wagonów. Wyprzedziłem fakt i zepsułem im zabawę. Wysiadając na Place Bastille, dałem mu znać, że w tem miejscu palić nie wolno. Odpowiedział mi coś niezrozumiale i zgasił papierosa.

W roku, w którym się odbywała wystawa krajowa w Poznaniu, planowałem mój wyjazd na jej obejrzenie. Zmuszony jednak byłem pożegnać się z tym projektem z powodu operacji na lewym policzku. Miesiąc przed operacją ust otworzyć nie mogłem nawet do tego stopnia, by móc przez nie przecisnąć palec. Przez ten czas żywiłem się wyłącznie bananami w talarki pokrajane. Leczyłem się na świadectwo ubóstwa. Po zagojeniu się rany pracuję w „Mèches Americaines" w La Courneuve, w charakterze tokarza. Obsługuję jednocześnie osiem maszyn, pracujących nad toczeniem świdrów, które nierzadko dochodziły do 3—5 kilogr. wagi. Opuszczam pracę po trzech miesiącach z powodu obniżki płacy.

We wrześniu roku 1929, po porozumieniu się z p. B. z Poznania, przystępujemy do zorganizowania „Towarzystwa Polskiego". Jakkolwiek każdy z nas miał samodzielnie opracować referat, kol. B. mnie zawiódł i musiałem, będąc na to przygotowany, wygłosić referat organizacyjny. Na zebranie to zaprosiliśmy p. Dr. St. W., redaktora „Gazety Polskiej" w Paryżu i członka zarządu Tow. Pracy Społeczno-Kulturalnej. Na zebraniu konstytucyjnem było obecnych około 50-ciu rodaków, zawezwanych ulotkami, wypisanemi maszyną przeze mnie. Nie wypada pominąć, że przybyli również z Paryża i okolic delegaci „Czerwonej Pomocy", którym w niesmak było założenie Towarzystwa o charakterze polskim i patrjotycznym. Zebranie to zostało wzburzone, a dopiero po ulotnieniu się agitatorów, jeszcze tego samego dnia, dzięki inicjatywie p. dr. W., założono projektowane towarzystwo, któremu nadano prowizoryczną nazwę: „Towarzystwo Polskie w La Courneuve".

Na przyszłe zebranie przybył p. dr. W. już nie sam, a przybył z nim p. B., prezes Związku Piłsudczyków i redaktor „Polonji Nowej" oraz delegacje Tow. im. Piłsudskiego i Wzajemnej Pomocy z Paryża, St. Denis, Clichy, Bicêtre, Blanc-Mesnil, Aulnay-sous-Bois

i Sevrain. Każdy poszczególny delegat pragnął, by świeżo założone towarzystwo nosiło nazwę przez niego reprezentowaną. Jednak wskutek niezdecydowania się zarządu i członków co do przyjęcia nazwy i statutu, na wniosek p. G., ówczesnego skarbnika, polecono zarządowi tow. opracowanie odpowiedniego statutu i nazwy tow. Na następnym zebraniu statut z pewnemi poprawkami został przyjęty i dotychczasową nazwę zmieniono na „Tow. Robot. im. Tadeusza Reytana", które liczyło około 40 członków.

Zakładamy sekcję teatralną i organizujemy bibljotekę. Otrzymujemy za pośrednictwem p. dr. W. 40 tomów z Instruktoratu Szkólnego przy Ambasadzie Polskiej i 15 tomów z Tow. Pracy Społeczno-Kulturalnej z Paryża, również za jego pośrednictwem. Ponadto zbieramy książki między sobą i każdy przeczytane u siebie książki gromadzi w bibljotece towarzystwa. Sekcji teatralnej pomagam bezinteresownie rozpisywaniem ról na maszynie. Pracuję przez dwie noce, by próby mogły się odbyć ściśle w oznaczonym czasie. Napotykamy na trudności występu, gdyż sali odpowiedniej zdobyć nie możemy, a nawet próby musieliśmy odbywać w ciasnych lokalach restauracyjnych. I do tych niezawsze mamy szczęście, po kilku próbach odmawiają nam właściciele lokalu. Gramy natomiast mniejsze utwory sceniczne w Blanc-Mesnil, Aulnay-sous-Bois, oraz w „Salle des Fetes" w Aubervilliers. W tem ostatniem miejscu spotkaliśmy się z dużo przykrościami ze strony komunistów, którzy za wszelką cenę starali się zbojkotować przedstawienie, robiąc awanturę, przyczem pobito skarbnika p. R. Obecnych na przedstawieniu było dużo Francuzów i Hiszpanów, którzy żywo się interesowali polską sztuką.

W tym czasie otrzymuję pracę w zakładach „Rateau" w La Courneuve i mimo dalszego miejsca zamieszkania pracuję nadal jako sekretarz. W kwietniu 1930 roku, Tow. urządza w salonach „Hotel de l'Industrie" w Le Bourget uroczysty obchód 150-tej rocznicy śmierci Tadeusza Reytana. Udziału w nim jednak nie biorę, albowiem uległem wypadkowi przy pracy, wkręciwszy sobie lewą rękę w tokarnie. Przez trzy miesiące leżałem w szpitalu. Obecnie otrzymuję 20% rentę.

Przy urządzeniu rocznicy listopadowej zapraszamy do siebie z referatem p. L. M., redaktora tygodnika „Ognisko", który popierając naszą działalność oświatową, ofiaruje od siebie 100 fr. na

cele oświatowe. Prócz tak hojnej sumy, dodaje jeszcze kilkanaście tomów ze swej księgarni. Bibljoteka Tow. obejmuje już w krótkim czasie przeszło 500 tomów.

W kwietniu 1931 r. dajemy przedstawienie teatralne w wielkiej sali paryskiej „Parmentier", grając „Łobzowianie" i „Dramat Jednej Nocy". Sprawozdania zaproszonych przedstawicieli prasy ukazały się w świetle bardzo dodatnim.

Tego samego roku, towarzystwo mające prezesem p. S., znanego i wszędzie cenionego działacza społecznego, wysuwa swą delegację w liczbie ośmiu członków przebranych za polskich górali, w święto narodowe, przed ambasadę polską. Wszystkie delegacje stają ze sztandarami przed pomnikiem Adama Mickiewicza, na Place Alma.

11-go listopada 1931 roku, udajemy się z różnemi polskiemi organizacjami na Place d'Etoile i składamy wieniec na grobie nieznanego żołnierza, znajdującego się pod łukiem tryumfalnym. Naszą grupę prowadził p. S. i idąc z inż. S., miał przy sobie, oddany do przechowania portfel kolegi M. Będący na przedzie, dogoniłem go i w czasie, kiedy przystaliśmy, „górale" poszli dalej. Mieliśmy się spotkać zaraz przy następnej stacji kolejki podziemnej. Przybywszy jednak na miejsce wyznaczone, nie spotykam reszty. Z myślą, że ich spotkam bądź na peronie, bądź na Porte de la Villette, wsiadam do metra. Tymczasem pojechali oni, nie czekając na mnie. Francuzi mnie obserwują. Ciekawi skąd pochodzę, dyskutują między sobą. Przez cały czas nie odrywali odemnie ócz, ciekawie mi się przyglądając. W tramwaju spotykam się również z dziwnemi spojrzeniami, a nawet pewna Francuzka, mająca przy sobie dziecko, które płakało, straszyła je mną. Wreszcie gdy wysiadam z tramwaju, — odbywały się w tym dniu wyścigi piesze organizowane staraniem dziennika „Le Journal" — obiega mnie gromada dzieci i leci za mną. Wpadam do restauracji, gdzie pozostawiłem ubranie i przebrawszy się szybko wychodzę z lokalu. Dzieci jednak wciąż stoją i się pytają: „Gdzie jest ten czerwonoskóry, który wszedł do restauracji?"... Delegacja górali naszego tow. bierze również udział w reprezentacji kostjumów w Sorbonie, w związku z występem chóru kolejowego z Poznania, jeżdżącego po tournée. Panie obserwują nas przez swe lornety i przyjaźnie się do nas śmieją.

W tym czasie pozostały najmłodszy brat znajduje się w szpi-

talu, poddając się operacji na rupturę, albowiem uczęszczając jeszcze do szkoły w roku 1923—27 w Cambrai, otrzymał kopnięcie nogą w brzuch od chłopca francuskiego. Narzekał od tego czasu stale na dolegliwości i dopiero zmuszony ciężko pracować, każe sobie przeprowadzić operację.

W sierpniu 1932 r. zakupiwszy powielacz, otwieram znowu szkołę. Tym razem uczę przez korespondencję i wykłady ustne. Otwieram oddziały w Blanc-Mesnil, Le Bourget, La Courneuve i w Paryżu. Uczniów mam około 40-tu. Pracuję przez 15 godzin na dobę, załatwiając również sprawy sądowe i inne odnośnie do władz.

W grudniu, tego samego roku, jako ostatni obcokrajowiec, zostaję zwolniony z warsztatów mechanicznych. Bez pracy pozostaję przez dziesięć miesięcy. Zasiłek otrzymuję stosunkowo niewielki. Z początkiem roku 1933 wszyscy w domu pozostajemy bez pracy. Utrzymuję rodzinę z mej pracy biurowej: z wynagrodzenia za lekcje.

Po 10-cio miesięcznym wypoczynku od pracy fizycznej, otrzymuję pracę w przygotowalni fabryki chemicznej w Saint Denis „Société Industrielle du Caoutchouc Chimique", gdzie pracuję przez dwa i pół roku. W pierwszy dzień rozpoczęcia pracy, wychodzę co kilka minut na powietrze, gdyż zapachy żrące proszków tamują mi oddech. Stopniowo przyzwyczajam się i pracuję jak inni, w tumanach kurzu różnych odcieni. Wynagrodzenie otrzymywaliśmy godzinne, lecz praca była więcej jak akordowa. Robota szła takim pędem, że bywały wypadki dość częste, że nie zdążyliśmy nawet odważyć potrzebną ilość materjałów, a już skrzynie zabierano nam do maszyn. Przez pewien czas „melanże" nie były dobre i nawet często w nocy — pracowaliśmy przeszło rok nocą — przyjeżdżał dyrektor fabryki by badać przyczynę złej produkcji. Przy maszynach byli zajęci przeważnie Algierczyki, Marokanie i Arabi, którym wcale nie chodziło o jakość produkcji, lecz o premje, jakie dodatkowo otrzymywali od wagi.

We wrześniu roku 1934 wyjeżdżam z bratem na odwiedziny do Polski. Wpierw udajemy się do Poznania, poczem do Katowic— wreszcie do Jaworzna w drodze do Krakowa. Będąc w Szczakowej, chcąc zjeść obiad wchodzimy do pierwszej napotkanej restauracji i w tej jak i dalszych zastajemy właścicieli Żydów. Nie korzystamy

jednak z ich usług, poszukując restauracji, której właścicielem byłby Polak. Po żmudnem poszukiwaniu w całem mieście, spotykamy blisko dworca dwóch siedzących Polaków, z których jeden odprowadziwszy nas na stronę, wskazał głosem cichym jakby z obawy upragnioną restaurację polską, której właścicielem był Polak, inwalida wojenny. Obiadu jednak dostać nie mogliśmy, ze względu iż rzadko lokal ten bywa odwiedzany. Musieliśmy się zadowolić przekąskami. Zwiedzając miasto obserwujemy składy, których właścicielami są Żydzi. Doprawdy że krew stanęła nam w żyłach, gdyśmy ujrzeli taki stan rzeczy, bo wszelki tamtejszy handel znajduje się w rękach żydowskich, a jedyny Polak — inwalida prowadzi skromniutką restaurację w miejscu najmniej frekwencyjnem. W dodatku jadąc z Katowic w kierunku Krakowa, znajdujemy się w wagonie sami w towarzystwie 14-tu Żydów, mających na głowach jarmułki. W dodatku wszyscy byli w chałatach, mieli pejsy i brody, a w rękach trzymali parasole! Smród od nich wiał taki, żeśmy poczęli im urągać. Chociaż ciekawie z podełba patrzyli się na nas, jednak nie śmieli wypowiedzieć żadnego słowa pod naszym adresem. Smutno nam się zrobiło widząc tylu synów narodu wybranego w naszej ojczyźnie, podczas gdy jej synowie zmuszeni są tułać się po świecie za chlebem, którego dla nich zabrakło, a Żydzi panoszą się zupełnie gdyby byli u siebie. Będąc w poznańskiem, uspokoiliśmy się trochę, gdyż podobnych wypadków zaobserwować nie zdołaliśmy, w dodatku byliśmy w mieście, w którem kryły się nasze wspomnienia z czasów dzieciństwa. Znajdowaliśmy się wśród swoich dawnych znajomych. Dwa tygodnie prysły jak sen i znowu powróciliśmy do swych zajęć na obczyźnie.

Gdy powróciłem do pracy, wszyscy byli zadowoleni, a zwłaszcza majster, który mógł teraz bez żadnej obawy położyć się spokojnie spać na kilka godzin. Francuz mnie zastępujący nie mógł w pracy nadążyć, przeto brat mój najstarszy, pracujący również w tej pracy, co dnia był zapytywany przez majstra kiedy nastąpi mój powrót. Gdy stanąłem do pracy, już tego samego dnia Francuz nie przybył. Podczas zastoju pracy mieliśmy mniej, mieliśmy natomiast więcej czasu. Zbieraliśmy się wszyscy obcokrajowcy w suszarni zimową porą. Każdy przynosił gazetę w swoim języku i tłumaczył. Dodatkowo każdego wieczora mieliśmy „Paris-Soir" z którego dowiadywaliśmy się o coraz to nowszych zarządzeniach

przeciw obcokrajowców. Komentowaliśmy każdą wzmiankę i snuliśmy plany powrotu do ojczyny. Każdy cudzoziemiec zamierzał, nie czekając na wydalenie, wracać sam do kraju, by nie powiększyć radości Francuzów z powodu otrzymanego wydalenia.

W miesiącu lutym 1935 roku zachorowałem i przerwałem pracę na trzy miesiące. Opłacając „ubezpieczenie społeczne" korzystałem w 60% ze zniżki w opłacie lekarza i zwracano mi 80% sumy wydanej na lekarstwa. Ponadto otrzymałem 18 frcs. dziennie tytułem odszkodowania za chorobę. Po przyjęciu pracy nanowo i otrzymaniu zaledwie dwóch wypłat, fabryka została unieruchomiona i wszyscy robotnicy zwolnieni. Nie pozostało nic innego jak tylko wrócić do ojczyzny, albowiem o zmianie karty nikt ze świeżo bezrobotnych myśleć nie mógł nie mając świadectwa że pracuje i może mieć pracę gwarantowaną przynajmniej na przeciąg sześciu miesięcy.

Rok ten był przełomowy dla obcokrajowców, gdyż nie tylko były wymagane świadectwa pracy, lecz jeszcze świadectwa z każdego miejsca, w których cudzoziemiec przebywał we Francji. Niejeden, chcąc zadośćuczynić nowym przepisom, potrzebowałby rok czasu na sprowadzenie żądanych świadectw, a termin odnowienia kart był ustalony na trzy miesiące. Bywały nierzadkie wypadki, że niejeden wykosztowawszy się w związku ze sprowadzeniem świadectw zamieszkania i opłaceniu podania, otrzymywali odmowę. Składanie podań na papierze stemplowym, wogóle pisanie podań, weszło w życie skutkiem rozporządzenia wydanego w roku 1934. Każdy starający się o zmianę karty musiał na papierze stemplowym wartości 4 fr. składać jedno podanie do Ministerstwa Pracy z prośbą o udzielenie zezwolenia na wydanie karty tożsamości roboczej, drugie zaś do Prefektury z prośbą o wydanie nowej karty. Rezultaty były w większej części negatywne, a w związku z tem masowy wyjazd obcokrajowców, zwłaszcza Polaków — bo chociaż wydalenia otrzymywali robotnicy innej narodowości, to jednak Polacy osiągnęli pierwsze miejsce. Obserwując miesięczne zestawienia wydalonych obcokrajowców, o 200% przewyższali Polacy. Dla sprawdzenia można przejrzyć dziennik „Wiarusa Polskiego" z roku 1934—35.

A teraz, by uzupełnić całość mego pamiętnika, scharakteryzuję niektóre cechy Francuzów i niektórych z nich, którzy mi nawet byli nader życzliwi i przyszli z pomocą bądź we Francji, bądź w kraju,

proszę o nie posądzanie mnie że działam w tym wypadku z nienawiści, lecz opiszę poniżej moje spostrzeżenia z punktu widzenia praktycznego i koniecznego, stosując się do warunków konkursu.

Gdy mieszkaliśmy jeszcze w kolonji St. Laurent w Cambrai, przybyli początkowo do nas Francuzi w porze obiadowej i obserwowali nas jak i co jemy. Byli zdziwieni, że mając w rowie pewne zielsko nie jemy go, co u nich stanowiło pewien specjał w rodzaju sałaty. Gdy przychodzili tak często i zauważyli że jadamy na każdy obiad ziemniaki, dziwnie na siebie spoglądali, powtarzając: „Toujours de pommes de terre", „quelle misère" — dlatego, że jak u nas używa się dużo ziemniaków u nich natomiast tyle chleba. Francuzowi wystarczy na obiad dwa—trzy ziemniaki. W wilgotnym terenie ogrodu pełzali ślimaki, które Francuz z przyjemnością zjada. Zbieraliśmy je dla nich i przyglądaliśmy się podczas gdy je jedli, rewanżując się za ziemniaki. Razu nawet pewnego, pracując przy robotach ziemnych, jeden Francuz jedząc śniadanie, zauważył pełzającego ślimaka i zjadł go żywcem bez żadnej przyprawy...

Francuzi, widząc nawet swego rodaka pijanego, powtarzali bez ograniczenia: „Soûl comme un polonais" nie zdając sobie sprawę i nie znając źródła pochodzenia tego przysłowia, które wyszło z ust największego wodza, cesarza i człowieka Francji Napoleona — podczas gdy Polacy zdobyli wąwóz Samosiery i generałowie skarżąc się że Polacy jedynie zdobyli wąwóz dlatego że byli pijani, Napoleon powiedział: „Soyez aussi soûls que les Polonais".

W początkowych latach emigracji, Polacy byli bardzo lubiani i pożądani nietylko przez pracodawców francuskich, ale także przez robotników. Polak nie bał się żadnej pracy i tak, gdzie Francuz nie chciał czy nie mógł robić, poszedł Polak. Polacy znajdowali się wszędzie. Pracowali w różnych przedsiębiorstwach jako robotnicy, często jako fachowcy i dość często w charakterze przodowników. Trzeba zaznaczyć, że gdzie przodownik był Polakiem, wydajność pracy okazywała się większą. Polak gnał przy pracy, by zyskać zadowolenie pracodawcy: robotnicy pracowali bez przerwy. Warunki wynagrodzenia i bezpieczeństwa pracy były przez Francuzów ściśle przestrzegane i Francuz nie zrobił nigdy więcej jak się należało o ile nie mniej. Natomiast gdy Polak wszedł na jego miejsce zrobił jeszcze raz tyle, z czego oczywiście robotnik francuski nie był

zadowolony. Robotnik polski, stanąwszy do pracy, pracował tak — gdyby miał nad sobą ciągłą straż, a tylko w wyjątkowych wypadkach przerywał pracę na kilka minut. Robotnik francuski przyzwyczajony — gdy poprzednio wchodził do pracy — przywitać się z każdym, podyskutować trochę o wypadkach onegdajszych, zapalić papierosa, pójść przed rozpoczęciem — mimo tego że już dawno dano sygnał do pracy — do ustępu, jedząc ponadto śniadanie, dopiero przystępował po pracy. Przez postępowanie robotników polskich i innych musiał się ograniczać z odpoczynkiem, więcej produkować. Wreszcie po tylu latach, a zwłaszcza w dobie kryzysu, robót było coraz mniej i — Francuz dostawszy pracę, starał się by jemu ona starczyła o ile nie na cały dzień, to chociaż do południa i coś na po obiedzie, aby mieć tylko coś w ręce i dzień spędzić. Polak natomiast, nie licząc się z niczem, wykonał swą pracę w ciągu dwóch, trzech godzin, poczem siedział kierownikowi na karku. Przez takie częste naprzykrzanie się dostawał bon de sortie. Przez swoją nierozsądność został on znienawidzony przez Francuza, który dotąd pobłażliwy na robotników obcokrajowców, począł wymyślać, a za nim inni raz usłyszawszy i upodobawszy sobie wyrażenie, czasami nawet bez żadnego powodu, a nawet bardzo często w skutek odmowy papierosa lub zapłacenia litra wina, powtarzali: „Pourquoi es-tu venu manger notre pain? Va dans ton pays, sale étranger! Sale rasse que tu es!" etc.

Mieszkając w kolonji polskiej, Blanc-Mesnil, gdzie przebywało również kilku Francuzów, razu pewnego, młody Polak, w porze letniej grający na harmonji, został w bezczelny sposób zaatakowany przez sąsiada Francuza, który go zwymyślał od najgorszego wraz z całą Polską i jej mieszkańcami. Policja zaś tamtejsza specjalnie chodziła po domach polskich i nie wychodziła wcześniej, aż nie znalazła pretekst by spisać protokuł. W większej części odwiedzała składy polskie by tym łatwym sposobem napić się do woli. Wystraszeni Polacy nie żałowali jej niczego by tylko uniknąć nieprzyjemności. Zauważyć należy, że większość Polaków, którzy sięgali do liczby pięciuset rodzin, mieli własne parcele i domy. Gdy się znaleźli, zawezwani przez policję, w komisarjacie, kazano im się wynosić do Polski. Gdy się tłumaczyli, że mają domy we Francji, powiedziano im by sobie je wzięli na plecy i z niemi wyjeżdżali. A przecież znałem dużo rodaków, którzy mając jakie posiadłości

w kraju, sprzedali je, by sobie kupić inne we Francji. Za domy wartości 90.000 franków, gdy Polacy chcieli je sprzedać i powrócić do Polski, Francuzi dawali tylko 30.000 frs. mówiąc że mają wziąć tyle ile im dają, gdyż inaczej gdy przyjdzie czas, będą musieli im je zostawić darmo. Gdy nastała fala wydaleń, nie ominęła ona i niektórych z tych, którzy przebywali we Francji nawet dwanaście lat i ich dzieci bądź się tam rodziły, bądź szkoły ukończyły. Wiele nawet dzieci polskich wyróżniono, które dostały z chwilą ukończenia szkoły certificat d'études. Tylko znające wszelkie w szkole wykładane przedmioty otrzymywali te zaświadczenia. Inni mimo ukończenia szkoły, świadectw tych nie otrzymali i nie mogli, nie mając zaświadczeń, przejść na kursy wyższe nawet w szkole rzemieślniczej. Zwłaszcza w kolonji, o której piszę, pewna młodziutka Polka, niedość że otrzymała to zaświadczenie, zdobyła pierwszą nagrodę gry na skrzypcach. Otrzymałaby nawet, według oświadczenia dyrektora, stypendjum, gdyby przyjęła obywatelstwo francuskie. Gdy z nią rozmawiałem, powiedziała mi, mimo lat 14-tu, że chce pozostać się Polką i wrócić do kraju, bo jej się w Polsce podoba — w Polsce jest ładniej...

Każdy Francuz, czy to inteligent, czy pracownik fizyczny, idąc lub jadąc do pracy, czytywał gazetę. Każdy czyta i pismo wywiera na niego taki wpływ, że będąc poprzedniego dnia przychylnie usposobiony do Polski, przeczytawszy jakiś nieżyczliwy artykuł o naszym kraju, momentalnie zmienia usposobienie i zdanie, nie przestając cały dzień mówić i docinkować Polakom. W szczególności wielkie wrażenie na Francuzach wywarła wiadomość o pakcie neagresji Polski z Niemcami. Sprawa ta dostarczała coraz to odmienniejsze tematy rozmowy, coraz to drażliwsze i wrogie Polsce. Wychodzący miesięcznik pisma „Les Amis de la Pologne", w jednem z numerów wyjaśnił Francuzom dlaczego pakt ten został zawarty, motywując odpowiedniemi argumentami. Pismo to jednak nie dociera wszędzie i czytane bywa tylko przez pewne jednostki, które niestety są bardzo nikłe. Cel tego pisma jest szlachetny i wychodzi pod redakcją p. Róży Bailly w Paryżu.

Francuzi są bardzo chwiejni pod względem przekonania. Swego czasu gdy panowało nieporozumienie między Francją i Włochami, Włosi przebywający we Francji byli objektem ciągłych szykan. Włoch był znienawidzony i bojkotowany nawet przy pracy. Dopiero gdy

doszło do porozumienia między Francją i Włochami, opinja francuska stała się łagodniejsza. Ten sam przypadek miał miejsce i dla Polaków. Dopiero gdy minister spr. zagr. Francji ś. p. Louis Barthou przybył do Polski w swej misji, kampanja znienawidzenia prysła dając miejsce, chociaż częściowe, przyjaźni dla Polski. Jednego dnia Francuz umie być dobrym przyjacielem, drugiego o ile nie wrogiem, to jednak opozycjonistą zdania wczorajszego. W maskowaniu się naród ten uchodzi za artystów: umie spojrzeć spokojnie w oczy mimo, że przed chwilą źle się wyrażał o osobie, z którą obecnie mówi i dalej mówić będzie.

Biurokracja jest we Francji wielce się różniącą od naszej w kraju. Pragnąc mówić czy to z dyrektorem jakiejś instytucji, urzędu lub pracodawcą wielkich zakładów, etc.—wchodzi się bezpośrednio do danej osoby czy urzędnika i przedstawia się powód przybycia. Rzadko się zdarzało by prośbie nie uczyniono zadość. Z każdym się można przywitać podaniem ręki i nietylko że nie potrzeba składać podobnych w każdej sprawie podań jak w kraju, lecz nawet nie przechodzi się przez woźnego. W kraju natomiast pomyślne załatwienie sprawy zależne bywa nieraz od samego woźnego. „System herbatkowy“ we Francji podczas pracy w urzędach jest absolutnie nieznany. Każdy urzędnik podczas służby chętnie pracuje i udziela potrzebnych informacyj. Pracy swej w godzinach służbowych nie opuszcza i nie widać tych długich kolejek wyczekiwania na załatwienie sprawy. Wyjątki zdarzają się jedynie w Ministerstwie Pracy i w Prefekturze, gdzie gromadzi się do kilkaset interesantów. Kłanianie się nisko urzędnikom jak w kraju, spotkałoby się z wielką pogardą i oburzeniem. Wszyscy są jednacy, nikt nie wynosi się ponad drugiego. Nie słyszy się nigdy podobnych wymyślań, jakiemi się posługuje nasza biurokracja. W urzędach pracy nikt się nie ściska i załatwienie stempla nie trwa dłużej ponad kilka minut, podczas gdy w kraju potrzeba na to dwóch trzech godz. Policja porządku nie utrzymuje, utrzymują go robotnicy sami i nikt się nie odważy popychać.

Konsulaty Rzp. nie opiekują się należycie rodakami, znajdującemi się bez wyjścia. Np. w Paryżu rodak pozbawiony wszelkich środków do życia, po długotrwałych staraniach otrzymuje bon na nocleg do baraków na Bd. J. i musi iść pieszo przez kilka dzielnic Paryża, by wreszcie do nich dotrzeć. W dzień musi się wałęsać

po Paryżu. W częstych „obławach" w zastawione sieci wpadają nasi rodacy i bywają deportowani do granicy belgijskiej za włóczęgostwo. Załatwienie przesyłki rent dla rodaków w kraju, wymaga dla konsulatu przynajmniej pięć tygodni czasu, mimo zażaleń do M. S. Z. i pomimo, że dany rentobiorca nie posiada żadnych środków utrzymania. W żadnym konsulacie nie widzi się tyle policji, ile w naszych konsulatach...

Przebywającym na obczyźnie Polakom należałoby zapewnić inną jak dotąd opiekę tak duchową jak materialną w ciężkich warunkach życiowych, jak też i prawną. Duchową chcę powiedzieć — przez wynalezienie środków do dalszego i trudniejszego w obecnych czasach podtrzymania patriotyzmu, przez „łaskawsze" załatwienia rodaków w placówkach polskich zagranicą. Materialną, przez niesienie doraźniejszej pomocy wszystkim tym rodakom, znajdującym się w opłakanych warunkach egzystencji, pozbawionych pracy i środków do życia. Takich rodaków spotykamy całe masy, które bądź za ostatnie grosze kupują bilet i przyjeżdżają do konsulatu, bądź idą pieszo setki kilometrów żywiąc niepłonną nadzieję, że znajdą zrozumienie, gdy sumiennie przedstawią obraz niedoli i otrzymają bezpłatny bilet do kraju, by tylko nie włóczyć się więcej w niepewności jutra i braku dachu nad głową. Samo wejście do konsulatu zdradza rozgoryczenie, bo miast znaleźć ukojenie, znajdują wymyślanie urzędników, a zwłaszcza woźnych, wołających o pomstę do nieba. Nie należy zapominać, że niektórzy z pośród biednych od samego przyjazdu do Francji nękani byli różnemi nieszczęściami i los nie pozwolił im zrobić fortuny. Turyści nie wnikną wgłąb codziennego życia emigrantów, znajdując wszystko piękne. Opiekę prawną przez skuteczniejszą obronę interesów rodaków w urzędach francuskich i sądownictwie. Naprzykład zwracający się rodak do „działu prawnego" przy konsulacie jest odsyłany bez załatwienia „tego uczynić nie możemy" „to nie należy do nas" „niech się pan zwróci do prywatnego adwokata" „niech pan idzie pod ten adres" etc. gdzie trzeba płacić, chociaż niema grosza przy duszy, nawet na chleb. Ufający zawsze w dobroć urzędnika, spotkawszy się z odmową pomocy, rodak waha się i zastanawia się nad tem długo: „warto czy nie warto być Polakiem mając tak niosącą pomoc i sprawną biurokrację". Widziałem często rodaków gdy z żałości mieli łzy w oczach i powtarzali: „Lepiej być Grekiem lub Turkiem,

niż Polakiem". W urzędach polskich zagranicą winni zasiadać rdzenni Polacy-patrjoci, którym nietylko leży na sercu dobro własne, ale i dobro ogółu, dobro Ojczyzny, dobro Polski! Dopiero wtenczas liczyć możemy na to, że wyrobi się element ściśle patrjotyczny, znoszący upokorzenia i przykrości w obronie dobrego interesu dla sprawy polskiej, że szeregi i tak już pozostających w ścisłej łączności duchowej z krajem mogłyby się powiększyć, należećby mogli do nich wszyscy Polacy — emigranci. Weźmy naprzykład rodziny, które sercem i duchem, mimo niepowodzeń zostają przy Polsce: żyją jedynie nadzieją i cieszą się na myśl samą że radosny będzie ich powrót i życzliwsze przyjęcie w kraju, bo trzeba być na emigracji i pracować szereg lat, by zrozumieć tęsknotę — a tymczasem podam przykład poniżej jak złudne są nadzieje i jakie rozgoryczenie następuje przy pierwszym już kontakcie z urzędnikiem.

Dnia 18-go maja roku 1935 przybyłem do kraju i osiedliłem się w Gdyni. Miałem kilkaset złotych zdeponowanych w banku P. K. O. w Paryżu, które poleciłem przekazać do Polski i przelać je na książeczkę oszczędnościową. Sprawa ta trwała sześć tygodni. Pieniądze które zabrałem z sobą nie wystarczyły na tak długi okres czasu. Opłaciwszy bagaż w Paryżu i sobie podróż, będąc już na miejscu, załatwienie w urzędzie celnym trwało cztery tygodnie. Bagaż mój został po codziennem naleganiu przesłany do stacji mego zamieszkania. Otrzymawszy zawiadomienie, zgłosiłem się po bagaż i tam żądano odemnie 17 zł. mimo że koszty przesyłki uregulowałem już w miejscu wysyłki i posiadałem świadectwo zwolnienia od opłat celnych z konsulatu Rzp. w Paryżu, gdzie za dane zaświadczenie opłaciłem 17 frs. Nie mając pieniędzy, udałem się za wskazaniem urzędnika z ekspedycji do Opieki Społecznej na Grabówku, by uzyskać jaką pomoc w wykupieniu bagażu, tembardziej, że od każdej sztuki liczono po 20 groszy dziennego postoju. Liczyłem się z tem, że otrzymam pożyczkę pod zastaw jakichś dokumentów i po złożeniu odpowiedniej deklaracji, że pieniądze zwrócę natychmiast po odbiorze mych oszczędności. Zgłosiłem się do referenta opieki społecznej, który bez zastanowienia się począł się unosić i mi wymyślać dlaczego powróciłem do Polski i bym wracał natychmiast skąd przyjechałem. Gdzie tu sens, gdzie tu logika!? Jestem Polakiem i nim pozostałem pomimo ciągłej emigracji i pomimo nalegań Francuzów bym przyjął ich obywatelstwo, a taki urzęd-

nik miast doradzić w potrzebie wita mnie słowami siejącemi w sercu rozgoryczenie i niechęć już na samym wstępie, wymyślając przy tem brednie, świadczące o jego niskiem poziomie wychowania. Urzednik winien być jednak uprzejmym i serdecznym jako Polak dla Polaka. Odczułem wstręt do tego urzędnika noszącego tak czysto polskie nazwisko, że nawet wymawiając je czuję jak ono ciężko mi z ust wychodzi. Nad takim urzędnikiem trzebaby roztoczyć ścisłą kontrolę i stosownie do jego się obchodzenia z interesantami z nim postępować. Jest to jeden kwiatek z wieńca biurokracji nietylko w kraju, lecz i zagranicą — polskiej.

Spotykałem już nietylko powracających rodaków z odwiedzin w kraju, lecz i nawet pozostających, którzy jakkolwiek nosili poprzednio cechy usposobienia gorącego patrjotyzmu i entuzjazmu dla Polski, po przejściu na sobie samych doświadczeń, spotykanych przy różnych i nader częstych sposobnościach, charakter ich dotąd czysty i przekonania najlepsze, zostały wzburzone, spaczone, a na miejsce ich dobrych zalet wstąpiła niechęć do władz i zaufanie wypełniła nieufność. Zaś idea czysta, piękna, zmieniła się w czerwoną i brudną. Należy trochę znaleźć zrozumienia dla reemigrantów, do emigrantów wogóle, gdyż od postępowania urzędników w dużej mierze zależy ich przyszłość i przyszłość Ojczyzny.

Mamy zagranicą tyle polskich towarzystw, skupień, zrzeszeń i kół, w których skupiają się wyłącznie elementy zdrowe i silne, oddane całem swem jestestwem w służbie ku chwale Ojczyzny i prezesi poszczególnych towarzystw mogą wskazać swych członków i polecić ich po powrocie do kraju do zajmowania miejsc, na których wymagane jest zrozumienie i lojalność zarówno jak dla państwa, tak i dla jego obywateli.

W szczególności tacy ludzie, powracający do kraju na stałe, winni być zaopatrzeni przez specjalny komitet urzędujący bądź przy konsulatach, bądź nawet przy Ambasadzie w zaświadczenia egzaminacyjne i sprawozdanie z ich dotychczasowej działalności na niwie społecznej i kierunku i być obsadzeni na odcinkach Rzeczypospolitej tam gdzie egzystencja Jej zostaje podkopywana, zwłaszcza wzdłuż granic wschodu i na Pomorzu. Rząd Rzeczypospolitej winien przy każdej sposobności, przy każdej parcelacji majątków ziemskich zapewnić pierwszeństwo i ułatwienie w nabywaniu majątków

przez reemigrantów, rdzennych Polaków, którzy mając doświadczenie zarówno teoretyczne jak praktyczne czy to w pracach rolnych czy w przemyśle i rzemiosłach, poświęcą się pracy i służbie dla siebie i Państwa Polskiego, całem swem sercem i całą swą czystą i piękną polską duszą.

W czerwcu 1936 r.

Pamiętnik Nr. 18

Górnik potem malarz, rodem
ze Śląska, ur. w 1893 r.
(Konk. im. St. Gawrońskiego)

W roku 1923 opuściłem ojczyste strony jadąc do Francji za chlebym nie znając ani języka francuskiego ani kraju. Myśląc, że tysiące rodaków tam wyjeżdża to i ja się utrzymję.

Pracowałem sześć lat w kopalniach nadreńskich a cztery lata na Śląsku jako górnik. Po przyłączyniu Śląska do Polski dostałem się za pielęgniarza do Zakładu Umysłowo Chorych i nie miałem się źle, lecz sądziłem się z żoną przez dwa lata, tracąc połowę zarobku na adwokatów i trybunały.

Poszukałem ratunku w Mysłowicach. Nie chcieli mnie przyjąć z memi papierami pielęgniarskiemi, a górnicze już były dwa lata stare. Udało mi się jakoś wytłomaczyć i pojechałem transportem do Gdańska a stąd okrętem do Francji. W Poznaniu przyłączył się jeszcze jedyn transport gdzieś od Warszawy tak że nas jechało jakie 2000 osób razem. Przy ładnej pogodzie dostaliśmy się za trzy dni i cztery nocy do Dunkerki w Pas de Calais. Tutaj niektórzi gospodarze z bliższych stron zabrali zaraz im przyznoconych robotników ze sobą a resztę rozjechało się w mniejszych oddziałach w różne strony. Ja może z największym oddziałem pojechałem do kopalni północnej Francji. W drodze już zapoznałem się z dobrodusznością francuską. Pociąg nie stawał na żadnej stacji jak przy pierwszych kopalniach, a lipcowe słońce paliło nie do wytrzymania. To też gdy pociąg stanął przed jedną stacją nie mając wjazdu, to kajktobądź wyskoczył z pociągu aby się przy najbliższej studni napić, czego

Francuzy widząc powychodzili z wiadrami i dzbankami ku wagonom aby spragnionych rodaków pokrzepić.

Od tego czasu się już dużo zmieniło między Polakami a Francuzami. Wina w tem częścią rodacy sami, częścią że nas coraz więcej a przeważnie bezrobocie w ostatnich latach.

Wysiadło nas jakie 50-ciu w Bruay les Mines i znowu nas rozdzielono na liczne szyby. Sporo rodaków, którzy się dowiedzieli że transport górników przyjedzie przyszło na dworzec by zobaczyć czy niema jakich znajomych. Do mnie przyczepiło się parę Ślązaków i mocno namawiają bym nie chodził do baraków, że tam za jedną noc mnie wszy zeżrą i żebym z niemi razem poszedł na prywatną kwaterę. Tak z niemi rozmawiając zostałem w tyle mego oddziału. Rozważam czyby iść z niemi lub nie, lecz w końcu namyśliłem się że nie wiem co za facetów mam przed sobą a z drugij strony wszy mi nie dziwne (byłem trzy lata na rosejskim froncie a nie zjadły mnie) i dali w pogoń za mojem oddziałym. Oraz stoi przedemną cyrk, w prawo karuzela, patrze w lewo stoi huśtawka, w tyle panoptikum, a drogi ani śladu. Wykręciłem się jakoś z tych bud na szosę, lecz tu — czy w prawo czy w lewo. Zmrok już zapada a kogóż się tu pytać o drogę. Siadłem sobie na mą walizkę i pomyślałem sobie: „Pieron cie sam przynios". Może jakie ćwierć godziny tak siedzę i rozważam co robić, gdy przechodzi koło mnie grupa rodaków, którzy mi wskazali gdzie iść. Kamień mi z serca spadł gdym te zawszone baraki znalazł i kolegów podróży poznał. Po dosyć dobrej wieczerzy dano nam każdemu siennik, derki i słomy i rozdzielono nas do licznych baraków. Zmęczony podróżą, spałem pierwszą noc jak zabity.

Na drugi dzień po jeszcze jednej wizycie lekarskiej rozglądam się trochę po baraku. Niema tu ani stoła, ani ławki, ubrania wiszą na gwoździach a łóżko swoje poznałem między pięćdziesięciu innemi tylko przez to że moja walizka na nim leżała. Pod łóżkiem śmieci więcej niż na śmietniku, okna powybijane, a drzwi, coprawda wrota, wiszą tylko w jednych zawiasach. Tak wygląda kantyna na piątce w Bruay. Mieszkają w niej Polacy ze wszystkich stron Polski, parę Czechów i nawet jedyn kunda Francuz. Drugą noc nie zawarłem ani oka. Jedni karty grają, siedząc na łóżkach do rana, drudzy półpijani politykują, jacyś rozrywace swe siły probują a ku temu muzyka gra bez przestanku. Zdaje się że w każdej szparze siedzi

po dziesięć świerckow, a szparów nie brak. Skoro ci z jednej szpary przestaną śpiewać, to z przeciwnej napocynają i jak tu spać. Starsi tyż straszą ciężką robotą tutejszą i mówią że Ślązak tutaj długo nie wybędzie i połowa z nich piechotką do Śląska wraca. Myślę, ja napewno w tej połowie nie będę, gdyż kopalnie mi nie dziwne, lecz i te myśli mi spać nie dają bo dwa lata nie pracowałem cieżko i ręce wydelikatniały.

Rano chcąc sobie chleb do roboty naszykować zdejmuje go z gwoździa a tu dziury w nim powygryzane. Patrzę na gwóźdź, to na dziury, to znów na gwóźdź, a sąsiad pyta się śmiejąc: „Co się tak pieronie dziwisz". — „Tam przecież mysz na tyn gwóźdź nie potrafiła wlejść" — odpowiadam: „ale świercki już po śniadaniu, nie mają co robić jak żrać i śpiewać, nic przeciwko temu nie zrobisz."

Na podwórzu kopalni widzę gromadkę dziewuch ładnie wymalowane i wypudrowane, jak żony oficerów fracuskich, które już na Śląsku podczas okupacje spostrzegłem, lecz po ubraniu widać że to robotnicki. Po wyjeździe z kopalni znów je widze, brudne i czarne jak kominiarze przez miasto do domu lecieć. Na kopalni praca ciężka, tym trudniejsza że dostałem się do pokładu 0,80 mtr. wysokiego do górnika Polaka z Westfali. To też zaraz pierwszy dzień mi ręce popuchły a drugą dniówkę to trzymałem łopatę jak gorące zielazo. Zaziąbiłem się gdyż na głównych chodnikach dosyć chłodno a w przodku gorąco do nie wytrzymania. Pocałem kaszlać jak stary dziad oprócz tego, peł wapienny, którem główne chodniki są wysypane przeciw eksplozji pełu węglanego, zapchał mi tak piersi, że się odzywały jak dziurawa harmonika.

To tyż po pierwszej dniówce ani świerckow ani karciarzy nie słyszałem. Rano wstałem z uczuciem że mam wszystkie kości połamane. Byłem taki zły na samego siebie, że się uwziąłem albo zdechnąć albo przetrzymać i na kopalnię się jakoś zawlekłem. Na szczęście na trzeci dzień święto narodowe (14 lipca) i trzy dni odpoczynku. Przeleżałem te trzy dni w baraku, żem ani budów, w którem pierwszy dzień wpad, nie poszedł zobaczyć. W przeciągu dwóch tygodni przyzwyczaiłem się trochę do roboty i poszedłem pomieszkania innego szukać. Znalazłem kwaterę u kolegów pracy, także Ślązaków, lecz właścicielka kantiny żąda abym osiem dni najprzód wypowiedział albo mi za osiem dni kwaterę odciągnie. Musiałem więc jeszcze tydzień w tych brudach przesiedzić.

W nowej kwaterze napocąło się inne życie lecz nie lepsze. Było nas sześciu kwaterników, samych młodych ludzi. Rano wszyscy wstają na kawę, lecz na kopalnię się jakoś żadnemu nie chce iść. Gdy godzina moja przyszła, poszedłem do pracy a wracając z kopalni zastałem wszystkich z gorącymi cuprynami. Na drugi dzień to samo. Jedyn mówi: „Cy jo łojca z pieca ściep coby jo tak się zabijoł", drugi zaś: „Jo przecaś nie od macochy." Trzeci by tyż jeszcze chciał z zdrowemi kościami na Ślązek powrócić i t. p. tak że ja też w niedługim czasie na 15 dni osiem do dziesięciu dniówek robiłem wyczekując końca kontraktu który się ledwie co zaczął. Żaden z nas nie zna słowa po francusku, gdy wszyscyśmy tele co przyjechali, lecz nam to wiele przeszkody nie robi. W kopalni pracuje się z Polakami, sztygar ma chłopca tłomacza zawsze ze sobą, na targu każdy kupiec chwali swój towar po polsku, po składach są sprzedawacki Polki, Francuze znają więcej po polsku jak my ośmiu razem po francusku, i żyjemy sobie jak gdybyśmy byli w Polsce.

Na kopalni sztygarowi się zmierzło za mnie co parę dni zastępcę posyłać i dał mnie z Francuzem do reperacji chodników. Francuz woła „kilof", ja widzę że mu kilofa potrzeba i podaję mu, a on mi: „Merci" na to. Myślę sobie: „Tyś jakiś grzeczny", bo za każdym razem cożem mu pomógł coś przytrzymać albo mu podał jakie narzędzie, które zawsze po polsku żądał, on dziękuje: „Merci". Nie słyszałem tego ani u Ślązaków ani niemieckiego robotnika, spostrzegłem późnij, że to już ich zwyczaj. Upodobało mi się z nim robić, chociaż żem trochę mnij zarobił za to on się nie gonił w robocie. Zrobiłem wszystkie dniówki że wypłatę miałem większą jak przy węglu.

Dyrekcja kopalni założyła kursa języka francuskiego na które chodziłem regularnie i parę miesięcy po mojem przyjeździe rozmówiłem się dosyć dobrze po francusku. Do naszej gospodyni, która się już też urywaną francuską mową usługuje, zachodzi sąsiadka francuska, wdowa po górniku. Ja na pytania, czemu mi żona nie pisze, udaję także wdowca i wkrótce też poszedłem do nij na kwaterę. Chociaż jej powiedziałem jak sprawa ze mną stoi, to ona sobie z tego wiele nie robiła. Nauczyłem się już pisać i czytać po francusku, a jednak czułem się u niej jak we więzieniu. Nie mogłem przywyknąć do życia między Francuzami chociaż rodzice i krewni wdówki mnie zawsze mile przyjęni. To też gdy mi się kontrakt

skończył, mnie ciągło do Polski między swoich. Nie mogła mnie Francuska namówić bym jeszcze dwa dni do święta narodowego pozostał. Przyobiecałem jej że jeżeli się z żoną nie pogodzę, to wezmę moje dziecko, którem u moich rodziców pozostawił, i za dwa tygodnie wrócę. Z różnemi uczuciami jechałem do Ojczyzny z powrotem. Iść do kopalni pracować gdy się już dozorcą było to nie miło a do zakładu wracać tak samo, gdyż mi tam Francji odmawiali, nawet puścić nie chcieli.

Przyszło tak żem się w Polsce ani nie ogrzał i tydzień później znów w Mysłowicach do Francji się zgłaszam. Lecz tutaj mi mego sześcioletniego syna nie chcą zapisać i żądają bym sobie jaką rodzinę znalaz, która by mi go zabrała i to pewno tylko dlatego, że dzieci z kobietami przed lekarza stawały. Ja probuję urzędników do swego namówić, gdy głos za mną się odzywa: „Ja ci go wezna". Tak mi się znowu dostało wyjechać, tym razem przez Czechy i Niemce do Toul. Rodzina (Ślązacy) która mi dziecko zabrała, jeszcze młodzi ludzie także z jednorocnim dzieckiem, byli radzi mieć kogoś przy sobie który już cośkolwiek stosunki francuskie zna. W Toulu dałem się z tą rodziną znów do Bruay zapisać. Tłomacza który nas, sześć rodzin i ja, prowadził namówiłem, żeby nas na szyb szósty przydzielił gdyż wiedziałem że tam lepsze stosunki jak na piątce i oddalony od piątki przeszło pół godziny drogi.

Nie miałem już zamiaru do Francuski wracać, skoro żem ludzi znalaz którzy się mojem dzieckiem zaopiekowali. Dostałem z Karlikym, mojem nowem znajomem, czteropokojowe pomieszkanie w nowej budowli z ogródkiem. Poszedłem zaraz do zarządce kolonji, aby nam dał stół, ławki i pościel tak że my się pierwszy dzień ulokowali. Tutaj kolonja nowa wybudowana, domki po dwie familje, każdy z ogródkiem w tyle, mieszkają przeważnie Polacy, tak że francuskiego słowa wiele nie słychać. Dostałem się z Karlikiem na trzy metry wysoki pokład do węgla, ja z Polakiem, Karlik z Francuzem. Udała nam się robota obydwom, gdyż tutaj nie stary szyb jak piątka i już robota więcej techniką prowadzona. Na piątce nie znałem jak kilof i łopata, dziury nabojowe jeszcze ręcznie wiertali a gangi takie wąskie i zaciśnione że jeżelim przejechał z próżnem wózkiem, to z pełnem już nie było możliwe i co chwilę trzeba było drzewa wycinać aby móc przejechać. Gdy wózek

ze szyn spadł to dziesięć biegło aby go znów wstawić, ponieważ nie szło przejść na drugą stronę. Na szóstce już robią świedrym i kilofym powietrznym. Już nie pamiętam ile zarabiałem lecz byłem zadowolony z mem losym, Karlika tylko gnębiło że musi w robocie niemem być, za to w domu mówił za trzech. Mówi: „Żeby tyn katan (Francuz) choć słowo po polsku mógł przemówić i nie chce widać się uczyć a ja to prędzej siwych włosów dostanę za nim się po francusku nauczę". Do dziś dnia mowa francuska Karlika jakby siekiera ciął. W cztery miesiące po mojem przyjeździe spadły mi rury powietrzne na rękę i musiałem miesiąc święcić. Parę dni później przyleci Karlikowa po mie do sąsiadów, że do domu przyszła jakaś Francuska a nie potrafi się z nią rozmówić. Zastaję w domu moją wdowę z Bruay, która się z gazety dowiedziała o mojem nieszczęściu i adresie. Odtąd co drugi dzień robi trzykilometrową drogę na odwiedziny, a gdy już pracować zapocąłem, chodzi przed kopalnię. Nie mogę się z myślą pogodzić, że gdy do Francuski wrócę, to będę i tutaj musiał umierać. Bez wiele namysłu spłaciłem kontrakt i pojechałem do Alzacji do kopalni soli potasowej. Miałem niemieckie świadectwa jako cieśla górnicy i zostałem przyjęty w Ensisheim. Pracuję tutaj tylko sześć godzin dziennie, tak że gdym zajechał o godzinie $6^1/_2$ wieczorem, byłem o godz. 1 w nocy w domu. Realnej pracy nie miałem jak $4^1/_2$ godz., lecz czasami w okropnej gorączce. Szyb jakieś 1000 mtr. głęboki i robotnicy już pod szybym się do naga zeblykali, nie zostawiając jak kawał szmaty koło biodrów i laćki. Powietrze takie gorące że się go z trudym oddycha. Często są wętylatory poustawiane by powietrze chłodzić, ale i to nie wiele pomaga. Pracuje i tutaj dużo Polaków z różnech stron.

Znalazłem kwaterę u starszych rodaków którzy już dwóch synów (16 i 17 lat) do kopalni posyłali. Zarabiałem 30 fr. na dniówkę i byłem zadowolony z mej zmiany, pojechałem też zaraz do mego syna. Lecz mój los chciał żebym i tutaj długo nie był z biedą dziesięć miesięcy. W rocznicę końca wojny światowej zrobili tutaj strajk protestacyjny przeciw wojnie. Mój gospodarz poszed rano do roboty, lecz po południu skusiło go na zebranie i co gorsza wystąpił z mową. Na drugi dzień wypłacili mu osiem dni z żądaniem by do 1-go grudnia pomieszkanie opuścił. Pojechał zaraz za pracą, lecz pierwszy grudzień przychodzi a o nim ani słychu ani dychu. Poszedłem do dyrektora kopalni by ich teraz na zimę

z pomieszkania nie wyganiali, prywatnego pomieszkania nie można znaleźć a wydalony pojechał pracy szukać, lecz zaginął, żona z dziećmi nie wie gdzie iść. Dał nam jeszcze tydzień spokój, lecz po jego upłewie przychodzi rano jeden urzędnik, po południu drugi, by się wynosili z pomieszkania. Idę znów do dyrektora z moją gospodynią by go na jakiś czas jeszcze ubłagać. Mówię: „synowie wydalonego dalej pracują i jak ja w strajku udziału nie brali. Wydalony sam komunistą nie jest, gdyż i on swoją dniówkę zrobił, albo zapiszcie mnie to pomieszkanie, moja żona ma wkrótce z Polski przyjechać, a oni by mogli u mnie być aż wydalony da o sobie znać". Miałem nadzieję żeby i starego nazad do roboty przyjęli. Lecz dyrektor mi na to: „Jeżeli pomieszkanie chcecie to dajcie się zapisać i wkrótce możecie go dostać, co do wydalonego to żadnej litości nie znam. My go przyjęli miał już 59 lat i dostał dobrą robotę (magazynier pod szybem), dzieci tak samo nie mogą narzekać (jeździli maszynkami benzynowymi), on nigdzie lepiej nie znajdzie, a jako cudzoziemiec nasza polityka go nic nie obchodzi. Jeżeli do soboty pomieszkanie nie będzie wolne to ich dam z kolonje wynieść".

Mnie jego surowość rozgniewała i żądam żeby mnie także papiery dali to się postaram oto że będzie miał pomieszkanie w sobotę wolne. Dyrektor mi na to: „Jeżeli waszemu rodakowi my osiem dni wypłacili to wam ich odciągnimy." Wystraszyło mnie to trochę, nie chciałem tele straty za obce błędy ponosić i wróciłem po krótkiej dyskusji do domu. Nie dało mi jednak spokoju, chodziłem może z godzinę po pokoju jak wilk w klatce wreszcie poszedłem nazad do biura żądając wypłaty, zaznaczając że nie ma prawa jak trzy dni odciągnąć. Dał mi kartkę do nadsztygara i nie odciągli mi nic. Wieczorem już my się spać kładli, puka jeszcze ktoś na drzwi i wchodzi Ślązak jakie 22 laty stary i pyta się czyby kwatery nie mógł dostać. Gospodyni mu mówi że przespać to by się mógł jeżeli nie ma gdzie a jutro mógłby sobie kwaterę w kolonji znaleźć lub do kantiny iść, ponieważ my wyjeżdżamy. Opowiada nam swe przygody, że wyjechał z Bruay gdzie także na szóstce kontrakt skończył do Bollwiller za namową kolegów. W Bollwiller go nie przyjęli do pracy i przeszed jeszcze parę kopalni z tem samem skutkiem. Kopalnie soli nie przyjmowały żadnych robotników w ostatniem miesiącu roku. Udał się więc pie-

chotą do Ensisheim jeszcze tutaj sprobować szczęścia. W drodze zastawił go żandarm pytając o papiery i pieniądze. Tych ostatnich już nie miał i bierze go ze sobą, lecz przechodząc koło kopalnie, wstąpił z nim i pyta się czy jest robota dla niego. Przejrzeli jego papiery i kazali mu na drugi dzień przyjść, ponieważ biura już zawierali. Żandarm go na to puścił.

Na drugi dzień wybieram się ze starszym synem gospodarza w podróż. Ludwig nasz nowoprzybyły mówi mi: „Jeżeliś jest pewny że robotę dostaniesz to bym jechał z tobą, pożycz mi na podróż zostawię ci moją bieliznę". Ja mówię że mi się o pięć franków nie rozchodzi, więcej podróż nie kosztuje, lecz tutaj mi się podobało i może lepij żeby został. Lecz on się przyczepił jak do swojego i wyruszyliśmy w trzech do Ronchamp w Departymencie Haute Saône do kopalni węgla. Przyjęto nas wszystkich. Gdyśmy pierwszą dniówkę przerobili poszedłem z oboma na biuro o pomieszkanie. Otrzymaliśmy na wiosce Clairegoutte mały domek o czterech pokojach. Z głównego biura przywieźli nam cztery łóżka, osiem kołdrów, osiem prześcieradłów, stół, ławki i wszystkie naczenia kuchenne większą częścią nowe na cztery osoby. Nie brakowało ani nalejnika razem 86 rzeczy. Druga furmanka przywiozła węgiel i drzewo, tak że między dziesięciu nowożeńcami może jeden jest tak wyposażony jak my, tylko kobiety brak. Po sąsiedzku mieszka Polak z poznańskiego w takiem samem domku jak my z którem się zaraz skolegowaliśmy. Jedziemy też zaraz do Ensisheim po resztę rodziny, lecz tam gospodyni ma list od męża z Bawarji gdzie dostał pracy w kopalni soli i przyobiecuje że ich tam jak najprędzej sprowadzi. Zabrałem więc syna mego do Clairegoutte i oddałem sąsiadowi w opiekę. Dowiedziałem się później że straż pograniczna zastrzeliła jednego chłopaka mech rodaków gdy się przez granicę niemiecką przekradał.

Zostałem więc z Ludwikiem we czterech pokojach. Lecz jeżeli tutaj tak robotnika umeblowali to były do tego powody, gdyż gorszej kopalni może się we Francji nie znalezie. Szyb także 1000 mtr. głęboki i gorąc jak w kopalni soli a pracuje się osiem godzin. Lampa górnicza gdy zgaśnie już jej oświecić nie można, gdyż nie ma przyrządu do zapalania, a rezerwowych lampów nie ma pod dostatkiem. Trzeba czekać jak zgaszoną lampę pod szyb zawiezą aby ją tam znów oświecić. Pracuję już tydzień z Francuzym i nie możemy

więcej wydać jak dwa wózki węgla do tego jeszcze jeden się często traci. Aby coś zarobić musieliśmy dziennie cztery wózki wysyłać więc miałem pierwszą wypłatę 19 franków. Ludwik jeździ z osłem i ma 21 fr. na dniówkę a ja drugą wypłatę po 20 fr. trzecią po 19 fr. i t. d. przez cztery miesiące.

Sztygar mieszka naprzeciwko mnie i chodzi ze mną do roboty i z roboty lecz mi pomóc nie może, ponieważ całki jego rewier taki pokręcony a żadne reklamacje u inżynera nie pomagają. Żeby nie ten marny zarobek, to nigdzie mi tak mile między Francuzami nie było jak tutaj. Nie było nas Polaków jak 12 do 14 rodzin, wszyscy w małych wiejskich domkach, które kopalnia od wymierających lub do miast wywędrowanych Francuzów zakupiła. Mój sąsiad już cztery lata tutaj był i niezgorzej mu się powodziło. Najął sobie pół hektara dobrej ziemi za parę groszy a żona z dziećmi mu pomagały obrabiać. Gospodarz pierwszy lepszy za dobre słowo mu rolę wyorał chociaż tutaj wszyscy Francuze ewangelikami. Katolickiego kościoła niema jak w Ronchamp pięć kilometr. odległem. Poszedłem początek stycznia z Ludwikiem do szołtysa kartę tożsamości zmienić. Jako Ludwig niepotrafi wiele po francusku tłomaczę za niego a nazajutrz przychodzi pachołek szołtysow bym do niego przyszedł. Zastałem u szołtysa Polkę, która pół francuskiem pół belgijskiem językiem się tłumaczy i szołtys mnie prosi bym mu pomógł jej przesłuchać gdyż nie może z nij mądry być, ma ona kartę nie swoją i nie wiem co z nią chce. Mnie samemu trudno ją zrozumieć, gdyż i po polsku marnie mówi, jest narzeczoną belgjaka i chciałaby dla niego i dla siebie kartę zmienić. Po przynoszeniu różnech dokumentów za jakąś godzinę mogłem pójść. Parę dni później przychodzi szołtys sam do mnie ze sprawą. Mówi że górnicy każdy prosto ze swego doma przez pola na kopalnie chodzą i wydeptali całką sieć dróg. Gospodarze się skarżą więc dał wydrukować afisze ostrzegawcze, lecz jako mu jest wiadomo dużo Polaków ich nie zrozumią a nie chciałby żeby się na kary narażali, i przeto by mnie prosił abym jakie pięć afiszów przepisał po polsku, które chce w odpowiednich miejscach wywiesić. Za pomocą słownika i córki sąsiada, która mi znów moje polskie pisanie poprawiła gdyż ja się nigdy po polsku nie uczyłem zrobiłem tłomaczenie. Niedługo później przychodzi znów pastor. Powiada mi że kopalnia i gmina wyprawiają gwiazdkę z podarkami dla wszystkich dzieci

wioski. Między innemi — powiada — zaśpiewają polskie dzieci parę waszych pieśni (do córki sąsiada chodziły wszystkie polskie dzieci uczyć się kantecków na tą gwiazdkę) a ja chciałbym do nich przemówić i prosiłbym byście moją mowę na polskie przetłumaczyli. Przyobiecałem pastorowi że jego mowę przetłumaczę, lecz poproszę innego Polaka, który już w polskich towarzystwach występował by ją wygłosił, ponieważ ja często po polsku nie mówię, na co się zgodził. Było w tych miesiącach także liczenie ludności. Szołtys osobiście chodził od Polaka do Polaka biorąc mnie za tłumacza i spisował listę. Mógłbym jeszcze więcej przykładów podać jak po ludzku się z rodakami wszyscy Francuze wioski obchodzili. Mnie jednak bardzo gnębiło że tak mało zarabiam.

Mój kolega już sobie zaoszczędził 1.500 fr., a ja z biedą mogę za mojego syna opiekę zapłacić. Po czterech miesiącach pobytu rzuciłem pracę z Ludwikiem, odwieźli my graty na główne biuro, syna odwiozłem do Tahure, gdzie znałem polską rodzinę na fermie i ruszyliśmy tym razym do lasu. Ludwig się chwali że już w lesie robił, a drwale dużo zarabiają. W departamencie Marne, gdziem syna odwioz, szukali drwali i właściciel lasu nas przyjął. Podaje nam ile od metra różnorakiego drzewa płaci, ja Ludwikowi tłumaczę a on się zgadza, tylko jedno nam nie w nos. Las jest gdzieś nad belgijską granicą a podróż wraca po półrocznem przebyciu. Pojechaliśmy. Leśny dał nam chatę na mieszkanie jeszcze z jednem Francuzem i pokazał nam który kawał lasu mamy wyciąć. Pośliśmy sobie wpierw zobaczyć jak inni robią i widzę że nie potrzeba być artystą do tej roboty. Kupieliśmy siekierę, piłę i siekar i dali do przewalania lasu. Ludwig jest cośkolwiek powolny, zato siły ma za dwuch, więc jako stary drwal miał rąbać a ja czyścić. Prędkośmy się jednak spostrzegli że i tą robotę trzeba znać. Na południe Ludwig już tylko pół siekiery miał i musieliśmy piłą drzewo zrzynać. Wieczorem zaprowadził nas Francuz do Belgje i pomógł nam dobrą siekierę kupić. Wziąłem się ja do siekiery, gdyż widzę że Ludwig może choinki na gwiazdkę ścinał czego swą leśną robotą zwał. Jest tutaj więcej krzaków do wycinania jak drzewa, oprócz tego wszystkie drzewa liściaste, tak że musiałem jeszcze pomagać Ludwikowi. Pytam się Francuza, ile by my mogli zarobić, pokazując mu nasz dosyć spory kawał lasu wyciętego. Powiada: „Na niedrwali się dosyć dobrze bierzecie, lecz jeszcze czas stracicie, aby drzewo na jakie

20-cia gatunków długości i grubości powyżynać, poustawiać i śmieci spalić, to też nie można powiedzieć co zarobicie. Tutaj najlepszy drwal nie zarobi więcej jak 24 fr". Myślę i to lepsze jak w kopalni Ronchamp. Chociaż się robiło od rana do wieczora, to w lesie tak człowiek tego nie czuł że jest w robocie. Spędziłem większą część mego życia w murach miasta i kopalni, tutaj czułem się wolnym człowiekiem. Kartofle w popiele upieczone lepij smakowały jak górnikowi kotlet.

Z Belgji przynosiliśmy tanie papierosy, chleb i mięso, gdyż przez las szła granica belgijska, a do wioski był jeden kilometr drogi. Słońce co dzień to lepij grzeje i podoba nam się życie na wolnem powietrzu. Jednego razu chwali się nasz Francuz, że on Paryżanin i bardzo chwali piękność jego i życie paryskie. Mnie to dziwno, że on tutaj do leśnej chaty przychodzi mieszkać i mówię: „Żebym tak wiedział że w Paryżu pracę dostanę to bym dziś jechał. Chciałbym bardzo Paryż poznać". On powiada: „Nie lubię w fabryce robić przez to na lato zawsze gdzie na prowincją wyjadę a zimą to w Paryżu mam zarobek do 100 fr. dziennie przy węglu rozwożeniu po mieście".

W parę dni później przychodzi Francuz do nas do roboty i woła: „Chłopcy chcecie iść do Paryża, to chodźcie bo ja jadę." Pytam się co go tak narwało. Powiada że leśny mu przydzielił las, jeszcze bardziej zagajony jak nasz i zamiast wycinać to bym musiał ogień podłożyć. Pomógł nam przez dwa dni nasz kawał lasu wykończyć i pojechali my z nim do Paryżu w maju 1926 roku. W lesie my żadnych gazet nie czytali i nie wiedzieliśmy że w Paryżu bezrobocie. Przeszło dwa tygodnie błąkaliśmy się po Paryżu, szukając pracy a pieniądze nasze topniały jak śnieg na słońcu. Jeszczem bezrobocia nie znał i nie mogłem pojąć że roboty niema, tylko myślę że szczęścia nie mamy. Mieliśmy wszyscy trzech rowery i dwa my już sprzedali aby się jakoś utrzymać. Francuz już od jakiegoś znajomego 500 fr. pożyczył i ciągle z nami za pracą chodzi. Gdzie tylko jakie wolne miejsce ogłoszone 100—200 ludzi czekało przed bramą fabryki na przyjęcie. Francuzowi się przypomniało iść do Ministerstwa Pracy się spytać o pracę gdyż miał nadzieję że jako sierota wojenny będzie uwzględniony. Posłali go do buraków przerywania w okolice Paryża i wziął nas ze sobą. Francuz widać tą pracę już zna, gdyż w krótkiem czasie zostałem 50 mtr. za nim

a Ludwig drugie 50 za mną. Na plecy i nogi nie można wytrzymać, buraki tak nisko a słońce piecze w plecy że w nocy nie można się na nie położyć, takie spalone. Na sąsiednim hektarze pracują polskie dzieci które swem rodzicom pomagają i prędzej im robota idzie jak nam. Francuz, co nas kawał w tyle zostawił, siada na koło po liter wina, tak że gdy my nasz hektar skończyli i przyzwyczaili się trochę do roboty, to pieniądze zań już zaliczkami były wybrane. Skończyliśmy jeszcze jeden hektar pracując od wschodu do zachodu słońca jak w katordze i znów wróciliśmy do Paryża jeszcze raz szczęścia spróbować. Poszedłem zaraz do konsulatu polskiego spytać się za robotą i nie zawiodłem się. Dostałem dla mnie i dla Ludwika kartke do kamieniołomów w Bougival parę kilometrów od Paryża. 30 fr. dniówka i mieszkanie. Francuz jedzie z nami. Tutaj pomieszkanie nad chlewym w którem już jest jakie 15 robotników ulokowanych sami Polacy i Portugalcy. Potrzeba jednego robotnika na noc do roboty i ja się zgłaszam. Zajeżdżam znów w kopalnię, gdyż kamieniołom podziemny. Jak wziąłem łopatę do ręki to jej nie puściłem jak za dziewięć godzin bez przerwy. Kamień jak kreda biały a lepiący jak glina że go trudno na łopatę nabrać a trudnij jeszcze zrzucić. Przychodze rano do chlewa zmęczony, że ledwie jedną nogę przed drugą stawiam, lecz nie daję kolegom wiele znać by ich nie wystraszyć. Oni się do roboty wybierają i mówią mi żebym poszedł gdzie na łąkę się wyspać i bym gdzie innego pomieszkania poszukał, co tutaj nie możliwo spać. Lecz ledwie wyśli to ja ległem jak martwy. Może za jakie dwie godziny się budzę, gryzie mnie po całym ciele, drapie się, gdzie tylko dosięgnąć mogę. Jakieś czarne bestie zrobiły atak na mnie i nie pomoże nic jak wstać. Na południe koledzy przychodzą do chlewa pojeść, lecz widzę że im się ani mówić nie chce. Francuz położył się na ławie, powiada że chory. Ludwig po południu jeszcze poszed, lecz jak o czwartej wrócił tak my zaraz pakujemy nasze rzeczy i idziemy po wypłatę. Wrócili my znów do Paryża. Przez gazetę poszukują robotników do cegielni w okolicy Montargis, Francuz doradza aby tam jechać. W cegielni majster Francuza przyjął do roboty a na nas tylko nosym skrzywioł. Kolega Francuz nas nie chce opuścić, lecz mu przymówiłem aby został. Z mapy widziałem że jest niedaleko miejscowość Chalet i wiedziałem że tam dużo Polaków robi w fabryce gomy. Przyśliśmy nad wieczorem do Chalet i jeden Polak nas wziął

do baraku na spanie. Barak może ma 50 łóżek wielki napełniony Polakami, Ruskami i Czechami. Śpi nawet parę kobiet z dziećmi między mężczyznami, wszyscy na podłodze na siennikach. Byliśmy tutaj trzy dni. Przyjmują każdy parę robotników, a jest ich jakie 30 przed wrotami fabryki. Przyjmują rano i po południu, lecz my nie mamy szczęścia z naszymi papierami górniczymi. Mówię Ludwikowi, żeby dla nas najlepij było wrócić do mego dziecka odebrać pieniądze które on tam zostawił i pojechać albo do Pas de Calais do kopalni węgla albo do Alzacji do soli. Zdecydowaliśmy się iść do Tahure jakie 250 klm. drogi piechotką na podróż koleją już nie starczyło naszych groszy. Przez Montereaux, Provins i Montmiracl, doślimy na czwarty dzień w niedzielę o godz. 12 w nocy do Epernay, sypiając w brogach, żywiąc się tylko chlebym i tabaką. Jeżeliśmy pierwszy dzień 60 klm. zrobili to na trzeci dzień nie mogliśmy 40 ujść. Z Epernay do Tahure jeszcze 70 klm. więc dwa dni drogi a nogi ani metra dali nie chciały iść, żołądek tak samo się odzewa za innem pożywieniem. Czuję że jeżeli tego życia zaraz nie zmienię to się rozchoruję. Ludwig cośkolwiek silniejszy dodaje otuchę, lecz ja już kroka dalej nie mogę. Widzę parę domów dalej komisariat policji i namówiłem Ludwika do niego wstąpić, było mi już wszystko jedno, żeby tylko na ulicy nie zostać. Żandarmom opowiadam nasz los, żeśmy bez pracy i bez grosza a chciałbym się do Tahure dostać. Żandarm przejrzał nasze papiery i powiada: „Jak wędziesz tu stąd idź na prawo, przędziesz przez most i spytasz się o cegielnię z Diezy, tam dostaniesz pracę, jeść i wyspanie". Proszę że teraz północ możeby pozwolili do rana na posterunku przesiedzieć. Tutaj noclegu niema, odpowiada i pośliśmy jeszcze raz na łąkach nad rzeką Marną się przespać. Rano pośliśmy do cegielni gdzie widoczni z żandarmerie zatelefonowali, ponieważ majster dał nam zaraz kartkę do kantiny na śniadanie. Robotę dostaliśmy nie najgorszą. Pierwszy tydzień nam dał 25 fr. na dniówkę, a drugi tydzień 30 franków. Przepracowałem tutaj trzy miesiące i odpłaciłem dług za opiekę syna zrobiony. Lecz zima nadchodzi i wszyscy mówią, że cegielnia wypłaca połowę robotników na zimę, więc oglądam się za inną pracą. Dowiedziałem się że do druciarni w Fismes poszukują uczni do drutu ciągnienia do trzydziestu lat starych. Mam już trzydzieści trzy lata lecz piszę do dyrektora fabryki o bliższe szczegóły. Dostaję odpowiedź żebym przyszedł, daje 25 frank.

dziennie podczas trzy do cztero tygodniowej nauki a później można do 60 fr. dziennie zarobić. Ludwig nie daje się nabrać, mówi że będzie tutaj robił aż go wygnają, a potem pojedzie do kopalni z powrotem. Pojechałem sam. Przy mojej nauce widzę że mi to dłużej potrwa jak cztery tygodnie, zanim ja te 60 fr. zarobię. Jestem w restauracji na mieszkaniu, w której płacę 19 fr. dziennie za życie i pomieszkanie. Innego pomieszkania nie mogę znaleźć. Mógłbym fabryczne pomieszkanie dostać, lecz do niego by potrzeba znów sprzętów domowych. Daję sobie z Polski od matki pieniędzy przysłać i umeblowałem się jako tako w fabrycznej kolonji. W parę dni później umarł galwanizer drutu i majster mie posłał na jego miejsce. W krótkiem czasie wprawiłem się tak do roboty, że po 60 do 70 fr. dziennie zarabiałem. Za miesiąc wziąłem mego syna do siebie. Jest tutaj w szkole ochronka dla dzieci w której za parę franków tygodniowo dają dzieciom i obiad. Przychodził wieczorem ze szkoły, gdy ja już też byłem w domu. Zimą przyszło do roboty tutaj jeszcze 10 Polaków z Paryża i znów mi chwalą Paryż. Ja im opowiadam jak mnie poszło i że ten Paryż nie wiele warty dla robotnika. Przebyli tutaj zimę i do Paryża odchodząc przyobiecują niejedną lecz dziesięć robót co jedna to lepsza. Przepracowałem dwa i pół roku gdy i w druciarni przyszed zastój, a co gorzej, urywają zarobków. Galwanizery nie chcą pod nowymi warunkami robić, gdyż praca jest brudna i nie zdrowa. Pojechałem zaraz do Paryża do kolegów którzy tutaj ze mną robili, dowiedzieć się jak tam z robotą jest. Kolega jeden mi mówi: „Jeżeli się nie boisz wysoko wyleźć na rusztowanie, to cię zrobię malarzem". Powiadam: „Jeżeli ty się nie boisz, toć i ja pewno wylezę, tylko pędzlem to żem jeszcze nie robił."

To nic — odpowiada — się prędko nauczesz, tylko chodź ze mną. Poszedłem na drugi dzień rano z nim na dworzec Saint Lazare, który malowali i każe mi na peronie czekać aże patron przyjdzie, to mnie zamówi u niego. Przyglądam się malarzom jak pracują i już miałem smak do Fismes nazad jechać, widząc w wysokości 25 mtr. się po zielazach wspinają i większą częścią bez rusztowania, pod samym dachym brud drapią i malują. Przyjeżdża jeden malarz z wózkiem nakładzonem pełno desek i zostawia go niedaleko szyn. Zajeżdża pociąg z robotnikami, którzy już w jeździe zeskakują aby się jak najprędzej do wejścia dostać. Pierwsze drzwi

które otworzono przewróciły wózek i przeciągły go jeszcze bliżej wagonom a nazad się zatrzaskające drzwi zraniły podróżnego. Ja widząc co się robi doskoczyłem zaraz do drugich drzwi je przytrzymując i wołając: „Nie otwierać drzwi", lecę od wagonu do wagonu aż pociąg stanął. Przychodzi patron malarzy z zawiadowcą stacji, przychodzi także kolega i pyta się dla mnie o pracę. Patron się pyta czy mam ubranie robotnie ze sobą a kolega odpowiada za mnie: „Tak". Więc niech się przebiera powiada patron, a ty mi zastąpisz tego idjoty, wskazując na szefa malarzy który wózek zostawił przy torze kolejowem na który co pięć minut pociąg wjeżdżał. Kolega mi nawyrzucał szmatów z jakiegoś baraku i „ubieraj się prędko" mówi. Chociaż kolega mnie zawsze na najlepsze miejsce posyłał, to pierwszy czas mi serce biło ze strachu jak młotym w piersiach, gdym na dół spojrzał na przy- i odjeżdżające pociągi. Miałem zaraz sześć fr. na godzinę, a za miesiąc 650 fr. Przyzwyczaiłem się tak do roboty, że trzy miesiące później mnie patron samego posłał do Strasburga abym tam sobie robotników do pomocy przyjął do omalowania mostu zielaznego. Od tego czasu byłem przez dwa lata tylko zimą w Paryżu, jeżdżąc po całej Francji, wykonując różnorakie roboty, zarabiając czasami do 130 fr. dziennie. Zimą mnie patron posyłał do pokojowej malarki, której się z czasem także nauczyłem. Mego syna zaraz w pierwszych dniach przeprowadziłem do Paryża i oddałem do szkółki polskiej w okolicy. Po sześciu i pół roku francuskiej szkoły otrzymał swój certificat d'études, mając tylko 12 lat i pół. Już dwa lata uczy się na ajustera w szkole profesjonalnej i z pewnością dostanie za rok swój certificat d'aptitude. Przeszłą zimę byłem trzy miesiące bez pracy, gdyż teraz największy kryzys w Paryżu, a cudzoziemcowi coraz to trudnij się utrzymać. Użyłem ten wolny czas, chodząc na kursa dekoracji.

Tak samo teraźniejszą zimę nie pracuję i znów dalej uczęszczam na kursa, chociaż już mam 42 lata. Wybrałem się na przedmieście, gdzie jeszcze z jedną polską rodziną barak nająłem, aby tanij mieszkać. Dostaję 9 fr. zapomogi dziennie dla mnie a na syna 4 fr. i nie mogę narzekać, gdyż pobocznie często parę franków między znajomemi zarobię. Nie szukam nigdzie pracy bo jej się nigdzie nie znalezie, a mój stary patron mi przyobiecał że początek kwietnia będzie miał na dwa miesiące pracę do Algieru. Mieszka nas tutaj dziewięć rodzin polskich, wszyscy w własnych barakach.

Połowa z nas bezrobotnych, czekają lepszych czasów grając w 66 lub w durnia. Z sąsiadami Francuzami żyjemy w zgodzie na oko, gdyż w rzeczywistości mileby nas widzieli za górami. Francuz nie uwzględni tego, że nas tutaj sprowadzono ich zniszczony kraj odbudować, przyczym nie jeden z nas swe zdrowie a nawet życie stracił. Roboty które Francuze za żaden pieniądz nie chcieli wykonywać teraz im są dobre i wyganiają cudzoziemca z nich, który już długie lata na miejscu pracował. Karlika znalazłem przeszłego roku w Paryżu, pracował przez sześć lat w fabryce automobilów. Jest teraz tak samo bez pracy, już blisko rok i nie wie co z żoną i troje dzieci robić. Żona jest w obowiązku a on dzieci bawi. Ludwig przyjechał z Pas de Calais, gdzie dalej w kopalni pracuje, do mnie na odwiedziny, gdyż koledzy którzy razem biedę cierpieli, nigdy się nie zapomią. Chciałem jego przy mnie zostawić, gdyż on jeszcze samotny i mógłby ze mną jeździć po Francji, lecz gdy nas widział jak muchy przylepione na wieży Eifel, którąśmy właśnie malowali, to powiada: „Wolę lepij na kopalni zginąć lub doczekać aż mnie jak dziada do Polski wygnają". Prasa francuska z gazetą „Ami du Peuple" na czele coraz to brutalnij na chlebozjadów obcokrajowych napadają. Pisze naprzykład: Jaki zysk ma Francja z obcokrajowców, mają oni swe szkoły, swe towarzestwa, swych kupców i pracodawców, a jeżeli Francuz przyjdzie do takiego pracodawcy się o pracę spytać to mu odpowie: „Nie przyjmuję obcokrajowców".

Byłem przeszłą jesień w Ministerstwie Pracy za swoją sprawą. Czeka tutaj jakie 50 Polaków bezrobotnych na świadectwo potrzebne do zapomogi. Urzędnik który Polaków odprawia nie daje żadnemu tego świadectwa gdyż mówi robota jest. Potrzeba dziesięciu robotników do kopania buraków a dziesięciu do kartofli zbierania, płacą 300 i 500 fr. od hektara, więc 50 do 100 fr. mniej jak w 26 roku gdy jeszcze wszystko tanij było. Innem obcokrajowcom świadectwa do zapomogi dawają, tylko Polaka zmuszają do pracy za darmo, gdyż się nikt zupełnie nikt za nim nie ujmie.

1932 r.

Pamiętnik Nr. 19

Robotnik rolny, potem robotnik fabryczny, syn małorolnego spod Rzeszowa, ur. w 1900 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Jestem pochodzenia chłopskiego. Ojciec mój posiadał całego majątku 3½ morgi pola. Było nas trzynaścioro dzieci, jedenastu chłopców i dwie dziewczyny, z tego trzech umarło chłopców. Ja jestem najstarszy z rodziny. Matka też umarła w 1931 r. Od trzynastu lat musiałem chodzić do pracy na pańskie aby się okryć gdyż sam ojciec nie mógł na nas zapracować. Ojciec był analfabeta lubiał popijać ale naogół był jednak niezłem dla nas. Do szkoły chodziłem oddalonej o cztery kilometry drogi, mało się uczyłem bo trza było paść krowy i bawić młodszych braci, pochodzę z wioski okolicy Rzeszowa wioska Wysoka nad Wisłokiem. W 1915 roku ojciec poszedł na wojnę trza było prowadzić gospodarstwo z Matką. Było nam bardzo źle, 16 listopada 1918 ojciec powrócił do dom ja zaś 5.7.1919 zostałem uznany przez K. W. za zdatnego i poszedłem do wojska, urodzony jestem 1900 roku. Ja wróciłem do domu 24.5.21, w domu znalazłem się w trudnych warunkach do życia, w domu nędza brak pracy i nie miałem nijakiego wyjścia, postanowiłem starać się do wyjazdu do Francji. Po długich staraniach za protekcją w P.K.U. w Sanoku dostałem zezwolenie na wyjazd do Francji i tak opuściłem z wielkiem żalem dom rodzinny wyjeżdżając do Francji za kawałkiem chleba, do Francji o której nie miałem żadnego pojęcia. 27.6.23 o godzinie 10-ej w. odjechaliśmy z Rzeszowa, było nas 29 osób, pamiętam ten dzień dobrze a to z tego względu że w dniu tem przejeżdżał przez Rzeszów król

rumuński o godzinie 7 wieczór, myśmy go nie widzieli bo nas ze stacji wypędzono. Będąc już w pociągu w myśli żegnało się rodziców braci siostry którzy pozostali w domu, łzy się pchały do ócz na pomyślenie o tem że tam pozostało wszystko najmłodsze najmilsze dla człowieka, pozostała narzeczona, to wszystko było tylko chwile. Cieszyliśmy się myśląc i mówiąc sobie że trzy a pięć lat najdłużej a późni spowrotem do kraju, bo będzie w Polsce lepiej będą lepsze warunki do życia. 29.6.23 w Mysłowicach podpisałem kontracht na rok czasu na role za 125 fr. do wszelkiej pracy. W dniu tem pomyślałem sobie dziś moje imieniny, tam w domu mówią o mie, żal mi było a jednak pragnąłem jechać. 5.7.23 o godz. 6 rano przybyliśmy morzem do Dunkerque, tam nas cały dzień zostawiono załatwiano z papierami, poprzywiązywano nam do klapki od kapoty tykiety z adresami gdzie się kto udaje, co strasznie to głupio wyglądało, Francuzi się na nas patrzeli jak na baranów, połowa z nas te kartki pozrywało, więcej bojaźliwi nie, było nas 1200, tego samego dnia w nocy ruszyliśmy w drogę już po ziemi francuskiej napakowane jak śledzie w beczce, gorąc pić się chce, nie mam centa przy duszy ale jakoś to będzie myśle sobie. Przyjechaliśmy do Laon na wieczór tam dalej znowóż nam papiery przeglądano, po załatwieniu tego w końcu zostało się nas trzech, w mieście Roanne zostałem sam, przyjechałem na stacje Aix-les-Bains sur St. Martin, patron czekał na mie, było to 9.8.23 myślałem że sobie spoczne ze dwa dni. Pokazuje mi gęba czy mi się jeść chce, ja mówie tak i późni zaraz do roboty. Robili tam już polacy, praca ciężka od 6-stej rano do 8-mej oprzątać świnie i kozy a późni śniadanie i w pole do 10 wieczór. Gorąco nie do wytrzymania niema święta ciągle praca w polu, raz na pole przyjeżdża sam patron z całą rodziną swoją, wyrwał mi widły i pokazuje jak mam snopki rzucać na wóz, mówi zaś do mnie ja go nie rozumie. Raz mi mówi że ja słaby, ja mu pokazuje popalone dłonie mówie że mie bolą, on mi pokazuje abym sobie pojszoł to się mi zagoją, czułem się mocno obrażony ale cóż miałem robić. Ale zacząłem myśleć w jaki by tu sposób z tego piekła się wydostać. Po dwóch miesiącach dostałem 190 fr. reszta odciągnoł jako kałcje, widząc mnie, że się bardzo nie daje odesłał mię na inną ferme oddaloną o pięć kl. tam musiałem karmić świnie i doić krowy tam byłem sam jeden polak było kilku Węgrów jeden znał dobrze po cesku co się z niem

zmówiłem dobrze. Byli oni wszyscy jako uciekinierzy polityczni bardzo grzeczni ludzie, oni mi ułatwili ucieczkę, dali na drogę jedzenia i 13.I.24 uciekłem do Paryża. Z Paryża dnia 16 udałem się do Chartres, departamentu Eure et Loir, tam znalazłem prace na fermie za 200 fr. na miesiąc, było dobrze, praca nie ciężka nikt nie gonił w pracy, życie dobre, tylko spanie w stajni z koniami. Nie było Polaków to też mi się psyksyło bardzo. Robiłem tam dziesięć miesięcy francuzi byli dobrzy. 1.11.24 pojechałem do miasteczka tam spotkałem polaków którzy mie zabrali ze sobą i zgodziłem się do jednej gorzelni za 600 fr. na miesiąc przez miesiące cztery, późni 300 fr. praca na polu. Francuzi byli grzeczni, sam patron był gorliwy katolik gonił nas do kościoła, było nas dziewięć polaków, sprowadzał często polskiego księdza. Ksiądz nas zdradzał tak że patron wiedział kto kradnie kury i jajka na zapłacenie bielizny od prania, praca ciężka, nie było święta nigdy. W sierpniu wymówiłem patronowi że odchodzę że jadę do Polski i tak 1.10.26 udałem się do Paryża, znalazłem prace w fabryce na przedmieściu Paryża Aubervilliers w której do dziś jestem. Tam też długo nie robiłem, zostałem wypłacony z powodu że ja miałem karte jako agricole. Po długich staraniach zmieniłem karte na industrie dostałem prace w fabryce wyrobu drutu, tam nauczyłem się na maszynie, mój zawód dzisiaj jest trefileur specjalité. Od 20.9.27 do 1.12.35 pracowałem w tej fabryce, zostałem wypłacony z rozporządzenia dekretu Lavala na podstawie zatrudnienia 10% etranżerów w fabrykach metalowych w okręgu Paryskiem i Departamentu Seine. Ożyniłem się 1928, żona moja też polka, mamy jedną córeczkę która ma lat sześć, w r. 1928 wstąpiłem do organizacji imieniem Rejtana, od tego czasu poznałem co to jest organizacja, zacząłem się bardzo interesować życiem organizacyjnem. Byłem już także członkiem innej organizacji na fabryce to jest w sekcji fabrycznej C. G. T. N. Na 1800 robotników było zorganizowanych 50 prawie sami francuzi, było nas 16 polaków a tylko trzech należało do C. G. T. Za należenie do tej organizacji derekcja fabryki wyrzucała natychmiast z pracy a obcokrajowca czekała ekspulsja. Francuzi nas lubieli, z organizacji polskiej imieniem Rejtana zostałem wyrzucony i kilku innych za to że należałem do syndykatu, organizacja ta była opłacana przez konsulat w Paryżu. Po mojem wyrzuceniu organizacja ta zaczyła maleć a w kilka miesięcy późni przestała istnieć, z tej

strony byłem poskodowany, było to 1930 r. w naszej miejscowości w Aubervilliers jest około 300 polaków większość żonaci, niema żadnej polskiej organizacji, kiedyś były ale przestały istnieć, większa część polaków należą do syndykatu i czerwonej pomocy francuskiej, fraucuzi się odnoszą bardzo psychylnie do nas, naturalnie są tacy którzy mówią że etranger mange notre pain, ale takich mało. Mimo że są to organizacje francuskie to emigranci mają prawo zbierać się w swoich grupach językowych urządzać zabawy i t. p. W Sagnette jest dużo polaków którzy należą do K.P.F., mieszkam w mieszkaniu prywatnem, kiedyś gdy pracowałem to żyliśmy dobrze, pracowałem na maszynie, na godzinę miałem 8 fr., praca osiem godz., mieszkanie kuchnia i sypialnia płacimy 100 fr. na miesiąc, dzisiaj nie pracuje i też muszę to samo płacić 95 fr. Do rodziny do kraju piszę, okropne listy otrzymuję, ciągle proszą o pieniądze nie mają obuwia i t. d. brak im chleba. Obywatelstwa francuskiego nie starałem się o to i nie mam zamiaru. Dzieciak jest naturalizowany bo tak się złożyło że gdyby nie naturalizacja dziecka moglibyśmy być już rok czasu w Polsce. Stosunek władz tutejszych wyjątkowo w naszej gminie jest wrogi dla obcokrajowców, merem tutejszem jest pan Laval były prezydent ministrów, o ile chodzi o załatwienie jakiej sprawy na merie to wymagają niepotrzebnie różnych formalności, których czasem nie sposób się postarać, ja jestem na chomażu, otrzymuje dziennie 7 fr., na dziecko cztery bony raz na dziesięć dni wartości 10 na mięso i 5 fr. na chleb, nienaturalizowane dziecko tylko 3 fr. 50 c, wszyscy polacy którzy są bez pracy mieszkają w hotelu, otrzymują 7 fr. nie płacą mieszkania każdy korzysta bezpłatnie czy to z lekarza apteki, zwolniony od wszelkich opłat stemplowych. Ja płace kotrybucje i jestem zmuszony płacić komorne gdyż moja żona pracuje. Bynajmniej nie zamierzam pozostać na zawsze we Francji gdyby tylko były ku temu warunki zaraz byśmy wrócili do Polski, niestety tam nie mamy poco wracać i nawet o tem szkoda marzyć o ile taki ustrój ciągle będzie istniał w Polsce. Tutaj Polacy wszyscy się bardzo interesują tem co się dzieje w Polsce, urządza się zebrania wiece i różne referaty o obecnej sytuacji w Polsce i każdy z bólem serca słucha dyskusji o tem jak prowadzi życie chłop i robotnik w Polsce i jak walczy. Dużo polaków musiało opuścić Francje i wyjeżdżać do kraju spowodu odmówienia odnowienia carte identite na po-

czątku tego roku, przez to ten kto dostał tak zwane defavorable to nawet kto pracował stracił prace a ten kto był na chomaże odebrano mu zasiłek i przez to stracił prawo pobytu we Francji to wszystko dekrety Lavala. Ja lubie czytać książki i mam dużo książek, po francusku dobrze nie umie mówić ani czytać ale czytam gazety francuskie codzień naturalnie gazety robotnicze, polskie gazety też czytam, tutaj każdy polak czyta gazety, tak książki jak i gazety nie mają nic spólnego ze Światowym Związkiem Polaków Zagranicą. Wiemy o tem bardzo dobrze że Polska daje pewną część pieniędzy które są przeznaczone na szerzenie kultury polskiej wśród wychodztwa, niestety tego nikt nie widzi. Ja znam takich panów którzy chcą wmówić niejednemu że Polska bidna i że nie można zbyt wiele domagać się od Rządu polskiego, w rzeczywistości Rząd nam nic nie daje, a przeciwnie emigracja wiele daje. Mojem zdaniem każdy powracający do kraju powinien mieć opiekę ze strony władz polskich, tego niema a co tu dopiero mówić o tem aby robotnik polski korzystał z funduszu który dla nas nie istnieje. Polacy uczą swoje dzieci po polsku mówić pisać własnemi wysiłkami, moje dziecko ma sześć lat mówi czysto po francusku i po polsku, w domu się rozmawia po polsku. My się niczego nie spodziewamy ze strony Polski ani też w to dzisiaj nikt nie wierzy. Stosunek obecnego reżimu do emigracji jest dobry i daje pewne gwarancje stałego pobytu we Francji, znosi takie sprawy że niema prawa żaden komisarz dawać ekspulsje emigrantowi a tak było do tego czasu.

Robotnicy mają zaufanie do Rządu frontu Ludowego. Ja myśle że ten Rząd obecny stanie się dla nas przykładem i nauką na przyszłość.

Ja nie pracuje, o pracę teraz trudno, zresztą nie mam dobrego zdrowia, czekam powrócić do swego zawodu, mam nadzieje wkrótce dostać prace. Teraz na zakończenie gdy będzie ukończona ta książka zbiorowa więc prosze mi jedną przysłać ja zapłace.

Dn. 22 sierpnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 20

Robotnik—metalowiec, syn rolnika spod Jarosławia,
ur. w 1901 r.
(Konk. I G. S. — Pam. Emigr.)

Czyniąc zadość życzeniu Instytutu Gosp. Społecznego i zachęcony przyjacielską formą tego zaproszenia, postaram się dać możliwie najlepszy obraz mej wędrówki a raczej poniewierki dotychczasowej we Francji. Czynię to z tem większą ochotą bo wierzę w szczerość słów zachęty, że się przysłużę dobrej sprawie.

Okres mojego dzieciństwa, (urodziłem się w r. 1901) upłynął mi stosunkowo dobrze i znośnie. Rodziców miałem dobrych i nieźle zarabiających na nasze utrzymanie. Było nas trzech braci w domu, dwie siostry i jednego najstarszego brata w St. Zjedn. Am. Półn. Niestety Rodzice wcześnie mi umarli (Matka um. w 1913 r. a Ojciec w 1918) i dlatego nie miał mnie kto, że tak powiem, wprowadzić w życie, ewentualnie dać jakie takie wykształcenie. Po śmierci Ojca mieszkaliśmy i „gospodarzyli" razem ze starszym bratem (najstarszy poszedł na ochotnika do tworzącej się wówczas Armii Polskiej) aż do powołania nas do wojska.

Po wyjściu z wojska zostałem się zupełnie bez środków do życia i „obijałem" się tak między dwoma braćmi którzy się już w międzyczasie pożenili. Gdy już tej wegetacji dłużej znosić nie mogłem postanowiłem wyjechać do Francji. Brat zawarł znajomość z pewnym kolegą przebywającym we Francji, który miał nam przysłać zapotrzebowania. Jednakże to do skutku nie doszło a nawet i brat zdanie zmienił, więc ja postanowiłem wyjechać sam i wyjechałem w maju 1926 roku.

Gdy z wielką trudnością załatwiłem się z papierami a szczególnie z pozwoleniem z P. K. U. i przyjechałem do Komisji rekrutacyjnej do Jarosławia to cały Ratusz, gdzie się odbywała rekrutacja, był otoczony szerokim pierścieniem chcącymi wyjechać do Francji. Cały dzień czekałem w „ogonku" i aż dopiero wieczorem dostałem się przed oblicze Komisji, która już niestety zwerbowała potrzebną ilość robotników, więc mnie jak i wielu innym kazano przyjść następnym razem...

Na drugi raz przyjechałem jeszcze wcześniej (a byli tacy co czekali całą noc) i dlatego byłem jednym z pierwszych którzy się dostali przed Komisję. Były wtedy zapotrzebowania tylko do kopalń węgla i rudy żelaznej lecz ja na nic nie zważałem bo byłem przeświadczony że nigdzie mi nie będzie gorzej jak w swojej Ojczyźnie... Wierzyłem też w to że jeżeli kraj sprowadza robotników to musi mieć dla nich utrzymanie. Brak chleba i pracy oto główne powody które z nas robią „dobrowolnych" banitów i wyganiają z Ojczyzny. To też i mojem głównem powodem wyjazdu było materjalne ubóstwo i brak jakiegokolwiek sposobu uczciwego zarobkowania jak również różne domowe niesnaski wynikłe też z tego powodu. Drugim też nie mniej ważnym powodem mego wyjazdu było to że z tych samych powodów, nie mogąc dać utrzymania żonie, ewentualnie rodzinie, nie mogłem się ożenić z dziewczyną którą wzajemnie kochałem. Nie mając przytem żadnych widoków na przyszłość z dwojga złego wybrałem emigrację za chlebem, a miłość zostawiłem siłą rzeczy na później... „Miłość jest dobra ale z chlebem" powiedział ktoś, ale zupełnie słusznie. Bo czy można znaleźć zupełne zadowolenie choćby i w szczerej, wzajemnej miłości, gdy się patrzy w przyszłość z obawą i niepokojem?

Wyjeżdżając z Ojczyzny, często z goryczą w sercu o Niej wspominałem i późniejsza poniewierka przekonała mnie, że Ojczyzna która nie daje swemu obywatelowi możliwości egzystencji, ewentualnie założenia rodziny, siłą rzeczy traci u takich upośledzonych obywateli zaufanie, jest z goryczą w sercu przez nich wspominana (o ile nie przeklinana) i prawie nigdy na nich liczyć nie może. Mój wyjazd był dość przykry dla mnie lecz nie dlatego żeby za mną płakali a przeciwnie, dlatego że za mną płakać nie było komu, niestety... Nawet narzeczonej już w domu nie było, gdyż i ona była zmuszona wyjechać z domu w poszukiwaniu lepszej doli. W do-

mu ucieszono się że „jednej gęby do miski mniej" i tak żegnany jechałem w świat unosząc w duszy iskierkę nadziei w lepszą przyszłość. Towarzyszyła mi przytem chęć poznania świata i ludzi i to było do pewnego czasu jedyną moją pociechą na obczyźnie.

Nie mogę powiedzieć aby moja podróż była doskonała ale mi się też i nie nudziło w podróży. Jechałem zwykłym zbiorowym transportem przez Mysłowice i Toul ponieważ „rozkosze" takiej podróży wszyscy znają więc nie będę się nad tem rozwodził. Wspomnę tylko że w Mysłowicach po przejściu tej „kwarantanny" musieliśmy jeszcze kilka dni przebywać dłużej z powodu pewnych zaburzeń w Niemczech na skutek których Niemcy nie chcieli nas przepuścić przez swoje terytorjum. Jakkolwiek w Mysłowicach były noclegi niezłe, w Toulu jednak było znacznie gorzej. Gnano nas dosyć daleko od stacji do tego „obozu izolacyjnego", a gdyśmy już tam przyśli to nie było gdzie spocząć bo w tych „salach" większość łóżek była bez sienników, a gdzie były to takie roztrybuszone że słoma na wierzch wyłaziła. Spaliśmy bez żadnego nadzoru, więc kto nie czuł się bardzo zmęczony to mógł sobie trochę „rozerwać" z towarzyszkami podróży... które spały w sąsiedniej sali... Nie było też czasu i na nudy bo przecież podróż cała była jednem urozmaiceniem.

W Mysłowicach, jak wspomniałem, pozostawaliśmy kilka dni, lecz dosyć znośnie my ich spędzili bo w takiej dużej gromadzie ludzi zawsze się znajdą tacy co potrafią czas urozmaicić. Lecz mimo wszystko przez cały czas tej podróży żal za Ojczyzną, względnie za ojczystą stroną, no i za... dziewczyną ani na chwilę mnie nie opuszczał i wlókł się za mną jak ta czarna nić wytwarzając przykry stan psychiczny nie do wytrzymania. Ten przykry stan doszedł do najwyższego napięcia gdyśmy opuszczając Mysłowice już stali w pochodzie by iść do pociągu. Ktoś tam przemawiał by nas pożegnać a na zakończenie zaśpiewano „Nie rzucim ziemi". Na dźwięk tych słów doznałem takiego wzruszenia że o świecie zapomniałem. Niewdzięczność mej Ojczyzny to spowodowała. Mimo zapowiadań że rekrutuje się robotników tylko do kopalń ja jednak otrzymałem kontrakt do odlewni żelaza w Rosieres (Cher).

Chciałbym jeszcze wspomnieć o tem, że wyjechałem z Polski w czasie przewrotu majowego dokonanego przez Marszałka Piłsudskiego celem dokonania tej głośnej dziś „sanacji". W związku z tem

byłem prawie rozrywany przez tutejszych naszych rodaków by im opowiadać jak to tam było i kto „wygrał". Gdy się dowiedzieli że obecnie Piłsudski „panuje" w Polsce, to mówili: Nol Jak się teraz Piłsudski weźmie za rządy to już więcej do Francji nie pojedziemy a może będziemy mogli wrócić, znośnie żyć w Polsce i dla niej pracować. Niestety!

Przyjechałem do wyżej wspomnianej fabryki na roczny kontrakt który mi gwarantował mieszkanie i wikt w cenie 8 fr. (ośm) dziennie a zarobek 2 fr. 20 cent. na godzinę, plus 10% dodatku drożyźnianego. Ponieważ w tej fabryce był zwyczaj że jeden „kęzen"*) pozostawał zawsze w tyle, więc pierwszą wypłatę otrzymałem dopiero po miesiącu. W międzyczasie otrzymywaliśmy po 5 fr. tygodniowo. Pomimo że zarobek był bardzo niski, jednak po pierwszej wypłacie poczułem się innym człowiekiem a nawet i zadowolonym poniekąd bo się poczułem człowiekiem niezależnym materjalnie a to było przecież jednym z moich gorących życzeń.

Różne inne przeżycia moje na emigracji aż do chwili kiedy moje życie się zasadniczo zmieniło, nie były już takie zajmujące więc ich podam w skróceniu jedynie dla całokształtu opowiadania. Jeśli każdego wychodźcę słusznie obdarzają mianem tułacza, to ja w zupełności byłem wcieleniem tej nazwy gdyż nigdzie — jak to mówią — „miejsca zagrzać nie mogłem". Po trzymiesięcznem pobycie na kontrakcie i po spłaceniu tegoż wyjechałem po uprzedniem porozumieniu się ze znajomymi do Auberviliers (Seine). Po przepracowaniu tam około dwóch miesięcy, zostałem zwolniony z powodu bezrobocia jakie wówczas nastąpiło we Francji. Smutne to były dla mnie chwile. Błąkałem się z przygodnymi znajomymi Polakami po Paryżu i okolicy za pracą. Rozmówić się po francusku nie mogłem, nie byłem przyzwyczajony do tutejszego życia, a obawa że już pracy wcale nie znajdę dobijała mnie do reszty. Często w owym czasie przychodziły mi na myśl słowa naszego poety: „O Polsko żyzna i bogata!" Lecz wtedy jeszcze nie zdawałem sobie jasno sprawy z tego dlaczego ta Polska niema chleba dla swych dzieci... Po kilkudniowym bezskutecznym poszukiwaniu pracy w Paryżu i okolicy, wyjechałem za namową jednego z towa-

*) T. j. „piętnastka" — dwa tygodnie.

rzyszy do dep. Nord. Lecz i tam mi się nie odrazu poszczęściło bo jeszcze przez kilka tygodni pozostawałem bez pracy, aż wreszcie znalazłem pracę w cukrowni w Thumeries. Tutaj byłbym się może dłużej utrzymał gdyby nie konflikt jaki wybuchł między nami a patronem na tle „gonienia" czyli racjonalizacji pracy. Pracowałem tam pół roku. I znowu zaczęła się wędrówka i dorywcza praca po kilka tygodni, aż wreszcie udało mi się „uczepić" dłużej w pewnej cynkowni koło miasta Dourges (Pas de Calais).

W pierwszych tygodniach mego pobytu we Francji a nawet do chwili gdym zaczął pracować w tej cynkowni, nie bardzo mi się nudziło bo przeżywałem wrażenia z podróży, ciekawiło mnie tutejsze otoczenie i sposób wykonywania pracy jak również z powodu częstego zmieniania pracy, na nudy i tęsknoty niewiele miałem czasu. Lecz pracując dłużej na jednem miejscu, życie moje się cośkolwiek unormowało to i moje dawne tęsknoty odżyły na nowo. Z tego powodu i korespondencja moja z narzeczoną odżyła i spotęgowała się. Na skutek tej właśnie korespondencji moja „cherie" nareszcie się zdecydowała i przyjechała do mnie (lipiec 1928). Wobec niemożności sprowadzenia jej na mój koszt, przyjechała podobnie jak i ja na roczny kontrakt do pewnego „bałora" do Renneville (Eure). Gdy tylko otrzymałem wiadomość o tem zaraz tam pojechałem by ją pocieszyć że nasze kilkuletnie tęsknoty i marzenia już się niedługo ziszczą. Samą podróż do niej wartałoby opisać bo była nadzwyczajna, lecz by to dużo miejsca zajęło. Wspomnę tylko że jechałem do niej całą dobę i to pociągiem, rowerem i piechotą nawet... Ale „niema złej drogi do swojej niebogi". Lecz nasze spotkanie zapłaciło za wszystko... Kto po tak długiej rozłące coś podobnego przechodził to sobie sam resztę dośpiewa... Dodam tylko że tak byliśmy „wniebowzięci" żeśmy się nawet zapomnieli pocałować przy powitaniu...

W międzyczasie ten mój znajomy który mnie tu do północnej Francji sprowadził, wyjechał z powrotem do Paryża i w listach do mnie stale mnie namawiał żebym i ja to uczynił twierdząc że napewno mi pracę znajdzie. Poszedłem za jego radą, bo uważałem że w Paryżu łatwiej będzie o pracę dla narzeczonej a przytem i na mojem dotychczasowem miejscu nie mogłem się zgodzić z towarzyszami pracy (francuzami). Wyjechałem więc niezwłocznie do Paryża, do tego miasta wszelkich możliwości jak wtedy mawiano. Tak

więc od owego czasu sierpień 1928 już stale przebywam w Paryżu i tutaj tryb mojego życia zasadniczo się zmienił. Chwilowo zacząłem pracować za 28 fr. dziennie na stacji kolejowej przy sortowaniu paczek, ale po kilku tygodniach znalazłem lepsze zajęcie w pewnej fabryce metalowej (45 rue Riquet) gdzie z początku zarabiałem tylko 35 fr. dziennie. W tej nowej fabryce wyspecjalizowałem się w pewnym zawodzie i do dnia dzisiejszego tu pracuję.

Gdym się już lepiej „zasiedział" w Paryżu, to zaraz pojechałem do swej narzeczonej i po dwumiesięcznej jej „niewoli" spłaciłem za nią kontrakt i poszukałem jej pracy w Paryżu. Później trzeba było wyrabiać „papiery" do ślubu. Miałem trochę z tem kłopotu z powodu nieznajomości przepisów, ale jakoś to „poszło" i nareszcie wzięliśmy „śluby". Od tej chwili życie wydawało się nam piękniejsze i więcej interesujące. Pracowaliśmy oboje a w wolnych chwilach żona opowiadała mi o różnych zmianach i zdarzeniach jakie zaszły w naszej wiosce w czasie mojej nieobecności i pocieszaliśmy się nadzieją lepszych czasów w przyszłości, po naszym ewentualnym powrocie do Ojczyzny. Jedynie dokuczał nam w owym czasie brak odpowiedniego towarzystwa gdyż oprócz siebie nikogośmy w Paryżu nie znali. Pomimo braku szerszych znajomości przeżyliśmy z sobą wiele chwil jasnych, wesołych i pełnych zadowolenia, że nieraz sami nie wierzyliśmy abyśmy mogli być tak szczęśliwi. Niestety był to przedsmak szczęścia który wkrótce przeminął zostawiając tylko wspomnienia. Zresztą szczęśliwym jest tylko ten który się wcale na świat nie urodził, ale to się mało komu udaje.... Mianowicie w kilka miesięcy później znaleźliśmy się w takich okolicznościach że żona musiała wyjechać do Polski i... wyjechała pozostawiając mi dawną a nawet bardziej spotęgowaną tęsknotę i żal, które ze mną podzielała. Po przeszło roku naszego rozłączenia, po wyrobieniu potrzebnych papierów wyjechałem na sześciotygodniowy urlop do Polski, który dosyć dobrze i wesoło spędziwszy wróciliśmy oboje do Francji.

Niestety w obawie co do dalszych losów, byliśmy zmuszeni zostawić u Rodziców żony naszą kilkumiesięczną córeczkę która się nam urodziła podczas pobytu żony w Polsce (co zresztą było jednym z powodów jej wyjazdu). Pierwsze tygodnie po powrocie z Polski nie były dla nas bardzo wesołe bośmy tęsknili za Polską, znajomymi a najbardziej za pozostawioną córeczką. Szczególnie żona

nie mogła o niej zapomnieć. Później i żona zaczęła pracować i powoli życie nasze wracało do normalnego stanu. Ja z każdym miesiącem i rokiem zacząłem lepiej zarabiać i z czasem miejsce pracy (dzięki własnej opatrzności) było coraz lepiej zapewnione. Zresztą i mój pracodawca nie był z tych „ostatnich". Po przepracowaniu trzech lat każdy robotnik miał tydzień płatnego urlopu, 250 fr. rocznej premji i wiele innych korzyści jakich nie było w innych przedsiębiorstwach. Zarobek mój od 35 fr. dziennie podnosił się stale aż doszedł do przeszło 50 fr.

Gdy to piszę to już jesteśmy po wejściu w życie większości ustaw robotniczych i społecznych z inicjatywy Rządu „Frontu Ludowego" Bluma i wskutek tychże zmian zarabiam obecnie 300 fr. za 46-cio godzinny tydzień pracy (oprócz premji). Mamy naturalnie teraz dwa tygodnie urlopu i szereg innych udogodnień w pracy a 40 godzinny tydzień pracy nastąpi niebawem i rozumie się bez obniżki podstawowych zarobków. I pomyśleć, że te wszystkie zdobycze socjalne zawdzięczamy tym „znienawidzonym" socjalistom no i innym przedstawicielom Rządu „Frontu Ludowego". Naród francuski nareszcie zrozumiał że los jego jest w jego własnem ręku i wie komu ten los powierzyć.

Ubezpieczenia Społeczne z małemi poprawkami obowiązują te same i dlatego nie są zadawalniające i szereg innych ustaw jeszcze nam nie odpowiadają lecz gdy robotnik dobrze zarabia to i pewne braki w ustawodawstwie robotniczem nie odczuwa się tak dotkliwie. W Polsce np. ustawodawstwo socjalne może jest lepsze (jak tu było dawniej) to ja jednak pominąwszy względy narodowościowe wolę o wiele razy pracować i żyć we Francji. Pomimo wiele braków w tutejszych ubezpieczeniach społecznych to nawet i w razie nieszczęścia wolałbym być we Francji. Najgorsze jest to że wydatkować trzeba natychmiast swoją gotówkę na koszta leczenia które dopiero później są zwracane, a ponieważ przepisy są bardzo biurokratyczne więc trzeba się wiele nachodzić zanim coś wrócą.

Co do stosunków osobistych, mam do zanotowania jeden znamienny szczegół. Mianowicie w rok po powrocie z urlopu urodził się nam syn i z tego powodu żona przestała pracować zarobkowo (27.IV.1931). Jednak pomimo powiększenia rodziny i zmniejszenia zarobku poziom życia niewiele się obniżył gdyż jest tu wiele udogodnień dla rodzin, zwłaszcza licznych a zresztą nie wysyłam już

teraz tyle pieniędzy do Polski co dawniej. Lecz oszczędności i tak nie mam żadnych bo chociaż dawniej będąc przyzwyczajony do niższego poziomu życiowego, coś się wysłało krewnym to dziś jest słaba nadzieja aby nam te pieniądze oddano. Przyzwyczaiwszy się zresztą do wyższego poziomu życia trudniej jest i coś odłożyć. Do Polski jednak cośkolwiek posyłam na wychowanie naszej córeczki lecz i to się wkrótce skończy gdyż obecnie żona jest w Polsce wraz z synkiem a za kilka tygodni wszyscy wrócą i nareszcie już będziemy razem. Mieszkanie nasze, jak to przy wielkim mieście, nie jest bardzo wygodne ale wobec dzisiejszych zarobków nie można mieszkać lepiej.

Od czasu powrotu z urlopu, aż do chwili obecnej ten okres czasu muszę już zaliczyć jako zwrotny punkt w mem życiu na emigracji. Po powtórnem zobaczeniu nędzy w Polsce, która za te kilka lat jeszcze się bardziej wzmogła i gdy zawiodły nadzieje pokładane w Polskim Rządzie pomajowym, zacząłem wtedy lepiej wnikać w przyczyny zła w Polsce jak i wogóle na świecie i starałem się dojść do źródła tego wszystkiego. Jeszcze z Polski wywiozłem trochę przekonań lewicowych i tu starałem się znaleźć coś takiego coby tym przekonaniom odpowiadało. Wielką przeszkodą w poszukiwaniu Prawdy była moja fanatyczna prawie wiara w Boga, względnie w Kościół katolicki, która zabijała każdą moją śmielszą myśl, zbliżającą się do Prawdy. Wreszcie zasłona z ócz mi spadła i zrozumiałem że dla mnie powinno być obojętnem czy bóg istnieje czy nie, bo go i tak nigdy nie zobaczę ani nie zrozumię, a gdy będę uczciwie żył na świecie to za to żaden bóg mnie nie ukarze. Jak wspomniałem wyżej zacząłem wnikać w przyczyny zła na świecie i starałem się poznać, którzy ludzie czy ugrupowania chcą zaprowadzić lepszy ład na świecie, a którzy tylko pozornie o tem mówią.

Nawet już po zorjentowaniu się gdzie mam należeć, trudny był wybór, bo nawet w obozie robotniczem nie było wtedy jedności, a przytem zajmowanie się polityką jest wzbronione ustawowo dla obcokrajowców we Francji. Jednak po lepszem rozpatrzeniu się doszedłem do wniosku że najlepszą i najlepiej odpowiadającą wymogom robotnika tak tutejszego jak i obcokrajowca jest: Generalna Konfederacja Pracy (C. G. T.) czyli francuskie związki zawodowej. Dziś mam wielkie zadowolenie moralne że moje przekonania (czy

mój zmysł spostrzegawczy) mnie nie zawiodły, bo wszystkie zdobycze socjalne jakie klasa robotnicza we Francji ostatnio otrzymała zawdzięcza głównie C. G. T. Ponieważ C. G. T. nie obejmuje i nie może załatwiać spraw czysto emigracyjnych, dlatego utworzyliśmy polską organizację pod nazwą: Federacja Emigrantów Polskich, która jest uzupełnieniem C. G. T. w sprawach polskich. Do polskiej organizacji zawodowej nie mogłem należeć z tej prostej przyczyny że takowa we Francji nie istnieje i istnieć nie może bo ustawodastwo francuskie wyraźnie tego zabrania. Należę do C. G. T. dlatego że oprócz jej wzniosłego celu, jako organizacji robotniczej międzynarodowej, dopomaga korzystnie pod każdym względem wszystkim członkom bez względu na narodowość, zaciera różnice i uprzedzenia do robotników innych narodowości i wytwarza przyjazne stosunki z tutejszą ludnością.

Ponieważ obecnie nie można robić oszczędności, dlatego też niema nadziei by można było powrócić na stałe do Polski. Wobec tego zrobiłem podanie o naturalizację by po sprowadzeniu rodziny można sobie spokojnie żyć bez obawy utraty pracy czy nawet wydalenia. Po powrocie żony z Polski wraz z dziećmi pójdą one zaraz do szkoły francuskiej a nawet i do polskiej założonej przez Sekcję F. E. P. w naszej miejscowości.

Jak już wspomniałem należę do Sekcji Polskiej C. G. T. i F. E. P. i byłem jednym z pierwszych którzy tę Sekcję zorganizowali na tutejszym terenie. Organizacje te odpowiadają moim przekonaniom i dlatego pracy dla nich oddaję się z zamiłowaniem i oddaję tej organizacji prawie cały czas wolny od pracy zawodowej. Z tej przyczyny nie mam czasu na osobiste rozrywki jak: kino, radjo lub na przeczytanie jakiej pouczającej książki.

Do polskich organizacji, będących pod wpływem tutejszych placówek rządowych, nie należę, bo uważam że należąc do nich, siłą rzeczy musiałbym się godzić na obecny stan rzeczy jaki panuje w Polsce. Pomocy żadnej od tych organizacji nie żądam bo C. G. T. wszystko mi załatwia i lepiej nawet niż inni. Dlaczego C. G. T. lepiej nam załatwia sprawy niż nawet polskie urzędy? Przyczyny tego anormalnego stanu należy szukać w dotychczasowej polityce zagranicznej polskiej która przez zbliżanie się do dzisiejszych Niemiec zraziła sobie Rząd francuski i wogóle całą tutejszą opinię. W konsekwencji większość spraw naszych emigrantów podawanych przez

polskie placówki tutejsze urzędom do załatwienia, została odrzucana, gdy tymczasem prawie każda sprawa podawana przez C. G. T. lub F. E. P. dobrze i szybko została załatwiona. Nawet tak wielkie dobrodziejstwo dla emigracji polskiej we Francji jakim będzie „Statut prawny" dla obcokrajowców będziemy mieli do zawdzięczenia C. G. T. i pokrewnym jej organizacjom.

Wziąwszy pod uwagę liczebność i wpływy jakie ma C. G. T. możemy być pewni że po zebraniu się Sejmu i Senatu projekt statutu napewno będzie uchwalony. Dlatego też nie tylko ze względu na me przekonania, lecz ze zwykłego uczucia wdzięczności, organizacji tej oddaję się bez zastrzeżeń i pracuję dla niej. Mam też i zadowolenie moralne, bo moi towarzysze poznali się na mojej pracy organizacyjnej i darzą mnie zaufaniem. Dlatego i ten pamiętnik tak długo piszę bo go piszę dorywczo gdyż nigdy nie mam czasu na systematyczne opisywanie mych przeżyć na emigracji.

Na zakończenie chcę jeszcze kilka słów dorzucić by zreasumować to całe opowiadanie i wyrazić moje poglądy na przyszłość. Jak już wiadomo z tego opowiadania, jechałem do Francji bez obaw bo nie jechałem z rozkoszy, dla zabicia czasu, tylko by los swój cośkolwiek poprawić. Jadąc wierzyłem że mi gorzej być nie może i to się spełniło. Ponieważ nadzieje moje były skromne to też i spełniły się w sto procent. Sądząc ogólnie jestem bardzo zadowolony że do Francji przyjechałem. Uniezależniłem się materialnie, mój poziom życiowy znacznie się podniósł i nie muszę się troszczyć co będę jutro jadł z rodziną (za wyjątkiem zaburzeń politycznych lub utraty zdrowia) jak również i moralnie mam wiele do zawdzięczenia pobytowi na emigracji. Tu znalazłem możność założenia rodziny, czego w Polsce uczynić nie byłbym w stanie. Jednakże poprawę mego losu w większości wypadków samemu sobie mam do zawdzięczenia. Nie schodziłem na manowce tutejszego życia i nie śpieszyłem się powracać do Polski, jak wielu moich znajomych, którzy teraz za wszelką cenę chcieliby wrócić z powrotem. Wracać do Ojczyzny po to żeby ją później przeklinać i przymierać tam głodem, to lepiej tu pozostać. Dlatego teraz wszystko czynię aby mój pobyt tu zabezpieczyć. Robię też w tym celu starania o naturalizacje bo jak wyjeżdżając do Francji wierzyłem że mi gorzej nie będzie jak w Polsce, tak teraz wierzę że warunki życiowe robotników i chłopów poprawią się nie prędko. Lecz gdyby przyszedł do władzy w Polsce

Rząd Robotniczo-Chłopski to wierzę że taki Rząd nie będzie mi robił trudności gdybym chciał wrócić do Polski z tego powodu tylko że przyjąłem obywatelstwo francuskie.

Dlatego też nie mogę uznawać Światowego Związku Polaków bo widząc na przykładzie Francji nie reprezentuje on wcale tutejszego wychodztwa. Sekcje Polskie C. G. T. i F. E. P. które grupują prawie że całą emigrację zarobkową we Francji, nie są wcale reprezentowane (trzeba przyznać że nie chcą) w Światowym Związku, gdy tymczasem organizacje tamże reprezentowane przez p. p. R. i K. prawie że nie istnieją bo ich członkowie przeszli gremjalnie do C. G. T. względnie do F. E. P.

Na zapytanie coby należało uczynić w kraju dla wychodztwa, nie uważam za stosowne odpowiadać, bo nie lubię łataniny. Uważam natomiast, że gdyby w Polsce dało się władze tym którzy ją żywią i bronią, to zagadnienie emigracji dla Polski by wcale nie istniało zwłaszcza dla emigracji zarobkowej. Przypuszczam że niektóre moje wyrażenia nie bardzo się będą podobać, lecz trudno odemnie wymagać też, bym pisał wbrew mym przekonaniom lub bym pisał fałszywie li tylko dlatego by się komuś przypodobać, ewentualnie by uzyskać nagrodę.

Wspomnę jeszcze o tem że jeżeli się spóźniłem z tymi Pamiętnikami to głównie z powodu tych ruchów socjalnych jakie się tutaj niedawno rozgrywały. Jako działacz C. G. T. na polskim terenie cały wolny czas od pracy zawodowej musiałem poświęcać tejże sprawie.

O nagrodę absolutnie mi nie chodzi, bo na nią nie zasłużyłem zresztą. Moją nagrodą będzie to, gdy te moje „Pamiętniki" będą objektywnie osądzone przez odnośne czynniki, a zwłaszcza gdyby chciano (zbyt śmiałe marzenia!) z tego wyciągnąć konsekwencje. Pozatem wierzę że Instytut Gosp. Społ. postąpi według oświadczeń poczynionych w prasie, celem zachęty do brania udziału w niniejszem Konkursie.

Dn. 25 września 1936 r.

Pamiętnik Nr. 21

Robotnik fabryczny, syn małorolnego z Lubelskiego, ur. w 1893 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

A więc przystępuje do opisu pamiętnika i zaczynam od dzieciństwa. Pochodze z małego gospodarstwa rolnego, wychowany byłem na wiosce pomimo że gospodarka nie była wielga to jednak od najmniejszych lat już byłem parobkiem u ojca mego co sprawiałem w ten sposób wielki zachwyt ojcu że mi robota idzie w ład i że nie będzie musiał najmać. Mądre ludzie uważali to za zły czyn ojcu, a heretyki brali to w zachwyt aby i swoich dzieci małoletnich zmuszać do pracy takiej jak ja wykonywałem w pierwszych początkach już od siedmiu lat paść cztery krowy na najmniejszych skrawkach ziemi nie obsianej i po małych nieużytkach gdyż pastwiska ogólnego wszędzie niema albo bardzo mało a więc że za dużo poddałem się i wierzyłem w łoszukańcze zachętki obiecywanych korzyści jak ubranie, aby karmić poić ścielić i nawóz wyrzucać zimą, a w ośmiu latach już mnie włóczył ze sobą w pole podczas siejby bronować po zasianiu parą końmi którym podczas gorącości z trudem mogłem rade dać jednak nigdy mi nie uciekli. Tu następuje czas szkolny ale tylko jak śnieg upadnie i moge chodzić dokąd nie zginie ale ta szkoła to była tylko z przypomnienia ciotki która często pisała do matki aby do szkoły dzieci posyłali a późni wysłać do nich do Ameryki, S. Z. A. P., aby nie tracić czasu w Polsce ale ojcu nie to było w głowie. Na jedenastem roku życia ciągnął mnie do lasu po drzewo kupione na materjał lub opał około 12 kilometrów od domu pomóc zerżnąć poprzeżynać włożyć grube lado, cień-

sze rękami siłą, niekiedy powrót do domu odbył się późno godzino a i w domu zara spoczenku nie było, a więc szkoła przerwana wszystkiego co chodziłem do szkoły rosyjskiej nie przekroczy pewnie stu dni, pomimo to gazete przeczytam i tera, po polsku jeszcze mniej uczyłem się bo polskich szkół nie było pomimo to czytam i pisze niekiedy i do urzędów w Polsce i odpowiedzi otrzymuje tu we Francji. Dalej o młodości. Mając lat 13-cie daje mi ojciec kose z krótkiem kosiskiem i mówi abym szed z niem próbować kosić to co on nazywał próbą to trwało od rana do wieczora albo od zaczęcia do skończenia rodnej koniczeny po której ledwie do domu przyszedłem, nieraz chleb był nie z miodem tylko z piołunem po wysilonej pracy, późni mając lat 14 już potrafiłem kosić na grabki owies i hreczke z odpowiednią czystością tylko w mniejszem pośpiechu za pół kosiarza pewnie. Następnie z nadchodzącą zimą niema mowy już o szkole, ojciec mnie ciągnie co dzień młócić i od tej pory przestaje najmować robotników do pilniejszych robót i cięższych jak to czynił przedtem, ale obowiązku i obietniców nie wykonuje grosza ni na co nie da mi. W 16-m roku życia ide do cukrowni w jesieni uporem no i jak robie na dzień to w nocy śpie ale jak robie na noc to w dzień musze mu pomagać robić do obiadu a po obiedzie śpie a w nocy na pół śpiący nieraz robie byle zdobyć pare groszy dla siebie, bo jeśli powiedziałem że robie a nic z tego nie mam ni ubrania poludzkiego jak kolegi, to mi odpowiedział a za co jesz. Nadchodzi lato robie co dzień i całe lato tylko zapłaty nie otrzymuje, a w niedziele trzeba paść konie tu należy dodać że mam całe chałupe sióstrów i braci, zwyczajem polskiem na wsi tak je, jako młodsze zajmują moje poprzednie zajęcie, do szkoły mają już więcy czasu a od roboty to nawet są ochraniane nazywane maleńkiemi dzieciukami przez matke i ojca, jak również młodszy brat o dwa lata ode mnie nie ma najmniejszej chęci do roboty, stara się wszystko psuć łamać i kaleczyć, rozumi że w ten sposób nie będzie zastawiany do roboty, kiedy ma 15 lat już zaczyna uciekać od krótszych robót a jak robota trwa pare dni to on potrafi każdy raz zachorować i zawsze i co rok to powtarzał ale do jedzenia nigdy się nie spóźnił, towarzystwo dla siebie zawsze wymacał z pod ciemnej gwiazdy, nieznajomego zawsze okłamał a wyrządzić pakość komuś to aż piszczał, przy tym przedemną się bardzo ukrywał kiedy sie spodziwał bicia od ojca

to poodziwał na siebie wszystkie marynarki a na wierzch palto nawet w lecie, a teraz jeszcze nawróce sie do wyży wspomnianej cukrowni. Chodziłem następnej zimy w taki sam sposób na zarobek dla siebie, a następne dwie zimy woziłem materjał na budowle z lasu z ojcem. Tak w lesie jak i na podwórzu potrzeba było dźwigać do ostatniej siły każde sztuke po kilka razy. Nareszcie dom wystawiony na miejsce starego i zamieszkały. Dalej zaczyna sie wojna, staram sie przy każdej okazji ukrywać konie w polu od furmanek z wojskowymi prowiantami tak przed rosyjanami jak przed austryjakami. Konie uratowałem, gdyż kilku gospodarzy zajeli na furmanke i gnali do Karpat a po kilku miesiącach wrócili uciekli austryjakom bez koni z płaczem. Na rok przed wojną wyjeżdża dużo rówieśników i kolegów do Ameryki, ciotka również pisze do Matki o dobrej sytuacji u nich i radzi Matce aby mnie wysłali do Ameryki. Matka je zatem a ojciec zaczyna robić rewolte przeciw matce że ona mnie bontuje do wyjazdu aby on na starość sam został. Na młodszych nic nie liczy przeciwnie uważa że to mój obowiązek na nich robić żeby oni żyli mojem kosztem pracy pomimo że już są wielkie choć nie wszystkie. Nareszcie w pierwsze zime wojny wołają mnie do wojska w styczniu, przyjmują i wiozą do Czelabinska za uralskie góry, ojciec z tem się zgadza, w cielęcych wagonach powstawiane piecyki, stajemy na miejscu po dwunastu dniach podróży w której jeden dzień dawali obiady na stacjach lub w koszarach począwszy od Jarowca dokąd trzeba było iść piechotą z Zamościa, po drodze było dwa noclegi a co drugi dzień przewodnik wypłacał strawnego po 25 kopiejek o ile sie nie myle, a lenją przez Kowno, Smoleńsk, Wiazme, Tule, Samare, to je bardzo bogata gubernia jak i również ostatnia Orenburska. Ziemia tam jak zgniły gnój, od stacji do miasta około dwóch wiorst nie było szosy, skonfiskowany wielgi dom Niemcu dla nas na koszary. Pierwsze dni ćwiczenia odbywali się z rana w koszarach a późni na placu, po paru dniach stale na placu wytrzemały dobrze byłem na 36 stopni mrozu, dowódca roty kazał dawać części folge do zagrzewania rąk, mówił że my z ciepłego kraju niezwykłe do mrozu.

Miasto Czelabinsk wielkiego zachwytu nie robiło, bo przy frontowej ulicy stoi duży dom a obok niego często można było spotkać małe jake bude. Żywność otrzemywaliśmy niezłe, mięso dwa

razy dziennie niekiedy zupa z rybą, było tego za dużo bo resztkami fedfebel żywił stado świń, chleba trzy fonty dziennie font 400 gram, to co pare dni sprzedawaliśmy doruszkarzom jawnie, do łaźni można było chodzić dodatkowo i w każdą sobote ale za swoje pieniądze. Stało tam wojska dwanaście rot, a później nawieźli jeszcze i tam niewolników austryjackich zabranych w Przemyślu 117.000, dowiadywałem sie że wicht otrzymywali taki jak my, niektóre narzekali na carny chleb i że nie dawano jem rumu jak w Austrji, mała ilość używana była do roboty za co otrzymywali po 20 kopiejek dziennie, font chleba białego kosztował dwie kop. przeważnie byli polacy i czechy, dyscypliny nijakiej nie widziałem nad niemi bo jeden żołnierz z karabinem prowadził do roboty około 100 chłopa i jeden cywil do pokazywania w robocie, ruszali się ślimakowem ruchem, nadzór nad niemi był łagodny, naprzeciw barbarzeństwa nad niewolnikami w Austrji co o sobie opisze poniży wszystkie przejścia i widzenia naoczne. Już po miesiącu ćwiczenia zaczenają wyznaczać po kilka ochotników z każdej roty i wysyłać na front, a na ich miejsce przywozić nowych na ćwiczenia ozbrojone w chodaki i pełne worki z sucharami i kiełbasami zasuniętych na kutke; ich poprzedniki udają chorych w dzień i rozżynają worki i wyjmują część zawartości a później szywają i wara nie widał nikto, partje często wysyłane a nas 30 młodych zatrzymane do pilnowania magazynów. Z końcem kwietnia zaczena śnieg i lód tajać i w maju zaczena się raptowna ciepła i bardzo przyjemna wiosna jakiej przedtem i dotąd nigdy jeszcze nie widziałem, ażeby tak raptownie trawa rosła, niespodziewanie się zachmurzyło i padał wolny deszcz prawie każdy dzień bez grzmotu a później ładna pogoda z wolnem wiatrem, po kilkunastu dniach tak duża była trawa że krowy rozsadzało na pastwisku, taka to jest Syberja. Spotykałem tam polaków zesłanych za polityke, przyjeżdżali do polskiego kościoła i księdza z bardzo ładnemi końmi, ziemi jem nie brak było. Natomiast nie widziałem tam żebrastwa. Polaki i tam by się zajmali polityką ale wśród kacapów jem to nie szło. Z końcem maja naznacza mnie z partją na turecki front występuje z prośbą do dowódcy roty że nie mam w tej partii ani jednego kolegi, dowódca się pyta kto mnie chce zastąpić, zgłasza się jeden rosjan który chce również z towaryszczom jechać a to dozwolone, tegoż dnia po obiedzie wołają nas z placu ćwiczeń i kto żywy to na ochotnika się musi zgła-

szać bo w Karpatach front przerwany, teraz mój kolega zgłasza się na ochotnika z chorą nogą że przezemnie sie nie zostaje i nie pomagają mu tłumaczenia dowódcy żeby się zatrzymał aż się mu noga wyleczy że i przez towaryszcza się naji jak byndzie głodny ale on nie słucha i jedziemy razem, po paru dniach już mamy wszystko i z młodych już nicht nie zostaje, nadzór je aby nicht nie ucikł. Ale za nami i na stacji to tak babuszki płaczą że aż sie zachodzą wiensują całują sie ze swymi a wtem już odjeżdżamy i to z takiem pośpiechem że tylko na dużych stacjach się pociąg zatrzemuje i za siedem dni wysiadamy w Brześciu Litewskim mamy zostać w twierdzy ale na drugi dzień stąd odjeżdżamy do Białegostoku, a stąd po dwóch tygodniach w marszowom bataljonie wyjeżdżamy już na front pod Bychawe i przydzielają nas do 10 sybirskiego pułku piechoty który przed paru dniami został rozbity przez samowolne rzucanie się do ataku, wygnali nawet austryjaków z okopów a później się cofneli z nakazu dla sprostowania lenji. Zbliżamy się do lenji w nocy i już jednemu kulka przeszyła noge który ani raz nie wystrzelił, na drugi dzień nie ma strzelaniny ale w następne dnie przeciwnik bombarduje na szczęście przelot, nareszcie jednego słonecznego poranka przeciwnik rzuca się do ataku na równej płaszczyźnie prawego skrzydła, ja z lewa na wzgórzu wszystko widze, rosyjany nie strzelają podpuszczają mniej więcej na 200 metrów, ich artylerja robi przelot wtenczas niespodziewany trzask karabinów maszynowych i ręcznych dano na przeciwnika z którego lenji prawie trzy czwarte nie wstało, po zaprzestaniu strzelaniny, takie sceny widziałem kilka razy, pomimo to w innych miejscach front był każdy raz przerywany i następywał nasz odwrót, następnego dnia już byliśmy w ukryciu okopane na płaszczyźnie a pod górą nam w tyle narzucano szmat przez nas co wzięto podejrzliwie z europlanu za okopy, wtenczas za plecami nam zaczęto bombardować może ze trzy godzin i byli pewne że już nicht nie żyje z nas i zaczeli nachodzić na nas bez obawy i na jakieś 150 metrów odkryto ogień ręcznych i karabinów maszynowych, popadali a później nicht z nich nie wstał, jęki było słychać straszne; jeszcze raz z za parkanu taka sama scena stała się, oni na nas następowali pod komendą wściekłego dowództwa, z tyłu ponad ich lenją nastawione były maszynowe karabiny na murach spalonej wsi i nieustannie biły do nas na postrach by ułatwić jem podejście pod nas, przez

tak zajadliwe i zawścieczone dowództwo również zostali biedaki wybite i około 400 rzuciło broń i uciekli do nas z chusteczkami w górze u rąk. Innego razu w momencie wielkiego huku został na nas kilku zdmuchnięty wał ziemi nad okopem na raczku z piaskiem w oczach i w ustach zaczeliśmy się ratować otóż okazało się że jeden z pocisków o kilka kroków przed nami upadł i po zaryciu się w ziemie odskoczył w tył wyrytej studni prawie gruby jak wiadro nie eksplodował, wtenczas zrozumiałem jego siłe i powietrza od niego, bywało i tak że i po pare nocy z okopu my odstępowali a na dzień zatrzemywali i kopali okopy co rano, aż cofneli my się pod Ostrów w sporządzone nam okopy w pół góry na widoku i cała wieś rozebrana na zakrycie okopów i tam z patrolu zostało złapane dwa niemcy i oni powiedzieli że jest ich tu cała dywizja do pomocy i przez dwa dni trzy baterje ciężkie każda z innego kierunku biły do kupy po okopach i drutach które wyfruwały w góre po kilkanaście metrów od pocisków, to samo się działo i z ludźmi, widziałem jak strzępy odzienia czy części człowieka osobno upadały wznoszone eksplodowanemi pociskami, na odcinku pare kilometrów które mogłem obserwować bombardowanie, nicht tam zdrowy nie został a i żywych niewiele gdyż światu widno nie było, wszystko było zmieszane z ziemią i na całem wzgórzu ziemia się trzęsła przez dwa dni. O Brześciu już rosyjany nie mówili że tam się zatrzymają. Właśnie tego dnia i ja zostałem ranny w noge ciężko i w plecy lekko byłem przyczulony do ganu w okopie a odstana lewa poła płaszcza została na strzępy podziurawiona odłamkami pocisku, gdybym był o tyle bliży toby mnie to spotkało. W dniu 9 sierpnia 1915 roku wtenczas każdy zrozumiał że tutaj jest szantaż dowództwa rosyjskiego które w tak widocznem miejscu wyznaczyło okopy i nie dozwoliło ustąpić dopuszczając całkowitej masakry, ja i wiele innych rannych i niewielka liczba zdrowych zostało zabrane do niewoli, po dodatkowem opatrunku odwieziono nas furmankami w nocy następnie pare nocy nocowałem po wsiach i w Krasnostawie i Zamościu w koszarach a stąd samochodami do Bełżca, w drodze zderzyło się dwa samochody, narobiły dodatkowego kalistwa. W Bełżcu nie mogłem dojść do wagonu, zobaczył to młody Niemiec i doprowadził mnie. W Jarosławiu wysiedliśmy a po dwóch dniach dalszy odjazd i to dość w dziki sposób bo w towarowych wagonach bez zdziebła słomy

i zamknięte z zewnątrz i pod nadzorem uzbrojonych a w Krakowie nas odemknięto i wydano obiadzine lichy jak i przedtem pare razy i znowu zamknięte pojechaliśmy do Berna i tu w szpitalu byłem trzy miesiące wicht i leczenie było niezłe a oddawanie pieniędzy do wymiany były obowiązkowe gdyż straszali rewizją i konfiskatą, przy tej sposobności okradali pół na pół a za srebro i złote ruble tani płacili od papieru, kto wierzył w ich postrach i oddał do wymiany tego okradli bardzo. Stąd odjechałem do Jozefsztatu, tu dowódca tego szpitala łagiernego był wprost złodziej i bandyta, zara na drugi dzień obrabował nas z bielizny dobryj i wydał podarte pozatem na jego wejście do baraku każdy miał stać koło łóżka i na podane komende smirno przez jego ruskich synitarnych lokajów to za poruszenie sie czy poślizgnięcie się kuli został każdy bez chleba na cały dzień i bez obiadu, kaleki mieli takiego kata i bandyte nad sobą, dawał jem ukoły w szczudła, zdrowszych odesłał do łagru, tu sienniki kładło sie na kant i tak spaliśmy jak śledzie sześć tygodni, a późni Polaków i Litwinów przewieźli do łagru miasto Plan i całe zime morzyli głodem, mąka z kości popiół słoma łupiny z kartofli z tego był chleb jak ziemia i coś 350 gram na dzień, a zupa 80 kartofli w kocioł na sto ludzi albo kwas rano herbata zaczerwiniona korzeniami z pokrzyw z sacharyną, 15000 ludzi zdrowe musieli iść do roboty, okręcali się w kołdry a nawpół boso lub w drzewiakach, a kto miał brzytwe to ogolił dwóch kolegów za grajcar komplet z włosami i cały nadzór nad nami złożony z samych bandytów, uderzenie niewolnika Polaka było za igraszke na robocie a skargi nicht nie przyjmał, aż przyjechała komisja z czerwonego krzyża dwie siostry z konsulem z Danji, tego dnia był dobry obiad i z rana każdy otrzymał mydło i paste, zwolnione od roboty do odnarużenia się i po złożeniu skargi na bandyckie postępowanie nadzoru Kochman i Szwarcman i rosyjskich żydów którem dana była władza nad kuchnią i wylewanie na głowy kwasu przy rozdawaniu i również używanie kolbów i bagnetow na każdym kroku. Późni niektóre bandyty były odwołane i trochy się polepszyło nam, na tej podstawie że w Rosji inaczej się obchodzili i żywili niewolników austrjackich którem się zachciwało rumu. Nadeszła wiosna 1916, wołają kto chce jechać na robote na wieś, zapisałem się i wyjechało nas dwudziestu do Czech koło miasta Taboru do folwarku z takiem karakulo żołnierzem że stale z karabinem za nami

łaził i nie dał cywilom z nami rozmawiać. Pan z naszej roboty był zadowolony bo każdy umiał, tylko my nie byli z niego często zadowolone, bo niekiedy w robocie jak było odejść i napić się wody to z jego strony powstawała kłótnia, bo płacił nam dobrze 15 halerzy na dzień, wszystkie godziny i minuty i sekundy byli płatne bo i do tegośmy ich zmusili przez żandarmów więc chciał żeby ani wody nie pić w robocie, jego brat młodszy wszędzie zachodził nam z tyłu i pisał kiedy kto przystanął chociażby nos utrzyć wołał że pójdziemy na poliwke z grochu do łagru, my rozpoczeli kłótnie aby zaraz to zrobił, następnie żołnierz musiał nam sprowadzić żandarmów którem złożyliśmy skarge że nie możemy go nasycić robotą aby nas zabrali gdzie indziej, gdyż cywile lepiej nie robią jak my za czarne kawe bez cukru, żandary na to wygnali go z nieskończonego urlopu na front z tyłu, o to mieli największą pretensje do mnie i jego matka całe lato mnie dzień dobry nie mówiła. Jeszcze kilka razy była kłotnia o zmuszanie do roboty i w niedziele za poliwke i pięć gram mięsa na dzień, wznoszenie skargi o bluzy spodnie i bielizne podarte zamienić, o wszystko potrzeba było bombardować, a dla młodego co dwa tygodnie byli wysyłane skrzynie żywności do sztabu. Nareszcie we wrześniu wrócił do domu i cały tydzień sie nam nie ukazał na oczy i późni do nas się nie mięszał jak na wiosne kiedy to fałszywie skarżył, że żandary sie wypytywali ludzi i wójta którzy staneli po naszej stronie. Nareszcie w grudniu ściągają nas do łagru aby iść na ochotnika przeciw Rosji, zmuszają głodem aby sie zapisać to dadzą lepszy wicht i żołd jak ich wojsko ma. Kilkaset sie zapisało dla uniknięcia głodu i dzikiego traktowania, ale wkrótce na protest Ameryki dali spokój ze szpekulacją. Na wiosne 1917 przez oszustwo wywieźli nie na role tylko duże partje na kolej pod front rumuński miasto Maroszwaszarhel powiększać tory przy stacji, życie jak w łagrze woda z mąką dwa razy kukurydziana na rzadko z sałatą nie cały font chleba, bez przestanku robić łopatą lub kilofem za 16 halerzy na dzień, nareszcie postanawiam uciekać, chowam sie po obiedzie ale wieczór nas szukają jak psy i znajdują dwóch, śpimy przez kolacji za to bo przecież dowództwo i cały nadzór złożony z bandytów aby głodem wojne wygrać ich zadaniem. Na drugi dzień do raportu przed oficera Polaka, ten nas zamyka i każe przywiązać ręce do nóg i tak spędzamy cały dzień, wieczór wypuszczono nas spaliśmy wszyscy nad szkołą na hyblówkach peł-

no pchłów, innem razem widziałem jak madziar bił ruskiego jak w drzewo trzonkiem od łopatki jaż go Niemcy odebrali, mówili da mu chleba to on nie będzie uciekał, byłem tam miesiąc, ostatniego dnia przybijałem szyny i wdałem się w rozmowe z kapralem madziarem jak madziary i austryjaki są traktowane w Rosji a on mi na to odpowiedział że ma listy od kolegi że mu dobrze tam je, a co do nas to nie jego wina. Po obiedzie prosiłem go aby mnie puścił po wode, kazał wartownikowi aby mnie puścił i wtenczas jak poszedłem niedaleko do studni i udało mi sie zbiec do lasa i więcy nie wróciłem za to kolegi nie dostali kolacji co jako to miało uniemożliwiać ucieczce. Przy dwutygodniowej wędrówce Rumuny mnie wszędzie pożywili i doszedłem z wielgą ostrożnością pod miasto Dziesz poczta Beklan i we wsi Arpaszto. Przedtem po drodze zatrzemałem się u Madziara dwa dni, woziłem siano a w wieczór mi powiedział żebym spał w obuciu bo jutro będziem pszenicę żąć buzo, ja jeszcze rani wstałem i poszedłem, ci ludzie nie będą mieli czasu nawet umrzyć. Natomiast w Arpaszto zatrzymał mnie inwalida wojenny Rumun jakie w całej wsi byli i do roboty zgodziłem sie u niego za cene jak cywile zarabiali dwie korony dziennie i życie i przebrałem się na ich mode. Okazali się bardzo dobre ludzie, z niemi obmówiłem aby trzymali sekret, robota moja się jem podobała bo lepi potrafiłem od nich a późni mnie nastręczyli drugiemu gospodarzowi co na wojne mu zabrali trzech synów te starowiny płacili mi jak poprzednie, tutaj wójt chciał mnie zabrać, gospodarz dał mu flache wódki i koguta i uspokoił się i tu dopiero zaczełem otrzymywać listy z Polski adresowane na gospodarza. Na zime jeszcze przeszedłem do innego gospodarza bogatego bo ten zaczął się skrobać że drogo biore od niego a roboty już ma mało, pocieszyłem go że wróce na wiosne a jak przyszła wiosna to te mnie wołają a te mnie nie puszczają i droży mi płacą, jak moge tak łagodze aby dali, nareszcie umarł gospodarz po operacji, bogaty pogrzeb był taki, naschodziło się kobiet i zaczeli piec placki i gotować potrawy przez dwa dni a trzeci dzień dwa popy zaczeli go kropić kadzić śpiewać w domu i w stodole nad niem i zanieśli na smentarz do grobu famielijnego, na krzyżu nałożyli wielgi obarzanek z ciasta i zdjął se ten co niósł, famielja i sąsiady wrócili do domu na konselacie i wszystka biedota i cygany z całej okolicy przyśli sami i najedli się wszyscy i po jednej szklance wina wypil

a później się modlili żeby jeszcze gospodyni umarła toby po drugiej sklance wina wypili.

(Tu jeszcze dodam o Czechach, do łagru to nam dały po jednym chlebie więcy jak po dwa kilo i po kawałeczku kiełbasy i koronke i statułe Matki Boski i po pietnaście halerzy za ostatnie dnie, a bluzy nam odebrał i dziękował nam za całoletnią prace a co było źle żebyśmy se nie pamiętali, mówił to ze łzami w oczach (fałszywy) i dodał te słowa pan Wodnianks z Drażyczek właściciel trzech folwarków gorzelni młyna i tartaku, pamiętajcie hosi chłopcy że slovan protiv slovana nie bojuje, służba i wszyscy znajome wyśli naprzeciw nam na pożegnanie i płakali, nasze miejsce zajeło 15 ruskich, na nich sprowadził żandarmów a ci ich wiązali do słupów że mu źle robili tak nam pisał do łagru ogrodnik).

A tera dali z pierwszej strony; po pogrzebie gospodyni mi proponuje abym nie odchodził tylko się żenił z jej córką rozwódką i mówi będziesz nasz, mnie sie ta strona nie podobała i nie chciałem z głupoty, już mówiłem po rumuńsku dobrze, ludzie są tam dobre ale dziwaczne i bardzo stary system utrzymują we wszystkiem, chodzą do popa robić za darmo, czepił się i mnie musiałem pójść bo sam gospodarz powiedział że pop może nadesłać żandarmów, nie zapłacił mi 2 h. a tej nocy wiózł dwie fury zboża do miasta i żandary mu zabrali, dodać należy że wszędzie u małych gospodarzy gdzie był jeden niewolnik to miał dobrze i płacono mu jedną korone na dzień, teraz 6 czerwca 1918 r. odchodze z Arpaszto pieszo do Polski, zwabiony byłem listami, dużo uciekało ale i dużo było łapane niewolników, żywności mogłem se wziąść ile zechce, pieniędzy miałem przeszło 800 koron pozaszywane i już pod pierwszą górą w lesie pod Karpatami natknąłem się na bandytów, zastąpił mi droge z dubeltówko i dwoje z kijami i wołają rozodziwaj sie i dawaj odzienie i pieniądze pomimo że byłem w strachu odpowiedziałem że nie oddam odzienia bobym umarzł w lesie, próbowałem obchodzić ale stale mi zabigał droge i wołał że strzeli a ci z tyłu podlatywali z kijami uderzyć mnie ale i ja miałem take laseczke biskupske i oganiałem się nią tak że odskakiwali odemnie i często sadzałem rękę do kieszeni robiłem jem stracha że mam liworwer, później powiedział daj pieniądze to cie puszcze, ja wyjołem 10 koron i chciałem się zbliżyć do niego aby go złapać za lufe, uważałem że go zmoge, ale on odskakiwał i wołał rzuć i nie

podchodź bo strzele zara i zawołał że to jest mało abym oddał z portmonetem, te zostawiłem w kieszeni a wyjołem portmonet było w niem trzy korony i znowuż chciałem dać mu do rąk aby złapać za lufe ale on wołał do mnie rzuć a nie podchodź bo strzele i stale mi zagradzał droge od kanału, ja myślałem na dwoje może dubeltówka być i pusta a może być i nabita a do lufi nijak nie da podejść, szamotanie już trwało długie chwile więc rzuciłem portmonet naprzód w strone od niego, on poleciał po portmonet a ja rozproszyłem tych z kijami długiemi i sam przeskoczyłem przez kanał po sterczących kamieniach w bystrej wodzie i w tej jeszcze chwili wołał na mnie stój bo strzele ale ja tu uciekam i zacząłem gwizdać, oni się nie odważyli gonić, myśleli że jestem nie sam. Miałem jeszcze ze dwie godziny do nocy tak że daleko w las zaszedłem i tu znalazłem moczarów kawał i źródło, napiłem się wody i zjadłem kolacje i położyłem się pod gałęziastem bukiem bo już było bardzo ciemno w gromadnem lesie, w nocy przebudziłem się od szepurtania liści coraz to bliży, ja kaszlnełem głośno i przestraszyłem zwierza który się nawrócił z wielgiem skowykiem aż się po całem lesie odbijał ten skowyk, wiedziałem że już teraz żaden zwirz do mnie nie podejdzie i spałem do rana, a rano dali w las, na góre potrzeba iść pół dnia dobrze a z góry po śniegu w czerwcu za pół dnia nieraz nie można zejść gdyż natrafi się na oberwane ściane ponad którą kilka kilometrów trzeba iść z wielko ostrożnością aby nie upaść w dół o kilkadziesiąt metrów w dół gdzie biegnie woda ze śniegu aż się pieni, gdy znalazłem możliwe zejście to zeszedłem a gdy nie to nocowałem na śniegu. Możliwie przy ogniu, gdy na drugi dzień zeszedłem to i przez wode w każdem miejscu sie nie odważyłem przejść tylko gdzie widziałem kamienie sterczące a potem zara zaczynała się druga góra ze strasznem lasem który na miejscu gnije od starości pada i tak bywało że z góry obserwowało się którędy na drugą góre łatwi wyjść ale nie zawsze można było zbadać, wyjdzie się na szczyt a tam sie zaczynała druga góra a jak wyszed na szczyt to jeszcze i trzecia się ciągnie, pod góre bardzo ciężko iść po wielgiej trawie liściach jeżynach niekiedy musowo to omijać żeby nie naruszyć gadów a w plecy słońce pali, wszystko przemakało od potu. Mokre koszule trzeba było na noc zdyjmać z siebie, gór tych nie pamiętam ile przeszedłem bo notesa tego teraz już nie mam. Jednego razu zauważyłem z góry na góre

niby wyrąb i w tem kierunku poszedłem, okazało się że to byli jodły połamane od pocisków na wielgiej przestrzeni od pół góry do szczytu, kiedy tu zaszedłem niejako było się wracać bo z brzegu leżeli jeszcze jodły pojedyńczo a coraz dali to już leżały pokrzyżowane po kilka na kupie, było narobione w rodzaju kładek po gałęziach, musowo było wyłazić jak na zrąb i wyży a późni złazić do klatki i znów to samo przez cały dzień to trwało, nareszcie nad wieczorem już się skończyło i jeszcze dalej natrafiłem na okopy, budki sanitarne różne przyrządy jak maski gazowe, był tu nieco rzadszy las, a na dole porobione drogi z drzewa poukładane nad potokiem, po tych drogach jeździli wozy i kuchnie rosyjskie wtenczas pomyślałem se jak ruskie dowództwo było głupie, w innych miejscach spotykałem czyste góry zarośnięte trawą naskładane stogów siana albo wielgie stada baranów sie pasło, owczarze doili owce i wyrabiali syry i częstowali mnie nieraz. Psów mieli po kilka od których nie można się było obegnać gdyby nie owczarze pośpieszyli na pomoc, byli i takie miejsca gdzie między górami nad potokiem na malutkiem placu stało dwa albo trzy domy malutkie, niewiadomo z czego tam żyło kilkoro ludzi nie ostrzyżonych i nie ogolonych jak żyją. Garnitur swojej roboty jak z worka, mają po kilka owiec, rzadko spotka krowe, zlewają mleko do dziski, każdy dzień bez mycia kwaśne i śmierdzące, jakoś jem smakuje, ja tego nie mogłem jeść, tak żyją rumuny i rusiny w tych górach. Pisze to w skróceniu bo bym nie opisał nie wiem dokąd. Kiedy góry już rzadsze sie robili zaczenali sie drogi nad potokami i doprowadzali do małych wiosek, tu już naczęszczali żandary co często mnie ludzie ostrzegli inaczy wpadbym jem w ręce. Jednego razu zmuszony byłem się zatrzymać w rowie przy drodze w pobliżu takiej górskiej wioski, zmusiła mnie do tego mgła taka że nic nie widziałem przed sobą i przekonałem sie że jestem obok komisarjatu, oj zadrżała na mnie skóra że już przepadnie tyle trudu, nad ranem troszka się rozwidniło i mogłem odejść, zawsze byłem poinformowany gdzie sie znajdują posterunki w następnych wioskach góralskich, wszystko spisywałem se w kierunku w jakiem szedłem na Marmuros Sigiet, miasto Kieresz Medze obszedłem w nocy drożynami poinformowanemi przez ludzi, inaczej byłbym tam zatrzymany, po wyjściu z gór było już iść lepiej ale każde miasto trzeba było obkołować i to najlepiej w nocy, trafiałem i na takich ludzi co wskazywali najlepsze dyrekcje

wprost na posterunek ale ja ich poznałem bo miałem wszystko spisane, byłem nawet pare razy zatrzymany przez cywilów ale na prośbe mnie puścili, za pomaganie łapać mieli płatne 100 koron za osobe. Kierunek wziołem na Brody i tak przeszedłem przez Kołomyje na granicy przez wode i o wartowniku byłem poinformowany za pieniądze. Na Ukrainie już sie nie bałem, zara jechałem kolejo za pieniądze do Proskurowa a tam wydano mi przepustke wolnej jazdy i aby podstemplował komendant niemiecki, ja sie bałem do niego pójść bo i tam łapali niemcy. Przyjechałem do Równego ale i tutaj inaczej się nie dało zrobić, tu i tam dostałem jedzenie w komendzie ukraińskiej, nocowałem na wsi i z wielgiem zainteresowaniem sie dowiadywali jak tam żyją nasze plenne, a jeden chachoł odpowiedział tak, ta szo wy jeho spraszujete win tak baczył w ałstryju kak i wy batiki, chachłowi sie nicht nie podziwi, przyjechałem do Hołob w nocy, tu wszystko wysiada i niemcy kontrolują i wszystkich ustawiają w rząd z którego mi się udało ucic popod wagonami aż na wylot i doszedłem do Bugu, niechcący znalazłem trakt — koniom wpół brzuchów woda, ale żołnierze rewidowali furmanki z obuch stron, zaczekałem do nocy w starem budynku, w nocy żołnierze spali a ja obok nich przeszedłem przez Bug i nie słyszeli. Dalej trafiałem na warty które rewidowały furmanki przy ogniu co mi ułatwiało przypatrywać się i obkołować przez zboża, w ten sposób jem w ręce nie wpadałem i przez całe droge bez przewodnika dwa razy w lesie błądziłem, w dzień pochmurny obchodziłem dookoła i po paru godzinach się zorjentowałem że już tu byłem. Mape miałem w głowie a za kompas mi służyło słońce, tak w górach jak i na równinie często szedłem śladami zwierzyny dla prostej lenji, już od samego Chełma trafiałem na ludzi wieczorami co mnie chcieli nocować abym się wrócił z niemi o jaki kilometr ale ja ich przepraszałem gdyż nieraz szedłem kulawo, nogi opuchnięte byli i rane odczuwam bardzo, trafiali i na takich co mnie sie pytali co mam do sprzedania, nabywce chytre, od początku i do końca dużo razy byłem zapytany czy mam duhan, tabak, tytoń. Nareszcie doszedłem do domu dnia 27 czerwca 1918 r. niespodzianie, ojciec się ucieszył i zaczął mi składać nieskończone skargi lamenty że wojna go zniszczyła, Niemcy zabrali wszystko i konie i późni stale zabierali za bezcen co było, że nie miał z kiem robić bo synek nie chciał a postępywał jak niemcy i austry-

jaki do czego sie dorwał, do roboty przyprowadzał cały sztab ozdrowieńców austryjackich z koszar, czterech nie zrobiło za jednego, ja to zlikwidowałem, to on zaczął udawać przy każdej robocie ciężko chorego jak z początku opisu. Opuszczony urodzaj w ciągu dwóch lat zdubeltowałem i dobytek, lecz z tego nie miałem nic, próżniaki żyli mojem kosztem. W Rumunji zarabiałem czyli robiłem na siebie a w domu na próżniaków. Trwało to prawie pięć lat i widoków najmniejszych nie było i ludzie zwracali mi uwage że obrabiam 20 morgów na pańszczyźnie i hultaje żyją mojem kosztem. Ojciec stale mi przypominał że mi tego nie zapomni abym dalej robił, o żadnej pomocy czy o udzieleniu części słyszeć nie chciał, bo miał doradców chciwie obłudnych. Potajemnie pożyczali u niego pieniądze i oddawali po kilkunastu miesiącach te same liczbe i bez procentu jako przyjacielowi, a rzeczywista ich wartość już spadła najmniej 95%; należy dodać że w wojne matka umarła, ojciec się sam tak mądrze kieruje, nareszcie zrezygnowałem i późni zarobiłem pieniędzy na droge i wyjechałem.

Wiadomości o sytuacji we Francji dla robotnika miałem niewiele, jednak o zarobku małem na kontraktach wiedziałem, przez to starałem się wyjechać swojem kosztem co mi sprawiało wielgie trudności bo mieć do czynienia z urzędnikami w Polsce to tyle narobią trudu i kłopotu z wyciąganiem i opłacaniem najrozmaitszych papierków po kilka razy co nie istnieje w żadnem kraju, raz urzędnik w starostwie mi odradzał jechać do Francji jak i wiele innych że najlepiej to w swojem kraju ale ja ich nie słuchał i wyjechałem okrętem do Hawru, tu po wylądowaniu 2. 4. 1925 w porcie jeszcze roboty nie było. W stołowni dzienny wicht i spanie kosztowało 11 fr. i tego samego dnia w wieczór wyjechałem do Paryża, na drugi dzień w Paryżu znalazłem pośrednistwo pracy, chcieli mnie odesłać do kopalni lub do cegielni. Nie chciałem, to kazano mi przyjść na drugi dzień, więc znalazłem se koleżke i chodziliśmy razem nie omijając i karczmy na jego życzenie, a wieczorem zachodzimy do hotelu i zapytujemy się gospodyni czy ma mieszkanie do wynajęcia, odpowiada że jest, a na którem piętrze, na każdem i na którem chcemy wynająć pyta, a jakie ceny na każdem zapytujemy, a ona nam odpowiada na pierwszem piętrze kosztuje 40 fr., na drugiem 35 fr. a na trzeciem 30 fr., a na czwartem 25 f. a na piątem to jest na ostatniem kosztuje 20 fr. tygodniowo a to już ostatnie

piąte je, tak tak, to ostatnie, a to bardzo szkoda odpowiadam to przepraszamy bardzo że nie będziemy tu nocować bo pani dom jest za niski dla nas bo mój koleżka mnie poszturkiwał że obok jest hotel o jedno piętro wyższy i że na tem zarobiem na dwa litr czerwonego bo jemu od tego aż nos poczerwieniał, istotnie w drugiem miejscu nam się opłaciło ale wynajeliśmy tylko na jedno noc, wyszedłem jeszcze na miasto a później na dworzec, tu podyszed do mnie elegant i zapytał mnie w ruskiem języku czy jade gdzie za robotą i kto jestem polak może, tak tu przyjechałem a gdzie rabotajetie, nigdzie, wot ja toże Polak rabotaju po europłannoj czasti master, od kuda wy, iz Koła w radomskom da da no to mów pan do mnie polsku ja nie mogu potomu czto ja wsio wremia żył w Rasiei eto nie dieło, kak niet ja zabył, jeśli wy choczetie ja wam napiszu pismo do direktora a on was wozmiot i budietie charaszo zarabatywat, a za eto jeśli wy mnie datie 50 fr., siejczas, a za darom nie możetie dat adresu, franki ostawit na posle, niet brat za darom nie mogu potomu czto ja uże mnogo dawał a potom ja niczewo nie połuczał, tiepier i swojemu otcu nie wieru, a ja tiebia nie wieru i odchodzi od mienia, wor proklaty siejczas a to stujkowego pozwu, on izwienitie i w tył zaczął się cofać, za pół minuty już go nie było. Polaków spotykałem dużo na wpół łazarze, skarżyli sie że nie mają roboty, a za to mnie stręczyli robote, za darmo dawali adresy na prowincje, później otrzymałem gwarantowano robote i że za bilet będę miał zwrócone 35 fr. 55 c. jeśli tam będe robił, pojechałem w departament Ardennes, na drodze ciekawskie dwie panie zapytali mnie sie dokąd jade z bagażem i kto jestem, po odpowiedzi zadużo mnie się wypytywali, na wszystko nie mogłem odpowiadać, wychyla sie z przeciwnej strony młodziak i zapytuje mnie, sprechen zi dojcz, odpowiadam ja wohl, zaczyna sie rozmowa między nami a ci zapytują go sie czy naprawde my się rozumim, ten odpowiada że tak, wtenczas dużo sie wypytywali a ja jem odpowiadał, część rozmowy dotyczyło Polski, w Carygnan my wysiedli razem, zaprosili do restauracji robotniki na czerwone, później wskazali kierunek 6 kilom., pieszo i podziękowałem jem i rozstali my się o 1 p. p., na wieczór byłem już na miejscu w sobote, a w poniedziałek 6 kwietnia poszedłem do roboty akordowej która trwała nad miesiąc pare dni, zarobiłem 997 fr. przy kanałach a więc w pierwszem miesiącu zarobiłem na

wicht i podróż mi się wróciła z górą, papiery zara w pierwszych dniach otrzymałem, tymczasowe zaświadczenie a przy każdem przejeździe posyłałem nowy adres, robota była przerzucana z miejsca na miejsce, po skończeniu na drugiem i na trzeciem miejscu zarabiałem jak powyży, przejazd gospodarz opłacał i mieszkanie, a dwie dniówki zawsze było stracone, na czwarte miejsce my trafili do księdza F. K. dość grzecznego dawał wino i podwieczorek, robota tam była nieopłacalna, z wielgiem trudem na wicht i mieszkanie 13 f. w restauracji dało się zarobić według obiecanej ceny, podmajstrzy nam usilnie tłumaczył że poprzedniośmy dobrze zarobili, ale ja z kolegą odszedłem i na drugi dzień po obiedzie zacząłem robić za 500 f. miesięcznie i z wichtem i spaniem w Dep. Saone, podróż mnie kosztowała 38 f. i 22 f. za pierwsze zwracałem przy odejściu, późno w jesieni zaproponował mi gospodarz obniżke na pół bo je mało roboty i krótki dzień a ja pomimo że było nieźle z wichtem odpowiedziałem mu że w takiem razie odejde po ośmiu dniach, nie moge czasu tracić, nie do smaku mu to było, zimowego zarobku ja se nie wymówiłem, bo ja sie targował o letni zarobek jak z żydem ze 400 na 500, tłumaczył mi że lepiej nie znajde abym nie odchodził to na lato znowuż tyle mi da od orania, powiedziałem że wróce na wiosne a tera nie moge czasu tracić w Cernay, rozstali my się dobrze prosił żebym pisał do niego, wtenczas było o robotnika dobrego trudno, przedemną trzech polaków mu odeszło razem że cofał zygar, to mu zgniło ze 20 wozy siana, nie miał chłopów do koni, potem dostał ich adres i pisał jeden co był u niego i na kontrakcie wrócił do niego a drugi w innem miejscu zaczął robić, wołał i jego i zafundował mu a on i tak nie przyszedł, trzeci został w Alzacji u swego bracisty tak nazywał on, razem byli tam na kolei, nie podobało jem sie tam bo padał deszcz stale a gospodarz nie pamiętał jem straty. Miał i caryste, mówił mu że jak robi to nie pali, gospodarz myślał że ma dobrego robotnika, a potem widział że ruski se siada 15 minut do palenia, o to sie pokłócili, rus mówi tibie nie ponrawidsia i nie nada dawaj razczot i poszed a był płatny wszystkie godziny i minuty i sekundy, a nie robił tak. Nareszcie od niego odszedłem z uściskiem dłoni w sobote a w poniedziałek po obiedzie zacząłem robić, po trzech tygodniach te robote rzuciłem bo mi się nie podobała a już miałem inne robote, po 5 tygodniach przeprowadzałem sie i z mieszkania, przyszed

tam Polak do restauracji za dnia a wieczór mi złożył meldunek taki Pan Polak, tak, a i ja Polak, jak sie panu powodzi, a tak se średnio, acha, ja tu przyszedłem i francuzy kolegi zawołali białego wina i dobrej przekąski my to zjedli i wypili i oni nie mają pieniędzy zapłacić i ja nie mam możeby Pan to zapłacił za mnie jako pan Polak i ja Polak, ja odpowiedziałem co wyście jedli i pili, no mówiłem już co, zapłać pan, no ale ja nie widziałem, może wyście nic nie pili i nie jedli, piliśmy pili i jedli, pytam a zaczem pan tu przyszed, za robotą chodze, na to tu potrzebno gdzie te kolegi robią tu ciężko i mało płacą a jak tu przed wojną było pytam go, e panie tu przed wojną było dobrze odpowiada mi koleżka wielgi do sufitu, a ty z przed wojny kundo tu jesteś pomyślałem se i masz take chęć żryć i pić na czyje kieszeń, sam sobie rady nie dasz. Ostawiłem ich niezadowolonych. Na nowem mieszkaniu gospodarzów miałem takich zuchów że chcieli od lokatorów wyszmanić wszystkie pieniądze, sprytu jem wystarczyło, ale ja zgapowałem i nie dałem się a za miesiąc odszedłem tu gdzie jezdem już jedenasty rok w jednem domu i w jednej fabryce metalowej odlewnia miedzi bronzu i aluminjum, walcownia blach na gilzy do pocisków i małych kulek do karabinów i innych kalibrów broni i do polowania. Tu po odejściu o czem pisane na poprzedniej stronicy w piewszem miesiącu zarobiłem około 600 fr. bo wszystkich dnie nie robiłem, odliczyć koszta przejazdu i bagażu noclegów niewiele byłem wygrany, ale w następnych miesiącach zarabiałem po 900 fr. a po roku była podwyżka, zarobek się podniósł ale pierwszy kwartał 1927 roku był zastój wywołany przez podrożenie franka, ze 46 na 26 za dolara, robili my po cztery dni w tygodniu ale pół robotników było wypłacone jeszcze z jesieni i aż w drugiem kwartale zaczeli być przyjmane stopniowo, ja nigdy nie byłem wypłacany, zawsze pod jednem podmajstrzem robie, jak jaki Polak mnie prosił aby go tu przyjeli w czas trudny ich prośbie zawsze zadość uczyniłem, o ile wiedziałem że są to poważne robotniki, jeden z takich mówił za swojem kolego, odpowiedziano mu dwa razy że niema miejsca, zwrócił się on do mnie, ja zapoznałem się z niem i na trzeci dzień mówiłem o niego, odpowiedziano mi no to niech przyjdzie ale aż po 9-tej, aż chmura bezrobotnych odejdzie, moja protekcja była skuteczniejsza, zaznaczam że nigdy nie wziąłem ani centa ni od kogo za to i picia nie przyjmowałem też i dlatego nie

obawiałem sie że ja za łapówki wsadzam tu rodaków, jak to sie zdarzało w innych fabrykach, zaznaczam że w 28 i 29 roku robota szła szalenie i protekcji nie potrzeba było, ale kto miał to nie straci bo za protekcją lepszy zarobek który sie dostaje prawie samem szwagrom tutejszem. Właśnie w tem dobrem czasie zarabiałem po 1200 i 1300 i po 1500 f. i więcej, rzadzi wyjątkowo miesięcznie zarabiali i po więcy ale w różnych przedsiębiorstwach co robili po 14 godzin na dzień bo wtenczas nie było bezrobotnych. Wicht w restauracji obiad kosztował 6 i 7 i 8 franki i więcej, ja w Paryżu zjadłem obiad za 20 f. i nie był lepszy, zależy w jakiej restauracji. Oprócz wichtu są jeszcze duże rozchody, naprzykład tu wode piją gęsi, a ludzie piją wino i jabłecznik, co powoduje znaczne wydatki, jedna Polka krzyczała tak Fronek nie pij wody bo umzes, większe było słowo niż ten Fronek co miał cztery lata, poszła do miasta i kupiła bukiet kwiatów a na chleb już nie miała a Fronek zaczął krzyczyć jeść to sprawiła mu lanie i położyła go spać, bo ojciec pojechał za robotą i zabrał wszystkie pieniądze bo tak dużo mieli, jechał z powrotem i został w Paryżu spać, zapłacił hotel z kolacją 16 a do domu kosztowało 2 f. i 20 minut jazdy, robił niby oszczędności bo jutro miał znowu jechać za robotą, a próżniaki oboje jak cygany, u głupich ludzi w kieszeni są plewy a nie pieniądze, oni tylko umieli zazdrościć drugiem. Ja przyjechałem do Paryża z bagażem, wdał się ze mną w rozmowe konduktor dokąd dalej pojade do Argenteuil no to niema dalej pociągu musze wziąść samochód i podniós ręke a samochód już je przedemną i prosi wejść co ma kosztować na Saint Lazare 15 f. to przepraszam bo za drogo, taka cena, inaczy pan nie dojedzie, dlaczego pojade ałtobusem, a późni gdzie pan jedzie do Argenteuil no ja pana zawioze aż na miejsce za 15 f. bo widział że sie nie dam nabrać, przeprosiłem ich i przeszedłem przez droge do ałtobusu z napisem gare St. Lazare a stąd koleją to i to kosztowało po dwa franki. Przyjechała jedna Polka z Polski prosto do Paryża z dzieckiem, wzieła samochód i pod wskazany adres szofer ją przywióz, z mężem w Paryżu sie nie spotkała dała szoferowi 100 fr. ten sie ładnie ukłonił i podziękował no i pojechał nie wydał reszte, a ona sie na tem nie znała i nikogo nie było na te pore co by się nią zainteresował. Te Polki oni tu niemało komedjów narobili ale i chłopaki takie byli, kazali sie w Paryżu gdzie zawieść do konsulatu albo gdzie indziej

szofery jeździli po wszystkich ulicach i narobili kilometrów na liczniku kilka razy więcy niż potrzeba a pasażery polskie płacili po 50 f. A jeśli chodzili pieszo to sie natchneli na oprysków polskich na każdem kroku które ich doszczętnie obrabowali w najdelikatniejszy sposób tak dziewczyn jak i chłopaków. Ma sie rozumieć że nie wszystkich, ale i jeszcze sie to stale powtarza pod pretekstem wymiany na fałszywe dolary marki niemieckie przedwojenne, ba nawet rozmienili 2000 marek polskich w restauracji w podstępie złotówek, francuzy też ochwiarą padali, garstka oprysków obczerniała ogół polaków albo zapraszali do restauracji pokątnej i tam usypiali papierosami lub piciem i rabowali, a jak z opieki czy konsulatu utworzyli przewodników z opaskami na rękach to oni se takie pozakładali co jem to jeszcze lepiej ułatwiało, a również na takich natchnęłem sie i ja polaków w Paryżu, dwóch i jedna kobieta z niemi przedstawili mi sie szefami i abym jechał zaraz z niemi to mi dadzą bardzo dobre robote, zapytałem sie a gdzie to je, tu niedaleko, no to dobrze tylko ja zaraz nie moge jechać bo mam ważne sprawy do załatwienia to prosze mi dać adres to ja przyjade tam po obiedzie, a oni sie oburzyli na mnie że jeszcze jem trudności robie jak mi chcą wygode zrobić zaraz jako polakowi to ja odkładam na poobiedzie, ja już tu byłem rok a jem mówiłem że przyjechałem z prowincji, adresu nie dali ja wiedziałem z kiem mam do czynienia a oni też, na ulicy się bać nie potrzeba, chociaż z pieniędzmi sie je, policji tam nie było blisko. W taki sposób wyłudzali łapówki i okradali nawet i z papierów osobistych polaków łatwowiernych, takie wypadki były ogłaszane w gazetach. Albo to tylko obce krzywde robią, Polka otrzymała list od ojca dziękował jej za pieniądze i pisał tak przysyłaj moje dziecko kochane ile tylko możesz jak wrócisz to ci za to dam krowe wysłała mu przeszło 4000 f. za to da jej krowe. Znałem jednego polaka który wysłał ojcu 19000 f. na kupno ziemi on mu odpisał tak, kochany synu dziękuje ci za pieniądze za które kupiłem ziemie ale dlo tego chłopoka co robi w domu, a ty módl sie proś Boga żeby ci dopomóg jeszcze zarobić to jok przyślesz drugi roz to już tobie kupie, on sie i na te łaske zgodził. Takich ojców omijać należy, gdyby oni tu przyjechali toby padali ochwiaro i bez portek by chodzili jak wiele innych i z temi co na piechote wrócili do Polski nawet w najlepszy czas. U nas na urządzonym teatrze w swoim czasie wypo-

wiedział mowe Prezes Malarzy Polskich w Paryżu, że bardzo mu je dziwno że robotniki polskie tak sobie mogo dobrze radzić we Francji bez przewodników o trudnej mowie wszędzie znajdą robotę i wynika z tego że są zadowolone i przyzwoicie ubrane i w dnie świąteczne zachciwa jem sie jeszcze po ciężkiej pracy urządzać teatry i zabawy polskie, co cieszy mnie bardzo, gdyż ja jako prezes malarzy polskich miałem w swojem gronie artystów malarzy i różnych specjalistów inteligentnych i maturowych i nie mogli tu znaleźć utrzymania w obcem kraju tak jak wy bez żadnych maturów, widze że nie jesteście w tyle od robotników miejscowych. Dziękował dyrektorowi który tam był z żoną za zatrudnianie Polaków w swej fabryce, on na to odpowiedział bo je z nich bardzo zadowolony, i że wiele z artystów wiele poszło piechotą do Polski tak mówił. Ja spotkałem w Paryżu Polaka który mnie sie pytał gdzie tu jest to sie jedzie 39 aby zajechać na dworzec północny, chciał do Polski jechać, chodziło mu o tramwaj, on cały tak wyglądał: worek pokrzywkowy przez ramie przewieszony, dwa kilo chleba pod pachą i zajadał. Najłatwiejsza jazda po Paryżu to podziemną kolejką metrem, ja po małem wytłumaczeniu zaraz jeździłem i za 45 centimy wszędzie dojechałem, tera kosztuje 70 c. II k.

Teraz w dalszem ciągu o swej fabryce, ja tu byłem i jestem dobrze traktowany, a bezrobocie spowodowały nowoczesne maszyny które zastąpili wyrzuconych robotników, żeby znaleźli take maszyne coby z niej co godzina wyskakiwał samochód czy europlan czy tanka czy harmata toby ją zara kupili i nie płaciliby przy motorach ślusarzom 9 f. na godzine, a motor i nadal by sprzedawali po półtora miljona, jak byłem chory płaciłem po 44 f. dziennie za szpital w Paryżu trzy tygodnie, a ubezpieczalnia zwróciła większą połowe, a przy drobnostkach to i nie idzie sie po zwrot bo więcy trudu jak zysku. Od zarobku płaci się podatek od przekroczonej sumy uznanej na utrzymanie 6%, dolicza się niektóre rozchody związane z zarobkiem, jazda, jadanie obiadów w restauracji bo ci co mieszkają w hotelach to wszystko i w hotelu zostawiają, zawsze koło bufetu tylko chodzą, oni też należą do tych co wpadają z deszczu pod rynne i zawsze kłoda jem pod nogami leży. Są takie samotne i żenate, stale na lato znaleźli robote na kontrakt a na zime zostawali bez roboty i potem głodny i bez pieniędzy znowu to samo dookoła Wojtek co rok, takich nie brakowało. Warunki życia w stosunku

do polskich są takie że lepiej nam tu w piątek jak w Polsce w niedziele, bo przecież podałem wysokość zarobków z których mam znaczne oszczędności lokowane tu na miejscu i trochy w Polsce P. K. O. Moge założyć własny warsztat pracy a gdzie to oplanuje później gdy zrobie wizyte w Polsce, bo alarmują że straszna tam bieda i nic sie nie opłaca, jedynie żebranina istnieje i drzwi sie nie zamykają co sprawia przecież wstręt do powrotu do takiego kraju i systemu, gdzie można też na dziada zejść za krótki czas, a tu się opłaca robota handel i rolnistwo i hodowla i nicht ni na czem nie traci i frank do każdego dotrze i nad każdem słońce świeci, dotyczy to przeważnie miejscowej ludności a gdy jem dobrze i obcym dobrze. Otoczenie miejscowej ludności w stosunku do mnie dobre bo inaczy bym tak długo nie móg tu być, w wolnem czasie czytam gazety miejscowe czasem z Polski, na książki brak mi czasu. Podczas nienawiści ostatnich dwóch lat gazetami na polaków umiałem wszystko wyjaśnić francuzom, a niektóre jak sie blagi naczytali że Piłsudski sie pokumał z Hitlerem trudno ich było przerobić. Dobrze uspokajał otwarty list G. Gureckiego, dawałem francuzom do czytania go z czego sie dowiedzieli ile na Polsce zarobili na handlu i procentach i czy polaki tu same przyjechali czy ich żądali usilnie. Dużo mi to pomogło, radja nie mam ale czasami słucham, raz głosili że w Polsce umiera rocznie 300.000 na suchoty, dziwne jest 85 ludzi na kilometrze kwadr. i taka bieda a w Belgji żyje na kilometrze kwadr. 268 ludzi i niema takiej biedy. Kto ma dzieci to chodzą do szkoły francuskiej i polskiej urządzonej w księżem domu, jest tu polski ksiądz i francuski bardzo przyjacielski. Do kina to sie chodzi jak kto części kto rzadzi, ja niebardzo często ale czasem sie pójdzie nawet i do Paryża jeździłem na polski i o pogrzebie Piłsudskiego niewiele pokazali, ja niewiele żądałem od polskich placówek a jak co mi potrzebno było to osobiście jeździłem i każdy raz załatwiłem w konsulacie, ci co z prowincji nieustannie sie skarżą w gazetach że na listy z konsulatu nie otrzymują odpowiedzi. Powracającym do kraju rząd powinien wyznaczać parcele na ich życzenie aby nie przejadali pieniędzy i nie zostali żebrakami, tu w Argenteuil było około 2000 polaków a dziś jest około 500, znaczna ilość mają swoje domy i nie myślą wracać, ci co wrócili to zostali bez pracy i nie było widoku na znalezienie bo ustawą zabronili przyjmać, inni sie dorobili trochy i wyjechali do rodzin. Znaczna część

pędzi kawalerke bo na wypadek wyjazdu francuzanka nie pojedzie jak to było w Montarży zeszłego roku a i z Polski sie powracali na kontrakt bo inaczy nie mogli, a Polek niema. Na tem kończe, chyba wszystko opisałem tera zwracam się z uprzejmą prośbą do Szanownej Komisji Konkursowej na pamiętnik emigranta w Instytucie Gospodarstwa Społecznego o niepominięcie mego opisu.

Po strajku już szefy nie mogą ujadać na robotników, ani wypłacać.

Dn. 31 sierpnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 22

Robotnik niewykwalifikowany,
syn włościaka z Wileńszczyzny,
ur. w 1895 r.

(Konk. I. G. S. — Pam. Bezr.)

Z dnia 15.9.14 roku od pozostania bez opieki rodzicelskiej w tej dacie zostałem powołany do wojska rosejskiego spełniałem służbę w szeregach potem zostałem powołany na szkołe podoficierską, ukończywszy szkołe zostałem powołany na front. Otóż przybyłem na bojowisko do lasów Augustowskich do miasteczka Czarnobrody nad rzeko kanał jako kapral wtenżyłem swoje persi na rozkazam władz wyższych ale to było jeszcze mało tego bo były słupy za słabe do płotu to znaczy brak komendy. Otóż trzymalim sę do dnia 14.7.1915 muselim uciekać górami polami lasami i przez wody wciale nie oglądając i nie wiedzionc gdzie nieprzyjaciel znachodzi się tak że dnia 18 na 19.7.1915 oglondelim się w Kownie a dnia 21 na 22.7.1915 zostali cofani przez armja nemecka ale jeszcze poszło na moja korzysc bo zostałem mianowany starszym under-oficerom jako plutonowy i tak walczyłem do dnia 4.9.1916, na Pinskich błotach zostałem ranny i zabrany do niewoli ale to była jeszcze insza tregedyja bo jak przyszło dwóch niemców to jedyn radził zabić i tak tym karabinem wyrabiał już tuż myślałem że bagnetem mi przebije ale drugi nie pozwolił, powiada że ten zołnierz newinny on tak samo musał isc jak i my.

Otóż zrobili mi opatronek i odprawili do obozu a póznej dnia 12.9.16 roku przybyłem do Hanowr i umescili mie w spitalu. Byłem w spitalu do dnia 3.11.1916 roku. A gdy byłem już zdrowym to mi odesłali do Elzac Lotaringów i pracowałem w zelaznej

fabrycie w Talingen, była robota bardzio cieżka bo pracowałem przy pecy a pożywieni było bardzio marna bo najwencej było brukwę zgniłe i ne było jej reguralne bo eroplany przychodzili jak było tilko dnie pogodnie tak bili ze tylko dym i pył, iny raz to tylko okna z fabriki sypały się wszelkie maszyny w góra skakały. Dnia 25.12.16 roku o 9 godzinie zostałem skazany na jedna godzina na przywonzanie mi do słupa bo probowałem uciekać i mnie złapali. Ale możecie wiedziac Panowe czego uciekałem bo był głód niezmierny i wszy chodzili gromadami i nie można było patrzec na znekane tego bednego człowieka bo byli wencej biti i nie poważany ze zdawało co już koniec życie i koniec swata i nima Boga i ani ludzi bo już nie tylko co jedlim ale jedlismi korzenie z trawy z osotu i obirki kartoflanie jak się trafiło znalesc na smeci to była taka rozkosz. Dnia 5.3.1917 roku splanowałem sobe droga wyruszyłem po swym uplanowaniu i przeżegnawszy się w imię ojca i sina d. s. a. wyruszyłem przechodiłem górami polami lasami i przepływaniem rzek, rzeka która się nazywa Mozel to przepływałem pięć razy. Przesłem całe Luksemburgi i chciałem dostac się do Holandji a zbiłem się z mety i musałem przepływać rzeka Moselle co to było dziwne bo to wszystko robiło się w nocy we dni to okryło się gdzie w lese czy w jakim keszku a to było jeszcze nic uciekać ale tu trzeba było to cokolwek zjeśc i posilic się co prawda miałem przy sobe 50 marek ale kupic ne można, boje się pokazać bo jak zobaczom to mi arestujom bo ubranie w pasy czerwone i ma numer 654327 a tu pięć dni nic nie jadłem to tylko było szczenscie co znalazłem niegdzie szczawiku to pojadłem a to było małe negdzie na roli znalazło się matachaja ale to nic mysle sobie co to biendzie to mi scisnie dyzynteryja albo tyfus, nastempnie noc o godzinie pół do drugiej w nocy 11 na 12.3.1917 r, postanowiłem nijakiemu gospodaru wycongnoc króla i upec w lese no i poszłem ale przychodzie podwórza nie zamknenta, weszłem cicho nima psa nikogo, szukam gdzie som te króli nie moge znalesc ale przyblizyłem się do drwi kuchenich drwi nie zamkniente, wchodzie do kuchni popatrzał do szafki nima nic, spojrzałem do lizecznika nima nic ni chleba ni miensa, w filiżancie znalazłem 150 marek zabrałem a słucham czy nima kogo czy nie słyszy chto, jeszcze fort cicho nic nie słychac, misle sobie czy te ludzie ni majom kawałka chleba nima ale patrze

w kąt ściany oswecili się mi drwi otworzyłem a tu chwała Panu Bogu jest chleba i kielbasy i siera z kminem, co tu robie chwyciłem worek dalej do worka zabrałem i poszłem dalej w droga oto mi był bardzio szczensliwim dniem bo małem co jeści to był 12.3.1917 roku pisze 12 bo było po 12 godzinie.

Otóż poszłem do keszków a tu deszcz tak zacoł padac ze nie było swata widac i ni małem gdzie pochowac bo to byli bardzio małe keszki tylko gęste co dawało schowac się od nieprzyjaciela zieby nie zobaczył, zimno mi jest mokro tszense się ciały tak ze nie jestem rady i z chleba i z kelbasy i sera bo mówe że przyszła ostatnia godzina ale mysle sobie co tu robic, tak nadchodzi swatła pora bo było pół do piontej bojam się isci bo daleko widac ale dalej kaczac się i otyrac się bic renkoma i nogami zrobilo się mi troche ceplej No teryz misle sobe jak by tu rozpalic ogen drewo mokre to jeszcze nic ale biendzie dymic to mógbym schoniska zdradzic, poprobowałem wikopac jame ale czym kopac trzeba renkoma twardo i som korzene nima sposobu, ach patrze na zegarek 10 godzina tu chmury nadchodziom co tu z tego mówe bendzie czy deszcz czy pogoda, drzewa mam naszykowane tylko zrobie ogen mysle tak jak zacznie i znów padać to robe ogen i tak zrobiłem bo nie było tak znaczno dymu to mi było bardzio dobrze bo było ciepło ale ogen nie był welki, można było czapko zakryc bo był bardzio mały to tylko skurczyłem się nad nim i tak ugrzewałem się to bok jedyn to bok drugi i tak przyszło mi szara godzina, ciemno było, pobrałem swoje co miałem i wyruszyłem w drogie i szedłem cało noc dnia 13.3.1917 roku nadeszłem nad górami skalistimi co ni miałem sposobości zejsci z tej góry a tu swatło słoncie weszło a schoniska ni mam no mówie przyjdzi się spoczywac na polu ale podeszłem troche dalej przystawiło się mi w oczech strasznie widoki a to było dwóch niewolników zabitich to mi jeszcze wzeło wenksze okropnosc ale znalazłem skale które miały w sobe duże lochi to wlazłem w te lochi i spendziłem do weczora pospałem sobie bo mi było ciepło. Na weczór wyruszyłem dalej i tak sedłem noc za noco, dzien za dnem i przyszłem do Tryjer dnia 29. 3. 1917, spendziałem noc w górach nad miastem Tryjer i tam mi wyszedł mój zapas żywnosci co małem przyrozgowanie tu misle sobie że moge pocierpiec jaki jedyn dzin blisko miasta to ni można duzio wojska dużo

policji to na przyszło noc wyruszyłem dalej i przepedziłem trzy dni o głodzie.

Dnia 1 na 2.4 m. 1917 roku splanowałem wyruszyc za pozyweniem i poszłem do gospodarstwa które znajdowało się na osobnosci wchodzie na podwórze tyż nima psa, cicho ładnie, tu znalazłem królików a i pójde do kuchni czy nima chleba ale weszłem pocicho i słucham czy nima nikogo ale cicho otworzyłem szafka znalazłem kawałek chleba bic może kilo i kosc obkrajana, dalej to do worka mówe sobie czy nima jeszcze wenci trzeba poszukac ale otworzyłem drwi akoratnie to były drwi do komory zapaliłem zapałka a tu znajduja trzy chleba po nijakie pieć kila sztuka i kawałek słoniny z jakie dwa kilo to jedyn rozkroiłem na połowe i zostawiłem połowe a $2^1/_2$ zabrałem ze sobom i podzienkowałem Panu Bogu i niemcowi i poszłem dalej, pogoda było ładnie w worku jest pozywenie ładnie król kośc i słonyna i chleb to w ta pora pospeszyłem kroka sporego żeby odejsc daleko bo lasu blisko nie było a w takich małych zarosciach małem strach pozostać i dotarłem do lasu ale mi penty to do tyłka weszły no teryz to odpoczywam, zrobiłem ogen zdarłem skóra królikowi pokroiłem na kawałki dalej go smażyc ale jak na kawałek patyka i tak smażyłem bo ni miałem garnka o ile gdzie osmoliło się mocno to oczyściłem i to było dobre tak mi przyszło ciemno i wyruszyłem w podróż i tak było i podróżowalo bo miałem jesci to mogłem sobie podróżowac i podróżowałem od dnia 2 aż do dnia 19.4.1917 roku i przybyłem aż nad rzeko Railant Ren. Teraz splanowałem droga, do Holandji i przeszłem na granica Holandji dnia 24.4.1917 roku siedziałem w takich zarosciach nad granico i patrzyłem sposobnosci do przejście ale było bardzio trudno bo mocno obstawona i zaciongniete druty alekstrycznie, siedziałem aż trzy dni ale nie było można to dnia 1.5.1917 roku powróciłen napowrót i przyszłem niedalo Kelna teryz co robić trzeba przepływac rzeka Ren ale to straszne szyroka i woda szybko jedzie ale przeżegnałem się, rozebrałem się włozyłem odzienie do worka, przywionzałem na głowe bo nie był to duży pakunek i nie był cienżki i tak wpław i puściłem się z wodo i tak przepłyłem aż za miastem Dyseldorf i to było w nocy a możecie wiedzieć Panowe jak to było mi zymno tak że moje ciało było zastyniente już mi kurcze łapalį bo była woda zimna i ogromno, ale czymprendziej odziałem się

obułem się i dalej ogrzewac się bic renkami żeby krew rozegrzac o tak skakałem z petnascie minut aż zaczeło krew we mnie dzialac no w ta pora doszłem do lasu tuż obok miasta Dyseldorfu zrobiłem ogen ogrzałem się jak się należy a po obiedzie dnia 2.5.1917 przyglondnełem się że tu niewolnici chodziom, idom do miasta, szłysie rozmowa polska rosyjska to i ja też ide do miasta, przyszłem do Dyseldorfu miśle sobie coto zrobie ale mówe kupe sobie ubranie i ruszyłem do magazynu, kupiłem ubrania trzewik koszule i czapka to zapłaciłem 37 marek. Wyszłem na ulicie i zaszłem do restoracji wypiłem kieliszek romu i poszłem do ustempu zwaliłem ze siebie te lumpy i ubrałem się do nowego ubrania a te rzuciłem w kąt i wyszłem na ulicie ale ide a tu żandarm krzyczy alt na mnie ja uciek a on z tyłu mnie ja z jednej ulici na druge on za mną i zaczoł strzelac, ja odałem napowrót i tak wpadłem do lasu i dalej przez las, wybiegłem z lasu ale nima nikogo dalej na droga i ide sobie drogo we dni i szedłem we dni i w noci a jak było ciepło to odpoczywałem ale Panowe możecie wedziec że już mi brakowało syły.

Otóż znajdujam się przy jednej stacji co tu robić mysle sobie pójde na stacja i weznie bilet i pojada do Berlina, przychodzie na stacja ludzie bierom bilety to ja przyglondam się czy nie żądajom paperów ale nie, to i ja stanąłem do ogonka doszłem do giszy wołam bilet do Berlina dał mi zapłaciłem 9 m. 80 f. poszłem na peron, nadszedł pociong ja do pociongu i jade do Berlina. Berlin Sleze Banchof wychodze z pociongu, spojrzałem na zegarek pierwsza godzina w nocy, wojska tak dużo że nie macie pojecia bo to transporty odchodzili narodu bardzo dużo ale patrze że tu kontrol na bilety i na papiery, co tu biendzie ale ciśnie się narodu ja w najwenkszy natłok i to Panowe możecie mi werzyc że mi tak szczensliwe wynesli że nawet nie odałem biletu, chwała Panu Bogu mówe sobie, wyszłem na miasto ide po ulicy ujrzałem ze restoracja otwarta i napisano hotel, zaszedłem tamej poprosiłem kawa dali mi wypiłem i słucham ze tu rozmawiajom dwóch polaków po polsku to pitam się u gospodarza czy nima dla mnie pokój mówi ze jest ale 1 m. 50 f. za noc, mówe mu dobrze zapłaciłem i poszłem do spania, na jutro mu też zapłaciłem 1 m 50 f. naprzód poszłem po miescie chodzić czy nie znajde kupić kawałek chleba ale nima wcale mowy o chlebe, zaszłem do jednej resto-

racji to było na Huten strase kazałem dac piwo i dwa tarty po 10 f. sztuka, wypiłem zapłaciłem i wychodzie a toż wychodzi z tyłu mnie niejaki człowek nieznajomy to ja myślałem że tu tajny policjant to we mnie i zyły zamarli ale ten człowiek pita się czy nie chcie kupić brotmarke to ja patrze na niego zadziwony, nie chciałem kupic naraze ale potem mysle sobie kiedy on mi tak naciera i pokazuje te karty i ma tak sporo to kupie i mówe do niego żeby mi dał trzy brotmarki to on mi dał i ja mu zapłaciłem 6 marek i w ta pora misle sobi jak tak to tak czy wpadłem w łapki czy nie ale pitam się u niego czy nie mogby mi wystarac się o papery to on mi odpowiedział dobrze ale biendom kosztowali 50 marek nu to ja mówe dobrze zgoda na tym to on mi mówi żebym przyszedłby jutro o 3 godzinie po południu, czekam tego szczensliwego dnia to było 7.5.1917 roku. No na jutro wychodzie o pół do trzeciej godziny zachodzie do restoracji kazałem dac piwo, usiondłem przy stole pije piwo i w tej chwili wchodzi dwóch menszczyzn przystojnie ubranie przyszli do mnie podali ręka i wypili piwo, zapłacilim i poszlim do ich mieszkania. Panowe jak Bóg mili wyrobili mi papery, zrobili mi fotografi i wydali paszport rejsa i karta na wjazd do Berlina i podpis burmistrza lublinskiego i peczenci i widali karta czerwona, jednym słowam papery bardzio dobre to ja zapłaciłem te umówiona 50 marek i wyszłem bardzo kontenty, no teraz ide na postarunek i zameldowałem się to mi policja dała kartka na meszkanie i na robota i żywnosc, meszkanie to była bardzio dobra tylko robota niedobra bo to było w fabryce gazowej, zaczełem pracować dnia 8.5.1917 roku ale pomiślicie czy ja mogłem pracowac tak byłem zmarnowany że ledwie nogi wlekłem, tylko wam Panowe napominam o tych paperach, małem wydane na fałszywa nazwiska i pochodziłem z miasta Lublina ale z tymi paperamy dobrze mi było i tak pracowałem od 8.5.1917 aż do 5.2.1918 roku a później porzuciłem ta pracie i pojechałem do Poznania przyjechałem do Poznania i poszłem na biuro praci co prawda mi dobre udało się bo tej chwili przyszła nejaka pani i wybrała dwie famili małżeńskie i dwie dziewczyny i trzech chłopaków i zaprowadziła nas na stacja kupiła bilety nadeszed pociong wsiedlim do pociongu i pojechalim ale nie wemi gdzie, przyjeżdziami do stacji Czempin tam czekała podwoda i śliczna kareta, ta pani usiadła do karety a my na

podwode i przywozy nas do folwarku Wronowa, wysiedlim my i prowadzili nas do mieszkanie, dali jesc i pic, łóżka usłanie ale czy wecie Panowie jaka to była pani to była pani Ch. z Turwi, no na jutro idziemy do roboty, wszystkich wzeli do roboty, pita się rzoncia nijaki pan Urbaniag czy ja ni mam gorszego ubrania ja mu na to odpowedziałem że ni mam najgorsza, to on mi mówi czy moga robic u koni to mówe tak, to mi dał dobra robota i pracowałem jako wózipan u państwa Chł. Pracowałem od 9.2.1918 roku to mi biło bardzio dobrze bo zapoznałem sobie pana i tak czas mi spendziło wesoło tak pracowałem aż do 5.12 1918 roku. 6-tego dostałem urlop od pani Ch. i pojechałem do domu, przyjeżdżam do Warszawy a tu widzie polskie legijony, myśliłem wstompic do legijonów ale małem co innego do załatwenia a to było rzecz o wybranie metryki, mysle sobie no jade dalej a musze jechac do Wilnia bo to moja miasto. Przyjeżdżam do Wilnia tam jeszcze som niemcy ale to nic bo mam urlop i tak pobyłem w domu od 9.12.1918 do 21.12.1918 roku no wybrałem się do mego wuja bo w domu nima co jeść no to moja wujenka dała mi na droge chleba trocha szynki sera trocha kielbasy, podziekowałem pożegnałem się i poszłem do domu, no przyszłem do domu położyłem mój zapas do szafki i mówe do macochi że dostałem na droga i poszłem do sonsada na pożegnanie, przychodzie do domu i chcie pożegnac się w domu i zaberam jako swój pakuniek, otwieram szafka a tu pusto zabrany mój pakuniek na droge, chto zabrał pitam się macochi a ona smieje się to ja, mówe czy ona ma sercie i dusza i się pokłóciłem z macocho i wyszłem dnia 21.12.1918 roku. Przyszłem na stacja nadeszedł pociog i pojechałem. Przyjeżdżam do Grodnia w Grodnie niemcy nam kazali wysiosci wszystkich i zaprowadzili do kuchni i dali podjesci bo my też bilim głodne, póznej powrócilim do wagona i przyjechalim do Białegostoku i tu alt od Białegostoku asz do Butawy szedlim piechta bo pociong ne szedł dalej, przychodzim nedaleko stacji a tu polski postorunek stoi i pita dokąd ida, to mu odpowadam że do Warszawy a z Warszawy to pojade do Poznania to on mi mówi idźcie człowieku i tak przyszłem na stacja tam narodu pełno czekajom na polski pociong i za para minut przyszedł pociog powsiadalim do pociongu i tak przyjechalim nad rano do Warszawy, w Warszawie nas z baraku do baraku jeszcze dosta-

lim po kawałku chleba, niektóre zostali w koszarach, no to przyszłem na dworzec Wedeński w Warszawie i czekałem na pociog któryn będzie odchodził ale miał odchodzic weczorem to tak spacierowałem po stacji narescie przychodzi do mnie nijaki pan i pita mi czy nie pojade przez Kalisz to ja jego pitam dlaczego on mi pita to on mi odpowiada że ma brata w Kaliszu i chcie posłac dla brata trzy kila herbaty to czy nie mógby zawesc to ja go poznałem że to człowek fałszywy, mówe do niego ze pan jestes miastowy i na tyle głupi a jak panskie herbate zabiore i panskiemu bratu ne dam mówe o ile pan ne jestes złodziejam to ja jestem nim a na pana to w tej chwili przyprowadzie policjanta i tak mówe do niego ostro to niego tak jakby djabli wzeli już go ne widziałem wencej i przyszle mi minuta zaczeli wywoływac do pociongu to ja poszłem zajełem miejsce w wagone i tak pociong ruszył popendził ale coprawda w Kaliszu stanoł i tam rewidowali bagaże chto miał a póznej my przyszli na pechta aż do Ostrowa a w Ostrowe wzełem pociong i przyjechałem do Poznania to było dnia 24.12.1918 roku a tu w Poznaniu nowa nowina nasz pociong został zatrzymany a tu nawołujom kto polak kto ma polska krew w ręce broń tu kokardki naklejajom no ja też poszłem do wojska ochotnik jako powstanec napsieciwku okupantów niemeckich, dali mi w ręka kawałek karabina to mi przypomniało się dawniejsze lata tak dalej chłopcy dalej hura bić niemcia no szło dosic dobrza no było trudno pod tym ratuszam bo niemcy bili się na wszystke strony bo był wolny plac ale dosic nam poszło że my ich wygnalim ale to ja byłem perszy co wlazłem na ratusz a drudzi z tyłu mnie bo ja potrafiłem z tyłu wskoczyc do nich i krzyknełem ręcy do góry to jak strzymało się trocha ogna karabinowego to w tym momencie wsypało się wojska polskiego i aresztowalim niemców no i tak rozpędzilim, dzien za dniem przenosiłem bitwy pod Lesznem jako komendantem robiłem ofenziwy i ataki na niemców we wsi Golmyci Jezersko tak my stalim aż do 16.4.19 roku, później zostalim zmenione i przyszlim do miasteczka Punicie na odpoczynek 17.4.1919 roku zobaczylim oficierów to nam było bardzio dziwno bo od 24.12.1918 roku aż do 17.4.1919 roku nie znalim co to za oficier oprócz naszego komendanta który nosył nazwa Szyszka, a 18.4.1919 roku to my zostalim przydzielone do 60 pułku 8 komp. 2 batalionu i nadali nam rozkaz

wszystkim komendantam o przystawenia dokumentów to my małe komendanty przystawiami dokumenty to niektóren został kapralem a niektóry plutonowym no i na mnie przyszła kolej, ida do bataljonu a tu przychodzi mój szeregowiec co był najgorzej popichany ale odpowedział my to ja chciałem u niego pytac co on chce ale nie zdążyłem ten mój wozignój wyciąga portfel i przystawia oberlotnanta, to słucham pan porucznik Wróblewski mówi, prosze siadać panie kapitanie i prowadziom ze sobom rozmowa słucham z ciekawościo ale pan kapitan wozignój mówi otóż chciałem przekonac swoich braci i byłem w czensci pana Zielinskiego no to ja słucham co on powie ale mówi dalej ze przekonałem to to brat prawej renki i poklepał mi po ramieniu i mówi ze rozkazu dowódcy mianuje sierżantem linjowym, to ja podziekowałem i odałem honor i wyszłem dnia 25.4.1919 roku zostałem sierżantam linijowym aż tu dali mi druzyna i odesłali do folwarku Zawada to ostawiłem ciegelnia i Zawada ale miałem przykro bo były często utarczki z niemcami, a 14.5.1919 roku został mi dany słych o kont ofienziwie niemieckiej ze majom napadac o 11 godzinie w nocy to ja zameldowałem kompanja o tym i wystawiłem swój front co tylko miałem karabiny maszynowe coprawda trzy i co do jednego żołnierza no teryz czekami przychodzi jedynasta godzina nima i 12 godz. nima i pół do 1 nima a tu 1 godzina słucham nijaki zastaw samochodów w niedalekim lasionku i jakby szmer no ja dałem rozkaz uwaga i rozpoczonem ogen jak bedo nie dalej jak 30 a 40 metry i tak czekamy ale uważami no coprawda było i wygodne pozycija a mielim uwaga nad rowami a tuż nadchodziom i tu raptowna salwa jak z jednego za minut 20 to tylko był głos ylf mi kamarad no coprawda to nie wyszedł ni jedyn cały jak nie zabity to ranny o godzinie 2 po obiedzie pozbierali resztki.

Dnia 26.6.1919 zostali zmienione i przyjechali do miasteczka Kościana, 1.7.1919 został mi udzielony urlop do domu to miałem 14 dni i tak szczensliwe a po urlopie powróciłem do szeregu tylko w Kościanie nie znalazłem mego pułku to zaszłem na komenda miasta dowiedziac gdzie pojechali w jaki kierunek i podpisali mi dokumenty i pojechałem za pułkiem to znalazłem aż Dwórka i znalazłem moja kompanja tam mielim krótki postój pojechalim do Szubina też bilim krótko późnej odstawili nas do Znina niedaleko Inowrocławia tam zostałem przydzielony do oddziału smerci

po złożeniu egzaminu przyjechalim pod Bydgoszcz, biliśmy niedługo i przyszedł rozkaz o zajęcie Bydgoszcza zajelim Bydgoszcz byliśmy niedługo poszlim do Koronowa z Koronowa do Bydgoszcza a z Bydgoszcza na bolszewicki front. Przyjechali do Brodów z Brodów do Radziwiłowa z Radziwiłowa dnia 24. 4. 1920 roku zładowalim się do pociongu i pojechalim pod Szepetówka, dnia 20.5.1920 roku robilim ofenziwa na bolszewików i tak gnalim aż do miasta Berdyczowa w Berdyczowe 8 i 7 kompanija 2 batalionu zostalim okrężone przez bolszewików i tu stalim cztery nocy i trzy dni ale jak stalim nie melim co jesci ani pic i czym strzelac a bolszewiki stale strzelajom i nas bijom, dwa oficery som zabita, trzech sierżantów zabita żołnierzy padajom jedyn po drugim no teryz ja prowadie pod swojom komendom ale to kepska komenda nima co jesci i pic i co gorszego nima co i czym strzelac ale tak pomału straszym bolszewików a tu czwarta noc nadchodzi a patrza w moje torbie jest jedyn fleżektor jako rakieta ale biere pistolet i strzelam bo były słychac strzały armatnie co dolatali niedaleko nas no i tak czekamy co Pan Bóg da a tu o godzinie 4 rano przychodzi szpica konna no to chwała Bogu najwyższemu o godzinie 6 dali nam nabój i przyszła siła bo nas zostało z 900 żołnierzy tylko 175 ale te 175 żołnierzy zrobili wielka ofenziwa tak że my zapedzilim bolszewika aż do Kozatina i tam odebralim nasz tabor i koni wozy i żołnierzy. W ta pora nas zmienili no my odpoczeli i podjedlim do sita i tak stamtąd nas Pitlura zmenił, przyjechalim do Minska 14.6.1920 roku i bilim się w Mołodeczno a potym przyszlim do Parafijanowa i pod Berezyna do Królewszczyzny, stamtąd uciekalim przez Minsk, w Minsku mielim utarczka, potłuklim miasto i tak odstępowalim aż pod Warszawa a pod Warszawo odawalim ostatnie siły aż bolszewika odpędzilim i po odpędzeniu bolszewika zostałem przydzielony do urzędu gospodarczego 15 dywizji i byłem do ostatku. 5.2.1921 r. lutym miesioncu zostałem zwolniony i przyjechałem do Wilna ale tu nima dobra, postąpiłem do wojska Żeligowskiego no nie byłem długo pozostałem zabrany do niewoli litewskiej i byłem sześć miesięcy, zostałem zwolniony spowodu wielkiego zaporęczenia i jako jestem urodziony pod Litwo ale to było niedługo bo ledwie ożeniłem się to mi chcieli napowrót aresztować ale im uciekłem z żonom do polskiej i tak przepędziałem czas w Polsce aż do 1925 roku.

W dniu 17.7.1925 roku przybyłem do Francji na kontrakt na jeden rok z żonom i z córeczko która miała półtora roku, przyjechalim na przeznaczona stacja która miała nazwa Meniesi wyszlim z pociongu i mysle teryz gdzie pójdziemy nie potrafimy zapytac się a tu trzymam w ręku kontrakt i bilet a tu podchodzi do mnie pan i nieco rozmawia ale go nie rozumem to podaja mu papery a on bon bon sa pour mia i zaprowadził do rostoracji dał wypic i pyta się po niemiecku a to dobrze bo rozumiałem trocha to on mówi żeby zaczekał za pół godziny on przyjedzi i przyjechał parobek z wozami zabrał przywóz na miejscie do wsi Chevanenes, dali mieszkania i tak pracowałem cały rok, po ukonczeniu kontraktu prosiłem podwyższenie płaty to on nie chciał to ja poszłem szukać roboty i znalazłem i tam pojechalim zaczelim pracowac. Pracowalim niejaki czas i mi kobita zachorowała na połóg to mi dużo kosztowało bo musałem zapłacic no i tu pracowac było niedobrze, pojechałem szukac drugom robota to znalazłem no przyjechałem napowrót do domu, na jutro ide do mego gospodarza żeby mi zapłacił to on mówi cożem robił to mi zapłacił a wency mi sie nie należy i nie zapłacił 600 franków, ni mam roboty ni piniedzi ale akuratnie jechała polska familija do tej samej fabryki no dla mnie kupili bilet i pojechalim razem, zajechalim to była pózna godzina teryz dalej szukac mieszkania a to było najgorsza bo miałem dwoje dzieci i to jedno miało tylko jeden miesionc to na szczenscie niejaka rodzina polska przyjęła na noc pospalim a na jutro podziekowalim i poszlim szukac mieszkania no znalazłem mieszkanie w miasteczku Krej ale trzeba zapłacic 20 franków a tu nima pinendzy no to ja w ta pora mysle mam nowa palto na sobe to sprzedam to palito i zdjełem z plec i poniosłem na ryniek i sprzedałem za 40 franków a mi kosztowało 350 franków i było durch nowe ani dwa tygodni jak kupił ale i tak jestem kontenty że mam 40 franków zapłacic mieszkanie no poszłem do roboty i tak robiłem jeden miesionc ale niedobrze daleko do roboty droga mieszkania, na dzieci nie dajom, pojechałem do Paryża na biuro to mi dali robota do gospodarza do wsi Luwrów, przyjechalim tam no dalej kopac buraki i tak pracowalim od 25 września 1926 roku aż do 21 lipca 1927 roku tam pokłóciłem się z gospodarzam no to pojechałem do Paryża i znów dostałem robota do folwarku le Havry i tam pracowałem od 1.8.1927 roku

aż do 13 marca 1928 roku, to mi ne podobało i odeszlim, przyjechalim do Paryża poszlim na biuro dostalim robota i zaczełem robić ale tu dostalim się do złodzieja co jeszcze nie mielim takiego bo pracowałem sześć dni i mi mówi że moge sobie iscj precz bo roboty niema i nie zapłacił i to on robił każdemu to samo to poszłem szukac roboty ale ni mam i jednego franka to tak chodziłem cały dzien no znalazłem w jednym tartaku Mani et Vexsa to ten gospodarz dał mi konia i przewiezłem żone i dzieci i co miałem no zaczełem pracowac koniam ale było takie błota że co dzien byłem utarany jak swina i wszystka odziene pogniłe i obuwie, nima sposobu ide za roboto, poszłem do fabryki paperu przyjeli mi i dali mieszkanie no to najełem wóz i przebrałem się no zaczełem pracowac to pracowałem przy pecy jako kaczagar, potym mi zmienili dali do maszyny za smarowacza to smarowałem wszystkie maszyny no tak pracowałem od 2.8.28 roku aż do 3.4.1929 roku, w tej dacie postanowiłem przyjechac do kraju i przyjechałem do Paryża i poszłem na konsul a tu wiza i bilety to mi piniędzi nie stac i nie pojechałem do kraju, no trzeba szukac mieszkania ale chto to dał nima mieszkania w Paryżu, robota znalazłem przy budowi no i znalazłem mieszkania ale 26 kilometrów od Paryża i tak pracowałem, z budowli mi wypłacili to dostałem się do Metra jako murarz i tak pracowałem aż zostałem skaleczony, trzy miesionce nie mogłem chodzic to tak przyszło ze nie miałem co jesci ni pic a tu gospodarz mieszkania puka do drwi miesiąc przeszedł zapłac mi a tu nima piniędzi, w sklepie 300 franków jestem winien, woła na mnie a tu nima skąd wziąsci piniędzi no nijako zaczełem pracowac co przyniosie para franków to nie wiem komu zapłacic bo za mieszkanie 280 franków do sklepu 300 franków, dzieci gołe bose no wypłaciłem i poszło trocha lepej tak przeżyłem rok 1930 a w 1931 poszło gorzej bo wencej nie robilim jak robilim a narescie przyszła kryska na matyska bo 8 sierpnia wypłacili mi i tak ni robie aż do dzis, co miałem trocha kartofli to skonczyło się to zbieralim burak cukrowe na poli i liscie to soliło się, niegdzie jakie pięć franków zarobi się ale to wielkie szczescie to chto z litosci da zarobic pięć franków bo mam dwoje dzieci to pojade na rowerze do Paryża na Halle to nazbieram niejakie pomarancza czy jaka kartofla ale i tam piędziajom, to jaka ryba choc już niedobra i tak głód i niendzia goni się dzien

za dniem i noc za nocom choc dzieci wołajo chleba i mleka ale uszy zacisni się zieby nie sliszec, czasami trafi takiego Bolonziego piekarza co da jaki kawałek chleba mówi jak zarobisz to mi zapłacisz i tak nie wem jak daleko i długo biędzim czekac bo zapomogi nie dajom bo za mała wies i tak skonczam tych para słów i prosze o przyjencie do konkursu i opisanie mego życiorysu zieby szed na łamach pisma polskiego za co z góry dziękuja polskim słowem Bóg zapłac.

* * *

A jak pójdziesz za robotom czy do fabryki czy do budowi to mówi tak, a jak pokażysz dokumenty to mówi że dla obcokrajowców nima i mamy dosic z wamy i dosc was wykarmilim możecie teryz jechac do swojej Polski a zaco pojade to nicht nie pita.

Prosze poprawic obmyłek bo jest nie mało bo jak człowiek głodny i chłodny i do tego dzieci przeszkadziajom to nie piszy się dobrze bo brzuch marsza gra i dzieci płaczom to co nie tak to prosze poprawic.

Urodziony dnia 30/8 1895 we wsi Korakiszkach województwo Wilensko.

Dn. 14 stycznia 1932 r.

Pamiętnik Nr. 23

Górnik, syn górnika
ur. w Westfalii w 1900 r.,
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Urodzony we Westfalji (Niemcy) wychowany przez rodziców na Polaka, mieszkałem razem z niemi aż do roku 1922. Było nas 10 dzieci, 6 chłopaków i 4 dziewczyny, z których ja najstarszy. Ojciec mój pracował jako górnik w kopalni węgla już 28 rok. Ja wyuczony za rzemieślnika, w roku 1919 zacząłem także pracować w kopalni. Tak nadeszły lata 1920—21—22, gdzie Polacy wyjeżdżali do Francji. Moi koledzy, którzy byli przeważnie po 3—4 lata starsi odemnie i pracowali już dłużej w górnictwie jak ja, powyjeżdżali już do Francji. Z jednej strony nie mogłem razem z niemi jechać, ponieważ nie miałem jeszczy przepracowanych 3 lat w górnictwie. Z drugiej strony, rodzice mnie nie chcieli puścić do Francji, obawiając się zapewne, iż im nie będe już pomocnem w używieniu rodziny, lub o nich zapomne. Zaznaczę tutaj, iż Polacy którzy wyjechali z naszej miejscowości, pracowali zaraz przy granicy w Alzacji-Lotaryngji. Snadnie było wtenczas przejść przez granicę. A było to w czasie inflacji. Gdy przyjechali w odwiedziny do swych rodzin lub znajomych, to za kilka franków otrzymali pełne garście marek niemieckich. Widząc jak oni mieli dużo piniędzy, chciałem i ja je mieć; a to dlatego, aby sobie założyć własny warsztat pracy, do czego ojciec mi nie mógł dopomóc, bo nasza rodzina była duża. Tak nadszedł czas optacji w roku 1922. Ojciec mój i ja optowaliśmy za Polską i w kwietniu 1922 roku matka moja zabierając ze sobą młodsze rodzeństwo, wyjechała do Polski. W trzy miesiące

potem ojciec także za nią podążył, a ja wtedy zacząłem się znów starać o pozwolenie na wyjazd do Francji. Matka już zabrała ze sobą większą część mego przyodziewku, oraz me narzędzia pracy, bo ja mówiłem sobie, iż przepracuje ze 6 miesięcy we Francji, to będe miał dosyć piniędzy na założenie warsztatu pracy w Polsce. Jak złudne były moje nadzieje, niedługo się przekonałem.

W sierpniu 1922 roku pojechałem po raz drugi do biura Związku Zjednoczenia Zawodowego Polskiego w Bochum, którego byłem członkiem. Tem razem otrzymałem zaświadczenie, iż jestem już 3 lata górnikiem i z bijącem sercem, czy zostane przyjęty, jade do biura francuskiego w Duisburgu. Tutaj po spisaniu potrzebnych danych musiałem wraz z drugiemi stanąć przed lekarzem francuskiem. Ale co to, chłopy jak dęby, zdaje się iż zdrowszych już nie ma, będą cofani jako niezdatni, a cóż dopiero ja, który jestem mały i dość szczupły. Jednak zostałem uznany przez lekarza za zdatnego i dalej na pociąg do Essen, do Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej po paszport. Po załatwieniu wszelkich formalności dla otrzymania paszportu mam się podpisać. Naraz urzędniczka zapytuje się mnie, czy mam piniądze na zapłacenie paszportu. Będąc w dobrem humorze, że mi się sprawa wyjazdu do Francji tak daleko udała, odpowiadam, że nie mam piniędzy. Chciałem się bowiem z ową urzędniczką trochę przekomarzyć. „W takiem razie nie mogę panu wystawić paszportu!“ Zakłopotanie u niej i udane u mnie, jednak czas naglił, więc się pytam ile mam zapłacić. „600 marek“ mówi urzędniczka. „Tyla jeszczy mogę zapłacić“, odpowiadam i przy śmiechu się grzecznie pożegnałem, za co mnie siedzący obok starszy urzędnik zmierzył bardzo groźnem spojrzeniem. Jade do domu, mieszkałem wtedy u mej żonaty siostry i wypowiadam pracę na kopalni. „Pewnie jedziecie do Francji?“ pyta się nadsztygar. „Jadę do Polski“, odpowiadam a to dlatego, abym nie miał trudności w ostatnich dniach mego pobytu w Niemczech. Bo w tym czasie położenie Polaków, którzy optowaii za Polską, było trudne, a zwłaszcza tych co jechali do Francji lub mieli tam krewnych. Naraz otrzymuję list od ojca, który po 1-miesięcznem pobycie w Polsce, wyjechał już do Francji środkowo-południowej i pracował na kopalni Montrambert. Gdy więc do tego czasu miałem zamiar jechać do Alzacji-Lotaryngji, zmieniłem go teraz aby jechać wgłąb Francji do ojca. I tak nadszedł dzień 15 września 1922 roku, w którym miałem

opuścić moją rodzinną wioskę, gdzie przeżyłem pierwsze 22 lata mego życia. Ale jakoś bez żalu opuszczałem te strony, chociaż zostawiłem tam kilka bliskich sercu osób. Dnia 16 września już byłem na granicy francusko-niemieckiej w Perl. Niemiecki urzędnik z jednej strony naglądał mój paszport i nie chciał mnie przepuścić bo nie miałem odmeldowania z policji. Ja się z niem umawiałem i jakoś paszport mi dał do ręki, a ja dalej do francuskiego urzędnika. Wizę francuską miałem w porządku. Wtem podchodzi do mnie jakiś pan, przedstawia się jako z biura emigracyjnego w Toulu i żąda paszport odemnie. Oddałem mu mój paszport i zmieniłem niemieckie piniądze na francuskie. Ale o zgrozo, za kilka tysięcy marek otrzymałem kilka franków i byłem zaprzedany, bo byłem zmuszony jechać do Toulu, aby otrzymać mój paszport z powrotem.

Wsiadam więc już do francuskiego pociągu, trafiłem na próżny przedział. Po chwili wsiada jeszczy starszy pan wyciąga jakiś papierek, potem paczkę jakąś. Patrzę, a on z tej paczki bierze tabakę, kładzie do tego papierka i kręci między palcami, zrobił papierosa. Myślę, czy ja się też nauczę papierosów kręcić? Ale dojeżdżam do Metza. Dworzec jakiś ciemny, ponury. Przechodząc z jednego peronu na drugi, trafiłem znajomego rodaka z mej wioski, który już był dłuższy czas we Francji. Miał także kuferek w ręce, wymieniliśmy kilka słów tylko, bo podobno się bardzo spieszeł na pociąg. No i ja także wsiadam do pociągu w kierunku Nancy. Tutaj miałem bardzo wesołe towarzystwo, bo wsiadły do mego przedziału dwie zgrabne panienki. Ale co to, ja ich mowy nie rozumiałem, a one widząc to, zapaliły sobie po papierosie i rozmawiały same ze sobą. Były jednak czegoś bardzo wesołe. Tak przyjechałem do Nancy. Dworzec średni, ludzi dość dużo czekało na pociągi. Ponieważ musiałem się przesiadywać, pytam się pewnego kolejarza o mój pociąg, nic nie rozumie, pytam się pewnego pana, także nic nie rozumie. To mi było już za dużo i bierę się sam do studjowania karty odjazdów pociągów. Znajdem mój pociąg, którym miałem dojechać do Toulu. Tak dnia 16 września po południu o godz. 16 przyjechałem do Toulu; ale teraz gdzie tutaj szukać tego obozu koncentracyjnego. Miałem jakąś karteczkę z adresem tego biura i pokazuję jednemu i drugiemu. Coś do mnie mówią czego nie rozumiem i pokazują gdzie mam iść. Tak co kilka kroków się dowiaduję, ale tylko na migi, aż tutaj naraz już budynków nie widać.

Jestem za miastem. Co teraz, czym pobłądził? Ale ide dalej, bo zobaczyłem kilka żołnierzy, którzy szli naprzeciw mnie. Pokazuję jednemu z nich znów moją karteczkę, a on się do mnie odzywa po niemiecku i dopiero dokładnie mi powiedział, gdzie mam iść. Był to żołnierz francuski pochodzący z Lotaryngji. Bardzo się ucieszyłem, iż mogłem przynajmniej kilka słów wypowiedzieć, bo przez cały dzień jeszcze z nikiem nie mogłem rozmawiać. I tak nareszcie o godzinie 7 wieczorem przybyłem do obozu koncentracyjnego

Portjer przy wrotach każe mi iść na biuro, mówiąc iż mój paszport tam już jest. Ponieważ jednak biuro było już zamknięte, zaprowadzono mnie do budynku gdzie nad drzwiami była tablica z napisem: „Dla Westfalaków!" W izbie coś 10 łóżek wojskowych, a na dwóch z nich leżeli już dwaj mężczyźni. Zmarnowany i głodny otwieram mój kuferek i najpierw się posilam. Jadła miałem bowiem dosyć, ale w podróży dużo nie jadłem. A ponieważ jeszcze było widno, wyszedłem sobie jeszcze na powietrze, aby się trochy rozejrzyć. I tu miałem zaraz spotkanie z pewną młodą mężatką, która jechała z P. do męża. Nie będe się o tem rozpisywał, ale to co widziałem w Toulu, względem niewiast, to nasze rodaczki w mych oczach bardzo poniżyło. I w mem dalszem pobycie we Francji spotykałem takie wypadki. Dzięki jednak Bogu, iż nie można sądzić ogółu według jednostek. Spałem więc pierwszą noc we Francji. Gdy się rano obudzę patrze, co to, czy ja jeszcze śnię, czy co? Wszystkie łóżka zajęte. Leżą tam dwie niewiasty, dwóch ich mężów, kilka dzieci i dwu kawalerów w mojem wieku. No, ale nie troszczyłem się wiele o to, chociaż mi było dziwno że tak wszystkich w jednej izbie umieszczają. Poszedłem na biuro aby załatwić wszelkie formalności do dalszego wyjazdu i podpisać ten fatalny kontrakt pracy. Powiedziano mi, iż muszę kilka dni zaczekać, aż pójdzie transport na te kopalnie, gdzie mój ojciec pracował. Wtem zapoznałem się z temi dwoma kawalerami, którzy leżeli także razem ze mną i przybyli także z Westfalji. Pierwszy który mi bardzi do gustu przypadł, nazywał się B. Zostawił on swoją matkę, wdowę w Niemczech. Drugi nazwiskiem W. pochodził z Górnego Śląska i nie wiem czy miał jeszcze rodzeństwo, ale zdaje mi się, iż nie miał jakoś czystego sumienia. W południe przybył cały transport emigrantów z Polski. Coś nowego dla nas, widzieć prawdziwych Polaków z Polski, bo my przecież byli westfalakami. Patrzemy, a tu wszystkich co

przyjechali tem transportem, prowadzą do łaźni. Kobiety, mężczyźni i dzieci, kawalerowie i panny, wszystko razem się kąpie i staje przed lekarza. Jeszczy nigdy takiego czegoś nie widziałem i myślałem sobie wtedy, czy ludzie we Francji nie posiadają wcale wiary, uczucia i wstydu? Muszę zaznaczyć, iż z nami westfalakami takiego czegoś nie robiono. Moi dwaj koledzy już na drugi dzień mieli jechać na kopalnię do północnej Francji. Kolega B. miał piękny zegarek, podchodzi do mnie i mówi: „Sprzedam go i poślę mej Matce kilka franków, aby widziała, że o niej pamiętam, chociaż jestem dopiero dwa dni we Francji, już przysyłam franki!" Zapewne był z niego dobry syn, który się starał o swą matkę, ale miało przyjść inaczy. Komu sprzedać zegazek? Były tam koszary wojskowe. Podchodzemy do ogrodzenia i pokazujemy, że chcemy sprzedać zegarek. Znajd się jeden, który go kupił za 25 franków. „Teraz", mówi B. „poślę matce 20 franków, a 5 fr. zatrzymam dla się!" Ale była tam także kantyna, gdzie można było dostać wina, piwa, chleba, owocu, czekolady i t. p. Wstąpieliśmy tam, aby się napić wina francuskiego. Wypiliśmy jeden liter i drugi, a że były tam dwie piękne dziewczyny, kupieliśmy im czekolady, winogrona i znów wina. Siedzieliśmy całe popołudnie w tej kantynie, a gdyśmy wyszli, to Francja była nasza. Kolega mój z tych piniędzy, które dostał za zegarek już nie miał ani centa. Pozbył się zegarka, piniądze stracił, a matka nic nie dostała, chociaż jej tak chętnie chciał posłać. Oj to wino i kobiety francuskie niejednego z drogi cnoty sprowadziły. Na drugi dzień koledzy moi wyjechali do północnej Francji. Dałem im mój adres aby pisali do mnie, jak im tam pójdzie na północy, bo ja jechałem na południe. Byłem w Toulu cztery dnie i nareszcie i ja wyjechałem dalej, to jest do Montrambert.

Razem ze mną jechał starszy już rodak, który jeden kontrakt już przepracował. Był w Polsce na odwiedzinach u rodziny, a teraz wracał na nowy kontrakt. Gdy do Toulu przyjechałem za swoje piniądze, to teraz dostałem bilet wykupiony przez urzędnika z biura w Toulu. Wyjechałem z Toulu o godz. 9 rano przez Dijon — Lyon do St. Etienne. Pociąg był pospieszny i o godz. 7 wieczorem byłem w St. Etienne. Jest to bardzo piękne miasto, skąd już tramwajem dojechałem do Montrambert. Wysiadam z tramwaju, ciemno wkoło mnie. Ojca, który mnie już oczekiwał na dworcu w St. Etienne, ale się mnie nie mógł doczekać i tutaj nie było. Ale słyszę

gdzieś za płotem mowę polską. Idę w tę stronę, stoi dwóch rodaków i rozmawia ze sobą. Podchodzę do nich i pytam się czy jestem w Montrambert i czy znają mego Ojca. Odpowiadają że tak i prowadzą mnie do ich kantyny, gdzie właśnie byli wszyscy po kolacji. Było tam około 50 rodaków, między niemi i mój ojciec. Po przywitaniu się z ojcem dostałem także kolację i zaczęło się opowiadanie. Obecni tam rodacy przyjechali wszyscy z Polski. Chłopy tęgie i mocne, a gdy mnie zobaczyli, to tak z politowaniem na mnie spoglądali, mówiąc, że ja tam nie wytrzymam, bo robota jest ciężka. Ja się śmiałem, byłem przecież młody i pracowałem już w Westfalji w kopalni, to i tutaj zdołam. Ale gdy ich bliżej obejrzałem, to jedni mieli dłonie podziurawione od potu i kurzu węglannego, drudzy znów wrzody, bo było tam mokro przy robocie. A gdy mi jeszcze powiedzieli, iż w kopalni jest tak gorąco że trzeba nago pracować, to mi się jakoś mgło zrobiło, ale nie dałem po sobie nic zmiarkować.

Dałem sobie dwa dni czasu na odpoczęcie po podróży i na obejrzenie tamtejszego krajobrazu. A ponieważ klimat tam jest inny, musiałem się do niego także przyzwyczaić. Okolica tam jest dość smutna. Budynki niskie jednopiętrowe, wszystko czarne od kurzu. W koło same góry, a kopalnia leży w dole. Zaraz przy kopalni baraki dla Polaków z kantyną. W czasie wojny światowej byli tam umieszczeni niewolnicy wojenni. W ogóle wrażenie moje dotychczasowe we Francji, nie było wcale pochlebne dla niej, chociaż widziałem już także i piękne rzeczy jak kilka wspaniałych kościołów w Toulu, miasta i dworce w Dijonie i Lyonie. A miasto St. Etienne, przez które szłem pieszo, jest bardzo wspaniałe. W Montrambert mieszkało już także kilka rodzin polskich, które przed wojną światową byli w północnej Francji. Przez nawałę niemiecką byli zmuszeni wyjechać do południowej Francji. Były tam także już towarzystwa Polskie, jako i Związek Robotników Polskich, do którego także wstąpiłem.

Na trzeci dzień poszedłem na kopalnię, aby się zgłosić do pracy. Inżynier bardzo krytycznem okiem na mnie patrzy, a sztygar łamaną polszczyzną do mnie mówi, czy będę mógł kłaść, czyli ładować 34 wózki węgla, to wtedy zarobie 17,20 fr. a jak nie będe ładował 34 wózków, to zarobie tylko 16,20 fr. A robota była tam taka: jeden starszy górnik Francuz i jeden starszy górnik Polak rą-

bali węgiel, każdy na 17 wózków, a młodszy Polak musiał te 34 wózki węgla naładować i wywieźć do głównego ganku. Kto tego nie mógł zrobić, zarobił mniej, a gdy się to powtórzyło 2—3 razy, dostał świętówkę. Ale i ten polski rębacz miał przez to szkodę, bo także zarobił mniej. Ojciec mój miał także ładowacza, który swego konta nie ładował, starał się więc, abym ja razem z niem pracował. I tak dnia 23 września 1922 roku, zajechałem pierwszy raz do francuzki kopalni. Nie będe tu opisywał różnych incydentów, które mi się wydarzyły, tylko zaznaczę, iż swoją robotę zrobiłem, chociaż była ciężka, a mój ojciec miał przez to równy zarobek z Francuzem. Dziwowali się ci drudzy ładowacze, że chociaż mały i szczupły, potrafiłem przeznaczoną ilość wózków naładować. Sam byłem z tego dumny, ale się też brałem aby im pokazać, że potrafie więcy zrobić jak oni. Przyjechałem przecie z Westfalji i miałem ambicję młodych lat. Mieli mi też prawie co zazdrościć, bo kto naładował 34 wózki, miał robotę skończoną i mógł siedzieć, lub leżeć aż do wyjazdu. A ja gdy się włożyłem, to zawsze godzinę, lub więcy prędzy byłem koniec jak ci drudzy. Ale była to praca ciężka, a do tego gorąco w kopalni. Dwa razy przez dniówkę dostarczano nam świeży wody do picia. Gdyśmy wyjechali z kopalni i obiad zjedli, to każdy się położył na swem łóżku i leżał, aż wołano na kolację. Po kolacji znów się każdy położył spać, aby rano znów iść do ciężkiej pracy. Stosunek francuskich górników do nas nie był zbyt wrogi, ale daleki od przychylności. Pracowałem tutaj w tej kopalni siedem tygodni. W tym czasie otrzymałem list od kolegi W., którego poznałem w Toulu. Pisze mi, iż ma lekką pracę na wierzchu i zarobi 26 fr. dziennie, a ja tutaj za tak ciężką pracę zarobiłem tylko 17,20 fr. z czego na życie w kantynie odchodziło 5,20 fr. Nie było to życie drogie i ja przez te siedem tygodni już sobie uskładałem kilka franków. Ale ja chciałem przecie więcy. I nie pomogły napomnienia ojca, ani sztygara, który mi obiecał inną pracę, gdzie miałem więcy zarobić; ja się uparłem, biorę papiery z kopalni, pakuje kuferek i jazda do Północnej Francji. O jak ja tego kroku później żałowałem i może do dziś żałuję. Przyłączył się do mnie jeszczy jeden rodak, któremu praca także była za ciężka, a który miał krewnego w północnej Francji.

Wieczorem o godz. 9 w dniu 13 listopada wyjechaliśmy ze St. Etienne w kierunku Paryża. Jechaliśmy przez całą noc pocią-

giem pospiesznem i rano o godz. 7 byliśmy w Paryżu. Bylibyśmy tutaj w trudnym położeniu, gdyby nie urzędnik jakiegoś międzynarodowego biura, nie był się nami zaopiekował. Musieliśmy jechać koleją podziemną na drugi dworzec. Tutaj, prowadzący nas urzędnik musiał mieć pierwszeństwo, bo minęliśmy wszystkich, a było tu dużo ludzi czekających na kolej, i już byliśmy we wagonie koleji podziemny. Błyskawiczną szybkością zajechaliśmy na dworzec północny, skąd o godz. 9 wyjechaliśmy przez Amiens i Arras do Béythune, gdzie mnie mój kolega W. miał oczekiwać. Lecz ani na dworcu ani w jego kwaterze nie znalezliśmy go. Gospodyni jego oświadczyła, iż już przed kilku dniami wyjechał, pozostawiając jeszczy dług za kwaterę. I pierwszy raz w mem życiu byłem tak daleko, że nie miałem ani pracy, ani miejsca gdzie będe w nocy spał. Łzy w oczach stanęły, lecz towarzysz mój mnie namówił, abym z niem jechał do jego krewnego do Sallaumines. Dalej więc na pociąg i do Sallaumines. Nie wiem już o której godzinie tam przyjechaliśmy, ale było ciemno i dyszcz padał. Dworca tam nie było. Pociąg stanął w dole, a my po wąskich schodach wleźli pod górę i po kostki w błoto. Jak my się na drugi dzień przekonali budowano tutaj nową kolonję. Ani tu drogi, ani światła tylko błoto. Gdzie tutaj się teraz udać. Uśliśmy w tem błocie kilka kroków i usłyszeliśmy, jak gdzieś kobieta po polsku wołała na swe dzieci. To nas bardzo ucieszyło, bo będziemy się mogli przynajmniej rozmówić i pośliśmy za tem głosem. Trafieliśmy do ludzi ze Śląska Cieszyńskiego, gdzieśmy poprosieli o nocleg. Ludzie niedawno przybyli z Westfalji, ale nas chętnie przyjęli. Zostaliśmy potem u nich jakieś czas na kwaterze. Otucha znowu w nas wstąpiła, bo tutaj było już więcy polskich familji, które niedawno przyjechały. Na drugi dzień rano idziemy szukać krewnego mego towarzysza, lecz nie mogliśmy go znaleźć. Nazw ulic nigdzie nie widać. I tak trafiliśmy stróża kopalnianego, pokazujemy mu adres, ale on czy go nie umiał przeczytać, czy nam nie chciał powiedzieć wzdryga tylko ramionami. Jak my się potem przekonali, staliśmy właśnie przed domem, gdzie ów krewny mieszkał. Ale co było robić, pośliśmy na kopalnię aby go przy zajeździe lub wyjeździe zobaczyć. Trafiliśmy go gdy wyjechał z kopalni, zabrał nas na obiad i poszedł z nami na kopalnię, mówić o pracy. Pracę my dostali, ale gdyśmy pokazali nasze papiery, to z tego nic nie dało, bośmy nie przepracowali

naszego kontraktu, któryśmy w Toulu podpisali. Nie było więc dla nas już pracy w kopalni. Trzeba szukać pracy gdzieindziej. Smutek i żal nas ogarnął. Po drodze wstąpieliśmy z mem kolegą do składu, aby kupić świeczkę, ponieważ na kwaterze nie mieliśmy światła. Nie mogliśmy się jednak zmówić i gdy wychodzemy, mówie do kolegi, żeby nam tak ta panna, która sprzedawała, przynajmniej na szczęście buzi dała. Gdy ona słyszała to słowo buzi, zawołała nas z powrotem i dała nam świeczkę. Na świeczkę mówi się po francusku buzi*). Kolacja nam ten wieczór już nie smakowała i od dłuższego czasu, przed położeniem się spać, uklękliśmy do modlitwy. Znów nadszedł dzień i skoro rano idziemy szukać pracy. Była to ta okolica, gdzie się toczyła światowa wojna. Pracy było dużo, ale nie mieliśmy zrazu szczęścia, a to z tego powodu że byliśmy dość dobrze ubrani. Bo we Francji mówią, kto się ładnie ubiera, to żaden robotnik. Nareszcie jednak znaleźliśmy pracę na torze kolejowem. Dozorca się pyta czy my Polacy z Niemiec. Gdyśmy mu przywtórzyli, mówi, że dobrze, mogliśmy zaraz zacząć pracować. Teraz nam się przypomniało, że my już 24 godzin nic nie jedli. Poskromieniliśmy więc wpierw nasz żołądek, popieliśmy wina i nowa otucha i nadzieja w nas wstąpiła. Do pracy mieliśmy $^3/_4$ godziny dobrze iść, a pracowaliśmy zimą 9 godzin, latem 10 godzin. Zarobiliśmy 2 fr. na godz. Jednak praca mi się nie spodobała, bo zimą zimno i deszcz lub śnieg padał, że nieraz suchej nitki na sobie nie miałem. Do tego najważniejsze, że nie było żadnego ubezpieczenia, ani na chorobę, ani na wypadek. Pracowałem tutaj 6 miesięcy. W międzyczasie przeciągnełem na kwaterę do Lievin i mieszkałem u rodaków z Westfalji. W maju 1923 roku poszedłem znów na biuro kopalniane w Lievin mówić o pracę. Zostałem przyjęty i zacząłem pracować w kopalni. Bardzo się z tego cieszyłem, a że umiałem już dość dobrze po francusku mówić więc miałem dobrze. W tym czasie bowiem nadchodziły wciąż świeże transporty Polaków, a sztygar mnie zawsze brał do tłumaczenia. Jednak nieszczęście mnie prześladowało. Przepracowałem zaledwie trzy tygodnie, gdy tu naraz dostaję wypowiedzenie pracy. Zawiadowca kopalni zawołał mnie do siebie i mówi że nie przepracowałem mego pierwszego kontraktu, nie mogę więc dalej w kopalni pracować, chyba

*) La bougie = świeca (woskowa).

że za złamanie kontraktu zapłacę 250 fr. To mi było za dużo, w kopalni zarobiłem bowiem 19 fr. a na wierzchu zarabiali więcy. Wziąłem więc papiery i znów szukam pracy. Znalazłem pracę w cementowni, należącej do tego samego przedsiębiorstwa kopalnianego. Jednak my Polacy cośmy tam pracowali, nie mieliśmy z kopalnią nic do czynienia, tylko należeliśmy do przedsiębiorcy prywatnego. Nie było to znów po mej myśli, ale co było robić, trzeba było pogodzić się z losem i pracowałem aż do zimy. Praca trwała 10 godzin i zarabiałem 24 — 25 fr. Była to niezwykle ostra zima z 1923 na 1924 rok, w cementowni robotę zastawiono i byłem znów bez pracy. Trzy tygodnie byłem bez pracy. Już mi chęć do życia odchodziła, ale wybrałem się jeszczy raz do biura w Toulu, aby mnie wysłali na nowy kontrakt. W tej to podróży widziałem pożałowania godne położenie naszych rodaków, którzy nie mieli stałej pracy i wędrowali z miejsca na miejsce. Poczekalnie dworców zapełnione były temi wynędzniałemi i obdartemi biedakami. Prawda, że niektóry sam był winien swej niedoli, ale było to bardzo smutne i bolesne wrażenie, którego doznałem. Przybyłem więc do Toulu. Jednak tutaj dano mi znać, iż z takimi ludziami co złamali raz kontrakt, nie chcą mieć nic więcy do czynienia. Teraz już chyba skończyć ze życiem, nie chciałem przecie zostać włóczęgą, ale jadę jeszczy raz z powrotem do północnej Francji. Chwyciłem się teraz już pierwszej lepszej pracy i to przy wykończaniu kolonji. Budynki już stały, tylko planowaliśmy ziemię w koło nich. Nie była to praca dla mnie, co chciałem mieć stałą pracę. Zarabiałem tutaj 16 fr., ale pracowałem tylko sześć godzin. Z wiosną 1924 roku uruchomiono znów cementownię, gdzie przedtem pracowałem. Ponieważ dozorca mnie znał i miałem u niego dobrze stać, zostałem znów przyjęty do pracy. W międzyczasie starałem się o nowe francuskie papiery tożsamości i nareszcie je otrzymałem. Wiele i trudnych zabiegów miałem, niż je otrzymałem, ale teraz miałem papiery bez kontraktu. Udałem się do mego dozorcy, aby się za mną wstawił, żebym otrzymał pracę w kopalni, co on też uczynił. Znów otrzymałem pracę w tej kopalni co przedtem pracowałem. Już było wszystko w porządku, lecz gdy miałem zajechać oznajmiono mi, iż nie mogę zajechać, tylko mam się na drugi dzień stawić na główne biuro kopalniane. Nie wiem czego odemnie chciano, ale myśląc iż mnie wołają w sprawie nieprzepracowanego pierwszego kontraktu, już

tam nie poszłem, tylko pakowałem kuferek i wyjechałem do wschodniej Francji. Tak się zakończył pierwszy okres mego pobytu we Francji. Nie mogę mówić aby Francja do tego czasu zrobiła dobre wrażenie na mnie. W ogóle całe położenie, warunki pracy i t. d. było daleko wstecz podług tego, czego byłem nawyknięty z Westfalji. Trafiałem takich ludzi, co nie wiedzieli co i gdzie jest Paryż. Pracowałem z takiemi co mówieli czym więcy będziemy pracować, tem prędzy się kapitalista zmarnuje, bo będzie musiał większe zarobki płacić. A jak my i inne narody święcimy niedzielę i święta, to Francuz w te dni dla przyjemności pracuje w swem ogródku. Widziałem nawet taki wypadek we wielką niedzielę. Ale naród francuski jest bardzo wesoły i się chętnie bawi. I zapewne by mi się życie w głębi Francji było podobało, gdybym miał stałą pracę, bo ja nie jestem do tego aby pracować raz tu, raz tam. Ale że tego, czego sobie tak życzyłem, to jest dorobienia się do czegoś nie mogłem w głębi Francji znaleźć, szukałem więc dalej szczęścia w wschodniej Francji, to jest Alzacji-Lotaryngji, przed wojną światową będącej pod panowaniem niemieckiem.

Dnia 16 kwietnia 1924 roku zacząłem pracować w kopalni „La Horwe" w Creutzwald. Pewnie już takie moje przeznaczenie było, bo pracuję tutaj już 13-sty rok. Co do warunków pracy, to były one dość dobre z początku tutejszej emigracji. Bardzo przychylną uwagę zwracała tutejsza derekcja kopalni na tych rodaków, którzy byli członkami polskich towarzystw. Przyczyniała się bardzo do upiększania naszych obchodów i uroczystości, któryśmy urządzali. Z tej racji ówczesnemu Derektorowi został wręczony order „Polski odrodzonej". Tutaj w Creutzwald wstąpiłem w stan małżeński. Jestem ojcem czterech dzieci, z ktorych najstarsze ma jedenaście, a najmłodsze sześć lat. Nie mogę tak bardzo narzykać na mój los, że mnie tutaj zaprowadził. Choroba mnie i moją rodzinę nie nawiedzała. Ponieważ ani ja, ani moja żona, nie pochodzemy z majętnych familji, musieliśmy sobie urządzenie domowe sami sprawić. Tak posiadamy umeblowanie na trzy pokoje, maszynę do szycia, rower i aparat radjowy przy ostatniem bardzo chętnie słuchamy słuchowisk i wiadomości z kraju. Ale człowiek nie jest nigdy zupełnie szczęśliwem. Gdy byłem już dobrze zagospodarzony i bym był mógł zacząć sobie coś składać na założenie własnego warsztatu pracy, wybuchł ten tak zwany kryzys w roku 1930. Chociaż jeszcze

wciąż pracuję, jednak człowiek taki niepewny, sam nie wie co ma czynić. Co chwila są zwolnienia z pracy i wciąż się czeka na coś z lękiem. Z tutejszej miejscowości musiała już przeszło połowa rodaków wyjechać, a było nas tutaj około 3000, obecnie jest nas około 400 rodzin. Gdyby nie ten kryzys, a przedewszystkiem ta niepewność jutra, to życie tutaj by nie było najgorsze. Mieszkam w domie 5 familijnem, każda rodzina sama przed się, tylko podwórze jest wspólne. Mam cztery pokoje, piwnicę, chlew, ogródek z kwiatami przed domem i ogród jarzynowy 15 m. kw. Trzymam rocznie jedną lub dwie świnie, które na zimę dobijam i mam 12 kur. Zarobek mój miesięczny z dodatkiem familijnem wynosi obecnie 800—900 fr. Na obecne czasy jest to do umarcia za dużo, a do poćciwego życia za mało. Tutaj już zależy wszystko na dobrej żonie i gospodyni. Były już i czasy gdzie zarabiałem do 1500 fr. miesięcznie. Muszę zaznaczyć iż obecnie się bardzo dużo zmieniło na korzyść robotników, odkąd jest teraźniejszy rząd francuski, jak podwyższenie zarobków, 40 godzinny tydzień pracy i płatne urlopy.

W życiu społeczno-narodowem, które u nas jest obecnie bardzo ożywione, bierę z moją rodziną czynny udział. Dzieci moje należą do Harcerzy, żona jest członkinią Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet i Bractwa Różańcowego. Ja jestem członkiem czterech organizacji i to: towarzystwo kościelne, gdzie jestem sekretarzem, Filja Związku Rob. Polsk. gdzie jestem zastępcą sekretarza, Towarzystwa Kasy pośmiertny, także jestem sekretarzem i Koła śpiewu, gdzie jestem radnem. Do tego byłem ostatnie dwa lata sekretarzem Komitetu Towarzystw miejscowych. Z racji mych urzędów w organizacjach mam dużo do czynienia z naszemi władzami, jak: Konsulem, Radą Porozumiewawczą i Światowem Związkiem Polaków. Nie mam żadnych żalów do nich, tylko chodzi mi o to że robiłem w zeszłem roku korespondencyjny Kurs Wiedzy o Polsce, a nie dostałem zaświadczenia z ukończenia tego kursu. Przychodząc do końca mego pamiętnika wspomne jeszczy o nabyciu obywatelstwa francuskiego. Chociaż nie jestem rodzony w Polsce i jej zupełnie nie znam, to mam obywatelstwo polskie. Wniosku o nadanie innego obywatelstwa jeszczy nie wstawiłem, ponieważ jestem tego zdania, iż prawdziwy Polak nie może być już innem obywatelem. A jeżeli przejmie inne obywatelstwo, to już nie jest Polakiem i nie ma prawa się z nami łączyć. I bardzo mnie to boli, iż nasi przy-

wódcy przeważnie posiadają inne obywatelstwo. Przecie oni już nie są prawdziwemi Polakami, bo nie pracują tylko dla Polski, ale dla swego korzystnego bytu. Widząc jednak jak oni pomimo to będą poważani przez nasze władze, myślę się także starać o obywatelstwo francuskie dla mych dzieci, które się tutaj rodziły. Aby one gdy raz dorosną, a pozostaną we Francji, nie były cudzoziemcami. Bo nie wiem czy moje pragnienie się spełni, aby raz żebym mógł zajechać do Polski i powiedzieć, że nie jestem już cudzoziemcem, ale wolnem obywatelem w swojem kraju. Jeżeli popełniłem błędy w pisaniu, proszę wybaczyć, ponieważ polskiego pisania uczyłem się sam, za pomocą gazet i książek.

Dn. 29 lipca 1936 r.

Pamiętnik Nr. 24.

Górnik, syn rolnika z Kujaw,
emigranta w Ameryce Półn.,
ur. w 1898 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Ja niżej podpisany — chowałem się pod opieką matki z dzieciństwa, gdyż ojciec był w Ameryce Północnej, pieniądze nam przysyłał i powodziło się nam dobrze, oprócz mnie było jeszcze dwóch braci: jeden starszy drugi młodszy. W roku 1911 mieliśmy wszyscy jechać do Ameryki do ojca lecz za namową dalszej rodziny matka pojechała sama a nas pozostawiła u rodziny każdego w innem miejscu a to rodzina do tego tylko dążyła abyśmy zostali, żeby nie potrzebowała oddawać pieniędzy które im matka pożyczyła w zastaw na weksle (ponieważ wszyscy byli mniej lub więcej bogaci) mieli w miastach kamienice, domy, ogrody a na wsiach gospodarstwa większe i mniejsze (rolnicy odpowiedni i bogaci z ziemi kujawskiej).

Ja dostałem się do ciotki (matki siostry) kobiety bardzo dobrej, życze jej wszystkiego tego co ja przeżywałem u niej i wycierpiałem, a gdy będzie na łożu śmierci to niech jej wszystkie krzywdy jakie mi wyrządziła staną na oczy i aby cierpiała a nigdy skonać nie mogła; a jeżeliby już wreszcie zdechła to jeżeli jest piekło i djabli to niech ją rwą po kawałeczku solą i pieprzą i arszenikiem nakrapiają. Nie jestem mściwy alem jeszcze na świecie nikomu krzywdy nie wyrządził, a dużom już ludzi nakarmił i przyodział z własnej kieszeni.

Krótko przed wojną z rozkazu rodziców oddano mnie w naukę na co miałem mieć życzenie. Naturalnie poszedłem za piekarza w tem

wyobrażeniu że będę mógł jeść chleba do syta i nie będę chodził głodny. W nauce za piekarza miałem strasznie ciężko, ponieważ nie miał się kto mną zaopiekować, wieczorem o 6-tej zaczynano robotę do rana do 8 mej, a gdy się robota skończyła to musiałem chleb i bułki pakować na wóz zakładać konia i jechać na wioski odległe 8 do 15 kilm. Jak latem tom przyjeżdżał z powrotem około południa, a zimą to czasem i o 8 wieczorem. Jak przyjechałem to gdy obiad zjadłem to już musiałem nosić drzewo węgiel jechać w konia z beczkami po wodę (ponieważ w podwórzu nie było studni) sąsiedzi nie chcieli dać a miastowe były dość daleko. Chodziłem jak cień gdzie stanąłem to spałem a nieraz jeszcze się coś oberwało. Przytoczę pewne zdarzenie prawdziwe które mi się zdarzyło. W pewną niedzielę latem przyjechałem dosyć wcześnie już z wiosek więc się zebrałem i poszedłem do kościoła, gdy zaszedłem do kościoła to już było przepełnienie, więc zostałem na cmentarzu około kościoła. Było strasznie gorąco a koło kościoła nie było ani jednego drzewa któreby rosło, w tym też czasie restaurowali kościół i nadbudowywali ponieważ był za mały, było więc na cmentarzu wszystko w zakres budowy wchodzące. Była kupa drzewa rozmaitego a nad tem drzewem aby się nie rozsychało nie mokło i się nie niszczyło to zrobiono taką prowizoryczną szopę czyli dach do samej ziemi. Jak się więc w tej szopie skryłem przed żarem słońca, tom spał do poniedziałku do godziny szóstej wieczorem, czyli bez przerwy 30 godzin. Po ukończeniu nauki ani nawet nie zostałem wyzwolony ponieważ opiekun co się nazywa dał mnie tylko na słowo a gdym przecierpiał i przebył mój czas to ten majster mnie wypędził — a było to już w czasie wojny pewnie w 1916 roku, były to czasy przeważnie ciężkie gdyż była okupacja niemiecka już od 1914 roku u nas. To się tak poniewierałem głodno i chłodno sypiałem po stogach po budynkach po stodołach żywiłem się czem mogłem aż przyszedł rok 1918, wtenczas wstąpiłem do legjonów, od początku wojny polsko-bolszewickiej i hajdamackiej byłem na pozycji aż do zawieszenia broni z kilku przerwami, co leżałem w szpitalu (byłem ranny ciężko trzy razy a lżej cztery) lecz nie uszkodzony i przez pięć tygodni w niewoli bolszewickiej (ponieważ uciekłem) zabrali nas do niewoli koło Bobrujska bolszewicy.

Służyłem w wojsku bez przerwy aż do 1926 roku, prosto z koszar można powiedzieć siadałem na pociąg do Francji. Rodzice

pomarli w Ameryce, bracia pogineli na wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, jeden w ofenzywie koło Radzymina, drugi koło Mińska jako dowódca pociągu pancernego, ja wszędzie szedłem bez żadnego strachu bez obawy, dosłużyłem się nawet rangi a nie było widocznie dość doskonałej broni co by mnie mogła zatłuc i wysłać po drabinie na łono Abrahamowe. Pewnie mam przeznaczone jak Jacek Soplica, choć jeszcze się znajduje na obczyźnie, kiedyś wrócić do Polski. Jestem jeszcze kawalerem i nie mam zamiaru się żenić aby kiedyś moje dzieci nie cierpiały tak jak ja. Ja nie mam nic, a rodzice moi już mieli kilka tysięcy za których procent mieliśmy z matką świetne utrzymanie a jeszcze ojciec dosyć nadsyłał z Ameryki, od rodziny nie dostałem grosza ani ze sumy, ani z procentów. Gdym przyjechał na urlop tom wcale do nich nie wstępował, tylko u znajomych przebywałem. Raz będąc na urlopie spotkałem się z kilku kolegami również wojskowymi a był to duży odpust i duży zjazd, weszliśmy do restauracji kazaliśmy sobie dać piwa, pewien znajomy mówi mi czym się widział z rodziną, na odpowiedź nie — pokazał mi drzwi do przybocznego pokoiku gdzie się zebrała cała rodzina lecz na to nic nie odpowiedziałem. Ja natomiast spotkałem się oko w oko ze swoim byłym majstrem i zaraz przypomniałem mu swoje krzywdy i jak zacząłem bić, tom tak go zbił że go zaniesiono do domu; a gdym wpadł w złość gdy mi się przypomniało wszystko co mi rodzina winna i com ucierpiał od niej i te wszystkie głosy jak się tam w przybocznym pokoiku rozbijali za pieniądze moje i moich rodziców to jak wpadłem do tego pokoiku ale to już biłem szablą — nie ostrzem — ale krew się lała (jak na zajeździe w Soplicowie) ja sam biłem a koledzy stali i się patrzyli a ja biłem od małego do dużego, od starego do małego, babki, kobiety i dzieci bez wyjątku ani jedna osoba na nogach się nie została, a na ostatku tom nogami deptał kopał ostrogami krew aż pluskała po podłodze, a szable i ręke tom zakrwawił całą jak kapitan Rykow, tylko z tą różnicą że mnie nie rozbrojono ani sam nie złożyłem. Będą nosić blizny do dnia sądnego a nie jeden ma i na rozumie bliznę. Gdym później czasem przyjechał na urlop a moja rodzina się dowiedziała to żaden nie wyszedł z domu ani do kościoła ani do miasta ani na ulicę.

Przyjechałem do Francji bo nie byłem pewny czy dostanę jakieś zajęcie po zwolnieniu się z wojska w Polsce, ponieważ dosyć

się nacierpiałem przed wojną i w czasie wojny. Dowiedziałem się z gazety że transport będzie odjeżdżał zgłosiłem się na komisje w Inowrocławiu Poznańskim zostałem przyjęty i dostałem kartkę do Wejherowa na zborny punkt (ponieważ transport odchodził z Wejherowa). Tam załatwiono z nami wszelkie formalności potrzebne do wyjazdu podpisaliśmy kontrakty na rok pracy w kopalni rudy żelaznej. Prace więc mieliśmy zapewnioną na rok. Koszta podróży i utrzymania w drodze pokrywał pracodawca. Jechałem w transporcie 700 osób wszyscy na kontrakt. Lecz nie wszyscy do kopalni rudy bo jechali również do kopalni węgla, do fabryk i na rolę.

Wyjechaliśmy z Wejherowa 17.4.1926 roku o godz. 5-tej rano jechaliśmy przez Pomorze niedaleko Bałtyku (bośmy morze widzieli z pociągu) później przez Gdańsk, Wschodnie Prusy (Niemcy) i znowu Polska, całe dwadzieścia cztery godziny. 18.4-go rano o 4-tej godz. wjechaliśmy do Czechosłowacji gdzie się i służba kolejowa zmieniała. Czechy bardzo mi się spodobały czystość, porządek, oszczędność, pracowitość widać na każdem miejscu. Wszystkie wioski malowane na biało pod dachówką, w każdej wiosce kościół tak malowany jak i gospodarstwa, wszędzie elektryczność, naród bardzo przyjemny gdyż rozmawiałem z ludźmi, żołnierzami i nawet oficerami; za nasze polskie złote można świetnie żyć wszystko bardzo tanie, nie zobaczy pół metra ziemi aby leżał nieuprawiony i to jeszcze jak... O godz. 10 rano na pewnej stacji obiadowaliśmy, obiad bardzo dobry, obsługa wzorowa jeść pod dostatkiem, o godz. 3-ej po poł. wjechaliśmy do Pragi — naturalnie na przedmieście — co za cudowny widok na całe miasto, które leży na górze, gmachy, ogrody, aleje, sady, słońce świeciło jasno i zaczynało się chylić ku zachodowi, to taki prześliczny widok jakby całe miasto było objęte i spowite różnobarwną tęczą Gdyśmy wyjechali z Pragi tośmy wjechali w okolice przemysłu; fabryki i kopalnie na kilkudziesięciu kilometrach z obydwóch stron drogi żelaznej po której żeśmy jechali. Widziałem Polskę, Rosję, Francję, Niemcy, Belgję, Luxemburg, ale do Czechosłowacji to jest taka różnica jakby zapalił na jednej sali dużą lampę elektryczną, a na drugiej żydowską szabasówkę. Godzina druga rano 19-go 4-go granica Czechosłowacko-Niemiecka dostajemy kolację i obejmuje nas służba niemiecka i jedziemy Niemcami, też bardzo ładne okolice lecz nie tak interesowne jak w Czechosłowacji. Godzina 5 po poł. wjeżdżamy do Strassburga bardzo ładne

miasto długo nie stoimy i jedziemy dalej aż przyjeżdżamy do Toul — kres transportu, prowadzą nas na zborny punkt wielki nieład lecz niedługo 20-go rozsyłają nas natychmiast w różne okolice Francji począwszy od jednego do dwudziestu w jedno miejsce. Ja zostałem przedzielony do wschodniej Francji do zagłębia Briey (dep. Meuse) przy głównej drodze z Metz do Verdun 50 klm. do Metzu i 30 do Verdunu. W całej podróży traktowano nas przyzwoicie i wzorowo jeść dawano dobrze i poddostatkiem, przykrości żadnych. 20 kwienia rano o godz. 7.30 siadamy na pociąg w liczbie siedemnastu i ruszamy z naszym przewodnikiem (gdyż kopalnia wysłała po nas przewodnika)– francuzem lecz po niemiecku można się było z nim zmówić — do kresu naszej podróży. O godz. 2-giej po południu przyjechaliśmy na ostatnie stacje (Baroncourt) gdzie już stało auto z kopalni skąd jeszcze mieliśmy dwa klm do naszej kolonji i kopalni, zawieziono nas przed biuro poproszono o papiery i zaprowadzono do wizyty lekarskiej. Po wizycie z powrotem do biura (byliśmy wszyscy zdolni, bo trafiały się wypadki, że lekarz uznał za niezdolnego, którego odsyłano z powrotem) gdzie nam dano kartki przyjęcia do pracy (które się oddawało w kopalni sztygarowi pod którego się szło pracować) na 21-go rano na godzinę szóstą do pracy; potem nas porozwożono po kwaterach prywatnych t. j. jako sublokatorów; gospodarze byli przeważnie polacy ja dostałem kwaterę u pewnego westfalczyka (polaka) byli to bardzo uczciwi ludzie, było mi tam dobrze.

Rano 5.15 trzeba było wstawać i się szykować do roboty aby na godzinę szóstą być na kopalni o 6 tej zjazd pod ziemię do kopalni; z kwatery do 500 mtr. trzeba iść pieszo. Gdy przyszła kolej na mnie siadać do kosza czyli wchodzić (stoi się po trzydzieści ludzi na raz do jednego kosza) to mi się trochę włosy zjeżyły i dreszcze po skórze przeszły alem tego nie okazał po sobie, gdy zniesiono kosz cośkolwiek do góry aby otworzyć zapory na których kosz stał i zaczeliśmy się opuszczać w dół do kopalni to już mi się zrobiło normalnie ponieważ jazda bardzo przyjemna, a był wypadek że jeden z mojego transportu w koszu zemdlał i wielkie nieszczęście mu się stało ale tylko w spodniach i kalesonach, a pod ręką niańki nie było. Z wierzchu do kopalni jest 300 mtr głęboko. Pod ziemią ruch jak w Berdyczowie na jarmarku wszędzie jasno sztygarzy ludzi zabierają, kompletują, siada wszystko do pociągów a nie trzeba się

zmylić, gdyż pociągów odchodzi siedem w siedem różnych stron, przy pociągach maszyny elektryczne prowadzenie maszyny tak urządzone jak w tramwaju, koni tu niema wcale, wszędzie dochodzą maszyny, jest maszyn trzydzieści, siła maszyn 10 tonowe posiadają siłę 120 koni par., 7 ton. 90 k. p. i 5 ton. 80 k. p. w każdej maszynie po dwa motory. 10 ton. maszyna poradzi ciągnąć od 30 do 50 wagonów po równej drodze tak samo i pod górę, a i z góry hamować i waga wagonu brutto do 1800 klg rudy się mieści do wagonu 1150 klg do 1300 klg a wagon waży 500 klg.

Pierwsze dni ładowałem rudę do wagonów, a po kilku dniach przyszedł do mnie jak zjechałem na dół sztygar od maszyn i zabrał mnie z sobą i zostałem pomocnikiem maszynisty, po kilku miesiącach zostałem maszynistą, a w roku 1929 — 25 lipca zostałem sztygarem od maszyn ale długo nie byłem ponieważ sam nie chciałem ponieważ jest duża odpowiedzialność, a ja nie chciałem się tem zajmować i z powrotem poszedłem za maszynistę i jestem do dziś już jedenasty rok na kopalni i w kolonji mam poważanie jak Jankiel w Soplicowskiej karczmie. Po francusku mówie czytam i piszę choć nieprawidłowo ale temu się nie można dziwić gdyż nie przyjechałem do Sorbony, po włosku jak prawdziwy włoch, po niemiecku nieźle, po angielsku cośkolwiek, po rosyjsku „kak towariszcz moskowskij" a jugosłowiański i czechosłowacki to się stale słyszy i jest przecież podobny do polskiego, tak samo jak się Hiszpan spotka z Włochem pierwszy raz to się i tak dobrze rozumieją i rozmówią. Mam dobrą pamięć mam dobry umysł i bardzo bardzo jestem pojętny ale cóż nie było mi przeznaczone abym jakieś wybitniejsze stanowisko w świecie zajmował gdyż mam mało szkoły, nauczono mnie cośkolwiek póki była matka, a później to sam jak i gdzie tylko mogłem. Lecz obecnie i jak tylko jestem we Francji to na swój los nie narzekam i żeby Bóg mi pozwolił mieć tak do końca życia. Zarobek nie jest obecnie zły gdyż nam postąpiono, można wyżyć ubrać się elegancko i jeszcze cośkolwiek kto chce na czarną godzinę odłożyć.

Kasę chorych, od wypadków i ubezpieczenie na starość jest przymusowe opłacać. W szpitalu leżałem w 1928 r., 2-go października zostałem ranny, tom zaczął pracować 20 grudnia 1928 r., leczenie i całe utrzymanie szpitalne na koszt kasy chorych, a pozatem jeszcze kasa chorych wypłaca połowę dziennego zarobku od

dnia wypadku do dnia podjęcia pracy nie wyłączając świąt i niedziel. A jeżeli chory a jest w szpitalu to szpital jest darmo ale nic nie dostaje, jeżeli w domu to cośkolwiek dostaje ale nie tak jak ranny. Zdrów jestem jak koń, tłusty jak wieprz, czasem tylko jestem chory, ale to się mało zdarza — jak za dużo wypiję. Mieszkanie tutaj ludzie mają eleganckie, ogrody ile ziemi zechcą, elektryczność, wodociągi wszystko kopalniane, dzierżawe się płaci śmieszne pare groszy za cztery pomieszkania, piwnice, strych, sześć lamp elektrycznych (które świecą), dwa chlewiki, ogród, pole, przywiezienie węgla do domu — płaci się do 20 franków miesięcznie, a zarobek przeciętny 28 do 60 franków na dniówkę. Pozatem na dzieci dostaje się dodatek rodzinny już od pierwszego dziecka czem więcej dzieci to większy dodatek, przy połogu kobieta otrzyma najmniej od 500 do 600 fr. jak jest więcej dzieci a mąż mało zarabia to gmina czyli magistrat też co miesiąc daje wsparcie, a Ksiądz czyli parafja bieliznę trykoty i t. d.

Władze francuskie za przekroczenie karzą surowo bez wyjątku czy obywatel czy obcokrajowiec, lecz są bardzo grzeczne i nie pozwalają na siebie długo wyczekiwać. Piszę to ponieważ ja już tu miałem z władzami dużo do czynienia, choć nie w swych sprawach ale mnie brano i biorą jako tłumacza i po sądach, po notarjuszach po komornikach, w kasie skarbowej, w żandarmerji, na policji, w magistracie oraz w wielu innych instytucjach prywatnych jak i rządowych, to wszędzie grzecznie, delikatnie, prędko i przeważnie nasamprzód się zaraz pytają kiedy człowiek czy niniejszy zainteresowany pracuje, to Boże broń żeby tam miał stracić dniówkę wedle opieszałości lub widzimi się jakiegoś urzędnika (tak się szanuje ludzi i pracę we Francji). Gdyby tak w Polsce mogło być i chciało. A jeżeli kogoś ukarzą i przy tem skórę wygrzmocą to nie bez winy a choć tutaj we Francji jest tyle rozmaity narodowości, to najwięcej broją Polacy, ale nie wszyscy bo mamy też takich porządnych i przyzwoitych że drugie narody ich za wzór biorą.

Organizacji jest kilka i rozmaitych, ale to się o ich robocie i pomocy dużo trąbi lecz się nic nie działa. To jest tylko taka chmara rozmaitych hjen i szakali żerujących na naszym ciemnym narodzie jak powiedział Mickiewicz „Żyjący z pańskich stołów dworscy zausznicy“ popatrzeć w naszych tutejszych gazetach „Wiarusach“ i „Narodowcach“ to całe szpalty artykułów piszą ale tylko

o sobie t. j. wyzwisk, nienawiści, wojny i konkurencji między sobą prowadzą, a tem samem sieją pomiędzy ludźmi nienawiść; popatrzeć w ogłoszeniach to tylko piszą o tryprach, szankrach i syfilisach o doradcach, tłumaczach, o fakirach, o jasnowidzących wróżach, jak zostać bogatym, o wodzie na porost włosów, ale to łysi podają. Ale na to wszystko trzeba zaraz słać pieniądze i cóż z tego? jest dużo ludzi tak naiwnych, że się łapią tego jak muchy lepu a ci krwiożercy tuczą się na ludzkiej krzywdzie i ciężkiej pracy. Jeżeli jest jakieś ogłoszenie o sprzedaży książek — to tylko sama zgnilizna: jak „tajemnica czarnej magji", „jak chłop djabła oszukał", „sennik egipski", „sennik arabski", „jak wzywać djabła na rozstajnych drogach żeby pieniądze przyniósł" i t. d. i t. d. i t. d. Oto jest literatura. Mamy tu kilka związków ale tak się zwalczają i gryzą jak brytany.

Przytocze tutaj „koło śpiewu św. Cecylji" chodzą na śpiewy wieczorem: matka na śpiewach a dzieci koło domu chodzą głodne i zmarznięte a ojciec w robocie a w tym kole śpiewu to sami kawalerzy i młode mężatki. Proszę mnie nie mieć za egoistę ani za wroga ludzkości i ich związków ale że tylko oni sieją niezgodę pomiędzy ludźmi i ich rozdzielają z jedności. I to właśnie ci którzy się podejmują „przed Narodem oświaty nieść kaganiec". Jest tu i polska szkółka ale o niej i o tych co tam uczą to szkoda pisać gdyż nie dorośli jeszcze do tego i szkoda tych pieniędzy które im Polski rząd płaci lepiej by dał w kraju na biednych a jest ich tam dosyć dużo i więcej by się tam przydały jak tu. Co do francuskiej szkoły dzieci chodzą a chodzą prawie wszystkie, to rodzice prawie nic nie odczuwają ponieważ wszystko pokrywa kopalnia. Jakiejby nie były dzieci narodowości uczą się razem (po francusku) a polskie dzieci przeważnie pierwsze miejsca zajmują czyli najlepiej się uczą. Gdy chłopiec szkołę ukończy to idzie do szkoły do kopalni na powierzchni do warstatów i na wykłady uczą się montażu, ślusarstwa, mechanictwa, elektrotechniki i t. d. Ale nie za darmo, kopalnia im płaci że przy rodzicach to już na siebie zarobią, a szkołę kończą z ukończeniem trzynastu lat, do kopalni prędzej nie wolno zjechać aż po ukończeniu szesnastu lat.

Co do księdza i religji: Ksiądz to jest prawdziwy ojciec, brat, kolega, strasznie się troszczy o parafję i bardzo parafjan kocha jak prawdziwa matka, jak jest pełny kościół ludzi, to jest w siód-

mem niebie, w tym roku samych polskich dzieci było u Komunji świętej około 220. Gdy do kościoła się wchodzi na sumę lub na msze świętą to już z drzwi człowieka zabiera i prowadzi do ławki aby nie stał, grzeczny uprzejmy, delikatny obchodzi się z każdym jak z jajkiem a tak samo i u siebie na plebanji gdy się ulicą idzie naprzeciw księdza to pierwszy na dzień dobry kapeluszem się kłania czy zna lub nie. Jest ich tutaj dwóch, poza religją nic go nie obchodzi.

Wolne chwile się spędza rozmaicie i na wycieczkach i przy muzyce (radio prawie jest w każdym domu) to w kinie to na zabawie, przez radjo słuchamy Warszawę, Katowice, Poznań, Hejnał z Mariackiej wieży z Krakowa i t. d. Z Polskich organizacji nie korzystałem bo nic nie pomogą i nie poradzą. Do władz Polskich się nie zwracałem jeszcze bo mi nie było potrzeba. We Francji będę siedział jak długo mi się da ale gdybym się zestarzał tutaj to na stare lata przyjadę do Polski. Obywatelstwa francuskiego nie przyjąłem i nie myślę na razie przyjmować a za gościnę, to gdyby kiedyś granice Francji znalazły się w niebezpieczeństwie to się zgłoszę natychmiast w pierwszy ogień. Gdy przyjadę do Polski to się u kogoś przytule i tak już samotnie chyba będę żył, nie gwarantuje (ponieważ w starych piecach djabli palą) obecnie mam 38 lat. Za tych 10 lat co tu jestem to już dużo ludzi pojechało do Polski z własnej woli niektórzy ładny kapitalik wywieźli, a niektórzy to i prawie nago i boso i z długiem. Choć i we Francji było bezrobocie i redukcja i świętówki ale tutaj tego nie było. Czytam z Polski „Kurjera Ilustrowanego", „Światowida", „Na szerokim świecie" i „Boćka" i „Wolne żarty" bo ja się interesuje całym światem i sportem a polityką mało. Ja od Polski nic nie żądam, ale w każdym razie jestem Polakiem i dosyć dobrym i życzę Polsce aby mogła się stać jak najpotężniejszą i najbogatszą żebyśmy się nikogo nie bali i byli u siebie i dorabiali nasz kraj.

Niniejszem kończę moją bazgraninę nie wiem czy się znajdzie tak odważny człowiek i czy będzie chciał czytać nie mogę pisać dobrze dlatego że chyba już z osiem lat pióra nie miałem w ręku i dużo omyłek robie z zapomnienia. Proszę usilnie choćby o kilkuwierszową odpowiedź.

W lipcu 1936 r.

Pamiętnik Nr. 25

Robotnik, syn robotnika,
rodem z Podlasia, ur. w 1913 r.
(Konk. I. G, S. — Pam. Emigr.)

Ja urodziłem się 8-go maja 1913 roku. Gdy Tatusia Rosjanie zmobilizowali pojechaliśmy do Rosji. W Rosji naogół nam się powodziło nieźle. Tatuś po powrocie z frontu z Rumunji (mieszkaliśmy wtenczas koło Połtawy na Ukrainie) dostał posadę ślusarza przy nowej linji kolejowej. Ale że Bolszewicy nas chcieli skomunizować przez to w 1922 roku wyjechaliśmy do Polski.

Ja chodziłem dwa lata do rosyjskiej szkoły, gdzie tylko starali się nam wpoić w nasze małe duszyczki zamiłowanie do bolszewizmu i komunizmu. Co inne było obce w tej szkole. Zresztą tęskno nam było już do Polski, bo o niej słyszeliśmy coraz więcej, bo coraz więcej jechało naszych rodaków do Ojczyzny. Ale większą cześć pomiędzy niemi było Żydów. Bolszewicy naturalnie ze zrozumiałych względów nie dawali wagonów, nawet o ile ktoś chciał i dobrze zapłacić. Bo zresztą ich pieniądze jeszcze wtenczas nie miały większej wartości, a których my mieliśmy (dosłownie) trzy spore woreczki—po zlikwidowaniu całego naszego tamtejszego gospodarstwa, a mieliśmy wówczas krowę, konia, no i kilkanaście sztuk świń jak i dosyć sporą ilość różnego drobiu. Przy tem było też ze dwa hektary ogrodu warzywnego.

Z Ukrainy wyjechaliśmy na same Zielone Świątki. Wyjechaliśmy na wozie zaprzężonym w jednego konia i pokrytym płótnem, a przy którym wlokła się nasza krowa. Jechaliśmy do wymarzonej Ojczyzny — rzucając wszystko! Lecz nie wiedząc, że po siedmiu

latach przyjdzie się jechać jednakowo na zachód — dalej — szukać szczęścia. Ujechawszy sporą część drogi, gdy przeszła duża burza i była mocna ślizgawica, koń nasz się poślizgnął i rozczachnął się. Kupiliśmy drugiego i jazda dalej. Jadąc nocowaliśmy u dobrych i życzliwych ludzi, a gdy takowych brakło — nocowaliśmy w lesie, jak zwyczajni cyganie. Nieraz gdzieś w nawpół rozwalonych budynkach i stodołach, to znów w pałacach opuszczonych przez magnatów ukraińskich, to znów gdy nie było nic to albo „na wozie", czy znów „pod wozem"— jak się to mówi.— Żywność kupowało się po drodze, zaś zwierzęta pasły się byle gdzie. Posuwając się tak bardzo wolno, przyjechaliśmy po miesiącu do Kijowa. Tu spotkaliśmy dużo innych „uciekinierów polskich" z Rosji, jak nas nazywali tamtejsi Ukraińcy i Bolszewicy. I tam po sformowaniu coś w rodzaju taboru, ruszyliśmy razem ku granicy polskiej. Jedynie Bolszewicy nas konwojowali, pilnując — nibyto — abyśmy nie robili szkód czyli inaczej mówiąc kradzieży. Tak dojechaliśmy do Korca. W Korcu było przyjęcie przez polską Straż Graniczną i oddanie pod opiekę Rządu Polskiego.

W Korcu po zwyczajnych wizytach sanitarnych, udaliśmy się do Kowla, gdzie dali nam jeden wagon (kryty) do dyspozycji. I tak nareszcie w wagonie towarowym—na naszym wozie śpiąc, a wagon dzieląc wozem z naszym niedużym inwentarzem — przyjechaliśmy na Podlasie, do którego tak mocno tęskniliśmy. Przyjechaliśmy tam już w późnej jesieni, czyli cała podróż trwała bagatelkę — sześć miesięcy. Tam cóż — ze spadku po naszym dziadku—należała się nam pewna część gruntu, jak i inwentarza żywego i martwego. Ale nasza stryjenka, która to miała w swych rękach (a była otrzymała po śmierci dziadka) przyjęła nas dosyć przyjemnie z początku, lecz potem ani nie chciała słyszeć o wspólnym i równym podziale tego co się nam prawnie należało. Kazała się nam wynosić „w djabły", wyzywając od bolszewików, komunistów, włóczęgów i t. p.

Mój Tatuś może byłby tam i nie został aż tyle czasu, nie mając zamiłowania do obróbki ziemi, a prędzej mając „żyłkę" do stałego gdzieś podróżowania i poznania krajów. I trzeba też nadmienić, że przy ziemi bardzo mało pracował. Lecz aby zrobić na złość tej stryjence, sprowadził swego brata z Częstochowy. I wtenczas zaczął się uciążliwy i kosztowny proces o ten spadek. I — cóż naturalnie myśmy go wygrali, lecz pokąd otrzymaliśmy swoje, sąd

i utrzymanie pochłonęło prawie resztę naszych oszczędności z Rosji. Do tego część stryjenka skradła, gdyśmy u niej zamieszkali po naszym przyjeździe z Rosji, a o czem dowiedzieliśmy się dopiero po wygraniu wspomnianego procesu. I wtenczas zaczęło się dorabianie czegoś na kilku morgach niebardzo dobrej ziemi, a przy budynkach już w niedobrym stanie. Wprawdzie może i tak źle nam nie było wtenczas, szczególnie przy pomocy innych krewnych, lecz nasza stryjenka nie dała za wygraną. I wszędzie nam szkodziła i dokuczała o ile mogła. A coś nie można było nigdzie zostawić, bo zaraz „sprzątła"! Zresztą tatuś proces prowadził bez adwokata i przez to nie mógł go wyzyskać jak się należy.Czyli nie otrzymał kosztów sądowych, no i majątek został podzielony tylko w teorji przez sąd. A potem przy podziale między sobą były nowe kłótnie i swary. I wogóle potem kłótni nie brakło, jak i innych różnych nieprzyjemności. Aż nas to wyprowadziło z równowagi i na wiosnę 1925 roku tatuś wyjechał do Francji, a my wynieśliśmy się na tak zw. komorne na inną wieś, oczekując aż nas tatuś też będzie mógł zabrać.

Ja w tym czasie chodziłem do szkoły jednoklasowej na wsi. W takiej szkole naturalnie niemogłem dużo się nauczyć. Lecz że popadłem na dobrego nauczyciela i wychowawcę — przy moim bystrym umyśle mogłem się dużo nauczyć. Zresztą uczyłem się pobocznie, jak i po wyjściu ze szkoły uczę się stale czy to przez korespondencję, czy też ze specjalnych podręczników. Zaś nasz nauczyciel był dobry i uczył więcej niż było wykreślone w programach szkolnych. Który takie dobre zasady wszczepił w mą młodzieńczą duszę których nigdy nie zapomnę i za co mu też będę wdzięczny stale. Bo niestety Rodzice nie mieli czasu mną się zajmować, ani mię uczyć czegoś. To co wyniosłem ze szkoły, albo sam się nauczyłem, to było wszystko. Zresztą podczas całego czasu uczęszczania do szkoły wchłaniałem dużemi haustami naukę, rozkoszowałem się przyrodą i jej pięknem. Szczególnie pięknem jezior położonych wśród lasów, a ślizgawka — co to była za rozkosz! Zresztą przeczuwałem, że po niedługim czasie wyjadę stamtąd. (Dzisiaj żyje się tylko wspomnieniami z tamtych czasów).

Tatuś wreszcie po trzech latach gospodarki, gdy już zaczynało się robić krucho, po puszczeniu ostatnich oszczędności z Rosji, wyjechał do Francji na kontrakt jednoroczny na rolę — przez

Gdynie. O tem dowiedział się z tygodnika „Zorza" wydawanego w Lublinie, który pisał— że naszym rodakom bardzo dobrze powodzi się we Francji. Tatuś gdy wyjechał do Francji, ja uczyłem się dalej. Nawet mojem marzeniem było wstąpić do Seminarjum, lecz niestety z braku funduszów i pomocy, to zostało i do dzisiaj tylko... w marzeniach... Zresztą musiałem pomóc potem Rodzicom we Francji do wydźwignięcia się, bo niestety podróż nasza do Francji dosyć dużo wyniosła, a tatuś wtenczas jeszcze niedużo zarabiał. Wyjechałem do Francji w końcu marca 1929 r.

Jechaliśmy naturalnie przez Mysłowice — transportem zbiorowym. Zajechawszy tam (do Mysłowic) — pierwszą noc musieliśmy nocować na dużej hali jednego z gmachów, gdzie nawet nie było ogrzane, a jak już nadmieniłem— w marcu— to się to dało odczuć. Więc spędziliśmy całą noc na rozmyślaniach. Na drugi dzień wizyty lekarskie—na których zostaliśmy przyjęci. Podpisanie kontraktu — jeszcze jedna noc już w prowizorycznych łóżkach drewnianych i... upragniony wyjazd do Francji. Jazdę transportem nie będę opisywał, bo o tem już dużo ludzi zaraz pisało, lecz to żadnego pożytku nie przyniosło. Wspomnę jedynie, że w osławionym Toul'u nas traktowali jak poprostu bydło na handel, szczególnie t. zw. tłumacze, Rosjanie naturalnie, którzy wcale polskim językiem nie władali, posuwali swą bezczelność do tego, że dużo ludziom ubliżali za byle co, a jak im ktoś kazał być grzeczniejszymi, to mówili jechać z powrotem do „Polszy"! Czegoś podobnego nie spodziewaliśmy się i przez to nasze szerokie zapędy załamały się po takiem przyjęciu. Podczas podróży nasza siostrzyczka najstarsza otrzymała rozstrój nerwowy z powodu różnych nieprzyjemności i niewygód co nas też mocno przygnębiło i przygniotło na duchu.

Cała podróż trwała w Wielki tydzień, a z tatusiem naszym zobaczyliśmy się w Wielką niedzielę, lecz po tylu trudach i nieprzyjemnościach, nawet zobaczenie naszego tatusia nas nie ucieszyło, a patrzyliśmy, aby jaknajprędzej wyciągnąć zmęczone członki w łóżku. We Francji zaczęliśmy ten trudny żywot wychodźczy pracą, aby się czegoś nareszcie dorobić i spłacić długi które tatuś zrobił na naszą podróż. Z początku — gdy kryzysu jeszcze nie było, pracy było dosyć, dni tak schodziły i nie myślało się o niczem. Lecz potem— gdy tęsknota zaczęła źreć dusze nasze i gdy zaczęła być coraz większa bieda we Francji z powodu kryzysu, wtenczas nic już nie

interesowało, ani nie cieszyło. I dziś już po siedmiu latach pobytu we Francji, biedy może nie mamy, lecz wszystko z pewnością oddalibyśmy za ten kawałek czarnego chleba i za możność życia pomiędzy swoimi. Lecz to obecnie niemożliwe, życie nas pognało dalej, wyganiając na inną drogę, mimo naszych chęci i z której już niesposób wrócić.

Ja we Francji zacząłem pracować w walcowni, gdzie praca była dosyć ciężka dla mnie — na mój młodociany wiek. Lecz to jakoś szło przez trzy lata. Nieraz trzeba było usłyszeć „boche", albo „wynoś się do Polski" i t. p. W tych trzech latach moja siostrzyczka najstarsza wyszła za mąż, a my naturalizowaliśmy się. Lecz w sercu nadal jesteśmy Polakami, pamiętamy stale o Polsce i naszem marzeniem obecnie jest, aby kiedyś do niej wrócić jako doświadczeni i dobrzy synowie.

W 1930 roku byłem trzy miesiące bez pracy. Zasiłek bezrobotnego łatwo uzyskałem. Za mieszkanie mieliśmy bardzo wątły barak drewniany o czterech pokojach, przy którym mieliśmy dosyć duży ogród warzywny. Oprócz tego mieliśmy dosyć różnego drobiu i zawsze hodowaliśmy jednego prosiaka na swe potrzeby, jak i króliki. Dwie kozy dopełniały cały inwentarz. No i przy tem mieliśmy fonograf potem kupując aparat radjoodbiorczy. Audycji z Polski słuchamy co dzień, lecz Luksemburg nam dosyć przeszkadza z powodu większej siły nadawczej od stacji warszawskiej.

Ja po przepracowaniu w wyżej wspomnianej walcowni wyjechałem w głąb Francji szukać innego lepszego miejsca. W różnych okolicach pracowałem z kolegami jako monter, przyczem zarabiałem dosyć dobrze i tak szło aż do pójścia do wojska. W wojsku służyłem jeden rok. Starałem się i po przejściu kilku kursów dodatkowych wyszedłem z szarżą sierżanta rezerwy. Po odsłużeniu wojska starałem się być nadal z rodziną razem, co też uskuteczniłem nareszcie. Obecnie z tatusiem pracujem w jednej fabryce naboi, dosyć zarabiając, a najmłodsza siostrzyczka chodzi do szkoły zawodowej, a średnia pracuje jako sprzedawczyni w jednym z magazynów. Tu w tem mieście gdzie mieszkamy nam się podoba. Miasto duże z prefekturą, czyli jak po polsku z urzędem wojewódzkim. Dookoła lasy, bo okolica cała piaszczysta, więc lasy iglaste, poniekąd tak jak kiedyś w Polsce. W przyszłości myślimy sobie kupić tutaj duży plac — wybudować dom a potem założyć hodowlę

na większą skalę, która we Francji, zresztą, jak i wszędzie dosyć się popłaca. Mieszkanie mamy o trzech pokojach z ogródkiem. Przy tem piwnica. W domu światło elektryczne, gaz i woda. I cóż więcej, chyba tylko co lato urlop kilkutygodniowy w Ojczyźnie!

Dotąd należałem do związku „Pomocy Oświatowej" (zw. niezależny) obecnie do sekcji Rezerwistów i Byłych wojskowych, która urządza większą imprezę na 3-go maja zaś ze Światowym Związkiem Polaków nigdy nie miałem styczności i nie szukałem z powodu jego „twórczej" pracy, którego też unika większość polskich zrzeszeń na terenie Francji. Z konsulatem polskim w Paryżu mieliśmy też dosyć ciężką „przeprawę" z uzyskaniem zwolnienia z obywatelstwa polskiego, lecz uzyskaliśmy takowe dopiero po napisaniu do Ministerstwa w Warszawie.

Na tem kończę mą pracę w której starałem się streszczać jak najwięcej.

Dn. 20 kwietnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 26

Stolarz, syn 30-morgowego rolnika z Kaliskiego, ur. w 1889 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Urodzony 20.X.1889 r. w zimi Kaliski dobra Mikulicze, wychowałym się przy rodzicach do lat 15, mam szkołę powszechne, moje rodzice byli bardzo rozsądni dawali szkołę ile jem sił starczyło, cinżko było bo na gmine była jedna szkoła jak wiadomo było trudno nam się łuczyć za czasów rosyjskich. Rodzice w każde wieczory dawali nałukę szkolną. Zawsze przepominali dla dobra polskości. Po $15^1/_2$ roku oddano mnie w praktyke do zawodu stolarskiego. Mam praktyki cztery lata. Moje rodzice byli wyznania rzymsko chrześcijańskiego, był gospodarz 30 morgowy, miał czterech synów, trzy córki. Rodzice posuwali swoje prace coraz winczy nowocześnie, o swoim życiu wspominał że odbywał powstanie z młodszych swych lat najazdu rosyjskiego i połuczał treści wojskowe. Rodzic był coraz winczy starszy i słabszy, życie się coraz winczy krudziło, 1911 r. rozpisał gospodarke dwom synom, młodszym piniędze. Rodzic zachorował i chorował i w 1913 roku zmarł przeżył lat 78, ja młodszy byłem powołany do wojska 1912 r. byłym zmuszony opuścić rodzinę byłym przeznaczony na granice perskom miasto Kutaisk i tam służyłym, po sześciu miesiącach zachorowałym na frybre żółtą i nie mogłym przyjść do zdrowia. W tej chorobie byłym przysłany do Warszawy do szpitala, po dwóch miesincach zdrowie uzyskałym. Po wyzdrowieniu stanyłym na komisyje, dostałym jeden rok spoczynku, 1913 r. byłym u swoich rodziców, 1914 wojna objawiona europejska. Spowrotym by-

łym powołany do służby wojskowy swoje czynści wojska na miejsce swoje. Smutno mi było jako samotny musiałym opuścić swoją zimię i swój kraj stanąć w obce zimie. Była nagła zmiana, zostałym zwrócony i przedzielony do dziewiąty wojenny tabor na front niemiecki. Pierwsze moje kroki były na wschodnie Prusy. Armia rosyjska posuwała się naprzód trzeba było w każdej nocy nawozić materyjały wojenne na pierwsze linie i tam się oglądać w prawo i w lewo rychło cię kula armatna nie rozbije, o jak to było przykro patrzyć na to i ratować swojego życia siłami swojemi gdy niemcy stanyły silniejsze rozbili armie rosyjską, kto został żywy było rozporządzynie aby się cofać bez kamandy aby ocalić życia. Niemcy korzystali wszystkie materyjały żywnościowe zabrali, nie żałowali kul granatów ani gazów trujących, po drogach były znyczania zabijania człowieka który był żywy i woła ratunku, nie można było nikogo poratować dniem tylko nocą każdy człowiek ratował sam siebie bo było napryżynie ze strony niemiecki była łyskawica i grzmoty z pocisków armatnych. Spotykałym po drogach straśliwe myczarnie człowieka jak i kunie wszystko zmięszane ze zimią, miałym rozkaz kto żywy w taborach ażeby się cofał nocą i zabirać rannych żołnierzy. Cofnyłem się do Grójca pod Warszawę potym się cofnyłym do Warszawy, stojałym siedem miesincy, był odpoczynek dla sformierowania taboru nowygo, było naprzyrzynie ze strony niemiecki na Warszawę była walka 13 dni, była krwawica każdej nocy trzeba było wyjeżdżać i zawozić materyjały a spowrotym rannych, niemiec zwyciżył i przerwał się z drugi strony Wisły, stanył wielki popłoch, armia zaczyła się cofać i opuściła Warszawe a my mieliśmy rozkaz tabory bydą się cofać na ostatku ażeby ważne zapasy zabirać. Moja czynność taborów ostatnia opuściła Warszawe, w tym momencie kiedy moje kroki przeszły most był zerwany minami a niemiec nie dawał spoczynku. Czyńść moja odstąpiła do Mińska, w tej pozycji byłem $4^1/_2$ roku, smutne i cinżkie kroki były Baranowicze Stołpcy Lida Borysów Mołodeczno. 1917 roku były szymranie żołnierza, duch żołnierski opadał w armi, stanył przewrót. Zaczyły się rządy Kiereńskiego, była ostatnia ofynzywa miałym napad ostatni przez niemców pod Słuckiem 1918 roku, bruniłem się do ostatni kuli nic jem żywygo nie oddały to była moja ostatnia zymsta dla tego przeklętego narodu niemieckiego. Potym zostałym

zabrany do niewoli, byłym odesłany do obozu konserwaczyjnego miasto Tuchel, była tam straszna klinska człowieka ale to wszystko zwyciżyłym, Bogu gorąco dzinkuje. $4^1/_2$ roku wojny nie miałym żadnego niesczynścia, ani jedna kula mnie nie dotkła, to było osobiste u Boga sczynście, wspominam sobie taką klinskę przesłym nie do wytłomaczynia. Ale zaczyła się klinska głodowa, była trudniejsza, gdy byłym zabrany do niewoli, każdygo dnia nas gonieli do roboty jeden raz dawano nam gorące zupe ale bardzo rzadka na 10 człowiek jeden bochynek chleba, na każdą głowe przypadło grubości 10 milimetrów był chleb mienszany z drewnianymi trocinami, człowiek się od głodu obalał, gdy człowiek się dopominał swojego to był ukarany. Z głodu gnaty zbirali niewolnicy i gotowali w baraku. Po trzech miesincach byłym odesłany na robote do fabryki mebli miasto Gniewkowo, cieszyłym się że bynde swobodniejszy ale musiałym pracować siedem godzin, wynagroda była marna jak niewolnikowi na każdym kroku była ścisła kontrol. Po upływie kilku miesiency zrobił się przewrót, my polacy byliśmy swobodniejsi. 15.11.1919 roku powróciłym z niewoli na rodziny plac, spotkałym swojom mame i braci co również powrócili z rosyjski armii i ja się bardzo ucieszyłym i czułym się szczęśliwy. Po niedługim czasie moja mama zmarła, wkrótce było mi przykro pożegnałym plac rodziny i jako samotny z opuszczonom głowom udałym się za pracą do miasta Łodzi i pracowałym na kawałek chleba. Byłym powołany na komisyje wojskowom 1920 roku, byłym przyjęty jako żołnierz polski, byłym zadowolniony że bynde bronieł swoich granic gdyby bolszewik silniejszy, powołany bym był do broni, Bogu dzinki że armia polska silna i potężna ja nie byłym powołany. Zostałym przy pracy, 1921 roku roboty ustawały coraz winczy cinżko było za to wyżyć, pisałym o pozwolińśtwo do P. K. U. o wyjazd do Francji, dostałym pozwolińśtwo wyjechałym 15/7 1924 r. na kontrakt do fabryki mebli ale długo nie byłym na kontrakcie spowodu niski płaty, kontrakt złamałym prawdziwie i sprawiedliwie, robotnik francuski zarabiał fizyczny 3 franki na godzinę a ja rzemieśnik zarabiałym 2,50 na godzine i z tem się nie pogodziłym reklamowałym do derektora o podwyżke 3 franki, on mi odpowiedział że ja podpisałym kontrakt musze pracować za 2,50, odpowiedziałym że ja kontraktu nie poważam tylko prace ja robotnik umysłowy a nie fizyczny — odpo-

wiedziałym stanowczo że za tę płatę pracować nie bynde bo to jest oszukaństwo. Dostałym zwolninie z kontraktu, wydano mi sertyfikat potwirdzony przez merostwo, do mnie nikt pretenczyi nie miał. 22.12.1924 r. przyjechałym do Tours fabryki wagonów, zarobek był bardzo dobry, zarabiałym 3,50 na godzine, pracowałym 9 godzin cinżka praca była ale płatna, czułym się bardzo szczenśliwy i miałym nadzieje że stworze domowe ognisko poprawie byt. Stało się inaczy, mój los taki miałym wypadek. 7/4 1926 roku zmieniałym świderek u maszyny powietrzny to jest wiertarka, odkryczono mi kurek wyrwało mi klucze z rynki i uderzył mnie w zęby, wybiło mi pięć zębów i rozciło mi usta. Udczuwałym duże boleści, przez tyn czas choroby miałym płacone połowe zarobku. Po wyzdrowieniu zawiadomiłym konsulat R. P. w Paryżu o swojem wypadku aby mi było nagrodzono za wypadek moich zębów i uskarżynie przez sąd, konsulat mi nie raczył odpowiedzić ani pomócz obywatelowi polskiemu, wyciągnyłym świadestwo wypadku pracy i posłałym do ambasady, dostałym odpowić że taką sprawom sie zajmuje konsulat i papiury są odesłane i ta sprawa tak umarła. Tak konsulaty zagranicą sie starają dla swoich obywateli. 2/6 1932 r. zachorowałym na ślepą kiszke miałym operacyje, dzięki Bogu operacyja się dobrze udała doktory się bardzo dobrze obchodzili chociaż z obcokrajowczym bez różnicy tylko sługa spitalna urąga i naligała że ty izdes obcokrajowczy. Robotnik francuski jest bardzo wrogo usposobiony dla obcokrajowcza. Spital płaciła kasa chorych, w spitalu leżałym jeden miesinc, po wyjściu ze spitala odpoczywałym trzy miesince w swoim mieszkaniu, miałym wypłacane co 15 dni prócz niedzieli i święta po 18 franków na dziń, po trzech miesincach posłym do pracy swojej i byłym zadowolniony ze swoich dobytków ale się pogarszało z każdym dniem bezrobocie. Byłym odprawiony z pracy 15/9 33 roku, pierwsze wydalinie z pracy obcokrajowca, naród francuski traktuje bardzo źle obcokrajowca bez różnicy postympuje brutalnie. Szukałym pracy dwa miesince nie mogłym znaleźć. 2/12 33 r. poszłym na biuro pośrednistwa pracy prosiłym o wsparcie, zażądano odemnie sertyfikatu zwolnienia z pracy, bez żadnych uporów wydano mi 7 franków na dziń póki nie znajde pracy swojego fachu. Po upływie dziewięć miesincy znalazłym prace za polerownika w fabryce mebli, od 5/10 34 roku pracowałym do 29 lutygo 36

roku, z braku pracy zostałym zwolniony. Zachorowałym na grype posłym do spitala, leżałem miesiąc, po wyjściu ze spitala niema pracy, poszłym dwa razy na biuro pośrednistwa pracy aby mi wydano zapomoge bezrobocia, wydano mi w każdyn dziń 7 franków dopóki nie znajde pracy jezdym na asuransie miesiąc niemam pojęcia jak byndzie dalej. Takie życie robotnika na obczyźnie a przeważnie obcokrajowca gdzie się udano za pracą tam nam odpowiedzą wyście obcokrajowiec my mamy swoich ludzi do pracy. Jest bardzo cinżko, jaka była ekonomia trzeba było dołożyć nawet trzeba było sprzedać dobytki martwe. W Tours miałym sposobność widzić manifestacyje francuską bezrobotni, jakie jest u nich braterstwo. dopominali się pracy i chleba z napisami plakaty i ze śpiwym i czerwone sztandary komunistyczne bardzo spokojnie, policja naprzód, udają się na prefekture a potym do merostwa i przyjęto ich jako obywateli swoich a potym się rozchodzą po domach jedyn drugimu krzywdy nie zrobi, była druga manifestacyja braterska 14/6.36 roku w niedziele o godzinie 14 a skończyła się o 6 wieczór, było na co popatrzyć wszystkie organizacje się złączyły, była defilada przed hotel dewil merym*) przesło 30 tysincy defilowało od najmłodszych do najstarszych i szkolne dzieci każdy był ubrany przyzwoicie i były okrzyki niech żyje pan Blum, 15 dni urlopów 40 godziny pracy tygodniowo. Taki raj jest we Francyji ale my obcokrajowcy możemy patrzyć na to z daleka, pracy nam nie dają. W Tours miałym zdarzynie widzić w kawiarni gienerała francuskiego, przyszed żołnierz zwyczajny honor oddał siad przy stoliku drugim prosił o szklanke i towarzysył jak wszyscy swobodnie, to jest braterstwo Francyi, służba służbom gdy swobodny jest panem swojej sytuacji. Przypominam generała rosyjskiego gdy mu nie stanął front na ulicy nawet gdzieby nie było sześć dni paki co mówić o kawiarni. Pracowałym razym z gienerałym i z pułkownikim to mu przypominałym jak traktowali żołnierza albo robotnika, sami się stali robotnikami, żadyn polak nie dawał im żadny pomocy w pracy tym oficerom tylko im przypominali jak wbijali spilki Polsce nawet wspominali jem od japoński wojny jaką dobroć czynili polakom. W Tours było założone Towarzystwo Kultury Oświaty 1925 r. w tym towarzystwie były za-

*) T. j. przed merem w Hotel de Ville.

wsze kłótnie i nienawiści pomiędzy polakami, wyłoniły się dwie grupy strona prawa i lewa, na każdym zebraniu były spory wiadomo bardzo dobrze są polacy trzech zaborów i nie było jedności, każdy polak miał inne zapatrywanie, bardzo dużo zapoznało się studyntów żydoskich, interesowali się każdym zebraniem posuwali się coraz dalej szukali oni polaków mniej uświadomionych jak się pomalu okazało to nie byli studyntami tylko agitatorami bolszewickimi, pomalu po jednymu znikli zostawili po sobie zaraze pomiędzy polakami mało uświadomionymi i ta zaraza isknie, zebrała się grupa polaków wiernymi synami ojczyzny i rozwiązali Towarzystwo Kultury Oświaty a założono Związek robotników polskich Tours 1/11.32 r. Z. R. P. obchodzi corocznie 3 maja, mamy odczyty nadsyłane z konsulatu R. P. o konstytucji odrodzyniu Polski, cześć bohatera marszałkowi J. Piłsudskiemu. Z. R. P. obchodził świnto morza, były odczyty i kolejno zabirane głosy o naszych bohaterach polski. Z. R. P. urządza corocznie choinke dla dzieci polskich, dzieci młode wystypują szkolne z deklamacyjami przy żłobku zaufanie braterskie. Potym rozdano paczki łachotki. Z. R. P. starał się ażeby otworzyć szkołę polską w kolonii Tours, przyjechał z konsulatu R. P. przedstawiciel, szkoła była przyjęta, był wybrany zarząd pod nazwą rada opieki rodzicielski 1/2 1933 roku. Były zakupione książki kajety ołówki wielka mapa wielkości 1 metra, wszelkie starania skarbnika, była urządzona zabawa loteryja fantowa dochód na dzieci szkolne, była urządzona wycieczka dla dzieci szkolnych i nie szkolnych, Kasa R. O. R. płaciła podróż i dla dzieci obiad wspaniały. Rodzice byli zadowolnieni, dawali oklaski niech żyje szkoła R. O. R., wszelka praca za zgodą zarządu. 4/2 35 roku był wybór zarządu byli kontr starymu zarządowi te które mniej uświadomini ze strony lewy winkszość został zarząd wybrany te co chwalą Rosyje, urządzają zebrania nawołują swoich zwolenników idom całymu społeczeństwu ale im to łatwo nie idzie dzinki tymu że nałuczycielka jest rozsądna uczy dziatwe tak jak konsulat daje propozycyje. W kolonji Tours bywa corocznie misyja katolicka, w każdym roku mamy przeszkody od tych ludzi co mniej uświadomieni, ostatnią misyje mieliśmy 10/5 1936 r.

Dn. 1 lipca 1936 r.

Pamiętnik Nr. 27

Górnik, syn robotnika
ze Śląska Cieszyńskiego
ur. w 1902 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Urodziłem się 18 maja 1902 na Śląsku Cieszyńskim, pow. Bielsko. Jak jest mi wiadomo od matki i innych, ojciec mój pełnił służbe na kolei, tego ja już nie pamiętam, przypadek się zdarzył że złamał nogę i nie mógł pełnić służby i posądzono go o pijaństwo i stracił służbe i po wyleczeniu się zaczął pracować w fabryce mebli w Jasienicy, oddalonej od miejsca zamieszkania 8 — 10 klm. i z jakiej przyczyny stał się nałogowem pijakiem tego sam nie wiem, jedni mówili że stracił poważanie drudzy inaczej.

W domu gdzie my mieszkali była nędza i niedostatek mieszkaliśmy u (starzyków) dziadków, mieliśmy jedno mieszkanie, ale nie było w nim żadnej wygody i nic nie było zrobione jakby się należało ani podłogi drewnianej ani komina, jak deszcze padały to strumyk wody przechodził przez mieszkanie na poprzek i pełno błota w mieszkaniu, a gdy był wiatr od północy nie można było palić ognia, bo wszystek dym był w mieszkaniu, bo wiatr trafiał w rure od pieca, a najgorzej było w zimie, bo nam było zimno, a dym nas dusił i sprawiał boleści oczu, głód też nie omijał naszego mieszkania, a na przednówku był gościem codziennem a nawet naprzykrzonem.

Rok 1908 zaczyna dla mnie przebywaniem między obcemi ludźmi. Tego roku w miesiącu sierpniu przychodzi do nas jedna starsza kobieta i prosi matkę, aby mnie dała na służbe paść jedną krowe, matka daje odpowiedź że jeszcze jestem za słaby i młody,

bo liczyłem wówczas 6 lat 3 mies. a krowe trzeba było paść o 2 klm oddalone od domu, bo tam miała pastwisko wynajęte, w końcu jednak doszło do ugody przez obiecanki dla małego chłopca, że będę miał więcej jedzenia, a nawet dała mi pięć koron srebrnych austryjackich na ubranie i na obuwie i ja się zgodziłem pójść paść krowe i zostać na służbie do końca 1908 r.

Pewnego razu był dzień chłodny i wiatrowy, ja schroniąc się przed chłodnym wiatrem usnąłem, za pastwisko służył stary kamieniołom w niektórych miejscach znajdowała się woda do grubości 3 mtr i o tem mnie ostrzegano, abym się tam z krową nie przybliżał, bo by my się mogli oba utopić a gdy się obudziłem krowy koło siebie nie znalazłem i szukałem po dolinach kamieniołomu ale nadaremno zaglądałem do wody czy się nie utopiła ale nadaremnie rozglądałem się na wszystkie strony i to nigdzie jej nie dostrzegłem i rozmyślam gdzie mam teraz iść, bo wiem że mnie kara czeka, bo nie mam krowy i nie wiem gdzie się straciła czy się utopiła lub kto ukradł, ale wybrałem drogę do rodziców i rozmyślam gdzie krowa, naraz przechodzę koło jednego domu zobaczyłem moją „krasule“ uwiązaną u płota, to wtedy mój strach obrócił się w radość i wziąłem moją krasule i zaprowadziłem z powrotem na pastwisko i pilnowałem aż do wieczora i od tego czasu już nigdy nie spałem przy paseniu krów, bo już raz dostałem naukę. W roku tem u (starzyków) to zn. u dziadków którzy mieli dwie krowy i ciele, padła krowa, najmłodsza siostra mego ojca która liczyła 18 r. wtenczas i mówiono między sobą że jeżeli ja tam potrafie paść jedną krowe daleko od domu, to na rok 1909 potrafie paść dwie krowy i ciele bliżej domu i jeżeli będę wołał pomocy że mnie zawsze usłyszą i obrady te zostały wykonane, za zgodą ojca matki i mnie, za to otrzymałem jedzenie ubranie a spanie miałem u rodziców w domu ale bez żadnej wygody, bo łóżko mieliśmy tylko jedno pomimo rodzina nasza liczyła cztery osoby, a po drugie nie było nań miejsca a po trzecie nie było za co kupić, bo ojciec był zawodowym pijakiem i co zarobił to wszystko przepił i nawet mu tego brakło, a nawet pare razy jak zapamiętałem i od matki słyszałem to jeszcze matki pieniądze wziął i przepił i on nie wiedział jak jest człowiekowi trzeźwemu i zdrowo myślącemu na świecie, tylko wtedy był mniej pijany gdy były dwa dni wolne od pracy, np. Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki i t. p. to

matka wtedy się bardzo cieszyła że mogła z nim troche pomówić, bo nawet trzy razy go uratował jego własny ojciec od zmarznięcia podczas zimy bo został leżeć na śniegu a był silny mróz do pracy chodził co dzień, rano wychodził o godz. 6 a wracał wieczorem między godz. 9 a 10 nawet i później. O dom jako ojciec rodziny sie wcale nie troszczył, czy dzieci były najedzone, albo czy miały w czem chodzić czy zimą czy latem, bo nawet i on nie miał zanadto w co się ubrać tylko matka się o wszystko musiała starać, aby dzieci nakarmić i przyodziać, to też nawet i nocami nie dosypiała i troszczyła się o dom dniami pracowała u gospodarzy sąsiednich jeżeli ją kto najął do pracy, a jak nie to pracowała dla siebie, a jak był czas deszczowy to wyplatała krzesła do fabryki mebli, tam gdzie ojciec pracował ale te krzesła musiała przynieść do domu, a jak były zrobione to je musiała odnieść do fabryki, za to co je nosiła nic nie miała płacone, a od roboty miała te samą płace jak te które pracowały w fabryce i tem zarobkiem utrzymywała dom, zarobek ten był 5 — 8 koron austryjackich przedwojennych a czasem nawet tego nie, bo latem więcej pracowała u gospodarzy a również nas uczyła wyplatać i my jej pomagali, nawet zdarzyło się parę razy że ojciec miał przynieść jej wypłate, ale matka jej nie widziała, bo ojciec zapłacił swoje długi, bo mu ich nie brakowało. W roku 1911 w mies. listopadzie zachorował a w miesiącu 2 lutego r. 1912 umarł liczył wówczas 37 lat a u właściciela sklepu zostało 600 kr. długu pomimo że cały zarobek tam zostawiał przez pare lat, a ten jeszcze chciał aż matka to spłaca, a nawet groził sądem i komornikiem, bo nawet sąsiedzi postanowili że komornikowi nic nie dają zabrać, że to by była straszna niesprawiedliwość i krzywda i nędza jeszcze większa dla nas i na tem się skończyło. Pomimo jeszcze nadmienię o stosunkach mojego ojca do dzieci, było nas dwoje i to całe szczęście że nas więcej nie było ale i to ojciec robił między nami różnice, że ja za małe przewinienie otrzymałem doskonałą zapłate tylko że tego nie bywało często, to jak pamiętam otrzymałem bicie siedem razy, ale każdy raz pamiętam za co bo ja jak ojciec był w domu to nie wiedziałem gdzie mam być i jak się zachować, ojca bałem się jak ognia, zaś siostra moja chociaż młodsza nieraz więcej zawiniła nie została ukarana. Teraz powróce co robiłem w roku 1909 —1912 końca trzy roki pasałem krowy u starzyków ale za to mi nic nie płacili, tylko

otrzymałem jedzenie i spanie a matka nie płaciła mieszkania starzykom. W r. 1913 poszłem na służbe już do obcych ludzi i to do sąsiedniej wioski do Grójca, ludzie ci się zgodzili mi zapłacić 15 reńskich rocznie i jedzenie i spanie a jeżeli się będe dobrze sprawował to mi dołożą. Tam służyłem jeden rok. Na rok 1914 poszedłem na służbe do siostry mojej chrzestnej matki. Mąż jej był kowalem w gminie Świętoszowce, Śląsk, tam miałem zostać dłuższy czas, a potem nawet uczyć się za kowala, jednak to się zmieniło, zimą chodziłem do szkoły i po domu pracowałem co mi kazano i wiosną zacząłem paść krowy dwie, ale jednak do jesieni nie skończyłem i dlatego w roku tem jak każdemu wiadomo wybuchła wojna światowa. Pomocnik majstra jaki tam był wówczas poszedł do poboru i został uznany za zdolnego i za trzy miesiące miał iść do wojska. Zaraz po poborze opuścił warsztat i pojechał do rodziców do Galicji, jednak jeden miesiąc przed odejściem do wojska powrócił do swego majstra, aby sobie co zarobić pieniądzy. Jednak podczas jego nieobecności ja pomagałem co mogłem majstrowi w kuźni. Jednak z jego powrotu tydzień później byli wszyscy niezadowoleni dlatego że nas wszystkich zawszył, a zwierzątek tych trudno się było pozbyć i doskonale dawały się w znaki bo w domu tem znajdowało się ośmiu ludzi w tem pięcioro dzieci i to wszyscy my się drapali jak by my mieli świerb nawet jednej niedzieli poszedłem do matki, matka widząc że ja się drapie, pyta dlaczego, ja mówię że mnie coś gryzie, matka kazała mi zdjąć koszule a ja byłem cały czerwony, pogryziony od wszy i od drapania i matka nademną zapłakała i mówiąc że póki byłem w domu wszy mnie nie gryzły chociaż była bieda i nędza, a teraz się doczekała że jej dzieci wszy gryzą i ja razem z nią płakał, ale wina cała polegała na pomocniku majstra, bo u nich w domu była ta sama historja. Tylko ja pierwszy na tem ucierpiałem i najbardziej, dlatego bo my razem spali, majstrowa go nawet wyzywała i wyganiała że jej cały dom zawszył, jednak chociaż on pojechał wszy za nim nie pojechały i jeszcze jeden miesiąc dawały się w znaki, tylko już nie tak jak z początku. Ja objąłem jego miejsce krów już nie pasałem i nie mokłem na deszczu i nawet się z tego cieszyłem a majster też był ze mnie zadowolony a nawet od czasu do czasu otrzymałem od niego pare halerzy. Wówczas zdarzył się wypadek że kierownik tamtejszej szkoły nagle umarł, bo nawet w niedziele byli w goście

w Podgórzu, a rano gdy dzieci już się zeszły do szkoły, żona jego miała śniadanie na stole i poszła go obudzić a on już był zimny i zaraz przybiegła do nas i narobiła krzyku i płaczu a następnie ja tam u nich spawał bo ona się bała i nieraz dostałem coś lepszego do zjedzenia i chodziłem tam spać do końca roku 1914. Podczas gdy pomagałem majstrowi w kuźni przyjeżdżali tam różni gospodarze i jeden z nich chce koniecznie abym od nowego roku poszedł do niego na służbe na rok 1915. Następnie rozmawiał w tej sprawie z matką i zgodzili my się, a rok ten zostaje dla mnie pamiętny.

Gospodarz ten był wdowcem jednego syna i jedną córke miał ożenioną, a dwie córki pomagały mu pracować w gospodarstwie, starsza liczyła lat 25 a młodsza 23, jedzenie miałem niezłe, spałem w kuchni w łóżku, bo dotychczas nigdy w łóżku sam nie spałem i dosyć mi się wszystko podobało jeżdżę z nim konno od czasu do czasu do miasta Bielsko lub Skoczowa i to mnie cieszy, na wiosne poganiam konie czy przy bronowaniu lub hakowaniu lub oraniu i on mnie uczył pracy na roli i opowiadał mi co albo jak trzeba robić, do szkoły też nie miałem daleko, wszystkie dni nie chodziłem, przeważnie jeden dzień w tygodniu mnie nie posyłali. Do szkoły rad uczęszczałem i gdy mnie posłano nigdy szkoły nie opuściłem, jak inni latem za ptakami a zimą na ślizgawki i t. d. jednak mam tu bolesne wspomnienie, co było dla mnie smutnem gdy nadszedł dzień katechizmu w szkole. Od nauczycieli byłem bardzo mało karany za naukę jaka by to nie była. Natomiast jak przyszedł ksiądz do szkoły uczyć katechizmu, za każdem razem otrzymałem bicie i to doskonałe, i to nawet teraz nad tem rozmyślam że gdybym miał tępą głowę do nauki, to i nauczyciele byliby mnie tak samo bili, jednak jako dowód mogę dać że teraz potrafie napisać przeczytać i policzyć po polsku niemiecku czesku i francusku i niech czytelnicy sami osądzą co w tem tkwiło, bo nawet ja sam nie wiem. I ja obecnie jako ojciec dwoje dzieci nigdy na to nie pozwole aby ksiądz czy ten lub ów tak bił moje dzieci jak mnie księża bili i noszę stale uraze do księży że ci są niepotrzebni. Ostatni raz kiedy dostałem bicie nawet już przekraczało granice, gdy wyszedłem po skończonej godzinie jeszcze płakałem i chciałem kamieniami rzucać na księdza, jednak tego nie uczyniłem, jednak gdy my się rozeszli wołałem na niego zaco mnie bił,

że jeść mi nie da ubrania nie kupi a bić mnie bije niech sobie dzieci uchowa a potem ich bije a nie mnie i dałem mu kilka różnych nazwisk nieprzyjemnych, dziadów, byków i chacharów i jeszcze wiele innych, a on mi laską groził i mówił że się zobaczymy. Jednak słowa jego nie odniosły skutku, od tego czasu chodziłem jeszcze dwa miesiące do szkoły, ale religji omijałem, bo u tego gospodarza co służyłem zawsze jeden dzień w tygodniu zostawiali mnie w domu do pracy, ale ja zawsze chciałem zostać ten dzień jak ksiądz przyszedł do szkoły, po miesiącu czasu ksiądz dał zawiadomienie dlaczego nie przychodzę na katechizm, bo mi chciał sprawić lanie, ale mu się nie udało, bo ja jak on przyszedł do szkoły nie przyszedłem a nawet wzywał moją matkę do siebie i to nic nie pomogło, aż w miesiąc później przypadek się zdarzył, że pasąc krowy rozpuszczone na nierównym terenie, po deszczu jedna jałówka uciekając poślizgneła sie i złamała nogę, wtenczas gospodarz mnie posądził, że ja rzuciłem kamieniem i krowie nogę złamałem, a ksiądz powiedział do gospodarza że to na mnie kara „Boża" że jego obraziłem i gospodarz chociaż wiele nie był stratny postanowił mi nie wypłacić moich pieniędzy jakie miałem otrzymać do nowego roku i ja wtedy służbe opuściłem i byłem przy matce, ale do szkoły nie szedłem bo już ksiądz w mojej wiosce o tem wiedział i znów bym bicie dostał. Matka mówi że do szkoły trzeba chodzić i uczyć się, a ksiądz że mnie tylko może raz ukarać i będzie koniec, ale ja już tej kary miałem dosyć i więcej nie chciałem jej przyjmować i też nie przyjąłem, matce powiedziałem że zaczne chodzić do szkoły od nowego roku t. j. 1915, ale matka w domu też mi zadawała naukę i tą starannie wykonałem, nawet i katechizm, a ja co mogłem to się uczyłem chociaż w domu abym nie musiał iść do szkoły i z księdzem się nie spotkać, bo ten jednego razu mnie trafił na drodze i pyta mnie dlaczego nie chodzę do niego do szkoły na katechizm bo już wiedział że ja się zgodziłem chodzić do szkoły od nowego roku i mówi mi hultaju nicponiu zaczekaj my się poznamy, a ja już zrozumiałem co to ma znaczyć, tylko tu muszę nadmienić to że przed wojną światową szkoła była przymusowa, a podczas wojny już nie było tak surowo z powodu różnych przyczyn.

Na rok 1915 zostałem zamówiony przez sąsiadke matki do pasenia krów, do jej męża ojca, najbogatszego gospodarza tej

wioski, w której ja z matką mieszkałem, nawet na dobrych wówczas warunkach. Gospodarz ten miał 3 konie do pracy, a czwarty źrebak, około 20 szt. bydła rogatego 3 — 5 macior i młodszych też nie brakowało i innego drobiu i t. d. Ów gospodarz miał czterech synów i dwie córki, a jedna tylko pracowała w domu, bo jedna była zamężna w Dembowcu, zaś synowie wszyscy byli na wojnie, dwóch było już ożenionych. On sam był chorowity na reumatyzm na krzyża, bo nawet bez laski nie mógł przejść przez mieszkanie, a gdy wychodził co do pola rozporządzać to musiał mieć dwie laski w rękach ale tu trzeba nadmienić że nie był skąpcem, służba jego składała się z jednego parobka, dwóch dziewek i dwóch pasterzy. Ja byłem zamówiony do pasenia krów ale stało się inaczej, bo parobek który był najęty na ten rok tam nie przyszedł bo poszedł na wojnę, a ten z roku ubiegłego odszedł i koło koni nie było komu robić a nawet i z końmi. Konie były dosyć spokojne, tylko ogier, jak mu się co nie podobało to ugryzł, to też gospodarz powiada do mnie, że ja będę za parobka i że mi da większą zapłate, pomimo byłem za młody a nawet trochę za słaby i ja się chętnie na to zgodziłem i już przez to samo zostałem zapewniony że nie muszę iść do szkoły i na katechizm, a ten mi najbardziej w głowie leżał, pojechaliśmy razem do kierownika szkoły załatwić sprawe szkolną, ten zanadto się na to nie chciał zgodzić, że ja jeszcze należę do szkoły a nawet zrobił ze mną lekcję, ale nieźle się z tego wywiązałem i zwolnił mnie ze szkoły, a tem samem i z katechizmu, temu ostatniemu bardzo się cieszyłem ale dobroduszny ksiądz jednak starał się o moją duszę, o ciało wcale nie i skazywał że mam przychodzić do spowiedzi i komunji jednak to było wszystko daremnie, bo ja zawsze jakoś się wykręciłem i nie poszedłem, chociaż mi mówiono abym szedł. U nowego gospodarza mi się dosyć podobało, czy z jedzeniem, czy z zapłatą, bo on co mógł to mnie nauczał w pracy, czy koło domu lub na roli i na rok 1916 znów zostałem u niego, jeszcze w drugiej połowie roku 1915 jeden z jego synów żonatych przyszedł z wojny do domu jako inwalida wojenny na rękę, chociaż sam miał swoje ale małe gospodarstwo przychodził pomagać co mógł do swego ojca, bo był w oddaleniu od ojca 6—8 klm i jeżeli onemu były konie potrzebne ojciec mu dał koni i mnie bez zapłaty i gdy tam pojechałem bardzo grzecznie się ze mną obchodzili i zawsze miałem pieniądze w kieszeni

chociaż nie dużo ale miałem zawsze i szanowałem. W roku tem choroba gospodarza się dosyć pogorszyła a nawet już miał przeszło 60 lat i już nie chciał się z tem wszystkiem trudzić, bo to mu było nawet zbyteczne i postanowił na rok 1917 gospodarstwo oddać w ręce najstarszemu synowi i gdy ten przyjechał na urlop w jesieni, pojechali wszyscy razem do miasta, do notaryjusza i dali wszystko przepisać na najstarszego syna i jego żone, a synowa dotychczas była w domu swych rodziców, od tego czasu więcej było ją widzieć pracować u ojców swego męża ale spać chodziła do swych rodziców, bo było jakie pół godz. chodnika na piechote, nowa gospodyni zaraz stara się o służbe na przyszły rok już dla siebie, pierwszemu nawet mówi mnie, bo gdy my już nawet z miasta jechali nawet w obecności swego męża i on tak samo mnie mówił abym został nadal że już jestem ze wszystkiem obeznany, że mi pójdzie coraz lepiej, ja jednak się odwołałem na moją matkę, ale nowa gospodyni dobrze znajoma z moją matką i matka jej nie mogła odmówić, ale rok ten t. j. 1917, pamiętam i pamiętać będę do końca mego życia. Służba od starego gospodarza prawie wszystka została ale tylko jeden rok i wszystko końcem roku opuściło to gospodarstwo, mało z tem że służba poznała nową gospodynię skąpą, ale nawet i bydło wszystko się zmieniło a nawet i gospodarstwo w jednem roku, robota nigdy nie miała końca bo nawet choć ona była dobra katoliczka nawet w niedziele było zawsze co robić, do spowiedzi chodziła najmniej raz w tydzień a nawet dwa razy, ale z czego się spowiadała, a jedzenie co nam dawała, to nierazby psy nad niem wyły. Bo co było lepsze, wszystko sprzedała za duże pieniądze, czy w domu lub w mieście i nawet bydło nie dostało to co mu się należało, co nawet nieraz oburzało starego gospodarza względem koni, głód panował między służbą, a nieraz nawet doskonały ale niepotrzebny, tylko z chciwości, pamiętam pare razy, gdy po jedzeniu niekiedy niosłem jedzenie do psa to i tego okradłem, czy to z kartofli lub czego innego. Dla służby do chleba nie było czy sera czy masła lub kawałek słoniny, natomiast ja sam nieraz z jej rozkazu zaniosłem księdzu pełny talerz masła lub czego innego, ten nie domyślał się aby mi dać pare grejcarów za fatygę a nawet mi nie podziękował, tylko gospodyni a nawet ten nie był tego pragnący, gdyż ten sam ksiądz miał cztery krowy, dzisiaj gdybym był

w tem położeniu to napewno bym mu tego masła nie doręczył jak wtedy.

Na rok następny t. j. 1918 znów ona mnie się pyta czy zostanę u niej na służbie, ale ja już o tem ani słyszeć wcale nie chcę i mówię że nie zostanę chociaż innego miejsca jeszcze nie miałem pewnego i z końcem starego roku przychodzę do domu. Miałem jednego kolegę a ojciec jego był murarzem i ten mi zapewnia prace jak będzie ciepło ale za ten czas trzeba jeść i co kupić, znów inny kolega pracuje w lesie i powiada mi że możemy pracować razem, że sobie co zarobiemy, a potem pójdziemy dalej i na to się zgodziłem i pracowaliśmy razem 3 mies. Pewnego razu pojechaliśmy na Węgry do Cacy, fabryki sukna, ale wtenczas nie przyjmowano nikogo do pracy i tam my się przespali z tamtejszemi robotnikami i przyjechaliśmy z powrotem. Naraziliśmy się tylko na koszta podróży i znów pare dni pracowaliśmy w lesie, pare dni później ojciec jednego z kolegów pojechał do Frysztatu po informacje i przyjechał z powrotem i powiada nam że praca mularska ma się rozpocząć końcem kwietnia dzień już miał wyznaczony i miał powiedziane że może przywieść z sobą 3 chłopców jako uczni lub pomocników. W naznaczony dzień pojechaliśmy wszyscy razem w ten czas pierwszy raz widze kopalnie i fabryki żelaza. Przyjechaliśmy na miejsce była godz. $10^1/_2$ wieczorem zjedliśmy kolacje i kładliśmy się do spania ale już nie tak jak w domu. Dzień następny idziemy do pracy ale każdy w inną strone ze starszemi robotnikami, czas pracy trwał osiem godz. na dzień, ale że w niektórych miejscach pilnych pracowali 10—12 godz. dziennie za większą zapłatą, ja z początku tak samo pracowałem 10 — 12 godz. dziennie, ale gdy praca ta została ukończona przydzielono mnie gdzieindziej, tam już pracowałem tylko osiem godz. dziennie czasem dzień lub dwa w tygodniu 9—10. Po skończonej pracy chodziłem po fabryce, przyglądałem się odlewaniu żelaza i innym pracom w fabryce żelaza, gdy po skończonym tygodniu powróciłem do domu opowiadałem matce o różnych rzeczach jakie widziałem, tylko matka mi zwróciła uwagę abym uważał aby mi się nie zdarzyło jakie nieszczęście. Na drugi raz gdy przyjechałem już przyniosłem wypłate z czego matka była zadowolona i od tego czasu bieda zaczeła się pomału usuwać z domu, bo matka pieniędzy nie wydała na zbyteczne rzeczy, jak się

to w niektórym domu zdarza. U tego budowniczego pracowałem 5 mies. następnie poznałem się z kolegami którzy pracowali u budowniczego w Karwinie p. Womacki, ten już miał prace na kopalni, a u niego nawet była duża liczba robotników różnych kategoryj niektórzy pracowali i zimą a ci mnie namówili abym u niego zaczął pracować, że mnie przyjmie do pracy, a nawet za większą zapłatą a więc tam zostawiłem prace i poszedłem do nowego budowniczego, a na nowem miejscu miałem zaraz o jedną korone więcej na dzień z czego się bardzo cieszyłem, a tam znów po skończonej pracy chodziłem i oglądałem prace na kopalni węgla i na koksowni, to było na szybie Jan Karol w Karwinie (u Larischa) nawet pracowałem w jego grobowcu w Solcy, nawet gdy pewnego razu przyglądałem się pracy koło szybu, tamtejsi robotnicy chcieli mi narobić strachu, że mnie wprowadzą do klatki i spuszczą na dół, to znaczy do kopalni, ale ja się im nie opierałem, to wtedy mi to nie zrobili, bo ja właśnie chciałem zobaczyć jak wygląda praca w kopalni, ale nie zanadto długo i na to czekałem. Pewnego razu mnie przydzielono do jednego murarza specjalisty, który tam stale pracował i miał nawet warsztat że temu niepogoda pracy nie przerywała jak innym i z tego byłem zadowolony, pewnego razu on do mnie powiada, że tu już długo nie będziemy pracować, że pójdziemy budować jedną barake z betonu koło szybu Henryka i też mi sie to zanadto nie podobało bo miałem spory kawał chodzić do pracy 4—5 klm. ale przy tej budowie nie byłem już do ukończenia dlatego że to już było późną jesienią i deszcze nam przerywały prace, a nieraz nawet 2 — 3 dni zarazem. Pewnego razu gdyśmy nie mogli pracować poszedłem się zapytać do portjera na szybie Henryka czy nie przyjmują tu do pracy, ten mi daje odpowiedź że on sam dokładnie nie wie, ale posyła mnie do jednej kancelarji, przychodzę do tej kancelarji jest tam dwóch starszych mężczyzn, którzy opowiadają o różnych rzeczach ale ja wówczas o tem nie miałem pojęcia, aż po chwili jeden z nich mnie zapytuje czego ja chcę i ja im daję odpowiedź na wszystkie zapytania, jeden wziął kawałek papieru i wszystko spisał i wyszedł, a mnie kazano zaczekać i przyszedł z powrotem za 15 — 20 minut i przyniósł mi kartke i powiada mi że mam iść do lekarza i jeżeli ten mnie uzna za zdolnego że mnie przyjmą do pracy i wyjaśnił mi wszystko dokładnie gdzie mieszka lekarz

a następnie potrzebne rzeczy, po powrocie od lekarza zabrał odemnie tą samą kartke którą mi poprzednio dał i znów odszedł a gdy powrócił powiada mi że tu zostałem przyjęty do pracy, ale o mieszkanie się muszę sam postarać prace w kopalni mam rozpocząć 5.11.1918 na zmiane nocną. Mężczyzną tem był przedstawiciel organizacji zawodowej, przewodniczący rady kopalnianej tow. Buława na Heinrich Szachcie w Karwinie. Gdy już nową prace miałem zapewnioną udałem się do kancelarji budowniczego po moje pieniądze jakie mi się tam należały za moją prace i książke robotniczą, którą musiałem oddać w kancelarji na kopalni. Budowniczy mie nie chce dać ani pieniędzy ani książki i pyta mnie dlaczego odchodzę, ja daję odpowiedź że deszcze mi przerywają prace i że mało zarobie i że mam matkę i jedną siostre na utrzymaniu. Wtenczas on mi chce podwyższyć zarobek 50 halerzy na godzinę, ale ja się na to nie zgodziłem i jednak odszedłem, bo na kopalni miałem zarobek jeszcze większy jakby u niego z podwyżką, a czas niepogodny mi nie przerywał pracy. Poszukałem sobie mieszkanie bliżej miejsca pracy a następnie otrzymałem mieszkanie od kopalni u nas go nazywano kasarnia, tam nas mieszkało 60 bo taki był przepis, chociaż miejsca by było nawet dla 70 osób. Gdy zacząłem pracować w kopalni dwa miesiące nie pojechałem do domu i to z tej przyczyny aż matka się troche uspokoi.

Matka moja nie chciała mi pozwolić pracować na kopalni, że w kopalni trafia się dużo nieszczęśliwych wypadków a nawet i śmiertelne a nawet w zagłębiu tem gdzie ja pracowałem było dużo gazów, a gdy przyszła explozja gazów, to pochłoneła dużo żyć ludzkich i to doszło do wiadomości wszystkim, bo na wioskach lud gazety mało czyta po pierwsze nie ma pieniędzy na gazety a po drugie niema czasu w tygodniu do czytania, biorą tylko gazety od księdza raz na miesiąc albo dwa razy z gazet tych nie można mieć żadnej nauki, to są gazety religijne które tylko bronią religji natomiast nic nie piszą o potrzebach codziennych klasy pracującej, czy to w przemyśle czy na roli, która jest podstawą kraju czy tego lub innego. Gazety te nietylko że nie dają żadnych korzyści społeczeństwu ale nawet są szkodliwe, w różnych reformach socjalnych i tamują ruch w całym życiu społecznem i prowadzą do jeszcze większej nędzy jaka jest obecnie i tu w tem

dużą winę ponoszą te gazety które są kierowane przez księży z różnymi rangami, którzy są redaktorami tych gazet. Ludność wiejska powinna te gazety nie abonować bo z nich nie dowie się żadnych pożytecznych rzeczy dla siebie. Każdy kto ma możność kupowania gazet niech kupi gazetę lub abonuje codziennie lub tygodniowo, która daje dobre wskazówki dla społeczeństwa, czy to będzie gazeta socjalistyczna, na to nie trzeba uwagi zwracać jak to głoszą księża z ambon, że nie trzeba się troszczyć o życie tu na ziemi, ale po śmierci w niebie. Dlaczego gdy kto z nich zachoruje nie zostaje się bez opieki lekarskiej i chce umrzeć aby poszedł do tego nieba które tak chwali drugim, jednak jest odwrotnie, gdy kto z nich zachoruje nie leczy się wodą z różnych miejsc cudownych, jak to polecają swym owieczkom, ale oni dobrze wiedzą że dla nich niebo jest tu na ziemi i wtedy gdy zachoruje sprowadza doktorów specjalistów aby nie umarł do tego nieba nie chce iść, w którym jest wieczna radość i szczęście jednak oni temu się nie cieszą. Jednak ludność to powinna zrozumieć i patrzeć na to zdrowem rozumem i wyciągnąć z tego odpowiedni rezultat.

Tu jeszcze chcę wrócić do przeszłości w roku 1916 matka moja poszła drugi raz zamąż za kawalera 50-letniego i który był wówczas na wojnie światowej a matka otrzymywała wsparcie jak i inne, ale jednak pakunki które mu posyłała na wojne kosztowały więcej i gdy wojna się skończyła mój drugi ojciec powrócił, ale praca dla niego była niewygodną jaka by to nie była i z tego powodu w domu były nieraz sprzeczki, pewnego razu w roku 1919 po takiej kłótni domowej, ojciec drugi podczas nieobecności nikogo w mieszkaniu zabrał pieniądze z podstola i poszedł do gospody i znalazł sobie kolegów którym płacił picie. A gdy po południu tego dnia była to niedziela przyśli do mnie koledzy i grali my w karty dla spędzenia czasu i ze zgodą wszystkich uchwaliliśmy coś sobie wypić w domu, a siostra moja miała nam przynieść, gdy matka chciała jej dać potrzebne pieniądze zauważyła brak pieniędzy w podstolu i pyta mnie czy nie brałem pieniędzy a ja odpowiadam że nie i zaraz my wiedzieli że nikt inny tylko ojczym. Jednak gdy siostra poszła do gospody tam znalazła ojczyma dość pijanego z czterema kolegami, a ten gdy siostre zobaczył szyderczo mówi do swych kolegów, że teraz przyszła có-

reczka jego żony, a syn ten jej milaczek jest w domu. A siostra po powrocie do domu opowiedziała co słyszała od ojczyma, to mnie bardzo rozgniewało i postanowiłem z kolegami się z ojczymem policzyć po jego powrocie do domu, a koledzy moi w razie gdybym nie mógł dać sam jemu rady mieli mi pomóc, ponieważ jeszcze byłem młody i nie byłem pewny zwycięstwa sam bo miałem 18 lat, dalej graliśmy w karty i popijali herbate z rumem, za jakie 4 godziny siostra zobaczyła ojczyma idącego ku domu, gdy to usłyszałem i sam zobaczyłem i to mi ruszyło wszystkie nerwy i daje matce rozkaz aby drzwi zamknęła i że go nie puścimy do domu, matka narazie nie chciała rozkazu wykonać, ale ja tego nie zmieniłem i mówi że gdzie będzie nocował, że na polu zmarznie i zaczęła mnie prosić, ja jednak na jej prośbe nie zważałem i mówiłem jeżeli ona tak chce że ja odejdę z domu, matka jednak widząc kto daje na utrzymanie domu została milczeć i drzwi zamkneła. Ojczym po swem powrocie z gospody idzie ze śpiewem i wywija laską w ręku, podchodzi do domu i stuka w drzwi nikt nic nie odpowiada ani drzwi nie otwiera my gramy w karty dalej, podchodzi pod okno i zagląda widzi że jesteśmy w mieszkaniu i złowrogo powiada że mu mamy drzwi otworzyć, ja odpowiadam że nie, a on zaczyna mi dawać różne wyzwiska najgorsze i powiada jeżeli mu drzwi nie otworzymy że rozbije wszystkie szyby w oknie i tak wejdzie do domu, ja mu daje odpowiedź że ja mu wybije wszystkie zęby i on zaczął prosić aż go wpuszczemy do mieszkania ja nie chciałem, matka zaczeła mnie prosić i jednak mnie uprosiła na warunkach tych że siądzie gdzie w kąt i tak jak by go nie było w domu, gra w karty była przerwana. Ja sam idę mu drzwi otwierać i jeszcze raz mu powtarzam że jeżeli nie usiądzie gdzie w kąt że go nie wpuszczę do domu, chwila milczenia ja otwieram sam drzwi, gdy się drzwi otwarły na przestrzeń 1 mtr 50 ctr. staneliśmy na przeciw siebie i on zadał mi dwa lub trzy dość silne uderzenia laską przez głowę, że na razie zostałem bez pamięci jednak to nie było długo, oglądnełem się koło siebie i znalazłem zaraz kawał drzewa, który służył do tłuczenia żrania dla świni (tak zwany tłuczek) miał 1 mtr. 20 ct. długości, 25—30 ctr. objętości i zaczyłem nim okładać ojczyma i to dość doskonale aż się połamał i została mi w rękach tylko jedna czwarta część t. z. 30 — 40 ctr. ja także otrzymałem kilka uderzeń laską

od ojczyma, jednak ojczym był pijany i ja go pokonałem i wpadłem w wściekłość i złapałem inny kawał drzewa i gdyby matka mnie nie zatrzymała napewno byłbym go zabił na śmierć, matka tylko mnie uprosiła. Po zaciętej walce znów graliśmy w karty, a ojczym zaczął prosić matke aż mu da co do zawiązania ran na głowie i na rękach, lecz ja nie pozwoliłem, następnie chciał co zjeść i na to nie zezwoliłem nawet zabroniłem mu się napić czarnej kawy bez cukru, noc te ojczym przespał na ławce przy piecu następnego dnia powiada do matki że on już teraz nie ma co robić w domu przy nas, że już syn się rzuca na niego i zaczął mówić że pójdzie na żandarmerje na skarge na mnie, ja mu mówił że może iść ale że tem sobie nic nie poprawi, że jestem gotów jeszcze raz mu skóre wygarbować i ojczym nie poszedł i zaczął swoje rzeczy pakować do walizki, a ja pilnowałem aby co nie porwał i odszedł i nie wrócił i my sami sie gospodarzyli. Matka później była zadowolona ja pracowałem w kopalni, pieniądze szanowałem, co tydzień przyjeżdżałem lub 14 dni do domu i szło wszystko ku lepszemu i matka się cieszyła ze mnie ale niedługo bo trzy roki później umarła, liczyła 42 roki chorowała dwa miesiące ale w łóżku leżała tylko 14 dni i śmierć swoją przeczuwała, ostatni raz gdy odchodziłem na pociąg jechać do pracy, matka ze łzami w oczach mi powiada że teraz jakby się miała lepiej przy dzieciach że będzie musieć umierać i w ten czas matka mnie ostatni raz uścisneła i ucałowała i ostatnie słowa od niej słyszałem, bo gdy w tem tygodniu w sobote powróciłem matka już nie żyła, podchodzę ku domowi nawet ze śpiewem i podchmielony i patrze w okno a w mieszkaniu światło się świeci ale nie widziałem jakie, bo szyby były lodem pokryte bo to było zimową porą, pukam w okno ale nikt się nie odzywa, za chwile gospodarz domu otwiera drzwi i mówi mi aż jestem cicho i mówi mi że matka umarła w piątek że dzisiaj będzie pogrzeb, bo ja już przyszedłem po północy i już była niedziela. Wszedłem do mieszkania zobaczyłem matke na łóżku a świece palące się obok i to mnie wzruszyło, ostatnią cześć matce oddałem przez pocałunek w czoło i odeszliśmy z gospodarzem do jego mieszkania, tam wyciągnyłem pół litra wódki z kieszeni i popijali razem do godziny 4-tej rano pytałem co jest zrobione z pogrzebem i czy jest wszystko przyszykowane, wszystko było już załatwione tylko trumny

jeszcze nie było w domu, siostrze mojej wszystko szło łatwo bo pieniądze naco potrzebowała miała w domu i nie potrzebowała nikogo o nic prosić bo jak się ma pieniądze to jest wszystko ku załatwieniu. Butelke my wypróżnili i poszli spać, rano gospodarz domu mnie budzi około godz. 8-mej zjadłem śniadanie uzbroiłem jego konia i sanki i pojechałem po trumne i jeszcze się zastawiłem przy gospodzie i wypiłem sobie na śmiałego, o godz. 12-tej wróciłem do domu z trumną, zjadłem obiad i oblekłem się na pogrzeb a ludzie się zaczenali zgromadzać, o godz $2^1/_2$ były wynoszone zwłoki, ludzi było dosyć, na cmentarzu siostra moja rzewnie płakała ja natomiast nic ale aby ludzie nie powiedzieli że jestem zadowolony z śmierci matki zasłoniłem chustką twarz, bo dobrze wiedziałem że płacz mi nic nie pomoże ani matce, tylko rozmyślałem nad tem jak się teraz gospodarzyć, po skończonym pogrzebie jak zwyczaj bywa poszliśmy do gospody przepić skóre z krewnymi, a siostra po upływie 20 minut opuściła gospode i poszła do domu, ja natomiast zostałem z krewnymi i kolegami i znajomemi aż do późnej nocy i popiłem doskonale, że ku domowi mi się marnie szło. Na drugi dzień nie pojechałem do pracy bo miałem prace w domu do uporządkowania wszystko, a następnie pojechałem do pracy i siostra została sama, co potrzebowała do życia to miała, ja już wtedy nie przyjeżdżał co tydzień do domu bo nie miałem poco, siostrze pieniądze przysyłałem przez kolegów od czasu do czasu też przyjechałem, bo przejazd przez granice czesko-polską nie sprawiał mi przyjemności i były z tem koszta związane, wizy paszport i kolej. Zostałem prawie na stałe w Karwinie, miałem tam po stronie czeskiej również bliższych i dalszych krewnych, których od czasu do czasu odwiedzałem, zaczyłem również chodzić na zabawy i zapoznawać się z dziewczenami miałem lat 21, w roku tem kolega jeden się żeni i prosi mnie za drużbe zrazu nie chcę się na to zgodzić, że sie należycie z tego nie wywiąże, ale on mi mówi że tak, że on mi doda rady i zgodziłem się, wesele się odbyło dnia 29.4.1923 r. a sześć roków później odbył się mój ślub cywilny we Francji z tą samą dziewczyną co przed 6 laty drużbowałem. Kawalerem byłem sobie honorowem ubierałem się przyzwoicie a pieniądze też w kieszeni miałem a jak nie miałem to nie wychodziłem nigdzie, a jeżeli się znalazłem w jakiem towarzystwie to starałem się za-

służyć na poszanowanie i szacunek i byłem wszędzie mile widziany czasami też mi się noga poślizgneła ale tego było rzadko. U rodziców mej pierwszej narzeczonej byłem mile widziany i pewnego razu jej matka oświadczyła mi że bardzoby była zadowolona żebym został jej zięciem, a ja dałem odpowiedź jeszcze służby wojskowej nie mam skończonej i jak ona się będzie zachowywać i na tem zostało skończone, przeszliśmy na inny temat rozmowy, o żenieniu nie miałem wcale myśli, choć nie jedni mi mówili abym się ożenił nad tem rozmyślałem na wszystkie strony, a nawet brat mego ojca najmłodszy licząc lat 29 był tak samo kawalerem a ja wciąż myślałem że jeszcze jestem za młody chociaż już miałem 21 lat ukończone w roku tem moi koledzy już służą w wojsku a jeszcze nawet nie był przy poborze. Koledzy mi piszą że policja mnie poszukuje ale nadaremnie bo ja jestem zagranicą w Czechosłowacji. Pewnego dnia otrzymuje list z Konsulatu Polskiego w Morawskiej Ostrawie że mam się zgłosić do Konsulatu do oficera ewidencyjnego w sprawie rejestracji, ja wcale nie pojechałem, otrzymałem drugi i trzeci aż czwarty otrzymałem polecony i wtedy nie szło zrobić wymówki że listu nie odebrałem, pojechałem. Konsulat znalazłem ale tam pełno ludzi a niektórzy tam nocowali, a niektórzy trzeci dzień z rzędu czekają na załatwienie paszportu, ja pytam się portjera gdzie jest biuro oficera ewidencyjnego, ten mnie tam zaprowadził, ów urzędnik pyta mnie o paszport, ja zrazu nie chciałem pokazać, on mi powiada że sprawa ta bez paszportu nie może być załatwiona, a drugi raz nie chciałem jechać i podałem mu paszport i ten zobaczył w książki i nacisnął na guzik od dzwonka i zaraz się ukazał w kancelarji portjer, urzędnik podał mu paszport i kazał dać wize graniczną ważną na osiem dni, przez ten czas nim paszport uszykowano, dał mi wskazówki kiedy i gdzie się odbędzie dodatkowa komisja poborowa i że tam mam się udać, ale kolej sam mam płacić, ostatnie dnie przed odjazdem odwiedziłem wszystkie moje narzeczone w liczbie dziewięć. Jadąc na komisje poborową bardzo marnie wyglądałem trzy noce nie spałem popiłem i myślałem że uniknę służby, ale na tem się pomyliłem, przyjeżdżając pociągiem z Dąbrowy do Cieszyna Czeskiego i idę w stronę granicy Polskiej przez rzekę Olze na moście żandarmerja czeska obeszła się ze mną grzecznie, natomiast policja polska mnie aresztowała i pod eskortą zaprowadziła na komisje

poborową, tam zaraz gdy poszedłem pod miare i na wage mówiono mi że takiego tu dzisiaj jeszcze nie było, doktór tylko zdala na mnie spojrzał już pisze litere A i zostałem uznany do kawalerji, tłumaczenia nie było żadnego, idę dalej tam mi mówią co ja tu jeszcze robię w cywilu że zaraz muszemy być wcieleni do wojska, wołają jednego posterunkowego i ten ma nas pilnować jak jakich zbrodniarzy i zaraz się ubierać i jechać dalej ale nie wiemy gdzie bo nikt z nami nie chce ani słowa przemówić i nie wiedzielim dlaczego, zaprowadzono nas na posterunek w Skoczowie, tam czekaliśmy na pociąg i idziemy na stacje i jademy w kierunku Bielska, do domu nas wcale nie puszczono. Przyjeżdżamy do Bielska, tam nas posterunkowy prowadzi do koszar i zaraz do kancelarji i tam nas pytają dlaczego my się nie stawili na czas do służby wojskowej, powiadamy że byliśmy zagranicą, to nic nie pomogło dalej z nami do paki, ale czy my co jedli nikt nas nie pyta, jeżeli rząd polski chce mieć dobrych żołnierzy tak nie musi z niemi postępować, bo w razie napadu kto będzie bronił granic Polski jak nie żołnierz a ten powinien być traktowany jak człowiek, a nie jak jaki dziki zwierz, a wtedy każdy się będzie poczuwał do obowiązku, dwa dni prawie nic nie dostałem jeść tylko co sam sobie kupiłem. Sześć dni tam byłem, w dzień byliśmy w śledztwie żołnierz służbowy nas zaprowadził do kancelarji protokół spisali i do paki za godzine lub dwie to samo, tak było sześć dni. Następnie siódmego dnia w godzinach południowych znów byliśmy w kancelarji a po wyjściu znów żołnierz nam powiada że stąd odjademy ale nie powiedział nam gdzie, za pół godz. paka się otwiera, na polu deszcz padał doskonale, ja w słomiannym kapeluszu idziemy na stacje pod eskortą i wszyscy ludzie na nas patrzeli jak na jakich bandytów, na stacji to samo. Na stacji nie czekamy długo może z 20 minut, pociąg przyjeżdża wsiadamy jest godz. 2 i pół że jedziemy do godz. 12 w nocy prawie między samemi górami, w dzień nie mogliśmy nic ważniejszego zobaczyć, a w nocy wcale nic, aż my przyjechali do Nowego Sącza, żołnierz który nas prowadził, zaprowadził nas do oddziału kawalerji na warte, on poszedł spać między żołnierzy a my znów do paki, dnia następnego znów ta sama komedja co poprzednio, protokóły spisują i paka, przez trzy dni, następnie znów nas zaprowadzili gdzieindziej, tam się troche zmieniło, już paka dla nas nie była tym nieprzyjemnym gościem,

ale na wolności też my nie byli, tylko w koszarach. Na ulice nam nie było wolno wyjść, to już nam tak przykro nie wyglądało, jak poprzednio, wojsko poszło na ćwiczenia a my zostali, do rozkazu lub zbiórki musieliśmy stanąć ale w cywilnem ubraniu, po przeszło 10 dniach w wieczornym rozkazie odczytuje szef kompanji „przydzielam do 1-go P. S. P. 1-go Bat. 1-szej Komp. strzelców St. St. i F. B. jako dezerterów" po skończonym odczytaniu mówie że dziś znów pójdziemy nocować do chrystusowej zagródki ale to nas mineło. Dnia następnego w południe szef kompanji dał rozkaz że mamy przyjść do kancelarji, tam nam powiada od dziś jesteście żołnierzami, po południu jak kompanja przyjdzie z ćwiczeń otrzymacie mundur wojskowy i tak się stało, szliśmy razem z nim do magazenu po chodniku mówi do nas, widzę chłopcy po waszem ubraniu że w cywilu nie chodziliście źle ubrani dam wam wszystko nowe i tak się stało, ale nas to wiele nie cieszyło, dnia następnego już my poszli z kompanją na ćwiczenia, ale nie ćwiczyliśmy razem, bo my jeszcze nie umieli, dał jednego instruktora który nas uczył ale nauka nie szła źle, bo my byli chłopcy pojętni. Instruktor nas uczył trzy tygodnie, a potem już my ćwiczyli razem z kompanją, podczas nauki z instruktorem nam szło nieźle, tylko niektóre słowa my nie zrozumieli, a nieraz nawet my nie chcieli zrozumieć jak było niewygodnie dla nas, np. biegiem marsz, padnij, czołgaj się, ale to wszystko przeszło, po miesiącu w mundurze już nas przydzielono do różnych służb, chociaż jeszcze nam się nie należało, tylko z tego powodu że my umieli czytać i pisać, bo w kompanji tej było dużo analfabetów, a my zawsze się wywiązali nieźle i tak szło pomału. Najbardziej mi się nie podobały nocne ćwiczenia. Gdy p. pułkownik gdzie wyjechał to zastępca robił nieraz dwa razy w tygodniu nocne ćwiczenia, nawet pewnego razu była dość ciemna noc gdy my byli na ćwiczeniach i gdybym nie usłyszał szumu wody to byłbym tam wpadł i utopił sie napewno bo była głęboka i byłbym spadł z wysokości może 7 — 10 mtr. brakło tylko 1 m. 50 ctr. Niedługo po tem w miesiącu lipcu roku 1925 zaczynają się duże manewry wojskowe na odległość 400 klm. t. j. z Nowego Sącza aż na Górny Śląsk i stale ćwiczenia po górach i lasach. Przed odejściem na manewry wszystko idzie przed lekarza czy jest zdolny, kolega mój zostaje w koszarach. Wychodzimy w dniach między

15—20 lipca dokładnie już nie pamiętam dnia, odeśliśmy od koszar jakie 10 klm. 10 minut przerwa marszu. Major występuje przed bataljon i powiada, chłopcy teraz się ukaże jak 1 Pułk Strzelców Podhalańskich jest wytrzymały na nogi i ruszamy dalej podczas upału słońca cały dzień, na wieczór zatrzymujemy się w jednej wiosce nazwiska jej nie pamiętam, każdy zmęczony po całodziennym marszu, śpiemy noc w głębokim śnie, dnia następnego znów to samo, niektórzy już nie mogą iść bo mają nogi oparzone lub odgniecione, ja obuwie miałem dość wygodne i na nogi wiele nie ucierpiałem, ale niektórzy musieli pójść później do szpitala, czwartego dnia zatrzymali my sie w Mszanie Dolnej i za mieszkanie mieliśmy tamtejszą szkołe, tam byliśmy 14 dni i dokoła robiliśmy ćwiczenia wojenne, do Kasiny chodziliśmy na ostre strzelanie. Po 14-tu dniach ruszyliśmy dalej w kierunku Suchej, Wieprza i Żywca, gdy staliśmy w Wieprzu otrzymałem przepustke na 24 godz. za przymową szefa kompanji bo nawet było święto pułkowe. Podczas tego przemarszu w wolnych chwilach rozmawiałem z cywilami lud tamtejszy znajduje się w bardzo opłakanych warunkach pod każdym względem, czy to materjalnem lub oświatowym. W Wieprzu staliśmy 10 dni i odbywali ćwiczenia dookoła po różnych wioskach i górach. Stamtąd wyruszamy jednego poniedziałku aż na Górny Śląsk do Mikołowa, przestrzeń ta miała od 150 — 200 klm. o godz $1^1/_2$ w nocy pobudka, następnie kawa, a następnie zbiórka do odmarszu na naznaczone miejsce, skąd miały odmaszerować dwa pułki wojska w komplecie piechota, karabiny maszynowe, kawalerja i artylerja z dwiema orkiestrami. W Bielsku odbyła się defilada przed generałem Szeptyckim o godz. 1 — 2 że defilada poszła dobrze za miastem mieliśmy dwie godz. odpoczynku, a następnie odmarsz dalej, o godz. 7 wieczorem następny odpoczynek i tam zjedliśmy obiad a za pół godziny kolacja przed lasami Pszczyńskiemi, po kolacji się rozglądamy gdzie będziemy nocować, ale nie pomyśleliśmy o dalszem odmarszu, zaczyna deszcz padać, po chwili rozkaz do broni, my myślemy że pójdziemy na kwatery ale my się pomylili, deszcz zaczyna padać doskonale i burza doskonała, jak już my przemokli dano dopiero rozkaz nałożenia płaszczów, w lesie tem zastrzeliło się dwóch żołnierzy, których dano na tabory i pogrzeb odbył się w Mikołowie, przemarsz przez ten las trwał 5—6 godz. do Mikołowa przymasze-

rowaliśmy między godz. 3 a 4-tą rano, wyczerpani ze zmęczenia przeszło 20-to godzinowem marszem. Przed samem miastem był odpoczynek, żołnierze ze zmęczenia kładli się w błoto i gdzie kto mógł aby nie stać na nogach. Sam major pojechał konno szukać kwatermistrzów, ale ich nie znalazł bo spali, a oni mieli rozkaz wyjść naprzeciwko wojska, aby zaraz wojsko prowadzić na kwatery, to całe szczęście że na dźwiach napisali dla kogo miejsce, numer bataljonu i kompanji, to ułatwiło majorowi odnaleść kwatery. My mieli mieszkanie w jednej restauracji w sali do tańca, ale ta jeszcze nie była przyszykowana jak się należy, to też pierwsze spanie było jak śledzie w beczce, słomy bardzo mało i t. d., dzień ten mieliśmy wolny od ćwiczeń ale to było za mało, do godz. 11 rano my spali, nastepnie uporządkowanie rzeczy, t. j. czyszczenie broni i mundurów, dnia następnego już ćwiczenia po różnych wioskach wokoło Mikołowa, na wszystkie sposoby, byłem tam czternaście dni i znów powiadają że pójdziemy z powrotem na piechote ku Nowemu Sączu inną stroną jeszcze dalej, to mi się nie widziało manewry mają trwać jeszcze 14 dni, to będzie razem 10 tygodni. Jednego dnia zbiórka całego baonu i major daje rozkaz wystąpienia ze szeregu wszystkim ślązakom t. zn. Górnego i Cieszyńskiego Śląska a że nas było mało powiada jeszcze że ci z Małopolski zachodniej tak samo i wtedy wyciąga notes z kieszeni i spisuje wszystkich nazwiska i imiona, gdy spisał wszystkich daje rozkaz że kompanja ma odmaszerować na ćwiczenia, a my na kwatery, po odmaszerowaniu kompanji jeszcze raz zrobił z nami zbiórke i wtedy daje nam wiedzieć dlaczego my nie poszli na ćwiczenia że po południu stąd odjeżdżamy do garnizonu następnie na granice bolszewicką, ale z jakiego powodu nie dał nam wyjaśnienia. Powiada nam że o godzinie 4-tej pożegnanie się z generałem Sikorskim a o piątej odjazd do godziny czwartej miał się każdy przyszykować do odjazdu, a pozatem mógł iść gdzie się komu podobało niektórzy co mieli bliżej poszli odwiedzić rodziny, ale rozkaz był aby na godzine naznaczoną każdy był na miejscu. O godz. 3-ciej 45 minut zaczynają się zbiórki z każdej kompanji a o godz. 4-tej wszystko na miejscu i wyekwipowane jakby do boju. Nadchodzi generał Sikorski cisza panuje. Słyszeć głos generała „Czołem moi żołnierze", odpowiedź „Czołem panie generale" i znów cisza generał zaczyna swoje przemówienie i dopiero wtedy

my się dowiedzieli gdzie jademy i na jakich warunkach, w końcu podziękowanie i wytrzymałość do końca. Muzyka zaczyna grać i odmarsz na stacje do Mikołowa, a pełno ludności cywilnej z nami a nawet i z płaczem bo mówiono że się zaczyna wojna z Bolszewikami muzyka gra nam całem chodnikiem aż na stacje aż miasto się trzęsie, na stacji długo nie czekamy pociąg nadchodzi wsiadamy i odjazd a muzyka gra, jademy pociągiem towarowem, na drugi dzień w nocy przyjeżdżamy do Nowego Sącza, tam oddajemy wszystko do magazenu a dostajemy inne, to trwa cały dzień noc przespaliśmy a rano odjazd na Kresy Wschodnie przez Przemyśl, Lwów, Tarnopol, Zbaraż, Łanowce. Po przeszło trzech dniach jazdy wysiadamy wieczorem w Łanowcach pociąg dalej nie idzie, tam nam dają pierwszy posiłek ale znów niema z czego jeść, ja popadłem już w złość i kupiłem sobie w tamtejszej kantynie kawał kiełbasy i szklanke musztardy i to wszystko zjadłem z chlebem na drugi dzień jestem chory, znów zbiórka by podzielić kto ma gdzie i jaką strone iść, ja do zbiórki nie ide przychodzi porucznik dlaczego nie ide na zbiórke ja odpowiadam że jestem słaby i chory że jeszcze nic gotowanego nie jadłem jak my wyjechali z miejsca t. j. prawie cztery dni, zaraz daje rozkaz aż mi przyniosą jedzenie gotowane, aż to mie troche pokrzepiło, cały dzień wszystko porządkują na wieczór odmarsz do Baonu 4 komp. K. O. P. w Dederkałach, przestrzeń między Łanowcami a Dederkałami była 50—60 klm. w dzień troche odpoczeli a nocami się posuwali ku granicy, nocy następnej do Białozierki, tam byliśmy umundurowani w mundur graniczny. Tam byliśmy miesiąc czasu do zapoznania się z karabinem austryackim Manlichera, a w garnizonie my mieli karabiny Mauzera system niemiecki. Wikt my otrzymali niezły bo porcyje były podwójne, żołd tak samo, ale dyscyplina również była ostra, że my już nawet mieli po roku służby i chciano postępować z nami jak z rekrutami ale my się oburzyli i wtedy to zwolniało, po dwóch miesiącach byli my przydzieleni na placówki do pełnienia służby na granicy, ja byłem na placówce w Brzezinie Nr. Placówki był ***. Na placówkach ćwiczeń było mniej ale zato służby więcej i niebezpieczniejszej bo posterunki nasze ostrzeliwały od czasu do czasu, jak się okazja nadarzała, posterunki bolszewickie, a oni to samo robili.

Pod koniec roku 1924 w mies. październiku lub listopadzie

szef kompanji odczytuje nazwiska że mają być zwolnieni do cywila a w tem i moje nazwisko, ale daty zwolnienia niema ustalonej, zapytujemy się o date szef komp. daje odpowiedź, że może za 14 dni może miesiąc dwa lub trzy a nawet i cztery. A jednak prawie trzy miesiące my czekali do zwolnienia. Dnia 25 stycznia r. 1925 odchodzimy do cywila, przestrzeń między stacją a miejscem naszego zamieszkania jest 70—80 klm ale to nic, dnia 24 stycznia oddajemy mundury i wszystkie rzeczy a ubieramy się w swoje to trwa całą noc, rano o godz. 6.30 min. odmarsz z miejsca w towarzystwie porucznika i kapitana, podróż była uciążliwa z powodu śniegu, bo go było prawie do 1 metra grubości, ale to nic, ci co śli pierwsi gdy byli zmęczeni szli w przodzie drudzy i tak kolejno. Do południa szli my piechotą, na obiad zostawiliśmy się w jednej wiosce na godzinę, o co kto mógł postarał się do zjedzenia i wypicia, jeszcze przed samem obiadem postanowiliśmy jeżeli możliwe nająć furmanki aby nas odwiozły na stacje, to zostało zrobione, furmanki zapłaciliśmy sobie sami kupiliśmy sobie wódki popijamy i jedziemy ze śpiewem w kierunku Krzemieńca przez różne wioski, ludność cywilna na nas patrzy dlaczego. P. Major G. człowiek rozumny widząc silną zime pożyczył nam płaszczów wojskowych do stacji i dał furmanke aby je przywiozła z powrotem i ludność nie wiedziała czy jedzie wojsko czy cywile, ubranie cywilne płaszcze wojskowe, a paru miało ubrania zimowe to nie mieli płaszcza wojskowego. Na stacje my przyjechali była godz. 10-ta wieczór, podczas jazdy sankami cztery razy sanie się przewróciły ale nikomu się nic nie stało, o godz. 11 minut 30 w nocy odjeżdżamy z Krzemieńca, przedtem oglądali my miasto, chociaż w nocy, tak że niektórzy by byli na pociąg spóźnili tak samo ja z jednym kolegą, bo gdy my przyszli do poczekalni nie było nikogo tylko nasze dwie walizki, to my też nic nie czekali, a pociąg był gotów do odjazdu i zaraz my odjechali przez Równo, Dubno na rano byliśmy we Lwowie zmieniliśmy pociąg w kierunku Krakowa wieczorem około 10 godz. byliśmy w Krakowie tam znów zmieniałem pociąg do Dziedzic i znów do Bielska a w Bielsku znów ku Cieszynu. Gdy byłem w Bielsku to mi się zdawało że już jestem w domu. Rano o godz. 9 m. 30 wysiadam z pociągu w Grodźcu i idę zmęczony ku domowi po pół godzinnym chodniku byłem w domu u mych dziadków, bo ojców już nie miałem. Umyłem się zmieniłem bielizne a następnie się posiliłem a następnie

udałem się do łóżka bo po 3 dniowem podróżowaniu był czas odpocząć. Podczas mego pobytu w wojsku 6 tygodni byłem w szpitalu, służba moja nie była ukończona tylko byłem bezterminowo urlopowany. Dnia następnego po powrocie z wojska idę do gminy zgłosić swój pobyt i również jeden dokument mój miał być przez gmine odesłany do Korpusu Ochrony Pogranicza 4 B 1 K. w Dederkałach. Przełożony gminy chłop starszy powiada mnie że on się na tem nie rozumie zanadto ja mu dał wskazówki co ma robić, ale on nie chce i powiada mi że ksiądz wielebny jest sekretarzem gminy że on się lepiej zna na tych rzeczach, ja mówie że to nic takiego, on kazuje mi zaczekać, że pójdzie po księdza i że z nim zrobiemy co trzeba. Ja siadłem na ławce w kuchni i czekam, za 15 minut powraca wójt gminy i mówi że ksiądz zaraz przyjdzie, za parę minut wchodzi ksiądz. Wlazł do kuchni i stanął koło drzwi i powiada do mnie, że mie żadnej grzeczności nie nauczyli przy wojsku, że ksiądz przychodzi i nie oddaję mu żadnego honoru ani go w rękę nie pocałuje, wtedy ja głos podniosłem mówię ja wchodząc tu dał pozdrowienie a teraz on ma pozdrowić tych co są w mieszkaniu a co do całowania ręki, że może on kucharke drapał po sowie a ja mam to lizać to nie i nawet pioruny latały i różne wyzwiska i już my się mieli złapać za krawaty gdyby nie wójtowa żona i mówił mi że napisze list do pułku że będę musiał iść z powrotem do wojska ja mu mówie że byłem i mogę iść znów i tego sie nie lękam, sprzeczka trwała 15 — 20 minut ale ksiądz widział że niema głupka koło siebie i musiał się zmienić ale pomimo to w niedziele zrobił kazanie w kościele z tego zajścia. Po tej sprzeczce weszliśmy wszyscy troje do kancelarji wójta tam załatwiliśmy co było trzeba, po załatwieniu rozmawiamy o różnych rzeczach wszyscy troje, ale ksiądz już nie był względem mnie jak poprzednio, rozmowa była dobre pół godz. na różne tematy i poszedłem do domu, pare dni odpoczyłem i wystarałem się o przepustke graniczną i pojechałem odwiedzić narzeczoną z Karwiny i również byłem na kopalni się dowiedzieć czy otrzymam z powrotem prace, tam już był kryzys, pytają mnie czemu opuściłem prace, ja mówie że z powodu służby wojskowej, to niema tak źle mam ukazać papiery wojskowe, ukazuję tu co papiery od wojska Polskiego a to nas nic nie obchodzi, gdybym miał papiery od wojska czeskiego prace bym dostał z powrotem i odszedłem z niczem, byłem tam trzy dni i wró-

ciłem do Polski. Prace narazie znaleźć nie było mowy i dałem się zapisać do funduszu bezrobotnych. Korzystałem 2 mies. ale starałem się znaleźć zajęcie jednak było ciężko, byłem na kopalni w Dziedzicach tam mało brakło że nie pobiłem portjera bo ten mi powiada że on tu rozkazuje, ja mówie że jest za mały do takiego co. Następnie mi się przypomniało gdy byłem w wojsku na granicy pewnego razu p. major powiada chłopcy wiem dobrze że służba tu jest ciężka i odpowiedzialna, zato w cywilu będziecie mieć pierwszeństwo do jaki służby lub pracy państwowej, pewnego razu jadem do Katowic do komendanta Policji Województwa Śląskiego tam nawet mnie nie chciano wpuścić i chciano mnie aresztować, podczas sprzeczki na korytarzu nadchodzi on sam i pyta co to jest, ja sam odpowiadam, on kiwnął ręką że mam iść za niem i poszliśmy do jego kancelarji, tam mu opowiedziałem co mnie tu sprowadza ten wysłuchał, a następnie dał mi wyjaśnienia i kazał mi czekać rok dwa lub trzy ale co ja miałem jeść przez ten czas i odszedłem bez niczego. Następnego dnia poszedłem do fabryki w której pracował mój ojciec, tam mi powiedziano że narazie niema miejsca, ale jak będzie że mi dają znać, przez jednego kolegi który tam pracował za trzy tygodnie mnie zawiadomili że mam przyjść do pracy. Była to fabryka mebli „Mundus" w J., praca nia była zła, ale płaca to niema co wspominać bo ludzie którzy tam pracowali i musieli tylko z tego żyć i chcieli wyżywić rodzine jako tako, pracowali 16 godz. dziennie t. j. od 6-tej rano do 11 w nocy z jednogodz. przerwą obiadową, za te 16 godz. pracy w akordzie mógł najwięcej zarobić 4—5 zł dziennie, a na dniówke za 8 godz. 1 zł 60 gr do 2 zł 40 gr, mnie się to nie podobało, bo tak nie byłem nauczony i szukałem innego zajęcia, dowiadywałem się i nad wszystkiem rozmyślałem, nawet niektórzy mnie popychali ku żenieniu, bo narzeczonych mi nie brakło dla mnie bo byłem zuchem kawalerem ale ja nie widziałem dać utrzymanie żonie troche po ludzku a później dzieciom i żeniaczka była dla mnie obojętną, aż się sytuacja zmieni. Ale narazie tej zmiany nie widziałem, tak samo i starzykom robią niektórzy zarzuty że taki bezbożnik jest pod jeich dachem że mu piorun w dom traśnie. Po tych wszystkich rozmyślaniach i wiadomościach jakie miałem postanowiłem gdzie wyjechać i to do Francji ale nikomu nic nie mówiłem tylko jednemu najlepszemu kolegowi który wiedział moje zamiary. Ludzie niektó-

rzy mi mówili że ja wyjeżdżam, również dziewczeny, ale ja mówiłem że nie mogę wyjechać za granice, że nie mam ukończonej służby wojskowej i z tem wszystkich wyprowadzałem z równowagi, ale ja się starałem o zezwolenie na wyjazd za granice Państwa i jednak otrzymałem tydzień przed odjazdem.

Wyjazd był dnia 26. 8. 25 do Mysłowic, następnie do Toulu, a potem do Mines de Blanzy. Podczas podróży zajmowałem się krajobrazem w dzień, a nocą drzymałem. Jechałem transportem, podczas podróży odgrywały się różne rzeczy nawet nieprzyzwoite. W Toul nawet jedna dziewczyna wołała ratunku ale nikt nie poszedł bo na niego nie zasłużyła w podróży, dziewczyne tą tu spotkałem w pewnym towarzystwie po pięciu latach, po dłuższej rozmowie z nią dałem jej do zrozumienia że znam przebieg jej podróży do Francji i ona uciekła z towarzystwa i żaden nie wie z jakiej przyczyny tylko ja sam, pytają mnie wszyscy co się stało, ja się tylko śmiałem, w końcu mi mówią że ja muszę coś wiedzieć i chcieli się dowiedzieć jednak wszystkim nie powiedziałem tylko jednej kobiecie dawniejszej gospodyni u której byłem na mieszkaniu. Po przyjeździe do tutejszego zagłębia umieszczono nas w barakach ja myślałem że jestem w więzieniu, chociaż nie byłem pod żadnym nadzorem, ale z powodu hygieny i postanowiłem tam nie mieszkać i zaraz się starałem o inne mieszkanie. Mieszkałem w baraku tylko dwa tygodnie i poszedłem na mieszkanie do ludzi, tak samo do baraki ale już był inny porządek, chociaż za to musiałem więcej płacić to mi nie przeszkadzało, ale lubiałem czystość. Często mieszkania zmieniałem przez cztery lata, gdy gdzie zgodziłem mieszkanie za jaką cene to płaciłem regularnie ale nie dałem się za nos wodzić z różnych przyczyn takich lub owych. Niektóre mieszkanie opuszczałem z małych przyczyn a niektóre z większych, np. z powodu dziewcząt, z pracy która miała mi być zrobiona, a nie była, a nawet z powodu kobiet które chciały się do mnie blisko przybliżyć a ja nie chciałem honoru stracić i nie straciłem aż dotychczas t. j. do r. 1935. Następnie co do pracy w kopalni, w kopalniach tutejszych jest praca wyciągnięta, w niektórych miejscach nawet dosyć ciepło, co do zarobku kto chce zarobić dobrze ten musi pracować ze wszystkich sił i jeszcze ku temu być tam podchlebiaczem, innej rady niema, a kto sie o co upomni to wtedy niedobrze, chociaż nieraz sprawiedliwie. Ile już tu znałem i znam co praca ich do grobu wprowadziła czy

tu lub w Polsce, za to że chcieli aby ich chwalono że są dobremi górnikami, ale tej chwały nie było długo, niejedni niedojadali i zapadli w różne choroby, tylko z chciwości a drugi z nieświadomości, później poznają te błędy, ale już się ich nie da naprawić. Znałem kolegów gdy przyjechali z Polski mężczyźni aż miło było zobaczyć, a dzisiaj niejedni już ledwie chodzą, niejedni pół roku leżą w szpitalu i nie mają nadziei ku wyzdrowieniu. Ja jestem jeszcze jako tako zdrów, nie chciałem być tym najlepszym górnikiem, nie nosiłem ani nie nosze pieniędzy do banku, a bankier się rozbija z temi pieniądzmi, a w końcu ucieknie jak to miało miejsce w tutejszem zagłębiu. Że bankier Polski Kara zabrał oszczędności polskich górników w sumie 700.000 franków i 400.000 dolarów i ulotnił się. Jakie się sceny odgrywały koło banku gdy sie dowiedziano że bankiera już niema było na co popatrzeć i co usłyszeć, a wszystko z chciwości bo pisał duży procent do książki ale nikt go nie odbierał. Znałem takich co sami siebie dzieci swoje i krewnych okradali a pieniądze nosili do banku i mieli niektórzy 10 — 30 tys. franków a naraz nie mieli nic a nawet i zdrowie stracili. Ja gotówki dużej nie mam, ale bez pieniędzy też nie jestem, bo mojem zdaniem jest że muszę fort pracować, to i muszę organizm odżywiać, wolę pieniądze jakie zarobię zanieść do rzeźnika piekarza i jeśli możność do restauracji niż do bankiera lub lekarza. Po mojem miesięcznem pobycie we Francji napisałem pare listów do Polski i dałem im wiedzieć że jestem we Francji, a nawet i do Czech. Niektórych to bardzo zadziwiło i nie chcieli nawet temu wierzyć jednak polegało na prawdzie. Potem postanowiłem się uczyć języka francuskiego i rozpocząłem u pewnego nauczyciela Polaka ale będącego już Francuzem bo on przyjechał do Paryża w roku 1912 tak mi sam mówił. Nauczyciel ten był mężczyzną bardzo grzecznym i uprzejmym, lekcje mi dawał 2 lub 3 razy w tygodniu zaco mu płaciłem 30 franków mies. lekcje brałem dwa lata, ale nie mogę powiedzieć że sie nic nie nauczyłem, bo język francuski nie ma taki łatwy do nauki, a szczególnie pisanie i czytanie, ja po trzech rokach nie potrzebowałem żadnego tłumacza nigdzie a nawet i drugim usługi oddałem, a nawet jeszcze teraz. Następnie co do władz polskich we Francji. Po dwóch latach pobytu we Francji zacząłem myśleć o ożenieniu się, narzeczone i tu we Francji miałem i rade byłyby wyszły zamąż za mnie, ale że sobie dużo myślały o sobie, to mi się nie

podobało i postanowiłem się ożenić z narzeczoną dawną, ale z tem było gorzej, ponieważ ona była w Czechach. Musiałem szukać sposobu, w jaki sposób ona tu może przyjechać abym się mógł z nią ożenić. Pierwsze kroki były na kopalnie, bo poprzednio sprawy takie załatwiała kopalnia, ale później już nie z powodu różnych przyczyn i odpowiedzialności, jednak pewien inżynier mi kazał sie udać do Konsulatu, napisałem list o poradę jako obywatel Polski, za miesiąc czasu otrzymałem odpowiedź, że mam się wystarać tutaj dla niej o kontrakt pracy, chociaż mi to szło trudno ale za pośrednictwem mego nauczyciela otrzymałem od pewnego restauratora i takowy posłałem do Konsulatu, po upływie trzech miesięcy ten kontrakt pracy otrzymałem z Konsulatu i miałem go wysłać narzeczonej i na podstawie tego kontraktu pracy miała otrzymać paszport zagraniczny. Posłałem go do Czech, tam gdy z tem poszła po paszport to mówili że niedobrze to jest i znów mi to tu przysłali, a ja znów pisałem do Konsulatu i na odpowiedź czekałem 3 — 4 miesiące. Konsulat mi dał poradę że mam ten kontrakt posłać do Ministerstwa Pracy i wtedy już miał być dobry. Kontrakt pracy wysłałem do Ministerstwa Pracy czekałem pół roku pisałem drugi list i to odpowiedzi ani kontraktu pracy nie otrzymałem i rozmyślam co mam robić aby sprawe te ukończyć, aby rodzice narzeczonej nie powiedzieli że ich mam wszytkich za błazna. Wpadło mi do głowy, gdyż ona jest obywatelką Republiki Ceskoslovenske aby się udać na narade do Konsula Republiki Ceskoslovenske w Marsylji i napisałem sam list do niego w przeciągu 8 dni miałem odpowiedź bardzo dokładną i wszystko wyjaśnione co trzeba robić i w jaki sposób.

Odpis listu P. Konsula R. C. S. w Marsylji który jest do dziś dnia w moich rękach. Brzmi następująco: „W odpowiedzi na wasz list z dnia 30. 10. 1928, ja mam życzenie wam dać wiedzieć, że narzeczona powinna posiadać paszport narodowosci Czeskosłowackiej, który będzie wydany przez Administracje okręgową w Frystacie, Śląsk. Ona powinna mieć akt urodzenia, który jej będzie potrzebny do zawarcia małżeństwa we Francji. Dla otrzymania paszportu i przejścia przez granice Francuską jej narzeczony powinien jej przysłać list zapraszający ją do przyjazdu do Francji w celu zawarcia małżeństwa, list ten powinien być pisany w języku polskim, czeskim i francuskim, narzeczona jeśli ma 21 lat nie potrzebuje

ani wizy niemieckiej ani francuskiej, jeżeli niema 21 lat powinna mieć pozwoleństwo ojca, jeżeli ten nie żyje to od (tuteur) opiekuna i od sędziego sierot czeskosłowackich.

Z nadzieją że Pan będzie zadowolony z poważaniem"

Konsul (nazwisko)

List ten jest pisany w języku francuskim.

List ten był dla mnie wystarczający i na podstawie tego listu moja narzeczona po upływie trzech miesięcy już była we Francji, dwa miesiące później odbył się ślub cywilny, trzy miesiące później odbył się ślub kościelny, na który ja zanadto nie chciałem się zgodzić, pięć miesięcy później urodził nam się syn imię my mu dali François, rok później drugi, imię my mu dali Henri, teraz ten drugi ma sześć roków, ale o więcej się nie staramy, bo to dla robotnika na obczyźnie jest dosyć. Dzieci są zdrowe bo nie są źle odżywiane, a gdyby ich było więcej byłyby gorzej odżywiane i choroba by miała lepszy dostęp do nich. A co do kontraktu który wysłałem do Ministerstwa tego do dziś dnia nie otrzymałem z powrotem. Nawet przed trzema rokami w nocy mi się śniło że otrzymałem list z Ministerstwa i 15 franków odszkodowania za ten list, że go szczury zjadły i z tego wyciągnąć wniosek gdzie jaka praca idzie.

Mieszkanie mam kopalniane cztery pokoje i jestem z nich zadowolony, ale nie wszyscy z taką rodziną mają takie mieszkanie, sąsiad mój ma siedmioro dzieci ma to samo mieszkanie co ja i ogródek ten sam 30 mtr dług. 7 szerokości. Co do otoczenia jestem prawie wszędzie mile widziany jak przez Polaków tak Francuzów i inne narodowości Italian Portugalczyków Marokanów i innych. Co do władz francuskich nieprzyjemności żadnych nie miałem, bo nawet mi mówili abym przyjął obywatelstwo francuskie. Co do zarobku, zarabiam obecnie jako górnik 35 — 40 fr. dziennie t. j. 8 godz., poboczny zarobek mam 50 — 60 fr. miesięcznie ale ten to już jest tylko dla mnie, bo zawsze z domu wychodze i przy tem są zawsze wydatki. Podczas choroby zasiłek dzienny wynosi dla żonatego 10 fr 50 cent dziennie jeżeli zamieszkuje z żoną, na pierwsze dziecko 1 fr 25 cent drugie 1 fr 25 cent, trzecie 1 fr 50 i czwarte 1 fr 50 cent tak że zapomoga dla chorego nie może przewyższać 16 fr dziennie chociażby miał dziesięcioro nawet i więcej dzieci,

oprócz tego kasa chorych daje nadwyżke po 3 miesięcz. chorobie 50 — 100 fr. mies.

Co do organizacji, należe do organizacji zawodowej jaka jest we Francji C. G. T. (Generalna Konfederacja Pracy), w Czechach tak samo należałem do organizacji zawodowej od r. 1918 — 1923 po przyjeździe tu niedługo wstąpiłem do Sekcji Polskiej przy C. G. T. nawet jestem delegatem polskim do C. G. T. do żadnych innych towarzystw nie należałem ani nie należę, bo te uznawam za zbyteczne, chociaż ich tu nie brak, jeszcze byłem w Czechach to należałem do „Ceskoslovenske telocvicny jednoty" oprócz związku zawodowego. Podczas tutejszego pobytu bezrobotny nie byłem. Co do wydatków na wyżywienie całej rodziny 4 osoby potrzebuję 300 — 350 fr na 15 dni reszta co zostaje to na odzież obuwie dla wszyskich w domu i inne rzeczy, a pare fr na czarną godzine.

Dzieci posyłam do szkoły polskiej i francuskiej pół dnia się uczą po polsku a pół dnia po francusku, bo czem wiecej się umie tem lepiej. Co do nauczyciela to raz byłem u niego i dałem mu do zrozumienia że chce aby dzieci moje się coś nauczyły pożytecznego, z księdzem nie mam żadnej łączności.

Ja po pracy w kopalni nie jestem wolny po pierwsze aby mieć stale to poważanie jakie mam w tutejszej kolonji w której zamieszkuje 500 rodzin polskich usługuje się im tłumaczeniem czy w urzędzie gminnym lub na policji lub u lekarza i innych jeszcze miejscach bezpłatnie pomimo mnie nauka kosztowała pieniądze i czas. Co do pism polskich jest ich tu nie brak i czytałem już wszystkie, czytałem następująco i byłem abonentem najmniej 3 miesiące: tytuł gazet „Narodowca", „Wiarusa Polskiego", „Prawo Ludu", „Ognisko", „Polak we Francji", „Przewodnik Katolicki", „Głos Wychodźcy", „Opieka", „Wolna Myśl", „Tygodnik Polski", obecnie czytam „Prawo Ludu", „Wolna Myśl", „Tygodnik Polski" i czasami „Złoty Wiek".

Z pomocy organizacji społecznych nie korzystałem. Z pobytu obecnie jestem zadowolony, gdy nastał we Francji Rząd Frontu Ludowego, bo wszystko się zmieniło i nastąpiło polepszenie dla klasy pracującej przez różne ustawy na które my czekali pare lat jak np. urlopy płatne i skrócenie czasu pracy i szykany w kopalni za małą wydajność nieraz niesłusznie, a przedewszystkiem za święcenia Święta 1 maja bo nas było mało takich co my 1-szy maj

uznawali za święto rob. i przez to byliśmy prześladowani ale jednak my wytrzymali pod czerwonem sztandarem aż do końca i mam pewność że sie już nie cofniem.

Jeżeli się stosunki zmienią w kraju to mam zamiar powrócić, inaczej nie. Rodaków stąd tutejszego zagłębia wyjechało do 2000 z różnych przyczyn redukcji żadnej tu nie było, zostali wydaleni za kradzież, bijatyki, więzienie, ustawa francuska przewiduje dla obcokrajowców po 8 dniach więzienia opuszczenie granic Francji, bardzo rzadko sie trafia komu to przebaczą, ale tylko raz i jeszcze muszą być dowody do tego.

Co się dzieje w kraju ojczystem interesuje nas prawie wszystkich prawie połowa nas tutaj co walczyli o Niepodległą Polskę Ludową a nie faszystowską. W naszej Polsce jest dosyć pracy i chleba dla nas wszystkich co jesteśmy zagranicami Polski, tylko trzeba innej gospodarki. My polacy co tu we Francji należymy do organizacji zawodowej C. G. T. przez niektóre placówki jesteśmy uważani za obywateli drugiej klasy, a ci co Polski wcale niewidzieli dzieci ich mówią mową niemiecką, wcale im tego nie zazdroszczę czem więcej umie tem lepiej, otrzymują medale, ale za co? za oczernianie drugich u p. Konsulów. Precz ze zdrajcami klasy pracującej. My chcemy Wolnej Polski Ludowej.

Napisane przez Emigranta ze Śląska Cieszyńskiego we Francji w roku 1936, za jedenaście lat pobytu na obczyźnie we Francji.

Dn. 31 sierpnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 28

Robotnik rolny, syn 11-morgowego gospodarza z Kieleckiego, ur. w 1904 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Rodzina moja, składająca się z siedmiorga osób, t. j. rodziców i pięciu synów, z których najstarszy wiekiem w roku 1919 liczył 19 lat. Gospodarka nasza składająca się z 11-stu morgów, w tem 5 morgów ornego, reszta zaś pastwisko, łąki i las. Każdy mi musi przyznać że rodzina składająca się z siedmiu osób na 5-ciu morgach pola, nie zdoła wytrzymać. To też gdy po wojnie światowej pracownicy polscy zaczęli masowo powracać do Polski, przeważnie z Niemiec, gdzie przebywali dłuższy czas zaskoczeni wojną światową, poczęli opowiadać różne rzeczy zachwycające o Niemczech. „Granica do Niemiec otwarta“ — mówiono tu i owdzie — „niechże jadą ci, którzy u nas nie mają żadnych zajęć“. Co robić myśle sobie, brata najstarszego wzięli do wojska, młodszy od niego o dwa lata wyjechał wówczas do Sosnowca, ja licząc lat 15-cie ucieszony opowieścią powracających z Niemiec robotników, chciałem się zgrzebać, bym i ja mógł jechać na robote i pokupić sobie takie wspaniałe ubrania jakie wówczas mieli powracający z Niemiec robotnicy.

„Ależ ty jesteś jeszcze za młody“ — perswadowali mi moi rodzice. Lecz ja na wymówki rodziców nie pytałem tłumacząc się przed nimi, że jestem już prawie dorosłym mężczyzną i że potrafie na siebie zapracować i w dodatku, jeżeli mi dobrze pójdzie to pare groszy przyśle im na zapomoge gospodarstwa. Ojciec po długim namyśle, pomimo oporu matki, zgodził się nawet pójść ze mną do gminy i wyciągnąć mi papiery potrzebne na wyjazd do Niemiec.

W pare dni później dowiedziałem się, że jeden z włodarzy przyjechał z Niemiec do sąsiedniej wioski i zabiera dużo ludzi i to bez wyjątku dużych i małych, dziewuchy i kobiety. Chłopcy niepełnoletni mieli pobierać płacę taką jak i dziewuchy, a co się zaś tyczyło chłopów, dorosłych i krępych, to mieli oni zarabiać dwa razy tyle co my.

Trudno — pomyślałem sobie — nie jestem przecież dorosłym bym mógł zarabiać tyle co dorosły mężczyzna. O ile dorosne to będę tyle samo zarabiał co i oni. No i tak się stało, że po upływie paru tygodni pozbieraliśmy się wszyscy ze wszystkich okolic u wspomnianego włodarza i ruszyliśmy pieszo ku granicy niemieckiej, nie mając bowiem pieniędzy na przejazd koleją, która wówczas bardzo drogo kosztowała. Było nas przeszło trzysta. Każdy z nas dźwigał na plecach jaki taki pakunek, który utrudniał nam niezmiernie w drodze. Większa część dziewcząt porzucała kosze na drodze wybierając z nich swe „łapy“ *) lokując je u innych dziewcząt, pomagając sobie nieść wzajemnie. Ponieważ wybraliśmy się w miesiącu marcu, więc i zimno zaczęło nam dokuczać ogromnie. Doszedłszy do Częstochowy zrobiliśmy w przeciągu trzech dni przeszło osiemnaście mil drogi. Ta ogromna przestrzeń dała nam się wielce we znaki: każdy upadał znużony bez snu i bez sił, dopiero na czwarty dzień, gdyśmy dotarli do wsi Zamościa, oddalonego o kilkanaście kilometrów od Częstochowy, włodarz wiodący nas zatrzymał się w jednej chacie, postanawiając dać nam dłuższy wypoczynek. Naraz dowiedzieliśmy się, że nasz włodarz pochodzi z tej wsi gdzieśmy się zatrzymali t. j. z Zamościa. Po dwudniowym wypoczynku w Zamościu, ruszyliśmy w dalszą drogę ku granicy, lecz tym razem o dziwo! nie było nas jak przedtem 300-sta, a przeszło 800 ludzi; włodarzów było coś około pięciu, każdy mając do dyspozycji parę-set osób. Idąc tak cały dzień, doszliśmy do dość dużego lasu, za którym jak nam mówili nasi przewodnicy, miała być już granica niemiecka. W wyżej wspomnianym lesie błądziliśmy całą noc, dopiero nad ranem pozwolili nam na krótki wypoczynek, gdzie legliśmy na śniegu, zasypiając snem kamiennym. Po przebudzeniu się każdy drżał z zimna nie mogąc przyjść do słowa. „Musimy nazad wracać do pobliskiej wioski“ — oświadczył jeden z włodarzy —„gdyż

*) Tj. łachy, gałgany, z niemieckiego Lumpen.

nie mogliśmy napotkać płytkiej wody, którą mogłyby dziewuchy przejść spokojnie". Powstał lament i zamieszanie pośród ludzi, lecz opamiętawszy się wkrótce, że bez przewodników moglibyśmy przepaść na dobre, zgodziliśmy się na powrót do pobliskiej wioski. Tam ulokowawszy się, znaleźliśmy malutki żydowski sklepik, gdzie postanowiliśmy zagrzać się kolejno herbatą, nie mogąc jednak przez dłuższą chwilę przyjść do siebie. Przebywszy cały dzień w owej wiosce, wieczorem ruszyliśmy w dalszą podróż, lecz w innym kierunku nie ku lasowi. Jeszcze daleko było do zachodu słońca, gdyśmy znów przyszli do jakiejś wioski, której nazwy jak i poprzedniej, do dziś dnia nie zapamiętałem. O godzinie może 10-tej może 12-tej wieczorem opuściliśmy wioskę i nie uszedłszy nawet trzech kilometrów, znów żeśmy się zatrzymali w gęstych zaroślach, gdzie szumiąca woda ostrym biegiem poczęła głuszyć cisze nocną. Nagle zapanował szmer szeptów w naszej partji, które od czasu do czasu przerywały się szumiącym wodospadem. Wtem zda nam się spojrzeć w bok, gdzie oczy przewodników były skierowane i ujrzeliśmy dwóch żołnierzy. Były to raczej dwie sylwetki, podobne do jakichś widm wynurzających się z gęstych zarośli; dopiero przy blasku księżyca rozpoznaliśmy na ich czapkach orły polskie, które przyprowadziły nas nieco do przytomności, a i dowiedzieliśmy się równocześnie, że chcą nam dopomóc byśmy jak najprędzej mogli przekroczyć granice. Most, którędy mieliśmy przechodzić, był zerwany prawdopodobnie przez Niemców, gdy odstępowali po przegranej wojnie, tylko jedna jedyna belka, a obok zaś poręcz świadczyły o tem, że był tu kiedyś most. Zaczęliśmy więc kolejno po jednemu przechodzić przez ową belke i to tak ostrożnie, że włodarz stojący po przeciwnej stronie belki musiał podawać każdemu długą żerdź by przypadkiem nie zachwiało się któreś z przechodzących po belce i nie runęło w wodę. Wszelki szept, pomruk i pisk, jaki dawał się od czasu do czasu słyszeć wśród przestraszonych przechodniów nad przepaścią, głuszył wodospad, który zdawał się poto tylko szumieć, by móc porwać ze sobą to czego później nie mógł się nikt dowiedzieć.

Mniej więcej, po jakimś dwugodzinnym przeprawianiu się przez wyżej wspomnianą belkę, doszliśmy do wsi Zawisno, znajdującej się już na terytorjum Niemiec. Tam zaprowadzono nas do wiejskiej kuźni, gdzie pomieściliśmy się wszyscy co do jednego. Dwóch cze-

ladników kowalskich, dostawszy po pare groszy od włodarzy, poczęło się krzątać koło nas, rozniecając nam wielkie ogniska, tak że mogliśmy się wygodnie porozstawiać koło ognisk i wygrzać się należycie. Ponieważ obuwie mieliśmy bardzo przemoknięte, to też wielu z pośród nas popaliło sobie buty obrzynając sobie cholewy, prezentując się oczom niemieckim w trepkach i boso. Przedrzemawszy się nieco w kuźni, nad ranem wsiedliśmy na kolejke i przyjechaliśmy do Olesna (Rozenberg), gdzie spędziliśmy znów cały dzień. Lecz tym razem dostaliśmy od inspektorów (rządców) folwarcznych, którzy poprzyjeżdżali po swych ludzi, po dwie marki niemieckie, po butelce piwa i całodzienne utrzymanie. Życie można powiedzieć było pierwszorzędne, takie jakiego przedtem nigdy nie widziałem— bo i skąd—na paru morgach kiepskiej ziemi można się było takiego życia spodziewać.

To samo życie, taką samą opiekę mieliśmy i we Wrocławiu gdzie nie opuszczano nas z pod dobrej opieki i t. d. Z Wrocławia wyjechało nas 85 do jednego dworu t. j. do Ascherschleben do „Terry" w Saksonji. Co się zaś tyczy tych ludzi, którzy pozostali jeszcze we Wrocławiu oczekujących na nadejście pociągów, to porozjeżdżali się oni w różnych kierunkach Niemiec.

Gdyśmy przybyli do Ascherschleben na samo miejsce, gdzie mieliśmy zarabiać na chleb powszedni, zastaliśmy w pustych koszarach oczekujących naszego przybycia niemieckich dostojników, którzy porozmawiawszy w języku niemieckim z włodarzami, poczęli nas umieszczać w różnych „kanciapkach", gdzie oczywiście nam się bardzo spodobało. Niestety, to spodobanie się trwało zaledwie jedne noc, gdyż na drugi dzień zaraz z rana odesłano nas czterech nieletnich chłopców na folwarczek oddalony od miasta o jeden kilometr drogi, gdzie dano nam do obsługi po dwa dzielne woły. Mieszkanie znajdujące się od podwórza zajmowało czterech rosyjskich jeńców, którzy jeszcze nie byli zwolnieni od pracy by mogli jechać do Rosji. My czterech „Poliaczków" — tak nas bowiem przezywali rosyjscy jeńcy — zajęliśmy malutkie i brudne mieszkanko obok nich. W mieszkanku naszem, w którem zastaliśmy czekające na nas cztery łóżka, mieściła się również i waga, na której ważono często słomę, gdy ją gdzieś odstawiano. Obok wagi mieściła się komora „majstra" podwórzowego, który mieszkał nad nami. A w tej komórce znajdowało się pełno szczurów, których

wstrętny zapach czuje po tylu latach nieobecności wspomnianego mieszkania.

Z początku jako dzieci i niedoświadczeni niczem, poczęliśmy narzekać na nasz los, płacząc w niebogłosy. Lecz później, gdyśmy już nieco przywykli do tych „niemiłych" nam zabudowań i zżyli się z tamtejszymi ludźmi, szło nam już niezgorzej. Najbardziej dały nam się we znaki szczury, które podczas spoczynku nocnego latały po nas jak drobny deszcz. Szczęściem było dla nas, że byliśmy wszyscy czterej z jednej wioski, co oczywiście przychodziło pomiędzy nami do prędkiego porozumienia, gdyśmy coś przekroczyli, lub spsocili. Jako chłopcy nieletni zarabialiśmy niebardzo wiele, lecz na kupno ubrania, bielizny i t. p. rzeczy musiało nam wystarczyć. Na rano dostawaliśmy czarną kawę, którą przynosiła nam żona podwórzowego „majstra". Obiad przywożono nam zawsze w pole, w kuchni polowej. Kuchnia ta, obiegłszy wszystkie zakątki pól, gdzie porozpraszani byli polscy robotnicy, przybywała do nas czterech często na samym ostatku, tak że nie mogliśmy spożyć tej zupy, jaka znajdowała się na dnie zimnego już prawie kotła. Garnki i łyżki musieliśmy codziennie zabierać z sobą w pole, bo inaczej nie otrzymałby swojej należytości za dopołudniową pracę. Na kolacje musieliśmy chodzić codziennie do miasta t. j. do koszar dworskich, gdzie mieściła się reszta naszych robotników, skąd późnym wieczorem, po dłuższej pogawędce powracaliśmy znów na nasze stare miejsca na „Knochendar" — tak bowiem nazywał się nasz folwarczek, gdzieśmy spędzali niemal dwa lata.

Po roku czasu tak się zaprzyjaźniłem z naszym podwórzowym majstrem oraz majstrową, że ta zaczęła mi dawać lekcje niemieckiego, ucząc mnie czytać i pisać po niemiecku. Lekcje niemieckiego odniosły nie tylko dla mnie pożądany skutek, lecz i dla moich trzech rówieśników, którzy pomimo swej nieświadomości nie chcieli się uczyć po niemiecku. Majstrowa z majstrem byli bardzo zadowoleni ze mnie, że w tak krótkim czasie potrafiłem się nauczyć wiele po niemiecku. Majster w krótkim czasie postarał się dla nas o wyższą płacę, tak że byliśmy prawie na równi z Niemcami. A gdy przyszły święta Bożego Narodzenia miałem różności od moich majstrów, a w drugie święto Bożego Narodzenia zabrał mnie majster ze sobą do pobliskiego teatrzyku miej-

skiego, gdzie spędziłem przyjemny wieczór. Będąc przez rok czasu przy wołach, majster przeznaczył mnie do koni, gdzie znów płace mi podwyższyli o pare fenigów więcej, z której również niezmiernie byłem zadowolony. Przebywszy dwa lata na wspomnianym folwarku, przenieśliśmy się wszyscy czterech na dobre do miasta t. j. do dworu, gdzie czuliśmy się więcej swobodni niż na folwarku, a po paru miesiącach otrzymaliśmy płace taką jaką pobierali chłopi mając lat dwadzieścia. Gra w karty wieczorami była na porządku dziennym. Graliśmy przeważnie na pieniądze, gdyż każdy posiadał przy sobie pare groszy. My młodzi i niedoświadczeni zawsześmy padli ofiarą starszych graczy, którzy puszczali nas zawsze czystych, bez grosza. A gdy się włodarz dowiedział, że przegrywamy w karty pieniądze, postanowił nam już więcej pieniędzy nie wypłacać, oddając nam zaledwie część zapracowanych pieniędzy, reszte zaś pozostałych przysyłał sam do Polski naszym rodzicom, którzy byli postępowaniem włodarza niezmiernie zadowoleni. Razu pewnego t. j. w 1920 roku, przyszło do naszego dworu dwóch panków, którzy przedstawiwszy się za biuralistów polskich, oświadczyli nam, że są przysłani od władz polskich, by czuwać na obczyźnie nad wychodźcami polskimi. No i oczywiście przy tej sposobności zażądali od nas żebyśmy się poskładali po pare fenigów zato, że raczą się nami opiekować na obczyźnie.

— Cóż to za opieka, jeżeli mogę wiedzieć? — wystąpił jeden z naszych z zapytaniem.

— Jak wam wiadomo — ozwał się jeden z „przedstawicieli"— w Niemczech znajduje się dużo Polaków, nad któremi władze Polskie postanowiły rozszerzyć większą opieke, aniżeli dotychczas się znajdowała...

— Pokażcież nam panowie swoje papiery, co wy za jedni jesteście — spytał któryś z pośród naszych.

Ci poczęli się usprawiedliwiać tak, że w końcu nie pozostało im nic innego do czynienia jak tylko zabrać ze stołu swe urzędnicze teczki i opuścić ze wstydem koszary. Żeby nie śmiałość naszych dzielnych chłopów, którzy wystąpili ostro przeciwko niegodziwym urzędnikom, toby nas byli napewno nabrali swym postępowaniem.

Na początku 1921 r. nastała dewaluacja marki, na czem zostaliśmy mocno pokrzywdzeni. W naszem dworze powstał ruch straszny;

co tylko któremu w ręce wpadło, krad do ile możności. Wreszcie po upływie paru miesięcy przyszedł do koszar inspektor wraz z naszym włodarzem i oświadczył nam ostro że jesteśmy „złodziejami".

— Cóż to ma znaczyć?—spytaliśmy.

— To znaczy! — krzyknął inspektor — że wy Polacy skradliście u nas we dworze przeszło 7.000 próżnych worków! A teraz nie pozostaje mi nic innego do czynienia, jak tylko wymówić wam pracę w naszym dworze. Za dwa tygodnie możecie sobie uporządkować swoje rzeczy i jechać tam, gdzie wam się rzewnie podoba. U mnie nie pozostaniecie dłużej ani jednej godziny! — wykrztusił inspektor i wyszedł zirytowany z koszar, nie zagadnąwszy nawet słówkiem włodarza, który stał na uboczu płonąc ze wstydu — nie śmiejąc spojrzeć w oczy inspektorowi.

Po dwóch tygodniach, tak jak był przepowiedział inspektor, opuściliśmy mury pięknego miasta Ascherschleben i poroztrzuwaliśmy się*) po całych Niemczech, szukając sobie nowej pracy. Nasz stary włodarz, który również nie chciał pozostać w starym dworze bez swych ludzi, zaproponował mi, żebym z nim jechał w hanowerskie, również do dworu, na co ja w zupełności się zgodziłem, gdyż nie miałem najmniejszej chęci jeździć napróżno i szukać pracy niewiedzieć gdzie. Wyjechaliśmy tedy z włodarzem za Halberstat do nowego dworu, który nazywał się Tempelhof, a było nas osiemnaście osób; w tem 12 kobiet i 6 chłopów. Gdyśmy przybyli na nowe miejsce, poczęliśmy się niechętnie rozglądać dookoła ponieważ nowa okolica w której mieliśmy pracować bynajmniej nam się nie spodobała. Zaczem jednak przystąpie do opowiadania o nowem miejscu, gdzieśmy przybyli, musze jeszcze nadmienić, że w poprzednim dworze t. j. w Ascherschleben raz jeden tylko zachorowałem na oczy, co stwierdziwszy doktór nie pozwolił mi pójść do pracy, dając mi zwolnienie na przeciąg dwóch tygodni, korzystając z zapomogi kasy chorych, skąd otrzymałem za 14 dni o jedną marke mniej w stosunku do tych pracowników, którzy pracowali na roli. Niejednemu to nawet pochlebiło, że nie pracując na roli mógł otrzymać z kasy chorych tyle samo pieniędzy co i gdyby pracował. To też dużo znalazło się spośród naszych którzy chcąc korzystać z zapomogi kasy chorych, szli do lekarza z byle czym.

*) Trzunąć się = ruszyć z miejsca.

Lekarz będąc dobrym i przystępnym człowiekiem, chętnie udzielał każdemu pomocy lekarskiej i po przesłuchaniu pacjenta (tki) dawał zwolnienie od pracy na przeciąg tygodnia lub dwóch tygodni. Znajdowało się wówczas wielu takich, którzy chcieli korzystać dwa razy: z ubezpieczalni i za prace ze dworu. Lecz niestety, bo urzędnicy z kasy chorych przekonawszy się o postępowaniu chorych, że ci zamiast pozostać w koszarach jako chorzy, poszli wszyscy do pracy chcąc zarobić dubeltowo. Urzędnik kasy chorych stwierdziwszy nieobecność w koszarach chorego, zapisywał, że taki to, a taki podjął prace i nie może korzystać z zapomogi kasy chorych. Jeżeli naprzykład urzędnik z kasy chorych zastał przypadkiem którego z chorych przy pracy w domu t. j. przy naprawie butów, lub przy cerowaniu pończoch, to takowy również nie korzystał z zapomogi kasy chorych. Spocżątku gdy się jeszcze urzędnicy o kombinacji Polaków nie dowiedzieli, wielu skorzystało z ich nieuwagi. Lecz jak mówi przysłowie, że „dotąd się wodę w dzbanku nosi dopokąd się ucho nie urwie".

A teraz przeniose się z powrotem do naszego nowego dworu, Tempelhofu. W Tempelhofie była ziemia do pracy bardzo ciężka, co stwierdziwszy nasz włodarz, powiedział nam, iż dłużej tu pozostać nie możemy. Nowy folwarczek znajdował się mniej więcej o 5 kilometrów oddalony od małego miasteczka powiatowego Beremburg, do którego uczęszczaliśmy raz tygodniowo po produkta spożywcze. We dworze otrzymywaliśmy tygodniowo: 25 funtów kartofli, 4 kilo chleba i pół litra mleka dobrego. Co zaś się tyczy reszty, t. j. kaszy, fasoli, słoniny, smalcu, masła, to otrzymywaliśmy w gotówce. Lecz to wszystko co otrzymywaliśmy nie cieszyło nas bynajmniej. Praca była taka ciężka, że nie mogliśmy wcale wytrzymać. Codziennie chodziliśmy do młocki, gdzie prasa przyczepiona do parowej maszyny, wyrzucała z wewnątrz bale słomiaste, wagi około 100 funtów, które musieliśmy nosić na głowie po trzech przyczepionych do siebie drabinach. Ta niezmierna praca dała nam się bardzo we znaki. Poczęliśmy więc przeklinać włodarza, że ten przyprowadził nas do tak kiepskiego dworu. Włodarz dowiedziawszy się, że zaczynamy go przeklinać, poszedł zirytowany do biura i zażądał dla nas podwyżki za prace, lub papiery na wyjazd. A ponieważ działo się to w styczniu 1922 r. i to podczas zimy więc inspektor nie chciał się zgodzić na podwyższenie nam płacy i wydał

nam papiery. 12 stycznia 1922 roku wyjechaliśmy z Tempelhofu, lecz tym razem bez włodarza, który oddawszy nas w ręce innego włodarza t. j. swoimu koledze, który zawiózł nas nie bardzo daleko od poprzedniego dworu, również w hanowerskie do dworu Liderode. Nasz stary włodarz Zasadziński, z którym przebyliśmy przeszło 3 lata razem, jak się później dowiedziałem od nowego włodarza liderodzkiego, wyjechał prawdopodobnie do Polski, a z Polski wyjechał do Francji.

W nowym i trzecim z kolei dworze niemieckim również nam się nie podobało, ponieważ płaca była bardzo mała. Pięć tysięcy marek tygodniowo, za które mogliśmy zaledwie wyżyć— to bardzo mało. Przebywszy zaledwie dwa miesiące na Liderodzie, przyrzekłem tym, którzy razem ze mną przybyli do trzeciego dworu, że pojade z powrotem do Saksonji i odnajde lepszą prace. I tak się stało, że po przyrzeczeniu im odnalezienia lepszego dworu, w dniu 15 marca opuściłem Liderode i udałem się do Saksonji. Przedtem bowiem inspektor przestrzegał nas każdego, ażeby nikt nie ważył się na opuszczenie dworu bez zezwolenia pracodawcy, gdyż może się narazić tylko na niepowodzenie w podróży. Lecz ja nie pytałem na przestrogi inspektora, gdyż myślałem sobie, że chce nas w ten sposób nastraszyć byśmy nigdzie nie wyruszyli stąd. Gdy przybyłem spokojnie do Ascherschleben, w którem pracowałem trzy lata, serce poczęło mi bić radośnie. Pierwszą moją myślą było odwiedzić starych majstrów, od których nauczyłem się wiele po niemiecku. Krupa — tak się nazywał ów majster podwórzowy, przywitał mnie radośnie, wymawiając mi, że nie raczyłem przyjść na pożegnanie, gdy opuszczałem Ascherschleben. A kiedy zwierzyłem się majstrowi w jakich zamiarach przybyłem w te strony, ów rzekł:

— Pamiętaj mój kochany, żeby cię przypadkiem nie wzięli za szpiega.

— Z jakiej racji? — spytałem ze zdziwieniem majstra.

— Nie dziw się chłopcze — rzekł majster. Dziś na Śląsku są straszne rozruchy, gdzie Polacy prawdopodobnie stawiają Niemcom wielki opór. Więc przestrzegam cię po raz wtóry, żebyś się przypadkiem nie dostał w ręce tutejszej policji, która dziś śledzi każdy krok Polaków.

Majstrowej nie było w domu. To też po dłuższej pogawędce pożegnałem się z podwórzowym i udałem się spowrotem na stacje,

skąd za pół godziny miałem odjechać do miasta Gisten, niedaleko oddalonego od Ascherschleben. Przybywszy na stacje, zauważyłem tam dwóch kręcących się po sali policjantów, którzy na szczęście nie zwrócili na mnie żadnej uwagi. Ja jak nigdy nic podszedłem do kasy, wykupiłem bilet, wsiadłem na pociąg i odjechałem w kierunku Gisten. W Gisten, jak i w Ascherschleben również poszło mi dobrze. Z Gisten udałem się pieszo do pobliskiego dworu Ilberstadt, gdzie miałem paru znajomych ludzi z Polski. Tam przybywszy, udałem się z tamtejszym włodarzem do inspektora i po krótkiej rozmowie włodarz wyjednał mi prace na 10 ludzi. Ucieszony przyobiecaną pracą postanowiłem czem prędzej powracać, by oznajmić moim ludziom, że pracę jaką odnajdłem w Saksonji, możemy już podjąć od pierwszego kwietnia. Życie jakie pobierali ludzie polscy na Ilberstadt było następujące: 30 klgr. kartofli tygodniowo, 6 funtów chleba, pół funta masła, funt słoniny, 2 funty kaszy, pół litra mleka i raz w tygodniu t. j. w piątek słony śledź. Po przybyciu na stacje w Gisten, wykupiłem sobie bilet, a ponieważ za godzine dopiero pociąg miał odchodzić, więc udałem się na poczekalnie 4-ej klasy zagrzać się nieco herbatą. Jeszcze dobrze nie usiadłem, gdy wtem wszedł na sale jeden z wywiadowców policyjnych, zerkając oczyma po zgromadzonych gościach. Jakieś złe przeczucie przemknęło mi przez głowe kiedy zauważyłem, że wzrok wywiadowcy padł na moje buty z cholewami, a po chwili przystąpił do mnie żądając legitymacji. Spocżątku myślałem, że to żart, ponieważ jął ze mną rozmawiać po polsku.

— Ja bynajmniej nie żartuje — odpowiedział i wskazał mi palcem na wiszącą pod klapą marynarki odznakę policyjną.

Zacząłem się więc usprawiedliwiać, że pracuje we dworze, że papierów ze sobą żadnych nie mam, lecz wszelkie moje tłomaczenia się nic nie pomogły — musiałem odpowiadać na pytania, a po spisaniu protokółu oddał mię w ręce dwóch policjantów, z którymi przyjechałem pociągiem do Ascherschleben.

— Cóż panowie chcecie uczynić ze mną?— spytałem policjantów, kiedyśmy już wysiedli z pociągu.

— Nic — opowiedział pierwszy z brzegu. — Przesłuchają pana na policji, a gdy się okaże, że pan jest niewinnym, wypuszczą pana i to napewno.

Słowa policjanta, że mnie „wypuszczą“ bynajmniej mnie nie uspokoiły. Lecz postanowiłem czekać cierpliwie co dalej będzie ze mną. Wreszcie doszliśmy pod sam więzień, gdzie jeden z policjantów podszedł do bramy i zapukał. Włosy stanęły mi na głowie, gdym się znalazł za bramą więzienia, która gdy mnie wprowadzono, natychmiast się za mną zamknęła. Klucznik zaprowadził mnie na piętro i odemknął mi celę więzienną, w której przebywało już od paru dni trzech Polaków.

— Zaco pana tu przygnali? — poczęli mię pytać owi Polacy.

— Sam nie wiem zaco — odpowiedziałem im.

— W takim razie padliśmy wszyscy ofiarą niemieckich złudzeń — dodał po chwili jeden z Polaków. — Musimy czekać do jakiegoś czasu, a przekonamy się co uczynią z nami.

Jakoż na drugi dzień, a było to w niedziele, wezwano nas wszystkich trzech do kancelarji więziennej. W kancelarji spisano nas po raz wtóry i spowrotem do celi odesłano. Na drugi dzień, zaraz z rana, stróż więzienny odemknął nam cele i rozkazał byśmy się natychmiast pomyli. A gdyśmy to uczynili, przyniesiono nam po litrze kawy czarnej i po małym kawałku razowego chleba, który spożyliśmy z apetytem. Następnie wytransportowano nas z celi przed brame, gdzie czekał już na nas jeden z policjantów, który rozkazał nam iść naprzód. Ruszyliśmy tedy ku stacji. Na stacji wymienił policjant kilka słów z zawiadowcą i przeszliśmy na przeciwną strone stacji, gdzie oczekiwał na nas specjalny transport aresztancki złożony z kilku wagonów. Poumieszczano nas po dwóch w jednym przedziale. Gdzie mieliśmy jechać i poco, nie wiedziałem bynajmniej, a i mój towarzysz również nie wiedział. Zanim pociąg ruszył, podano nam przez małe okieneczko zakratowanego wagonu po pół kilo chleba, po pół funta sera i po tyleż kiełbasy.

— To co otrzymaliście, ma wam wystarczyć na cały dzień — oznajmił nam konduktor i zatrzasnął spowrotem okienko, które nie dało się w żaden sposób otworzyć.

Wreszcie pociąg ruszył ze stacji i wlókł się tak pomalutku, że aż nam się uprzykrzyło siedzieć. Po dwugodzinnej niemal jeździe pociąg przystanął i znów otworzyło się okienko przed nami. Podano nam na dwóch liter białej kawy. Zanim zdążono zamknąć okienko, ośmieliłem się spytać konduktora dokąd jedziemy.

— Nach Halle — rzucił pośpiesznie konduktor, zamykając okienko.

Tyle tylko mogliśmy się dowiedzieć. Po pięciu niemal godzinach pociąg zatrzymał się po raz wtóry, lecz tym razem czekaliśmy prawie do wieczora zanim zjawił się ktoś u nas. Nareszcie doczekaliśmy się policjanta. Ten wszedłszy do nas nałożył nam kajdanki na ręce i kazał nam wychodzić z wagonu. Po opuszczeniu wagonu aż się wzdrygnąłem, gdy zobaczyłem długi szpaler ustawiony w dwuszereg. Byli to przeważnie Polacy i Żydzi również pokuci jak i my dwóch. Znajdowało się też i wiele kobiet, lecz te miały ręce wolne, a przed nimi stały kosze i walizki. Tłum Niemców oczekujący nadejścia pociągu począł nam się przyglądać z ciekawością, mierząc nas groźnem spojrzeniem. Z dworca kolejowego zagnali nas pod sam więzień. Tu zdjąwszy nam z rąk kajdanki, poumieszczali nas w celach więziennych. W celi, w której się znajdowałem, było nas 34, wszyscy Polacy. Lecz ci jak i ja również nie wiedzieli zaco ich aresztowano i gdzie ich mają odstawić. Przebywszy noc całą w więzieniu, rano kazano nam się na drap*) ubierać, ponieważ jak nam stróż więzienny oświadczył, za godzine mamy stąd wyjeżdżać. Po godzinnym oczekiwaniu kazano nam wychodzić na plac więzienny, skąd dwójkami, lecz tym razem nie kutych, odstawiono nas pod konwojem na stacje, gdzie zajeliśmy te same miejsca w wagonach, w których żeśmy poprzednio przyjechali do Halle. A i otrzymaliśmy tę same żywność co i przedtem, o czem świadczyło, że zanosi się na jakąś długą podróż. I znów jechaliśmy przeszło 12 godzin i zajechaliśmy aż na Górny Śląsk do miasta Cottbus. A było nas w zbiorowym transporcie 120 mężczyzn i 12 kobiet. Za miastem Cottbus znajdowały się „Łagry" gdzie przebywali jeńcy rosyjscy z wojny światowej. Gdyśmy się zbliżali do łagrów wówczas masa ludzi wyległo na nasze spotkanie, wystawiając czapki z poza drutów okalających dookoła baraki witając nas radośnie. Najpierw za druty wpuszczono kobiety. Nas zaś zaprowadzono do węglarni, skąd na noszach po dwóch musieliśmy zanieść do baraków węgiel. Na drugi dzień rano odebrano kobietom pakunki i poumieszczano ich w oddzielnych barakach, gdzie czuli się jak na wolności. Co rano otrzymywaliśmy w łagrach pół funta chleba i litr czarnej kawy.

*) Tj. prędko łapać, kłusem, z niemieckiego draben, w czeskim zwrocie.

Na obiad zaś litr zupy i nic więcej. Na kolacje otrzymywaliśmy to samo co i na obiad. Co zaś się tyczy niedzieli, to na śniadanie dostawaliśmy po pięć dkg. kiełbasy, reszta zaś to samo co i w dzień powszedni. W łagrach było nas przeszło 500 ludzi, pośród których znajdowało się wiele wybitnych osób: przemysłowców, kupców i wielu wielu innych z całej Polski.

Po dwu tygodniach pobytu w łagrach wyczerpałem się co do feniga, tak że w końcu myślałem, że nie wytrzymam tu dłużej siedzieć o głodzie. Napisałem tedy list do moich znajomych, gdzie pozostawiłem moje rzeczy, żeby mi wysłali za nie pieniądze, gdyż mi są bardzo potrzebne. Jakoż po upływie pięciu dni zawołano mnie na „dyżurke" i oświadczono mi, że otrzymałem paczkę. Każda paczka musiała być rewidowana ściśle, obawiając się by przypadkiem nie przemycano broni lub amunicji wybuchowej. Kiedy otworzono moją paczke, oczom moim ukazała się na wierzchu czapka, którą odrazu poznałem. Urzędnik rewidujący paczke wziął za daszek czapki i podał mi ją. Ja wziąwszy czapke do ręki drgnąłem, ponieważ poczułem pod palcami, że się coś znajduje w niej. W paczce zaś oprócz chleba i troche wędliny nie znajdowało się nic więcej, co stwierdziwszy urzędnik oddał mi ją. Po przybyciu do baraki i po rozpruciu czapki, stwierdziłem iż znajduje się w niej 25.000 marek, które cudem uszły rąk rewidującego urzędnika. Zaraz też zacząłem prowadzić inne życie, nie takie jak dotąd. Lecz codzień to jakąś mniejszą wartość posiadały owe pieniądze, które wyczerpywały mi się dość znacznie, tak że w przeciągu tygodnia straciłem niemal 15.000 marek a w dodatku któryś z głodomorów skrad mi ostatnie 5.000 pozostawiając mnie bez feniga. Siedzimy trzy tygodnie i to bez żadnych zmian, które mogłyby nam zwiastować lepszą przyszłość. Razu jednego zdarzył się nawet taki wypadek, że bogatsi kupcy poczeli płacić robotnikom namawiając ich by zechcieli kopać pod barakami, którędy mieliśmy się wydostać na wolność. Robotnicy, korzystając z dobrej płacy, chętnie się zgodzili na propozycje kupców i natychmiast zabrali się do pracy. Praca trwała przeszło tydzień, tak że pozostało im zaledwie pare metrów do przekopania na wylot. Wtem jeden z policjantów pełniących służbe zaczął się przechadzać w tym kierunku. Nagle ów policjant przystanął i zaczął się przysłuchiwać. Wtem zerwał się z miejsca i począł biedz w strone kancelarji alarmując tamtejszych urzędników,

którzy natychmiast porozlatywali się po wszystkich barakach, gdzie po dłuższem poszukiwaniu udało im się odkryć podziemną prace, przy której znajdowało się 15 pracowników. Pracownicy zostali mocno pobici przez policjantów i musieli nazad z powrotem zawalać ziemią dziure, a po zasypaniu tejże zostali umieszczeni osobno i pod ścisłą kontrolą. W dwa dni po wyżej wspomnianym wypadku zobaczyliśmy krążący aeroplan wysoko ponad barakami, co stwierdziwszy tamtejsi ludzie mówili, iż był to polski samolot wywiadowczy. Po czteru tygodniach pobytu w łagrach, poczęli się tam zjeżdżać z różnych stron Niemiec agenci, celem zabierania ludzi na roboty do dworów. Poczęto nas ustawiać w dwuszereg, by agent miał możność zobaczenia każdego z osobna. Ja wyglądając przyzwoicie nie bardzo się spodobałem agentowi i odsunął mnie na bok. Pobiegłem więc czemprędzej do kolegi, który był odebrany, a przywdziawszy jego ubranie, stanąłem poraz wtóry w szeregu, lecz tym razem udało mi się ponieważ zostałem odebrany. Na czwarty dzień po odbiorze przyjechał ponownie ten sam agent i zabrał nas w liczbie 100 chłopa. Opuszczając „przeklęte" baraki, nikt nawet nie chciał patrzeć na zupę, którą otrzymaliśmy przed samym odjazdem. Każdy bowiem ucieszony, że znajduje się na wolności nie chciał nawet patrzeć na okalające drutem baraki. Ludzie znajdujący się poza drutami, widząc nas oddalających się z baraków, poczęli rzewnie płakać. Z Cottbus przyjechaliśmy w Kreis Zalzwiedel — do Neumark. Dwór nazywał się Conrau. Tu przybywszy, zastaliśmy drugie tyle polskiej ludności, która pracowała od dwóch lub trzech lat. Życie coprawda mieliśmy niezłe w tym dworze, lecz nieszczęście dewaluacji marki, która nieustawała nawet na chwile spadać, poczęła nas rujnować doszczętnie. Tam był inny system, aniżeli po innych dworach. Każdy robotnik miał swój kolejny numer i z takowym w razie gdy mu czegoś było potrzeba musiał się jawić. Nawet przy wypłacie pieniędzy wyczytywano tylko numery. Pamiętam gdy razu pewnego otrzymałem tygodniowy zarobek, za który zaledwie kupiłem dwie paczki tytoniu. Co zaś się tyczy ubioru na siebie, to o tem nawet mowy nie było. Zaczęliśmy więc nocami chodzić do kopców po kartofle, które znosiliśmy do jednej restauracji. Kartofle te zabierał jeden z kupców magdeburskich, który przywoził nam wzamian obuwie, bielizne i t. p. rzeczy. Tygodniowo zaś otrzymywaliśmy od pracodawcy: pół centnara kartofli, 7 funtów chleba, funt szmalcu,

funt słoniny, 2 funty mąki żytniej, funt kaszy jęczmiennej, pół litra mleka dobrego — dziennie — i pół odciąganego. Małośmy wówczas jedli, ponieważ musieliśmy oszczędzać na co inne. Praca nie była bardzo ciężka, codziennie chodziliśmy do innej roboty. To do wołów, do koni, do ładowania i wyładowywania cegły, słomy i t. p. rzeczy. Pomiędzy mną a tamtejszym włodarzem doszło nieraz do gwałtownej sprzeczki, która kończyła się często różnemi wyzwiskami, zaco włodarz obiecywał mnie wywalić na zime z pracy. Z razu przestraszyłem się bardzo, gdyż nie miałem pieniędzy na podróż, by móc sobie znajść inną prace. To też postanowiłem sobie, że będe milczał i że nie będe nigdy w ten sposób postępował. Zima przeszła jakoś spokojnie i bez żadnych przeszkód dla mnie.

Rok 1923 nie zapowiadał nam nic lepszego, aniżeli rok poprzedni. Ta sama płaca, ta sama praca, a marka poczęła coraz gorzej spadać, tak że nie mogliśmy dać sobie rady. Razu pewnego ośmieliłem się po dwóch latach napisać list do domu skąd otrzymałem bardzo ciekawe wieści, z pośród których jedna mnie ogromnie zainteresowała, gdyż dowiedziałem się że brat mój, który pracował przedtem w Sosnowcu, wyjechał na początku 1922 r. do Niemiec, lecz gdzie pracuje tego nie wiedzieli u nas w domu, tylko nadmienili mi iż prawdopodobnie pracuje już w czwartym dworze. Rok 1923 z trudem jakoś dobiegł końca. Na początku 1924 roku poczęło nam się rozjaśniać, ponieważ zaczęliśmy otrzymywać stałe pieniądze, za które można było przynajmniej coś kupić. Tam należeliśmy również do ubezpieczalni, z której korzystaliśmy na równi z Niemcami. Raz jeden tylko byłem u lekarza na ból głowy, pozostając przez cztery dni w koszarach, zaco wypłacono mi z kasy chorych 8 marek. Jesienią 1924 r. przyszło po raz wtóry do sprzeczki pomiędzy mną a włodarzem, lecz tym razem oświadczył mi kategorycznie, że mnie wypłaci na zime i to napewno. Począłem więc zawczasu starać się o nową prace, lecz tym razem nie chciałem już jechać bym przypadkiem nie naraził się na podobne przygody jakie spotkały mię w roku 1921. Napisałem wprost do jednego dworu, skąd miałem adres, na co odpisano mi, że moge przyjeżdżać, jeżeli będę miał pięć dziewuch. Zacząłem więc agitacje wśród dziewuch, co oczywiście mi się udało. Gorzej natomiast było otrzymać papiery na wyjazd, co stanowiło dla mnie niezmierną trudność. O mnie nie rozchodziło się bynajmniej, gdyż mogłem w każ-

dym razie otrzymać papiery. Najpierw namówiłem jedną dziewczynę by udała się do pracodawcy po papiery, pozostałym zaś powiedziałem, że jak odjade i napisze po nich, żeby natychmiast przyjeżdżały. Ponieważ wyjechałem z ową dziwuchą na początku listopada, więc zacząłem wątpić czy przypadkiem nie zostało już miejsce, o które się wystarałem, zajęte przez innych ludzi. Jadąc przez Magdeburg postanowiłem zatelefonować do pracodawcy w Turyngji czy napewno mam przyjeżdżać.

— Niestety — odtelefonował mi pracodawca — miejsce o które się pan starał dawno jest już zajęte przez nowych ludzi.

Dziewczyna jadąca ze mną, gdy jej to oznajmiłem, uderzyła w płacz. Ja co nie robie, udałem się z nią do pośrednictwa pracy, gdzie na szczęście trafiłem, że zapisywali do jednego dworu same dziewuchy. Nareszcie pozbyłem się kłopotu, z którym nie wiadomo co bym był począł. Ponieważ w Magdeburgu na centrali było duże przepełnienie, więc odesłali nas kilkudziesięciu na centrale do miasta Halle. Po dłuższym pobycie na centrali mogli dostać prace jedynie ci, którzy przez cały czas swego pobytu kupowali śniadania, obiady i kolacje u pana Lipki — tak się bowiem nazywał ów agent, który opiekował się robotnikami polskiemi w tym okręgu. Drugi zaś, brat jego, zajmował podobne stanowisko w Magdeburgu, przesyłając sobie nawzajem robotników, gdy się na którego uwzięli. W Halli przesiedzieliśmy prawie całą zime. Dopiero na początku marca zjawił się na centrali inspektor z miasta Zeitz, oddalonego o paredziesiąt kilometrów od Leipzig'a i ten dopiero postanowił nas wyzwolić, dając nam zatrudnienie przy koniach, od których był zwolnił wszystkich knechtów Niemców, przyjmując na ich miejsca 12 Polaków. W nowym dworze byliśmy na pańskiem życiu. Życie było odpowiednie, a zarobek również był niezły, dziennie zarabialiśmy po trzy marki. Pracowaliśmy 11 godzin dziennie. Napiętość pomiędzy Niemcami w stosunku do Polaków była bardzo wielka, tak że musieliśmy się Niemców wystrzegać na każdym kroku. W mieście tym pomiędzy Niemcami zawsze się odbywały tajne posiedzenia przeciwko Polakom t. j. przeciwko nam, którzyśmy zajęli ich miejsca przy koniach, lecz inspektor i pracodawca bronili nas przed robotnikami niemieckimi, którzy koniecznie chcieli się pomścić na nas. Po osiedleniu się w nowym dworze napisałem list do Polski, w którym domagałem się, ażeby mi opisali całą prawdę. Jakoż po paru tygo-

dniach otrzymałem odpowiedź. Donoszono mi więc z domu, że gospodarka znacznie się poprawiła, ponieważ brat najstarszy wysłużywszy w wojsku został strażnikiem granicznym i przysłał już na zapomoge gospodarstwa kilkadziesiąt złotych. A i również przysłali mi dokładny adres brata znajdującego się w Niemczech, adres brzmiał: Lelkendorf b. Neukalen, Meklenburg Schwerin. Po skomunikowaniu się z bratem, brat odpisał mi, że gdybym nie miał pracy, mogę śmiało przyjeżdżać do niego, a prace otrzymam napewno. To też pragnąłem tylko by rok 1925 dobiegł jako końca i jechać do brata. W Zeitzu nie chorowałem ni razu. Kase chorych opłacaliśmy również tak samo jak i gdzieindziej. Pod koniec 1925 r. otrzymawszy papiery wyjechałem do brata. Jadąc do brata miałem z sobą dwa pakunki, walizke i kartung. Ponieważ walizka była większa, więc zapakowałem w nią stare rzeczy, a w kartung zaś nowe. W Berlinie na stacji będąc zajęty wykupowaniem biletu, jakiś oprych berliński skrad mi walizke, w której na szczęście znajdowały się tylko stare łapy. O tem co skradziono mi wcale nie meldowałem policji, która i tak by nie schwytała złodzieja. Wolałem sam zboleć i przemilczeć to wszystko. Do brata zajechałem na drugi dzień przed wieczorem. W koszarach oprócz włodarki i kucharek nie zastałem żywego ducha, gdyż wszyscy jeszcze byli u pracy. Zimą pracowali osiem godzin t. j. od 7 do 5-tej, w tem dwie godziny obiadu. Oczekując w kuchni na nadejście brata, dowiedziałem się od kucharek, że brat ma narzeczoną i mieszka z nią razem.

Tu ze wszystkiem inny ustrój — pomyślałem sobie i przyszedł mi zaraz na myśl pierwszy dwór, Ascherschleben. Tam nie daj Boże, by stróż zastał przypadkiem któregoś z mężczyzn u dziewuch. Nad bramą był założony drut kolczasty, tak że za nic w świecie nie mógł się mężczyzna przedostać do dziewuch. Tu w Meklenburgji zaś było inaczej. Kawalerowie z pannami żyli sobie jak mąż z żoną, nie troszcząc się o to czy brali ślub, lub będą kiedykolwiek brać. Niektórzy z nich mieli nawet po dwoje i troje dzieci, czemu oczywiście nie sprzeciwiały się władze niemieckie. Mój brat z „niedoszłą“ bratową na szczęście nie mieli żadnego przychowku. Spocżątku „niedoszła“ bratowa poczęła mi się wstydzić, lecz po trochu, gdy się już przyzwyczaiła do mnie, zaczęła tak samo postępować jak i przedtem. Nawet ogadałem brata, że w ten sposób postępuje, naco brat odpowiedział mi:

— A cóż to, źle mi jest jeżeli nie płace za gotowanie, opranie i tym podobne rzeczy?

Ja nie chcąc się więcej sprzeciwiać, pomilczałem to wszystko. Praca w Lelkendorfie—tak się nazywał ów dwór—była dość ciężka, a płaca mniejsza, aniżeli w poprzednim dworze. Tam zarabiałem dziennie trzy marki, tu zaś 2 marki 50 fenigów. Z wiosną 1926 roku chodziliśmy na łąki rozwalać ziemie, którą powykopywały krety. Brat zaś chodził do lasu, gdzie odbywał się zrąb. Później zaczęliśmy pracować koło buraków, gdzie szło mi bardzo trudno, ponieważ pierwsze w życiu pracowałem koło tego. Później przecinka buraków i tak do samych żniw. Tu byliśmy na swojem życiu; oprócz kartofli 25 funtów tygodniowo i pół litra mleka na dzień, nie otrzymywaliśmy nic więcej. Wszystko musieliśmy sobie sami kupować. Dwa razy na tydzień przyjeżdżał piekarz z pobliskiego miasteczka, no i wielu kupców (kaufmanów), którzy dostarczali nam wszystkiego poddostatkiem, byle byśmy tylko pieniądze mieli. Zaraz po żniwach zachorowałem, miałem bowiem okropne kłucie w boku. Ponieważ opłacaliśmy kase chorych, więc udałem się do pobliskiego miasteczka powiatowego Neukalen do lekarza. Poczciwy człeczyna dr. Niwert, po zbadaniu mnie, chciał koniecznie, bym jechał do szpitala na parutygodniowe leczenie się. Lecz ja podziękowałem dr. Niwertowi za dobrą opiekę i oświadczyłem mu, że na razie jakiś czas będę mógł jeszcze pracować.

— O ile będziecie się czuli źle—rzekł mi na odchodnem dr.— to przyjdźcie jeszcze do mnie, a odeśle was do szpitala. Tam uleczą was napewno. Dostaniecie odemnie list do mego kolegi dr. Gros'a, który da wam dobrą opieke.

Poczciwy dr., nie wiem czem moge mu zawdzięczać, że raczył się mną w ten sposób zaopiekować...

Nikt z pewnością nie wie, że włodarze w Meklenburgji są przeważnie najbogatszemi ludźmi, mając bowiem własne sklepy i po 20 sztuk trzody chlewnej. Nasz włodarz Ziółkowski również posiadał sklep, w którym oprócz produktów spożywczych, znajdowało się wszelkiego rodzaju trunków alkoholowych. Ten, który nie był częstym gościem włodarza, nie zasiadając z nim razem do butelki — gdzie jak się zdarzało zostawiali cały zarobek tygodniowy — wówczas taki mężczyzna nie był u niego mężczyzną, a „babą". Łaske

zupełnie stracił, a w dodatku włodarz popychał go tam, gdzie była najgorsza praca.

Ja nie lubiałem pić, to też nie bywałem u włodarza uważanym, jedynie przez wzgląd na brata, który bywał u niego częstym gościem, mogłem jako tako wytrzymać przy pracy. W końcu listopada zachorowałem po raz wtóry, tak że z trudem zawlokłem się do lekarza, do którego trzeba było iść pieszo 5 klm. Dr. Niwert, tym razem nie chciał mię już puścić do domu, tylko wypisał mi przeznaczone papiery do szpitala i kazał natychmiast służącemu odprowadzić mnie na stacje, skąd odjechałem pociągiem do Teterów, gdzie znajdował się ów szpital, do którego miałem przeznaczenie. Gdy przybyłem do szpitala i oddałem owe papiery, które mi był wręczył dr. Niwert, siostry wyraziły dla mnie sympatje. Najpierw zaprowadziły mnie na prześwietlenie, a później do łaźni. Na sali chorych, gdzie stało już dla mnie przeznaczone łóżko, zjawił się dr. Gros, który powitał mię serdecznie. Dr. Gros był bowiem dla każdego chorego przystępnym człowiekiem. Każdy chory przybywający do szpitala, pytany był przez siostry miłosierdzia, którego lekarza pragnie mieć w szpitalu. „Dr. Gros'a"—słyszało się często z ust przychodniów. 500 chorych przebywających wówczas w szpitalu teterowskim, to większa część pacjentów dr. Gros'a. Ośmiu lekarzy wizytujących chorych, mieli zaledwie po paru pacjentów, najwyżej do 15-tu ludzi, reszta zaś, to goście p. dr. Gros'a. Dr. Gros co rano, gdy przybył do łóżka chorego, podał rękę swemu pacjentowi, pytając z uśmiechem o stan zdrowia. Wielu pacjentów dr. Gros'a znajdowało się w dość trzeźwym stanie, którzy mogliby byli z powodzeniem pracować na roli lub w fabryce, lecz dr. Gros'owi na tem zależało gdyż pobierał dziennie od każdego pacjenta dwie marki. To też dr. Gros nigdy nie śpieszył się ze zwolnieniem chorego, na którym mu wielce zależało. W szpitalu mieliśmy opiekę nadzwyczaj dobrę. Ja będąc chory na żołądek otrzymywałem co rano ćwierć litra mleka oraz dwie małe bułeczki. O ósmej na śniadanie to samo, a na obiad mielony kotlet z mięsa wołowego i troszkę kartofli mielonych ze sosem. Na gwiazdkę otrzymałem laćki *) aksamitne, książkę do nabożeństwa, dwie pary skarpetek i ćwierć litra zaprawianki, t. j. rumu, który mieliśmy mieć

*) Z niemieckiego Latz, w znaczeniu wiązadeł w ubiorze. Trudno dociec co pamiętnikarz miał na myśli.

na obydwa święta. W drugie święto Bożego Narodzenia przybyła zaraz z rana orkiestra miejska, która rozweseliła nieco chorych. Po odejściu orkiestry zjawił się znów chór śpiewaków złożony z 30 mężczyzn, którzy po odśpiewaniu paru pieśni kościelnych, udali się do sal odwiedzając chorych. Za mojej bytności we wspomnianym szpitalu znajdowało się około 40-stu Polaków - mężczyzn i 4 Polki. Przebywszy siedem tygodni w szpitalu, dnia 20-go stycznia 1927 roku opuściłem jego progi i udałem się do dworu, w którym pracowałem przedtem. We dworze nie chcieli mnie przyjąć ponownie do pracy. Postanowiłem więc poszukać sobie gdzieindziej. Od brata otrzymałem na podróż pare marek i udałem się do Berlina, skąd miałem jechać do Saksonji. W Berlinie dogadałem się z jednym Niemcem jadącym do Szczecina, który namówił mnie bym jechał z nim w tamte strony, gdyż tam najprędzej można dostać robote, na co ja zgodziłem się i pojechałem. W Szczecinie nie miałem co robić, to też po krótkim namyśle udałem się do jednej wioski Finkenwald i poszedłem do magistratu zameldować się na nocleg. W magistracie po oddaniu papierów, stróż zaprowadził mnie na piętro odemknął mi drzwi do celi, wskazując mi palcem siennik leżący na podłodze. Za chwile zaś przyniósł dwa koce mówiąc: — To wszystko dla pana na nocleg. Gutenacht... — to rzekłszy, zamknął cele i poszedł na dół. Rano, około godziny ósmej wezwano mnie do kancelarji, gdzie policjant siedzący za stołem spytał mię po polsku, czy jestem Polakiem, a gdy mu odpowiedziałem ów rzekł:

— Dlaczegóż więc włóczycie się w tej okolicy?

— Szukam pracy — odpowiedziałem.

Policjant pokiwał nieco głową i dodał:

— Za dwie godziny pojedziecie ze mną do Szczecina. A teraz możecie sobie iść do sklepu i kupić coś do zjedzenia, ponieważ u nas w magistracie nie dają nic.

Wyszedłszy na wieś do sklepu, pokupiłem sobie co mi tylko było potrzeba i powróciłem z powrotem do magistratu. O godzinie 10-ej wyjechałem w towarzystwie policjanta pociągiem do Szczecina. W drodze rozmawialiśmy z policjantem po polsku, dopiero na dworcu w Szczecinie zaczął do mnie rozmawiać po niemiecku, naco odpowiadałem mu również po niemiecku, gdyż zauważyłem, że wstydzi się rozmawiać po polsku. Po opuszczeniu dworca, udaliśmy

się na policje, gdzie po półgodzinnym oczekiwaniu zjawił się komendant policji. Ja widząc wchodzącego komendanta ukłoniłem mu się grzecznie, naco komendant skinął mi również głową.

— Znów Polak — rzekł komendant, przeglądając moje papiery.—Czy aby nie taki jak jego poprzednicy, którzy zawszyli nam cały komisarjat? — dodał z uśmiechem spoglądając na mnie.

— Nie jestem panie komendancie żadnym wszarzem, ani się też do nich nie zaliczam! — rzekłem ostro prostując się.

— Ja też nie mówie, że nim jesteście, tylko pytam się czy nie taki jak tamci Polacy, którzy byli tu u nas przedwczoraj, pozostawiwszy nam wiele wszy.

— Możliwe panie komendancie, że byli tacy, lecz ja nie cierpie podobnych rzeczy i nigdy nie dopuszcze do tego.

— Bardzo dobrze — rzekł komendant, podchodząc uśmiechnięty ku mnie.—Jakże, do Polski chcecie jechać?— rzekł po chwili.

— Ma się rozumieć panie komendancie, że chce. Już przeszło siedem lat nie byłem w Polsce.

— No to chodźcie ze mną na dworzec, kiedy chcecie jechać do Polski.

Na dworcu kolejowym komendant wykupił mi bilet do samej granicy polskiej płacąc za bilet 24 marki. Poczem wyjął notes z kieszeni, napisał pare słów, kazując mi się podpisać, a gdy to uczyniłem, komendant wręczył mi ów bilet rzekł: — Ponieważ przekonałem się, że jesteście porządnym człowiekiem, więc wręczam wam bilet, na który możecie jechać bez żadnej obawy do samej granicy polskiej. Nie chce postępować z wami tak, jak postąpiłem przedwczoraj z tamtymi Polakami, odsyłając ich do polskiego konsulatu, który nie wiadomo co z nimi uczynił.

— Dziękuje panu — rzekłem.

— Życze panu szczęśliwej podróży— rzekł po polsku, podając mi ręke.

Naco odpowiedziałem ze wzruszeniem: — Dziękuje stokrotnie panu komendantowi za grzeczność.

Komendant skinął tylko głową i odszedł uśmiechnięty. Jeden z policjantów, pełniący służbe na dworcu w Szczecinie, po odejściu komendanta, przystąpił do mnie, pytając się dokąd jadę, a gdy mu odpowiedziałem ów spytał:

— Czy to prawda, że wasi żołnierze chodzą boso?

— Co pan plecie! — odpowiedziałem z oburzeniem.

— No, nie gniewajcie się — rzekł łagodnie policjant — bo gdy byłem w Polsce w roku 1919 widziałem tam wielu żołnierzy maszerujących boso i bez czapek. Możliwe, że na początku tak chodzili, czemu oczywiście nie dziwie się wcale, ponieważ tworzące się państwo (na początku) nie miało pieniędzy.

— Ma się rozumieć, panie posterunkowy, że państwo polskie po odzyskaniu wolności było jeszcze bardzo biedne.

Rozmowe przerwał nam nadchodzący pociąg, którym odjechałem bez żadnego konwoju do Wrocławia. We Wrocławiu, udałem się do konsulatu polskiego celem otrzymania paszportu na przejazd do Polski. W konsulacie zażądano odemnie za paszport 10 marek. Ponieważ nie posiadałem nadto pieniędzy, więc począłem się tłumaczyć w różny sposób, nie zapominając przedłożyć konsulowi karty zwolnienia ze szpitala, oraz o tem, że w Szczecinie komendant policji wykupił mi bilet aż do granicy polskiej.

— Niech pan zaczeka do godziny czwartej po południu — rzekł konsul — a otrzyma pan napewno paszport.

O godzinie 4-ej zjawiłem się po raz wtóry w konsulacie, lecz tym razem zastałem już gotowy paszport, za który nie żądano tym razem zapłaty.

Po tylu latach mej nieobecności w Polsce, przekroczyłem granice i znów znalazłem się na terytorjum Polski. Poraz pierwszy miałem możność oglądania strażników polskich, na których widok serce poczeło mi się niezmiernie radować. W Niemczech bowiem najczęściej rozmawiałem po niemiecku, to też po tylu latach, gdy posłyszałem tu i ówdzie mowe polską, inaczej mogłem się czuć, aniżeli na obczyźnie, gdzie w każdym urzędzie badano mnie tylko po niemiecku.

Z punktu granicznego Paźka, przez który przechodziłem, udałem się furmanką do Częstochowy. Ponieważ na podróż koleją pieniędzy nie posiadałem, więc udałem się pieszo, nie zważając, iż drogi były zasypane śniegami, maszerowałem tak prędko, że za trzy dni byłem już w wiosce rodzinnej.

W domu zastałem wszystko w porządku. Najgorzej dziwiło mnie to, że nie mogłem wszystkich poznać w swej wiosce, wszystko powyrastało do niepoznania.

Że nie przywiozłem ze sobą pieniędzy, tego rodzice nie mogli mi wymawiać, gdyż przysłałem im przedtem pare groszy na zapomoge gospodarstwa. A i brat będący w Niemczech również przysłał od czasu do czasu pare groszy. Po niejakimś czasie zostałem powołany na komisje poborową, gdzie otrzymałem czyste papiery, zwalniające mnie od służby wojskowej. W roku 1928 zacząłem pracować przy spółdzielni mleczarskiej w Szańcu. Spółdzielnia ta założyła w następnym roku t. j. 1929 sklep spółdzielczy w Busku-Zdroju, gdzie zostałem zaangażowany. W sklepie szło mi bardzo kiepsko, ponieważ żydzi prowadzili z nami konkurencje.

Na „szczęście" kolega pracujący we Francji przysłał mi zapotrzebowanie oraz list, w którym pisał do mnie, żebym natychmiast przyjeżdżał, gdy będzie odchodził z Mysłowic pierwszy transport do Francji. Ja natychmiast porzuciłem sklep i w dniu 6-go sierpnia 1929-go roku wyjechałem do Mysłowic. W Mysłowicach ajenci przebierali w robotnikach jak w uleżałkach, lecz ja mając czarne na białem, nie bałem się bynajmniej by mnie przypadkiem odrzucono. Z Mysłowic wyjechaliśmy w zbiorowym transporcie przez Czechosłowacje i Niemcy, do Francji. Podróży nie płaciliśmy, gdyż odbywała się na koszt pracodawcy, do któregośmy jechali. Żywność otrzymywaliśmy w podróży bardzo dobrą. Po przybyciu do Toul zatrzymaliśmy się na nocleg, skąd rano następnego dnia wyjechaliśmy każdy na swoje miejsce przeznaczenia. Po przybyciu na miejsce w departamencie Saone et Loire do maleńkiego miasteczka Montehanin, należącego do pracodawcy Schneider'a, który jak nam Francuzi opowiadali, sam wybudował to miasteczko. Zostaliśmy umieszczeni we wspólnych barakach, gdzie znajdowała się kantyna, z której otrzymywaliśmy całe życie. Za życie odciągali nam miesięcznie 140 franków oraz za mieszkanie 14 franków. Lecz życie jak życie, nie było takie znów wspaniałe; gotowali przeważnie wszystko na oliwie, do czego nie każdy mógł się przyzwyczaić. To też większa część, po otrzymaniu pieniędzy za prace odpadła od kantyny, przenosząc się do restauracyj różnych gatunków, jakich wówczas nie brak było w całym miasteczku.

Pracowaliśmy w fabryce żelaznej w mieście Creusot. Z Montehanin do fabryki jeździliśmy codziennie pociągiem fabrycznym, za który płaciliśmy miesięcznie coś około 3 franków. Francuzcy urzędnicy fabryczni obchodzili się z Polakami na ogół bardzo dobrze.



Każdy Polak starający się według możności żądań personalnych, mógł korzystać ze wszystkiego narówni z francuskimi robotnikami. Ja będąc przy kranach, ładujących żelazo na wagony, zarabiałem spocżątku 19 franków na ośm godzin. Po upływie 3 miesięcy podwyższyli mi na 22 franki. Przy kranach pracowałem niemal 8 miesięcy, skąd napisałem prośbe w języku polskim do dyrektora o nadanie mi pracy w ślusarni, gdyż na robocie ślusarskiej znam się doskonale. Jakoż po upływie tygodnia, zjawił się w naszym oddziele szef z oddziału ślusarskiego i zabrał mnie na swój oddział. I od tej pory pracowałem już w ślusarni aż do końca mojego pobytu we Francji. Po otrzymaniu nowej pracy w ślusarni przeniosłem się do miasta Creusot, na prywatną kwatere, gdzie płaciłem za mieszkanie miesięcznie 50 franków. Ponieważ mieszkanie to widziało mi się za drogie, więc poszukałem sobie innego mieszkania, tym razem zamieszkałem u Polaka, który będąc żonatym, miał dwa mieszkania. Ów Polak miał żone i dwoje dzieci. Starszy chłopiec licząc wówczas siedem lat, chodził do szkoły francuskiej, ponieważ do polskiej na kolonje było bardzo daleko, bo aż 3 kilometry drogi. Za mieszkanie opranie i gotowanie, płaciłem na nowej kwaterze 60 franków miesięcznie. Po przybyciu do miasta Creusot, zaczęliśmy sprowadzać pisma polskie t. j. książki i różnego rodzaju gazety. Czytaliśmy przeważnie „Narodowca", który będąc popularnem pismem polskiem bronił wychodźców polskich we Francji przed różnemi spekulacjami wyzyskiwaczy szkodzących często wychodztwu polskiemu.

Nie upłynęło dwa lata, aż razu jednego otrzymuje list z Polski bardzo przerażający. „Kochany Synu" — pisze mi matka — „Przyjeżdżaj do domu i to natychmiast, bo ojciec i dwóch twoich braci znajdują się w więzieniu. W domu zostałam tylko sama i płacze nad losem jaki mnie spotkał na starość". List ten bardzo mnie zaniepokoił, tak że nie mogłem wytrzymać do końca miesiąca, oczekując na wypłate. W dniu 13 sierpnia 1931 r. opuściłem Francje, lecz tym razem jechałem do Polski na swój koszt. Ze Strasburga wyjechaliśmy transportem zorganizowanym przez biuro „Pol-Express".

A teraz pare słów przeciwko tym, którzy śmią urągać z wychodztwa polskiego, przezywając ich „komunistami". Panowie, którzyście się ośmielili nazwać robotników polskich „komunistami" wstydźcie się poraz wtóry wyjawić z tym słowem? Ponieważ jak mi

wiadomo, każdy robotnik polski przebywający za granicą, szczyci się z tego że jest Polakiem, nie chcąc nawet przyjąć obywatelstwa francuskiego, gdy mu proponowano o tem. A ileż to dzieci polskich uczęszcza do szkół polskich, chociaż jak to mówią, że w szkołach francuskich dzieci polskie dużą ulgę mają. Wobec czego nie warto nigdy naprzód sądzić, czem kto jest i jakie zajmuje stanowisko wobec Polski. Według mojego mniemania i doświadczenia, polscy wychodźcy więcej kochają Polske i to co polskie, aniżeli ci, którzy siedzą wewnątrz Polski, knując przeciwko Niej różne spiski...

Dn. 9 maja 1936 r.

Pamiętnik Nr. 29

Robotnik rolny, później fabryczny, z Poznańskiego, ur. w 1887 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Będąc najstarszym synem w rodzinie, a było nas czworo i kiedy ojciec umarł byłem zaledwie czternastoletnim chłopcem, nieszczęśliwa matka wdowa borykała się z losem jak mogła aby nas czworo dzieci wyżywić i jako tako przyodziać, nie byłem w stanie tej ukochanej matce wiele dopomóc bo te kilka marek które mi gospodarz płacił rocznie za moją służbe niewiele matce pomogły, dlatego też gdy cokolwiek podrosłem i byłem starszem postanowiłem poszukać sobie roboty żeby można było więcej zarobić i jako dopomóc matce do wyżywienia reszte rodzeństwa. Ponieważ w naszych okolicach robót płatnych nie było udałem się (w 1904 r.) z drugiemi wychodźcami do Niemiec w zamiarze otrzymania jakiejś pracy w fabrykach. Tu można powiedzieć że dosyć szczęśliwie dowleklim się do miasta Hannower. Należy zaznaczyć że skoro wyślim z wagonów i wstąpilim na dworzec otoczyła nas gromada Gburów to znaczy Niemieckich gospodarzy i dalej się wypytywać dokąd jedziemy. Trzeba powiedzieć że niektórzy wychodźcy którzy już przedtem byli kilka razy za robotą w Niemczech i pracowali tam już we fabrykach wogóle się temi Gburami nie zajmowali, ale ja który pierwszy raz za ową robotą pojechałem zainteresowałem się tą wieścią że owi gospodarze Niemieccy naumyślnie poprzyjeżdżali z mniejszych miasteczek i wsiów do miasta Hannower aby zwerbować sobie robotników gdy będą przyjeżdżać za robotą nad Ren. Dlatego też gdy mnie taki gospodarz zapytał

przez tłumacza czy bym u niego nie przyjął pracy w gospodarstwie chętnie się na to zgodziłem i ową pracę przyjąłem. Wielce się ucieszyłem gdy się dowiedziałem że ów gospodarz będzie mi płacił 2 marki i 50 fenygów dziennie i wicht a we żniwa obiecał mi nawet płacić 3 marki dziennie pomimo tego że jeszcze wtenczas byłem bardzo młody bo liczący zaledwie siedemnaście lat a czasy to były wtenczas że młody chłopiec zarobił trzy razy tyle dziennie ile doletni robotnik zarabia dziś w Polsce jeżeli jeszcze prace ma. Zaznaczyć należy że gdy już z owem gospodarzem ugodziliśmy się i kontrakt podpisali do przyszłego Nowego Roku zaprosił mnie ów gospodarz do restauracji na obiad. Tam gdyśmy głód zaspokoili i wypiwszy kilka piw pojechaliśmy do miasteczka Haste w tem miasteczku mój gospodarz pozakupywał rozmaite sprawunki jakie potrzebował i pojechalim do wsi Gehrden tam gdzie ów Gbur zamieszkiwał. Gospodarstwo owego gospodarza było dość duże, posiadał on cztery konie, dwa źrebce, kilkanaście sztuk bydła, gromade owiec i do tego jeszcze rozmaity inny inwentarz i wszelaki drób, a do tego posiadał bardzo śliczny automobil. Można powiedzieć że wszystko by było dla mnie bardzo dobrze żebym był również Niemcem, ale że byłem Polakiem do tego nie rozumiejącym ani słowa po niemiecku dlatego można zrozumieć jaką gehennę językową ja tam z początku przechodziłem. Przyznać trzeba że z początku musiał mnie ów Gbur do niejednej roboty sam zaprowadzić i pokazać jak miałem te robote wykonywać. Drugi Gbur jak by tak musiał swemu robotnikowi robote pokazywać toby się złościł i wściekał ale ów gospodarz był bardzo dobry i wyrozumiały Niemiec to jeszcze miał ze mnie uciechę i jeszcze mnie nazywał liebe Hans zato niezrozumienie jego nakazu. Wszystko by było bardzo dobrze żebym choć cokolwiek rozumiał po niemiecku, ale że początkowo nie rozumiałem ani słowa dlatego było mi bardzo przykro i nieprzyjemnie, tęsknota mię dręczyła za swoimi, za Polską mową za krajem rodzinnem za okolicą gdzie się urodziłem i wychowałem, za matką i rodzeństwem. Jednem słowem byłem wciąż smutny bo nie miałem nikogo koło siebie abym mógł moją tęsknote przed nim wypowiedzieć bo wszystko koło mnie było obce, tylko to mnie cieszyło że ów gospodarz był dla mnie bardzo dobry i regularnie mi moją należytość za prace wypłacał z czego też miałem sposobność kilkanaście marek raz poraz mojej kochanej Matce posłać.

Dopiero tak po trzech miesiącach tęsknota mnie jakoś opuściła i zrobiło mi się weselej i przyjemniej, albowiem nauczyłem się już cokolwiek mowy niemiecki i już dużo zrozumiałem wyrazów, po drugie wszystkie prace jakie zachodzą w gospodarstwie wypełniałem należycie więc życie było mi jakoś przyjemniejsze bo się jakoś do wszystkiego przyzwyczaiłem jedynie korciło mi to że byłem na obczyźnie i musiałem się obcem wysługiwać i to jeszcze Niemcom najgorszem wrogom słowiańszczyzny. Tu trzeba jeszcze zaznaczyć że pomimo tego że traktowano mnie dobrze i dość dobrą płate miałem, jednakowoż gdyby mnie ktoś powiedział i zapewnił że w rodzinnem kraju mógłbym zarobić choć połowe tego co zarobiłem w Niemczech to w tej chwili wracałbym do rodzinnego kraju bo tej obczyzny i tej tęsknoty za swoimi i za krajem miałem już dosyć, ale cóż było począć kiedy w rodzinnem kraju nie można było prawie nic zarobić, a tu matka i rodzeństwo wygląda pomocy odemnie! Co tu począć? Trzeba było matke i rodzeństwo jakoś tu ratować. Tu trzeba nadmienić że pomimo tego że płate miałem dobrą i Gbur mnie lubił, jednakowoż nie długo zatrzemałem się u tego gospodarza bo tylko od czerwca do kwietnia w następnym roku. Ponieważ miałem przyjaciela z którem razem wyjechaliśmy do Niemiec za pracą i kiedy ja w Hannowerze zgodziłem się pracować u tego Gbura we wsi Gehrden on jechał dalej nad Ren jednakowoż zatrzymał się w Kolonji „Köln". Dlatego też gdyżeśmy się porozumieli listownie pojechałem do niego, można powiedzieć że w Kolonji pracowałem w kilku miejscowościach i zarabiałem bardzo dobrze bo niżej od pięciu marek dziennie nie pobierałem. Najprzód pracowałem na przedmieściu Greenberg w fabryce potaszu, później na przedmieściu Milheim Plethenberg fabryka Folmeraus przy parowych młotach w kuźni później w fabryce Halwerk zamki, zawiasy i t. d. później pracowałem na przedmieściu Wiedenheid fabryka guzików i wiele wiele innych prac aż do czasu kiedy mnie powołano do wojska w roku 1903. Po zwolnieniu z wojska w roku 1910 powróciłem do rodzinnego kraju i począłem pracować w Dominium, później się ożeniłem lecz zaledwie rok, a tu zagorzała wojna światowa, powołano i mnie również na wojne. Nie będe się tu o wojnie wiele rozpisywał bo to każdy dobrze o tem wie, a po drugie gazety dosyć o tej szalonej wojnie opisywały, tylko powiem tyle że w drugim roku wojny dostałem się do niewoli francuskiej

i byłem wraz z drugiemi jeńcami umieszczony w południowej Francji w mieście St. Etienne. Ach! jaki to ciężki los dla takiego człowieka być w niewoli, toć człowieka gorzej traktują od zwierzęcia, lada chłystek człowiekiem poniewiera i za nic wymyśla i prześladuje chociaż mu człowiek nic złego nie uczynił. Przecież nie my żołnierze winni temu że jeden drugiego morduje, chociaż się z sobą nigdy w życiu nie widzieli i jeden drugiemu żadnej krzywdy nie uczynił, taki ten żołnierz tak jeden jak i drugi jest nieświadomy sprawy, bo myśli że żołnierze sami wojne rozpoczeli, dlaczego nie winują tych tam u góry tylko się znęcają nad niewinnem i biednem żołnierzem, który musi iść na wojne pod karą śmierci! Musze tu powiedzieć że w tej niewoli francuskiej przebywałem dość długi czas bo przeszło dwa lata i przechodziłem tam okrutne katusze, jednakowoż gdy generał Haller zjawił się do Francji i począł tworzyć armie polską, wstąpiłem i ja do jego polskiej armi, aby walczyć przeciw Niemcom największemu i najokrutniejszemu nieprzyjacielowi Narodu Polskiego i dopomóc przy tej sposobności do odbudowania i wywalczenia naszej własnej Ojczyzny Polski.

Po zawarciu pokoju z Niemcami i po skończonej wojnie generał Haller wraz z swemi ochotnikami powrócił do kraju i tu w nowo oswobodzonej Polsce wszyscy ochotnicy zostalim zwolnieni z wojskowości i po tylu latach tułania się po obcych krajach nareszcie zdrów i cały powróciłem do domu do żony. Przebywszy kilka lat tu w kraju pracując w Dominiach sprzykrzyła mi się ta praca gdyż przyzwyczajony do lepszego życia we Francji kiedy byłem niewolnikiem wojennem postanowiłem wyemigrować do Francji. Otuchy mi dodali również przyjaciele, którzy już do Francji wyemigrowali, chwaląc się w swoich listach że mają dobrą prace i do tego dość dużą płacę. Dlatego też wystarawszy się o należne dokumenta podróżne i po otrzymaniu takowych wyemigrowałem w roku 1924 powtórnie do tego kraju w którem byłem niewolnikiem wojennym przeszło półtrzecia roku, ale nie jako niewolnik, ale już jako wolny obywatel. Należy zaznaczyć, że początkowo wyjechałem sam, dopiero tak po jednem roku pobycia sprowadziłem moją rodzine to jest żone i dwoje dzieci. Przybywszy na miejsce w którem zamierzałem zamieszkać, a to do tego samego miasta w którem byłem niewolnikiem wojennym to jest w St. Etienne to początkowo pracowałem przy kolei, później jednak gdy zaczęto budować kilka fabryk i to

równocześnie napędzono nas niewolników do budowania tych fabryk. Jedne były przeznaczone do wyrabiania broni i amunicji inne znów do prywatnych interesów, a szczególnie fabryka motorów Salmsona i jeszcze kilka innych. Spodziewałem się że te wszystkie fabryki jak fabryka automobili Hotchkissa oraz ogromne warsztaty metalurgiczne Renault muszą już być wybudowane i wykończone przez te kilka lat, które byłem w kraju. Z tego też powodu udałem się do owego miasta St. Etienne z powrotem, albowiem miałem nadzieje że otrzymam prace w jednej z tych nowych fabryk, które sam budowałem. Musze powiedzieć że się nie omyliłem bo prace otrzymałem w nowych zakładach metalurgicznych Lavalette z płacą 18 franków dziennie. Przepracowawszy blisko jeden rok sprowadziłem żone z dziećmi do siebie i można śmiało powiedzieć, że przez kilka lat powodziło mi się dosyć dobrze, jednakowoż po kilku latach rzetelny pracy czasy poczęły się jakoś zmijać i to dla nas Polaków na gorsze. Poczęto nam Polakom nogi podstawiać czy to w pracy czy w miejscu publicznem. Już nas tak przyjaźnie nie traktowano jak to było dawniej, gdy się jakaś okazja przydarzyła to usuwano nas z pracy przy każdej sposobności. Te wrogie usposobienia francuskie przeciw naszym rodakom bardzo mnie zdziwiły, bo przecież początkowo Francuzi byli nam bardzo przyjaźni, dopiero po niejakimś czasie dowiedziałem się przyczyny tego wrogiego usposobienia. Przyczyna była taka że gdzieś tam na północy miejscowości nie pamiętam w kopalni węgla zastrajkowali Polacy, a górnicy francuscy nie przystąpili do tego strajku. Jednakowoż pomimo tego że francuscy górnicy do tego strajku nie przystąpili, polscy gornicy postanowili ich z kopalni nie wypuszczać na powierzchnie, zmuszając ich do okupowania i pozostania w kopalni razem z górnikami Polakami i z tego powodu cała heca i nienawiść do polskiego emigranta. Poczęto nas opisywać w gazetach francuskich żeśmy są element niepożądany bo większość wychodźców polskich należy do komunistów i anarchistów, oprócz tego wiele innych spraw przykrych przypisywano nam nazywając nas złodziejami mordercami i t. p. Tu można śmiało powiedzieć że te wszystkie kłamliwe oszczerstwa drukowane w gazetach francuskich nie miały żadnych prawdziwych podstaw przeciw naszemu wychodźtwu, a że się tam gdzieś trafiło że z naszych wychodźców ukradł tam coś lub pobił Francuza to jeszcze niema podstaw żeby

za tego jednego winowali całe polskie wychodźtwo bo takie rzeczy dzieją się wszędzie po wszystkich krajach, że tam kogoś okradną lub zamordują pomimo że naszego wychodźtwa w danem kraju niema ale aby się naszego wychodźtwa pozbyć bo Francuzów coraz więcej za pracą chodziło, nawet już tysiące było bezrobotnych, dlatego te oszczerstwa na nasze wychodźtwo rzucono, aby mieć powód do wydalania nas z pracy i nawet z Francji, a robote zajmowaną przez Polaków ofiarowali swoim rodakom Francuzom. Niema się czego dziwić że Rząd Francuski tak z emigrantami postępuje. Emigranci byli dobrzy i pożądani tylko do naprawiania zniszczonych terenów przez wojne światową, ale gdy zniszczone tereny przez Niemcy zostały naprawione i wszelkie niebezpieczeństwa usunięte więc dla emigrantów inny pracy we Francji nie było. Trzeba było emigrantów usunąć, aby pozostawić prace dla Francuzów. Każdy to widział że tak było i jest. Przyznać trzeba że Francuzi byli dla nas wychodźców początkowo gdy nas potrzebowali dość uprzejmi i życzliwi czy to przy pracy, czy na ulicy, lub też na miejscu publicznem. Zawsze gdy się takiego Francuza spotkało, którego się znało lub pospół z nim pracowało to zawsze taki Francuz bardzo życzliwie się do nas odnosił, a szczególnie gdy spotkał takiego emigranta z którem się mógł swobodnie rozmówić po francusku to go nawet na wino prosił. Musze powiedzieć że stosunki we Francji mi się bardzo podobały, bo człowiek zarobił tyle że mógł żyć jak się to mówi po ludzku, bo płaca jaką pobierałem na wszystko wystarczała i na wyżywienie i na przyodzianie, na komorne i jeszcze niejednego franka się oszczędziło i może żeby nie te górnicy polscy z temi francuskiemi górnikami nie byli tak pokusili i te francuską nienawiść na nas wychodźców sprowadzili to być może żebym do dziś dnia we Francji przebywał i tam pracował, ale skoro po tem zdarzeniu górniczem gazety francuskie Francuzów podjudziły i do nienawiści doprowadziły przeciw naszym wychodźcom, spostrzegłem że i ja się bodaj we Francji nie utrzymam, prawda że mnie z pracy nie wydalono ale jednak ograniczono mój dotychczasowy zarobek i to ograniczono w ten sposób że mi nie pozwolono całego tygodnia przepracować, najprzód po tem górniczem zdarzeniu, ograniczono mi prace do czterech dni w tygodniu, a Francuzi i inni pracowali pełne tygodnie. Później jeszcze jeden dzień zarobku nam ujęto to tylko zostało nam do pracy trzy dni w tygo-

dniu. Widząc że za trzy dni pracy w tygodniu nie wyżyje z moją rodziną bo i rodzina się powiększyła o dwoje dzieci więcej postanowiłem dopominać się o prace pełnych tygodni. Administracja powiedziała mi że w tem departamencie gdzie ja pracuje nie są w stanie pełnych tygodni robotników utrzymywać bo tylko na trzy dni w tygodniu tej pracy jest, a w innych departamentach nie mogą mnie potrzebować bo niema żadnego wakującego miejsca. Jeszcze mnie straszono że za niedługim czasem będzie administracja zmuszona fabryke zupełnie zamknąć, bo wogóle przestały napływać wszelkie zamówienia na fabrykaty i towar. Przyznać trzeba że to co mi powiedziano w administracji o zamknięciu fabryki w krótkim czasie spełniło się, albowiem nie przetrwało jeszcze dwóch tygodni czasu a tu oznajmiają iż fabrykę zamknięto kompletnie i wszystkich robotników rozpuszczono. Ponieważ w mieście St. Etienne było więcej fabryk metalurgicznych nietylko sam Lavalette dlatego postanowiłem poszukać sobie pracy w innych fabrykach, ale gdzie tylko wstąpiłem za pracą do biura i przedstawiłem moją karte przebywania, wszędzie mnie odprawiono z niczem. Widząc że trudno mi będzie prace znaleźć w St. Etienne, bo chociaż niektóre fabryki jeszcze pracowały ale już nie tak całą siłą pary jak poprzednio postanowiłem wyjechać do innej miejscowości za pracą, dlatego udałem się do biura informacyjnego, aby dowiedzieć się w jakiej okolicy najsnadniej by było jaką prace osięgnąć. Tymczasem w tym informacyjnem biurze zamiast wskazać mi miejscowość, gdzie by można prace znaleźć, odebrano mi karte bytu i już mi jej nie zwrócono. Jednakowoż dano mi tam inną karte z poleceniem abym się udał do Komisarjatu Policyjnego to tam moją sprawe załatwią. Przybywszy do owego komisarjatu z ową kartą z biura informacyjnego poczęto mnie tam się wypytywać od kiedy nie pracuje i z jakiego powodu utraciłem prace i jak długo tu w St. Etienne zamieszkuje i czy mam rodzine i ile dzieci i czy dzieci są zdrowe, jednem słowem było to ogólne badanie. Po spisaniu wszystkiego wciągnięto mnie na liste bezrobotnych i nawet obiecano mi pomoc materjalną, ale pracy mi nie obiecano, nawet powiedziano mi tam że pracy trudno mi będzie znaleźć choćbym i całą Francję przewędrował bo karty do przebywania we Francji nie mogą mnie uwzględnić z powodu zakazu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Słysząc takie wywody owego urzędnika doszedłem

do przekonania, że moje bytowanie we Francji jest skończone, bo jeżeli w całej Francji roboty nie dostane jak ten urzędnik mi powiedział to cóż ja tu będe robił? Nie pozostaje mnie nic innego jak wracać do kraju razem z drugiemi rodakami którzy również utratą pracy we Francji są zmuszeni wracać do Ojczyzny, jedni na swój własny koszt, a drugich to nawet Rząd Francuski na własny koszt wydalił. Dlatego też porozumiawszy się z żoną postanowiliśmy te niewdzięczną Francję opuścić. Żal mi serce ściska gdy sobie rozważe i przypomne ile to człowiek wycierpiał i napracował się aby jako zarobić na ten kawałek chleba. Ile to nieraz potu wylał i namozolił się, bo trzeba wiedzieć, że w południowej Francji jest o wiele ciepli niż w naszem kraju i za te wszystką prace i za ten pot przy tej pracy, taka nas wychodźców niewdzięczność spotkała od Francuzów. Dobrzy bylim gdy nas potrzebowali do wykopywania w ziemi zachowanych bombów i amunicji, albowiem sami się tej pracy obawiali, ale skoro wychodźcy teren wojenny z granatów i bombów oczyścili to są już niepotrzebni. Trzeba się tego elementu pozbyć i tak też uczynili. Należy zaznaczyć że gdy już nie było żadnego widoku do otrzymania pracy u tej naszej sojuszniczki Francji powróciłem z rodziną do kraju w październiku 1935 r. i począłem na nowo pracować w Domini, lecz cóż z tego że prace mam i pracuje w każdy dzień oprócz świąt i niedziel jednakowoż nie zarabiam ani trzeciej części jak zarabiałem we Francji. Cóż począć? trzeba się z losem pogodzić. Nie wiem czy Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie będzie zadowolony z mego opisu i przeżycia mego spostrzeżenia i doświadczenia za granicą jako wychodźca bo nie jestem w pisanie bardzo biegły więc trudno mi dokładnie opisać wszelkie przygody, które mnie spotkały na obczyźnie, tylko tyle opisałem ile mogłem spamiętać. Również bardzo przepraszam wyżej wymieniony Instytut, aby raczył przebaczyć błędy które mogą się znaleźć w tem moim piśmie bo jako robotnik niewiele mam styczności z literaturą bo po największej części jestem zatrudniony pracą fizyczną, więc trudno mi zajmować się literaturą, dlatego nie jestem biegły w piśmie.

Dn. 20 sierpnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 30

Robotnik rolny, potem minier, wreszcie murarz, syn małorolnego z Kieleckiego, ur. w 1907 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Urodziłem się w roku 1907. Ojciec mój był właścicielem pięciomorgowego gospodarstwa. Rodzinę miałem dosyć liczną. Nas sześciu braci i dwie siostry. W przeciwieństwie do innych licznych rodzin kochaliśmy się szczerze, a o ile czasami zachodziły jakieś małe nieporozumienia czy nawet małe awantury pomiędzy nami to bardzo rzadko i to tylko z przyczyny nędzy jaka panowała w naszym domu bo tego co się zebrało z czterech mórg pola (gdyż jedna morga stała nieużytkiem) nigdy nie wystarczało na pełne wyżywienie nas wszystkich, pomimo że i pobocznie ojciec mój zarabiał trochę. Lepiej nam się powodziło przed wojną światową.

Przed wybuchem wojny światowej ojciec mój był potrochu handlarzem. Handlował czem się dało. Trochę wódką, trochę obrazami, to drobiem, tak że zawsze parę groszy zarobił a złączone z tem co się zebrało z pola dawały możność znośniejszego bytu. Chleba nam wtedy nie brakowało a nawet na zabicie świni często sobie ojciec pozwolił. Warunki naszego bytu uległy pogorszeniu z chwilą wybuchu wojny światowej. Handlować obrazami już ojciec nie mógł bo władze wojskowe nie pozwalały chodzić po wsiach, obawiając się szpiegostwa. Mógł jeszcze ojciec handlować wódką lecz po pewnym czasie i ten handel musiał porzucić przez podłość ludzką. Oto jednego razu pojechał ojciec do Krakowa gdzie kupił paręset litrów spirytusu. W drodze powrotnej furman zebrał parę żydów którzy namówieni przez konkurentów ojca poprzebijali pę-

cherze ze spirytusem tak, że nim się ojciec spostrzegł ze spirytusu nie pozostało już nic. Dużo na tem stracił ojciec to też nie mogąc straty odbić musiał i z tem handlem skończyć. Chcący zaś jakoś po ludzku nas wyżywić ojciec mój założył szkółkę polskiego języka czego przed wybuchem wojny nie mógł uczynić gdyż jak wiadomo władze rosyjskie nie pozwalały na uczenie w szkołach polskiego języka. Dochodu z tej szkółki wielkiego ojciec nie miał, bo nędza dawała się we znaki wtedy już i nawet zamożniejszym gospodarzom, mimo to dużą pomocą ojcu było. Jeden dał parę groszy drugi coś w naturze jak ziemniaki, mąkę, czy zboże i t. d. dosyć że wyżyć jeszcze można było i nikt z nas na głód nie narzekał. Zmieniło się na gorsze jeszcze gdy wojenna pożoga zajrzała i w nasze okolice, wtedy tak dobrze ułożona kombinacja ojca ze szkółką obróciła się w zero. Nędza zaczęła zaglądać do każdego domu, przytem ludzie niepewni jutra przestali płacić i dzieci uczyć. Ojciec więc musiał ową szkółkę zlikwidować. Odtąd zaczęło nam się dziać coraz gorzej chociaż najgorsze przyszło już w końcu wojny i po śmierci mego ojca. Ojciec mój od najwcześniejszej młodości poszywał budynki słomą po dworach względnie pokrywał gontami. Dobrym majstrem był. Roboty prowadził dobrze to też z najodleglejszych dworów przysyłali po ojca gdy był jakowyś budynek do pokrycia. Ojciec nieźle jeszcze na tem zarabiał to też bronił się jak mógł i chociaż nędzy całkiem nie zaradził to jednak zmniejszał ją. Przytem matka starała się z prawdziwem poświęceniem, często niedojadała, niedosypiała ale pracowała za nas wszystkich handlując nabiałem który wywoziła do Zagłębia Dąbrowskiego. Przez cały tydzień skupywała ser masło jajka czy owoc i z pakunkami nieraz dochodzącymi do stu kilo pędziła do stacji kolejowej odległej o 10 kilometrów. Z powrotem znowuż za zarobione pieniądze kupowała groch fasole i przynosiła do domu. Była to praca ponad siły lecz matka w miłości swej dla dzieci nie czuła ciężarów. Nagrodą dla niej była radość nasza z jej powrotu który nam zawsze przynosił chociaż chwilowo zaspokojony głód. Tak trwało aż do dewaluacji marki polskiej. Gdy przyszły złote w obiegu handel ten już nie popłacał co się boleśnie odbiło na mojej rodzinie bo wtedy już trzeba było obejść się tylko tem co się zebrało z pola. Na dobitkę zubożałe dwory też coraz bardziej przestawały poszywać słomą budynki a chociaż czasami trafiały się takie roboty, to już płacili marnie, tembardziej że i konkurentów

nie brakowało których ogólna bieda narobiła. Jeden przed drugim leciał gdy posłyszał o jakiejś robocie i jeden drugiemu taką robotę poprostu wyrywał, tak brał z przed nosa przez opuszczanie ceny. Dzieciństwo moje aczkolwiek w trudnych i ciężkich warunkach upłynęło szczęśliwem było. Pamięć dzieciństwa jest dla mnie największą rozkoszą. Okresu dzieciństwa nie zapomnę nigdy. Pamiętam je dobrze. W ciągu całego dzieciństwa czułem się szczęśliwym a chociaż wtedy nie odczuwałem tego szczęścia, zato dzisiaj odczuwam stokroć więcej. Pamięć moja sięga do pięciu lat mego życia. Radość błoga i śmiech szczery beztroski były stale na moich ustach. Najdrobniejszy jakiś fakt był przyczyną śmiechu. Czułem się szczęśliwym gdy mogłem się ubawić i nabiegać aż do zmęczenia czułem się szczęśliwym gdy rodzice przynieśli mi coś z miasta nowego z ubrania czy nawet zwyczajnego rogalika do zjedzenia. Czułem się szczęśliwym gdy mogłem się najeść do syta czegoś co było dla mnie smakołykiem a smakołykiem dla mnie wtedy był nawet kawałek chleba pszennego. Czułem się szczęśliwym gdy po mroźnej zimie wiosenne słonko przygrzało a ja mógł wybiegnąć na łąke czy pole i cieszyć się ciepłem i widokiem budzącej się do życia przyrody. Cieszyłem się gdy przyszło kopanie ziemniaków, kiedy widziałem pełne wozy ziemniaków ściąganych do domów, a już największą radość odczuwałem kiedy nadszedł dzień zbioru ziemniaków u nas. Radość powiększał moją każdy przywieziony wóz więcej, czem tych wozów było więcej tem radość moja była większa. Cieszyłem się razem z ojcem. Kiedy ziemniaków zebrało się mało, ojciec się smucił i ja się narówni z ojcem smucił. Kiedy zbiór był dobry ojciec się cieszył wtedy i ja się cieszył bo byłem pewnym, że zimą głodu nie zaznam. Cieszyłem się gdy idąc zgarniałem opadające liście drzew i słuchać ich szelestu jakby pieśni żałobnej za utraconem życiem. Cieszyłem się gdy mogłem krówkę wypędzić na pastwisko i z rówieśnikami zabawić się w coś, co przynosiło radość i uśmiech ust bez końca. Cieszyłem się gdy się patrzyłem na zniżające się słońce ku zachodowi. Wtedy jakaś siła nieznana a potężna zmuszała mnie do stania w miejscu i podziwiania tego cudu przyrody boć przecież najcudniesze zachody słońca są w jesieni. I podczas śnieżnej i mroźnej zimy czułem się szczęśliwym. Cieszyłem się kiedy idąc spać śniegu jeszcze nie było a wstawszy rano widzieć śnieg który przez noc zleciał. Wstawałem radosny widząc białe ściany domu które

śnieg ubielił. Cieszyłem się kiedy śnieg padał dużymi płatkami a ja mógł je łapać w powietrzu i podziwiać ich misterną budowę. Cieszyłem się kiedy mogłem wylecieć boso na śnieg i nabiegać się aż mi nogi poczerwieniały czy to już obuty pobiegnąć na lód i jeździć aż do zmęczenia, lub też toczyć bałwany ze śniegu. Cieszyłem się gdy w długie wieczory zimowe przychodzili sąsiedzi gdy grali w karty czy opowiadali jakieś przeczytane powieści a ja słuchając mógł podziwiać bohatera tej powieści za jego męstwo, czy też się litować i boleć gdy na to zasługiwał kiedy się upajałem rozrywką drugich sam się bawiłem i czułem się szczęśliwym. Pamiętam jak dzisiaj gdy miałem lat dziesięć kiedy to wesoły i beztroski biegałem po polach. Gdy tylko słońce kwietniowe przygrzało ja wybiegałem na świat boso. Zabawom wtedy nie było końca. Wtedy tylko kiedy poczułem głód pędziłem do domu i czepiając się matczynej spódnicy wołałem jeść. Najczęściej wtedy dostawałem szturchańca bo matka nigdy nie pozwalała jadać pojedyńczo bo zwykle bywało, że pierwszy najadł się do syta a ostatni niedojadł nigdy bo mu brakło, to też zawsze musiałem czekać aż się wszyscy poschodzili wtedy matka wylewała potrawę na jedną dużą miskę i z jednej miski jedliśmy wszyscy. Wyjątek pod tym względem stanowił ojciec który jadał osobno na talerzu. Dla nas dobrze było jadać w ten sposób bo wtedy wszyscy jedli jednakowo, chyba że znalazł się spryciarz który umiał jeść trochę prędzej, ten był zawsze wygrany. Najsprytniejszym z pomiędzy nas wszystkich był najmłodszy brat. Ja tak prędko nie umiałem jeść to też zawsze patrzyłem się zazdrośnie jak ten się opychał. Często też jeden drugiego walił łyżką gdy jeden drugiemu odbierał grzyba, który się znalazł w barszczu lub też tak zwany skwarek to jest już wytopiony kawałek słoniny. Dzisiaj gdy się patrzę na francuzów jak oni starą słoniną świnie tuczą, porównuję życie chłopa polskiego z życiem chłopa francuskiego. Tam dzieci biją się o kawałek słoniny i uczą się już w dzieciństwie nienawidzieć tutaj zaś tą słoniną świnie tuczą. Jakaż tu różnica! Tutaj by dziecko jadło trzeba go do tego zmuszać zaś tam przeciwnie trzeba przed dziećmi zamykać wszystko na klucz by naraz wszystkiego nie zjadły. Zwyczajne piekło i raj.

Miałem lat jedenaście kiedy zacząłem do szkoły chodzić. Początki nauki już otrzymałem w domu od ojca to też czytać i pisać już umiałem dlatego też poszedłem odrazu na drugi stopień czyli do

drugiego oddziału. Nauki byłem żądny więc uczyłem się dobrze. W międzyczasie ojciec myśląc trzeźwo o przyszłości nas wszystkich najstarszych dwu braci oddał na naukę, jednego do fryzjera czuł się dobrze, lecz młodszy który był u kowala przychodził często ze skargą, że jeść mu majster do syta nigdy nie pozwoli a w robocie goni do upadłego. Ojciec słuchać jednak nie chciał gdy ten prosił aby mu pozwolił powrócić do domu. Z jednej strony coraz trudniej szło z wyżywieniem nas wszystkich, z drugiej strony jak ojciec mawiał takie warunki w jakich się znajdował brat hartują, bo życie nie jest tak łatwe jak się komuś zdaje. Życie moje płynęło cicho, w nędzy lecz szczęśliwie. Kończyłem czternaście lat kiedy skończyłem szkołę. Przeszedłem cztery oddziały szkoły elementarnej. Świadectwo dostałem ze stopniami celującymi. Pragnąłem się uczyć dalej, ojciec mój przemyśliwał w jaki by sposób zdobyć parę groszy by móc mię oddać do szkół. Niestety nic się nie dało zrobić. Cierpiał ojciec z tego powodu widząc moje chęci do nauki i moje zdolności lecz poradzić nic nie mógł. Wydatek na szkoły był już ponad jego siły. Co gorsze gdy wyżywienie nas wszystkich było coraz trudniejsze oddał mnie na służbę do jednego gospodarza krowy pasać. Miałem już wtedy pietnaście lat, lecz jakżeż trudno było mi się rozstać z rodziną. Płakałem lecz ojca nie prosiłem by pozwolił pozostać rozumiejąc dobrze potrzebę tego wygnania. Przykro mi było u obcych to też wbrew zakazowi ojca uciekłem po trzech tygodniach i powróciłem do domu. Ojciec mój nic nie mówił na to lecz widziałem, że i on zadowolony z mojego powrotu chociaż starał się tego nie okazywać. Ojciec nas kochał wszystkich i my płacili tą samą miłością. O ile my staraliśmy się miłość naszą ojcu okazać jawnie to ojciec przeciwnie starał się ją ukryć na dnie serca. Starał się być zawsze surowym w stosunku do nas, najmniejsze winy karał lecz bolał gdy zmuszony był ukarać któregoś z nas. Najlepiej z nas wszystkich mnie lubił bo ja tak się starałem, że nigdy na gniew ojca nie zasłużyłem. Innym już był młodszy mój brat zbałamucony przez drugich i nauczony przez nich zaczął palić papierosy chociaż miał dopiero trzynaście lat. Do szkoły nie chciał chodzić i źle się uczył zato psocił dużo i palił jak dorosły. Zaraz po ukończeniu światowej wojny po wsiach zaczęli siać tytuń to też brat palacz miał co palić bo ojciec mój też namiętny palacz siał dużo tytuniu lecz kiedy później rząd zabronił uprawiać tytuniu brat palacz

by mieć za co kupić tytuniu zaczął kraść drobne rzeczy jak jajka czy jak mu się udało buchnął garniec zboża a we wsi zawsze byli amatorzy którzy kupili takie parę kilo zboża za pół darmo. Ojciec oczywiście nie mógł pozwolić na palenie papierosów przez nieletniego to też kiedy razu jednego złapał brata gdy ten palił papierosa, odebrał mu go i upomniał tylko ale to nic nie pomogło to też kiedy złapał poraz drugi już ukarał doraźnie gdy się przekonał później, że to nic nie pomaga zaczął przeprowadzać częste rewizje u niego. Z początku zawsze coś znalazł tytuniu trochę bibułki czy zapałki lecz później brat przy sobie nie nosił nic. Najwięcej ojciec rewidował gdy brat wypędzał krowę na pastwisko wtedy już musiał mieć coś do palenia bo na pastwisku nikt mu nie przeszkadzał. Ojciec stale go rewidował przed pójściem z domu, wtedy brat aby wynieść tytuń z domu cóż robił, oto czy to z paczką całą czy ujmował w inny papier i kład to krowie pod ogon w zagłębienie które jest dosyć głębokie u niektórych krów. Krowa zaś mając obce ciało pod ogonem przyciskała tem bardziej opuszczonym w dół ogonem tak, że paczka tytuniu nigdy nie wyleciała. Na pastwisku dopiero brat ogon krowie podnosił i tytuń wyjmował ze schowka. Proceder ten brat uprawiał dosyć długo i nikt o tem nie wiedział, że jednego razu ojciec jak zwykle przeprowadziwszy rewizję koło brata stanął sobie na podwórzu czekając aż brat z krową będzie za domem, czy czasami nie zabrał tytuniu gdzieś ze schowku koło domu. Traf chciał, że kiedy brat krowę już wyprowadził z obory, gdzieś blisko niej zabuczał bąk a czy też taka wielka mucha zwana pospolicie na wsi ślep która gryzie bydło. Krowa posłyszawszy znajomy jej głos napastliwej muchy zadarła ogona chcący uciekać z powrotem do obory, wtedy umieszczona tam pod jej ogonem paczka tytuniu spadła na ziemię, wtedy dopiero dowiedzieliśmy się w jaki sposób brat wynosi tytuń z domu. Ojciec tak był ubawiony tym wypadkiem, że nawet zapomniał brata ukarać. Razu jednego brat nie mogąc zdobyć pieniędzy na kupno tytuniu ukradł spodnie sąsiadowi które wisiały na płocie. Chciał je sprzedać w mieście żydowi i tam go złapali. Kiedy ojciec został wezwany na posterunek policji by winowajcę odebrać który jako małoletni nie mógł być sądzonym, płakał i włosy rwał sobie z rozpaczy chociaż na policji nie czynili wyrzutów ojcu, że źle dzieci chowa znając nieposzlakowany honor ojca, mimo to ojciec bolał, ze wstydu nie śmiał niko-

mu w oczy spojrzeć chociaż on był całkiem niewinny. Kiedy brata przyprowadził z posterunku do domu zbił do nieprzytomności i za każdą winę tak bił zawsze ale to nic nie pomagało bo ten bity płakał, przyrzekał poprawę a swoje robił. Zmienił się i przestał kraść ale dopiero kiedy wyrósł i stał się rozsądniejszym. Wtedy dopiero stał się człowiekiem uczciwym.

Ojciec karał najmniejsze przewinienie lecz jednocześnie bolał nad tem, że konieczność zmusza go do karania bo jak już wspomniałem kochał nas szczerze chociaż starał się tego nie okazywać, lecz przecież gdy kogoś z rodziny brakło na dłuższy czas tęsknił, a kiedy nieobecny powrócił nie mógł się oprzeć wybuchowi radości na widok powracającego. Pamiętam kiedy najstarszy brat poszedł jako ochotnik do tworzącego się wojska polskiego. Ojciec mu nie mógł przebaczyć tego kroku, lecz kiedy brat zaczął pisać już z wojska prosząc o przebaczenie ojciec przebaczył i udzielił mu swego ojcowskiego błogosławieństwa i modlił się codziennie gorąco o szczęśliwy powrót syna. Razu jednego brat pisał w swym liście, że bliski był śmierci, że tylko dzięki swemu karabinowi ocalał. Był wtedy na froncie ukraińskim. Ojciec mój czytając te słowa pomimo swej silnej woli wybuchnął tak wielkim płaczem, że długi, długi czas nie mógł się uspokoić. Miłość dla dziecka zwyciężyła jego silną wolę. Kiedy umierał ojciec ostatnim słowem które przed śmiercią wymówił to była obawa coś w rodzaju wyrzutu gdy oczy zwrócił ku niebu mówiąc ostatnim wysiłkiem „Boże co z memi dziećmi się stanie?“ Była to rozpacz bezsiły. Był to wyrzut skierowany ku temu w którego wierzył niezłomnie to jest Boga, umierając polecał jego opiece swe dzieci jakby przeczuwał, że kiedy jego zabraknie zmieni się wszystko na gorsze i rozleci się gniazdo które on budował i utrzymywał swą pracą. On był głównym ogniwem w łańcuchu rodzinnem, kiedy tego głównego ogniwa zabrakło i łańcuch się rozleciał.

Ojciec mój był bardzo religijnym i nas chował w wierze. Gonił co niedzielę do kościoła i przy każdej okazji do spowiedzi. Ja miałem dopiero dwanaście lat kiedy z woli ojca zacząłem chodzić na naukę katechizmu do księdza. Jeden miesiąc w roku obowiązkowo od początku maja do początku czerwca, kiedy poszedłem z matką do zapisu bałem się okropnie, tembardziej że ksiądz był znany ze swej surowości. Dobrze mi utkwiły w pamięci te chwile. Gdy zaszedłem

do księdza, już cmentarz kościelny roił się od dzieci i ich matek. Kiedy przyszła kolej na mnie stanąć przed księdzem nogi się ugięły pode mną. Pocałować księdza w rękę trzeba było obowiązkowo. Najpierw matka później ja. Kiedy całowałem księdza wzdrygnąłem się cały. Z natury jestem brzydliwym, to też kiedy pocałowałem księdza w rękę poczułem naraz, że mi się zbiera na wymioty, bo ręka księdza wyglądała jak ślimak. Cóż dziwnego, nas dzieci do zapisu na naukę było trzysta i tyleż matek, a więc sześćset ludzi gdy całowało jedną rękę można było sobie wyobrazić jak ta ręka wyglądała w końcu. Co do mnie to pomimo całego szacunku jaki żywiłem dla księdza nie mogłem się pozbyć uczucia nieprzyjemnego kiedy zmuszony byłem całować tę oślinioną rękę. Cały miesiąc tak trwało bo codzień byliśmy zmuszeni całować rękę księdza. Wyjątek był w dniu w którym ksiądz się gdzieś śpieszył wtedy się już nie pozwalał całować z braku czasu. Ja byłem dobrym uczniem księdza, wierzyłem głęboko i szanowałem księdza, pomimo tego nie mogłem się nigdy oprzeć uczuciu jakie odczuwałem za każdym razem kiedy całowałem księdza w rękę, to też by być wolnym od tej nieprzyjemności sprytnie się urządzałem. Otóż kiedy tylko ksiądz przyszedł do nas na cmentarz gdzie byliśmy zebrani każdy tak jeden przez drugiego leciał całować. W takim zamieszaniu ja zawsze uważałem gdzie ksiądz patrzy, gdy się patrzył w przeciwną stronę ja biegiem przelatywałem do grupy która już odbyła swą kolej, w ten sposób zawsze unikałem tej nieprzyjemności. Mówię nieprzyjemności, bo czyż można nazwać przyjemnością całowanie oślinionej ręki?

Z księdzem tym rodzina moja nie żyła w zgodzie i to z winy księdza samego który się wtrącał w nieswoje sprawy. Najstarsza siostra moja miała narzeczonego któremu rodzice jego nie pozwalali się żenić z moją siostrą jako że posagu nie miała wielkiego. Narzeczony siostry mej jak i ona sama byli ludźmi już dorosłymi samodzielnymi, nikt więc nie mógł zabronić im się pobrać gdy oni chcieli bo się kochali szczerze. Gdy poszli oboje do księdza by ten ogłosił zapowiedzi, on po załatwieniu wszystkich formalności zgodził się jak mu się należało. W niedzielę ogłosił pierwszą zapowiedź, gdy matka narzeczonego posłyszała tę zapowiedź wzięła parę osełek masła dwie kury gęś i poszła z tem do księdza. Co tam nagadała nigdy my się nie dowiedzieli lecz ksiądz w następną niedzielę miast drugiej zapowiedzi wygłosił mowę potępiając całą moją rodzinę

a szczególnie siostrę. Matka płakała z rozpaczy. Ojciec tylko zęby zaciskał nic nie mówiąc. Ksiądz na wsi jest czemś więcej jak nawet powiatowy urzędnik. Nikt mu nie śmie wejść w drogę chociażby miał słuszność po temu. Co więcej, spotkawszy raz siostrę na drodze zaczął jej ubliżać. Siostra przyszła z płaczem do domu, opowiadając rodzicom jak ją ksiądz zaczepił. Matka moja dobra katoliczka nie mogła jednak puścić płazem tego to też wzięła dwie duże gęsi do worka trzy kury i poszła z tem do księdza, spotkawszy go przed kościołem mówi, że przyniosła mu dwie gęsi i trzy kury by je raczył przyjąć i dać jej już spokój. Ksiądz się tylko uśmiechnął i wyciąga rękę po worek z darami, wtedy matka splunąwszy po chłopsku jak nie zaczęła wyzywać go aż się rozlegało po polu. Traf chciał, że niedaleko księdza stał organista który księdza nie lubił, widząc na co się zanosi mrugnął na matkę i wszedł do kościoła, ksiądz zaś widząc, że przechodzący drogą ludzie przystają z ciekawości czemprędzej odszedł na plebanię odległą od kościoła o 20 metrów. Od tego czasu mój ksiądz ani nie wspomniał o mojej rodzinie która była uczciwsza jak dziesięć razem wziętych takich osób, bo pomyśleć, że miał 30 mórg najlepszego pola sześć koni najlepszych w całej parafji osiem krów świnie, setki kur jednem słowem był to największy bogacz w całej parafji i on śmiał jeszcze się złakomić na trochę masła i kury i za ten wątpliwy dar potępiać z ambony niewinnych ludzi.

Działo się to pomiędzy pierwszym a drugim rokiem mojej nauki katechizmu. W drugim roku gdy się dowiedział czyim synem jestem chciał się za matkę zemścić na mnie to też zawsze szukał przyczyny by mnie ukarać. Miał on bat długości jeden metr oprawiony w kawałek drzewa. Bat ten był pleciony ze siedmiu rzemieni. Gdy ktoś nie umiał odpowiadać na pytania, gdy się nie nauczył zadanego poprzedniego dnia katechizmu wtedy ksiądz brał na kolana i bił tym batem. Gdy ktoś zrobił coś drugiemu złego bił tak samo. Na mnie miał on zawsze apetyt do ukarania lecz nigdy mu nie dałem powodu do bicia. Byłem najgrzeczniejszym ze wszystkich, to jedno, z drugiej strony chociaż mnie najczęściej wzywał do siebie i najwięcej pytań zadawał, umiałem zawsze odpowiedzieć bo najlepiej ze wszystkich się uczyłem, dlatego też nigdy na karę nie zasłużyłem. Nie brakowało podczas tej nauki i wesołych momentów. Razu jednego wezwał ksiądz do egzaminu jednego chłopaka, gdy ten odpowiedział dobrze na kilka

pytań, ksiądz każe mu się pochylić, bić się w piersi i powtarzać za niem „moja wina, moja wina“ i t. d. chłopak ten pochylił się i raz się tylko uderzył w piersi, gdy w jego zanadrzu t. j. za koszulą coś zaczęło piszczeć, słuchamy a tu woła ćwir, ćwir. Zaciekawiony ksiądz woła chłopaka bliżej rozpina mu koszule i cóż się okazuje chłopak ten idąc na naukę nałapał gdzieś w dziupli starej wierzby młodych wróbli a nie mając ich gdzie schować włożył je wszystkie za koszulę będąc pewnym, że stamtąd mu nie uciekną. Ksiądz widząc w jego zanadrzu wróble powybierał wszystkie i puścił na wolność zaś z nas wybrał czterech najsilniejszych do których i ja należałem. Złapaliśmy owego chłopaka i rozciągneli na krześle, dwu trzymało za nogi i dwu za ręce a ksiądz bił batem. Uderzył go już pięć razy i zamierzył się uderzyć szósty raz gdy mnie się żal zrobiło tego chłopaka i puściłem jego nogę, chłopak zaś poczuwszy jedną nogę wolną szarpnął się i fiknął nogami tak na ślepo lecz w tym samym momencie ksiądz się nadchylił i chłopak niechcący uderzył nogami księdza w twarz. Rozezłoszczony ksiądz jak zaczął bić na ślepo gdzie popadło aż chłopak zemdlał. Odchorował to później bo parę tygodni w łóżku leżał i to na brzuchu bo całe plecy i tyłek miał spuchnięty od bicia. A tymczasem łagodnym słowem też mógł nauczyć malca więcej wróbli nie łapać.

Ponieważ dobrze się uczyłem w drugim roku nauki już ją ukończyłem. Po skończeniu nauki trzeba było pójść do pierwszej komunji. Cieszyłem się z tej chwili nie tyle z tego, że szedłem do pierwszej komunji bo pierwszą komunję poprzedzała spowiedź czego serdecznie nie lubiłem, ja cieszyłem się z pierwszej komunji bo w tym dniu dostałem nowe ubranie od ojca, to ubranie mi sprawiało radość. Niestety buty miałem pożyczone bo ojciec już nie mógł się zdobyć na kupno butów, ale mimo to z ubrania cieszyłem się bardzo. Lubiłem chodzić do kościoła i lubiłem spełniać wszystkie praktyki religijne, lecz spowiedzi nie lubiłem. Nieraz pytałem ojca dlaczego mnie goni zawsze do spowiedzi kiedy ja nic złego nigdy nie popełniam i żadnego grzechu nie mam. Ojciec mi odpowiedział że do zbawienia mojego spowiedź jest mi potrzebna, chociaż bym nawet i nie grzeszył. Cóż miałem robić musiałem pójść chociaż drżałem cały i nogi się trzęsły podemną za każdym razem kiedy przystępowałem do konfesjonału. Przystąpiwszy do konfesjonału nie wiedziałem od czego mam zaczynać ze strachu by mnie ksiądz nie odpę-

dził zapominałem języka w gębie jak się to mówi. Ksiądz zaś widząc moje zażenowanie pytał a ja odpowiadałem. Pierwsze trzy spowiedzi dobrze poszły lecz czwarta już gorzej kiedy ksiądz pytał ja zawsze odpowiadałem „nie“ ponieważ żadnego grzechu nie miałem. Przy czwartej spowiedzi ksiądz zaczął się dziwić bo powiada że to niemożliwem jest abym ja żadnego grzechu nie popełnił nigdy, ja przysięgałem, że tak jest, że mówię prawdę a ksiądz twierdził, że kłamię no i nie dał mi rozgrzeszenia. Odszedłem z płaczem od konfesjonału bo cóż ja byłem całkiem niewinny mimo to ksiądz mi nie uwierzył a rozgrzeszenia nie dawał gdy ktoś jego zdaniem popełnił wielki grzech wtedy nakazywał pokutę dopiero po odbytej pokucie spowiadał na nowo i dawał rozgrzeszenie. Kiedy mnie wtedy nie dał rozgrzeszenia płakałem bo byłem niewinny a ludzie sądzili, że popełniłem coś strasznego, że rozgrzeszenia nie dostałem. Kiedy przyszedłem do domu zapłakany i opowiadam dlaczego ksiądz nie dał mi rozgrzeszenia ojciec znowuż mi nie wierzy, tylko mówi, że musiałem coś wielkiego popełnić i znowuż ojcu przysięgam, że prawdę mówię wtedy mi ojciec uwierzył i mówi, że kiedy nasz ksiądz nie chce mi dać rozgrzeszenia to pójdę do innego księdza do sąsiedniej parafji. Ja nie głupi pójść znowuż do spowiedzi tak bez żadnego grzechu a nuż myślę sobie i ten drugi też nie uwierzy i nie da rozgrzeszenia i znowuż będę się wstydził gdy mnie odpędzi jak psa. Aby uniknąć tego myślę jaki by tu chociaż jeden grzech popełnić aby pójść z grzechem do spowiedzi. Podpalić stodołę sąsiadowi bałem się by się i nasz dom nie spalił a podpalić sąsiada mogłem łatwo bo miałem wygodnie bo blisko, trochę dalej bałem się podpalić kogoś by mnie nie złapali i nie mogłem się zdecydować co zrobić aż po długim namyśle złapałem sąsiadowi największą kurę i po wielkich mozołach udało mi się z nią wyjść na gościniec na którym zawsze przechodzili żydzi. Szczęście mi służyło bo zaraz napotkałem żyda domokrążcę. Sprzedać tej kury nie mogłem z obawy by mię żyd nie wydał tylko przypadłem do żyda rzuciłem mu kurę pod nogi i uciekłem. Kura była związana więc nie mogła uciec żyd ją wziął i schował do worka. Wziął mnie pewnie za warjata bo kiedy uciekałem on raz tylko zawołał lecz gdy ja się nie oglądałem a wiałem co sił w nogach żyd kurę schował i poszedł sobie.

Cieszyłem się z tego bo już jeden grzech popełniłem więc

mogłem śmiało iść na spowiedź lecz by być pewniejszym swego zamierzalem popełnić jeszcze jeden grzech i szczęście mi posłużyło bo udało mi się ukraść drugiemu sąsiadowi siekierę z podwórza. Gdy ją porwałem, w szalonym strachu nie wiedziałem co z nią zrobić, do domu nie mogłem przynieść tak jak i poprzednio skradzionej kury bo ojciec, który nawet znalezionej rzeczy nie pozwolił przynieść do domu, w tym wypadku nie tylko, że by mi był skórę zerżnął na nic, ale by kazał jeszcze spowrotem odnieść ową siekierę i przeprosić poszkodowanego co dla mnie z jednej strony wstyd, z drugiej strony niemożliwość pójść do spowiedzi z jednym tylko grzechem. Włożyłem wtedy ową nieszczęsną siekierę w pokrzywy gdzie nikt nie mógł znaleźć i czekałem wieczora, na wieczór dopiero gdy się już dobrze ściemniło wyciągnąłem ją i poleciałem na łąki wrzuciwszy do dołu napełnionego wodą z którego wybrano torf. Gdy mi się w zupełności udało cieszyłem się bo już mogłem pójść do spowiedzi z dwoma grzechami. Kiedy przyszła kolej na następną spowiedź poszedłem śmielszy już. Ksiądz mnie poznał kiedy przystąpiłem do niego wtedy mówi „Aha to ty niewiniątko już się poprawiłeś". Tak odpowiadam księdzu. Kiedy mu powiedziałem po dłuższej chwili, że ukradłem sąsiadowi kurę i siekierę spowiedź skończyłem, ksiądz rozgrzeszenie dał, kazał mi żałować za grzechy i przyrzec poprawę. Nie mogłem wtedy zrozumieć jak mam rozumieć tę poprawę boć przecież on mnie swoją niewiarą zmusił do kradzieży i tem samem do grzechu a później żąda poprawy. Nie mogłem tego pojąć.

Na następny raz pomimo przyrzeczenia poprawy ukradłem sąsiadowi dwa snopki pszenicy z pola z tych samych powodów co poprzednio nie wiedząc, a że przytem co zajdzie niepotrzebna mi była ta kradzież. Miałem wtedy już pietnasty rok życia. W adwencie to jest przed Bożem Narodzeniem poszedłem jak zwykle na spowiedź. Przy końcu już spowiedzi księdzu coś wpadło do głowy i pyta mnie czy się nie bawiłem czasem z dziewczynami. Ja odpowiedziałem, że tak bawiłem się i to dosyć często. Ja oczywiście miałem na myśli zwyczajną zabawę dziecięcą, ksiądz pytając miał co innego na myśli to też kiedy na jego pytanie odpowiedziałem twierdząco, ksiądz powiada: „A ty świnio czy nie wiesz, że to grzech?" Wtedy ja dopiero zrozumiałem o co się księdzu rozchodzi. Chciałem się wytłumaczyć sprostować moją odpowiedź, lecz ksiądz

już nie pozwolił tylko mi zadał srogą pokutę bo aż przez sześć tygodni odmawiać litanję co mnie się krzywdą widziało bo nie czułem się winny, bo chociaż zacząłem już rok życia pietnasty i zacząłem trochę pojmować stosunki intymne to jednak mało rozumiałem stosunek mężczyzny do kobiety, ksiądz mi dopiero na dobre oczy otwarł. Innym razem na nieszczęście moje ksiądz spowiadał nie w konfesjonale lecz w zakrystji. Siedział sobie na krzesełku i słuchał. Ja znowuż kiedy się wybierałem do spowiedzi nie miałem guzika u koszuli co matka widząc przyszyła mi na prędce guzik wielki od palta bo innego nie było pod ręką. Już ja przyklęknąłem i gotowy jestem do spowiedzi gdy ksiądz zoczył ów nieszczęsny guzik i powiada, że mnie nie będzie spowiadał aż mi matka innego guzika przyszyje. Pomimo mojej pokory już nie mogłem wytrzymać, bo myślę sobie o taką drobnostkę narażać mię na wstyd. Dusza moja już zaczeła się buntować to też odchodząc szepnąłem pod adresem księdza „pop", ja oczywiście nie przypuszczałem, że ksiądz to usłyszy a on gdy to usłyszał zerwał się i leci do mnie krzycząc „zaczekaj durniu bałwanie już ja cię nauczę". No i nauczył mnie bo ojca wezwał do siebie i tam nagadał do woli. Powiedział, że ja go nazwałem popem chociaż w tem żadnej obrazy nie było. Ojciec mój gdy wrócił sprawił mi doskonałe lanie i kazał pójść przeprosić księdza. Na szczęście moje nie kazał sobie przynieść zaświadczenia od księdza, że go przeprosiłem bo ja wcale u księdza nie byłem tylko się wystałem przed kościołem i wróciłem do domu. Ojcu powiedziałem, że przeprosiłem księdza, że go obłapiłem za nogi i on mi wszystko przebaczył. Od tego czasu znielubiłem spowiedź boć zawsze mnie narażała na nieprzyjemności.

Życie moje płynęło cicho spokojnie. Byłem zadowolony z życia, mimo że rozkoszy mi ono nie dawało. Sądziłem, ja naiwny dzieciak, że ono tak zawsze płynąć będzie. Niestety bardzo prędko miałem się przekonać, że życie też przechodzi zmiany i burze wtedy kiedy się jej najmniej spodziewamy. Zacząłem szesnasty rok życia kiedy uderzył we mnie pierwszy grom życia burzy. Drogi mój ojciec nabawiwszy się choroby po trzech dniach tej choroby umarł. Złapało silne zapalenie płuc. Gdyby było ściągnąć lekarza w pierwszym dniu choroby możeby był ojca uratował lecz ojciec nie pozwolił przywieźć lekarza bo sądził, że to minie, a jak mówił szkoda było pieniędzy wydawać na lekarza. W drugim dniu dopiero kiedy

ojciec czuł się już bardzo chorym, wezwaliśmy lekarza lecz było już za późno. W pierwszej chwili oszalałem z rozpaczy. Później nie dałem sobie wbić w głowę, że naprawdę straciłem ojca. Uwierzyłem w tę straszną prawdę kiedy ojca już pogrzebano w ziemi. Kiedy poszedłem z bratem do księdza zapłacić pogrzeb ksiądz zażądał za pogrzeb tyle, że chcący mu zapłacić trzeba nam było sprzedać ostatnią krowę. Prosiliśmy i błagali nie chciał ustąpić aż ja z rozpaczy i żalu prawie oszalały rzuciłem się na księdza z pięściami co widząc ksiądz wypchnął nas za drzwi mówiąc, że z bandytami nie chce gadać. Dopiero kiedy stryj mój poważny człowiek poszedł do księdza ten opuścił z ceny i zabrał pieniądze które ojciec dostał za koniczynę. Zgodził się na mniejszą sumę bo ojciec był dobrym katolikiem i ludzie już zaczęli szemrać na księdza, inaczej byłby nie pochował ojca. Straciłem w ojcu i dobrego ojca, wychowawcę, przyjaciela, żywiciela i wszystko. Odtąd zaczynaliśmy myśleć sami o sobie.

Poszedłem służyć do leśniczego. Ciężko mi było. Miałem osiem krów do pilnowania. Wypędzałem je rano a na południe zganiałem do domu. W południe przez dwie godziny czasu musiałem od wszystkich krów wynieść nawóz, narąbać drzewa, nanieść wody do kuchni i t. d. o pierwszej jadłem obiad a o drugiej już musiałem krowy wypędzić do lasu. Największe utrapienie miałem wtedy. Las był wielki bo aż dwa tysiące prawie mórg w jednym obszarze. Musiałem pilnować aby krowy nie wchodziły w młode sadzonki drzew to znowuż spędzać zawsze do kupy by nie poginęły, zato wszystko miał mnie leśniczy okrywać tylko. Nieraz sobie wtedy zadawałem pytanie na co matki rodzą dzieci. Gdy ono małe, matka się natrapi namęczy nim trochę odchowa i po to tylko by później to dziecko oddać drugiemu za lichą strawę i jeszcze lichsze okrycie jego nędznej skóry. Tak jak było ze mną. Po trzech miesiącach mojej ciężkiej służby leśniczy widząc, że już ostatnie moje porcięta opadają ze mnie wziął mnie do miasta i kupił nowe ubranie. Była to tandeta pierwszej klasy lecz zawsze było to ubranie. Niestety niedługo się cieszyłem tym ubraniem bo mi je zabrał zpowrotem gdy po pięciu miesiącach tej służby chciałem uciec do domu, bo poprostu niemożliwem było dla mnie dłużej tam wytrzymać. Był to człowiek chciwy a była to jego pierwsza posada leśniczego. Kiedy przyjechał na tą posadę był goły jak ten przysłowiowy turecki święty, lecz że umiał kombinować po dwu latach służby już

był bogaczem. Miał osiem krów parę koni pełno świń, drobiu no i trochę gotówki w banku. Był to dobry spekulant. Drzewo które dostawał do palenia sprzedawał a na to miejsce posyłał stróża z furmanem i ci ścinali drzewa które były już uschnięte w ten sposób nie brakowało mu opału.

Było nas troje u niego na służbie t. j. ja, kucharka i moja siostra która przyszła służyć w dwa tygodnie później odemnie. On t. j. leśniczy jadał smakołyki których ja nawet w marzeniach swych nie jadałem i nawet nie widziałem, za to my sługi jadali jak ostatni nędzarze. Na chleb musieliśmy mleć sobie żyto w żarnach bo ten skąpiec tylko dla siebie meł zboże we młynie i to tylko pszenicę. On jadał chleb młyński pszenny a my żytni prześrutowany w żarnach. Długo tak trwało aż raz nas troje wpadło na pomysł by to zmienić. Oto namówiliśmy się i ja pewnego razu powiedziałem w kuchni przy dzieciach leśniczego, że inni pastuchy śmieją się ze mnie iż ja jadam chleb razowy u takiego pana jak leśniczy, a oni chociaż są zwyczajne chłopy jadają chleb biały młyński. Leśniczy był ambitny to też poskutkowało bo kiedy mu dzieci opowiedziały co ja mówiłem w parę dni później kazał zawieźć żyto do młyna i tam zrobić z niego dobrą mąkę. Odtąd jadaliśmy chleb biały młyński. Pomimo tego jednak nieświetnie nam się wiodło. Zawsze jadaliśmy ziemniaki i barszcz który nie grzeszył zbytnią tłustością, bo cóż kucharka co prawda okrasiła ziemniaki słoniną czy masłem ale tylko po wierzchu, dla leśniczego zebrała to okraszone z wierzchu a nam pozostawało zupełnie chude na spodzie. Mięso dawały bestje raz tylko na tydzień t. j. w niedziele i to niedużo, chleba też udzielali po kawałku bo im żal było to też po pięciu miesiącach takiej służby uciekłem do domu bo wolałem w domu niedojeść do syta aniżeli w takiej służbie być. Odtąd już pozostałem w domu.

W rok po śmierci ojca zapomniałem o tyle, że mogłem już swobodniej myśleć. Martwić się wciąż i płakać niedobrze, tak mi zawsze mówiono. Dzisiaj, jutro, czy za rok każdy musi umrzeć bo takie jest prawo natury. Ja jako siedemnastoletni chłopak przyjmowałem to z filozoficznym spokojem i zaczynałem zapominać bo rok czasu i owo filozoficzne tłumaczenie innych rany moje zadane tym strasznym ciosem zaczęły się goić. Zacząłem już myśleć o rozrywkach jakie może dać siedemnastoletni wiek człowieka, jego otoczenie, wieś i wogóle warunki w jakich się znajduje. Z całej ro-

dziny pozostała w domu jedna siostra i nas trzech braci. Siostra i jeden brat chodzili do pracy do dworu, a ja pomagałem matce jak mogłem.

Czytać książki, gazety, lubiłem bardzo, życie społeczno-kulturalne interesowało mnie to też wstąpiłem do miejscowego Koła Związku Młodzieży Wiejskiej. Przedtem już bo od czternastego roku życia służyłem z małymi przerwami z początku jako skaut, później w Strzelcu. W kole młodzieży wiejskiej pracowałem za dziesięciu, książkami się interesowałem o czem wszyscy wiedzieli to też już w pierwszym roku pracy mojej wybrano mnie do zarządu koła jako bibliotekarza. I nikt nie żałował tego. Pod moim zarządem biblioteka funkcjonowała dobrze. Nie tylko że dbałem o powierzoną mnie bibliotekę ale starałem się jak mogłem by członkowie mieli zawsze coś nowego do czytania. Chodziłem wszędzie prosiłem i zbierałem książki. Kiedy obejmowałem funkcję bibliotekarza było tylko trzydzieści książek, po roku czasu już liczyła biblioteka koła dwieście dwadzieścia tomów, ja sam potrafiłem w ciągu roku tyle książek zebrać. Dwa lata w kole pracowałem jako bibliotekarz. Prezesem koła był nauczyciel, kiedy zaś nauczyciela przeniesiono na posadę do innej wioski na jego miejsce mnie obrano prezesem za moje zasługi jakie położyłem dla tego koła.

W czasie kiedy zostałem przewodniczącym koła młodzieży wiejskiej zostałem wybrany sekretarzem zarządu ochotniczej straży pożarnej. W parę tygodni później zostałem wybrany sekretarzem oddziału związku Strzeleckiego. Na tych trzech stanowiskach wytrwałem aż do wyjazdu do Francji. Pracowałem najintensywniej ze wszystkich. Praca moja wydawała obfity plon, za to we wsi lubiano mnie i szanowano pomimo mojego ubóstwa. Nie lubiano mnie tylko w urzędach a dlaczego, zaraz napiszę. Otóż kiedyśmy założyli straż pożarną nie mieliśmy absolutnie nic. Wtedy na apel zarządu wieś cała opodatkowała się po 25 groszy z morgi. Ogólną uchwałę spisałem na papierze każdy gospodarz podpisał się a sołtys miejscowy miał tą uchwałę potwierdzić w urzędzie gminnym i zbierać to dobrowolne opodatkowanie się jako przymusowy podatek. Sołtys wziął ten papier z uchwałą i zamiast zrobić co do niego należało, to wrzucił to do szuflady i tam pozostało. Bał się tego zrobić bo posiadając 25 mórg pola według uchwały wypadało dużo na niego płacić a był sknerą w całym znaczeniu tego słowa. Chodziłem do

niego kilka razy upominając się aż nareszcie, tembardziej że zaczął szkodzić naszej straży, napisałem zażalenie do starostwa no i sołtys dostał 15 dni paki czyli mówiąc prościej aresztu z jednoczesnem poleceniem zwrócenia nam uchwały. Był to człowiek trochę ambitny pomimo swojej głupoty to też nie chciał on sam odnieść tej uchwały i nam oddać. Ja znowuż by go upokorzyć nie poszedłem sam po nią chociaż wiedziałem, że sołtys mi ją odda, lecz wkońcu widząc że sołtys sam mi tego papieru nie przyniesie poszedłem do urzędu gminnego, tam znowuż sekretarz gminy był jednocześnie przewodniczącym komisji przeciwpożarowej. Zachodzę ja do gminy i pytam sekretarza czy urząd gminy ma jeszcze władze jakąś nad sołtysem. Sekretarz pyta dlaczego, wtedy ja mu opowiadam o co się rozchodzi, jak sołtys zabrał mi drogocenny papier i nie chce oddać i t. d. Mówię sekretarzowi, że o ile do dwu dni nie będę miał tego papieru w rękach to jeszcze raz napiszę do starostwa a tego sekretarz obawiał się, bo starosta już go poprzednio zbeształ. Sekretarz popatrzywszy chwilę na mnie jak nie krzyknie „to tylko wasza głupia ambicja" powiada, ja mówię, że nie wiem jak to nazwać ale gdy urząd gminy nie może zmusić sołtysa do posłuszeństwa to w tym wypadku muszę się udać do wyższej władzy. Trochę my się posprzeczali nawet chcieli mnie z gminy wyrzucić za drzwi no ale na mojem stanęło bo na drugi dzień pomocnik sekretarza ze sołtysem potrzebny mi papier przynieśli.

Chociaż byłem młodym bo liczyłem wtedy niecałe 20 lat wszyscy się liczyli zemną. Byłem takim małym kacykiem swojej wioski i każdy mnie lubił bo byłem gotowy zawsze do usług każdego. Wioska moja liczyła 58 domów a ja dla każdego domu prawie pisałem listy, wszelkie prośby do urzędów, podania do sądów, apelację, wszystko to ja pisałem nie tylko dla swojej wioski ale i z sąsiednich wiosek korzystali z moich usług. Nikt mi za to nie płacił, nawet papier swój dawałem, za to poczciwe gospodynie znosiły mi mleko ile tylko chciałem czasami trochę sera czy masła jednym słowem w tym czasie już nie wiedziałem co znaczy głód a mleko spijałem już wiaderkami, zdrowy byłem i biały jak młoda panna, kiedy przyjechałem do Francji to Francuzi dziwili się, że w Polsce ludzie wyglądają tak biało.

Przypomniał mi się jednak wypadek związany z moją pracą

kulturalno-oświatową. Jednego razu chciałem urządzić zabawę taneczną na której urządzenie potrzebne było zawsze zezwolenie starostwa które zawsze było udzielane to też ja wnosiłem do starostwa tylko prośbę i zabawę urządzałem, tak jakbym miał zezwolenie w kieszeni bo starostwo zezwolenia nigdy nie przysłało nam, tylko telefonicznie zawiadamiało miejscowy posterunek policji i to wystarczało. Otóż jednego razu zaniosłem mą prośbę o takie zezwolenie do starostwa. Taką prośbę tylko oddawałem w starostwie nie troszcząc się o resztę. Była to zwykła formalność. Otóż kiedy zaniosłem mą prośbę proszę referentki by ją przyjęła a ona nic nie mówiąc pokazuje mi na zegar wiszący na ścianie. Patrzę się brakuje pięć minut do dziesiątej a o dziesiątej dopiero przyjmowali prośby. Ja mówię wtedy że niewiele brakuje do dziesiątej a jej praca polega tylko na tem by przyjęła prośbę, ona powiada bym zaczekał i przyszedł po dziesiątej już w tymże czasie dłubie sobie w nosie to znowuż czyści paznokcie, to się ogląda w lusterku i pudruje. Widząc ja co się święci myśle sobie, czekajże bestjo już ja cię naucze i szczęście mi posłużyło wychodzę z biura do poczekalni, a tam już pełno ludzi. Stoje i słucham co oni mówią, a oni cóż skarżą się jeden przed drugim. Jeden powiada, że ma niewiele do załatwienia już dwa tygodnie jeździ i nie może załatwić, inny mówi, że już jeździ cały miesiąc w każdy czwartek to znaczy już był cztery razy a do domu ma tylko 24 kilometry. Jeden jeździ, drugi jeździ i trzeci jeździ i nie mogą załatwić swych spraw. Wysłuchałem ja tego wszystkiego i mówię do nich „czekajcie" to się załatwi. Przechodzę wtedy za kratę i idę wprost do pokoju starosty co widząc woźny krzyczy, że tam są pokoje starosty, do biura trzeba iść na lewo, ja mimo to idę dalej wtedy woźny krzyczy, że tam nie wolno i łapie mnie za marynarkę zaczęliśmy się szarpać obydwaj gdy w tymże momencie wyszedł starosta, skoczył do woźnego a mnie pyta co jest, wtedy ja mu opowiadam jak to chłopi jeżdżą ze swymi sprawami do starostwa już po pięć razy niektórzy mają więcej jak po 20 kilometrów drogi i oni nigdy nie mogą swych spraw załatwić. Starosta mnie wysłuchał, przyszedł do chłopów i pyta czy to prawda. Ci mu opowiedzieli wszystko. Gdy skończyli starosta wpadł jak bomba do biura, no mieli się z pyszna ci biuraliści. Słysząc jak starosta krzyczy nie zazdrościłem tym w biurze a zwłaszcza tej referentce bo jej się najwięcej dostało. I pomogło to bo w tym

samym dniu w jednej godzinie zostali wszyscy załatwieni a ja czułem się zadowolony bo się zemściłem i chłopi mi zapłacili jeszcze dobry obiad. Tak postępowałem zawsze bo pomyśleć tylko chłop pracuje na wszystkich a gdy czasami ma coś do załatwienia w urzędzie to musi buty zedrzeć nim mu załatwią biuraliści.

W roku 1926 uderzył we mnie drugi grom niemniej bolesny od pierwszego. W marcu tegoż roku umarł mi brat starszy. Chorował trzy lata bez żadnej opieki lekarskiej i bez lekarstw. Umarł na cukrzycę a przecież mógłby był żyć jeszcze gdybyśmy żyli w innych warunkach. Na lekarza nie było nigdy pieniędzy, jak i też na lekarstwa. Gospodarka nasza marnie stała ja chodziłem do roboty do dworu lecz to co ja zarabiałem wystarczało zaledwie na opłacenie podatku i na najniezbędniejsze potrzeby domowe. Kiedy brat umarł, zgóry skazany był na śmierć bo tak na wsi bywa, że kto raz zachoruje to albo straci gospodarkę o ile taką posiada albo umrzeć musi, tak też i było z bratem moim. Śmierć jego boleśnie mnie dotknęła lecz prędzej zapomniałem tego brata aniżeli ojca czy też drugiego brata najstarszego który umarł w rok później.

W roku 1927 uderzył we mnie trzeci cios niemniej bolesny od pierwszego. W tym roku pierwszego maja umarł mój drugi brat. O ile straty pierwszego brata nie odczułem dosyć boleśnie o tyle strata tego drugiego zraniła mi serce. Był on poza ojcem wszystkiem dla mnie i był to człowiek którego nie można było nie kochać. Uczyłem się u niego i nauczyłem się bardzo wiele. Posiadał on silną niezłomną wolę. To co postanowił zrobić musiał, musiał zrobić żeby największe przeszkody miał. Do celu swego dążył usilnie. Kiedy z wojska wyszedł nie miał literalnie nic a jedynie tam się nabawił choroby bo się zaziębił. Od dziecka już lubił zbierać różne drobiazgi a przeważnie stare monety które według mniemania innych nie miały żadnej wartości, on mimo to zbierał. Kiedy go zwolnili z wojska posiadał dosyć dużą szkatułkę pełną starych monet które sprzedał pewnemu pułkownikowi i ta drobna suma którą dostał za swoją kolekcję monet była zaczątkiem fortuny jego niezbyt wielkiej co prawda lecz zawsze to było coś. Kiedy z wojska wyszedł pracował u jednego fryzjera później wziął sobie tę samą rezurę w dzierżawę aż ją w końcu kupił, a przytem wydzierżawił inną i tak posiadał dwie rezury. Ożenił się z kobietą którąby porównać śmiało można było do anioła i czuł się szczęśliwym lecz szczęście

na tym świecie nie jest nigdy trwałem. Z przeziębienia którego się nabawił w wojsku dostał gruźlicy płuc. Bronił się jak mógł lecz nic nie pomogło, choroba jego zjadła wszystko czego się dorobił własną pracą w końcu został bez niczego i wtedy przyjechał do naszego domu. Gdy chcieliśmy sprzedać coś by go nadal leczyć nie pozwolił na to, gruźlica już płuca zeżarła wiedział iż jest skazany na śmierć. Na początku roku 1927 widząc już swój bliski koniec zrobił testament mocą którego jego ciało po śmierci miało wziąść prosektorjum do badań w Warszawie, 15 kwietnia szpital go zabrał do Warszawy a pierwszego maja umarł.

W listopadzie roku 1925 wyjechała najstarsza siostra moja do Francji. W trzy miesiące później siostra ściągnęła na zapotrzebowanie do Francji męża swego z dzieckiem i młodszą siostrę. Nam pozostałym na tych pięciu morgach zaczęło się wieść coraz gorzej. Nędzy wielkiej co prawda nie odczuwaliśmy lecz rozkoszy zbytniej też nie. Co przyszedł jaki grosz to trzeba go było stracić na chorego brata. Kiedy ten mimo to umarł zadłużeni trochę już nie mogliśmy dać sobie nijakiej rady. Młodszy mój brat posiadając już trochę praktyki poszedł pracować do fryzjera. Starszy mój brat ożenił się i pracował w kuźni swego teścia. W domu pozostałem tylko z matką ja i najmłodszy brat dziecko jeszcze. Widząc coraz gorszą sytuację zacząłem szukać pracy by biednej mej matce pomóc trochę lecz łatwiej było powiedzieć jak znaleźć pracę, mimo to nie upadałem na duchu. Pocieszałem matkę i sam siebie jak mogłem byleby się jakoś utrzymać. Wiara moja zrodziła we mnie ambicję która mnie podnosiła na duchu. Kiedy drugi brat chory przyjechał do nas na kurację z jednej strony zwiększyły się wydatki bo on potrzebował zawsze coś lepszego do zjedzenia, lecz za to siostry które zarabiały już nieźle we Francji zaczęły nadsyłać od czasu po parę złotych i to nam dużą pomocą było lecz to niedługo trwało. Dokąd mieliśmy krowę, ziemia nasza więcej dawała plonu lecz kiedy tę ostatnią krowinę sprzedaliśmy z powodu starości już nie mogliśmy się zdobyć na kupno innej i tak zostaliśmy bez niczego. Mieliśmy co prawda jeszcze dwie świnie lecz te nie dawały dostatecznej ilości nawozu a kupić sztucznego nawozu nie było za co to też ziemia się wyjaławiała coraz bardziej i co rok to gorszy plon dawała. Pozatem potrzeby nasze stale się zwiększały bo z jednej strony coraz to większe podatki nakładali, z drugiej

strony trzeba było żywności coraz to więcej dokupywać i to w czasie kiedy ta żywność była najdroższa to jest na t. zw. przednówku czyli na wiosnę i przed zbiorem nowego zboża, przed żniwami. I tak po żniwach kiedyśmy zebrali zboże trzeba było zaraz wymłócić i pozostawiwszy cośkolwiek sobie i na siew co potrzeba było, a resztę sprzedać poto by na wiosnę to samo zboże kupić płacąc dubeltowo. Ze ziemniakami robiło się to samo. Po jednym metrze po dwa sprzedawaliśmy zaraz po ich zbiorze a za te same ziemniaki wiosną musieliśmy płacić drugie tyle, bo wiosną ceny zawsze szły w górę na takie artykuły jak zboże czy ziemniaki. Tak przeszedł rok 1925/26, a w roku 1927 umarł mój brat. Sytuacja w moim domu stawała się coraz to więcej beznadziejną pomimo pomocy ze strony jednej i drugiej siostry z Francji. Co do mnie to aczkolwiek lubiłem pracę na roli nie kwapiłem się zbytnio pójść pracować u innych ludzi bogatszych tembardziej, że nie płacili zbyt dużo i to dawali pracę tylko we żniwa po żniwach trochę przy młóceniu zboża i przy kopaniu ziemniaków. Cały wolny czas pochłaniała mi praca społeczna, tak dla koła młodzieży wiejskiej lub dla straży czy Strzelca. Jeździłem zawsze w sprawach tych organizacji czy to na kursa urządzane przez centralne władze czy to na zjazdy zebrania różne, dosyć, że byłem wciąż w ruchu i pracę tę tak umiłowałem, że nieraz pomimo potrzeby wolałem opuścić dobry zarobek gdy potrzeba było jechać na kurs czy też na jakiś zjazd urządzony przez którąkolwiek z tych organizacji. Odbyłem parę kursów urządzonych przez centralny związek młodzieży wiejskiej tak samo cztery kursy ochotniczej straży pożarnej. Pojechałem również na kurs Strzelecki sześciotygodniowy. Po odbyciu tego kursu miałem być instruktorem obwodowym, cieszyłem się z tego lecz na tym kursie takiego łupnia nam dali, że po piętnastu dniach zabrałem swoje manatki i zwiałem cichaczem. Wstydziłem się co prawda później no ale wolałem już to jak taki kurs, gdzie większa panowała dyscyplina aniżeli w wojsku. Bo proszę za to, że się trochę spóźniłem plutonowy kazał mi ziemniaki obierać przez cały tydzień i po ćwiczeniach kiedy to inni bawili się w najlepsze ja musiałem przygotowywać ziemniaki na zupę dla wszystkich a czego ja w domu nigdy nie robiłem, wymyślał przytem plutonowy od zielonych rekrutów i t. d. Oczywiście, że ja przyzwyczajony do wolności nie mogłem długo wytrzymać i pewnego wieczoru kiedy się

wszyscy bawili a plutonowy sądził, że ja ziemniaki jak zwykle obieram z łupin, wziąłem swój plecak i drapnąłem stamtąd. Najchętniej pracowałem w Strzelcu dokąd mnie nie zniechęciło postępowanie ludzi którzy stali na czele obwodu. Otóż kiedy mieliśmy już jakieś widoki przed sobą, kiedy byliśmy już dobrze zorganizowani tak, że nasz obwód liczył 47 oddziałów, kupiliśmy sobie sztandar który pewnej pięknej niedzieli postanowiliśmy poświęcić. Na poświęcenie tego sztandaru zaprosiliśmy samego Dziadka który był naszym przywódcą duchowym. Oczywiście, że Dziadek nie mógł przyjechać osobiście to rozumieliśmy dobrze to też kiedy nam przysłał w zastępstwie pułkownika radzi byliśmy i aby relacja Jego zastępcy wypadła dobrze dla nas staraliśmy się by ta uroczystość wypadła jak najlepiej. No i wszystko poszło dobrze. Zjechało się moc ludzi którzy przy wbijaniu gwoździ pamiątkowych w sztandar złożyli moc grosiwa w brzęczącej monecie jak i też w naturze. Wszystko było ładnie i odbyło się w ustalonym porządku cóż kiedy zakończenie wypadło bardzo nieładnie. Kiedy się cała uroczystość skończyła cały sztab władz obwodowych licząc od frajtra aż do prezesa zarządu obwodu, przytem poprzylepiali się ich ciocie wujki i kumotry różni sprzedawcy domokrążni aptekarze cyruliki jednem słowem cała śmietanka małomiasteczkowa i ludzie którzy ze Strzelcem nie mieli nic wspólnego. Zebrali się oni na sali domu strażackiego gdzie czekały już na nich stoły uginające się pod ciężarem gęsiny, kurzyny, świniny i t. d. Sprowadzili sobie wyborową orkiestrę która im przygrywała przy wbijaniu tych smakołyków, a plebs to jest chciałem powiedzieć my Strzelcy w drodze wielkiej łaski pozwolono nam zaglądać oknami i dziurkami od kluczy we drzwiach i patrzyć się jak oni wznoszą kielichy i wiwatują na cześć Strzelca to znaczy nas, czuliśmy się dumni z tego, tylko że kiedy dwa dni przedtem (bo trzy dni obozowaliśmy przed uroczystością) uskarżaliśmy się, że mięso którem nas żywiono jest bardzo żylaste to nam zarzucono kłamstwo bo według ich mniemania była to cielęcina lecz jak mogliśmy określić z twardości tej cielęciny to ona przed zabiciem liczyła sobie najmniej osiemnaście wiosen. Koniec końcem wszyscy byliśmy radzi z tej uroczystości i my Strzelcy bo widzieliśmy i uczyliśmy się jak można tanim kosztem nawbijać się gęsiny i oni t. j. nasze władze obwodowe bo się dosyć nawbijali tej gęsiny no i Mosiek rzeźnik też był zadowolony bo zarobił na dwu cielętach

liczących razem najmniej 36 wiosenek. Byliśmy radzi też z placu który nam podarowano na strzelnice tylko, że... tej strzelnicy nie było już za co urządzić bo pieniądze które zebraliśmy a było tego najmniej 13 setek roztopiły się w uczcie nie wszystkie co prawda bo pozostało coś z tego około 5 setek to te poszły na umundurowanie najbiedniejszych bo bogatsi to sami płacili za swe umundurowanie. Kiedy później widząc, że nasze władze obwodowe nie spieszą się z obliczeniem dochodu z uroczystości, zwołaliśmy ogólne zebranie tych 47 oddziałów nie mogli oni znaleźć notatek które pogubili to też kiedy ja co patrzyłem się dziurką od klucza, jak oni opychali się gęsiną, zażądałem kategorycznie ujawnienia dochodu i rozchodu boć przecież te dwa cielęta liczące po 18 wiosen nie mogły połknąć całego dochodu to mój prezes skoczył do mnie jak oparzony i taka oto toczyła się rozmowa między nami. Ja krzyczę już bo mnie zagłuszono. Proszę o ujawnienie dochodu z uroczystości. Prezes (melancholijnie) kiedy bo... zginęły nam notatki, musimy je znaleźć. Ja (z ubolewaniem) żałuje lecz zdaje mi się, że notatek należy poszukać na sali domu strażackiego. Prezes: Proszę nie żartować a zwracając się do innych mówi: Wybaczą panowie lecz to się jakoś załatwi. Ja (już twardo) zechcą się panowie wyliczyć dzisiaj. My tego żądamy. Prezes (oburzony) za kogo nas pan bierzesz. Ja: za tych kim właściwie jesteście. Prezes (gwałtownie) A pan czem jest co tak głos podnosisz. Ja mówię sekretarzem tylko w Strzelcu lecz przedewszystkiem jestem dobrym Polakiem i... Strzelcem. Prezes zaś oburzony nakrzyczał się mówiąc że odtąd nie jestem niczem bo on mnie ze Strzelca wyrzuci, lecz to mu się już nie udało zato zniechęcenie zaczęło ogarniać coraz więcej dobrych Strzelców, tak że kiedy odjeżdżałem do Francji marnie już było a cały obwód ledwie się na nogach trzymał. Zły przykład bywa zaraźliwy tembardziej gdy go dają ludzie niepowołani. W czasie który opisałem miałem już lat dwadzieścia. Żyłem tak z dnia na dzień bez żadnego celu, bez żadnych widoków na przyszłość. Nie mając żadnego fachu w rękach nie spodziewałem się niczego dobrego na przyszłość. Matka moja chciała bym się ożenił i spłacił rodzeństwo z tego kawałka ziemi lecz mnie się małżeństwo nie uśmiechało. W dwudziestu latach ożenić się i napłodzić tuzin dzieci by te w nędzy znowuż żyły, to już nie mogłem się zdecydować na coś podobnego. Pragnąłem innego życia, innej

przyszłości jak ta którą mi matka chciała zgotować. Gospodarowanie na pięciu morgach ziemi z których w dodatku jedna morga stała ugorem nie należy do przyjemności. Słyszałem wiele o Ameryce o Francji nawet i o Niemczech. Pragnąłem gdzieś wyjechać. Do Ameryki nie puszczali a i moje stosunki majątkowe nie pozwalały myśleć o czemś podobnem, o Niemczech też nie myślałem bo tam wpuszczali tylko na roboty sezonowe, pozostała więc tylko Francja. Marzyłem zawsze o wyjeździe do Francji lecz się nie spieszyłem z tym wyjazdem. Tymczasem w domu było coraz gorzej. Co rok to mieliśmy gorszy plon. Siostry które co miesiąc przysyłały po parę złotych pomagały dużo lecz to nie wystarczało. Mnie też od czasu do czasu gdzieś wpadła dobra praca jak poszywanie budynków słomą, lecz to rzadko. Zacząłem się trochę nawet i bawić w politykę która mi też parę groszy przyniosła od czasu do czasu lecz to wnet porzuciłem bo chciałem nadal pozostać człowiekiem uczciwym jakim mnie wychował ojciec, dlatego też porzuciłem ten sposób zarobkowania. Ubogi byłem. Mając lat dwadzieścia byłem już jakby nie było kawalerem mającym trochę ambicji. Chciałem być ubranym a nie miałem za co się ubrać. Miałem tylko jedno ubranie które mi brat pozostawił lecz to z biegiem czasu niszczyło się no i jako kawalerowi wstyd mnie było chodzić stale w jednym ubraniu, lecz na nowe nie mogłem zarobić. Cóż miałem robić, chcący być wolniejszy sprowadziłem brata z żoną by ci gospodarowali. Sądziłem, że im się lepiej powiedzie. Brat miał trochę gotówki a przytem jako kowal, gdyby sobie postawił kuźnię mógłby jakoś żyć złączywszy zarobek z kuźni z tem co zbierze z pola. I cóż, ze wszystkich błędów które kiedykolwiek popełniłem sprowadzenie brata do domu było największym błędem. Brat jak brat ciepłe piwo lecz jego żona okazała się najgorszą jędzą. Kiedy ja byłem w domu, z obawy zapewne była dobrą kobietą, lecz kiedy mnie zabrakło w domu na parę dni kłóciła się z matką do niemożliwości. Wtedy to postanowiłem jechać do Francji wysyłając przedtem matkę. Nędza moja już mi zbrzydła to też umówiłem się z siostrą i ona wyrobiła zapotrzebowanie dla matki, tak że w końcu 1927 roku matka pojechała do Francji. O ile przedtem mogłem się nazwać tylko nędzarzem to kiedy sprowadziłem brata i kiedy matka wyjechała do Francji już nie znalazłem terminu na określenie mojego położenia. Oszukałem się również co do brata, ja sądziłem, że on ma trochę

więcej oszczędności więc będzie mógł po ludzku gospodarzyć, tymczasem jak się okazało to on miał bzika bo tylko coś około 280 zł które były niczem. Gdy te stracił był niemal takim bogaczem jak i ja, zaczął się więc ograniczać. Przedtem ja jako że mam dobre serce zapisałem bratu moją część z tego mająteczku, bo i cóż chcący się podzielić tem gospodarstwem trzeba go było sprzedać a to było niemożliwością ze względu na małoletnie dzieci które zmarły brat pozostawił. Pozatem nawet gdyby się dało sprzedać niewieleby wypadło na każdego a ja mając zamiar jechać w świat przytem myślałem sobie różnie się może trafić albo już nigdy nie wrócę albo się czegoś w świecie dorobię więc też nie opłaci się dzielić tą drobnostką, niech jeden ma, może się czegoś prędzej dorobi no i pomyślawszy tak zapisałem mu moją część. Dokąd zapisu nie zrobiłem bratowa moja dobra jeszcze była, nawet bestja często mi paczkę dobrego tytuniu kupiła lecz kiedy już papier z moim zapisem miała w swych rękach to adiu Fruziu ani jednej paczki tytuniu już nie kupiła a przytem zaczynałem już być we własnym domu intruzem bo tak to już bywa na świecie, kiedy z nas ktoś może korzystać wtedy jesteśmy pożądani lecz kiedy z nas zedrą ostatnią skórę, że już nic do zdzierania nie pozostanie wtedy stajemy się zbyteczni. Kiedy matka pojechała do Francji pozostało nas trzech braci bezdomnych. Jeden młodszy odemnie pracował u fryzjera więc lepiej mu się trochę wiodło, najmłodszego dałem do służby pasać krowy a ja pozostałem sam na miejscu. Nieświetnie mi się wiodło bo jedzenie niekiedy musiałem zdobywać szturmem i częściej musiałem pracować w domu bo bestia moja bratowa powiedziała, że jak nie będę nic robił to i jadł też nie będę a przecież trawą nie mogłem się żywić to też często mnie zaprzęgała do roboty niewiele tam co prawda miała ze mnie pociechy bo jak to mówią, że przymusowy pacierz jest Panu Bogu nieprzyjemny, tak też i przymusowa praca niewiele pożytku daje, jednak nie na rękę mi to było bo jak zwykle praca społeczna wiele mi czasu zajmowała i ta przymusowa praca w domu bardzo mi przeszkadzała to też szukałem sposobu jakby się można od tej pracy uwolnić i znalazłem dobry sposób bo jednego razu szukając dobrze znalazłem ten nieszczęsny papier z moim zapisem, no i to pomogło bo poprostu powiedziałem jej, że o ile nie da mi spokoju z tą jej pracą to ja mój papier zniszcze a ona będzie mieć figę

i pomogło bo odtąd już miałem spokój. Mimo tego wszystkiego nie mogłem tak dłużej pozostać, co prawda to siostry moje co miesiąc przysyłały mi to 50 złotych to 70 zł. ale cóż kiedy koleżeństwo zjadało wszystko a ja kiedy potrzebowałem pójść do miasta to sobie musiałem spodni pożyczać bo ja miałem tylko jedne jedyne spodnie na codzień t. j. robocze. W końcu tak mi to wszystko zbrzydło, że raz już postanowiłem wyjechać do Francji, tembardziej że słyszałem jak tam ludzie dobrze żyją, jak dobrze zarabiają i siostry mi pisały, że dobrze im się powodzi, jednem słowem wymarzony raj. Napisałem wtedy by mi siostra wyrobiła zapotrzebowanie jaknajprędzej, lecz łatwiej to było powiedzieć jak wykonać. Siostra moja zapłaciła drogę dla mnie a dla najmłodszego brata miał gospodarz zapłacić u którego miał pracować. Zapotrzebowanie zrobił jeden fermier czyli mówiąc po polsku rolnik. Miałem jechać jako robotnik rolny lecz już miałem pracę zamówioną w fabryce w której pracował szwagier i siostra. Kiedy siostra mi napisała, że zapotrzebowanie ów rolnik już zaczął wyrabiać, że wkrótce będę mógł wyjechać już do Francji z czego się z jednej strony cieszyłem bo bieda mi już dogryzła do ostatniego z drugiej strony żal mi było opuszczać nie tyle kraju ile tych organizacyj w których pracowałem. Po trzecie znowuż żądza poznania trochę świata pchała mnie do wyjazdu, żyłem w rozterce nie wiedząc co począć, co zrobić.

Tymczasem upragnione przezemnie zapotrzebowanie jakoś nie przychodziło. Gospodarz który je wyrabiał starał się przyspieszyć lecz ze względu na mego brata który miał jechać razem zemną a który był małoletnim bo liczył dopiero wtedy pietnaście lat, potrzeba było dużo starań to też wyrabianie mojego zapotrzebowania trwało pięć miesięcy podczas gdy zwyczajnie robiło się takie zapotrzebowanie jeden najwyżej dwa miesiące. Mnie tymczasem zaczęło to wszystko denerwować bo po prostu nie wiedziałem czego się mam trzymać. W domu będąc pracy nie szukałem bo się spodziewałem nadejścia zapotrzebowania codzień, tymczasem był już maj a ja go jeszcze nie miałem. Kiedy przeszedł czerwiec i przyszedł sierpień a ja jeszcze zapotrzebowania nie otrzymałem zaczęło mnie to już gniewać. Nareszcie dziesiątego sierpnia dostałem papier który gdy rozwinąłem okazał się tem zapotrzebowaniem. Radość moja nie miała granic. Już o niczem innem nie myślałem jak tylko o tym wyjeździe. Papiery jakie mi były potrzebne już miałem wyrobione tak, że tyl-

ko pojechałem do biura pośrednictwa pracy po bilet wolnej jazdy koleją do punktu zbornego Mysłowice. Terminu stawienia się do Mysłowic miałem sześć dni. Szesnastego sierpnia musiałem być w Mysłowicach a z domu wyjechałem o jeden dzień wcześniej.

Kiedy przyjechałem do Mysłowic i zgłosiłem się rano do biura pośrednictwa pracy już było tam przeszło tysiąc ludzi. W biurze byli bardzo wymagający. Najmniejszego świstka w żądanych papierach nie musiało brakować, bo zaraz odsyłali do domu. Tak trafiało się, że ktoś miał imię czy nazwisko przekręcone też nie przyjmowali. Niemało tam było płaczu i pomstowań. Na jednej sali odbierali papiery a na drugiej sali wizytował lekarz. Gdy zaszedłem do biura drżałem na samą myśl by coś nie znaleźli niewłaściwego w moich papierach. Papiery miałem w porządku to też kiedy dostałem kartę na wizytę lekarską odetchnąłem z ulgą. Na wizycie również poszło mi dobrze byłem zdrowy to też po krótkim badaniu wpuszczono mnie wraz z innymi na podwórze i do budynków przeznaczonych dla nas. Gdy już byłem pewny, że pojade, że już jadę do Francji cieszyłem się jak małe dziecko, przepojony byłem myślą poprawy bytu i ujrzenia szerszego świata.

Zaraz w Mysłowicach odczułem tą poprawe bytu. Jeść dawali dobrze a chleba to już było za dużo. Chleb leżał porozrzucany wszędzie bo dużo było takich co z domu ze sobą ponabierali dużo chleba. Trzy dni obozowaliśmy w Mysłowicach tam nas przegonili przez łaźnie tak, że każdy wymyty i odświeżony czuł się inaczej jak zwykle. Dużo ludzi odpadło jednak z tych co przyjeżdżali nawet i na zapotrzebowanie. Ktoś miał papiery w nieporządku, drugi znowuż niezbyt zdrowy, lekarz nie puścił. Płakali oni i pomstowali cały świat bo niejeden z nich wysprzedał wszystko co posiadał będąc pewny, że we Francji dorobi się czegoś, tymczasem w Mysłowicach zawrócili a ci nieszczęśliwi nie mieli już do czego wracać. Wielu było takich co kombinacją chcieli się jakoś wścibić do transportu ale nie mogli nic zrobić. Wchodzili oni na mury podwórza w którem my wybrańcy obozowali i prosili nas o pomoc, ale cóż kiedy my sami bezsilni byli. Mnie jakiś młody człowiek dawał 50 złotych bym się zgodził wsadzić go do paczki i tę paczkę nadać jako bagaż. Oczywiście, że miałem dobry apetyt zarobić te 50 zł. ale się bałem by tego ktoś nie odkrył bo w tym wypadku musiałbym się pożegnać z podróżą do Francji. Gdy już było

wszystko przyszykowane, kiedy kontrakty podpisaliśmy wszyscy nastąpił odjazd. 800 osób odjechało po trzech dniach a coś około 200 jeszcze pozostało do następnego transportu. Wesoło było w Mysłowicach, mimo to dłużył mi się czas bo pragnąłem jaknajprędzej ujrzeć tę tak wymarzoną Francję i moją rodzinę. Przed odjazdem transportu przemawiał inspektor biura pośred. pracy z którego przemowy utkwiły mi dobrze w pamięci pewne zdania bardzo aktualne w czasie w którym pisze ten pamiętnik. Otóż namawiał do zgody i do jedności na obczyznie powiedział przytem przykładem, że jeden niemiec to beczka piwa, dwu niemców to cały browar a trzech niemców to wojna światowa, o polakach zaś powiedział, że jeden polak to zero, dwu polaków kłótnia a trzech polaków to cztery partje polityczne. Dzisiaj patrząc co się dzieje tutaj na wychodztwie przyznaję słuszność temu powiedzeniu.

W stronicach tych zawarłem pierwszą część swego życia gdyż odtąd życie moje popłynie zupełnie inaczej. Inny bieg ono wzięło nie ten o którem śniłem. Inny kraj, inne obyczaje, a od a do z, wszystko inne więc też i życie innem się stało.

* * *

Transport z Mysłowic odjechał wieczorem. Zapakowali nas jak śledzie osiemset ludzi do jednego pociągu mimo to nie było ciasno. Porządek przy wsiadaniu był wzorowy gdyż służba biurowa jak i też kolejowa dobrze się sprawiała. Kiedy pociąg ruszył odetchnąłem z ulgą, byłem już pewny, że bez przeszkód zajadę do miejsca przeznaczenia. Granicę niemiecką przejechaliśmy nocą jak również i czechosłowacką. Nie wiem już jak jechaliśmy, dosyć że kiedy noc minęła a nastał dzień jechaliśmy przez Czechosłowację. Podróży tej nie zapomnę nigdy. Wesoło nam było, prawie w każdym wagonie znalazł się jakiś muzykant który nas rozweselał czy to śpiewem czy muzyką. Bez przestanku słychać było to rzewne tony skrzypiec to znowuż harmonji czy smętne dumki ukraińców których jechało dużo. Kiedy się zrobił dzień można się było upajać pięknym krajobrazem Czechosłowacji. Ja bedąc wychowany na wsi nie widziałem nic. Z główniejszych miast polskich znałem trochę tylko Warszawę i Kielce, powiatowe i gminne swoje miasta. Nic też dziwnego, że byłem poprostu oczarowany krajobrazem Czechosłowacji. Przejeżdżaliśmy przez miasta, mijaliśmy góry skaliste, pa-

górki. Zieloność pól czechosłowackich, wielkie rzeki. Podziwiałem wielkie gmachy w Pradze czeskiej gdzieśmy się zatrzymali pół godziny. W drodze dostawaliśmy jedzenie trzy razy na dzień. Kiedy dojeżdżaliśmy do wyznaczonego miejsca pociąg się zatrzymał na dłużej a my wtedy schodzili gdzie była kuchnia i dostawaliśmy zupę czy coś innego, tak że głodu nikt nie czuł. Gdy nas nakarmiono wszystkich pociąg ruszał dalej. Kiedy przejechaliśmy granicę niemiecką już nie pamiętam. Jadąc przez Niemcy podziwiałem przepiękny krajobraz niemiecki. Widziałem plantacje chmielu, tytuniu, na południu winnice. Podziwiałem bite drogi obsadzone drzewami. Widziałem dużo sadów owocowych. Wszystko mnie do tego stopnia interesowało, że nawet o spaniu nie myślałem chociaż dwie noce prawie nie spałem.

Kiedy przejechaliśmy granicę francuską była noc i w nocy przyjechaliśmy do punktu zbornego już na ziemi francuskiej Toul skąd byliśmy rozsyłani każdy do miejsca swego przeznaczenia, w Toul'u musieliśmy pójść spać z pustymi żołądkami. Według obliczeń pociąg z transportem emigrantów miał nadejść z wieczora. Zupa dla nas już była przyszykowana lecz nieszczęściem dla nas coś się popsuło w pociągu. Staliśmy w polu coś około dwu godzin, kiedy zajechaliśmy do Toul służba biurowa już spała, trzeba było i nam chcąc nie chcąc pójść spać bez kolacji. Mogliśmy tylko napić się kawy dowoli która płynęła z kranu jak woda do specjalnego wiadra. Kawa była dobra słodzona to też wielu z nas napiło się jej dosyć. Łóżka były dobre to też spaliśmy dobrze kiedy rano nas strasznym krzykiem zbudzono. Na śniadanie dostaliśmy po kawałku chleba i kawę. Po śniadaniu znowuż musieliśmy odbyć wizytę lekarską po której trzech ludzi zawrócili którzy gdzieś w drodze złapali chorobę weneryczną. Cały ten dzień odbywało się podpisywanie to odbieranie i oddawanie papierów, tak że dopiero wieczorem byliśmy wszyscy gotowi do odjazdu lecz ci wszyscy którzy mieli najdalej jechać. Ja z bratem należałem do ich liczby ponieważ miałem do odbycia jeszcze coś około 800 kilometrów. Wieczorem tego dnia dostałem na siebie i brata jeden chleb dwukilowy który swoją formą podobny był do koła od wozu tak jak obwarzanek polski. Pozatem dostałem jedno pudełko z siekanem mięsem i jedną konserwę z rybami. Na drugi dzień rano odprowadzeni przez przewodnika na pociąg odjechaliśmy każdy do swego miejsca przeznaczenia.

W drodze już przekonałem się, że jedzenie francuskie nie na moje podniebienie, bo kiedy rozpieczętowałem konserwę z rybami nie mogłem ich jeść, przez gardło nie chciały bestje przejść. Brat mój również nie mógł jeść wobec czego wyrzuciłem tą konserwę przez okno. Kiedy zjedliśmy z bratem konserwę mięsną na obiad nie pozostało nam nic, jedynie sam chleb. Pieniędzy nie miałem, bo nakupiłem za resztę pieniędzy tytuniu w Czechosłowacji od przekupniów którzy oblegali nasz pociąg sprzedając piwo, lemonadę, papierosy i tytuń. Tam też straciłem ostatnie pięć złotych myśląc, że w drodze kiedy nam jeść dadzą są mi już niepotrzebne pieniądze. Jechałem z Toul'u dosyć długo, bo dopiero wieczorem dojechałem do Lyon już w południowej Francji. W Lyon służba kolejowa nas wypędziła z pociągu gdyż mieliśmy jechać dalej już innym pociągiem. Do Lyon jechało nas jeszcze dużo emigrantów nie wiedząc o sobie dopiero w Lyon znaleźliśmy się wszyscy. Kiedy zeszliśmy z pociągu staneliśmy bezradni. Ze służbą kolejową mogliśmy się porozumieć tylko na migi. Nie było ani jednego z pomiędzy nas ktoryby mógł się porozumieć, to też sprawiło nam niezmierną radość kiedy przybył do nas zbitych w kupę urzędnik z konsulatu w Lyonie. Ten nas dopiero powsadzał do pociągów gdzie komu się należało. Sami nie dalibyśmy sobie rady bo dworzec w Lyonie jest wielki gdyż jest to miasto które stoi na trzeciem miejscu po Paryżu pod względem rozjazdu pociągów. Z Lyonu do miejsca przeznaczenia miałem jeszcze do odbycia 150 kilometrów przeszło, w dodatku nocą. Martwiłem się jak ja znajdę swoją stację do wysiadania. Rodzina pisała, że nie może wyjechać po nas na stację, dlatego też na każdej stacji prawie dawałem bratu kontrakt (bo ja się niestety wstydziłem) a on pokazywał ludziom którzy siedzieli w tym samym wagonie co i ja. Był to najlepszy sposób porozumienia się gdyż kontrakt był w języku polskim i francuskim to też każdy kto spojrzał na kontrakt wiedział kto ja jestem i o co się rozchodzi, każdy więc tłumaczył jak mógł ale cóż z tego kiedy ja nic nie rozumiałem. Nabrałem dopiero otuchy kiedy na pewnej stacji wsiadł do mojego wagonu jakiś może 45 lat liczący dobroduszny jegomość. Temu gdy pokazałem kontrakt zaczął coś długo tłumaczyć i pokazywać na migi z czego się domyśliłem, że on chciałby kogoś ściągnąć na kontrakt do pracy, lecz nie wie jak się to robi, tyle się domyśliłem a przytem byłem pewny, że o ilebym

dojechał do swojej stacji gdzie należało mi wysiąść to on mi powie o tem. Wyjął przytem paczkę papierosów i paliliśmy obydwaj jeden papieros po drugim i jechaliśmy jak najlepsi przyjaciele. Kiedy ujechaliśmy już spory kawał drogi wyciągnął on z walizki swej chleb z szynką i serem i kazał jeść, oczywiście że skorzystałem z zaproszenia i jadłem co mi dawał. Kiedy skończyłem nie wiedząc jak się mówi po francusku dziękuje, uchyliłem tylko czapki i kiwnąłem głową, zrozumiał mnie dobrze bo podał mi rękę i mocno uścisnął śmiejąc się przytem dobrodusznie. Przemiły był to człowiek gotów byłbym go pokochać jak ojca. Jechaliśmy dosyć długo gdy na jednej stacji kazał mi zejść zrozumiałem go dobrze i myślałem, że już jestem na miejscu lecz jeszcze daleko miałem jechać a tu miałem tylko pociąg zmienić. Człowiek ten dobra dusza gdy pociąg stanął pożegnał się ze mną i bratem jak z dobrymi znajomymi. Uścisnął nam ręce dając mi paczkę papierosów na dalszą drogę. Kiedy zaś tutaj zeszedłem stanąłem bezradny na peronie. Nie wiedziałem co zrobić ze sobą. Pokazywałem mój kontrakt pracy kolejarzom a ci mi pokazywali na budynek stacyjny z czego się domyśliłem, że trzeba tam pójść, lecz i tutaj nie wiele mądrzejszy się stałem. Stacja była wielka poczekalni dużo ja zaś nie wiedziałem gdzie mam wejść dokąd mam czekać i który mój pociąg to też spotkawszy młodego człowieka który obudził we mnie zaufanie podszedłem już sam i pokazuje mu kontrakt a on spojrzawszy na niego powiedział coś czego nie zrozumiałem, wtedy pokazał mi wszystkie pięć palcy swojej ręki co zrozumiałem pięć lecz nie wiedziałem co to znaczy. On poszedł a ja stoję w miejscu dopiero gdy ten przechodził z powrotem i widząc, że w miejscu stoję, że zapewne go nie zrozumiałem doszedł do mnie, wyjął swój zegarek i pokazuje mi na godzinę piątą przytem rękę przyłożył do twarzy i pochylił głowę wtedy dopiero zrozumiałem, że mam pociąg o piątej rano bo wtedy była dopiero dziesiąta co widziałem na jego zegarku i że mogę spać do piątej chcący zaś być pewnym wziął mnie za rękę i zaprowadził do poczekalni tam jeszcze raz pokazał mi, że mogę spać. Wszystko dobrze było lecz jak małe bezradne dziecko porównywałem siebie do dziecka bo naprawdę takim bezradnym dzieckiem byłem. Nie rozumiejąc mowy francuskiej, nie wiedząc gdzie jadę, gdzie mam wysiadać, który pociąg brać, najmądrzejszy by zgłupiał w ta-

kich okolicznościach a cóż dopiero ja co mało nawet i Polskę znałem.

Przespałem się parę godzin na ławce w poczekalni. Kiedy się obudziłem była trzecia rano. Obawiałem się usnąć z powrotem bym nie przespał swego pociągu, kiedy nadszedł czas wyszedłem na peron i tu jak zwykle pokazawszy mój kontrakt jednemu kolejarzowi ten mnie zaprowadził do pociągu. Szczęście mi służyło nadal bo do tego samego wagonu gdzie ja byłem weszło dwoje młodych ludzi którym po upływie pewnego czasu pokazałem swój kontrakt który był najlepszym przewodnikiem. Ci dwoje popatrzywszy na adres dawali mi na migi do zrozumienia, że jeszcze trzeba dalej jechać dopiero kiedy dojechałem do stacji gdzie należało mi wysiadać oni kazali mi zejść. Zeszedłem więc z pociągu i za drugimi podążyłem do wyjścia z dworca kolejowego. Gdy się znalazłem po zewnątrz dworca stanąłem chwilę bezradny gdy jakiś młody człowiek podleciał do mnie i pokazuje mi bym siadał do auta pasażerskiego które stało niedaleko. Ja oczywiście dobrze zrozumiałem że on mi każe wsiadać do auta lecz nie mając pieniędzy bałem się siadać bo myślałem, że kiedy on zażąda zapłaty to ja nie będę mu miał czem zapłacić. Ja się waham siadać do auta a on mnie ciągnie wtedy ja wyciągam swój kontrakt przytem trę jeden palec o drugi i kiwam przecząco głową sądząc, że on mnie zrozumie, że ja nie mam pieniędzy no i zrozumiał mnie bo w tej chwili pokazuje na nazwisko gospodarza które figurowało na kontrakcie i trąc palec jeden o drugi jak ja poprzednio dał mi do zrozumienia, że gospodarz który mi kontrakt wyrobił zapłaci za moją jazdę autem. Już bez obawy wtedy siadłem do auta. Jak się przekonałem później był to szofer tego auta któremu mój gospodarz polecił mnie zabrać ze stacji kolejowej skąd miałem do odbycia jeszcze około 20 kilometrów. Od fabryki gdzie siostra pracowała ze szwagrem i gdzie ja miałem pracować do gospodarza który mi wyrabiał zapotrzebowanie było 10 kilometrów. Na drodze do miejscowości tego gospodarza a trzy kilometry od fabryki gdzie siostra pracowała leżało małe miasteczko. Do tego to miasteczka przywiózł mnie szofer tam przed restauracją kazał mi siąść i czekać z czego się domyśliłem, że tu ktoś z rodziny przyjdzie po mnie jakoż się nie omyliłem. Siedziałem może już pół godziny gdy brat mój który się rozglądał na wszystkie strony spostrzegł siostrę

idącą ku nam. Ucieszyłem się z jej widoku do tego stopnia, że omal nie rzuciłem się siostrze do nóg z wdzięczności. Trzy kilometry jeszcze szedłem już pieszo do fabryki gdzie siostra mieszkała. Widok tej miejscowości oszołomił mnie. Same góry na których szczycie widziałem śnieg chociaż to był dopiero sierpień. W dolinie zaś zieloność, sady owocowe, drogi wysadzone drzewami i to tylko albo jadalnemi kasztanami albo orzechami włoskimi. Jak okiem sięgnąć winnice tylko i nietylko na miejscu ale jeszcze w drodze już podziwiałem to piękno ziemi francuskiej. Od samego Toul'u jadąc widziałem całe pola winnic, sadów, plantację tytoniu czy chmielu a przedewszystkiem drzew dużo które rosną wszędzie. Jak okiem było sięgnąć nie dojrzał pustego pola wszystko było pokryte zielonością.

Najszczęśliwszym w mojem życiu był ten jeden tydzień podróży którego nie zapomnę chyba do śmierci. I chociaż pierwsze dni pobytu na ziemi francuskiej niemniej należały do szczęśliwych to jednak największy urok dla mnie miała ta tygodniowa podróż. Zdawało mi się że z więzienia zostałem wypuszczony na wolność. Wszystko co mnie otaczało miało w sobie jakiś czar któremu nie mogłem się oprzeć. Inny krajobraz inne widoki codzień odkrywałem i inne też życie zacząłem. Zdawało mi się, że z piekła naraz przeniesiony zostałem do raju jakiego sobie nawet w snach swoich nie wyobrażałem. Tak mnie to wszystko oszołomiło że chodziłem pierwsze dni jak pijany. Po pierwszem przywitaniu z rodziną, z matką której nie widziałem dwa lata a którą ubóstwiałem za jej dobroć zaczęli mnie opychać łakociami jak dziecko. Do jedzenia miałem wszystko do wyboru. Chleb pszenny różne kiełbasy, ciasta i pasztety. Bojąc się zaś by mój żołądek który był dotąd pozbawiony takich smakołyków nie rozchorował się czasami zjadłem tylko trochę kawy z mlekiem i z tym sławnym chlebem białym jak śnieg ale nie smacznym co zaraz zauważyłem. Za to wytoczyłem wojnę gruszkom których znalazłem dwa pełne worki w komorze jadłem ja też bez miary bo w Polsce i owocu pragnąłem zawsze którego niema poddostatkiem. Najadłszy się do woli poszedłem spać i spałem do wieczora. Obudzono mnie dopiero na kolację. Na drugi dzień gospodarz fabryki już kazał mi przyjść do pracy lecz siostra mi nie pozwoliła gdyż była zbyt przesądną jeszcze, według jej zdania w piątek nie należy rozpoczynać roboty

z czego ja byłem rad bo czułem się jeszcze kiepsko po podróży, z drugiej strony pragnąłem się jak najprędzej nauczyć jeździć na rowerze o którym śniłem po całych nocach będąc jeszcze w Polsce. W sobotę również nie poszedłem do pracy bo jak mi mówiono nie opłaci się na jeden dzień rozpoczynać pracy to też korzystałem z wolności i jeździłem na rowerze tak, że w sobotę wieczór już mogłem od biedy na rowerze jechać.

W poniedziałek rano poszedłem pierwszy raz do pracy. Do śniadania naładowałem drzewem do opału kamion (auto ciężarowe) a po śniadaniu szofer zaprowadził ten kamion do miasta i mnie wziął ze sobą by to drzewo zrzucić z kamiona. Szofer zaprowadził ten kamion do piekarza który drzewo kupił i na rowerze wrócił z powrotem do fabryki mnie zaś pozostawił samego do wyładowania kamionu. Była to praca żmudna bo drzewo drobne trzeba było zrucać rękami to też przed południem nie skończyłem. Na kamionie pozostało jeszcze dużo drzewa kiedy zaś przyszła pora obiadowa ów piekarz u którego drzewo wyładowywałem dał mi zapisaną kartkę papieru i na migi pokazał mi bym poszedł do domu, ja znowuż wychodząc z miasta pomyliłem drogi i zamiast pójść drogą na prawo która prowadziła do mojej wioski gdzie była fabryka ja poszedłem na lewo drogą która prowadziła w góry i pobłądziłem. Zapamiętałem dobrze, że droga którą przyjechałem kamionem do miasta skręca trochę na prawo co mnie w powrotnej drodze wypadało skręcić na lewo a że przytem wypiłem już trzy szklanki wina które piekarz dał nic też dziwnego, że mi się wszystko zdawało jasne według mego mniemania i znalazłszy drogę inną która szła na lewo poszedłem nią zupełnie w przeciwnym kierunku od właściwej drogi. Szedłem wytrwale godzine i wszedłem całkiem w góry dopiero się połapałem, że zbłądziłem. Stanąłem zgłupiały gdzie mam iść a w myśli stale miałem kierunek na lewo to też idąc odbijałem stale na lewo. Szedłem po krzakach tarniny, jeżyny, po górach i skałach, że nieraz musiałem się wspinać na czworakach przytem stale słyszałem syczenie wężów żmij, których tutaj w górach jest bardzo dużo. Liczyłem już wtedy 22 lata mimo to na płacz mi się zbierało. Nie znając języka nie mogłem się spytać o drogę. Nie miałem żadnych papierów przy sobie to też liczyłem tylko na jakiś szczęśliwy traf któryby mi wskazał właściwą drogę. Szedłem więc na ślepo przed siebie aż wyszedłem na drogę po

której idąc spodziewałem się zajść do jakiegoś osiedla ludzkiego a co potem to już nie myślałem. Nareszcie po godzinnym marszu na tej drodze doszedłem do wioski gdzie byłem wczoraj z kolegą u gospodarza który mi kontrakt zrobił. Jego dom stał zaraz przy drodze to też zaraz go poznałem no i tu skończyła się moja męka. Polka która tam służyła poznała mnie, ja jej opowiedział co się zrobiło ze mną a ona opowiedziała gospodarzowi ten dopiero wziął mnie na auto i odwiózł do domu. Kiedy przyjechałem do domu była już godzina piąta a więc pięć godzin błądziłem bez przerwy. Podczas kiedy ja błądziłem w fabryce zrobił się ruch bo kiedy przyszła pora obiadowa a mnie nie było gospodarz siadł na auto i pojechał po mnie tymczasem na miejscu powiedzieli mu, że ja już dawno poszedł do domu, gospodarz przyjechał z powrotem myśląc, że może inną drogą przyszedłem do domu, lecz gdy się okazało, że mnie jeszcze niema wysłał trzech robotników na rowerach na wszystkie drogi i sam autem jeździł jak warjat bo już pewny był, że pobłądziłem. Szukali wszędzie i nie mogli mnie znajść bo i jakże — oni szukali po drogach a ja błądziłem po górach. Gospodarz się obawiał by mnie żandarmi nie znaleźli bo on by karę płacił gdyż nie wolno było nikomu nowych robotników z Polski wysyłać daleko bez towarzystwa kogoś miejscowego to też gospodarz mój był w strachu nietyle już o mnie lecz bał się by kary nie zapłacił. Odtąd gospodarz nigdy mnie nie posyłał daleko jednego ale zawsze we dwu.

W fabryce w której pracowałem wyrabialiśmy galosze czyli drewniane podeszwy do butów. Praca nie byla zbyt lekka lecz i ciężką też nie była. Ja chociaż będąc w Polsce zbijałem bąki po całych dniach i nic absolutnie nie robiłem w ostatnich czasach przed wyjazdem do Francji, nie byłem przyzwyczajony do pracy i do tego by na głos gwizdka fabrycznego wstawać i iść do pracy, pomimo tego jednak zaraz się przyzwyczaiłem i ochotnie szedłem do pracy. We fabryce pracowaliśmy 10 godzin, od pół do siódmej rano do siódmej po południu z przerwą półgodzinną śniadania i dwugodzinną obiadu. Wieczorem kiedy kończyliśmy pracę we fabryce szedłem zawsze z kimś drugim do pejzana (tak nazywają rolników) i tam zawsze coś robiliśmy. Kosiliśmy siano, koniczyne, czy zwoziliśmy zboże. Za taką pracę płacili po trzy franki na godzine i kolacje a więc opłaciło się pracować bo ja wtedy zarabia-

łem w fabryce tylko 2 fr. 40 c. na godzinę co dzień po dwie godziny robiliśmy z czego mieliśmy dodatkowy zarobek 6 franków dziennie co przy fabrycznym zarobku uczyniło mi dziennie 30 franków. Całodzienne utrzymanie wraz ze spaniem u mojej siostry płaciłem dziennie 13 fr. pozostawało mi dziennie 17 fr. Lecz praca ta dodatkowa nie zawsze była, jedynie we żniwa i trochę jesienią przy kopaniu ziemniaków, buraków czy też przy zbiorze kukurydzy. Kiedy się to skończyło już pobocznie nie można było zarobić. W tygodniu pracowaliśmy tylko pięć i pół dnia. W sobotę po południu nie pracowaliśmy. Miesięcznie zarabiałem coś około 530 fr. a za życie płaciłem siostrze coś około 400 fr. miesięcznie a więc niewiele mi pozostawało z tego zarobku bo coś około 130 fr. miesięcznie. Gdzieindziej zarabiali dużo więcej lecz tacy co byli wolni i co rozumieli chociaż cośkolwiek język francuski. Ja zmuszony byłem pozostać na miejscu bo byłem poprostu jeszcze głupi w stosunkach jakie panowały. Do wyrabiania karty identite bez której żaden obcokrajowiec nie może być we Francji, poszedłem z miesięcznym opóźnieniem, zapłaciłem 5 fr. kary. Karta też długo mi nie przychodziła bo z prefektury gdzie karty identite wydają odsyłali moje papiery i pisali do gospodarza który mi kontrakt wyrabiał, bo oni przypuszczali, że ja uciekł z kontraktu co surowo było wzbronione, dopiero kiedy się porozumieli z obydwoma gospodarzami t. j. z tym który wyrobił mi kontrakt i z tym z fabryki u którego pracowałem, wtedy dopiero wydali mi kartę co upłynęło cztery miesiące a więc otrzymałem kartę w czasie zimy. W roku 1929 kiedy ja przyjechałem do Francji jeszcze bardzo łatwo było o pracę nawet i zimą lecz chcący szukać pracy trzeba było mieć trochę gotówki i znać trochę język miejscowy inaczej trudno było gdyż z jednej strony potrzeba było tłumacza wszędzie, z drugiej strony o ile nawet ktoś przyjął do pracy to na gorszych warunkach bo tylko tym dawali dobrą robotę kto mógł się porozumieć chociażby nawet i niewiele jednak by bez tłumacza mógł się obejść. Że człowiek nieznający języka miejscowego jest zawsze wyzyskiwany to udowodnię kilku faktami. Otóż 50 kilometrów od mej miejscowości budowali wielką elektrownię. Tam płacili dobrze bo można było dziennie zarobić najmniej 40 fr. W końcu grudnia kiedy już miałem moją kartę identite w rękach przyjechał do nas jeden Polak który pracował przy budowie tej elektrowni i on mnie namówił

by tam jechać do tej pracy bo potrzebowali robotników. Ja oczywiście wypowiedziałem mojemu gospodarzowi osiem dni naprzód lecz kiedy się w ostatnim dniu zgłosiłem do jego biura by mi wypłacił te osiem dni pracy i wydał t. zw. certyfikat, że sie jest wolnym bez czego nikt do pracy nie przyjmie to mój gospodarz nie tylko że tego certyfikatu nie chciał dać ale nawet nie chciał mi zarobionych pieniędzy wypłacić chociaż nie wolno mu było pieniędzy zatrzymywać. Ja pomimo tego rzuciłem pracę u niego i poszedłem do tej elektrowni a tam przyjmowali nawet i bez papierów. Dziesiątki Polaków którzy pouciekali z kontraktów pracowało tam. Tam też i mnie przyjeli zaraz pierwsze dni dostałem 3 fr. 80 c. co dziennie mi przyniosło 38 fr. a po dwu tygodniach miałem już dostać 4 fr. jak inni, cóż z tego wszystkiego, przepracowałem tylko pięć dni, gdy szóstego dnia wezwano mnie do biura i tam mnie wypłacono i cóż się okazało, oto mój gospodarz zareklamował na biurze tej elektrowni i napisał, że ja od niego uciekł z kontraktu i tu mnie musieli wypłacić bo oni chociaż przyjmowali bez papierów to jednak gdy gospodarz od którego uciekł robotnik nie skończywszy kontraktu zawiadamiał biuro o tem to wtedy musieli tego robotnika zwolnić bo nie wolno było przyjmować bez certyfikatów czyli tego zwolnienia z pracy. Ja kiedy mnie tam zwolniono poszedłem z powrotem do mego gospodarza żądając wypłaty pieniędzy za osiem dni i tego certyfikatu on wtedy mi już należność wypłacił lecz certyfikatu nie chciał wydać. Poszedłem wtedy do sędziego pokoju ze skargą wziąwszy ze sobą tłumacza, sędzia kazał mi przynieść wszystkie papiery i czekać aż on się porozumie z gospodarzem. Pomyślałem sobie wtedy, że kruk krukowi oka nie wykole i tak się też stało, za dwa dni sędzia mnie wezwał żądając jeszcze różnych papierów a ja cóż nie mogłem brać ze sobą zawsze tłumacza i aby żyć też musiałem pracować wtedy zacząłem się ugadzać z moim gospodarzem no i ugodziliśmy się. Byłem dobrym robotnikiem gospodarz był zemnie zadowolony to też zwrócił mi 400 fr. kosztów mojej podróży, podniósł mi płacę z 2 fr. 40 c. na 2 fr. 60 c. i pozostałem do roku chociaż niechętnie bo gdzieindziej mogłem dużo więcej zarobić no ale konieczność. Przepracowałem u niego jeden rok. Jeszcze przed skończeniem roku bo w lipcu przyjechał jego dobry kolega który miał dużą hodowlę bydła w górach. Potrzebował on ludzi do koszenia siana a nie mógł ich

znaleźć wtedy prosił mego gospodarza by mu wypożyczył paru ludzi. Jako koledze gospodarz mój nie odmówił. Wyzwał na ochotnika zgłosiło się trzech innych i ja czwarty. Nęcił mnie dobry zarobek chociaż się trochę i obawiałem bo nie miałem pojęcia o koszeniu siana lecz westchnąwszy po chłopsku jakoś to będzie pojechałem. Pracy tej było na cały miesiąc. Nowy mój gospodarz kupił mi nową kosę i pojechaliśmy całkiem w góry 22 kilometry jechaliśmy zygzakiem nim dojechaliśmy na miejsce. Tam już było trzech zawodowych kosiarzy. Zajechaliśmy na południe, zjedliśmy obiad i po obiedzie do koszenia. Moją nową kosę trzeba było wpierw poklepać, a że ja nie miałem pojęcia o tem jak się kosę klepie dałem jednemu z tych zawodowych kosiarzy by mi ją poklepał. Ten jak siadł jak ją poklepał mój ty Boże, wziąłem do ręki i tnę trawę ale cóż ta bestja grubszą trawę tnie a cieńszą zostawia, na dobitkę nie mogłem tą kosą nadążyć za drugimi to też i na płacz mi się zbierało ze wstydu lecz widząc w końcu, że nic nie poradzi już na swoje ryzyko siadłem i zacząłem klepać tak mniej więcej jak mi rozsądek dyktował gdzie należy uderzać młotkiem i cóż za radość miałem potem gdy zacząłem na nowo kosić moja kosa już 80 procent lepiej kosi, na drugi dzień poklepałem jeszcze raz wtedy już cięła jak brzytwa aż mi inni zazdrościli. Pomimo tego źle mi się kosiło w pierwszym dniu, w drugim dniu już mi lepiej szło. W trzecim jeszcze lepiej, że nim minął tydzień ja już kosiłem jak zawodowy kosiarz. W pierwszych dniach ja szedłem ostatni lecz po tygodniu kiedy się już dobrze wprawiłem zacząłem drugim następować na pięty co widząc gospodarz przeniósł mnie na trzecie miejsce od przodu. Było nas siedmiu kosiarzy dwu zawodowych szło przedemną ja trzeci a za mną jeszcze czterech. Mnie to jeszcze mało było, chciałem być pierwszym to też szukałem okazji by się na czoło wysunąć i udało mi się. Zostałem wynagrodzony przez gospodarza bo według zwyczaju ten który pierwszy kosił dostawał pięć franków dziennie więcej to też mnie gospodarz zapłacił po 40 franków dziennie a im wszystkim po 35 fr., 26 dni kosiliśmy tam to też dobrze zarobiłem.

Kiedy powróciłem z gór robota we fabryce kiepsko szła, nie było zamówień na towar. Gospodarz chodził niezadowolony z tego powodu to też wszystko go gniewało, jednego dnia przebierałem galosze suche od mokrych gdy wszedł gospodarz już w złym hu-

morze i zaczął krzyczeć na mnie abym się spieszył wtedy to mnie zgniewało i z miejsca mu wypowiedziałem prace, kiedy zaś po ośmiu dniach poszedłem po wypłate i certyfikat gospodarz zaczął przepraszać i prosił bym pozostał nadal. Mówił, że się uniósł tylko chwilowo lecz jest ze mnie zawsze zadowolony na dowód czego podniósł mi wynagrodzenie do trzech franków na godzine ale ja się nie chciałem zgodzić bo i tak miałem zamiar porzucić tę pracę gdyż w innem miejscu więcej jeszcze mogłem zarobić. Gospodarz rad i nie rad musiał mi wydać wszystko a ja zaraz poszedł do tej budowy elektrowni gdzie to już zimą robiłem pięć dni i gdzie na skutek reklamacji gospodarza musieli mnie zwolnić. Drugą razą już szedłem śmiało bo z certyfikatem w kieszeni. Tam się kazałem zapisać jako miner to jest ten co dziury wierci i miny zakłada. Oczywiście, że i o tym fachu nie miałem zielonego pojęcia ale liczyłem na szczęście jak zwykle no i to szczęście mnie nie opuszczało. Jeszcze przed rozpoczęciem roboty postawiłem czyli mówiąc prościej zapłaciłem parę kolejek perna jednemu Polakowi który już oddawna pracował jako miner i ten mnie nauczył pracy minera teorytycznie co mi zupełnie wystarczyło tak, że kiedy poszedłem pierwszy dzień do pracy już wiedziałem co i jak trzeba robić. Za tę pracę dostawałem więcej bo już 4 fr. 50 c. na godzine podczas gdy zwyczajny łopaciarz zarobił tylko od 3 fr. 60 c. do 4 fr. ale dłużej robił i dobrze a przedewszystkiem o ile umiał dobrze załatwiać ze szefem czyli majstrem. Ja początkowo dostałem 4 fr. 50 c. lecz po miesiącu już miałem pięć franków na godzine ale zato często musiałem płacić perno majstrowi i często też przyniosłem ćwiartkę rumu ze sobą do pracy a mój majster lubił rum. Pracowaliśmy na dwie zmiany po 10 godzin lecz kto chciał mógł pracować i pietnaście godzin o ile wytrzymał. Ci którzy pracowali w nocy mieli przypisywane dwie godziny więcej, zato zmiany były co 15 dni. Gdy pracowaliśmy w niedziele do południa tylko mieliśmy liczone godziny o 80 procent drożej. Dobre to czasy były. Braliśmy na pietnaście dni po 900 fr. 1000 fr. i 1200 fr. niektórzy, ci co żyli po ludzku zrobili oszczędności lecz mało było takich bo w olbrzymiej części to była sama hołota każdy z nich co zarobił to przepił albo w karty przegrał to też niewielu było takich co zrobili jakieś oszczędności. Dużo było takich i to przeważnie Polaków, że nim wziął wypłatę już ją przepił. Najgorzej ci się mieli co jadali po

t. zw. kantynach które stały obok miejsca pracy jeden z drugim o ile nie zdążył przepić całego zarobku przed wypłatą to go przepił w pierwszym dniu po wypłacie a na drugi dzień po wypłacie przychodził jeden z drugim chudziaki i prosili o papierosa bo go już nie mieli zaco kupić. Tacy chodzili codzień pijani przeważnie wieczorami bo przy pracy nie wolno było być pijanym bo nie trudno było o nieszczęście, co dzień kogoś skaleczyło a przynajmniej raz na tydzień musiał być jeden robotnik ciężko ranny a raz w miesiącu zabity. Pamiętam raz w niedzielę kiedy to wyrywaliśmy maszyną żelazne pilony w kształcie szyn kolejowych lecz dużo większych. Trzymały one groblę usypaną z ziemi która zatrzymywała wodę. Maszyna ciągneła powoli ten pilon w góre, jeden robotnik trzymał go na długiej linie a drugi (był to jeden Włoch) dawał z dołu znaki temu z liną by ten wiedział gdzie i jak ma ściągać line, gdy ten pilon już całkiem został wyciągnięty z ziemi naraz się przechylił i poleciał w przeciwną stronę gdzie go chciano złożyć. Upadając pilon ten zahaczył stojącego na dole Włocha tak w połowie czoła i literalnie odciął pół głowy która z czapką spadła o pięć metrów dalej. Był to straszny wypadek i tak co pewien czas kogoś zabiło.

Polaków tam pracowało dużo często byli ranni lecz nikogo nie uśmierciło zato oni dobrowolnie sami się uśmiercali bo alkoholem niszczyli swe zdrowie. Byli też tacy którzy ze zbytniej oszczędności żywili się poniżej krytyki poprostu jak świnie. Znałem kilku takich lecz jeden którego znałem to już miarę przebrał. Pracował jako murarz zarabiał dobrze bo sześć franków na godzine mimo to żywił się jak ostatni nędzarz. Jadał on trzy razy dnia ziemniaki z kawą a na śniadanie brał sobie słonine którą płacił po jednym franku kilo podczas gdy dobra słonina kosztowała 10 fr. kilo a więc kupował on słonine którą przeznaczono na tuczenie świń. Ziemniaki same bez chleba z tą słoniną tylko jadł i popijał kawą. Chleb brał tylko na śniadanie do roboty. Oczywiście, że przy jego pracy i przy podobnem odżywianiu się organizm jego nie mógł długo wytrzymać i rozchorował się, leżał trzy miesiące w szpitalu kiedy trochę wyzdrowiał a wiedział, że już nie będzie mógł pracować napisał do swej żony zamieszkałej w Polsce by mu przysłała pieniędzy na powrót do Polski, żona mu odpisała, że kiedy nie może już pracować to może sobie zdychać we Francji

bo ona zdechlaka nie potrzebuje w domu. I tu się okazał cały tragizm tego człowieka. Wszystko on co zarobił posyłał żonie do Polski a kiedy ze zbytniej oszczędności stracił zdrowie to żona go już nie chciała poratować. Gdy wyszedł ze szpitala dostał trochę pieniędzy z ubezpieczalni społecznej którą tu zwią „assurances sociales" trochę się złożyli miejscowi robotnicy polscy i wtedy dopiero pojechał do Polski jako spróchniały grat.

Przepracowałem na tej elektrowni 14 miesięcy już się wtedy budowa jej kończyła kiedy już prawie wszystko było na ukończeniu zaczęli masowo zwalniać robotników, był to rok 1931 kiedy to kryzys już wysuwał swe macki. Znaleźć inną pracę już było trudno to też gdy zwalniali tutaj namawiali by jechać do budowy drugiej elektrowni zupełnie w górach o 130 kilometrów dalej. Nie mając innego wyjścia zgodziłem się i ja tam jechać, chodziły co prawda echa pewne, że tam niebezpiecznie pracować bo co dzień prawie kogoś zabije lecz ja nie wierzyłem i pojechałem. Sto kilometrów jechałem koleją a trzydzieści kilometrów już w góry autem. Elektrownie budowali w jednym wąwozie między dwoma stromymi górami wysokości do 300 metrów. W najniższem miejscu tych gór wysokość ich wynosiła 150 metrów i z tej to wysokości szalupami jak w kopalni spuszczali w dół robotników. Na miejscu były tylko dwie kantyny, trzy kilometry od miejsca pracy, w dolinie niedużej leżało małe miasteczko gdzie za mieszkanie słono trzeba było płacić pozatem trzeba było gotować samemu sobie bo hotele były drogie, liczyły dziennie za utrzymanie 20 fr. W każdy dzień do pracy trzeba było iść pieszo bo rowerem najsilniejszy nie wyjechał, chodziło jedno auto ciężarowe z tego miasteczka do miejsca pracy lecz jeździli niem tylko inżynierowie i majstry. Pieszo pójść trzy kilometry to było ponad siły bo nim doszedł na miejsce pracy już miał dosyć. Nic też innego nie wypadało jak zamieszkać w kantynie na miejscu lecz to jeszcze gorsze bo przy budowie tej elektrowni pracowała już nie jakaś tam hołota ale poprostu dzicz jakaś. Kto miał papiery w porządku nie chciał tam pracować to też biuro tej pracy nie wybierało kto tylko przyszedł to przyjmowali. Byli tacy co pouciekali z kontraktów, byli też i tacy co przechodzili przez zieloną granicę najczęściej uciekając przed sprawiedliwością która ich ścigała za jakieś grzechy. Jednem słowem była tam zbieranina z całego świata bo ja mieszkając w tej kantynie

jeden dzień naliczyłem siedemnaście narodowości i wszyscy nałogowi alkoholicy gdy tylko przychodzili z pracy zaczęli pić i pili bez przerwy do drugiej — trzeciej w nocy. Tłukli się przytem butelkami i nierzadko rżnęli nożami. Gdy się trafił ktoś rozsądniejszy i chciał sobie coś zaoszczędzić to wziąwszy wypłate musiał zaraz gdzieś pieniądze wysłać bo gdyby trzymał przy sobie to pierwszej nocy by mu ukradli.

Nic też dziwnego, że uczciwy robotnik nie mógł w takich warunkach mieszkać. Lecz to wszystko dopiero jedna strona medalu. Praca była jeszcze gorsza bo stale groziło o ile nie zabiciem to w najlepszym razie kalectwem. Ci co pracowali na dole stale byli narażeni na niebezpieczeństwo utraty życia. Nam minerom nie lepiej się powodziło. Oto wbijaliśmy haki stalowe w skałe, opasani byliśmy dość silnym pasem na którym było wolne kółko do tego to kółka przytwierdzaliśmy grubą line a jej drugi koniec do haka umocowanego w skale. Mając małe oparcie pod nogami tak prawie w powietrzu trzeba było trzymać martopik czyli wiertacz min. Na głowie trzeba było mieć stalowy kask podobny do kasku strażackiego gdyż bez przerwy kamienie leciały na głowe. Nieraz gdy spadł większy kamień to aż huczało w głowie. Kiedy założyliśmy miny i zapalili lonty trzeba było licząc do dziesięciu wskakiwać do oczekującego wozu który wyciągał w górę. Zdaleka jednak patrzeć był to śliczny widok kiedy po wybuchu miny wystrzelił cały blok skały a później toczące się w dół 300 metrów większe i mniejsze bloki. Bloki te później trzeba było windować specjalnemi wózkami w górę i takie to bloki zabiły jednego Polaka w moich oczach. Był to niejaki Jan Hofman mający żonę i zdaje się dwoje dzieci w Polsce. Dobry to był człowiek. Pracował na dole właśnie te bloki ładował z innym do małych wagoników które maszynami wyciągali. Naładowali oni pełny wagonik mniejszych bloków i widocznie źle zahaczyli bezpiecznik bo kiedy się ten wagonik uniósł w górę mniej więcej jak na 10 metrów wagonik się przechylił i wszystkie kamienie poleciały na dół. Jeden z takich niedużych bloków uderzył tego Polaka w plecy tak, że ten się zaraz wywrócił, kiedy go podniesiono cały był siny ani jednej kropli krwi nie poszło z niego. Boleśnie było słychać jego jęków i rozpaczliwej prośby kiedy wołał na nas „Bracia ratujcie mnie na miłość Chrystusa ratujcie", w pół godziny później skonał.

Mnie to wszystko tak przejęło, że na drugi dzień miast do pracy zabrałem walizę i przyjechałem do domu. Pracowałem jeden dzień tylko a już miałem dosyć tej pracy. Uciekłem i nawet nie upominałem się o zapłacenie tego dnia pracy. Szczęście mnie jednak nie opuściło bo tylko dwa dni byłem bez pracy, gdyż przyjechał jeden przedsiębiorca, który stawiał linję elektryczną. Przyjechał on i zatrzymał się w hotelu gdzie dobrze mnie znali i lubieli. Pytał się o dwu minerów do robienia dołów na słupy drewniane i żelazne pilony. Oni to skierowali go do mnie obiecał mi 4 fr. 50 c. na godzinę i na drugi dzień pojechałem do nowej pracy. Praca ta była lekką i płaca dobra bo zarobiłem 45 fr. dziennie cóż z tego kiedy musiałem hotel płacić 20 fr. dziennie bo to też w górach a w górach hotele drogie. Przytem żywił pensjonerów najwięcej mięsem a co najgorsze to, że za dużo much dawał w każdej potrawie a ja z natury jestem brzydliwy jak tylko muchę zobaczyłem w potrawie już mi ona przez gardło nie chciała przejść. Raz w zupie znalazłem siedem much czego ja już miałem dosyć bo trudno było znaleźć inny pensjonat był to jeden jedyny hotel w tem miasteczku gdzie jeszcze można było miejsce znaleźć. Głodowałem tak trzy miesiące chociaż płaciłem 20 fr. dziennie. Dopiero po trzech miesiącach jeden Polak który tam też robił wynajął mieszkanie i sprowadził swoją żone która mieszkała w innem mieście wtedy ja zaczął szukać okazji by porzucić ten hotel i pójść do tego Polaka no i prędko okazję znalazłem bo podczas jednej kolacji w zupie którą nam podano znalazłem już nie siedem much ale szesnaście. Wyciągnąłem je i złożyłem wszystkie na mój talerz położywszy obok pięć centów i tego samego dnia porzuciłem ten brudny hotel. Pracowałem przy tej linji osiem miesięcy w samych górach. Praca tyle nie męczyła co samo chodzenie po górach. Z owego miasteczka gdzie mieszkaliśmy do miejsca pracy miałem tylko godzinę chodu pieszo lecz materjał gdyśmy autem ciężarowem wozili trzeba było jechać 36 kilometrów zygzakiem. Jednego razu zawieźliśmy dwustukilowe koło drutu elektrycznego kiedyśmy zrzucali z auta na ziemię jedne kółko takie wyprostowało się i chociaż goniliśmy wszyscy nie dało się złapać aż się samo zatrzymało w miasteczku, skąd go zabraliśmy. Takie strome były góry.

Góry te zamieszkali jak nasze Karpaty górale. Lud to pobożny,

lecz ciemny i nieuczciwy. Kradli wszystko co im się dało. Żywili się tylko ziemniakami kozim serem i latem grzybami. Pobożni byli lecz kradli. Jednego razu było to w niedziele niedaleko wioski w której był kościół, w samej skale musiałem zrobić dół na dubeltowy pilon żelazny. Prace tę musiałem skończyć na czasie to też w niedziele chociaż niechętnie musiałem pracować. Była to twarda skała to też musiałem miną wyrwać dół i musiałem też większy ładunek założyć. Kiedy ten ładunek miny wystrzelił zrobił się straszny huk. Ja wykańczałem moją prace kiedy ludzie wyszli z kościoła i wrzeszcząc jak opętani zaczęła spora gromada z pięściami biec do mnie. Ja oczywiście nie będąc bokserem nie chciałem sie z nimi mierzyć i nie mogłem czekać aż mię złapią ale nie namyślając się długo zabrałem co lżejsze narzędzia pracy i uciekłem. Im się rozchodziło o to, że ja hukiem założonych min przeszkadzałem im modlić się, chociaż ja winy żadnej nie ponosiłem bo gdy gospodarz kazał to zrobić to ja musiałem zrobić, odmówić to znaczyło stracić pracę.

Po ośmiu miesiącach kiedy tę pracę skończyłem, jako że byłem dobrym robotnikiem i gospodarz mnie lubił, miast mnie zwolnić z pracy to on mnie odesłał do swego kuzyna który miał wielką karjerę*) skąd dostarczał kamień na wszystkie drogi. Był to już rok 1932 kiedy bezrobocie na dobre się zaczynało o prace już było trudno no i patroni zaczęli płace obcinać to też ja miast 4 fr. 50 c. na godzine jak miałem poprzednio dostałem tylko 4 fr. Tam jednak długo nie pracowałem. Była to praca w tym samym departamencie zupełnie w górach. Mieszkanie też trudno było znaleźć, musiałem mieszkać w hotelu gdzie płaciłem jak poprzednio 20 fr. dziennie. Pracowałem tylko osiem godzin zarobiłem 32 fr. a płaciłem pensjon 20 fr. więc pozostawało mi tylko 12 fr. dziennie. Po paru dniach znalazłem mieszkanie gdzie zamieszkałem z kolegą lecz w nowym mieszkaniu już musieliśmy sobie sami przygotowywać jedzenie co z jednej strony dobrze było za 10 fr. dziennie mogłem wyżyć lecz z drugiej strony niewygodnie bo trzeba się było paprać to też kiedy gospodarz wykorzystując coraz bardziej pogłębiające się bezrobocie obniżył mi płate z czterech fr. na 3 fr. 50 c. podziękowałem mu za prace i ją porzuciłem. Na drugi dzień już zna-

*) Carrière — kamieniołom.

lazłem inną pracę przy murarzach gdzie pięć lat t. j. do obecnej chwili pracuje względnie pracowałem bo obecnie i tutaj już mi się praca skończyła gdyż gospodarz mój umarł.

Teraz gdy to piszę nie pracuję bo mam skaleczoną rękę. Gdzie będę pracował gdy mi się ręka zagoi to jeszcze nie wiem. W każdym bądź razie pracę jeszcze można dostać chociażby na roli na której nikt nie chce pracować bo praca to ciężka a wynagrodzenie małe o czem każdy robotnik wie, dlatego każdy ucieka do miasta i do przemysłu. Kiedy w roku 1929 przyjechałem do Francji cały przemysł francuski szedł całą parą. Robotników potrzeba było. Dzienniki francuskie pełne były ogłoszeń poszukujących robotników. Wystarczyło kto nie miał pracy kupić sobie dziennik, spojrzeć na ogłoszenie i już miał pracę. Na każdej bramie fabryki czy jakiegokolwiek innego przedsiębiorstwa była karta przybita, że potrzebują robotników. Na ulicach zaczepiali agenci i namawiali do pracy to tu to tam. Najniższa płaca zwyczajnego robotnika niewykwalifikowanego wtedy wynosiła 3 fr. 50 c. na godzinę lecz do tego dochodziły czasami premje, tak że robotnik najlichszy zarobił najmniej 35 fr. dziennie. Robotnicy wykwalifikowani jak murarze cieśle minerzy i wogóle rzemieślnicy zarabiali od 4 fr. 50 c. do 7 fr. na godzinę. Tak trwało przez rok 1929 i 1930. W roku 1931 już się zaczeło pogarszać co prawda to bezrobocie zaczeło się już w roku 1930 lecz wtedy jeszcze dobrze płacili patroni lecz kiedy w roku 1931 kryzys zaczął się pogłębiać i kiedy to już coraz częściej ktoś pukał w bramę fabryki prosząc o pracę wtedy to patroni chcący wykorzystać sytuację zaczeli zwalniać robotników by na ich miejsce przyjąć nowych albo nawet tych samych zwolnionych poprzedniego dnia, ale już na gorszych warunkach. Taką procedurę już w roku 1932 zaczęli prawie wszyscy przemysłowcy uprawiać a w roku 1933 już masowo zwalniali i z powrotem przyjmowali tych samych robotników obniżając płace. Oczywiście, że każdy robotnik wolał przyjąć tę samą pracę za mniejszem nawet wynagrodzeniem aniżeli iść szukać innej pracy o którą już trudno było. Najbardziej na tem ucierpieli obcokrajowcy a szczególnie Polacy. Francuz każdy miał większe prawa już pozatem taki siaki posiadał trochę oszczędności albo rodzinę u której mógł się zatrzymać gdy nie miał pracy. Inne narodowości jak Włosi lub Hiszpanie postępowali rozsądniej i kiedy pracowali oszczędzali, to też jeden z drugim albo czekał na lepsze

czasy żyjąc z oszczędności albo też jechał z temi oszczędnościami do swego kraju a zresztą jak Włosi to sami albo murarze albo cieśle a tych zawsze potrzebowano. Najgorzej z tych wszystkich wyszli Polacy na kryzysie. Dużo było takich co każdy zarobiony grosz odsyłali do Polski żonie, dzieciom czy rodzicom czy wreszcie na kupno kawałka ziemi. Dużo też było takich, że każdy zarobiony grosz przepili a najmniej takich co oszczędności trzymali przy sobie zresztą i ci woleli pracować za byle co jak żyć z oszczędności. Dlatego też kiedy się bezrobocie na dobre rozpoczęło każdy się chwytał pracy jaka mu popadła chociażby tylko na życie zarobił to też najchętniej przyjmowano do pracy Polaków co znowuż wywołało niemiły zgrzyt u francuskich robotników bo za wynagrodzenie za jakie nie chciał pracować Francuz, Polak chętnie pracował czem robili konkurencję francuskim robotnikom. Dlatego też coraz częściej dawały się słyszeć nieprzyjazne głosy w stosunku do robotników polskich. Zmieniło się to kiedy rząd Lavala wprowadził ograniczenia co do obcokrajowców t. j. że nie wolno więcej zatrudniać obcokrajowców jak jednego na dziesięciu Francuzów. Był to najgorszy cios dla emigracji polskiej, tylko polskiej, bo chociaż we Francji pracuje dużo robotników innych narodowości to najwięcej na tym ograniczeniu ucierpieli Polacy.

Dużo jest we Francji Ormianów lecz ci jako bez ojczyzny mają te prawa do pracy co i Francuzi, zresztą ich mało pracuje po fabrykach najwięcej Ormianów to są fryzjerzy handlarze i t. d. Innych narodowości stosunkowo jest mały procent, dużo natomiast jest Włochów lecz ci jako robotnicy wykwalifikowani nie są ograniczeni procentowo a więc tylko biedne polskie łopaciarze są upośledzeni. Ostatnio t. j. w roku 1935 i 1936 przy zmianie kart są trudności. Gdy ktoś pracuje więcej jak 10 lat we Francji i ma tutaj rodzone dzieci to mu zmienią karte identite na fabryczną o ile pracuje we fabryce a jeżeli samotny Polak pójdzie do zmiany karty to chociażby i 10 lat pracował jako robotnik fabryczny to mu zmienią na robotnik rolny a o ile nie chce tak to wcale karty do pracy nie wydadzą. Istnieje prawo we Francji, które czyni niewolnika z obcokrajowca a to gdy ktoś przyjechał do Francji pracować na roli ten dostanie karte identite białą z zaznaczeniem „ouvrier agricole" czyli robotnik rolny. Gdy zaś ktoś przyjedzie z Polski do fabryki ten dostaje kartę niebieską z zaznaczeniem „ouvrier indust-

riel" czyli robotnik fabryczny. Kiedyś to ani temu robotnikowi z roli nie wolno było pracować w przemyśle ani temu z przemysłu nie wolno było pracować na roli. Później dopiero kiedy się bezrobocie pogorszyło zmieniły się troche stosunki bo robotnik fabryczny mógł już pracować na roli a ostatnio to już siłą z przemysłu odsyłają robotników na rolę. Prawo takie zostało wydane już dawno, to jest wtedy kiedy się na dobre zaczęła emigracja lecz kiedy fabryki szły całą parą jak w roku 1929-30, to wtedy robotnicy i z rolnymi kartami byli przyjmowani bo we Francji tak już jest, że świeżo wydane prawo jest dobrze przestrzegane lecz zaraz po jego wydaniu, w pierwszych dniach i miesiącach a po roku już o niem t. j. o wydanem prawie zapominają wszyscy i nikt go nie przestrzega. Dlatego też kiedy bezrobocia nie było mógł jeszcze robotnik rolny pracować w przemyśle ale kiedy się bezrobocie na dobre zaczeło najsampierw zwolniono robotników rolnych później dopiero fabrycznych. Najwięcej w rolnictwie pracuje Polaków bo kiedy fabryki czy kopalnie zaczęły masowo zwalniać obcokrajowców na pierwszy ogień poszli Polacy. Nie wiem ale Polacy najmniej mają szczęścia. O ile patroni byli najczęściej przyjaźnie usposobieni dla Polaków za ich wydatną pracę to o tyle miejscowe władze były i są wrogo usposobione dla Polaków. Polakowi się odmawia wydania karty przemysłowej bez względu na przepracowane lata a za to Hiszpanowi czy Włochowi wydaje się taką kartę bez trudności. Na roli tutaj szanujący się Francuz nie będzie pracował bo z jednej strony praca na roli jest ciężka z drugiej strony źle wynagradzana. W przemyśle robotnik pracuje tylko osiem godzin a zarobi dużo więcej jak robotnik rolny który musi pracować 15 godzin dziennie. O ile robotnik przemysłowy za osiem godzin pracy dziennie zarobi najmniej 30 fr. to robotnik rolny za 15 godzin pracy dziennej zarobi najwyżej 22 fr. Nic też dziwnego, że robotnik francuski nie chce pracować na roli i nic dziwnego, że rolnictwo francuskie stale potrzebuje rąk do pracy pomimo, że i teraz gdy jest bezrobotnych jeszcze z górą 400 tysięcy to na roli brak jest robotników. Dlaczego? Otóż robotnik przemysłowy odrobi swoje osiem godzin i jest wolny podczas gdy robotnik rolny musi pracować od czwartej rano do dziewiątej a nieraz i jedenastej wieczór.

Zimą gdzie jest więcej krów czy koni gdy gospodarz sobie śpi w najlepsze robotnik wstaje o czwartej a najpóźniej pół do

piątej. Najsampierw musi dać jeść bydłu, później wynieść nawóz i to codzień, oczyścić i narzucić świeżej słomy. Kiedy to już zrobi musi wydoić krowy bo tutaj kobiety nie doją krów, gdy wydoi krowy dopiero pije kawę po kawie musi jeszcze drzewa narąbać względnie robić co innego i to do czasu aż się zrobi dzień. Gdy się rozwidni tak, że już może zobaczyć muchę na ziemi (nie z wielkiej odległości) wtedy idzie w pole bez względu na zimno, mróz czy śnieg. Dziwiłby się ktoś może w Polsce, co tu robią w zimowe dnie na polu bo w Polsce kiedy śnieg zleci pole pustoszeje, tutaj we Francji nie jest tak dobrze bo i zimą w polu pracować trzeba albo koło winnic albo koło drzew owocowych, czy ziemię czyścić z perzu albo też ciąć drzewo raczej krzaki drobne co ma tutaj każdy gospodarz. Dlatego też robotnik który już zrobił koło bydła, gdy się zrobi dzień idzie w pole. W polu pracuje do ósmej, o ósmej przychodzi do domu i znowuż daje jeść bydłu coś odmiennego dopiero wtedy idzie na śniadanie. Jeść może najwyżej pół godziny. Po śniadaniu znowuż idzie w pole i tam pracuje do dwunastej, o tej godzinie schodzi z pola na obiad. Po obiedzie który trwa najwyżej godzinę trzeba znowuż dać jeść bydłu i napoić go poczem znowuż w pole a więc żadnego odpoczynku w południe niema, znajdzie robotnik czas po obiedzie tylko na zrobienie papierosa o przeczytaniu gazety czy nawet listu mowy niema. Wieczorem kiedy się ściemni tak, że nawet narzędzi pracy już nie zobaczy schodzi do domu i tutaj znowuż jak zwykle musi napoić dać jeść i wydoić krowy. Kiedy to już odrobi idzie do kuchni i tam albo obiera kukurydze której dużo sieją tutaj albo tłucze orzechy włoskie gdzie ich jest dużo albo wreszcie rąbać drzewo. Kolacje jadają o siódmej, niektórzy i o ósmej, po kolacji do dziewiątej jeszcze musi coś robić dopiero o dziewiątej może pójść spać. Jest to regułą której przestrzegają wszyscy i jest to tylko praca zimową porą. Wiosną czy latem aż do jesieni robotnik bezwzględnie musi wstać o godzinie czwartej rano. Kiedy przyjdzie zbiór siana czy żniwa jest to najcięższa praca. Siano zwożą do hangarów coś w rodzaju polskich stodół lecz tylko o dwu ścianach. Od świtu do zmroku koszą, suszą i zwożą bo tutaj słomy jako paszy dla bydła nie używają a żywią tylko koniczyną, lucerną czy zwyczajnem trawą-sianem. Koniczyny czy lucerny każdy rolnik tutejszy zbiera po kilka mórg to też dużo jest pracy ze zbiorem tej karmy. Kiedy

ukończą zbiór koniczyn zaczynają się żniwa. Kosami i ludźmi tutaj nie koszą zboża ale wszystko maszynami które rżną zboże i jednocześnie wiążą. Kiedy maszyna rżnie zboże robotnicy zaraz zbierają i stawiają w mendle jak się to mówi po polsku. W tych mendlach kiedy zboże wyschnie na dobre zwożą i stawiają sterty i to na miejscu gdyż tutaj każdy gospodarz ma pole w jednym kawałku. Kiedy już wszyscy uprzątną zboże wtedy maszynami młócą. Żaden rolnik tutaj własnej maszyny do młócenia nie ma bo od tego są inni którzy mają maszyny, jeżdżą po gospodarstwach i młócą. Praca przy młóceniu jest okropna pominąwszy już, że robotnik od świtu do zmroku kiwać się musi niczem żyd nad pacierzami, ale sam kurz utrudnia pracę bo kiedy młócą to wokół nic nie widać od kurzu a robotnicy wyglądają jak murzyni czarni. Taka młocka trwa dwa miesiące. Kiedy się ta praca skończy znowuż orka siew, zbiór kukurydzy, ziemniaków, buraków i wina aż do późnej jesieni. I tak latem robotnik do dziewiątej godziny wieczorem jest w polu, po dziewiątej dopiero robi około bydła co zazwyczaj schodzi mu do jedenastej w nocy, dopiero po jedenastej może pójść spać. Za taką pracę latem otrzymuje tak od 250 fr. do 300 fr. miesięcznie i życie, zimą otrzymuje tylko 150 fr. Mieszkania dla robotników zawsze są robione nad oborą gdzie przebywa bydło albo też obok, ale tak, że drzwi z obory lub stajni prowadzą do mieszkania. W mieszkaniu tym latem śmierdzi jak i w oborze czy stajni a robotnik musi w tem mieszkaniu spać ze względu na bydło. Często też obok mieszkania robotnika jest kurnik z którego jeszcze lepszy zapach idzie jak z obory, pominąwszy już to, że kury swoim krzykiem nie dadzą robotnikowi spać spokojnie. Zimą zaś w takim mieszkaniu smrodu jest już mniej co prawda lecz zato zimno i wilgotno. Zimno takie, że i piesby nie wytrzymał. Gdyby robotnik chciał posiedzieć troche, napisać coś czy przeczytać to już nie może bo zimno nie pozwoli. Gospodarz w swoim wytapetowanym mieszkaniu ma albo centralne ogrzewanie albo w ostateczności piece dobrze opalone. Robotnikowi nie ogrzeje mieszkania.

Życie na wsi na ogół lichsze jest aniżeli w mieście. Są tacy gospodarze co życie dają dobre lecz tych jest mało. Tutaj zazwyczaj gospodarze jadają z robotnikami, ale tak którzy są zbyt skąpi i chciwi robotników odżywiają źle, oni dla pozoru jedzą razem z robotnikami lecz kiedy robotnik po obiedzie idzie do pracy, oni

się wtedy opychają kurzyną, świniną czy wołowiną. Zazwyczaj dają tak. Przed pójściem w pole czarną kawe z kawałeczkiem chleba, z mlekiem kawy nie dadzą bo mleko sprzedają, gdyby robotnik chciał pić kawe z mlekiem to musiałby go sobie kupić. Na śniadanie zupę, to jest rozgotowane trzy ziemniaki, garstka jakiejś zieleniny jak pietruszka czy pory i to wszystko, a nieraz to tylko zagotowana woda w której kładą kawałki chleba. Po tej zupie kawałek słoniny, a później kawałeczek sera i to całe śniadanie. Na obiad tak jedno danie ziemniaki pieczone różnie, drugie makaron albo ryż później ser którego czuć o mile i to wszystko. Oczywiście, że dania się zmieniają codzień to inne lecz tutaj najwięcej jadają jarzyn. Na kolacje znowuż zupa i ziemniaki pieczone na różny sposób, kawałeczek słoniny i ser. Oczywiście, że to wszystko z wyjątkiem zupy jadają z chlebem. Mięso niektórzy dają trzy razy w tygodniu, dwa razy a są tacy co tylko raz na tydzień. Prać bielizne o ile niema służącej musi sobie sam każdy robotnik. W niedziele musi robotnik robić najmniej do obiadu inaczej jeśćby mu gospodarz nie dał. Na wieczór jak zwykle musi zrobić porządek koło bydła. W tygodniu podczas dni roboczych może mieć jeden dzień wolny lecz tylko wtedy gdyby szedł na pogrzeb kogoś z rodziny lub brał ślub. Gdy robotnik potrzebuje coś kupić to może sobie kupić lecz tylko w niedziele. Jednem słowem robotnik rolny we Francji to koń w kieracie, to niewolnik. Cóż więc dziwnego, że nie tylko robotnicy francuscy ale i obcokrajowcy nie chcą pracować na roli, pracują jedynie ci których nieubłagana konieczność do tego zmusza.

Jest jeszcze inna przyczyna która zmusza robotników do ucieczki do przemysłu. Otóż robotnik przemysłowy o ile patron zwolni go z powodu braku pracy, otrzymuje gdy jest samotnym osiem franków dziennie na życie jako bezrobotny. Osiem fr. dziennie gdy nie pracuje może mu wystarczyć na życie nie pierwszorzędne oczywiście ale tak na chleb i na coś do chleba w zupełności mu wystarczy to też taki robotnik kiedy straci prace nie martwi się zbytnio. Robotnicy z rodzinami mają się jeszcze lepiej bo dostają na siebie jak zwykle osiem fr. plus na żone 3 fr. dziennie i na każde dziecko 3,50 fr. a więc taki robotnik gdy ma tylko troje dzieci dostaje zapomogę coś około 22 fr. dziennie. Oprócz tego jedno lub dwa kilo chleba tygodniowo, 50 kilo węgla i jedno kilo

mięsa nie licząc już 2 — 3 litry mleka tygodniowo. Oczywista, że taki robotnik pomimo wysokich kosztów utrzymania tutaj z tej zapomogi żyje dużo lepiej aniżeli gdyby pracował bo pracując zarobiłby tylko 24 fr. bo tyle zarabiali robotnicy przed dojściem do rządu frontu ludowego. Znałem dużo takich robotników którzy po pięć lat nie pracują naprzykład jeden Polak już pięć lat temu gdy stracił prace no i do dzisiejszego dnia nie pracuje bo i poco? Czyż jemu się opłaci pójść do pracy i zarobić 24 fr. kiedy on nic nie robiąc dostanie dziennie jako bezrobotny 22 fr. i coś jeszcze w naturze. Dalej, taki robotnik jeden z drugim gdy w jakiejś fabryce robił to chodził sobie porządnie ubrany w czystej koszuli i krawacie. Ciężko nie pracował, ręce miał delikatne niczem z biura. Kiedy stracił prace dostał zapomoge jak wyżej podaje. Mógłby on co prawda pracować bo przy nowootwierających się robotach ci bezrobotni mają zawsze pierwszeństwo ze względu na ciężary jakie przez nich ponosi miasto lecz cóż takie nowootwierające się roboty to najwięcej roboty publiczne jak budowa mostów, poprawa dróg bitych, czy kanalizacja. Do takiej pracy trzeba już wziąść w rękę łopate czy kilof a przytem zarobi on najwyżej 24 fr. dziennie. Bywało, że zarząd funduszu bezrobocia wysyłał takich bezrobotnych do powyższych prac a tym się znowuż z krzywdą widziało pracować za 2 dosłownie dwa fr. dziennie (2 fr. za prace — 22 jako bezrobotny) to też chcąc się zwolnić od tego ciężaru ale tak by nie stracić prawa do zapomogi, robili wszystko na opak niby to nieświadomie lecz zarząd danych robót widząc, że dany robotnik nie jest zdolny do takiej pracy zwalniali go a ten szedł z powrotem po zapomogę. Najwięcej praktykowali tak ojcowie rodzin, bo samotny najczęściej wolał robić za 24 fr. dziennie aniżeli czekać aż mu dadzą te osiem fr. Tak zawsze jest w kółko Macieju jak mówi polskie przysłowie.

Przepracował tydzień — dwa, szedł na utrzymanie funduszu bezrobocia. Gdy za jakiś czas posłali go do pracy tak sobie parę dni pracy i jako bezrobotny, cóż więc dziwnego, że nawet i latem jest z górą 400 tysięcy bezrobotnych a w rolnictwie jest brak rąk do pracy. Jest to błędem rządu tylko, bo proszę. Latem w rolnictwie prace można znaleźć lecz zimą jest nieomal o prace tak trudno jak i w przemyśle bo ci rolnicy którzy stale potrzebują pomocy, mają stałych robotników tak latem jak i zimą. Jest dużo

natomiast którzy latem potrzebują więcej robotników a zimą mniej. Otóż taki robotnik z miasta chociaż będzie bez pracy nie pójdzie pracować sezonowo na role bo gdy on przepracuje latem a na zime go z roli wyrzucą już on nie ma prawa do zasiłku jako bezrobotny i tego zasiłku nie dostanie, dlatego też państwo wyrzuca miljony na pomoc bezrobotnym tutejszym podczas gdy w rolnictwie niema kto pracować. Narzekają też sfery urzędowe, że pustoszeją wsie a miasta są przepełnione ludźmi. Dlaczego? Oto kiedy robotnik mieszka w mieście chociażby pracował na wsi ma zawsze prawo do zapomogi w razie bezrobocia. Przeciwnie robi się z robotnikami którzy mieszkają na wsi chociażby pracowali w mieście, zapomogi na wypadek bezrobocia nie dostaną i chociażby taki robotnik miał rodzine to takiej zapomogi nie dostanie ale skazany jest albo na nędzę albo na prędkie przeprowadzenie się do miasta.

Kiedy jeszcze kryzysu nie było dużo robotników zamieszkiwało wsie którzy pracowali dorywczo, raz tu drugi raz tam i t. d. lecz kiedy się bezrobocie na dobre zaczęło każdy taki robotnik obawiając się by nie został na bruku w razie utraty pracy, szli masowo do miast, bo tam mieli przynajmniej zapewnioną zapomogę w razie utraty pracy i ta masowa wędrówka ze wsi do miast jeszcze bardziej spotęgowała bezrobocie.

Nie należy się więc dziwić, że teraz Polakom odmawia się pracy w przemyśle a masowo wysyła się na role, bo tylko jeden Polak potrafi wytrzymać w pracy na roli, jeden jedyny Polak bo inne narodowości są za delikatne dla tej pracy. Dobrze jest jeszcze gdy robotnik polski zna język miejscowy i gdy idzie pracować na role jako najemnik wolny. W tym wypadku ma on możność zmiany miejsca gdy mu jest źle. Pokłóci się taki robotnik z gospodarzem może sobie poszukać innego miejsca. Gdy mu źle płaci czy z jakiegokolwiek innego powodu jest niezadowolonym może sobie poszukać innej pracy, a chociaż wszędzie jednego djabła znajdzie to ma jednak tę satysfakcję, że jest wolny i może miejsce zmienić.

Stokroć gorzej mają ci robotnicy którzy przyjeżdżają z Polski na kontrakty. Robotnik taki gdy podpisał roczny kontrakt musi go odrobić. Troche lepiej bywało w roku 1929/30 wtedy jeszcze kiedy potrzeba było rąk do pracy w przemyśle robotnik mógł nawet

uciec z kontraktu bo go wszędzie przyjeli i o ile pojechał trochę dalej i gdy siedział spokojnie mógł pracować. Za złamanie kontraktu karali więzieniem i odesłaniem do Polski z powrotem lecz gdy komuś zbyt dokuczył pracodawca uciekał nie myśląc o tem co będzie i najczęściej udawała się taka ucieczka.

Odmieniło się kiedy się zaczeło bezrobocie. Taki robotnik uciekając z kontraktu gdy nie mógł znaleźć innej pracy włóczył się po drogach bez pieniędzy i bez karty zwolnienia czyli tego certyfikatu. Gdy go policja złapała szedł do więzienia za włóczęgostwo a później był odsyłany do pracodawcy dla odrobienia kontraktu. I w miarę jak rosło bezrobocie rosły trudności robotników kontraktowych. Powiedziałby ktoś może, że jeden rok przepracować na jednem miejscu nie jest trudno, a jednak trudno to jest czego dowodem może być poniższy fakt. Jednego razu wyjechałem sobie rowerem na spacer, było to w niedziele po południu. Jechałem tak bez żadnego celu i ujechałem już 10 kilometrów. Zmęczony trochę stanąłem by odpocząć kiedy koło mnie przechodzi jakiś człowiek. Poznałem zaraz, że to Polak, bo po ubiorze po chodzie zaraz Polaka odróżni się od Francuza. Chcący jednak mieć pewność udałem, że zabrakło mi zapałek więc proszę go po francusku by mi dał ognia dla zapalenia papierosa. On w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi lecz kiedy powtórzyłem pytanie, pokręcił głową i mówi, że nie rozumie wtedy ja już po polsku pytam czy Polak a on biedak oczy rozszerzył i radośnie krzyczy, że Polak. Trzeba było widzieć jego radość kiedy się przekonał, że jestem Polakiem. Zaczął mi wpół z płaczem opowiadać gdzie i jak pracuje. Opowiadał mi jak gospodarz goni go do pracy bez wytchnienia. Było to lato a latem należy się robotnikowi dwie godziny południowego odpoczynku a ten robotnik miał czas zjeść obiad tylko. W kontrakcie miał, że niedziele ma mieć wolną, jedynie ma oprzątnąć bydło tymczasem gospodarz gonił go do pracy i w niedziele na cały dzień. Kiedy jednej niedzieli odważył się pójść do kościoła to gospodarz obiadu mu już nie dał i ten człowiek musiał jeść obiad w restauracji. Ale to nie wszystko. Gospodarz by mu ten robotnik nie uciekł zabrał jego papiery wszystkie i chociaż przepracował już trzy miesiące i według kontraktu należało mu się z górą 700 fr. to gospodarz dawał mu po parę fr. na tytuń czego wybrał 80 fr. za trzy miesiące. Trudno mi jest opisać w całości gehenne

jaką przeszedł ten robotnik. Pytam go dlaczego nie pisze skargi do polskiego konsulatu a on mówi, że pisać ani czytać nie umie czysty analfabeta. Oczywiście, że ja nie mogłem go tak pozostawić tembardziej, że prosił mnie na wszystkie świętości by mu pomóc. Nie mogłem mu odmówić tej pomocy ale w jaki sposób pomóc. Gdybym pojechał do jego gospodarzą tak bez niczego to on gotów by mnie fuzją przywitać i zranić albo nawet i zabić bo niestety tutaj obcokrajowiec a szczególnie Polacy nigdy nie mają racji. Pobije taki gospodarz robotnika całkiem niewinnie, to wina robotnika, pobity jest i jeszcze musi kare płacić. Gdyby na drodze Polak zaczepił Francuza, to zaraz z nim do więzienia lecz gdy pijany Francuz zupełnie niewinnego Polaka zaczepi na drodze i pobije, czystym i niewinnym wychodzi ze sądu a ten sam Polak niewinnie pobity płaci karę i koszta sądowe. Dlatego też by się nie narazić na nieprzyjemności i jednocześnie pomóc temu nieszczęśliwemu wpadłem na pomysł jeden. Biorę wtedy tego robotnika i idę z niem do jego gospodarza. W dniu tym miał trochę gości i dlatego spotkałem tego Polaka na drodze bo w tym dniu w drodze wielkiej łaski dał mu wolne popołudnie. Wszedłem z tym robotnikiem do kuchni i każę służącej poprosić gospodarza do kuchni z pokoju gdzie siedział z gośćmi. Przybrałem urzędową minę i czekam. Gospodarz wchodzi i pyta czego sobie życzę, dopiero ja mu wykładam jego bydlęce postępowanie z tym robotnikiem. Kiedy skończyłem gospodarz przyskoczył do mnie z pięściami pytając jakiem prawem robię najazd bandycki na jego dom, wskazując mi drzwi jednocześnie, ja wtedy wyjmuje legitymacje Strzelecką pcham mu pod nos i mówię, że jestem urzędnikiem Konsulatu, specjalnym urzędnikiem do objazdu ferm i bronienia przed krzywdą robotników rolnych. Na szczęście gospodarz był głupi, to też po tem oświadczeniu zrzedła mu mina ja wtedy kategorycznie zażądałem przestrzegania warunków zawartych w kontrakcie bo w przeciwnym razie robotnika się odeszle do innego gospodarza dla odrobienia kontraktu a on poniesie odpowiedzialność za to. Gospodarz uwierzył bo pomimo wszystkiego zła istnieje takie prawo które po dokładnem zbadaniu gdy gospodarz obchodzi się zbyt źle z robotnikiem, uwalnia robotnika z kontraktu. Prócz tego zażądałem zwrotu papierów robotnika bo nie wolno również zabierać robotnikowi papierów osobistych jak paszport i karte identite, pod żadnym

pozorem. Zażądałem również wypłacenia co do centa zarobionych pieniędzy, czego również gospodarzowi nie wolno zatrzymywać ale wypłacać co się należy. Podrapał się biedak po czuprynie ale poszedł i papiery robotnikowi oddał, dał mu również 400 fr. mówiąc, że parę dni później wyda resztę bo nie ma narazie więcej w domu. Zapowiedziałem również, że zajrzę jeszcze kiedy dla sprawdzenia czy swego postępowania nie zmieni. Widziałem złe błyski w jego ślepiach lecz będąc głupi i chcąc mnie udobruchać poczęstował mnie jeszcze kawą i dobrym koniakiem. Na odjezdnem i rękę mi podał. Myślałby ktoś, że nie pomogło, a jakże pomogło bo odtąd robotnik ten świętował każdą niedziele i całkiem po ludzku gospodarz z nim się obchodził. Kiedy po miesiącu zajechałem tam zajrzeć robotnik o mało rąk mi nie całował i płakał z radości.

Największem nieszczęściem tych ludzi to ich analfabetyzm. Robotnik który umie czytać i pisać a ma troche oleju w głowie w wypadku gdy się gospodarz źle z nim obchodzi może napisać skargę do konsulatu i konsulat pomoże lecz kiedy robotnik nie umie czytać ani pisać wtedy jest zdany w zupełności na łaskę pracodawcy. Dobrze się jeszcze ma ten w którego pobliżu zamieszkują Polacy bo ci go pouczą i skargę napiszą gdy potrzeba, lecz kiedy taki robotnik analfabeta jest sam gdzieś na odludnej fermie wtedy ma całe piekło o ile szczęśliwym trafem dla siebie nie znajdzie kogoś jak w wypadku który opisałem powyżej. Z tego prosty wniosek wysnuć można, że błędem jest puszczanie za granicę analfabetów, którzy niemiłosiernie są wyzyskiwani.

Gorzej jest jeszcze z robotnicami-Polkami. O ile mężczyzna jest w taki sposób wyzyskiwany to cóż tu mówić dopiero o kobietach które nieraz bywają haniebnie gwałcone przez opasłych pracodawców względnie ich synalków. Ile polskich dziewczyn zostało tutaj zgwałconych tego się nigdy nie dowiemy bo te ze wstydu milczą, ale gdyby tak każda opowiedziała swoje dzieje dużoby się można dowiedzieć. Pracodawca tutaj o ile ma tylko służącą Polke to ją pilnuje jak ten przysłowiowy djabeł swojej duszy. Gdyby zobaczył, że na jego podwórze wjeżdża Polak to zaraz leci do domu po fuzje i gotów byłby strzelać i z miejsca nazywa takiego „bandit polonais“ co weszło już w zwyczaj. Gdyby miał niejedną ale 50 służących Polek to jednak gdy się spytać o Polkę to powiada, że on nie ma ani jednej. Taka jedna z drugą Polki to gąski które mogą skubać

spokojnie pracodawcy. Nic dziwnego, niejedna z nich wyrwana z domu z za pieca po prostu, tak ze wsi której całym światem była rodzina wioska i kościół. Kiedy przyjechała do Francji jest po prostu ogłupiałą, niedoświadczoną, naiwną i najczęściej daje się za marne grosze wyzyskiwać pod każdym względem to też pracodawcy dobrze ją pilnują aby się ona nie zetknęła z Polakami bo ci ją zaraz pouczą i ona już nie pozwoli się wyzyskiwać, dlatego też fuzjami odstraszają Polaków od swych domów. Nie wszyscy oczywiście są tacy bo dużo jest gospodarzy uczciwych, a naogół naród francuski jest szlachetnym lecz nieuczciwych przeważnie fermierów jest też bardzo dużo. Każdy robotnik polski czy robotnica o ile w mieście i w przemyśle jest bardziej niż inne narodowości wyzyskiwana to na roli u fermierów jest traktowana niczem zwierzę pociągowe. Gdy ktoś idzie do takiego fermiera do zgody co do wynagrodzenia za pracę to taki fermier bestja narzeka, płacze, że jego gospodarstwo nie daje dochodu aby tylko utargować jak najniższą cenę za pracę lecz ten „niedochód" jego gospodarki wcale mu nie przeszkadza by co dwa — trzy lata zmieniał swoje auta na coraz to droższe marki i jeździć nimi na bale co niedziele i zajadać smaczne kąski podlewając je szampanem. Bodaj że rolnicy francuscy najlepiej się mają ze wszystkich rolników świata.

Sporo jest tutaj fermierów którzy mają piasku w rękawach, więc nie chce im się pracować to też mając jakieś gospodarstwo rolne wypuszczają w dzierżawę. Siedzą w mieście i żyją z dzierżawy. Taki zaś dzierżawca po paru latach kupuje sobie już gdzieś mniejsze czy większe gospodarstwo rolne. Znam osobiście takich dzierżawców co po dziesięciu latach dzierżawy pokupili sobie na własność gospodarstwa dwudziestohektarowe, a najczęściej dzierżawione przez siebie gospodarstwo kupują sobie na własność. O ile więc dzierżawcy tak się bogacą to cóż tu dopiero mówić o właścicielach których dochód idzie do jednej kieszeni podczas gdy dzierżawca musi się dzielić dochodem z właścicielem.

Nie gorzej się mają różni drobni fabrykanci, budowniczy i wogóle ci wszyscy którzy pracują samodzielnie. Ale o tych pomówię na końcu bo pragnę jeszcze pomówić o rolnictwie które mnie interesuje a które tak bardzo różni się naprz. od polskiego. Dużo się czyta tutaj w prasie polskiej o nędzy w Polsce. Dużo o tem mówią ludzie. Listy pisane do emigrantów przez rodziny

zamieszkałe w Polsce pełne są skargi i utyskiwań na nędzę na wsi a więc rolnictwa. Że nędzę cierpią masy robocze to rzecz zrozumiała. Gdy niema pracy, gdy nie zarobi grosza więc musi żyć w nędzy. Lecz o ile wieś cierpi nędzę to poniekąd jest winą samej wsi. Zacznę od początku.

Tutaj rolnik francuski aby jego gospodarstwo dawało dochód musi się sam starać, bo pieniądze same nie przyjdą rzecz zrozumiała, trzeba się o nie starać. Jak wiadomo największy dochód gospodarstwu przynosi chów drobiu i bydła. Nie będę tutaj mówił o hodowli bydła bo w Polsce na małych gospodarstwach hodowla bydła na większą skalę jest niemożliwa, wspomnę więc tylko o hodowli drobiu. Tutaj każdy rolnik chowa setki kur, indyk, kaczek, perliczek i królików. Ma on więc i do jedzenia dla siebie i na sprzedaż i bodaj, że ze sprzedaży tylko drobiu opędza się płacąc podatki i inne potrzeby, pominąwszy już jego dochód ze zboża, bydła i t. d. Królików każdy rolnik chowa tutaj setki i ma duży dochód z tej hodowli. Świnie chowa każdy rolnik najmniej cztery— pięć w roku. Zachodzi teraz pytanie czem żywić tyle drobiu. Rolnik francuski i tą kwestję umiał rozwiązać z korzyścią dla siebie. Oto rok rocznie sieje dużo kukurydzy, zasieje nieduży kawałek pola i zbiór ma duży ale to jeszcze nic bo francuski rolnik umie wykorzystać każdą piędź ziemi. Nasadzi on kukurydzy pomiędzy ziemniakami, pomiędzy burakami i t. d. Gdy zbierze ma paręset kilo kukurydzy którą wszelkie ptactwo bardzo lubi i tą kukurydzą tuczy się. Przytem trochę owsa, czy garstkę pszenicy czy coś innego jeszcze, no i paręset kur indyk czy kaczek wychowa się należycie. Przypuśćmy teraz, że taki rolnik posiada tylko 50 kur które niosą jajka i przypuśćmy, że każda kura zniesie rocznie tylko 260 jajek albo jeszcze lepiej 20 tuzinów a więc 50 kur rocznie przyniesie tysiąc tuzinów jaj. Dalej, na początku wiosny płaci się tutaj za tuzin jaj siedem fr. (7 fr.) trochę później 6 fr., 5 fr. a ostatnia najmniejsza cena 3 fr. za tuzin. Twardą jesienią i zimą płaci się za tuzin jajek 10 — 12 fr. ja biorę tylko cenę 3 fr. a więc tysiąc tuzinów po 3 fr. tuzin mamy już 3.000 fr. Pomijam już tutaj jajka kaczek i indyk które są zawsze droższe. Najmniejsza cena jednej kury wynosi tutaj 15 fr. Przypuszczalnie rolnik sprzeda rocznie 50 kur tylko licząc za sztukę 15 fr. otrzyma 750 fr. Napewno drugie tyle otrzyma za kaczki, indyki i perliczki. Ale idźmy dalej. Króliki też są drogie, za kilo kró-

lika płacą przeciętnie 5 fr. niech rolnik sprzeda tylko 50 królików przeciętnej wagi trzy kilo otrzyma za to 750 fr. Przeciętny gospodarz tutejszy chowa najmniej trzy krowy mleczne które mogą mu dać najmniej 40 litrów mleka dziennie. Litr mleka płaci się tutaj 1,25 fr. najmniej i to na miejscu bo z przynoszeniem do domu trzeba płacić 1,35 fr. a więc te trzy krowy dadzą mu dochodu 50 fr. dziennie. Pomijam już inne dochody jak i nawet dochód z krów a liczę tylko drób i króliki które przyniosą tutejszemu rolnikowi przeciętnie pięć tysięcy fr. rocznie i wszystko liczę na przeciętnie.

W Polsce byłem wychowany na wsi na której to wsi spędziłem 22 lata życia. Widziałem jak rolnicy w mojej wiosce chowali świnie, kury, gęsi, gdzieniegdzie kaczki, indyk czy perliczek nie widziałem a królików nie wiem czyby znalazł w całej wsi (liczącej 60 domów) bodaj że 50.

Chłop polski nie jest głupi to prawda lecz racjonalnej gospodarki nie umie poprowadzić. Dla niego wystarczy zaorać pole i zasiać a później niech tam, ręką machnie i to wszystko, boć siew sam wyrośnie. Aby jednak gospodarka dawała należyty dochód trzeba umieć nietylko orać i siać a trzeba wiedzieć co siać i gdzie, co trzeba hodować aby dawało korzyści. Widziałem w mojej wiosce u najbogatszych gospodarzy najwyżej 30 — 40 kur czasami parę kaczek, gęsi i to wszystko a przecież i średnio zamożny rolnik w Polsce mógłby z powodzeniem wyhodować większą ilość kur kaczek indyk czy perliczek. Co prawda to naszemu chłopu mniej wygodnie jest hodować taki drób ze względu na brak przestrzeni około domu, ale gdyby ogrodził płotem podwórze albo jakiś nieduży placyk to ten drób nie robiłby szkody sąsiadowi, a wyżywić też by mógł gdyby na małym kawałeczku ziemi nasiał kukurydzy czy nawet pomiędzy ziemniakami na czem by bynajmniej ziemniaki nie ucierpiały a więc trochę kukurydzą, trochę owsem, trochę ziemniaki z ospą a mógłby śmiało wyżywić większą ilość drobiu. Króliki które tyle dochodu przynoszą rolnikowi francuskiemu dlaczegożby nie przyniosły dochodu rolnikowi polskiemu. Takie króliki łatwiejby mu było wychować i wyżywić jak drób, bo o ile drób trzeba żywić ziarnem o tyle króliki można wyżywić byle czem. Mówię byle czem bo królikowi można raz dać trochę koniczyny czy lucerny drugi raz trochę ot tak garstkę owsa trzeci raz trochę ziemniaków z ple-

wami i żywić tak jak żywią Francuzi. Nikt nie może powiedzieć, że trudnoby mu było wyżywić króliki w ten sposób boć przecież najuboższy rolnik ma zawsze kawałek pola koniczyny czy lucerny, sieje też owies, ziemniaki też ma a plew nie brakuje nigdzie mógłby więc śmiało wyżywić jak latem najmniej 150 królików miałby na sprzedaż i dla siebie mięso od czasu do czasu, a chłop polski biedak woli tylko trzy razy na rok jadać mięso a nie chować tego coby mu przyniosło podwójną korzyść. Słyszałem będąc jeszcze w Polsce jak niejeden gospodarz mówił, że królików niema gdzie chować a o ile któryś tam miał 4 — 5 królików to je trzymał w oborze razem z krowami i końmi. Oczywiście króliki te kopały doły osłabiając tem samem fundament budowli a pozatem krowa czy koń kaleczyły króliki. Można też i tego uniknąć bo jak w mojej wiosce każdy gospodarz ma w swoim polu kamień z którego i domy budują, czyż więc nie mógłby jeden z drugim nałamać trochę kamienia i tanim kosztem pobudować sobie klatki? Mały wydatek na parę desek na drzwiczki, gdzieś koło domu pod słońce frontem i gotowe klatki, boć przecież budowa klatek nie sprawia żadnej trudności. Aby udowodnić, że się nie mylę dam przykład ze siebie. Ja pracuję w mieście ale mieszkam na wsi ponieważ z jednej strony mieszkania w mieście są drogie i niezdrowe, a po drugie, że ja ubóstwiam przyrode dlatego mieszkam na wsi. Mam mieszkanie dwuizbowe, kuchnie i pokój. Mieszkam z matką tylko bo dobry bożek kawalerów oszczędził mnie czyli uchronił od nieszczęścia małżeńskiego. Ale do rzeczy. Otóż poza mieszkaniem mam piwnice, małą obórkę gdzie mogę chować kozy i świnie, mam przytem drugi objekt coś w rodzaju małego chlewika gdzie chowam króliki. Zarabiam przeciętnie tygodniowo 150 — 160 fr., sto fr. kosztuje mnie utrzymanie z matką tygodniowo a nie zawsze zarobię 150 — 160 fr. bo wypadło święto w tygodniu lub też z jakiego innego powodu stracę dzień pracy to już mniejszy mam zarobek, ale wydatek tygodniowy ten sam bo jeść trzeba zawsze, a pozatem trzeba pieniędzy na inne potrzeby, jak tytuń, na gazetę, książkę, nie licząc już buta czy spodni, a więc ten mój zarobek nie wystarczyłby na to dlatego wziąłem się do hodowli królików. W poprzednich latach nie powiodła mi się bardzo ta hodowla bo szczury bestje mi wciąż dusiły młode króliki. Od dwu lat dopiero hoduję króliki w pierwszym roku same szczury udusiły mi 98 królików mimo to sprzeda-

łem za 450 fr. W drugim roku trochę lepiej mi się powiodło bo szczury wytrułem jedynie ostatniej jesieni dałem raz moim królikom buraczanych liści, no i moja głupota pozbawiła mnie 60 królików które mi zdechły od buraczanych liści jednak sprzedałem ich za 600 fr. O ile mam trudności w mojej hodowli królików to tylko zimą bo im muszę wszystko kupić do jedzenia, jak koniczyne buraki i ospe no ale zimą nie trzymam ich wiele za to latem mam ich zawsze 150 bo latem tylko cośkolwiek kupię koniczyny trochę owsa czy ospy bo moja matka zawsze uzbiera różnej zielenizny co mnie nic nie kosztuje. Mam też większy kawałek ogródka, gdzie sobie nasieję trochę jarzyn trochę kwiatów i to mam ogrodzone siatką drucianą a resztę ogródka tak jakieś 12 metrów kwadratowych zasiałem lucerną i latem kiedy tylko lucerna odrośnie troche tak sobie co drugi dzień po pracy wypuszczę moją hołote na ten kawałek lucerny. Króliki się najedzą nalatają po słońcu i świeżem powietrzu, mają duży apetyt i nigdy mi nie chorują i co więcej gdy ktoś chce królika kupić na zabicie to przychodzi tylko do mnie i obstalowuje miesiąc naprzód ponieważ najtłuściejsze króliki u mnie znajdzie. Mam też dobrą rasę królików które dochodzą do wagi sześć kilo.

Poza królikami można z powodzeniem hodować świnki morskie których mięso pod względem smaku przewyższa królików. Świnki morskie tak samo żywią się zieleniznq, jedynie bestje mają jedną wadę, że krzyczą t. j. piszczą zawsze, pozatem są dobre bo nażre się toto byle czego. Mięso ich gdy jest dobrze upieczone jest bardzo dobre Francuzi wszyscy jedzą, a więc i w Polsce mieliby mięsa dosyć gdyby tak chcieli hodować te miłe stworzonka. Ale to jeszcze nie wszystko. Chłop w Polsce sieje tylko pszenice żyto i t. d. a sadzi tylko ziemniaki. Tutaj we Francji rolnicy tuczą świnie tylko burakami, banią i ogórkami. Gdyby rolnik polski miast pięć mórg (czy nawet mniej troche ale zawsze za dużo) nasadził na małym kawałku bani, kawałek pola ogórkami czy burakami pastewnemi, to zbiór by miał dużo większy, bo cóż tu przykładać ziemniaki do ogórka, bani czy nawet buraka z którego można wykroić kilka ziemniaków a temi artykułami może świnię utuczyć niejedną tylko jak we Francji. Rosną tutaj banie nieraz dochodzące do 150 kilo, a taki kawałek bani (czy dyni nie wiem jak się właściwie nazywa po polsku) z kawałkiem ogórka i buraka jest do-

brą paszą dla świń, przytem troche ziemniaków z ospą czy plewami od czasu do czasu można świnie tuczyć, a rolnik polski tuczy tylko ziemniakami których by mu nie wystarczyło gdyby chciał utuczyć 4 — 5 świń jak każdy jeden rolnik francuski. Dlatego też tutaj każdy taki rolnik chociażby posiadał tylko dwa hektary ziemi musi sobie w każdy rok świnie utuczyć i zabić dla siebie.

Rolnicy francuscy mają też duży dochód z orzechów włoskich. Każdy taki rolnik posadzi byle gdzie orzecha, koło drogi i nawet w środku ornego pola co mu bynajmniej nie przeszkadza siać czy sadzić co tylko zechce boć przecież taki orzech nie zajmie dużo miejsca a korzyści daje dużo bo chociaż tutaj każdy rolnik zbiera orzechów po parę metrów to jednak są one drogie bo płacą za kilo zależnie od ich jakości tak od 10 fr. do 15 fr. a jeden orzech może dać najmniej 8—10 kilo. Czyż więc i w Polsce nie mogliśmy z powodzeniem nasadzić orzechów gdzie się da a później zbierać i mieć gotówkę zato? Ale i to nie wszystko. Jak wiadomo hodowla jedwabników też daje duży dochód a to bynajmniej nie nastręcza żadnych trudności, bo co prawda to do hodowli jedwabników potrzebne są drzewa morwowe lecz zamiast bezużytecznych wierzb można na ich miejscu nasadzić morwy i już by było czem żywić jedwabniki. Morwy można sadzić w środku pola ornego bo te nawet i cienia dużego nie dają więc nie przeszkadzają. Niewygodnie trochę coprawda orać pole z drzewem w środku no ale to zbyt mały powód dlaczegobyśmy mieli nie sadzić tego drzewa. Zresztą można nasadzić koło miedzy to mniej przeszkadza w orce, a za to co rok można wyhodować parę kilo jedwabników i mieć niezgorszy dochód.

Zobrazowałem mniej więcej co może dać pewny dochód byleby tylko chcieć. Stopa życiowa rolnika francuskiego a polskiego to kolosalna różnica. Chłop w Polsce gdy mu braknie ziemniaków już nie ma czem się odżywiać i mówi, że ma t. zw. przednówek. Gdyby mu do tego zabrakło mąki czy kaszy już u niego głód. I czemże on żyje. Rano barszcz (po chłopsku żur) z ziemniakami trochę z chlebem a najczęściej bez chleba i ten jedyny barszcz jest chłopskim śniadaniem. Na obiad jakieś kluski, makaron czy kasza i znowuż ziemniaki dla odmiany z mlekiem zsiadłym czy jakąś polewką i t. d. Kolacja zupa ziemniaczana najczęściej bez chleba i to wszystko. Potrawy te mogą być i zdrowe lecz nie wystarczające.

Rolnik francuski inaczej się odżywia. Ma on w swem ogródku i marchew i buraki cukrowe, pory, różne sałaty, blet, rzepe, kardon, pomidory, specjalny pieprz jadalny (bardzo dobry) i wiele innych jadalnych i zdrowych jarzyn. Dużo jest rolników francuskich którzy będąc zbyt chciwi źle się odżywiają lecz biorąc ogólnie czy to będzie mniej chciwy rolnik, robotnik czy jakiś inny nie żałują sobie gdy idzie o żołądek. Tutaj rodzina składająca się z pięciu osób zje tygodniowo tyle ziemniaków co ta sama rodzina w Polsce zje dziennie, to samo tyczy się mącznych potraw, jak makaron i t. d. Spytałby ktoś z polskiej wsi czemże więc żyją francuzi, ano jarzynami. Gospodyni francuska bez względu na swą zamożność robi tylko jedno danie mączne, będzie to makaron czy ryż, fasola czy groch, dwa następne dania z jarzyn trochę chleba do tego i każdy jest syty a obiad niezbyt kosztowny. W Polsce chłop również mógłby uprawiać jarzyny, odkroić kawałek ziemi od pszenicy czy żyta zasiać fasoli czy grochu który jest pożywnym a który większy zbiór da aniżeli dany kawałek pszenicy czy żyta. Gdyby siał kukurydzę która daje dużo większy zbiór jak jęczmień czy owies też by miał mąkę która jest lepszym pożywieniem aniżeli jęczmienna kasza. Uprawiając to wszystko mógłby jadać wszystkiego po trochu coby mu lepiej wpływało na zdrowie a przedewszystkiem i na t. zw. przednówku miałby co jeść. Chłop polski do takiego dobrobytu jak chłop francuski nigdy nie dojdzie chociażby ze względu na dzieci których każdy posiada tuzin a ja pisząc powyższe nie mam zamiaru wpajać w kogoś, że przy podobnej metodzie gospodarowania zniknie chłopska nędza w Polsce. Bynajmniej tego nie twierdzę, ale zaręczyć mogę, że przy racjonalnej gospodarce nędza ta może być o połowę mniejsza...

Chłopi francuscy są zorganizowani w kółka rolnicze i kooperatywy. Kupują oni co im potrzeba w sklepach jak cukier, kawę, mąkę i t. d. lecz co im potrzeba do uprawy ziemi wszystko mają w kółkach rolniczych. Takie maszyny rolnicze, nawozy sztuczne i t. d. tego już nie kupują u pośredników co ich kosztuje znacznie taniej. Produkta przez siebie wytwarzane sprzedają przez syndykaty czyli kółka rolnicze i oni ceny dyktują, pośrednicy nie zarobią tutaj na chłopach jak w Polsce. Ile zarabiają pośrednicy niech posłuży poniższy fakt. Jeden ogrodnik pod Paryżem sprzedał kalafiora w którego gdy ten był jeszcze mały włożył kartkę z jego ceną.

I oto ogrodnik sprzedał tego kalafiora za 25 centów, dosłownie dwadzieścia pięć centów a ten który go kupił zapłacił za niego cztery franki pięćdziesiąt centów a więc nim ten kalafior doszedł do Paryża już zdrożał o cztery franki 25 centów. Tak też i z polskich chłopów żyją pośrednicy, którzy ani orzą ani sieją a plon zbierają dużo większy od wytwórcy. Dlaczego! Mamy w Polsce armję dla której wyżywienia potrzeba wszystkiego. Wiadomo, że armja jako taka nie sieje ani zbiera tylko trzeba dla niej kupować za pieniądze podatkowe które chłop łoży. Czy niedobrzeby też było gdyby ta armja żywiona była bezpośrednio? Gdyby przepędzić precz pośredników a kupować bezpośrednio u chłopów wszystko co on wytwarza. Byłyby to korzyści obuwspólne bo chłopby więcej dostał za swoje wytwory a armja taniejby kupowała, cały zysk który pozostaje u pośredników pozostałby w połowie u chłopa a w połowie u tejże armji i chłop miałby się lepiej. Gdyby w każdej wiosce było kółko rolnicze dużoby można dobrego zrobić ale cóż gdy takie kółko powstanie zaraz jakieś stronnictwo polityczne położy swą łapę na niem i po krótkim żywocie kółko djabli biorą. We Francji tego niema, poza kółkiem każdy jest czem chce ale w kółku rolniczem jest tylko jego udziałowcem.

Lepiej jest chorować we Francji jak naprzykład w Polsce bo tutaj chociaż z trudem lecz można się wyleczyć zato w Polsce z powodzeniem można umierać. W roku 1936 na wiosne umarł mi brat nie będąc ciężko chorym, ale umarł bo nie miał opieki. Gmina nie chciała na swój koszt odesłać do szpitala bo nic nie posiadał brat, a mała tylko operacja mogłaby go uratować. Gmina francuska dba o swego mieszkańca, a podobny wypadek jak z moim bratem w Polsce jest nie do pomyślenia tutaj we Francji nawet w stosunku do obcokrajowca a cóż dopiero do swego obywatela. Ale to nie wszystko, mój sześcioletni siostrzeniec w drodze z Polski do Francji zaziębił się z czego się wywiązała dłuższa choroba a później suchoty. Z początku był leczony w szpitalu a gdy nic nie pomagało, szpital na koszt gminy odesłał go w góry do sanatorjum co drogo też kosztuje. W jednym sanatorjum był cały rok a gdy rezultat był lichy odesłano go do innego jeszcze lepszego sanatorjum gdzie przebył trzy lata no i tam go wyleczyli zupełnie. Dzisiaj jest zdrów jak ryba a moją siostrę to leczenie nie kosztowało ani jednego centa i to nietylko to bo tutaj wszystkie dzieci chore czy to

będą dzieci Francuzów czy Polaków, Chińczyków czy wreszcie Arabów i Murzynów gmina bez względu na narodowość, narazie leczy te dzieci na swój koszt. Tysiące dzieci leczy się po wszystkich sanatorjach. W każde wakacje rok rocznie każde miasto wysyła dzieci robotników w góry. Gdy miasto nie może podołać ciężarom tej wysyłki urządza różne imprezy na ten cel, nowożeńcy przy ślubie w urzędzie składają dobrowolne datki jako też i uczestnicy ślubu, gdy jeden drugiemu wyrządzi krzywdę niewielką płaci dobrowolną karę do urzędu gminnego i cały ten dochód idzie na dzieci biedaków których organizmy wycieńczone dziesięciomiesięcznem ślęczeniem nad książką mają możność chociaż przez dwa miesiące w roku oddychać świeżem powietrzem. To samo dotyczy osób chorych na suchoty. Tysiące robotników leczy się po sanatorjach na koszt ubezpieczalni społecznej i gminy. Polacy korzystają z tych samych praw co i tubylcy. Mam kolegę który będąc chorym na tuberkulozę dwa lata był w sanatorjum i wyleczył się całkiem chociaż go to nie kosztowało ani grosza. Gdy chory robotnik lecząc się w szpitalu ma dzieci, dostaje na te dzieci 3 fr. dziennie z ubezpieczalni społecznej, lecz kiedy leczy się w sanatorjum a matka nie może zarobić tyle by dzieci wyżywić dostaje zapomogę z gminy. Gdyby zaś dzieci matki nie miały a ojciec ich chory leczył się w sanatorjum wtedy gmina bierze je do sierocińca i tam są żywione aż do powrotu ojca. Oczywiście nie dotyczy to dzieci które już mogą zarobić na siebie t. j. które mają więcej aniżeli 13 lat.

Co do poziomu życia obecnego a poziomu życia w Polsce, to jest kolosalna różnica. O ile w Polsce wegetowałem opuściwszy beznadziejnie ręce to obecnie tutaj pełny jestem wiary, pełny optymizmu a o ile czasami i tutaj nabieram czarnych myśli to ma to już głębsze podłoże, w Polsce byłem niczem, bo czemże może być człowiek nie posiadający majątku żadnego i nie mający nawet możności zarobić na najniezbędniejsze swoje potrzeby.

Pod względem kulturalnym życie moje w Polsce pozostawiało dużo do życzenia pomimo iż pracowałem w organizacjach oświatowych. W ciemnej zatabaczonej wsi polskiej nawet i taka praca jak wyżej nie może dać zadowolenia moralnego. Czytałem wiele gazet lecz one jako polityczne nie mogą rozjaśnić mroków życia wiejskiego a już bynajmniej nie można powiedzieć by uszlachetniały ciemny element wsiowy. Gdyż one same wiele pozostawiają do ży-

czenia pod względem moralnym. Książki, chociaż czytałem ich wiele w Polsce, nie przyniosły mi pożytku bo mniej oporny umysł mogą jeszcze bardziej zaciemnić. O kupnie porządnej książki nie było zaś mowy kiedy na chleb nie było pieniędzy. O innych rozrywkach z przyjemnościach już nie można wspominać.

Tutaj we Francji chociaż nie zarabiam wiele jednak mam możność kupić sobie dobrą książkę czy gazetę które jednak muszę z zagranicy sprowadzać bo tutejsza prasa polska niewiele jest warta.

Mamy we Francji polskie księgarnie lecz niekiedy lepiej jest kupić książkę w Polsce bo taniej kosztuje. Oczywiście mówię o dobrej książce bo śmieci jak Hrabina żebraczka, Idylja, Tajny Dedektyw i t. d. można tanio kupić. Gazety sprowadzam sobie nieraz z Polski niewiele bo zarobek nie pozwala. Ale literatura nie jest wszystkiem tutaj. Radja w Polsce słuchałem raz tylko i to musiałem iść pieszo trzy kilometry by to radjo usłyszeć, tutaj zaś mam możność słuchać codzień. Gdy pragnę posłuchać radja idę do sąsiada Francuza a on chętnie się godzi kiedy nawet i z Polski chcę coś posłuchać, niestety niezawsze mam możność złapać Warszawę, gdyż Luksemburg zawsze przeszkadza. Z drugiej strony nieprzyjemnie gdy nieraz ktoś z sąsiadów rzuci jakąś uwage złośliwą, bo oni tutaj nazywają polskie radjo „Radjo kruchtą" a niejeden który posiada radjo tutaj nigdy nie słucha polskiego radja bo mówi, że on gdy chce to może nabożeństwa posłuchać u siebie w kościele. Nie mają oni słuszności ale cóż robić.

Poza radjem mogę też posłuchać polskiej muzyki gdyż by zabić nudy kupiłem sobie gramofon. Mam francuskie płyty ale mam też i polskie. Kiedy gram często przychodzą Francuzi i słuchają polskich kawałków i przyznać muszę, że chwalą niektóre polskie kawałki, najwięcej walce i oberki czy śpiew, bo polek nie lubią, a śpiewu chociaż nie rozumieją to jednak melodje podziwiają. Kina też w Polsce bardzo nie znałem. Byłem raz w kinie w Warszawie i raz w Sosnowcu, tutaj zaś każdą sobote i niedziele mogę pójść do kina. Do teatrów nie chodzę bo nie lubię teatru zato na koncerty często idę, pominąwszy już zabawy różne i t. d. W Polsce ani razu jednego nie byłem nigdy na wycieczce tutaj zaś bardzo często. Gdy tylko lato przyjdzie właściciele pasażerskich aut zdejmują dach auta i przyjmują zapisy na wycieczki. Za dosyć niską opłatą można zwiedzić pół Francji. Kiedy się zbierze dostateczna

ilość amatorów auto wyrusza na dwa trzy dni. Wycieczkowicz zapłaci ustaloną cenę i nic go już nie obchodzi bo całkowite utrzymanie w drodze już daje właściciel auta. Jedno auto zabiera 24 osoby a takich aut idzie razem nieraz siedem lub osiem. Kiedy się do aut siada najczęściej nikt nikogo nie zna lecz kiedy się wycieczka skończy wszyscy się już dobrze znają. Wesoło jest gdy osiem takich aut zajedzie gdzieś do miasta, kiedy zasiądziemy do obiadu wszyscy razem gdzieś na tarasie hotelu czy w parku hotelowym. Wszyscy są sobie obcy a jednak czują się bliscy. Razem jemy żartujemy i śmiejemy się i ani się człowiek nie obejrzy już się wycieczka skończy dwa — trzy dni miną jak sen i człowiek z żalem myśli o powrocie. Raz byłem w Genewie w Szwajcarji trzy dni z taką wycieczką. Jeździmy też w góry daleko, po większych miastach Francji i t d. Przyznać się muszę, że Francje lepiej znam niżeli Polskę mimo, że we Francji jestem dopiero osiem lat a w Polsce przeżyłem 22 lata. Jestem również we francuskiem klubie piłki nożnej, też dosyć często wyjeżdżamy na mecze jakie odgrywamy z innymi drużynami. Należę również do straży pożarnej francuskiej też częste wycieczki, konkursy i t. d. Jednem słowem inne życie czyż więc mogę teraźniejsze życie porównać do życia jakie prowadziłem w Polsce? Można się tutaj wyrobić wykształcić i stać się kulturalniejszym a jednak w Polsce nie miałem możności takich rozrywek: Radjo, gramofon, kino, koncerty, wycieczki i t. d. Żyjąc w Polsce zależny byłem od wszystkich, tutaj od nikogo, czuję się wolniejszym, swobodniejszym. Zarobię sobie na byt i pozostanie grosz na rozrywkę. O ile w Polsce znalazłem trochę rozrywki w ramach mej pracy społecznej, to tutaj mam rozrywki zawsze, wszędzie.

Gdy przyjdę z pracy, pół godziny popracuję w ogródku, godzinę — dwie poświęcę na czytanie, dwie — trzy godziny na pisanie. Jestem zapalonym kolekcjonerem znaczków pocztowych, wszelkich antyków, autografów głośnych, zasłużonych ludzi, fotografji koronowanych głów, kolekcjonuję nawet i guziki rzadsze okazy. Gdy mi się znudzi czytanie czy pisanie sortuję wklejam do albumu znaczki czy przeglądam inne swoje zbiory i t. d. Czas mi leci, tak że na nudy nie narzekam nigdy. Nie spędzam nigdy czasu w kafejce czy domu publicznym bo w domu mam wszystkie rozrywki. I dlaczego to? Dlatego tylko, że pracuję, że zarobię parę groszy i mam możność kupić sobie książkę, gazete czy nową płytę do

gramofonu, czy też wydać parę groszy na kupno biletu do kina czy wreszcie dorzucić coś do mojej kolekcji. Jednem słowem mam możność być człowiekiem i to dlatego tylko, że pracuję i żyję w otoczeniu ludzi kulturalnych. A jednak! To nie to, co powinno być, jestem zadowolony z pobytu we Francji a jednak gdybym w Polsce miał prace jak tutaj, porzuciłbym wszystko, a nie mogąc inaczej pieszo bym poszedł do Polski do której tęsknota żre mi duszę, że nawet te wszystkie rozrywki wyżej opisane nie są zdolne tęsknoty tej zagłuszyć. Bywają chwile, że tęsknota za Ojczyzną sprawia mi poprostu ból fizyczny. Cierpię wtedy i staję się tem naiwnem dzieckiem które marzy o skrzydłach sokoła abym mógł polecieć do Polski. Kto nie zna tęsknoty, kto nie wie czem jest dla człowieka słowo „Ojczyzna" ten niech ją opuści na parę lat. Kiedy wyjeżdżałem z Polski nie zdawałem sobie sprawy czem ojczyzna była dla mnie. Cóż znękany nędzą i trudną walką z losem uważałem sobie za wielkie szczęście, że Polskę opuszczam, że tam w nieznanej obczyźnie poprawię sobie byt. Nie myślałem, że mogę cierpieć z tęsknoty i pragnąć powrotu. Radość moja była wielka opuszczając Polskę lecz dziś chybabym z radości szalał gdybym do Polski wracał. Rozdarto mi dusze. Tęsknię do Polski jako do swej ojczyzny lecz i na obczyźnie już się przywiązałem do ludzi, do rzeczy i do miejsc. Pozostawiłem pół duszy w ojczyźnie nie wiedząc o tem gdy ją opuszczałem a i tutaj gdzie przeżyłem osiem lat gdybym odjeżdżał do ojczyzny pozostawię cząstkę mej duszy. Tak źle i tak niedobrze, lecz wolałbym już do Polski powrócić. Tutaj wszystko obce chociaż życzliwe. Tam w ojczyźnie wszystko swojskie, bliskie i piękne. W pierwszych chwilach pobytu na ziemi francuskiej byłem oszołomiony pięknem tej ziemi. Dziś to piękno poprostu mi obrzydło zato dzisiaj odczuwam w całej pełni piękno ziemi ojczystej jej urok niewysłowiony. Oczyma duszy widzę jej łany złotych zbóż tak bez końca. Widzę jej pełną czaru wiosne, lato, niemniej czarowną jesień i pełną uroku zime. Tutaj mogę się popatrzyć na śnieg tylko zdala na wierzchołki gór a za całe osiem lat pobytu tutaj raz miałem możność tylko chodzić po śniegu i nic więcej. I wszystko, wszystko inne w ojczyźnie, lepsze, piękniejsze, bliższe, tem droższe. I bodaj, że tysiące tułaczy przeklina ten los który ich zmusił do szukania kawałka chleba na obczyźnie kiedy w ojczyźnie go nie brak.

Naogół społeczeństwo francuskie jest przychylnie usposobione dla Polaków jedynie do pewnych organizacji polskich na tutejszym terenie jest źle usposobione. Do Związku Strzeleckiego nieprzychylnie się odnoszą lecz nic dziwnego. Każdy Francuz ma jeszcze w pamięci ohydną rzeź wojny światowej. W każdem tutejszym mieście, w każdej wiosce stoi pomnik poległych w wojnie światowej na którym dziesiątki i setki imion jest wyrytych poległych. Każdy też Francuz jest militarystą ale z musu, armję uważają jako konieczność tylko to też Francuz i na własną armję patrzy krzywo. Żadnych organizacji o charakterze wojskowym tutaj niema to też nic dziwnego, że do Strzelca źle się odnoszą. Gdy widzą maszerujący oddział Strzelecki nieumundurowany to pół biedy nie razi ich to zbyt wiele, lecz kiedy zobaczą taki oddział umundurowany zaraz się daje słyszeć niemiły zgrzyt, drwiące uwagi pod adresem całego wychodztwa. Najgorzej gdy taki oddział przemaszeruje przez miasto ze śpiewem czego Francuzi nie lubią. Oni nigdy nie uwierzą, że jest to organizacja jak inne oświatowa bo oni Strzelec uważają za prawdziwe wojsko. Do innych organizacyj polskich są dobrze usposobieni. Władze francuskie a właściwie podrzędniejsze urzędy jak prefektury i urzędy gminne były dobrze usposobione dla Polaków dokąd Polska nie zawarła paktu przyjaźni z Niemcami. Jak tylko ten pakt został zawarty zaraz zmieniło się na gorsze i zaraz odczuliśmy to na własnej skórze i to nietylko urzędy ale i pewne sfery cywilne dały poznać, że wobec takiego paktu należy wychodztwo potępić chociaż to wychodztwo najmniej zawiniło. Ileż to razy słyszałem kpiące uwagi zwracane do mnie jak, że gdy u siebie chleba nie mamy to się pchamy do Francji a pakty przyjaźni to zawieramy z ich wrogami. Raz mój gospodarz powiedział, że gdy nam potrzeba pieniędzy to idziemy je pożyczać we Francji a nie u swoich przyjaciół Niemców i dużo podobnych uwag słyszałem zawsze od wielu ludzi. Nie było mi przyjemnie słuchać podobnych uwag, ale jeszcze gorsze to, że niechęć odbiła się na skórze wychodźcy. Ja będąc wrażliwy na to wszystko a przytem mając oczy otwarte odczułem to wszystko chociaż do mnie osobiście są przychylnie usposobieni mieszkańcy tutejsi.

Kiedy przyjechałem pierwszy raz do wioski w której obecnie pracuję patrzano na mnie z podełba jak na niepożądanego intruza lecz dzisiaj stosunek ten zmienił się na lepsze. Po czterech latach

pobytu w jednem miejscu zasłużyłem na zaufanie i szacunek a to tylko przez nienaganne prowadzenie się. Nie lubią Francuzi pijaków, awanturników i t. p. Ludzi którzy biorą udział w ich życiu społecznem (oprócz polityki) lubią nawet. Mają oni swoje zwyczaje, obyczaje, uroczystości, różne obchody. Gdy ktoś bierze czynny udział w ich uroczystościach może czuć się jak u siebie w domu. Co do mnie to chociaż czuje się Polakiem bardziej obecnie niż kiedykolwiek indziej biorę czynny udział w życiu społecznem tubylców.

Pomimo życzliwości ze strony ogółu społeczeństwa francuskiego trafiają się jednak wypadki niechęci ale to tylko jednostek. Razu jednego napadł mnie brutalnie jeden robotnik francuski pytał mnie on dlaczego przyjechałem do Francji pracować i odbieram chleb i prace im Francuzom. Było to w jednej kafejce gdzie wszedłem po pracy wypić szklankę piwa, ja niechcąc wywołać awantury czego nienawidzę tak sobie spokojnie i z zimną krwią tłumaczyłem mu, że Francja mnie i tysiące innych robotników obcokrajowych sama wezwała bo tych robotników potrzebowała, że tylko z pomocą robotników obcych mogła się z gruzów odbudować i t. d. Ludzi w kafejce było dużo i sami Francuzi ale na szczęście rozsądni to też mnie przyznali słuszność a tego malkontenta zagłuszono wreszcie wyrzucono za drzwi gdy zaczął się awanturować. Z tego zdarzenia wywnioskowałem że większość społeczeństwa francuskiego ocenia doniosłą role jaką odegrało wychodztwo polskie przy odbudowie Francji a o ile tu i owdzie podniesie się głos niezadowolonej jednostki to są to tylko wyjątki i wreszcie zależy też dużo od sprawowania się Polaków. Ja osobiście mam dużo kolegów pomiędzy młodzieżą a chociaż stosunki nasze nie są tak serdeczne jak naprzykład w środowisku czysto polskiem to jednakowoż są życzliwe czy to będzie młody czy stary każdy powie dzień dobry i rękę poda w każdym miejscu. Inny już będzie stosunek do Polaka awanturnika, brutala i pijaka bo Francuzi są spokojni i nie lubią awanturników i taki człowiek nigdy poważania ani życzliwości u nich nie znajdzie. Ja już jestem piąty rok na jednem miejscu ale mnie nikt jeszcze pijanym nie widział. Pracuję spokojnie i siedzę spokojnie tak jakby mnie wcale we wiosce nie było. Dlatego też cieszę się życzliwością Francuzów. Gorzej bywa gdy się ktoś upija, robi awantury albo też co się często zdarza wejdzie do cudzego ogródka czy na pole i tam

coś ukradnie, jest to najgorsze ze wszystkiego bo rodowity Francuz nigdy czegoś podobnego nie uczyni i nietylko, że z pola sąsiadowi nic nie ukradnie ale by na drodze leżało nie podniesie. Dlatego też gdy złapią Polaka na kradzieży cudzej własności rzucają gromy najczęściej na cały naród nie pomnąc że tu nie cały naród zawinił, ale tylko jednostka, a jednostki nieuczciwe trafiają się w każdym narodzie. Prym w szkalowaniu narodu całego wodzą dzienniki burżuazyjne, prawicowe. Gdy Francuz zamorduje żone swoją to podają, że to dramat małżeński, lecz kiedy Polak zamorduje swoją żone z tych samych powodów to piszą w nadgłówku „Bandit polonais". I tak bywa zawsze, a na nieszczęście takich różnych wypadków jest dużo, bardzo dużo. Tak samo gdy ktoś z głodu ukradnie kawałek chleba to nie używają terminu złodziej ale bandyta. Nic też dziwnego, że przeciętny Francuz gdy się naczyta takich bredni o „bandytach polskich" ma jaknajgorsze wyobrażenie o Polakach i nie ufają Polakowi gdy ten przyjdzie mieszkać do wioski, dopiero czynami dobrymi trzeba zdobywać to zaufanie.

Najgorszą jednak bolączką wychodztwa jest pijaństwo, gry hazardowe i upadek moralny. Lecz z tych wszystkich bolączek najgorszem jest pijaństwo. Ileż już ten szatański nałóg pochłonął ofiar. Nie setki ale tysiące jest takich co przepijają ostatnie grosze. Nikt o tem nie pisze. W Polsce nie wiedzą co się tutaj we Francji wyrabia. Mamy tutaj prasę polską, mamy tygodniki i dzienniki polskie, lecz ich wydawcy miast walczyć z tem złem jakim jest alkoholizm, to oni zajęci są obliczaniem zysków jakie im przynosi wydawnictwo. O ile ukaże się czasami jaki artykuł zwalczający alkoholizm to tylko wtedy kiedy ten alkoholizm przebierze miare czyli kiedy ktoś pod wpływem pijaństwa popełni zbrodnie.

W Polsce nic nie wiedzą i w Polsce nikt nie odczuwa tej bolączki lecz nam tutaj wychodźcom trzeźwo patrzącym na życie i na honor imienia polskiego ciężko jest dźwigać to znamie pijaństwa które jak przekleństwo losu wisi nad nami. Z jednej strony utrata zdrowia przez nałogowych alkoholików a przez to samo osłabienie zdrowego organizmu społeczeństwa, boć przecież nikt nie może powiedzieć, że ojciec alkoholik spłodzi zdrowe dziecko, tak jak matka nałogowa alkoholiczka urodzi zdrowe dziecko nie mówiąc już o jego wychowaniu. Z drugiej strony utrata ciężko zarobionych pieniędzy, któreby mogły zapewnić byt rodzinom czy będzie ona

w Polsce czy na miejscu. Ileż nędzy rodzi ten ohydny nałóg, ile łzy wyciska z ócz głodnych dzieci i żony takiego pijaka a ile do zbrodni popycha!... Znałem jedną rodzinę polską. On analfabeta i ona również. Mają dwoje dzieci, córkę obecnie liczącą 15 lat i jednego synka dziś 7 lat. Zachodziłem często do nich bo uczyłem ich córkę polskiego języka w piśmie. On spokojny człowiek lecz alkoholik. Spijał dwa litry wódki tygodniowo sam. Do kafejek nie chodził pić, bo picie u siebie w domu taniej go wynosiło. Tłumaczyłem nieraz jaką trucizną dla organizmu człowieka jest alkohol, on nigdy nie słuchał bo według jego mniemania to przeciwnie wódka jest lekarstwem. Cera u niego żółto-sina tłumaczyłem przyczynę tego lecz nigdy racji mi nie przyznał. Gdyby to tylko on tak pił ale w dodatku swemu synkowi dawał wino, wódkę do picia. Dziś ten synek pomimo swych siedmiu lat ma wygląd trzechletniego dziecka i półidjotyczne a ojciec siedzi we więzieniu bo córki swej nadużywał gdy ta miała dopiero 12 lat. Trzy lata jej nadużywał dopiero w roku 1936 córka mając już 15 lat zmądrzała troche i opierała się ojcu który ją siłą zmuszał do uległości i groził nawet zabiciem co widząc córka udała się pod opiekę żandarmerji i tam ojca oskarżyła. Dostał zato trzy lata więzienia. Czyż to nie wpływ alkoholu? Człowiek przy zdrowym i trzeźwym umyśle nie popełniłby podobnej zbrodni boć inaczej nie można nazwać nadużywanie własnej nieletniej córki. I wszystkie inne podobne zbrodnie popełniają tylko alkoholicy...

Weszło już w zwyczaj we Francji, że na widok pijanego człowieka czy to będzie Francuz Polak czy nawet Arab mówią, że pijany jak cała Polska. Skąd się to powiedzonko wzięło djabli mogą wiedzieć, dosyć że gdy się jednostka upije nawet nie Polak to już jest to cała Polska chociażby to przysłowie lepiej i słuszniej zastosować do Francji bo w całej Polsce niema tyle kafejek co w dwóch głównych miastach Francji. W Polsce we wiosce która nawet liczy dwieście domów jest jedna albo wcale niema restauracji a we Francji co trzeci dom w mieście to kafejka a czasami to pięć jedna koło drugiej. W mojej wiosce gdzie obecnie zamieszkuję w całym jej centrum jest sześć kafejek a mieszkańców 245 bo chociaż ta wioska liczy 1200 głów to przeszło tysiąc jest rozrzuconych nieraz o 7 kilometrów, są to fermy leżące od siebie po 1 — 2 kilometry, a samo centrum wioski liczy tylko 245 głów a jest aż sześć kafe-

jek. Skądżeż więc posądzać cały naród polski o pijaństwo według jednostki nawet nie polskiej. Dużo się ku temu przyczynia głupota Polaków bo Polak może i cały miesiąc nie pić nic lecz jak raz wejdzie do kafejki to najczęściej wyrzucą go z niej na bruk albo sam wyjdzie ale już na czworakach, bo też gdy wejdzie do kafejki to pije bez umiarkowania. Wino czy perno żłopie jak wodę kaczka i nie przestanie aż mu pieniędzy braknie albo się więcej na nogach nie może utrzymać. Francuz może więcej od takiego Polaka używać alkoholu lecz nigdy on nie wypije nad miare. Będzie on siedział pół dnia nad kieliszkiem wódki a Polak za pół dnia wypiłby ich najmniej dwadzieścia.

Miałem kolege J. H. który pozostawił w Polsce żonę i dwoje dzieci. Zarabiał on po 40 f. dziennie. Całodzienne utrzymanie kosztowało go tylko 10 fr. bo sobie sam gotował, pozostawało mu dziennie 30 fr. mimo to nie miał ubrania na niedziele bo wszystko przepił. Mieszkałem z nim w jednym domu więc widziałem wszystko co on robi. Żona jego pisała z płaczem, że dzieci chodzą nagie i głodne by się zlitował i przysłał coś pieniędzy a ten nietylko pieniędzy nie posyłał ale i nie odpisywał. Płakał nad listami żony ale pił i tracił wszystko. Był on dobrym człowiekiem lecz słaby charakter rozpił się i nie miał siły porzucić tego nałogu. Postanowiłem go uratować, ale jak? Najwięcej pił wieczorem w sobote i w niedziele, ot tak nie wiedział co robić to z nudów szedł i pił. Kiedy mi się udawało zaciągałem go do kina, czy na wycieczkę na rowerach. Tłumaczyłem o szkodliwości alkoholu o jego obowiązkach względem rodziny pozostawionej w kraju bez opieki i t. d. Wtykałem mu gazety, książki i różne czasopisma i zachęcałem do czytania gdy się nudził. Z początku ciężko mi szło lecz stopniowo, pomału brałem go pod swój wpływ aż raz zagrałem mu na uczuciach jego do rodziny i ojczyzny bo on mimo wszystkiego kochał żonę swoją i dzieci, z trudem wielkim lecz doprowadziłem do tego, że w moich oczach rozbił litrową butelke wódki i przyrzekł mi uroczyście, że więcej pił nie będzie. Pilnowałem dobrze by słowa nie złamał no i szczęście mi służyło bo go zupełnie oduczyłem pić wódki. Później i ubrany porządnie chodził i żonie pieniądze posyłał i wdzięczny mi był zawsze. Dziś straciłem go z oczu i nie wiem gdzie jest lecz jestem pewny, że alkoholu więcej nie używa. Naogół szczęście mi służy bo więcej ludzi oduczyłem już picia, ale ja sam

na tysiące jestem za słaby. Często mnie takie pijusy wygwizdają, gdy mam gdzieś odczyt na temat alkoholizmu mimo to nie upadam na duchu i nie zrażam się niczem, bo mniej mnie boli gdy jakaś pijaczyna podczas mego odczytu nazwie mnie osłem, jak uwagi Francuzów, że „pijany jak cała Polska".

Najwięcej nałogowych alkoholików to analfabeci a na nieszczęście tych jest bardzo dużo. Gdzie należy szukać przyczyny alkoholizmu czort może wiedzieć, ale też można mieć niezbity dowód tego zła w ciemnocie tych ludzi. Niejeden Polak w Polsce był człowiekiem uczciwym i trzeźwym lecz po przyjeździe do Francji stał się nałogowym pijakiem bo cóż przyjechał tutaj najczęściej goły jak turecki święty. Tutaj znowuż pracując i zarabiając źle czy dobrze miał zawsze troche płynnej gotówki więc też czasami z nudów a najczęściej koledzy wciągną raz i drugi do kafejki i nauczą pić a kto ma słaby charakter ten przepadł bo gdy się raz nauczy pić już trudno mu się od picia odzwyczaić. Najgorzej w tym wypadku ma się analfabeta bo ten rozrywkę znajdzie tylko przy piciu w kafejce. Człowiek który umie i lubi czytać i pisać rzadziej się upije tembardziej gdy należy on do jakiejś organizacji oświatowej czy zawodowej. Ten człowiek nie może na nudy narzekać i z nudów nie będzie chwil wolnych po pracy spędzał w kafejce ale chwile te spędzi nad książką i dużo łatwiej idzie oduczyć pijaństwa ludzi którzy czytają aniżeli analfabetów. Najpierw taki człowiek nie wiedząc co zrobić z nudów w wolnych po pracy chwilach idzie się rozerwać do kafejki, tam gra w karty i pije tracąc pieniądze i zdrowie. Oduczyć picia takiego człowieka jest bardzo trudno bo trudno jest wmówić w niego, że alkohol jest szkodliwy dla jego zdrowia, umysł już i tak ciemny analfabety jak ta przysłowiowa tabaka w rogu, a pozatem bardziej przyciemniony bo wprost stępiony nie jest zdolny pojąć tego co mu się mówi. Ludzi którzy umieją czytać już paru udało mi się oduczyć picia wódki, analfabety natomiast żadnego w czem tkwi dowód, że naród który nie ma analfabetów jest kulturalnym i ten naród tylko może patrzeć spokojnie w przyszłość.

Drugą bolączką wychodztwa jest mniej więcej co i alkoholizm, to gry hazardowe. Dużo też jest takich którzy przegrywają w karty wszystkie zarobione pieniądze, na szczęście to zło jest dużo mniejsze jednak od pijaństwa bo licząc na całą emigrację to tych jest

mało i to zło jest mniejsze jednak od pijaństwa bo przynajmniej nie cierpi na tem cały naród.

Trzecią bolączką wychodztwa to rozprzężenie w rodzinach upadek moralności. Ileż to jest takich draniów którzy pozostawili w Polsce żony i dzieci a tutaj żyją w konkubinacie. Zapominają oni, że tam w Polsce ich dzieci łakną kawałka chleba boć zrozumiałem jest, że ci którzy mają z czego żyć w Polsce nie emigrują. Kobiet któreby w Polsce pozostawiły mężów jest już mniej ale i są też i takie, jej mąż w Polsce a ona tutaj żyje z innym na knebel jak tu się popularnie mówi. Gorszem złem jednak jest to, że nie tylko ci żyją na knebel co pozostawili w Polsce męża czy żone ale nawet i ci co tutaj mają rodziny i co gorsze to, że na nieszczęście więcej jest złych żon które uciekają z kochankami aniżeli złych mężów. Najczęściej złodziejami cudzych żon są samotni. Kawaler nie ma nic do stracenia a do zyskania wiele bo najczęściej żona opuszczając męża zabiera wszystkie jego oszczędności i często też zdarza się, że kawaler dotąd trzyma cudzą żone dokąd ona ma pieniądze, gdy zabraknie pieniędzy wyrzuca kochanke na bruk, rzadko która wraca do męża a częściej idzie mieszkać z innym a nieraz i na ulicę. Takich małżeństw na knebel albo na wiare jak mówią niektórzy jest tutaj dużo, lecz są to małżeństwa rzadko dobrane często się daje słyszeć w takich fałszywych małżeństwach kłótnie a nierzadko też obuwspólne twarzo-bicie czy nawet chęć pozbawienia życia jedno drugiego. Często też się zdarza, że taki kawaler gdy mu się znudzi kobieta zabiera swoje i jej rzeczy które posiadają jakąś wartość i ucieka cichaczem, a kobieta pozostaje bez środków do życia i prawa do pracy wtedy albo szuka innego frajera któryby ją wziął albo przechodzi z rąk do rąk by na życie zarobić. Wine we wszystkich tych wypadkach ponoszą obydwie strony tak mężczyźni jak i kobiety. Kobieta, że jest nierozsądną poprostu głupią i naiwną gąską uwierzy we wszystko a znowuż kawaler drań typ z pod ciemnej gwiazdy obiecuje złote góry byleby tylko wziąźć kobiete a później rzucić jak niepotrzebną szmate gdy się zedrze.

Dużo zła gnębi wychodztwo i dużo bolączek odczuwamy. Bolączki które opisałem wyżej to jeszcze nie wszystko. Największą bolączką jak napisałem wyżej to pijaństwo lecz nie mniejszą bolączką jest niezgoda na wychodztwie. Jest jedno przysłowie które

powiada, że Polak z Niemcem się zgodzi, z Francuzem Anglikiem czy nawet Arabem się zgodzi, a Polak z Polakiem nigdy się nie zgodzi. Niezgody wychodztwa są dwa rodzaje. Pierwsza to niezgoda poszczególnych jednostek po kolonjach polskich a druga to niezgoda można powiedzieć ogólna która jest już chorobą społeczną. Napiszę najpierw o pierwszej. Gdzie się znajdzie pięć Polaków razem tam już niema zgody. Najgorsze są jednak kobiety. O ile pięciu Polaków mieszkających w jednym mieście będzie żyć w zgodzie to pięć Polek nigdy w zgodzie nie będzie żyć.

Jednego razu idę sobie ulicą słyszę krzyk i wyzwiska po polsku. Podchodzę bliżej zaciekawiony i cóż widzę, dwie kumoszki toczą zażartą walkę językową. „Ty flądro" słysze jedną „a ty małpo afrykańska" mówi druga „tyś mnie nazwała dziadówką?" Nazwana „małpą afrykańską" wymierzyła siarczysty policzek przeciwniczce. Ta znowuż nie pozostała dłużną. Po wymienieniu policzków chwyciły się za włosy i tak jedna drugą ciągnie to w tą to w tamtą strone, nareszcie mniejsza z nich wywróciła się, upadając zaś pociągnęła tą drugą za nogę i obie upadły i już na ziemi drapie jedna drugą. Ciekawi przechodnie otoczyli je wkoło a one jak furjatki włóczą się po ziemi a gawiedź uliczna śmieje się. Młode łobuzy jeszcze zachęcają. I kto wie dokąd by się były tak pastwiły nad sobą gdyby nie policja która rozpędziła wszystko. Byłby to naprawde arcykomiczny widok gdyby nie zbyt bolesny dla nas Polaków bo w tym wypadku Francuzi nazywają nas dziczyzną. Jestem ja szczerym Polakiem i nigdy się swego pochodzenia nie zapieram jak inni lecz w niektórych wypadkach muszę się rumienić ze wstydu i z boleścią się zaprzeć, że się jest Polakiem. Często aż nazbyt często daje się widzieć podobne sceny urządzane przez Polaków. Jedna bestja ma złość do drugiego (najczęściej przez baby) i zamiast załatwić zatarg polubownie albo w ostateczności rachować sobie żebra gdzieś w dziurze jakiejś gdzieby nikt nie widział to te dranie gdy spotka jeden drugiego na ulicy chociażby setki ludzi przechodziło nic to, łapie jeden drugiego za gardziel i gotowa awantura, żeby się dranie biły milcząco to przynajmniei przechodnie nie wiedzieliby kto oni, ale oni się walą po buziach i krzyczą jak opętani a Francuzi przechodząc przystają i mówią „dzicz polska". Jest to najboleśniejsze ze wszystkiego. Gdzieś na zabawie czy na kiermaszu zawsze można widzieć pijanych i awanturujących się Polaków. Są to obrazki które

często można widzieć tam gdzie jest już paru Polaków. W niektórych wypadkach lepiej już mieć kolegę Francuza aniżeli Polaka bo Francuz o ile jest już kolegą to już szczerym czego o rodakach nie można powiedzieć. I w tym wypadku wina leży w ciemnocie tych ludzi bo mężczyzna wyrobiony troche dba o swój honor i nigdy nikomu nie ubliży a tem samem nie zrobi awantury a o ile już kiedyś zmuszony jest do awantury to woli odcierpieć sam gdy mu ktoś krzywde wyrządzi nie reaguje czynnie lecz załatwia polubownie i najczęściej o wyrządzonej mu krzywdzie zapomina czem unika awantury. To samo tyczy się kobiety. Gdy kobieta jest troche oczytaną i lubi lekture zazwyczaj lubi ona spokój czystość i porządek w domu. U takiej kobiety zawsze można widzieć czystość w mieszkaniu. Obiad ugotowany na czas, a wolne chwile spędzi ona nad książką w domu nie u sąsiadki na plotkach. Inna rzecz z kobietą która boi się książki jak ten przysłowiowy djabeł święconej wody. U takiej kobiety nieporządek w domu. Obiad przypalony bo idąc po wode do studni spotyka tam kumosie i dalejże plotkować, a ta Maryśka Wojtkowa ma krzywe nogi a u Maciejowej brudy w domu, a Bartkowa baba maluje się za dużo, a słyszałam, że Antoniowej baby synek który się urodził tydzień temu to jest bardzo podobny do ich kwaternika i t. d. i t. d. Jak się zagadają tak zapomną o gotującym się obiedzie. To samo dotyczy kobiet analfabetów które nie umiejąc czytać szukają rozrywki na plotkach, u im podobnych.

Drugą podobną bolączką jest niezgoda już ogólna której podłożem jest polityka. Bolączka ta jest już naszą chorobą narodową. Całe wychodztwo polskie jest podzielone na obozy nibyto ideowe a w rzeczywistości to polityczne. Prym w tej niezgodzie wiodą dzienniki tutejsze. Cała prasa polska na terenie francuskim nie warta jest funta kłaków. Miast łączyć to ona rozbija wychodztwo. Ma ona na widoku tylko swoje dobro. Dobro narodu dla niej nie istnieje, dla tej całej prasy cały zysk i osobisty interes jest wszystkiem. Wychodztwo całe bez względu na swoje zapatrywania polityczne przywiązane jest do wszystkiego co polskie. Każdy emigrant kocha Ojczyzne i pragnie jej dobra. Wiedzą o tem wydawcy tutejszych dzienników to też grają po mistrzowsku na uczuciach patrjotycznych wychodźców co im pozwala na napełnienie kieszeni złotym kruszcem, a wiadomo jest, że złoto nie śmierdzi chociażby go

z błota wyciągać trzeba było. Każdy dziennik prezentuje jakąś partje polityczną jakiś kierunek niby to ideologiczny ale zmienny, stosownie do wiatru jaki wieje i kręci chorągiewką. Mamy tutaj Witosowców, Korfantowców, Malinowskich, Waleronowców, Dybowskich, endeków, zawodowych faszystów, komunistów, socjalistów i t. d. i t. d. Jednym słowem istna wieża Babel. Trafia się, że jeden człowiek prezentuje kilka partyj jednocześnie bo rzecz dobrze znana, że założywszy wędki w dziesięciu miejscach jednocześnie więcej nałapie aniżeli jedną wędką i w jednym miejscu. Ci właśnie którzy powinni skupiać i łączyć wychodztwo, oni je rozbijają, sieją niezgode i nienawiść zapominając o tem, że Polak na obczyźnie winien być tylko Polakiem. Mamy tutaj na wychodztwie dużo organizacyj oświatowych, mamy też organizacje zawodowe, syndykaty, mamy różne koła kobiet, Matki różańcowe, Towarzystwa Św. Barbary, T. U. R., Federacje Emigrantów, różne komitety ludowe, Sokół, Strzelec, harcerzy białych i czerwonych i t. d. Brakuje jedynie organizacji nałogowych pijaków. Lecz żywię nadzieje, że znajdzie się i taki spryciarz który potrafi i organizacje nałogowych pijaków założyć wtedy gdy się znajdzie inny który założy Towarzystwo idjotów, będziemy mieć komplet. Będziemy wtedy mogli pójść z otwartym czołem i powiedzieć „patrz Ojczyzno na wierne Twe dzieci. Możesz być spokojną o przyszłość. Popatrz oto my są ze swym wodzem Interesem na czele". Może ktoś powie, że organizacje wyżej wymienione są potrzebne bo wyrabiają młodzież oświecają, uczą kochać co piękne i wzniosłe. Furda moi kochani. Oświata jest tylko konikiem na którym jeżdżąc pewna klika zbiera laury i... franule czy złocisze. Pracują też w pocie czoła te różne koła, towarzystwa. A jakże. Raz w roku wystawi sztuczkę niekiedy co prawda pouczającą i pożyteczną lecz tylko przez omyłkę bo zazwyczaj to się widzi bajki z tysiąca i jednej nocy lub też o Ali Babie. Nieprawdaż, że to budujące?

Mamy też i księgarnie polskie z dziełami którychby nam i Salomon mógł pozazdrościć. A jakże naprawde pouczające i wychowujące młodzież na... bandytów degeneratów pozbawionych najprymitywniejszych zasad moralności. Bo prosze czy naprzykład książka sto tysięcy snów egipskich nie jest pouczającym dziełem lub też księga Mojżesza siedem razy opieczętowana czyż nie jest to dzieło naukowe? Albo czarna magja czyż to nie jest dzieło mą-

drości jakiegoby nawet i Salomon stworzyć nie mógł? A czyż takie dzieła jak Hrabina Żebraczka, Idylja, Potajemnie zaślubiona, Hartman król bandytów, Tajny Dedektyw i t. p. czyż takie dzieła źle wychowują młodzież?

Ale do rzeczy. Gdyby te księgarnie tylko sprzedawały podobne wydawnictwa, powiedziałbym, że i księgarze też chcą żyć chociaż z drugiej strony mogliby też i księgarze uczciwą pracą zarobić na chleb, lecz nie muszą żyć z podobnych brudów dzienniki tutejsze które w odcinkach drukują owe sławne Hrabiny żebraczki i różne Dedektywy których autorzy nie są nigdy znani z czego można wywnioskować, że mimo wszystkiego mają oni trochę honoru kiedy się chowają za parawan zrobiony z pociesznych wydawców tych bujd.

Wychodztwo polskie na obczyźnie, gdzie mowa jest inna, zwyczaje, obyczaje inne, gdzie czuje się obco, skąd tęskni za swoją Ojczyzną—ziemią ojców swoich, łaknie słowa polskiego. Spragnieni jesteśmy czystego słowa polskiego. Dla nas tułaczów bezcennym skarbem jest książka czy gazeta lecz książka któraby uczyła, rozwijała umysł, któraby uszlachetniała podnosząc tem samem na wyższy poziom kulturalny i moralny. Pragniemy utrzymać łączność z ojczystym krajem. Łakniemy wiadomości z Ojczyzny jak tam żyją, co robią, jak się rozwija jej życie kulturalne, społeczne, ekonomiczne i t. d. Każdy sukces odniesiony przez Polskę na polu politycznem kulturalnem czy gospodarczem cieszy nas bo jesteśmy Polakami. Łakniemy więc słowa polskiego. Tymczasem cóż się robi. Nie mamy możności sprowadzać gazet z Polski w takiej ilości jaka nam jest potrzebna a tutejsza prasa miast tego co nas interesuje karmi nas takimi powieściami jak Hrabina żebraczka i kryminologją i tem co nas ani grzeje ani ziębi. Pragniemy jedności by wspólnymi siłami budować potęgę ojczyźnie. Pragniemy tylko jej dobra bez względu na to kto nią rządzi. Tymczasem prasa tutejsza miast łączyć — rozbija. Miast jednoczyć to wiedzie na manowce, miast wreszcie być tym światłem w ciemności któreby nam wskazywało właściwy cel do którego winniśmy dążyć to ona jest tym kopcącym kagankiem czy świeczką której kopeć nam oczy zaćmiewa. Interes osobisty ceni wyżej od interesu narodowego. Jak fabrykanci broni zarabiają na wojnie tak ja zarobię na niezgodzie moich baranków, a ojczyzna, ech ja już wolę złoto. Często sobie wydawcy tutejszych

gazet tak szepczą i wzdychają by miljonik franuli jak najprędzej zaokrąglić.

Nie dowodzi bynajmniej by już tak źle było na emigracji. Chociaż cała prasa emigracyjna dba w pierwszym rzędzie o swój interes osobisty mimo to są niektóre dzienniki które nie ze wszystkiem upadły. Spełniają potrochu swe powołanie jakie nakłada na nich obowiązek, lecz i te nie są doskonałe i one mają pewne braki ale cóż zrobić, chyba tylko powiedzieć filozoficznie, że niemasz doskonałości bez usterek. Organizacje też nie wszystkie zeszły na psy, ale też i nie wszystkie spełniają swój obowiązek i one mają braki a najgorsze to, że ich jest zadużo dlatego są słabe i miast się rozwijać to one wegetują. Gdyby wychodztwo było złączone w jedną wielką organizacje któraby miała główny cel tylko oświate, inaczej by dzisiaj wychodztwo wyglądało, a nam właśnie potrzeba tylko organizacji oświatowej bo inne są nam niepotrzebne. Politycznej organizacji nam niepotrzeba bo nam obcokrajowcom na ziemi francuskiej polityką zajmować się nie wolno, a na kierunek polityczny w Polsce my tutaj na obczyźnie nie mamy żadnego wpływu. Cóż więc nam jest potrzebne, tylko oświata.

Plotkarstwo, niezgoda i rozbicie na grupy polityczne któremi kieruje zazwyczaj brudna ręka, nie miałoby miejsca gdyby wychodztwo było uświadomione należycie. A tak byle łazik któremu się uczciwie pracować nie chce staje się narzędziem w sianiu niezgody, ludzi którym zależy na tej niezgodzie aby móc dalej prowadzić „Interes". Potrzebne też są nam szkoły dla dzieci wychodźców. Mamy co prawda dużo szkółek polskich lecz to za mało. Gdzie jest większa kolonja polska tam szkoła i nauczyciel jest, lecz niema już szkoły gdzie jest mniejsza kolonja. Znam jedną kolonję polską w południowej Francji gdzie na 150 dzieci niema nauczyciela. Uczy co prawda ksiądz lecz ksiądz nie może poprowadzić należycie szkółki, nie może uczyć tak jak uczy nauczyciel gdyż ksiądz jako ksiądz ma też inne obowiązki więc nie może się szkółką zajmować wiele i dzieci niewiele mogą skorzystać z takiej nauki. Uczą się więc w szkole francuskiej nie znając polskiego języka a więcej w niektórych kolonjach jest takich dzieci, że się wcale nie uczą tylko tak bez żadnego zajęcia zbijają bąki po ulicy wyrządzając nieraz krzywde ludziom swojemi psotami co znowuż rodzi niezgodę i niechęć pomiędzy Francuzami i Polakami. Trafia się, że rozsądny

ojciec uczy w domu dziecko czytać i pisać lecz tychże jest niewielu bo ojciec albo czasu nie ma na to albo poprostu nie chce mu się wziąść do nauki (polskiego) dziecka a może też być, że dużo jest takich którzy chcieliby uczyć lecz na ich nieszczęście sami są analfabetami. Dużo też, dużo dzieci polskich mówić nawet po polsku nie umie lecz to już jest winą samych rodziców którzy w domu z dziećmi rozmawiają po francusku i jak to dziecko może nauczyć się chociażby tylko mówić po polsku kiedy ono w szkole uczy się po francusku, na ulicy z dziećmi rozmawia po francusku, gdy przyjdzie do domu z rodzicami też rozmawia po francusku. Spytać się takich rodziców dlaczego przynajmniej mówić po polsku dzieci nie uczą to oni odpowiadają, że albo się ono samo kiedyś nauczy polskiej mowy, albo najczęściej taki ojciec czy matka odpowiada, że dziecko je chleb francuski więc też niech mówi tylko po francusku. Zapominają, że kiedyś gdy wrócą do Polski ich dzieci czuć się obce będą we własnej ojczyźnie. Najgorzej jednak ze wszystkich jest tym rodzinom które pracują w rolnictwie. O ile w większym skupieniu polskiem mają dzieci trochę możności uczyć się po polsku, to dzieci rodziców które pracują po fermach nie mają żadnej możności. Tam nikt ich już nie nauczy po polsku ani mówić ani czytać i pisać. Ojciec czy matka zajęci cały dzień pracą po 12—15 godzin pracy dziennie chociażby chcieli już nie mogą nie tylko uczyć pisać po polsku ale i mówić niezawsze mogą nauczyć. Zajęci pracą od wschodu do zachodu słońca a nawet i później, nie mogą oni jednej chwili poświęcić wychowaniu dziecka. Ich położenie naprawde jest tragiczne. Tychby więc należało otoczyć opieką, ich dzieciom dać możność korzystania z nauki języka polskiego a na to jest tylko jedna rada. Trzeba przynajmniej jednego nauczyciela na jeden departament, najmniej jednego. Mamy w Polsce parę tysięcy bezrobotnych nauczycieli, można by przydzielić z nich po jednym na każdy departament albo w ostateczności z lepiej uświadomionych robotników we Francji. Taki nauczyciel mógłby przynajmniej raz na tydzień czy w ostateczności raz na piętnaście dni dojechać do każdej rodziny polskiej na fermie i mógłby uczyć. Nie byłaby to nauka zbyt głęboka no ale jak mówi przysłowie, że lepszy rydz niż nic. Geografji ani historji nie musielibyśmy zgłębiać. Wystarczyłoby na początek przynajmniej nauczyć tych dzieci pisać i czytać a kiedy się tego nauczą można ich uczyć już wszystkiego

po trochu. Można im też dostarczyć książek polskich aby dzieci które się już nauczyły po polsku czytać, mogły nadal rozwijać swój umysł i kochać swą ojczyznę. Utrzymanie takiego nauczyciela drogoby nie kosztowało, a podobna nauka jest możliwą, bo ja sam pomimo że pracuję jako murarz i to zdala od rodzin polskich rozrzuconych po fermach, mimo to mogłem już nauczyć 14 dzieci czytać i pisać po polsku. Ileż to razy takie dziecko pyta o wszystko jak tam w Polsce nieraz zadają pytania naiwne jak naprzykład czy słońce tak samo świeci w Polsce jak tutaj i t. d. Nieraz tyle pytań zadają, że naprawdę nie można na wszystkie pytania odpowiadać szczegółowo, z braku czasu. Byłoby dla tych dzieci największem dobrodziejstwem gdyby tak taki nauczyciel specjalny mógł częściej dojeżdżać i uczyć ich. Tacy objazdowi nauczyciele wiele mogą zdziałać dobrego. Mogą z tych dzieci wyrobić dobrych obywateli polskich bo stokroć lepiej kocha ojczyznę ten który ją opuścił który żyje zdala, aniżeli ten co żyje w ojczyźnie. Każdy z nas którzy żyjemy na obczyźnie poznał dopiero czem ojczyzna jest dla nas. Ja sam żyjąc w Polsce nie wiedziałem kim jestem i czem Polska jest dla mnie. Słowo ojczyzna nieznane mi było. Bywało nieraz, że przeklinałem Polskę która nie mogła mi zapewnić dobrobytu. Dzisiaj po ośmiu latach pobytu przekonałem się czem Polska była dla mnie. Tutaj żyję w pewnym dobrobycie. Mam pracę, głodu już nie znam. Mam pewne rozrywki i możność zaspokojenia swych pragnień mimo tego wszystkiego wolałbym zjeść raz na dzień w Polsce jak we Francji pięć razy.

Mamy na terenie Francji różne organizacje oświatowe lecz nie spełniają należycie swych zadań chociażby dlatego, że poza oświatą kryje się zawsze stugłowa hydra polityczna tego lub innego stronnictwa. Z drugiej strony nie wszyscy mogą korzystać z dobrodziejstwa takiej organizacji bo tylko ci którzy mieszkają po większych kolonjach polskich. Potrzebni nam ludzie którzy mogliby jeździć od kolonji do kolonji polskiej a nawet tam gdzie chociażby jest 10 rodzin polskich. Mogliby oni urządzać odczyty o Polsce, mogliby udzielać cennych wskazówek dla mniej uświadomionych jak oni winni się zachowywać, jak postępować tu na obczyźnie by nie wstyd lecz honor i dobre imie przynosili Polsce. Mogliby oni też zakładać koła abstynentów ktorychby było zadaniem przyciągać do siebie, pouczać i oduczać używania alkoholu, na czemby nie

cierpiało dobre imię Polski i miast pogardy jaką żywią dla nas inne narodowości, zasłużylibyśmy sobie na szacunek którego nam tutaj jest brak.

Łakniemy polskiego słowa. Możnaby też z pomocą rządu polskiego stworzyć księgarnię polską któraby miała na oku nie zysk lecz potrzeby nasze. Możnaby stworzyć taką księgarnię by móc kupić książkę po cenie kosztu bo chociaż mamy we Francji księgarnie polskie to tak drogo książkę trzeba płacić, że niezawsze można sobie pozwolić na kupno tej książki bo za książkę która w Polsce kosztuje 90 groszy ja dwa lata temu zapłaciłem 10 franków w księgarni Gebethner et Wolf w Paryżu. W innych księgarniach można co prawda kupić taniej lecz bzdury jak sennik egipski, Ali Baba i t. p.

Jak żyją w Polsce nikt nie widzi lecz nas tutaj na obczyźnie widzą, obserwują i według nas sądzą cały naród. Każdy dobry wyczyn Polaka na obcej ziemi odbija się głośnym echem, lecz każdy haniebny wyczyn a nawet najmniejszy błąd odbija jeszcze głośniejszym echem. Aby więc każdy zrozumiał, że swoim błędem krzywdzi siebie i naród który reprezentuje trzeba aby był uświadomiony. Trzeba każdemu powiedzieć nareszcie kim jest i co mu należy czynić, jak postępować aby swego jestestwa nie zatracił. Dlatego potrzeba nam oświaty.

Potrzeba nam także lepszej opieki ze strony polskich urzędów zagranicą. Brak tej opieki odczuwamy boleśnie. Gdy potrzeba nam czegoś na czem konsulat nie zarobi trudno jest nam doprosić się, a za załatwienie najmniejszej sprawy trzeba drogo płacić. Chciałem ja jednego razu posłać memu bratu do Polski troche starzyzny, ot pare starych już poreperowanych spodni marynarki koszule i t. d. Wszystkie te rzeczy stare które mnie nie były potrzebne już a bratu memu mogły się jeszcze przydać on w Polsce był jako bezrobotny i nietylko, że nie miał zaco kupić sobie pary spodni ale i kawałka chleba nie miał zaco kupić. Na przesłanie tych starych rzeczy potrzeba jednak zezwolenia z konsulatu, inaczej zwolnienia od cła. Napisałem do konsulatu prośbę by mi udzielił tego zwolnienia od cła. Posłałem spis tych rzeczy i świadectwo ubóstwa które mi brat przysłał, no i cóż, konsulat zażądał 20 fr. opłaty niby to zwrot kosztów takiego zwolnienia od cła, chociaż ja ani rusz nie mogłem zrozumieć jakie to są koszty boć przecież świstek papieru, napisane

na nim parę słów i podpis konsula nie robią żadnych kosztów bo ja nawet na odpowiedź znaczek załączyłem. Rzeczy które miałem posłać bratu posiadały wartość 30 fr. od przesyłki tych rzeczy do Polski trzeba mi było zapłacić 47 fr. plus „koszta" zwolnienia od cła 20 fr. co razem by uczyniło 67 fr. Oczywiście, że nie posłałem tego chociaż brat ze łzami prosił o to gdybym był musiał płacić tylko 47 fr. przesyłkę opłaciłoby się lecz już się nie opłaciło płacić 20 fr. od zwolnienia. I tak wogóle wszystko słono trzeba płacić. To co inne konsulaty robią bezpłatnie jak naprzykład konsulaty włoskie, to w polskich konsulatach trzeba najmniejszą rzecz zapłacić, z czego często można słyszeć narzekania na polskie konsulaty. Lecz ta bolączka jest jeszcze niczem w porównaniu z innymi. Mamy tutaj setki o ile już nie tysiące. Im się należy lepsza opieka niż ją mają. Niejeden z nich przymiera głodem bo zasiłek jaki otrzymuje z konsulatu (100 fr. miesięcznie) jest niewystarczającym bo średnie utrzymanie tutaj kosztuje 10 fr. dziennie. Tym starcom którzy pół życia pracowali w głębi niemieckich kopalń i którzy tysiące marek wpłacili do kasy starości w Niemczech a później we Francji należy się przynajmniej zapewnić ich starość by żebrać nie musieli o kawałek chleba by z głodu nie umrzeć. Należy się też troche opieki tym którzy nie z własnej winy prace stracili a którzy nie mając prawa do zapomogi ze strony urzędów francuskich, wegetują straszliwie, żyjąc tak z dnia na dzień z miłosierdzia swych bliźnich. Niedużo jest takich, tembardziej winni otrzymać trochę zapomogi ze strony polskich konsulatów we Francji.

Najgorzej jednak ze wszystkich mają się ci którzy stracili pracę nie mają prawa do zapomogi a zmuszeni są wyjeżdżać do Polski. W obecnej chwili jest ich zapewne niedużo lecz kiedy Polaków masowo wysiedlano z Francji jak w roku 1934 i 1935, działy się poprostu Dantejskie sceny po kolonjach polskich. Tysiące było takich którzy się już na dobre zagospodarowali tutaj. Pokupili sobie meble które ich kosztowały setki lub tysiące franków. Kupowali bo byli pewni, że pozostaną długo we Francji tymczasem gdy kryzys ściskał coraz bardziej, zaczęły się wydalenia i masowe wyjazdy do kraju. Trzeba było widzieć wtedy co się wyrabiało po kolonjach polskich. To co kosztowało setki franków sprzedawali za bezcen kto nie mógł sprzedać oddawał pozostającym za darmo. Gdyby zainteresowane władze były dawały specjalne pociągi by ci nie-

szczęśliwi mogli byli przewieźć ze sobą do kraju cenniejsze sprzęty byliby ci nieszczęśliwi wdzięczni za to naszym naczelnym władzom a nie byłoby złorzeczeń, pomstowań na brak opieki nad wychodźcami. Ze samotnymi czy z rodzinami nawet całymi którzy nie mieli zaco wracać do Polski bywało jeszcze gorzej. W końcu roku 1934 byłem przejazdem w Paryżu w takim schronisku dla bezdomnych Polaków. Dziesiątki albo setki ich pukało codziennie do konsulatu prosząc to o zapomogę, to o bezpłatny przejazd koleją do kraju a konsulat albo nie mógł albo nie chciał tej zapomogi udzielić. Niektórzy z nich tygodniami czekali na miłosierdzie konsulatu. W dzień zbierali oni odpadki z rynsztoków by nie umrzeć z głodu. Gnieździli się dziesiątkami w jednym schronisku. Dorośli, dzieci wszyscy razem. We środku smród a wszy spacerowały sobie po ścianach. Rzecz zrozumiała, że kto pobył parę dni w takim miejscu wyglądał jak nieboszczyk. Twarze blade a niekiedy żółte. Straszne to były czasy dla wychodztwa. Niejeden z tych nieszczęśliwych złorzeczył Bogu krajowi i całemu światu. Wiadomo przecież, że nędza i do zbrodni doprowadzi. Wychodztwo nie żąda wiele od Ojczyzny, jedynie trochę opieki nad starcami, trochę opieki nad bezdomnymi, szkoły dla dzieci polskich bo one się wynaradawiają.

Co należy uczynić w kraju dla powracających z emigracji na to jest tylko jedna rada. Popchnąć reforme rolną na szersze i żywsze tory. Jak nas gazety informują mamy w Polsce setki gospodarstw zadłużonych. Mamy tysiące hektarów ziemi których właściciele nie mogą sobie radzić. Niechżeż więc miarodajne czynniki czy to Bank Rolny starają się wykupywać po trochu tę ziemie i dzielić ją pomiędzy powracających emigrantów. Każdy jeden emigrant który myślał trzeźwo o przyszłości (wyjąwszy alkoholików) pomimo ciężkich czasów zaoszczędził sobie trochę pieniędzy. Niewszyscy oni co prawda lecz dużo jest takich którzy posiadają większy czy mniejszy kapitalik. Gdyby więc każdy z nich otrzymał kawałek ziemi na długoletnią przypuśćmy 30-letnią spłatę przyczem i małą pożyczkę gdyby mu własnych oszczędności nie wystarczyło na zagospodarowanie się jak kupno narzędzi inwentarz żywy, mógłby z powodzeniem gospodarować a trzeba wiedzieć, że każdy emigrant nauczył się wiele na obczyźnie. Mają oni czy to robotnik rolny czy fabryczny pewne doświadczenie w racjonalnym prowadzeniu gospodarstwa. Wiedzą oni jak i co i gdzie siać by korzyści

dawało, jak i co hodować by dawało pewny dochód i napewno przez nich prowadzona gospodarka dawałaby dochód a nie deficyt jak się to obecnie dzieje w Polsce gdzie gospodarz dwudziestomorgowy na sól nie może się zdobyć tylko w jednej wodzie gotuje ziemniaki po kilka razy. Psiakrew, gdyby mnie dano tylko 12 mórg pola to nie tylko że sekwestrator nie miałby potrzeby przychodzić do mnie ściągać podatki, ale żyłbym sobie jak każdy szanujący się człowiek winien żyć i parę groszy na nieprzewidziane wydatki miałbym a tam ludzie mają po 25 mórg pola i sekwestrator zabiera im krowę za podatki. Kiedy odjeżdżałem do Francji w mojej wiosce był gospodarz (i sołtys w dodatku) mający 25 mórg dobrej ornej ziemi, wtedy się miał jeszcze nieźle mimo to żył gorzej odemnie co ja nic nie posiadał bo ja pił garncami mleko prosto od krowy a on bestja pił mleko odciągane które już przeszło przez centryfugę takie bez jednej kropli śmietany. On ten gospodarz dwudziesto-pięcio-morgowy wtedy już tak jadał co mu się jeszcze nieźle powodziło a dzisiaj jak mi piszą z mojej wioski to już mu sekwestrator zabrał krowę za podatki. Nie rozumiem jak można nawet podatków nie móc płacić mając 25 mórg dobrej ziemi. Byłem jednego razu u tego gospodarza a było to podczas żniw. Kiedy poschodzili na obiad kobieta wysypała poprzedniego dnia ugotowane ziemniaki na jedną miskę i do tych ziemniaków nalała mleka które już przeszło przez centryfugę a więc bez żadnego tłuszczu i tak wszyscy jedli bez chleba, a mleko nie było nawet przegotowane tylko surowe. Gdyby Francuz zobaczył podobne jedzenie to napewno ze zdziwienia oczyby mu wylazły z orbit. Zaręczyć mogę, że ja na dwunastu morgach jego ziemi mógłbym jadać stokroć lepiej od niego. I tak każdy jeden wychodźca który nabrał doświadczenia we Francji mógłby śmiało z pożytkiem dla siebie i drugich gospodarzyć, rozchodzi się tylko o to by mu dać kawałek ziemi na długoletnie spłaty i dopomóc trochę na początek a wtedy nie będzie tylu bezrobotnych, kraj się będzie bogacił. Nie będzie narzekań, złorzeczeń i tego wszystkiego zła które rodzi nędza.

Można też dopomóc w handlu chcącym się trudnić tą gałęzią dochodu chociaż to poszłoby już trudniej bo niestety wieś nie dorosła jeszcze do tego. Stale czytamy czy to w tutejszej czy krajowej prasie o wyczynach antysemitów. Każdy żydożerca psiakrew

narzeka, że cały handel spoczywa w żydowskich rękach. Każdy narzeka pomstuje i hańbi się wyczynami antyżydowskimi a żaden z nich nie pomyśli, że miast narzekać na Żydów lepiejby się wziął sam do handlu, ale cóż ci właśnie którzy najwięcej krzyczą bić Żydów i niszczyć handel czy go poprostu odebrać z żydowskich rąk, najmniej myślą o tym aby samym się wziąść do handlu. Handlowałby jeden z drugim ale żeby siedział poza sklepem i odbierał gotówkę, bo jeden z drugim zbabrałby się odlewając naftę czy sprzedając śledzie. Idjotyzm i nic więcej. Żyd weźmie worek na plecy i idzie na wsie robiąc kilkadziesiąt kilometrów dziennie. I tak w jednym miejscu kupi skórke z królika czy zająca, w innem kilo pierza a jeszcze w innem miejscu kure czy gęś, zaniesie to do miasta sprzeda i już zarobi na całodzienne życie. Polak się wstydzi podobnego handlu a Żyd się nie wstydzi dlatego nie pracując fizycznie może wyżyć podczas gdy chłop na wsi pracuje jak wół i jada bez soli. Mamy tyle sadów owocowych które dają dochód Żyd kupi taki sad, leży jak skóra z djabła całe lato, w jesieni zbierze owoc i już na tem zarobi na całoroczne utrzymanie. Polak miast kupić taki sad to wolałby żyć z gotówki z ciągłą obawą co będzie gdy się gotówka wyczerpie.

Pamiętam dobrze gdy byłem jeszcze w Polsce. Brat mój był kolporterem kilku tygodników. Niewiele on zarobił na tem lecz zarobił zawsze na paczkę lepszego tytuniu na chleb i masło. Parobczaki wiejscy śmiali się z mego brata, że sprzedaje gazety lecz brat mój serdeczniej śmiał się z nich bo brat mój jadał chleb z masłem a oni to masło miast zjeść sprzedać go musieli a do palenia używali ostatni gatunek machorki którą palili w gazecie podczas gdy mój brat palił dobry tytuń w bibułce. I tak takie osły jeden z drugim będzie się śmiał z uczciwej pracy i pomstował będzie na Żydów, że ci cały handel zagarnęli, gdy oni się tego handlu wstydzą. Nie interesuje mnie polityka bo obchodzi mnie ona tyle co zgnieciona mucha. Nie jestem zwolennikiem żadnej partji politycznej, mimo to wolałbym już widzieć u steru rządu Polskiego faszyzm czy komunizm aniżeli endecje bo każdego endeka bez względu na stanowisko jakie zajmuje uważam za podłego głupca i o ile mogę żywić nienawiść do kogoś czy do czegoś to żywię ją tylko do endecji i tej partji niby to „narodowej“ która się składa z głów kapuścianych.

Osadnictwo można zaprowadzić bez żadnego ryzyka, rozchodzi się tylko o trochę chęci ze strony miarodajnych czynników a zaręczyć można, że każdy wychodźca nabytym doświadczeniem we Francji podniósłby rolnictwo w Polsce. Nauczył on by innych jak należy uprawiać ziemię aby ona dawała należyty dochód trzeba tylko tej ziemi dać potrzebującym, to jest nam emigrantom, bo my tęsknimy do niej. Dla nas ziemia jest wszystkiem. Ukochaliśmy ją i zżyliśmy się z nią od dziecka. Ziemia to nasza dusza, ukochanie tysięcy serc tych którzy zmuszeni koniecznością do szukania kawałka chleba na obczyźnie borykają się z przeciwnościami losu. Pracują od świtu do zmroku w krwawym pocie czoła z jedyną myślą tylko, że przecież pracą swą znojną dorobi się własnego kawałka ziemi któryby mu zapewnił swój kawałek chleba choć czarny ale własny. Dla nas ziemia jest bóstwem, religją i pieśnią wesela. Nie chcemy tej ziemi wydzierać nikomu lecz mamy prawo przynajmniej aby nam kupno tej ziemi ułatwiono od tych którzy nie umieją tej ziemi wykorzystać.

Po wojnie światowej kiedy to Francja była zdemolowana, tysiącami pracodawcy ściągali obcokrajowców. W roku 1927 przemysł francuski załamał się lecz to tylko chwilowo. Jak słyszę z opowiadań tych co już w tym czasie przeżywali kryzys źle było bo byli tacy co żywili się różnym zielem pokrzywami i t. d. Byli to przeważnie obcokrajowcy. Na szczęście jednak kryzys ten długo nie trwał. Po pewnym czasie przemysł ruszył całą parą i emigracja która tym przejściowym kryzysem została zahamowana ruszyła naprzód i znowuż tysiącami wychodźcy zaczęli przybywać do gościnnej i potrzebującej Francji. Rok 1928—29 był najlepszym dla emigracji. W roku 1930 już się zaczęło psuć. Minęło tak trzy lata coraz to gorsze. Już w roku 1931 i 1932 zaczęli pracodawcy obcinać płace gdyż mieli ku temu okazję a pogarszając tem samem bardziej sytuację, gdyż każdy nie będąc pewnym jutra zaciskał pasa odkładając grosz na czarną godzine. Ówczesny rząd obawiając się niezadowolenia mas roboczych zaczął wprowadzać ograniczenia dla obcokrajowców lecz to miast pomóc pogorszyło sytuację.

Rok 1934—35 był najgorszym dla obcokrajowców. Rząd Lawala wprowadził ograniczenia procentowe tak, że pracodawcy wolno było zatrudniać tylko jednego obcokrajowca na dziesięciu Francuzów. Pracodawcy pod naciskiem tych uchwał rządowych zmuszeni byli

zwalniać obcokrajowców chociaż niechętnie bo każdy pracodawca francuski ceni robotnika polskiego a właśnie po wprowadzeniu w życie tych nakazów rządowych Polacy poszli na pierwszy ogień dlatego też w roku 1934—35 tyle Polaków zmuszonych było opuścić Francję a i nam pozostałym we Francji nienajlepiej się działo lecz najgorzej na tem wyszła cała Francja bo bezrobocie miast się zmniejszać to całkiem przeciwnie powiększało się bo ze czterystu tysięczną masą wysiedlonych ubyło 400 tysięcy konsumentów którzy przecież pomimo wszystkiego musieli ubierać się i jeść aby żyć. Odbiło się to najwięcej na kupcach francuskich z których niejeden musiał zwinąć interes kiedy kolonje polskie zaczęły pustoszyć. Obcokrajowców wysiedlano a bezrobocie rosło a z niem i nędza pozostałych bo pracodawcy widząc setki bezrobotnych pukających w brame prosząc o prace zaczeli na gwałt obcinać płace już i tak nędzne, zwalniano masami dziennie by nazajutrz przyjąć nowych po najniższem wynagrodzeniu lub też wczoraj zwolnionych po mniejszej płacie. Najbardziej obcięto płace w budownictwie. Gdzie za dobrych czasów zwyczajny robotnik pomocnik murarza zarobił na godzinę 3,80 fr. do 4 fr. a już najlichszy partacz dostał na godzinę najmniej 3 fr. 50 c. to w roku 1934 — 35 dostał ten który miał przedtem na godzinę 4 fr. tylko 2,75 fr. a najwyższa płata wynosiła 3 fr. na godzinę a bardzo wielu było takich robotników którzy zarobili na godzinę 2,25 fr. A więc proszę, robotnik pracując dziewięć godzin dziennie zarobił tylko 20 fr. 25 c. z tego mu odciągneli do kasy ubezpieczeń społecznych jeden fr. dziennie więc pozostało mu tylko 19 fr. 25 c. a przeciętnie utrzymanie jednej osoby kosztuje we Francji 12 fr. dziennie. Za 10 fr. dziennie też można wyżyć ale jest to już najniższa stopa życiowa. Na wino czy kawałek mięsa już sobie robotnik nie pozwoli gdy nie będzie chciał wydać dziennie na życie więcej aniżeli 10 fr. Samotny przy zarobku 19 fr. dziennie mógł się jakoś opędzać lecz żonaty albo mający dzieci żyli w skrajnej nędzy pomimo, że otrzymywali oni 20 fr. miesięcznie na każde dziecko rządowej zapomogi bo oprócz życia potrzeba jest kupić coś z okrycia co jest we Francji drogie. Nic więc dziwnego, że kiedy przy ostatnich wyborach do parlamentu ów dziś sławny „Front Ludowy“ wystąpił z programem uzdrowienia warunków bytu mas pracujących, zdobył szturmem całą masę roboczą i dlatego zwycięsko wyszedł z wyborów. Po wy-

borach zaczęła się walka o podwyższenie płac. Kiedy te krzywdzone masy poczuły za sobą siłę rządu rozpoczęła się walka przez strejki i sytuacja naraz zmieniła się. Robotnicy uzyskali podwyżkę płac, tak że dzisiaj zwyczajny pomocnik murarza (manoeuvre) który przedtem zarobił tylko 2 fr. 25 c. a najwyżej trzy fr. zarobi dziś 3 fr. 80 c. i cztery franki na godzinę. Podwyższono przytem zapomogi rodzinne. Oprócz tego skrócono czas pracy do 40 godzin tygodniowo pominąwszy już większą swobodę robotników jako też lepsze traktowanie ze strony pracodawców. I tak wogóle zaprowadzone przez rząd Frontu Ludowego różne ustawy socjalne dają większą swobodę i większe prawa robotnikom i dawałyby dużo lepszy byt gdyby w tem wszystkiem nie było pewnego ale. Otóż z tych wszystkich ustaw i z podwyżki płac nie wszyscy mogą korzystać jako też i z płatnych urlopów. Ci robotnicy którzy pracują w kopalni, fabryce czy w budownictwie nawet lecz w mieście i którzy są zesyndykowani mają możność korzystania i z podwyżki płac i z urlopów płatnych i wogóle ze wszelkich ulg, lecz ci którzy pracują chociażby w budownictwie lecz po wsiach nie korzystają z niczego absolutnie a już najbardziej obcokrajowcy szczególnie Polacy. Dlaczego? Otóż i dzisiaj pomimo polepszenia sytuacji jest jeszcze dużo bezrobotnych, o pracę jeszcze trudno to też nikt się na wsi nie upomina o podwyżkę płacy czy płatny urlop, bo pracodawca w odpowiedzi na powyższe żądania wyrzuciłby z pracy to też każdy robotnik milczy bo się obawia stracić pracy, gdy niema widoków na znalezienie innej pracy. Mnie podwyższono płace tylko o 25 centów na godzinę a o płatnym urlopie nie myślę nawet bo gdybym zmusił gospodarza do udzielenia mi płatnego urlopu to skończywszy urlop poszedłbym sobie na zieloną trawkę, bo o znalezieniu innej pracy mowy niema. Podobnych robotników jest jeszcze tysiące więc pomimo teraźniejszych ulepszeń nie wszyscy korzystać mogą a już najmniej obcokrajowcy, którzy pracują w budownictwie po wsiach. Są coprawda syndykaty organizacje zawodowe kto się zapisze do syndykatu to syndykat zmusi pracodawcę do podwyższenia płacy czy do udzielenia płatnego uropu lecz syndykat pracy nie da gdy się pracodawca zemści i wyrzuci robotnika, więc też i w tym wypadku i z syndykatu nie można korzystać.

Pozatem wszystkiem jest inne „ale" które o ileby dokładnie zbadać wyszłoby polskie przysłowie, że „nie kijem go to pałą".

Otóż kiedy robotnik poprzednio zarobił tylko trzy franki na godzinę utrzymanie dzienne kosztowało znacznie mniej bo tak: kilo chleba płaciło się 1 fr. 50 c., dziś ten chleb kilo kosztuje 2 fr. 20 c. 70 c. różnica na kilu. Słonina kosztowała wtedy od sześciu do dziesięciu fr. kilo dziś ta sama słonina kosztuje 14 — 16 fr. kilo drugie tyle droższa. Wina liter kosztował wpierw od 1 fr. 25 c. do 2 fr. 20 c., dziś to wino co kosztowało wpierw 1 fr. 25 c. kosztuje obecnie 2 fr. 30 c., drugie tyle droższe. I wogóle wszystkie artykuły pierwszej potrzeby podrożały znacznie a niektóre z nich jak chleb, wino słonina mięso i t. d. prawie drugie tyle a niektóre jak ryż, mąka, makaron ziemniaki i t. d. prawie o połowę. Weźmy teraz dla przykładu poprzedni zarobek a obecny. Wpierw robotnik zarobił tak od 20 fr. do 30 fr. Przeciętnie wezmę 25 fr. lub też mój zarobek dzienny 27 fr. Wpierw można było robić 9 godzin obecnie osiem tylko a w najbliższych dniach wejdzie w życie czterdziestogodzinny tydzień pracy. Wobec czego obliczę tygodniowy zarobek najwyższy robotnika zwyczajnego to jest 160 fr. Poprzednio najwyższy zarobek tego robotnika przy dziewięciogodzinnej dniówce wynosił 162 fr. tygodniowo, dziś tylko 160 fr. Gdy ktoś miał większą rodzinę do wyżywienia mógł ją wyżywić za sto fr. tygodniowo bo tak przypuśćmy, że rodzina ta zjadła tygodniowo chleba 14 kilo po 1 fr. 50 c. za kilo więc chleb ten kosztował tę rodzinę 21 fr. tygodniowo. Dziś na tą samą ilość chleba rodzina ta wyda tygodniowo 30 fr. 80 c. a więc o połowę drożej. Gdy ta sama rodzina zużyła 2 kilo słoniny tygodniowo kosztowało ją poprzednio przeciętnie 14 fr. dziś za te samą słoninę zapłaci 28 fr. proszę więc tylko na chleb i słoninę wyda robotnik o 24 fr. więcej tygodniowo a zarobi mniej 2 fr. tygodniowo. Co prawda to pracuje 14 godzin tygodniowo mniej lecz to żadnej roli nie gra bo ja wolałbym te 14 godzin przepracować bym mógł lepiej zarobić. Ja tutaj obliczyłem tylko dwa główne artykuły spożywcze jak chleb i słoninę a do tego trzeba dołączyć mąkę, ryż makaron, kawę cukier i wiele innych. Cukier wpierw płaciłem za kilo 3 fr. 25 c. dziś natomiast płacę 4 fr. 25 c. jeden fr. drożej. Poprzednio zużyłem sam dwa i pół kila tygodniowo cukru, dziś się ograniczyłem i zużywam tylko jedno kilo i pół tygodniowo. O ile na dzisiejszych warunkach wyszli trochę lepiej to tylko ojcowie licznych rodzin którym znacznie podwyższono zapomogi chociaż i oni tracą na tej drożyźnie. Kiedy rząd Frontu

Ludowego zaczął wprowadzać różne ulepszenia robotnicy się cieszyli. Kiedy po przeprowadzonych strejkach uzyskali podwyżkę płac, szaleli z radości i dziś się jeszcze cieszą, bo oni tylko widzą to co uzyskali t. j. płatne urlopy wyższe płace i t. d. lecz nikt się nie zastanowi nad tem co wydał wpierw na życie a obecnie, nikt się nie oblicza bo gdyby każdy robotnik spojrzał trzeźwiej na dzisiejsze warunki i obliczył się dobrze napewnoby mu przyszło na myśl polskie przysłowie „z deszczu pod rynnę" bo tak jest. Gdyby przy obecnych płacach ceny stały w miejscu to wierzę, że byt robotników polepszył się i że rząd „Frontu Ludowego" zasłużył się dobrze masie roboczej lecz tak jak jest nie można jeszcze powiedzieć, że jest dobrze. Może będzie dobrze kiedyś lecz dzisiaj nic dobrego jeszcze niema. Jak mogłem się przekonać dotąd robotnicy zyskali mało bo tylko trochę swobody lepszego traktowania przez personel urzędniczy po kopalniach głównie no i ową fikcyjną podwyżkę płac. Mówię fikcyjną ponieważ drożyzna rośnie z dnia na dzień. Obecny rząd wydał różne nakazy zakazy i t. p. i stara się zwalczyć rosnącą drożyznę no ale to tylko stara się czyli ma dobre chęci a pozatem nic więcej. Prawdopodobnie prefekci departamentów (to jest jak polski wojewoda) otrzymali instrukcje i nakazy by zwalczali drożyznę lecz we Francji tak jest już we zwyczaju, że podrzędniejsze urzędy aby dobrze zrozumiały i zaczęły wypełniać nakazy rządu muszą jedne i te same nakazy być powtarzane kilkakrotnie. Ot poprostu pierwsze takie rządowe nakazy lekceważą.

My obcokrajowcy narówni z Francuzami zyskaliśmy tyle co i wpierw to jest, że zarobki mamy większe lecz i większy rozchód a w dziedzinie swobód dotyczących samych obcokrajowców tyle wolności zyskaliśmy, że możemy się przenosić z jednego departamentu do drugiego departamentu bo wpierw nie wolno było obcokrajowcom przechodzić pracować z jednego do drugiego departamentu bo chcący było zmienić departament trzeba było prosić prefekturę o zezwolenie a takie zezwolenie rzadko wydawano. Inne ograniczenia jak zakaz przejścia z roli do przemysłu czy ograniczenie procentowe jeden obcokrajowiec na 10 Francuzów, są jeszcze w mocy. Obecnie jak nas dochodzą słuchy wniesiony jest projekt do parlamentu francuskiego większej swobody obcokrajowcom. Niektórzy posłowie lewicowi starają się zalegalizować statut dla obcokrajowców dający większą wolność im ale jeszcze nie wiadomo

czy nam dadzą tę wolność. Oprócz tego wszystkiego łatwiej jest teraz trochę żyć po ludzku. Są pewne ułatwienia przy zmianie kart identite i żadnej prefekturze nie wolno odmówić tej karty gdy niema ważnych powodów do odmowy. Nie wolno też zmuszać jak poprzednio do wyjazdów z Francji i gdyby tylko zniesiono ograniczenia procentowe i dano większą wolność obcokrajowcom a przytem gdyby zwalczono drożyznę i utrzymano obecne płace wtedy tak robotnicy francuscy jak i obcokrajowcy powiedzieliby, że rząd Frontu Ludowego dobrze się zasłużył robotnikom. Pomimo tego wszystkiego robotnicy to jest cała klasa pracująca we Francji lepiej się ma od klas robotniczych w innych krajach.

Dobrze jest mieć we Francji tuzin dzieci bo ojciec tuzina dzieci może nawet nie pracować i może wyżyć z tego co dostaje na dzieci. Jedynie samotni źle się mają a najbardziej są upośledzeni i ograniczeni w prawach kawalerowie. Oni żadnych ulg nigdy nie mają a gdy przychodzi redukcja to na pierwszy ogień idą kawalerzy później bezdzietni żonkosie a ojcowie licznych rodzin pozostają i śmieją się z tych co dzieci nie mają. Znam jednego Polaka który ma szesnaście dzieci jest on dzierżawcą większego majątku, chce się wzbogacić i dlatego pracuje, gdyby nie to nie potrzebowałby pracować bo z tej zapomogi coby dostał na te 16 dzieci wyżyłby i on, pomimo że dzierżawi większy majątek płaci bestja za bilet kolejowy tylko 20 procent, osiemdziesiąt procent ma zniżki podczas gdy ja całe sto procent płacić muszę, mimo to nie zazdroszczę jemu, bo zasłużyć na miano królika to średnia przyjemność. Pomimo jednak takiej zachęty ze strony rządu, pomimo tyle ułatwień zapomóg Francja się wyludnia. Każdy robotnik francuski, każdy Francuz bogaty czy biedny ma jedno czy dwoje dzieci, rzadziej już troje, jeszcze rzadziej czworo. Ponad czworo dzieci jest może 20 procent rodzin a już unikatem jest Francuz któryby posiadał 10 dzieci. O ile Francja bogaci się w dzieci to tylko dzięki Ormianom, Polakom i Italianom. Najsilniejsi są Włosi bo ci się mnożą jak króliki. Znam dużo Włochów lecz nie znam ani jednego dotąd któryby miał dwoje tylko dzieci, najmniej czworo—pięcioro a najczęściej 12 lub 14 dzieci. Takie liczne rodziny chętnie Francja naturalizuje bo gdyby nie obcokrajowcy to Francja za lat 50 zejdzie do państw lilipucich pod względem ludności. Dlatego też zachęcają jak mogą by się żenić z Francuzkami i naturalizować się.

Ja jednego razu kiedy mi odmówiono karty do pracy fabrycznej poszedłem do dyrektora biura pośrednictwa pracy. On mi powiedział, że gdy chcę nadal pracować w przemyśle to muszę przyjąć obywatelstwo francuskie i ożenić się bo powiada, że oni nie są zbyt silni w płodzeniu dzieci a ludzi im potrzeba. Mówił przytem, że my to jest Polacy jesteśmy silniejsi od nich więc też jesteśmy i pożądani. Ja oczywiście przyrzekłem, że się ożenię ale ani mi się śni o tem, chyba żeby kary nakładali w tym wypadku musiałbym. Oni bestje boją się mieć dużo dzieci a innych do tego namawiają. W Polsce czy to lud wiejski czy to proletarjat miejski żyje nędznie, we Francji czy to lud wiejski czy proletarjat miejski żyje można powiedzieć w dobrobycie.

Francuzi naogół uchodzą za naród pracowity i tak jest w rzeczywistości, lecz Francuz nigdy tego nie potrafi zrobić za dwie godziny co ja za godzine bo Francuz będzie chodził stale i stale będzie robił lecz wszystko pomału, nigdy się on nie pośpieszy. Gdy nieraz ide do którego fermiera w wolnym od pracy czasie pomóc troche im w robocie to wiem jak to idzie. Gdy ja kopiąc ziemniaki czy buraki przejde pole dwa razy to Francuz tylko jeden raz i tak jest we wszystkiem. Można się uśmiać gdy pracują razem robotnik polski i francuski. Robotnik polski skończy swoją część pracy i odpoczywa w cieniu francuski robotnik zaś pracuje dalej i nim on skończy swoją część pracy to Polak wypocznie należycie i tak zawsze w kółko. Dlatego też robotnicy polscy są poszukiwani i zarabiają więcej od innych. Pod każdym względem rodowity Francuz jest słabszym i delikatniejszym co winą już jest rodziców. W Polsce dziecko nalata się po śniegu bosemi nogami, czy nawet w lichych buciętach popędzi na lód i tam jeździ aż do syta, nie prześpi się w cieple mimo to zdrowo się czuje. Zimno mu nie zaszkodzi. Tutaj we Francji całkiem inaczej dzieci chowają; tutejsze dziecko gdy idzie do szkoły to wkłada na siebie wełnianke i koszule które stale nosi, oprócz tego włoży sweter ciepły, ciepłe palto szalik i dobre buty. Tak chodzi całą zime pomimo, że tutaj nie jest zima jak w Polsce, gdyż ja za całe osiem lat pobytu na jednem miejscu raz tylko miałem możność chodzić po śniegu który spadł 17 grudnia 1934 roku. Leżał tylko trzy tygodnie i stopniał a ja ani przedtem ani już potem śniegu nie widziałem, jedynie w górach gdy jest pogodny dzień daje się widzieć. Mrozu też ponad 12 stopni nigdy większego

niema a i ten nie zawsze bywa bo jak zeszłej zimy i tej zimy dotąd to jeszcze w koszulach pracować trzeba.

Żniwa tutaj zaczynają się wcześniej jak w Polsce lecz to tylko dlatego, że tutaj nie czekają aż pszenica dojrzeje dobrze ale rżną kiedy jest jeszcze troche zielona dlatego też tutaj ziarno pszenicy nie jest grubsze jak w Polsce ziarno żyta, tak że na sto kilo mąki trzeba zemleć 140 kilo pszenicy. Żyta sieją bardzo mało, jęczmienia prawie wcale owsa niedużo a tylko pszenice, koniczyne i lucerne. Wyki wcale nie znają peluszki sieją lecz to tylko na własny użytek a o ile sieją więcej to tylko pola doświadczalne. Rolnicy tutaj sieją pszenice dopiero w listopadzie i grudniu. Groszek cukrowy i wiele innych już sieją w grudniu i ten rośnie całą zime a nigdy nie zmarznie. Dlatego też już w maju można groch jadać na czem dobrze zarabiają ci rolnicy którzy sieją tego grochu więcej bo są tacy co sieją i po pięć — sześć mórg, a w maju zbierają i rozsyłają po całej Francji zaco biorą ładny pieniądz bo w początkach ten groch kosztuje 5 — 6 fr. kilo w strączkach jako też i fasola strączkowa. Dużo jest takich rolników przeważnie ci którzy mieszkają bliżej miast, że mają tylko 2 — 3 morgi ziemi i jeżdżą sobie autami, bo oto nasieją wczesnego grochu, fasoli, pory i wszelkie inne jarzyny jadalne. Pracuje on tylko około tego dwa razy w tygodniu zawiezie do miasta i ma pieniądz zawsze świeży. Na tych trzech a najwięcej czterech morgach ziemi z jarzyn które zbierze zarobi na całoroczne utrzymanie i w dodatku zaoszczędzi coś. Zaręczyć mogę, że we Francji rolnik posiadający tylko trzy morgi ziemi lepiej dużo żyje aniżeli rolnik w Polsce mający 20 mórg ziemi ornej. Tutaj sekwestratorów wcale niema są co prawda urzędnicy specjalni (precepteur) od podatków lecz oni tylko odbierają od płacących. Taki urzędnik przyjedzie do wsi raz na trzy miesiące. Przedtem poda w gazetach date swego przyjazdu. W tym dniu przyjedzie do wsi a płatnicy sami przynoszą podatek do niego bo i mają z czego płacić. Jestem ja już pięć lat w jednej wiosce lecz nie widziałem jeszcze by komuś licytowali jakiś sprzęt domowy za podatek czego dowodem jest, że rolnik francuski umie się gospodarzyć. Umie on ziemie wykorzystać aby na niej mógł wyżyć po ludzku zapłacić podatek i odłożyć coś na czarną godzine, pomimo że jada on lepiej od rolnika w Polsce i wogóle ma większy rozchód wziąwszy tylko pod uwagę ubranie

i buty. Ubrania zbyt poreperowanego nikt tutaj nie nosi a w butach chodzi od urodzenia to jest odkąd zacznie chodzić aż do śmierci zimą i latem, zdejmuje buty jedynie do spania a tak stale je ma na nogach. Gdyby tutaj Francuzi zobaczyli kogoś żeby z domu wyszedł nieobuty bodajby tylko po podwórzu chodził bosemi nogami, to napewno uważaliby takiego człowieka za warjata a przecież u nas w Polsce na wsi tak dzieci jak i dorośli chodzą boso całe lata od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Co prawda to i tutaj trafia się że ktoś żyje nędznie, no ale to tylko ten kto nie umie sobie radzić lub też za dużo chce się wzbogacić a najczęściej to ci którzy zbyt lubią zaglądać do kieliszka. Gdy ktoś umie się zarządzić, postarać, kombinować ten nędzy nie zazna jak to właśnie jest w Polsce a Francuzi właśnie umią wykorzystać każdą piędź ziemi bo tu gdzie nie może coś zasiać to on zasadzi drzewo które mu kiedyś przyda się na opał. Najwięcej sadzą drzewa owocowe i morwy których liście służą im do hodowli jedwabników jako też i kozy żywią liściem drzew morwowych zimową porą. Pamiętam dobrze kiedy byłem dzieckiem, nieraz o jedno jabłko czy gruszkę trzeba było bić się wydzierając jeden drugiemu. Kto w Polsce na wsi posiada chociażby jedno drzewo owocowe już go musi pilnować bo inaczej to nim by ten owoc dojrzał już by to inni oberwali kto ma większy sad owocowy musi pilnować dniem i nocą i to ze psami dobrymi i fuzją i to niezawsze może się upilnować co często mu złodzieje oberwią owoc. W całej okolicy mojej w Polsce widziałem tylko jedną czereśnię w lesie na której nigdy czereśni nie było bo jeszcze zielone oberwali ludzie niszcząc przytem po wandalsku gałęzie biednego drzewa. Dzieci w Polsce zawsze są spragnione owocu chociaż jak na wsi w Polsce każdy gospodarz winien mieć własny owoc.

Inaczej jest we Francji. Tutaj każdy rolnik któryby posiadał tylko 2 morgi ziemi już musi mieć parę drzew owocowych, a ten który posiada 10 — 20 mórg ziemi już ma po parę drzew każdego gatunku owocu jak gruszki, jabłka śliwki czereśnie, peche i t. p. Czereśnie każdy ma po parę drzew gatunek biały i czerwony. Komu czas pozwala i kto chce to zbiera i sprzedaje i zawsze troche na tem zarobi ale to tylko gatunek wczesny który dojrzewa w maju lub na początku czerwca. Późniejsze czereśnie które dojrzewają w końcu czerwca i na początku lipca nikt już nie zbiera tylko po-

zostają na drzewie które ptaki zjadają. Białe czereśnie są co prawda droższe lecz tylko w pierwszych początkach kiedy zaczną dojrzewać lecz kiedy już na dobre dojrzeją nikt już nie zbiera tylko kury i ptaki zjadają. Ci którzy nie posiadają własnych czereśni mogą zbierać całkiem za darmo chociaż co prawda są niektórzy tacy właściciele którzy wolą by owoc zgnił a nie pozwolą go innym zebrać. Na szczęście takich jest niedużo, a więcej jest takich którzy pozwolą uzbierać sobie tyle czereśni co kto chce. Ja naprzykład rok rocznie tem lepiej że mieszkam w polu, nazbieram sobie tyle zawsze czereśni, że nie tylko mogę zawieźć do miasta kolegom pełne kosze ale mam z czego zrobić sobie dobry napój do picia. Co rok uzbieram sobie tak od 200 do 300 kilo czereśni które mnie nie kosztują ani jednego centa. Ponieważ dobrze się zachowuję tu gdzie mieszkam, nikomu żadnej krzywdy nigdy nie uczynię jestem grzecznym usłużnym i t. d. Dlatego też ludzie mnie lubią i czego innemu odmówią mnie nie odmówią nigdy, dlatego mam wszystko co mi potrzeba. Takie czereśnie sami gospodarze każą mi sobie poobrywać a ja się nie daję prosić tylko obrywam. Mam więc ich zawsze do jedzenia, do robienia napoju i jeszcze mieszczuchom zawiozę. Mógłbym i wódkę robić z czereśni gdyż podatek od wódki litra wynosi tylko pięć franków no ale ja już wódki nie mogę robić, z jednej strony, że jej nienawidzę, z drugiej strony jużby mi ludzie tak chętnie nie robili podarunków z czereśni. Nie tylko czereśni jest tutaj za dużo bo wogóle każdego owocu mamy po uszy. Jabłka to tylko renety zbierają tutaj a lichsze gatunki które jednak są bardzo dobre nie zbierają wcale. Gruszki zbierają tylko pierwszorzędny gatunek które dojrzewają we wrześniu lecz te które dojrzewają w czerwcu i lipcu albo najpóźniejsze które dopiero dojrzewają w listopadzie nikt nie zbiera, chyba że ktoś ma czas to pozbiera i daje do żarcia świniom. Co do śliwek to jedynie najlepszy gatunek t. j. wielkie białe śliwki zbierają lecz to tylko w pierwszych początkach, zato śliwki czerwone idą wszystkie na pożarcie świniom jako też i białe późniejsze. Tutaj jedynie zbierają wszyscy kasztany jadalne gdyż te popłacają dobrze reszta z owoców gnije na drzewie czy pod drzewem. Wiele jest jeszcze innych gatunków owoców takich, o jakich ja w Polsce nawet nie śniłem. Jest jeszcze tutaj specjalny gatunek śliwek których owoc jest wielkości jabłka i wiele innych. Jednem słowem że

Francja to istny raj owocowy. W Polsce jednego głupiego drzewka owocowego musi właściciel pilnować, we Francji natomiast ani pojedyńczego drzewka ani całych sadów nikt nie pilnuje, bo tutaj nie tylko że nikt z drzewa nie oberwie owocu ale go nawet ze ziemi nie podniesie chociażby się przewrócił na jabłku czy gruszce. Inaczej już bywa gdzie jest dużo obcokrajowców a przeważnie Polaków. Ci nauczeni już za młodu obrywać cudzy owoc nie mogą się powstrzymać i na tutejszym terenie to też często się dają słyszeć skargi na Polaków, że bez pozwolenia zbierają owoc który do nich nie należy. Na szczęście większość Polaków stosuje się do tutejszych zwyczajów i stara się nie ruszać cudzej własności ale niestety są i tacy że nie umieją się zachowywać po ludzku jeno po świńsku a jak przysłowie mówi, że jedna parszywa owca całe stado zababra tak też jest i pomiędzy Polakami tutaj. Niech tylko jeden po świńsku postąpi i zwędzi coś gdzieś komuś gdy go złapią wydaje się kto on jest a wtedy cały ogół cierpi na brak zaufania u tubylców a tutaj jest zwyczaj, że nawet kwiatka nikt nie urwie bez zezwolenia właściciela zresztą i nie można bo za urwanie jednego kwiatka gdy właściciel oskarży to winny zapłaci najmniej 25 fr. kary i to przez sąd.

Gdy sobie przypomnę i porównam stosunki na wsi polskiej i wsi francuskiej nie mogę zrozumieć dlaczego tak jest. Dziecko chłopa polskiego wszystkiego jest spragnione, dziecko zaś chłopa francuskiego ma wszystkiego po uszy. Cóż też dziwnego że kiedy dziecko na polskiej wsi gwałtem się wepchnie do cudzego ogrodu i tam się naje owocu niedojrzałego aż zachoruje, to dziecko na wsi francuskiej dojrzałego owocu nie chce jeść gdy go ma za dużo, to też tutaj nie idzie sąsiad do sąsiada ze skargą, że mu jego dzieciak oberwał owoc czy zniszczył drzewko. Za podobny stan rzeczy winić należy tylko samego chłopa polskiego któremu brak inicjatywy aby sobie życie urządził należycie. Gdyby lepiej kalkulował, kombinował i t. d. napewno i w Polsce na wsi dużo lepiejby było a tak od dziecka czyli od urodzenia aż do śmierci nędzę cierpi jeden z drugim.

Jak już wspomniałem poprzednio wychodztwo jest rozpolitykowane. Dużo winy w tem ponoszą dzienniki tutejsze które stosownie do kierunku politycznego stronnictwa z którego otrzymują subwencje tak piszą jak popierający sobie tego życzą. Niektóre

z tych dzienników (których po imieniu z pewnych względów nie wymieniam) stosownie do wiatrów zmieniają swą chorągiewkę tak, że z kim walczył w roku 1935 czy 1936 to w roku 1937 już się serdecznie kuma z dawnym przeciwnikiem. Nic też dziwnego, że i wychodztwo które zbytnim uświadomieniem nie grzeszy w tą stronę idzie w którą go kieruje dane pismo. Nie są też bez winy niektórzy nauczyciele i księża którzy miast pilnować swoich obowiązków to politykują. Naogół stosunek wychodztwa do nauczycieli jest przychylny, życzliwy, lecz nauczyciel który poza swoim obowiązkiem zajmuje się polityką nie cieszy się zbytnią życzliwością. Mimo to ogólnie rzecz biorąc nauczycielstwo pracuje z pożytkiem dla wychodztwa, bo pominąwszy już to, że bronią dzieci przed wynarodowieniem, swoją wiedzą i doświadczeniem uświadamiają swoje otoczenie czy to przez urządzanie kursów dla dorosłych czy to przez urządzanie świetlic, wieczorków towarzyskich czy wreszcie przez urządzanie teatrów amatorskich, różnych imprez na uroczystościach narodowych, związkowych i t. p.

O ile stosunek wychodztwa do nauczycielstwa naogół jest życzliwy, o tyle ten stosunek do księży zmienia się. Wychodztwo przywiązane jest do wiary ojców to też w księdzu na tutejszym terenie chce widzieć jedynie duszpasterza, nic więcej. Księża zaś w większości swej tutaj to agitatorzy polityczni. Przy każdej okazji agitują nawet i kościoły nie są wolne od tej agitacji, że oni w swej agitacji potępiają komunizm to rzecz zrozumiała biorąc pod uwagę wrogi stosunek komunizmu do kościoła, lecz niezrozumiałem jest przez nich walka prowadzona z organizacjami zawodowymi stojącymi na gruncie neutralnym, poza polityką. Istnieje we Francji Generalna Konfederacja Pracy grupująca w sobie różne sekcje zawodowe. Organizacja ta liczy obecnie przeszło pięć miljonów członków i bądź co bądź robotnicy wiele zyskali przez te organizacje właśnie, to też każdy robotnik członek jest przywiązany do swej organizacji. Co prawda to i ona ma pewne braki i ona nie jest doskonałością, lecz ściśle wziąwszy to wiele już dobrego zrobiła nawet i dla obcokrajowców a więc i Polaków. Setki o ile już nie tysiące wydaleń robotników polskich za poprzedniego rządu wstrzymała ta organizacja to też w pewnym stopniu zasłużyła się ogółowi robotników. Podkreślić jeszcze raz muszę, że ten syndykat grupujący w sobie wszystkie zawody nie ma ani cienia polityczności, mimo to nasi

księża ośmielają się atakować tę organizację co już jest niezrozumiałem. Dlatego też otoczenie danego księdza jest do niego nieżyczliwie usposobione a niekiedy i dosyć wrogo. Jeden Polak pracujący poprzednio w północnej Francji opowiedział mi taką oto historję. Na pewną uroczystość połączoną z zabawą przyjechał ksiądz polski swojem autem które pozostawił na ulicy, kiedy po pewnym czasie chciał odjechać, gdy wsiadł do auta znalazł na siedzeniu łajno ludzkie i całą kierownice zbabraną tymże łajnem. Wybryk to dziki każdy musi przyznać i potępić bo uczciwy przeciwnik nawet i swemu najgorszemu wrogowi coś podobnegoby nie zrobił tembardziej przeciwnik ideowy o ile naturalnie jest człowiekiem uczciwym i szlachetnym. Za prawdziwość tej historji ręczyć nie mogę bo sam świadkiem nie byłem ale opowiadający przysięgał, że to prawda. Gdyby więc powyższy fakt był prawdziwym to jasnoby malował stosunek ludzi do księży na tutejszym terenie w czem winę ponoszą sami księża bo oni sami swojem politykowaniem i swoim postępowaniem zrażają ludzi do siebie. Jest w Paryżu Polska misja katolicka która wydaje tygodnik „Polak we Francji“ czy to jest pismo interesujące to już zależy od zainteresowania poszczególnych ludzi ale pismo to nie ma wielu abonentów to też kto raz napisze to jest kto zażąda raz okazowego egzemplarza by się przekonać i poznać co to za pismo wtedy już cały rok otrzymuje to pismo chociaż nie płaci, za to w końcu roku otrzymuje zawiadomienie by do tego to a do tego dnia uiścił należność za roczną prenumeratę pisma. Grożą przytem, że gdy w terminie ten przymusowy prenumerator nie nadeszle należności to oni to jest redakcja odda sprawę adwokatowi czyli mówiąc prościej zaskarżą dłużnika do sądu. Ale to jeszcze nie wszystko. Ja sam jednego razu napisałem do redakcji tego pisma z prośbą o przesłanie mi okazowego numeru tego pisma, zaznaczyłem przytem by mi załączono mandat na przesyłkę prenumeraty. Otrzymałem tylko dwa kolejne numery tej gazety i na tem koniec. Ponieważ nie otrzymałem mandatu jako też i trzeciego egzemplarza nie posłałem pieniędzy i oni po wysyłce dwu numerów przerwali dalszą wysyłkę. Po dwu przeszło latach otrzymałem pismo z redakcji tej gazety bym w przeciągu piętnastu dni nadesłał im należność za prenumeratę za czas ubiegły w sumie 64 franki. Oczywiście że tak dzikiego żądania nie spełniłem. Podobne żądania otrzymało wielu ludzi, którzy skarżyli się później pisząc

o tem do innych gazet. Podobne postępowanie nie może życzliwie usposabiać wychodztwo do księży polskich. Z powyższego można wyciągnąć dwa wnioski, że albo tygodnik wydawany przez misje w Paryżu p. t. „Polak we Francji" nie jest czytany chętnie za co w tym wypadku winę ponoszą księża, albo też w redakcji tego tygodnika jest taki bałagan, że oni nie wiedzą gdzie i komu wysyłają gazetę. I co więcej to samo może udowodnić, że pismo to nie cieszy się zbytnią życzliwością kiedy jest wysyłane latami chociaż odbiorca nie płaci.

Całe wychodztwo można podzielić następująco: 25 procent bezwyznaniowców, 30 procent obojętnych tylko, a 45 procent wierzących. Podobne obliczenie zrobiłem na swoim otoczeniu i na trzech kolonjach polskich o większem skupieniu. Kto ponosi winę za podobny stan rzeczy to powiedzą poniższe fakty. Zaznaczę najpierw, że każdy Polak wyjeżdżając z Polski był głęboko wierzącym. Skąd się więc wzięło tyle obojętnych niech powiedzą ci którzy są winni, którzy przyczyniają się do tego. Lecz przystępuję do faktów. Każdy nowoprzybyły ksiądz z Polski ubogim jest jak ta przysłowiowa mysz kościelna. W pierwszych chwilach swego pobytu we Francji chodzi pieszo względnie jeździ na rowerze. Po paru miesiącach już jeździ na motocyklu a po roku dwu lub trzech najdalej już jeździ sobie autem poto tylko by zniechęcać ludzi do siebie którzy pracując w pocie czoła nie mogą sobie pozwolić nawet na lepsze życie. Jakim sposobem tak prędko się bogacą księża tutaj to mogą powiedzieć ci którzy korzystają względnie korzystali z posług danego księdza. Ksiądz francuski za ślub bierze co łaska. Najniższa taksa księdza francuskiego za udzielenie ślubu wynosi 10 fr. lecz kto da tylko pięć fr. też przyjmie a kto biedny zbyt od tego nic nie weźmie. Dlatego też wdzięczni ludzie za to dają co łaska po 15 — 20 — 30 i więcej franków a lepiej sytuowani i po 50 fr. czy więcej. Ksiądz polski w przeciwieństwie do księdza francuskiego ma też co prawda taksę za śluby ustaloną lecz jest ona znacznie większa bo niżej od 50 fr. nie bierze. I wogóle każda posługa księdza polskiego jest znacznie większa, za najmniejszą posługę którą ksiądz francuski darmo zrobi, ksiądz polski bierze pieniądze. Oprócz tego organizacje polskie którym patronują księża, jak matki różańca żywego i wiele innych są zasypywane prośbami księdza o datki. Oto rozsyłają koperty do poszczególnych matek

z prośbą o wsparcie. Ofiarodawcy są imiennie ogłaszani w kościele czy na jakimś zebraniu, to też niejedna matka woli dziecku od ust odjąć a dać żądaną ofiarę by się nie wstydzić z powodu niewymienienia ofiary tej. Gdy ksiądz przyjedzie gdzieś do zapadłej mniejszej kolonji polskiej czy to odprawić nabożeństwo, czy tylko wysłuchać spowiedzi to zaraz zbiera składkę. Nie żąda on jej wprawdzie ale sobie życzy. Dlatego też niejeden Polak nie mając dziesięciu franków nie pójdzie do księdza wyspowiadać się czy wysłuchać nabożeństwa. Wiele innych faktów podaćby można. Faktów które są przyczyną zobojętnienia Polaków do wiary w której się wychowali w Polsce. Bywają wypadki bałamucenia przez księży żon górników, czy podobne postępowanie może życzliwie usposabiać ogół wychodztwa do księży i czyż może budować w wierze w której się wychowali?

Powiedziałby może ktoś, że księża polscy muszą brać drożej za posługi religijne od księży francuskich, że nibyto ksiądz francuski mając stałą parafje lepiej może zarobić licząc nawet taniej.

Podobne twierdzenie nie może być prawdziwem. Z jednej strony ksiądz francuski mając nawet więcej wiernych żyje tylko z tego co mu ci wierni dadzą. Polski ksiądz natomiast bierze pensję którą mu płaci rząd Polski więc nie jest zmuszony obdzierać zubożałe wychodztwo a gdyby właśnie szedł tylko ze słowem bożem napewnoby tyle obojętnych nie było. Wprawdzie nie wszyscy księża polscy na tutejszym terenie są tacy zdziertusy. Bywają księża którzy mają tylko jeden cel a to wypełniać należycie swe powołanie. Ci idą w lud tutejszy niosąc pociechę i otuchę uginającym się pod brzemiem tułaczego życia. Ci właśnie którzy idą w masy pracujące ze słowem miłości głosząc zasady Chrystusowe a nie zaglądając i tak już do pustych kieszeni pracujących. Ci właśnie cieszą się miłością robotników. I gdzie się w kolonji znajdzie taki ksiądz tam znikomy procent jest niewierzących lub obojętnych. Niestety tych dobrych pasterzy jest może tylko dziesięć procent. Nie wiem czy moje słowa dojdą do wiadomości ogółu. A jeżeli dojdą to napewno ogół nazwie mnie komunistą bo tak już bywa że każde słowo prawdy nie dochodzi do szerszego ogółu społeczeństwa, a o ile już takie słowa dojdą to społeczeństwo człowieka głoszącego słowa prawdy nazwie komunistą. Jest to z gruntu fałszywe i niegodne mniemanie bo niekoniecznie musi być czło-

wiek komunistą by widzieć zło któreby można wyplenić. Niekoniecznie też trzeba być tym komunistą by odczuć to co boli i mieć pewne odruchy sprawiedliwości. Ja który piszę te słowa nie jestem ani komunistą ani zwolennikiem tej czy innej partji politycznej. Polityka mnie absolutnie nie interesuje i nienawidzę jej. Dla mnie obojętne kto rządzi Polską bo ja jestem tylko Polakiem. Niech Polską rządzi kto chce byleby tylko dobro ojczyzny miał na względzie reszta mnie nie obchodzi. Że potępiam księży polskich to jeszcze nie dowód by mnie potępiono i posądzono o nieprzychylność do księży bo to co piszę poniżej o księżach francuskich piszę z uznaniem i życzyłbym sobie by księża polscy przykład brali z księży francuskich którzy mogą być wzorem cnót prawdziwych kapłanów sług Bożych. W pierwszym rzędzie ksiądz francuski żyje z jałmużny tak jak przystało na kapłana któremu Chrystus przykazał żyć w ubóstwie. Ksiądz w Polsce rękę poda tylko bogatemu a ubogi szary tłum musi go w rękę całować.

Ksiądz francuski najuboższemu rękę poda i nie pozwala się całować. Przechodząc czy przejeżdżając francuski ksiądz gdy spotka kogoś na swej drodze czy to będzie znajomy jego czy nieznajomy, gdy ten przechodzący nie zauważy księdza to ksiądz pierwszy powie „Dzień dobry". Każdemu napotkanemu człowiekowi na drodze odpowie „dzień dobry" uchylając kapelusza. Najmniejszemu dziecku odpowie na jego pozdrowienie, czy to w kościele czy poza kościołem jest tylko księdzem. Za osiem lat swego pobytu we Francji nie słyszałem jeszcze by ksiądz kogoś potępiał, jak również nie słyszałem go politykującego.

Nie są bogaci księża francuscy mimo to gdy pójdzie do księdza francuskiego ubogi z prośbą o pożyczenie stu franków to ten ksiądz pożyczy z chęcią i tylko na słowo. Trafia się że dziecko jakiegoś ubogiego robotnika nie ma ubrania nowego gdy przystępuje do pierwszej komunji wtedy ksiądz kupuje za swoje ubranie temu dziecku i oddaje mu na własność. Tak było z moim siostrzeńcem. Gdy chodził na naukę katechizmu ksiądz go polubił bo dobrym uczniem był. Kiedy miał przystępować do pierwszej komunji siostra moja w rozmowie z księdzem tak żartem powiedziała, że syn jej nie przyjdzie teraz do komunji bo nie ma ubrania. Słysząc to ksiądz wyciągnął dwieście franków i daje mej siostrze by kupiła ubranie synowi i żeby on przyszedł teraz do komunji. Sio-

stra moja dość zamożna nie tylko że nie wzięła tych pieniędzy a przeciwnie, widząc dobre serce księdza wyjęła sto franków i dała je księdzu z wdzięczności. Pomyślałby ktoś może, że ksiądz schował te sto fr. do kieszeni? Nic podobnego. Swoje 200 fr. i otrzymane sto franków rozdzielił na pół i dał na kupno sukienek dwu ubogim dziewczynkom. Oto prawdziwy kapłan. Takich ludzi pomiędzy klerem francuskim jest najmniej 60 procent, a wątpię czy podobnych księży polskich znajdzie chociażby tylko 20 procent. Nic też dziwnego, że Polacy na tutejszym terenie wolą korzystać z usług księdza francuskiego. I nic też dziwnego, że pomimo obojętności religijnej większości społeczeństwa francuskiego księża tutejsi cieszą się miłością wiernych i poważaniem obojętnych a nawet niewierzących. Gdy ktoś bierze ślub nie targuje się z księdzem o cenę za udzielenie ślubu jak to bywa w Polsce. Tutaj tylko zawiadamia księdza o dniu i godzinie ślubu i to wszystko. Po ślubie żeniący się kładzie na tacy ile chce jako też i uczestnicy ślubu, tak że pomimo dobrowolnej ofiary zawsze ksiądz zbierze 50 i więcej franków. Za pogrzeb ksiądz liczy sobie 10 fr. tylko ale każdy płaci więcej z chęcią, widząc dobrą wolę księdza a trzeba wiedzieć, że tutejszy ksiądz czy to umrze bogaty czy ubogi, czy mu kto da 10 fr. czy 50 fr. albo wcale nic, nie zważa na to ale idzie z ciałem aż na cmentarz nieraz odległy o 23 kilometry. Za chrzest dziecka nie liczy absolutnie nic chociaż ksiądz tutejszy płaci po parę franków dzieciom służącym mu do mszy. Pomiędzy klerem a społeczeństwem francuskim panuje pewna zażyłość, serdeczność. Widziałem raz biskupa który przyjechał bierzmować dzieci do wsi w której mieszkam. Widziałem podobny przyjazd biskupa i w Polsce. Tutaj biskup przyjechał sobie autem całkiem skromnie bez żadnej pompy jedynie przed kościołem oczekiwali ludzie pragnąc go powitać. Kiedy auto stanęło biskup wyszedł sam z auta i podając rękę każdemu witał go serdecznie chodził od jednego do drugiego podawał rękę i w serdecznych słowach pytał o zdrowie, o powodzenie i t. d. Kiedy doszedł do mnie i ja go przywitałem zaraz po akcencie mowy poznał, że nie jestem Francuzem, wtedy pyta czy jestem „Italjanem". Ja odpowiedziałem iż jestem Polakiem, wtedy zaczął wypytywać o wszystko. Co mnie wygnało z ojczyzny jak tam w Polsce żyją, czy mam jeszcze rodziców i czy ich mam przy sobie czy jestem zadowolony z pobytu we Francji czy nie

tęsknię za ojczyzną i t.d. Gdy mu odpowiedziałem, że mam przy sobie matkę która już liczy 68 lata i że pracuję dla mej matki by głodu nie zaznała na starość, biskup ten nazwał mnie dobrym synem, mówiąc, że jednak matce mojej musi być przykro, że na starość musiała swój kraj opuścić. Dawał mi radę bym oszczędzał pieniądze bym mógł kiedyś z matką powrócić do ojczyzny bo jak sam powiedział, że wszędzie może nam być dobrze lecz przecież najlepiej czujemy się we własnej ojczyźnie. Przemawiał serdecznie głosem prawdziwego kapłana. W Polsce inaczej bywa. Tam gdy biskup przyjeżdża witają go z pompą jakby on był co najmniej samym Bogiem.

Byłem też i w Polsce świadkiem przyjazdu biskupa do parafji. Wszystkie straże pożarne były w swoim stroju. Strzelec, setka ludzi na koniach. Z tą całą paradą wyszliśmy więcej jak jeden kilometr przed biskupa. Małe dziewczynki sypały kwiaty pod nogi jemu. Kiedy wyszedł z powozu dotknął tylko palcem soli na tacy którą go witano i ani nie spojrzawszy na nikogo siadł z powrotem do powozu i pojechał a my wszyscy za nim. Podczas kazania krzyczał by nie dogadzać swojemu cielsku co poprostu oznaczało by nie jadać zbyt dobrze, a właśnie tego już nie powinien był mówić by się nie narażać na drwiące spojrzenia słuchaczów którzy z zazdrością patrzyli na jego twarz jak księżyc w pełni i na brzuch który był podobny do brzucha kobiety która ma wydać na świat najmniej trojaczki. Po tej całej pompie i po kazaniu poszedł na podwieczorek do dworu. Na drugi dzień załatwił się z bierzmowaniem dzieci i tyleśmy go widzieli. Nie doszedł do nikogo by spytać się o zdrowie czy powodzenie jak biskup francuski, który był chudy. W Polsce podczas pobytu biskupa co godzine prawie chodzili z tacą zbierając ofiary, we Francji natomiast ani razu nikt nie przeszedł z tacą, bo sam mówił, że kto może dać dzisiaj gdy nędza panuje, że on ofiar nie wymaga a o ile ktoś chciałby i mógłby złożyć drobną ofiare to może to uczynić lecz kto nie może i komu ciężko to niech lepiej zostawi dziecku na mleko czy na kawałek mięsa. Oto jaka różnica pomiędzy kapłanami jednego kościoła. Nie można się więc dziwić kiedy miast bronić wychodźce i podtrzymywać go w wierze to oni temu wychodźcy swojem postępowaniem pomagają do utraty wiary, a w najlepszym razie popychają go na drogę obojętności, bo jeszcze raz zaznaczę,

że każdy Polak wyjeżdżając z Polski jest wierzącym i gorącym katolikiem. Gdy zaś dłuższy czas pobędzie we Francji to albo tę wiarę zupełnie traci albo staje się obojętnym.

Świąt tak uroczyście nie obchodzą jak u nas w Polsce. Tutaj w każdą niedzielę sklepy są otwarte do południa i targi na rynku miasta jedynie bydła nie sprzedają w niedziele a pozatem wszystko ale to nie tylko w niedziele zwyczajną bo w święto Bożego Narodzenia wszystkie sklepy i różne magazyny są otwarte do południa i jarmark się odbywa do południa o ile święto wypadnie w dzień jarmarczny, oczywiście, że bydła już nie sprowadzają. W pierwsze Święto Zmartwychwstania to samo. W każdą niedzielę najmniej 50% rolników pracuje czy to w polu czy około domu, nawet i w święto Bożego Narodzenia czy Zmartwychwstania do południa dużo ludzi pracuje jak w zwyczajny dzień. Z tego też powodu wybuchają często zatargi pomiędzy robotnikami polskiemi a pracodawcami-rolnikami francuskiemi. Gdy taki robotnik pracuje u rolnika jako najemnik wolny, wtedy pracodawca nie odważy się zmuszać do pracy robotnika. Gorzej już jest z tymi co pracują kontraktowo bo tych pracodawcy zmuszają do pracy w każdą niedziele jak też w Boże Narodzenie czy Zmartwychwstanie. Nic też dziwnego, że kiedy gdzieś do zapadłego zakątka Francji gdzie dużo pracuje Polaków przyjedzie ksiądz polski, czy to odprawić nabożeństwo czy tylko odwiedzić i pocieszyć rodaków, rozrzuconych po fermach, oni taki dzień uważają za swoje święto i radzi widzą księdza polskiego bo dusza już w Polaku taka, że poprostu ubóstwia wszystko co polskie. Niech będzie kawałek czystego papieru lecz z Polski to go ze łzami w oczach ucałuje. Gdy trafi się ktoś kto przyjeżdża z Polski do Francji i przywiezie ze sobą tytoń to nieraz i 25 kilometrów popędzi na rowerze rodak gdy się dowie o tem, by chociaż jednego papierosa uzyskać. Tak bywa ze wszystkiem. Żyjący Polacy po miastach są mniej uczuciowi pod tym względem żyjąc w większem skupieniu polskiem, lecz ci rozrzuceni po odległych od siebie nieraz o 30 kilometrów fermach wszystkiego łakną a najbardziej słowa polskiego to też gdy przyjedzie świeży robotnik z Polski gdy się dowiedzą, zlatują się do niego wypytując o Polskę, o jej życie, rozwój i t. d. Gdy przyjedzie do nich ksiądz, szczęśliwi się czują gdy on przemówi do nich serdecznie pocieszy i doda otuchy do dalszej pracy, wdzięczni mu oni są lecz jak już

zaznaczyłem musi to być ksiądz któryby szedł do tych nieszczęśliwych jak ksiądz francuski ze słowem pocieszenia i ożywienia w nich nadziei, a nie po pieniądze.

Starszemu pokoleniu t. j. nam dorosłym nic nie grozi bośmy są silni więc się oprzemy obcym wpływom, obcemu duchowi i innym różnym naleciałościom. Dorosłe pokolenie już się ostoi ale ratować trzeba dzieci. Pocóż płakać narzekać jak czynią to teraz niektórzy z powodu spadku urodzin w Polsce. Pocóż bić na alarm z powodu paru urodzin mniej, które mimo to jest i tak za wysokie jak na nasze warunki. Pocóż więc ręce załamywać z rozpaczy, że dzieci w tym to a w tym roku o pare mniej się urodziło. Z tak błahego powodu tworzy się tragedja a z lekkiem sercem patrzy się gdy tysiące dzieci na obczyźnie ginie bezpowrotnie dla kraju. Gdy tysiące tych dzieci zapomina lub wcale nie zna języka swej Ojczyzny.

Aby udowodnić twierdzenie moje, że błędem jest puszczanie za granice analfabetów poza faktem który już podałem na początku a w którym to ja odegrałem role urzędnika konsulatu poniżej podaje drugi fakt który mówi sam za siebie. Fakt ten podaje za dziennikiem emigracyjnym. Dnia 12 września 1936 roku kułak-patron Mayeur Dawid w departamencie Somme sprowadził na kontrakt jednoroczny do pracy przy bydle Polke Ozge Aniele lat 34, wdowe, matke dwojga małoletnich dzieci, pozostałych w Polsce na łasce krewnych. Pracodawca od samego początku przybycia Ozgi znęcał się w barbarzyński sposób nad swą ofiarą, kopniaki i szturchańce były na porządku dziennym. W grudniu 36 r. chwycił za widły i przebił Anieli prawą noge (łydkę). W pięć dni później gdy Ozga Aniela pchała przed sobą taczkę naładowaną burakami, gospodarz kopnął ją tak silnie, że Ozga upadła na taczkę raniąc sobie drugą nogę. Ranna w obie nogi nie mogła tak szybko pracować, gospodarz więc prędko odwiózł Ozgę do Amiens, gdzie ją oddał innemu gospodarzowi. U nowego pracodawcy, Ozga po dziesięciu dniach została w brutalny sposób wyrzucona na droge a nie znając języka francuskiego przeszła pieszo, głodna i zapłakana do wioski Albert dnia 7 stycznia. Francuzi wskazali jej Polaków i tym sposobem przyszła do jednej rodziny polskiej, gdzie ją nakarmiono i przyjęto na nocleg. Po otrzymaniu świadectwa lekarskiego sprawe oddano żandarmerji a Ozga Aniela poszła do

szpitala. Za swą ciężką trzy i pół miesięczną prace i tortury kobieta ta otrzymała zaledwie 195 fr. 25 c. Niżej podany rachunek jest najlepszym dowodem w jak bezczelny sposób okradają swych robotników pracodawcy. Oto wyciąg z książki obrachunkowej wypełnionej przez pracodawce. Wyrobienie karty identité 41 fr. (a karta ta kosztuje tylko 35 fr.). Papier stemplowy 4 fr. Buty które jej kupił 45 fr. (gdy go Ozga pytała ile zapłacił to powiedział 42 fr. i taka cena ich była) 5 fr. 25 c. kolej do Albert, 100 fr. na leczenie zębów (z tych 100 fr. ona sama zapłaciła bilet 5 fr. 25 c.) razem 195 fr. 25 c. Natomiast właściwy rachunek 181 fr. a mianowicie 35 fr. karta identite, 4 fr. papier stemplowy, 42 fr. para chodaków, 100 fr. na leczenie zębów i na bilet kolejowy. Razem 181 fr. Ozga Aniela nie umie pisać więc nie mogła o tych machinacjach wiedzieć. Pozatem ta kobieta pracowała u pierwszego gospodarza który ją ściągnął z Polski trzy i pół miesiąca, zarobek jej według kontraktu wynosił 180 fr. miesięcznie więc za trzy i pół miesiąca należy się jej 630 fr. na konto swego zarobku otrzymała 181 fr. pozostało u pracodawcy 450 fr. które dopiero wypłaci przymusem. Żądamy od konsulatów polskich lepszego opiekowania się robotnikami świeżo przybyłymi na kontrakt do pracodawców francuskich. Aby więc robotnicy polscy przyjeżdżający na kontrakt do pracy na role nie byli tak oszukiwani, wyzyskiwani i maltretowani koniecznem jest aby przy każdym konsulacie polskim we Francji był jeden chociażby urzędnik któryby od czasu do czasu wyjechał i objeżdżał miejscowości gdzie są Polacy. Prawdopodobnie są tacy objazdowi urzędnicy po naszych konsulatach we Francji lecz nigdy ich nikt nie widzi a właśnie oni mogliby w niektórych wypadkach obronić krzywdzonych. Ci którzy umieją pisać w razie doznanej krzywdy mogą się chociaż listownie poskarżyć w konsulacie i konsulat bądź co bądź pomoże, lecz ci którzy nie umieją pisać jak w tych dwu wypadkach które opisałem nie mają żadnej możności obrony, a gdy niema w pobliżu Polaków którzy mogliby pouczyć i pomóc to taki robotnik czy robotnica znosić muszą istną katorge, bo patron maltretuje dziko nieraz i wyzyskuje a tego przy odrobinie dobrej woli urzędów polskich można uniknąć a najgłówniejsze to nie puszczać za granice analfabetów. Wypadków takich jak dwa wyżej opisane mógłbym przytoczyć dużo więcej lecz sądzę, że te dwa wystarczą,

bo gdybym chciał wszystkie podobne wypadki opisać zrobiłbym z tego dwutomowe dzieło.

We francuskim społeczeństwie uczciwość jest ceniona wysoko, że tam jeden i drugi chłop na wsi maltretuje i wyzyskuje robotnika to jeszcze nie dowód by potępiać całe społeczeństwo francuskie. W Polsce w niektórych okolicach ludzie są uczciwi, lecz nawet i w takich okolicach ludzi uczciwość nigdy nie dojdzie do takiego stopnia jak we Francji a już w niektórych okolicach Polski o uczciwości mowy niema, czego dowód mam na mojej okolicy w Polsce gdzie się urodziłem i żyłem 22 lata. Szczególnie moja rodzinna wioska pod względem uczciwości bodaj że stała na samym końcu. Kury, gęsi i wogóle wszelki drób domowy trzeba było dobrze zamykać na noc. Pierzynki, poduszki, wszelką inną bielizne to samo. Wychodząc w pole trzeba było dobrze na kłódkę wszystko zamknąć. W polu koniczyne czy lucerne o ile była ładna to jak nie wyrwali to spaśli krowami czy końmi. Podczas żniw trzeba było zżętego zboża pilnować bo zabrali po parę snopków. Owocu też trzeba było pilnować gdy dopiero zaczął dojrzewać. Gdy ktoś zasiał trochę grochu to gdy ten był już w strączkach, gdyby ktoś nie pilnował to dzieci a nawet dorośli oberwali wszystkie strąki i zjedli na surowo. Jednem słowem trzeba było wszystkiego i na każdym miejscu zawsze pilnować o ile chciało się mieć jakiś zbiór. We Francji coś podobnego miejsca niema. Tutaj sąsiad sąsiadowi nie zrobi szkody na jeden centim. W niektórych okolicach Francji a tam przeważnie gdzie jest dużo obcokrajowców tam już bywa gorzej bo obcokrajowcy i kradną sami i mniej odpornych na uczciwość Francuzów nauczyli kraść to też w takich okolicach już niema wielkiego zaufania do otoczenia swego, lecz są niektóre okolice gdzie bardzo mało i to uczciwi albo też wcale obcokrajowców niema. W takiej okolicy można się zbudować idealną zgodą społeczeństwa i ich uczciwością. Naprzykład w okolicy w której pracowałem w pierwszym roku przybycia do Francji. Tak każdy gospodarz-rolnik czy robotnik bielizne po wypraniu gdy rozwiesił na sznurze do osuszenia, mogła ona wisieć cały rok i więcej i nikt nie ruszył. Klatki z królikami i z kurami stały poza fabryką na odkrytem polu i nikt nie ukradł. W północnej Francji natomiast gdzie jest dużo obcokrajowców już jest gorzej. Czytając dzienniki często się widzi skargi na częste kradzieże i dosyć często czytając kro-

nike sądową widzi się dużo spraw za kradzieże i często jest jako winowajca wymieniony Polak czy Polka czem wstyd przynoszą dobremu imieniu narodu polskiego. W wyżej przezemnie opisanej miejscowości już jesienią gdy orzechy włoskie zaczynają opadać a najwięcej ich rośnie koło drogi pełno leży orzechów na drodze, że nieraz trudno jest przejechać rowerem, lecz nikt nie podniesie orzecha, a raczej nie pozbiera gdy do niego nie należą bo przejeżdżając można podnieść parę orzechów lecz gdy się je zje na miejscu wtedy i właściciel nic nie powie lecz do kieszeni już nie wolno brać o ile właściciel nie pozwoli a zjeść kilka na miejscu nikt nie zabroni. Tak samo z wszelkim owocem jak jabłka gruszki i t. p. zjeść można kilka z tych co leżą na drodze lecz do kieszeni już nie wolno brać. Jak wiadomo to rowery są zawsze łakome i trzeba w innych okolicach uważać na rower a w tej okolicy którą opisuje można było rower postawić przed domem i onby tam stał rok niktby go nie ruszył. Jednem słowem uczciwi ludzie którzy mogą być wzorem dla innych. Krzywdy jeden drugiemu nie zrobi a sąsiedzi mogą być przykładem dla wsi polskiej. Tutaj jak wszędzie gdy rolnik orze swoje pole to albo nie dojeżdża do końca by sąsiadowi nie niszczyć zasiewu co w tym wypadku rydlem dokończy orki, albo o ile dojeżdża do końca i niszczy sąsiadowi zasiew to idzie do niego sam i szkode płaci. Są to na pozór fakty nic nie znaczące a jednak bardzo ważne boć pamiętam takie wypadki ze wsi rodzinnej gdzie sąsiad sąsiadowi orząc pole zniszczył zasiew i nie poszedł ani zapłacić zato ani nawet przeprosić wtedy poszkodowany albo urządzał pyskobicie albo w najlepszym razie skarżył do sądu, z tego właśnie rodzi się nienawiść a sądy są zawalone różnymi sprawami. We Francji jak naprz. w moim departamencie raz tylko w miesiącu i to w jednym dniu wszystkie sprawy sąd załatwia. Swoboda w tutejszych sądach dużo większa można się wytłumaczyć należycie a członkowie sądu jak również i prezes sądu zwraca się czy do świadka oskarżyciela czy oskarżonego w formie grzecznej nie tak jak w sądzie polskim na „per ty“ ale na Panie i wy. Bywam często w tutejszym sądzie służąc za tłumacza Polakom którzy mało albo wcale nie rozumieją języka francuskiego. Byłem już parę razy w charakterze tłumacza lecz nie widziałem nigdy by członek sądu obraził kogoś chociażby tylko przez wyrażenie „ty“. Publiczność na sali sądowej zachowuje się zawsze cicho

i poważnie a nie tak jak w polskim sądzie, że nieraz tak halasują, że sędzia dopiero wtedy uspokoi hołote gdy każe kogoś wyrzucić z sali albo wlepi parę złotych kary. Po części to i mają racje sędziowie polscy, że nie uszanują ani podsądnych ani publiczności kiedy oni nie zasługują na szacunek.

Stosunki we Francji pomiędzy robotnikami a pracodawcami czy to pomiędzy wyżej stojącymi a szarym tłumem są dużo lepsze aniżeli w Polsce. Tutaj ta tak zwana demokracja czy jak kto chce lepiej jest ceniona. Naprzykład pracodawca nie wstydzi się podać ręki robotnikowi. Dalej czy to będzie wyższy urzędnik państwowy czy jakaś inna wyższa persona nie wstydzi się znajomemu robotnikowi powiedzieć dzień dobry na ulicy czy nawet i rękę podać gdy zajdzie tego potrzeba. Ja naprzykład przez zamiane znaczków pocztowych do kolekcji, mam różne znajomości w sferze o jedno czy dwa zera wyższej, jak naprzykład urzędnicy różni, naczelnik poczty i t. p. Mam też znajomego prokuratora republiki z którym prowadze wymiane znaczków pocztowych. Jeżdżę do niego często i chociaż jestem robotnikiem zwyczajnym jednak on gdy wchodze do jego mieszkania rękę mi podaje a będąc na ulicy gdy przechodze i mówie mu „dzień dobry" on grzecznie odpowiada uchylając jak i ja czapki. I w ogóle ze wszystkimi tak bywa. A w Polsce? Ten który ma lepszą prace i lepiej zarabia już patrzy z pewną wyższością na tego który mając prace lichszą mniej zarabia. I jeden Polak drugiego Polaka nie zna o ile jednakowo nie zarabiają. Podobnie bywa i w organizacjach polskich na tutejszym terenie. Taki głupi prezes jakiegoś stowarzyszenia „W dudy graj" już się ma za coś lepszego od zwykłego członka tego towarzystwa a godność prezesa jest marzeniem wielu ludzi. Naprzykład jednego razu chciałem założyć oddział związku Strzeleckiego by w jakikolwiek sposób uświadomić ciemną jak noc masę robotniczą i tem samem dać im lekarstwo na nudy by nie wycierali stołów po kafejkach. No i cóż zrobiłem zebranie i nic z tego bo jeden najchętniejszy przy wyborze zarządu sam się ofiarował na funkcje sekretarza, swego kumotra na prezesa a kolege na skarbnika co ja widząc nacisnąłem czapkę na uszy i uciekłem z tego towarzystwa jak warjat i odtąd już nie próbuje zakładać żadnych związków.

We Francji czy to przyjdzie do urzędu żebrak, czy bogacz od ręki go załatwi i jak najgrzeczniej się obchodzą z interesantami

o czem już miałem możność przekonać się. Jak z Francuzami tak i z obcokrajowcami postępują po biurach grzecznie. Jednego razu byłem w prefekturze co odpowiada polskiemu województwu. Poszedłem poinformować się w sprawie naturalizacji bo był czas kiedy myślałem przyjąć obywatelstwo Francuskie. Gdy wszedłem do odnośnego biura, dwie panny które tam pracowały zaraz po przywitaniu zaczęły mnie pytać w jakiej sprawie przychodze. Powiedziałem, że pragnę się poinformować w sprawie naturalizacji. Jedna z nich w tej chwili poszła po naczelnika biura który urzędował w sąsiednim pokoju. Gdy ten wszedł na moje powitanie odpowiedział grzecznie i kazawszy mi usiąść na krześle pytał łagodnie czego sobie życzę. Kiedy mu opowiedziałem o co się rozchodzi, wytłumaczył mi wszystko, a tłumaczył powoli, czego nie zrozumiałem powtarzałem pytanie a on na nowo wyjaśniał. Kiedy mi już wszystko dobrze wytłumaczył zaczął mnie wypytywać z kolei, dlaczego chce się naturalizować, co zamierzam zrobić później, wiele też wypytywał o Polskę jak u nas żyją ludzie i wogóle o wszystko. Po trzech kwadransach pożegnał mnie grzecznie i serdecznie. Dziwiłem się temu bo wtedy pierwszy raz byłem w tym urzędzie. Podobnie urzędnicy tutejsi postępują zawsze i wszędzie w stosunku do wszystkich. Jednem słowem przyjemnie czuje się człowiek gdy idąc do biura zgóry jest przekonany, że sprawe swoją załatwi należycie i tak od ręki.

Na początku pamiętnika mego wyraziłem się krytycznie o polskich organizacjach na wychodztwie. Nie dowodzi to bynajmniej iżby wszystkie organizacje polskie we Francji podlegały krytyce ścisłej. Są niektóre organizacje które pomimo popełnianych błędów bądź co bądź pracują niestrudzenie nad uświadomieniem dorosłych lub też nad wpajaniem w dusze dziecięce zamiłowania do wszystkiego co polskie a przedewszystkiem do ukochania nieznanej dzieciom Ojczyzny.

Dzienniki polskie na tutejszym terenie również nie wszystkie zasługują na krytyke bo niektóre z nich pomimo swych błędów uzupełniają swą doniosłą role wyrabiając nietylko dorosłych ale i dzieci które się uczą czytać po polsku z lekcji podawanych w dzienniku. Pod tym względem na uznanie pomimo pewnych niedociągnięć zasługuje „Wiarus Polski" który gdy się rozchodzi o pomoc moralną czy materjalną na cele społeczne czy też wspomożenie

nędzy ludzkiej, ofiarnym jest i więcej, aniżeli jakikolwiek inny dziennik pragnie zgody i jedności wychodztwa. Jakiś czas temu wspomniany wyżej dziennik stworzył pewną organizacje p. t. „Świat Młodych" do której należy przeważnie młodzież rozproszona po całej Francji. Celem tejże organizacji jest szerzenie oświaty i walka z alkoholizmem. Stworzono również bibliotekę wędrowną która obecnie liczy 200 książek. Książki te chodzą po całej Francji bo od jednego do drugiego członka przysyłane pocztą. Przy tejże organizacji stworzono również i bibliotekę szpitalną. Do jednego członka przysyłają wszyscy lekture różną jak czasopisma różne, książki i t. d. a ten członek rozsyła to wszystko do szpitali gdzie tylko są chorzy Polacy. Do dzisiaj 30 szpitali obsługuje bibliotekarz szpitalny. Jest to czyn godny uznania wziąwszy pod uwage cierpienia chorych i ich śmiertelną nude gdzie niejeden rzucony Polak na łoże szpitalne czy sanatorjum znajdzie się sam pomiędzy obcymi. Przez doręczanie im lektury polskiej skróca im się cierpienia samotności i uświadamia.

Pozatem w wyżej wspomnianej organizacji której patronuje „Wiarus Polski" otwarto zbiórke na budowe domu dla starców i sierot emigrantów. Parę miesięcy dopiero trwa zbiórka a już jest zebranych dotąd przeszło sześć tysięcy fr. Oczywiście, że nim się zbierze dostateczny fundusz na kupno takiego domu zejdzie jeszcze większy czas no ale fakt otwarcia takiej zbiórki już dużo znaczy a przytem trzeba wziąść pod uwage, że do owego „Świata Młodych" należy do dzisiaj sto i pare ludzi którzy niezależnie od swych ofiar na ten cel zajmują się sprzedażą portretów zmarłego wydawcy „Wiarusa Polskiego" p. Jana Brejskiego pod którego imieniem ma być wybudowany wyżej wspomniany dom, a sprzedaż portretów z jego podobizną służy właśnie na powiększenie funduszu na kupno tego domu. Jak jest to jest lecz przecież pomimo wszystkiego nie można rozpaczać bo wychodztwo czuje i myśli po polsku i nie pozwoli sobie wpoić obcego ducha aby zapomniało kim jest.

Pragne w końcu dorzucić jeszcze pare szczegółów do tego o czem pisałem o niezaradności polskiego chłopa. Pisałem już jakie korzyści daje hodowla orzechów włoskich, sam owoc a zapomniałem napisać, że poza owocem mamy jeszcze liście orzechowe które można sprzedać. Nie wiem napewno lecz sądzę, że w Pol-

sce również można dobrze sprzedać liście orzechowe jak i we Francji. Ja w swoim ogródku mam tylko jednego orzecha który poza owocem daje mi liście rocznie tak od 150 fr. do 180 fr. Pozatem ci gospodarze którzy nie mają czasu zbierać liścia ze swych orzechów mnie go dają a ja chętnie obrywam i chociaż mi pozwalają obrywać tylko jedną czwartą całego drzewa, mam jednak dochód roczny z samego liścia orzechowego blisko 800 fr. rocznie. A więc gdyby jeden z drugim chłop polski dbał więcej o siebie, a sadził orzechy już miałby pewny a niekosztowny dochód bo hodowla orzechów nie robi ani kosztów żadnych ani kłopotu. Poza liściem orzechowem które mi niezły dochód dają mam jeszcze nic nie kosztowny dochód ze ślimaków. W Polsce napewno nikt o tem nie wie ile tutaj można zarobić zbierając ślimaki które Francuzi uważają za najlepszy przysmak i płacą dobrze to też kiedy tylko przyjdzie wiosna w każdy dzień rano i wieczorem po pracy wyjde sobie na łąki i za jedną godzine powracam do domu mając w koszyku tak od stu pięćdziesięciu do dwustu ślimaków i już wtedy mam w kieszeni pewne 14 franków bo wiosną płacą mi za sto sztuk 7 fr. a gdy się już zrobi lato jako że ich jest już dużo płacą tylko 5 fr. za sto sztuk mimo to i tak 10 fr. zarobie co dzień w wolnych po pracy chwilach. Kiedy pada deszcz wtedy już do pracy nie ide tylko na ślimaki bo ich jest najwięcej gdy deszcz pada a wtedy mogę uzbierać najmniej tysiąc z czego zarobie 50 fr. za pół dnia tylko. Od wiosny aż do jesieni ślimaki dają mi stały dochód. Hotele, kafejki kupują chętnie i gdy tylko potrzebne są ślimaki do hotelu jakiegoś zawsze ktoś z hotelu przyjedzie do mnie i bierze ile mu potrzeba tak, że ja nawet nie potrzebuje jeździć z nimi do miasta. Oni mnie w stanie surowym płacą po pięć fr. za sto sztuk a oni gdy je usmażą za 12 sztuk tylko biorą 4 fr. mimo to amatorów na ten specjał nigdy nie brak. Ślimaki które zbieram do jedzenia są duże i biało brunatne inny zaś gatunek ślimaków koloru szarego i mniejsze troche zbieram znowuż do apteki na sporządzanie lekarstw, ale to tylko twardą jesienią i zimą to jest wtedy kiedy te ślimaki zasypiają. Za kilo tych ślimaków apteka płaci mi 8 fr. a na kilo wejdzie ich tylko 30 sztuk a najwyżej 40, a są drogie dlatego, że trudno jest je znaleźć gdy się pochowają po szparach starych murów czy nawet i w ziemie powłażą. Niektórzy robotnicy wstydzą się zbierać ślimaki. Znam ta-

kich, co nędza wygląda u nich z każdego kąta, niezawsze mają zaco kupić cukru czy chleba a to tylko z winy głupoty swej, bo gdyby się nie wstydzili to poszliby jak ja, nazbierali ślimaków i mieliby jakiś dochód ale oni wolą wstydzić się i cierpieć nędzę. Prawdę ktoś kiedyś powiedział, że na głupotę ludzką lekarstwa niema.

Poza tem wszystkiem mam też troche dochodu z grzybów które zawsze zbieram. Niema ich wprawdzie tyle co w Polsce zato wczesną wiosną rośnie tutaj pewien gatunek grzybów których w Polsce niema zato są one drogie bo za kilo tych grzybów płacą mi w hotelu 20 fr. tak, że zawsze przez sezon zarobie przeciętnie 200 fr. gdyż niema ich dużo więc trudno jest uzbierać ich więcej i rosną one tylko przez jeden miesiąc więc mogę najwyżej nazbierać 10 kilo za które dostane 200 fr. z czego jestem rad bo i dwieście franków pieszo nie chodzą.

Jest jeszcze jedna rzecz na której też troche zarobie a to zbieranie trufli. Nie wiem jak to się nazywa po polsku bo w Polsce nigdy tego nie widziałem po francusku zwią się trufle. Mają one kształt średniego ziemniaka kolor fijoletowy, zapach mają jak najlepsze perfumy a są drogie bo za jedno kilo płacą 80 fr. a wchodzi ich na kilo najwyżej siedem lub osiem. Trufle te służą do przyprawy potraw które są w smaku niedoścignione ale tylko najdroższe i najbogatsze hotele mogą sobie pozwolić na kupno tych trufli bo płacić 80 fr. za kilo to nie bagatelka a są one drogie ponieważ trudno bardzo je znaleźć. Człowiek sam nie znajdzie tylko pies albo świnia które specjalnie są tresowane do tego. Ja sam gdy ich uzbieram jedno kilo przez sezon to już licze, że nazbierałem dużo i to tylko zawdzięczam mojemu dobremu węchowi. Trufle te rosną tylko pod starymi dębami. Niektóre głębiej w ziemi a niektóre bliżej powierzchni lecz tych jest bardzo mało i ja właśnie znajduje te które są niezbyt głęboko w ziemi a znajduje w ten sposób, że kładę się pod dębem z nosem przy samej ziemi wtedy te trufle które są pod powierzchnią poczuje gdyż mają one silny zapach.

Jak widać z powyższego można zawsze na byle czem zarobić uczciwie parę groszy trzeba tylko chcieć.

W swoim ogródku hoduję kwiaty i już dwa razy wziąłem pierwszą nagrodę za najlepszą hodowlę kwiatów na wystawie regjonalnej. Mam w swoim ogródku najpiękniejsze kwiaty i za nie biorę

nagrody, za hodowle królików wziąłem jedną nagrodę już a na przyszłej wystawie spodziewam się drugiej nagrody. A więc chcąc można sobie życie tak ułożyć aby ono płynęło spokojnie i można swe troski ograniczyć byleby tylko były dobre chęci ku temu bo kto tylko chce ten może wszystko zrobić.

Zmuszony koniecznością kończę mój pamiętnik. Pragnę jednak poruszyć bolesną sprawę jedną. Rozchodzi mi się właśnie o to, że naród polski a właściwie to może tylko jednostki nie mają żadnego poczucia godności. Jest to sprawa statystyki. Nie tak dawno temu jeden dziennik francuski ogłosił statystykę zużycia mydła w jednym roku. Jak się okazało z tej statystyki to pod względem zużycia mydła na ostatnim miejscu stoi Polska i to daleko w tyle za innemi krajami. Nie wiem skąd ów dziennik zaczerpnął tych wiadomości statystycznych ale nie sądzę by ów dziennik sam się fatygował badać który kraj najwięcej mydła zużywa. Gdyby ci ludzie robiący podobne obliczenia widzieli byli i słyszeli drwiące uwagi Francuzów i innych narodowości w stosunku do nas Polaków napewnoby się wstydzili na przyszłość obliczać ile w kraju mydła zużywają. Słyszałem sam złośliwe uwagi Francuzów i Włochów rzucane pod moim adresem, że w Polsce nie lubią się myć albo, że nie lubią mydła i czystości. Pytano mnie czem się ludzie w Polsce myją jeżeli mydła nie używają i t. d. i t. d. Więcej by nas tutaj na obczyźnie cieszyło gdyby podawano statystyki czegoś twórczego, czegoś takiego coby nam przynosiło honor a nie coś takiego co przynosi ujme. Podobne statystyki jak powyższa należy chować do szuflady by ich żadne oko nie dojrzało wtedy my wychodźcy poza granicami kraju nie potrzebowalibyśmy się wstydzić. Ci którzy żyją w kraju o niczem nie wiedzą lecz zato my tutaj musimy się niejeden raz rumienić ze wstydu. A możnaby tego uniknąć.

Jak widać z mego pamiętnika ci wychodźcy którym zdrowie służy i którzy chcą sobie życie tak ułożyć aby ono nie było zbyt ciemnem mogą to uczynić przy odrobinie dobrych chęci. Ja właśnie mam te dobre chęci dlatego nie narzekam i gdyby tylko nie tęsknota za Ojczyzną mógłbym czuć się szczęśliwym. Jedynie tęsknota zabija człowieka. Tęsknota tak wielka, że nieraz poprostu czuję fizyczny ból. Gdybym w Ojczyźnie mógł tak sobie życie urządzić nie wahałbym się ani chwili jechać do kraju, bo chociaż i tutaj pozostawiłbym pół duszy to jednak lepiej czułbym się w Ojczyźnie

bo miejsca do których się już przyzwyczaiłem tutaj mógłbym z czasem zapomnąć, ale Ojczyzny zapomnąć nie można. Niema takiej siły któraby zdołała wyrwać miłość do ziemi ojczystej i niema siły któraby mogła tęsknotę zabić do Ojczyzny. Tych dwu uczuć nic i nikt nie wyrwie z serca i z duszy każdego Polaka.

Jesteśmy rozproszeni po całym świecie. Pracujemy ciężko i troszczymy się o swój byt osobisty lecz niemniej troszczymy się również o byt swego narodu i Państwa. W codziennej trosce o chleb powszedni nie zapominamy Tej która jest naszym marzeniem celem i wszystkiem czy to w codziennej uciążliwej pracy czy w wolnych chwilach po pracy gonimy myślą do ziemi ojczystej i modlimy się żarliwie, modlitwą opuszczonego dziecka aby przyszła chwila któraby dała możność powrotu do drogiej nam i nigdy niezapomnianej Ojczyzny naszej.

Pomimo całych braków i błędów nieraz popełnianych przez nas tutaj na obczyźnie czujemy się bo jesteśmy Polakami. Niema pomiędzy nami różnic politycznych ani klasowych w chwili w której Ojczyzna nasza potrzebuje ofiar. W razie potrzeby jak jeden mąż wychodztwo pospieszy Ojczyźnie na pomoc bez względu na to kto Nią rządzi w danej chwili bo rządy się zmieniają, Ojczyzna zawsze pozostaje jedna.

Dn. 26 stycznia 1937 r.

Pamiętnik Nr. 31

Górnik, syn robotnika folwarcznego z woj. pomorskiego,
ur. w 1876 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Urodzony 14-go listopada roku 1876 w Narowie powiat Lubawski Prusy Zachodnie należące do Niemniec a od roku 1920 należą do Polski i zwią się Pomorze. Ojciec mój był robotnikiem na folwarku czyli na dużem majątku który pracował na utrzymanie rodziny. Od 6-go roku życia zaczełem chodzić do szkoły elementarny czyli ludowej w miejscowości Nowydwór dawnej czyli przedtem za panowania niemnieckiego nazwano Neuhof. W tej szkole uczono tylko po niemniecku co było bardzo ciężko pojąć pacierz niemniecki oraz pisanie i czytanie. Nauczyciel był Niemniec więc był bardzo surowy i dzieci polskie nienawidzał gdyż nas było tylko czworo w całej wiosce bo tylko Niemcy przeważnej tam mieszkali. Ojciec i Matka nie mogli nam dzieciom dać żadnej lekcji gdyż zmuszeni pracować całe dnie u pana u którego mieszkali a po drugie nie umieli pisać ani czytać po polsku ani też po niemniecku. Rodzice moje zmieniali prace swo aby polepszyć swój byt poniektórych dworach tak też i nauke szkolno pobierałem w szkołach innej miejscowości ale tylko w języku niemnieckiem bo nie było wolno mówić ani słowa po polsku. Nauczyciel Niemniec wydał rano jak się rozpoczeła lekcija w szkole jednemu z dzieci niemnieckich tako mało tabliczke drewniano ta była pięć centimetrów długa a dwa centimetry szeroka na tej tabliczce był napis „Sprich Deutsz" po polsku „mów po niemniecku" i tak skoro polskie dziecko mówiło jakie słowo po polsku zaraz mu dano owo tabliczke gdy lekcja była ukończona i dzieci odchodzili do domów

swoich, nauczyciel zażądał owo tabliczke, ten ostatni kto ją oddał nauczycielowi dostał cztery kije na rence to była kara że nie mówił po niemniecku, ja też kilka razy otrzymałem po cztery klapsy na rence tak sie też każdy obawiał aby uniknąć owej tabliczki a później owej kary od nauczyciela.

Gdy po ukończeniu 14 lat zwolniony ze szkoły pracowałem w rolnictwie i to po dużych majątkach po największej części przy koniach jako parobek i to u Niemców, lecz nie umiałem pisać po polsku tylko po niemniecku. Nas było trzech braci i dwa siostry, byłem stangretem po niemniecku kuczerem na dużem folwarku i miałem to więcej wolnych chwil namówiłem mego ojca aby gazete polską zapisał na poczcie aby można sie nauczyć troche czytania i pisania po polsku ale że to gazety byli droge więc zapisaliśmy Gazete Grudziącko która wychodziła w Grudziądzu trzy razy w tygodniu a kosztowała na kwartał jedne marke. Z tej gazety nauczyłem się troche czytać i pisać po polsku zawdzięczam to wydawcy Gazety Grudziąckiej Panu Wiktorowi Kulerskiemu który pouczał lud roboczy w swej gazecie. W roku 1898 wstąpiłem do wojska niemnieckiego jako poborowy do pułku 128-go piechoty który był w Gdańsku, komenda była po niemniecku. Po upływie służby wojskowej cztery miesięcy odkomendrowany do szkoły która była od pułku wyznaczona, tam udzielano lekciji pisania i czytania w niemnieckiem języku i w polskiem, tak że jak było czytano po niemniecku to samo pisano w polskim języku a jak czytano po polsku, to pisano po niemniecku. Kierownik owej szkoły był oficer major von Zielewski który udzielał owo lekcije był bardzo dobry człowiek w latach 50, ten badał wszystkich uczniów i po ukończeniu tego kursu który trwał sześć tygodni wydał świadectwa jak daleko każdy zdobił, było nas uczniów 28 wydał ów kierownik świadectwa dla czteru w mowie niemnieckiej i polskiej a dla dwóch uczniów w mowie i w pisaniu po polsku i po niemniecku tak że ja otrzymałem jako tłomacz w mowie i czytaniu, pisaniu po polsku i po niemniecku które miałem w książeczce wojskowej wpisane i to tak Eignet sich als dolmetscher in der polnische und deutsche Sprache mündlich und schrieftlich. W roku 1899 w czerwcu zostałem odkomendrowany na szkołe jazdy do 1 pułku huzarów czarnych na kurs jazdy który był wyznaczony dla ćwiczeń przy kawalerji, tam odbywszy ów kurs bardzo lekko ponieważ znałem się

przy koniach w czyszczeniu i ubieraniu koni i kulbaczyć a co do jazdy konnej byłem przyzwyczajony już w cywilu jako stangret i dostałem świadectwo dobre od 1-go pułku huzarów które byli w Langfuhr po polsku Wrzeszcz koło Gdańska. Po ukończeniu owego kursu wyjechawszy w manewry i to w roku 1899, które sie odbywali w Prusach Zachodnich teraźniejsze Pomorze, po ukończeniu manewrów odkomendrowany zostałem jako ordynans do sztabu generalnego tam uzyskałem stopień starszy szeregowiec i pozostał aż do ukończenia służby wojskowej i to 18 września który był zwolniony do cywilu w 1900 bo służba trwała dwa lata, nakłaniano w pułku abym pozostał nadal w służbie wojskowej jako kaptulant lecz mój ojciec był chorowity nie chciałem dłużej pozostać. Przybywszy z służby wojskowej ożeniełem sie z bardzo piękno panienko i z Polko z domu Guzowska otrzymałem miejsce jako stangret u państwa von Wysocki byłem rok jeden gdy ów szlachcic von Wysocki sprzedał cały majątek niemieckiej kolonizacji nie mógłem dostać takiego miejsca spowrctem, wyjechałem w roku 1903 do Westfalji i pracowałem w kopalni węgla. Osiedliłem się w miejscowości Wattenscheit koło Bochum powiat Gelsenkirchen Westfalja ale już na pierwszych początkach zauważyłem inny tryb życia gdyż Industrija Westfalska była zapełniona ludem z różnych krajów w kopalni przy pracy i w urzędach oraz w sklepach istniał tylko język niemniecki w szkołach i w kościołach tylko po niemniecku. Początkowo nie bardzo mi sie spodobało bo chociem umiał język niemniecki jednakowoż każdy Niemniec mówił że jezdem Polakiem i zwali każdego który czuł się Polakiem Wasserpolak te ogromne przezwiska byli bardzo dla mnie oburzające które ciężko było znieść bo Niemcy prześladowali każdego Polaka przezwiskami i jak mówiąc Polnische Szwein polska świnia albo Ferfluchte polnische Szwein, tak też straciłem całkiem zaufanie do tego narodu niemnieckiego. W tej miejscowości mieszkało dużo ludzi z Poznańskiego z teraźniejszego Pomorza. z Warmy i z Mazur i z Szląska górnego i dolnego. Poznaniacy i pomorzanie ci trzymali się jednej kupy czyli łączyli się społem, Szlązaki z Górnego Szląska to łączyli sami, Warmyjacy i Mazury te trzymali się też jednego obozu. Poznaniak i Pomorzan nie mógł sie początkowo zmówić z Mazurem albo z Kaszubem bo ta mowa była całkiem inna tak samo i Poznaniacy z Kujawiakami nie łączyli się bardzo

bo zawsze było wytykane to Kujawiak to kujawianka i to już można było zauważyć podług ubioru żeńskiego gdyż poznanionki nosili swój strój staropolski oraz i kujawskie nosili swój strój kujawski, Pomorzanie ubierali sie w ten sam strój jaka była wówczas moda ano niemniecka. W mieście Bochum wychodziła gazeta polska pod nazwo Wiarus Polski wydawca był św. pamięci Jan Brejski z Torunia i to po największej części Polacy czytali Wiarusa Polskiego i Gazete Grudziącko. Wydawca Wiarusa Polskiego pan Jan Brejski pouczał Polaków w różnych sprawach urządzał zebrania i był pomocny w zakładaniu towarzystw polsko-katolickich tak też niebawem czasem powstało towarzystwo polsko-katolickie i to w każdej miejscowości. Mieszkałem od roku 1903-go do 1910-go w tej miejscowości przez ten czas założono towarzystwo polsko-katolickie św. Józefa, towarzystwo św. Wojciecha, towarzystwo gimnastyczne Sokół, koło śpiewu Harmonia, koło śpiewu Mickiewicz, Bractwo Matek Różańca Świetego. Ja miałem zamiłowanie do towarzystw polskich bo była to uciecha jak sie usłyszało słowo polskie tak też wstąpił do towarzystwa św. Józefa, do towarzystwa św. Wojciecha i koła śpiewu Mickiewicz. W roku 1906 wstąpił do Zarządu towarzystwa św. Wojciecha jako sekretarz później prezes aż do roku 1910. W tem tu roku zmieniłem swą prace w kopalni. Osiedliłem się w miejscowości Gladbek kopalnie rządu niemieckiego czyli Fiskus nazwa tej kopalni Möderschachte była owa kopalnia puszczona w ruch też potrzebowała dużo ludzi to też w krótkim czasie napływ ludzi był wielki który sie tam osiedli bo i zarobek był troche większy jak na kopalniach prywatnych. Polaków było tam 12.000 i to z różnych stron tak że w przeciągu 2 lat życie organizacyjne Polaków powstało i założono towarzystwa polsko-katolickie tak że już w roku 1911 istniały towarzystwa św. Wojciecha, św. Stanisława, towarzystwo Szlązaków św. Barbary, tow. Górników Polskich św. Barbary, tow. św. Jana Chrzciciela, koło Polek, koło śpiewu Harmonja, tow. gimnastyczne Sokół, tow. wyborcze oraz filja Zjednoczenia Zawodowego Polskiego czyli Zjednoczenie Zawodowe Polskie siedziba w Bochum, tak sie Polacy organizowali. Od roku 1911 byłem prezesem towarzystwa św. Jana Chrzciciela i gdy w roku 1913 obchodziło owe towarzystwo swą rocznice oraz poświęcenie standaru zameldowałem na policji owo uroczystość z otwartem pochodem z otwartemi chorągwiami i z or-

kiestro komisarz odmówił uważając za pochód demonstracyjny udałem sie do Landrata po polsku starosta i ten odmówił i nie dał pozwoleństwa mówił mi tak jeżeli będziecie mieli chorągwie z napisem niemnieckiem i jako obraz cesarza Wilhelma to wam pozwole ale polskie standary nie śmio na ulicy być otwarte bo tu nie ma polskiego króla. Znałem dokładnie ustawe stowarzyszeń Rzeszy Niemnieckiej udałem sie z prośbo do Regirungs Prezidenta w polskiem wojewoda i tam otrzymałem pozwoleństwo na urządzenie pochodu otwartego tak też sie na ów czas odbył jak było zaznaczone. Zaproszonych towarzystw sąsiedzkich przybyło z chorągwiami 28 tak że w pochodzie brało udział 29 standarów. Nabożeństwo dla Polaków odbyło sie po południu o godzinie 4-tej. Pochód był wspaniały gdy powróciliśmy z kościoła przybyli żandarmi niemnieckie oraz grupa policyjantów oraz trzech kryminalistów żądając abym zapłacił kare 100 marek oraz z każdy chorągwi która szła w pochodzie po 10 marek posługiwałem się jako mam dowód pozwoleństwa od Regirungs Prezidenta orzekli że to był pochód demonstracyjny i żądali owo kwote 290 marek. Znałem ustawe zebrań wyprosiłem wszystkich urzędników niemnieckich aby opuścili mi natychmiast lokal bo tylko wstęp majo ci którzy się okażo mojem podpisem oraz z pieczęcią tego towarzystwa taki był przepis że jeżeli było w zamkniętem kółku zabawa albo zebranie to tylko mieli członkowie tego towarzystwa wstęp a goście musieli mieć pisemne zaproszenie z podpisem prezesa i pieczęcią bo bez tego była kara nałożona 15 marek na Prezesa. Dlatego też aby uniknąć kary wyprosiłem owych nieproszonych gości powiedziałem nie płace wam nic bo tu nie jest miejsce na handel jeżeli policja co chce niech mnie pociągnie do rozpraw sądowych i niech mi udowodni czy to był pochód demonstracyjny. Wytoczono mi proces który się toczył osiem miesięcy tak że policja przegrała a ja miałem z tego korzyść bo za każdem razem płacono mi za strate mej pracy z kasy sądowej, aby nie dać za wygrano sprawe komisarz powiedział że zrzeka sie owej kwoty który zażądał odemnie. Od tego czasu nie potrzebowałem żadnej uroczystości meldować ani prosić gdyż policyjny inspektor dał mi słowo że moge urządzić jako uroczystość chce to żaden policjant nie ma prawa w niczem przeszkadzać.

W roku 1914 pierwszego sierpnia ogłoszono przez rząd niemniecki mobilizacje na wojne i to pierwszego dnia mobilizacji musiał wstąpić do armi niemnieckiej byłem na froncie zachodnim i wschodnim i już w roku 1915 w maju zostałem ordynansem stabu generalnego korpus 7-my Westfalski. Na reklamacje kopalni zostałem w 1917 r. zwolniony z wojny aby pracować w kopalni była to ciężka praca bo nie było co do jadła tylko $^1/_2$ funta chleba i brukiew zmarzło dlatego też była prąca ciężka, a nie wolno było pracy zmienić tak wyjechałem w roku 1918-tym 1-go kwietnia do Prus Zachodnich na majątek za włodarza lecz skoro tam przybyłem za 14 dni powołano mie na wojne lekarz Polak wystawił mi świadectwo jako jezdem chory i tylko moge mój zawód prowadzić ale nie służbe wojenno a że właściciel oraz i jego rządca są na wojnie a niema żadnego dozoru aby ów majątek był prowadzony zostałem zwolniony i powróciłem na powrót do mojej rodziny i pracowałem nadal jako włodarz na tem majątku aż do ukończenia wojny światowej. Nie spodobało mi sie jako włodarz i zmieniłem mój zawód jako wolny robotnik w roku 1919 założyłem organizacje robotników rolnych i leśnych to był Związek Robotników rolnych i leśnych jako prezes powiatowy pracowałem na czele mego powiatu przeprowadzał różne spory pomiędzy robotnikiem a chlebodawcą i to na legalny drodze lecz i tu spotkał mie niewesoły los, bo owa dzielnica Pomorze należała w ten czas do Niemiec a była obsadzona wojskiem niemnieckiem tam też oskarżono mie o podburzanie robotników naprzeciw panów obszarników i zostałem aresztowany i stawiony pod sąd wojenny i to aż trzy razy lecz nikt nie mógł mi nic udowodnić. Zostałem zwolniony i dostałem zezwolenie od komendanta wojsk niemnieckich że moge nadal urządzać zebrania i wiece tam gdzie mi sie podoba, tak też stanyłem na czele mego powiatu i dnia 17 sierpnia zawarty został kontrakt normalny pomiędzy Związkiem Robotników rolnych i pomiędzy związkiem obszarników ta pertrakcija trwała 17 godzin niż sie obie strony pogodziły wybrano komisje z obóch stron i te przeprowadzili to cało pertrakcije tak że chlebodawcy podpisali warunki żądane robotników i kontrakt normalny był zawarty lecz i powstawały spory pomiędzy robotnikiem a chlebodawco i tu wybrano komisje rozjemczą z obóch stron aby owe spory załatwić

na legalnej drodze w tej komisji zasiadowałem przez dwa roki. Praca w organizacji robotniczej jest bardzo ciężka gdyż robotnik rolny nie jest tak daleko oświecony i ciężko pojmuje oświate i da sie lekko namówić do rzeczy takich co mu korzyści nie przyniesie, tak też i w tych latach było, bo skoro usłyszano że jest normalny kontrakt dla robotników prawomocny to nie brakowało prowokatorów, którzy namawiali robotników do innego obozu obiecując większe korzyście tak też niejedni robotniki poszli w jeich ślady i przez to owa organizacja zaczynała się rozluźniać, w tym czasie był stan gospodarstwa domowego bardzo krytyczny bo polska marka nie miała wiele wartości więc postanowiłem szukać innego zawodu, gdyż nie bardzo spoglądano na mie ze strony obszarników. W wyborach do sejmiku powiatowego wybrany zostałem posłem, dnia 10-tego października roku 1921 ogłoszono rekrutacje górników do Francji w tym czasie zdecydowałem się opuścić wszystko i wyjechać do Francji tak też złożyłem moje wszystkie urzędy i dnia 26-tego października roku 1921 wyjechałem do Francji południowej Departament Gard jako górnik do Compani Grand Combe który zaczyłem pracować w kopalni węgla na szybie Saint Jean de Valeriscie, żona moja i dzieci których jest czterych i to dwóch synów i dwóch córek pozostali w Polsce, gdym przyjechał do Francji i kilka dni przepracował nadszedł list od mojej żony jako jezdem wybrany posłem do Województwa Toruńskiego zarazem nominacje od wojewody w tym liście, nie posiadałem tyle pieniędzy na podróż do kraju spowrotem a pożyczyć nie było skąd zrezygnowałem z tej posady i pozostałem we Francji. Po upływie ośmiu miesięcy sprowadziłem moją żone i dzieci i tak zaczyłem gospodarzyć w tym tu kraju francuskiem. Osiedliłem się w miejscowości Saint Jean de Valeriscie należące do kopalni, w tym miejscu mieszkało Polaków 35 rodzin które przybyli z Westfalji i już 1-go listopada założono w tej miejscowości towarzystwo Górników Polskich św. Barbary który zostałem wybrany prezesem. Compania była dosyć dobra dla nas dała nam to cośmy żądali mieliśmy swój lokal do zebrań i do zabaw gdy po upływie dwóch lat przybyło więcej rodzin z Polski oraz i samotnych założono towarzystwo gimnastyczne Sokół oddział męski i żeński zarazem koło muzyczne, koło Polek, koło Teatralne, koło śpiewu i Związek Robotników Polskich w Francji w ten czas życie Polaków w Francji obudziło się na nowo bo

w pierwszych początkach pobycia w Francji nie spodobało się nikomu późniejszem czasem było już i tak daleko że Kompania wystawiła szkołe polsko i utrzymywała nauczycielke polsko i to każdy się czuł jak by był w swojem kraju bo nie brakowało ludzi żeby mogli prowadzić towarzystw. W roku 1922 odbyło się poświęcenie standaru tow. Górników Polskich św. Barbary podarowany od Kompani Grand Combe była to piękna manifestacja Polaków gdy pochód przybył do kościoła naród Francuski wznosił okrzyk Vive Pologne, niech żyje Polska. Święto Konstytucji 3 Maja było bardzo uroczyście. W ostatni wieczór przed rozpoczęciem urządzono capstrzyk z kapeli na czele Sokoły i młodzi, rano pobudka i wymarsz do kościoła na mszę św., po południu na boisku występ Sokoła z wolnemi ćwiczeniami i zdobycie armat pod Racławicami przez Kosinerów z Kościuszko na czele. Teatr różne gry dla dzieci oraz i dla kobiet tak sie to życie polskie rozbudowało ja stanyłem zawsze przy tej nowej organizacji jako prezes byłem w kole Śpiewu Słowik, zarazem w kole muzycznem Lira i prezesem Związku Robotników Polskich. W roku 1930 powstał kryzys i to w całej Francji po największej części w wielkich przedsiębiorstwach tak że w północnej Francji czyli Nord i Departament Pas de Calais rozrastało bezrobocie lecz u nas nie było to w roku 1932 kompania wywiozła wszystkich Polaków z tej miejscowości i podzieliła na inne szyby tak że życie organizacyjne Polaków rozerwało się że tylko utrzymało sie towarzystwo Górników Polskich i Związek Robotników Polskich Filja Champclauson te inne organizacje zlikwidowano ponieważ Polacy są rozciepieni i to bardzo odległem że nie jest możliwem sie łączyć. Obiełem dowództwo w towarzystwie Górników Polskich oraz i w Związku Robotników Polskich jako prezes aby dać dowód że Polacy żyją i dnia 15-tego listopada roku 1936 obchodzi towarzystwo Górników Polskich które jest przeniesione do Champclauson 15 letnia rocznica istnienia otóż jest to krótkie wspomnienie moje, jako prezesem pracuje w towarzystwach już 26 lat zato prace otrzymałem od rządu Polskiego dnia 11-go listopada roku 1934 Krzyż Zasługi za prace społeczno, zaznaczam to że nauki polskiej w żadnej szkole nie pobierałem bo chodząc do szkoły w Niemczech nie było wolno uczyć po polsku tylko po niemniecku a to co pisze tom się sam nauczył to też nie ma nic do zadziwienia się tego pisma bo pracuje

30 lat jako górnik kilofem w twardem węglu ręka jest spracowana a już w listopadzie ukończe lat 60 który w grudniu roku bieżącego wstąpie na emeryture czyli będe miał rente który się wycofam z życia społeczno gospodarczego, i spewnością o ile będzie my zdrowie służyć powróce do kraju i będe żył spokojnie z moją żono z tej emerytury którą będe pociągał od Rządu Francuskiego. Te krótkie spomnienia moje które pisze może będo pożyteczne w kraju dla niejednych ze społeczeństwa kraju jak się żyje na emigracji we Francji. Bo nie wszyscy co przybyli do kraju z Francji którzy przymusowo opuścili Francje nie mogo zdać świadectwa dobrego z swego pobytu zagranicą, ponieważ znam niejednych jakie prowadzili życie, bo nie wszyscy dożyli do tego aby utrzymać to co odziedzicył od Rodziców swoich, gdyż łączyli się w obozach komunistycznych i to spotkała ich kara a to wydalenie. Ja trzymam się mojej zasady bom jest Polakiem który mam wielki honor i zaszczyt niem być.

To są moje krótkie wspomnienia.

Nie rzuce ziemi skąd mój Ród,
Tak mi dopomóż Bóg.

Dn. 30-go sierpnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 32

Górnik, syn fornala z Kieleckiego, ur. w 1892 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Urodziłem się dnia 7/V 1892 r. we wsi Zalesie gub. Kieleckiej. Stają mi przed oczyma te dni przyjścia na świat. Przychodząc na świat nie wiedziałem, jak wszyscy nie wiedzą, czy rodzą się bogato, czy biedno. Ktoby miał pamięć od pierwszej minuty zapamiętać swe bóle i męki. Chyba świat do tego czasu nie wydał takiego geniusza. Zabłysła mi pamięć już w trzecim roku życia. Kochany byłem, bo byłem pierwszem dzieckiem i dlatego mi pozwolono na wszystko. Co prawda nie miałem wygód, ani pieszczot, ale czem mogli rodzice, to mnie bawili.

Wypadek chciał żem znalazł się w nie zbyt odległej przeszłości w innej wiosce i w odległości, bo aż Ząłsycach tam już na własnem zagonie matcenem. Mamie to dziadziuś podarował jako wiano. Pobyt nie był tam długiem.

Rodzice nie mogli wyżyć na tem zagonie którego posiadali i zmuszeni byli porzucić to gniazdo własności i ruszyć w świat za pracą i chlebym. Zaczął się okres włóczegostwa. Ojciec poszedł w inne strony i okolice by poszukać pracy i chleba za pracę. Poszedł i znalazł u wielmożnych panów M. na folwarku Borowiec za dwadzieścia rubli pensji rocznie 10 korcy ordynarji i pół morgi pod ziemniaki i dwa zagony pod kapuste i zagon na wcześne, opał i dach nad głową. Za to marne wynagrodzenie trzeba było pracować od wschodu słońca do zachodu, no i krowę było można trzymać na

utrzymaniu dworu. Byłem już starszy mając lat pięć pamiętam że i tu rodzicom było trudno żyć.

Porzuca ojciec tę miejscowość i udaje się do innego folwarku i tam się warunki nie poprawiły ale dla chleba trzeba było szukać sposobu życia. Pamiętam jakby to było wczorajszego dnia. W domu nie było zgody bo zawsze brakowało, a tam gdzie jest brak tam gnieździ się zło. Ojciec harował od wschodu słońca do zachodu. I to nie wszystko bo nieraz i matka musiała porzucić dom i dzieci, czyli pozostawić ich własnemu losowi i zbierać kłosy jaśnie panów za jedne piętnaście kopiejek. Tu był los kobiety... Pracy było dużo tego nękanego ludu. Zaco pracowali od wschodu słońca do zachodu, żeby się panom dobrze powodziło. Snują się te czasy. Te czasy podłe i brudne. W myśli drzymią te postępowania tych panów nad pany. Niewolnik nie może zapomnieć tych czynów bo mu się wryły w pamięć i wyżłobiły w jego mózgu ślady zemsty za swoje krzywdy. Jak długo człowiek żyje, tak długo w pamięci żyć będę te czyny jaśnie panów. Tego zapomnieć nie można.

Każdy dzień staje się trudniejszy rodzice trzymani w niewoli ducha to też powiększa się rodzina. Dzieci przychodzą na świat jedno po drugiem, jak grzyby jesiennej pory. Rodzina stawała się liczniejsza, a warunki bytowania stawały się trudniejsze. Oddawali to rodzice woli bożej. Cierpieli, bo nie mogli sobie radzić. Odczuwali to ale nie mogli głowy podnieść bo mieli przyciśniętą wiarą ciemnoty. Kler nawiązał im u szyi paciorków w postaci młyńskich kamieni więc nie mógł się niewolnik sprostować i ujrzyć światła a tam gdzie niema światła tam jest noc. Zamiast myślić o życiu tu na ziemi, to się niewolnik upajał marzeniami w niebiesiach, że tam będzie żył. Zapomniał tego że jak na ziemi tak i w niebie.

Przyszły czasy trudniejsze, żeby można się przerzucać z miejsca na miejsce, ale za chlebym trzeba było iść w świat i szukać znośniejszych warunków bytu. Opuszczając Rudkę ojciec powiedział dziś już trudniej nam się przerzucać w większem gronie dzieci, ale potrzeby były silniejsze i dlatego wymagały innych waronków i znośniejszych. Po pewnym okresie znów ojciec był zmuszony porzucić to miejsce i przenieść się do innego pana. Zmieniały się tylko nazwy panów i dworów, ale warunki pozostawały te same. Przerzucał się ojciec z folwarku do folwarku z dwora do dwora jak ten włóczęga i pies bezdomny. Był to okres włóczęgostwa. Ojciec służył

od młodych lat jak niewolnik i więzień przykuty do pracy jaśnie panów za marne wynagrodzenie.

Po porzuceniu Rudki ojciec przerzucił się na folwark Kodrąba i tam ojciec przesłużył dwa lata. Pamiętam te plugawe dni jak kołaczą mi w głowie, jak parszywy pies czy kot. Tam nie był folwark tam było gniazdo sierszyni, gdzie stale się ruszało od awantur i kłótni. Nie można było wytrzymać od ukoszeń i znów ojciec powlókł się dalej i tak co pewien okres przenosił się z miejsca na miejsce. Zawsze podążał za słońcem. Ja tu już mam lat sześć. Tu już pamiętam dokładniej życie ojca. Ojciec gnębiony pracą i do tego wierny religji i kościołowi znosił wszystkie krzyżyki cierpliwie. Mając chwilę wolnego czasu oddawał się modłom. Prowadził często mnie do kościoła gdzie często mu się wyrwałem i uciekałem w pola albo z powrotem do domu, gdzie za to dostawałem w skórę ale czy to pomogło?

Mam już lat siedem zaczynam chodzić do szkoły. Pamięć miałem dobrą litery poznałem polskie i rosyjskie w przeciągu paru dni. Czy mogłem się uczyć będąc głodnem. Pilny byłem pojmowałem wszystko na akord ale niedostatek nie pozwalał mi by się nauczyć. Czy można było odrabiać lekcje w domu ciasnem i hałasującem. Stale był niespokój wciąż były myśli skierowane za pogonią. Jak głodne psy szukaliśmy pożywienia i zaspokoić swój głód.

Albo ojciec lub matka zdawali sobie sprawę z tego co to jest nauka... A zresztą oddani wciąż pracy nie mogli przecież dziecka dopilnować jak wymagała tego potrzeba i obowiązek rodziców względem dziecka.

Wybiła godzina i ojciec jak ptak przelotny opuszczał znów Kodrąb i przerzucił się do Smotryszowa i tam ojciec zamieszkuje jedynaście lat.

Smotryszów to nowe życie bo nowa miejscowość i nowe okolice. Tu cokolwiek warunki stały się znośniejsze pod względem wynagrodzenia. Należność zostawała wypłacana według godziny i czasu i cokolwiek większa ordynarja i pensja ale co do mieszkania, to można sobie wyobrazić za nic karcer Piotrkowskich kazamatów. Mieszkanie jednoizbowe, mokre, ciasne i niskie. Musiało służyć jako magazyn starych rupieci. Mieściło się w niem wszystko jak żywność, cepy, widły, grabie, motyki, łopaty, szpadle, ubranie stare i nowe, becka z kapustą, kartofle pod łóżkami na zimę i łóżko do

spania, gdzie się mieściło po troje i po czworo na jednem. W takim domu musiały panować choroby. Były to czasy! Cierpiał ojciec, bo co miał robić oblepiony dziećmi, jak dom wschodu gliną, zmuszony był harować jak niewolnik przykuty do taczek. Usnutych było nas już dziewięcioro: ja byłem najstarszy więc żeby rodzicom coś pomóc gnano mię do pracy w najmłodszych latach. Zwlekano mię jak szczynie ze swego barłogu i kazano mi iść do pracy o wschodzie słońca na łany pańskich pól i paść trzodę sług pańskich i chłopskie. Trzydzieści sztuk rogacizny w jedynastym roku życia to chyba trzeba było być przy zdrowem rozumie, żeby nie wyrządzić szkody komuś. Dwa lata wypełniałem swą pracę jak maszyna pędzony siłą rodziców za marne pietnaście kopiejek dziennej zapłaty. Co było robić rozkaz był silniejszy bo za niewypełnienie dostawało się smary po grzbiecie.

To co powyży, to był już drugi zawód w mym życiu dziecinnem. Pierwszem zawodem moim była inna praca bo już w ósmym roku życia nadano mi obowiązek wstawać o siódmej i wypuścić młode źrubaki w ogrodzenie i na wieczór zamknąć je z powrotem. No i posłać im za marne pięć kopiejek. Jako dziecko musiałem jeszcze spełniać inną pracę domową a zegar wybił dziesiątą trzeba było wszystko machnąć do konta i wytykać na naukę katechizmu. Nie była to bliska droga trzeba było przelatać dziennie sześć wiorst w obie strony. Co było robić trzeba było to spełniać.

Dwa lata uprawiałem ten zawód, ale to minęło jak mara wczorajszego dnia. Po dwóch latach zdałem do spowiedzi i przyjąłem te sakramenta, gdzie byłem zadowolony i rodzice również.

Dmienin nie był blisko trzeba było drapać co dzień na naukę, a zimą do szkoły. Nieraz mróz i zawieja, aż w piersiach tchu brakowało, ale nic nie pomagało obowiązek trzeba było spełnić. Czy nauczyłem się co, nie: poznałem tylko slabizowanie i składanie liter, czyli wyrazów.

Nie było dozoru i robiłem to co chciałem. Ojcowie tylko myśleli żeby jak najprędzej dorość do większych lat i pomóc im pracować na utrzymanie to było ich zadaniem. Nieraz było błaganie mej matki, żeby nie być krąbnem żeby wstawać i pomagać im na utrzymanie. Pamiętam jak nieraz wzdychałem żeby jak najprędzej stać się mężniejszem i pójść do pracy.

Nareście skończył się dwunasty rok życia po tych latach za-

czyna się inna praca tu już nie wpędzam trzody i nie wypędzam w pole. Nareście doczekałem się siódmego dnia odpoczynkowego był to już dzień do mej dyspozycji mogłem z nim robić co mi się podobało mogłem spać dowolnie i wstać o której chciałem. Praca tygodniowa była ciężka ale to już nie robiło na mnie takiego wrażenia i udręki cierpień moralnych.

Zleciały te dni po dniu ja stawałem się codzień mężniejszem i dlatego nie sprawiało mi takich przykrości przy wstawaniu. Bieg życia wszystko doprowadził do swego kresu. Stałem się silnym i zacząłem pracować już kosą na łanach pańskich pól w porze zbierania zbóż. Machałem kosą i kładłem kłosy na kłosy od wschodu słońca aż do zachodu, a że lały się strumienie potu to jednak nie robiło na mnie takiego przygnębienia ponieważ miałem już szesnasty rok życia. Już wówczas zaczołem poznawać niesprawiedliwość społeczną. Myślałem nieraz nad życiem rodziców i nad życiem panów. Szukałem początku tego zła i nie mogłem znaleźć końca tej niesprawiedliwości. Widziałem te różnice pomiędzy dziećmi sług i pana. Jedni pracowali od zarania swej młodości, a drudzy żyli w wygodach i spali na obszernych łóżkach i przestronych pokojach. Żyli kosztym swych sług.

Stawiałem sobie nieraz pytanie zmęczony i odpoczywający gdzieś w cieniu po pracy dlaczego jedni nie pracują i mają wszystkie wygody w spaniu w jedzeniu i wiele innych dogodności. Są odwożeni do szkół w aleganckich bryczkach a dzieci sług wychowuje ulica. Zamiast czytania książek, to się miało na zadaniu szczyty gór, wierzchołki drzew, niszczenie ptaszków smykanie się po nocach za owocem po sadach, wyrządzanie komuś szkody to było zadaniem dzieci ulicy. Chociaż za to otrzymywało się cięgi, ale czy to co pomagało?... Pragnienie kusiło by mieć jabłko, zjeść dobrom gruszke czy jaki inny owoc. Ojciec nie kupił bo nie miał zaco. Silniejsza była wola i nie dawała spokoju tylko wciąż nęciła myśli by iść i zdobyć to co oczy widziały. Człowiek gnany siłą popędu szukał sposobu, by wejść, by skraść. Ile wydawało się na to myśli i czasu.

Poznawało się dwa bieguny gdzie na jednem bawił się pan a na drugiem żył sługa. Jedni w rozkoszach trawili znoje cudzej pracy, a drudzy kołysali swe smutki i niedole na drugiem biegunie wyzysku ucisku i nędzy. Dzieci robotników czy służby dworskiej

szły spać głodno i chłodno do brudnych i wilgotnych gniazd jak szczenięta a drudzy spali w przepychu. Naprawdę nie miało się pojęcia o tem jak człowiek powinien żyć. Dopiero z biegiem okoliczności poznawało się życie ludzi pracy i tych co ten lud trzymali w posłuszeństwie.

Po dziesięciu latach ojciec opuścił ten dwór. Przerzucił się do Chełma już nie jako fornal albo stróż nocny, ale jako polowy. Chodził sobie wśród pól i oganiał pańskich zbóż. Była to praca nie ciężka, ale niebezpieczna i kłopotliwa. Nie było dnia żeby z jakimś chłopem nie mieć zatargu, a to ci gęsi wpuścił, a to bydło, a to konie lub inną szkodę wyrządził. Chłopom się zdawało że on panu robi szkodę czy na złość a nie słudze a tu temczasym polowy był za wszystko odpowiedzialny. Była to doprawdy praca kłopotliwa więc ojciec będąc rok porzucił tę służbę i znów wrócił do Smotryszowa, ale ja już mając lat siedemnaście. Poprawdzie ja już nie idę do pracy w pole pana a przenoszę się do innej pracy do Kobiel do pracy drynowania pól, tam już mogłem zarobić na dniówkę do rubla. Pilnowałem tej pracy bo to był przypadek wielkiego szczęścia że człowiek mógł tyle zapracować czyli zarobić coprawda, że nie było godzin wyznaczonych. Okres przeszedł jak błysk i ja już cokolwiek poznałem świat. Myśli nie dawały mi spokoju kusiły mię jak wąż Ewę żeby ruszyć w świat i tak uczyniłem.

Co prawda w domu stawało się ciasno: dorastanie braci i sióstr zmuszało mię żeby wyruszyć w świat za chlebym. Co też uczyniłem. Przypadek chciał żem znalazł zajęcie w Zagłębiu Dąbrowskiem mając już osiemnaście lat. Opuszczając dom zapłakałem sobie. Żal mi było rodziców braci i sióstr, ale dla chleba poszedłem.

Wychodząc z domu pożegnałem się ze wszystkiemi. Opuszczając rodzine ile razy zapłakałem sobie, ale szedłem choć nogi mi się cofały w tył. Idąc stawiałem sobie pytanie co ja poczne w innym mieście nie znając ludzi i mowy, którą się posługiwali. Szedłem jako analfabeta. Płakałem że jestem ciemny, jak noc. Gdziekolwiek stanełem nic nie widziałem prócz ludzi, wielkich kamienic i wielu innych rzeczy ale to co najważniejsze to że nie umiałem czytać ni pisać. Stałem nieraz i wsłuchiwałem się w ton ludzkiej mowy. Po polsku mówili a ile rzeczy nie rozumiałem wiele rzeczy inaczej określali w mieście niż na wsi. Uważałem, że jestem w nieznanem mi kraju i pomiędzy obcemi ludźmi. Wstydzi-

łem się nieraz wypowiadać słów, bo się ze mnie wyśmiewano. Zamiast mówić proszę chleba to mówiłem proszę chliba, należało się mówić pszenica żyto mąka, to żem mówił psenica zyto moka i wiele innych wyrazów.

Czy mogłem pozostać nieukiem, nie to też po pracy nie oddawałem się spoczynkowi — ubierałem się i wychodziłem na ulice by łapać piękność słów. Trudno mi to szło jako analfabecie, ale starałem się, żeby to pojąć i przystosować swą mowę do mowy miasta. Niektórzy podchwytywali moje powiedzenie nieraz kazali mi powtarzać to samo słowo i śmiali się do rozpuku. Starałem się by okres mej mowy przystosować do całego zespołu ludzkiego. Pierwszego stycznia 1911 roku znalazłem się w głębi ziemi. Początkiem mej pracy był Paryż. Poszedłem o wyznaczonej godzinie do kancelarii kopalnianej ja i wielu innych robotników i czekamy. Po ósmej otwierają się drzwi wychodzi sztygar pan L. i pyta się wszyscy do przyjęcia, podnoszą się głosy wszyscy.

Czy przyjon wszystkich, nie. Już wówczas wybierało się według upodobania. Ja i wiele innych było przyintych ale dużo poszło z powrotem do domu. Dano nam kartki i kazano nam iść do doktora do przyjęcia. Zachodzimy doktora niema czekamy. Przyjeżdża stajemy po kolei. Wielu odrzucił, a wielu przyjął. Po zwizytowaniu dał nam zpowrotem kartki i kazał iść do biura. Przyszedłem rzeczywiście ze wszystkimi oddaliśmy kartki przyjęć przełożonemu po otrzymaniu tych kartek każdemu oświarczył kto jest przyinty a kto nie i zaraz przeznaczył każdemu przyintemu gdzie kto ma iść i pod którego patrona, czyli dozorce.

Przyszedłem do domu i oświarczyłem, że mię przyjęto gospodarze oświarczyli mi że teraz mam sobie kupić lampe. Wyciągnułem ostatnie grosze i kupiłem lampe, oliwy bo jeszcze wówczas palili oliwą.

Na drugi dzień rano mam zjeżdżać na dół. Jak zwykle wstałem rano umyłem się pacierza nie mówiłem wziąłem tylko kromkę chleba i poszedłem z innemi robotnikami na szyb. Gospodarz wychodząc pożegnał się z rodziną ja się nie żegnałem bo nie miałem z kim powiedziałem tylko do widzenia odpowiedziano mi i poszedłem.

Rzeczywiście za porządkiem się szło na kosz — przyszła i kolej na mnie wchodzę jak inni. Sygnał, podnosi się cokolwiek kosz,

ą później w dół. Był to przykry moment bo aż mi się wszystkie wnętrzności podniosły do góry. Minuta jestem na dole ciemno, ale nie zrażam się, robie to co i wszyscy, zapalam lampe i idę już z umówionem towarzyszem na dany rewir i pod przeznaczonego dozorcę. Jestem na miejscu — pada słowo poczekaj tu koło tej baraki tu przyjdzie dozorca, to ci powi co będziesz robił i gdzie. Przychodzi i pozdrawia nas słowem szczęść Boże — starsi odpowiadają szczęść Boże.

Po pewnej minucie oddajemy kartki zapisuje do książki nasze nazwiska i imiona a późni pada rozkaz pójdziesz tam i tam — będziesz robił to i to! Zachodzę, jest tam robotnik więc mówię mu dozorca mię tu przysłał i mam z wami pracować: „dobrze!" Znów pada słowo rozbierz się i weź łopatę i będziesz mi ziemię przyrzucał w to miejsce, pokazuje mi ręką.

Ciężka to była praca, ale co było począć czy było inne wyjście nie, trzeba się było poddać niewoli. Trzeba się było zgodzić z losym, bo co miałem począć. Powrócić nie było zaco. Przyszedł okres strasznych cierpień. Ktoby uwierzył w to, że nieraz i dwa dni nie jadłem, a pracowałem co mi sił starczało, bo co miałem począć nie mając pieniędzy. Nieraz nerwy wstrząsały mną od żalu nie mogłem się uspokoić. Byłem nieraz zalany łzami że tak cierpiałem za kogo i zaco. Spostrzegli to ludzie ci u których zamieszkałem. Doradzili mi jak mam postąpić żeby w sklepie dostać na bórg do wypłaty. Ze wstydem rumiejca poszedłem prosić o bórg. Dano mi ale starałem się jak najmniej nabrać to też blisko dwa tygodnie żyłem prawie o wodzie i chlebie.

Nareszcie doczekałem się wypłaty gdzie otrzymałem 25 rubli z kopiejkami. Pozapłacałem wszystko, a resztę zostawiłem do następnej wypłaty. Nareście zaczęło się przedemną rozjaśniać. Co pod względem materjalnem los mój cokolwiek się rozjaśnił bo już nie potrzebowałem żebrać. Ciężka to była praca ale pracowałem nad wszystko szedłem jak niewolnik z dnia na dzień do tej podziemnej pracy.

Wychowany w twardej szkole życia gdzie pracą moją było pracować na pańskiem zagonie od wschodu do zachodu słońca za marny ochłap. Po dojściu cokolwiek do grosza pomagałem swoim rodzicom bo im było trudno żyć. Pracując dłuższy okres na kopalni poznałem pracę ludzi, mowę i wiele innych rzeczy. Żyjąc pomiędzy

obcemi nie dawało mi spokoju żeby pozostać ciemnem jak noc to też za wszelką cene chciałem się uczyć pisać i czytać to też idąc do miasta spotykając plakaty na murach stałem całemi godzinami przy nich i składałem litery do litery i uczyłem się czytać, a nieraz korzystałem z okazji, bo ktoś czytał półgłosem. Jechałem za nim myślą by sobie utrwalić w pamięci te słowa. Nie przychodziło mi to tak łatwo ale postanowiłem sobie, że muszę umieć czytać i pisać i nauczyłem się.

Po nauczyniu się stałem się o sto procent szlachetniejszem i doskonalszym. Już wtedy nie myślałem, że jestem sam. Gdziekolwiek szedłem czy stałem zawsze myślałem, że jest ktoś ze mną. Nie umiałem sobie przedstawić tego zjawiska ale uważałem że mogę wziąść książkę do ręki lub gazetę i ona może mi coś powiedzieć.

Byłem lubiany w kopalni bo byłem cichy i pracowity a pracowałem nad siły. Przyszedł okres dwudziestego roku życia. Uważałem, że w osamotnieniu smutno jest żyć zacząłem już chodzić do dziewcząt. Przypadek chciał żem pracował z jednem górnikiem który miał sporom ilość dzieci i do tego najstarszą była dziewczyna. W pamiętny dzień, bo w dzień święta górników poznałem się z moją.

Znudziłem się w domu postanowiłem wyjść na ulice do Dąbrowy. Idąc bez określonego celu nie spodziewałem się, że spotkam się z moim górnikiem. Spotykając się z nim na ulicy już powracającego z knajpy i do tego pijanego, jak bela, chciałem go ominąć i pójść dalej, ale czy mi pozwolił... Złapał mnie no i nie chce mię puścić, tylko zaprasza mię do mieszkania nie mogłem się oprzyć jego namowie postanowiłem pójść z nim do mieszkania. Wchodząc w progi pijany rzeczywiście żona go przywitała według jego postępowania, ale on cicho matka wszak to jest nasze święto górników Barbary. „Matka widzisz z kim idę". Idę ze swoim pomocnikiem. Narazie to tak wyglądało jak bym był pomocnikiem do kieliszków.

Po przywitaniu się ze wszystkiemi spostrzegli, że nie jestem pijany. Żona po jakiemu tyś pijany, a tyn pan! On nie był ze mną spotkaliśmy się na ulicy i chciałem żeby mię przyprowadził do domu. No i pan się nie wstydził iść z takim ochlaim. Proszę pani w życiu różnie się zdarzy żebyśmy byli bogaci toby nas przywie-

ziono do domu. No tak! Ponieważ jezdeśmy klasą ubogą, więc musimy iść na nogach.

Poproszono mię żem sobie usiadł z nieśmiałością to uczyniłem. Po pewnej chwili rozglądam się po mieszkaniu zauważyłem dość sporą ilość dzieci. W mieszkaniu było dość ubogo, ale czysto. Rzucają mi pytania odpowiadam z nieśmiałością. Zauważono, że się wstydzę. Po pewnym okresie wchodzi ich najstarsza córka. Przedstawiają mi, że to jest ich najstarsze dziecko witam się z nią w niskiem ukłonie. Uścisnąłem jej rękę serdecznością i za chwile znalazłem się w drugiem pokoju wchodzę tam na stole stoi karafka z wódką więc gospodyni pije do mie odpowiadam z grzecznością. Po nalaniu mi następnego pije do jej córki. Przyjęła małą doze tej trucizny, ale przyjęła. Leciały godziny po godzinie, aż przyszła dziesiąta wieczór. Gospodarz domu poszedł spać tylko ja i gospodyni domu i córka siedzieliśmy jeszcze chwile czasu i opowiadaliśmy swoje przygody z życia. Nareście zygar odbił jedynastą. Żegnam się i idę do domu by odpocząć do pracy. Idąc do domu powiedziałem sobie że ta dziewczyna musi być moją. Co się też stało.

Przychodzi dwudziesty pierwszy rok wojsko. Idę bo czyż można się oprzyć potędze carskiej. Porzucam pracę i jadę do swej rodziny stamtąd drapę na piechtę do Włoszczowy na oznaczony dzień. Spotykam wójta i pytam się wkiedy stajemy, po południu, dobrze jest. Myślałem, czy wrócę czy też wezmą mię. Słucham wołają. Pada słowo rozbierać się. Staje jak mię matka urodziła, mierzą, ważą, badają słuchają i dają mi bilet lagweroski w razie potrzeby dopiero będę powołany pod broń.

Przyszedł rok czternasty a ja pozostał w domu. Po nieprzyjęciu mię do wojska wróciłem znów do Zagłębia Dąbrowskiego do tej samej pracy i ożeniłem się z tą dziewczyną z którą się zapoznałem w dzień Barbary. W roku 1914-stem drugiego lutego był mój ślub.

Okres minął szybko, aż nareście przyszedł sierpień czternasty rok. Rok wojny rok cierpień i niepewności jutra. Przejście wówczas było różne żeby żyć trzeba się było chwytać różnych sposobów środków. Nastąpił czas zastoju ludzie kolebali się po ulicach bezczynnie i przepowiadali różne anegdoty. Jedni twierdzili że ten stan rzeczy długo nie potrwa, a inni przepowiadali dłuższy okres

tej wojny. Było kołysanie się odpływu i przypływu tych dwóch potęg militarnych.

Po cofnięciu się wojsk rosyjskich postanowiłem odwiedzić rodzine, która żyła w Noworadomsku. Wybrało nas się troje w tą drogę ponieważ pociągiem nie było mowy bo stale były zajęte przerzucaniem wojsk. Na drugi dzień już byłem na miejscu to jest w Noworadomsku, ale gdzie się udać nie wiedziałem nawet w ogóle nie wiedziałem czy rodzice żyją czy nie. Po pewnym namyśle poszedłem na jedną z ulic tam gdzie brat młodszy terminował za szewca przed wojną. Nie spodziewałem się że mię tam nieszczęście spotka. Zachodzę pod dom i wchodzę w bramę zapytać się kogo gdzie zamieszkuje pan Kałuziński majster mojego brata. Zaglądam do okna, gdzie mieścił się warsztat szewski zauważyłem że tu niema warsztatu. Cały budynek tego domu był zamieniony w koszary wojskowe. Tu gdzie dawniej kuto buty to tu właśnie ta część budenku była zajęta pod więzień wojskowy. Zajrzenie moje do tego warsztatu kostowało mnie trzy dni paki. Posądzano mię żem przyszed komunikować się z aresztantami. Wezwano mię zaraz do kancelari wojskowy na badanie skąd jezdem jak się nazywam co tu robie i t. d. Powiadam im że przyszedłem stąd i stąd, ponieważ przyszedłem tu bo tu był warsztat szewski i tu mój brat terminował u tego to i u tego majstra, a ja nie będąc tyle lat u rodziny przyszedłem ich odwiedzić. Nie wiedząc gdzie się udać przyszedłem oto tu do tego domu dowiedzieć się o tem majstrze i zarazem o rodzinie. Zarzucono mi nieprawdę, że kłamię więc poprosiłem żeby sprawdzić te moje zeznania. Wzywano mię kilkakrotnie na badanie i zarzucano mi niestworzone rzeczy. Żem się w śpiega bawił żem pozycje przechodził i wiele innych rzeczy. Powiedziałem że Złoty Potok był miejscem pozycji ale teraz już nie jest. Zresztą sami panowie wiedzą o tem. Nareście odszukali pana Kałuzińskiego i dowiedziała się matka moja, że ja się tu znajduje. Poszła do kancelarji i spytała się czy ja tu siedzę odpowiedziano jej że tak ale nie będę wypuszczony bo nie mam należytych papierów. Że mam jakieś przepustki niemieckie, co prawda miałem przechodząc przez Przyrów stał tam posterunek niemiecki obowiązkiem każdego przechodzącego było pobrać takową za opłatą pół marki. Opuszczając matka kancelarje czemprędzej pobiegła do pana Kałuzińskiego opowiedziała mu całą sprawę i poprosiła go żeby poszedł i dowiedział się coś o mnie,

Przyszedł zapytał się o mnie. Spytali go skąd mię zna. Powiedział im że mię dobrze zna bo ja tam przychodziłem do warsztatu będąc jeszcze w Smotryszowie nie tylko ze Smotryszowa ale będąc już w Zagłębiu Dąbrowskim też przychodziłem do brata przyjeżdżając do Radomska i na podstawie tej puszczono mię.

Po wypuszczeniu mię w domu zapanowała radość niezgrątowana. Po opowiadaniu sobie wszystkiego i odpoczęciu trzech dniowem znów ruszyłem tom samą drogą. Powrót był szczęśliwy. Dano mi trochę żywności. Z chęcią to zabrałem bo u nas było trudno dostać mąki kaszy i innych produktów. Dźwigałem około 25 kilo na swoim grzbiecie szesnaście mil. Pierwszy dzień tej wyndrówki był dość pomyślny. W pierwszy dzień przybiłem do Złotego Potoka przenocowałem się na drugi dzień już z ledwością dobiłem do domu. Każdy następny krok stawał się trudniejszem do przebycia. Myślałem że już dźwigam sto kilo dochodząc do domu.

Dni mijały szybko a warunki bytu się nie poprawiały. Robiło się i nie robiło, jednem słowem trudno było żyć i to bardzo trudno. Znów postanowiłem wyruszyć na wieś ale już zabierając ze sobą żonę syna i pościel i inne potrzebniejsze rzeczy. Obstanawiając się na Drewnianej Hucie, wynająłem sobie mieszkanie u jednego gospodarza na ustroniu i żyłem z rodziną jak mogłem. Wynajmowałem się do pracy gdzie mi się tylko dało by zarobić na skromne pożywienie, na zimę znów wracałem do swego zawodu górniczego. Z wiosną znów wracałem na wieś zabierając ze sobą matkę żony z dziećmi, która znów przebywała z nami pewien okres czasu na wsi wśród lasów i pól. Nie mogę narzekać na swój okres włóczęgostwa dość mi waronki sprzyjały. Pracowałem przy kopaniu rowów i mostów w Rędzinach. Rzeczywiście zarabiałem blisko dwa ruble dziennie, a czasem i więcej zależało ile prętów zrobiłem. Praca była wesoła i zdrowa. Szumiały świerki, sosny i brzoze szeleściły liśćmi. Ptactwo nie przestawało świergotać całe dnie i miesiące przelatywało z drzewa na drzewo i wydawało różne tony dźwięku. Dzień się spędzało w zieleni lasów i przy dźwięku śpiewu ptasząt. Ciężka ta grabarka ale chciałbym całe życie tak pracować: tu nie stękały maszyny przeładowane ciężarem nie warczały koła maszyn i sereny nie dawały znać o pracy. Sereną moją był kogut i wschód słońca. Nie była to nowość że wiejscy robotnicy posługują się pianiem koguta, albo wschodem słońca. Powyżej zaznaczyłem że pracowałem

gdzie mogłem i co mi się dało. Co prawda umiałem orać siać młócić kosić poszywać słomą chaty wiejskie i t. d. Gdzie mnie kto potrzebował wszędzie szedłem, bo dawałem sobie radę w każdej pracy. Pracowałem przy budowie domów w Sekursku w Cielętnikach i w Żytnem. Obrabiałem drzewo na budowę domów stodół, żnąłem traczkę co kto chciał szedłem chętnie, bo umiałem pracować. Żnołem torf do palenia u gospodarzy na Hucie Drewnianej, czyściłem sadzawki ze ślamu, sadu pilnowałem w Odrowęzie, odbierałem zboże od parówki czyli młockarni parowej, w jesieni kopałem ziemniaki na pańskich polach, byle tylko zarobić i żyć.

Nareście skończyła się wojna Rosyjsko-Niemiecka, wracam znów do Zagłębia Dąbrowskiego i staje przy warsztacie pracy górniczej. Kopie te czarne djamenty, opróżniam wózki ziemi ładuje węgiel i wysyłam pod pochylnie, maszyna wyciąga i oddaje maszynie ta podwozi do szybu, gdzie umyka na wierzch do potrzeb ludzkich ten czarny skarb.

Idzie znów burza wojny, zaczynają się wiece i manifestacje. Z początku nie mogłem sobie uzmysłowić co to ma wszystko znaczyć, ale ten okres niezrozumienia nie mógł trwać długo. Zrozumiałem i staje do szeregów proletarjackich. Zapisuje się do Związku Zawodowego górników a późni do partji P. P. S. tam niedługo byłem. Uwiedziony zostaje przez S. i staje w szeregach lewicy P. P. S. i pracuje politycznie pewien okres. Praca była trudna, bo konspiracja, żeby obmówić sprawy musiano się zawiadomić konspiracyjnie, żeby się zebrać w pewne miejsce i tam można obmówić sprawy nad pogłębieniem myśli proletarjackiej i rozszerzeniem komórek zbiorowych, żeby było łatwiej docierać do szerszych zbiorowisk ludzkich, czy to za pomocą słowa, czy literatury.

Praca nie była to łatwa, ale człowiek szedł jak burza. Co prawda nikt go nie gnał przemocą, ale gdzieś jakaś ukryta siła czy moc ducha szeptała mu do jego sumienia i wskazywała mu drogę pójścia. Szedł, bo czuł na swoich barkach jakieś jarzmo ciężaru to ciężar był włożony na jego mizerne ramiona, którego dźwigał od zarania swej młodości. Czuł, że należy ten ciężar zrucić ze swoich ramion i podzielić nim wszystkich podług sprawiedliwości etycznej, a nie podług jakichś tam kagańcowych praw. Niesprawiedliwości trzeba było wydać bój i ten bój się toczy.

Okresy mijały jeden po drugiem szybko i błyskawicznie, czym

szedłem w las, tem grubsze poznawałem drzewo prawdy. Burzył się mój duch i lotym olbrzyma walił w te tamy odwieczne niesprawiedliwości. Nie piszę głębi, myślę że wkiedyś opiszą inni to co ja myślałem. Odnoszę się do tych co będą układać to dzieło, żeby szukali mych myśli nie w powierzchowności mych słów, ale należy im szukać w głębinie mej duszy.

Na dnie kopalni pracowałem w głębi, szedłem, bo mus był silniejszy. Co było robić trzeba było kopać czarne dyjamenty, bo ludzie tego potrzebują, ale zaco za głodową płace, ale trzeba było iść, bo wrota były zamknięte do innych warsztatów pracy a do tego była wojna bolszewicko-polska. Paryż ten Paryż na którym pracowałem tyle lat. Prześladowano mnie za to żem myślał żem chciał żyć po ludzku, za to żem domagał się swych praw i chciałem żyć jako człowiek, a nie jak niewolnik. Czy pozwolono mi zarobić, nie. Kazano mi być głuchem ślepem i niemym. Chcieli żeby im tylko przytakiwać głową, jak osioł.

Ja nie mogłem sam siebie kłamać, nie mogłem zabijać swego sumienia kłamstwem. Postawili mi takie zadanie żebym mówił, że węgiel jest biały. Pomyślcie... Chcieli żebym na wszystko patrzał przyćmionemi oczyma i wskazywał im tych, którzy tak myśleli jak ja. Chcieli ze mnie zrobić plugawego i wstrętnego donosiciela, kreta, ropuchę, grzechotnika i wampira. Chcieli mię użyć jako stworzenie do szpiegowania swych braci. Nie pozwoliłem z siebie zrobić zwierzęcia, to też mię prześladowano w najokrutniejszy sposób nie dawano mi żyć. Chciano mię zniszczyć. Myśleli, że głodem zrobią ze mnie narzędzie, do ich usług im stane. Nie!... I nie uczyniłem tego nigdy. To też zsyłali mię do najniebezpieczniejszej roboty. Szedłem bo co miałem robić.

Czy im to wystarczyło, nie, nie mogli patrzyć, że chodzę po wolności to też podstępnie szukali sposobu pozbyć się mię i właśnie rok 1923 był rokiem decydującem. Za co?... za to żem chciał być wolnym i żyć jak człowiek wolny pod słońcem. Nie płakałem choć mię odrywano od dzieci, od żony i świata.

Wypuszczono mię w listopadzie 1927 roku, chwyciłem się pracy, gdzie mogłem i pracowałem do trzydziestego pierwszego roku na miejskich robotach w magistracie w Dąbrowie Górniczej i w Sosnowcu, po skończeniu się tej pracy i po wyczerpaniu się okresu zapomogowego zmuszony byłem wyjechać za granicę. Za-

znaczam, że praca miejska była złotem runem dla tych co pracowali w robotach miejskich tak w Dąbrowie jak i w Sosnowcu, ale to był okres wkiedy w Radach miejskich rządzili Socjaliści. Dniówka gwarantowana była dla mężczyzny 7 zł 20 gr., a kobiety miały 4 zł. 80 groszy a przy kanalizacji mógł zarobić i 20 złotych na dniowkę a dniówka była 11 zł i 80 gr to był okres złoty. Tu rządzili ludzie nowej epoki. Ludzie którzy rozumieją potrzeby państwa i społeczeństwa ale ten czas minął jak sen. Po wyczerpaniu się funduszu zapomogowego mus skłaniał człowieka do wyjazdu. Oj! Tyn mus! Ten wieczny tyran ludzkości.

Choć brat rodzony dawał mi znać, że żyje i dawał mi znać, że tu jeszcze można żyć, ale mię to nie wabiło. Wolałbym żyć w kraju ale niestety! Konieczność żołądka była silniejsza, bo to już jest z natury wrodzone w człowieka.

W kraju pracowałem jako górnik i tu poświęciłem się temu samemu zawodowi pracy. Pod ziemią tu na południu pracuje już siódmy rok życia w kopalni Mines de Albi. Zamierzałem zmienić na obczyźnie swój sposób zarobkowania, ale czy to możliwe!? Wyjeżdżałem miałem już z góry zakontraktowaną pracę. Jadąc do kopalni tylko nie wiedziałem gdzie, ale już z góry wiedziałem, że mniej nie śmiem zarobić jak 32 f. dziennie. Jechałem na koszt pracodawcy. Wyobrażenie moje było takie, albo los się mój poprawi, albo... Niemożnością było przesadzać, albo przed siecią łapać ryby w bieżącej wodzie. Należało przybyć na miejsce i poznać możliwości, które dadzą człowiekowi poznać warunki powodzenia lub niepowodzenia. Podróż była szczęśliwa. Trudności były tylko takie że wszyscy wyjeżdżający chcieli odrazu z rodzinami wyjeżdżać a tu nie było można no ale trudno trzeba było się zgodzić i samemu na wyjazd, ale z gwarancją że po pewnem okresie czasu będzie można sprowadzić rodziny.

Wyjazd był 27-go kwietnia 1932 r. o godzinie drugiej po poł. Wyjechaliśmy zbiorowo. Nie było nam nudno, bo jechało nas kilkunastu z Zagłębia Dąbrowskiego i prawie większość nas popadła na południe. Tul był zbornym punktem podziału tych zbiorowych grup ludzkich gdzie kto miał jechać. Po przedzieleniu nas do kopalni Mines de Albi na drugi dzień przyjechał urzędnik i zabrał nas. Przy stacji poprosił nas do jednego ze sklepów wydał nam porcje jedzenia aż do Paryża. W Paryżu przerzucono nas na drugą

gare. Złożyliśmy swoje skromne pakunki na stacji i zabrał nas do jednej kafejki i dano nam przyzwoity obiad to znaczy się z kilku podań i po litrze wina, po spożyciu tego i po wypiciu tego wina niejednemu zrobiło się na duszy wesoło.

Siódma godzina po poł. to jest przed samym wieczorem jest odjazd w strone przeznaczonego miejsca. Jechaliśmy błyskawicznie całą noc dopiero przed dziesiątą byliśmy na miejscu. Ostatnia stacja Albi, wychodzimy z pociągu pada słowo wsiadać do auta. Wsiadamy, mija zaledwie pare minut jesteśmy już na miejscu, to jest w biurze głównem w Albi. Stajemy znów przed doktorem zostajemy przyjęci za wyjątkim jednego który był uznany jako suchotnik co się z nim stało nie wiem.

Po zbadaniu nas wszystkich znów pada słowo idziemy moment i znów jesteśmy na miejscu, już na placu kopalni. Na placu sortowania węgla. Czekamy chwilę na kolejkę, która dostarcza węgiel na sortownie. Moment i znów siadamy i jedziemy już na miejsce. Przyjeżdżamy już tu gdzie ma się rozpoczynać nasza praca, ale nie idziemy odrazu do pracy. Prowadzą nas do tak zwanego domu zbiorowego tam ma być nasze stołowanie. Dom, to już specyjalnie zbudowany dla samotnych. W tem placu mieściło się kino, sklep, kuchnia no i stołownie samotnych robotników, to było wszystko w rękach kopalni, to było tak sprytnie urządzone co robotnik zapracował musiał zostawić w kopalni z powrotem.

Należy mi wrócić do tematu, przychodzimy już na ostatnie miejsce godzina pierwsza po poł. dzień drugi mój. Obiad nie można powiedzieć, jak na francuski obyczaj, to było można się do syta najeść, na trzeci dzień do pracy kto na dzień, a kto po południu. Mnie w udziale przypadło na rano i to pod polskiego patrona pana Piechla. Patron, to po polsku dozorca. Dano nam naczenie, łopatę pik, siekiere i piłkę, no i marsz na oddział. Zachodzę już na miejsce, to jest pod barakę przychodzi patron pan Piechel i pyta się po polsku czy pracowaliście w kopalni, tak jest patron. Dał nas trzech na filar — co prawda nie można było się zorjentować w pracy. Górnik tu wykonywał wszystkie prace, do jednego robotnika należało urobić węgla, załadować, zabudować spuścić sobie wózki na tamborze do szanty próżne czy z ramlą. Jednem słowem, że tu było trudno się pogodzić i przyzwyczaić z tą pracą, żeby do jednego robotnika należała wszystka praca. Porządek jedna ma-

szyna do wiertania węgla na kilka numerów drzewo kilometer od szanty do budowania, wszystko należy do pracy, to jest dostarczyć sobie wózków urobić węgla zabudować przynieść drzewo, wywalić ramel zabudować naładować węgiel, spuścić węgiel no i djabli nie wiedzą co masz robić, ale z biegiem czasu człowiek do wszystkiego się przyzwyczaił. Na początku nie można było wydać oznaczonych wózków węgla. Trudno się było przyzwyczaić do spełniania wszystkiej pracy.

Nastąpiła zmiana pracy wzięto mie do budynku na pewien okres. Za ten okres poznałem się już z tem systemem pracy i znów mię dano na filar, ale już w inne miejsce i w troche dostępniejsze, ale tam nie pracowałem długo przerzucono mię na inną robotę, to jest do bicia chodnika, ale tam długo nie pracowałem, bo uległem wypadkowi. Wypadek był niebezpieczny, ale to jakoś minęło i po miesiącu znów wróciłem do pracy, kilka dni wałęsałem się to tu to tam aż nareście dano mi szante, gdzie pracowałem blisko cztery lata.

Muszę zaznaczyć że leczenie to było pod psem, można było umrzeć a doktór nie przyjechał. Leżałem trzy dni i doktór nie zajrzał do mnie nie wiem, czy zapomniał zmuszony byłem opuścić swe legowisko i pójść do niego na wizytę. Gdy mię ujrzał to się za głowę chwycił.

Gdy kto miał wypadek dostawał połowę zarobku, a jeżeli nastąpiła choroba dobrowolna, to płacili tylko 10 f. dziennie można było za to żyć... Warunki pomocy społecznej są pod psem. Jeżeli dziecko zachorowało czy żona a potrzeba było odwieść do szpitala to trzeba było dopłacać połowę leczenia bo inaczy nie przyjmowało się. Pomoc jakakolwiek tu była to była pod psem, nie wymieniam tu instytucji społecznych czy państwowych.

Mieszkania na wygląd są wspaniałe zewnątrz i co do jasności, ale do wygody to pożal się boże. Latem się usmażyć trzeba, a zimą pies islandzki by się urwał. Pies eskimoski w swoim kraju wytrzyma, ale tu?... Przy każdem domu jest ogródek i to doskonały, ale co z tego, przyjdzie słońce wypali, a jeżeli chcesz co utrzymać, to trzeba co dzień dziesiątki metrów wody wynieść na podlewanie. Po wodę trzeba chodzić do 60 metr. i więcej i to jak przyjdzie czerwiec i lipiec to ci i bronią wody.

Tu wszystkie rośliny mają inny smak i to smak, który nie na-

daje się do organizmu polskiego. Człowiek spożywa bo musi, ale żeby miało taki smak jak polskie rośliny, to szkoda mówić. Tu ani mleko, ani mięso i wogóle nic nie ma takiego smaku jak w Polsce. Co prawda choć smaku nie ma takiego jak w Polsce ale można lepsze życie prowadzić, gdyż tu co dzień spożywa się potrawy z mięsem, czy z nabiałem. Chleba nie spożywa się suchego tutaj, ale co z tego wkiedy to wszystko nie przynosi takiego pożytku organizmowi to też na ogół bardzo dużo ludzi choruje a przeważnie dzieci na suchoty. Co prawda że wszystko wpływa na stan organizmu ludzkiego. Tu niema mrozu, ale cała zima jest dżdżysta i od czasu do czasu przechodzą ciepłe fale, które działają ujemnie na organizm Polaków.

Muszę zaznaczyć że moją tęsknotą było powrócić do kraju nic mię nie cieszyło nie tylko mię, ale całą moją rodzinę to też całem naszem pragnieniem było żeby jak najprędzej powrócić do kraju i swoich znajomych. Do tych pól i lasów zielonych. W obcem kraju był człowiek obcem, nic nie rozumiał określał tylko rzeczy po swojemu. Trzeba się było dopiero uczyć jak dziecko. Tęsknota była wielka powrotu ale człowiek był przywiązany warunkami społecznemi, czyli ekonomicznemi jak pies do budy. To one które mię trzymały na uwięzi i nie dawały mi lotu do poznania szerszego kręgu. Pracowałem jak niewolnik przykuty potrzebami rodzinnemi ja żona i syn, by cokolwiek zapracować i kupić jaki dom i powrócić do kraju do swoich. Tu nie mógł żyć człowiek wolno choć był w wolniejszem kraju, ale gdzie nie wyszedł, to mu było wszystko nieznane i obce, jak trudno było się z tem pogodzić, żeby być w obcem kraju dzieckiem niemem.

Po przyjeździe moim na miejsce i po przebyciu miesiąca w Cagnac już odszukałem organizacje robotnicze i odrazu wstąpiłem do niej. Rzeczywiście ułatwiło mi to już zapoznanie się tu na miejscu z niektóremi towarzyszami pracy. Początek był dziwaczny ale po zetchnięciu się z bliższemi, czy dalszemi przyjaciółmi można było nawiązać stosunki przyjacielskie. Gdy się wstąpiło do organizacji, to się wszyscy uważali jak bracia. Nawet i tutejsi robotnicy odnosili się z wielką uprzejmością do tych robotników co wstąpili do organizacji C. G. T. Robotnik tubylczy nie lubił i nie znosił Polaka, który był sprzedajnym i wrednem. Nie lubieli sokołów, strzelców i towarzystw świętych.

Władze kopalniane były wrogo ustosunkowane do tych robotników, którzy należą do organizacji zawodowych, to jest do C. G. T. Władze kopalniane teror wywierały na tych robotników, którzy należą do nie-kopalnianych organizacji. Były szykany, były represje i to straszne represje. Trzymało się specyjalnie stróża, niby to, ale ten miał tylko na zadaniu śledzić robotników na każdym kroku. Było to ciężkie życie, bo to śledzenie zamykało człowiekowi wrota do myśli. Tamowało mu każde słowo. Czuło się przygniecione ciężarem sumienie, ale co było robić trzeba było zmilczyć dla chleba. Ten stosunek trwał siedem lat nie można było wyjawić jaśniejszej myśli bo już... i to o najdrobniejszem stąpnięciu niewłaściwem już wiedział pan dyrektor. Niedość na tem że kopalnia trzymała takiego drania w kolonji polskiej, ale i do tego służyli robotnicy pracujący w kopalni i ci jak wierne psy rozrzuceni po kolonjach donosili o każdem powiedzeniu gardowi, a on zdawał raport panu dyrektorowi. Mało tego co w dzień uprawiał ale i w nocy węszył, jak pies pod oknami.

Ta wolność w tem osławionem Cagnacu, to życzliwe serce pana dyrektora który był tyle razy wychwalany w Narodowcu i innych szmatach kapitalistycznych. Ten którego Polska ozdobiła orderem Polonia Restituta. Chyba za to żeby robotników polskich trzymał w niewoli duchowej. Pan Jarrige był dobry dla tych co mu służyli wiernie...

Co powiedzą ci co sprowadzili swoje rodziny i miano im zwrócić 60 procent po przepracowaniu jeden rok. Gdzie to się podziało. Gdy się robotnicy świadomi zwracali o zwrot należności, to co im się pokazowało drzwi. Mówiło się nie podoba ci się, brama otwarta! Robotnik żądał w myśl konwencji zawartej między Polską a Francją należnego mu zwrotu, ale panowie właściciele drwili sobie z robotników polskich, bo wiedzieli, że w ich obronie nikt nie stanie i tak było. Gdy się zwracano do konsulów polskich w tej sprawie, to ci panowie konsulowie jakby z ironją odpowiadali robotnikom na ich prośby. Urywek odpowiedzi konsulatu R. P. w Marsylji; uważa za stosowne nadmienić ze swej strony, że wyklucza posądzanie kopalni w Albi o złą wolę gdyż od dawna znany mu jest dobry stosunek Zarządu do polskiego robotnika. (Konsul) Nazwisko jego nieznane. Rok był 1932 i 33, kiedy my się zwracali do niego.

Nie tylko konsulaty zbywały swych obywateli obojętnie ale

wszyscy razem wzięci byli głusi na apel. Począwszy od konsulatów a skończywszy na opiekach różnego pokroju. Można było znaleźć tylko pomoc materialną czy duchową w organizacjach proletarjackich jakim były sekcje polskie C. G.T. i T. U. R. T. U. R. nie mógł znaleźć szerszego zrozumienia na południu ponieważ kapitaliści terorem trzymali robotników w ryzach przy swoich komórkach stworzonych na podobieństwo polskiego bractwa różańcowego. Za pomocą tych ludzi wytresowanych gnębili każdą myśl zdrową ale przecież wszystko ma początek musi mieć i koniec. To też rok 1936 pozwolił nam odetchnąć i poczuliśmy trochę świeższe powietrze. Choć w cierpieniach i w bólu ale nie ustawaliśmy w pracy. Przenosiliśmy ogień buntu z miejsca i dokładaliśmy do niego paliwa by się żarzyło. Wierzyliśmy w to, że przyjdzie dzień jaśniejszego dnia.

Nie można było siedzieć przecież w zaczarowanem kole należało szukać wyjścia. Świat... Życie?... Pięknym jest świat i pięknem jest życie — ale podli i źli ludzie splugawili piękno i oplwali prawdę. Żal mi tych ludzi, bo zamiast raj szczęścia tu na ziemi sobie stworzyć, to w piekle żyją, które bez pomocy szatana na fundamencie głupoty sobie zbudowali. Wierzyłem, że trzeba to wszystko przechowywać, to co było piękne, wzniosłe i prawdziwe w sercu. Należało używać na paliwo, by ogień nie wygasł by przetrwał i stał się kiedyś zorzą nowego dnia ludzkości na całym firmamencie.

Ogień buntu rozszerzał się... podpalaczy nie było można wygubić w ustroju podłem i zgniłem. Siali popłoch w szeregach „wybrańców bożych", którzy niesprawiedliwością z góry rządzili. Strach przed gniewem ludu opanował tych, którzy pot i znój drugich zamieniali na złoto dla siebie. Starali się możni tego świata by lud wprowadzić w ciemne bory i dzikie zarośla, gdy gościniec do wolności torował, cofnąć go z drogi. Bo któżby na nich pracował jeśliby pozostali sami?...

* * *

Droga szczęścia i droga przepaści, były jednostki, które mogły oszczędzić ale to były jednostki. To byli ludzie co myśleli. Ludzie nie obarczeni rodziną liczną mogli byli cokolwiek oszczędzić na czarną godzine. Ja mogłem oszczędzić bo jakoś mi popadło żem dostał dobry numer, a do tego pozwolili wtenczas zarobić. Mniej

się nie zarobiło jak 45 f. dziennie, to już najmniejsza dniówka i to blisko trzy lata było można tak zarabiać i do tego żona szyła na maszynie. Syn jeden też zarobił do dwieście franków na dwa tygodnie. Troje pracowało na jedno to było można pozwolić sobie na oszczędności. To też za sześć lat naszego pobytu we Francji zaoszczędziłem tyle żem kupił dom za 3,000 złotych w Polsce i sześćdziesiąt prętów ziemi do tego domu. Co prawda pomagało się rodzinie. Do Radomska rodzicom swoim, którzy nie mają środków do życia. Jej rodzinie też musiałem pomagać i do dziś dnia pomagam w miarę sił bo cóż mam robić. Zresztą zadaniem socjalisty jest pomagać bliźnim.

Rodzina moja składa się z czworo osób: żona i dwóch synów. Syn najstarszy liczy dwadzieścia dwa lata, a młodszy 15 lat. Ja jeszcze przy dość młodych latach, bo posiadam zaledwie 45 lat żona 43 lata to jeszcze można sobie poradzić. Co prawda moje zdrowie jest już zniszczone pracą fizyczną i po części społeczną.

Syn musiał wrócić do kraju i siedzi bez pracy, zamiast on mi pomagać to ja mu musze posyłać na utrzymanie. Padł i stał się ofiarą zemsty, kapasiów ludzi podłych ludzi czarnych podobnych do jadowitych żmij i krokodyli, którzy pragną pożryć jakoś istote. Krokodyle pożerają, by zaspokoić swój głód, ale ci ludzie nie mieli potrzeby zaspakajać głodu, tylko mścili się za to, że on inaczej myślał niż oni. Myślał tak jak miljony myślą. Jak myślą ci co orzą sieją i kują.

Wydatki rozumie się czem większa rodzina tem większe wydatki. Trzeba zaznaczyć że trudne było życie jeżeli jeden pracował na czworo lub pięcioro. W tem domu panowała wieczna nędza i... ludzi tylko to ratowało, że mogli otrzymać wszystek ubiór na kredyt. To też niektórzy są zakopani po uszy w długu. Chleba kilo kosztuje 1,50, mąka 1,90 kilo, mięso kilo 7 f. 10 f. 14 f. to zależy. Ubranie 500 f. 600, 300 f. 250. Koszula 30 f. 25 f. 45, no i 20 f. Cukier kilo 1,75, mleko liter 1 f. 1,20 cn. Masło kilo 20 f. 18 i 16 f., kiełbasa 12 f. 14 i 18 f., kartofle kilo 50 cn, 60, 80 i 1,00 f. zależy o której porze roku. Wino litr 1 f. 20 cn. 1,30 i 1,50 codzienne wino stołowe. Sery kilo 18 f. 20 f. no i więcej to zależy. Piwo $^1/_2$ litra 1 f. 50 cn., lemoniada tak samo. Owoc to jest wiśnie, śliwki, gruszki, jabłka 2,00 f. 3,00 f. i więcej, to zależy o której porze roku.

Zarobek, to jest dniówka minimalna pierwszego górnika w roku 32, 33, 34 była 35 f. 75 cn. a w akordzie mógł zarobić do 60 f. dziennie. Były trzy klasy górników to znaczy był pierwszy drugi i trzeci, była taka różnica że każdy następny miał mniej od pierwszego 0,75 cn. Taka różnica jest i w akordzie. Od roku 34 pierwszy miał już 30 f. 65 cn. aż do tej pory, dziś znów się dniówka podniesła pierwszego 30 f. 75 cn. z dodatkami znów wychodzi dniówka 35 f. pierwszego ale w akordzie już nie dadzą zarobić 60 f. dziś najwyżej 45 f. to już trzeba mieć łaskę...

Przyjechała żona za mną w listopadzie z dziećmi i jeden chodził do szkoły, a ten starszy brał lekcje piśmienne z Paryża, ale ani jeden ani drugi nie skończył szkoły, a zresztą czy tu się dbało o to żeby dziecko robotnika umiało czytać dobrze i pisać. Zadaniem ich było tylko żeby cokolwiek dziecko nauczyć jak wyjdzie na ulicę, żeby nie zginęło.

Jeżeli się przysyłało siły polskie do Francji to nie poto, żeby uczyły dzieci. Powiedzmy, że jest siła nauczycielska w postaci kobiety, ale czy taka kobieta jak pani N. może uczyć dzieci robotników ona w zupełności nadaje się gdzieś do klasztoru, ale trudno się władzy sprzeciwiać... Doprawdy szkoda pieniędzy na opłacanie takich ludzi, onej dać było jaki zakon starych dewotek lub izydorów to w zupełności odpowiadałaby swemu zadaniu. Myślę, że ona pochodzi z błękitnej krwi to też można zaraz poznać jej ustosunkowanie się do robotników. Ta wyższość rasy, ta błękitna krew szlachty polskiej jest zgubą narodu polskiego. Jej myślą jest, żeby robotnika przykuć do rydwanu posłuszeństwa, to też dzieci wychodzą ze szkoły niewidome, bo skąd będą co umieć. Doprawdy nie można mieć do takiej nauczycielki zamiłowania.

Spędzanie wolnych chwil po pracy było następujące, spożycie obiadu cokolwiek grzbiet odpoczon coś w ogródku zrobić, drzewa urąbać żonie, książkę poczytać lub gazetę Prawo Ludu, czy Robotnika Amerykańskiego, lub Wolnomyśliciela, albo Błyski lub Okólnik Zarządu Głównego T. U. R.'a, a od czasu do czasu i Głos Kobiet, a od czasu do czasu iść na zebranie Sekcji Polskiej C. G. T. lub T. U. R.'a i tak chwile leciały, jak strzała. Nieraz to brakowało dni żeby odbyć to wszystko. Co do książek to żem korzystał z biblioteki T. U. R.'a. Pomocą służyliśmy sobie wzajemnie.

Ach te władze polskie zagranicą, to szkoda o nich pisać

i wspominać, jeżeli robotnik miał coś dać, to za tydzień dostał odpowiedź by jak najprędzej pieniądze wpłynęły do kasy, ale gdy chodziło robotnikowi coś załatwić i otrzymać pomoc z konsulatu to trzeba było całemi tygodniami wyczekiwać na odpowiedź i odpowiedziano mu tak żeby całe życie myślał nad odpowiedzią i nic się w niej nie domyślał. To jest bez przesady.

Ja jako analfabeta nie mogę tak opisać jak ludzie nauki, ale co mogę to streszczam. To co napisałem jest buntem mej duszy. Pisze, bo chcę pisać. Uczyłem się mając już dwadzieścia pięć lat.

Nie jestem zadowolony z pobytu swego za granicą wolałbym sto razy żyć w kraju. Czułbym się szczęśliwszy, ale gdyby człowiek mógł zarabiać na utrzymanie dla siebie i swej rodziny. Człowiekowi jest wszystko obce i nieznane, ale mus był silniejszem i nic nie pomogły tęsknoty.

Marzenie było nieustanne za krajem za ludźmi, to też robiłem wszystko, żeby choć za swoją poniewierkę kupić dach nad głową. Choć skromny byleby był i z biegim czasu powrócić na łono przyrody polskiej. Ziściły się moje pragnienia, to o czem marzyłem spełniło się już w siódmem roku mego pobytu. Co prawda nie jest to wielkość ale wracając z Francji już nie potrzebuje szukać u obcych dachu nad głową, bo mam swój. Następnie poznałem wiele obyczai tutejszego narodu wad i zalet.

O tyle człowiek stał się bogatszem na duchu i materjalnie. Co prawda we Francji większa swoboda ducha ale i w Polsce nie będzie wiecznie to samo. Wierzę że musi wkiedyś zabłysnąć światło że dziś panuje ciemność, to tylko dlatego, że nie mogą rozumieć ci wielcy że i ten mały ma prawo do życia. Swą ambicje głupią stawiają nad wszystkich. To „ja" polskiej szlachty gubi kraj i wprowadza ludzkość w niewolę ekonomiczną.

Nie mam zamiaru pozostać na obczyźnie ani ja ani żona a dzieci tembardziej pragną wrócić w swoje rodzinne strony. Nie można określać już z góry jak człowiek się urządzi w kraju ponieważ nie wie co może go spotkać jutro. Pragnienie jest wielkie i celowe, ale to jest niemożliwe dlatego tylko, że na to warunki społeczne, czyli ustrojowe nie pozwalają. To jest tama która nie pozwoli się urządzić podług pragnień człowieka. Kapitał pozwala tylko tyle zarobić by się pożywić żeby jutro znów mieć jaką taką siłe do pracy, a jeżeli nieraz pozwoli cokolwiek więcej, to już może

konieczność dziejowa zmusza go do tego. Da zarobić, ale on tysiąckrotnie zarobi.

Miejscowość w której się znajduje od sześciu lat dała mi dużo poznać a przeważnie wyzysk tutejszych właścicieli. Przyczyny powrotu do kraju były różne, człowiek z daleka obserwujący te miejscowość nie mógłby przypuszczać że tu działo się bezprawie nad polskiem robotnikiem. Był wyzysk. Nie było litości czy padniesz w pracy, abyś tylko wydał swoją normę wózków węgla. To też robotnicy obarczeni liczną rodziną padali z wyczerpania, bo co mieli począć. Za każde najmniejsze niewypełnienie pracy padało słowo z ust belzebuba za niewykonanie pracy dalej za bramę. Po francusku party a la porte, na twoje miejsce jest innych sto za bramą. To ci z rodzinami, ze zgrzytem przenosili te tortury a samotni opuszczali te świętą pracę kopalni Mines de Albi i uciekali gdzie pieprz rośnie. Zorganizować nie było się można, a jeżeli już ktoś należał do C. G. T. lub innej organizacji postępowy to już musiał rezykować. Kopalnia utrzymywała całą zgraje psów do swej dyspozycji i węszyli za każdą zdrowszą myślą nie tylko dniem, ale i w nocy podsłuchiwano pod oknami drzwiami. Wszystko istniało na system niewolnictwa, każdy miał prawo pracować pokornie i nad siły. W niedziele pójść do kościoła i modlić się za to że jest głupim, że pozwolił z siebie zrobić zwierze pociągowe. Doprawdy trzeba było żelaznych nerwów żeby to wszystko można było wytrzymać i znieść na swych skromnych barkach. To też robotnicy padali z nadmiaru pracy przedwcześnie. Jedni śli do mogił, drudzy stawali się wcześnemi inwalidami pracy już na całe życie. Nie chcę mówić o tych co zginęli, ale chcę mówić o tych co żyją, jak ich pozostawiono własnemu losowi. Gdyby umiała ta krzywda przemówić do tych co żyją, to nie byłoby tak twardych serc, żeby im nie wycisnęła ta krzywda łez. Górnik, który utracił wzrok ten który rąbał te czarne djamenty, dziś jego wzrok jest martwy, coż że żyje, ale przed niem i za niem jest wszystko czarne. Ten górnik, który pracą swoją ogrzywał cały świat w jaki okrutny sposób pozostawiono go własnemu losowi. Wypadek chciał, że ociemniał z nadmiaru pracy, bo musiał rąbać ładować zwozić i wywozić nieustannie — jak maszyna, ociemniał ten ów Synarkiewicz i co mu za to dano?... Podstępnie chciano mu skraść karte blese, by nie miał okazji upominania się o swoje kochane oczy i o całe stracone siły

do pracy. Podstępnie chciano go wywieźć do kraju, żeby nie był ciężarem francuskiego kapitału. Te rzeczy dzieją się pod skrzydłami tego osławionego dyrektora ozdobionego orderem Polonia Restituta, to nie jest początek końca, a ile to innych wysłało się podstępnie do kraju może o tem powie wkiedyś historja. Jedni uciechali bo co mieli robić, a drudzy musieli znosić jarzmo niewoli, bo co mieli począć. Tu nie było wolno ani myśleć inaczej, ani się modlić inaczej, ani dzieci chrzcić inaczej, ani ślubu brać inaczej ani ubierać się inaczej tylko tak jak personel sobie życzył kopalniany. To była wolność! Gdy nie wziąłeś ślubu w kościele nie dano ci mieszkania, nie ochrzciłeś dziecka w kościele zatrzymano ci pieniądze na dziecko i t. d. i t. d. Co prawda wszydzie jedne stosunki bo jeden panował system rządzenia. Myślę że przecież muszą się zmienić sposoby rządzenia i staną się wszyscy równi i wolni.

Obchodzi mię co się dzieje w kraju, bo tam pozostawiłem ojca matkę i całą rodzine i następnie pomagałem im materjalnie w miare sił, to też każde posunięcie nietaktowne uderzało mnie, jak serce dzwona o ściany. Widziałem niesprawiedliwość społeczną w kraju, to też moim zadaniem było pomagać tym co cierpieli. Nie uchylałem się od żadnej pomocy. Wymagała potrzeba dawałem nie tylko dawałem, ale i pomagałem czynnie. To było moim obowiązkiem świętym pomagać w każdem nieszczęściu czy to podczas powodzi, czy innej przyczyny i to mię wiązało z ludem polskim.

Szedłem po linii proletarjackiej z punktu widzenia proletarjackiego to też czytałem od czasu Robotnika Polskiego P. P. S., Głos Kobiet, Gromadę, Wolnomyśliciela, Błyski, Chłopską Prawdę i inne gazety robotnicze. Ja jako dziecko ludu mogłem mieć zachwyt do tego co mię poniżało i gnębiło, nie! to też poza pracą fizyczną nie szczędziłem sił. Pragnąłem by tak wszyscy myśleli jak ja. Przemyślałem nad wszystkiem i przyszedem do przekonania, że kłamią ci co żyją z cudzej pracy i dla tego z dnia na dzień protest rósł w mej duszy.

Chciałbym wydobyć to co czuje z mojej duszy i podzielić się z czytelnikami, ale niestety!... Szkołą moją była praca od zarania mej młodości, ale to co mogłem napisałem.

Chcę jeszcze dodać, że świat dzisiejszy ma, czyli możni tego świata utrzymują pewną kastę ludzi żeby im służyli jak te wierne psy i tu właśnie w Cagnac są dwaj tacy odszczepieńcy.

Postępowanie tych Panów jest godnem napiętnowania. Jeden jest z Kongresówki a drugi z Galicji. Gdybym chciał opisać tylko to co ja wiem, to już by się nie zmieściło na byczą skóre ta ich krzywda, którą wyrządzili przez fałszywe donosicielstwo organizacjom i współbraciom pracującem na jednej kopalni.

Oba chodzili jak cienie jak powietrze przesiąknięte stęchniętem gnojem, gdzie weśli już musiał ktoś odczuć ich bytność. Są ludzie podli, ale żeby tacy jak ci dwóch powyżej wymienieni, to świat nie widział.

Są inni ludzie, ale ci to już są zorganizowani w towarzystwie świętej Barbary i innych bractwach kapitalistycznych. Ci to już z nieświadomością się wysługiwali, by się podobali wyzyskiwaczom. To już jest taka choroba ludzka może wkiedy zrozumią ci ludzie, że błądzili.

Dopiero rok 1936 był rokiem przełomowem. Nastąpiło jakby nowe życie, tchnięte nowością ducha. To cośmy głosili od wielu lat zaczyna się przemieniać w ciało.

Dn. 24 sierpnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 33

Górnik, obecnie rolnik, syn małorolnego z Małopolski Wschodniej, ur. w 1905 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Gospodarz Polski który jest Organem Związku Osadników Polskich we Francji zamieścił Konkurs na „Pamiętnik Emigranta". Aby każdy kto zechce mógł opisać swe życie na wychodztwie. Więc ja nie dla tego aby uzyskać nagrodę tylko dlatego aby swoim Rodakom opisać to że wszędzie dobrze gdzie nas niema, a wszędzie dobrze a najlepiej w domu lub w swoim kraju. A więc życie moje takie. Gdym świat zaczął poznawać, ojca nie znałem bo także Ojciec był na wychodztwie w Ameryce przed wojną. Miałem ośm lat, Ojciec z Ameryki wrócił pospłacał swoich braci i siostry i na swoim małym kawałeczku ziemi zaczął gospodarzyć. Za dziewięć miesięcy wybuchła wojna w 1914 roku. Znów Ojciec od nas odszedł. Dwa lata był na froncie, później został ranny, półtora roku leżał w szpitalu i wrócił do domu kaleka z zczaskaną ręką, rękę ma lecz pracować nie może. Gdy ja dorosłem do lat bardzo chciałem Rodzicom dopomódz w biedzie. Zacząłem pracować w Borysławiu w szybie naftowem, cieszyłem się bo już Rodzicom coś dopomogłem budynków poprawić które miały okna wyczaskane i dźwi od szrapnela i inne reperacye. Tam pracowałem krótko osiem miesięcy bo nasz szyb zamkli i robotnicy zostali zwolnieni. Później nie mogłem pracy stałej znaleźć. Wystarałem się o papiery do Francyi bom sobie przypuszczał że tam będę stałą robotę miał aby jako życie prowadzić sam i Rodzinie dopomagać która się powiększała. Do Francyi przyjechałem w 1930 roku w marcu. Do pracy w kopalni rudy żelaznej. Gdyśmy przyjechali na miejsce stróż ko-

palniany nam zaraz papiery odebrał i zaprowadził nas na biuro kopalniane, tam podpisaliśmy kontracht pracy na rok czasu bośmy przyjechali na koszt pracodawcy. Po całem załatwieniu odprowadził nas stróż na mieszkanie na Kantynę którą utrzymywał Talijan. Na Kantyni tam znów Gospodarz tej kantyni kazuje się nam podpisać na następujące warunki: 1) że mamy u niego się uczymywać najmniej sześć miesięcy. 2) żadnych potraw w sklepach spożywczych ani chleba nie kupować, 3) najmniej po 15 franków dziennie przewiktować. Ponieważ nie wiedzieliśmy wysokość naszego zarobku a słyszeliśmy od robotników że wikt jest marny więc my się nie chcieli podpisać, ale żeśmy nie mieli innego wyjścia więc zgodziliśmy się na to. Po wszystkiemu dostaliśmy pierwsze pożywienie pół litra zupy z makaronu okraszonej oliwą i talerz grochu też z oliwą i chleb ile który sobie dać kazał. Lecz to wszystko było bez smaku. Później pokazali nam gdzie mamy spać. Tam każdy rozpakował swoje manatki na wieszakach pozawieszał na półkach poukładał co kto miał. Zaraz też poprzychodzili do nas robotnicy którzy wpierw przyjechali, zaczęli się nas wypytywać z jakich my są stron z Polski i o Polsce chociaż i oni niedawno przyjechali bo na kantynie nie każdy nawet tydzień mieszkał tylko szukał mieszkania u gospodyń Polskich które z mężami do Francyi przyjechali. Na drugi dzień zjechałem do kopalni do pracy. Zanim my dostali przedzieleni na numer pracy mieliśmy przykre chwile, dosyć przykro było za Rodziną za stronami Ojczystemi do tego nam robotnicy pociechy nie dodali. Jedni mówili lepiej żebyś się powiesił niżeli tu przyjechał, drudzy mówili przyjechałeś aby ci tu kości połamało, inni znowuż jakeś nie znał pracy to tu ją poznasz. Niektórzy zaczęli się z nimi kłócić a ja sobie pomyślał pierw muszę spróbować później będę wiedział co mówić. Poszliśmy do pracy z lampami któreśmy oczymali z kopalni i zaczęliśmy pracę. Prawda że praca była ciężka ładować kamienie ciężkie ostre na wózki takie które nawet ręce przerzynały, kaleczyły, otłukały członki i do tego pracować w kurzu w dymie który powstawał od szczałów i pot oczy zalewał alem sobie wiele nie krzywdził z tego bom był do pracy przyzwyczajony chociaż nieprzyjemnie było bo się kamienie z góry urywały i człowiek nie wiedział chwili kiedy na człowieka spadnie i zabije lub kości połamie. Przy Boskiej pomocy szczęśliwie przepracowałem pierwszą szychtę, gdym na wierzch wyjechał pomyśla-

łem sobie jeszcze najgorzej nie było. Tak przepracowałem i drugi dzień. Gdy powracaliśmy z pracy o 11 godzinie wieczór kuchnia kantyńska była już zamknięta, który sobie wziął za dnia chleba do mieszkania to coś przekąsił i zimnej wody się napił i poszedł do łóżka i zasnął bo był spracowany. Ponieważ pracowaliśmy na dwie zmiany w jednym tygodniu od 2-giej po południu do 10-tej wieczora, w drugiem tygodniu od 6-tej rano do 2-giej po południu więc w drugiem tygodniu było z tem lepiej że człowiek mógł zjeść ciepłe śniadanie obiad gdy z roboty przyszedł i kolacyę. W trzeci dzień gdym się do pracy wybrał byłem więcyj zadowolony, gdym do pracy zjechał do kopalni wziąłem się z ochotą szczerą ponieważ robota zaczęła mi iść dobrze, byłem bardzo zadowolony i pracowałem z tą myślą że gdy coś zarobię to sobie coś sprawię i Rodzinie coś do Polski poślę. Wtem nagle coś się ze mną stało. Zaznaczam że na każdem numerze nas pracowało trzech robotników górnik i dwóch rębaczy, ja pracowałem z Polakami, górnik był starszy chłop a drugi rębacz był mój znajomy z którym razem przyjechałem do Francyi. Więc naraz czuję że mi się bardzo smacznie śpi a ktoś na mie woła Stach Stach, otworzyłem oczy i nie wiem gdzie jestem i co się ze mną dzieje, czuję że jestem zlany twarz i piersi mokre, więc się pytam kolegi co się stało. On mi odpowiada to nie wiesz? przecież cię potłukło. I mówi mi wstań bom leżał na kamieniach odniesiony od miejsca pracy o jakie sto kroków. Więc się zrywam i wspieram na ręce i z powrotem upadłem gdyż dopiero poczułem ból w ręce i w plecach wstaję z powrotem pomału i usiadłem na skrzyni od narzędzi i patrzę po sobie wszędzie krew plecy bardzo bolą, głowę miałem w dwóch miejscach przeciętą, rękę poodłukaną i nogę poniżej kolana przeciętą. Próbuję czy mogę dalej pracować o czem mowy nie było. Więc mówię kolegom aby mię odprowadzili pod szyb bo sam nie ujdę. Więc przyprowadzili mię pod szyb, górnik ze mną wyjechał na powierzchnię a drugi się został na dole. Co prawda ani się nie myłem bom się bał abym nie upadł tylko poszedłem do sali opatrunkowej. Ponieważ to był wieczór już doktora nie było tylko sanitaryusz i on mi pierwszego opatrunku udzielił. Do Kantyni mię odprowadził ten górnik i przy jego pomocy i po czterech odpoczywaniach przyszedłem do kantyni. Tam górnik dobry człowiek mię rozebrał juz w łóżku i poszedł do domu swego i przyniósł mi ciepłej czarnej kawy abym się chociaż tem

pokrzepił co mi to było na zdrowie. Przez tydzień czasu doktór jeździł do mnie do domu a dwa tygodnie już ja chodził do doktora. Przez ten czas szczerze odżałowałem Polski i rodzinnej chaty, i w ten czas się dowiedziałem żem jest od wszystkich opuszczony. Po trzech tygodniach odpoczynku wziąłem się do pracy lecz już ze strachem i lękiem i dzięki Bogu szczęśliwie przepracowałem dwa lata na tej kopalni, na kantynie byłem jeszcze miesiąc gdym pracował długi żem spłacił za czas który nie pracowałem i z kantyny poszedłem a po prawdzie uciekł pokryjomu do Polskiej Rodziny u której stołowałem się aż do odjazdu z kopalni. Przez całe dwa lata pracowałem na akord, zarobek wynosił od 27 franków do 45 jak szczęście przy pracy sprzyjało a z końcem drugiego roku niezawsze zarobiłem po 15 franków na szychtę bo zarobki obcinali, a praca była ciężka gdyż nas dwóch rębaczy musieliśmy naładować 20 wozów 20 tonowych aby zarobić 45 fr. na szychtę. Po dwóch latach nic wiele nie przyskarbiłem bo potrzebowałem i dla siebie i dla Rodziny w Polsce ilem mógł tom im dopomagał.

Później przyjechałem do Południowej Francyj na rolę bom się spodziewał lepszego zarobku lecz zarobek był lichszy lecz praca lżejszą była i na świeżem powietrzu. I tak przepracowałem trzy lata. Po trzech latach się ożeniłem z Polką razem pracujemy drugi rok na połownictwie. I radzibyśmy byli coś sobie przyskarbić aby się kiedyś do kochanej Polski powrócić bo tu na zawsze pozostać nie chcemy i w Polsce albo jakiś warsztat założyć lub jaki kawałeczek ziemi kupić aby mieć początek do jakiego życia które jest weselsze w Polsce jak we Francyi bo we Francyi życie jest smutne. Obcy język, obcy naród nawet każde zwierzę się człowiekowi obce przedstawia. Co się tyczy do rozrywek, naprzykład teatry kina zabawy to niema o czem pisać bo wszystko nie jest przyjemne i w obcym języku i człowiek sobie na to nie może pozwolić gdy chce na to przyskarbić aby do Polski powrócić.

A zarobki są też marne a wychody też duże bo jest wszystko droższe jak w Polsce. Moją rozrywką jest codzienna gazeta polska „Narodowiec" którą otrzymuję od czasu przybycia do Francyi oraz miesięcznik „Gospodarz Polski we Francyi" i zebrania które urządzamy w każdym miesiącu ponieważ mamy Związek Osadników Polskich. Gdyż nas jest Polaków w tej okolicy wiele więc my sobie urządzili także w zeszłym roku wspólną gwiazdkę na której byli

p. p. Instruktor H. i z Konsulatu woźny którzy się bardzo ładnie z nami chłopami wiejskimi zabawili.

Na tem zakończam opis mego życia na obczyźnie i proszę się nie wyśmiać z mego pisma w które wprawny bardzo nie jestem i z błędów jakie popełniłem w piśmie bo człowiek ma niejedno na głowie bo ja teraz zawieram kontracht z innym pracodawcą i od 1-go listopada r. b. przenoszę się w inne miejsce.

Dn. 17 kwietnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 34

Rolnik, potem górnik, wreszcie
połownik, syn murarza
z Poznańskiego, ur. w 1872 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.).

Urodzony 1872 r. w małej wiosce Nosalach pow. Szyczowski z ojca Jana posiadającego 12 morg roli magdeburskich i niewielkom lichom chate. Zacząłem tamże po skończonych pięciu latach życia chodzić do skoły. W domu rozmawiali my tylko po polsku ponieważ Matka niemieckiej mowy nie rozumiała a Ojciec tylko trochę co się przy pruszkiem wojsku nauczył więc było mi bardzo trudno tej niemieckiej mowy się uczyć. Nauczyciel który sam był Polakiem ponieważ był rodem ze sąsiedniego miasteczka Bralina z początku nam niejedno po polsku tłumaczył i pamiętam gdy dzieci luterskie poszły na katechizm do sąsiedniego Bralina (skoła była mieszana dla katolików i ewangielików ponieważ w sąsiednim dworze było najwięcej lutrów) tośmy czasem i polskie pieśni śpiewali. Nie trwało to długo ponieważ wyszły ostre niemieckie prawa i dla Nauczycieli nagrody (Ostmarkenculagi) za nauczanie języka niemieckiego więc Nauczyciel zakazał mówić po polsku i dał sporządzić deszeckę z napiszem: Hier wird nicht polnisch gesprochen i każdy kto mówił po polsku dostał „lanie" i temu deszkę na szyji zawieszono. Po polsku czytać nauczyłem się w domu z książki do nabożeństwa i z gazety „Katolika" którom mój Ojciec utrzymywał, pisać po polsku nie umiałem. Gdy przyszedłem ze szkoły paszałem latem bydło trzymając je na powrozie po drogach Dziedzica a które miał każdy ze sąsiadem po kawale wyznaczone za to musieli Ojcowie latem dla Dworu kosić łąki i zboże. Mając 15 lat dał mię Ojciec do majstra szewskiego w Szyczowie dla wyuczenia

się rzemiosła. Muszę nadmienić, że nas było siedmioro rodzeństwa brat jeden odemnie młodszy o dwa lata więc nie było w domu wiele co robić i żywności także brakowało. W Szycowie terminowałem cztery lata, tamże też chodziłem w niedzielę do szkoły uzupełniającej (Fortbildungsschule) lecz tylko po niemiecku ponieważ Pan Majster był Niemiec i ewangelik, więc przypilnował ażeby tylko Niemców z nas uczni zrobić a miał ich zawsze dwóch po największej części polskich chłopaków. Ukończywszy naukę poszedłem na zimę do domu ponieważ Majster przyjął na moje miejsce świeżego ucznia a dla mnie nie było pracy ponieważby czeladnika musiał płacić. W domu reperowałem dla rodzeństwa i sąsiadów obuwie a na wiosnę znalazłem pracę u Majstra Polaka w Kempnie. Tam nabyłem innej wiedzy o naszej dawnej Polsce o której mi we skole i w Sycowie tylko źle mówiono. Lecz po nowym roku znów brakowało pracy wróciłem do domu i sporządzałem obuwie w domu. W tym czasie odwiedził nas mój kuzyn który jeździł latem do roboty na „Sakszy" i namówił mnie ażeby na wiosnę z niem jechać. Ojciec mię także namawiał, ponieważ przy szewstwie niewiele zarabiałem, więc pojechałem na wiosnę na Drezno w okolice Freibergu tam się też znajdujom kopalnie rudy i srebra i także huty do przetapiania. My pojechaliśmy na folwark na rolę to jest ja z kuzynem jego żona i jej siostra. Kuzyn który już kilka lat na te Sakszy jeździł mówił że najlepiej z małom liczbom na folwark jechać ponieważ dostanie lepszom żywność i nie ma tyle kłopotu co na dużych folwarkach z dużom liczbom ludzi. Kontrakty na te folwarki dostarczało mu jakieś Biuro „Reinboth" (Landwirtschaftliches Büro) gdzie już był znajomom osobom. Zajechawszy na miejsce dostałem ja jeden pokój a mój kuzyn ze żonom i siostrom też jeden pokój. W mojem pokoju mieliśmy stół i ławki do jedzenia obiadów i wieczerzy którom żeśmy przynosieli w drewnianych wiadrach z kuchni folwarku i która była dosyć smaczna. Za prace otrzymali my 1 markę 25 fenigów dziennie i w żniwa 1 markę 50 fenigów dziennie. Koszenie łąki i zboża było akordowo od morgi 3—4 marki podług zboża do tego trzeba było zboże powiązać i postawić w kupki. Mój kuzyn sporządził mi koszę i klepał ponieważ ja nie umiałem jeszczy tak dobrze kosić ale za to musiałem jemu przynieść przy koszeniu dziennie $^1/_2$ litra wódki za moje pieniądze a którom on bardzo lubił. Na

wszystkich świętych jechaliśmy do domu ponieważ tam cukrówki nie sadzieli spowodu górczysztej i kamieniasztej ziemi i sezon się skończył. Przyjechawszy do domu Ojciec mię wyłajał żem mało zarobił bo kupiłem sobie ubranie i płaszcz i inne rzeczy i kuzynowi na wódkę też kilka marek wyszło ale Ojciec tego nie rozumiał tylko mówił, że drudzy 60 — 80 talarów (talar 3 marki) zarobiom a ja ledwie 20. Pojechawszy Ojciec na targ zapakowałem moje manatki i pojechałem za robotom do Oleśniczy (Ols) tam znalazłem pracę u Majstra szewskiego który zatrudniał czterech celadników i dwóch uczni, a miał najwięcej pracy dla tamtejszego garnizonu Jägrów i Dragonów a zwano go powszechnie „Officier Schuster". Tam przepracowałem od 11 listopada 1893 do marca 1894. Był tam ksiądz „Schlossarek" rodem Polak lecz publicznie nie mówił że jest Polakiem ponieważ Niemcy i tak jak jego tak wogóle nas katolików bardzo szykanowali, ten założył towarzystwo Celadzi i każdy musiał przyrzec że do towarzystwa wstąpi, to po największej cęszci wszyscy katolicy ucynieli. Mieliśmy nas lokal na zebrania i zabawy i w rocznicę urządzieli my wielki pochód przy udziale 20 towarzystw które my zaprosielimy z całego Szląska. Byli tam dwaj bracia malarzy jako majstrowie w Oleśniczy którzy to towarzystwo najwięcej wspomagali. Dowiedziawszy się że jestem Polak mówieli, że także mówią po polsku i pracowali kilka lat w Poznaniu jako celadniczy i w naszym ścisłym gronie zaśpiewali nam: „Jeszczy Polska nie zginęła" i na nas cośmy pierwszy raz tę piosenkę słyszeli zrobiło ogromne wrażenie. Gdy pojechałem w marcu do domu mówiła mi siostra która była wtedy 16 lat, że jedzie na „Sakszy" bo chata taka licha i Ojciec nie ma za co reperować. Więc dałem się też namówić i pojechałem z nią. Tym razem pojechaliśmy do Sachsen Anhalt dwie godziny drogi od miasta Dessau w liczbie 20—25 osób. Zarobek był znów 1 Marke 25 f. żniwa 1 Marke 50 f. lecz koszenia tam nie było bo Niemcy tylko sami kosieli, zato przy obrabianiu i wyrabianiu cukrówki był akord i ja też dosyć zarabiałem przy reperacji obuwia także i nowe obuwie robiłem dla Niemców. Na zimę znów przyjechaliśmy do domu i tym razem mię Ojciec mocno chwalił, ponieważ przez lato posłałem parę razy pieniądze do domu i jesienią kilka marek przywiozłem. Przebywszy zimą w domu pojechałem znów wiosną tym razem z bratem, który był dwa lata młodszy odemnie siostra została w do-

mu ponieważ Matka która już przedtem chorowała już była mocno chora to drugie rodzeństwo jeszczy było za mało. Pojechaliśmy kole Warburga na folwark leżący już we Westfalji nad heską granicą. Tam żeśmy otrzymali 1 Marke 50, a żniwa 1 Marke 75 f. dzionki i koszenie zboża i wyrabianie cukrówki na akord. Od koszenia zboża 2.50 — 3.50 M. od morgi od wyrabiania cukrówki 12 Marek od morgi. Cukrówkę musiano wyrudować, z liści obciąć poznosić i ułożyć w kopce główka do góry. Żywność dostaliśmy tylko 25 funtów kartofli tygodniowo więc rano musiał każdy swój garnek nałożyć a kucharka którom była włodarzowa ugotowała. Do gotowania posługiwała się drobnem kokszem. Tam było nas do 30 osób więc garnki poustawiała rzędem na żelazkach i koks podsypywała. Tak żeśmy pracowali gdy naraz pisze siostra wiadomość, że Matka bardzo chora i już nie wyzdrowieje i żeby przysłać pieniędzy. Zebrali my wszystkie grosze cośmy mieli i odesłali do domu. Za kilka dni znów żeśmy dostali telegram żeby przyjechać do domu ponieważ Matka umarła. Pośliśmy do rządcy żeby nam wypłacił kaucyjom (co tydzień nam zatrzymywali 1 Markę aż do 20 Marek kto nie wytrzymał do końca sezonu kauciom stracił), więc rządca mówi, ja wam nie mogę kaucyi wypłacić ponieważ odchodzicie przed caszem. Pieniędzy żeśmy nie mieli więc pożyczyłem od znajomych dla brata na podróż a ja zostałem do końca sezonu oddałem długi i resztę pieniędzy przywiozłem na zimę do domu. W następnym roku to jest 97 Ojciec mówi zostań w domu tu się też jaki zarobek znajdzie i zimowom porom była reperacyja obuwia. Gdy przyszło lato ludzie na wsi chodzieli boso i roboty nie było. A do dworu nie chciałem na robotę chodzić ponieważ tam płacieli tylko 50 fg. dziennie na chłopa, do tego Pan Dziedzic na mnie nie był łaskawy zato, że jeździłem na Sakszy. Napisałem list do znajomego który pracował na kokszowni Rote Dortmund czy tam niema roboty, ten mi odpisał, roboty nie brak tylko przyjeżdżaj. Więc pojechałem i dostałem pracy przy napełnianiu piecy tym mułem do węgli. Nie było tam jeszczy w roku 97 tych rur gazowych ani tych ulepszeń i ten gaz tak śmierdział, że nie mogłem nic jeść do tego ta duża gorączka i we świątki musieliśmy pracować, w niedzielę po świątkach (św. Trójczy i Boże Ciało znowu pracować ponieważ tylko jedna niedziela w miesiącu była wolna). Ja mówię do mego kolegi: wiesz co ja tu nie zostanę jabym tu z głodu zdech bo nie mogę

jeść. Pojadę na folwark gdzieśmy zeszłego roku byli, teraz się zaczyna koszenie łąk i potem zboża to więcej zarobi jak tutaj i się jest zdrowy i ma się niedziele wolnom. Kolega mówi: ja jadę z tobom bo mi się tu też nie podoba. Więc wypowiedzieli my pracę i pojechali. Przyjechawszy na dworzec do Warburga trafieli my dwóch Polaków i trzy Polki. Jeden widząc że idziemy z naszym bagażem pyta: Gdzie idziecie? Ja mówię na Rotenburg na robotę. On zaś mówi: To jedźcie ze mną na Talheim, ja jestem wodarzem i mi kilka ludzi uciekło byłem w Polsce po innych ludzi ale nie zebrałem tyle ile mi potrzeba. Ja się pytam o warunki płaczy a on mówi teraz na żniwa dostaniecie 2 Marki dziennie i kartofle jak tutaj zwyczaj, lecz nie będziecie wiele dniówki robić ponieważ jest dużo łąk do koszenia a później zboża. Pośli my z niem kupieli koszy i kosieli do samej jesieni, a jesienią ja woziłem we cztery konie cukrówkę do fabryki cukrowej bo Panu brakowało jednego fornala. W grudniu wyjechaliśmy dostali my podróż zwrócona tam i spowrotem i Pan Dziedzic prosił żeby znów na wiosnę przyjechać i jeszczy kogo ze sobom przywieść. Zarobiłem okrągłe 100 talarów a były bardzo potrzebne bo Ojciec kupował drzewo pod budowę i brat z rodzeństwem kopali glinę na cegłę palenie i zrobieli cegły 30.000. Na wiosnę mówię Ojcu będziecie budować, to trzeba zostać w domu do pomoczy. Ojciec mówi: Jedź na robote bo ja sobie wezmę jednego cieśle i jednego murarza do pomoczy to tu skończymy a pieniądze mi będom jeszczy potrzebne. Więc pojechałem znów na to stare miejsce ale tylko sam. Byli tam już ludzie co z Kongreszówki na robotę przyjechali to Pan mówił do mnie: Ty byś się z temi ludźmi nie pogodził więc zostań tu we dworze dam ci jeden pokój i jedzenie dostaniesz w kuchni co moi ludzie jedzom i zostałem a na zimę znów pojechałem do domu chociaż Pan nalegał, żeby przez zimę tam zostać. W zimie poszedłem raz do kościoła w Kempnie i trafiłem starego kolegi ten mówi: Gdzieś był coś robił, ja mu opowiadam a on mówi: jedź z nami do Harcu co masz sam samotnie jeździć i pojechałem i znów przepracowaliśmy przez lato a były tam bardzo ładne strony więc ten Pan mówi do mnie i do mego kolegi: zostańcie przez zimę dostaniecie jedzenie w kuchni i ten sam zarobek. Panu chodziło o to żeby ci drudzy ludzie na wiosnę znów przyjechali. My zostali. Na nowy rok pisze żona mego kolegi: Przyjeżdżaj do domu i kolega pojechał.

Ten znów pisze: Przyjedź też do domu i przywieź mój bagaż ponieważ od naszych ludzi nikt tam nie pojedzie a to dlatego, że dziewczyny przez całe lato były przez południe na polu nie dostając obiadu tylko carnom kawę. Więc popakowałem bagaż odesłałem kolejom, lecz z Panem miałem niemały kłopot zaniem zarobek i papiery wydostałem. Przyjechawszy do domu poszedłem do mego kolegi i ten mówi: Możesz się ożenić, ja tu wiem bardzo porządnom dziewczynę i namówił mnie żeśmy tam pośli. Ojciec dziewczyny stary zwrotniczy kolejowy i posiadający małe gospodarstwo był bardzo rad temu i mówi: Ja jej dam 300 talarów ja mówię ja dostane od mego Ojca tylko 200 talarów. Ojciec dziewczyny mówi: nic nie szkodzi ludzie cię tu znajom i twój krewny gospodarz Latusek tu mieszka to wiemy coś za jeden. Mój Ojciec gdy Mu opowiedziałem nie był przeciwny pojechał na przyszły raz ze mną (miał jednego konia) i zrobieli ugodę a ja zanieszłem do księdza na zapowiedzi i 20 lutego 1900 roku już się odbył ślub i teść wyprawił sute wesele bo miał dużo krewnych i jeszczy kilka młodszych córek. Po weselu zaś co robić? roli kupić za mało pieniędzy więc jeszczy co dorobiemy i pojedziemy na robotę. Na wiosnę pojechali my w okolice Göttingen w Hanowrach. W Göttingen jest duży Uniwersität i jeszczy więcy Kliniki chorych. Gdy przechodziłem wedle klinikόw mówiłem: tutaj jest dobrze być chorym, takie ładne budynki i taki duży ogród. Gdy żeśmy pracowali raz przy burakach przyszedł raz do nas jeden student Uniwersitätu i pyta skąd pochodziemy. My mówiemy z okolicy Kempna a on mówi: ze który wsi ja też pochodzę z miasta Kempna nazywam się Hącia. My żeśmy jego ojca dobrze znali ponieważ mój Ojciec kilka razy od niego łąkę na siano dzierżawił. Był to późniejszy Minister Skarbu ten Pan student. Jesienią przy wyrabianiu buraków zachorowałem byłem u lekarza ponieważ my opłacali kaszy chorych zapiszał lekarstwo cekam 2 — 3 dni i nie lepiej. Znów idę do lekarza i mówię: Zrewidujcie mię dobrze bo nie mogę nic jeść i coraz to gorzej. Ten mówi: Nie wiem napewno ale mi się zdaje, że macie tyfus. Idźcie do kaszy chorych niech wam dajom poświadczenie a potem do kliniki tam was dokładnie zbadajom. Tam mię zbadali zważyli i przeleżałem 6 tygodni dostałem rano kawę na obiad filiżankę roszołu na wieczór znów kawę. Z początku miałem silnom gorączkę przeszło 42 stopnie lecz po czterech tygodniach gdy mi już było trochę lepiej mówię do lekarza

mnie się chce jeść ten mówi co byście jedli, ja mówie wszystko jedno, chleb kartofle, ten zaś mówi: gdybyście wy dzisiaj chleb lub kartofle jedli to jutro już nie żyjecie. Przyszli mię też odwiedzać moja żona i znajomi i pan dziedzic lecz nikogo nie wpuścieli dopiero po czterech tygodniach gdy mi już było lepiej. Muszę też zaznaczyć że tam było ładne lecz niezdrowe strony ponieważ większa część robotników jesienią chorowała i wypadki śmierci się nawet zdarzały tak było rok rocznie. Żona przyszła raz do mnie i mówi: za tydzień mamy jechać do domu ja mówię to i ja pojadę. Mówię do lekarza: za tydzień jadom moi współtowarzysze do domu to i ja pojadę chcę stać z łóżka, lekarz mówi: jak wy wstaniecie to na nogach nie ustaniecie lecz gdy koniecznie chcecie to niech dozorca przy was jest i was przytrzyma. Wstałem nie mogłem chodzić z początku ale coraz to lepiej i za osiem dni jechałem z mojemi wspólnikami do domu chociaż lekarz mię nie chciał wypuścić z kliniki lecz w końcu się zgodził. W domu kupiłem teraz umeblowanie i mieszkałem teraz u mego teścia w drugiem budynku gdzie teść jeden pokój wynajął. Z wiosną znów pojechałem ze żonom nie przyjąłem w domu stałego miejsca, tylko wstąpiłem we Wrocławiu do rolniczego biura Reinbotha. Pytam się czy ma jakie miszcze na Sakszy? O tak, posłałem wcora do Pana Domenrath Berram w Mücheln nad Saalom dwa chłopa i dwie dziewczyny i potrzeba tam jeszczy jednego chłopa i dziewczyna tak możecie tam jechać bo tam chce mieć tylko szląszkich ludzi, żeby się mógł z niemi rozmówić. Czekajcie wynajdę kontrakt gdy przyjmiecie warunki wykupiemy bilety i możecie zaraz jechać. Warunki były dobre jedzenie gotowe z kuchni więc pojechałem ze żoną. Przyjechawszy na miejsce na drugi dzień po południu dwór był pusty ludność była w polu i gdy się przed pałacem rozglądam przychodzi pan Domenrath sam i gdy mu mówię pocom przyszed mówi: Idźcie tu kawałek za dworem jest mieszkanie dla was pytajcie się tam ludzi i zaczekajcie kucharka wam przyniesie żywności. Na wieczór i drudzy ludzie się zjawieli i rządca mówił że da jutro przywieść nas bagaż z dworca bo było 2 i $^1/_2$ godz. drogi na dworzec. Bardzo dobre pożywienie tam było i dosyć dobry zarobek tak że na drugom wiosnę znów tam pojechałem wziąłem jeszczy dwa chłopa byli krewni i dwie siostry mojej żony ze sobom. W tem dworze Müchlu stał w pośrodku stary kościół dawniej był to klasztor i jak

chroniki pisały był pierwszy przeor w tym klasztorze Polak i ostatni przeor Polak ponieważ jak nastała reformacja i ludność wiarę Lutra przyjęła więc zakonnicy musieli uchodzić. Kościół katolicki był 2 godz. drogi od nas w Zappeendorf zbudowany dla obieży-sachsów ponieważ pan na Salzmünden miał 12 folwarków i rocznie 500 ludzi na swoje folwarki sprowadzał. 15 minut od nas było miastecko Wettin „kolebka saskich królów" lecz pałac był mocno zrujnowany i tylko robotnicy tam mieszkali. Na wiosnę 1903 znów chciałem tam jechać lecz kilku znajomych mię prosiło żeby mogli ze mną jechać na Mücheln było potrzeba tylko sześć osób więc wziąłem kontrakt od Reinbotha na 20 osób w okolice Magdeburga. Tam uprawiali dużo spargli, cebuli, ogórków, kwiatów i t. d. i ziemia jest tam bardzo żyzna. Zarobek też był dosyć dobry tylko że ludzie musieli być przez południe całe lato na polu więc my tam już nie jechali. Zdarzył mi się też tam wypadek. Obiad dostajali my dopiero wieczorem i był już bardzo zastygły te trzy razy mięso tygodniowo któreśmy mieli w kontrakcie też bardzo licho wypadały a ludzie mi się ciągle skarżyli na liche jedzenie. Napisałem list do biura rolniczego Reinbotha, że pan kontraktu nie dotrzymuje bo ludzie się uskarżajom na liche jedzenie. Reinboth przysłał mój list z powrotem do pana z dopiskiem, że jak ludzi lepiej nie zaspokoi, to mu już więcej śląskich ludzi nie przyśle. Pan otrzymawszy mój list przyszed ze rządcom i oba z kijami do mego pokoju (ja się wybierałem właśnie do kontroli wojszkowych) robieli mi wielkie wymówki dlaczego panu wprzód nie powiedziałem i kijami mi wygrażali. Ja mówię: kilka razy mówiłem kucharce żeby to jedzenie nie było takie zestane tylko świeżo ugotowane, kijami mi nie potrzebujecie wygrażać bom ja taki straszywy nie jest i wiem gdzie się udać. Od tego czaszu było lepsze jedzenie i na większe święta i dożynki nam nawet pieczeń wystawieli. Pan się też ze mną pogodził i że ja kosiłem zawsze w przodku mówił raz o żniwa do mnie: idźcie dzisiaj kosić żyto tam za cegielnię jest tam 28 mórg to może dzisiaj skończycie. Było nas siedem chłopa do koszenia i każdy miał jedną kobietę do zbierania i wiązania żyta. Na wieczór ale się już ściemniało mieliśmy skoszone związane i ustawione żyto w kopkach i każdy kośnik miał 12 marek za ten dzień z kobietom zarobione. To był ładny zarobek i nawet później w kopalni się nie zawsze to zarobiło. Na zimę mówi moja żona: ja już

teraz nie mogę więcej jechać a była w ciąży więc mówię to kupiemy małe gospodarstwo. Mój Ojciec mi nastręcał w sąsiedniej wiosce 15 mórg roli w tem 4 morgi łąki z torfem. Chałupa nie była taka dobra tylko z jednej strony murowana i stodoła też licha. Ojciec mówi: cegielnia niedaleko kupis cegły to ja ci wymurujem (Ojciec był murarz) poszedłem z Ojcem i zgodzieli my za 1600 talarów i ta wdowa co jej była własność też miała jeszczy rok tam mieszkać. Oprócz tego była jeszczy matka jej zmarłego męża która też miała małom izdebkę i zagon roli jak ogród długi. Pojechaliśmy do miasta Szycowa do adwokata tam ta wdowa nie chciała dać jednej krowy jak żeśmy się ugodzieli a moja żona też nie chciała żeby obie kobiety tam mieszkały i wobec tego kupno upadło. Na drugi dzień poszed sąsiad mego Ojca do tej wdowy i kupił dla swego syna dając 50 talarów więcej. Zgorszony tym niepowodzeniem pojechałem z mojem bratem i z jednym kolegą do Westfalji tam dostaliśmy pracy we fabryce maszyn do wypychania koksu a na stancji byliśmy u znajomego który też w tej fabryce pracował. W sierpniu tego roku pisze moja żona żeby przyjechać do domu, więc pojechałem i za kilka dni dostała żona ładnom córeczkę. Ja nie mając zatrudnienia dostałem pracy w cegielni i pracowałem do października. W październiku każdom sobotę przy wypłacie majster kilku robotników z pracy zwolnił i tylko tych zostawił co całe lato u niego pracowali, tak i mnie jednom sobotę zwolniono z pracy. Na zimę było u nas trudno o pracę, więc pojechałem znów do Westfalji tam dostałem zatrudnienie u jednego przedsiębiorcy przy zakładaniu kabli później przy murarzach. 15 lutego 1905 wybuch na kopalniach strajk i nas budowniczy posłał trzech murarzy i mnie do kopalni do betonowania szybu. Górnicy nam nie robieli trudności ponieważ to była pilna praca dla utrzymania kopalni. W tym casie napisałem do żony ażeby też przyjechała za mną. Żona zostawiła umeblowanie u rodziców, zabrawszy tylko odzież i pościel przyjechała, ja kupiłem od jednego Polaka gdzie byłem na stancji (i który wyjeżdżał do Poiski) jego umeblowanie za 600 marek które sobie dałem przysłać z Banku polskiego w Kempnie. W kwietniu tego roku się strajk górników skończył zaprzestali my pracy w kopalni. Przy budowie gdy deszcz padał nie było pracy a mnie się praca pod ziemią upodobała, poszedłem na drugom kopalnie „Hanibal" należącom do firmy Krupa zapytać się

o pracę i zaraz na drugi dzień otrzymałym po przedstawieniu się u kopalnianego lekarza. Pracowałem najprzód przy szybie jako ciszkac dostając na szychtę 3 marki 30 fg. Stygar który był bardzo wyrozumiały mówi: ty jesteś żonaty to dla ciebie za mały zarobek lecz możesz robić co tydzień dwie nadszychty to też będziesz miał blisko tyle co ci co przy węglu pracujom. Gdy przepracowałem trzy miesiące mówi stygar: rozumiesz wszystkie sygnały przy szybie? ja mówię: tak. Będziesz drugiem podbijaczem (Anschläger) i dostaniesz 50 fg na szychtę więcej tylko uważaj żeby się jakie nieszczęście nie stało. Gdy przepracowałem dwa lata zgłosiłem się do pracowania przy węglu. Po pewnym czasie posłał mię nadstygar do jednego Polaka rębacza jako pomocnik przy robieniu ganku powietrznego (Wetterstreke) po pół roku zaczęliśmy pochylnią (Bremsberg) i tam nam się poszczęściło bośmy zarobieli po 11 marek na szychtę. Stygar widząc że zadość zarabiamy mówi: nie róbcie głupoty bo mi stary (Betribsführer) łeb urwie róbcie co tydzień ze dwie nadszychty a pracujcie z rozumem. Tak my zrobieli co miesiąc 30 — 32 szychty i zarobieli my 270 — 290 marek miesięcnie. I tak szło przy węglu aż do wybuchu wojny gdzieśmy raz dużo drugi raz mniej zarobieli. Pan Krupp nam też niekiedyś jakie podarunki ofiarował: po pięciu latach pracy dostał każdy 10 marek po 10 latach 20 marek i t. d. Jednego razu żeśmy wszyscy pamiątkowy srebrny medal otrzymali na pamiątkę 100-letniego istnienia firmy Kruppa. Gdy zacząłem we Westfalji pracować wstąpiłem zaraz do kościelnego polskiego towarzystwa i związku Zjed. Zaw. polskiego później i do innych organizacji które żeśmy w gminie Niemke pozakładali. W roku 1911 obrano mię od Polaków do Zarządu kościelnego gdzie byłem aż do wyjazdu do Francji w roku 1923 tam żeśmy się starali o polskie nabożeństwa podczas wojny dostali my i polskiego księdza. Razu jednego podczas wojny w roku 1917 mówi jeden Niemiec podczas zebrania zarz. tyczącego procesji Bożego Ciała: no słuchaj jeno, my som jedni katolicy, jednej wiary to moglibyśmy procesyjom też w jednej mowie i śpiewie to jest w niemieckiem odbyć. Ja mówię na to: czemu nie w polskiej? my kochamy naszą polskom mowę i pieśni a wy mówicie i piszecie po gazetach: Nas niemiecki Bóg Wojny nam do zwycięstwa dopomoże. Niemcy na to: co tam gazety piszom, ja zaś mówię: wasza centrowska-katolicka gazeta to piszała, więc to

jest i wasze zdanie. Odtąd bardzo krzywem okiem na mnie patrzeli. W roku 1911 chcąc zmienić pomieszkanie z powodu powiększania rodziny mówi do mnie mój kolega Stopa który też był górnikiem i zarazem posiedzicielem domu: kup odemnie jeden numer. Namówił mnie i kupiłem za 11000 marek wpłaciłem 3000 marek reszta na hipotece i do spłacania rocznie 100 marek i procent. W roku 1919 gdy Polacy zaczęli już do wolnej Polski i Francji wyjeżdżać sprzedałem i ja mój dom w zamiarze później w Polsce co kupić. Pieniądze dałem do Banku robotników w Bohum później posłałem do Banku robotników w Toruniu. Przyszła dewaluacja do tego Bank w Toruniu zbankrutował i wszystko przepadło. Był wtedy wielki lament między wychodztwem bo niejedni bardzo dużo potracieli. W roku 1913 też wybuch na kopalniach strajk. Stary Verband i Zjed. Zaw. polskie byli za strajkiem a Zw. chrześcijański i Hirschdunkerowcy przeciw. Rozumni ostrzegali że strajk się nie uda. Szowiniści znów krzyczeli żeby dalej strajkować. Kopalnie sprowadziły tłumy żandarmów i wojsko. Po paru dniach dostaliśmy wezwanie żeby przyjść pracować ponieważ straciemy pracę. Rozumniejsi i ja też poszedłem, a ci co nie pośli dostali osiem szychtów odtrącono i byli na nowo do pracy przyjęci. Wielu poszło do więzienia za podburzanie, tak jest między związkami gdy niema jedności i większa połowa załogi pracuje. Gdy wybuchła wojna stygarzy naganiali do wydawania dużo węgla i straszyli posłaniem na front, lecz wkrótce zabrakło wagonów do transportu i naganianie ustało. W roku 1915 musieliśmy też wszyscy którzy nie przekroczyli 45 lat stanąć do komisji wojskowej celem wysłania zdatniejszych na wojnę. Mnie także wybrali zdatny do służby polowej, lecz po kopalniach Kruppa wszystkich reklamowali (ponieważ tam jeńczów wojennych nie zatrudniali jak w innych kopalniach) a tylko tych wyszyłali co mieli, jakie zatargi ze stygarami. Po skończonej wojnie zaczęli wyjeżdżać wszyscy do Polski lecz w krótkim czasie już organizacyje nawoływały ażeby nie do Polski jechać bo tam brak pracy tylko do Francji i równocześnie francuski konsulat w Duisburgu wziął dwóch Polaków (pana Noskowiaka i później pana Kleina) żeby Polaków namawiali na wyjazd do Francji dając obietnicę że tam już będzie nasze życie i naszych dzieci zabezpieczone i nasza renta starości nie będzie stracona. Zaczęli wyjeżdżać z początku pojedyńcze rodziny i mieli wielkie trudności ze strony Niemiec przy wysyłaniu

mebli którzy co lepszego nie dali zabrać albo musieli opłacić duży podatek. W tym casie się też odbywały wybory do radnych gminy przy tajnym głosowaniu co przedtym nie było tylko trzyklaszowe i Polacy też dwóch to jest mnie i kolegi Kaczmarka do rady gminnej przeprowadzeli. Ja będąc podcas wyborów w spitalu (w Bergmansheil) ponieważ spadły kamienie i potłukły mi mocno nogę i głowę zawieźli mię wozem do spitala lekarz zaszył mi dziurę w nodze i na głowie i przeleżałem tam 14 dni i potem w domu swięczyłem jeszczy 14 dni w spitalu nie chciałem dłużej zostać bo nas karmieli co obiad zgniłom brukiew albo suszone liście gotowane z brukwi z pokrzyw i t. d. Żona mi przyniosła chleba sama nie mając wiele bo nie można było nic kupić jak na kartki do tego był chleb mieszany z trocinami z drzewa ale zawsze był lepszy jak ta brukiew i liście z robakami. Jeździeli my też na Chamsterkę to jest skupowali żywność do dalszych okolic rolniczych i każdy przywiózł do domu ile i co mógł unieść i dostać kupić: mąki, kartofli, wyki, grochu, pszenicy to my mielili na młynku od kawy. Później obsadzieli Francuzi wojskiem cały obszar kopalniany aż do Dortmundu więc się i głodowanie skończało. Francuzi pozakładali składy dla wojska lecz i ludność cywilna dostała kupić żywności. Francuzi wzięli kolej w swój zarząd i wysyłali węgli do Francji i kto z ludzi podróżował taksamo Francuzom płacił. W tem casie mi też napiszał mój szwagier list z Francji który tam już przedtem wyjechał ażebym też do Francji jechał bo jest żywności dużo chleb pszenny do tego można masła kupić nie trzeba margariny jeść. Ja będąc już lat 50 długo się namyślałem lecz w końcu się zdecydowałem też wyjechać gdyż większa cześć Polaków wyjeżdżała. Do tego przyszło, że miałem duże zatargi w radzie gminnej z powodu starania się o polskom skółkę dla dzieci o salę gminnom dla gimnastyki Sokołów o wsparcia dla biednych wdów o polskie nabożeństwa i t. d. Pojechałem więc do francuskiego konsulatu w Duisburgu ponieważ tam się musiał każdy najprzód zgłosić do lekarza i zabrałem ze sobom syna który miał 17 lat. Lekarz rewidując mnie mówi: ja pana nie mogę wziąć bo pan ma za duże żyły na nogach (Krampader) może pan ma syna to możecie na niego wszyscy jechać. Ja mówię: syn tu jest. Dobrze i gdy syna zrewidował byliśmy już do wyjazdu przyjęci. Zdarzył mi się też przypadek. Niemieckie pieniądze już w tym casie spadowały co-

dziennie że każda kopalnia każda fabryka drukowała swoje pieniądze. Ja mając pieniądze z firmy Kruppa nie chcieli Francuzi na dworcu przyjąć tylko rządowe. Ale naradzieli mi ażeby iść do Banku i tam wymienić co też uczyniłem i mogliśmy do domu jechać. Znów było trzeba jechać do Essen do polskiego konsulatu i się starać o obywatelstwo polskie. Pyta mię urzędnik: macie jakie dowody. Ja mówię: jakie dowody? no od towarzystw. Wyjąłem $^1/_2$ tuzina książeczek i mówie: tak jezdem przewodniczoncem trzech polskich towarzystw to mam i dowody. Urzędnik mówi: niech pan tu dokumenty i fotografie zostawi i pieniądze a jak będom pasporty gotowe dostaniecie poctom nadesłane. Po niejakiemś casie dowiedzieli się Niemcy że mam zamiar do Francji wyjechać i zaczęli mię w radzie gminnej szykanować. Wtencas mówię do mego przyjaciela Franciszka Kowali który mieszkał w naszej gminie i był woźnym w konsulacie: mów w konsulacie ażeby nam te papiery zaraz wyrobieli bo ja już nie mogę się z temi Niemcami dłużej kłócić. Za parę dni dostałem wszystkie dokumenty pojechałem z niemi do Duisburga do francuskiego konsulatu. Stamtąd dostałem znów wiadomość ażeby za dwa dni wyjeżdżać do Francji. Przedałem co nie było można zabrać kozę kury i t. d. zamówieliśmy wagon na meble u francuskiej władzy poszedłem na kopalnie po moje papiery a że tam przez 19 lat pracowałem mówi do mnie Betriebsfürer: czy myślicie że we Francji lepiej jak tutaj. Ja mówię: tak wyście najwięcej temu winni, że do Francji wyjeżdżam ja się was kilka razy pytałem i prosiłem ażeby mojem synom dać pracy a u was dla nich nigdy nie było a chłopcy się włóczom po ulicy i tylko szkody robią. Wtenczas mówi: gdzie ja mam wszystkich chłopców zatrudniać? No jedźcie z Bogiem i niech wam się tam dobrze powodzi. Ja zaś na to: Niech wam się też tutaj dobrze powodzi i niech was Bóg ma w swojej opiece. Pośliśmy też do ks. Proboszcza i ks. Wikarego który mówił po polsku ten zaś mówi: co za okropność wasi synowie się tu urodzieli tu wychowani a gdy przyjdzie wojna muszą przeciw nam walczyć. Ja zaś na to: niech Niemcy wojny zaniechajom to i drugie kraje nie będą wojny prowadzić. Nazajutrz przysłali Francuzi trzy duże auta ciężarowe bośmy po trzy rodziny do jednego wagonu nasze umeblowanie pakowali i wszystko żeśmy uskutecnieli Niemcy już nie mogli teraz żadnej opłaty od mebli żądać bo teraz Francuzi nas mieli pod swojom opiekom. Na

drugi dzień rano 22 września 1923 wyjechaliśmy kolejom do francuskiego konsulatu w Duisburgu tam my się zatrzymali do wieczora gdzie uformowali osobny pociąg coś 650 — 700 osób który nas wióz do Toulu. W Duisburgu wymieniali my niemieckie pieniądze na francuskie i płacieli my 15 miljonów marek za jednego franka. W Toulu znów nas dwa dni zatrzymano tam dostali my jedzenie i każda rodzina po 10 fr. na dalszą drogę. Chodzieli my też ze 3—4 razy do lekarza do rewidowania szczepienia i t. d. Na koniec wystawiono nam papiery do której kopalni się ma każdy udać, ja z mojom rodzinom i kilku znajomemi byliśmy przeznaczeni do kopalni Kompani Bruay. Pod wieczór wyjechaliśmy z tego ponurego miasta Toulu i jechaliśmy przez noc i na drugi dzień ku południowi dostaliśmy się w zagłębie węglowe. Tu na każdej stacji dworcowej po kilka rodzin wysiadywało i na ostatku i na nas kolej przyszła. Znów na dworcu długie wyczekiwanie aż nareszcie się zjawiły dwa kamiony (auta ciężarowe) i zawieźli nas do dużych baraków gdzie była zarazem kantina. Że był już wieczór wybrali my sobie po dwóch jedno łóżko do spania i dwie derki do przykrycia. Na drugi dzień znów do lekarza a potem na kopalnię gdzie była każdemu przeznaczona praca i każdy dostał swój numer. Teraz chodziło o pomieszkanie. W barakach nie chcieliśmy dłużej zostać z powodu wielkiego zaduchu jaki tam panował bo baraki były bielone wapnem klorkowem więc pośliśmy na dyrekcyjom kopalni prosić o pomieszkanie. Tłumacze polscy a było ich trzech przeglądajom książki i nie mogom dla wszystkich pomieszkania znaleźć. Na drugi idziemy znów na dyrekcyjom i znów to samo stare pomieszkania zajęte nowe nieukończone. Nareszcie jeden tłomacz mówi: ja mam pomieszkania tylko stąd trochę daleko będziecie do pracy jeździć kolejom. My mówiemy: wszystko jedno bylebyśmy z brzydkich baraków się wydostali. Po południu znów dwa kamiony zajechały my powsiadali i nasz bagaż pozabierali i zawieźli nas 9 kl. za Bruay do kopalnianych kolonij tam dostała rodzina trzy pokojowe mieszkanie z podwórkiem i chlewami dla trzody chlewnej kur i t. d. małym ogródkiem. Było tam w całości do 60 mieszkań robotniczych w tych nas umieszczeli sześć rodzin polskich. Jeden górnik (Francuz) prowadził sklepik kolonialny i tłomacz poszed z nami do niego ażeby nam dał towar na kredit aż do wypłaty ponieważ my nie mieli pieniędzy. Po dwóch ty-

godniach dostaliśmy nasze meble które żeśmy w Westfalji wysłali za ten transport mebli i za naszom podróż nam na kopalni każdom wypłate 20 fr. odciągali aż do 660 fr. więc nam ta podróż i transport dosyć tanio wypadło. Codzień kolej kopalniana do pracy odwoziła i znów z powrotem lecz zdarzało się że się nieraz który na pociąg spóźniał ponieważ na kopalni my podług numerów musieli wyjeżdżać to nie było żadnom przyjemnościom zwłaszcza zimom w nocy podczas zawieji śnieżnej albo słoty. Ja dostałem pracy przy węglu a moi 2 chłopcy jeden 17 lat drugi 15 ciszkaniu wózków z węglem. W niedziele śliśmy do kościoła miasta Bettune które było od Niemców podcasz wojny mocno zniszczone. Tam odprawiał też ksiądz polski z kompanji Noe co 14 dni Polskie nabożeństwo. Przepracowawszy tam rok żądali my znów pomieszkania w Bruay. Gdy nam nie chcieli udzielić wypowiedzieliśmy pracę wtencas nam pomieszkanie dostarczyli jeszczy nawet niezupełnie wykończone. Przeprowadziwszy się do Bruay mieliśmy ten korzyść żeśmy już nie musieli na kolej cekać ani z nią jechać bośmy sobie wyśli z domu wedle upodobania. Zaczeło się też znów inne życie. Wstąpieliśmy do Zw. rob. Polskich, kościelnego towarzystwa, Sokołów i t. d. które już w Bruay wtenczas istniały. Byli też dwa księdza polscy którzy kolejno po sąsiednich kościołach nabożeństwa odprawiali. Wtedy już się znajdowała w Bruay duża liczba Polaków i Polacy zakładali sklepy rzeznickie, piekarnie kolonijalki i t. d.

Powstały też po wojnie różne sekty religijne. Mówi raz do mnie mój znajomy gdyśmy śli do pracy: skoda żeś wcoraj nie szedł z nami na zebranie raczej na nabożeństwo do naszego Przyjaciela Konitckiego. Ja mówię: co tam było? Ano tam przychodzi jeden się modlić i zebrało się tam do 30.000 dusz. Ja zaś mówię: to nie mieliście tam miejsca bo cały Bruay ma niewiele więcej jak 30.000 mieszkańców. On zaś mówi na to: nasz tam było coś 30 osób ale ten co to się tam modlił to mówił że na to nabożeństwo się zebrało 30.000 dusz i ja to czułem jak się o mnie obcirały. Ja zaś mówię: słuchaj zanim odjeżdżałem z Westfalji tak samo zrobieli tam sektę bibliarzy. Mój przyjaciel prosił mnie ażebym też raz poszed co też uczyniłem. Jeden też tam odprawiał różne modły i prawił mowę że w starym testamencie wierzyli tylko w niebo a jak zły człowiek umrze to jest z niem

koniec a dobrzy ludzie będą żyć dale bo 1925 roku będzie koniec świata. W końcu mówił. kto nie zrozumiał może się o coś zapytać, ja mówię: pierwej też były wielkie wojny naprzykład od roku 1618—1648 co Niemcy nazywajom 30 letniom wojnom i nie było końca świata, a w starym testamencie Judas Makabeczyk po skończonej bitwie wysłał 700 drachmów na ofiarę za poległych więc i w piekło i czyściec wierzyli. Na to mi odpowiedział: ja nie wiem ale przyjdź na przyszłą niedzielę to przyjdzie ten wyższy duchowny to ci odpowie. Gdyśmy wyśli z jej nabożeństwa zebrało się grono Polaczków i mówią: a tożeć go się ale zapytał. Ja zaś mówię: poco tu chodzicie i wasze grosze tu zanosicie. My zbieramy na internowanych w Minden co Niemce z wojny bolszewickiej jak Polacy prześli jej granice internowali i na połowę nago i boszo zostawieli, a wy żeście żaden jeszczy grosza nie przynieśli ale tu dla takiej sekty to macie pieniądze. I odeśli zawstydzeni. Tutaj w Bruay tak samo jest: do żadnego towarzystwa nie należycie na cele polskie nic nie dacie z bibljoteków książek nie cytacie tylko do sektów grosze nosicie. Skutek był ten że mój znajomy się namyśla, do polskiego towarzystwa wstąpił i kilku znajomych namówił.

Praca we francuszkiej kopalni była o wiele gorsza aniżeli w Niemczech, nie było też takich porządnych urządzeń. Narzędzia musieli my chować po kątach co nam często skradli, w Niemczech miał każdy rębac swojom skrzynie i móg narzędzia zamknąć były też w Niemczech duże naczynia dla odchodów ludzkich, we Francji zaś szło wszystko do wózka z węglem. Ja dostałem po krótkiej pracy przy węglu pracę przy reperacji ganków powietrznych ponieważ Porion (stygar) mówi: jesteś przeszło 50 lat to tu we Francji już nie wolno przy węglu pracować. Miałem też dwóch młodszych synów ci będąc 13 lat też zaczęli na kopalni pracować przy wypychaniu wózków przy spuszczaniu wózków i t. d. W roku 26 przyjechał jeden Polak z Paryża i namawiał nas na wyjazd do południowej Francji na rolę. Ja będąc blisko 55 lat a we Francji nie wolno już pracować po 55 latach z małemi wyjątkami pod ziemią dałem się też namówić. Przywieźli nam kontrakty z departamentu Arras i żeśmy podpisali lecz gdy przyszło do wyjazdu moi znajomi się ze strachu pocofali lecz ja z rodzinom zabrałem się do wyjazdu. Zapakowaliśmy nasze mebli na kamion (samochód cię-

żarowy) na dworzec stamtąd do wagonu który my zamówieli przedtem za transport mebli do południowej zapłaciłem 1800 fr. Na drugi dzień rano my wyjechali do Arras tam nam wyrobieli nasze papiery na biurze departamentu i jechaliśmy do Paryża. Tam na dworcu du Nord cekał na nas Polak ten co nas namówił do wyjazdu i dopomóg nam nas bagaż i nas przewieźć na dworzec Quai d'Orsay. Stamtąd jechaliśmy wiecorem do południowej i na drugi dzień rano byli my w Toulousie. Stamtąd jechali my zwyczajnem pociągiem aż na miejsce do St. Elix le Chateau w departamencie H-te Garonne. Za podróż zapłacieli my 650 fr. a mieli my do połowy zniżonom cenę. Pan de Suaris nas nieźle przyją' i dał nam pomieszkanie 20 minut za wsią duże zabudowania pięć pokoi chlewy stodoła i t. d. Muszę zaznaczyć, że tam w południowej Francji po większej części się pojedyńcze gospodarstwa (fermy) za wsią w pośrodku pola znajdujom, gdzie ludzie pracujom jako dzierżawcy, połowniczy, Maitre-Valet i t. d. My byli zgodzeni jako Maitre Valet dostali miesięcnie 200 fr. każdy to jest ja i dwóch starszych synów dwóch młodszych 16 i 14 lat dostali 6 fr. dziennie. Do tego my dostali każdy sześć hektolitrów wina rocznie kartofli sadzieli my na każdego dwa worki białego grochu i kukurydzy na każdego pięć litrów my sadzieli lecz na połowę z patronem to jest zbiory my dzielili na połowę z patronem do sadzenia dostarczył nam bydła a reszte musieli my zrobić poza caszem jego pracy, dostali my też opał i mogli my chować kur dowoli osiem gęsi i jedną świnię dla nas. Wina było tam do uprawy circa 70 hektarów. Oprócz nas były tam trzy rodziny Francuzów ale ci mieszkali we wsi. Pierwsza praca bo było to już w grudniu było obcinanie wina a żeśmy jeszczy nie umieli to Resyzer (rządca) nam pokazywał dopóki my się dobrze nie nauczyli ponieważ trzeba zostawić dwa oczka i jeden duży pręt stare wina inaczej i młode wina inaczej obcinajom. Po zimie ja dostałem woły do pracy a że tam w jarzmach chodzom więc znów się musiałem przyuczyć. Wozy też majom o dwóch kołach pług ma tylko jednom słochę do trzymania. Synowie dostali konie do pracy i musieli do wsi po nie chodzić gdzie Pan miał duże obory i duży starożytny pałac (Chateau) zbudowany w dwunastym stuleciu. Ja miałem woły gdzie my mieszkali tam je też opatrywałem. Mówiłem resyzerowi ażeby nam pozwolił krowe trzymać lecz pozwolił nam tylko na kozę.

Wina my też nie spotrzebowali (na trzy chłopa my dostali 18 hekto), to nam resyzer zapłacił za to nieskonsumowane, Francuzi mieli jeszczy mało te samom ilość ponieważ rano i na wieczór pijom wino a my pieli kawę. Jesieniom tego roku nas pan de Suaris zmarł a że było jeszczy dwóch bratów i jedna siostra sprzedali ten pałac i 60 hektarów ziemi i parku a to drugie jakie 200 hektarów zostawieli. Pałac kupił Polak książe Lubomirski, żona Teresa z Radziwiłów. W pałacu zawrzało teraz życie. Książe który też miał już jeden folwark w dep. Tarn dał wiele ulepszeń w pałacu zrobił centralne ogrzewanie, windy na wyższe piętra i t. d. Utrzymywali też dużo służby. Guwernantków, kucharzy, szoferów, stolarza tak że się w pałacu roiło od Włochów, Francuzów, Anglików i Polaków. Dochodu tam żadnego nie było a bardzo duże rozchody więc po niejakiem casie książe Lubomirski wyjechał do Polski a księżna służbę zredukowała ale i reszty nie mogąc zapłacić do tego rozmaite rachunki i zaległości tak że po sześć latach księżny pałac i wszystkie nieruchomości sprzedali, księżna wyjechała z dziećmi do Rzymu do jej matki. Służba się też rozjechała tylko jeden stolarz który za ostatnie trzy lata zarobku nie odebrał i nie ma za co do Polski wrócić ceka wciąż jeszczy czy onemu sąd jeszczy nie przyzna od jego zarobku. Mój trzeci syn dostając 6 fr. dziennie, co było przy jego 16 latach sam w tych stronach za mało, poszed do jednego kowala się wyuczyć kowalstwa i dziś po ośmiu latach pracuje jako celadnik kowalski. Po trzech latach wzięliśmy jednom fermę w dzierżawę 32 hektary leżało tam ugorem ponieważ dwa lata tam nikt nie mieszkał. Kontrakt był na trzy lata pierwszy rok 1000 fr. drugi 2000 fr. a potem 3000 fr. rocznie dzierżawy. Narzędzia rolnicze były w komplecie tylko wiązarki brakowało. Narzędzia były taksowane a przy odchodzeniu tę mniejszom wartość trzeba wynadgrodzić. Bydło mieli my mieć własne, a że w ten czas bydło mocno podrożało i nie mieli my tyle własnego kapitału więc wzięliśmy od jednego sąsiada na połowę. Na bydle żeśmy cośkolwiek zarobieli, lecz na zbożu żeśmy zato stracieli ponieważ rok 30 był w tych stronach bardzo mokry, rzeka która w pobliżu płynyła kilka razy wylewała tak że nam się ledwie nas zasiew wrócił.

Rok 31 był znów bardzo mokry więc wypowiedzieli my naszą dzierżawę i pośli do Longage na połownictwo gdzie od 31 ro-

ku jeszcze zamieszkujemy. Tutaj żniwa zawsze dosyć dobrze wypadnom bo mamy ziemię suchom i w dolinie mokrom glebę to chociaż rzeka wyleje to w drugiej stronie się zawsze zboże uda. Mamy 45 hekt. ziemi uprawnej a zbierzemy 200—300 worków zboża rocznie z cego Patron bierze połowę. Kartofli zbierzemy 75—125 worków kukurydzy 120—150 worków białego grochu 4—8 worków i t. d. Patron (gospodarz) bierze naturalnie ze wszystkiego połowę. Zato zaś na bydle mamy stratę ponieważ bydło było bardzo drogie gdy żeśmy fermy objęli i było wyszoko takszowane a teraz przeszło połowe staniało więc musiemy dopłacać było 22 stuk rogatego i koń wartości 27,500 fr. z tego patron już 10 stuk sprzedał za połowe tej ceny co było takszowane a my musiemy według kontraktu tę brakującom sumę dopłacić. Synowie też już dorośli dwóch się ożeniło, ten najmłodszy który chodzi kelnerować do gościncy kupił sobie domek i dwa hektary ziemi.

I każdy patrzy tylko na siebie a dla Ojca i Matki nic niema, tak długo jak mogę pracować to dobrze lecz nie wiem co dalej będzie ponieważ siły mię opuscajom, pieniędzy nie mam a renty knapschaftowej z Niemiec nie mogę otrzymać chociaż nam zapewniali że nam nie zaginie. Co to we Francji trzy lata w górnictwie pracowałem dostajem 80 f. renty rocznie lecz z knapschaftu bochumskiego nic. Na zjeździe osadników polskich w Tuluzie 2 lutego tego roku był tam Radca Emigracyjny Pan Cara obecny. Mój syn który był delegatem naszego kółka rolniczego przedstawił mu moje położenie w sprawie renty żem już wszędzie pisał nawet do Hitlera do Berlina a i zastępca ambasadora radca Mühlstein który nas z panem konsulem raz odwiedził przyjął tę sprawę do wiadomości, więc pan radca Cara mówił synowi ażebym wszystko dokładnie opisać i posłać do ambasady to dostanę zapomogę tymczasową jak w północnej Francji górnicy otrzymujom. Opisałem dokładnie i list odesłałem 10 lutego a dziś co to piszę mamy 10 maja i niema odpowiedzi zapewnie zapomniałem znaczek włożyć na odpowiedź to odpowiedzi niema chociaż dostałem w zesłym tygodniu list z ambasady ażeby urządzić zbiórkę na pomoc oświatowom Rady Porozumiewawczej list dostałem ażeby do Tow. Przyjaciół Bursy Polskiej przystąpić i składki opłacić lecz skąd brać pieniądze jak się nie zarobi. Muszę też zaznaczyć że gdyśmy w roku 26 do południowej przyjechali to było trudno Polaka zna-

leźć obecnie można niemal w każdej wsi jednego znaleźć, mamy też od roku 30-tego polski konsulat w Tuluzie mamy też polskiego księdza w Tuluzie który dwa razy do roku Polaków objeżdża i na polskie nabożeństwa i spowiedzi gromadzi. Lecz gdy się już jest starym tenskni i marzy sie o swoich rodzinnych stronach gdzie się w niedzielę te ładne polskie pieśni śpiewało a tutaj chociaż francuski ksiądz dla nas jest bardzo dobry odwiedza nas też często raz do roku zbiera podatek kościelny 5 fr. od osoby lecz to wszystko cudze i te okolice i niema jak swoje rodzinne strony których od 25 lat nie widziałem i zapewne więcej nie zobaczę.

Dn. 15 maja 1936 r.

Pamiętnik Nr. 35

Górnik, obecnie rolnik, syn kowala spod Nieszawy
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Ojciec mój urodził się na wsi, dziadek był kowalem wiejskiem posiadał swoją własną kuźnie i małe gospodarstwo składające się z 18 morgów pola. Do podziału było czterech synów i jedna córka. Ojciec mój jako syn najstarszy zacął prace ze swem ojcem w kuźni jako czeladnik kowalski. Z początku póki mniejsze rodzeństwo nie dorosło było bardzo dobrze potem jak bracia ojca dorośli zaczął dziadek mój wybierać ten lepszy a ten jeszcze lepszy a ojciec mój pozostawał w tyle aż ojciec doszed w tej atmosferze do pełnych lat i postanowił się ożenić w tej samej wiosce gdzie rodzice ojca zamieszkiwali znajdował się folwark ojciec mój jako syn najstarszy chodził kuć konie i robić wszelaką prace w zakres kowalstwa wchodzącą i w tem czasie się zapoznał tam z jedną dziewczyną i przyszło do tego że się ożenili, więc po weselu mego ojca dziadek mój nie chciał przyjąć swojej synowy do mieszkania. I teraz się zaczyło całkie piekło w domu bo dziadek był przeciwny temu że ojciec się ożenił z dziewczyną biedną i do tego o 12 lat starszą od siebie i z tego powodu dziadek wydziedziczył mego ojca z gospodarstwa, więc teraz się zaczął okres ciężkiego życia mego ojca ale że ojciec był prędki więc sobie powiedział trudno jakoś sobie rade musimy dać zabrał ojciec swoje manatki i poszli ze swą żonę szukać pracy jako w krótkim czasie ją znaleźli. Ojciec jako kowal pierwszorzędny, a żona jego jako kucharka otrzymali prace na folwarku i tam im jakoś szło nienajgorzej wcale i dał im Bóg troje dzieci dwóch synów i jedną córkę. Córka jako najmłodsza była najsłodsza aż przy-

szed dzień taki że dziewczyna zachorowała na ospę ojciec wtedy rzucił prace i stale przesiedział przy tem dziecku ale na nic się zdało ojcowe siedzenie Pan Bóg powołał ją do siebie w 3-im roku swego życia. Ojciec tak się przejął tem że prosto od zmysłów odchodził więc teraz powstało piekło w domu bo ojciec zaczął pić i do tego zaczął nienawidzieć swojej żony i starszych dzieci, a do tego dużo się przyczynili somsiady bo każdy mówił ażeby z dzieckiem twoja tak nie chodziła po domach oglądać chorych toby do tego nie doszło. Pomału przyszło do tego że ojciec porzucił prace ze wszystkiem i oddał się całkiem piciu i co było troche grosza jakiego w domu to wszystko przepił i nareszcie zaczął z domu wynosić po trochu wszystko aby tylko pić i pić bez przerwy, aż na tej swojej smutnej drodze trafił jedne dziewczyne co mu bardzo weszła do głowy i postanowił zostawić na łaske losu swoją żone z temy dwojgiem dzieci a z tą dziewczyną jechać poza granice Niemiec jako i tak się stało. W Niemczech byli przez pare lat i tam się dochowali dwoje dzieci, to jest ja i mój brat starszy odemnie o osiem lat. Matka moja przy mojem porodzie umarła a ja pozostałem przez matki. Ojciec mój teraz włożył całki zasób energji na wychowanie mnie w tem czasie sprowadził z Polski babkę a matkę mojej matki i ta kobieta się zajęła mojem wychowaniem. Ojciec mój pracował we fabryce jako kowal i zarobek miał bardzo ładny. Razu jednego wracając z pracy trafił się ojciec przypadkiem ze swojem bratem średniem, przywitali się serdecznie i ojciec się zapytuje co ty tutaj robisz bracie poza granicą czyś przyjechał w jakiej ważnej sprawie czy tyż tylko chęć zwiedzenia tego kraju a może tyż żeś uciekł abyś do wojska nie poszed, a brat odrzek nie bracie ani jedno ani drugie słuchaj co ja ci opowiem. Po twojem wyjeździe z domu naszego szło nam wszystkim bardzo dobrze bo ja zastąpiłem ciebie w robocie i z ojcem naszem żeśmy prace mieli stale, bracia młodsze też podrastali i jeden za drugiem zaczynali nam pomagać. Ja kiedy doszłem do pełnych lat mówie do ojca teraz jużby był czas abym i ja pomyślał o jakiej żonaczce, a miałem już panne oddawna, a ojciec mówi ta jak chcesz to się żeń przecie przy mnie do śmierci nie będziesz i za zgodą ojca dalej się żenić, ale że los tak chciał żem się nie ożenił z tą co mi ojciec nie bronił tylko z drugą i biedną to tak samo ojciec postąpił ze mną jak i z tobą, a do tego jeszcze więcy mi przysporzył zmartwinia bo moja żona tak się

tem przejęła że z tego wszystkiego umarła bo dostała zapalenia mózgu i ja potem wszystkiem opuściłem kraj rodzinny i przyjechałem do Niemiec aby o tem wszystkiem zapomnieć a jeszcze ci muszę nadmienić to że nasza kochana matka umarła zaraz w krótkim czasie po mojem weselu, a także samo muszę ci nadmienić że ojciec sprzedał gospodarkę wraz ze wszystkiem a kupił jeden niemiec to wszystko a ojciec wyjechał do Nieszawy, tu nadmienić musze że rodzina moja wychodziła z Kujaw czyli ze ziemi Warszawski powiatu Nieszawskiego, mój ojciec wysłuchawszy opowiadania swego brata spytał się czy już dawno tutaj jesteś, a już blisko pięć miesięcy jak robie u jednego bambra na fermie jako zwykły robotnik. Ojciec mój mówi a czemu nie starasz się abyś mógł robote dostać we fabryce, zarobki są lepsze praca nie taka ciężka i mieszkania są porządne. Żebyś mi mój bracie mógł wyszukać prace we fabryce tobym poszed z wielką chęcią ale tak sam to sobie rady nie dam bo nie znam tego języka prawie wcale. Więc przyjedź do mnie ze wszystkiem a ja ci prace znajde tam gdzie robię jako po krótkiem czasie się sprowadził stryjek do nas i było nam wszystkim bardzo dobrze bośmy mieli spokój w domu, ale stryjek się przejął bardzo mojem losem że ja taki mały a już jestem sierotą a było się czego przejmować bo dziecko takie trzymiesięczne przez matki to jest ciężki los z takiem dzieckiem więc każde wolne chwile swego czasu stryjek poświęcał memu ojcu aby się ojciec nanowo złączył ze swoją żoną. Ojciec stale stryjkowi odpowiadał nie mogę bracie w żaden sposób, bo ona mi nie odpuści tego że ja tak uczyniłem, ale stryjek już się naprzód poinformował ze swoją bratową i obie strony się tak wahały jakiś czas, aż nareszcie o wszystkiem zadecydowały moje pierwsze słowa które żem wymówił mama, więc ojcu mojemu stanęły łzy w oczach i rzekł niech się dzieje wola Boga, bracie pomuż mi aby to dziecko miało matkę, a ja w tem czasie nie byłem jeszcze ochrzczony więc stryjek mój zaproponował memu ojcu aby jechać nazad do Polski i tam się wszystko załatwi i ojciec się zdecydował jechać ale nie we swoje strony tylko całkiem w insze a mianowicie pojechali do ziemi kaliskiej do miasta Koła, tam pozostałem ochrzczony dnia 21 sierpnia 1903 roku. W parafji kościelny jeszcze było dużo komplikacji z mojem chrztym, a to z powodu tego że nie miałem jeszcze matki, raz ojciec mój poszed do księdza proboszcza parafji Koło do której byliśmy należący ksiądz pro-

boszcz odmówił chrztu a to z powodu tego że ojciec był katolikiem, a moja matka piersza ewangieliczką więc ksiądz ich odesłał do kościoła ewangielickiego. Ojciec mój powiedział o ile mam dziecko ochrzcić w kościele ewangielickiem to i ja sam przystane na te wiare. Stryjek mój a potem mój ojciec chrzestny mówi do mego ojca słuchaj Ignac co ja ci powiem ja pojade do twojej kobiety i opowiem jej, niech ona nam powie co mamy robić. Gdy stryjek tam zajechał i opowiedział jej wszystko tak ona rzekła nie nigdy w świecie nie pozwole abyście to dziecko mieli ochrzcić w kościele niemieckiem ja chce być matką temu dziecku i chce żeby ono nosiło moje własne imie i nazwisko mego męża. Więc stryjek mówi to radź co mamy robić. Matka moja mówi jadę z wamy i pójdziemy do innej parafji i tam dziecko ochrzcimy i tak się stało, że pojechali ze mną 5 kilometry i tam otrzymałem chrzest święty i nazwisko swego ojca które przedewszystkiem zawdzięczam swojej matce i po dziś dzień wspominam ją z wielkiem zamiłowaniem. Od tego czasu famielija nasza się powiększyła bo było nas czterech braci, trzech którzy nosili nazwisko naszego ojca a jeden mój brat rodzony który był z matki ewangieliczki nosi nazwisko po matce ewangielickie ale nasza przybrana matka nas wszystkich kochała jednakowem sercem, za co jej się należy od nas wszystkich podziękowanie tylko niestety że biedna nasza matka nie mogła doczekać tej chwili bo bóg jej nie dał doczekać zmarła w sile wieku kiedy miała 73 lata i to w okolicznościach niebardzo przychylnych na jej stare lata, a mianowicie ojciec nasz kiedy się zeszed z matką więc wziął główny udział w ruchu niepodległościowym, ojciec nasz wstąpił w szeregi partji robotniczej która nosiła miano P. P. S. Centrala tej partji znajdywała się wtenczas w mieście Łodzi, ojciec nasz w krótkiej chwili został mianowany przez centrale na swoje miasto przełożonem do tajnych zebrań i w tem czasie ojciec dostał zawiadomienie z centrali i dostał tajne polecenia aby organizował i skupiał lud miasta Koła około siebie, a było to w roku 1905. Ojciec nasz z wielkiem zapałem wziął się do pracy i praca szła w tempie przyśpieszonym bo główna centrala ojca nagliła aby jak najprędzej być gotowem jako w ostatnich dniach dostał ojciec znowu zawiadomienie z centrali aby był gotów na ten i na ten dzień aż dostanie wszystkie papiery które będą potrzebne jako i ten dzień tak przez ojca upragniony nadszed, dzień przed temy wypadkami które były

w mieście Łodzi ojciec dostał całką przesyłkę broni i pieniędzy i tak samo już nie tajne polecenia a zrozumiałe rozkazy, jak i gdzie ma zacząć. Ojciec nasz porozdawał rozkazy pomiędzy swoich ludzi, gdzie i o której godzinie mają się stawić. Nie przeczuwał nasz biedny ojciec że to jest jego ostatni dzień w domu rodzinnym że w krótkim czasie zostanie schwytany i skuty w kajdany. Więc kiedy nadeszła ta godzina ojciec nasz pożegnał się w domu i wyszed aby zbadać czy wszystko jest w porządku. Żaden ze spiskowców nie wiedział gdzie jest broń ukryta oprócz naszego ojca i woźnicy, który broń przywiózł jako wszystkie spiskowcy się zeszli na oznaczone miejsce i teraz mieli otrzymać broń. Żaden ze spiskowców nie miał pojęcia że tutaj jest zdrada i wszyscy śli cichaczem do piasków, bo tam broń była ukryta, nie wiedzieli że idą prosto lwu do paszczy. Gdy już podeszli bardzo blisko ojciec kazał się wszystkiem zatrzymać a sam ze swojem zastępcą się spuścili do piasków aby broń sięgnąć i rozdać pomiędzy towarzyszy, jakie zdumienie ojca było kiedy broni nie znalazł w tem miejscu gdzie ją zostawił. Obszukał całki dół a widząc że nic nie znajdzie więc zmiarkował że jest zdrada, gdy wyszedł z dołu i zakomunikował te smutną nowine swoim towarzyszom wszyscy prawie potruchleli i w tem samem czasie kozaki na nich napadli ze wszystkich stron, zaczeli bić kolbami od karabinów a nasi tylko się bronili ucieczką bo żaden broni prawie nie miał. Ojciec nasz miał broń palną tylko co to znaczy jeden małzer na tyle żołdactwa, ale swoją drogą że tak ich długo trzymał aż spiskowcy mogli się ukryć i pod naporem kozaków musiał ulec przewadze obstąpili go ze wszystkich stron i zaczeli krzyczeć aby go zabić drudzy znowu aby go żywcem brać, jako był żywy wzięty, a to całkie nieszczęście było ojca że brakło naboi ojcu bo ostatni nabój chciał sobie w głowe wpakować. Po krótkiem pobycie w spitalu więziennym odbył się sąd i ojciec został skazany na 25 lat Sibiru. Sędzia prosił ojca aby wydał tych drugich to kara zostanie zmniejszona, ale ojciec powiedział że nie wie co to za jedne byli i na tem się skończyło że ojca po krótkiem pobycie odesłali. Matka w pierwszej chwili gdy usłyszała że ojca złapali to jakie papiery byli w domu, to wszystkie spaliła aby nie było znaku żadnego w domu i od tego czasu matka nasza stale się przejmowała losem naszego ojca a także samo i naszem, bo dzisiaj kobieta w starszym wieku, a w dodatku z dwojgiem dziećmi małe-

my, bo starszych braci w domu nie było, bo najstarszy się ożenił, średni pojechał do Ameryki aby się został mój brat rodzony który miał wtenczas 10 lat i ja co miałem drugi rok, więc miała się matka czego obawiać o nas chociaż biedy u nas nie było takiej ale rozkoszy też nie było jednakowóż los nasz miał się poprawić w krótkim czasie bo razu jednego matka nasza wychodząc na dwór zobaczyła 10 rubli położone na progu mieszkania i od tego czasu w każdy tydzień w tem samem miejscu i w takim samem czasie były pieniądze składane. Nareszcie matka chcący się przekonać z jakiego źródła pieniądze te pochodzą zaczeła pilnować aby się dowiedzieć, jaż w tym czasie dnie wypłaty zaczeły się zmieniać że matka i tak nie mogła zbadać, aż razu jednego gdy matka wstała rano jak zwykle patrzy a tu jest kartka i 10 rubli. Kartka była tej treści.

Szanowna Pani Nowińska. Daremne są Pani trudy do zbadania naszej tajemnicy. Prosimy Paniom bardzo aby Pani zaniechała swych fatyg i pozostawiła nas w spokoju, pieniądze które Pani otrzymuje są przeznaczone na wychowanie Pani dzieci, a my ze swojej strony dołożymy tyle starań, aby Pani na niczem nie cierpiała.

Z poważaniem P. P. W. SZ. P. Nieznany...

Matka nasza po otrzymaniu tej kartki przestała być stróżem i zajęła się całkiem czem innem, bo już blisko rok jak ojca nam zabrali a nie mamy od niego żadnej wiadomości, aż tu jednej nocy z wielkiem dobijaniem się do drzwi chtoś woła aby matka roztworzyła, bo żandarmerja idzie. Matka się zerwała na równe nogi i roztworzyła. Zaczeli przewracać wszystko do góry nogami i nic nie znaleźli, wtedy jeden mówi do matki czy niema czasem listu od ojca matka mówi już rok jak żeście go zabrali i żadnej wiadomości od niego nie mamy. Tak ten żandarm mówi łżesz ty swołocz prachlataja mużyk uszoł z Sibiru i ty znajesz kuda on sia nachodit siczas. Matka gdy usłyszała te słowa padła zemglona na ziemie, wtedy brat mój zaczął płakać mocno i ja mu zaczołem pomagać wtedy jeden z tych żołnierzy wzioł matkę położył na łóżku a drugi z mojem bratem poszli do sieni po wode, wtedy ten żandarm rzekł do brata mojego, słuchaj mały gdy matka twoja przyjdzie do siebie to powiedz jej tak że choćby wiedziała gdzie ojciec wasz jest to żeby nikomu nic nie mówiła, ty tak samo abyś zamilczał na miłość

swego ojca nie rzeknij ani słowa i od tego czasu matka nasza już więcy nie wstała aż nadszed dzień 27 czerwca 1906 roku kiedy matka życie swoje zakończyła i myśmy zostali się sierotamy przez ojca i matki. Brat mój najstarszy przyszed po pogrzebie i zabrał wszystko co było tylko w domu, a stryjek zabrał mnie do siebie. Brat średni poszed do swojej babki co nas wychowywała w Prusach i tak nam upłynął całki rok 1907. W wigilije Bożego Narodzenia przyszed chtoś w nocy do mego stryjka i pukał do okna gdy się stryjek odezwał tamten poza oknem mówi to ja bracie otwórz a co dalej mówili to do dzisiaj nie wiem, bo to pozostało jeich tajemnicą, tylko pamiętam tak jak poprzez sen, że gdy rano wstałem to był jeden żołnierz u nas z wielką brodą i strasznie mnie całował i tak upłynął nam rok 1908 i 9-ty i ten żołnierz stale przyjeżdżał do nas na każde święta. Ja już tak się przyuczyłem do tego żołnierza, że jak go nie było długo widać to się stale pytałem kiedy ten żołnierz przyjedzie co ma taką dużą brode, aż wkońcu 1909 roku przyjechał ten żołnierz którego tak zawsze oczekiwałem i oto cożem się dowiedział że tym żołnierzem to był mój ojciec rodzony który się ukrywał pod innem nazwiskiem i pracował na Cieszyńskiem Śląsku i za każdy raz kiedy przyjeżdżał do nas to się ubierał w uniform wojskowy aby nie był poznany od nikogo. Aż początki roku 1910 przyniosły całkowite rozwiązanie, bo ojciec zachorował i po 15 dniach ciężki choroby życie swoje zakończył 11 marca 1910 roku i ja znowu pozostałem się sierotą jeszcze większą jak byłem bo gdy ojciec mój umarł, stryjek bał się następstw jakie mogą wyniknąć po śmierci ojca pozostawił wszystko i uciekł gdzieś i tak jakby kamień we wode chto rzucił do dzisiaj nicht o niem nie wie. Tyle poświęcam świętej pamięci ojca mego a o dalszem swojem losie opiszę w rozdziale II-giem, a całkowity pamiętnik mego ojca został opisany ze wspomnień mojej ciotki, która została zabita przez moskali w roku 1914 w mieście Kłodawie. Tyle napisał na pamiątkę dla swego ojca najmłodszy syn Teodor.

Własnoręczne pismo Teodora Nowińskiego pisane we Francji w 1936-ym roku w departamencie Haute Garonne. Comid de Fousseret. Cartie Jouannes pod tytułem „Moje życie w kraju"*).

Po tem wszystkiem co wycierpiałem a o czem nie miałem jeszcze

*) Tt. commune de Fousseret, quartier Jouannes.

pojęcia żadnego o którem się miałem przekonać później. Brat mój jako najstarszy syn był już wyuczony tak samo kowalstwa jak i nasz ojciec kiedy mnie brat zabrał do siebie to mi przyobiecał że mnie wyuczy tak samo kowalstwa, a tem czasem kiedy mnie zabrał do siebie bratowa moja odrazu się wzieła po swojemu do mnie, prawie na każdem kroku mnie biła i stale mnie goniła do roboty. Robota moja polegała na tem prać pieluchy po jeich dzieciach i chodzić do lasu po drzewo. Każdy może sobie przedstawić co dziecko takie w 7-ym roku może przynieść drzewa z lasu który się znajduje o dwa kilometry od domu o ile przyniosłem drzewa mało to mnie bratowa biła i głodem morzyła a jakżem się poskarżył przed bratem to brat jeszcze na mnie krzyknął milcz ty najduchu bo jak mi jeszcze raz co poskarżysz to ci zymby wybiję i tak musiałem jakiś czas cierpieć jaż razu jednego już mi się zbrzydło moje życie i jak mnie bratowa wysłała do lasu po drzewo tak już mnie więcy nie oglądali w tym dniu żem sobie postanowił tak albo sobie poprawie albo całkiem zgine. Jakżem wyszed z domu takżem szed i szed stale przed siebie ażem nie wiedział gdzie ja idę tak mnie i noc zastała, teraz nie wiem co mam zrobić czy iść gdzie do wsi i prosić ludzi o nocleg czy też przenocować się pod styrtą słomy. Do wsi się bałem ludzi żeby mnie nie odprowadzili nazad do brata, ale się zdecydowałem na jedno a mianowicie spać w polu pod styrtą słomy. Na drugi dzień rano gdy się przebudziłem zerwałem się na równe nogi i tak samo w droge, uszłem kawałek drogi, ale natura się zaczeła dopominać o swoje jeść i przedewszystkiem jeść za wszelką cene. Trza było skąd zdobyć bo już zaczynałem z głodu upadać, już żem się zdecydował wejść do jakiej chaty gdy wtem czasie zobaczyłem jednego dziadka który sobie odpoczywał przy drodze, ten dziadek był tak jakby od Boga zesłany na moją drogę, bo on zobaczył jak ja szłem i zaraz się zmiarkował że ja jestem głodny, przywołał mnie do siebie i poczynstował mnie kawałkiem chleba jaki miał i gdy zjadłem wtedy mi się wypytał skąd ide i dokąd. Ja mu opowiedziałem wszystko jak mi było u brata, tak ten dziadek mi obiecał że się zajmnie mną i on mnie wyszuka jakie miejsce u dobrych ludzi, ale musze się pozostać przy nim jako z wielką chęcią przystałem na to i po kilku dniach naszej wędrówki gdyśmy byli blisko już granicy Strzałkowa, to jest dawna granica Niemiec tam trafilim jednych co mnie od tego dziadka

chcieli odebrać i chcieli mnie odesłać do swoich krewnych którzy mieszkali około Kutna we wsi Topola zwana, ale ten dziadek nie chciał mnie tam zostawić tylko prosił tych ludzi aby napisali list do tych krewnych i on sam pójdzie z tym listem i ze mną na miejsce. Jakoż ci ludzie na to przystali i napisali ten list i dali nam na drogę jeść i pare złotych pieniędzy i poślim z tem dziadkiem. Późni mi ten dziadek wytłumaczył dlaczego on się mnom tak opiekuje bo on był z mojem ojcem najlepszy kolega, więc chce się zająć mojem losem, aby w ten sposób się odwdzięczyć memu ojcu i stale mi opowiadał o mojem ojcu przez całką drogę jaż żeśmy dobili do celu naszej podróży to jest do wsi Topola. Tam się prędko dowiedzielim gdzie mieszka Andrzej Kruk tak się pisał ten gospodarz, a był gospodarzem na całką wieś największy bo miał 35 morgi pola i ładne zabudowanie tylko że nie było dzieci żadnych u nich. Więc proszę sobie popatrzeć na mape gdzie jest Strzałkowo a gdzie Kutno. Dziecko takie siedem lat i staruszek około 60 lat prześliśmy ten kawał drogi za $4^1/_2$ dnia gdyśmy tam zaszli i gospodarz przeczytał ten list, a do tego ten dziadek mu jeszcze opowiedział z jakiej rodziny ja pochodzę tak mnie zaraz przyjął do siebie i mówi do mnie czy ja będę chciał robić i czy będę posłuszny. Ja mu odpowiedziałem słuchać was będę jak mi nie będziecie krzywdy robić a robić to muszę tylko bym was prosił żebyście mi nie kazali ciężki roboty robić. Narazie będziesz pas gęsi i świnie a jak będziesz mógł to ci każe paść bydło tylko nie wiem czy poradzisz, bo jest tego około 15 sztuk ale przy dobrej chęci to się wszystkiemu da rade. Płacy żadny ci nie dam, tylko cię przyokryje i dostaniesz dobre buty i niczego ci nie braknie u mnie więc przystałem na te warunki i pozostałem się u tych ludzi. Początki to były bardzo ciężkie dla mnie ale pomału to się przyuczyłem do wszystkiego i tam przebyłem u tych ludzi 18 miesięcy i możebym był jeszcze dłuży tylko jedna rzecz co mi się nie spodobała, a mianowicie wyznanie religji, bo gospodarz był katolik, a gospodyni wyznawała wiare maryjawitów więc na tem tle były stale kłótnie w domu. Spocżątku na to uwagi nie zwracałem ale późni się przekonałem że moja gospodyni się całkim ciałem i duszą się oddała tej podłej wierze i zaczeła sidła zastawiać na mnie. A było to tak, w dzień Zielonych Świąt wstałem rano tak jak zwykle i pognałem bydło paść na pastwisko, gospodarz nasz się zbierał jechać

końmi ze starszym parobkiem do kościoła, który był około pięć kilometry od tej wsi, gdy przyszed czas śniadania to gospodyni mi zawsze przynosiła, śniadanie nasze było zawsze takie, barszcz i kartofle, albo poliwka na kwaśnem mleku i chleb a w tym dniu pamiętam tak jak dziś że gospodyni mi przyniesła smażone jajka z kiełbasą i kawy z mlekiem, gdy już zjadłem śniadanie gospodyni wyjeła paczkę cukierków i mi dała. Ja się zastanowiłem co to dzisiaj takie dobre śniadanie co za całki czas jak tylko tu jestem jeszcze takiego nie było, ale gospodyni mi nie dała długo się namyślać tylko mi się spytała czy śniadanie mi smakowało, a gdy odpowiedziałem że tak, tak gospodyni mi mówi umyśnie żem takie śniadanie uszykowała dzisiaj dla ciebie i jak mnie będziesz słuchał tak codzień dostaniesz takie śniadanie i do tego ci kupie ładne ubranko buty i ładnom koszule z kołnierzem i krawatke że będziesz chodził jak pan jaki, tylko mi musisz zrobić to co ja ci każe. Ja nie miałem żadnego pojęcia co mi gospodyni za nowości szykuje ale zaraz miałem się przekonać. Gdy żem odpowiedział że wszystko zrobie co mi tylko każecie tak gospodyni mi wtedy kazała przysięge składać że to co mi ona każe to wszystko zrobie ja nie miałem wtedy żadnego wyobrażenia o przysiędze co to znaczy, więc gospodyni wyjęła pasyjkę z pod fartucha i kazała mi mówić za sobą tak abym każde słowo wymówił wyraźnie. Gdyśmy skończyli te przysięge tak wtedy gospodyni mówi abym zdjął spodnie i usiad gołem tyłkim na ten wizerunek Zbawiciela. Mnie wtedy strach wielki zebrał i nie wiedziałem co mam robić tu przysięge żem złożył, że wszystko zrobie co mi gospodyni każe a nie spodziewałem się aby ten sam Chrystus przed którym żem przysięge składał ma być przeznaczony na takie świńskie rzeczy, ale Bóg mi dał tyle odwagi żem się zdecydował na krok stanowczy, bo gospodyni mnie nagliła więc wtedy ja mówie do gospodyni, nie tego nigdy w życiu nie zrobie co mi każecie, a gospodyni mówi a przysięga, o ile nie zrobisz tego to pamiętaj że za przysięge to cie djabli do piekła wezmą żywego i będą cie tam mynczyć tak długo dopókąd tego nie zrobisz, ale ja się uparem i nie chciałem tego zrobić. Więc wtedy mówie do gospodyni że napróżno wy mnie straszycie, bo ja się djabłów i tak nie boje i tego nie zrobie. Gospodyni widziała że nic nie poradzi ze mną więc zabrała się i poszła do domu, a ja położyłem się pod miedzę i zacząłem sobie

rozmyślać aż mnie wielki żal wziął i zaczołem płakać z tego wszystkiego i w tym płaczu zasnyłem na tej miedzy dopiero mnie gospodarz obudził jak jechał z kościoła gdy zobaczył że ja taki jestem upłakany tak mi się pyta czego ja płakałem. Wtedy opowiedziałem gospodarzowi wszystko co gospodyni dzisiaj chciała odemnie i jeszczy gorzy żem się rozpłakał, wtedy gospodarz tylko mi się zapytał czy żem to zrobił co gospodyni chciała ja mówię tak przysięgę żem powtórzył za gospodynią ale na krzyżyk żem nie chciał usiejść. W tym czasie gospodarz więcy nic nie mówi tylko kazał abym szed do domu z bydłem a oni z parobkim pojechali naprzód do domu zanim ja przyszedłem z bydłem to już gospodarz miał powróz skręcony i moczył się w cebrzyku we wodzie, gdym przyszed do domu gospodyni szykowała na ten czas obiad, gdyśmy usiedli do obiadu tak w ten czas gospodarz się pyta gospodyni byłaś dzisiaj w polu, tak byłam i zaniesłam chłopakowi śniadanie, dobrze ja wiem co chciałaś od tego dziecka powidz prawdę bo patrz ten powróz co się moczy to na ciebie o ile to jest prawda co mi Teodor mówił, a o ile nie prawda to będzie kara wymierzona jemu. Ja wtedy byłem w wielkiem strachu bo sobie pomyślałem że chebaby gospodyni była głupia i się przyznała do tego, o ile widzi że ten powróz jest uszykowany na nią, a o ile się zaprze to wtenczas ta kara będzie mnie oczekiwać, ale miałem się przekonać że to tak wcale nie jest tak jak ja sobie to przedstawiłem bo gdy gospodarz tylko to powiedział tak w tej samej chwili gospodyni się przyznała i jeszcze powiedziała chciałam mu zrobić dobrze bo żem go chciała wychować na swego własnego syna, ale to bydle takie uparte odtrąciło moje dobre zamiary ze zgardą i wtenczas gospodarz wziął mnie obiemy rękami za głowę i spojrzał mi w oczy głęboko i rzekł dziecko o ileś nie uczynił tego co ci ta suka proponowała to niech Bóg za to wynagrodzi i pocałował mnie trzy razy z taką miłością jak tylko ojciec rodzony może pocałować swoje dziecko, a gospodyni w tem czasie się rozebrała do naga i czekała swojej kolejki, ale gospodarz się wcale nie spieszył z wymierzyniem kary. Tak wtedy się gospodyni odezwała no jak długo mam czekać na ten twój wyrok, bo mnie to wielkom przyjemność sprawia jak ty mnie bijesz bo wiem wtedy żem się przyczyniła dużo do naszej wiary i jestem pewna że przyjdzie taki czas że ty tyż będziesz te wiare wyznawał a wtedy to będzie moją

nagrodą. Wtedy gospodarza to jeszcze barzy rozłościło i wtedy jak zaczął bić to jaż nie było można słuchać, a gospodyni ani jednego jęku ze siebie nie wydała. Myśmy zaraz oba z parobkiem uciekli do stajni aby nie być świadkamy tego zajścia, a gdy już po wszystkiemu gospodyni wyszła na dwór to i wcale poznać nie było można taka sina całka była. Na drugi dzień rano prosiłem gospodarza aby mnie zwolnił bo potem co zaszło to ja tu być nie mogę. Gospodarz się przychylił do tej prośby i dał mi wszystką bielizne i ubrania które tam miałem i spytał mi się gdzie ja teraz pójde. Powiedziałem że miałbym zamiary iść do miasta Koła możebym się dowiedział co o swoim bracie albo o stryjku. Tak gospodarz mnie odwiózł do Kutna i tam wziął zaprowadził mnie do karetki która chodziła do Koła, zapłacił za podróż i dał mi jednego rubla na życie. Gdy wyjeżdżałem stamtąd nie miałem żadnego pojęcia do kogo ja właściwie jadę i poco do tego Koła, dopiero w drodze sobie to przedstawiłem gdy żem przyjechał na miejsce pierszą moją czynnością było się dowiedzieć gdzie jest mój brat młodszy. Po długiem i mozolnem poszukiwaniu dowiedziałem się że jest w Niemczech z całą swoją rodziną więc całka moja nadzieja piżgła na niczem, więc teraz nie wiedziałem co mam dalej zrobić ale ta niewiasta która mi dała te informacje gdzie się mój brat znajduje mi powiedziała że jakbym chciał tobym móg jechać z nią do Poznańskiego to onaby mnie tam zgodziła do pasenia bydła jako i ja chętnie na to przystałem i pojechałem z tą kobietą razem i zgodziła mnie u jednych ludzi swoich znajomych w powiecie obornickiem. Pierwszy mój zarobek wynosił 30 marek na 8 miesięcy i z dwa ubrania jedno na codzień i jedno na święto i 6 koszul i tak mi czas upłynął aż moja opiekunka przyjechała po mnie i mnie stamtąd zabrała i znowu się znalazłem na bruku naszego miasta, ale już z tą odmianą że byłem panem, bo miałem 30 marek w kieszeni i byłem dobrze przyokryty i w tych dniach kiedy żem przyjechali pierszą osobą którą żem spotkał na swojej drodze był mój brat średni który też co dopiero przyjechał z Niemiec więc myślałem że mnie Bóg wielkiem szczęściem obdarzył ale wkrótce miałem się przekonać że mnie znowu zawód czeka, pieniądze te które miałem oddałem bratu a brat wzamian mi ofiarował zato życie i wyspanie i opranie, ale teraz dopiero miałem się przekonać co to znaczy bieda. Brat mój oddawał się pracy tragarskiej

noc go wypędziła noc go przypędziła, bratowa była cierpiąca dzieci było dwoje i ja trzeci, warunki życia były opłakane że nie daj Boże czasem były takie dni że człowiek głodny wstał i głodny się kład spać a jak już brat przyszed trochę prędzej i móg nam cośkolwiek ugotować tośmy mieli wielkie święto a co się tyczy bielizny to już o tem nie chce wspominać bo aż mnie jeszcze dzisiaj strach bierze co ten biedny człowiek musi wycierpić w tej kochanej Polsce czyto pod zaborem rosyjskim czy też i teraz za polskich rządów. Kto miał dobrze ten i dzisiaj ma dobrze a kto miał biede ten i dzisiaj ma biede, więc w tych warunkach mnie zastała wojna. Gdy wojna wybuchła miałem lat 11-cie, więc jak niemcy wstąpili do Kalisza i tak zaczeli gnębić odrazu ten polski naród to wielki strach wpad i na dalsze okolice i chto móg to zaczął się ratować ucieczką. Ja jako chłopiec 11 letni udałem się także samo w ucieczkę, ale że nogi moje nie były zdatne do takich dalekich marszów więc prędko upadłem na sile a tutaj niemcy co chwila to są bliżej, ale w tym czasie szły tabory rosyjskie i mnie zabrali ze sobą i z tymy taborami jeździłem przez całkie 10 miesięcy stale blisko frontu na linji Błonie - Sochaczew - Leśno i Modlin na tem froncie a najwięcej ponad rzeką Bzurą się stale kręcilim z taborami aż miała się rola moja w krótkim czasie zmienić, bo razu jednego kapitan naszych taborów wziął oko na mnie że jestem taki roztropny i razu jednego mnie zawołał do kancelarji i tak się odezwał do mnie. Słysz malczyk ty polak, jak tak mu odpowiedziałem, tak on do mnie zaczął mówić wtedy po polsku. Słuchaj chłopcze już dłuższy czas cie obserwuje i widzę twoją chęć do pracy obozowy nie zraża cię ni chłód ni głód który czasem trza przecierpieć więc powidz mi co cię skłoniło opuścić dom i rodzine swoją i puścić się tak sam nie wiedząc gdzie i poco, a przytem możeś zrobił wielką krzywde swym rodzicom zostawiając ich tak samych. Więc ja wtedy opowiedziałem wszystko jak i co i co skłoniło mnie do ucieczki. Kapitan wysłuchał mego wyznania z wielkim zainteresowaniem i gdy skończyłem swoje opowiadanie tak kapitan mówi od dzisiaj pozostaniesz przy mnie za ordynansa, dostaniesz ubranie wojskowe i będziesz mi wszyndzie towarzyszył jako przystałem na to z wielką chęcią na te propozycje, bo mi zaimponowało przedewszystkiem to że będe ubrany jako żołnierz a po drugie że dostanę konia i będę jeździł na koniu

jako w krótkim czasie otrzymałem wszystko umundurowanie i konia siwka który się zwał Sułtan. Może kto z ludzi sobie przypomina jak młody chłopiec 12-letni pędził nieraz po ulicach Błonia na siwym koniu, to właściwie ja, w roku 1915 to było, aż nadszed taki czas żeśmy musieli zmienić pozycje, a mianowicie kapitan otrzymał wezwanie aby się stawił natychmiast do swego przełożonego do Leśna a na jego miejsce został mianowany inny oficer. Tak trza było rozkaz wypełnić i jechać tam gdzie wzywają, gdyśmy się stawili do Leśna kapitan został odesłany do Modlina z tajnemi dokumentamy i do eskorty dostał 10 ludzi. Więc wyruszyliśmy w dalszą drogę we 12 chłopa bo ja się już wtedy liczyłem za chłopa. Po krótkiej naszej podróży musieliśmy się zatrzymać bo nie było można przejechać tak było wojska rosyjskiego na drodze i różnych taborów. Starszyzny bardzo mało widziałem bo jak mi później mój kapitan mówił to wszystka starszyzna siedziała w Warszawie a żołnierz się bił bez żadnej komendy. Niektóre żołnierze radzili nam abyśmy się wrócili z powrotem bo wielka siła Niemca idzie w te strony i tak do Modlina się nie dostaniecie ale kapitan nie chciał wcale o tem słuchać tylko nam powiedział dalej chłopcy na koń i w drogę bośmy i tak dużo stracili czasu i tak samo ruszyliśmy kłusa jaż nas wieczór zastał a my jeszcze w lesie nigdzie żadnej wioski ani żadnego zabudowania nie widać było aż naraz jeden z naszych żołnierzy zobaczył światło w lesie i zwrócił kapitanowi na to uwagę. Kapitan nasz mówi chłopcy nie wiemy co to za światło może być ale wszystko jedno musimy tam jechać bo i tak nam trza będzie zanocować tylko przód pojedzie jeden na zwiady zobaczyć co to tam jest tylko trza zachować wszelką ostrożność, bo jesteśmy blisko frontu nieprzyjacielskiego. Więc który z was pojedzie na ochotnika jakoś żaden z żołnierzy nie miał ochoty się puścić w dalszą drogę, kapitan że był człowiekiem wyrozumiałym nie gonił żadnego, tylko chciał zrobić losy na kogo padnie więc ten musi jechać. Więc ja zacząłem prosić aby mnie było dozwolonem tam iść i zbadać co to jest za światło i skąd ono pochodzi. Kapitan nie bardzo chciał przystać na to ale po wielkiej prośbie mi zezwolił tylko dla ostrożności kazał mi zdjąć ostrogi od butów aby odgłosu nie czyniły i dał mi swój własny rewolwer i tak mi mówił, idź a zwijaj się jak możesz tylko uważaj dobrze wokoło abyś nie wpad przypadkiem w ręce nieprzyjaciela

gdybyś czasamy zauważył coś osobliwego wracaj natychmiast do nas a gdybyś czasamy wpad w jakie tarapaty to strzel z rewolweru dwa razy a gdyby nic nie było nadzwyczajnego to nam dasz sygnał gwizdnięciem na palcach, a my za tobą będziemy się posuwali powoli w kierunku tego światła a więc w drogę mój zuchu tylko miej uszy i oczy otwarte na wszystko ja wtedy podziękowałem kapitanowi i rzekłem może się pan kapitan całkiem nie obawiać o mnie jestem mały i oczy mam dobre a słuch też mam nienajgorszy to sobie jakoś dam rade i w tej chwili puściłem się w drogę jak długo szedłem tego nie mam pojęcia czy pół godziny czy więcy aż uszów moich doszed głos rozmowy w języku niemieckiem. Zaciekawiło mnie to bardzo kto może rozmawiać tem językiem ale wkrótce mi się przypomniało że w naszych stronach jest bardzo dużo kolonistów niemieckich to pewnie i tutaj też są i to światło musi pochodzić z jednych zabudowań którego kolonisty niemca, ale dla pewności postanowiłem podejść bliżej i przekonać się naocznie jako w krótkim czasie dostałem się pod same zabudowania. Noc była ciemna nie mogłem nic rozróżnić co się dzieje w tem domu i kto ten dom zamieszkuje, dla pewności puściłem się na czworakach pod same okno tego domu które się znajdowało oświetlone w tem przemarszu tej kawałek drogi z pod jednej ściany pod drugo myślałem że całki rok czasu będę musiał iść a to spowodu różnych przeszkód które się tam na mojej drodze znajdywały, przeszkody były przeważnie pokrzywy i jażyny i różne chwasty jakie się znajdują przy zabudowaniach gospodarskich i w duchu swoim już zacząłem przeklinać te przeszkody a nie wiedziałem że one będą mojem zbawieniem bo po wielkich trudach dostałem się prawie że pod same okno i wtedy usłyszałem całkiem rozmowę prowadzoną w niemieckiem języku. Chcący się przekonać kto to rozmawia podniosłem się trochę abym móg zobaczyć i jak prędko się podniosłem tak jeszcze prędzej upadłem bo przez okno zobaczyłem że w tej izbie są niemieckie żołnierze, więc strach mnie wziął wielki i już miałem się cofnąć spowrotem gdy znowu zaczęła się rozmowa w mieszkaniu przetrzymałem całki strach który na mnie pad i postanowiłem się przekonać o czym oni rozmawiają i przysunyłem się jeszcze bliżej aby żadnego słowa nie zgubić z ich rozmowy, ale ciekawość mnie jeszcze barzy pchała naprzód aby można zobaczyć co oni robią właściwie jako się

przekonałem na swoje oczy że wszyscy siedzą przy stole i pilnie przeglądają mapę a właściciel tego mieszkania który był żyd dawał im wszelkich wyjaśnień i naraz jeden z tych żołnierzy wstaje i podaje rękę temu żydowi i mówi dziękuje wam zakonny za to żeście się dobrze sprawili dla faterlandu i powiedzcie czy możymy śmiało tam jechać w tę strone około północy, tak ja ręczę słowem honoru jaśnie panie grafie gdybym ja wiedział że panowie tam nie dojdą to jabym tego światła nie pokazywał ale te pierońskie moskale to jeszcze z rana odjechali stamtąd bo mój syn tam był i wszystko widział jak oni odjeżdżali w Błunie w strone Ojrzanowa no to dobrze stary przyjacielu daj nam teraz co zjeść i wypić a około północy wyjedziemy, po tych słowach żyd się zaraz wyniósł do drugiej izby a ja jeszcze postałem mało chwile i pomalusku zacząłem się przeciskać nazad z powrotem do lasu w tem samym czasie dał mi się słyszeć chód ciężki niedaleko mnie upadłem na ziemie i prawie trafiłem w tem czasie jakąś gałązkę małą która pod mojem upadkiem została złamana w tem samem usłyszałem głos wer das. Włosy mi stanęły dęba na głowie już myślałem że już przepadnę, zacisnyłem broń mocno w ręce i nie wiem czy z przyzwyczajenia czy ze strachu zaczęłem mówić pacierz i całkie moje szczęście od Boga było że noc była ciemna ale potem strachu prędko i radość nastąpiła bo po pierwszem głosie i drugi się odezwał Franc i potem usłyszałem jak zaczeli ze sobą rozmawiać i pośli w strone podwórza a ja jak tylko kroki przycichły tak zacząłem się pomału posuwać do lasu a gdy się już dostałem pomiędzy drzewa to już byłem pewniejszy i pomału dostałem się na droge dla pewności się obróciłem czy przypadkiem nie zbłądziłem gdy się upewniłem że wydostałem się w dobrym kierunku wtedy puściłem się całkiem pędem w strone naszych i nie uleciałem tak może z kilometra gdy spotkałem naszego kapitana jak stał na drodze przy koniu z gołą głową jak mnie zobaczył tak pędzącego co sił w nogach tak prędko podleciał do mnie i pierwsze słowa które przemówił do mnie to były te, coś tak długo robił tam smarku, ja już nie miałem cierpliwości czekać dłużej za tobą i puściłem się sam zbadać przyczyne która cię tak długo trzymała i całką drogę prosiłem Boga aby ci się co złego nie przytrafiło bo trzy godziny czekania na jednem miejscu i w niepewności to jest trochę za długo mów co to za światło bo teraz już może od jaki

15 minut jak go niema, ja już miałem zamiary nie powiedzić nic kapitanowi co widziałem i co słyszałem bo za takie przywitanie to nie było warto tego strachu który żem przeżył, ale mnie sumienie ruszyło że nasz kapitan był polak, więc opowiedziałem wszystko co widziałem i co słyszałem jakie narady robili i tak dalej kapitan wysłuchał mojego opowiadania tylko sobie wąsa podkręcił i rzekł wot poczekajcie sukinsyny my sobie pochulamy tak niemnożko i spytał mi się czy żem dobrze słyszał że o północy mają pojechać dalej, tak kapitanie, a to mamy nie dużo czasu do stracenia, a dużo ich było i czy mają konie, koni nie widziałem a i żołnierzy nie policzyłem bo ich widziałem tylko w izbie że ich było pełno a czy ich było jeszcze gdzie więcy to nie mogę tego powiedzieć bo ich nie widziałem i mówisz że ten żyd im dawał wskazówki co do mapy tak jest i w tym stanie żeśmy tak doszli do naszych żołnierzy mnie było bardzo przykro że nasz kapitan mi nawet za takie ważne doniesienie nie powiedział dziękuję w tej chwili ale miałem się przekonać w krótkim czasie że kapitan miał głowę wtedy zajętą czem innem a mianowicie planem zasadzki bo jak żeśmy tylko przyśli do naszego oddziału tak kapitan zaraz kazał podrzyć koce które były na konie i poowijać koniom dobrze nogi aby jak będą szły nie było słychać i dalej na koń i w drogę. Popatrzeli żołnierze jeden na drugiego i nic nie mówili a kapitan też im nic nie powiedział tylko dał rozkaz aby jechać jak można najciszej i nie rozmawiać jeden z drugim, dopiero jak żeśmy dojechali do tej drogi gdzie mnie kapitan trafił wtedy mówi do wszystkich chłopcy słuchajcie tam w tej chacie co ją widać stąd jest gierman więc nie wiemy dokładnie jaka go siła może być więc wszystko jedno nas jest tylko 11-nastu nie licząc tego malczyszka tak musimy zrobić abyśmy się rozdzielili na cztery oddziały po trzy chłopa i ze wszystkich stron obejść ten dom aby żywa dusza nie mogła z niego uciec i starać się aby było można dojść jak najbliżej podwórza, gierman około północy ma ten dom opuścić więc jak tylko usłyszycie ogień rewolwerowy tak ze wszystkich stron trza uderzyć i potem każdy oddział pojechał we swoją strone a ja pozostałem jeszcze z jednem około kapitana i pomału żeśmy podjechali prawie że pod same podwórze gdy w tem uszu naszych doleciał odgłos uprzęży na koniach. Kapitan mówi w samą pore żeśmy przyjechali teraz trza zaczekać aż zaczną wsiadać

na konie a wtedy do nich ognia damy z wszystkich stron jako w krótkim czasie padł strzał i pierwszy z nieprzyjaciół upad na ziemie za odgłosem pierwszego strzału posypały się dalsze ze wszystkich stron a także samo i ze strony nieprzyjaciela. W tem czasie mój ulubieniec Sułtan został ugodzony kulą w głowe, biedne zwierze stanełło dęba aby się potem zwalić na mnie całkiem swem ciężarem, po wielkich trudach jakie wydałem ze siebie aby się uwolnić z pod ciężaru konia usłyszałem głosy ze wszystkich stron wydane ura ura, które miały oznaczać że teraz zaczęła się walka zacięta na śmierć i życie czyli na białą broń co się dalej działo to tego nie wiem bo w tym czasie mi się zrobiło bardzo słabo i zemglałem jak długo byłem w tem stanie nic nie wiem bo jak żem się przebudził z tego stanu leżałem na wozie sanitarnem i poczułem wielki ból w prawej nodze w kolanie. Strach mnie wziął wielki bo myślałem że się dostałem w ręce nieprzyjaciela ale po lepszej obserwacji zauważyłem że woźnica który nas wiózł był żołnierzem rosyjskiem. Po tej uwadze zasnąłem snem prawdziwym jakim może zasnąć dziecko gdy jest najbardziej zmęczone, w takiem stanie zostałem dowieziony do Błonia na stacje tam pociąg sanitarny przyjął mnie do swoich wagonów i tam dopiero się dowiedziałem o przyczynie mego bólu. A mianowicie w tem czasie kiedy mój koń został trafiony kulą ja otrzymałem postrzał w nogę poniżej kolana, była to już kula osłabiona która nie mogła przejść przez kość tylko się ześlizgła po kości i została pomiędzy żyłami, z opinji doktora dorozumiałem się że to musiała być ta sama kula co zabiła mego Sułtana, po pierwszem opatrunku który mi udzielono na stacji zostałem przewieziony do szpitala Dzieciątka Jezus do Warszawy. Przez całki mój pobyt w szpitalu napatrzałem się dosyć na tych różnych kalików. Tu nadmienić musze że byłem w szpitalu trzy miesiące czasu i w tam szpitalu była jedna siostra polka co ją wszyscy zwali Anną tej to Siostrze zawdzięczam swoją naukę czytania i pisania bo oto ona mnie nauczyła trochę czytać i pisać po polsku a reszte to już się sam wkładałem do tego i nawet jeszcze dzisiaj chociaż już jestem starszym i mam rodzine to jeszcze wolne chwile poświęcam nauce. Kiedy już mogłem wychodzić do ogrodu szpitalnego spotkałem jednego z cyrkiesów który był razem z namy i od niego żem się dowiedział o skutkach całkiego zajścia. Całki dom został spalony i wszyscy

mieszkańcy tego domu zostali powieszeni, niemcy dużo ich zostało zabitych i reszta wzięta do niewoli. Z naszej strony było czterech zabitych i dwóch rannych, kapitan nasz był też lekko ranny ale po małem opatrunku pojechał dalej i od tego czasu już żem go więcy nie widział i o niem nic aż do dnia dzisiejszego. A tutaj nadmienić musze że kapitan był polakiem nazwisko jego było Jan Majewski i tak mnie zastali niemcy kiedy wstąpili do Warszawy w tem szpitalu. Po wkroczeniu niemców do Warszawy postanowiłem puścić się w dalszą droge do Rosji ale byłem zmuszony się wrócić nazad z powrotem bo niemcy nie chcieli nikogo puścić na wschód tylko każdy móg iść na zachód, więc i ja się puściłem na zachód a że moje miasto rodzinne było na zachodzie więc tam tyż szedłem aż za dwa tygodnie doszłem do swego miasta Koła, ale co za zmiany się porobiły za ten czas to się nie mogłem wcale rozpoznać w tych stronach. Z rodziny nie zastaem nikogo bo wszyscy gdzieś pouciekali przed niemcami i do tego czasu nic nie wiem o rodzinie więc znowu byłem sam jak palec i do tego biedny i obdarty a wszów to tysiące miałem przy sobie, co miałem teraz zrobić ze sobą udałem się do komitetu aby mi dali jaką pomoc bo inaczej to mi będzie trza z głodu umrzyć jako otrzymałem bielizne i ubranie, chociaż nie nowe ale zawsze czyste i przez pare dni dostałem jeść, ale sobie pomyślałem że to na nic abym ja tak miał bidować kiedy droga jest otwarta zagranice, więc postanowiłem iść dalej i szukać szczęścia. Jako po paru dniach dostałem się do roboty w poznańskiem około Wrześni w Ostrowie Szlacheckiem i dziedzic mnie polubił i wziął mnie do koni jako forysia, miałem dobre życie i wyspanie ubranie zawsze dostałem po dzieciach i tak mi tam czas leciał aż do roku 1918. W tem czasie kiedy się Polska zaczęła tworzyć porzuciłem prace i chciałem wstąpić w szeregi polskiej armji ale zostałem odrzucony jako za mały i do tego felerny na nogę więc musiałem odejść z niczem, tylko z wielką przykrością w sercu że moje dobre zamiary zostały tak brutalnie odepchnięte wtedy już nie wróciłem na swoje dawne miejsce do pracy bo mnie było wstyd postanowiłem szukać pracy dalej jako ją znalazłem w powiecie obornickim u gospodarza i tam przebyłem do roku 1923. W tem roku zapoznałem dziewczyne i postanowiłem się z nią ożenić chociaż była odemnie starszą o całe dziewięć lat, uwagi na to nie zwraca-

łem tylko w poznańskiem ślubu dostać nie moglim bo ja nie miałem jeszcze skończone 21 roku, więc pojechaliśmy do jej wioski to jest w kieleckiem w powiecie pińczowskim tam żeśmy się ożenili w roku 1924, 4/3. Po krótkim naszem pożyciu zostałem pobrany do służby wojskowy jako rocznik 1903 ale po krótkim pobycie przy wojsku zostałem zwolniony z wojska jako kategorja E przez komisje Wojskowo-lekarską w Poznaniu i przyjechałem do domu w roku 1925, pojechaliśmy do Niemiec, ale żona była w odmiennem stanie musieliśmy przyjechać z powrotem i tak biede żeśmy klepali. W roku 1926 postanowiłem jechać do Francji sam. Po długich kręcyniach dostałem się do Francji 1926 roku 15 grudnia. Praca moja była w kopalni w Bruay jako pierwsza bo kontrachtowa praca dla człowieka takiego co już robił w kopalni to nic, ale dla nowicjusza to jeszcze gorsza jak więzienie bo człowiek nie nauczony takiej pracy a tutaj pokłady są bardzo niskie że wszelka praca jest wykonywana na leżączkę a sztygary stale gonią i krzyczą abil polonej de peszy tła feniant*) tylko początki człowiek tych wyrazów nie rozumi to uwagi na to nie zwraca i praca ta wielkich zysków nie przynosi bo tutaj robotnik jest podzielony na klasy czyli kategorje. Pierwszy górnik który ma 10 klase zarobek jego się waha 40 do 45 franki dniówka, robotnik 9-ta klasa zarobek 35 do 40 franki, robotnik 8-ma zarobek 30 do 35 f. robotnik 7-ma 21 do 30 f. a później mniejsze robotniki bo tutaj we Francji robotnik zaczyna swoją prace od lat 13-stu do 55-ciu lat a potem dostaje rente starości więc ja jako początkujący górnik zostałem doliczony do 7 klasy na zarobek 21 franków, wypłata jest co 15 dni. Gdy się otrzymało 280 a 300 franki na 15 dni to było bardzo dużo tylko że ich człowiek nie dostał wszystkich, bo z tego była potrącona podróż i do kasy asuranc a potem jeszcze do kasy starości tak że człowiek ledwo co odebrał 180 a 200 franki to z wielką biedą, więc jak się przyszło do domu to gospodyni u której się było na mieszkaniu zaczeła przedstawiać książki gdzie jest co do zapłacenia. Kwatera 35 franki, życie w sklepie 90 f. i czasamy i 100 franki więc to są wydatki górnika początkującego, więc jak się obliczyło wszystko to czasem się zostało na paczkę tytoniu

*) Aboule (wyraz lekceważący w gwarze robotniczej) polonais, depéche, toi fainéant — w wolnym przekładzie: ofermo polska, pospiesz się, ty próżniaku.

a czasem i trza było sobie pożyczyć na tytoń, a co dopiero miał począć ten który pozostawił rodzine w Polsce i ta rodzina oczekiwała aby ten ojciec lub mąż coś przysłał gdy tak dłuższy czas nie było można znikąd grosza posłać, zaczeły różne listy przychodzić od rodziny, że nie dbam o rodzine i nie myśle o dzieciach i tak upłynął mi całki rok. 1927 roku gdy skończyłem kontrach otrzymałem zwrot podróży i przytem 8 klase, wtedy dopiero zacząłem się starać abym móg rodzine swoją sprowadzić tutaj do Francy jako po krótkiem staraniu otrzymałem zezwolenie. Gdy posłałem papiery do swojej kobiety to ona mi odpisała, że przyjechać nie może bo jest chora, więc tak upłyneło trzy miesiące czasu. Po trzech miesiącach za dobrą prace otrzymałem 9 klase i zmiane pracy od węgla do pracy do kamienia czyli z dniówki do akordowy roboty. W tej pracy choć praca była ciężka niebezpieczna szło żyć bo zarobek był czysty do 15 dni 550 i do 600 franki. Wtedy zaczynałem naprawdę wierzyć że pracuje w kopalni ale nieraz to mi się ta praca zbrzydła bo człowiek pracował a tu się woda lała z góry i z dołu i w tej wodzie trza było pracować, niechtóre dni woda dochodzi do pasa i tam w tej pracy przeziębiłem sobie nogi że byłem zmuszony udać się do szpitala. W szpitalu odleżałem dwa miesiące ale byłem zmuszony szpital opuścić spowodu życia bo życie dawali mi takie że stale byłem głodny więc jak opuściłem szpital to jeszcze cztery miesiące chodziłem o kulach to razem przecierpiałem na swoje nogi sześć miesięcy. Wynagrodzenie było mi dawane z kasy chorych 7 franki na dzień jako Malade. Po tej chorobie otrzymałem list z Polski od swojej kobiety że ja się nie przeziębiłem w kopalni tylko dostałem tej choroby od kurwów, bo nie myśle o niej tylko o kurwach. Po tem liście przestałem pisywać do domu tylko zacząłem pracować aby móc sobie zarobić na podróż i jechać do Polski. Po krótkim czasie otrzymałem drugi list od siostry mojej kobiety że moja kobieta tam ma kochanka i z tym ma dziecko. Po tem liście zaniechałem zamiaru jechania do kraju, tylko postanowiłem wyjść z kopalni jako i tak zrobiłem pojechałem do miasta gdzie było dużo fabryk tam miałem znajomych więc pojechałem do nich. Kolega mój wystarał mi się o prace we fabryce azotu u Kuhlmana jako palacz przy piecach. Praca tam była ciężka i bardzo przykra z powodu gazów które tam były, u swego kolegi byłem na mieszkaniu. Żona mego

kolegi gdy się dowiedziała o mojem losie zaczeła obstawać przytem że to jest nieprawda aby moja kobieta mogła się tego dopuścić jedno że jest starsza a po drugie że przecie było dwoje dzieci ze mną, więc stale mnie prosiła żebym napisał jeszcze jeden list do domu ja się na to nie chciałem zgodzić, więc ona sama mówi daj mi adres od twojej kobiety to ja sama napisze. Gdy jej dałem adres i ona napisała tak po krótkim czasie otrzymalim odpowiedź że to co ja miałem pisane, że ona ma kochanka to jest wcale nieprawda i prosi mnie abym nie słuchał ludzi co mi ludzie piszą tylko żebym się starał i sprowadził ją do siebie jak najprędzej. Po tem liście żona mego kolegi mi nie dała spokoju tylko abym sprowadził swoich dzieci i kobiete tutaj. W krótkim czasie otrzymałem drugi list że jak chce sprowadzić ją do siebie to żebym ją sprowadził nie przez fabrykę tylko na swój koszt to będzie prędzej jako ja się postarałem o wszystkie papiery które mi były potrzebne, pozałatwiałem wszystko co mnie kosztowało 350 franki, potem posłałem te papiery do Polski a razem z temy papieramy 800 franki na opłacenie podróży a potem 100 f. jako te małe wydatki. Po jakiemś czasie otrzymałem list od swojej kobiety i w tym liście papiery spowrotem i pisze mi prosto że ona nie myśli wcale do mnie przyjechać tylko tak mi głowe kręciła abym ja jej móg posłać pieniędzy i pisze mi prosto żeby się tu we Francji postarać o rozwód i być francuzem a ona będzie polką tak jak była a do tego już nazwiska mego nie używa tylko swoje panieńskie. Po tem liście już nie wiedziałem wcale co miałem robić, czy sobie życie odebrać czy jechać do Polski i jej życie odebrać ale mój kolega wraz ze swoją żoną i tem gospodarzem francuzem mi przetłumaczyli wszystko że ja jestem młody to sobie i tak rade dam poco mam sobie życie odbierać, a w razie gdybym pojechał do kraju i jej życie odebrał wtedy bym musiał we więzieniu zginąć więc lepiej żebym zaniechał swych zamiarów i wziął się z powrotem do pracy jako po wielkiem namyśle tak pozostało jak było przedtem. Pracowałem dalej w tej samej fabryce tylko z tą odmianą że mi już praca tak nie szła jak przedtem. Stale myślałem tylko i gdzie największe niebezpieczeństwo to tam żem szed aż sam derektor tej fabryki uwage na to zwrócił i mianował mnie szefem od tych pieców w których przedtem byłem palaczem, bo jako szef miałem więcy zajęcia bo trza było

wszystkiego przypilnować aby ogień był równy i aby gaz nie uciek. Na tem stanowisku przebyłem siedem miesięcy i miałem dwa wypadki raz zostałem zatruty gazem, drugi raz zostałem poparzony gdy piec pękł. W tem czasie mój kolega też nie próżnował a właściwie poszukał mi jedne dziewczyne i on nas złączył razem i z tą już siedem lat jak żyjemy razem. Po tych wypadkach które mi się przytrafiły w tej fabryce moja mnie prosiła abym rzucił tą pracę bo zdrowie całkiem stracę jako jej usłuchałem i porzuciłem tam te prace i wyjechaliśmy do południowej Francji tam w tych stronach dostaliśmy prace jako Maitre Valet i tak przebylim cztery lata w roku 1935 pośliśmy na połownictwo tam nam się niebardzo wiedło bo przeważnie ferma była mała i do tego pole daleko od domu i przy tem mieliśmy dwa nieszczęścia w jednym roku pierwsze grady nam zbiły wszystko wino, drugi ogień wybuch u nas dnia 28/8. Pastwą płomieni padło całkie zabudowanie i wogóle wszystko tylko z wielką biedą żeśmy zdążyli uciec z mieszkania i wyratować dzieci i bydło, a tak to wszystko padło pastwą płomieni tak żeśmy się pozostali przez kawałka chleba i przez żadnego okrycia ja jako członek związku osadników polskich w Tuluzie udałem się prośbą aby mi była udzielona jaka pomoc od dalszych osadników bo inaczej trza nam będzie z głodu poumierać ale nie otrzymałem żadnego wsparcia ani ze strony związku ani ze strony konsulatu ani też ze strony ogółu, a do tego jeszcze nie byłem asekurowany więc byłem podwójnie stratny i do tego patron nie chciał postawić innego domu więc byłem zmuszony szukać sobie drugiej fermy. Jako ją znalazłem w tej samej gminie bo mnie ludzie tutaj dobrze znają że jestem dobrym robotnikiem i z nikiem zatargów żadnych nie mam ani z władzamy an z nikiem tyle co mi czas pozwolił to żem napisał, taki mały swój pamiętnik.

Dn. 21 maja 1936 r.

Pamiętnik Nr. 36

Robotnik i działacz oświatowy, syn średnio zamożnego rolnika z Tarnopolskiego, ur. w 1896 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.).

Urodziłem się dnia 18 czerwca 1896 roku w Majdanie Starym wojew. tarnopolskiego. Ojciec mój był rolnikiem średniozamożnym. Było nas trzech braci i dwie siostry, ja jestem ostatnim z rodzeństwa i dlatego nazywano mnie „wyskrobkiem" od maleństwa nie znosiłem tego przezwiska. Siostra Rozalja najstarsza w rodzeństwie ma już dzieci w moim wieku, wyszła zamąż za handlowca, mało ją pamiętam z dzieciństwa, o tyle że mnie bardzo kochała jak zresztą wszyscy, lecz w mniejszym wydaniu. Najstarszy brat Jan, następca ojca do objęcia ojcowizny był i jest zawsze poważny, zrównoważony, spokojny do rany można go przykładać, z zawodu cieślabudowniczy, od młodych lat pilnie pracujący oszczędny, przy jego pomocy ojciec powiększył gospodarstwo i jego ustanowił głównym spadkobiercą. Ożenił się z ukrainką wyzn. gr. kat., która była często przedmiotem nienawiści przez resztę rodzeństwa, a którą ja często broniłem, bo mnie szczególnie lubiała. Tu muszę w krótkości streścić charakter i obyczaje mojej rodzimej wioski: Majdan Stary wieś króla Jana Kazimierza sięgająca, na dawnych terenach Zamojskich położona, musiała być specjalnie założona dla zasłużonych ludzi — ubogiej szlachty lub też tym chłopom nadano szlachectwo albowiem wszyscy w tej wiosce posiadają końcówkę nazwiska „ski" lub „wicz" litewskie: Pikulski, Jasiński, Turowski, Gawlicki, Kononowicz i t. d., wszystkie wioski na około zamieszkane są przez Ukraińców. Mieszkańcy mojej wioski mają się za coś lepszego, bo wszystkich innych nazywają „chłopy-chamy".

W mojej wiosce na lekarstwo nie było ukraińca, aż dopiero mój brat Jan pogwałcił tradycję, ożenił się z ukrainką, która w pierwszych miesiącach nie mało łez wylała, gdyż nie mogła spokojnie przejść ulicą; chamką - rusinicą ją przezywano. Była to kobiecina niełądna, ale dobra, sympatyczna, pracowita i kochająca spokój i czystość. Ja mając lat sześć, gdy ona weszła do domu naszego, a widząc ją często płaczącą, uspakajałem, pieściłem ją, to też stałem się jej jedyną pociechą i obrońcą, bo brat zawsze był poza domem.

Drugi brat Józef był wyrodkiem naszej rodziny, awanturnik, zawalidroga, ojciec nie mógł sobie z nim dać rady — niczego nie chciał się uczyć, był tylko pomocnym ojcu w gospodarstwie w dzień, bo gdzie spędzał noce Bóg jedyny wiedział. Ojciec mój cieszył się bardzo wielką powagą we wsi, nasz dom był co niedzielę miejscem zbiórek gospodarzy, gdzie radzono, opowiadano o różnych rzeczach, byli tacy co jeszcze czasów pańszczyzny pamiętni o której moc nasłuchałem się. Tę powagę naszego domu podkopywał trochu mój brat Józef, gdyż po nocach chodził bił swoich rówieśników, których ojcowie z reklamacją przychodzili. Nic nie pomogły napomnienia ani kary ojca, przeciwnie stawał się jeszcze gorszy. Z czasem stał się postrachem okolicy, gdzie jaka awantura, a znalazł się w niej mój brat Józef, musiał ją zwyciężyć, tak też wszyscy mu ustępowali, we wszystkiem pierwszeństwa mu ustępując. Ciągle myślał i mówił o wojsku i zaraz z pierwszego poboru został wzięty do ułanów, myśleliśmy że chłopak zwarjował taka go radość opanowała. Jakież było nasze zdziwienie kiedy za trzy miesiące otrzymał już urlop na święta, co w owym czasie było nie tylko do niepomyślenia, ale najzdolniejszy rekrut nawet marzyć o tem nie śmiał, po ośmiu miesiącach został podoficerem. Lekceważenie życia przypłacił wczesną śmiercią — spadł z konia na ćwiczeniach a koń stanął mu na brzuchu i po kilku godzinach wyzionął ducha. Trzeci z kolei brat Michał, „chodząca książka geometryczna“ zwany — ten nie dał się ojcu użyć w pracy na roli, gdziekolwiek stanął otrzepywał ubranie, brał kij do ręki i rysował trójkąty, prostokąty, obliczał, rachował, to znów oglądał ubranie czy nie zbrudzone. U nauczyciela miejscowego potajemnie uczył się rachunków geometrycznych i arytmetycznych, budował mosty, wozy, latawce i t. p. Ojciec oddał go do kowala, ale był tam za-

ledwie trzy miesiące i wrócił do domu powiedział, że to co majster umi to on się już też nauczył, więc niema potrzeby tam dłużej siedzieć. Ojciec mój wziął kawał żelaza i poszedł z nim do innego kowala i kazał mu zrobić nóż kuchenny. Ku zdziwieniu ojca i kowala zrobił nóż nawet nadspodziewanie dobrze. Ojciec oddał go do miasta i odtąd zaginął o nim słych, aż dopiero za trzy lata napisał błagalny list do ojca, aby przyjechał do miasta powiatowego, bo bez ojca nie może zdać egzaminu, bo niema swoich lat. Zdał wówczas egzamin na mechanika-ślusarza pierwszej klasy i jeszcze ojcu w nagrodę za przyjazd wręczył 200 koron wówczas pokaźna suma pieniędzy. Dzisiaj brat Michał jest pierwszym mechanikiem na kierowniczym stanowisku w warstatach kolejowych, trzy córki jego są już nauczycielkami, a syn konserwuje się na przyszłego inżyniera-technika. Druga siostra Marja przechodziła różne koleje swojej edukacji i nie tak z braku pieniędzy jak rozumu uważała, że najodpowiedniejsze dla niej stanowisko będzie wyjść zamąż. Wyszła zamąż za kancelistę sądowego i dobrze się jej powodzi.

Łatwo mi przyszło opisać moje rodzeństwo, ale teraz kolej opisać samego siebie, bo szczerze mówię, że ja byłem i jestem najnieszczęśliwszym z rodzeństwa, czego powodem była światowa wojna. W tej chwili żałuję tylko bardzo, że niedanem mi było być filozofem, bo mój pamiętnik mógłby być arcydziełem. Wojna i późniejsze lenistwo (?!!!) dały mnie możność poznać wszystkie kraje Europy, część Afryki i kilka wysp w pogoni nie wiem w tej chwili sam czego.

Dzieciństwo moje spędziłem bardzo szczęśliwie, a nawet w rozkoszach (w ramach życia wiejskiego) mając sześć lat zacząłem chodzić do wiejskiej dwuklasowej szkółki, uczyłem się bardzo dobrze i prorokowano mnie świetną przyszłość, bo któremuż to dziecku takich proroctw się szczędzi, gdy to nic nie kosztuje. Matuchna moja kochana musiała przeczuwać moją przyszłość, bo zawsze mawiała: „ukochanie moje jak ty sobie będziesz rady dawał jak nas zabraknie", bo rzeczywiście ja będąc ostatnim dzieckiem, rodzice byli już starzy i przeczuwali, że ich opieka nademną policzona jest.

Miałem nieograniczoną wolność, byle tylko moje przedsięwzięcia były pożyteczne, na co ojciec specjalnie uważał, i do czego

jedynie zdradzałem chęć ojciec starał się pogłębić moją znajomość w danym kierunku. Kochany przez rodziców zdając sobie z tego sprawę starałem się zawsze coś robić by zasłużyć na uznanie. A zatem poza szkołą pasałem gęsi, świnie, później krowy, a często szedłem w pole z ojcem i pomagałem nawet dość dobrze, tak że czasem ojciec w rozmowie z matką mówił, że do czego się tylko zabiorę z równą starannością wszystko staram się wykonywać, o najdrobniejsze szczegóły pytam. Najwięcej pociągało mnie malarstwo, krajobrazy. Ponadto uczyłem się już naprzód, to co było zadane przez nauczyciela ja już dawno to wiedziałem, oczywiście po swojemu, uzupełniając przy nauczycielu wyróżniałem się zawsze. Było ojca postanowienie oddania mnie do gimnazjum i w tym kierunku nauczyciel przygotowywał mnie. Do lat 12 przeszedłem całą praktykę gospodarstwa wiejskiego. Zdaje mi się 1909 roku rozpoczęto budowę kolei Lwów — Stojanów, a mój brat Michał otrzymał miejsce mechanika-dozorcy.

Przedsiębiorca przestrzeni Radziechów miał ciężką rękę do pisania i poszukiwał chłopca do zapisywania robotników i wogóle prowadzenia korespondencji. Mój brat wiedział, że uczyłem się więcej jak inni, że możebym się do tego nadawał tak też mnie polecił. Ojciec chętnie oddał mnie, abym się przyzwyczajał do miasta. Radziechów obecnie miasto powiatowe, jak wszystkie pełne żydów, ale jako siedziba hrabiego Badeniego, byłego Marszałka krajowego Galicji, wyglądało dość czysto.

Rozpocząłem swoją funkcję osobistego sekretarza z całem oddaniem się słuchając rad brata wywiązywałem się z zadania ku zadowoleniu chlebodawcy. Najwięcej mi imponował tytuł sekretarza jak mnie robotnicy nazywali, poraz pierwszy w życiu zacząłem nosić sztywny kołnierzyk i krawat z czem miałem wiele kłopotu, bo ciągle zaglądałem w lusterko czy dobrze siedzi. Po kilku miesiącach zapoznałem się z tabelą profilową o co najbardziej chodziło przedsiębiorcy, bo musiał sam zawsze być przy profilowaniu przestrzeni, odtąd była moja to robota. Z tabelą w ręku rozkazywałem robotnikom jak głęboko mają kopać pagórki, lub doliny jak wysoko wbijać pale. Gdy pierwszą przestrzeń przezemnie profilowaną kontrolowano inżynier dowiedziawszy się że ukończyłem dwuklasową zaledwie szkołę, wyraził się „cudowne dziecko“ mówił: „nad tym gimnazjalista musiałby głowy nałamać“ i t. p., gdy mnie brat zawo-

łał do inżyniera nie mogłem słowa ze strachu przemówić, bo byłem pewny, że musiałem zrobić jakiś błąd. Ale jak posłyszałem, że 25 halerzy więcej dostanę na dniówkę byłem w siódmym niebie. Wielu starszych chłopców z mojej wioski za moim wstawiennictwem otrzymało pracę co było bardzo trudno, bo tu pracowali sami specjaliści ziemni.

Wytrwałem rok na tym stanowisku i prawie że z dziecka stałem się mężczyzną, tak przynajmniej mnie się zdawało, ale rzeczywiście już myślałem inaczej i nie mogli mnie rozpoznać, że z niedawnego jeszcze pieszczocha stałem się tak poważnym, a jak na wioskę bardzo elegancko ubrany — matuchna moja tak się cieszyła że doczekała się takiej pociechy z „wyskrobka" a tu jeszcze nic takiego nie było.

Moje gimnazjum było zdecydowane, na drugi rok szkolny miałem wyjechać do Złoczowa. Ojciec wypożyczył u dziedzica siodło na konia i jeździłem codziennie do parafji na lekcje łaciny i greki do księdza.

Niedługo nastąpiła zmiana wielka i tak bolesna dla mnie w moim młodym jeszcze wieku. Ojciec zachorował nagle i do dwóch tygodni zmarł, w tydzień później matka położyła się do łóżka i w czterech tygodniach również zmarła. Rozpaczy i boleści mojej nie jestem w mocy opisać. Dwa miesiące przeleżałem ciężko chory, po chorobie zabrał mnie brat Michał do majątku państwa K. koło Chołojowa, gdzie był zajęty montowaniem maszyn. Po kilku dniach pan zabrał mnie do pałacu za chłopca pokojowego czyli za lokaja, obiecując zająć się moim losem. I w tej służbie stałem się doskonałym — po dwóch tygodniach nie było rzeczy którejbym nie rozumiał i nie wypełnił. Usługiwałem do stołu co nie jest łatwem u naszej szlachty, czyściłem do połysku podłogi — byłem tak zaufany, że równie spełniałem... obowiązki pokojówki przy Pani spełniając najintymniejsze posługi i prace.

Na każde święta przyjeżdżał panicz sześcioklasista gimnazjalny, uczył mnie i twierdził że mogę już być w czwartej klasie gimnazjum. Jeździłem z nim konno na polowanie. Cieszyła mnie ta służba, bo ci poczciwi państwo nie traktowali mnie jako służącego — z Panem grywałem w karty i robiłem z nim różne zakłady takie że ja zawsze wygrywałem bardzo poważne kwoty od Pana.

Pani znów uczyła mnie grać na skrzypcach i fortepianie, robiliśmy areny i graliśmy rolę światowej sławy zapaśników, byłem wprawdzie trochu niższy od panicza, ale zawsze go zwyciężałem. Pewnego razu zaproponował mi 10 koron jeżeli on mnie zwalczy wobec rodziców, obraziłem się i nie przyjąłem tej propozycji, całą noc biedak płakał, aż mu przyrzekłem, że ulegnę mu, ale nie za pieniądze, tylko z dobrej chęci. Byłoby się wszystko dobrze skończyło, gdyby nie plotkarka służąca, która nas podsłuchała i dopiero po morderczej naszej walce powiedziała Pani. Ja wyszedłem wprawdzie jak bohater, ale panicz miał za swoje, bo Pan był bardzo ostry w gniewie, chodziło mu bardzo o to przekupstwo, że wiejski chłopak pokazał swoją ambicję szlachcicowi. W nagrodę za to otrzymałem nowe ubranie, ale wolałbym go nie mieć, bo żal mi było panicza, który traktował mnie jak brata. Postanowiliśmy zemścić się na służącej. Ja pierwszy chwyciłem ją w piwnicy i chciałem jej wylakierować buzię, ale dziwa była silna chwyciliśmy się i przewrócili, a kamerdyner zastał nas w dwuznacznej pozycji dającej wiele do myślenia, bo w tem zmaganiu sukienka jej była wysoko, a nogi obnażone. Rozerwał nas i zaraz poprowadził mnie przed oblicze Pani, ta zaś nakręciła mnie porządnie uszu, karę pozostawiając nieobecnemu w tej chwili Panu, wyjechał z paniczem do miasta. Ja znów tak wziąłem sobie to do serca, nie obawiałem się kary, ale jak ja będę mógł spojrzeć na Pana, a wobec wiary słów kamerdynera nie było w tym dworze odwołania — jak błyskawica przemknęło się mi w myśli — drapnąć. Ubrałem swoje najlepsze ubranie i drapnąłem do siostry, gdzie byłem pewny pogoni i siostra mnie nie wyda — i tak się stało. Tydzień za mną jeździli, gdybym był wiedział, że służąca pod srogością wyznała Panu, w jakich zamiarach napadłem ją w piwnicy byłbym wrócił. Wyjeżdżając zagranicę, napisałem list do Pana z zaklęciami, że chciałem tylko długi język pomścić na służącej, a nic więcej, a przez tak grzeszne posądzenie mnie nie mam odwagi stanąć przed Panem.

Dopiero podczas wojny światowej jestem instruktorem w nowozaciężnej kompanji przy spisie rekrutów dostępuje do smagłego chudego jednorocznego i pytam nazwisko „Zdzisław K." zdębiałem!... czy Pan z pod Chołojowa? Kiedyś tak! — odpowiada — a czy Pan mnie nie poznaje? Owszem już wiedziałem wczoraj, że mam być

przydzielony do Pana plutonu... I Pan nie przyszedł przywitać się ze mną, ale rozumię dlaczego... wszyscy nie możemy być szlachcicami... a los tak ludzi łączy. Zwróciłem na niego wzrok — wytrzymał. Bardzo Pana przepraszam, ale Pan mnie nielitościwie posądza — powiedział to dość z żalem.

Nie było jednak czasu, bo mieliśmy wyruszyć na pierwsze ćwiczenia. Dopiero na drugi dzień mogliśmy się widzieć i swobodnie pomówić i dowiedziałem się że matka jego po mojej ucieczce płakała, a Pan za wszelką cenę chciał mnie odszukać. Miło mi było byłemu paniczowi mojemu ulżyć w dniach rekruckich, które nie należą do przyjemnych nawet takim szlachcicom. Zabrałem go z koszar do swego prywatnego mieszkania i znów jak niegdyś opowiadaliśmy sobie dawne dzieje, tylko w nauce nasze role zmieniły się, bo teraz ja go uczyłem sztuki wojennej, bo byłem starym żołnierzem dwukrotnie rannym w boju, a on mimo dyplomu inżyniera agronomji był rekrutem.

* * *

Po mojej ucieczce od państwa K. ukrywałem się u siostry przez dwa prawie tygodnie, później wróciłem do mojej rodzinnej wioski, gdzie zastałem ruch gorączkowy chłopców w wieku 17 — 18 lat, którzy wybierali się do Prus, a w rzeczywistości na Górny Śląsk do kopalni. Wobec oświadczenia brata, że jeszcze w tym roku nie pójdę do gimnazjum, udzieliła mi się gorączka wyjazdu do tych Prus, chęć zwiedzania nowości bardzo mnie pociągała. Cóż z tego kiedy nie ukończyłem lat 15-stu, a trzeba mieć 16-cie skończone. Na wyjazd do Niemiec wystarczyło świadectwo wydane przez gminę. Porozumiałem się i przekupiłem syna wójtowego, który obiecał mnie przerobić na starszego kawalera, ale musi być metryka. Udałem się do parafji i gospodyni proboszcza znajoma za dwa dni przysłała mi metrykę urodzenia na dwa lata wcześniej. Jechałem do Prus, przez Lwów, Kraków, podziwiając wspaniałe budowle tych miast, gdyż dotąd byłem tylko na wsi i małem miasteczku Radziechowie, mimo wszystko jechałem w kołnierzyku i krawatce przez co konduktorzy wyróżniali mnie i nazywali „panem", a moich starszych kolegów z mojej wioski tylko „wy" to też ci koledzy odnosili się do mnie z pewnym poważaniem i respektem, bo wiedzieli że byłem już kiedyś sekretarzem, a teraz

podczas jazdy próbowałem niemieckiego języka, bo też w początkach byłem dość silny.

Na Górnym Śląsku wywarły na mnie ogromne wrażenie mnogość i wysokość kominów fabrycznych. Jeszcze w wiejskiej szkółce uczyłem się o tych kominach, ale nie wyobrażałem sobie tych rozmiarów, myślałem, że cośkolwiek większe jak gorzelni Rozwadowskich w naszej wiosce, który w porównaniu do tych wyglądał jak krasnoludek. Przyjechaliśmy na stację Obszary (Romanshof) pow. rybnicki, wysiedliśmy, gdzie obok stała kopalnia „Emmy" (Emmagrube) obok wioski Bertutowy. Zakwaterowali nas w t. zw. barakach, które w porównaniu do naszych chat wiejskich mogły uchodzić za pałace; izby były dość obszerne po sześciu i ośmiu ludzi czyste z centralnym ogrzewaniem, łóżka piętrowe, ale jakoś tak estetycznie wyglądające że to nie raziło — mówię nie raziło — kogo nas wiejskich chłopaków? którzy od dziecka spędzili noce pod żłobami koni w stajni, a tu czysta pościel, nocne koszule, których znaczenia i użytku z początku nie rozumieliśmy i uważaliśmy, że to zbyteczne, a dwóch zaraz pierwszego dnia obcięli je i porobili sobie chusteczki do nosa, a reszta koszuli przeznaczyli na dnie świąteczne. Ale zaraz pierwszej nocy odpowiadali zato i później z zarobku za te koszule potrącili. Nad tymi barakami zawiadował intendent Schlafmajstrem zwany, który równocześnie gotował całe utrzymanie dzienne dla wszystkich i była kantyna. Otrzymaliśmy książki, na które było można co dzień zapisać sobie jedną marke, która w zupełności wystarczała na całodzienne utrzymanie z papierosami i piwem. Obiady były dość dobre i smaczne. Po długich ceremonjach oględzin lekarskich podczas których dwóch lekarzy zastanawiało się nademną, że na te lata byłem trochu za słaby, ale ratował mnie język niemiecki, z którego się trochu śmiali, szczęśliwie przeszedłem. Po dwóch dniach zjechaliśmy w głąb ziemi. Podczas zjeżdżania windą nie obeszło się bez tragedji jeden zemdlał, od drugiego znów mocno trąciło, ale to nic w kopalni wody jest dość, aby usunąć podobne przeszkody. Otrzymaliśmy prawie wszyscy jednakową robotę: na pochyłych wyrobiskach spychaliśmy węgiel przez górników narąbany do wózaków (śleprów), którzy ładowali ogromnymi łopatami do wielkich misek podobnych do wózków i odwozili do pochylni. Praca nasza była dość ciężka tak że pierwszy tydzień nie mogłem ani rękami, ani

nogami ruszać, ale cierpiałem z rezygnacją i powoli włożyłem się i pracowałem ze śpiewem.

Najbardziej bolały mnie przekleństwa górnoślązaków, a szczególnie nas galicjaków nazywano gorolami co u nich było największą pogardą, ale i do tego przyzwyczaiłem się i nie zważałem na nic. W ten sposób rozpocząłem żywot emigranta i prowadzę to życie do dnia dzisiejszego wyjąwszy przerwę wojny światowej i służbę w wojsku polskiem.

Umywalnię mieliśmy w barakach, ja zazwyczaj myłem się bardzo długo, co gniewało dozorcy tej umywalni, bo zawsze musiał na mnie czekać. Razu pewnego stał nademną i przynaglał mnie wreszcie złość go zebrała i zaczął krzyczeć na mnie „ty gorolu przeklęty dycki*) na cie musza czekać", wziąłem sobie bardzo to do serca, aż zapłakałem, bo wspomniałem rodziców, a on to widział. Gdy ubrałem się przyszedł do mnie i powiedzial że jak zjem obiad mam do niego przyjść pogłaskał mnie po głowie i odszedł. Dopiero za kilka dni spotkał mnie i kazał iść ze sobą — długo mnie pytał a ja opowiadałem jak na spowiedzi wszystkie moje przejścia i zmartwienia.

Dozorca nazwiskiem Kominek Emanuel zrozumiał mnie i dość litościwie na mnie spoglądał. Odtąd chodziłem do niego do domu, miał dwie córki Konstancja lat 15 i Emilja lat 9. W krótkim czasie zżyłem się z tym domem, a Kominka uważałem za drugiego swego ojca. Miał obszerny własny dom i mieszkało u niego dwóch sztygarów niemców i z tego powodu więcej mówiono po niemiecku jak po polsku, gdyż polski język był gnębiony. Zawsze zamykaliśmy się w jednym pokoju z dziewczętami dla rozmowy czysto polskiego języka gdyż szczególnie chciała go posiąść starsza córka Konstancja. Wszystkie wycieczki, przechadzki odbywaliśmy we trójkę, bo Konstancja mimo szczerej chęci nie mogła się pozbyć młodszej siostry, a od chwili jak zakosztowała pocałunku szukała sposobności sam na sam. Pod względem miłości byłem wówczas jeszcze w uśpieniu, ale całowałem bo o to mnie prosiła— mówiła że jej tak dobrze... Uczyłem się po niemiecku i gry na skrzypcach rozpoczętej u państwa K. — zapisałem się do Towarzystwa św. Józefa, które pod pozorem tow. kościelnego zajmo-

*) Dycki — w gwarze śląskiej: zawsze.

wało się podtrzymaniem polskości w Biertutawach, przyjęli mnie z otwartemi rękami, w tym właśnie towarzystwie była sekcja muzyki i śpiewu, w których to sekcjach brałem czynny udział. Pewnej niedzieli Konstancja zapoznała mnie ze swoją koleżanką Ermą — niemką nic nie rozumiejącą po polsku, a ja mało po niemiecku. Erma była to dziewczynka bardzo żywa nad wiek rozwinięta, nie miała jeszcze 15-stu lat. Zaprosiła nas na podwieczorek do swego domu, ojciec jej był nadsztygarem, w kopalni wielki dostojnik. Przyszliśmy i zastaliśmy jej rodziców na werandzie siedzących okazało się że Erma jedynaczka była dyktatorką domu, bo na jej żądanie musiano wyciągać najlepsze smakołyki dla nas. Matka wyglądająca prawie tak młodo jak córka, średniej tuszy ruchliwa, w mowie o mało że pyskata, zajęła się przedewszystkiem mną kto ja jestem, skąd i co robię? Za mnie odpowiadała Konstancja, bo byłem onieśmielony i z językiem nie pewny. Zaraz z góry zostałem musowo zaangażowany na lekcje języka niemieckiego codziennie od godziny 2 do 3 po południu, a jej mąż otrzymał rozkaz, aby ja o godzinę wcześniej wrócił z pracy, na co już z góry musiał się zgodzić. Siedzieliśmy długo i chcieli, aby Konstancja sama szła do domu, a ja został, ale nie zgodziłem się na to i poszliśmy razem. Kominek był mocno zaniepokojony moją nową znajomością, gdyż ten nadsztygar był zaciętym hakatystą. Przestrzegał mnie, że będą mnie niemczyć, ale on będzie nad tem czuwał i żebym się nie zdradził że jestem członkiem Tow. św. Józefa. A nadewszystko ostrzegał mnie, aby ani z Ermą ani z jej matką za długo nie przebywałem. Nazajutrz w pracy sztygar oznajmił mnie, że o godz. 1-szej mam być już przy windzie i zameldować się u nadsztygara, z którym zaraz wyjechałem na powierzchnię. Kominek widząc mnie ucieszył się że mam pracę skróconą, ale z drugiej strony ostrzegał mnie abym się nie zbisurmanił na szwaba. Uspokoiłem go co do tego, bo byłem pewny że nikt mnie nie zdoła zniweczyć pamięci ojca, który mi tyle naopowiadał o dziadku Bartłomieju, którego Moskale rozstrzelali chociaż czynnego udziału nie brał w powstaniu 1863 r. a tylko żywność w lasy woził.

Poszedłem na pierwszą lekcję języka niemieckiego do matki Ermy. Erma przyjęła mnie jak siostra i jakbyśmy się znali już kilka lat. Ubrałem się odświętnie i to mi się udało, byłem dość

wysoki i miałem szczególne szczęście u dziewcząt, sam niewiem dlaczego, bo wobec tych stworzeń byłem bardzo nieśmiały. Erma kazała się całować przy matce, co oczywiście zaraz uczyniłem jak automat i stwierdziła, że nie umię całować i kazała matce, aby mnie nauczyła. Żadnej lekcji tego dnia nie było, ani następnych dni, ale wystarczyła rozmowa z której wiele korzystałem. Jak mnie się zdawało że to wszystko nic i że moje uczynki teraźniejsze w tym domu rozpusty są zwykłym trybem dalszego mego jestestwa. Naprzemian matka i córka albo przeciwnie wyrywały sobie mnie poddającego się ich woli i kaprysom i byłem gotowy na skinięcie ich palca w ogień skoczyć. Z nauki języka niemieckiego korzystałem dużo i równie gry na skrzypcach, gdyż jak matka tak córka grały dość możliwie na pianinie całe wolne godziny poświęcaliśmy grze. Kominek widział moje postępy milczał, ale Konstancja przeklinała dzień w którym mnie poznała z Ermą. Po trzech miesiącach tempo miłości zaczęło przygasać. Erma poznała młodego praktykanta górniczego i z nim całe dnie przesiadywała w osobnym pokoju. Matka zaś sprowadziła swego kuzyna jakiegoś handlowca, wyjeżdżała z nim do Wodzisławia — miasteczka. Błąkałem się sam po domu nadsztygara i klątem jedną i drugą. Romans mój był skończony, a natomiast nadsztygar zaczął mnie germanizować. W tajemnicy powiedział mnie że będzie zebranie w Biertutowach Tow. św. Józefa, mam tam iść i słuchać co oni mówią i jemu powiedzieć. O tem zebraniu ja już przedtem wiedziałem i miałem iść bez jego polecenia. Gdy zjawiłem się na zebraniu zobaczyłem mego rywala praktykanta górniczego, który stojąc za drzwiami czekał rozpoczęcia. Był wielki tłok i mimo ścisłej kontroli sprytny człowiek mógł się wcisnąć, ale obowiązkiem każdego człowieka było przestrzegać prezesa tak i ja zrobiłem z tym praktykantem. Znałem się z nim zaledwie trzy dni i nie wiedziałem że to jest Polak śląski, gdy go wypraszano powołał się na moją znajomość i że on też chce się zapisać na członka. Mówił dobrze miejscowym językiem polskim. Ja mimo wszystko powiedziałem wszystko Kominkowi, który był kierownikiem sekcji śpiewu, ale tak nieszczęśliwie, że ten jakoś się dowiedział, a zatem więcej tu jest szpiegów. Na drugi dzień matka i Erma zaatakowały mnie, że mam zawsze wszystko powiedzieć co mówią na zebraniach polskich, bo oni wiedzą, że różaniec i te święte ich

zapatrywania to tylko pozór. We mnie zaczęło się burzyć, ale wstrzymywałem się bo kochałem już Ermę, ale kiedy praktykant raz przyszedł i zabrał Ermę bez ceremonji odemnie. skoczyłem palnąłem go w twarz, aż krew z nosa wyszła, a Erma narobiła lamentu i powiedziała mi „polnische schwein" w tej złości chciałem ją chwycić za rękę, tąk że ledwie dosięgłem rękawa, ona się szarpnęła i sukienka pękła i cała pierś się obnażyła. Na to wpadł nadsztygar chcąc mnie chwycić ja wywinąłem się i z całej siły uderzyłem go głową w brzuch aż się przewrócił, a ja uciekłem do baraków. Uciekając napotkałem na szczęście naszego trenera sportowego boksu i zapasów, na które od pół roku chodziłem. Na zapytanie dlaczego uciekam opowiedziałem mu całą historję. Sitko tak się nazywał trener, a był równocześnie postrachem okolicy tak że żandarmi unikali go bo był w klubie niemieckim równocześnie, siłacz był okrutny. Pockejno oni ciebie będą gonić, a ja już dawno z tym obersteigrem mam na fleku. Stanęliśmy obaj — nie omylił się, nadsztygar z praktykantem i jeszcze z jednym sztygarem szli w kierunku baraków. Zobaczyli mnie przyspieszyli kroku, lecz Sitko wysunął się naprzód przed którym moi prześladowcy uchylili grzecznie kapeluszy, a Sitko zapytał nie odpowiadając na ukłony po polsku — A kogo to szukają? A tego oto Polaka co tu stoi!... A na co on wam? zapytał Sitko. Nadsztygar zaczął opowiadać o moich wyczynach w jego domu, — oczywiście po niemiecku.

Słuchaj ty hruby gamoniu — zaczął Sitko — niech będzie i jego wina, ale was trzech idzie na jednego, a ty jesteś naszego klubu honorowym członkiem i ty nie wiesz naszych przepisów, że sprawy honorowe załatwiamy w pojedynkę. Uważaj pieronie, jeżeli temu karlusowi zrobicie krzywdę to zemną będziesz miał do godki. Niech twoja baba ani twoja córa nie zawracają głowy karlusowi to i on wam da pokój. Zwrócił się do mnie: ty idź do domu a jeśli ci kiedy co powie przyjdź do mnie. Nadsztygar ze swoją kompanją wrócił się i w ten sposób rozeszliśmy się, ale chmura wisiała nad moją głową. Kominek był wielce zmartwiony, gdyż nadsztygar jakkolwiek bał się swoich robotników z którymi cośkolwiek miał, jednak był mściwy. Na drugi dzień już nie dano mi pracować w kopalni, a nadto byłem wezwany do zawiadowcy, który mi wiele zarzucał, że jestem członkiem Tow. św. Józefa,

więc nie mogę w kopalni dłużej pracować i mogę sobie iść gdzie chcę albo wystąpić z tego towarzystwa to jeszcze na próbę mnie przyjmie. Nie odpowiedziałem mu nic bo chciałem poradzić się prezesa który w tym wypadku mógł więcej zrobić jak zawiadowca. Pracę otrzymałem na koksowni z lepszym zarobkiem.

Należałem również do klubu sportowego, który wprawdzie był niemieckim, ale jedynie dlatego, że był obficie wspomagany przez kopalnię. Sitko postarał się abym należał do komisji technicznej, która zbierała się raz na trzy miesięcy i przychodzili dyrektorowie inżynierzy i członkowie honorowi. Na pierwszem takim zebraniu Sitko podniósł moją sprawę wydalenia z kopalni wbrew regulaminowi, a na wyraźne życzenie dwóch kobiet żony i córki nadsztygara, a członka honorowego naszego klubu. Wiadomość ta wywołała piorunujące wrażenie. Dyrektor obecny pierwszy wstał i zwrócił się do nadsztygara, że do jutra chce mieć wyczerpujący raport w tej sprawie. Przewodniczący komisji polecił mi, abym natychmiast zgłosił się do niego do domu. Jeszcze jedna podobna sprawa była wydalenia którą się też zajął dyrektor.

Miałem zaledwie lat 16, ale czułem się sam być starszym, kierowany przez mądrego Kominka, a ostatnie wypadki naprowadzały mnie na drogę poważnego myślenia tak że w późniejszych latach sam się dziwiłem, że mój romans miłosny z matką i córką nie doprowadził do zupełnego zepsucia i zdemoralizowania, a przeciwnie był dla mnie przestrogą. A miejscowi działacze społeczni i bojownicy polskości widzieli we mnie zupełnie inny typ młodzieńca jak inni moi rówieśnicy ślązacy lubieli mnie ufali i powierzali najtajniejsze sprawy.

Z kopalni otrzymałem odszkodowanie za stracone dniówki, przez moje przeniesienie się na koksownię, a Erma zasypywała mnie listami błagała o jedno jeszcze spotkanie się z nią. Uczyniłem zadość jej życzeniu — wymogła odemnie przyrzeczenie, że nikomu i nigdy nie będę nic mówił o moich dawnych z nią i jej matką stosunkach i chciała mi płacić 100 marek za milczenie. Przyjąłem pieniądze z myślą ofiarowania ich na Tow. św. Józefa i zwierzyłem się z tem Kominkowi i prezesowi, którzy nie podzielili mojej intencji i mam te pieniądze zwrócić. Nie było to tak łatwo i byłem mocno zmartwiony, bo zawsze myślałem że wszyscy

wiedzą że ja wziąłem pieniądze za milczenie. Zwróciłem te pieniądze Ermie pod groźbą i musiała przyjąć.

Byłem odtąd szpiegowany, gdyż wyraźnie niemcy podejrzywali mnie o polskość, ale po wyjaśnieniu im że jestem grecko-katolik, a że zapisałem się na członka Tow. św. Józefa to jedynie dla uczenia się gry na skrzypcach i początkowo jako nieświadomy wstąpiłem gdzie pierwsza sposobność się nadarzyła, a że Tow. św. Józefa działa wbrew ich przepisowi kościelnemu to ja tego nie wiedziałem i nie wiem, gdyż dotąd nic takiego nie zauważyłem, a występować nie widzę potrzeby, nawet źle zrobiłbym bo tam dobrze uczą muzyki. To wszystko powiedziałem u komisarza, który wzywał mnie zupełnie w innej sprawie, a głównie w tym kierunku mnie badał. Odtąd byłem spokojny nikt mnie więcej nic nie powiedział, mogłem teraz śmiało iść na zebrania.

Pewnego razu zostałem zaproszony jako skrzypek do wesela jednego z urzędników ˊkopalni, Erma miała grać na fortepianie — towarzystwo same niemieckie. Panna młoda była Polką z miasteczka Wodzisław, modniarka, po ślubie wszyscy składali jej życzenia, tak samo i Erma, która w kącie uczyła mnie jak mam niektóre słowa niemieckie dodać jako konieczne w takich razach, a których ja jeszcze nie znałem. Już prawie na ostatku zbliżyłem się do państwa młodych — młodemu życzyłem po niemiecku, a p. młodej po polsku. Każdemu tylko rękę podawała, a mnie pocałowała w oba policzki i powiedziała również czysto po polsku „serdecznie dziękuję". Stał się okropny ruch i okrzyki „Precz z tym Polakiem", zabrałem się do pakowania skrzypiec, ale wystąpiła p. młoda pierwsza, a Erma druga w mojej obronie i uspokoiło się na jakiś czas, ale jak wiara niemiecka podpiła sobie zaczęła mruczeć. Wychodziłem dla ochłodzenia się z Ermą i zaczepiłem za jakiegoś niemca przypatrzyłem się mu był to pisarczyk z biura handlowego, spojrzał też na mnie i powiedział „polska świnia" (polnische schwein) zaraz go poprosiłem za mną — butny Niemiec nie odmówił. Na dworze powiedziałem mu, że tu nie wypada niepokoić bawiących się gości, więc przejdziemy się do ogrodu, gdzie mu polska świnia da nauczkę grzeczności. Zgodził się, ale weźmie ze sobą kolegę — zgodziłem się — zemną miała iść Erma jako świadek, wreszcie poszliśmy. Na miejscu gdzie nas nikt nie mógł widzieć ani słyszeć zdjęliśmy marynarki — sztuka boksu nie

była mi obcą, ale jednak miałem przed sobą dorosłego 26 letniego mężczyznę a ja 16 lat, Erma i drugi Niemiec stanęli w oddaleniu. Ja pierwszy zajechałem mego przeciwnika w zęby i w mgnieniu oka między oczy, te dwa uderzenia według zdania mego trenera Sitka miały wielkie znaczenie w ręcznej bitwie i Sitko mnie wyspecjalizował w tem, gdy na mnie nastawał nadsztygar, tymczasem przydało mi się na kogo innego i to wpierw zastosowałem, mój przeciwnik zatoczył się po tych uderzeniach i zalał się krwią, ale mimo wszystko natarł na mnie, ja znów zrobił przysiad i kiedy miał na mnie skoczyć ja całą siłą swoją runąłem głową w jego brzuch i zwalił się na ziemię a ja na niego, już się nie bronił po kilku porządnych boksach pod oczy, by mu dać znak na kilkanaście dni ustąpiłem i czekałem aż wstanie, bo nie chciałem leżącego bić. Wstał trzymając się za brzuch i kazał sobie podać palto, aby mógł ogrodem wyjść do domu. My wróciliśmy i graliśmy dalej jakby się nic nie stało, ale z chwilą gdy dzień się kończył powiedziałem p. młodemu, że ja nie mogę grać na wieczór, bo jestem trochu chory niech sobie poszuka skrzypka innego, ale Erma wiedziała już o co się rozchodzi. Ja oczywiście przeczuwałem to, że wracając w nocy z wesela urządzą zasadzkę na mnie, więc nie chciałem, by mnie w ten sposób poznaczono, boby Sitko się śmiał ze mnie. Na szczęście zjawił się brat Sitka, abym wyszedł, bo ma mi coś powiedzieć. Wyszedłem na ulicę, gdzie czekał na mnie Sitko. Powiedziałem mu, aby mnie koniecznie stąd wyciągnął. Sitkowi nie trzeba było dwa razy mówić wszedł razem ze mną do p. młodego i oznajmił mu że w bardzo pilnej sprawie mam być dzisiaj w klubie, ale p. młody już wiedział o co się rozchodzi i naradzał się ze swoją młodą małżonką nad sposobem zatrzymania mnie. Jak zobaczyli Sitka ucieszyli się i zaczęli opowiadać mu jak ja uczciwie zmasakrowałem jednego weselnika i tak że nikt o tem nic nie wie aż Erma nam opowiedziała i dlatego Anton nie chce grać, bo się boi że go w nocy napadną. Teraz jednak ja was panów obu zatrzymuję — mówił p. młody — a napewno nikt na was nie odważy się porwać jak będziecie wracać do domu. Sitko zaraz się zgodził zostać na weselu, musiałby nie być ślązakiem, a ja na rozkaz Sitka musiałem grać, Sitko jako zawodowy atleta był bardzo elegancki i lubiał się zawsze bawić to też prócz dwudziestukilku ubrań i tyleż par bucików nic więcej nie

miał, był żonaty, żona przy rodzicach dość bogatych nie wymagała od niego pieniędzy na nic więcej jak również na ubrania i zapewne ta elegancka para mogła stanąć do rekordu w ilości ubrań na całym Śląsku.

Na tym weselu dopiero widziałem potęgę Sitka, Niemcy płaszczyli się z grzecznościami do niego, a nawet od chwili jak wszedł Sitko ustały krzyki i śpiewy, aby nie zrazić srogiego męża ale Sitko ani myślał się gniewać i nad wyraz był wesoły i znikły u niego zwykłe ordynarne słowa, a wyrażał się z miarą i widać było w nim inteligencję — organizował zabawy towarzyskie, tańce przemowy, deklamacje, aż ździwiłem się skąd ten człowiek ma tyle zdolności, i jest tylko dozorcą w kopalni. Jako sportowiec pierwszej klasy zjechał całe Niemcy, Austryję, Węgry, Belgję, Holandję.

Na tym weselu wiele razy zwrócił się do mnie mówił po polsku, tak samo panna młoda. Jak sobie Sitko popił na wesołego, wyciągnął nuty z mojej teczki i szukał. Znalazł zeszyt z polskimi utworami i zwrócił się do gości, że teraz będą grane ładniejsze rzeczy, ale tylko do słuchania. Były to rzeczy dla mnie jeszcze za trudne wobec śląskich tańców, ale dwóch flecistów prawie artyści i klarnecista, więc jakoś to szło. Po Niemcach było widać wyraźne niezadowolenie, ale co mieli zrobić jak Sitko kazał. Zato p. młoda ogromnie się ucieszyła, a p. młody dolewał Sitkowi szampan, a mnie słodki „malzbier". Erma była już pijana. Bawili się do rana 4-tej godziny, ale Sitko z Ermą stracili się już o 2-giej i nie było ich widać, a za nią grała jej matka. Gdy wyszedłem na ulicę ze skrzypcami stało dwie grupy mężczyzn, ja przeczuwałem coś niedobrego nie miałem obawy, bo wiedziałem że w pobliżu gdzieś jest Sitko. Skrzypce tylko zostawiłem, bo były bardzo dobre, o siebie mniej dbałem. Gdy mijałem pierwszą grupę usłyszałem złowrogie pomrukiwanie. Z drugiej grupy wysunął się do mnie pokonany przezemnie, no teraz możemy skończyć naszą sprawę honorową — powiedział do mnie. Ale ja teraz nie mam do was 10-ciu zaufania, z tobą mogę zacząć, ale nie ze wszystkimi, zaraz drugi do mnie dostąpił, był to praktykant mój były rywal, że on też ma ze mną porachunki, powoli otoczyli mnie dookoła, ale żaden nie zaczyna, ja też nie, ale uciekać nie będę choćbym zginął. Naraz z tyłu dostałem przez głowę laską, odwró-

ciłem się i rzuciłem się na jednego, który trzymał laskę i zaraz za pierwszym uderzeniem przewrócił się, a teraz biłem na oślep trzech już leżało a i ja już dostałem, białą kamizelkę miałem już skrwawioną wymierzyłem cios praktykantowi w nos, gdy nagle padł strzał z rewolweru to Sitko strzelił i wpadł jak bomba pomiędzy nas z rewolwerem w ręku i zagroził, że ktokolwiek będzie próbował uciekać padnie trupem, ja prawie w tej chwili klęczałem od uderzenia kamieniem w głowę i zamroczyło mnie trochu.

Podobne wypadki nie były nowością zdarzały się często, gdy jakaś uroczystość się odbywała, młodzież niemiecka była butna i bezkarnie napadali na rozmawiających po polsku, której to mowy spokojniejsi unikali wieczorami, mówiąc jedynie po niemiecku. Młodzież znów polska pozostająca w różnych klubach sportowych żądna awantur i odwetu umyślnie nieraz szukała sposobności. Ja nazajutrz leżąc w łóżku z rozbitą głową odwiedził mnie Kominek i te wypadki mi opowiadał, że ta walka trwa już lata i nie ustanie dopóki nie skończy się niemczenie Śląska. Dlatego też opisałem te wypadki, gdyż odtąd dopiero zacząłem sobie zdawać sprawę z życia Polaków na Górnym Śląsku i ich niezmordowaną walkę o polską mowę. Po wyzdrowieniu ze zdwojoną siłą nienawidziałem Niemców, a wartość mojej pomocy w Tow. św. Józefa wzrosła, gdzie mimo mojej młodości byłem bardzo mile widziany i od starych górników poważany.

W tym czasie zaszła znów zmiana w moim życiu. Na koksowni gdzie pracowałem był inżynier von Watzen, który bardzo często godzinami stał przy nas robotnikach pochodzących z b. Galicji. Nieraz dziwiliśmy się dlaczego właśnie przy nas ciągle siedzi i chociaż nieraz ze zdwojoną siłą pracowaliśmy bo myśleliśmy, że może źle pracujemy, to jednak łagodnie nas hamował w pracy, aby robić wolniej, a dobrze. Pewnego razu zapytał nas, który z nas umi mówić po niemiecku, koledzy wskazali mnie. Opytywał się o każdego z osobna, częstował papierosami, co było nie pierwszy raz. Na drugi dzień przyszedł w towarzystwie żony i córki, rozmawiali ze sobą po francusku. Zatrzymali się przy nas, prawie w czasie kiedy mieliśmy przerwę w pracy. Inżynierowa i jej córka zajęły się szczególnie mną i łamaną niemczyzną pytali mnie o rodziców i rodzeństwo. Ja dumny z tego, że chociaż raz ktoś się trafił że ja lepiej mogę mówić po niemiecku, odpowiadałem śmiało i z pew-

nym honorem. W tej chwili przechodził jeden z moich kolegów i powiedział, abym tego wieczora przyszedł na lekcję gry. W ten sposób inżynierowa poleciła mnie przyjść po lekcji do niej do domu a zagramy razem z fortepianem. Tego wieczora opowiedziałem u inżyniera w domu cały mój życiorys.

Na drugi dzień wezwano mnie na biuro do inżyniera von Watzen, a ten zawiadomił mnie, że moje marzenie może się spełnić jeżeli zechcę jechać do Krakowa i tam zdam egzamin wstępny do gimnazjum. Nie wiedziałem co mam odpowiedzieć, wyraziłem tylko obawę że może nie będę miał na tyle pieniędzy i dopiero jutro dam mu odpowiedź. Dał mi do zrozumienia że o pieniądze nie chodzi. Po pracy udałem się zaraz do Kominka, a ten zaraz przyrzekł mi pomoc tembardziej że w Galicji będę zdawał egzamin w języku polskim. Od tego czasu pracowałem już w laboratorjum koksowni i uczyłem się, a wieczorami chodziłem do domu inżyniera i grałem na przemianę z matką i córką, a szczególnie zaprzyjaźniłem się z córką Flotty. W jej towarzystwie przerobiłem się na eleganta gdyż pod jej kierownictwem umeblowałem siebie w dwa dobrze skrojone ubrania.

Wspomożony przez Kominka i miałem trochu swojej gotówki, wyjechałem z listem poleconym do Krakowa a stamtąd do Lwowa, aby jako obcokrajowiec spełnić warunki konieczne do wstąpienia do gimnazjum we Wrocławiu. Po miesięcznej pracy przywiozłem świadectwo z czwartej klasy gimnazjum państwowego we Lwowie, gdzie prócz tego zapisałem się do drużyn Związku Strzeleckiego i byłem na 14-dniowym kursie podoficerskim przyszłych Legionów. W roku 1912 z wielkimi trudnościami zostałem przyjęty jako uczeń gimnazjalny 5-tej klasy we Wrocławiu, gdyż obecnie już nie byłem wyznania gr. kat., a rz. kat.

Nie długo danem mi było uczyć się w gimnazjum niemieckim. W towarzystwie kilku uczni polaków górnoślązaków stworzyliśmy drużynę Zw. Strzel., oczywiście na razie prowizoryczną i pewnego razu zaśpiewaliśmy sobie „Jeszcze Polska nie zginęła“ i to nas zgubiło, gdyż często rozmawialiśmy po polsku i byliśmy szpiegowani. Wynikiem tego było moje wydalenie z gimnazjum po 5-cio miesięcznej nauce we Wrocławiu i to jeszcze z wielkim szczęściem, że uratowałem moich kolegów biorąc na siebie całą winę, bo w rzeczywistości ja ich do tego wciągnąłem. Opuściłem

Wrocław z tem, że wszystkie uczelnie państwowe w Niemczech średnie są dla mnie zamknięte. Dopiero teraz dowiedziałem się, że inżynier von Watzen miał być moim krewnym po matce i w rzeczywistości nazywał się Kononowicz i dlatego chciał się zająć moim losem, ale kiedy spostrzegłem, że jest zgermanizowanym wyrzutkiem przestałem żałować swego kroku, bo miałem możność jeszcze wstąpić do niższej szkoły górniczej sztygarów, w której byłem zaledwie 18 miesięcy i 25 lipca 1914 roku wyjechałem do Lwowa, aby być bliżej w razie wojny, jakoż za kilka dni byłem już w mundurze Legjonisty.

W mojej rodzinnej wiosce była drużyna Bartoszowa, gdzie wyjechałem, aby moich rówieśników zwerbować. Zwerbowałem ich zaledwie sześciu a to: Stanisław Świętalski, Jan Bakuliński, Franciszek Wiśniewski, Stanisław Długosz, Jan Turowski i Tadeusz Kuliński, a ja siódmy. Tak nagle wszystko to szło, że w Toporowie nawet nie zastaliśmy właściwego komendanta chorągwi toporowskiej więc nad 20-sto kilku młodych wojaków objąłem dowództwo i wyjechaliśmy do Buska, gdzie w majątku hr. Badeniego mieliśmy spotkać komendanta z resztą chorągwi. Młodzież ta była już ćwiczona i jako tako można było się z nimi pokazać to też kiedy u wejścia do naszych zaimprowizowanych koszar stanęła druga część chorągwi w szyku na nasze przywitanie z komendantem na czele i równie ja swoich chłopców pouczyłem w jaki sposób staniemy i przywitamy się — komenda: Baczność! i oddział w prawo patrzł na zebranych obecnych kilku obywateli i Pań wytrysły nagle łzy, bo to przecież mieli przed sobą prawdziwe wojsko polskie. Zdałem raport komendantowi nie wiem sam jak, wiem tylko że wzięliśmy się w objęcia, bo komendantem był nauczyciel z Sokołówki i dobry znajomy mojej rodziny p. Szczygłowski. Chorągiew ta liczyła teraz zdaje mi się około 80 ludzi od lat 16—24.

Życie jakie mieliśmy w Busku przez kilka dni, chyba drugiej takiej okazji w mojem życiu mieć nie będę, a te pierwsze dnie wojskowego życia należą do najmilszych przeżyć całej mojej karjery wojskowej. Jeżeli dziś wspomnę tę chwilę kiedy poraz pierwszy zauważyłem jak nasz najmniejszy Bobuś 16-sto letni, stawał w szeregu na palcach aby dorównać innym, śmieję się bo biedak miał obawę że we Lwowie nie przyjmie go komenda. Zdarzały się

wypadki, że mimo samopoczuciowej dyscypliny wojskowej każdego Legjonisty, trzeba było któregoś skarcić — największą karą było dla każdego, jeżeli się zagroziło że zostanie wysłany do domu, na długie czasy pamiętał napomnienie. Sprawność wojskowa na naszych ćwiczeniach w Busku postępowała z błyskawiczną szybkością, a wiara obżerała się w sposób niemożliwy, a takie wyborowe dania o jakich wiejski chłopak nigdy nie mógł marzyć. Po kilkudniowym oczekiwaniu otrzymaliśmy rozkaz wyjazdu do Lwowa, gdzie zostaliśmy podzieleni po kompanjach według wyszkolenia wojskowego. Ja wystarałem się u kapitana Weisa, aby chłopcy z mojej wioski mogli iść do jednej kompani ze mną. Mimo wielkiego mego entuzjazmu nie było mi danem walczyć w szeregach Legjonowych, jak chyba wszystkim wiadomo, że Legjon Wschodni został rozwiązany w Mszanie Dolnej, po wędrówce po kilku miejscowościach. Ja wówczas byłem już wyczerpany z gotówki jak również z powodu różnych wiadomości nie mogłem wyjechać do Krakowa i wraz z innymi wyjechałem do Nowego Sącza, gdzie nas wcielono do 32 pułku austryackiej obrony krajowej. Jako rekrut dużo cierpiałem, gdyż służbowo zawsze niemiecka mowa, to też przy organizacji pierwszej kompanji marszowej zgłosiłem się na ochotnika. Pierwszy chrzest bojowy otrzymałem pod Dęblinem. W odwrocie natknąłem się na I Brygadę Legjonów, powitałem się z kilku znajomymi, ale wstyd mnie było austryjackiego munduru — uciekłem od nich.

Już w pierwszych miesiącach uzyskałem stopień podoficera i srebrny medal waleczności II klasy, ale nie cieszyło mnie nic mimo, że byłem bardzo lubiany przez oficerów austryjackich z którymi spędzałem razem w ich schronach chwile. Jako dowódca plutonu zostałem ranny dnia 24 grudnia 1914 pod Józefowem nad Nidą. Następnie kolejno brałem udział w walkach w Serbji, jako kierownik łodzi motorowej na Dunaju gdzie poraz drugi zostałem ranny, tym razem w lewą rękę, a ta rana przekreśliła moją dobrze się rozpoczynającą karjerę muzyczną, grałem już prawie doskonale na skrzypcach, na różnych imprezach wojskowych podziwiano mnie jako solistę, po tej ranie w Serbji do dziś dnia ręka pozostała martwa. Po Serbji walczyłem w Karpatach i znów lekko ranny. Po tych przejściach piechota obrzydła mnie i prawie z wielką protekcją dostałem się do 1 p. ułanów we Wiedniu, skąd

znów wyjechałem na front włoski jako wywiadowca, nad Piawą zabili mi konia i znów mnie ranili w nogę. Niezdolny do jazdy konnej wróciłem do swego pułku piechoty jako rekonwalescent w najwyższej szarży podoficerskiej (officerstelvertreter) ze wszystkimi odznaczeniami waleczności i zasługi w liczbie 13 sztuk. W pułku zostałem mianowany instruktorem rekrutów jednorocznych przyszłych kandydatów na oficerów. Tu właśnie spotkałem Zdzisława K. inżyniera agronomji, obecnie rekruta, a byłego mojego panicza u którego ojca byłem lokajem. Bardzo wielce zaprzyjaźniliśmy się na nowo, wiele mu ulżyłem w jego rekruckiej doli. We mnie już siedziała rogata dusza żołnierska i nie znosiłem kadry i jej wiecznych obijaczy (bohaterów hinterlandu) jako ochotnik poszedłem poraz drugi na front włoski na 9-tą ofenzywę w której dnia 18 maja 1917 znów zostałem ranny w nogę i zatruty gazami pod górą Św. Gabryela (Monte St. Gabriele). Leczony we Wiedniu, a następnie w słynnych Cieplicach w Czechach, przyszedłem do zupełnego zdrowia, ale pół inwalida. Tego roku w sierpniu ożeniłem się z Krakowianką Ludwiką K. dziewczyną 16-sto letnią. W dniu ślubu otrzymałem telegram natychmiastowego stawienia się w pułku w Udine we Włoszech, celem objęcia stanowiska oficera gazowego, gdyż w tym kierunku byłem specjalizowany na kilku kursach polowych. Posłuszny rozkazowi w dzień ślubu wyjechałem na front bez cienia oporu i żalu byłem już do tego przyzwyczajony. Pułk mój, a raczej cała dywizja No. 106 mocno nadwerężona w bojach włoskich w nagrodę otrzymała urlop i przyjechaliśmy do okupowanego przez Austryaków Królestwa Polskiego na odpoczynek, ale ten nasz odpoczynek dla miejscowej ludności był prawdziwym piekłem. 9-ta kompania w której byłem dowódcą plutonu miała wyznaczone miejsce postoju w Radomsku, a ja ze swoim plutonem znów w Brzeźnicy Nowej, tak że żołnierze zostali rozdzieleni po posterunkach żandarmerji, do pomocy żandarmom w rekwizycjach zboża, bydła, świń, paszy, słowem wszystkiego co dla wojska było potrzebne. Tu napatrzyłem się na bezprawie okupantów nad okupowanemi. Jako Polak wiele ulgi niosłem biednym w ramach mojej władzy, ale jako żołnierz miałem ciężkie zadanie do spełnienia, łzy i obowiązek żołnierza to ciężka służba. Wolałbym na froncie na bagnety iść jak płaczącej kobiecinie brać ostatnią krowinę. Moje czynniki przełożone

widząc zamiast narekwirowanych produktów z mego obwodu tylko same raporty o nędzy mieszkańców wnet mnie przeniosły na inny odcinek. Jedynie moje czyny wojenne powstrzymywały moich przełożonych od ostrej nagany mnie przed frontem, a i to zauważyłem gorący ruch Peowiaków na moim terenie na którem operował b. oficer Legjonu Wschodniego „Władzio" (nazwiska jego nigdy się nie dowiedziałem) i byłem gotów każdej chwili opuścić szeregi austryackie. I kiedy D-ca kompanji Oberleutnant Kratochwil wezwał mnie do siebie i pokazał mi doniesienie pewnego wachmistrza komend-posterunku, że on nie mógł wywiązać się z zadania rekwizycji, bo ja byłem mu przeciwny, Austryak oficer zaczął ostro mi wymawiać, że taki zasłużony człowiek zapomina o obowiązkach i rozkazach. Tak samo ostro mu odpowiedziałem że nie mogę patrzeć na to co tu się dzieje bo jestem Polakiem, co onby na moim miejscu to samo zrobił. Nazwał mnie szaleńcem, że zupełnie nie nadaje się do pracy wojskowej poza frontem. Odtąd już mnie nie wysyłano na rekwizycje.

Po sześciu tygodniach 106 dywizja dostała alarm i nagły wyjazd etapami do Opola na Górnym Śląsku, szczegółowa dezynfekcja kierunek Drezden—Metz na front francuski pod Verdun. Zajęliśmy pozycję pod werkiem Douaumont, mordercza walka gazowa, niektóre bataljony naszej dywizji przestały istnieć. Moja czynność oficera gazowego była tak ruchliwa i odpowiedzialna, że nie miałem czasu myśleć o sobie, byłem zupełnie wyczerpany. I tu otrzymałem odznaczenie żelazny krzyż I klasy. Wreszcie nadszedł czas 3 października 1918 Austrję djabli wzięli, każdy ma wrócić do swego domu do swojej ojczyzny.

Z pod werku Douaumont—Verdun rozpoczęliśmy marsz, który trwał przez sześć tygodni, w tej tragicznej podróży naszej powstał bunt, żołnierze domagali się lepszego odżywienia i aby mogli jechać pociągiem. Trudno jednak było temu życzeniu zadość uczynić, gdyż za kilkanaście dni stało się to samo i z Niemcami, więc dla licznej armji trudnoby było dostarczyć pociągów, biorąc pod uwagę sprzęt wojenny, który Niemcy chcieli wywieść do kraju. Wobec tego powstały w naszej dywizji rady żołnierskie, oficerom, którzy jeszcze pozostali w dywizji, zrywano szlify, zatem rady żołnierskie łagodziły spory i tym sposobem utrzymaliśmy spokój i porządek.

W kompanji mojej była większa liczba Polaków, którzy jednogłośnie obwołali mnie dowódcą i przedstawicielem rady żołnierskiej. Tak marsz nasz zakończył się w Osterburgen w Bawarji, gdzie otrzymaliśmy pociąg. Broń jaką wieźliśmy ze sobą mieliśmy dowieść do Polski, którą jednak na granicy niemiecko-austryackiej odebrali nam, we Wiedniu odebrali nam koce, drugie mundury i wogóle wszystkie drobiazgi żołnierskie. Ponieważ powstająca Polska miała zatarg z Czechami przeto nie mogliśmy jechać z Wiednia na Przerów tylko okrężną drogą na Buda-Pest i Koszyce. W Koszycach znów nasz pociąg obstawili karabinami maszynowymi i zabrano nam reszte co mieliśmy nawet nowe ubrania i buty które żołnierze mieli na sobie, a zatem granicę polską w Orłowej przekroczyliśmy prawie że nadzy. Przyjechaliśmy do Nowego Sącza, gdzie na stacji komendant placu ogłosił nam, że możemy każdy jechać do swego domu, a jak Polska będzie nas potrzebowała to nas znajdzie. Ja jechałem do swojej młodej żony koło Krakowa, bo moja rodzinna wioska była zajęta przez ukraińców. W domu mojej żony nie byłem tak przyjęty jakbym się tego mógł spodziewać. Trudno opisywać powodów tego, gdyż nie mogę przypisać winy ani żonie, ani sobie — wojna temu winna. Po kilku bardzo przykrych dniach w domu żony wyjechałem do Krakowa, aby się zgłosić jako ochotnik do obrony Lwowa. W Krakowie udało mi się zebrać kilkunastu takich włóczących się bez celu wojskowych jak ja i wyjechaliśmy do Gródka Jagiellońskiego do 4 p. Legjonów, a stamtąd na front. Dziwna to wojna była dla nas, którzy znaliśmy sposób walki pozycyjnej, ale wkrótce przyzwyczailiśmy się i dobrze nam było, bo każda grupa walczyła na własną rękę. Dopiero gdy 2 p. strz. podhalańskich przybył tu stworzyliśmy mniej więcej wojnę pozycyjną częściowo. 14 lutego 1919 r. zostałem ranny pod Uhnowem w walce na bagnety. Kilka tygodni w szpitalu i jako rekonwalescent zostałem przydzielony do Urzędu Gospodarczego w Nowym Targu. W roku 1920 znów poszedłem na front bolszewicki i znów ranny pod Grodnem. Po wyzdrowieniu przydzielono mnie do 2 p. strz. podhalańskich w Sanoku. Czas pokojowy poświęciłem się nauce pragnąłem pozostać przy wojsku jako oficer naco trzeba było cenzusu, a ja miałem zaledwie 4 kl. gimn., uzupełniałem w gimn. państwowem w Tarnowie. Przy egzaminie 8 klasy i równocześnie maturze zjechałem z dwóch przed-

miotów geometrji i greka, więc miałem to uzupełnić. W tym czasie zostałem przydzielony do Dowództwa Okręgu No. 10 w Przemyślu jako manipulant i referent Komisji Stałej przy Szefostwie Poborowym, przy której to czynności zakończyłem moją karjerę wojskową. Odkryto tu pewne niedokładności poborowe, aresztowano mnie przesiedziałem 9 miesięcy w więzieniu wojskowym — zdegradowano i wydalono z wojska. Szczegóły tego pomijam, gdyż każdy człowiek w tym wypadku mówi, że był niewinnie ukarany. Zaznaczę tylko że rewizją Najwyższego Sądu, do którego zwróciłem się z prośbą zostałem uniewinniony, stopień wojskowy przywrócony z prawem powrotu do wojska, ale wówczas byłem już za granicą.

W roku 1924 czyli z górą po dziesięciu latach wróciłem do cywila, będąc takiem niczem jakim wstąpiłem do wojska. Trzeba było szukać pracy, niejedni zapytywali mnie czem jestem co umię robić?... Odpowiedź miałem tylko jedną — umię strzelać i bić się na froncie!... dobrze... ale teraz niema wojny. Wszystkie możliwe sprężyny poruszałem w różnych stronach Polski — daremnie. Przypomniałem sobie, że jestem górnikiem nawet fachowym trochu, bo mam 18 miesięczną szkołę sztygarską — wyjechałem na Górny Śląsk, gdzie przed wojną przebywałem. Poczciwy Kominek przyjął mnie z radością jako jedyny mój znajomy po wojnie, ale jakież tu zmienne warunki, ani mowy nie było, abym tu znalazł coś dla siebie, nawet jako zwykłego robotnika nie chcieli mnie przyjąć. Rozczarowany, rozgoryczony straciłem nadzieję utrzymania się w Polsce. Werbowano górników do Francji, zgłosiłem się, zostałem przyjęty i wyjechałem do Francji nie pokazując się nikomu z rodziny, ani nawet żonie, która nie chciała mnie widzieć.

* * *

Jadąc do Francji na kontrakt jako robotnik górniczy zdawałem sobie sprawę co mnie tam czeka, więcej jak inni, gdyż z tym transportem jechało więcej jak połowę, którzy nie mieli pojęcia jak kopalnia wygląda. Było mi bardzo przykro, że zły los pokierował tak moją osobą i jadę jak prawdziwy banita z ojczyzny, dla której od dziecka oddałem siebie, walczyłem za nią, a teraz prawie wyrzucono mnie jako przestępcę, bo o winie jaką mi sędziowie

z punktu paragrafów przypisali i wyrokiem zatwierdzili to mogę wiedzieć tylko ja sam i Bóg, ponadto nikomu nie starałem się uniewinniać, jedynie Najwyższemu Sądowi, któremu wysłałem najdrobniejsze szczegóły w prośbie i prosiłem o wymiarę sprawiedliwości nie dla siebie, ale dla mego czystego sumienia i poświęcenia się Polsce, szczerze i bezinteresownie. Myśląc o tem w podróży sprawiało mi to ulgę, bo cóż mie w tej chwili obchodziło otoczenie i cały świat. Jadę do Francji do jednej z kopalń, będę pracował i nic nikomu nie powiem, chyba to że jestem od urodzenia robotnikiem, którym nikt się nie będzie interesował i wszystko pójdzie w zapomnienie. Zdawało mi się, że życia już mam dość; przeszedłem ciężką wojnę na której nie próżnowałem, dowodem czego są moje blizny i stan zdrowia jako półinwalidy. Utykam na nogę, martwa lewa ręka, ach gdyby nie ta ręka, kochane skrzypce dałyby mi kawałek chleba, ponadto Karpaty i wieczne lodowce pod Adamello w Alpach mocno nadwyrężyły moje płuca. W takim stanie po dziesięcioletniej służbie wojskowej jechałem za granicę „po złote runo".

Polska? Polska to kraj, moja Ojczyzna, która po tylu latach powstała na gruzach zaborców, na której ziemi przez cztery lata zmagały się największe potęgi wojny światowej i podczas gdy inne państwa rozpoczęły pracę pokojową i gospodarczą Polska jeszcze dwa lata prowadziła wojnę. Czyż warto stawiać Legion takich wykolejeńców jak ja wobec takiej powagi i majestatu Polski, być egoistą! a pamięć tych co stracili całe mienia i życie dla Niej. Nie! powinienem być wdzięczny Najwyższemu, że pozwolił mnie doczekać tej chwili, że długa niewola Jej skończyła się kosztem tych, którzy więcej złożyli na Jej ołtarzu jak ja. Takie myśli i refleksje upokorzyły mnie, otrząsnąłem się z egoistycznych żalów, zacząłem myśleć realniej i z chwilą zbliżania się pociągu do granic Francji, byłem innym człowiekiem.

Transport z którym jechałem składał się z około 700 mężczyzn i kilkudziesięciu kobiet i dzieci. Każdy głośno narzekał na Polskę że walczył za nią, obiecali mu ziemię, pracę, pieniądze, a teraz wygnali go z Polski w której żydzi się panoszą — „Żydowska Polska", mawiali... czyż można było przekonywać tych nieszczęśliwców — próbowałem, ale chcieli mnie rozerwać. Jakiś młodzieniec, praktykant rolniczy chłopak naprawdę inteligentny, zaczął

mnie przekonywać co za raj jest w bolszewji, dałem mu się wypowiedzieć. Następnie zapytałem go poco jedzie do Francji? kiedy w bolszewji jest lepiej.

— A bo tam teraz wyczerpani wojną i są trochu biedni, więc nie potrzeba najeżdżać ich.

— Czy Pan naprawdę jest Polakiem? zapytałem.

— Byłem nim, ale teraz niema głupich — odpowiedział — Polska mnie skrzywdziła, poco jadę do Francji.

— A czy bolszewicy Pana wynagrodzą za to że się litujesz nad nimi że są biedni, a w jakim stanie znajduje się Polska według Pana zdania?

— Polska! tam sama szlachta bogata wywiozła pieniądze do banków zagranicznych.

— Dziękuję Panu za objaśnienia — powiedziałem — więcej na ten temat nie będziemy mówić.

Propaganda robi swoje, gdy natrafi na podatny grunt, myślę sobie — temu młodzikowi nie trzeba się dziwić, bo on najmniej dał Polsce, a najwięcej teraz wymaga.

Jak tylko pomyślałem, że do Francji wyjeżdżają najsilniejsi mężczyźni i najzaciętsi wrogowie sprawy polskiej w chwili, kiedy najbardziej potrzeba pomocy, będzie bardzo ciężko z Polską. Ale czas leczy rany, trzeba czekać i na wszystko być przygotowanym, a nadewszystko pracować i uświadamiać tych, którzy myślą tylko o sobie.

* * *

Na początku grudnia 1924 roku przyjechaliśmy do Toul, obozu robotniczego (prawdziwej wieży Babel) co najmniej 20-ścia narodowości tu zastałem. Dawne koszary artylerji twierdzy Toul były tak zaniedbane, robactwo różnego rodzaju, aż do obrzydliwości. Płacz, narzekanie, krzyk dzieci, wspólne baraki dla dziewcząt i kawalerów to wszystko budziło zgrozę i litość. Higjena XX wieku jeszcze tu nie dotarła i to ma być Francja, ta kulturalna Francja, skarbnica demokratyzmu, wolności i jedności. Takie wrażenia na wstępie. Poszliśmy do kuchni po obiad — kucharz jak beczka tą łyżką którą czerpie zupę z kotła bije stojących w ogonku po brudnych zakurzonych plecach. Kuchnia w stanie nie do pomyślenia. Całą wojnę przeszedłem, ale podobnego brudu i niechlujstwa nie

widziałem. Tego dnia nic nie jadłem. Myślałem że w miejscowej kantynie będę mógł coś kupić do zjedzenia. Niestety! prędzej opuściłem kantynę jak do niej wszedłem — brudno wszędzie nawet obsługa aż z niej kapie niechlujstwo.

Chciałem wyjść na miasto — nie można trzeba mieć przepustkę — poszedłem do biura. Natknąłem się na tłumacza Polaka, prosiłem go o pomoc w uzyskaniu przepustki do miasta, ani mowy, nagadał mnie jeszcze nieprzyjemności, znalazłem tłumacza Rosjanina ten był grzeczniejszy zaprowadził mnie na biuro i tam powiedział o co mi chodzi — od biedy mogłem się sam zmówić po francusku, ale najpierw przysłuchiwałem się czy będę mógł wystąpić z moją francuszczyzną. Byłbym może tej przepustki nie otrzymał, ale w tej chwili wszedł do biura osobnik i zaczął rozmawiać po niemiecku, więc w tym języku z całą pewnością siebie zacząłem prosić. Obaj panowie jak na komendę podali mi rękę podali krzesło i nie trwało 5 minut byłem w posiadaniu nie tylko przepustki, ale kartki do jednego z hoteli, gdzie mogę wszystko na życzenie dostać. W hotelu wskazanem mówiono po francusku, ale gdy pokazałem polecającą kartkę panienka obsługująca zaczęła mówić po niemiecku, bardzo grzecznie zapytała czy jestem Niemcem? odpowiedziałem że Polak. Podała mnie jadłospis wybrałem skromny obiad, za który nic nie zapłaciłem, ani nawet napiwku nie przyjęto. Wyszedłem trochu zawstydzony tą grzecznością niemiecką, a jeszcze bardziej przykro mi się zrobiło gdy w powrotnej drodze spotkałem tego samego Polaka tłumacza który mi nawymyślał i zapytał gdzie ja się włóczę i czy wiem że z obozu nie wolno się wydalać? straciłem na chwilę panowanie nad sobą zbliżyłem się do niego i powiedziałem przez zaciśnięte zęby „świnia", na szczęście zaraz się oddalił.

Mimo niechęci, ale zmuszony byłem z grzeczności niemieckiej korzystać przez dwa dni w tym hotelu, w którym również dostałem za małą opłatą nocleg — w ten sposób uniknąłem robactwa w barakach.

Na trzeci dzień wyjechałem z grupą rodaków do północnej Francji, do Marles les Mines w dep. Pas de Calais. Tu zamieszkaliśmy w barakach zbudowanych podczas wojny dla jeńców prawie że w ziemi te baraki w Lapignoy w porównaniu z Toulem były coś nieludzkiego, bo w Toul były to koszary, ale tu wojenne

ziemianki obraz nędzy i rozpaczy. Gdzie są te obiecane najnowocześniejsze higjeniczne mieszkania dla robotników, na różnych afiszach głoszonych w Polsce?... Czy tu nikt nie przyjedzie zobaczyć? Jakaś komisja lekarska? lub jakiś dygnitarz podpisujący konwencję emigracyjną? Panowie, jeszcze dzisiaj możecie to zobaczyć!

Na skutek wielkiego zmęczenia, a późniejszej choroby przebyłem 8 dni w tych barakach - ziemiankach gdyż po drugim dniu pracy dostałem takiej gorączki, że nic nie wiedziałem o świecie. Pierwsze dwa dni pracy w kopalni — pracy, której nawet od przestępców syberyjskich większej nie wymagają, wyczerpały mnie biorąc pod uwagę te wszystkie wrażenia jakie mnie spotkały na wstępie we Francji.

Po ośmiu dniach poszedłem na kolonję polską, gdzie mieszkali Polacy z rodzinami, aby wyszukać sobie jakieś miejsce przy rodzinie. Dopiero tu zobaczyłem te mieszkania nowoczesne i rzeczywiście mieszkania dość obszerne czyste z wszelkimi wymogami higjeny i ogrodami. W pierwszym rzędzie zetknąłem się z rodzinami przybyłymi z Westfalji, tylko starzy mówią po polsku, młodzież jedynie po niemiecku, a w większych wypadkach nawet nie umiała ta młodzież języka polskiego.

Znalazłem t. zw. kwater u niejakiego Sikorskiego, który przyznawał się do pokrewieństwa z generałem Sikorskim. Już przeszło rok jak przyjechał z Westfalji z żoną, dwoma synami i dwie córki. Jak ojciec tak i starszy syn byli członkami św. Barbary, patronki górników zaś dwie córki byli sokolicami, a starsza Zosia była nawet naczelniczką oddziału żeńskiego. Ujęty dobrocią tej rodziny zostałem u nich i byłem zaliczony w poczet kwaterników, albo kustników. Synowie jak i córki mimo ich przynależności do tow. polskich mówili bardzo źle po polsku, a i po niemiecku mówili gwarą Westfalską, ja jako pochodzący z Małopolski nie przyznałem się do znajomości języka niemieckiego, bo chciałem, aby ze mną mówili po polsku, a tem samem uczyli się. Było nas trzech kwaterników w tej rodzinie, dwóch z Kongresówki, których tu nazywano „bosymi Antkami" no i ja z Małopolski, który też tyle znaczyłem co bosy Antek, bo nie umiałem po niemiecku mówić. Jakoś tak się złożyło, że gospodyni od po-

czątku z jakąś nieśmiałością się odnosiła do mnie i więcej wyróżniała mnie w obsłudze.

W pierwszą niedzielę poświęciliśmy pogawędce na temat Polski. Ten Sikorski pracował dwa lata w Westfalji zaoszczędzone pieniądze wysyłał do Banku Ludowego w Lesznie i już 1914 roku miał 11 tysięcy marek niem. złożone w tym banku. Teraz będąc już we Francji, zwrócił się o te pieniądze do Leszna i cóż mu z tego pozostało za te 11 tysięcy po przeliczeniu należało mu się zaledwie 30 złotych polskich. Takich jak on było dużo i co na to miałem mu powiedzieć. Nie było tu mowy o oszustwie jak sobie ludzie wyobrażali, starałem się im wytłumaczyć ten wypadek dewaluacji, ale oni utrzymywali, że te pieniądze zabrała im Polska. Ci Polacy z Westfalji zawiedli się na Francji, która im obiecała złote góry, werbując ich na miejscu, a też narzekali na Polskę z różnych nieuzasadnionych powodów. Oni myśleli, że gdy powstanie Polska, będą mieli wszystko za to że tak skutecznie bronili języka polskiego w Niemczech, a teraz Polska powstała i o nich nikt nie pamięta. Ot takie i tym podobne żale tych tułaczy słuchałem. W Marles les Mines było już wówczas około 12.000 Polaków z różnych stron Polski, a najwięcej westfalaków.

Na liczbę tych Polaków było 18 Towarzystw oświatowo-społecznych, których założycielami byli jedynie Polacy przybyli z Westfalji i tak: Tow. św. Barbary na czele jako Tow. górników, Tow. św. Józefa, Tow. św. Franciszka, te Towarzystwa jako tradycyjne o charakterze kościelnym, obowiązujące członków do częstej wspólnej spowiedzi i pomocy doraźnej członkom chorym i okaleczonym tudzież z okazji narodzenia się dziecka lub ślubu członka — następnie Koła Muzyczne, Śpiewu, Teatralne, Mandolinistów, Humorystyczne, Samopomoc, najcharakterystyczniejszą rolę odgrywały Koła Kawalerów pod nazwami: „Leśna Róża", „Różany kwiat", „Bławatek", „Lilja" i t. p. te tow. miały na celu czynić wielkie manifestacje weselne na wypadek, że któryś z członków takiej „Leśnej Róży" wstępował na kobierzec ślubny członkowie obowiązkowo ubrani we fraki i cylindry (które można było tu tuzinami wypożyczać) taki orszak ślubny wybierał najdłuższą drogę do kościoła prezentując się po ulicach. Najpoważniejszym tow. było jednak Tow. Gimn. „Sokół", które grupowało w sobie młodzież

sportową i dzieci, kiedy jeszcze harcerstwo mało było znane tu na wychodztwie. Co niedziele odbywały się zebrania któregoś z tow. Wspomnieć trzeba jeszcze, że na czele wszystkich tow. stał Komitet Towarzystw Miejscowych, którego celem było regulowanie różnych sporów tow. zabaw, uroczystości i wogóle reprezentacja kolonji wobec władz miejscowych i konsularnych. Niektóre Tow. nie chciały należeć do Komitetu, nazywano je „luźnemi".

W pierwszych początkach chodziłem co niedzielę na zebrania różnych Towarzystw i do każdego wpisywałem się na członka, tak że wreszcie wywołało to pewne niezadowolenie, gdyż jak przyszła niedziela miałem równocześnie kilka zaproszeń na wygłoszenie jakiegoś referatu, w końcu Komitet zaproponował mnie stanowisko referenta Komitetowego i towarzystwo chcące mieć wygłoszony referat musiało się zwrócić do Komitetu. Nie miałem chwili wolnej, po pracy musiałem opracowywać różne referaty, przemówienia, odczyty stosowne danemu tow., z historji polskiej, geografji, żywoty świętych i t. p., przychodziło mnie to z łatwością gdyż dopiero rok minął jak zdawałem maturę (egzamin dojrzałości) więc miałem wszystko w bliskiej pamięci.

Jako kreślarz i rysownik ze szkoły górniczej miałem również wiele pracy z afiszami, dyplomami, powinszowaniami, za co mi już płacili według własnej chęci i możności. Zrobili mnie charakteryzatorem w trzech Kołach Teatru Amat. Żadnej niedzieli ani święta nie miałem wolnego dla siebie — byłem w takim ruchu, że nawet sam o sobie nie miałem czasu myśleć, ani jeść i nawet się nie spostrzegłem jak ciężko zachorowałem z wyczerpania. Chory byłem przez trzy miesiące wyczerpałem się z gotówki, a co gorsze zrobiłem poważny dług u mojej dobrej gosposi. Pielęgnacja jaką miałem w tym domu przewyższała wszystko.

Podczas choroby poznałem się z tłumaczem Tadeuszem Możdżeńskim, który od dawna chciał mnie poznać jak sam zaznaczył. Z tym człowiekiem pełnym inicjatywy założyliśmy Tow. Społeczno-Kulturalne im. J. Piłsudskiego, którego celem było dostarczyć mówców i referentów nie tylko dla Tow. w Marles les Mines ale i okolicy. Byłem sekretarzem tego tow. mieliśmy bardzo trudną robotę — zbieraliśmy inteligentnych robotników, z którymi opracowywaliśmy jakiś referat zrozumiały dla każdego robotnika i szliśmy w las aby tam swobodnie wprawiać do mowy takiego nowego

referenta. Już po dwóch latach istnienia Tow. Społeczno-Kulturalnego mieliśmy bibljotekę obszerną, ruchome kino, biuro informacyjne i porad prawnych, słowem wzorowy aparat oświatowy do uświadomienia nowoczesnego robotnika, gdyż te wszystkie tow. jakie istniały były prowadzone na sposób przedwojenny westfalski w charakterze walki o polskość, czego dziś nam nie było potrzeba, bo Polskę już mamy, a trzeba nam wydatnej pracy propagandowej szczególnie za granicą, wśród takich robotników jak my.

Praca naszego Towarzystwa nie podobała się niektórym działaczom przybyłym z Westfalji, gdyż Tadeusz Możdżeński chciał za jednym zamachem przerobić statuty Towarzystw i wprowadzić nowy system, lecz ja znając ambicje tych ludzi powstrzymywałem go od tego kroku proponując zastosować się według upodobań poszczególnych działaczy. Robotnik lubi aby jego praca była chwalona, tak też referaty moje były opracowywane w sposób pochwał i uznania dla tych którzy poza ciężką pracą fizyczną zajmowali się oświatą, a przytem wprowadzałem ulepszenia powoli i celowo do odpowiedniego poziomu. Sposób ten okazał się zbawienny i wreszcie T. Możdżeński uznał ten sposób za najlepszy i węzły naszej przyjaźni wzrosły i jednaliśmy sobie coraz to nowych wyznawców teraźniejszości. Współpraca nasza z Tow. Pracy Kulturalno-Oświatowej w Paryżu dała wiele korzyści organizacjom w północnej Francji, gdyż powoli zostały usunięte różnice dzielnicowe, język niemiecki coraz to mniej słyszeliśmy. Powstały Kasy Samopomocy, liczba zorganizowanych wzrosła. Robotnicy z Małopolski i Kongresówki wstępowali do Towarzystw. Kłótnie i spory ustawały. 1925 roku założyliśmy Związek Byłych Wojskowych, w którym objąłem wydział propagandy, Możdżeński sekretarza a Józef Cudak tłumacz prezesa, miałem wiele pracy, gdyż weszliśmy w porozumienie ze Związkiem Kombatantów Francuskich.

Najwięcej jednak udzielałem się sokołom, gdzie była zgrupowana młodzież starsza i młodsza, mimo mego inwalidztwa okazałem się niepoślednim sportowcem, a szczególnie że ta młodzież mówiła językiem niemieckim chciałem to wykorzenić, a co szło bardzo ciężko. Córka moich gospodarzy Zosia, dziewczynka ładna i zgrabna wysportowana jako naczelniczka oddziału żeńskiego, wykazała wielkie zdolności nie tylko sportowe, ale i oświatowe oddała

się z całem zapałem pod moje kierownictwo i w przeciągu kilku miesięcy mówiła poprawnie po polsku i czytała wskazywane przezemnie książki. Ta kochana dziewczyna wierzyła we mnie jak w Boga, wszystko co robiła to tak, aby mnie się to podobało — żyliśmy ze sobą, jak brat z siostrą. Miałem fatalne szczęście w pracy, prawie co miesiąc byłem albo potłuczony lub ranny w kopalni. Kiedy leżałem chory Zosia całemi dniami siedziała przy mnie i rozmawialiśmy o Polsce, której jeszcze nigdy nie widziała. Zakochałem się w Zosi i byłem wzajemnie przez nią kochany, ona wiedziała, że jestem żonaty, gdyż nigdy się z tem nie kryłem. Zosia jednak nic sobie z tego nie robiła i była gotowa w każdej chwili żyć ze mną bez ślubu. Matka Zosi skłaniała mnie do rozwodu aby się żenić z Zosią. Byłem w tej rodzinie bardzo kochany i nieraz czułem wyrzuty sumienia, że będę winny szczęścia Zosi, bo miała wielu starających się i wszystkich odpaliła. Pewnego dnia sama mi powiedziała że mi się odda — poprostu struchlałem, bo przeczuwałem skutki tego romansu i serdecznie żałowałem jej, ale co miałem robić z uporem dziewczyny jeżeli sama narzucała się. W tym czasie Francja prowadziła wojnę z Abdel-Krimem w Afryce, a ja z uwagi na moje fatalne szczęście w pracy zacząłem się nosić z zamiarami wstąpienia do Legji Cudzoziemskiej i teraz to postanowienie dojrzało i tylko dla samej Zosi to zrobiłem. Rodziców Zosi namówiłem aby ją wysłali na jeden miesiąc do Polski, aby zobaczyła Ojczyznę, bo wiedziałem, że jak Zosia się dowie o moich zamiarach nie dopuści do tego. Tak się stało, Zosia wyjechała do Polski do moich krewnych, a ja za dwa tygodnie z małą walizką w tajemnicy wyjechałem do Paryża a następnie z transportem do Marokko, skąd napisałem długi list do Zosi tłumacząc jej mój krok, a jej życząc wiele szczęścia. W 5-tym pułku piechoty Legji cudzoziemskiej cierpliwie znosiłem długie marsze, bo ci co narzekają na nadmierną dyscyplinę w Legji przesadzali nieraz, bo dobry żołnierz sam wie że dyscyplina w wojsku musi być. W jednej z potyczek pod Arra-Adda zostałem uderzony t. zw. harpunem rodzaj łuku, jakim się posługują niektóre plemiona. Uderzony z tak wielką siłą w kark, że straciłem przytomność— w improwizowanym szpitalu polowym dostałem na drugi dzień żółtej febry i chorowałem długie cztery tygodnie. Potęgę tej choroby nie życzę nikomu poznać, kiedy byłem już przytomny,

a czarna pielęgniarka pokazała mnie lusterko przestraszyłem się sam siebie — twarz pomarszczona, stara, wyglądałem raczej na potwora jak na człowieka. O Zosiu kochana! Żebyś ty teraz mnie zobaczyła nie przyszłabyś do mnie do łóżka jak dawniej.

Gorzej się jeszcze zmartwiłem jak lekarz zawiadomił mnie, że najbliższa karawana zabierze mnie do portu i pojadę do szpitala izolacyjnego w Marsylji, nie chciałem wracać do Europy z samego wstydu. Nic jednak nie pomogło, kiedy znalazłem się w Marsylji, po kilku dniach czułem się zupełnie zdrów, ale komisja lekarska uznała mnie za niezdolnego do Legji, że raczej będę ciężarem pułku, nie nalegałem już znając skutki febry. W Legjonie jako rekonwalescent przebywałem miesiąc i podczas tego niespodziewanie przyjechała Zosia, która z płaczem rzuciła się w me objęcia w obecności kilku oficerów.

Mimo mego dwumiesięcznego pobytu w Marokko, miałem opinję dzielnego i odważnego żołnierza, po zupełnem wyzdrowieniu wypłacili mnie w drodze wyjątku tysiąc franków i zwolnili mnie zupełnie. Zosia chciała, abym z nią wrócił do Marles les Mines, ale nie chciałem wracać już do pracy w kopalni. Przyjechałem do Saint Pierre la Palud koło Lyonu do mego znajomego i tu zachęcony dobrymi warunkami przyjąłem pracę w kopalni pirytu. Zosię namówiłem do powrotu do domu. W St. Pierre la Palud była polska kolonja licząca około 400 dusz, było jedno Tow. „Oświata", które wkrótce przerobiliśmy na Tow. Społeczno-kulturalne.

Polacy w St. Pierre la Palud dep. Rhone, byli pochodzenia przeważnie z b. Kongresówki i Galicji czyli Małopolski, element ten pochodzący z zapadłych wiosek polskich, do których oświata mało dochodziła. Większość ich analfabetów, uległa łatwo wpływom przewrotnym — komunistycznym. Środkowa Francja z miastem Lyonem była najbardziej podatnym gruntem do komunizowania obcokrajowców, gdyż w tej okolicy roiło się od różnych fabryk, które sprowadzały robotników jak najtańszych, szczególnie przemysł jedwabniczy. Co najmniej 50% robotników spotykało się tu analfabetów różnej narodowości. To też agenci różni na usługach Rosji Komunistycznej mieli tu łatwe pole do działania.

W tym czasie zostałem zaangażowany jako korespondent Wiarusa Polskiego, dziennika wychodzącego w Lille. Podróżując

po Francji środkowej i południowej, miałem możność stwierdzić, że życie polskie po kolonjach różni się wielce od Francji północnej. We Francji północnej, gdzie Polacy przybyli z Westfalji, liczebnie przewyższali wszystkich, mimo przestarzałych sposobów prowadzenia pracy oświatowej stali silnie przy polskości i religji, komunizm zatem wiedząc, że ten element polski stoi na wysokim poziomie wyrobienia społeczno-oświatowego, zaprawionego w walce o polskość w Niemczech, nie próbował zatem tu swej propagandy. Nie wyklucza się, ale bardzo rzadkich, wyjątków.

Natomiast Francja środkowa i południowa prawie w każdej kolonji polskiej znalazło się kilku analfabetów, a szczerych zwolenników komunizmu, o którym większego pojęcia nie mieli a przez który często padali ofiarami więzienia i wydalenia z granic Francji. Były to jednak tak małe grupy, że większym skupieniom polskim niewiele szkodziło, jak np. w St. Etienne, gdzie organizacje polskie stały na równym poziomie z Francją północną. Tak samo i Montseau les Mines i wiele innych.

Gdy rozpocząłem czynność korespondenta docierałem do najmniejszych i najdalszych skupień polskich, opisując życie tych Polaków, którzy nieraz byli pozbawieni opieki konsularnej, żyli w brudnych i zimnych lepiankach górskich w Alpach w Sabaudji, nad włoską granicą. Moja czynność korespondenta stała się solą w oku agentów komunistycznych. W artykułach nie chciałem poruszać sprawy komunizowania niewinnych i mało uświadomionych rodaków, ale zato na różnych uroczystościach i zebraniach potępiałem tych, którzy ulegali krasomówstwu agentów. Otrzymywałem różne anonimy z pogróżkami, a nawet dwukrotnie zawiadomili mnie o wyrokach śmierci jaki wydali na mnie. Nietylko to mnie nie odstraszało, ale pobudzało do tem większej akcji przeciwpropagandowej. Dwukrotnie też byłem napadnięty — pierwszy raz zadali mnie kilka głębokich ran, drugi raz mocno mnie poturbowali, zabrali teczkę i pieniądze. Była to zemsta za rozbicie jednego wiecu w St. Pierre la Palud i nieprzyjęcie ich propozycji rozwiązania Tow. Społeczno-Kult. w St. Pierre la Palud.

* * *

Gdy w 1924 r. przyjechałem do Marles les Mines był jeden nauczyciel Polak na około dwa tysiące dzieci w wieku szkolnym.

Na podstawie prośby Komitetu Tow. Miejscowych dyrekcja kopalni zgodziła się na zaangażowanie jednego z inteligentnych robotników, który niegdyś uczył dzieci polskie w Westfalji. Ja w pierwszych dniach zgłosiłem się do księdza polskiego, że o ile by można było to ja bezinteresownie mogę uczyć dzieci. Urządziliśmy tak, że ja uczyłem przez kilka miesięcy w domu, w którym mieszkałem, około 20 dzieci. Później praca w Towarzystwach, gdzie większe korzyści moja praca wydawała — zaniechałem uczenia dzieci po przyjeździe dwóch nauczycielek. Nauczycielstwo w północnej Francji skupione w Związku Naucz. Polskich, poza pracą nauczycielską, pracowało również nad unowocześnieniem istniejących organizacji oświatowych. Praca ta była bardzo wydajna chociaż szła z wielkimi trudnościami i powoli do czasu, aż ówczesny prezes Zw. Naucz. Polskiego p. Więcek Janusz sprzeciwił się nauczaniu religji na lekcjach polskiego języka, odtąd nietylko czołowi działacze robotnicy, ale nawet ogół rodziców stracił zaufanie do nauczycielstwa. Chociaż p. J. Więcek, czyniąc ten krok miał pewne obliczenie na tok przyszłej pracy w kierunku nietylko konsolidacji wychodztwa, ale dalszych wspólnych wysiłków nad modernizacją pracy oświatowej w Towarzystwach, której tak bardzo było potrzeba z uwagi na antagonizm poszczególnych organizacji naczelnych, to jednak p. J. Więcek zanadto otwarcie i śmiało wystąpił, wiedząc o tem dobrze jak Polacy ci są wiernie przywiązani do religji. Ten stan rzeczy opóźnił conajmniej trzy lata daremnych wysiłków nauczycielstwa.

I nauczycielstwo to, godne najwyższej pochwały, mimo wszystko starało się zacierać pamięć tego, pracowało jeszcze z większą energją i poświęceniem. Założony Uniwersytet Robotniczy w Lille, pod kierownictwem tegoż p. Więcka spełniał chlubne zadanie odnowiciela pracy oświatowej wśród robotników mimo niezadowolenia niektórych jednostek. Jak się to mówi, że praca jakiejś instytucji podczas jej istnienia jest taką lub owaką i Uniwersytet Robotniczy był niejednokrotnie przedmiotem burzliwych zebrań w Towarzystwach, ale dopiero przyszłość wykazała, że ten Uniwersytet i jego praca wpłynęła wiele na dzisiejszą konsolidację wychodztwa w północnej Francji. I ja wówczas byłem wielkim przeciwnikiem p. J. Więcka i pisałem publicznie o jego złej taktyce, ale obserwacje moje z punktu stanowiska dziennikarskiego prze-

konały mnie że on pracował z gotowym programem obliczonym dla dobra Polski. Podobnie do północnej Francji, nauczycielstwo we wschodniej Francji, gdzie równie życie polskie stało na wysokim poziomie, spełniło swoje zadanie. Natomiast Francja południowa była upośledzona — nieliczne nauczycielstwo borykało się z trudnościami organizacyjnemi szkółek polskich, wyśmiewane przez niezadowolonych — zniechęcone do najwyższego stopnia wegetowało jak w swojej pracy zawodowej tak organizacyjnie prawie nic nie zrobiło, prócz takich miejscowości jak: St. Etienne, Monceau les Mines.

W jakiż sposób instruktorat w Paryżu wysyłał nowoprzybyłe siły nauczycielskie do południowej Francji? — niech nam posłuży moja rozmowa z nauczycielką p. K. w Carmaux (Tarn). Carmaux miasteczko znaczne o typie południowym pełne historycznych pamiątek z wieków średnich. Kolonja polska licząca w r. 1930 około 1000 (tysiąc) dusz była pozbawiona opieki konsularnej z powodu rzekomego złego przyjęcia urzędnika konsulatu R. P. w Marsylji, odtąd ani ksiądz polski, ani nikt znaczniejszy do tej kolonji nie zawitał, a i jakiś czas nie było tu nauczyciela polskiego, bo podobno było dużo komunistów Polaków. Dyrekcja wybudowała tu może najpiękniejszą z całej Francji kolonię dla robotników, którą zamieszkiwali między innymi i Polacy.

Po przywitaniu się z p. K. dowiaduję się że jest lwowianką tak jak i ja częściowo. Jakże się Pani czuje w tym pięknym zakątku — zapytuję.

— O Panie! bardzo nieszczęśliwa i samotna — odpowiada — Zdziwiłem się bo chyba na tę okolicę nie można narzekać — myślę sobie. Dalej opowiada p. K. że temu jest winien instruktor w Paryżu, bo jak ona miała wyjeżdżać z Paryża, to litowano się nad nią że ona jedzie jakby do piekła bo tam jest największe gniazdo komunistów polskich, a jej poprzednika nauczyciela napadli, tak że ledwie z życiem uszedł.

— Mówię Panu, że jedynie wstyd mnie nie pozwolił wracać do Polski — mówi p. K., ale jechałam z takim strachem jakbym miała wpaść w ręce „czerezwyczajki". Gdy przyjechałam zaczęli tu do mnie przychodzić witać mnie i mimo, że widziałam radość na ich twarzach — drżałam przed nimi nie wiedząc co do nich mówić. Delikatnie pytałam każdego czy nie jest komunistą

i to mnie bardzo zaszkodziło, bo oni dzieci nie chcieli posyłać do szkoły, a na ulicy uciekali przedemną, byłam równocześnie w kłopocie i w strachu, bo myślałam, że zawsze jakaś zasadzka na mnie czyha. Zamykałam się na wszystkie zamki, żelazne sztaby, kazałam porobić do okien i drzwi — nawet kobiety nie chciały ze mną rozmawiać. Jeszcze teraz nie jest tak jak trzeba i Pan nawet nie wie o tem że czekałam na Pana jak zbawcę, bo kolporter wasz już miesiąc temu zapowiedział przyjazd pana do Carmaux. Mam nadzieję że Pan i w Carmaux pobudzi tych ludzi do zgody i lepszej pracy ze szkołą, ja wiem bo od miesiąca czytam Pana korespondencje w Wiarusie. — Moja droga Pani — mówię — moja pomoc w tym wypadku jest bardzo znikoma, kończy się na zwołaniu zebrania i przemówienia do nich. A ci rzekomi polscy komuniści patrzą na mnie okiem więcej nienawistnym jak na Panią.

Pozostawałem w Carmaux i pobliskiem Cagnac przez dwa tygodnie i częściowo udało mi się doprowadzić do przekonania większą ilość Polaków, a po moim wyjeździe p. K. cieszyła się zaufaniem i szacunkiem i na tym stanowisku zakończyła życie, ogólnie żałowana jako dobra organizatorka.

Podobne skargi słyszałem od nauczycielek w St. Eloy, les Mines, Messeix, Crausac i St. Jean de Valerisele.

Jeżeli się spojrzy na ogólny stan życia polskiego w południowej Francji, gdzie Polacy narzekali na brak opieki konsularnej, to musimy sprawiedliwie osądzić obie strony. Okręgi konsularne południowej Francji były bardzo rozległe nieraz po kilkanaście departamentów, aby dotrzeć do dalekiego osiedla polskiego trzeba jechać koleją kilkanaście godzin. Było to połączone z wielkimi kosztami, stratą czasu, na co nieraz konsulaty nie mieli funduszów to też na wszystkich zebraniach informowałem robotników o tym stanie rzeczy i broniłem te placówki nasze. Tworzenie zaś Opiek Polskich było połączone z wielkimi trudnościami natury administracyjnej. Wobec tego moim dążeniem było, aby każda polska organizacja stała się samowystarczalna.

* * *

W latach 1924 — 1930 Polacy wychodźcy dochodzą do własnych sklepów, składów, rzeźni, nawet fabryki konserw, mydła

i wielu innych. Najwięcej polskich kawiarń z salami do zabaw. Niektórzy nazwali to amerykanizacją wychodztwa polskiego we Francji — ale jak to jeszcze do tego daleko!

Powstaje Okręg Zw. Strzeleckiego, wobec którego Tow. Gimnastyczne „Sokół" schodzą na drugi plan. Zaczynają się kłótnie i spory — Polacy przybyli z Westfalji bronią Sokoła, któremu nikt nie może zaprzeczyć chlubnej przeszłości w obronie polskości i Polski, ale Strzelec właśnie wnosi to o co od początku walczymy — o nowoczesność wychowania młodzieży na dobrych obywateli. Walka ta jednak niedługo trwała i dzisiaj Sokoli i Strzelcy szlachetnie między sobą współzawodniczą. Harcerstwo rozwinęło się doskonale, a co najważniejsza dzisiejsza Rada Porozumiewawcza stojąca na czele wszystkich organizacji spełnia swoje obowiązki zgody i pojednania, a ja tego pragnąłem od początku. Teraz jest nadzieja, że ci Polacy, którzy jeszcze pozostali we Francji, będą pracować nad polskim stanem posiadania podobnie jak w Ameryce — Szczęść im Boże!

* * *

Podczas mego pobytu w St. Pierre la Palud było dwie nauczycielki. Pierwsza z nich przybyła na starania rodziców, gdyż przedtem prowadził naukę języka polskiego jeden z robotników, którego sami rodzice opłacali. Nauczycielka przybyła z Polski nie znająca języka francuskiego, ciągle zwracała się do mnie w różnych sprawach tłumaczenia. Tak że byłem u niej codziennym gościem, gdy spostrzegłem jej dwuznaczny sposób traktowania mnie zacząłem ją unikać, tak że niebawem nasza przyjaźń uległa zmianie i nie ja do niej, ale ona do mnie przychodziła w koniecznych dla niej potrzebach językowych. Ja byłem sekretarzem Tow. Społ.-Kult. i organizatorem orkiestry tudzież jej kapelmistrzem. Nauczycielka, aby mnie dokuczyć — zaczęła propagować, aby powołać do życia dawne Tow. „Oświata" które miało prawie że te same cele. W rozmowie z nią na ten temat doszliśmy do wymiany ostrych zdań i zerwaliśmy ze sobą łączność. Odtąd ona straciła większej połowy rodziców zaufanie i pod pozorem choroby wyjechała do Lyonu, a ja do spółki z poprzednim nauczycielem objęliśmy naukę w szkole polskiej. Do Konsulatu zwróciliśmy się

o innego nauczyciela. Po wakacjach przybyła inna nauczycielka — ochroniarka młodziutka i to była jej pierwsza posada. Pierwsza nauczycielka otrzymała miejsce w Konsulacie jako moja największa nieprzyjaciółka.

Pewnego dnia prezes naszego Towarzystwa przyszedł do mnie, abym szedł z nim i z nową nauczycielką do dyrektora kopalni przedstawić ją. Powiedziałem prezesowi, aby nie mówił tej nauczycielce kto ja jestem — pójdę jedynie jako tłumacz ale znajomości więcej z nauczycielkami nie chcę mieć. Dwa tygodnie miałem spokój — moja gospodyni uchodziła za najlepszą kucharkę w kolonji tak też nową nauczycielkę skierowali do niej. Trudno mi było odmówić jej jakiejś pomocy, byłem jednak ostrożny, aby tylko nie wychodzić poza ramy grzeczności.

Kiedy przyjechałem z jakiejś podróży z Alp opowiadałem jej o piękności i wrażeniach górskich. Dostało się jej pragnienie zwiedzić Sabaudję i Alpy, a przy najbliższej sposobności mego wyjazdu jako korespondenta pojedzie zemną. Byłem w kłopocie, bo moje dochody za korespondencje i djety były bardzo małe, a podróż taka z kobietą to grubszy wydatek, chociaż ona nawet miała płacić sobie wszystkie koszta. Miała w Warszawie biednych rodziców, którym posyłała pieniądze i mało ich miała na swoje własne wydatki.

Sposobność przyszła niedługo, wyjechaliśmy razem. W Anency mieliśmy wynająć pokoje w hotelu i były bardzo drogie, a w nocy trudno było wszystkie hotele odwiedzać i szukać taniego hotelu w turystycznym miejscu. Wreszcie ona sama zapytała mnie, czy ja będę wobec niej uczciwy? Ależ naturalnie — odpowiedziałem zdziwiony — co pan tak dziwnie patrzy na mnie? Dziwi się pan, że zaproponuję wspólny pokój o dwóch łóżkach z parawanem, to będzie praktycznie bo nie będę się bać i taniej będzie kosztować.

Zgoda! Spaliśmy doskonale przegrodzeni parawanem i zupełnie spokojnie.

W St. Pierre la Palud, mieszkaliśmy obok siebie co było możliwe z uwagi na wygodne położenie domu.

Na wakacje przyjechały jej koleżanki do S. Pierre la Palud. Pracująca w Konsulacie pierwsza nauczycielka dowiedziała się o naszych podróżach i była wściekła. Stosunki moje z Konsula-

tem w Lyonie od tego czasu uległy zmianie i niechętnie mnie tam widziano jako korespondenta Wiarusa Polskiego, który też z władzami polskimi nie był w porządku. Zaczęły się intrygi, a ja też czasem puściłem jakiś artykuł opisujący „Światek konsularny" w Lyonie, bo naprawdę Konsul ówczesny nie bardzo był lubiany wśród robotników. Pewnego razu nauczycielka zgubiła klucz od mieszkania, inaczej nie mogliśmy się dostać do wnętrza jak przez wybicie szyby i ta szyba (od ogrodu) całe tygodnie nie była zastąpiona inną. Podczas gdy jej koleżanki spędzały wakacje u niej doszło do pewnego nieporozumienia tak, że jedna z tych koleżanek znająca historję tej szyby doniosła żandarmerji, że ja ją wybiłem i przemocą do nich wtargnąłem. Wytłumaczyłem się z tego i żandarmi radzili mnie, abym im dał spokój, bo kobiety zawsze mają większą obronę. Wyjechałem w pilnej sprawie na południe i zabawiłem prawie dwa miesiące i dowiedziałem się dziwnym trafem że denuncjacja mnie na żandarmerję była wykonana na polecenie pierwszej nauczycielki pracującej obecnie w Konsulacie.

Postanowiłem wobec tego przenieść się z St. Pierre do innej miejscowości tembardziej, że moja czynność korespondenta na południu dobiegała końca.

Przyjechałem do St. Pierre, celem wymeldowania się z tej gminy już prawie wieczorem, na ulicy spotkałem znajomego chłopca, który mi powiedział, że Pani na mnie czeka, abym tam wstąpił. Wszedłem do mieszkania nie zastałem nikogo — myślę sobie pewnie gdzieś wyszła niedaleko gdy mieszkanie zostawiła otwarte. Nie wiedziałem oczywiście, że jej koleżanka jeszcze jest, inaczej byłbym nie wszedł. Czekałem więcej jak pół godziny i nikt nie przychodził, aż nagle otwierają się drzwi wchodzą żandarmi — ręce do góry, rewizja osobista. Gdzie mam rewolwer — zapytują, bo miałem pozwolenie na noszenie broni.

Zostawiłem z bagażem na stacji — odpowiadam to nieprawda bo ja przyszedłem zastrzelić te panie co tu mieszkają. Opowiadam im całe zdarzenie — byłem tu znany jako spokojny człowiek miałem wogóle bardzo dobrą opinję i trochu wiary, jako były legjonista. Aresztują mnie i doprowadzają na posterunek, gdzie soulieutnant na słowo honoru zwalnia mnie do rana.

Rano zgłaszam się na posterunek żandarmerji do tego pocz-

ciwego oficera, który zaprasza mnie na śniadanie, a przytem pokazuje mi list prefekta (gubernatora departamentu) że konsul polski w Lyonie zwrócił się do niego z prośbą, aby gdy ja jeszcze raz zjawie się w tych okolicach aresztowany był jako niebezpieczny osobnik — zdębiałem więc konsul polski tak ze mną chce postąpić?... Oficer żandarmerji francuskiej wyraża ubolewanie, że musi się zastosować do rozkazu, a zna dobrze, że jestem patrjotą polskim i przyjacielem Francji bez skazy, bo przecież na tym samym posterunku byłem setki razy jako tłumacz dla Polaków, Czechów i Rusinów pracujących w tej okolicy i niejednego wyratowałem z opresji. A teraz jestem posądzony, że chciałem zabić nauczycielkę i włamałem się do mieszkania przez raz już wybitą przezemnie szybę w oknie. Oficer ten robi mnie ostatnią grzeczność że pojadę sam bez eskorty żandarma do prefektury, a dopiero w korytarzu połączę się z żandarmami, którzy w pewnym oddaleniu jechali ze mną.

W prefekturze sporządzono protokół i odstawiono do więzienia, w którym otrzymałem celę bez zamknięcia, i nie mogłem tylko wychodzić na ulicę, a tak po całym więzieniu i warsztatach miałem wolność. Sprawa moja długo się ciągła — prawie trzy tygodnie. Przy rozprawie sądowej było dużo publiczności i odmówiłem zeznania z uwagi na publiczność, aby opinja polska nie ucierpiała, przewodniczący ogłosił wyrok na jeden miesiąc aresztu, a zatem za dwa dni opuściłem więzienie, nie wiedząc nic o wydaleniu z granic Francji.

Przyjechałem do północnej Francji, do Marles les Mines, odwiedziłem moją Zosię już mężatkę. Za kilka dni niespodziewanie otrzymałem nakaz opuszczenia granic Francji w przeciągu 8-miu dni. Wyjechałem natychmiast do Paryża do Ambasady aby poczynić starania o cofnięcie tego zarządzenia. Starania nie odniosły skutku, przedłużyli mi tylko czas do 21 dni. Miałem dobre oparcie, bo senator francuski starał się o moją sprawę, któremu w ministerstwie powiedziano, że jak tylko Ambasada polska zwróci się w tej sprawie będzie zrobione, ale Ambasada właśnie była już poinformowana od konsula o całej sprawie, a nadto przyczynił się p. J. Więcek do mego wydalenia donosząc Ambasadzie, że jestem szkodliwym osobnikiem wśród wychodźtwa. Gdy przy wyjeździe z Paryża byłem jeszcze raz u radcy emigracyjnego, dwóch

panów było w kłopotach jak mnie mają wyjaśnić konieczność wyjazdu. Powoływali się na moją inteligencję, że ja rozumię co to znaczy, że interwencja w ministerstwie nie odniosła skutku, której wcale nie było.

Dwóch nas było takich nieszczęśliwców, którzy otrzymaliśmy zamknięty list od Prefektury policji paryskiej skąd nas odprowadzono na stację i wysłano w kierunku granicy belgijskiej Jumont.

Zaznaczyć tu muszę że opieka więzienna w Paryżu, której kierownikiem był Heronimko znany działacz socjalistyczny dużo mi dopomagał i przed wyjazdem z Paryża miałem się do niego zgłosić, aby otrzymać bilet na przejazd przez Belgję, ale w Konsulacie Generalnym powiedziano nam, że mamy zabezpieczoną podróż aż do Polski wobec tego nie uważałem za konieczne zwracać się do przyjaciół o pieniądze.

Przyjechaliśmy do Jumont, granicznego miasta francuskiego, gdzie tajny policjant już nas oczekiwał. Odebrał od nas nakazy opuszczenia Francji i oświadczył że możemy teraz jechać do Belgji, a stamtąd gdzie nam się podoba.

— Jakże to? — mówię, przecież tu mamy otrzymać bilety aż do Aachen (Akwizgranu).

— Nic podobnego — oświadcza tajniak — Francja była obowiązana by was odstawić do granicy i na tym się kończy dalsza opieka nad wami.

Ładne kwiatki — myślę sobie, więc teraz z kilkudziesięciu frankami w kieszeni będzie prawdziwa tułaczka, ładna perspektywa, ani słowa.

Tajny widząc że ja go dobrze rozumię, bo mój towarzysz niedoli zachowywał się jak zraniony lew. Krzyczał: „ja halerczyk Lwowa i Wilna broniłem i teraz taka poniewierka za nic". Tajny radził nam do Polski nie macie poco jechać, bo w Belgji można pracę otrzymać i podobnie jak we Francji pracować.

Naraz przypomina mi się że w Belgji pracuje jeden z moich uczniów pracy oświatowej we Francji i oddałem mu kiedyś wielką usługę, ułatwiając mu wyjazd do Belgji, postanowiłem do niego jechać, aby mi ułatwił podróż do Polski.

Mój przejazd przez komorę celną odbył się w najnormalniejszych warunkach, a dzięki uprzejmemu tajniakowi, któremu szło

więcej o łatwe pozbycie się nas z Francji, jak o dobry uczynek dla nas, nawet nas nie kontrolowano. Żandarmi tylko kiwnęli ręką, a my przeszli i poszli.

* * *

Przyjechałem do Peronnes les Binche w prowincji Hainaut, gdzie była kolonja polska licząca około 400 dusz. Mój kolega pracy i uczeń przyjął mnie z entuzjazmem, a po wyjaśnieniu mu w jaki sposób znalazłem się w Belgji, zaraz zaproponował mi, abym pozostał — praca się znajdzie, bo takiego człowieka potrzebujemy tutaj.

Starania o pracę nie trwały długo, a ponieważ nie miałem prawa pobytu w Belgji, musiałem pozostać w kantynie, gdzie większość tych samotnych taką samą drogą przybyli jak ja do Belgji i od kilku lat tu przebywali bez prawa pobytu.

Ja, wyjeżdżając z Francji, zostałem zaangażowany do drugiego dziennika polskiego jako korespondent i z tego miałem niezłe dochody. A pracując obecnie w Belgji, nie chciałem się angażować zbytnio do pracy społeczno-oświatowej, aby mnie Towarzystwa nie afiszowały bardzo, więc byłem tylko doradcą i pomagałem wszystkim tym, którzy chcieli i mieli chęci bezinteresownej pracy dla polskości. Mimo, że nie miałem prawa pobytu jeździłem do wszystkich kolonji polskich jako przedstawiciel dziennika, dla którego pracowałem, wygłaszałem referaty, a najczęściej moje referaty wygłaszali miejscowi działacze, a nawet nauczyciele, z którymi nawiązałem kontakt, gdyż referaty dostarczane z konsulatu nie odpowiadały poziomowi robotniczemu.

Wkrótce zapoznałem się z całem wychodztwem w Belgji, które można było obliczać na około 30 tysięcy, a jako korespondent znany ze swoich przemówień i korespondencji, które wychodziły prawie codziennie miałem ciągle wiele zaproszeń w różne strony Belgji. Ta moja działalność unowocześnienia organizacji i uświadomienia tych, z których bogacili się kantyniarze, czyli dzierżawcy kantyn, nie podobała się właśnie tym ostatnim i trwała aż zaszedł przykry w następstwa dla mnie wypadek.

W Peronnes les Binche mieszkałem w kantynie zapoznałem się z miejscowym polskim księdzem i nauczycielem, których praca społeczno-oświatowa polegała na popieraniu kantyniarza i tego

kantyniarza postawili na najwyższy stopień działacza w kolonji — prezesa komitetu, dla reszty działaczy było to na rękę, gdyż co niedzieli i święta zbierali się w kantynie, gdzie bawili się do późnej nocy, a kantyniarz fundował. Oczywiście mógł to robić, gdyż ci nieszczęśliwi mieszkańcy kantyn pozostawiali wszystkie swoje krwawo zapracowane pieniądze w tej kantynie płacąc 50% i 100% za towary więcej jak gdzie indziej. Skarżyć się im nie było wolno, bo byli bez osobistych dokumentów, musieli kantyniarzom służyć jak pies, inaczej groziło im wydalenie na niepewny los. I ci biedni nieraz z desperacji zapijali się nie mając nawet koszuli na sobie. Pracując nigdy grosza nie widzieli, bo kantyniarz zabierał wprost z kopalni czy fabryki ich zarobki. Taki stan rzeczy był również i w Peronnes les Binche. O kilka miesięcy później przybył młody wynędzniały człowiek do kantyny. Po rozmowie z nim zwierzył się mi, że jest studentem. Najpierw studiował w Szwajcarji, następnie w Nancy we Francji, a za co wydalili go z Francji nie chciałem go pytać — przekonałem się że jest dobrym patrjotą. Jako młody człowiek nigdy jeszcze nie próbował publicystyki. Po kilku tygodniach (pierwsze jego korespondencje były pisane pod moim dyktandem) mógł już samodzielnie pisać artykuły z życia wychodźców po kolonjach polskich. Na moją propozycję został przyjęty jako korespondent Wiarusa Polskiego w Lille na Belgję. Nasze korespondencje były zachętą do pracy dla działaczy robotniczych. Ja prócz tego malowałem i rysowałem różne dyplomy i obrazy, a nawet wykonałem dwa wartościowe sztandary dla Sokołów i Harcerzy w Peronnes, które były podziwiane przez ks. Biskupa Kubinę, radcę z Warszawy i wiele innych zwiedzających emigrację.

Razem z tym studentem dochodzimy do przekonania, że nasi współbracia rodacy nie mający prawa pobytu w Belgji są wielce krzywdzeni przez kantyniarzy i z ich winy nie otrzymują prawa pobytu mimo pozornego starania się. Skrzętnie zbieramy dowody, przestudjowaliśmy statut kantyn wydany przez dyrekcję kopalń i postanawiamy zacząć od naszej kantyny zmienić kantyniarza, a tym sposobem uzależnić ich od robotników. Koniecznym jest wspomnieć, że kantyniarze mieli decydujący głos nietylko w dyrekcji kopalń lub fabryki, ale również i w komisarjatach policji i gminach, a największe zaufanie mieli w Konsulacie polskim, do któ-

rego wystawiali różne opinje, nietylko samotnym mieszkającym w kantynach, ale nawet dla rodzin w kolonjach. Więc jest zrozumiałe, że jeżeli ktoś miał jakiś interes do Konsulatu, a szedł do kantyniarza po taką opinję musiał zabrać ze sobą grubszy banknot i przepić go w kantynie. Płynnej gotówki nie każdy kantyniarz chciał brać.

Gdyśmy mieli materjał przygotowany i dowody, że nasz kantyniarz wydalony z Francji był za komunizm (a teraz był podany do krzyża zasługi za polskość) na nieszczęście zwierzyliśmy się nauczycielowi z tem, a nauczyciel znów nas namówił, aby to przedstawić księdzu rektorowi, ksiądz ten bowiem spełniał obowiązki kierownika Polskiej Misji Katolickiej w Belgji i Holandji. Ja nie miałem zbytniego zaufania do księży już z Francji, widząc ich kierunek polityki tak i tu zawahałem się, ale nauczyciel zapewniał nas, że on najwyżej może nam dopomóc. Poszliśmy jednak, wypowiedzieliśmy swoje — i cóż ksiądz rektor na to? — zapytaliśmy. Długo nie odpowiadał nic zadziwiła mnie tylko jego zmiana na twarzy i zaczął przemawiać w obronie kantyniarza. Jakiż skutek był tego? — ja pracowałem nocną zmianę — przychodzę rano z pracy i już przed kantyną zastanowiła mnie jasność we wszystkich oknach kantyny. Wchodzę wszyscy mieszkańcy siedzą za stołami i piją ciepłą kawę, kantyniarz, jego córka i służąca biegają usługują każdemu — niesłychana dotąd w historji kantyn rzecz, co się stało? — zapytuję zaraz u wejścia, wszystko milczy. Rozbieram się aby w tej jakiejś dziwnej uroczystości wziąść udział. Siadam za stół i wołam o jeden chleb, nikt na moje wołanie nie odpowiada, wreszcie przychodzi kantyniarz i dość grzecznie mi mówi, że dla mnie nic niema, ani nawet miejsca w kantynie. Otwieram usta, ale wspomniał mi się rektor...

Idę pakować swoje manatki już nieliczne, bo zaledwie kilka tygodni temu okradli mnie z ubrania i bielizny w tej kantynie. Jeszcze raz kantyniarz wszedł na górę bo widział, że wielu zabrało kawę i chleb dla mnie na górę — zwrócił się jeszcze do mnie, abym się wyniósł jak najprędzej, jeżeli nie chcę abym był siłą wyrzucony. Kilku zareagowało na to, a ja tylko ścisnąłem pięści, a jednak ze spokojem zwróciłem się do tych moich obrońców i powiedziałem: „chłopcy spokojnie pamiętajcie że nie macie dokumentów osobistych".

To wyjście z kantyny grubo mnie kosztowało ale też dzięki prywatnej interwencji pewnego wpływowego Belga zostały poczynione starania o pozwolenie pobytu w Belgji. Student żyjąc ze mną dalej w stosunkach przyjaznych pogodził się z księdzem i stał się jego codziennym gościem. A i ja biorąc udział we wszystkich uroczystościach, wobec ludzi rozmawiałem z księdzem lecz jak on do mnie tak ja do niego mieliśmy z głębi serca ziejący ogień nienawiści.

Odtąd moje korespondencje były liczniejsze z wyraźnym atakiem na kantyniarzy. Student znów pisał wiele o zniesieniu szkółek polskich, a przekształceniu je na kursy w tym czasie i tu znów ksiądz zwalał winę na mnie, bo był przekonany, że student w tym kierunku jako początkujący nie mógł być autorem tych artykułów. Zaczął na zebraniach tłumaczyć te artykuły jaki skutek z nich może być, a nawet straszył więzieniem. Aż nadszedł czas porachunku na jednym z zebrań Opieki Rodzicielskiej, przyjechał urzędnik Konsulatu i tu zaczął się atak dobrego kaznodziei na mnie. Ale omylił się bo trafił na takiego, który też prawie od 20 lat pracuje wśród wychodztwa i na różnej tułaczce. Byłem zupełnie spokojny, ale wypowiedzenia swoje akcentowałem dla pokonania przeciwnika. Zebrani zrobili mnie wielką manifestację, a ksiądz wobec urzędnika Konsulatu nie wiedział co ma robić, aż ze łzami w oczach zawołał do mnie: panie P. co ja panu winien.

Na drugi dzień rektor przyszedł aż do mego mieszkania podać mi dłoń.

Zapomniałem wspomnieć, że przed tym wypadkiem był 9-tygodniowy strejk w Belgji południowej. Podczas tego strejku ksiądz polski był mocno zagrożony, bo w tym strejku Belgowie domagali się usunięcia Polaków robotników z Belgji. Zatem ksiądz prosił studenta, aby na czas strejku zamieszkał u niego i jakoś się tak złożyło że się poróżnili oba i na tym pamiętnym zebraniu i student przeciw księdzu wypowiedział kilka ostrych zwrotów. Student zaś podczas swego pobytu u księdza zaopatrzył się w kilka ważnych szczegółów kompromitujących rektora, z którymi podzielił się ze mną. Rektor nie widząc innego wyjścia jak tylko pozbyć się

nas obu — najpierw zwrócił się do miejscowego komisarza, aby nas wydalono, ale dowiedział się że mnie już nie można było nic zrobić, bo moja sprawa wróciła z Ministerstwa pomyślnie załatwiona, ale biedny student był zagrożony.

Jakoś pewnego dnia niespodzianie wchodzą do mnie żandarmi, mówię im że moje wszystkie dokumenty złożyłem w komisarjacie, w tej rozmowie daję do zrozumienia mojej gospodyni, aby dała znać studentowi aby się ukrył. Trudno było ukryć się studentowi, aresztowali go, skuli i odprowadzili do Mons, skąd go wprawdzie wypuścili, ale tylko nato, że do ośmiu dni miał opuścić Belgję. Ja natomiast za kilka dni otrzymałem prawo pobytu na nieograniczony czas. Jednak z tego doniesienia miałem trochu kłopotu, bo było doniesione, że piszę wywrotowe artykuły w gazecie, musiałem wiele artykułów przetłumaczyć i przedstawić w Gouvernement Mons, gdzie nie tylko nie znaleźli nic komunistycznego, ale wyrażono mnie uznanie, że pracuję nad przyjaźnią belgijsko-polską.

W tym roku rozpoczęła się t. zw. czystka w Boussu-Bais i Quaregnon, te dwie miejscowości były przepełnione różnemi indywiduami i obcokrajowcami — było tu wmieszanych w to kilku Polaków. Jeden z tajnych agentów proponował mi, aby dopomóc mu w udowodnieniu ich komunizmu, odmówiłem, ale równocześnie wysłałem anonimowe listy dwóm osobnikom, których aresztowanie zaszkodziłoby wielce opinji polskiej, a najbardziej naszemu nauczycielowi i jednemu z polskich dzielnych księży na tym terenie. Ostrzegałem wszystkich przed ówczesnym kantyniarzem Polakiem przez winę którego wiele Polaków ucierpiało, gdy kolonję polską przeczyścili. Nie wiem czy moja interwencja pomogła, ale dwie rodziny polskie zostały uratowane dopiero wówczas, gdy rozmawiałem z pewnym Belgiem na poważnym stanowisku w „Sûreté". Jak ksiądz tak nasz nauczyciel byli pilnie obserwowani przez dłuższy czas i prawie do zmiany Konsula w Brukseli. Wreszcie kantyniarz w tej kolonji był usunięty i kantyna zwinięta. Odtąd nastał spokój i ten teren wrócił do dawnego życia.

Nauczycielstwo podobnie jak we Francji położyło wiele pracy nad organizacją młodzieży w harcerstwie, które najpierw powstało w Limburgji, następnie w okręgu Mons i te dwa okręgi do dziś stoją na naczelnym miejscu. Po zorganizowaniu początkowem

harcerstwa nastąpiła organizacja Strzelca i podobnie jak we Francji szło początkowo bardzo ciężko. Ze stanem organizacyjnym polskim Belgja była bardzo daleko od Francji. Tarcia pomiędzy działaczami którzy niekiedy wbrew własnemu przekonaniu stawali na czele organizacji jednej, aby pokonać drugą.

Moje korespondencje niewiele tu pomagały, bo na czele organizacji naczelnych stali sami kantyniarze, którzy bronili tylko swego interesu i czekali kiedy otrzymają obiecane krzyże zasługi. I stało się to czego obawiałem się — wszyscy kantyniarze zostali odznaczeni srebrnymi i bronzowymi krzyżami, ale równocześnie blask ich tarcz zaczął przygasać. Bogatsi uciekali do Polski a ci co nie umieli pokierować zdobytem „złotem runem" stracili w procesach i poszli do pracy lub wynajmując w osiedlach innych różne kawiarnie lub sklepy.

Zmiana Konsula w Brukseli przyniosła wiele zmian w organizacjach. Czy na lepsze trudno to osądzić już teraz, bo dopiero przyszłość osądzi. Ja jakkolwiek dotąd szybko orjentowałem się w przedsięwzięciach i w osądach wstrzymam się narazie o sądzie teraźniejszej współpracy wychodztwa robotniczego z Konsulatem. Jedno chyba można podkreślić, że powstał Komitet Współpracy z organizacjami na terenie Belgji, który skierował swój program pracy w kierunku wychowania młodzieży i w początkach spełnia swoje zadanie bardzo chlubnie.

Przez ten Komitet jestem już poraz drugi powołany do pracy nauczycielskiej. W tym roku t. j. 1936 prowadzę kursy języka polskiego w Maurage, 52 dzieci dwa razy tygodniowo, a tuż przed wakacjami zorganizowałem kurs w Bray. Prowadziłem te kursy w granicach możliwości, bo na swoje utrzymanie musiałem zarabiać w kopalni, spełniając obowiązek nauczycielski tylko dla dobrej sprawy, bo nauczycieli fachowych brak.

Kolonja polska w Maurage liczy dzisiaj około 300 dusz, nie była zorganizowana jakkolwiek Polacy tu są w tej liczbie już od 13 lat. Zorganizowałem tu Opiekę Rodzicielską, Oddział Strzelca i Koło byłych Wojskowych ponadto ksiądz polski dojeżdżający tu raz na miesiąc stworzył Tow. św. Barbary, które nie mogło się tu utrzymać. I takie już moje szczęście, że z księżami nie mogę się jakoś pogodzić, a przecież jestem katolikiem dobrym. Jak księża tak ci którzy są przeciwnikami Strzelca zaczęli burzyć przeciw mnie i zdo-

łali wzniecić nienawiść kilku rodziców do mnie, lecz istniejące już organizacje bardzo dobrze prosperują. Ja zrezygnowałem z dalszej nauki dzieci, przenosząc się do pobliskiego Bray, gdzie również jest polski kurs, ale w takich warunkach pracować na kopalni i uczyć dzieci jest moje poświęcenie niemożliwe. Zresztą sam Konsul zniechęcił mnie dając zupełną satysfakcję kilku burzycielom wśród rodzin posyłających dzieci do szkoły.

Obecnie mam lat 40 i rozmyślam nad moim położeniem dalszych lat, że po wielkich zmaganiach z losem nie mam zabezpieczonej starości, bo czemże ja byłem w moim życiu?... niczem!... Wyobrażam sobie już nieraz w myśleniach jak z kijem w ręku od domu do domu pukam prosząc o jałmużnę, którą z przekleństwem mi ktoś wręcza i patrzy za mną, abym czego jeszcze nie ukradł.

Wówczas kiedy mogłem się czegoś nauczyć nielitościwa wojna to zniweczyła a później nie było funduszów i ambicja i komu przypisać winę mego fatalizmu. Mimo wszystko jestem jeszcze pełen życia i energji — jestem zawsze z siebie zadowolony, a najważniejsze, że żyję w ciągłej nadziei, tak że nieraz sam ze siebie się śmieję.

Kończę ten mój życiorys też z nadzieją że ktoś z niego wyciągnie to co będzie dla ogółu pożyteczne i ciekawe.

Dn. 1 września 1936 r.

Pamiętnik Nr. 37

Robotnik-legionista, syn robotnika spod Krakowa.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.)

Lata mojego dzieciństwa spędziłem pod Krakowem w małem miasteczku fabrycznem w Trzebień, ojciec był ślusarzem kolejowem rodzina nasza była dosyć duża pięcioro dzieci ja najstarszy, po ukończeniu szkół elementarnych jeździłem do Krakowa koleją do Wydziałowej na Klepacz później do św. Mikołaja. Ze wglendu choroby mojej mamy położenie naszej famili było krytyczniejsze. Chcąc ułatwić położeniu rodziców postanowiłem wybrać rzemiosło, aby jak najprendzej być niezależnem i tem samem ułatwić położeniu rodziców. Otrzymałem miejsce w cynkowni w Trzebini i tutaj pracowałem aż do września 1914 roku.

Należałem do Polskiej organizacji metalowców i do drużyny szczeleckiej miałem własny mundur. Marzyłem o tej wielkiej pracy którą organizował Piłsudski. Zawierucha wojenna wisiała nad losem starej Europie, godzina wyzwolenia zbliżała się. Dziadek mobilizował swoje kadry do Krakowa, i dla mie nadszedł ten dzień o którem tyle marzyłem, opuściłem prace i wyjechałem do Krakowa i tutaj z Oleandrów po cało nocnem czekaniu wyśliśmy na wyprawe Kielecką i tak zaczołem kompanie legionową bioronc udział we wszystkich walkach I Brygady 5 p. p. Oficerami mojemi byli z Krakowa Wir-Konas, Skwarczyński, Olszyna-Wilczyński i wielu innych z Konasem będe miał sposobność sie widzieć.

Po odesłaniu resztków 5 p. p. i 3 p. p. do Przemyśla, ja w tem czasie byłem sierżantem pułkowem. Trudno opisać z jakiem to sercem żołnierze resztki naszej I Brygady oddawali ka-

rabiny nie chcąc być korpusem posiłkowem austryackiem w mundurach polskich.

Tak rozpoczeła się tułaczka z Przemyśla wysłano nas na południowy front austryacki zakładając kadrę pod Trijestem i tu dano nam mundury austryackie i tak zostałem „fedfeblem". Oficerów naszych odesłano do szkoły oficerskiej. W resztkach 5 i 3 p. p. było dużo inwalidów legionowych do których i ja należałem, założono kompanie inwalidzką którą ja prowadziłem, najpierw do Lublany a później odesłano nas do Montfalkone tutaj spotkaliśmy po pewnem czasie kilku naszych oficerów powracających ze szkoły austryackiej udających się do 12 dywizji w tem czasie miałem sposobność ostatni raz widzieć kapitana Wir-Konasa jak również kap. Lis Kula i wielu innych. Było to naprawde wzruszające spotkanie! ale trudno taki los czekał pierwszych żołnierzy i nie wszyscy mieli to szczęście widzieć wolną Ojczyzne o którą walczyli i wszystko oddali.

Kompania nasza ex Leg. przyłonczona do 405 Baonu Etapowego pełniła służbe na terenie od Montfalkone aż do Isonzo po odwrocie Włochów zostało kilka magazynów z amunicyą i innemi rzeczami przy służbie tej kilku naszych zostało rozszarpanych przez ręczne granaty które były gensto po polach rozrzucone. Epidemia chorób malaryi i demoralizacja uszczupliła naszą garstkę byłych Legionistów w czasie tem również odszedłem ja do spitala czeskiego bendąc chory na malarie. Spital ten był pod Triestem, pobyt w tem spitalu oddalił mie od powrotu do kraju ponieważ w czasie mojej rekonwalescencyi poznałem dziewczyne Włoszke która nienawidziła austryaków i niemców, wobec tego zostaliśmy przyjaciółmi tak że dzisiaj jest moją żoną.

W czasie przełomu Austryackiego ja znajdowałem sie pod Trijestem. Czując obowiązek zglendem kobiety nakłaniałem ją do wyjazdu do Polski (zaznaczam że kobieta władała jedynie językiem włoskim) ale ona czując się matką nie chciała opuścić swoich rodziców, wobec tego postanowiłem odłożyć ten nasz wyjazd.

W czasie tem wojska włoskie zajęły Trijest ja zgłosiłem sie do policyi włoskiej mając książkę wojskową Legionową I Bryg. byłem wolnem i mieszkałem u rodziców żony. 21 kwietnia 1919 r. ożeniłem sie i dwa miesiące później narodził mi sie syn zostałem ojcem. Położenie finansowe moje i rodziców żony było

wyczerpane po wymianie koron na liry. Wobec tego musiałem szukać pracy.

Prace odczymałem w warstacie reparacyjnym maszyn. Obowiązki zglendem famili i cheńć zarobku konkurencia w pracy mimo tej walki o byt zdołałem utrzymać się na stanowisku, zakładając dom o własnych siłach. Spory robotnicze kilkanaście razy zmusiły mnie do bezrobocia, strajki trwały kilka tygodni, położenie moje było krytyczne czując materjalną i moralną odpowiedzialność.

W Trijeście konsulatu żadnego nie było. Pewnego dnia błonkając się po ulicach w Trijeście spotkałem oficera polskiego w mundurze. Był to dla mnie dzień szczęśliwy rozmawiając z oficerem dowiaduje się że należy do komisyi która jedzie do Palestyny szukać polskich jeńców i robotników. Ja z tem oficerem poszedłem do hotelu della Willa w Trijeście i tam poznałem p. Władysława Wagnera który był komendantem tej komisyi. Przedstawiłem się mu, jako Kazimierz Ulanowski, mając dokumenty wojskowe Legionowe. Pan Wagner dał mi dokument napisany po francusku i polsku na którem umieścił również moją fotografie i tak miałem powrócić do kraju.

Jakie było moje zdziwienie kiedy zgłosiłem się do biura policyjnego i tam powiedzieli mi iż odstawią mie do granicy i stamtąd na łaskę policyi jugosłowiańskiej i tak dalej! Naturalnie na wieść o tem poszedłem szukać do hotelu p. Wagnera, było zapóźno odjechali do Wenecyi i tak zrezygnowałem z tej łaski i zostałem w Trijeście, zaczołem nazad pracować w nadziei że kiedyś zarobie tyle żeby wyjechać z żoną i synem do Polski. W czasie tem przyjechał do Trijestu konsulat polski zameldowałem się i odczymałem paszport bezpłatny na pobyt zagranicą. Należałem do Związku Włosko-Polskiego im. Adama Mickiewicza brałem czynny udział we wszystkich manifestacyach Polskich w czasie tem była wojna polsko-bolszewicka. Moskale zagrażali Warszawie ja zgłosiłem się do konsulatu stawałem do komisi lekarskiej uznany zostałem za niezdolnego bendąc inwalidą Legionowem. (Z początkiem 1917 roku oczymałem pensie inwalicką która była płacona przez Żywieckie Starostwo ponieważ ojciec mój mieszkał w Suchy). Z decyzi lekarskiej nie byłem zadowolony. Pocieszało mie to iż Dziadek pobił Moskali wobec tego czułem się wolny. Wiadomości

z Polski miałem z gazet i dużo rzeczy wiedziałem które wcale nie były pocieszające smutno mi było iż ci którzy mają to szczęście żyć w tej wolnej Polsce nie żyją w zgodzie — prowadząc spory między stronnictwami i stowarzyszeniami. Jak również bezrobocie w Polsce w którem cały świat był pełny, wstrzymywał mie do powrotu i tak upłyneło kilka lat. Pierwszy syn mi umarł i narodził mi się drugi, choroba moja powrót malari i śmierć syna pogrzebały moje oszczędności.

We Włoszech położenie zmieniło się silna ręka Musoliniego zrobiła koniec strajkom i organizacja pracy została ustalona. Dla utrzymania się przy pracy musiałem przyjąć poddaństwo włoskie ponieważ inaczej było niemożliwie pracować, przez dyrekcye warstatów odesłano mie do Genowy i tutaj pracuje prawie 9 lat, jest to największy warsztat włoski lokomotyw elektrycznych — pracuje w oddziale konsentywnem narzędziarskiem i formowem. Stanowisko moje zglendem dyrekcji zawsze było odpowiednie uznanie to zarobiłem sobie pracą i jako Polak jezdem wzorem w rzemeśle. Jako Legionista zawsze równy ochotnikom włoskim i gotów wyjaśnić prace Polaków dla swobody i wolności swojej Ojczyzny!

W czasie pobytu tutaj w Genui zawsze starałem się nawiązać kontakt z instytucjami polskiemi, niezawsze miałem szczęście do tego. Wiadomości miałem z gazet polskich które niezawsze mogłem kupić ponieważ mieszkam na przedmieściu i gazety są drogie 1.40 Lir a w niedziele 2.40 Lir wobec tego nie jest możliwe ze zglendów finansowych kupować codzień, do tego musi się dołonczyć koszta tramwaju 1.70 ponieważ trudno w warunkach dzisiejszych pozwolić sobie na to — mimo to każdy większy wypadek tak w Polsce jak przyjazd tutaj do Włoch Polaków był mi zawsze wiadomy. I tak kilka lat temu przyjechała do Włoch reprezentacja Legionowa aby złożyć ochotnikom włoskim wizyte.

Wiadomość o tem zrobiła na mnie wielkie wrażenie życzyłem sobie spotkać jakiego oficera znajomego ponieważ prawie wszystkich oficerów czynnych z piechoty I Brygady znam z nazwiska lub z widzenia, wobec tego zaraz wybrałem się do Mediolanu ponieważ tam miała przyjechać delegacja aby wziąść udział w odsłonięciu tablicy poległych Polaków w pięcio dniowych walkach o Mediolan. Delegacja była prowadzona przez komendanta

Beline, czekałem na dworcu przyjazd pociągu. Widziałem przygotowanie organizacji wojskowych włoskich serce mi się paliło z radości. Przyjazd pociągu sztandary kłaniają się przed naszemi oficerami Włosi krzyczą „Eviva Polonia" nasi odpowiadają „Cześć". Ja na to patrzyłem i nie mogłem zrobić kroku naprzód chciałem być pierwszy temczasem głos mi zamarł.

Z Włoskiemi ochotnikami poszedłem do Stowarzyszenia i tam czekałem na przybycie reprezentacyi. Na sali pełno ochotników z medalami, nareście orkiestra stowarzyszenia zagrała Jeszcze Polska nie zginęła to był znak iż delegacya wchodzi na sale wszyscy stają na baczność. Pierwszy raz może ci ochotnicy słyszą ten hymn Narodu Polskiego oficerowie są w mundurach przemowa w języku włoskim i polskim, później Belina przypina krzyż I Bryg. do chorongwi sekcyi Mediolańskich ochotników włoskich.

W tem samem czasie robie znajomość z p. Pochmarskim posłem na sejm. Ja jesdem tak wzruszony iż prawie gadać nie moge, on mi opowiada o Polsce i tak po bankiecie jade autem razem z p. Pochmarskim do hotelu gdzie mieszka delegacya. Tam rozmawiam z p. Pochmarskim o mojem położeniu i p. Pochmarski obiecuje interesować się moją sprawą przy związku byłych Legionistów posyłając mi gazety i jakie książki tyczące się Polski powojennej dając mi adres do Krakowa i na Sejm do Warszawy.

Ja ten sam dzień powróciłem do Genowy, ponieważ nie chciałem dłużej zajmować czas p. Pochmarskiego pożegnawszy się po bratersku odjechałem. Dwa dni później czytałem iż delegacja Polska jest w Rzymie i Musoliniemu nadała krzyż naszej Brygady.

Ja czekałem na odpowieć pisałem kilka razy do Krakowa i Warszawy i zawsze przez odpowiedzi. Nie wiem dlaczego? I co się stało z panem Pochmarskim? iż tak sobie zapomniał o Legioniście który żyje na włoskiej ziemi!

Kilka miesięcy upłynęło do Włoch przyjechała rep. drużyna piłki nożnej i tu rozgrywała mecz z drużyną reprezentacyjną „Liguria" tutaj w Genui. Zawsze byłem i jezdem amatorem sportu całe postempy sportowe polskie są mi znane wobec tego wystemp polskiej drużyny był dla mie oczekiwany z niecierpliwością.

Trudno opisać jakie wrażenie robi obrona własnych kolorów

Narodowych na obczyźnie. Oczekując gości Polskich na dworcu kolejowem razem z przedstawicielami klubów tutejszych zrobiłem znajomość z panem Nawrotem i panem Martyną. P. Nawrot z Legi Warszawskiej cały czas pobytu miałem zaszczyt towarzyszyć tem panom. Przykro mi było iż rep. Polska przegrała. Pan Nawrot opowiadał mi o stosunkach w Polsce nawiązaliśmi korespondencye która trwała kilka lat, w czasie tej korespondencyi informował mie p. Nawrot iż w Polsce rząd nadał byłem Legionistom krzyże lub medale za walkę o niepodległość i tem samem wysłał mi blankiet wydany przez towarzystwo Krzyża Niepodległości wypełniłem i załączyłem wszystkie odpisy z dokumentów które posiadam i wysłałem przez konsulat w Mediolanie po kilku miesiącach otrzymałem z powrotem dokumenty z wyjątkiem jednego to jest poświadczenia z Archiwum Wojskowego z Warszawy. Mimo to iż dokument ten nie był dokładny utrata dla mie nie była obojętna!

Podanie do Zarządu o Krzyż Niepodległości miało znaczenie moralne, opierające się na tych zasadach: prawie dwa lata służby, w drużynach strzeleckich przed wojną, odznaczony srebnem medalem i listem pochwalnem za Łowczuwek cała kompania Leg. I Brygady. Wobec tego iż na całem świecie każdy naród dał swym synom kombatantom odznake udziału w tej wojnie która dała nam wolność, tak i ja ubiegałem się o to — ale bez żadnego skutku! Synowi mojemu moge zostawić srebny medal austryacki i powiedzieć — to zdobyłem walcząc o wolność mojego Narodu Polskiego!

Poszukiwaniem zaginionego dokumentu zajął się konsul w Mediolanie p. Witold Kolankowski. Panu temu jezdem dużo wdzięczny za poparcie moralne prawie ojcowskie i patryotyczne. Szkoda iż w chwili gdy to pisze odjechał z Mediolanu. Nie zapomne nigdy te idee pamiętną pana konsula posyłając mi przez p. Wice Konsula płyte gramofonową „I Brygada“ pierwszy raz na obczyźnie zostałem zrozumiany!

Szkoda iż tutaj mimo miasta portowego niema żadnej instytucyi polskiej, dla utrzymania łączności z krajem kupiłem aparat radiowy. Polskie stacye średniofalowe słysze słabo i to Katowice, Poznań, a Warszawe na falach długich to niemożliwe ponieważ jest nadzwyczaj rumorów.

Byłoby zadawalające ażeby stacye Katowice i Poznań podniesiono z 16 kw conajmniej do 35 kw i tem dać możność Polakom mieszkającym w Europie południowej słyszeć programy tych stacyi. Stacye krótkofalową słyszy się doskonale jeżeli dwie stacye radiotelefoniczne pracujące na 21 i na 23 metrach nie pracują są to stacye angielska i włoska. Trzygodzinne programy tygodniowe i to o godzinie 17.30 nie są dostateczne. Połączenie radiowe pozostaje łącznością duchową dla naszych rodaków rozsianych po różnych krajach wobec tego audycye stacyi krótkofalowej przedłużyć i czasem jakiś program z teatru polskiego dać, lub stacye średniofalowe podnieść na sile.

Życie na obczyźnie jest nadzwyczaj ciężkie, rodzina moja obecnie składa się z dwojga dzieci syn 12 letni i córeczka 5 letnia. Syn i córeczka rozumieją i mówią troche po polsku aby dać możność nauczenia kilku śpiewów ludowych Polskich sprowadziłem kilka płyt gramofonowych. Możliwości finansowe moje są nadzwyczaj szczupłe tak iż sprowadzenie gazet lub książek jest wykluczone tembardziej iż zarobki obecnie są mniejsze jak przed kilku laty. Odpowiedzialność moralna zględem syna i córki są coraz większe ponieważ życzeniem mojem jest powrócić do kraju i dać możność synowi poznać kraj ojczysty. Zadanie to jest wielkie tembardziej w obecnych warunkach.

Wiem że istnieje związek Polaków żyjących za granicą, mimo to nie wiem jakie zadanie jest tego związku. Żyjąc prawie 18 lat za granicą i władając językami obcokrajowemi wyszedłem z prawności wysłowienia się ojczystem języku, wobec tego proszę wybaczyć błędy które zrobiłem w tem opisie mojego pobytu za granicą ufam iż będę zrozumiany, o tem o co mi chodzi i nie całkowita w tem moja wina iż dzisiaj znajduje się za granicą.

Życie tutaj hartuje przywiązanie do kraju tembardziej odczuwa się obojętność tych którzy mają szczęście żyć w granicach tego kraju co był marzeniem każdego Polaka. Dużoby było pisać na ten temat obojętności. Emigracja w stosunkach dzisiejszych jest prawie samobójstwem sił żywotnych narodu. Walka o byt stała się nietylko konkurencyą maszyny ale także człowieka wobec tego wyższe kwalifikacye rzemieśnika może jedynie jeszcze egzystować na obczyźnie jeżeli nie chce właść na najniższy poziom i tem

samem cierpieć głód na obczyźnie który jest o wiele trudniejszy do zwyciężenia.

We Włoszech dużo rzeczy miałem sposobność zapoznać, i tutaj dużo zrobiono dla swego kombatanta i emigranta. Ja politycznie zawsze zachowałem się neutralnie nie biorąc udziału w walkach partyjnych mając wielkie uznanie dla Narodu Włoskiego ponieważ tradycya łączy go z Narodem Polskim. Jak spominałem żona moja jest Włoszka mimo to starałem się za pomocą książek poznać moją ojczyznę. Żyjąc w nadziei iż wkiedyś stary Legon I Brygady V Pułku wróci do kraju aby synowi dać możność służyć z większem szczęściem jakie miał swój ojciec! Trudno opisać wrażenie przeżyte na obczyźnie ufam że list mój będzie zrozumiany i otrzymam odpowieć, że Instytut Gospodarczy otrzymał ten list.

Dużo jeszcze byłoby do pisania są to rzeczy o których życie zagranicą jest pełne kolczastych dróg! — i znane wszystkim obserwatorom życia emigracyjnego. Pozwole sobie zasłać serdeczne pozdrowienie z ziemi włoskiej Instytutowi Gospodarczemu.

Cześć!

Dn. 20 kwietnia 1936 r.

MÉMOIRES DES ÉMIGRANTS POLONAIS

Pour le ci-présent volume de Mémoires, consacrés aux émigrants établis en France, l'Institut d'Economie Sociale à Varsovie a recueilli des matériaux provenant de 49 personnes.

A l'exception d'un seul ouvrage, des mémoires d'un émigrant, ou plutôt d'un ancien soldat qui après avoir participé aux combats sur le front italien, s'établit dès la fin de la guerre en Italie, s'y maria et devint père d'une assez nombreuse famille, tous les autres mémoires sont l'oeuvre des émigrants établis en France.

Parmi les mémoires recueillis nous avons choisi 37 à être publiés. Nous les avons placés dans ce volume dans l'ordre géographique. D'abord viennent les mémoires des émigrants établis dans les départements du Nord, la deuxième place occupent les mémoires de la région parisienne, ensuite ceux des départements de l'Est, de l'Ouest et du Centre, enfin ceux qui avaient été écrits dans les départements du Sud. L'avant-dernier ouvrage est l'oeuvre d'un émigrant qui séjournait en France, mais qui depuis des années habite la Belgique; le dernier contient les mémoires d'un émigrant établi en Italie.

Parmi les 49 personnes qui nous ont envoyé leurs mémoires il y avait trois femmes, dont une rapatriée depuis en Pologne.

En dehors de dix mémoires dont les auteurs n'ont pas indiqué leur âge (dans ce nombre une femme rapatriée) les autres trente neuf mémoires avaient été écrits par des personnes qui se repartissent selon l'âge de la manière suivante: 15 personnes de 31 à 40 ans, neuf personnes de 41 à 50 ans, huit personnes au dessus de 50 ans, sept personnes au dessous de 30 ans (dont deux avaient moins de 20 ans); dans ce nombre il y avait deux femmes, dont une au dessous de 20 ans. Cet âge relativement bas des femmes est un phénomène significatif qui prouve que les femmes à l'âge

un peu plus avancé deviennent moins sensibles aux affaires qui se déroulent en dehors de leur ménage, étant entièrement occupées par les soins de la maison. Les célibataires sont en minorité parmi les auteurs de mémoires. Leur nombre s'élève à quinze (dont deux femmes, une émigrante établie en France et une rapatriée). C'est un autre phénomène qui caractérise les causes empêchant les femmes à écrire.

La grande majorité des émigrants qui ont envoyé leurs mémoires proviennent des paysans. Il y en a trente (douze possesseurs de petite propriété rurale, un possesseur d'une propriété rurale naine, trois possesseurs de propriétés rurales moyennes, huit paysans n'ayant point de propriété rurale). Les autres (dans ce nombre deux rapatriés) n'ont pas indiqué les détails. Treize émigrants étaient ouvriers (deux rapatriés), six émigrants n'ont pas indiqué leur métier, ni les fonctions qu'ils accomplissaient en Pologne avant leur départ en France. Les auteurs des mémoires sont partis à différentes dates: un émigrant arrive en France en 1909, trente et un — entre 1919 et 1926, onze — de 1924 à 1930, deux de 1932 à 1933. Quatre émigrants n'ont pas indiqué la date de leur arrivée en France. La majorité des auteurs étaient établis en France depuis plusieurs années, et certains d'entre eux depuis plus de dix ans au moment où ils écrivaient leurs mémoires.

Il va sans dire qu'à l'appel lancé par l'Institut d'Economie Sociale ont répondu surtout ceux qui sont doués d'un esprit vif et capables d'apprécier les conditions de la vie à l'étranger. Enfin, sur les 49 auteurs de mémoires établis en France, il y avait seize anciens émigrants en Allemagne et sept enfants d'émigrants. Bref, 46 p. c. parmi tous les auteurs de mémoires établis en France avaient déjà une expérience directe ou indirecte dans les affaires concernant l'émigration, les uns ayant été eux-mêmes émigrants, les autres ayant été élevés par des parents, anciens émigrants.

Les données recueillies par notre Institut correspondent-elles d'une manière au moins à peu près approximative à ce qu'existe en réalité dans le domaine de l'émigration? Ce problème a été mis en évidence dans le tableau ci-joint, où nous avons juxtaposé

en chiffres relatifs, repartis selon la profession, tous les émigrants de 1926 et de 1931, et les émigrants ayant écrit leurs mémoires, aussi bien ceux dont les mémoires nous publions que ceux dont les mémoires ne seront pas publiés.

Sections professionelles	Polonais professionnellement actifs		Auteurs de mémoires	
	1926	1931	total	publiés
Total	100,0	100,0	100,0	100,0
Agriculture, forêts	16,7	17,5	15,6	13,5
Mines	41,7	33,6	46,7	46,0
Industrie	31,8	38,3	35,5	37,8
Commerce	4,5	4,4	2,2	2,7
Autres sections	5,3	6,2	—	—

La repartition de ces auteurs de mémoires d'aprés les sections professionnelles ne s'écarte donc pas considérablement des chiffres qui se rapportent à tous nos émigrants en France en 1926 et 1931.

Les différences relativement très insignifiantes, qui existent pourtant, ne déforment point le tableau envisagé par les statistiques officielles françaises. Nous pouvons soutenir avec assurance que les mémoires ne s'écartent, même au point de vue quantitatif, de la repartition des émigrants selon la profession qu'ils exercent.

Qu'il nous soit permis de supposer que tout ce que rélatent les émigrants sur leur vie et même les descriptions de leur état d'esprit est sincère et correspond à la réalité. Le groupe de 37 auteurs de mémoires publiés dans ce volume est sans doute trop restreint pour pouvoir tirer de ce qu'ils disent des conclusions détaillées sur la vie de nos émigrants en France.

Les facteurs sociaux et économiques causant l'émigration, aussi bien que les conditions sociales et économiques dans lesquelles vivent et travaillent à l'étranger nos émigrants produisent cependant un effet qui est à noter. Nous retrouvons dans ce que disent les auteurs de mémoires, dont le groupe est pourtant aussi restreint, la confirmation de nos opinions concernant l'émigration

que les écrivains ont formées en se basant sur les données statistiques.

Manque de terre, surpopulation de la campagne, industrialisation insuffisante de notre pays, misère des gens de la campagne et des villes, voilà ce qui ressort très nettement chez tous les auteurs de mémoires comme source essentielle de l'émigration. Cette situation produit un offre de la main d'oeuvre, un offre qui, très souvent, a lieu dans des conditions vraiement tragiques. L'autre coté de l'émigration c'est l'appel qui vient de la France où un ouvrier sain, fort, patient et surtout peu couteux est très recherché. Le sort de nos émigrants qui ne sont pas préparés à la défense de leurs droits et qui ne connaissent pas la langue parlée dans le pays où ils se trouvent — est dépeint d'une manière très plastique dans tous le mémoires. Même l'ensemble des traits psychiques qui caractérisent les émigrants, l'individualité du Polonais— paysan ou ouvrier, qui s'en va à la recherche du travail, toute l'échelle de ses sentiments: sentiment de famille, conscience de citoyen, sentiments sociaux, tout ressort d'une manière saillante dans les descriptions de ces mémoires dont les auteurs sont cependant si peu nombreux.

TREŚĆ

Str.

PROF. LUDWIK KRZYWICKI: PRZEDMOWA V

NIECO O PAMIĘTNIKACH I PAMIĘTNIKARZACH XXIII

ZAŁĄCZNIK XXVII

Odezwa Instytutu Gospodarstwa Społecznego w sprawie konkursu na pamiętnik emigranta

PAMIĘTNIKI EMIGRANTÓW

Francja

DEPARTAMENT PAS DE CALAIS 1—100

Pamiętnik Nr 1. Górnik, syn robotników fabrycznych z Łodzi, ur. w 1886 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 1

„ Nr 2. Górnik z Zagłębia Dąbrowskiego, ur. w 1878 r.
(Konk. im. St. Gawrońskiego) . . . 12

„ Nr 3. Żona górnika z Jaworzna, woj. krakowskie, (ur. 1904?)
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 27

„ Nr 4. Górnik, syn robotnika rolnego z Poznańskiego, ur. w 1878 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 48

„ Nr 5. Górnik, syn małorolnego spod Przeworska, ur. w 1903 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 55

„ Nr 6. Górnik, inwalida pracy, syn robotnika rolnego z Poznańskiego, ur. w 1897 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 65

„ Nr 7. Górnik, syn robotnika rolnego z Poznańskiego, ur. w 1909 r.
(Konk. im. St. Gawrońskiego) . . . 82

„ Nr 8. Górnik, w ojczyźnie robotnik folwarczny.
(Konk. im. St. Gawrońskiego) . . . 89

Str.

DEPARTAMENT NORD 101—218

Pamiętnik Nr 9. Górnik, rodem z Poznańskiego, syn górnika w Westfalii, ur. w 1902 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 101

„ Nr 10. Szewc rodem z Tarnowa, ur. w 1893 r. (Konk. im. St. Gawrońskiego) . . . 172

„ Nr 11. Górnik, syn majstra mularskiego spod Gniezna, ur. w 1900 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 182

„ Nr 12. Robotnica, córka robotnika sezonowego z Żyrardowa, ur. w 1908 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Bezr.) . . . 192

„ Nr 13. Robotnik w fabryce fajansu, syn małorolnego z Poznańskiego, ur. w 1876 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 204

„ Nr 14. Górnik, syn robotnika kopalnianego pod Będzinem, ur. w 1912 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 209

DEPARTAMENT AISNE 219—233

Pamiętnik Nr 15. Robotnik, syn rolnika spod Lwowa, ur. w 1900[?] r. (Konk. im. St. Gawrońskiego) . . . 219

DEPARTAMENT OISE 234—239

Pamiętnik Nr 16. Giser, ur. w 1896 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Bezr.) . . . 234

DEPARTAMENT SEINE 240—309

Pamiętnik Nr 17. Rolnik niewykwalifikowany, ur. w Chicago w 1908 r., obecnie remigrant. (Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 240

„ Nr 18. Górnik, potem malarz, rodem ze Śląska, ur. w 1893 r. (Konk. im. St. Gawrońskiego) . . . 278

„ Nr 19. Robotnik rolny, potem robotnik fabryczny, syn małorolnego spod Rzeszowa, ur. w 1900 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 294

„ Nr 20. Robotnik-metalowiec, syn rolnika spod Jarosławia, ur. w 1901 r. (Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 299

Str.

DEPARTAMENT SEINE ET OISE 310—344

Pamiętnik Nr 21. Robotnik fabryczny, syn małorolnego z Lubelskiego, ur. w 1893 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 310

„ Nr 22. Robotnik niewykwalifikowany, syn wieśniaka z Wileńszczyzny, ur. w 1895 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Bezr.) . . . 332

DEPARTAMENT MOSELLE 345—357

Pamiętnik Nr 23. Górnik, syn górnika, ur. w Westfalii w 1900 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 345

DEPARTAMENT MEUSE 358—366

Pamiętnik Nr 24. Górnik, syn rolnika z Kujaw, emigranta w Ameryce Półn., ur. w 1898 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 358

DEPARTAMENT SARTHE 367—372

Pamiętnik Nr 25. Robotnik, syn robotnika, rodem z Podlasia, ur. w 1913 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 367

DEPARTAMENT INDRE ET LOIRE 373—378

Pamiętnik Nr 26. Stolarz, syn 30-morgowego rolnika z Kaliskiego, ur. w 1889 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 373

DEPARTAMENT SAÔNE ET LOIRE 379—433

Pamiętnik Nr 27. Górnik, syn robotnika ze Śląska Cieszyńskiego, ur. w 1902 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 379

„ Nr 28. Robotnik rolny, syn 11-morgowego gospodarza z Kieleckiego, ur. w 1904 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 409

DEPARTAMENT LOIRE 434—441

Pamiętnik Nr 29. Robotnik rolny, później fabryczny, z Poznańskiego, ur. w 1887 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 434

DEPARTAMENT DRÔME 442—557

Pamiętnik Nr 30. Robotnik rolny, potem minier, wreszcie murarz, syn małorolnego z Kieleckiego, ur. w 1907 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 442

Str.

DEPARTAMENT GARD 558—566

Pamiętnik Nr 31. Górnik, syn robotnika folwarcznego z woj. pomorskiego, ur. w 1876 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 558

DEPARTAMENT TARN 567—592

Pamiętnik Nr 32. Górnik, syn fornala z Kieleckiego, ur. w 1892 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 567

DEPARTAMENT HAUTE GARONNE 593—640

Pamiętnik Nr 33. Górnik, obecnie rolnik, syn małorolnego z Małopolski Wschodniej, ur. w 1905 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 593

„ Nr 34. Rolnik, potem górnik, wreszcie połownik, syn murarza z Poznańskiego, ur. w 1872 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 598

„ Nr 35. Górnik, obecnie rolnik, syn kowala spod Nieszawy
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 618

Belgia

Pamiętnik Nr 36. Robotnik i działacz oświatowy, syn średnio zamożnego rolnika z Tarnopolskiego, ur. w 1896 r.
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 641

Włochy

Pamiętnik Nr 37. Robotnik-legionista, syn robotnika spod Krakowa
(Konk. I. G. S. — Pam. Emigr.) . . 690

RÉSUMÉ . . . . . 699—702

Szkoła Partyjna
przy K. C. P. Z. P. R.
BIBLIOTEKA

DOSTRZEŻONE OMYŁKI W DRUKU

Str.	*wiersz*	*jest*	*winno być*
101	6 od góry	ona	żona
103	12 „ dołu	miele	mieli
105	6 „ góry	za	ze
112	16 „ góry	na porządku	porządku
165	6 „ dołu	Francjl	Francji
292	1 „ góry	którze	które
346	7 „ dołu	optowaii	optowali
506	5 „ góry	z przyjemnościach	i przyjemnościach
524	13 „ góry	tutaj setki	tutaj starców setki
560	17 „ góry	spowrctem	spowrotem
636	16 „ góry	em	łem

WYDAWNICTWA INSTYTUTU GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

W WARSZAWIE, UL. CZERWONEGO KRZYŻA 20, TELEFON 511-19

R-K CZEKOWY w P. K. O. 12099

Białobłocki B. Szkice literackie, 1932, str. X + 135 . . . . . 3.—

Czerniewski K. Maszyny i narzędzia rolnicze, 1938, str. 8 nl + 84 . . . . 3.—

Derengowski J. Urlopy maszynistów kolejowych, 1922, str. 44 . . . . . 2.—

Drobny przemysł i chałupnictwo. T. I, 1931, str. 6 nl + 248; T.II, 1933, str. 4 nl. + 284 . . . . . 27.50

Fabierkiewicz W. Rosja współczesna, 1926, str. 154 + 6 nl. 5.50

Grynwaser H. Sprawa włościańska w 1861 — '62 r., 1938, str. 196 . . . . 5.—

Jastrzębski W. Organizacja pracy fizycznej, 1926, str. 4 nl. + 168 wyczerpane

Korman Ż. Materiały do bibliografii druków socjalistycznych, 1935, str. XVIII + 374 . . . . . 12.—

Korniłowicz K. Akcja społeczno-kulturalna w górnictwie angielskim, 1929, str. 96 . . . . . 3.—

Krahelska H. Łódzki przemysł włókienniczy wobec ustawodawstwa pracy, 1927, str. 46 + 1 nl. . . . . 1.—

— Praca dzieci i młodocianych w Polsce, 1928, str. 88 . . . . 2.50

— Praca kobiet w przemyśle współczesnym, 1932, str. VIII+151 5.—

Krieger A. Ubezpieczenie na wypadek choroby w Polsce, 1931, str. 175 . . 10.—

Krzeczkowski K. Zarys życia i pracy Ludwika Krzywickiego, 1938, str. 179 5.—

Krzyczkowski J. i Sobierańska Z. Stosunki kredytowe wśród drobnej własności rolnej, 1931, str. 165 + 3 nl. . . . . 12.—

Kuropatwińska M. Ogrody działkowe a kultura miast, 1928, str. 96 . . . 3.50

Landau L. Gospodarka światowa — Produkcja i dochód społeczny w liczbach, 1939, str. VII + 151 . . . . . 5.—

Landau W. Izby pracy, 1932, str. 54 . . . . . 1.80

— Ośmiogodzinny dzień pracy, 1926, str. 4 nl. + 117 . . . . . 3.50

— Poglądy włościan na sprawę niepodzielności gospodarstw wiejskich, 1930, str. 4 nl. + 92 . . . . . 2.70

— Walka o bezpieczeństwo pracy, 1930, str. 199 . . . . . 5.—

Minkowska A. Rodzina bezrobotna, 1935, str. 112 . . . . . 2.50

Moraczewska A. Wczasy robotnicze, 1931, str. 158 . . . . . 5.—

Niemyska M. Wychodźcy po powrocie do kraju, 1936, str. 143 . . . . . 5.—

Pamiętniki bezrobotnych, 1932, str. XXXVII + 604 wyczerpane

Pamiętniki chłopów. Seria I, 1935, str. XLVI + 714; Seria II, 1936, str. XVI + 895 36.—

Piltz F. Dochody mieszkańców Warszawy, 1929, str. 136 . . . . . 5.—

Praca zbiorowa poświęcona życiu i twórczości Ludwika Krzywickiego, 1938, str. CXXXVI + 350 . . . . . 12.—

Rosset E. Proletariat łódzki w świetle badań demograficznych, 1930, str. 90 3.50

Rychliński St. Czas pracy w przemyśle polskim, 1929, str. 4 nl. + 103 . . 4.—

— Marnotrawstwo sił i środków w przemyśle polskim, 1930, str. 8 nl. + 164 . . . . . 6.50

Sterling H. Międzynarodowa Organizacja Pracy, 1928, str. 64 . . . . . 1.50

Struktura społeczna wsi polskiej, 1937, str. XVI + 322 . . . . . 8.—

Szturm de Sztrem T. Bezrobocie w Europie dzisiejszej, 1931, str. 45 . . . 4.—

— Płace zarobkowe w okresie dewaluacji, 1923, str. 60 . 2.—

— Walka o płace zarobkowe, 1922, str. 51 . . . . . 2.—

Warunki życia robotniczego w Warszawie, Łodzi i Zagłębiu Dąbrowskim w świetle ankiet 1927 roku, 1929, str. X + 332 . . . . . 15.—

Zacharzewska St. Urlopy wypoczynkowe pracowników drukarskich, 1931, str. 85 6.—

Zdanowski A. Warunki mieszkaniowe robotników, 1935, str. 114 . . . . 4.—

Zieliński J. Higiena pracy, 1929, str. XV + 354 . . . . . 9.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP
31370
2.